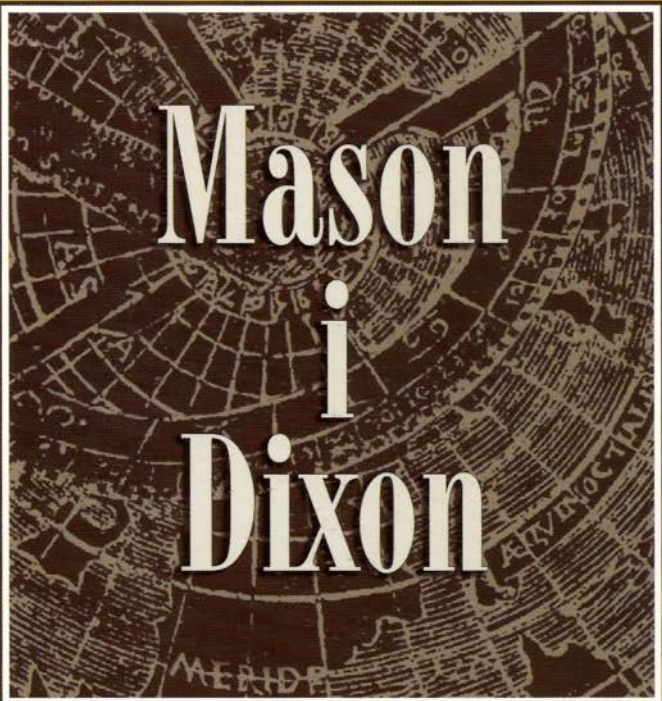


Pynchon

Thomas



Mason i Dixon

Prószyński i S-ka

Thomas
Pynchon

Mason
i
Dixon

Przełożyła
Joanna Urban

Prószyński i S-ka

Dla Melanie i dla Jacksona

Część pierwsza

Linie i wojaże

1

Kule śnieżne poszybowały łukiem, gwiazdami upstrzyły ściany i boki zabudowań Kuzynostwa, zbiły z głów kapelusze na pastwę wiatrów znad rzeki Delaware. Teraz, gdy saneczki są już pod dachem, płozy troskliwie osuszone i natłuszczone, a kamaszki odstawione do tylnego przysionka, obute w rajtuzy stópki kierują się ku Wielkiej Kuchni, gdzie od rana, ze względu na dnia wyjątkowość, panuje zamieszanie – przez gwar przebiega się stukot podskakujących na rondlach i kociołkach nakrywadeł, a w nosie kręcą wonie placków, frukta ze skór obrane, łój i palony cukier. Nakradłszy cichaczem, wśród miarowych pacnięć łyżek, czego się tylko dało, zmyślna Dzieciarnia udaje się, jak każdego popołudnia owego śnieżnego adwentu, do w tyle domu położonego wygodnego pokoju, który lata już temu oddano we władanie ich bezrozumnych wybryków. Znalazły tu miejsce spoczynku kozioł stolarski, długi a pobrużdżony, z ławkami różnego pochodzenia po bokach, od rodziny z hrabstwa Lancaster, nieco chippendali z Second Street¹, wśród nich znamienita sofa chińska zdobna w wysoki baldachim z purpurowej materii, co zaciągnąć można wokół na kształt zacisznego namiotu, w półmroku tonącego, to tu, to tam jakoweś przysłane z Anglii przed wojną krzesło – przeważnie sosnowe lub wiśniowe, nieliczne jeno mahoniowe, wyjąwszy wyśmienity, choć budzący grozę stolik karciany o falistym mazerunku znanym w handlu jako Wędrujące Serce, z iluzją głębi, w którą od lat wpatrują się malcy niczym w karty ilustrowanych ksiąg, a taka w nim mnogość zawiasów, czopów wysuwanych, zapadek ukrytych i tajemnych skrytek, iż ani Bliźnięta, ani siostra ich przyznać się do poznania całości nie mogą. Na ścianie, skazane na wygnanie w Siedlisku Małpisonów Salonowych za przywódenie na myśl czasów, co raczej zapomnieć należy, odbijające większość pokoju – dywan i zasłony nieco wytarte, kocura Wąsacza czyhającego pod meblami i wypatrującego najmniejszej szansy posiłku – wisi lustro w grawerowanej ramie, wykonane przy okazji „Mischianzy”, owego pamiętnego balu pożegnającego w siedemdziesiątym siódmym, który wyprawili okupujący miasto Brytyjczycy tuż przed swym wyjściem z Filadelfii.

Jest Boże Narodzenie roku pańskiego 1786, wojna do przeszłości należy, naród w sporach się rozdrabnia, a rany, małe czy duże, ciała czy ducha, bolą nadal, nie każda wspomniana z czią, zbyt często nawet niewspominanie wcale. Całe miasto śnieg przykrył, od rzeki do rzeki², a brzegi ich dalsze tak ściśle skryły kurtyny mgły lodowatej, iż Filadelfia jawi się dziś niczym wyspa pośrodku oceanu. Zamarzły stawy

¹ Ulica w Filadelfii, chodzi zatem o podróbkę (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² Filadelfia leży nad dwiema rzekami – Delaware i Schuylkill.

i potoki, a drzewa rozbłyskują po czubki najlichszych gałązek skrami zebranego światła. Ucichły odłożone piły i młoty, cegły w przyprószonych stosach się piętrzą, wróble miastowych chmary nakrapiane z kryjówek swych, jakie tylko znaleźć mogły, to wyfruwają, to na powrót je zapełniają. Ciemniejące niebo, obłokami niczym kredą umazane, nad Northern Liberties, Spring Garden i Germantown¹ zmierzch rozciąga, młody miesiąc bledością płatkom śniegu równy. Z kominów dym się unosi, kompanie kuligowe po domach się zbierają, w gospodach rejwach – wszędzie strumieniami kawa świeżo parzona płynie, i od frontu, i od tyłu po pokojach obnoszona, a madera, co zawsze miejscowych do gromadzenia się skłaniała, leje się niczym eliksir starodawny, w buzujące od politykowania kotły – zaprawdę, osąd o sytuacji obecnej równie wystawić trudno, co jakowej gwiazdy odległości rachubę.

Stało się Bliźniąt i siostry ich zwyczajem, a w ślady Dzieciarni, na wiek swój nie bacząc, przyjaciele ich także iść mogą, by gromadzić się po południu na kolejną gwędę swego wuja, Wielebnego Wicksa Cherrycoke’a, który, na pogrzeb przyjaciela z lat dawnych w październiku przyjechałszy – zbyt późno, jak się okazało – w domu siostry swej Elizabeth się zasiedział. Od niepamiętnych czasów była ona żoną imć J. Wade’a LeSparka, poważanego kupca, żywo sprawami miasta zainteresowanego, a w domu dzierżącego dość władzy, by bez potrzeby ubierania rzeczy w słowa przekazać Wielebnemu, iż gościć tu może dopóty, dopóki dzieci z dobrym skutkiem zabawia – aliści znajdują się dowody zbyt rozliczne na spustoszenia przez młodzież siane w chwilach nieprzystojnych i klops! Drzwi mu skażą, za nimi zaś kata mroźnego topór.

Wysłuchano tedy do tej pory Ucieczki z Ziemi Hotentockich, Przekłętego Rubinu z Mogok tudzież Katastrof Morskich Indii Wschodnich i Zachodnich – Herodota godnej mieszaniny przygód i ciekawostek. Jak zapewnia Wielebny, dobierał je, kierując się ich moralną użytecznością, a wystrzegając się tych, co dla młodego ucha stosownie by nie były, owych młodych uszu zaś nikt o zdanie nie pyta, jak to w pospolicie bywa.

Tenebra usadowiła się z robótką, której rozmiar i finezja są już tematem dysput w całym domu, przy czym sama hafciarka głosu nie zabiera – przynajmniej w tej jednej sprawie. Telegrafem wonnym zaanonsowane, nadchodzą Bliźnięta, taszczące starą, cynową kawiarkę, z której dobywają się obłoczki pary, i kosz hołdujący słodkolubnym apetytom, po brzegi wypełniony pączkami świeżo smażonymi i obtaczanymi w cukrze, lukrowanymi kasztanami, bułeczkami, gniazdkami, tartami i owocami w cieście.

– I cóż tam macie? Oj, chłopcy, czytacie w mych myślach.

– Kawa dla ciebie, wujaszku.

– Ostatnim razem przez sen mówiłeś – wyjaśniają, stawiając cukry bliżej siebie, reszta kompanii może zaś chwytac wedle upodobania.

Dojść do zgody co do tego, który z braci pierwiej na świat przyszedł, nie było sposob, nadano przeto Bliźniętom imiona Pitt i Pliniusz, iżby do każdego można było zwracać się per „Starszy” bądź „Młodszy”, wedle uznania, choć tylko jednej ze stron².

– Dlaczegoż to nie słyszeliśmy jeszcze żadnej opowieści o Ameryce? – pyta Pitt, zlizując grudki puddingu filadelfijskiego ze swego najprzedniejszego żabotu.

– Z Indianami i Francuzami – dodaje Pliniusz, który rozsiewa wokół kaskady słodkich okruszków.

– Francuzkami, jak już – mamroce Pitt.

– Trudno mi być pobożnym za nas obu, braciszku – ripostuje Plin.

¹ Dzielnice Filadelfii.

² William Pitt Starszy i William Pitt Młodszy – osiemnastowieczni brytyjscy mężowie stanu, Młodszy był wówczas premierem.

- To już lat dwadzieścia – wspomina Wielebny – odkąd staliśmy społem na szczycie Alleghenów, spoglądając ku temu Objawieniu, jakim jest Kraina Ohio, jakże cudna, z łąkami po horyzont. Był tam Mason i Dixon, i wszyscy McCleanowie, Darby i Cope, nie, Darby’ego nie było już w sześćdziesiątym szóstym, ale i stary imć Barnes, i ten młody hultaj Tom Hynes... W głowę zachodzę, gdzie się oni wszyscy podzieli. Niektórzy walczyli na wojnie, inni pokój wybrali, jak wyszło, jedni zyskali, inni stracili wszystko. Część w Kentucky metę znalazła, kilku, jak ostatnio biedny Mason, w trumnie. Działo się to tuż przed wojną. To, co robiliśmy społem w tym kraju, odważne było, tak uczone, iż ładu dojść nie umiałem, a w końcu okazało się, że i próżne. W sercu puszcy wyznaczaliśmy linię na osiem jardów¹ szeroką, a idącą prosto na zachód, aby rozdzielić włości dwu panów, darowane im jeszcze za feudalnego porządku świata, co ledwie osiem lat później Wojną o Niepodległość anulowano.

Mason odszedł, a Wielebny Cherrycoke, który przybył do miasta złożyć mu hołd, przedłużał gościnę – przyszły tedy pierwsze chłody, pierwsza ochota do siądnięcia przy palenisku, pierwsze posiłki z tegorocznych zbiorów na codziennej porcelanie. Zamiar miał wyjechać tygodnie temu, lecz widać, iż zostać się mu nie sposób. Każdego dnia okazuje zmarłemu szacunek, odwiedzając także, choć na krótko, jego grób – kościelny wita go już skinieniem głowy. Ostatnio zbudził się w środku nocy, przekonany, iż to on właśnie zakłócał spokój Masona – niczym cień, z pretensjami, oczekiwał, iż tamten, zmarły tak niedawno, w czymś mu pomoże.

- Po latach zmarnowanych – ciągnie – na ćwiczeniu się w udawaniu duchownego, postarzały, wcielając się w rolę, która nigdy nie wymagała więcej niżli garści aktorskich sztuczek, zapomniawszy o tęsknotach za niebezpieczeństwem, przegapiwszy wszystko to, co winno było mieć miejsce, lecz nie miało szansy się ziścić, rzuciło mię oto na republikański brzeg – z dziurą w boku, masztami w ruinie, umysłem przerdzewiałym od starości – kronikarza od pięciu boleści, któremu ta garstka przygód grzechocze w dziurawej jak sito puszcze pamięci, będąc jedyną pociechą, jaką ma jeszcze.

- Wujaszku – Tenebra udaje zdziwienie. – Dziś rankiem przecie wyglądałeś o tyleż młodziej, że wieku odgadnąć było nie sposób.

- Droga Teniu, toż to wstęp do mej Sekretnej Relacji. Nie wiedziałem, iż w te słowa ubiorę wstęp w waszej kompanii.

- A zatem...? – Tenebra odpowiada na szelmowski uśmiech wuja, jak to ma w zwyczaju, wachlarzami rżęs trzepocząc.

- Wpierw wieszanie idzie.

- Wyśmienicie! – wołają Bliźnięta.

Wyjawszy zza pazuchy sędziwe, wytarte zapiski, oprawne w tanią skórę, Wielebny zabiera się do czytania.

- Gdybym pierwszą był osobą duchowną, którą w czasach nowożytnych powieszono na szubienicy Tyburn², gdyby wzięto mię za zmarłego, choć w rzeczy samej odpoczywałem jedynie, snując się po letargicznych korytarzach omdlenia, powalony ostatnią szklanicą ciemnego piwa, gdyby studentów medycyny zbuntowana ciżba to, co im się mym trupem zdawało, na powrót w czeluście piwnic swej uczelni wzięła, gdybym następnie „wskrzeszony” został ku nowej wiadomości prawideł bytu, wedle której Zbawiciel – dziwnie to rzec w epoce Wesleya i Whitefielda³ – nie zajmowałby

¹ Anglosaska jednostka miary równa ok. 90 centymetrom.

² Słynne londyńskie miejsce egzekucji u zachodniego wylotu współczesnej Oxford Street.

³ Charles i John Wesley – współtwórcy Kościoła metodystów, George Whitefield – metodysta i słynny kaznodzieja.

roli tak poczytnej jak w inakszych sektach, przypominałbym blisko tego oto duchowego nomadę, co dziś przed wami stoi.

– Mateczka mawia, żeś wyrzutkiem rodziny – powiada Pitt.

– Pieniądze ci płacą, byś się trzymał z dala – dodaje Plin.

– Wasz dziad Cherrycoke, chłopcy, czyni, jak przyobiecał, i występując się pewnymi Kompaniami Statutowymi, śle mi z miarą Księżycza godną sumę co do ćwierć pensa dokładną na każdy adres pod słońcem, z wyjątkiem brytyjskiego. Anglia to jego świat, a on obstaje, iż za pewne występki mej odległej młodości w oczy jej spojrzeć nie może.

– Występki! – wołają chłopcy chórem.

– Cóż, takim je zwą źli ludzie... Przebóg, inna to historia...

– Czegóż to się uczepili? – stryj Ives pyta. – Jedyne przez wzgląd na mą profesję chętny jestem wiedzieć.

Z ramienia zielona teka na akta mu się zwiesza, ale wrócił właśnie ze spotkania w kafenhausie, a później owego wieczora powtórzyć ma takowe wyjście w nieco oficjalniejszej wersji. Tu, wśród dzieciarni, czuje się tak, jak i być może pasażer dylżansu, co, wystawiony o zmroku między obcych, wyczekuje swej przesiadki, pragnąc intratę jakową z przerwy uzyskać.

– Wśród łagodniejszych zarzutów – daje odpowiedź Wielebny – był to jeden z najmniej tolerowanych w owych czasach występków. Najgorzej zdało się iść w ślady Dicka Turpina¹ było, lecz i nieroztropność młodzieńcza dnu bliska. Zwała się owa zbrodnia „bezmiennność”. W samej rzeczy, nie podpisawszy się, wywiesiłem me opinie do wglądu ogółu. Znałem pewne indywidua z sąsiedztwa, nocą krążące, co użyć mi swej prasy pozwoliły i, dziwnym trafem, com z czcionek złożył, relacją świadka wyszło z występków mocnych przeciw słabym – ogradzania², wywłaszczeń, werdyktów ławniczych, wojsk sprawek – gdzie podałem tyle nazwisk winnych, co tylko do których pewność miałem, aliści zataiwszy to jedno, com w bezmyślnym rachunku miał za własne, aż do owej nocy, kiedy to, zdradzonego, powieziono mię w pętach do Londynu i osadzono w Tower.

– Tower!

– Och, nie dręczcie ich tak – błaga Tenebra.

– Ludgate³ zatem? Jak go zwał, było to więzienie. Dopiero gdym leżał wśród szcurów i plugastwa, na mroźnym skraju niewiomego losu, pojąłem, iż me nazwisko nigdy me własne nie było, lecz zawsze władz, co broniły mi go zmieniać czy zatajać, podobne pierścieniowi na szyi bestii, który w każdej chwili z łańcuchem szepić można... Naówczas stało się to, co – jak mawiają – Hindusom i Chińczykom się tafia. Zdało się, utrata siebie zupełna, a idealne ze wszystkim zespolenie. Światła nieziemskie, ognie, głosy niepojęte – w rzeczy samej, drogie dziatki, część to opowieści, gdzie wasz stary wuj rozum tracić poczyna – jak wtenczas wszyscy radzi byli wystawiać, interesa swe na względzie mając. A jako że morskie wojaże powszechną były kuracją wariatów owymi laty, wygnanie me najprzedniejsze tedy miało medyczne pobudki.

– Choć mym pragnieniem było wyruszyć na East Indiamanie⁴ – ciągnie opo-

¹ Słynny osiemnastowieczny rozbójnik angielski.

² Od XIII do XIX wieku, mimo protestów chłopskich, panowie angielscy ogradzali gminne pola, tworząc z nich pastwiska dla owiec.

³ Więzienie w londyńskim City.

⁴ Duży statek pływający na trasie do Indii Wschodnich, w odróżnieniu od Zachodnich, czyli Bermudów, Antyli i Wysp Bahama.

wieść Wielebny – jako że trasa na wschód przecinała niesławnie żywotnością młodości huczący świat pokładowych figli, zebrań kompanii siłą wichurze równej, pojedynków na suchym lądzie, floty francuskiej ciągłej – dla niektórych romansej – groźby („piratom podobni, lubo grzeczniejsi”, jak mię damy częstokroć zapewniały), niestety, mego losu strażnicy, w ostatniej chwili mą ochotę zwietrzywszy, naprędcie umieścili mię na niewielkiej brytyjskiej fregacie, samotnie płynącej w rejs daleki i w czasie wojny. *Seahorse* się zwała, jej kapitan – Smith, a posiadała dwadzieścia cztery działa. Pełen pytań, pospieszyłem przeto na Leadenhall Street¹.

– Czyżbyśmy słyszeli skargi? – powitano mię. – Powiadasz, żeś ponad statek szóstego rzędu? Wolałbyś zatem ostać na lądzie i zająć kwaterę w Bedlam²? Wielu takim jak ty wyszło to na dobre i cieszą się tam życiem całkiem i użytecznym. A jeśli egzotyki łakniesz, w szpitalach francuskich też miejsce znaleźć można...

– Czy ktoś w mym stanie wiedziałby choć, jak wnieść skargę, panie? Winnym wam wszystko.

– Szaleństwo nie zepsuło twej pamięci. Dobrze to. Wystrzegaj się wiktuałów szkodę czyniących, a osobliwie kawy, tytuniu i indyjskich konopi. Jeśli już musiał będziesz po to ostatnie sięgnąć, nie zaciągaj się. Nie narażaj pamięci na szwank, młody człowieku! Bywaj zdrów!

I tak oto, gdy owa, bez wątpienia szczerze dana rada znalazła swe przeznaczenie wśród szumów nocnych fal za mym posłaniem, wyszedłem w morze na Machinie Destruckcji, w nadziei, iż strony Orientu zamieszkują jeszcze pokój i bytność boska, które oświata brytyjska, wyruszywszy na zachód, ostawiła za sobą. Z tych miar, ledwie opisać podobna, co poczułem, gdy miast nadprzyrodzonego przewodnictwa lamów wiekiem dziejom równych, zjawił się na horyzoncie żabojad – trzydzieści cztery działa zguby, a tylko jedna nauczka.

2

*Do JWP Masona, Asystenta Astronoma Królewskiego
W Greenwich
Szanowny Panie,*

Jako że mam honor być drugim po Panu w ekspedycji, co na Sumatrę się sposobi, by obserwacji dokonać przejścia Wenus, mam nadzieję, iż nie popełnię błędu, przedstawiając się. Pomimo zapewnień, jakie być może otrzymałeś Waćpan od WP Birda i Emersona, a także, jak wierzę, innych, co do mej odpowiedzialności, jesteś Pan wszak adiunktem pierwszego astronoma królestwa, byłoby zatem dziwne – nie dziwaczne rzecz jasna, lecz, można by rzec, niespodziewane – gdyby nie zagościła w sercu Pańskim jakowa obawa, czy nawet dwie, co do mych kwalifikacji.

Nie przeczę, iż w pracy mej polegałem częściej na igle niżli na nieboskłonie, aliści, czego brak mi w gwieźdny doświadczeniu, nadrabiam, jak mniemam, pilnością i żywością umysłu, a jako że niepodobna mi pretendować do Pańskiego kunsztu, skory jestem

¹ Ulica w londyńskim City, przy której mieściła się siedziba Kompanii Wschodnioindyjskiej.

² Londyński szpital psychiatryczny, później synonim podobnych instytucji.

poznać i równie szybko zysk czerpać z jakichkolwiek uwag, które byłyby Waćpan łaskaw mi przedłożyć celem mej w tym względzie poprawy.

Sługa Uniżony,
Jeremiasz Dixon

Kilka miesięcy później, kiedy nie trzeba było już udawać tyle, ile mniemali, iż będzie trzeba, Dixon wyjawia, iż komponując ową epistołę, świadomie wstrzymywał się od picia.

– Wersji dwadzieścia, marząc czas cały o tej pincie¹, co czeka na mię w Wesołym Gwarku². Następnie zaś o pincie kolejnej, rzecz jasna, i tak bez końca... Z każdym nakreślonym wyrazem pożądania godnej okrutniej, jeśli mój tok myślenia, przyjacielu, pojmujesz.

Mason ze swej strony czyni inną konfesję, gdyż obaczywszy, iż list z hrabstwa Durham pochodzi, był go niemal precz wyrzucił, wnioskując, iż to z prowincji kolejna rada darmowa z tych, co w imieniu Astronoma Królewskiego czytać i responsem opatrywać miał powinność.

– Atoli zdał się tak szczerzy... Wnet wstyd mię okrył, o ja niegodny, iż owa prawa, wiejska dusza wiarę dawała temu, żem mądry. Ech, gorzkie omamienie...

Do JWP Jeremiasza Dixona
Bishop Auckland, hr. Durham
W. Panie,

List Waćpana otrzymałem dwudziestego szóstego tegoż miesiąca i zobowiązany jestem za zacne słowa. Lękam się atoli, iż Waszmości winno raczej udzielić się zwątpienie, nigdy bowiem jam nikogo nie uczył i w żadnym fachu, a i kunsztowi memu do wyżyn daleko. Proszę niemniej bez wahania pytać mię, o co się panu żywnie podoba, a ja starać się będę dać uczciwą odpowiedź, choć mniemam, iż nie in toto³.

Jest przewidziane, iż każdy z nas mieć będzie teleskop własny, przez imć Dollonda w najnowsze achromaty wyekwipowany, nadto zegar roboty p. Ellicotta i, rzecz jasna, sektor⁴ pańskiego p. Birda – rzecz można, iż dla naszej kompanii nic prócz najprzedniejszych!

Życząc bezpiecznej na południe jazdy, acz niezbadane są Wyroki Boskie, oczekuję, iż dzięki powszechnej reputacji nazwiska pojawisz się tu Waćpan z duchem szczęśliwie ocalałym od wszelakich docinków zatroskania – wyjątek takowy uradowałby mię niezmiernie, gdyż życie potocznie przykre.

Sługa Uniżony,
Charles Mason

¹ Ang. *pint* to 0,568 l.

² Dixon pochodzi z górniczego hrabstwa Durham.

³ Łac. „w całości”.

⁴ Urządzenie astronomiczne do obserwacji zenitu; John Bird (1709–1776) – słynny konstruktor przyrządów naukowych.

– Nie było mię tam, gdy widzieli się po raz pierwszy, przynajmniej, nie na sposób pospolicie. Słyszałem z ust ich później, jak pamiętali owo spotkanie. Usiłowałem zapisać, z czego wynikało coś na kształt „Dziennika Duchowego”, com tylko z tych gawęd spamiętał, atoli dnia przeszłego mordęga częstokroć wymuszała skróty.

(– Pisałeś też i śpiąc! – wołają Bliźnięta).

Dzieci drogie, śniłem nawet tamtymi czasy... lecz tylko długo po tym, jak zakończyło się przejście w jawę.

Atoli, ledwie się w Portsmouth¹ spotkali w sali zajazdu Masona, już ów czuje, iż, przy Dixona oszołomieniu miastem, na starego londyńskiego wyjadacza wychodzi.

– Przebóg! Obwieś jeden pluś mi na buty... Drugi spychał ludzi, jednego za drugim, w rynsztok, a na niektórych z tamtych wszak strach było spojrzeć! Jakże wy żyć radę dajecie w podobnej kupie, dzień po dniu, nie mając ochoty dokonać mordu wśród ludności?

– Ach, gdy się tego pragnie, przyczyn obruszenia może być bez liku, od spojrzeń zuchwałych po napaść śmiercią grożącą, potok zniewag nieprzerwany. W jakimże aliści porządku znieważających wyzywać, jakże wyboru dokonać i czymże kierować się przy tym? Przeto wkrótce przyjmuje się to za kolejną kondycję w zawartej między sobą a miastem umowie, przejaw pospolitego przeludnienia, co pewność daje, iż nigdy czasu nie stanie myślą zaszczycić, co dopiero urażą, wariackiej tej obelg palety.

– Prawda, u mnie, w Bishop, i z pół nocy minie, nim znajdzie się wymówkę, by dać komuś po gębie. Londyn rajem pieniaczy, bez dwu zdań.

– Przypadłaby ci zatem do gustu Wapping High Street²... i Tyburn, rzecz jasna! Dołącz je do swej listy.

– Uroczu tam, nieprawdaż?

Mason wyjaśnia, atoli nie napomknąwszy o głównej wizyt swych przyczynie. Od roku, jeśli nie więcej, ma w zwyczaju chadzać na piątkowe wieszania w owym posępnym miejscu; wnet począł zagadywać katów i czeladników ich, stawiając im pinty w Bridport Dagger³, ichnim miejscu schadzek, zyskując tym odpychającą zażyłość z ową profesją. Popychano go i kuksańcami częstowano wśród ciżby rozwścieczonych wilków morskich, z rąk hord studentów medycyny starających się wyszarpnąć ciała kamratów, co na stałym lądzie ducha wyzionęli, zbyt daleko od morza, a sakiewkę jego, jak i osobę, narażano na szkodę zarówno z osobistych pobudek, jak i na zlecenie, atoli...

– Równać tego z niczym niepodobna, całe jak na tacy Londynu przyrodzenie! – woła. – Musisz tam zająć ze mną, jak tylko sposobność będzie.

Biorąc to za żart, czym być przecie musi, Dixon się śmieje.

– Ha, ha, ha! Ach, przedni, nie ma co.

Mason ramiona kuli i dłonie wznosi.

– Prawdę mówię, a co gorsza, nie piłem. Człękowi pierwszy raz w mieście będącemu wieszania przepuścić nie przystoi. Sam powiedz, o co cię wpierw zapytają, gdy do hrabstwa Durham powrócisz? No? „Czyż widział, jak powietse ujeżdżują na Tyburnie?”

Czy to zbyt wiele samotnych nocy w obserwatorium na czubku osławionego Wzgórza w Greenwich? Czy to podobna, by człowiekowi zamieszkującemu jedno z Wielkich Miast Chrześcijaństwa obce były prawidła obyczajności? Dixona osąd nakazuje mu jedynie uczuć lekką irytację.

¹ Ważny port nad kanałem La Manche.

² Londyńska ulica nad Tamizą, w pobliżu Tower.

³ Dosł. „Kozik z Bridport” (Bridport to port w hrabstwie Dorset).

– Nie, nasamprzód zapytają: „Pojmuwałeś to ichnie dziwocne gadanie?”.

– Do diaska, biję się w pierś, nie miałem zamiaru...

Jakoż i po raz drugi w obrębie dwu minut Dixon bez powodu śmiać się zaczyna, tym razem jakoby pocieszyć nieco pragnął, wyrozumiałe i na kompana nie patrząc – śmiech to sztywny niczym szpada. Atoli, czując, iż jest jego powinnością przełamać lody, do boju rusza.

– Słuchaj waść, cała kompania, jezuita, Korsykanin i Chińczyk jedzie wielkim dyliżansem do Bath. Czwartym pasażerem jest zaś przyzwoita niezmiernie Angielka, rzucająca im zgorzone spojrzenia. W końcu, ścierpieć tego dłużej nie będąc w stanie, Korsykanin, najbardziej z trójki w gorącej wodzie kąpany, wybucha – i tu zechciej wybaczyć mą wymowę korsykańską – i powiada „The, dhama! Nha co się thak patrzy-my, co?”, a ona rzecze...

Mason odsunął się już na kawałek spory.

– Oszalałeś? – szepcze. – Ludzie oczy w nas wpatrują. Nawet marynarze.

– Aj! – Nos Dixona purpurą się pokrywa. – Słyszałeś już to zatem. Wybacz – rzecze, wyciągając dłoń, by pochwycić rękę Masona, z czego się tamten wykręca ruchem, którego niczym kichnięcia powstrzymać mu niepodobna. Dixon cofa się potem złany.

– No, no, tygodni parę zabrało mi zgłębienie tej sztuczki, lecz widzę, iż bystry masz rozum i baczność, a cieszy mię takie coś u kompana w robocie. – A oblicze mu jaśnieje.

Obaj wpatrują się w siebie, równie mylny osąd wydając, obaj także niepewni co do tego, komu być górą przypadnie. Dixon wyższy jest o kilka cali, ale garbi się, a na sobie ma surdut czerwony, wojskowego kroju, ze srebrnymi guzikami, na głowie zaś pasujący trickorne z jakowąś dopiętą ozdóbką, co na Drodze Północnej jeno gustu oznaką być by mogła. To on przywiązuje uwagę gawiedzi, a częstokroć w przyszłości obcy będą pamiętać ich jako Dixona i Masona. Lecz strój ów niezgodny jest ni z kwakierstwem, jakie wyznaje, ni z obecną konduitą – próżniaka, co w wojsku nie był i wyrósł koślawo, co się jakże często, niestety, u oddanych urokom karczm trafia.

Co do Dixona, zdaje się, iż Mason zawód mu sprawił – a przynajmniej tego się astronom lęka, jak zwykle do podejrzeń skory.

– W czymże kłopot? Na cóż się patrzysz? To zapewne ma peruka.

– Nie nosisz peruki.

– W rzeczy samej! Zmiarkowałeś. Uważasz mię na sposób dziwny, rzec muszę, lecz i znaczący.

– Czy ja wiem? Może wróżyłem sobie kogoś nieco bardziej... cudaczego?

Mason zezuje.

– Nie dość jam tobie cudaczny?

– Cóż, niezwykła to profesja, czyż nie? Iluż jest astronomów królewskich? Iluż dałoby się zliczyć ich asystentów? Wpatrywać się w gwiazdy noc całą, bez snu, wszak do tego dziwaka trzeba, nieprawdaż? Z drugiej strony, jeometrów jak mrówek, a dwakroć tańsi, i roboty dla wszystkich teraz w Durham z pewnością dostatek. Ogradzania w całym hrabstwie i północnym Yorkshire, ech! Płoty, żywopłoty, rowy, pospolite i z ogrodzeniem w obniżeniu, wszystko na wytyczenie czeka. Mogłem być ostać w domu i żyć wygodnie.

– Wspomnieli, iż w jeometrii szkolony – rzecze Mason zbity nieco z pantałyku – lecz to wszystko? Rowy? Żywopłoty¹?

¹ W Wielkiej Brytanii żywopłoty wyznaczają często miedzę.

– Cóż, w rzeczy samej ogrodzenia w rowach nie są już w tak pospolitym użyciu, odkąd lord Lambton wpadł do swego¹. Przeklął je i nakazał wypełnić odpadami z kopalni. A co, mniemałeś, iżem drugim od lunety? Boże broń, znaczy, uczono mię tego – mechaniki niebieskiej, wszystkich mężów znamienitych – Laplace’a², Keplera, Arystarcha i tego, jak mu tam... lecz to wszystko trygonometria, czyż nie?

– Atoli, kiedyś chyba – Mason nie wie, jak ubrać myśl w słowa taktowne – miałeś w ręku... zerkałeś przez... hm...

Dixon uśmiecha się doń pełen zachęty.

– Zerkałem, a jakże. Mój stary nauczyciel, imć Emerson, posiada teleskop, tak to się zwie chyba, pierwszej klasy, choć z tubusem z klepek bednarskich, i wielem wieczorów spędził, podziwiając fazy Wenus, a tak i trabynty Jowisza, góry i kratery naszego... a widziałeś ostatnie zaćmienie? Miłe dla oka... Pan Bird także dzielił się swymi instrumentami, w rzeczy samej dwa tygodnie temu był tak miły i pomagał mi ćwiczyć się w obserwacjach i rachunkach, choć tak bezlitośnie, iż dni kilka wątpiłem, czy rozstaliśmy się w zgodzie.

Mason, spodziewający się pociągającego nogami zdziczałego, wsiowego głupka, mile jest zaskoczony takową oglądą Dixona, ten zaś, ze swej strony, mimo iż go uprzedzono, oczekiwał kolejnego strojnisia, co się w Londynie o urzędy coraz lepsze stara, i zdumiony jest skromnością ubioru u kompana, całego w szarych, tabaczkowych i izabelowych odcieniach.

Mason kiwa głową zasępiiony.

– Wychodzę na osła.

– Jeśli gorzej się nie da niżli to, znieść to umiem. Jak długo starczy wesołości.

– I wina.

– Wina? – Teraz Dixon zezuje.

Mason zachodzi w głowę, co też znowu palnął.

– „Chmiel lub jagoda, lecz nigdy oba”, jak mawiał mi nieraz mój cioteczny dziadek George. „Ziarna i grona, rankiem człek kona”. Na dwie grupy zatem pijących się dzieli. Ludzi Grona i Ludzi Ziarna. Powiesz mi teraz, iż do bractwa grona należysz? I iż rzadko, jeśli wcaie, tykasz ciemne piwo i na spirycie napitki, czyż się nie mylę?

– I raduje mię to niezmiernie, gdyż z ograniczonym zapasem każdy z nas znajdzie coś dla siebie, niczym Jack Sprat³, prawda?

– Ach, i wino pić będę, jeśli trzeba będzie... a teraz, jako że temat otwarty...

– ...a przebywamy wszak w Portsmouth, nie sposób, by było nam daleko do jakowego przybytku, w którym obu nam dane będzie skosztować tych owoców przyrodzenia, co nam w smak?

Dixon zerka przez okno na ginące z wolna zimowe słońce.

– I nie za wcześnie, jak mniemam?

– Płyniemy do Indii⁴. Bóg raczy wiedzieć, co będzie pod ręką na pokładzie czy u celu. Ostatnia może to być zdatna pora na oświecony napitek.

– Zatem im szybciej, tym lepiej.

Gdy dnia kres nadchodzi i zjawiają się pierwsze ognie, igrające w taflach szyb, dźwięki ze stajni i uliczek przybierają na sile, a dym z kominów przenika powietrze.

¹ Ogrodzenia w obniżeniu, a przez to niewidoczne, popularne były w przypałacowych ogrodach.

² Astronom francuski Pierre Laplace miał w chwili pierwszego spotkania Masona i Dixona jedenaście lat.

³ Postać z wierszyka, nie jadł tłustego mięsa, a jego żona chudego.

⁴ Indii Wschodnich, czyli wysp Azji Południowo-Wschodniej.

Przybytek wdziewa zwoje cieni i wieczorową pelerynę migotliwego, jantarowego światła. Uszu Masona i Dixona dochodzi ekscytowany pomruk oczekiwania.

Nagle, w mroku, bucha jasno społem tuzin lustrzanych latarni, a w ich łunie sunie rozczochrany terier norfolksi z bezczelnym błyskiem w oku. Z jakowejś mniej oświeconej strony dobywa się skoczna uwertura na róg, klarnet i wiolonczelę, do której miary psina to w przód, to w tył podryguje w kręgu światła.

*Jam Uczony Angielski Pies,
Pytaj, o co tylko chcesz,
Wszystko, od „jak złapać pchłę”,
aż po króla monogamię.*

*Księżęta Persji, ruskie pierogi,
Chin jeometrów prawidła,
Co tylko przyjdzie do głowy, nawet
Machiny, co mają skrzydła.*

*Cytuję bez liku z dzieł klasyków,
Aż popuchną wam uszy,
A bez pomocy ołówka liczę
Logarytmiczne sinusy.*

*Lecz nic z religii,
Taką dam radę,
Gdyż już dziś wieczór
Stracę posiadę – Uczony Angielski Pies!*

Padają prośby ordynaryjne. Czy Uczony Pies wie, „gdzie pszczoła ssie”¹? Czy Pies jest żonaty? Dixon miarkuje, iż jego przyszły pomocnik popadł chyba w coś podobnego magnetycznemu osłupieniu, jak to zwą być może wyznawcy Mesmera². Więcej niż raz, Mason zdaje się gotów zerwać na równe nogi i palnąć rzecz, którą lepiej byłoby trzymać w rękawie na później. W końcu Terier uznaje jego przytomność, choć tamten w zbytniej jest ekscytacji, by wyłożyć coś rozumnie. Pozwoliwszy mu paplać bitą minutę, Pies wzdycha głośno.

– Zobaczmy się później, na tylnym podwórku.

– Wracam w mgnieniu oka – mówi Mason Dixonowi. – Dam radę sam, jeśli wolałbyś robić co innego...

Nie mając apetytu na stygnący przed nim przeogromny połącz baraniny, owija go ospale i ładuje za połą surduta, a podniósłszy wzrok, widzi, iż Dixon, z gębą radośnie napchaną, uśmiecha się zbyt szczerze, by nie zepsuć jego spokoju.

– Nie, nie dla mnie to. Mniemałeś, że dla siebie biorę? To dla Uczonego Psa, niczym, czy ja wiem, bukiet posłany uwielbianej komediantce. Ładny kotlet nigdy nie jest podarkiem chybionym.

Dixon odpowiada nieco zagapiony.

– A tak... ee... świat szeroki, bez dwu zdań... różnorakie zwyczaje i osądu nie przystoi wydawać o...

¹ Nawiązanie do piosenki Ariela w „Burzy” Szekspira.

² Franz Mesmer (1734–1815) propagował leczenie hipnozą i dotykami, rozgłos zdobył kilkanaście lat po pierwszym spotkaniu Masona i Dixona.

- Co takiego?

- Bez obrazu. - Dixon macha prostodusznie swą sztuką mięsa, oczy okrągłe ma niczym dukaty i wznosi je ku niebu, gdy Mason w bok zerka i znów na niego, na tyle późno, by nie obaczyć ich ruchu.

- Dixonie. Dlaczegoż to nie miałyby być wyroczni i dla nas, w naszej epoce? Bram ku przyszłości? Niepodobna, by wszystko ze starożytnością przeminęło. Czyż nie warto wyjść na durnia, by przynajmniej wy badać owego Angielskiego Psa, chociażby dla jego widocznego zacięcia do metempsychozy?

Coś jeszcze gra mu w duszy, coś, z czego Mason zwierzyć się nie może. Czy możliwe, iż kogoś stracił? A świeża rana być musi, że boli, bowiem rzuca się w ogień bez pomyślunku. Dixon pamięta, iż sam tak czynił, gdy ojca zabrakło...

- Pójdę i ja, jeśli można?

- Ależ proszę, jak mawia rozpustna dama.

Na podwórzec wychodzą tylnymi drzwiami. Bezlistne drzewo góruje łukiem w świetle pojedynczej latarni nad kręgiem skupionych karciarzy, ich sekretne wydechy widoczne dla wszystkich skorych do próby ich odczytania, a peruki, równe swą bielą śniegowi na dachówkach, to wylaniają się, to nikną w mroku.

Wkoło nich uliczkami śmigają marynarze z półotwartymi gębami - marynarze w kapeluszach z miękkim rondem, marynarze z harcapami, cmokający fajki i jedzący kartofle, ci, co na statek swój wrócić mają, i ci, którzy już nie, od sędziwych wilków morskich, co zbyt wiele w swym życiu eksplozji słyszeli, po kadetów-niedorostków na swą pierwszą jeszcze czekających. Wchodzą i wychodzą z piwiarni, składów z cukrami, szulerni, kaplic nowo powstałych, od marynarskich krawców, nawołując, wyśpiewując zaczepki, pogwizdując, puszczając pawie, jakich morze z nich nie dobyło.

- Może jego garderoba niedaleko - zgaduje Dixon. - Może jest z końmi.

- Nikt nie trzymałby gadającego psa z końmi, w minutę dostałyby wariacji.

- Trafia się to często tam, skąd pochodzisz?

- Panowie - z mrocznego kąta szept ich dochodzi. - Jeśli zechcecie ściszyć głosy, w okamgnieniu do Waćpanów dołączę. - Wolnymi kroczkami, w chybotliwym świetle latarni, z wywalonym ozorkiem nadchodzi Pies, zatrzymuje się, ziewa, kiwa głową. - Dobry wieczór Waćpanom. - I wyprowadza truchtem poza stajnie, poza podwórzec, w dół ulicy, przystając raz po raz, by radzić się nosa.

- Dokąd zmierzamy? - pyta Mason.

- To się nada. - Uczony Pies Angielski staje i puszcza strużkę.

- Ten pies - Mason *sotto voce* powiada - budzi mój niepokój. Z pewnością stworzy cudowne nie powinny, to jest... latające konie? Żaden z nich...

- Sfinks? - poddaje Dixon.

- W rzeczy samej.

- Ej, panowie. - Znikąd zjawia się zwalisty osiłek, syn Neptuna, w asyście trudnej do określenia liczby równie napitych kamratów. - Jakoweś interesa z owym Psem macie?

- Słówko jeno z nim zamienić pragniemy - zapewnia ich Mason bez zwłoki.

- Hola! Znam ja waszą dwójkę. To wy się z całą swą cudaczną machinerią zabieracie *Sea-horse'em*. Cóż, los wam sprzyja, boć my tu wszyscy z *Seahorse'a*. Jestem Bodine¹ „Brzuch-Obijacz”, kapitan marsu, a to moi druhowie. - Tamci witają się głośno. - Możecie mi mówić Obijacz. Teraz nasz plan. Capniemy stwora, a panowie wsadzą go tam, gdzie swe pilnie strzeżone cargo, z dala od oczu profosa², dopóki nie dobijemy do jakowejś nadarżającej się insuły...

¹ Jego potomek Pig Bodine pojawia się w powieściach Pynchona „Tęcza grawitacji” i „V”.

² Oficer zandarmerii na statku.

– Insuły?
– Capniemy? – Obaj jeometry z bicia są z pantałyku.
– Byłem ja w Indiach nie raz, wysp tam bez liku, a każda lepiej niżli poprzednia się nada i, zaprawdę, garść marynarzy z głową na karku i ów gadający Pies do zabawienia dzikusów, a, na Boga, jesteśmy królami.
– Niech żyją króle! – woła wielu z gromady.
– A tak! I dzierlatki!
– I kokosowe piwo!
– Wstrzymajcie się – ostrzega Mason. – Słyszałem, iż tam psy jedzą.
– W liście palmowe pakują – rzecze Dixon z powagą – i pieką na plaży.
– Raz jeden spuścić Psa z oka, a dzikusy go na przekąskę schrupią.
– Rrrrrraf! Proszę mi wybaczyć – włącza się Pies Uczony – lecz, jako że jestem rozmowy tematem, ośmielę się wtrącić słówko od siebie.
– Ma się rozumieć, Fido. – Bodine wyciąga niepewnie rękę do głaskania. – Zaufaj nam, o... dobry piesek...

Hałaśliwa grupa firyków, lunatyków lub galantów italiańskich – rozróżnić trudno – pojawia się gdzieś dalej w uliczce, a w wielu oknach rozbłyska światło świec ruchome. Pachołkowie stajenni tarzają się skwaszeni po workach paszy, co im za poduszki i łożka służą. Przypatrują się i latarnicy wolni, ciekawi, czy na sprawę nowe światło rzucić mogą.

Pies łebkiem nogę Masona przyciska.

– Ostatnia to może zdatna pora, by uciąć pogawędkę.
– Jest coś, o czym muszę wiedzieć. – Mason szepcze chrapliwie tonem targanego niepewnością kochanka. – Maszże duszę? Znaczy, czyś jest duszą człowieczą, co w ciele psa wróciła?

U.P.A. mruga, wzdryga się, z rezygnacją łebkiem kiwa.

– Nie ty pierwszy zadajesz to pytanie. Podróżnicy, co z wysp japońskich wrócili, przytaczają pewne religijne zagadki zwane *koan*, z których najgłośniejsza twego właśnie pytania się tyczy – czy pies cechy boskiego Buddy posiada. Respons, przez znakomitego mistrza dany, brzmi „mu!”.

– Mu – powtarza Mason w zadumie.

– Nieodpowiednym jest dla poszukującego zadumać się nad słowami *koan*, aż po stan świętobliwej wariacji i tobie osobliwie bym to polecał. Lecz, błagam, nie przychodź do Uczonego Psa Angielskiego w poszukiwaniu pociechy w wierze. Mogę ci ja być stworem więcej niżli pospolitym, lecz bez mocy nadprzyrodzonych. Rrrf, czyż to nie Wiek Rozumu? Wyjaśnienie zawsze pod ręką, a gadających psów nie ma wcale – gadające psy równe smokom czy jednorożcom. Pozwalają atoli przetrwać w świecie mniej fantastycznym. Innymi słowy – niegdyś jedyną przyczyną trzymania psów przez człowieka było pożywienie. Zmiarkowawszy, iż wśród ludzi nie było zbrodni gorszej nad zjadanie ciała innych ludzi, pies nauczył się bez zwłoki sprawować, jak tylko w jego mocy, na panów swych modłę, a zdolność tę szczeniętom wpajać. Wiemy zatem, jak wyzebrać od ciebie, człowieka, dzień po dniu, choć tę litości kapkę, co nam kolejny dzień życia daruje. Atoli, choć zaszliśmy tak daleko, los nasz na wieki niepewny. Brniemy przeto dalej, odgrywając merdające Szeherezady, zawsze o krok od horroru palmowego liścia, co noc odpierając ostrza naszych panów, odpłacając im ich człowieczeństwem własnym. Jam jedynie dalekim wyrażeniem tego toku zdarzeń.

– Przebóg, pies w liściu palmowym, cóż za bzdura – komentuje jeden z lunatyków. – Doprawdy, zbytniom delikatny. To jest, doprawdy, psa? W liściu palmowym?

Ludzie oświeceni lepsze mają rzeczy do roboty, niżli ślinić się na myśl o psie w liściu palmowym czy co to tam, czyż nie, Algernonie?

– Czy mógłbyś waszmość – zapytuje Terier, z pyszczkiem przechylonym w pewnej irytacji – nie powtarzać opisu potrawy? Ja wszak nie rozprawiam o, dajmy na to, „galancie w galarecie”, prawda, czy też „fircyku we fryturze”.

– A niech mię, ty nędzna, mała...

– Wrrr! A i celowa owa wzmianka o ślinieniu, mości panie, to podłość.

Lunatyk sięga po szpadę.

– Załatwmy może sprawę na miejscu.

– Derek? Z psem konwersujesz?

– Choć uzbrojenie waćpana psuje nieco me położenie – klaruje Pies – by uczciwości było zadość, winienem wspomnieć o uczuciu awersji wobec wody, co mię ostatnimi czasy trapi. Jak waszmości wiadomo, może być to zapowiedzią zaczątku Wodowstrętu. A tak! Wielki W. I gdybym ominął ostrze waćpana dla kilku zręcznych ukąszeń i zdołał, cóż, przebić sędziwe skórsko, w rzeczy samej, dostałbyś waszmość mego schorzenia, czyż nie?

Wnet wokół Teriera krąg pustki powstaje, szeroki na dwa sążnie, który później astronomowie wspominają jako nadzwyczajnie kształtem foremny.

– Dobra psina!

– Naści, ostatnie lukrowane ciastko, co mi mateczka przesłała aż z dalekiego Bath. Trzymaj.

– Jak sądzicie? Dam dwa do jednego, że pierwsza krew się pokaże galancka.

– Brzmi uczciwie – rzecze Bodine. – Ja na Psa, ktoś jeszcze?

– Czy nie winniśmy zawezwać właścicieli? – podsuwa imć Dixon.

Pies poczyna dreptać to w przód, to w tył.

– Jestem Brytyjskim Psem i nikt mię nie posiada.

– Kim są jegomość i dama, co byli z tobą w izbie gospody? – chce wiedzieć Mason.

– Myślisz o Uroczych Jellowach? Oto nadchodzą.

– Strzec cię przed marynarzami? – lamentuje Jellowowa, bieząc miarowym truchtem po zdradzieckim bruku alejki. – Pięknie dziękuję, to w umowie nie stoi. – Jej małżonek, w obwisłej peruce, portki podciągając, sennym krokiem za nią podąża. – Teraz przeproś, za cokolwiek żeś zbroił, i wracaj do stajni, na swe piękne, słomiane posłanie.

– Nurtowało nas to właśnie, wielmożna pani – drżącym, anielskim głosem rzecze Bodine, zdjawszy kapelusz – czy aby ów piesek nie byłby do kupna?

– Za żadne skarby, bocianie, i zmykaj mi w te pędy, ty i twoja hałaśliwa trzódka! Słyszając ją, pewna część marynarzy, w których przyrodzeniu leży trzymać się z dala od niebezpieczeństwa trunków, zdaje się zmienić w słup soli.

– Nie sprzeciwiaj się jej, waćpan – radzi Jellow – gdyż to studziałowiec pierwszej klasy, a po jej salwie burtowej idziesz jak nic pod wodę.

– Dziękuję, Jellow. Znów spóźniony, jak widzę.

– Na Boga. – Bodine nakłada na powrót kapelusz i wdycha. – Proszę o wybaczenie wielmożnej pani, pana i pomyślności dla Psa.

– Czy to cudo w waszmości rękach się znajduje? – zapytuje Mason.

– Nad właścicieli wolimy zwać się wystawcami – powiada Jellow.

– I, u licha, to im radzę – chrząka Pies, jakoby do siebie samego.

– Ej, wszak to Perła Sumatry! – woła Dixon, w którym od dłuższej chwili rośnie silna potrzeba wychylenia szklanicy. – Zdaje się, iż to miejsce wesołe.

– Brzuch-Obijacz kupuje! – krzyczy jakiś psotny majtek, nazwisko którego nigdy nie ma być poznane wśród gromady skorej do przekroczenia progu piątej czy szóstej z najbardziej niesławą okrytych marynarskich spelunek. Nawet w tutejszym klimacie generalnej rozpusty Perła się wyróżnia niczym jeden z jej eponimów, jaśniejący pośród ginącego ciała jakowejś ostrygi wydobytej z mórz południowych.

– Co powiesz na zroszenie pyska, Fido?

– Proszę, mów mi Kieł... Cóż, o tak, lubię zaiste kropelkę „Wywróc Mię z Budą”, od czasu do czasu...

W środku marynarze wszelakiej rangi i sławy krążą z wolna w ciemnej chmurze fajkowego dymu i sadzy tanich świeczek, a ci kręcący się pod prąd mają przedni wybór z palety portsmouthskich dzierlatek w pasiastych i kwiecistych sukniach, których jaskrawe czerwienie, pomarańcze i fiolety bledną w mrocznym świetle, sinieją, zdają się tłuste i znoszone, a czerń we wszystkim się miesza, barwy nieprzerwanie ciągnące ku nocy. Obaj jeometry miarkują po chwili, iż nurt ciżby sunie od drzwi ulicznych ku tyłowi przybytku, gdzie, na poletku darni, nawiezionej posoką i kałem licznych pokoleń drobiu płci męskiej, w ostrym świetle odwróconego stożka latarni, co w błękit zmienia kłębiącą się nieprzerwanie chmurę dymu, wisi w koszu winowajca, wesół, podług kogucich walk etykiety, nad miarę, a niżej toczy się właśnie turniej na modłę walijską. Dalej mającą stoły szulerskie, a za nimi labirynt pokoi służących ku noclegowi i rozpuście, wszystko to ginące niczym przylądki we mgłę.

Uczony P., zwabiony wonią juchy na koguciej arenie, stara się grać nonszalancko, lecz czegoż mogą się po nim spodziewać? Jakże mógłby nie zważać na ów najostrzejszy przejaw krwi uwielbienia? Ach, ziewa. Tak, nic nowego, wszystko to widział już wcześniej, ptaki rozplątujące się na śmierć, szesnaście pakują, jeden wychodzi, w rzeczy samej, mm hm, jak wesoło spędza się czas, gdy substancja, na którą mamy nie baczyć, ścieka i fruwa wokoło...

– Hej, Uczony! – woła szorstko Jellowowa. – Ostawmy ptaki przy ich robocie.

Pod kołyszącym się koszem z wojownikiem monety zmieniają właścicieli, a gwar nie słabnie. Z labiryntu na tyłach dochodzą różnorakie odgłosy większej lub mniejszej rozkoszy, kaskady plackowatych uderzeń o ciało, śmiechy, mniej lub bardziej udawane, ubijanie mebli, duet na wiołę i flet chiński, ogłupiałe pienia kogutów czekających wejścia, to tu, to tam chóralne krzyki, wieszczące niesłyszalne odsłonięcie karty lub rzut sfalszowanych kości, wołania o piwo i porter, przebijające się przez tumult z nadzieją, niczym arietty w zaciemnionych gąszczach pokoi, gdzie lamp mniej, a ruchy głębsze o najmniej ton jeden w zamysłach... Wreszcie Pies staje, przyprowadziwszy ich tam, gdzie, niemal pod gołym niebem, pod obramowaną kawałami drewna z wyrzuconego na brzeg dawno zatopionego wraku płachtą starej markizy, podtrzymywanej wiekowym, spękaniem blokiem olinowania, co ją oddziela od nieba i jego gróźb różnorakich, siedzi Mroczna Hepsie, Pytia Przylądka.

– Oto – rzecze Pies, trącając Masona – ów ktoś, z kim się widzieć winienes.

Momentalnie Mason wnioskuje (z czego zwierzy się Dixonowi w późniejszym czasie), iż rzecz cała rozchodzi się o żonę jego Rebekeę, co to w lutym miną dwa lata, odkąd zmarła. Nie będąc w stanie jej porzucić, Mason jest jednak skory wsiąść na statek, którego rejsu cel niepojęty – sądzi się, iż długie, morskie wojaże kurują takowe przypadki, chorobę, jak mu wyłożono, hyperthrenią zwaną, czyli „przesadą w żalobie”. Jakimś sposobem Pies Uczony kazał mu trzymać, iż istnieją niegroźne w przebiegu swym metody sięgania w królestwo zmarłych – iż, z pomocą przedstawionej przez Psa staruchy, dane mu będzie przeniknąć, odnaleźć ją, odwiedzić i wrócić, z wiarą wskrzeszoną. Nie da się wzruszyć bardziej serca melancholika. W tej samej

chwili Mason jednak miarkuje, iż Uczony Pies Angielski – albo Kieł, jak pragnie, by go teraz wołać – przedstawiając mu wiedźmę, prywatnie ma ku temu powody.

– Angelo wspominał, iż jest tu pakunek dla mnie.

– Co u licha? Czy ze mnie dylizans wieczorny? – Oboje krzątają się w mroku.

– Mam z nim spotkanie później, zgoda? Zapytam na pewno...

– Też tak gadałaś ostatnim razem. – Pies kręci łebkiem w przyganie.

– Dobra więc, naści. Ofiara prosto z mej własnej, ubożuchnej mesy, odrobina duszonej kury. Nic przedniejszego dziś ci nie zmontuje.

– Pokój z tobą, babciu – zabieraj swe resztki. Uczony Pies jeszcze nie upadł tak nisko – rzecze Terier, pyszczkiem wskazując jej własny podolek, a i swą wzgardę, po czym pełen godności się oddala, nie machając ogonem więcej niżli raz na krok.

– Statek wasz w piątek wyruszy w morze – wita Hepsie Masona i Dixona. – Czy to coś waszmościom mówi?

– Cóż, marynarze z węglowców powiadają, iż to zły omen – odpowiada Dixon, jakoby znow stał w Woolwich przed egzaminatorami – bowiem to wszak dzień stracenia Chrystusa.

– Ładnie, ładnie. Waszmości kapitanowi Smithowi brak poszanowania Chrystusa, Fortuny, świętego Piotra, a i Neptuna i z tegoż względu nie maszże asekuratora w królestwie, od Lloyd'a w dół, co tknie waszej sprawy za mniej niżli suma, jakiej wam, astronomom, zapłacić niepodobna.

– Aliści, jeśli zginiemy – mówi Dixon – a Marynarka Królewska poniesie koszty pochówku na morzu, jakież inne są tu wydatki?

– Waszmość nie posiadasz rodziny na utrzymaniu.

– Nie może być! Przebóg, zawołana z ciebie wróżbitka.

Dixon wywęszył już pod warstwami starannie naniesionej zgrzybiałości (o czym powie później Masonowi) niewiastę oszałamiająco małoletnią, a skupioną na robocie niewiastę, do której to on, wiejski bisurman, wnet umizgiwać się musi.

Lecz Masona trapi niepokój coraz sroższy.

– Jesteśmy zatem w niebezpieczeństwie? Cóż żeś słyszała?

Bez słowa podaje mu przybrudzony arkusz papieru, na którym drukiem odmalowano różnorakie usługi oraz stosowne do nich opłaty wyłuszczone.

– Cóż to? Klątw żadnych?

– Asekuracja ma mi nie zezwala – śmieje się starczym, wedle młodego rozumowania, rechetem. – Wnoszę, iż to, czego waść szukasz, przy pozycji w cenniku „Los statków” stoi.

– Pół korony?

– Jeśli waćpan nalegasz.

– Hm... Dixonie.

– Co? Mam ja wnieść połowę?

– Niepodobna obarczyć takowymi... kosztami... Towarzystwa¹, prawda?

– Czy wstyd waćpanu przynoszę? – pyta Hepsie zbyt żwawo jak na swe lata.

– Ach, niech będzie. – Mason przebiera w sakiewce, dobierając monety i mamrocząc kwoty.

Dixon przygląda się z pochwałą w oku.

– Wydajesz pieniądze niczym prawdziwy Geordie². On nie ma nic złego na myśli,

¹ Założone w XVII wieku naukowe Towarzystwo Królewskie wysyłało Masona i Dixona na Sumatę.

² Mieszkaniec Tyneside, regionu północnej Anglii, z którego pochodzi Dixon.

panienko... – Uśmiecha się od ucha do ucha, trącając Masona stopą, jako że w mroku krążą łotry, a łodzie z omotanymi wiosłami czekają, by wywieźć ich wbrew ich woli ku życiu, z którego można nie wrócić. Odór wielkiego kotwiczowiska – dym, smoła, sól i zgnilizna – nadchodzi z każdym podmuchem wiatru.

– Słuchajcie bacznie. – Monety znikły bez szmeru. – Od przeszłego roku, roku cudów, gdy Hawke zagonił Conflansa na brzeg zawietrzny w zatoce Quiberon¹, niedobitkom floty z Brestu braknie elan, czy też esprit, czy jak oni to tam zwą. No, z wyjątkiem kapitanów mniejszych balii, dusz równie skorych do sięgnięcia po własne taktyki, co skłonnych prychać na strategię kraju. Mortmain, Le Chisel, St. Foux, sami opętańcy, każdy z nich w każdej chwili gotów wyfrunąć z Brestu, nie bacząc na niebezpieczeństwo, jak zwykle na tête-à-tête z krańcem świata gotowi, szukając nowych przedmiotów niewyczerpanej mściwości.

– Na Boga! – Mason łapie się za głowę. – Może by tak... wypłynąć zatem innego dnia?

– Masonie, błagam... Toż to Wiek Rozumu – przypomina mu Dixon. – Jesteśmy ludźmi nauki. Dla nas dni winny biec jednako, tą samą liczbą sobie równych sekund, z których każda mknie w jednym kierunku, niereformowalnie. Jeśli nam wierzyć w omeny dane, przypomnieć raczej należy, iż astronomów znakiem piątku jest symbol samej planety Wenus. Omen to dobry z pewnością?

– Prawdę powiadam. – Młoda komediantka palec unosi wesoło. – Z dniem tygodnia przeklętym fregaty francuskie będą, gdzie będą, osobliwie St. Foux na *La Changhaisienne*. Znacie *Ecole de Piraterie* w Tulonie? Sławetna. Właśnie go mianowali na katedrę Kidda².

Mason i Dixon radzi by byli ostać jeszcze, pierwszy głowę zawracać, drugi smalić cholewki, lecz widzą teraz, iż za nimi utworzył się ciąg oczekujących porady. Są tu

*Luby niewierny i szuler, co kłopot ma,
Żeglarze, co nikt nie powie im pa, pa,
Figlarni galanci i z masztów składu brygada,
Wierząc się, skorzy portową Sybillę zagadać, śpiewają.*

*By zejść do Hepsie dziś wieczór zdatna pora,
Może da radę, jak z kłopotem się uporać,
Może zapłacze lub uśmiechnie się szeroko,
Lecz za korony pól nie pluje ci w oko.*

*Rzekła Ramillies³, aby strzegli się Bolta,
Innym, iż na Korsyce Paoli⁴ i rewolta,
Przełom to w dziejach czy też losy z tomboli,
Druhem najlepszym marynarza jest w niedoli.
Śpiewajmy zatem –*

By zejść do Hepsie etc.

¹ Bitwa morska Anglii z Francją 20 XI 1759 r., w czasie wojny siedmioletniej; Hawke i Conflans to nazwiska przywódców obu stron.

² William Kidd, 1645–1701, korsarz.

³ Ramillies – statek, który rozbił się u przylądka Bolt.

⁴ Pasquale Paoli (1725–1807), bojownik o niepodległość Korsyki, przywódca powstania przeciw rządowi Genui w 1755 roku.

– Miło dobijać z wami targu, chłopcy, mam nadzieję na ponowne spotkanie – rzecze, kiwając przyjaźnie głową ku Dixonowi.

Gdy wracają do areny walk kogucich, drogę zachodzi im na niepewnych nogach ciekawy Brzuch-Obijacz Bodine.

– I cóż miała ciekawego do powiedzenia?

Coś o oszalałych kapitanach fregat wypływających z Brestu, oto wszystko, co im się teraz w głowach kołocze.

– To samo rzekła mej Mauve i to bez zapłaty. Dobra nasza. Będzie bitka, panowie. A jeśli to Le Chisel, będzie i pogoń. Dawnymi czasy, na starym dobrym *Inconveniencie*, wiele dni i nocy minęło nam na przyglądaniu się, jak jego zgrabna pośledź maleje z minuty na minutę. A gdy już oddalał się od nas należycie, lubił wystawić w swej kabinie latarnię, jakoby rzec pragnął „*tout fini, frapper le sac*¹ pora”. Szyper widział, iż światło zapalono, i mruzczał pod nosem zawsze to samo, „Niech cię piekło pochłonie, Le Chisel, zniknijże równie prędko z mego życia”, a potem popuszczaliśmy żagli, w tył zwrot i tu poczyniała się prawdziwa robota – znów bez satysfakcji, mozolnie tłukliśmy się pod wiatr.

Bodine milknie, by obłapiać krągłości najbliższej stojącej panny, co się ledwie ze snu opiumowego ocknęła. Jak i Hepsie, Mauve nie jest wcale tą, za kogo się podaje. Mężczyzn bez liku zwiodła rolą melancholijnej sierotki, gdy w rzeczy samej to najbardziej radosny z miejscowych pączusiów, co umknął rozmiarom matrony jedynie dzięki wiecznemu zmachaniu, które efektem jest ciągłego z żeglarzami obcowania. W rzeczy samej, Mauve i Hepsie dzielą kwaterę w Portsea, a także garderobę, co nawet tu, na przylądku, bez ich po temu chęci, przywiązuje uwagę gawiedzi pstrokałych materii użyciem.

– Cóż za wspaniała staruszka z owej Hepsie – powiada Mason. – Fortuny zbito, bacząc na jej słowa, a stracono, płazem je puszczając. Mówi, by strzec się czegoś, cóż, wybadała szanse i zyskała pewność... To Lloyd Portsmouth, jej wierzyć trzeba.

Później, bliżej świtu, szczerze czując potrzebę dalszej rozmowy z Hepsie czy Psem, Mason znaleźć obojga nie może, choć wszędzie szuka. Nikt także przyznać się nie chce, iż zna ową parę, a co dopiero jej miejsce mieszkania. Szukał będzie dalej, nawet brzeg wzrokiem omotując, gdy *Seahorse* wyrusza wreszcie w drogę, w piątek, dnia dziewiątego stycznia roku 1761.

4

Czy przyszło Wielebnemu w sukurs staranie, by, posłuchawszy rady Epikteta, dnia każdego czekać śmierci, straty i wygnania, biorąc je za kondycje duchowej umowy ze światem, jaki nam dano? Gdy okręt francuski zjawił się, pobłyskując – trupy ścieliły się w nieustającym huku i furkocie od dziobu po rufę, uciec nie było dokąd prócz niegościnnego morza, chłopcy noszący ładunki krzyczeli sopranem, pachniało osmalonym drewnem i żelaznym oddechem luf – na cóż się owe codzienne modlitwy w końcu zdały, zachodził w głowę, na co, w chaosie i jatce na pokładzie *Seahorse'a*?

Dzieciom rzuca atoli głośno uwagę.

¹ Fr. „wszystko skończone, związać się [pora]” („uderzać torbę” – dosłowne tłumaczenie idiomu angielskiego).

- Rzecz jasna, jeśli przetrwaliśmy, to dzięki modlitwie.

- Ja bym się modlił – mruczy pod nosem kuzyn Ethelmer, wprawiając nieco Tenabrę w zadziwienie. Odkąd dwa dni temu w drzwiach się zjawił, gdy się nad wypełnianiem podwójnym ściegiem za igłą trudziła, prosto z kolegium w Jersey, nad wyraz był wszak śmiały.

- Miał chwycić za lontownik i biegać po pokładach w tę i z powrotem, nawołując i odpalając w pędzie działa? Kuzynie! – Bliźnięta zerkają na siebie, niby to w poruszeniu.

Ethelmer uśmiecha się i łagodnie grozi palcem Wielebnemu, a mniej pewnie imć LeSparkowi, stryjowi własnemu, jakoby pragnąc rzec: „Otoczają nas osoby pobożne, a ich znanym powszechnie życzeniem jest nie wysłuchiwać tych opowieści, od których to krew żywiej pędzi”.

Tenia wzrok przesuwa w inną stronę, lecz trzyma kuzyna na muszce w kąciku oka, jakoby pragnąc dać mu odpowiedź – „Chłopcze drogi, krew «pędzi» tak cicho, jak musi...”.

Imć LeSpark lata przed wojną zbił swą fortunę, kupcząc bronią z Francuzami, Brytyjczykami, kolonistami i Indianami jednako – nożami, tomahawkami, strzelbami, rusznicami w starym stylu niderlandzkim, bombami drobnymi i ręcznymi. „O wagiomiar się waść nie bój” – chętnych do kupna zapewniał. Jeśli istnieją rachunkowe księgi, w których się wymianę w ofiarach z ludzi mierzy, to, zda się Ethelmerowi, stryj jego po uszy w długach siedzi. Kuzyn słyszał o owych zbrodniach przeszłych gawędy, lecz oskarżyć gospodarza swego wszak nie sposób. „Wiedzą” wszyscy – to jest, traktując stryja Wade’a niczym zbiór opowieści rodzinnych, każdy pamięta. Część przygód zesłała się w jakową sagę, trudną z żywym Stryjem do pogodzenia – stryjem, co mu asygnacje bankowe posyła na wszelakie, niezbadane zachcianki, zbijając zawsze tym bratanka z tropu, stryjem, bywalcem gonitw konnych w Maryland, co w rzeczy samej raz jabłkami karmił samego Selima, a ostatnio nie złości się wcale, gdy i Ethelmer stajnie odwiedza. Gdy zajechał tam późną jesienią, przystrojone wesoło młode niewiasty, powabniejsze, niżli mu się to w głowie mieściło, machały ku niemu i słały uśmiechy. Przebóg, podchodziły nawet, śmiałością miejskim pannicom równe, i poczynały z nim rozmawiać. Choć młody, bystrości było w nim dość, by obaczyć, iż ciągnęły ku niemu wabione gładkością, z którą w parze, jak mniemały zapewne, szła niewinność stracona, czego zmiarkować nie zdołały, dawno, a i nawet przyjemnie.

- Czegóż żąda?!

Mason kiwa głową kwaśno uśmiechnięty.

- Własnym sumptem? Jak zgadujesz, czy nam dość na świece i mydło ostanie?

- Tego nikt nie jest pewien, bowiem kapitan Smith nie stanął sam przed Radą, lecz posłał swego brata, co list im kapitański odczytał.

- Sto funtów... od głowy?

- Sto gwinei¹.

- Hm... zdaje się, iż mniemają, że zjawi się ktoś z lepszą ofertą. Jako że to nie my, któż miałby to być?

- Nic prócz Towarzystwa Królewskiego lub Królewskiej Floty. – Masona doszły słuchy, iż członkowie Rady tłukli się niczym domowe ptactwo w zamieszaniu, nawołując w oburzeniu: „Udział proporcjonalny!”.

- Udział proporcjonalny?

¹ Jedna gwinea równała się jednemu funtowi i pięciu pensom.

– Dając zatem naszemu kapitanowi żegluga wielkiej prawo rozdysponować to, jak rzecz ujął, wedle swego uznania.

– Przednie ziółko z tego kapitana. Bóg mi świadkiem, krok go ledwie od korsarza dzieli.

Głosy zagniewane niosą się echem po wielkiej sieni, srebro o srebro dzwoni – cuku głowy i drobne wypieki wszelakie, w kawie brandy francuska – laski groźnie przecinają powietrze, a w świetle świec podrygują miriady drobinek perucznego pudru.

– Wzbiera tu wnet pewne podejrzenie, niegodne owego kapitana, bez dwu zdań, atoli...

– ...trudno nie zwać wyłudzeniem pospolitym.

– W samej rzeczy ten to rodzaj postawy, której już dawno lord Anson¹ wojnę wydał...

– ...a padają i inne podobne uwagi – melduje Mason. – Zdołali jeno w końcu mianować dwu radców, co służyć lordowi mieli, a ten zwlekał z przekazaniem, iż we Florencji Królewskiej oczekuje się, iż kapitan wojennego okrętu koszta swego żywienia własnym sumptem pokrywa.

– Doprawdy – rzekł pan Mead. – Nie wiedziałem, milordzie... Czy jesteś waszmość pewien... nie tak chciałem, wiesz wszak z pewnością... lecz, czy aby...

– Miał to na myśli – pan White próbował dobrać słowa – iż czas ten cały trzymaliśmy jeno, iż to prędzej flota...

– Niestety, panowie, jedna to z wielu ofiar, której trzeba owej niezwyklej niewoli zwanej dowództwem – odparł lord Anson. – Atoli, w dużej mierze zależeć to będzie od tego, ile kapitan wasz pić zamierza i z jaką liczbą zwierzyńca żyć mu będzie wygodnie. Z trudem da się radę ślizgać po kozim łajnie, czyniąc w tej samej chwili starania, by odpalić w należyтым porządku dziesięć czy dwanaście dział, etc. Aliści nie możemy też pozwolić na to, by nasi kapitanowie przyswajali zwyczaj ulicznych hul-tai, a ów sposób traktowania swych gości, cóż, zdaje się nieco osobliwy. Niech Stevens czy któryś tam pošle Smithowi bilet... napomykając, rzecz jasna, iż wielcem zagniewany.

– O na Boga. – Kapitan Smith stoi na tylnym pokładzie w skąpym, zimowym słońcu, bryza listem trzepocze, a z kierunku Londynu, gdzieś spośród górzących gąszczy obłoków, dobywa się ciągle szemranie, jakoby nieukontentowanie na wysokościach. – Lecz przecie wiedziałem, dobrze mi to było wiadome. Ach, niezrozumiały!

Kierowała nim raczej daleka intrydze wymuszeń kapitańska nadzieja – poryw nieszkolonego w fortelach serca – nadzieja na to, iż ich trójka społem, rzecz jasna, trzymać się winna – dzień za dniem długiej podróży, będą spólnie w jego pokojach pić maderę, śpiewać wesoło, dzielić popisami dowcipu i teoriami o gwiazdach – jakżeby inaczej? Był wszak człkiem z zapędami filozofa, wielce łaknącym poważnej rozmowy i odmienne urzędzenie sprawy nigdy mu nawet do głowy nie przyszło.

– Przyjąłem, nieroztropnie, iż w trójkę kosztami się podzielimy, i miałem zamiar poprosić jeno o waszmości wkład w sumę, jaką miałem nadzieję wydać, z własnych funduszy, w waćpanów imieniu, nie wspominając już o tym, iż kupno towaru dla trzech, u pewnych kupców, dyskonto by mi dało. Ach! O cóż zamieszanie? Najprzedniejsze miałem intencje, panowie, i nie życzyłem sobie obrażać lorda, co przecie świat opłynął i bohaterem był mych lat szczenięcych...

– Prosimy o wybaczenie – rzecze grzecznie Dixon. – Zbyt wiele szumu.

Mason podnosi głowę i rzuca spojrzenie zadziwione.

¹ Admirał George Anson (1696–1762), ówczesny dowódca naczelny floty.

– Cóż za niezwykle dobre maniery, zważywszy, iż twe krzyki słycać było i za wyspą Wight. Nie pytano mię wcześniej o zdanie, czy mam teraz dołączyć do waszmościów?

Dixon i Smith, niczym w znowie, uśmiechają się słodko od ucha do ucha, póki Mason więcej ścierpieć nie jest w stanie.

– Dobra nasza, choć ktoś winien był pouczyć pana, kapitanie, iż ogół ludzi nauki trapi *anaemia pecuniarum*. Nie doszłoby wówczas do nieporozumienia.

– Miło to z strony waćpana, Masonie. – Dixon woła serdecznie.

– W rzeczy samej – kapitan dodaje.

Staje wreszcie na tym, iż trafiają do mesy porucznika, której rachunki idą do ksiąg statku, zatem dba o nie Flota, a stołować się będą z kapitanem na zmianę z pozostałymi wyższymi rangą oficerami. Tak oto ukrócono by marzenia Smitha o rejsie spokojnym i długim, wypełnionym filozoficznymi dysputami, nawet gdyby *l'Grand* ani wychynął zza horyzontu.

Dnia ósmego grudnia kapitan otrzymuje depezę z admiralicji, w której stoi, by nie wypływał.

– Co więcej – powiada jeometrom – Benkulen¹ jest w rękach Francuzów. Nie widzę, by wspominali coś o planach podobnego rejsu w najbliższym czasie. Przykro mi.

– Wiedziałem. – Dixon, odchodząc, kręci głową.

– Atoli możemy zdążyć na czas do Przylądka Dobrej Nadziei – rzecze Smith.

– A taki zapewne będzie cel naszej podróży, jeśli i kiedy wydadzą rozkazy.

– Nikt inny nie wyrusza w tym kierunku dokonać obserwacji – powiada Mason.

– Dziwne, nieprawdaż? Człek skłonny wyrokować, iż będzie tam i drużyna badaczy z innego kraju.

Kapitan Smith patrzy w bok, jakoby zmieszany, i najłagodniej, jak potrafi, poddaje:

– Może i jest?

Suną na południe kanałem La Manche.

– A tam to ogon Bolta – powiada im marynarz – gdzie *Ramillies* poszło na dno ledwie w lutym przeszłego roku, tracąc siedemset dusz. Wiało z południowego zachodu, nawigator nie widział dobrze, zgadywał jeno, który to przylądek, omylił Bolta z Rame Head i stracił wszystko.

– Liga za ligą² najniebezpieczniejsze to wody świata – inny utyskuje. – Prądy i piaski, łąchy i przejścia wąskie, nie masz pokoju aż po Start Point, gdzie się w morze wychodzi.

– Czy ten młokos wyprowadzi nas cało?

– Ach, młody Smith pływa od zawsze. Marynarz to z węglowców. Jeśli dycha jeszcze, musiał być cosik podłapać.

Wreszcie Start Point, koguci grzebień czubków wzgórz po sterburcie, i statek przechyla ciągnący od morza wiatr. Popołudniowe słońko na wysokościach, bardziej iskrząco złote i błękitne, niżli to widział był jakikolwiek szczur lądowy, chłód nadchodzącej nocy niesie z sobą obietnicę gwałtownej zmiany, może rankiem pogoda będzie w rzeczy samej rześka...

– Sumatra – śpiewają marynarze z *Seahorse'a* –

¹ Bencoolen, Bengkulu, Benkulan – port na Sumatrze.

² Jednostka miary zazwyczaj równa ok. pięciu kilometrom.

Gdzie każda panna jest jak Kleopatra,
A gdy cię znuży, to sfrymarczysz ją
Za powabniejszą razy dwa
Tralala...

Od pierwszego dnia przejścia komendy nad *Seahorse'em* kapitan Smith żyje w schludnym kąciku piekła wcześniej mu nieznanym. Opuściwszy smaganą deszczem przystań, wypłynąwszy w mokrą gęstwinę falujących masztów i drzewców przy Spithead, wśród ścieków, smoły i oddechu wiatru, szukał on, w coraz to większej rozpacz, jakowegoś dodającego otuchy pierwszego znaku swego nowego dowództwa, aż poczuł w końcu, iż przyjąć musi tę obcą mu, obmierźłą łajbę szóstego rzędu, co rzucała się w swych żelaznych linach kotwicznych niczym dzika bestia w pętach. Atoli, atoli... jakże oziębła zdaje się w kryształkach bryzy, okolona ciągłym i, jeśli wierzyć w cuda, cudownym światłem, ognikami świętego Elma... a ona zna ją. Musi być ze snów, jakżeby inaczej? Światło, w którym niknie ból cały i kłeska, wszelkie lęki...

Na tylnym pokładzie młokos go był powitał o hultajskim i niechlujnym obliczu, rekrut z ostatniej łapanki¹ w Wapping, wołając:

– A niech mię! Patrzajcie, chłopaki! Oficjer, co dość oleju w głowie posiada, by, gdy słota, schronienia szukać!

Starając się, by nie odwarknąć, Smith odrzekł na to:

– Jak się zwiesz, marynarzu?

– Niektórzy zwą mię Blinky. A tyś kto?

– Nadstaw uszu, Blinky. Jam jest kapitan okrętu.

– Cóż – młody wilk morski poradził – wysoko, wasan, zaszedłeś, tylko się nie sturlaj.

Przednia rada. Kapitan nawiedza swą małą fregatę niczym ledwie wyczuwalna zjawa, a to w ciszy po swej stronie tylnego pokładu, a to garbiąc się z oddaniem późną porą nad lunarnymi tabelami.

– Pragnie, by brano go za człowieka nauki – wyrokuje Wielebny Cherrycoke, spotkawszy astronomów po raz pierwszy. – Może nawet stara się o dobrą u was ocenę. Wspomnicie o nim w sprawozdaniu dla Towarzystwa Królewskiego, czy co tam robicie?

Wyznaczywszy dla siebie miejsce wśród filozoficznych i odkrywczych przedstawicieli swej profesji, odrzucając żądną krwi większość, choć walczyłyby z honorem, Smith nie trzyma, iż wojna najprzedniejszą dlań zabawą.

Sam *Seahorse* cieszy się reputacją mocnego, sprawdziwszy się w Quebecu. Gdy prawdziwy atak szedł od innej flanki, nieustraszony był pod francuskim ostrzałem z Beauport² jako część dywersji ze statków wiozących żołnierzy, co przepłynęła pod miastem w górę rzeki. Od tej pory chwala mu zapewniona. Spełnił swą powinność, przyczyniając się do cudu w owym roku cudów, 1759, co to w jego idy marcowe doktor Johnson³ napomknął – „Nie może być marynarzem człowiek, który ma dość pomysłu, by nie zamknąć się samemu w więzieniu; albowiem życie na statku więziennemu równe, a i z szansą utopienia”.

Niektórzy wołaliby *Seahorse'a* fregatą, choć podle rozpisek admiralicji brak mu kilku dział do owego miana, przeto inni zwą go „Osłem” – marynarski to wyraz⁴. Ni

¹ Do angielskiego wojska werbowali brutalnie tzw. press gangs.

² Miasto w Quebecu nad Rzeką Świętego Wawrzyńca.

³ Samuel Johnson (1709–1784), leksykograf, pisarz i intelektualista angielski.

⁴ Dokładniej „oślą fregatą”.

nazwiska, ni skromne pociski nie odwodzą postronnych patrzaczy od widzenia go większym. Kapitan Smith pojął już dawno, iż choć konik morski¹ mógł się zrodzić z duchem arabskiego ogiera, czasem bywa i osłem, a zatem stworem znanym tak z uporu w sporze, jak i z fortelu okręcania się i tylnych nóg używania za oręż.

– Z tych miar, życzyłbym sobie najprzedniejszej załogi przy dziale rufy. Niech nasz osioł ugodzi ich śmiertelnie kopytem.

Kiedy na horyzoncie *l'Grand* się pojawia, kapitan jest więcej niżli kapkę zdumiony. Czemuż się monsieur kłopotce? Wie, iż odpowiedzią są „interesa fregackie”², włączone do powinności komendy. W zamian za swobodę na morzu trzeba było przestrzegać etykiety równie surowej, co owa starożytnych rycerzy. Dewiza *Seahorse'a*, z sercem przez pewną szwaczkę z *Southsea* wyszyta i przybita nad kapitańską koją, głosiła *Eques Sit Æquus*.

– Pierwej *Eques*. – Młody, pomocny Wielebny Wicks Cherrycoke podpowiada. – Znaczy to „jeździec uzbrojony”.

– Przemierzający ziemię – poddaje Dixon. – Niczym żeglarz z fregaty morza.

– Później już, w starym Rzymie, przybrało znaczenie jakoby rycerza, szlachcica, gdzieś tak między pospólstwem a senatem. *Sit* to „niechaj będzie”, a *æquus* znaczy „prawy”, a być może też „roważny”. Zatem, trzymać możemy, iż dewiza owego statku brzmi – „Niechaj rycerz mórz, co morskiego ogiera ujeżdża, zawsze prawe sądy wydaje”.

– Starając się nie zakipić gniewem nawet przy najsrożej bezrozumnych podwładnych? – Kapitan mruczy w kierunku porucznika Unchleigha, który bojaźliwie daje mu znaki, by do swej osoby przywiązać uwagę.

– Ehm, żagiel jakoby, na południe południowy zachód, choć spieramy się w tej kwestii. Inni trzymają, iż to chmura...

– Przekleństwo, Unchleigh – rzecze Smith basem, sięgając po lunetę. – I ogień piekielny. Jeśli to Francuz, już nas obaczył i pędzi pełną mocą żagli.

– Wiedziałem – szepcze porucznik.

– Naści. Nie upuść. Wdrapuj się na maszt i powiedz mi ściśle, co to i gdzie. Bierz z sobą Bodine'a z czasomierzem i busolą. A jeśli to żagiel, postaraj się waćpan o garść zręcznych namierzeń igłą, do dzieła, chłopcze. Dajcie pozór, panowie, naszej wielce naukowej postawie. Atoli – tu zwraca się ku grupce marynarzy pokład szorujących – niektórzy przy starożytnych gusłach obstają. A, jesteś, Bongo! Tak! Kapitan chce nasz znakomity Bongo węszyć wiatr!

Laskar³ – do którego się zwraca – wołając: – Ta' jes' ka'tanie! – skacze ku burcie od nawietrznej, w górę barierek, chwytając naręczem want, wyciąga się jak najdalej w środek podmuchów, chustka mu na głowie łopocze, i bezzwłocznie zwraca ku nim głowę z dziką wesołością w oku:

– France!

– Ostro na lewą burtę! – krzyczy kapitan, jako że z głównego masztu donoszą, iż żagiel to jak się patrzy, na razie przynajmniej samotny, wszelako sunie chyżo, pragnąc stanąć *Seahorse'owi* na drodze. – Panowie, byłbym wdzięczny, gdybyście znaleźli dla siebie pożyteczne zajęcie na dole.

Poczyna bić bęben. Zmężnieli, angielscy chłopcy, nigdy z dała od morza, karmieni opowieściami o bitwach, piratach i insułach u wybrzeży rajy, wiedzą, z czym „na dole” przyjdzie się im spotkać.

¹ Ang. *seahorse*.

² Tzw. wojna krążownicza – swoboda w działaniach wojennych małych okrętów.

³ Marynarz pochodzący z Indii lub Azji Południowo-Wschodniej.

Nasamprzód zdaje się, iż statek zabawką jeno, jak i jego przeznaczenie... tłoczą się coraz nowe bramzagle i sztaksle, lecz wieje uparcie od południa południowego zachodu, przeto *Seahorse* może nie więcej jak tłuc się pod wiatr przez wody zdradliwe prądami, gdy *l'Grand* ledwie co wyszedł z wiatrem z Brestu.

– Bez trudu zrównać się z nami zdołali, podejść po zawietrznej, od której to wołą atakować Francuzi, i poczęstować nas salwą z pełnej burty, na co im *Seahorse* odpłacał pięknym za nadobne, i tak godzinę i pół wśród huku, trzasku i masztów padających!

– Krew płynęła szpigatami! – woła Pitt.

– Czy huśtałeś się na linie z nożem w zębach? – pyta Pliniusz.

– Ma się rozumieć. A pistolet zatknąłem za cholewę.

– Ależ wujaszku! – Tenia nie pochwała.

Wielebny uśmiecha się jeno od ucha do ucha. Jedna z przyczyn, dla których rodzaj człowieczy tak długo młodość zachowuje, zważywszy inne stworzenia, to ta, iż młódź nasza do wielu rzeczy się nadaje, w tym – dzięki uczuciu, jakim wszelakie diabelskie bestie i rzezie darzy – kłam codziennie zadaje śmiertelności tak hałaśliwie, iż starszym pozwala to, choć na chwilę, wyrwać się ze szponów owego tematu.

– Niestety, chłopcy, byłem ja głęboko pod pokładem zajęty chirurgią, na miejscu ucząc się, czego trzeba było. Pod koniec potyczki między mną a paniką czarną ostała się jeno ma wiara. Później, cokolwiek by się stało na naszym skrawku owego świeckiego oceanu, czerpałem z tego lekcje bardziej abstrakcyjne.

Oglądając bezradnie, jak rośnie sylweta *l'Granda*, doszło mnie, iż z każdym sekundy ułamkiem śmierć na coraz to nowe sposoby wyczuć się daje... Wkrótce byliśmy dość blisko, by naszych uszu dobiegło skrzywienie i dzwonienie wyciągów dział i dudnienie lawet po pokładzie, potem dostrzegliśmy krańce stempli znikające z furt strzelniczych, gdy na miejsce wciśnięto ładunki i przybitki, a po chwili słychać już było piskliwe, cudzoziemskie szwargotanie...

Co rusz salwy burtowe, przerywane zwrotem, by sprezentować działa drugiego boku, krótkie chwile spoczynku w uszach dzwoniące, wypełnione tępyimi odgłosami ponownego ładowania, jęki rannych i konających, mdłości, odjęcie mowy, pot ciurkiem i znów z pełnej burty. Z każdą przerwą w ostrzale zjawiała się na minutę nadzieja, iż wymknęliśmy się i już po wszystkim... aż znów słychać było dział podciąganie i czuć w ciemnościach, iż pokład stara się wywinąć kozła pchnięty impetem, dygocząc na sposób już przez nas wyczekiwany, a gdy nie doszła nas kolejna salwa, staliśmy, lękając się zacerpnąć powietrza, dalszej minuty niepewni.

Tymczasem ja i astronomowie cierpieliśmy społem kiszkowe katusze, by nie stać się pierwszym, co na oczach innych miał swe spodnie zbrukać. Drzewce waliły się z łoskotem, a po statku niósł się huk dział dotkliwy niczym grad okrutnych pięści w uszy nasze celowanych, co karaluchy z powały wybijał, osobista groźba wystrzałów bardziej przerażająca niżli ich ogrom. Statek jęczał chrapliwie, ogromny stwór morski bólem targany, wołaniem swym głosowi człowieczemu podobny w wielkiej biedzie.

Choć Dixon zmierza ku Sumatrze, mając za kompana członka Kościoła anglikańskiego – to jest Przodka Kłopotów – nieznanomego, z którym w dodatku ledwie godzin temu kilka, wstyd przyznać, zabawiał się w rzeczy samej jak marynarz, atoli błądząc w zbytniej serdeczności, przedsięwzięcie iść za radą Foxa¹ i znaleźć w Maso-

¹ George Fox (1624–1691), założyciel grupy wyznaniowej kwakrów.

nie „cząstkę Boga”, co nie zabiera mu wiele czasu wśród bitwy, gdy obaj na równi stają w obliczu rychłej śmierci.

Rozpad, zgiełk i obawa. Pod pokładem, z nerwami w strzępach, wydani na pastwę niewidzialnych, lecz wielkiej gwałtowności mocy, co starły się w nierzeczywistej krainie, do której mieli nieszczęście zbłądzić, czekają astronomowie, życząc sobie, by ich tu nie było, a zarazem, by coś tu działo. Do lazaretu poczynają napływać ranni – drzazgą dębową, łańcuchem, kartaczem, a gdy krew niczym zmierzch zalewa z wolna wszelkie sprzęty, rośnie i łatwość ulegania panicznemu lękowi. Trza wysiłku, by działać stoicko, a nawet by znaleźć dla siebie zatrudnienie. Chwila ponownego skupienia starcza jednak choć na naukę, jak nie pchać się innym pod nogi, a wkrótce jak i odjąć pracy felczerowi czy za gońca służyć.

Po ostatnim wystrzale dębowe belki trzęsą się w pogoni, a lazaret pod powałę wyładowany zakrwawionymi ludźmi. Jest wśród nich i kapitan Smith z wielkim odłamkiem w nodze i rozżaleniem partykularnie dającym się we znaki.

– Pewnikiem stracił trzydziestu z załogi. Czy wy dwaj aż tacy ważni?

Wyżej, na pokładzie, parują trupy, wszędzie ruina. Resztki nadpalonych żagli i lin furkoczą w wietrze, co Francuza unosi.

Do jakiej rozmowy dojść mogło między naszym kapitanem a *commandant*? Nosił Order Świętego Ducha, białą gołębicę lunetą widać było – St.-Foux, niemal z pewnością, lecz komenderujący innym okrętem. Co tu się szykowało? Czy Francuz w rzeczy samej dał znaki „Francja z naukami nie wojuje”? Słowa jakże wielkoduszne, atoli...

– Jak Bóg mi miły – prychnął zniecierpliwiony St.-Foux. Zdało się, iż strzelił rękawiczkami. – Thylko tu czas marhnuję. Toż to jeno płotka, whyrzucam taką z sieci i wolność darhuję. Może wyrhońiesz na większą rhybę do następnego spotkania. Thymczasem, odpływam. Phi, też mi coś! *Adieu!*

– Niemniej – odparł Smith – muszę w pogoń się rzucić.

Jeden z Francuzów ramionami ściska.

– Musisz, waćpan i, rzecz jasna, wolno ci.

Lecz *Seahorse* zbytnio jest poszkodowany. Patrzą, jak ginie w mroku foremna elipsa rufy *l'Granda*. W końcu, dobrze przed wachtą nocną, kapitan daje rozkaz kończyć pogoń i znów zawróciwszy, z wiatrem, jaki był, i ostatkami żagli wracają do doków Plymouth.

Niektórzy powiadali wówczas, iż widzieli inny żagiel i że Francuz, przyjmując go za brytyjski okręt wojenny, przerwał był w rzeczy samej i pospieszył w te pędy do Brestu, na ile mu jego stan zezwalał. Część załogi trzymała, iż żagiel obaczyli, większość, że nie. (– Być to mógł nasz Anioł Stróż – powiada Wielebny. – Miał skrzydeł, bramżagle).

Rok wcześniej morale załogi *l'Granda*, co nigdy zbyt wysokie nie było, sięgnął cios niemal śmiertelny, gdy nadeszły wieści o klęsce floty Brestu w zatoce Quiberon. Z tych miar, roztrząsując rozkład sił starcia Francuza z *Seahorse'em*, niewidzialni gracze, którzy obstawiają co dzień ruchy władzy i handlu, załoga równie melancholijna nie daje pewności zwycięstwa w morskiej potyczce. Niemniej, ów statek francuski, gdy porównać go do rozumnego stworzenia, nadal usposobieniem podobny był mierzemu w rozmiarach acz skoremu do bitki żeglarzowi, co to zaszedł do winiarni – zawsze upatrując *qui vive*¹ jakowegoś ochłapu, zawsze daleki wymarzonej chwały, zawsze *téton dernier*² eskadry, zawsze wreszcie wyznaczany do zadań najbardziej beznadziejnych, od pełnienia za Ekwatorem straży wzdłuż parnych wybrzeży, gdzie por-

¹ Fr. „kto żyw”.

² Fr. „tylne wymię”, idiom.

ty zamknięte a świt czerwony, po starania ratunku w cieniu górujących bałwanów zimowych, atlantyckich sztormów. Na wieki bez szacunku i dobrego słowa, mordując się bez końca, prac teraz samotnie wśród nocy ku przystani Brestu po nowe drzewce, liny i dusze.

Ooo,

La

Fran...

-Ce-e! [przy „e” z drobnym, eleganckim mordentem]

Ne

Fait-pas-la-Guerre,

Contra les Sci-

-en-

ce!

– śpiewali nieznużenie, póki statek nie dobił do portu, a potem, pracując w grupach na nadbrzeżu, w gorzkich kadencjach żeglarzy dręczonych przez ból zgoła nie cielesny, upokorzeni, wiedząc, jak było, lecz nie mogąc urwać nucenia skoczego refrenu, którego słowa wnet dołączyły do zbioru Humorystycznych Cytatów Morskich, gdzie trafią pewnego dnia także „Nie począłem jeszcze walczyć”¹ oraz „Coś jest dziś nie tak z tymi cholernymi łajbami, Chatfield”².

Na długo po zapadnięciu zmroku Mason i Dixon, zwolnieni odgórnym nakazem ze swych medycznych powinności, lecz nieskorzy do rozstania, niepewnym krokiem wychodzą na pokład. Zmordowani, podśmiewający się z niczego – lub wszystkiego – żywi, choć łącznie mogliby leżeć martwi. Mimo słonego pędu wiatru i tu, i na dole wymknąć się nie sposób, złapały ich w swe zwoje poszarpane żagle, odór przeszłej bitwy – wnętrzości drzew i ludzi... Wzajemnie podpierać się muszą, nim jeden nie znajdzie oparcia.

– I cóż to ma być zatem? – dopytuje się Mason.

– Prędszej Marsa przejście.

– I to my jego tarczę przeszliśmy.

– Gdybym nie miał w sobie tyle przyrodzonej wesołości, nie wiem, mniemałbym chyba...

– I mnie to przyszło na myśl.

– Wiedzieli, iż Francuzi mieli Benkulen. Cóż jeszcze było im wiadome? To właśnie pragnąłbym wiedzieć.

– Czy przywłaszczyłeś sobie tę flaszkę z powodów, których życzyłbym sobie nie poznać, czy też... ach, pięknie dziękuję. – Butelka krąży, a gdy w niej dno widać, ci skają nią w morze i nową otwierają.

¹ Dowódca okrętu amerykańskiego John Paul Jones do żądających jego kapitulacji Anglików w 1777 roku (co cytuje także Walt Whitman w „Pieśni o sobie samym”).

² Komandor David Beatty do Erniego Chatfielda w czasie bitwy jutlandzkiej w 1916 roku.

Jeśli kiedykolwiek zerwania swej spółki byli bliscy, to właśnie wtedy.

– Wszystko było tak dalekie pospolitemu biegowi życia – Mason trzyma – iż niepodobna, by było niezamysłone. Taka widać, choć niepojęta, Jego wola. Niezbadane Jego wyroki.

– Ehm... to jest, nie wiem, którego masz na myśli.

Mason marszczy wnet czoło.

– Któż inny mógłby... och. A tak, pojmuję. Hm... i wielu wierzy w to w twych stro-
nach?

– To to całe wysiadywanie w sztolniach, jak mniemam.

Ni Mason, ni Dixon nie zawiedli się wzajemnie w potrzebie. Wzrok ich stykał się na chwilę, nim na powrót przywoływała powinność, a opary ran konających żeglarzy przeganiały precz to, czego pojąć obu nie było trzeba.

Wiedzą, iż właśnie teraz trzymać się spolem winni, choć jak tego dokonać – nie zawsze. Przybiwszy do doków Plymouth, składając list do Towarzystwa Królewskiego, w owej ciemnej godzinie każdy drugiego zamysły odrzuca. Świece drżą gwałtownością ich mowy. Obaj srodze są zmordowani i ani im w głowie było wcześniej siły zbierać na odporcie ataków kompana. Po tym, co przeszli spolem, i tak czczy to trud, przynajmniej to już za sobą mają, bowiem każdy dowiedział się, ile męstwa a ile bojaźni z drugiego w chwili próby wychodzi.

– Dajmy na to, jeśli zdołasz skroić każdemu z nas po regimencie, fregata bowiem nieporęczna, zważywszy nasz kunszt żeglarski, nie wspominając o bojowym – radzi będziemy ruszać na wojnę przeciwko jakiemukolwiek krajowi czy ludowi, gdziekolwiek na Ziemi, gdzie nas tylko Jego Wysokość raczy posłać.

– Opamiętaj się, Dixonie. A jeśli zgodę dadzą? Życzyłbyś sobie regimentem do-
wodzić?

– Cóż... rzecz można, iż przy tej stacji mego życia nie cofam się przed niczym.

– Jesteś wszak kwakrem, winieneś nie wierzyć w wojnę.

– W rzeczy samej, żaden już ze mnie kwakier, gdyż wydalono mię ze zgromadzenia w Raby z końcem października, tuż przed wyjazdem do Londynu, zatem, jak wnoszę, mogą zabijać, kogo mi przyjdzie ochota.

Mason udaje zainteresowanie, słyszał już bowiem o tym na swej odprawie w To-
warzystwie.

– A jak wyrokujesz, czy życiu rodzinnemu to nie zaszkodzi?

– Wszytcy my, te same rodziny kwakerskie, Dixonów, Hunterów, Rayltonów, od wieków jesteśmy w Durham raz za razem wydalani, za co tylko podobna – picie, ślub przez księdza dany, pracę dla Towarzystwa Królewskiego – co tam komu nie w smak. Dla wielu chrześcijan ciężki to cios, gdyż dane im było obracać się jedynie wśród własnej kongregacji. Kwakrowie wychodzą do ludzi, myślą przewodnią jest u nas bo-
wiem natrafić w każdym na cząstkę Boga. Wyznanie mniej tu ważne, to jest, chcia-
łem rzec, stykałem się już z anglikanami.

– Dziwowałem się, iż mi się dużo nie przyglądasz.

– Cóż, widziałem nawet biskupa Durham. Jedna to z ważniejszych figur wa-
szego Kościoła, nieprawdaż? Książę swych ziem. Nie, anglikanie nie czynią mi
szkody.

– Pięknie dziękuję. Z chęcią powitam przynajmniej jedną więcej snu godzinę
każdej nocy, dotychczas na roztrząsaniach owej kwestii spędzaną. Zapewniam, iż i ja
spotkałem kilku kwakrów na mej drodze, imć Bird się tu choćby sam nasuwa, i za-

wsze znajdowałem twych współbraci równie grzecznych w prywatnej rozmowie, co śmiałych w publicznej postawie.

– Zaiste, tak też i ludzie powiadają.

Przesiadują tak, kończąc swój przydział trunków, co ulgi im nie przynosi, i pojąć usiłując, co, na Boga, miało miejsce na kanale. Obaj ładu dojść nie mogą. Czasem przez pół godziny toczyć się będzie poważna rozmowa o wielce niepoważnej kwestii, po czym jeden zgorszy się i ucichnie lub pójdzie gdzie usnąć spróbować. Wpadają na siebie wciąż w korytarzach, widma w nocnym stroju.

– A jeśli powiemy tak – rzecze Mason, który, zda się, iż rozmyślał już o tym – „W obliczu jawnego zamiaru powszechnie znanego gentlemana, by krzywdę wyrządzić mej osobie...”.

– Naszym osobom.

– Jak wolisz. „...przez narażenie okrętu z niepełną załogą na pewne straty, nasuwa się pytanie, czy nie powiadomiono admiralicji francuskiej, wysługując się ojcem Boskowiczem¹ lub innym zdatnym posłańcem, o przypuszczalnym kursie *Seahorse'a*, celu rejsu i przyczynie?”.

– Ej, Masonie, hola, hola. I tak by na nas ruszyli. Dlaczegoż mieliby dać wiarę jakiegokolwiek bajce Anglików, nawet gdyby posłańcem był sam król Ludwik?

– Na łajbę szóstego rzędu?! Jakież uczyniłaby szkody? Czymże Francji zagrażała?

– Zwiąż to, w ichnim szwargocie, *une affaire des frégates* – „interesami fregacjami”.

– A kto w nich za sznurki pociąga, lękam się, że mniej wiadome.

– Naści, może jeszcze kapkę Złotego Wirgińczyka? Ukoj nasze nerwy.

Milcząc przyjaźnie, niczym starzy drухowie, czemu obaj ze zdziwieniem po raz pierwszy pozór dają, fajki szykują i, znalazłszy rozgrzany kominek tudzież półmisek w kredensie, zapalają.

Ściśnięte niczym w półkulach magdeburgskich² kryje się Niewypowiedziane – zgęszczenie śmierci i lęku sprzed dwu popołudni ledwie, wynikłe bez jednego słowa, w grubej wżgardzie wobec każdego języka prócz tego danego wiatrom, ciżbie, jękom i krwi. Nieprzeniknione, kwestie wywołuje, których niezręczność rośnie jeno, gdy astronomowie pojmują, iż mogą nigdy nie znaleźć na nie odpowiedzi.

– Czy kapitan dał im znać? Czy znaki odczytali, a mimo to ruszyli?

– Lub dlatego właśnie...

Zdaje się, iż nie to miało być im w życiu dane.

– Czyżby omyłka w szkicu dnia? Czy dostała się nam porcja obcych dziejów, odprysk wiekopomnej chwili – może niedawnej potyczki w zatoce Quiberon – których drobiny trafiają na wspólne ścieżki losów mniej dramatycznych? I oto stoimy z perukami na bakier.

– Może – dokłada od siebie Dixon – płynąć do Benkulen wcale nie było nam piśnane? Komuś trzeba było pary męczenników i z życiem uszliśmy wbrew jego zamysłom?

– Straszne to słowa.

– „Straszne”. Cóż, co do „straszne”...

I to, czego rzec im nie sposób – niektórym jeszcze nie, innym na wieki – ponownie władzę przejmuje martwą w pokojach woskiem pojaśniałych.

¹ Rudier Josip Bošković (1711–1787), chorwacki matematyk, astronom i filozof.

² Eksperyment Ottona von Guericke z 1654 roku.

Na list ich prędko respons Towarzystwa wraca, a pełen grózb i nagany. Lata mi-
ną, Mason i Dixon śnić już tak często o bitwie z Francuzem nie będą, lecz do owego
listu wracać owszem, bez końca, zapomnieć nie mogą.

– Do kroćset! Nie stać ich nawet było, by odpowiedź dała jedna osoba. To prędzej
ostatni protokół jakowejś bezimiennej rady. Na wołanie mego serca, prośbę o ska-
zówki, przez czeladnika do mistrza pisaną, w której zwierzałem się otwarcie z obaw,
ufając, iż dochować sekretu potrafi, po czterech latach bycia asystentem, a dłużej
jeszcze protegowanym, miast porady bądź słów otuchy, Bradley¹ zdradza me uczucia
bandzie za inicjałami kryjących się łajdaków, oddając w ich ręce zadanie takiego
nas zastraszenia, abyśmy wrócili na pokład owej przeklętej łajby.

– Atoli inni – rzecze Dixon ostrożnie – mogą posłyszeć tu pewien głos daleki,
w rzeczy samej gotujący się gniewem jednej osoby.

Mason ramionami rusza.

– Któż zatem? Podpis tu widzę Mortona²... – Brwi wzniosł odrobinę za wysoko, by
odczytywać to inaczej niżli prośbę o kres owych roztrząsań.

– Zwykłem puszczać podobne przypadki płazem, ot, taki los – Dixon powiada
– lecz, jako że i mnie tchórzostwo zarzucono, jeśli miałyby to być sprawa między to-
bą, przyjacielem, a doktorem Bradleyem, cóż, życzyłbym sobie więcej usłyszeć o tym.

– Wnioskujesz, iż ów głos do Bradleya należy? Trzymam, iż nie, gdyż znam go do-
brze. Bradley tak pisać nie potrafi, fatygą mu nawet ordynaryjne bilety. „...gdy tyl-
ko spośród położenie ich teraz oznaczających ewentualności pewność się wyłoni”.
Niepodobna.

– Głębokie. „Pewność się wyłoni”?

– Jakoby... nie był nam dany los jeden – głowi się Mason – lecz prędzej wybór
z wielu sposobności, których to liczba z każdym wyborem dokonany miarowo ma-
leje, gdy je mijamy na szlaku nieodkupionego czasu, aż wreszcie „wyłania się” to, co
nam się trafia. W rzeczy samej, podobne to soczewce, co, zdolna gromadzić światło
z ogromnych rozmiarów niebieskiego pola, w snop jeden je ścisła. Taka logika przy-
wodzi na myśl optyczną osobę, może twego pana Birda.

– I zyskasz tym pokój duszy, czyż nie, przyjacielem, jeśli to dla odmiany mnie mój
mentor przygania?

I tak obaj daremnie snów w nerwach szukają, a wkoło nich Plymouth jasno roz-
świetlone wiruje wesoło, noc przecinając.

– Piorun w jedno miejsce nie bije dwa razy.

– Zgadza się, raz trafia. Tam ostatnio na niego padło, teraz na ciebie pora.

– Hola, hola. Jesteś pewien, przyjacielem?

6

– Owo przechwycenie na morzu – uważa Wielebny – wyraźną było dla astrono-
mów z zaświatów przestrożą. Choć obaj ludźmi nauki się zwali, przyznali teraz
pierwszeństwo prawidłom starszym i ziemskim bardziej, obstając przy porzuceniu
obserwacji przejścia w Benkulen na rzecz innego, zdatnego jeszcze odległością po-

¹ James Bradley (1693–1762), astronom królewski od 1742 roku.

² James Douglas, książę Morton (1702–1768), członek Towarzystwa Królewskiego, dwa lata póź-
niej został jego przewodniczącym.

sterunku. Zaproponowali Skanderun¹, lecz odpowiedź Towarzystwo Królewskie dało na to nieznoszącą sprzeciwu, gromiąc za utratę honoru, pozwem grożąc, gdyby Mason i Dixon umowę zerwali, *force majeure*² czy nie, nawet gdy wspomniano raz kolejny, iż Benkulen i tak w rękach francuskich. Że astronomowie rację mieli, a Towarzystwo Królewskie nie, drobnostka – rozkazów słuchać trzeba im było.

– Lecz dlaczegóż to? – śmieje się Tenia rozdrażniona, igłą swą i nicią wymachując. – Dlaczegóż tym w Londynie ugiąć się było nie sposób? Dość było posłać *Seahorse'a* gdzie indziej.

– Tak też uczynili, gdy astronomowie znów wyszli w morze.

– Dobrze splótszy główny bras³, mam nadzieję. Dobry wieczór wszystkim.

To stryj Lomax, wkradający się po dniu w swej fabryce mydła, pachnący jej wytworem, zezwalający konduicie pijaczka górować nad nieśmiałością człeka o profesji nielubianej, bowiem „mydło filadelfijskie”, jak prowincje amerykańskie długie i szerokie, nędznego gatunku jest synonimem. Kropla wody starcza, ba, powietrze wilgotne, by kształt obrzydliwego śluzu przybrało, którego ani rusz chwycić się nie da, ni stanowczo, ni delikatnie, a który nieraz rzeczy bardziej utyłane niżli przed użyciem ostawia, co, po prawdzie, antymydło z niego czyni. Stryj kieruje się lokso-dromicznie⁴ ku gablocie, gdzie dla gości o konkretnych upodobaniach trzyma się trunki mocniejsze, i udaje, iż swój wybór rozważa.

Zatem znów wypływamy (ciągnie Wielebny), tym razem w parze z inną, dzielniejszą fregatą – zamysł to taki, drogie dzieci, by zawsze dosiadać na powrót konia, który cię wcześniej omal nie zabił. Osobliwie konia morskiego. Kwaterę przydzielono mi z porucznikiem Unchleighem, co głąb ma za głowę.

– A niech to, proszę waszmości, książka? Zamknijże ją waść czym prędzej.

– To Biblia Święta.

– Mniejsza o to, to druk. Druk buntury wznieca. Bunt na statku, na morzu, tak być nie może. Kawy także, gdyż gdzie gazet szukać? W owych przeklętych kafenhausach wigów⁵! Napitek ten poruszenie budzi i chęci nieskromne.

Czuję coś na kształt gastrycznej rozpaczki. Jakież rozrywki dla siebie na brzegu znajdzie? Nic przy kawie, jak mniemam, choć szlak nasz do Indii zwą kofeiny marzeniem. Czegóż jeszcze nie ścierpi? Koją ma więzieniem, mnożą się nieprzystojne żeglarzom zachowania, sam statek statkiem śmierci. Jakież każda z tych rzeczy ma pomóc mi wrócić do „ordynaryjnego świata”? Odpowiedzią, której nie widzę jeszcze, bom zbyt młody, jest to, iż tak się właśnie przedstawia „świata ordynaryjnego” konstytucja. Naówczas, atoli, lament mej duszy dałby się przedstawić w tych słowach –

*Gdzie dziś wieczór owe niecne wdówki młode,
Co pływają do Indii z handlową flotą
I przy kapitanie czy załodze na dole
Swe powaby prezentują z ochotą.*

*Ach, życzyłbym sobie być gdzie bądź,
Byle nie tu, nie tu.*

¹ Skanderoon, Aleksandretta, obecnie Iskanderun – port turecki.

² Fr. „siła wyższa”.

³ Bras – wodza rei, część olinowania ruchomego.

⁴ Loksodroma – linia przecinająca wszystkie południki pod stałym kątem, zbliżająca się spiralnie do bieguna.

⁵ Angielskie ugrupowanie polityczne, późniejsi liberałowie.

Dość mi bólu i zamieszania.
Znowuż rzućcie mię na rozstaje.
I raz jeszcze wybór tam dajcie,
Czy popłynę w orientalne kraje.

Kapitanom fregat płynąć w formacji się nie uśmiecha – przechodzi to pospolicie w ciągłe manipulowanie kliwrem i sztakslem, przez wyższych rangą o uciążliwie ścisłych teoriach trzymania manewru. W rzeczy samej, niechęć nowego kapitana *Seahorse'a* nawet i przy jednym kompanie nie znika, co kapitan *Brillianta*, dział trzydzieści sześć, odkryje, nim z kanału wyjdą.

Przy tak rześkiej pogodzie wlec się nie widać potrzeby. Niecierpliwy kapitan Grant nieprzerwanie lukę do płynącego przed sobą okrętu zmniejsza, częstokroć zbliżając się na tyle, iż żeglarze bez trudu z sobą ordynaryjnymi głosami gwarzyć mogą, aż wreszcie *Brilliant* daje *Seahorse'owi* znaki „Trzymać odstęp przyjęty – wykonać”. Po chwili zadumy Grant odpowiada „Och”. Wydawszy rozkaz, by iść po nawietrznej, oddala się do swej kabiny, by wziąć ze skrzyni dziwacznie przyozdobioną flagę piracką z czaszką i pischczelami, ponoć rodem z Barbadosu, wygraną w szwedzkiego remika od dowódcy sędziwego okrętu J.K.M. *Unreflective*, a wyszedłszy statkiem w otwarte morze, zjawia się wesoły na pokładzie, wciąga swe czarne obwieszanie na maszt i nakazuje pędzić pod pełnymi żaglami przed bryzą, wrzynając się w martwą falę, jakoby *Brillianta* pragnąc staranować. Drugi kapitan odpowiada na żart, sposobiąc się do bitwy. Gdyby w samą porę, od strony Brestu żagiel się nie pokazał, kto wie, jak daleko sprawy by zaszły?

– Szaleństwo. – Mason, wzdrygając się bojaźliwie, jeno nieco przesadza. – Jakże admiralicja może podobnym ludziom swobodę na morzu dawać wraz ze sterami owych zabójczych, wojennych machin?

– Kwakier rzekłby, iż to wojna szaleństwem, a kapitanowie fregat jeno mniej to skrywają.

– Co? Wszelkie wojny, bez wyjątku? Chadzasz w podobnym, daruj mi, podobnym surducie, kapeluszu, spodniach o nieomylnie wojskowej barwie i kroju...

– Podle teorii, iż insygnia władzy, granic której to mocy nikt nie jest pewnym, mogą zniechęcać do czynienia szkody danej osobie.

– Nie wspomniawszy oceanów piwa przelewających się przez ciebie, dzień po dniu, w tym i w niedzielę, trunku, po którym, jak wiadomo, człek skory do bitki...

– Hola, hola... Powiadasz, przyjacielu, iż pijący wino to błogosławieni cisi, co na własność posiadają ziemię?

– Chętnie ową jej część z nasłonecznionym stokiem i dobrze osuszoną, o tak. A cóż ci do tego?

– Mnie piwo wcale gwałtownym nie czyni – klaruje Dixon. – Gwałtownikiem jestem z przyrodzenia. Studzi mię raczej i po picu podobniejsze prawdy, iż usnę, nim narobię jakowej szkody. Świadców mógłbym powołać, gdybyś sobie życzył, przyjacielu.

Są już naówczas na pełnym morzu, kierując się ku Teneryfie, by wziąć na pokład wodę i wino (stąd owej kwestii pierwszeństwo), a potem tak daleko na wschód, jak rozkaże im tajemnicza, opieczętowana przesyłka, co ją kapitan w Plymouth tuż przed odbiciem od brzegu otrzymał.

– Ach, nie trzeba – powiada Mason, machnąwszy z pańska ręką. – Wiare ci daję na słowo.

I społem, w promieniach zachodzącego nad prawą stroną dziobu słońca, śpiewają:

*W pierś się biliśmy, iż nie popłyniemy
Przez liczne w Francuza wody,
Gdy Mortona z kompanią nie groźba i wilgoć,
Jeno ładu trzymają wygody.*

*Lecz, cóż, rekin rekinem, w Indiach i pod Londynem,
Czy duchowny to, poseł czy ryba.
Chrup i żuj, żuj i chrup, strawa wolność zyska
I, tymczasem, Towarzystwo – bywaj!*

[Refren]

*Gdyż do Indii nam spieszno, ruszamy na wschód,
Hajda, do kraju bajek, gdzie jedzenia jest w bród –
Uniżenie, jak niewolnik u księcia,
Wszystko działa astronom dla zajęcia.*

Odkąd minęli przylądek Lizard, kapitan Grant nie ukrywa, gdzie podziwiał się przez te wszystkie straszne miesiące od czasu zatoki Quiberon – rozbity z obozem, niczym Cygan, u listy oczekujących, ot gdzie. Trudził się, by oczyścić swe myśli, starał stać się niczym innym, jak lśniącym szeregiem zawijasów naniesionego na papier inkaustu, zawierając, iż wszechmocna fortuna przyniesie mu, choćby i z ciszą morską, statek. Jakikolwiek statek. Póki nie obaczył *Seahorse'a* i zmienił swą prośbę na „jakikolwiek prócz”...

Niewiele dało mu otuchy widzieć *Seahorse'a* w tak opłakany stan, choć pojmował okrętową nieśmiertelność. Maszty nowe postawiono, wprawiono reje, wszędzie takielarze się kręcą, nowe są szoty, paduny i klepki wręgowe, raz za razem kolejną linę przewlekają. Choć w mozolnym tempie skazówek zegara – ale drewno, konopie i płótno wracają statkowi życie. Po trzech tygodniach, na powrót cały, czeka w Sutton Pool¹. Grantowi nakazano trzymać się *Brillianta*, gdy ów dostanie rozkazy oddalenia się, i czekać dalszych skazówek.

Dostarczył je nasłany przez admiralicję galant, który stojąc w gigu², co był go tu dowiózł, wymachiwał opieczętowanym wiechciem papierów.

– Winienesz udać się na południe i rozpakować to na Teneryfie – rzekł chłopczyzna, a uszczypliwy uśmieszek zawładnął jego młodą fizjonomią tak, jak wąsikom nigdy się dotąd nie udało. – A oto do podpisu kwitunek.

Mamrocząc, kapitan Grant strząsnął potajemnie pióro, starając się kroplami inkaustu śnieżnobiały, koronkowy plastron³ gościa spryskać i nieroztropność udając jeno, palnął:

– Wyznać komuś muszę, iż po prawdzie...

– Po prawdzie? – Młodzian zerknął zadziwiony, bowiem nieprzywykły. – Zda się, iż nie jestem ja zdatnym zausznikiem – wybełkotał. – Składaniu przysięgi wierności dwu panom to podobne...

Kapitan Grant ciągnął rozgorączkowany:

– Pojmujesz, waćpan, znajduję ja me myśli zmierzające nieprzerwanie ku kwestii i plotkom na temat Benkulen, jakoby poprzednik mój otrzymał był rozkazy płynąć tam, choć było to powszechnie wiadome, iż port w ręce Francuzów przeszedł. Cały rejs przeto czczym był raczej zajęciem. Stąd, rzecz jasna, i niepokój, czy i moja

¹ Zatoczka w Plymouth.

² Rodzaj łodzi.

³ Ozdoba gorsu.

wyprawa w równie niemożliwym miejscu zakończyć by się miała. Z tym iż, jak się zdaje, nie poznam celu aż do Teneryfy.

– Nie mnie tu radzić, doprawdy, przykro mi niezmiernie – rzekł tamten, schodząc do giga, po czym zawołał: – Mimo to głowa do góry, być może port ów brytyjski lub brytyjskim się stanie, nim dopłyniecie. Wichry wojny dmą w naszych czasach daleko prędzej niżli pasaty.

– Chłopcze, toż to dla głupiego robota.

– Ach, pierwsza waćpana?

Nie mógł wszak młokosa na pojedynek wyzwąć, prawda? Osobliwie, iż rozpoznał zbyt łatwo młodego zuchwalca, jakim sam był onegdaj, przy którym skorym się było do bitki przez samą jego osobę – aż po sparowaną z kokardką harcapu kamizelę, obie cytrynowożółte. W zamian pistolet zgotował do strzału i wymierzył w wodę, pozwalając galantowi wyboru dokonać między kryciem się w łodzi a susem w fale.

Przy tej stacji życia kapitan Grant odkrył był w swej bezrozumnej młodości źródło nieogładzonego uczucia, użytecznego w symulowaniu raz po raz wariacji, co miał w zwyczaju, czerpiąc przewagę z faktu, iż inni niepewni byli co do tego, po której stronie rozumu właśnie bawi. Dopiero gdy wyszli już daleko na morze i dwa tygodnie dzielą ich od obaczenia szczytów Teneryfy, postrzegając, iż Mason tym samym rzemiosłem się para. Zasepiony i cichy, kuląc się przed wiatrem, w drugą rocznicę zejścia swej żony, Rebeki, trzynastego lutego, dzień cały czuwając i noc następną, nie tykając jadła ni napoju – nikt na statku, włączając w to Granta, zbliżyć się doń nie jest skory – aż wreszcie, gdy osiem razy w dzwon uderzają, po flaszkę i bochen sięga, wnet przyjazny, jak nigdy dotąd na pokładzie.

Widząc u obu tak gwałtowne w obyciu zmiany, żeglarze przysięgają sobie mieć oczy szeroko otwarte, choć szaleństwo na morzu nie trapi tak jak ogień czy złodziejstwo, a w rzeczy samej tak nieodłącznym jest życia na fregacie kompanem, co wszechobecne liny i deski. Przecie statek to wioska, a czymże jest wioska bez kilku wioskowych głupków? Każdy na pokładzie zna załogowych szaleńców i wie, iż służą za talizman przeciwko Mocom Nocy.

– Bóg mi świadkiem, nie chcę, by mego kolegę krzywda z rąk Francuzów spotkała, prawda. Jeno bowiem połowę czasu trzyma, iż z niego admirał Hawke...

– Wiem, wiem. A teraz puszczaj, ale już!

– Spokojnie, Wasza Lordowska Mość.

– Marynarzyna.

Atoli, dla orkiestry wojskowej *Seahorse'a*, dzieje statku okazały się zbyt gwałtowne. Życie fregackie nie jest dla każdego – zdaje się, iż zawsze, gdy zawitali do portu, gdy tylko jakiś marynarz schodził na ląd i nie wracał, to właśnie muzyk. Przez lata potyczek z Francją owa skromna kapela traciła jednego po drugim – walcząc w Ameryce Północnej, głosy środkowe, w połowie rejsu przez Indie Zachodnie – basso continuo, aż wreszcie, z powrotem w domu, gdy pewnej nocy oboiste pochłonął ów Inny Świat, którego Wapping jest przedsiönkiem, na *Seahorsie* ostał się jenó jeden muzykant, któremu to właśnie przyszło, ze zjawieniem się w południe Francuzów, zagrzewać towarzyszy do boju na swej srebrnej pikulinie.

Nikt później powiedzieć nie umiał, choć z pewnością chwila była po temu zdatna – strach wzbierający w trzewiach, gdy statki dochodziły siebie z wolna, *l'Grand* coraz to większy, szczególnie łatwiejsze do obaczenia, załoga *Seahorse'a* świadoma już, iż odwrotu nie ma i strzał nieuchronny, marynarze coraz bardziej trybikiem jednej ludobójczej maszyny równi w owym zakamarku duszy, co się rozkazów nie słucha – cóż się stało, iż słyszeć mogliśmy piszczalki naszej muzykę? Nie wyróżniając się niczym

wśród swych wojskowych pobratymców, grająca w owym najbardziej żołnierskim stroju, B-dur – u wszystkich, co ją posłyszeli, nawet filozofów, wznieciała żądzę, by pokonać obmierźłego wroga. Występ ów wspomniano jako „wprost orkiestralny”. Lecz jak, wśród wystrzałów, jęków konających, niskich świstów pocisków wrogich, podobna było instrument posłyszeć – „Serca z dębu”, „Rządź, Brytanio”¹ – muzyka w bólach mordującego się za polifonię, do której kompanów na pokładzie już nie stało, nadrabiającego za inne głosy przemysłem warg równym temu każdej z kończyn, co się przy działach krzątały?

Slowcombe’a siłą do marynarki wcielono z tawerny w Wapping, gdzie przesiadywać wyraźnie hultaj był nie powinien, a rzemiosła swego nauczył się od znakomitego hanowerczyka, Johanna Ulricha, co go książe Bedford przywiózł był po przeszłej wojnie, by w instrumentach dętych regimenty szkolili.

– Spytacie, co królewski artylerzysta porabiał w marynarskiej spelunie? Ach, byłem ci ja jeno szarym, maluczkiem kanonierem, wśród innych, co być musieli kanonierami i żeglarzami w jednej osobie – nadzieję mając, przyznam, by wzięto mię za jednego z nich. Czyż nie żyjemy w Wieku Metamorfozy, gdzie wszystko może nam być pisane? Zatem, owej nocy, prędkom się przeistoczył z żołnierza w żeglarza, piny skąpo konopnego piwa byś szybciej nie przełknął, i zmiarkowałem, iż mimo pewnych przywar sen mój zaprawdę się spełnił. Są ci bowiem żołnierskie w upodobaniach dziewczki i żeglarskie oraz i ciche bractwo, co ceni sobie te z marynarskich panien, które, z przyczyn nieznanych, się ostały. A teraz opowiedzcie mi, gdyż sam nie pisnę słówka, jak to przebiegły, nikczemnego wzrostu flecista krążył, szukając zaczepki, zataczając się, chichocząc, zerkając pod spódnicę – atoli, moi mili, w większości przypadków starczało pikulinę wyjąć i zagrać co nieco – osiem taktów jakiegokolwiek etiudy Quantza i każda nieomal była moja.

– A świnia pieczona z nadzieniem jeszcze kwiczy – powiada na to Jack Soames, złośliwiec, co to go zwą Palce, od gestu, którym na wszelkie, choćby z pospolitego zwyczaju się biorące, powitania odpowiada. O dziwo, bez wrogich zamiarów, lecz snadniej kierując się głębokim pragnieniem osobności, o ile takowa w obrębie szóstego rzędu łajby jest możliwą. Godzi się z tym cała na statku kompania, wyjąwszy tych nad miarę przyjacielskich, on zaś rad jest bardzo z osamotnienia, które tak zdobywa – nie próżnuje nigdy, słuca rozkazów obcych, jak i własnych, w kunszcie marynarskim się dalej szkoli – wszystko to wśród, choć z dala od, innych mieszkańców unoszącej się na fali wioski, równie zajętych, których spraw poznać nie pragnie. – Ożeniłeś się, powiadasz? Toż to ci z głowy wypadło, jak sobie prościej ulżyć? Miłego dnia? Wiesz co, bledyńcu, idź se kota paść.

Jedynym z załogi, wobec którego jest grzeczny, to Veevle, prawdziwa legenda królewskiej marynarki, gdyż nie sposób go na wachtę dobudzić. By ocucić sennego majtką, niezliczone zastępy kamratów czcze starania czyniły. Chodzą słuchy, iż w sekrecie złożyła admiralicja w zastaw tysiąc funtów nagrody dla pierwszego, komu się powiedzie. Od sposobów słyszalnych – krzyków i tym podobnych – prędko śmiazków odwiedli inni snu potrzebujący. Próbowano smagać podeszwy stóp Veevle’a końcami lin, wprowadzać mu w nos karakony, przewracać na brzuch i częstować enemami² z niesławnej kawy kucharza Lucasa, co, jak się zarzekają świadkowie, w licznych przypadkach wróciło życie poświęczonym nieboszczykom. Na próżno. Szeptają mu do ucha nęcące obietnice. Przykładają ogień do lontów wol-

¹ Tytuły marszów wojskowych.

² Lewatywami.

no palnych, a te pakują mu między palce stóp. W hamaku go zwinąwszy, w dół burty spuszcza ją, lecz gdy tyka fal, wtula się jeno w siennik i chrapać poczyna. Wkrótce wiadomo wszem i wobec, iż Veevle'a na jawie łapać należy i podstępem skłaniać, by brał wachtę kolegi, a z tych miar, najbardziej szanowanym jest i zmyślnym wśród żeglarzy.

– Z życiem, z życiem, chłopcy...

– Racz wybaczyć, kapitanie, kłopot znów z blokami.

– Sprowadźcie tu zatem na górę O'Briana. Jeśli o bloki chodzi, to człek, jakiego nam trzeba.

– Hej, Pat. Znów tam coś bazgrołisz? Więcej morskich opowieści? – O'Brian nie tylko wie wszystko, co wiedzieć podobna o blokach i taliach, a nawet, co cenniejsze, o całym takielunku, jest też znany jako najprzedniejszy bajarz flot świata¹.
– Ździebko przy blokach znów dla ciebie.

Południowe to w końcu stopnie szerokości, stąd potrzeba stawiania płóciennych daszków. Załoga pracuje już w zgodnej drużynie, a bosman, imię Higgs, zagania wszystkich do porządków po taklarzach z Plymouth, co zbyt wiele niezatkniętych skrawków ostawili, jak na gust owego pokładowego tyrana. Urodzony pod znakiem Panny, tak szaleńczo oddany jest schludności w węzłach, iż dla Granta jest nie tylko źródłem uciechy, ale i przednim adresatem praktyk wariackich.

– Taki widok nieszcześnie sprowadza! Tak być nie może! Gorsze to niżli próżne pogwizdywanie²! – Tej części załogi, co na wachcie nie stoi, Higgs nakazuje słuchać pilnie, jak to się robi różnorakie przewiązy czy też Guz Turecki, co i nałożnicę z harremu by okpił. – Mniemać możecie, iż nikt nie zbliży się na tyle, by to obaczyć, lecz wszak to drobiazgowo tysiąc społem powiązanych, choć każdy widoczny ledwie, winny jest owej różnicy między okrętem, co do obcego portu dumnie wchodzi, a łajbą, którą na kotwie zawoźnej przeciągają i za cumę holują. A i z kim łotry raczej zadra, co? Teraz niech mi tu każdy zawiąże mocno Matthew Walkera³, z którego Anglia mogłaby być dumną – rzecz bosman, implikując, iż gdzieś tam stoi Królewskie Muzeum Splotów, Węzłów i Pętli, w którym to pewnego dnia owoce ich kunsztu spoczną może na wystawie.

Niektórzy, w gorączce rejsu, skorzej przejmują od imię Higgsa ową do niedoróbek odrazę i, w rzeczy samej, wielce stają się wybredni – takielunek lustrują badawczym wzrokiem nieraz i pięćdziesiąt stóp od pokładu, wypatrując pośród lin szpetnych strużek sztokholmskiej smoły, haków zabezpieczonych nieostroźnie, wytartego przewiązu szpony gafla.

Inni jeszcze mocniejszy preferują od nudy ratunek.

– Gdzie się Bodine podziewa?

– Ostatni raz na noku bramrei foka go widziałem z członkiem w talię fału wekniętym. Zdało się, iż wielce mu w smak takowa frykcja.

– Tak wam tu brak rozrywki, żeście do wszystkiego zdolni?

– Czy zdajemy się waszmości lekkoduchów bandą? Rzeczy się mają wręcz przeciwnie. Wśród załogi, w rzeczy samej, Bodine widziany jest wybrednym. Droga od nudy przez nieukontentowanie po praktyki bezrozumne nigdzie nie jest krótszą niżli na łajbie szóstego rzędu w długim rejsie.

¹ Zapewne nawiązanie autora do osoby pisarza Patricka O'Briana (1914–2000), m.in. autora „Pana i władcy na kraju świata” (ekranizacja z Russelem Crowe'em), który zajmował się osiemnastowieczną marynistyką.

² Uważa się, że gwizdanie na statku przynosi pecha.

³ Rodzaj węzła.

Jeden czy dwóch, co grają w szachy, tydzień może od innych później się poddaje, a potem, *sal si puedes*¹, i oni paznokcie u stóp gryzą, hodują wąsiki, przekłuwają uszy czy też wystawiają na pokaz, za opłatą, zmyślone morskie stwory, którym by się przyjrzeć, inni schylić się muszą, narażając swe zadki na ataki niecne.

Nic zatem dziwnego, iż w próżni wszelakich uciech widmo przecięcia linii Ekwatora rośnie w oczach nad miarę, podobne fragmentom pewnych miraży i zjaw morskich. Wielkie to wydarzenie, szykowane na wiele tygodni z góry. Rozprawiają o nim gderliwie wszyscy nieustraszeni akrobaci najwyższych płótnisk wraz z pełnymi hartu kanonierami, malowanymi wkłuwanym w skórę czarnym prochem, niczym gromada wioskowych bab gotowi kłócić się o najtrywialniejsze z drobiazgów inicjacyjnej ceremonii dla tych planowanej, którym przejście nowym jest doświadczeniem. Głosy ścisząją, gdy tylko jedna z owych „kijanek” – to jest Mason, Dixon i Wielbny Cherrycoke – pojawia się w pobliżu. Załoga wcielić się ma w postaci władcy mórz Neptuna, jego syreniej małżonki, dworzan i królewskiej pociechy – do tej ostatniej roli chętnych osobliwie wielu, lecz dostaje się, wedle tradycji, temu (faworytem pierwszych zakładów jest Obijacz Bodine), którego ociekający ekwatorialnym potem kałdun najohydniejszy będzie „kijance”, winnej doń podpełznąć i ucałować – jeden to z najbardziej przyjaznych punktów na liście ceremonialnych upokorzeń.

– Z jakich miar? – pragną wiedzieć Bliźnięta. – Brzmi to niczym kara. Czy ktoś zbrodnią przecięcie Ekwatora ustanowił?

– Żeglarskie psikusy, chłopcy, puszczać płazem należy – fuka stryj Ives. – I głupców bałwochwalcze gderanie o jeometrycznej abstrakcji, co to jej nikt nawet obaczyć nie może.

– Z tym że na krótką wielce chwilę – zauważa Wielbny – cienie nasze znikły nam pod stopami. Nie jest przejażdżką w krainie abstrakcji taka hemisfery zmiana. Hołdy składane królewskiemu dzieciątku, jak i cała reszta, mytem były pobieranym za przejście przez bramy tej jednej jedynej bez cienia chwili, ku południu, gdzie niebo prezentuje nowe gwiazdozbiory, a i żyje się i umiera na sposób nieprzewidziany. Stąd potrzeba ceremonii przejścia, która na celu ma pouczyć „kijankę” co do wagi owego wydarzenia.

– Mniemaliśmy, iż przednia to zabawa. – Pliniusz marszczy czoło.

– Iż cię tam trochę obili, wujaszku, i takie tam – dodaje Pitt.

– Czy któremuś z was – wypytuje Wielbny – ciśnięto kiedykolwiek w twarz miłą pełną Nakrapianego Rysia²? – Bliźnięta, zmiarkowawszy, iż nie o groźbę chodzi, chwałą podobne praktyki. – O, tak, chłopcy, brzmi to dość wesoło, lecz jest i feler, o którym nikt nigdy nie wspomina...

– Mów, jakież to? – woła Pitt.

– Nie wiem, czy powinienem... tak samo bowiem rzeczy się mają w przypadku budyniów, jak i mocniej śmietanowych ciast...

– Mówże lub ostanie po tobie sucha płama – rzecze Plin.

– No cóż, moi mili, dostaje się toto do nosa. Tak. Wiadomo wam, jaką sensację woda ze stawu daje, tego jestem pewien, lecz przedstawcie sobie... gęstego, zimnego, przedwczorajszego Nakrapianego Rysia, co grudkami zachodzi i plamkami pleśni... do tego owe wszystkie ohydne rodzyneków cząstki, twardości zwirowi równe...

¹ Hiszp. „uciekaj kto może”.

² Ang. „Spotted Dick” – tradycyjny deser z rodzynekami.

– A jeśli dość głęboko nosem zawędruje – dodaje stryj Lomax ostrzegawczym tremolo – cóż, do mózgu trafia, czyż nie?

Gdy chłopcy roztrząsają tę kwestię, korzystając z chwili ciszy, Wielebny powraca do swej opowieści.

Pędzi *Seahorse* galopem na południe, jakoby na wieki bezpieczny w nagrzejanej, melodyjnej barkaroli¹ swych dni próżniaczych, podczas gdy już za kilka stopni szerokości wpłyniemy w pasat i w jego pianiu pustynnym usłyszymy poselstwo od Duchów często niesione – iż czas już na powrót zakasać rękawy. Iż czas – wbrew temu, co sądziliśmy, iż wiemy – poczuć w powietrzu wiatrem niesionym kontynent, do którego zmierzamy, zielony i urodzajny.

Astronomowie grę mają, zwaną przez siebie Sumatrą, przy której Wielebny nieraz ich społeczeństwo zastaje – niczym dzieci, co szukają pociechy, gdy im czego wzbroniono. Planszą ich jest coś na kształt mówionej mapy owej insuły, której obaczyć im nie dano i której nie poznają nigdy. „Wpadnę do Benkulen, czy czegoś nam trzeba?”, „Myślę ci ja, iż skoczę do Mokko-Mokko czy Padang, sprawdzić, jak się sprawy mają”, „Zbliża się zbiór gałki muszkatolowej, czuję to w powietrzu!”. Każda niewiasta na Sumatrze chętna jest i urodziwa, choć nie brak i pewnych szkopałów. Dixona wybranki wnet rozwijają własne zachcianki i preferencje, choć on sam stara się, jak może, by proste pozostały. Z kolei jedyne damy, o jakich Mason zdolny jest marzyć, są jeno różnorakimi wcieleniami tej samej pogodnej piękności – Rebeki, jak i Sumatra mu zakazanej, trzymanej w więzieniu niczym on na Ziemi, aż do chwili jego uwolnienia, a ich zjednoczenia. I tak żyją sobie, kobiety Masona i Dixona, bardziej sobie podobne, niżli się astronomowie kiedykolwiek dowiedzą, albowiem i mary senne cieszyć się mogą własnym żywotem – cienistym, wyszeptanym, ukrytym, by być odkrytym, na zawsze obojętnym na groźby czasu.

7

Próbując przypomnieć sobie, jak w końcu do tego miejsca trafili, obaj opowiadają o podróży jakoby o locie, już od Teneryfy. Góra, z wolna malejąc, odeszła niczym pospieszny żeglarski sen między wachtami, jakoby spośród lichego koloru morza, błękitniejszego w nazwie niżli w swej konstytucji, wychynęła była w niepojęty sposób nieczytelna karta Afryki, zdałoby się, iż z pewnej wysokości widziana nad bładymi falami, przechylona ku słońcu, tak jak geometryczny globus mógłby być podniesiony i przechylony do inspekcji owej nowej hemisfery, tej nawiedzanej, drugiej połowy wszystkiego, co znane, gdzie ciemne moce hulają swobodnie wśród szmaragdowych czeluści i wyrastających raptownie górskich grzbietów. Oto kapszadzkie fortyfikacje, w pędzie błyskające krystalicznie, co migają jeno z wysokości uważane, gdy astronomowie dają nurka nad statkami w zatoczkach, majtkowie z bocianiego gniazda skazują w zadziwieniu każdy szczegół, w tym i to, co niewidzialne, osadzony starannie, w całej swej surowej krasie widoczny. Oto miasto, co niepewnie nad kontynentem panuje, przeniesione tu, zdaje się, z innego świata przez niderlandzkich Herren XVII, stojących w sepiowym cieniu (a rządzone przez Lorda Osiemnastego, którego to osobę wspominać surowo jest zakazane)².

¹ Barkarola – typ pieśni żeglarskiej.

² Siedemnastka ta stała na czele Verenigde Oostindische Compagnie, rządzącej w owym czasie ze sporą swobodą wieloma holenderskimi koloniami.

Gdy Mason i Dixon przybywają na miejsce i w swej kwaterze sortują pończochy, co rejs zakończyły w mętliku, podziwiając inkrustowaną srebrem szafę z tutejszego gatunku czarnego, cuchnącego drewna, wita ich, a dokładniej mówiąc, nachodzi niejaki Bonk, oficjalista V.O.C., którego zadaniem jest przekazanie im reguł czy też ostrzeżeń zgotowanych dla gości. Można by mniemać, iż miły to zwyczaj, lecz trzeba przyznać potem, iż raczej obcesowy.

– Mamy nadzieję, iż przebywający tu w gościnie w żaden sposób nie zakłóca miejscowego porządku. Jak na statku w rejsie, tak i tu robimy rzeczy po swojemu – my, oficjerowie, i wy, wojażerowie. Co się solidnym kontynentem zdaje, ciągnącym tysiące mil na północ, to w samej rzeczy żywiół w litość równie ubogi, co morze za naszymi plecami. Zawędrujcie w jego głąb, a pewnikiem zgubicie się równie prędko i bez nadziei na zbawienie. Zatem, jako iż zbiec tu dokąd nie ma, lepiej słuchać oficjerów i kapitana, nieprawdaż?

– Ma się rozumieć – rzecze Mason prędko.

– Przyjechaliśmy jeno dokonywać obserwacji nieba – stara się uspokoić gościa Dixon.

– Doprawdy? W niebo spoglądać, miast na co, ciekaw jestem. – Śmiejąc się zadziornie, Holender zerka podejrzliwie i brzuchem na boki mierzy. – Rzecz jasna, nie jest to wymówka, by coś więcej ziemskiego uważać? Fortyfikacje nasze, naszych niewolników, nic z tych rzeczy, czyż nie?

– Wielmożny panie – Mason oponuje. – Jesteśmy astronomami przysłanymi tu z polecenia naszego Króla, nie mniej honorowo niżli lat temu dziesięć był tu przysłany z polecenia swego władcy Monsieur Lacaille, który następnie dostarczył światu wielce szanowany Katalog Gwiazd Południowych. Pod koniec dnia z pewnością nie służymy innemu panu niżli Temu, co obrotami sfer włada, które to, społem roztrząsane, ślą nam swe ciemne posłanie. – Dixon rzuca mu już spojrzenia jeno w swej mechanice zawodzące, by mogły z kopniakami się zrównać. – Zamiar mamy znaleźć pewnego dnia klucz do niego i je odczytać – kończy Mason, miarkując z opóźnieniem, iż się za daleko z tropem zagonił, albowiem Holender nachmurzył się już srodze.

– *Ja, ja*, otóż i akuratnie ów sort praktyk wigowskich, co to u was uchodzą, lecz z którym tu lepiej się nie obnosić.

Bonk baczniej ich wzrokiem mierzy. Zbliża się pora południowej pauzy i skory byłby bieg spraw przyspieszyć i zawitać do tawerny. Atoli, skoro Mason tak gwałtownie z wysłannikiem samej Cytadeli sobie poczyna, jakże groźną jego gadanina okazać się może, gdy dojdzie uszu innych, w tym nawet niewolników? Musi zatem, jako osoba godna uwagi, zawędrować do akt Compagnie, a tym samym stać się Cytadeli mieszkańcem z inkaustowej krwi i papierowych kości. Ta sama teka pomieści, ma się rozumieć, i akta Asystenta, co, choć nieszkodliwy się zdaje i pod wieloma względami prosty w obyciu, przyda się, gdy dnia pewnego przyjdzie jednego przeciw drugiemu nastroić.

Choć kwaterę u Zeemannów astronomowie mają, stołować się wkrótce poczną w domu obok, gdyż połowa zeemannskich niewolników kuchennych zbiegła zniencak w góry pędzić drosterskie¹ życie. Jedna to z wielu katastrof gospodarskich – obok

¹ Afr. droster – zbiegły niewolnik.

cen kompanijnych, walących się dachów i piasku w zupie – których Holendrzy z Przylądka wyglądać się nauczyli i które ścierpieć są zdolni, łącznie przeto nowe porządki się ustala – Vroomowie¹ sąsiadami wszak od lat. W porze posiłku Mason i Dixon przez kuchnię Zeemannów wychodzą, dalej koło zabudowań, a następnie tylną spiżarnią i kuchnię wkraczają w progi domostwa Corneliusa Vrooma, żony jego, Johanny i, co siódmką się zdaje, choć raczej trójka jest bliższa, gromadki powabnych, jasnowłosych córek. Stołowanie się u nich to mieszanka przedziwna, bez widoku ratunku, ohydnych potraw i nad wyraz uroczej kompanii. Pod stołem, w osobnej krainie, którą ponoć chochliki zamieszkują, stópki błędzą, a członki porcje krwi gwałtownie otrzymują – lub, w przypadku Masona, pospoliciej flegmy. Krew, co najwyraźniej u Dixona hula, obaczyć też można w obliczach, łonach i gardłach tego namiotu Jetry², do którego to mieli szczęście zawitać.

Cornelius Vroom, patriarcha owego niespokojnego domu, podziwem darzy legendarnych braci Bothów, dwóch pijących jałowcówkę i palących fajki nemrodów z poprzedniego pokolenia, do których zasług, a i wielkich przyjemności, należało tropienie i szlachtowanie grubszego od nich samych zwierza, stąd gospodarz astronomów bezdenną jest skarbnicą epickich przypadków nieznanych kartom ziem hotentockich. Może nawet i ziarno prawdy kryje się wśród owego śmieciowiska bajdurzeń fotelowego *kommando*³, w których zawsze łypie okiem oszalały nosorożec, zabójcza trąba prostuje się w ryku, a bojaźliwi Kafrowie⁴ zbiegają, obróciwszy się na pięcie, gdy tymczasem Holender nie ustępuje, jeno fajkę zapala.

Pewnego ranka, zmylony przez zegar co do godziny, ukosem spiesząc na śniadanie przez dwa tylne podwórza – mijając ostrożnie jaskrawopióry, zaczepny rządkiem barwnego drobiu, buńczuczniejszego nieco niżli pospolite kury brytyjskie, co nie gonią człeka i nie poddziobują, jakoby jego zdatność do bycia paszą wybadać pragnęły – Mason o włos zderzenia z Johanną Vroom unika. Zderzenie to mogło być zmienić w jajecznicę zawartość jej wyładowanego świeżym zbiorem fartucha, a u pani domu wywołać, w najlepszym razie, żal, miast uczucia, jak się zdaje, fascynacji, którą nawet jeometra, mimo zaszyłych mgłą melancholii soczewek, obaczyć zdolny.

Czy podobna? Przydając każdemu zwierciadłu mnożnik Litości – nazwijmy go μ – żadne spośród tych, w które kiedykolwiek spoglądał, nie obaczając przy tym nic, czego się nie był spodziewał, nie zbliżyło się nawet w obręb choćby i 0,5, wzięwszy w rachubę astronomiczny zez i przygarbienie, a przede wszystkim z dnia na dzień fluktuujące rozmiary pewnej frontalnej hemisfery, zawsze przedmiotem troski będącej, zza której horyzontu Mason nie widzi czasem i własnego męskiego członka.

W drodze z Greenwich na Przylądek dostrzegł wszelako z ukontentowaniem, iż obwód owej hemisfery zmalał temporalnie dzięki morskiej chorobie, a i źródło w niej mającej odrazie nawet do wzmiankowania pożywienia, choć, przyznać trzeba, zdołał w końcu przełykać bez szwanku okrętowe suchary. Dixon ze swej strony rozsmakował się do owego czasu w Przenośnej Zupie⁵ imć Cookworthy'ego, od której najsłabszy powiew, rzecz jasna, do relingu od zawietrznej Masona pospiesznie odsyłał.

¹ Vroom – niderl. „świętobliwy, pobożny” – por. niem. *fromm*.

² W namiocie swego przyszłego teścia, Jetry, Mojżesz spotkał po raz pierwszy swoją żonę, Seforę.

³ „Oddział” w języku afrikaans.

⁴ Arabskie określenie przedstawicieli ludów Bantu.

⁵ Przekład kostki rosolowej wynaleziony przez niejakiego Cookworthy'ego i panią Dubois, którzy w 1756 roku podpisali kontrakt na dostarczanie go brytyjskiej Marynarce Wojennej.

Kobiety kapsztadzkie bez wyjątku omijają Dixona szerokim łukiem, jakoby zszedł na ląd z ukrytymi za pazuchą kawałami owej wygodnej acz zsyłającej mdłości potrawy. Nie tylko prędko zawyrokowano, iż z niego ekscentryk – sam zna dobrze spojrzenia, jakimi zawsze witano Emersona, gdy pojawiał się na targu w Darlington; z jakąż gwałtownością bronili go wnet wszyscy jego uczniowie! – lecz, co ciekawsze, Holendrzy od razu orzekli go niezdolnym do roztrzonego obracania się w tutejszych interesach białej ludności. Dali baczenie, iż astronom nie skrywa, jak pociągają go czarnoskórzy niewolnicy i Malaje – ich potrawy, muzyka, stroje i oblicza, a zatem, bez wątpienia, i ich pragnienie ukrócenia własnej udręki.

– Ten kwakier angielski – sądzi pani De Bosch, miejscowych, wpływowych dam nestorka – jest nieokrzesany, nieposłuszny i na dobrej drodze, by zmienić się w hindusa. Albo w odrętwienie ichnie popada, albo też skory jest wykładać bez ładu i składu to, co tam się mu od ucha do ucha kolebie. T.N.P., moi drodzy, T.N.P. – powiada.

Tak Nie Przystoi. Lecz Mason inną kamaszy parą. Wdowiec to o melancholijnym wejrzeniu, głupiec roznamiętniony i dość jeszcze wiekiem młody, rad przemierzyć oceany i walczyć w bitwach morskich ledwie po to, by mieć możność obaczyć na własne oczy, jak Wenus, samo uosobienie miłości, przecina słoneczną tarczę. W tych stronach astronom egzotycznym się zdaje nawet w swym pospolitym, ziemistym stroju, przybywszy wygłodniały z morza, z cudacznymi machinami, rozpaczliwie pragnący zasiąść do uwarzonego na łądzie posiłku – atoli nie pokazało się to w żadnym z luster, których się Mason radził.

Aż do czerwca większa część obserwacji Anglików tyczyć będzie trabantów Jowisza, co to w kaczkę z kaczatkami się zabawiają, oraz i gwiazd stałych, jako to Regulusa, Procjona czy Szauli, żądła w ogonie Skorpiona, co na Przylądku w zenicie stoi. Winni także ustalić stopień długości swej stacji, tak ściśle, jak to możebne. Ale że wiele nocy tej wiosny sztormy i zachmurzenia trapią, mają astronomowie dość czasu, by zatrząść lokami Niecności, wyszczypać jej rumieńce i – wyrokując, iż nie wszyscy tu już na marach leżą – to i owo ze swobodą podszeptać.

– Poznajcie me córki. – Cornelius rad jest zawsze obcym je prezentować. – Oto Jemima, Kezia i Kerenhappuch¹.

Po prawdzie wołają je Jet, Greet i Els, tak jak i jemu samemu do Hioba daleko.

Jet, lat szesnaście, fiksację ma z swymi włosami – jakoby bytem świadomym były, a jej osobnym, którego potrzeby władają każdym niemal jej zatrudnieniem podczas długich godzin kapsztadzkiego dnia – od wyboru stroju, po rozkład wizyt – a badając, cóż czynią w pobliżu koafiury kawalerowie, zdatność ich szacuje.

Greet, druga z rzędu córka, mając siedem wiosen, wybrała za swą przystań rozsądek, na włosy zatem nie baczy, lecz, co nieraz jej siostra wypomina, na wszelakie sposoby je jeno skrywa.

– Za drzwi tawerny tu robię – tak zwie swą rolę odwiecznej pośredniczki, albowiem gdy tylko Els w zbytnią figlarność popada, wraz z Jet wstrzymać młodszą siostrę musi, gdy zaś Jet władczość jej nie daną prezentuje, z Els bunt wznieca.

Els, co wedle kalendarza dalekiego domu lat ma ledwie dwanaście, tu, w południowym świecie, już od dawna poluje zawzięcie na kawalerów dwukrotnie ją wiekiem przewyższających, z których nie wszyscy po temu niechętni. Pośród trzech sióstr z najmniejszą dozą rozwagi oddana jest możliwościom kochania, a jej osąd co do tego, gdzie znaleźć takowe, sen z oczu rodzeństwa spędza. Włosów swych nie tyka wcale, a i tak nie ma w nich najdrobniejszej skazy.

¹ Także imiona trzech córek Hioba; w tłumaczeniach polskich: Dzień lub Gołębica, Kasja, Róg Barwiczki lub Róg Antymonu.

Cornelius Vroom, jak i inni w domu, lęka się mocy niewieścich powabów i nieodgadnionych nieszczęść, jakie takowe ściągnąć mogą, zabronił przeto córkom jadać tubylcze potrawy, osobliwie malajskie, wierząc, iż wonie czynią młódki skorszymi do grzechu, za który ma pożądlivość, co granice ras przekracza. Prawdziwa to bowiem groźba – słyszał o jej atakach nieraz, tu, jak i na wsi, gdzie bracia jego z rodzinami zamieszkują. Naładowane słoniowe strzelby trzyma w sieni od frontu, jak i tylnym *dispens*¹. Wieczorową porą, kiedy leży już w łóżku z fajką, nawet gdy w wietrze toną wszelkie odgłosy, imaginacja śmiechy mu zza okna podsyła, śmiechy niewolnicze. Wie, iż baczenie na niego mają, i stara się dawać pozór drobnym odcieniom w ich mowie. Podobnie poniekąd jak sąsiedzi jego przy każdej męczliwej niedzieli wiare dają walce ogromnej u końca świata, tak i Cornelius, wśród kłębow mauritiuskiego dymu, w godzinie, w której, wedle prawa, nic się prócz wiatru i straży nocnej nie rusza, nie znajduje w niespokojnych swych rozmyślaniach sposobu ucieczki przed nadchodzącym ostatecznym starciem ras – jakże niepewny los tej europejskiej osady, co w nieznanym interior spogląda, a za plecami ma morze, ku któremu, trwałym naporem całej Afryki, krok po kroku, zejść zmuszona w końcu będzie... Odmienne to życie tam, gdzie morze wyżej leży niżli własna głowa i jeno temporalnie z dala się trzyma.

Gdy po raz pierwszy ostają sami w pokoju, Jet wręcza Masonowi szczotkę do włosów.

– Z tyłu jest kawałek, którego sięgnąć mi nie sposób. Proszę, Karolu, machnijże tam dwanaście razy.

– Nie każdemu ona na to przyzwala – powiada Greet, wchodząc. Przemierza pokój, wychodzi. – Mam nadzieję, iż czujesz się waść zaszczycony – dodaje, zerkając przez ramię, a w oczach ni krztyny wyrzutu nie ma.

Chwilę później wraca z Els, która w lansadach do Masona się zbliża i bez słowa uniósłszy spódnice, krętym ruchem na kolanach mu siada, koronkowym obrąbkiem opaść na powrót pozwalając, po czym okręca się i w twarz mu spogląda.

– Zatem, mój angielski imbryczku – rzecze, wysuwając dłoń, by szczypnąć go w zaogniony podbródek – czy powiedziec ci, co ona tak naprawdę chce, abyś z jej szczoteczka uczynił?

– Els, diable wcielony, głowę ci zgolę! Pan Mason to człek honorowy i ani by mu przez myśl nie przeszedł zamiar podobny co do mej cielesnej wygody. – Jet rękę wyciąga, o zwrot szczotki prosząc. – Prawda, Karolu?

Astronom znów czuje się gromem rażony. Odmowa zwrotu szczotki brzmiałaby niczym zaproszenie, które przyjąć by mogła. Atoli, jeśli rzecz zwróci, panna ramionami ruszy i do kogoś kapkę ciekawszego przejdzie, na powrót wiercić się zgrabnie i włosami zarzuca, a on zmierzać się będzie musiał, godzina za bezsensną godziną, z gorącą ertyczynym roztrząsań, co to ją spędzi chłodną kąpielą złości na samego siebie. Els tymczasem nadal wwierca swe dolne krągłości w podolek Masona, co bezwiednie coraz bardziej go pochłania. Greet podchodzi i dłoń na jego skroni kładzie.

– Czy waszmości nic nie braknie? Coś podać?

Opuszki palców zsuwają się lekko ku policzkowi, na który jeden szturm już przeprowadzono. Gorączką przepojone oczy panna coraz szerzej otwiera, a usta jej, a przynajmniej tak Mason później wspomina, poczynają rozchyłać się i przybliżać.

– Dziewczęta – woła Johanna, wchodząc do pokoju z impetem. – Wszak panu Masonowi przeszkadzacie. – A przerzuciwszy się na miejscowy dialekt niderlandzki²,

¹ „Spizarka” w języku afrikaans.

² Tzw. Cape Dutch później przekształcił się w język afrikaans.

dodaje: – Poczyna tu pachnieć niczym w kwaterach niewolników. – Trzy panny słuchają, prędko podług wzrostu w rzędzie stając, bez powodzenia starając się spojrzeć łapania uniknąć.

Gdy już, trajkocząc, znikają przez matkę odesłane, ta, jakoby bezwiednie, dłoń na ramieniu Masona kładzie.

– Jako człowiek nauki, pojmujesz waćpan wagę humorów w młodzieńczej postawie i nie odpłacisz, mam nadzieję, roznamiętnieniem zbytnim. Czy słowo to zdatne, „roznamiętnienie”?

– Miła pani, proszę być spokojną. Ostatnimi czasy nie wiem już, czymże jest namiętność... niestety.

Johanna dość długo wpatruje się w jego członka, nadal po pupnych igraszkach jej najmłodszej pociechy wyprężonego, nim w oczy mu spojrzy.

– Nie sposób mi zatem przedstawić sobie, jakże to będzie, gdy waszmość znów się z nią zapoznasz.

– Jeśli do tego dojdzie – rzecze Mason, nieszczęśliwie dobierając słowa – czuj się pani zaproszona z bliska obserwacji dokonać. – Gdy w końcu ona patrzy w bok, oswobodzonego Masona ogarnia raptownie ochota walić miarowo głową własną o ścianę. – Atoli, mniemam, iż z racji rozlicznych zajęć winna będzie pani być gdzie indziej.

W drodze do drzwi ociera się o niego i omotuje roziskrzonym spojrzeniem.

– Ach, zbyt późno na to, mój panie, o wiele za późno.

Cóż jest nie tak z tą rodziną? Mason czuje się, jakoby wyrzucony na brzeg nadprzyrodzenie długiego cyplu powinności miał trafić w kipiela bałwanów obcej mu namiętności. Rozpoznaje teraz kwestię szczołki pod nową postacią – tym razem, cokolwiek odpowie, Johanna odczyta to wedle własnych życzeń. Czuje falę ulgi. Słowa jego są nieważne.

Tej nocy niebo zbyt jest do pracy zasnutę, a Mason obudzony przez nagie członki młodej niewolnicy, co do jego łóżka wtargnęła. Dixon nie powrócił jeszcze, choć dawno strzelano¹.

– Co tam, u licha! – brzmi jego szarmanckie powitanie. – Kim jesteś?

Przypomina sobie, iż widział ją to z jedną, to z drugą Vroomówną.

– Jam Austra, panie. Często tu tak wołają niewolnice.

– To znaczy południe... – Wzrok w nią wlepia w tonącym w księżycowej poświacie pokoju. – Jestem Mason. Charles Mason.

Niewiasta pod brodę go bierze.

– Kilka prostych kwestii, panie. Naprzód, żadnych działań przeciwnych przyrodzeniu. Po wtóre, żadnego opium, *dagga*², mocnych trunków, wina i temu podobnych. Po trzecie, ich życzeniem jest, byś mię pokrył – jeśli nie ty, to jeden z was.

– Ehm...

– Wszystko, co jaśnie pani sobie w waszmościach ceni, to jasność skóry, pojmujesz, waćpan? Nie czuj się waszmość wzgardzonym – każda holenderska pani domu tak sobie z każdym białym, co się w mieście zjawia, poczyna. Dziecko, będąc niżli matka jaśniejszym, przedniejszą dostanie na targu cenę. Ot, i wszystko.

– Jakże tak, bez uczucia, bez miłości, bez... Co proszę? „Tak sobie poczyna”? Ach! Teraz pojmuję. Czyżbym był trzymał, iżem pierwszy? A ty, ileś spółdziła jej owych kosztownych niewolniczątek?

– Dłaczegóż to gniewasz się na mnie, panie? To ona jest mą panią i robię, co każe.

¹ Na początek ciszy nocnej.

² Narkotyk z konopi indyjskich lub podobny.

– Cóż, wszak w Anglii nikt nie ma prawa zmuszać innej osoby, by brzemiennej się stała?

– Phi. Białe małżonki podobne, a wszelkie ich sekrety znane są powszechnie na targu. Wiele z nich winne były rodzić bez końca i żadnej po temu przyczynie, prócz męża dumy.

– Nasze kobiety są wolne.

– Nasze? Wstrzymaj się waćpan. Jakażże jest różnica między małżeństwem angielskim a mym poddaństwem?

– Wyjdź za Anglika i zobacz.

– Nie dziś, marynarzu. Lecz przyjmij przestrożę – matka nasyłać na ciebie będzie swe trzy kocięta bez litości, a i sama spróbuje, wszystko po to, byś sztywno się tu w poządliwości trzymał – a jedyną, której dotknąć mógł będziesz, jestem ja.

– Ty? Zaprawdę, cóżesz tam wyczyniasz? Nie wolno ci...

– Jeno niewinny uścisk, panie. Pamiętaj mię. Powiem im, iż dobudzić cię było nie sposób. – Jak tylko umie, ostrożnie zbliża się do drzwi, przy każdym kroku oczekując napaści. Wychodząc, zerka wstecz przez ramię, aż wnet Mason całe swe baczenie jej kszałtnemu tyłowi daje. – Do zobaczenia przy śniadaniu. Zachowajże, proszę, dla mnie jedno z tych uroczych brwi marszczeń. – I, a niech to, znika.

Następnego ranka pięć chochlików nie może spojrzeć sobie w oczy. Dixon pochłania łąpczywie pieczone na blasze placuszki i sok z pomarańczy, a ponury Mason na kawie i jej obrzędach się skupia. Cornelius zachodzi na chwilę fajkę zapalić i skinąć głową, nim do pracy swej przejdzie, co to się z pokrzykiwaniami na niewolników licznymi wiąże. Dzień cały, długi i trudzący kręci się Mason po domu i gospodarstwie, w coraz to innych pokojach na osobności z coraz to inną z dam łapany przez inne, co potem, by się odwdziżyć, ze skóry wychodzą. Z wolna astronom miarkuje, iż zawsze tak się tu rzeczy mają – pospolity to porządek domostwa – a on jeno przypadkiem tu zawitał, niczym barwna figura z krańca świata. Ot, na chwilę, by wyjechać wkrótce – w sam raz dość czasu, by wszyscy, jeśli się jakowyś wybuch namiętności niezapowiedziany, cel znajdujący, nie trafi, spożytkowali jego osobę należyście, może nie dość, by gardzić nim poczęli.

Modli się zatem Mason o czyste niebo nocne i widoczność zdatną – atoli gardło jego ścisza się i schnie, a serce bić przyspiesza, gdy tylko słońce chmurami zachodzi, a mgła prędko po obserwatorium się podnosi i pnie dalej, i wyżej jeszcze, i wie astronom, iż przyjdzie mu się zmierzyć i z pięcioma nawet awanturkami, co parol na niego zagięły, a z których każda, niczym w diabelskiej, azjatyckiej grze salonowej, knuje przeciw pozostałym, choć nie w głowie im uciechy, lecz rozród i handel. Jasne to dla nich, iż ni krzty uczucia się przy tym nie wykrzesza – i nie myślą się. Masona z sztywnością pospolicie ostawiają, zależnie od portek, jakie owego dnia ma na sobie, o surducie nie wspominając, mniej lub bardziej dla ludzi widoczną, a ci, jak się pokazuje, za pospolite uznają zgoła i bardziej nieskromne popisy.

Dixon co w swej mocy czyni, by kwestii owej nie poruszać, przechwałek czy utyskiwań kompana raczej wyczekując.

– Wiem ja, na co spoglądasz – rzecze tamten w końcu. – Wiem, co ci się w głowie kołacze.

– Komu? Mnie? Masonie...

– I cóż winnym uczynić, hę?

– Naprzód z tego domu zmykaj.

Mason kręci głową raptownie i głos zniża.

– Wśród tych swych Malajów i Pigmejów swawołac... cóżesz słyszał o różnorakich mocach magicznych, jakie ponoć posiadają?

W rzeczy samej, słyszał Dixon z ust wszelakiego sortu indywiduów, ze Wschodnich Indii Holenderskich rodem, opowieści o czarach, bytach niewidzialnych i codziennych staraniach, by schronienia swe od plagi demonów uchwycić.

– Nie są oni tak weseli czy dzieciom podobni, jak się zdają – Masonowi rzecze. – Takich jak my Anglików, nieszczęśliwych i dojrzałych, raduje może myśl, iż gdzieś na świecie niewinność kwitnie, atoli, nie u owego ludu. Życie dla nich to walka i przemysł, i to pospolicie próżne.

Mason przekrzywia głowę, starając się zdusić drzenie, co go także przy kartach zdradza – chęć cielesną, by wszystko na szalę rzucić i fortem się posłużyć.

– Czy skory byłbyś może zgłębić ów świat czarodziejski? Prędko mi znaleźć jakoś obronę...

– Zakłęcie? – Dixon poddaje.

– Podkreślam, nie napor miłosny, pojmujesz, o nie, nie, wręcz odwrotnie.

By darować sobie przyszłych wieczorów, jak nic pełnych biadolenia, Dixon powiada:

– Poznałem ludzi, co ponoć posiadają niezwykle moce. Na Bali zwą ich *Sakti*. Wszelako nie zawsze zdadne były przeciw Holendrom. Miałby to być zatem nienawiści napój? Czego ci, przyjacielu, trzeba?

– Cóż, z pewnością nie o nienawiść tu idzie, bowiem jak i miłość ona niedogodna. Nie. Prędzej coś na kształt naparu nieczułości, tak to sobie raczej przedstawiam. Winne by było woni nie posiadać ni smaku, a moc taką, iż starczy kropel kilka.

– Mogę rozejrzeć się zatem, choć pospoliej tu przyjąć, co dają.

Zaiste zmorduje się Dixon przez owe kilka posobnych nocy, w małym kwartale szukając podle gustów Masona napoju, w sieniach bez lamp, przy krwawych chwilach ciszy walk kogucich. Wśród obelg wesołych, coraz to nowe zakazane spelunki odwiedza. A jakże, słyszeli o owej miksturze, co rusz ktoś o nią pyta, mężczyźni i niewiasty jednak. Jako iż Kompania wszelkich Holendrów z Kolonii Przylądkowej w obrębie wyznaczonych przez się granic ścisnąć usiłuje, a i władać nimi wkoło z jednej siedziby, najmniej nawet nieposkromione uczucia, przy braku miejsca, śmiercią gwałtowną zdadne się skończyć. By spokojności nie burzyć, plemiona całe za górami dzień i noc się trudzą, zaspokoić usiłując nad wyraz mnogie chętnych potrzeby. Mnożą się fałszywki i imitacje. Mason nie dla siebie naparu szuka – myśli raczej żywi zaprawić nim zupę swej gospodyni, którą to w groźnej ekscytacji utrzymują zabiegi gromadki młodych niewolnic, przez wzgląd na swe powaby wybranych. Krok w krok za nią chadzają, z ciała strzepują muchy, stroją w francuskie i indyjskie jedwabie, a gdy wiatr z południowego wschodu skórę jej suchą niczym karty Biblii Świętej czyni, namaszcza ją olejkami. Karmią Johannę jabłkami granatu, klękając, prędko sok zlizać, co po jej dłoni spływa, nim ten rękawa sięgnie. Cornelius zerka na to czasem i, choć pospolicie z sztywnością się oddala, możliwe, iż czuje przy tym ból zwierzyny niezgrabnie postrzelonej. Mina jego atoli się nie zmienia. Fajkę cmoka, z ust ją wyjmuje, by kaszlnąć i, nadal pokaszując, powoli odchodzi.

Wszelako w sercu intrygi Johannę, by połączyć swą starszą niewolnicę i Masona, nie żadna z odmian pożądlivości, lecz niewola leży. Widzi to Dixon, nie wpadłszy w sidła – Masonowi nie jest to dane. Temu, co widoczne, obojętne, noc całą piejącymi melancholii wichrami omotane, trwa owo omamienie czy obłączenie czymś sędziwszym niżli ktokolwiek wokół, krzywdą, co przeminąć nie chce. Ludzie rozumni nie stworem nadprzyrodzonym ducha zwą, lecz krzywdą niepomszczoną, której, niczym niespokojnej zjawie, odejść nie sposób – potrzebującą wsparcia, jakiego dać zwykle nie możemy, nie zawsze także trafiającą na tych, których widzieć jej trzeba lub którym ją trzeba widzieć. Tu duch to zbiorowy, a krzywdą poza dom wychodzi – wszel-

kie to złe uczynki co dzień wobec niewolników popełniane, błahe i okrutne pospołu, nienotowane przez nikogo, sztuczką magiczną dla historii niewidzialne, niewidoczne, a posiadające masę i pęd, co nie tylko zatrząść kajdanami są zdolne, lecz i je zerwać. Niepewność tutejszego życia i potrzeba ubłagania Ducha, dzień w dzień, bezlitosnymi duchowieństwem Kompanii i wieloma tomami Kodeksów, prędzej czy później zmuszają wszystkich, co serc nie mają z kamienia, do owych kwestii wprost rozważenia. Zatrważające liczby niewolników targają się tu na swe życie, lecz białych – także, bez przyczyny lub też z przyczyn powszechnych, o których to się nie wspomina i o których ledwie przez chwilę myśleć wolno. Poznawszy smutną prostotę tutejszych stosunków, Mason w coraz głębsze przygnębienie wpada, Dixon zaś starań dokłada, by niewolnikom okazywać grzeczność, na jaką go przy ich panach nie stać.

Pomimo to snują na ów temat marzenia i radość im to sprawia.

– Astronomia w królestwie, gdzie niewolnictwo przeważa! Niewolnicy trzymają świece, by oświetlić gwinty okularu, gdy inni stoją z lustrami, wyczekując naszego rozkazu zmiany kąta. Można by leżeć na wznak, wpatrując się w gwiazdę zenitu jak noc długa... wachlowanym, karmionym, zabawianym będąc – wszyscy inni zmuszeni stać na baczność, wciąż czujni, by spełnić każdą patrzacza zachciankę. A niech mnie!

– Masonie, przebóg, toż to ohyda.

– Co tobie, sam mi powtarzasz, bym się rozchmurzył? Odkryłem, iż służy mi, Dixonie, postrzegać to miejsce niczym inną planetę, na którą zawitać nam przyszło. Owi niderlandzką mową władający biali tubylcy równie obcy są oświacie naszej, co najdzikszy z Pigmejów.

– „Służy”? Guzik ci służy. Cóż wygadujesz, przyjacielu? Widzę chyba, iż dobrem własnym się kierujesz i twe uczucia zatrudnione.

– Ach, me uczucia! Uczucia, w tym miejscu! Dziś tuzin za talarą, a jutro, ile tylko Kompania wyznaczy, ta Kompania Holenderska, co wszystkim jest i wszędzie.

– Jakoby Bóg Deistów, to masz na myśli, przyjacielu?

– Ech, spóźniona twa próba, spóźniona.

– Masonie, z matematycznej konieczności, mają wszak rację bytu jakoweś drogi ucieczki, bezpieczne enklawy... targi, co się z V.O.C. nie rozliczają, zebrania nieznanne na wieki, nawet w samej Cytadeli tych tulipańców. Byłbym rad, gdybyśmy powąłęsali się społem po okolicy któregoś wieczoru, a może sami obaczymy to i owo. Zważ, iż choć rzadko się całkiem poza granice Kompanii wymykam, staram się trzymać tak blisko ich, jak to możliwe.

– A ja się nie staram, czy tak, o służalczość mię oskarżasz? Próźniactwo? Nigdy cię przy mnie nie ma, skąd wiesz, ile mię to trudu kosztuje? Nie przedstawiaj sobie, iż więcej mi to niżli tobie wesela daje.

– Nie kłómy się zatem. Zbyt wiele piasku dziś w powietrzu dla wartych zachodu obserwacji. Zeemannowie i Vroomowie cierpią od tych wiatrów na katalepsję, nikt za nami nie zateśni. Czy nie moglibyśmy choć przez kilka godzin zaznać swobody?

Mason wpatruje się w niego dziwnie długo i mgliście.

– Wiedzieć chciałbym, jak zmieniać się będą moje wobec ciebie uczucia. Raz wszystko jest jasne jak słońce, a po chwili wizjami się zabawiam, w których koniec twój marny nieodmiennie stoi.

– I znów ślub odwołany. Powstrzymajmy łkanie...

Przez chwilę czują obaj jednak, iż zbyt daleko są od czegokolwiek, bezbronni poza owym skrawkiem wciskającym się w Nieznane, co tuż za Górą Stołową ma swój początek, a czego objąć jedno życie nie zdoła.

Nadmienić należy, iż wyruszają w rzeczy samej w miasto owego wieczoru, i w wiele innych, szukając niecej przygody, lecz za każdym razem, gdy Mason szyki psuje, czy to zarzucając nadzieje na rzeczy pewne, odstrasząc ulicznice grobową gadką o nagrobkach i schorzeniach rozumu, czy też wychylając kielichy znakomitych, a czasem, jak mówią Dixonowi, i wybornych win z Constantii¹ po to jeno, by się upić, poczynając zniecka śpiewać, gdy raczej cicho siedzieć trzeba, czy wreszcie padając bez ducha twarzą w różnorakie potrawy i napoje, w tym najbardziej wyśmienite kari na zachód od Sumatry – a zatem, pokrótce, do hulanki kiepskim kompanem się pokazując, któremu to ze zbyt wielu rozkoszy życia z trudem radość czerpać przychodzi, by Dixon gniewać był się w stanie. Przypatruje się jeno zadziwiony, niczym gość na jarmarku przy jakowymś *curiosum*.

Mason, nie mniej kłopotliwy w domu niżli na mieście, jako że sen ma niespokojny, poczyna noc w noc snić o kimś zbrojnym w kris, nóż malajski, o osobie o niewyraźnej mowie, lecz zamiarach wyraźnych, aby z różdżką szukać źródła krwi astronoma. Budzi się zawsze z krzykiem. W końcu Austru, wyrażając obu domostw wolę, posyła go na rozmowę z jakimś Toko, *negrillo*, czyli azjatyckim pigmejem z malajskiego szczepu zwanego Senoi. Wierzą oni, iż świat, jaki zamieszkują w swych snach, równie jest prawdziwy, co ten na jawie. Każdego ranka przy śniadaniu krewni siadają i sny sobie nawzajem opisują, radą służąc i zdaniem się dzieląc, jakoby zdarzenia owe niczym więcej jak wioskową plotką, a stwory fantastyczne mieszkańcami wioski były.

– Żyją oni swymi snami – Mason Dixonowi relację składa – podczas gdy my przeżyjemy wszystkiemu, czego świadkiem byliśmy przez trzecią część jakże cennego, danego nam czasu, jakoby sen zbyttno śmierć przypominał, by baczyć na niego tak długo...

Owej to właśnie nocy, wtórą wysokość Szauli uzyskawszy, astronomowie układ zawierają, iż, gdy tylko będzie można, podziela się snów swych przebiegiem. Po owych wtajemniczających godzinach na pokładzie *Seahorse'a*, gdzie, nie znalazłszy potrzeby, by utrzymywać przed sobą jakiegokolwiek pozory, zyskali zniecka szmat cennego czasu, żaden nie dziwi się, jak wiele z ich zwyczajów czy zapatrywań, w tym i w snach, podobnych sobie się stało.

– Niech mię Bóg ma w swej opiece – mamrocze Mason cierpko. – W mych snach odkryłem, iż miasto jedną z kolonii piekła stanowi, a Kompania Holenderska służy jeno za dozorcę, co to w imieniu zgoła innego... nazwijmy to, ucieleśnienia władzy, działa, a życie codzienne tutaj to dla kolonistów piekielnych raut i *ridotto*².

– Przebóg – rzecze Dixon, szeroko otwierając oczy. – Moje własne sny bardzo temu podobne, choć bez Holenderskiej Kompanii, raczej jakowa gala bez końca... Mniemasz, iż to winą malajskiego jadła, którym się dnia każdego raczymy?

Mason opuszcza na chwilę swą skromną osobę.

– Toż to ciebie pobyt w tej kolonii zmij cieszy! Niech mnie piorun strzeli, jeśli nie będziesz tęsknił za nią, gdy w końcu to miejsce opuścimy. Do biesa! Co podasz w miejsce *ketjapu*³?

– Niechybnie przedają go gdzieś w Londynie?

– Za cenę wyższą dziesięciokrotnie.

– W takim razie nauczyć się mi trzeba przepisu.

Gdy wysokiego wzrostu indywiduum z zagiętym ostrzem znów Masona nawiedza, ten, gotów na wszystko, z miejsca się nie rusza i z pomocą wywodzącej się z Gloucestershire sztuki ataku golenią zaiste przeciwnika obala.

¹ Obecnie przedmieście Kapsztadu.

² Przyjęcie z śpiewami i tańcem, zwłaszcza bal maskowy.

³ Chiń. dial. *kjechiap*, przodek tzw. keczupu grzybowego.

– Trzymaj twarz przy ziemi – powiada mu. – Nie w smak mi ją obaczyć.
– Winienesz czegoś od niego zażądać – doradził Toko. – Jakowejś rzeczy, którą przyniosłbyś z powrotem.

– Podaj kris – rzecz Mason. Milcząc, pochylona figura rzuca go w bok na ziemię. Mason podnosi. – Pięknie dziękuję.

Gdy się budzi, oto i jest, tuż przy jego nozdrzu czubek ostrza leży. Jeden niebaczny ruch we śnie, a byłoby może po nim. Choć nóż nowością w oczy bije, ostrze nie jest dziewicze. Drobne zadrapania, niezmywalne plamki, jedna na drugą nachodzą niczym w palimpseście, co głęboko w przeszłość sięga.

– Może to owe dziewczęta się z tobą droczą, przyjacielu?

– Jakiś ty miły, dalibóg, cóż to byłby za dzień bez z twych ust trzeźwego spostrzeżenia?

– Jeden z nas podle prawideł zdrowego rozsądku świat widzieć musi, a jako że u ciebie to niepodobne...

– Do kroćset! Zażyłości przejaw największy, w zaufaniu snem się dzielenie, odebrane i użyte przeciw mistrzowi przez własnego podstępного czeladnika!

– Błagam o wybaczenie, łaskawy panie, nie zapuszczajmy się na te *terre mauvais*¹ fachowych żali, gdyż jak nic przegapimy kulminację Szauli, owego żądla, co na wieki nad głowami tych nieszczęśliwych ludzi się czai. Kogo trafi, kogo nie, któż to wie?

– Oto głos astronoma, co służbę swą ceni. Czyż kiedykolwiek gwiezdnemu patrzaczowi los bardziej dogodził kompanem tak anielsko poprawnym? Atoli, mimo twej osoby, Dixonie, czy wiesz, co mi w duszy gra? Diabełek się ozywa i radzi: „Kogóż lepiej dręczyć pełną opowieścią o tym, jak cię smutno świat traktuje, świat, którego miłości tak rozpaczliwie pragniesz aż po uniesienie, niżli owego Geordie, co do roztrząsań nieskory? Zna choć kapkę astronomii”. Oto jak mi pospolicie prawi.

– „A jako twój podwładny” – Dixon oddaje – „będzie mógł jeno sięść i słuchać”.

– W samej rzeczy, a i robić notatki, jeśli chcesz, gdyż pewnego dnia, mój chłopcze, własną wyprawę poprowadzisz, dźwigając na swych barkach ciężar dowództwa, co miazdzy człowieka, choć rozdyma jego dumę... Ach, cudo – może poszczęści ci się i dane ci będzie poznać nieopisaną ulgę zrzucenia ładunku, miesięcy, a nawet lat nagromadzonej urazy jednym, wielkim...

– Ehm, jeśli nie masz nic przeciwko, przyjacielu?

– Och. Ależ, proszę, nie obaczyłem. Oto i nasza ziemskość nieskrępowana, oto my niższego rzędu, bez końca o gównie rozprawiamy, pojmujesz, bez cienia... A niech mnie, powiedziałem „gówno”, czyż nie? Gówniany... znów to powiedziałem! Nie, dwa razy! – W ciemię się po wielokroć uderza.

– Naści, Masonie, nic się nie stało.

– Poślesz teraz skargę na mnie.

– Rad byłbym, gdybym sądził, iż ktoś mi uwierzy...

– Nie pragnę ja sprawić tobie kłopotu. – Masonowi nie sposób powstrzymać się przed dodaniem: – Inkwizytorzy hiszpańscy, czy kto tam...

– Czy byłbyś łaskaw powtórzyć ostatnie swe słowa?

– Ach, na Boga, „władze”, jeśli wolisz i nie brzmi to zbyt doktrynacko.

– Żaden ze mnie, u licha, jezuita, Masonie. Jeśli sterują mną jezuitci, to dwie z nas marionetki na scenie, przyjacielu, albowiem ciebie w ruch jak nic Kompania Wschodnioindyjska wprawia.

¹ Fr. teren szkodliwy, zły, nieprzyjemny.

– Ach, jakże to, ściślej?

– Pewnego dnia ktoś zapyta, jakże to syn piekarza zaszczytu bycia asystentem Astronoma Królewskiego sięgnął. Z jakich racji jeometrę z północy wybrano mu na kompana do najsrożej pożądanego zadania astronomicznego stulecia? Czyżby to me powaby? Mój urok? Czy też trzymają nas w garści moce niewidoczne nawet oczom twego niewidocznego kolegium¹?

– Gdziekolwiek mnie posłano – rzece Mason najezony – zasłużyłem na to. Choć, po prawdzie, dziwowałem się przy wyborze twej osoby. Syn marynarza z węglowca i to śródlądowego. Morski niechybnie większe przychody i szacunek przynosi?

– A tak, a do tego kwakrzy. Czy tu gdzie *nervus probandi*² nie leży?

– Cóż, dywagację snuję jeno. Jako iż bez koneksji nie masz nic w życiu – sam mi imć Peacha osobę wypominasz – czuwając, gdy sen nie przychodzi, w głowę zachodzę, kim był ów człek, co między kęsami „sandwicza”³, nad garścią kości roztańczonych, rzekł o tobie słówko szaleńcze przechylające? Iż Emerson, nie wierzę.

– Wszak był to John Bird. Mniemałem, iż wszystkim to wiadome. Jako iż w miejscu jego osoby tu stoję, powinnością mą troska o sektor. Módlmy się, aby sprawował się bez zarzutu, gdyż trzeba mi będzie się nim zająć. Ach, jam sektorewy *wallah*⁴!

Odpowiedź Masona stanowi „zez odwrotny”, to jest, każde oko w przeciwną stronę zwraca, niżli w teleskop spoglądając. Dixon przez chwilę czuje się zagubiony, a Mason nawet zdaje się starać uśmiechnąć przeprasząco.

– Kunsztu dowództwa jakże mi braknie, co wszystkim niestety wiadome, a i tak dowodzę jeno dzięki splątanej i zbrukanej sieci przysług, względów i frymarchenia, wiedza o tym, dalibóg, nie zhańbi cię nigdy. Rację masz, odrzucając me zwierchnictwo... cóż, nie na dobre, jak mogę mieć nadzieję.

– Czy tak się sprawuję, z pewnością nie miałem zamiaru...

– Tyś tajemnicą jest, Dixonie, nie ja. Jam jeno papryczką w stuffacie⁵, popychaną i przekładaną przez byle głupca, co z łyżką przechodzi, cały ich, a i ich nazwiska nie są sekretem, choć banda to kucharzy spod ciemnej gwiazdy, te same to rzeźmieszki, z których niektórzy Walpole’a⁶ jeszcze pamiętają. Lecz twoja klika, cóż, innego sortu, czyż nie?

– Jeśliś taki zmyślny, rok przeszły pomnij. Clive zjawia się w Londynie przed pierwszym sierpnia. Przed jedenastym września, a zatem, nim kto przejrzeć na oczy zdoła, zadania zmienione, a tyś, przyjacielu, już nie jego szwagra sekundantem, lecz dowódcą własnej drużyny, a kto na twe miejsce wszedł, nie wiadomo. I cóż z tego wnose? Ledwie znamy Maskelyne’a⁷. I kimże u licha jest Robert Waddington?

– Jednym ze zwolenników tabel lunarnych. Naucza matematyki gdzieś koło Monument⁸ i blisko jest zaprzyjaźniony, poniekąd pomieszkuje u jednego z Pig-

¹ Ang. *invisible college* – Towarzystwo Królewskie.

² Łac. dowód, argument podstawowy.

³ Kanapka została niedawno wynaleziona przez Johna Montagu, hrabiego Sandwich (1718–1792).

⁴ W dialekcie anglo-indyjskim „spec”; słowo to jest w hindi odpowiednikiem końcówki „-or”, tak jak w słowach „aktor”, „nawigator”, „senator”.

⁵ Stuffata – potrawa włoska (wł. *stufa* – piekarnik).

⁶ Robert Walpole (1676–1745), brytyjski mąż stanu uznawany za pierwszego premiera.

⁷ Nevil Maskelyne (1732–1811), astronom, szwagier Roberta Clive’a (1725–1774), wszechwładnego brytyjskiego generała odnoszącego wielkie sukcesy w podboju Indii.

⁸ Kolumna w londyńskim City upamiętniająca wielki pożar z 1666 roku.

gottów, owych wielkich promotorów rachowania stopnia długości po kulminacjach miesiąca¹.

– Cześć pokroju Maskelyne’a?

(Jak Maskelyne później Masonowi powie, od początku trawiła Waddingtona melancholia równie śmiertelna, choć chystsza i lżejsza niżli pospolita, czarna jej odmiana.

– Jak się miewasz, Robercie?

– Dwa tygodnie w Twickenham, jakże mam się miewać? Strawberry Hill, Eel-Pie Island², czyż wszystkiego już nie widziałem?

– Atoli, mawiają, iż łowienie ryb...

– Ach, ukleje snadnie dłuższe niżli pół stopy. Biorą na czerwie, co tylko w tych stronach się trafia – gdzie indziej w Wielkiej Brytanii sposób zupełnie nieznan. A jeśli masz serce do żuków, cóż, jakie bogactwo! Jak nic osłupieć można!

– Piggoci mają się dobrze, jak mniemam?

Patrzy długo.

– Cóż, gdzież tu się pija w okolicy?

– Krótka tam przechadzka, choć wrócić trudniej.

– Hm. Nieco jak z życiem, czyż nie?

A było to przy początku stycznia, na pół roku przed przejściem Wenus. Mieli ostać społem na Świętej Helenie, która, jak chodzą słuchy, nieraz mieszkańców w wariację wpędza).

– W samej rzeczy, Tom Birch napomknął, iż to Maskelyne dał mu adres imć Waddingtona. Notes mi swój okazał. Maskelyne sam był się wpisał. Najwyraźniej przekładał na pomocnika przyjaciela Piggottów nad przyjaciela Peachów, zezwalając mi tym samym wypłynąć bezbronną, osobnioną, ośłą fregatą miast swym własnym ogromnym *Indiamanem*, w kompanii innych, a i z połową Królewskiej Floty na straży...

– Zezwalając doktorowi Bradleyowi wtrącić swe trzy grosze i zdobyć dla ciebie dowództwo dodatkowej drużyny patraczy.

– I wybrać ciebie za radą imć Birda, twórcy najdoskonalszego instrumentu astronomicznego w przyrodzeniu. Taaak, z wierzchu całkiem proste i prawe, prawda?... Atoli, nie czujeszże czasem, iż od owej morskiej bitwy wszystko niczym... nie sen, lecz jakoby...

– Wiem, jakobyśmy los cudzy zamieszkiwali, choć gdzie indziej być nam dane?

– Nic już tak pilnym nie jest, jak było... Wszak mogliśmy zginąć wtedy i jako duchy przec dalej, miejsce to nawiedzając, czekając na przyobleczeniu się w ciało – może właśnie w chwili przejścia, gdy sama Wenus staje się ciałem...

– Nawet wówczas – Wielebny powiada – w niektórych kwestiach astronomowie pozostali niewinni. Jako że mało kto w to pospolicie wierzył, nieraz mogli byli skorzystać z owej przewagi przy mordęgach dnia. Gdyby byli wiedzieli, jak nie-szczerymi się zdają, dane by im było osiągnąć o wiele więcej, niżli im w końcu przypadło.

– Ach, wujaszku, skąd to mniemanie?

¹ Trwał wówczas żarliwy spór pomiędzy zwolennikami tej metody a tymi popierającymi metodę z użyciem niezwykle dokładnego i zminiaturyzowanego jak na owe czasy zegara okrętowego autorstwa Johna Harrisona; w grę wchodziła sowita nagroda i pozycja marynarki angielskiej na świecie.

² Obecnie wszystko w zachodnim Londynie; Eel-Pie Island to wyspa na Tamizie.

– Z przykładu innych, co znacznie mniejszym przemysłem więcej zyskali.
– A wszyscy nie żyją – rzecz Ethelmer. – W czym kłopot zatem?
– Kuzynie. – Tenebra szpilą w jego stronę celuje, jeśli nie grożąc, to radząc przy-
najmniej.

Ethelmer wilkiem na nią zerka, a jarząca się w jego oczach wcześniej iskierka w chłodne srebro przeszła.

– Tenu, kuzyn twój wprost zmierza ku rozpacy, co się w sercu Historii kryje – i nadziei. Tak jak dzicy tańcem przednie łowy świętują, tak i Historia jest tańcem opisującym nasze polowanie na Chrystusa i nasze po temu zabiegi. Jeśli zaprzeczyć nie sposób, iż zmartwychwstał, to zdarzenie to w Historię się wpisuje, zbawiając ją od służby Ciemności, a wszystkie inne świeckie zdarzenia, w nim mając swój początek, z zamysłem i przemysłem się pojawiają.

– W tym i każda krucjata, inkwizycja, wojna doktrynacka, głów miliony, krwi morza – Ethelmer zauważa. – Cóż się stało? Czy tak bardzo bycie zmarłym sobie umiło-
wał, iż skory był wrócić i z wszystkimi innymi się tym podzielić?

– Na Boga. – Imć LeSpark się zrywa. – Ocal waść swe rozważania na dysputę z równymi ci mądrością osobami. W tym domu prości ludzie mieszkają, co to im z trudem przychodzi żartami ze Zbawiciela się ubawić.

Ethelmer się kłania.

– Temporalnie straciłem mój rozum z oczu – mamrocze. – Pokornie proszę wszyst-
kich o wybaczenie. Panowie, Wielebny.

8

Gdy dni mijają, a do przejścia zbyt daleko jeszcze, by do końca w nie wierzyć, Dixon, bezlitośnie przez swe sensorium¹ nękania, niemalże w omdleniu, znajduje, iż w nocie pochmurne coraz mu trudniej przychodzi obywać się bez wyjścia – oku-
tany, by uchronić się przed etezyjskim wiatrem², zmierza wprost ku zakazanym dzielnicom miasta. Gdy idzie, skądś melodia dobiega, jedna z tych, które miesz-
kańcy Indii Wschodnich *pelog*³ zwą i o zmroku grać zalecają – dzwoni z cicha, miarą krokom jego równa, aż Dixon przygwizdywać żywo poczyna. Po miesiącach przygan ze strony profosów, iż na pokładzie czynić tego nie wolno, swoboda, z jaką może wrócić do swej grzesznej uciechy, niemal nogi podcina, a osobliwie tu, gdy śpieszy klepiskiem coraz to ciemniejszych alejek, gdzie za każdym rogiem trwa bezprawna krzątania, czarni niewolnicy noszą bojowe koguty, wypatrując turnieju, za wygnanymi z Batawii⁴ *bandieten* ciągną orszaki Pigmejów, kręcą się zawaolowane niewiasty, drosterzy bawiący w interesach, żeglarze, dla których każdy port jeno imitacją Wapping, a wzdłuż drogi, gdy się ta z inną w mroku krzy-
żuje, czekają z towarami Malajowie z Przylądka, którzy wkrótce wszyscy Dixona znają.

– Hej, *tuan*⁵! Najprzedniejsza *dagga*, ochędożona, posortowana, gotowa na twój płomień!

¹ Ośrodek mózgu koordynujący wrażenia zmysłowe.

² Z północy i zachodu, zwłaszcza nad Morzem Śródziemnym.

³ Jedna z dwóch skal w muzyce indonezyjskiej.

⁴ Do 1945 roku nazwa Dżakarty.

⁵ Po malajsku *sir*, panie.

– Prawdziwa holenderska jałowcówka, flaszki z oryginalnymi pieczęciami, o tak! Nietknięte niczym dziewice!

– Najświeższy *ketjap*, błyskawicą z Indochin przywieziony, zerknij, waćpan! Ananasy, pompele, tamaryndowce – setka smaków, tysiąc łączeń!

Niewidzialne za holenderskiego, roboczego dnia, nocne życie Przylądka teraz rozkwitać wszędzie poczyna. Dixon w nozdrza wciąga woń piekących się potraw, korzeni, zwierząt, nocą rozkwitających winorośli i zachłannego, bezmiernego oceanu. Przyswaja sobie rozkład miasta podług woni, ucząc się, bacznymi niuchami, węszyć Straż – fajki, wieczere na owczym tłuszczu, kropelkę jałowcówki przed służbą – i zniknąć... przemykać chyłkiem, wtapiać się w noc, tak blisko przez niewolników niesionych latarni, które mijają, iż ich gorąc czuje równie snadnie, co żony mieszczan zza zasłon ich lektyk kawę z Świętej Heleny, angielskie mydło, wilgoć francuską. W oddali na ciszę nocną strzelają z armaty, głosząc tym samym, iż Dixon wyjęty jest teraz spod prawa.

Czuje się niczym drapieżca – jakoby znał Kapsztad od wieków, teren swój łoświecki, swe wrzosowisko¹ tak opacznie spamiętane w niemalże wszystkich szczegółach, prócz biegu granic, których przekroczyć nie zamierza. Choć jakże podobną znaleźć miejsce swobodnych hulank w tym przeżartym plotkami miście, stłoczonym u stóp gór, co odgradzają je od ciągnących się bez końca zieloności ziem buszmeńskich? Za tymi rzeźbionymi drzwiami i gotyckimi bramami, w głębokim półmroku cienkich świec z kaszalockiego olbrotu², na poddaszu i w *voorhuis*³, w sionkach, do których przenika zmierzch i piach, żyją owi Holendrzy, jakoby Dzień Sądu był równie blisko, co wszechwładne morza, a wszystko wagi swej pozbawione, osobliwie zaś ludzkość i układność, albowiem braknie już czasu – zakłady przyjęte, los każdego przesądzony, wszelkie krzyki przez wiatr zagłuszone, ot i gotowe. Podle zegara, jak i mapy koniec to świata. Zalegające tu opary niesłabnącej rozpusty nie skusiłyby jeno świętego – na Boga, skusiłyby astronoma! Atoli tym astronomom trudno, a może i wręcz nie sposób podjąć o kwestii pożądania rozmowę, jako że Dixon nie jest w stanie zaprzeczyć targającym nim namiętnościom ni puścić je w odmienną stronę, a Mason, w swej melancholii, nawet rozpoznać ich nie umie, a co dopiero podle nich działać, choćby i przed nos mu podbiegły, „ahoj, Karolku” wołając.

– Jakże mógłbyś to pojąć? – Mason wzdycha. – Kuszenie rzecz ci obca. Na ląd zszedłeś, szukając sposobności do grzechu. Niektórzy z ludzi, jak mniemam, mocniejszy stos pacierzowy posiadają...

– Tak sztywny – Dixon powiada – iż tyle w nich życia, co w równie sztywnym nieboszczyku.

Jet przemyka obok w wąskim korytarzu.

– Pamiętaj, dziś wieczór, Karolu – podśpiewuje.

– Będę pamiętał – mamrocze Mason, poprawiając perukę.

Patrzac, jak się oddala, Dixon uśmiecha się promiennie i na Masona zerka.

– Absorbująca mała?

– Jest piękną, młodą kobietą, Dixonie, i więcej słyszeć nie chcę ni słowa.

– Zaprawdę – Dixon mruga – cóż ja rzekłem takiego?

Lecz Mason na górę się już wgramolił po schodach. Przechodząc w tym samym miejscu jakiś czas później, Dixon widzi, iż Mason rozmową z Greet jest pochłonięty, a oboje w wielkiej ekscytacji.

¹ Dixon wychował się na wsi wśród wrzosowisk.

² Woskowy składnik tłuszczów kaszalota.

³ Niderl. front domu (zwykle od strony kanału); główny budynek mieszkalny w gospodarstwie.

– Dziś wieczór znów baranina, jak słyszałem – w wesołym powitaniu woła. Panna piszczy i zmyka do kuchni.

Mason burczy.

– Przykrzy ci się samemu, czy tak? Jakże cię wspomóc mogę? Twe słowo dla mnie rozkazem.

– Cóż, nie wiem... Może, gdy panie na spoczynek się udadzą? – I tak sobie dogryzając, do jadalni przechodzą.

Zgodnie z przyładowym zwyczajem, Vroom drzwi frontowe na klucz przed wieczerzą zamknął, a teraz się w talerz wpatruje, dusząc w sobie namiętności – co uczyni, zgadnąć trudniej niżli przy włoskim wulkanie.

– Jak widzę, odkrył waćpan kolejny przysmak Przyładka – zwraca się do Dixona Johanna, starając się, by z Masonem nie zamienić przy mężu ni słowa. – Malajowie nasi *ketjap* na to wołają.

– Plugawa to, azjatycka mikstura. Dziewczęta, ani mi się waźcie choćby spojrzeć na nią – spośród kłębów wonnego, fajkowego dymu, Cornelius nakazuje. – Nawet – (pyk) – gdyby trza było – (pyk) – smak tego tu jadła zdławić.

I nowy kłęb wulkanicznych oparów puszczając, do swego plastra baraniny w ogonowym tłuszczu¹ ponuro się zabiera. W ciągu żywota swego zmarłego właściciela ogon ów nie tylko w tłuszcz obrósł i na wadze przybrał, lecz, lata całe wzdęcia owcze wdychając, nabrał i swoistego aromatu, być może przez *cognoscenti*² wielce gdzieś ceniego, choć gdzie, przedstawić sobie niepodobna.

Dixon tymczasem, z wspomnianą już chińską miksturą się trudzi, a ściślej ze zgrabną flaszeczką, z której to wąskiej szyjki trudno mu cokolwiek wydobyć.

– Trzepnijże ją od tyłu – Els szepcze – a może cię usłucha.

Dixon prędko wzrokiem po trzech niewieścich obliczach przesuwa, a na język żart mu się ciśnie, lecz czujnie na świat wyjść nie jest skory. Kątem oka miarkuje, iż Mason skryć się za, a może nawet i pod, zawartością talerza swego stara, a Cornelius, w błękitnej, tytuniowej chmurze, zdaje się nieświadom intryg, co się w pokoju pętla. Greet z własnymi lokami igra ochoczo, usiłując spamiętać, co zdaniem starszej i młodszej siostry wie, a czego nie wie z ostatnich wypadków i jak się to ma do tego, w co ich matka wierzy. Co Mason sądzi, rzecz jasna, nie obchodzi pań wcale.

Gdy bezlitosna wieczerza nareszcie końca dobiega, Vroomowie, jak to mają w zwyczaju, na *stoep*³ od frontu się udają, gdzie bez zwłoki Johanna i dziewczęta siadają po nawietrznej Corneliusa i jego watry, ostawiwszy astronomów na osobności, by fajek zapaleniem się przed nią bronić mogli.

– Jest coś nieodparcie zdrożnego – jak obaczył wówczas Wielebny – w młodej, białej niewieście, co na *stoepie* porą wieczorną przesiaduje. Przemykający w tę i z powrotem czarni służący, niczym w teatrze japońskim, winni być za niewidzialnych brani, podczas gdy ona w glorii pozuje, ona i jej przyjaciółki. Podług stopni, na których się sadowią, a tych, które później biorą w posiadanie stopy młodych zalotników, co dłużej by tam może radzi byli ostać, mnożą się możebne dla obu stron widoki, a układowi każdemu stopni zajęcia przypisany jest wymyślny kodeks, w którym stoi, co przystoi, a co nie, od igraszek wzrokiem, po poprawianie spódnic i halek oraz i tego, jak długo się w pannę wpatrywać wypada. Niektóre piękności przy kawalerach dyrygować swymi niewolnikami płci męskiej lubią, inne zaś pragną, by obaczono, jak z nieskrywaną zazdrością za niewolnicami patrzą. W gamie swych pragnień

¹ Pewne rasy owiec gromadzą tłuszcz w ogonie.

² Włos. koneserzy, smakosze.

³ Afr. ganek, weranda.

bezwstydne są owe holenderskie dziewczęta, i to w każdym wieku, albowiem są dziewczętami z krańca świata, a każdy tu całą niedzielę w kościele ścierpi tylko po to, by mu przypomniano, jakie granice ma przekraczać. Im bardziej Mieszkańcy Przylądka popełnianych przewinień świadomi, tym większa ich radość – jakże odmienne to Anglikom, co giną pospolicie nadmiarem skruchy pogrzebani, gdy tylko dopuszczą się grzechu cięższego nad lubieżne spojrzenie.

Powoli i z wielką powagą młódź się o zmroku po stopniach przesuwają. Ich rozmowa dachów, przejść, szop i składów się tyczy – miejsc wszelakich dość długo od człowieczego ruchu bezpiecznych, by spódnicę móc zadrzeć lub otworzyć klamrę u spodni. Johanna wciąż na Masona zerka, jakoby na znaną mu mowę przekładać owe pogawędki pragnęła. Pojawia się młody galant z małą, trójstrunową lutnią w dłoniach, który, klękając na jedno kolano przed Jet – choć ta wzdychania swym siostrą ostawiła – odśpiewuje pieśń ku płci nadobnej Przylądka.

*Ach,
Kapsztadzka Panno,
Jak grzech tajemnicza,
W bryzie oceanu,
Bielszaś od Księżycy.
Jaśniejiesz powabem,
Wszyscy powiadają,
Na ganeczku siedzisz,
Wciąż nadzieję mając,
Iż dziś los da ci kochanie.*

*Służbie rozkazujesz,
Niewolnice hoże,
Lecz serce nie sługa,
Sługa też pokochać może
Cię, Kapsztadzka Panno.*

*Gdy wiatr dmie od morza,
Dzięki snom mym wiem,
Spieszę w twe ramiona,
Panno, nie mów nie.*

– I przygrywasz sobie, Wim! Cóż to za drobina na twym podołku, na której wybrękujesz swe triady i to jakże miarowo?

– Trafiłem ci ja na to na targu, koło szubienic. To gitara tubylców z Fidzi, wedle słów Malaja, co mi ją sprzedał, dwa wieki temu przez portugalskich jezuitów sprezentowana.

– Ach, widzę dobrze jezuicki jej element – Greet rzecze.

– Jeśli go tylko ręką nie chwytasz – Els mruczy.

Gra to wśród owych cór niderlandzkich dość jasna i wymagająca pewnej rachuby, ani krztynę mniej wyrozumiała niżli sort, co posłyszec można w chwili przerwy z ust dziewczek z zamtuza Kompanii w Kwaterach Niewolników¹ – dwa to osobne światy, roz-

¹ Slave Lodge, jeden z najstarszych budynków Kapsztadu (z XVII w.), obecnie muzeum.

dzielenie których V.O.C. utrzymuje, a i ceny ustala, pragnąc, jak zwykle, pełnej władzy nad kapsztadzkimi przybytkami rozpusty. Atoli, jest i w owej profesji kilku samotnych myśliwych – śmiałych dziewcząt i chłopców, co dość są młodzi, by uśmiechały im się niebezpieczeństwa występowania przeciw Kompanii. Sylfy to płci obojga i ras wszelakich, biegli w sztuce znikania wśród wzgórz i w drosterskim świątku, a nawet szukający przystani dalej, na ziemiach hotentockich. Trudno wszelako pożegnać miejskie życie – nagle przypląwy ekscytacji, gdy zza przyładków statki się wylaniają, wieszcząc złotą plagę hiszpańskich talarów, a każda niewiasta w Kapsztadzie, od suchej mieszczki, podporą kościoła będącej, po najfrywolniejszą z czarnoskórych piękności z głębi łądu, wnet uszu nadstawią i oczy szeroko otwiera, a nawet i dłoń. Tawerny w podrygach się trzęsą, żeglarze znoszą z pokładów swe fajki i skrzyпки, dym z *dagga* poczyna krążyć w powietrzu, głosy rosna, muzyka tętni, noc rozkwita niczym jaśmin.

Naówczas to najłatwiej na Masona i Dixona natrafić, jak wędrują wśród stosów przypraw korzennych, za które wojska zwykły uśmiercać, po zaułkach malańskiej dzielnicy, której płacheć na skos od schludnej siatki holenderskich ulic odchodzi i aż pod samą Górę Stołową się wciska. Prędko zmierzch zapada, co rusz nowe ognisko z drzewnego węgla budzi się do życia, zbrocze nakrapiając światłem, noc z wolna wypełniają kuchenne wonie – pasta krewetkowa, tamaryndowce, kolendra i kminek, ostre chili, sosy rybne, fenkuły i kozieradka, imbir i *lengkua*. Drzwi i okna otwierają się, by wpuścić życie, co choć swój kres ma, jakże zadziwiał, a domownicy zbierają, by społem stawić czoło nadchodzącej nocy.

Greet Vroom wymyka się z Austrą śledzić astronomów.

– Zachodzą do różnych kuchni i kosztują tamtejsze potrawy – siostrom później melduje. – Krążą bez celu, gawędząc i posilając się, a co czas jakiś zaglądną do jednej z owych marynarskich tawern.

– Co jadają?

– Wszystko. Nie śniłyście nawet o jadle tego połowie!

*Tam, gdzie uczują w mroku Malaje,
Z jarzyn przysmaki wschodnim zwyczajem,
Strąki tak ostre jak przednie szable –
Papa zapomniał rzec o tym jadle –
Paw dziki w kari, ragoût z gazeli,
Pikle z bilimbi¹ i moc frykadeli,
Wino z Constantii, tamaryndowce,
Bobotie² oraz smażone jeżowce, śpiewając –
Podaj ten talerz,
Przysuń mi miszkę,
Skończmy tę flaszkę
I bułki wszystkie,
Żryjmy i żłopmy pod gołym niebem –
Gwiazdy niech same dbają o siebie.*

– Greet, nieutrefiona, sentymentalna Greet. – Jet się rozpląwa.

Nikom nie przyszło do głowy, iż tym, co wyгнаło astronomów ku zboczom Góry Stołowej, może być wszak stół Vroomów. Dym fajkowy, tłuszcz owczy, cudaczna zasta-

¹ Tropikalny owoc o kształcie ogórka.

² Zapiekana wołowina.

wa, z której wszystko – półmiski, łyżki – przedstawia, cóż, historie. Tak, nawet z dna łyżki przez barani rosół przebłyskują bitwy, religijne zdarzenia, znakomite osoby o pełnych uniesienia obliczach, zalane niebiańskim światłem, skazujące w górze palcem Bóg wie co, do tego pełne gwałtu sceny męczeństwa z czasów doktrynackich wojen przeszłego stulecia i ciemne, moralne nakazy wyłożone w literach, których odczytać nie sposób, obramowują na talerzu tartofle lub otaczają kołem zadnią stuffatę, co krąży od biesiadnika do biesiadnika, obracając się przy tym tak, iż każdy osobną scenę poznaje jakoweś na wieki niejasnej, doktrynalnej dysputy... Wkrótce Masona i Dixona desperacja ogarnia. Wykpiwszy się astronomicznymi powinnościami w obserwatorium, wetknąwszy miski i sztucce za pazuchę, wymykają się, marząc o oceanicznych rybach, afrykańskiej dziczyźnie, ostrych strąkach i korzeniach Wschodu.

– Wierzę w drzenia – Mason powiada. – Wierzę, iż drzenia tej potwornej rodziny do ich jadła się dostają, co już wszak wcześniej trudne jest do spożycia.

– A zatem?

– Wolałbym raczej tu się stołować.

– Dobra nasza.

Tu, gdzie tak daleko w ocean ląd wychodzi, co obaj przyznają, jak tylko jest mu dane, w błogosławionej osobności krańca cypla, za którym nic się nie rozciąga prócz nieprzerwanych, światowych mórz czterdziestych szerokości, pędu zachodniego wiatru, bezmiarów lodowych i zagadki wtórego bieguna – gdzie mgła nocna niczym żywe srebro podpełza, nieomal pustką otoczone, w której morza urastać mogą do wysokości, jakich obu astronomom bez lęku przedstawić sobie nie sposób, gotowi czekać na kulminację gwiazdy południa, najjaśniejszej z kształtnej konstelacji, co nazwy nie ma i na zawsze za brytyjskim horyzontem skryta.

Doszli do tłumu oczekujących wzdłuż ciemnej ulicy i doń dołączyć postanawiają. Dixon w swym czerwonym surducie, butach z trzycalowym obcasem i tajemniczo przystrojonym kapeluszu, Mason zaś, po godzinie przed swym podróżnym lustrem, w nieprzywiązujących uwagi zszarzałych brązach. Gdy tak suną powoli w stronę lichego, kuchennego namiotu, coraz to więcej wyłania się z jego świecami roziskrzonego wnętrza. Strojny w sarong mężczyzna strawę warzy jakoby opętany, krzątając się w pośpiechu z krisem, a kto by się w błyszczące, faliste ostrze owego noża zbyt długo wpatrywał, poczułby może świerbienie w kciukach i mętlik w głowie. Kucharz węgielki wprost w olbrzymie, buchające płomienie wtyka, w różnorakich kociołkach miesza, obiera czosnek i krewetki, jarzyny szatkuje, ryby filetuje, z pomocą owego jednego narzędzia jednocześnie mniej więcej tuzinem zadań się para, grządkki węgielków się jarzą, a z żeliwnych rondli unoszą kłęby dymu i pary, tak wonne, iż sam wdech zastępuje pierwszy półmisk sporego posiłku. Żona kucharza przez okienko jadło wydaje i odbiera pieniądze, starsze dzieci noszą i gotują, a młodsze drobiazg w powijkach w mroku bawią, ruchom krisa się przyglądając – widziały już, jak lata, słyszały, jak śpiewa, a w pobliżu studni czystej czuły, jak drży, jest bowiem na ostrzu jeden ząb bez pary, co z prawymi mocami pakt oznacza.

– Nie może być – rzecze Mason, który w sposób jakowyś wdał się z jednym z malców w rozmowę. – W mym kraju, blisko mego domu, odkąd stoją przędzalnie, studnie czyste dobrze są ukryte i by na takową trafić, wołać trza człeka, co podobnie długich, leszczynowych różdek używa.

– Czy Holendrzy i twój kraj podbili, panie?

– Och, na Boga, nie... – Mason z wyższością się śmieje, co mu Dixon, z diabelską wesołością, przerywa:

- A Wilhelm Orański? Nie nazwałbyś tego podbojem¹?
- Dobry wieczór, kapitanie Jere. *Satai² Deluxe*, jak to ma waćpan w zwyczaju?
- Wygląda cudnie, Rakhman. Co to te tu żółte kawałki?
- Mango. Jeszcze kapkę zielone dziś wieczór, ale jutro... Jutro!

I podług słów jego, następnego ranka, z pierwszym krzykiem pierwszej w locie mewy, słychać:

- Ej, Masonie. Są mango!
- Przynieś mi jakoweś zdatne – Mason mamrocze – to może ujdziesz z życiem.

Atoli, jakoby powinnością to jego wobec własnych zmysłów było, w słonku poziewując, na targ się wlecze, gdzie spostrzega góry owoców, co najwyraźniej w tej samej chwili dojrzały, panikę wywołując, jako że wszystkie w krótkim czasie zebrać trzeba było i przewieźć pospiesznie z gajów w głębi kraju wprost do miasta, gdzie, w owych ogromnych stosach złożone, czekają, aż je kto podniesie i oceni, jak to czyni Wielebny Wicks Cherrycoke, gdy Mason i Dixon się zjawiają.

- Miło widzieć waćpanów! Cóż za piękny ranek! Człek niczym Adam się czuje, ha, lepiej – niczym Ewa.

- Teraz go zabiję – Mason ogłasza.

- Ech, raczej to sobie pod nos podetknij, cudo, czyż nie? – Woń słodka uwagę Masona przywiązuje. – No, teraz lepiej zjedz go, przyjacielu, boś całego wyniuchał.

- Może prędzej w ciebie nim rzucę? – Wkrótce sadowią się na pobliskim *stoepie* i mango posilają, podobnie jak na innych *stoepach* ich sąsiedzi.

- Mniemałem, iż wypłynąłeś – powiada Dixon.

- *Seahorse* podąży naprzód beze mnie. Na wschód od Przylądka kapitan Grant rad był mię uawiadomić, iż osoby duchowne nie są dalej pożądane, choć czemu, tego rzecz odmówił. Nawet gdym mu poddał, iż gdzie klerowi wstępu bronią, tam widać rzeczy oczekiwane zbyt są straszne, by mówić o nich inaczej niżli w sekrecie.

- Jeśli mię pytać, wyglądam tego drania, St.-Fouxa – rzekł kapitan. – Z mego *Seahorse'a* diabelnie skoczna bestyjka i mniemam, iż ją z czasem pokochałem, albowiem wagę do jej honoru począłem przykładać.

- Czy bezpieczniejszym będę w Kapsztadzie? – zapytał Wielebny.

- Starczy, a i czekać nie będziesz długo. Co rusz przepływają tędy Indiamany, choć większość załóg nieugięta jest w swej przeciw duchownym niechęci. Ładownie z zamysłem mniejsze nieco budują, by tylko prawo ominąć, co im na pokład kapełana wziąć nakazuje – radzę ci zatem, przedstaw się jako człek w innym fachu szkolony.

- Astronoma mógłbyś udawać, przyjacielu – Dixon powiada. – Wszystkiego, czegoś wiedzieć winien, w pięć minut cię nauczę.

- Geometria i tyle nie zajmie. – Mason odpląca pięknym za nadobne. – W dół wzgórza uryna splywa, a płącą w sobotę. Ot i jesteś waćpan gotów stawiać płoty.

- Wielebny podnosi mango wysoko niczym niczym hostię.

- Gdybym wyjechał, nie byłbym tego świadkiem. Zważcie, jak owoc kształt swój i fakturę od owej wielkiej torebki nasiennej w środku bierze, co ją Hiszpanie zwą *el hueso*, znaczy „kość”. Mango to w dotyku ciału człowieczemu równe. Obracaj je to jak

¹ Książę Wilhelm II Orański (1650–1702), namiestnik Niderlandów, mąż córki późniejszego króla Anglii Jakuba II; w 1689 roku zdobył koronę angielską w wyniku tzw. Wspaniałej Rewolucji, gdy wezwany przez angielską opozycję parlamentarną, wylądował z oddziałem wojska na wybrzeżu hrabstwa Devon.

² Rodzaj malajskiego szaszłyka z sosami.

ze skóry obedrzeć, ugryźć – jak mięso jeść surowe, choć, przedstawiam sobie, rodzi to i niezręczne, wiary tyżące, pytanie.

Mason, którego drobniejsze bezbożności gorszą, okazałby może i swej obyczajności wzburzenie, gdyby nie poruszono kwestii posiłków, ta bowiem zezwala mu wnet zwrócić się ku szeregowi nieszczęśliwych, kulinarnych przypadków, co go na holenderskiej ziemi spotkały.

– Owo przedkładanie bulw, wieczne warzenie, brak nawet soli, wszystko to nam już znane. Baranina i jagnięcina, nic więcej. Boże broń, byśmy choć przez chwilę owiec nie widzieli! Tam, skąd pochodzę, kilku ludzi jedynie ważniejszych jest nad te stworzenia. Małec prędzej nauczy się ślizgać po podłodze owczarni niżli po lodzie. W pewnych miesiącach całe mile owczy zapach się niesie, woń lanoliny i ów mdlący odór jagnięcego mięsa pieczonego w chlebowych piecach... owa patyna, którą poczułem, wszedłszy do mego pierwszego, holenderskiego domostwa, z baraniego tłuszczu, co to parował i osiadał, i znów parował, i tak przez lata całe kucharzenia, wciskając się podstępnie w najbliższych kuchni okolicach w ściany, meble i draperie – aaa! Jakże naiwny byłem, wierząc, iż zdołam wymknąć się perfumie Gloucestershire. O nie – przy stole u Holendra wróciłem ci ja do znajomych woni jakoby do piekła.

Młody duchowny z nieskrywanym współczuciem głową kiwa.

– Zatem malajskie potrawy niekosztownym dość zdają się zbawieniem? Choć pamiętać trzeba, iż kuchnia ludu, którego jedną z rozrywek *amok* stanowi, z konieczności magiczna jest w zamyśle, jak i skutkach, a przed tymi nikt się nie uchroni.

Owego wieczora, pisząc w swym dzienniku, dodaje: „Baranek Boży, eucharystia chlebem – to, czego znieść p. Mason nie mógł, to samych fetorów Ofiary Krwi i Przeistoczenia, gdzie rolę niezmiennie ów Piec odgrywał, którym wcześniej Ojciec jego dowodził”.

Kilka stron później przyznaje: „Rzecz jasna, nie mnie w to wnikać było, lecz takowy niepokój władał owymi dniami, gdy czekałem na okręt, co dalej na wschód powieść był mię winien, iż, pragnąc innymi myślami głowę napełnić, studiowałem cudze życia – pospolicie bez wiedzy ich właścicieli. I tak oto znaleźliśmy się na chwilę – ktoś rzec mógłby, iż morze nas wyrzuciło – tu właśnie, na skraju wszystkich Indii, gdzie rozwierają się odrzwia straszliwego i niezmiernego Orientu”.

9

Wbrew wszelkim staraniom, by nie dopuścić do tego, oto są, Vrou¹ Vroom i Mason, społem w górnej sypialni, w popołudniowym słońcu, co przez otwarte okiennice pada, słabnąc prędko, czuli na każdy dźwięk w domu, wyczekując „byczego oka” – cudacznej, ciemnej chmury o sercu szkarłatnym, która nad Górą Stołową się pojawi i przybierać będzie – aż później, minut zaledwie kilka, sięgną ich podmuchy północno-zachodniego wiatru.

– Nie jestem ja taka jak inne niewiasty Przylądka – Johanna szepcze – choć zawsze zazdrościłam ich sławie. Przy Corneliusie, marzyłam, inni mężczyźni winni jawić się niczym Adonisy i niechybnie coś się dla mnie znajdzie. Niestety. Gdy tylko szczerze się do flirtu biorę, wybranek mój okazuje się od mego męża gor-

¹ Niderl. pani, por. niem. *Frau*; całość celowo brzmi komicznie.

szym. Winnam była dawno me praktyki porzucić, a poprzestać na byciu wzorem pobożnej żony.

– I miast tego? – Mason czuje, ku własnemu zdziwieniu, iż powstrzymać pytania nie może, choć raczej z irytacji niżli zazdrością targany.

Opacznie pojmując, Vrou Vroom zwiesza głowę z lubieżną niewinnością, Erosowi bliską, i szepcze:

– Wybrałam życie wielce występne.

– Które wiodąc, jak się zdaje, dopuścić można się każdego grzechu.

Chichocze niczym w dziewczęcym mieszanym, a twarz jej rumieńcem zachodzi – nigdy przedtem jej taką nie widział. By staniczek¹ swój rozpiąć, starania czyni... drżenie rąk i gasnące światło opór stawiają... W końcu, z cichym jękiem, strój z obu boków chwytą i na dwoje rozdziera. Mrok zapada w pokoju nadprzyrodzenie prędko, barwiąc usta jej i sutki czernią popiołem równą, jasne jej włosy niemal niewidzialne. Nagle ktoś poczyna dobijać się do drzwi. Mason zrywa się na równe nogi i dwa razy pokój obiega, nim trafia na okno, za plecy nie zerkając, otwiera je, wspi- na się i znika z cichnącym okrzykiem, po którym gdzieś w dole uderzenie głuche uszu dobiega.

Do sypialni wpada Jet.

– Karolu, mamy ledwie pięć minut... ach, witaj, Mamo.

– Cóż miałby tu porabiać imć Mason, mój chochliku? – pyta radosna Johanna.

– Cóż się z twym staniczkiem stało, Mamo?

W kącie chrabąszcz czarnuchowaty w swej klateczce szeleści. Wierzchnie jego skrzydełka równie bezlitośnie białe, co piaszczyste pustkowia zwane Kalahari, na północ stąd, gdzie to go znaleziono i przewieziono niezliczone ligi przez szmat kraju na Przylądek, wraz z setkami krewniaków, głodnych pod koniec i skonfundowanych, by je społem wystawić, niczym obfitość lukrowanych wypieków, na jakowymś portowym targu przez żeglarzy i przybyszy licznie odwiedzanym. Przez całe swe życie nigdy słoty nie widział, lecz teraz czuje, iż coś niezaprzeczalnie się zbliża, coś, czego przedstawić mu sobie niepodobna, co pojmuje może jak ludzie Boga – jako siłę, od której poznania zawsze krok jeno dzieli...

Nadchodzi burza i przez trzy dni trzyma. Cornelius, co w głąb łądu wyjechał, wrócić przez powódzie nie może. Przemieszczać można się łatwo, a zarazem z wręcz piekielną trudnością, albowiem, choć pokoje gościnne u Zeemannów puste stoją, Dixon wybył na kraniec miasta przeciwległy, do jakowegoś malajskiego przybytku, gdzie, jak wszędzie, mu na głowę kapie, a Mason, jak wiadomo, na pukanie do drzwi się nie ozywa. Na Johannie spoczywa zadanie znalezienia zdalnych wymówek, by wymykać się codziennym powinnościom, gdy tuziny par oczu, w domu i poza nim, na każdy jej krok baczą.

I tak oto, ledwie tylko jej Matka na podwórze wyglądnie, już Els w lansadach wbiega, na wskroś przemoczona.

– Przednia zabawa! – woła. – Jak rok długi pory tej wyglądam! Chodź, Karolu. Czy Anglicy się w deszczu całują?

Dalej przy ich ulicy czyjś dach zapada się z rozmiękłym łomotem. Wszelkie tutaj zabudowań połacie, nawet stojące w pionie, poczynają przy słońcu wnet nabierać wody niczym wielgachne, skostniałe gąbki, a gdy dość jej wsiąknie, jedność swą tracą i padają w kawałkach. Rozdzwania się dzwonek u szczytu dachu. Owocowe skórki, śliskie i zgniecione, zalegają w rynsztokach, co ku kanałom zbiegają.

¹ Góra sukni lub rodzaj gorsetu na sukni.

Krzążą się tam niewolnicy, piorąc dla swych panów, a nim pod gołym niebem ług brud zmyje, postrzegają i wczytują się w każdą plamkę krwi, nasienia, ekskrementów, śliny, uryny, potu, błota z drogi, martwej skóry i innych podobnych wypadków w biografii, w której czystym kształcie dzień w dzień się szkolą. W cieniach słotnego dnia, pod arkadami, migocą jasno i miarowo pełne tytoniu fajki, kołysząc się pod nosami właścicieli o bacznym obliczach. Zewsząd dochodzi woń ścięków i mokrego wapna. Zabłąkana owca, becząc płacząco, pod murem się kuli, co zbytnio dlań wysoki.

– Złap mię – rozkazuje skora do psot pannica, jak z procy w dół alei się rzuca i już jej nie ma.

Mason rad byłby ostać w domu. Jakkolwiek by swój kapelusz obrócił, strumień dżdżu i tak gdzieś w jego osobę trafia. Wraca do Vroomów, ślizgając się w błocie, a strugi ołowianej bieli¹ perucznego pudru biegną mu w dół ramion i wyłogów surduta. Drzwi są zamknięte, śmiech Els i sióstr słychać zza nich. Wściekły, dumnym krokiem w ulewie na tyły się udaje, wyszukuje drabiny i o balkon ją opiera, którego okno otwarte się zdaje. Lecząc go sięga, już nie jest. Trzymając się jeno niepewnie balkonu, Mason miarkuje i w swych stóp krzątanie i w dół zerkania w samą porę, by obaczyć zabraną drabinę znikającą za węglem w dłoniach radej z figla Jet, która z jakowejś przyczyny czuje się dziś niedocenianą. Wisi zatem astronom w niedoli, sól oceanu w wietrze kosztując, a pełen stoickości.

– Wkrótce – mamrocze na głos – nastąpi oddzielenie.

W rzeczy samej, sworznie, co balkon do budynku mocują, na większy ciężar niżli młodzieńcza, damska stópka niesposobione, poczynają wymykać się wapnu i piaskom, które je do tej pory tak ozdobnie trzymały, straszliwymi jękami przy tym opo-
nując.

– Cóż to – da się posłyszeć wołanie – chyba nie znowu?²

I wnet, odskoczywszy od chylącego się żelastwa, pada Mason, litościwie jeno w kontuzjach i bólu, na nasączoną ziemię. Tym razem rezolucję bierze, zlec kapkę – jak to sobie przedstawia, w poddaniu mocom przyrodzenia – pozwalając strugom obmywać go do woli. Atoli po chwili czuje, iż krople, co oblicze jego sieką, osobliwie na wadze przybrały, a dalej jakoby coś po skosie twarz jego przemierzało, w samej rzeczy, peźzło...

– Aaa!

Ściąga z policzka żuka, długiego na pół cala i jarzącego się zielonym światłem, jakoby niósł świeczkę w brzuchu. Dzikim spojrzeniem okolicę obiega – wszędzie wokół – jak się okaże, w całym Kapsztadzie – sypią się z nieba owe insekty, z gór i pustyni tu zmiecione. Z jakichkolwiek znanych Masonowi zaświatów nie jest to wszelako przesłanie, jeno preludium pory deszczowej.

– Czegóż to sobie zyczyliśmy? Skanderun, czyż nie? A w zamian namaszczone nas tym, co jak wyrokowano, zalegało nasze tchórzliwe portki, i tu posłano, gdzie, jak im dobrze wiadomo, widoczność marna. Jakież szaleństwo nimi kieruje? Szczęściem byłoby tu choć Słońce obaczyć, a ileż lat da nam dość bezchmurnych nocy, by wyrachować szerokości i długości stopnie?

– Inaczej byłoby w Skanderun – Dixon przyznaje. – Powiadają, iż port to niemal europejski.

¹ Biel ołowiana, cerusyt – węgiel ołowiu, pigment.

² Najprawdopodobniej nawiązanie do znanego cytatu z kultowego słuchowiska radiowego BBC „Autostopem przez galaktykę” z 1978 roku.

– Bajeczne Skanderun – wdycha Mason. Poczynają razem podśpiewywać na melodię kubańską, andante.

*Skanderuuun,
Radbył być być w Skanderuuun,
Trza nam wkrótce pić tam ruuum –
W czerwcu Wenus ujrzy tluuum
W Skanderuuun!
Blisko Anglii port to biały,
W Azji Mniejszej, jak słyszałem,
Palmy cień będą dawały,
Moglibyśmy zlec dzień cały,
Rachatlukum napchać gęby,
A spisawszy obserwacje,
Gdy się w rogal zmieni Księżyc,
Wyjść w mrok, w nocy rewelacje.
Morza Śródziemnego szum,
Muezin, arabski tum,
Nie zapomnę ja, ni kum,
Souvenirów z Skanderun.*

Cóż za nadzieja. Teraz rządzi słońce i będzie aż po październik. Jednego popołudnia dziewczęta ruszają w ślad za Masonem do obserwatorium, aż po kraniec zboczy Góry, gdzie chadzać im nie wolno.

– Ojciec powiada, iż to z racji afrykańskich kawalerów – obwieszczają z powagą Austrze, która śmieje się wesoło.

– Kawalerów! Dzieciny to raczej. Trzymajcie się blisko, chronić was będę. – A pragnie rzecz także „To nie u nich długie wasze rosną, lecz u niewiast afrykańskich, od których bierzecie i bierzecie bez ustanku czy słowa przeprosin”. Atoli, głośno powiada: – Postarajcie się jeno narzucić coś na włosy. Tam, dokąd zmierzamy, jasne widują tylko, gdy *kommando* przejeżdża, a jego widok czasem każe im działać popędliwie.

– Pozwolę moim powiewać dzięką grzywą – Els woła.

– Narzucić coś na włosy? – Jet się dziwuje. – Nie mamże czym się zajmować?

– Rada będziesz ukryć je przed wiatrem – Greet rzecze.

– Aż się pod szalem zmechacą? Pięknie dziękuję.

Lecz zbyt już zaszły wysoko, by bez asysty mogła wrócić do domu. Zaszły do Afryki. Przychodzi chwila, z którą nie słycać już miasta. Starcza to, by do Afryki je przenieść. Dziewczęta widzą Zatokę, za nią morze, łodzie i okręty, lecz brak głosów, uderzeń i woni portu szorstkiej – są teraz na kontynencie. Kapsztad to nie więcej niżli pokaz w galerii cudów, gdzie deszczowe chrząszcze szeleszczą. Kto się spojrze zechce przez ramię, a przyglądać się będzie zbyt długo lub nawet ze zbytnim uczuciem, może miasta nie obaczyć już nigdy. Albo zmienić w słup soli i białym ostać na wieki.

Mason, daleko w przodzie – uliczkami brnąca postać w ziemistym stroju – zdaje się kierować w stronę przedziwnej, przysadzistej, walcowatej budowli o stożkowym dachu, co przycupnęła dość wysoko, by w dole mgły poranne ostawić, a przynajmniej nadzieję taką żywią astronomowie.

– Toż to skrzacia chatka! – szepcze Els.

Jet przygląda się końcom sporych garści swych włosów.

– Spójrzcie tylko na nie. Pół godziny temu winny były moczyć się w białku. Czy wiecie, co mi grozi, gdy dzień jeden opuszczę? Rozszczepione są już na potęgę.

– Czy ktoś spostrzegł owo światło? – pyta Greet, gdyż Słońce ciemnieje prędko, zalewając piekielną czerwienią wszystkie płazy, w których do niedawna światło dnia się przegładało.

– Ha, nigdyś tak blisko Byczego Oka nie była? – Austra uśmiecha się groźnie. – Witajcie w Republice Drosterskiej, panienki. Tu wysoko, niektórzy wierzą, iż Bycze Oko żyje i krąży... szukając tych, których wziąć zechce.

– Musimy poprosić imć Masona o schronienie – woła Jet.

Drżąc i popiskując, rzucają się w te pędy ku obserwatorium, w górę błotnistej zbocza, właśnie gdy się burza rozpętuje. Zjawiają się w drzwiach do suchej nitki przemoczone. Mason nie kuli się ze strachu, jak później objaśni, i przykro mu będzie, iż tak to wyglądało – raczej chronił instrumenta. Dixon zaś, z nie mniejszym baczeniem, drzwi otwiera, i oto wpada do środka gromadka, mokra i rozwydrzona.

Cieśla z *Seahorse'a* i ludzie jego wzniesli budowlę niczym okręt wojenny solidną, dach jej i nity wysmołowali, a i przydali parę bloków od armatniej talii, coby panowie od wewnątrz okiennice zamykać i otwierać mogli.

– Puśćcie ją na wodę, zagniazdujcie maszt i rozepnijcie nieco płótna, a będziecie mogli pożegłować do domu – zapewniali.

Sześć osób mieści z trudem – z mniejszą niewygodą, co Jet i Els właśnie odkrywają, jeśli dwie zlegną społem na jednej astronomicznej pryczy – tak jak wnet i Austra z Greet na drugiej.

Ulewa w stożek nad ich głowami ścianą deszczu bije. Nie ma nic do picia nad przyładkową maderę, trunek fioletowy i gęsty, którego trzeba sześć czy siedem flaszek, by choć krztynę wczasu zażyć. O pracy mowy nie ma – harówkę przy logarytmach dociągnęli, zegara doglądnęli, talię przy okiennicach zabezpieczyli.

– A zatem. – Mason stuka w kant stołu złowrogą, hebanową skazówką, której użycie do prostego przywiązywania uwagi wcale się nie sprowadza. Dziewczęta wiercą się aż miło. – Jako że, młode Damy, byłyście tak miłe i złożyłyście nam wizytę podczas godzin szkolnych, winni jesteśmy upewnić się, iż edukacja wasza w jakowymś kierunku się posunie. Z tych miar lekcja dzisiejsza zbliżającego się przejścia Wenus tyczyć będzie.

Słychać okrzyki:

– Ach, błagamy, nie.

I:

– Tylko nie przejście Wenus!

Prostoduszny z przyrodzenia Dixon wytrzeszcza oczy.

– Cóż zatem, u licha, tu was przywiodło, moje panny, jeśli nie ciekawość tego, czym się trudnimy?

Wszystkie wymieniają spojrzenia, po czym Austra ku Masonowi zwraca się z sztyderym uśmieszkiem i oczy ku niebu kieruje, gdzie ryk burzy nie słabnie. Jej jasnowłose rajfurki poczynają spierać się jedna przez drugą, a Mason pojmuje, iż vroomowego drobiu wokalne ataki nie są przyrodzone, lecz przejęte na tym świecie od jego właścicielek.

– Drogie damy, proszę, zaprawdę – woła. – Widziałyście ją na wieczornym niebie, ślałyście jej swe prośby, a teraz oto obaczyć ją będzie można przez czas krótki w świetle dnia, dysk słoneczny przecinającą. Wypowiedzcie naówczas życzenie, jeśli mniemacie, iż to pomoże. Dla astronomów, co pospolicie nocą działają, sposobność

owo zdarzenie czyni w dzień się stawić. Przez całe nasze astronomiczne życie Wenus jest plamką świetlną, niczym Miesiąc miarowo malejąc i przybierając zawsze na czarnym obliczu wieczności. Atoli w dzień przejścia odwrócić się nagle role i uchwycimy ją, ciemną, twardą i cielesną, na tarczy Słońca – boginię zstępującą w materię ze światłości.

– A naszym zadaniem – rzecze Dixon – przyjrzeć się jej przejściu i spisać, o jakiej porze się zjawi, a o jakiej z tarczy zejdzie.

– To wszystko? Mogliście ostać w Anglii i tam to uczynić. – Smukłe szyjki i zgrabne bródki stroją nowe pozy, jasnowłose dziewczęta śmieją się spolem, coraz to zuchwalsze i nieprzyjemne.

Biorą je na krótką, choć zawroty głowy przydającą wyprawę, wprost ku górze, w eter, aż wkoło nich w szarawym świetle gwiazd rozciąga się sędziwa, żyzna ziemia. Na niej skazówka, co cielesność swą gubi i w różdkę światła zmienia, kreśli rozpalone jakoby do białości, błyskające łuki.

– Paralaksa. Kto z Przylądka Północnego¹ spogląda, temu szlak przecięcia Słońca przez planetę na południe bardziej leżeć się zdaje niżli stąd, na Przylądku Dobrej Nadziei. Im dalej obserwatoria leżą na północ i południe, przeto tym lepiej. Co poznać pragniemy, to odległość kątową pomiędzy nimi. Pewnego dnia ktoś, nosa z gabinetu nie wysuwając, wszystkie obserwacje z całego globu jako pospolitą liczbę sekund łuku przedstawi i sekund dziesiątek i to właśnie paralaksa będzie.

– Żyjmy nadzieję, iż któraś z was dość wcześnie z łóżka się zerwie, by przejście obaczyć. Pamiętajcie, by oboje oczu trzymać otwarte. Trzy ciała staną w doskonałym szeregu – układ heliocentryczny prawdziwy swój mechanizm okaże, kunszt jego jakże nieskalany.

Każda z dziewcząt wzrokiem oblicze towarzyszek pętlami omiata, niczym zdobnie trefionymi puklami, starając poznać, czy winna pojmować owe przemowy, czy też – gdyż okrutne to młode ślicznotki – przejmować się choć trochę.

10

Niczym planety wkoło Słońca i my krążymy wkoło Boga, podle praw keplerskich w swej zgrabności równych, a i tyleśmy Go przytomni, co Słońca jego trabanty. Choć Boga nie widzimy, wiemy atoli, w jakim miejscu orbit naszych się znajdujemy – kiedy nam bliżej, a kiedy dalej – kiedyśmy w Jego świetle, a kiedy w cieniu, co sami rzucamy... Czujemy, iż składnikami owej siły ciężenia Jego miłość jest, Jego potrzeba, czy co to nas w ruchu okrężnym utrzymuje. Z pewnością, jeśli planeta żywa jest istnością, wie tedy, z czegoś nad wzrok człowieczy nawet cudowniejszego pomocą, gdzie jej Słońce świeci, jak daleko by nie leżało.

Wielebny Wicks Cherrycoke, „Kazania drukiem nieogłoszone”

– Pokaż nam na tellurium – poddaje Pliniusz.

– Ja Słońce zapalę – woła Pitt, ruszając pędem do karcianego stoliczka, gdzie świece się trzyma w szufladzie.

¹ Nordkapp w Norwegii, najdalej wysunięty na północ punkt Europy.

Tenebra miarkuje, iż w tłumie, jaki się zebrał w rogu wokół maszyny, przypadło jej miejsce całkiem blisko kuzyna Ethelmera, który stara się przypomnieć sobie, ileż to ona ma lat. Nie pamięta, by wyglądała kiedyś na tak... zdatną do małżeństwa, jak mniema. Jakże zatem on jest stary przy niej? Na chwilę widzi kraj ciemnej chmury rozpaczy, lecz obiecuje sobie później to roztrząsać, uśmiecha się i rzuca:

– Czy pamiętasz, jak odcięłaś lok z głowy, kształt mu nadaliśmy komety i w tellurium umieściliśmy?

– Odrósł dawno temu, kuzynie.

– Byłaś także naówczas o wiele mniejsza. Niemal siadać musiałem, by pocałować cię na przywitaniu. Atoli, teraz... hm... to jest...

– W niebezpieczne się, kuzynie, zapędzasz rejony.

– Jakże to? Niewinny całus na policzku dziecka złożony?

– Gdybyś był pytał, co u dziecka słychać – powiada Tenebra, unosząc powoli brodę – odkryłbyś może, iż twa edukacja nieoczekiwane czyni postępy, Ethelmerze.

Sekundy ułamek Ethelmer wprost w jej nozdrza się wpatruje; w jednym różowe światło słoneczne, gdy świeca Pitta rozświetla główną tellurium latarenkę, co przedstawia Słońce. Inne planety czekają, brzęcząc niemal, naprężone na swych pajęcznych dźwignikach przy wale korbowym i korbie, przez Wielebnego Cherrycokę'a trzymanej. Bliźnięta, zepchnięte na tyły, zadowolają się ruchami najdalszych planet, Saturna i owej nowej, „georgiańskiej”, co ledwie trzy lata sobie liczy¹. Doktor Nessel, znakomity inżynier niemiecki, niespodziewanie zjawiał się zesłej wiosny w mieście, pokonawszy morze w czasie wojny, by bez opłaty przydać nową planetę niezliczonym telluriom, jakie w Ameryce zmajstrował, w każdym sporządzając ją wedle nieco innej mody. Gdy zjechał do Filadelfii, na miniaturowe, błękitno-zielone globy nakładał *mappemondes* dość zawiłe, jakoby ujawniany mu był, przy każdym tellurium z osobna, świat z historią dłuższą niżli nasza – oceany, co dopiero przemierzyć trzeba, ziemie do zdobycia, nowe gatunki do uciemienienia. Od owego czasu wiele godzin spędziła dzieciarnia z lupami w dłoniach, wpatrując się w ów świat nowy i oswajając go. Przedstawili sobie, a i po części spisali, księgę „Historia Nowej Planety”, do której wkład Bliźniąt stanowiły wojny, Teni zaś wynalazki naukowe oraz przydatne rzemiosła.

– Oto – rzecze Wielebny, ustawiwszy zgrabnie korbką Wenus, Słońce i Ziemię we właściwym szyku – patrząc z Ziemi, Wenus, co dysk słoneczny przeciąć miała. Dla kapsztadzkiego spektatora w pięć i pół godziny mniej więcej, od jednego rąbka tarczy po drugi. Co uważający ustalić winien, to ścisły czas owego przejścia początku i końca, a z wielu takowych obserwacji na całym świecie, a osobliwie tych szeroko od siebie w północno-południowej osi oddalonych, wyrachować można wartość słonecznej paralaksy.

– A cóż to takiego? – Pitt i Plin radzi byłiby wiedzieć.

– Miara Ziemi, w sekundach łuku, jakby widziana okiem patrzacza z płazu Słońca.

– Czy nie dostaje ów na stopach pęcherzy? – krzyczy Pitt, przez brata zagrzewany. – Czyż nie jest zbyt zaprzątnięty skakaniem wkoło na jednej nodze? A co z jego teleskopem, czyż się nie stopi?

– Wszystko to i jeszcze więcej – powiada Wielebny – co nad wyraz nieordynaryjnym to czyni, iż dzięki magii niebieskiej trygonometrii, do której z pewnością sami moglibyście się przykładać, da się skutecznie podobne pomiary; jakoby teleskop,

¹ William Herschel odkrył Urana w 1781 roku (a więc pięć lat wcześniej), za panowania króla Jerzego (George'a) III, który był jego mecenasem.

tajemnym sposobem, przewoził nas bezpiecznie wśród wszystkich niebezpieczeństw budzącego lęk bezmiaru nieba, aż ku ciału, które zbadać pragniemy.

– Nośnik pożądania.

– W rzeczy samej. Dziękuję, DePugh.

DePugh jest synem Ivesa LeSparka, co, podobnie jak Ethelmer, na wizycie domowej bawi, przyjechawszy ze szkoły, w tym wypadku – Cambridge, a Atlantykiem w tę i z powrotem kursowym rejsiem z Falmouth¹ wojażuje z równą swobodą, co łodem do New Castle². Od młodego wieku wykazuje matematyczne zdolności. Niech Bóg się nad nim ulituje, życzy sobie w skrytości ducha Wielebny.

Ktoś, gdzieś w świecie, przyglądający się planecie ciemniejącej na tle Słońca – mrocznej, szalonej, śmiertelnej – dalibóg, postać to Bogini zupełnie nowa – wstrzymać się nie może i w owej właśnie chwili mamrocze ustęp dziewięćdziesiąty piąty z Safony, rujnując tym samym obserwację, jak się zdaje:

– *O Hesperos³, sprowadzasz wszystko to, co dzień jasny rozproszył, zaganiaś owce i kozy, dziecinę sprowadzasz na powrót do jej matki.*

– Pięknie dziękujemy, żeś był łaskaw się tym z nami podzielić... pomnij tylko, iż Słońce teraz wstaje, mój drogi, wstaje, a nie zachodzi.

– Podejdź! Jeszcze nie zesła!

– Zobaczmy. Cóż, zechciej spojrzeć na to. – Choć sporo już w głąb wtargnęła, coś na kształt długiego, czarnego włókna łączący ją atoli z rąbkiem słonecznej tarczy, na podobieństwo kropli inkaustu, co opaść ma lada chwila z pióra roztargnionego skryby – w bok, nie w dół, rzecz jasna. – Chyżo! Niech ktoś czas odnotuje!

Takich oto albo też dziwacznych postępów uświadczyc można, jak świat szeroki, dzień cały piątego i szóstego czerwca, przy okrzykach po łacinie, chińsku, polsku, bądź w ciszy, na dachach, szczytach górskich, w oknach sypialni – blisko siebie w jaskrawym świetle Słońca, z żoną doglądającą uderzeń zegara – przez teleskopy Gregory'ego⁴ i Newtona, achromatyczne i pomazane tęczami, prosto spod igły reflektory na ową okazję sporządzone, a i sędziwe refraktory o niedorzecznej ogniskowej francuskiej roboty. Leżą, klęczą, siedzą i czemuś się na niebie przypatrują. U tych, którzy straż przy okularze na całym globie pełnią, pierwsza chwila zetknięcia dźgnięciem się w sercu objawia, jakoby coś stracili i odzyskać już nie mogli – po latach przygotowań, długiej i, przy odrobinie szczęścia, mdłacej jeno podróży, przybyciu do celu, szerokości i długości stopni spisaniu – tydzień już do przejścia, dzień, godzina, minuta, a w końcu: – Cóż to? Gdzie ja jestem?

Astronomowie będą dokładać starań, by odnotować cztery przypadki doskonałej styczności pomiędzy tarczami Wenus i Słońca – dwa przy wejściu – *contactus externus*, przy pierwszym z zewnątrz solarnego rąbka tknięciu, a następnie *contactus internus*, w chwili, gdy czarna drobina w końcu się od wewnętrznej okolicy złotego dysku oddzieli i Wenus osobno na tle tarczy słonecznej stać będzie, drugą parę przy zejściu, tym razem pierwszej od wewnątrz, a z zewnątrz potem. Osiem lat minie, nim sposobność nadarzy się wtóra i dla tego pokolenia ostatnia – jakoby Mroczny Inżynier Stworzenia z zamysłem tak urządził odstępy, by wymusić pewne nauczanie, tyżące granic człowieczej chwały śmiertelnością narzuconych.

¹ Port w Kornwalii.

² Miejscowość w stanie Delaware, obecnie w aglomeracji filadelfijskiej.

³ Hesperos, Hesperia, Gwiazda Wieczorna – Wenus.

⁴ James Gregory (1638–1675), astronom szkocki.

Niebo ostaje spowite chmurami aż po dzień przejścia, w piątek, dnia piątego czerwca. Zeemannowie, pospołu z Vroomami, krzątają się żywo jak rzadko, gdy ich przyrównać astronomom, co zdają się wbrew przyrodzeniu spokojni.

– Wiele hałasu o nic – Mason powiada.

Dixon się zgadza.

– A pospolicie tak są beznamiętni, nieprawdaż?

Els ślizga się ku nim po posadzce w samych pończochach, zmierzając do kuchni z fartuszkiem pełnym tartofli.

– Nie frasujcie się! – woła. – W porę się rozpogodzi!

Nawet Cornelius na dach zawędrował, gdzie przeczesuje mgły nautyczną lunetą, donosząc o pomyślnych wiatrach i przejaśnieniach.

– Zawsze tak to przed dniem bezchmurnym wygląda – astronomów zapewnia.

Niewolnicy rozprawiają niedosłyszalnie i widuje się ich spoglądających w stronę gór. Nigdy jeszcze nie widzieli swych właścicieli w podobnym stanie. Poczynają się do Masona i Dixona uśmiechać, niepewnie, lecz wprost.

Z astronomów jeden na bezsenność cierpi, lecz nikt z domowników rzecz później nie będzie umiał który. W spiżarni, kapki potrawy, co się *ketjapem* okazuje, każą wyrokować, iż nie sypia Dixon, aczkolwiek kieliszek do wina porzucony na kurzych klatkach wskazuje na Masona. Straż nocna afiszuje się, przechodząc koło Zeemannów co godzina, wyśpiewując, która to, przed ich frontowymi drzwiami, i dodając: – A niebo wciąż zachmurzone!

Jakimś sposobem wszyscy są na nogach z pierwszymi zorzami. „Słońce weszło w mgłę gęstej i wnet się w ciemnej chmurze ukryło”, jak Mason i Dixon na łamach „Transakcji Filozoficznych”¹ po powrocie doniosą. Zegar skazuje godzin zero, minut dwanaście i zero sekund. Dwadzieścia trzy minuty później po raz pierwszy Wenus dostrzegają. Każdy leży z okiem przyciśniętym do okularu jednego z dwu jednakich, gregoriańskich reflektorów imć Shorta roboty, długich na dwie i pół stopy, z ćmiącym szkiełkiem od pana Birda.

– Sporo drżenia – Mason psioczy. – Będą jeszcze nieco wzejść na niebie musiały. I znów nadciąga ta przeklęta mgła!

Obaczywszy planetę, Dixon z grzesznika się nawraca.

– Ach, wszelki duch Pana Boga chwali!

– Spokojnie – radzi Mason w irytacji.

Dixon przypomina sobie opowieść, którą z lubością Emerson przytaczał, o Galileuszu przed kardynałami, co, do wyrzeczenia się swych słów zmuszony, padł na kolana, szepcząc: „A jednak się kręci”. Wpatruj się, równie cierpliwie, co w skazówkę minutową zegara, powstrzymaj gesty, a wszystko z miejsca ruszy... Dla tej oto rzeczy, Dixon pojmuje, Galileusz właśnie tak wiele narażał. Oto majestatyczna herezja świtania.

– Nie tylko Stwórcę widzieliśmy przy pracy – później Masonowi powiada – lecz i Newtona z Keplerem starań ucieleśnienie. Jej pojawienie się ściśle w porze wyrachowanej, trzy ciała niebieskie w jeden szereg schodzące... Ach, bez dwu zdań, zakręciło mi w głowie.

Nie bacząc na przyczyny, czasy, jakie odnotował, dwie do czterech sekund Masona ubiegają.

– Do wszystkich innych korekcji, które weźmiemy pod rozwagę, winniśmy teraz przydać nową, na uważającego popędliwość – Mason mniema – a zwać ją będziemy może „leonacją”.

¹ Periodyk Towarzystwa Królewskiego.

– Równie dobrze korekcję na „tauruzację”¹ stosować możemy – Dixon odcina – czyli spóźnienia wynikłe z niepodzielnej uwagi.

Dziewczęta także przejścia obserwacje poczyniły, wyblągawszy słodkimi słówkami u znajomego żeglarza pożyczkę nautycznej lunety i własnymi rękami zaćmiwszy soczewkę świeczkami z owczego łożu. W okular zerkały posobnie, czasem nawet ustępując miejsca swym rodzicom. Jet szepnęła w napięciu:

– Zaprawdę tam jest.

Greet dodała:

– A i w czas!

A Els, hm, przedstawić sobie możemy, jakie miała zamysły i co się stało w chwili, gdy pękło ostatnie z czarnych włókien, co przy wewnętrznym rąbku Słońca planetę trzymało, a Wenus opadła nareszcie w pełnej krasie na ową cętkowaną, jaskrawą tarczę, przyćmioną szkiełkami na podobieństwo jarzącego się Księżyca, którego blask oko człowiecze znieść może.

Tak jak przed przejściem, maj włókł się nadprzyrodzenie, tak, po nim, czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień przyspieszą cudownie – aż po wczesny październik, kiedy to kapitan Harrold z *Merkurjusza* uzna pogodę za dość zdatną, by astronomów na pokład zaprosić i, nim minie, na Świętą Helenę powieźć. W owym czasie nowego towarzystwa wszyscy są już niezmiernie spragnieni. Północno-zachodnie deszcze zawładnęły miastem na dobre – na wszelkie intrygi ogłoszono moratorium, jakoby bogini miłości przy swej wizycie przestrzegła wszystkich, co by ją wzywać pragnęli, by zajęli w swe serca i tyłu zdrad się wobec niej nie dopuszczali.

Po przejściu astronomowie i gospodarze snują się dni całe w głębokim otepieniu, niczym hulacy i ich oblubienice po jakowejś namiętności katastrofie. Skończyły się Zeemannów ze służbą ambarasy, zatem astronomowie stołować się do nich wracają i przez cztery następne miesiące wiodą życie prawe i bezbarwne, posilając się nie lepszym ani gorszym niżli dawniej jadłem, wyczekując pomyślnych wiatrów. W górach Bycze Oko władca. W całym mieście impulsywność poskromiona coraz częściej ustępuje powściągliwości. Bawiący przejazdem hinduscy mistycy pogrążają się w transach, co niegdyś za bezmyślne mieli, a tu, gdy je letargowi dni słotnych u Holendrów przyrównać, zdają się umiaru nieznanymi *ridotto*. Niewolnicy, jakoby pewną tajemną stałość zachować pragnęli, poczynają być bardziej widoczni i podnoszą głosy, a ich muzyka powietrze przenika niby z odległych dzielnic miasta niesiona deszczem. Johanna i dziewczęta, po krótkiej wycieczce z frywolności w pobożność – Jet tak daleka w zapamiętaniu, iż niczym zakonnica zakrywała włosy półprzezroczystym, skrzydlatym czepcem, który zmaistrowała z tkaniny na okienne zasłony – po kilku tygodniach wracają do dawnych swych sztuczek, tym razem ku ucieście trzech młodych kompanijnych pisarzy, co zesli niedawno z pokładu w False Bay² – pana Delvera Warpa i braci Vowatów – w drodze do domu z Bengal³, gdzie nie dorobili się fortuny, z sumką w kieszeniach na tyle jeno dużą, by przyciągnęła przyładkowe ślicznotki, o wiele mniej niżli Vroomowsy wybredne, co lękają się, iż jeśli owych groszy nie przechwyć, zawędrują one wkrótce w grze do sakiewek portowych frantów. Niebo Johannie tych kawalerów zesłało! Przez Indie są zepsuci, lecz ubodzy – bez umiaru rozpustni, lecz od marszczek wolni – stanowią przeto przednie źródło krwi białej. Gospodyni widzi już niemal owe dzieciны, na targu wystawione, tak uro-

¹ Dixon w istocie urodził się pod znakiem Lwa, Mason pod znakiem Byka.

² Zatoka wzdłuż wschodniego brzegu Przylądka Dobrej Nadziei.

³ Bengal został podporządkowany w 1757 angielskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej przez Roberta Clive'a.

cze, iż same się przedają, kwiląc i stópkami w powietrzu wierzgając, i przy swych staraniach w coraz sroźszej się pogrąża monomanii, Austra zaś rozważa, który młodzian najśladniej padnie jej powabów ofiarą, a który, jeśli się taki trafi, większym będzie wyzwaniem.

Właśnie teraz, zza tylnych podwórek zazdrośnie strzeżonych przez ich drapieżne kury, dochodzą znów odgłosy niewieściej uciechy. Mason spogląda na Dixona.

– Przynajmniej tam wrócił dawny porządek – napomyka. – Przez chwilę głowę sobie łamałem, czy w mieście zaszła jakowaś nagła przemiana? We mnie, czegom niepomny?

Dixon przypomina sobie, jak Wesley zjechał do Newcastle prawić kazanie.

– Jego pierwsze na północnym wschodzie. Do kościołów waliły tłumy, całe Tyneside, a i dalsze ziemie, odmienione, sercem oddane. Ciągnęło się to tygodniami, choć może i miesiącami, gdy zważyć, co naówczas o czasie było mi wiadomo – pędrakiem byłem, lecz pojmowałem. Mało co mię przedtem dziwowało, atoli najprzedniejsze było to w naszych stronach zdarzenie, odkąd Harry Clasper¹ wyrócił do góry dnem jęgomościa z Hetton-le-Hole. Nic, czego później świadkiem byłem, równać się z tym nie mogło. Aż do przejścia Wenus... Owa przemiana w duszy, czy poczułeś, przyjacielu? Z niewolnikami rozmawiać poczynają, biją z rzadka, jeśli w ogóle... choć lepiej szepsem rozprawiać o tym, by nic nowemu nie groziło.

– Holendrów strach obiegl – Mason dorzucić może. – Śmiertelnie są wystraszeni.

– Cóż, w rzeczy samej. I ze mną tak się działo, gdym pierwszy raz tego doświadczył.

Mason zerka podejrzliwie, wietrząc uniesienie.

– Doświadczył? Czy zezwalają ci o tym rozpowiadać?

– Wydalono mię ze zgromadzenia w Raby, czyż nie? Mogę wyjawic wszelkie mistyczne sekrety wedle upodobania.

– Nasamprzód winno się mieć kapelusz na głowie, nieprawdaż?

– Tak, Duch Święty zgrabny kapelusz sobie ceni. Lecz rzeczą pierwszej wagi jest chyba zachowanie milczenia. Dopiero minąwszy wiek młodzieńczy, nauczyć się tego zdołałem, choć teraz pewności nie mam już, co czynić.

– To wszystko? Siedzieć w milczeniu? I Jezus się... objawi?

– Zwaliśmy to szukaniem objawienia w sobie. Wyrażna to w codzienności odmiana. Jeślibyś jej doświadczył, przeoczyć by ci było nie sposób, przyjacielu.

– Lecz, jak powiadasz, mija...

– Słabnie. To my wszak od niej odchodzimy, by oddać się różnorakim powinnościom śmiertelników. I tak kolejna wizyta wkrótce niezbędna się staje, powtórna przemiana i koło toczy się dalej. Atoli wszystko to pożądlivość, a ta niczym więcej jak ucieleśnieniem w doczesnym świecie tego, co kwakrzy pojmują jako Łaskę.

Naówczas mniej więcej, w sposobnej porze, osaczony słotą Mason poczyną przesiadywać w pokoju, gdzie, zamknąwszy okiennice, jak tylko może ciszę zachowując, wyczekuje Pańskiego objawienia. Ma atoli w zwyczaju podrywać się i wybiegać, by najświeższymi doniesieniami ze swych dokonań przeszkodzić Dixonowi, który tego samego próbuje.

– A niech mię! Mniemam, iż niemal już się to stało! Czy odczuwa się tu coś na kształt dziwacznej sensacji? – Dłoń sobie do czoła przykładą. – Czy to to?

– Masonie, naprzód sięść trzeba, a nie tak hycać. Po wtóre, siedzieć spokojnie. W ciszy, bez ruchu.

¹ Żart autora; Harry Clasper to słynny dziewiętnastowieczny wioślarz z Tyneside.

Do swych pokoi wracają, póki Mason w swym krześle nie uśnie i z hukiem na ziemię się nie zwali lub Dixon rezolucji nie weźmie wyjść w końcu na miasto, by do Krańca Świata zajrzeć, wybadać, co knują może przylądkowi banici.

Mijają tygodnie i powoli przemiana ducha, jakiej Mason i Dixon przedstawiali sobie być świadkami, ustępuje kolonii i wszytkiemu, co ją trapi i nawiedza. Nikt się już nie lęka, iż upadnie stary porządek rzeczy. Panowie i damy na powrót niewolników swych obelgami obrzucają, a ci ozywają się w mowie dżungli, do której to, wkrótce ochrypli z rozpacz, bez nadziei na bycie zrozumianym, wracają, niczym do rodzinnego domu... Na drogach obaczyć można wjeżdżających i wyjeżdżających z miasta białych jeźdźców, dzierzących długie strzelby sterloopami zwane, na których bakach policzkowych odwrócona, srebrna gwiazda widnieje.

Natrafiając na Vroomówny na ulicy, Mason i Dixon kłaniają się im i idą dalej, a każda z nimi rozmowa coraz bliższa jest milczeniu. Gdy wiatr południowo-wschodni do porządku dnia dołącza, nic już nie ostaje, co można by rzec im czy innym, co ich gościli.

– Wszystkich was ostrzegałam – pani De Bosch triumfując powiada z zaśpiewem. – Czyż nie? Ostrzegałam każdego. I nie byłabym zdziwiona, gdyby te przerażające instrumenta, co z sobą przywieźli, posłużyły tu całkiem innym zadaniom.

Gdy opuszczają Przylądek, nikogo na nadbrzeżu nie ma, kto by ich żegnać pragnął, jeno Bonk, oficjalista, co wcześniej ich witał.

– Pomyślności, druhowie. Tym przy biurku rzeknijcie, iż nie byłem taki zły, dobra?

– Jakimż to biurku? – Mason i Dixon pytają.

– Jakimż biurku? W Londynie, w bok od jakowejś zadbanej ulicy, w schludnym domu, będzie ktoś przy biurku, komu opowiecie, co żecie widzieli.

– Nie w Anglii, panie – Mason oponuje.

Po raz pierwszy a i ostatni widzą go, jak się śmieje, i uchwycić przez chwilę mogą całe jego poza Cytadelą życie, w którym wesołym musi być w karczmie kompanem.

– Przekonacie się sami! – woła, gdy wypływają ku okrętowi, co w zatoce stoi. – Pomyślności! Ha, ha!

Śmiech niesie się po wodzie, co coraz szerzej się przed nimi rozwiera.

– Co sprawiło, iż domy swe rodzinne opuścili żeglować przez niebezpieczne morza, orzekające, dokąd na globie winni się udać, było – *pace* każdemu astrologowi w tym pokoju – nie niebiańskie zdarzenie samo w sobie, lecz raczej pozbawione blasku zgromadzenie potrzeb człowieczych, których Wenus w chwili ściemnienia głównym była przedmiotem, w tym potrzeba Towarzystwa Królewskiego, by znać słoneczną paralaksę – lecz co z pragnieniami samych astronomów, co mogły mniej być filozoficzne w swym przyrodzeniu?

– Miłość. Wiedziałam. – Tenebra niemal wzdycha. – Miłość do samej planety to była.

– Co, rzecz jasna, z twą równać się nie może. – Wuj się doń uśmiecha. – Przypominam sobie, iż nie więcej niżli trzy lata sobie licząc, po raz pierwszy obaczyłaś Wenus przez przedni reflektor newtonowski swego Papy. Była jeno rogalikiem, a ty zawołałaś: „Patrzcie! Miesiączek!”. Powiedziałaś nam, iż wiedziałaś już o będącym w posiadaniu Miesiąca Miesiączku, z którym ów baraszkuje.

– Wychodziliśmy z domu, gdy już dawno pora do snu się kładzenia przeszła, i wspinaliśmy na pastwisko – wspomina z lubością Tenia. – Obserwatorium jeszcze nie wzniesiono. Kucyki stały społem, dość zezłoszczone, i wpatrywały się w nas, gdy się zbliżaliśmy, a oczy ich błyszczały w świetle naszych latarni i zawsze zdawało mi

się, iż dochodzi mych uszu ich mamrotanie, gdyż rzeczą było jasną, iż spokój ich zakłócamy.

– Czy was gryzły? – Pitt wypytuje.

– Mocno? – Plin dodaje.

– Wrr! – Tenia unosi tamborek, jakoby nim cisnąć w nich chciała.

– Zaprawdę, znajdźcie metodę – radzi ciotka Eufrenia, wchodząc do pokoju z naręczem nut i swym obojem – by sprzeczać się przy mniejszym rabaniu, inaczej Wuj sfrymarczyć będzie musiał waszą parkę u Włochów, co ponoć na południu miasta mieszkają, a u nich waszą powinnością będzie uczyć się ich wulgarnych melodii i jeść każdego dnia czosnek, tak jak i inni czynić to będą.

– Hurra! – wołają Pitt i Plin. – I na śniadanie!

– Dalibóg, cóż to za kulinarne herezje? Cherrycoke'ów nie jest to dziedzictwo – prycha ciotka, wyciągając z zanadru nóż, złowrogi jak rzadko, i poczynając z wielkim baczeniem strugać stroik do swego instrumentu z tyczki schuyllkillskiej trzciny. – Taak, cudny, czyż nie? – Kiwa po chwili głową, jakoby w odpowiedzi na komplementa. – Podarunek od sułtana. Drogi Mustafa. Między sobą, w komnatach haremu, „Stefciem” go wołałyśmy.

Gdy Tenia, raz i jeno raz, błąd popełniła, zachłystując się ze zdziwienia i wołając bez namysłu: Ach, cioteczko, byłaśże w tureckim haremie? Czy podobna? – zalała ją fala wspomnień.

– Barbarzyńscy piraci wywieźli nas w samej rzeczy aż do Aleppo. Czy pamiętasz owe trudne lata, rok osiemdziesiąty i osiemdziesiąty pierwszy? Nie, skąd. Rzecz jasna, nie możesz. Kompania Lewantyńska¹ w stanie wrzenia, napić się nigdzie niepodobna, ramadan² zdał się trwać rok cały – i wtedy właśnie, gdy grabieże najsrożej się we znaki dawały, wypłynęłam z Filadelfii przez Atlantyk się przeprawiać, z owym fatalnym pływem... Miesiąc błyszczał w wodach Dock Creek³, Murzyni na brzegu śpiewali, niepokieszeni.

Większy dział jej opowieści, sprytnie pod pozorami wojażerskiej gawędy skrytej, okazał się wykraczać poza granice niewinności dziewczyny, jak i Bliźniąt uwagi. Wśród kopuł i minaretów, szczytów górskich z morza się wynurzających, węży jadowitych, cudotwórczych fakirów, haremowych intryg o prym sporem powodowanych i diamentach wielkich niczym dziewczęca pięść zaciśnięta w przekomarzaniu, przypadków Eufrenii w tureckiej stronie niewygoda główną siłą sprawczą była, a ratunkiem pospolitym widowni czarowanie paroma zdatnymi nutami zagranymi na oboju – w rzeczy samej i teraz, stroikowi kształtu przydawszy i w miejscu go osadziwszy, poczyna przygrywać bratu w jego przemowie urywkami z Dittera von Ditterdorfa, transkrypcjami z Quantza i „Scamozzetta” z „I Gluttoni”.

11

– Dawniej na Świętej Helenie było niczym w Raju – zapewnia Eufrenia. – Gaje pomarańczowe i cytrynowe, pola kawy...

– Znikły, nim czas twój nadszedł, Reniu.

¹ Lewant – kraje wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego.

² Dziewiąty miesiąc kalendarza muzułmańskiego, podczas którego obowiązuje post w ciągu dnia.

³ Zatoczka rzeki Delaware.

– Czy znaczy to, iż żałować ich mi się broni? Żałować mam ja prawo, jak i każdy inny.

– Ostatnim byłbym się o ów przywilej upomniał – Wielebny powiada. – Gdy astronomowie tam z Przylądka płynęli, ja podróżowałem dalej, w całkiem inne strony, do Indii, a potem za Indie... Świętą Helenę poznać nie było mi dane, a z nią i Wielebnego Maskelyne'a, który to dziś nadal urząd Astronoma Królewskiego dzierży i almanach swój publikuje, ku pożytkowi handlu światowego.

– Czy coś w tym złego? – imć LeSpark pyta.

– Tyle tylko, iż świata, a nie wszechświata się to tyczy – Wielebny odpowie z nabożnym uśmiechem, w pierwszym tygodniu wikariatu wyćwiczonym.

Handlarz eksplozjami czy przedramieniem przesłania.

– Aureola twa mię oslepia, panie. Tak, krój to włoski. Pewien jestem, iż wiele daje uciechy.

– Więcej brandy winno przygasić ją nieco. – Dobroduszny stryj Lomax, uśmiechając się hultajsko do swego starszego brata, kolejną szklanicę wielebnemu nalewa. Za oknem zmrożony deszcz przelotnie acz dobitnie swym werblem omiata błyszczące czernią szyby.

– Jak zatem dowiedzieć się mamy, co się z ową trójką na tej mało znanej insule działo? – stryj Ives zapytuje, podle gustów innych zbytnio ukontentowany.

– Cóż, pomyślmy. Maskelyne większy dział roku tam bawi, wiedząc, od początku niemal, iż obserwacji, jakich pragnie, nie dokona, gdyż wadliwie ma swój sektor spionowany, atoli na miejscu ostaje. Lat liczy sobie dwadzieścia dziewięć i pierwszy raz z dala jest od domu, a przed nim długie miesiące – ci z was, których pora spoczynku się zbliża, przymknijcie uszy – w porcie owego szlaku niesławnym, całkiem na osobności pośrodku Atlantyku, w mieście, któremu kształt dowolny przybrać pozwolono, co oddane jest jeno żeglarskim zachciankom, a zatem, wszelkim występcom, których nieraz nawet i nadmienić nie przystoi.

– Pływy i lunariusze na całodniowe zatrudnienie Wielebnemu Maskelyne'owi niechybnie nie starczały, stąd ciekawość, co jeszcze mu się przytrafić mogło.

– Coś z pewnością – Wielebny Cherrycoke przyznaje – inaczej nabawiłby się bowiem wariacji, jak prędzej czy później na owej wyspie każdy.

– Napaść rozumu – imć LeSpark poddaje.

– W czymże sekret? – Ethelmer rusza ramionami. – Czyż dni naówczas, jak dziś, w godzin dwadzieścia cztery nie mijały?

Tenia zerka nań w świetle świec:

– Czegoż nie powiesz, kuzynie.

By dobić do Świętej Heleny, iść pełnym kursem należy i tak dostać się na południowy wschód od insuly, następnie zezwolić pasatom nieść się ku wybrzeżu, wzdłuż którego na północ w większej mierze się później płynie, i na zachód, od zawietrznej strony, gdzie wejść już można do zatoki James's Town¹. Mimo iż zdaje się schronieniem, fale oceanu dalej biją tu bez chwili spoczynku, a szum głośny, z wiatru zrodzony, dmie w górę przez plac musztry i umocnienia, wszystko się zaś do jeometrii i pozorów optycznych sprowadza, nawet to, co czai się wkoło, czego nigdy wprost się nie nazwie.

Stanąwszy na suchym lądzie, astronomowie wszędzie słyszą huk oceanu. Żaden mur dość gruby, żaden człek dość skupiony, żadna z dolin dość daleka, by przed nim uciec. Ziemią trzęsie, a wysoko w wąwozach podeszwy butów Straży przenika. Deski

¹ Jamestown – stolica Świętej Heleny, leżąca na jej północno-zachodnim wybrzeżu.

w podłogach tawern także drżą jego miarą, tak jak od lat tupotem stóp marynarzy, których przeznaczeniem bywa i morderstwo, jakoby owemu tętnu okrutnemu wiary dochowywali. Chwili się zdatnej czeka, raz obaczyć starczy – kłamka zapada, życie gaśnie – uprawnienie to straszliwe.

Choć co noc słońce chowa się za insuły widnokrzęciem surowym, co Mason widzi pierwszego tu swego wieczoru, to mrok wschodzący z morza, gdzie zalegał beztrosko dzień cały, jakoby w uśpieniu... Zaś o świcie ciemność ta, niemal namacalnie astronoma uwagi świadoma, cofać się zdaje, niczym byt rozumny, aż na pewną głębokość pod fal Atlantyku płazem. W astrologii wyspy Słońcu niechybnie mniejszą się wagę przykładają niżli Mrokowi, postrzeganemu jako jedno, świecącym przeciwstawione ciało, co własne ruchy, pozycje i aspekty posiada – czarnej owcy rodziny planet, ni Hadesowi w ofierze mającej być złożoną, ni głośno wspominatej...

Syriusz, dla którego obserwacji Maskelyne na Helenie ostał, miejscową jest gwiazdą zenitu, podobnie jak w Greenwich Gamma Draconis¹. (Anglicy rodzą się pod Smokiem, Heleńcy pod Psem. W Benkulen byłiby Mason i Dixon pod zmienianą Mirą, co w Wielorybie stoi. Znaki owe apokryfami są astrologii). Każdej nocy, gdy północ bije, złowroga ta gwiazda tuż nad głowami patrzaczy niebo przecina – Żółty Pies. Tam oto, do góry nogami, wśród nici sunie, a barwę ma, rzec by można, melasy – nawet dziewczka z Portsmouth nie przywdziałaby chyba podobnego żółci tonu, jaskrawego a niezdrowego.

Serca wyspy, co jako dział Innego Świata musi być postrzegane, czepia się niezwykle skromne w swych rozmiarach miasteczko. Żadna przemiana powoli tu nie zachodzi – zdarzenia zniemacka się zjawiają. Wszelkie odległości są ogromne. Wiatr, czysty i okrutny, z sobie znanych pobudek owego miejsca się trzyma, a życie człowiecze, każde życie, niemal nic niewarte. James's Town poczęło jakiś czas temu w wąwóz za sobą się wspinać i z tych miar, w większej swej części, ku morzu przechylać. Po ulewach mkną w dół zboczy wody marszczki, fale i powodzie, przez ulice, z dachu na dach, w okna i z okien, porzucając za sobą drżącego psa z wyższych partii wzgórza, porywając dzbanek do kawy, by go niżej gdzieś komuś w zamian za podnózek ostawić, frymarzcząc, torując sobie drogę ku morzu. Horyzont niezdatny tu do rozwlekłych zachodów. Stwory z głębin oceanu do wybrzeża podpływają, aż po zatoczki, w których woda wnet w lawendę i akwamarynę przechodzi, i ostają, by się stamtąd światu przyglądać, ostrożne w swych ruchach, acz lęku pozbawione.

Przez lata donosili wojażerowie, iż im dalej i wyżej człek się tu w głąb lądu zapuści, tym morze wyżej zdaje się leżeć nad wyspą – jakoby zawieszona, a przed fatalnym dla lądu upadkiem wstrzymywane dzięki niepojętym, sekretnym poczynaniom jakowegoś stróża... Jakoby w spłatach na poczet potopu idących, bez sposobności pewnego przewidzenia, wielkie bałwania morskie wstaną wałem wody i ruszą na ląd – sięgając wyżej niżli owo miasto, co jakobickie² imię nosi, choć może nie tak wysoko, co grzbiet górski nad nim. Dla każdego, kto dość ma złudzeń, by w dole, na tafli morza wysokości ostać, nadejście niechybnie chwila, gdy spoglądać będzie ku górze na zbliżające się fal grzebienie, na których tle drzewa drobne, a przed którymi ni działa, ni bastiony nie ochronią. Gdyby zaś, roztropność większą okazawszy, zbiegł na wyżyny, mrużąc oczy w wodnej zadymce, której smak i woń życie morza dyktuje, obaczyłby może grupkę olbrzymich, odzianych w powłóczyste suknie stworów góru-

¹ W gwiazdozbiornie Smoka.

² Pochodzące od imienia króla Jakuba, ang. James.

jących, rzecz niepodobna jak daleko, nad widnokrzem, spieszących ku wyspie z miar na zawsze niezbadanych, sunących przez morze ślepo i nieubłagane, jakoby insuły nie było.

Atoli, jak przysięgają starsi tubylcy, większym widowiskiem długa fala z roku 1750 była. Zdało się naówczas, iż zwycięży oszalałe morze, a wyspa będzie stracona... Ratując się wraz z innymi rejteradą ku górze, nie wolno było zatrzymać się na dość długo, by przyrzeć się i zadumać nad potęgą pustej, wodnej równiny. A po bezsennej nocy spędzonej na wspinaczce po omacku – słońce, co przebija się, rażąc oczy przez słone mgły. Wolna wola jednego tyczy jeno wyboru – trwać z uporem czy się poddać. Podczas pierwszego tygodnia na wyspie wszyscy przybysze ów sen mają.

Nad Munden Point¹ stoją dwie szubienice, co w jasności nieba blasku ledwie jako kilka kresek piórem się jawią. Przyjezdny spocząć może o zmierzchu na tarasie za liniami umocnień i, podobnie jak w Londynie na św. Pawła², tak tu owym dwu złowrogim kształtom się przyglądać w gasnącym świetle – być może myśli swe kierując ku kwestii kary, a może handlu... albowiem handlu bez niewolnictwa przedstawić sobie nie sposób, a za niewolnictwem idą, nieodzownie, szubienice – niewolnictwo bez nich równie bowiem płytkie i marnotrawne, co kruczaty bez krzyża. U stóp wielkiego wąwozu, co wybiega w głąb łąd z morza, u podnóża klifów, wieczorami, przechadzają się wypiarze pragnący zakosztować bryzy. Gdyby nie baczyć na błyszczące w mroku działa i zbrojne warty, można by mniemać, iż Helena niepewnej jest wielkości Indiamanem, a owe wieczorne parady w tę i z powrotem to pasażerowie na jego otwartych pokładach – choć, po dłuższym każdego oblicza wybadaniu, widać w nim nie wojażerską ciekawość, ale raczej starą z ponurością sąsiedztwa znajomość, nawet pośród niewiast, co zawsze tu na zachód słońca schodzą.

Prócz tych, którzy bawią tu dla marynarskich ucies, z ptaków wędrownych, co na wyspę zawitały, różnorodne tworzy się stadko. Są i skazańcy, z Anglii na morza południowe wiezieni za zbrodnie mało wytworne, dla których Helena jedną ze stacji czyścica; młode żony w drodze do Indii, by dołączyć do mężów w armii lub flocie, drżące od opowieści nawiedzających dni niczym ów cień, co tuż pod horyzontem hen zalega, opowieści o Czarnej Dziurze Kalkuckiej³ – a także stali kompanijni bywalcy, zmierzający do Indii lub do domu; takie czółenka w krosnach handlu jak Madame Rollright, do niedawna mieszkanka Portland⁴, co trzyma opium w puzderku na pieprzyki i pływa do Indii tak często, iż stoczono już o nią na pokładzie cztery pojedynki, choć do trzydziestu wiosen jeszcze jej daleko. Niemal każda niewiasta przyznaje, iż gdy statek do brzegu przybija, czuje w sercu coś dziwnego, czego wyrazić niepodobna – oto posępna linia szczytów, oceaniczne słońce – oto zbliżają się do wejścia na redę, gubiąc pasat przy Sugar-Loaf Point⁵, omijając wiry – jak zawsze – Boże drogi, znów tu, jedna z drugą wzdycha – zaś dla nowych przybyszów to jakoby wrota planety obcej.

– Jest jedna taka, od pyłu wodnego mokra – Dixon miarkuje – w aksamicie barwy klaretu, chińskim szalu i bucikach ze skóry kozłęcia. Dalibóg, zda się, iż cię pamięta.

– Toż to Charlie z Tyburn! Kłujnijcie mię bryklą i rzeknijcie, iż śniłam jeno. To ja, mała Florinda! Pamiętasz przecie, ledwie przeszłego roku...

¹ Przyładek na północ od Jamestown.

² Katedra św. Pawła o charakterystycznej białej kopule górującej nad Tamizą.

³ Loch w forcie William w Kalkucie, w którym, po zdobyciu miasta w 1756 roku, nabab Bengalu zamknął ponoć na jedną noc ponad setkę angielskich jeńców, z których większość zmarła.

⁴ Wyspa u wybrzeży hrabstwa Dorset, koło portu Weymouth.

⁵ Najdalej na północ wysunięty przyładek Świętej Heleny.

I poczyna śpiewać przyjemnym altem.

*Zdarzyło się to roku pańskiego
Tysiąc siedemset sześćdziesiątego,
Dzień był maja piąty,
Gdy hrabia Ferrers, dzielny rycerz,
Wszedł po stopniach na szubienicę,
Dumny i niepokorny.*

Mason włącza się przyjaźnie i ciągną społem.

*Rzekł katu jeniec: – Jestem gotowy,
Zdradź mi waść tylko cenę od głowy –
Oprawcy błysła łza w oku.
– Surdut twój, z nitką srebrem zdobioną,
Piękny, przyznają, lecz mi wzbroniono
Podarków brać od wyroku.*

[Refren]

*Olaboga, o rety,
Okrutnikiem jam w twych oczach niestety.
Chociaż wiem i odcinam bez czucia,
Nie wiedziałeś, iż i kat ma uczucia?*

Śmierć Rebeki na rok wpędziła Masona w brawurę. Równie skory był bez namysłu przeprować się promem na łono Wapping, by spędzić noc na bezradosnej, najniższego sortu rozpuście, co chadzać na rauty w Chelsea, gdzie między wzrokową flirtacją a złapaniem kiły nic do wyboru nie było. W uboższych imitacjach Hellfire Club¹, pędził, nie bacząc na nic, takimi ścieżkami chuci, na które mało kto się zapuszcza, coraz dalej, co nie umknęło jego uwadze, od przyjemności – księżycowego światła padającego na trawniki, drzewa i alejki, przywłaszczając sobie barwę pożądlivosti, jakoby przedstawiać pragnęło wszystkie namiętności kipiące w tym zakątku miasta – od muzyki wśród liści Miesiącem bielonych – a coraz bliżej pisarzyń Grub Street², rozwiązłego, nocnego świata ladacznicy i hulaków, co trwa jeno w przyjemności wspominkach, zrywnych, skrzydlatych stworzonkach, których pamięci ufać nie można... atoli owe niezdrowe, wonne, brudne spotkania pod Księżycem równie były zacne, co każde inne – diabelska niewinność...

(– Wuju, wuju!

– Ehm, ehm, atoli...

– Czy dolać waszmości?)

To wówczas Mason począł mieć w zwyczaju przyglądać się w każdy piątek, jak w Tyburn wieszają, z zamysłem, by zagadywać damy, z miar różnorakich, z których wiele powszechnie za bezrozumne by miano.

¹ Słynne stowarzyszenie, do którego należało m.in. wielu znanych polityków angielskich, specjalizujące się w satanizmie i orgiach.

² Ulica w londyńskim City (obecnie Milton Street) zamieszkiwana przez zubożałych autorów i pi-smaków, synonim pismackiego światka.

*Edgware Road zajeżdżają
Tu, gdzie Stwórcę spotkają.
Tłum czeka, niebo czyste,
Przedni dzień zoczył występ.
Łupnie fru przez zapadnię
I zatańczy nam ładnie,
Pod szafotem zaś wkoło
Jarmark trwa, tak wesolo,
A kto stóp ma pięć na krzyż
Innym w plecy się patrzy
I nie widząc nic może,
Iż jest w Tyburn nie orzec.*

Skończywszy ledwie parę dni temu lat trzydzieści dwa, Mason, w urodzinowym podarunku dla samego siebie, udaje się na obwieszczaną powszechnie egzekucję lorda Ferrersa, co ma być powieszony za zabicie swego rządcy Johnsona. Zda się, iż zebrała się tu cała modna śmietanka – każdy czyni starania, by się strojem wśród innych wywyższyć. Wymyślił kapelusze, nigdy jeszcze niewidziane, być może nigdy także widziane już nie będą. Peruki równie kunsztowne w detalach, co ubiory. Surduty zgotowane wyłącznie na ową okazję, z klasycznym motywem trzynastokrotnego stryczka na akselbantach i dymiącym pistoletem w złotym brokacie oddanym. Czując się niechlujnym i przeklinając się za to, iż nie wdział czegoś strojnieszego, Mason obacza młodą niewiastę, która mu się przypatruje – gdy wzrok jej napotyka, oczami ucieka z miną poirytowaną, choć, jak Mason rad sobie przedstawiać, nie na jego osobę, lecz na siebie samą, gdyż pozwoliła, by ją na spojrzeniu przyłapano. Tuziny powodów skłaniają przeciwko sposobności, by się owo zdarzenie głębszą fascynacją zakończyło. Wyrokując po wyglądzie towarzysza damy, jest ona jedną z zyskujących sławę londyńskich piękności, której powaby łatwo pozwalają wybaczyć zupełny brak smaku w doborze stroju, a pociągają ją, czego nie pojmuje, ci, co obnoszą się beżem i brakiem błyskotek, tacy jak Mason właśnie.

– Witam waćpana. Czy mniemasz, waszmość, iż mu sztywności przystanie? – brzmia jej pierwsze słowa. – Ponoć wysłannicy pani F. kręcą się wokół, przyjmując przeciw temu wysokie zakłady.

Mason rozdziawia usta, zrozpaczony. Dni by mu zajęło zmajsztrowanie odpowiedzi godnej równie wyrafinowanej przemowy.

– Wiem z doświadczenia – rzekłby – iż pospolicie niewinnym się to jeno przydarza.

– Wielce to ciekawe. – Ani mrugnie, atoli chrapki rozděła. Jej kompani chichoczą, a piesek Biskopcik, węsząc rosnącą swej pani uwagę, broić poczyną. – Czyż skrucha mogłaby wam kiedy męskość odebrać?

– Skąd. Raczej zadziwienie żywości przydaje.

Kokietując, patrzy wilkiem, a Mason plecie dalej ponuro:

– Znamienity rozbójnik Fepp chociażby, ledwie tydzień temu, najprawdopodobniej na umyśle zdrowy, kierowany bogactwa mnożeniem czy też raczej jego brakiem niżli jakimkolwiek zbrodniczym afektem – *membrum virile*¹ nad wyraz obwisłe, przynajmniej, jeśli zawierzyć tym, co go ścinali...

¹ Łac. członek męski.

– A później pocięli – panna szczebiocze.

– ...albowiem, zważyć należy, iż mordercy w owej chwili niepodobna znać ekstazy u niewinnej duszy zadziwienia, gdyż nosi taki sobie, od zarania żywota, znajomość raptownego upadku i trzasku jego kraju. Śni o nim nawet na jawie. Swej fatalnej zbrodni dokonuje z potrzeby zbliżenia się do owej oślepiającej chwili, ku której całe jego życie zmierzało...

Oczy jej stały się olbrzymie i wilgotne, staniczek sukni w szwach z cicha poskrzypuje, *fichu* trzepocze, jakoby sama czuła zmieszanie. Zwolniła towarzyszących jej galantów, by powrócili do wymiany plotek, co głównym jest ich zatrudnieniem, nikt już nie baczy zatem na jej kroki.

– Panie – mruczy. – Całe życie szukałam podobnego tobie człowieka.

Gawiedź podnosi nagle wrzawę, połowa okrzyków za, a połowa przeciw, gdy karetta jego lordowskiej mości nadjeżdża i hrabia wysiada. Marynarze ciskają kiełbaskami, których przeżuć nie zdołali, i niedojedzonymi drożdżówkami, niewiasty w jaskrawych sukniach sypią róże.

– Szkaradny strój – jeden z fircyków szacuje. – Cóż to za odcień, jakoby płowy? Dalibóg, nadto jasny jak na okazję.

Przyjaciół jego, Seymour, dorzuca:

– Atoli niczego sobie owe srebrne drobiazgi.

Wokół krzątają się wszelkiego pokroju, w czarne liberie odziani pacholcy, z których największą uwagę przywiązuje ten, co sznur niesie – chodzą bowiem słuchy, iż lord Ferrers, wedle swego życzenia, zawisnąć ma na jedwabiu. Sługa ów drobnej jest postury i w czarnym aksamicie, a jego skóra w południowym świetle zdaje się biała niczym papier. Całą drogę z Tower, wśród jaskrawych błyskotek karocy – wielkim kosztem wysadzanej i platerowanej przez sówicie opłacanych Włochów, co niczym zabawka w rękach niewidzialnego malca się z wolna dziwacznie przesuwa – trzyma wysoko ów fatalny sznur, doskonale biały na tle czarnej, aksamitnej poduszki, do wglądu dla wyteżających wzrok patrzaczy.

– A dla mnie to wciąż konopny – ktoś powiada. – Śmierć jednak, choćby i ludzie sobie nierówni.

– Taak, jedwab to sobie upodobali tam w Indiach, ci ich Thugowie¹ – po murze, przez okno, *khkhkh* i po sprawie. Nowy, smakowity kąsek dla kochanej Kali – to ich bogini, rzec by można. Jedwab – ledwie go czuć w ręku, a mimo to...

– *Khkhkh!*

– W rzeczy samej.

Kręcą się tu żebracy i dziewczki z pomarańczami, walają dzbany piwa, na piachu zakłady obstawiają, sakiewki unoszą, zerknięcia przechwytyują, psy mężnie szukają ochłapów, a głodni nożownicy psów, grajkowie wędrują wkoło lub w miejscu stoją. Wiatr niesie z szubienicy każde westchnięcie, jęk i ejakulację ponad głowami gawiedzi, by osiadły w uszach niczym, przy zgorzeniu, popiół na kapeluszach spektatorów. Przedzierając się przez tłum, przez ów dzień spowici i pieszczeni, Mason i niebaczna temporalnie piękność zbliżają się w końcu do straganiarskiego wózka z daszkiem wzniesionym dla przed słońcem ochrony.

– Wino! – dama woła. – Ach, skosztujmy!

– To Château Gorce zda się grzechu warte – powiada Mason – choć, jako że dzień mamy pogodny, może schłodzone reńskie byłoby bardziej... *à propos*.

– Jeśli nie *de rigueur* – ciągnie ona.

¹ Grupa wyznawców bogini Kali słynąca z rabowania i duszenia podróźnych.

– W rzeczy samej, *chérie*.

Śmieją się z *piquance* owych *mots* i sączą wino, podczas gdy szlachcic imbecyl na stracenie zmierza, lecz pojawia się jakowyś kłopot z mechanizmem nowej zapadni, co dziś po raz pierwszy w powszechnym wydarzeniu jest użyta.

– Te okropne maszyny! – udaje lament dama. – Czy i śmierć nasza, tak jak i życie, ma być we władaniu filozofów i ich armii inżynierów?

– Owa zapadnia ma, jak się zdaje, zbyt wiele w swym układzie detali. – Mason chwilę wcześniej wypala. – Stąd zbyt jest ciężką i bokiem na dźwignię i zaczep napiera. – Wyczuwa nagłe ochłodzenie w ich stosunkach.

– Jesteś zatem waćpan... człowiekiem nauki? – Rozgląda się na boki, choć jeszcze nie w panice.

– Jestem astronomem – Mason rzecze.

– Ach, opłacanyś, jak mniemam, z kiesy jakowegoś mecenasa. Co za... cudowna profesja. Wzięłam waćpana za człowieka lepszego sortu, szacując po stroju, konducie cichej, to jest... zwykłe rzecz się zdoła. Niestety, jest tak, jak mię imć Bubb Dodington przestrzegał. Rzekł mi: „Florindo, zbyt jesteś młoda wiekiem, by mężczyzn doceniać, zarówno typów ich różnorodność, jak i pożałowania godną prostotę tego, czego pragną prawdziwie. Czy odgadnąć umiesz, cóż to takiego, mój strzyżyku?”. Jego strzyżyku. Cóż, mogłaby to była być pewna rzecz, czyż nie? Lecz wszak...

– Daruj, iż się wtrączę. Czy dobrze słyszałem? Wspomniałaś pani, pewien jestem – nienaumyślnie, iż otrzymujesz... usposobienia człowieczego osądy z rąk Bubba Dodingtona? Legendarnego Bubba¹? Owego reliktu niewątpliwie paskudnej epoki w historii kraju naszego politykierstwa? Tego Dodingtona?

– Jerzy² jest mi partykularnie drogi – rzecze ona we wzburzeniu, co sceniczne doświadczenia podsuwa. – Jeśli w sprawach zasadniczych radzić może księciu Walii, to i mnie także, podług swej woli. Starzeje się, a życie ponad człowieczą miarę wreszcie wystawia rachunek, żądania jego zaś coraz to surowsze – choć, mimo procentów, wciąż interes to okazyjny. Czy gdy twoja godzina wybije, lunetniku, będzieszże miał aż tyle do powiedzenia?

Mason głowę zwiesza, załosny.

– „Oto i pierwsza”, rzekł Pearse, nim wpadł do studni³... Po prawdzie, wielmożna pani, zazdrościłem ja pani przyjacielowi zacności, z jaką szedł przez życie. Choć, rzecz jasna, i bycie hrabią dopomogło.

– Jeśli trzymasz, iż zawiść czujesz wobec człowieka, który nie krył swych pragnień, wnoszę, iż są rzeczy, których życzyłybyś może sobie, lecz do których wyrażenia słów ci nie staje? – Spogląda na niego pewnie.

– Ja? – Mason ból rosnący w podszwach czuje, ani jednej myśli do głowy przywołać nie może. Nie pojmuję, iż zaliczywszy go w poczet niezdatnych do czynienia szkody, dama przedsięwzięła wprawić się przy nim nieco, jako że kunszt kokieterii wiecznego głądzenia wymaga, astronoma zatem niczym kukły szermierczej używając.

– Zaprawdę, zadałaś mi bobu, Florindo.

– Z pewnością, taką mam nadzieję. Powiedz mi, czy nadal spoglądasz w gwiazdy dla prostackiego srebra?

¹ George „Bubb” Dodington, lord Melcombe (1691–1762), zamieszany w aferę szpiegowską, autor słynnych pamiętników.

² Ang. Georgie od imienia George, czyli Jerzy.

³ Legenda z Bisley (rodzinnych stron Masona) głosi, iż niejaki Pearse wpadł niechcący do studni przykościelnej po usłyszeniu, jak zegar bije pierwszą, były to więc jego ostatnie słowa (a na kościół na parę lat nałożono ekskomunikę).

– Przebóg, pamiętasz?

– Cóż, nie mniemasz chyba, Charlie, iż zbyt wielu mężczyzn się przez me życie przewija, abym ich spamiętać była w siłę? Nieważna wszak ich liczba, lecz liczba ich gatunków, nieprawdaż? A z tą radzę sobie świetnie, dziękuję.

W James's Town, przytulnie skulonym w swym wąwozie, pod ogniskami wart, co wysoko na zboczach noc przed najazdem obcym chronią, ciemność zapada. Z kuchennych lufcików kwater uchodzi woń potraw na wschodnią modłę warzonych i miesza się z tą oceanu. Przez chwilę miasto tonącą jest w mroku orgią kurzeni, wypieków, ryb i mięczaków, pingwinowych stuffat i *fricasées* z morskiego ptactwa. Na ciemniejącym prędko bulwarze pojawia się zarys jakowejś figury, której jeno w dłoni kosy brakuje, by myśli wszystkich ku krótkości życia kierowała.

– Ho, ho! – Florinda woła. – Tutaj! Charlie, pozwól, mój narzeczony, pan Mournival.

– Tyłu poznałem już z Florci starej trupy – syczy w mroku wysoki, trupio bladej jęgotność, którego oczu nie widać wyraźnie. – Charlie, Charlie... Musisz być waszmość jednym z komików?

– Teatralny zmysł waćpana niezrównany – Mason mamrocze. – Pozwólcie, iż przedstawię mego współnika, którego repertuar dowcipów ustępuje jedynie temu, co kryje księgozbiór watykański¹. Pan Dixon.

– Chińczyk, jezuita i Korsykanin jadą do Bath...

12

W gospodzie na Cock Hill, „Księżycem” zwanej, siedzą Mason, Dixon i Maskelyne, niczym alegoryczna rzeźba, której tytuł brzmi Skrępowanie. Trudno orzec, który z nich wkład największy w ów żywy obraz wnosi. Mason z podejrzliwością się do Maskelyne'a odnosi, Maskelyne ze skóry wychodzi, by Masona nie urazić, zaś Maskelyne i Dixon zrazili się wnet do siebie, gdy Geordie, posłyszawszy, iż tamten w Cambridge, w Pembroke College rezyduje, wspomniawszy nazwisko Christophera Smarta.

– Z Durham rodem? W Pembroke począł wykładać?

Przez chwilę na obliczu Maskelyne'a gości panika, lecz prędko powraca spokój wikarego godny.

– Imć Smart laureatem był u nas niezmiennie nagrody Seatona². Opuścił uczelnię dwa lata po moim przybyciu. Nasza znajomość sprowadzała się do pory posiłków, gdy mu do stołu akademików przynosiłem półmiski, a odnosiłem jego poplamioną serwetę i ogryzione przez niego kości. Czasem, gdy wyszli, my z pomywalni zjadaliśmy po nich resztki – niektóre mogły należeć i do niego, choć w to nie wnikałem. Młodzikiem byłem, nie w pełni świadomym, jakże nieprzyjemne musiało być to życie. Mieszkać w Cambridge, chadzać Newtona ścieżkami? I w służgi służyć bym się wcielił.

– Newton jest dla mnie bogiem – Dixon się wyrывa, nie bacząc na to, iż Maskelyne stara się okazać grzeczne zadziwienie, unosząc jedną brew bez poruszania drugiej – a pan Smart, cóż, znałem go, dzieckiem będąc. Starszy był sporo ode mnie i zajechał do Raby na ferie szkolne, ojciec jego był bowiem, widzicie, rządcą dóbr

¹ Chodzi o jakiś zaginiony tom komedii antycznych lub zaginiony drugi tom „Poetyki” Arystotelesa traktujący o komedii.

² Przyznawana od 1750 roku nagroda poetycka.

Vane'ów w Kencie, podobnie jak mój stryjeczny dziadek George w Raby. – Maskelyne wznosi podczas tej przemowy oczy ku niebu, jakoby o skrzydlatą ucieczkę się modlił. – Prędko poznaliśmy wszelkie zakamarki – spiżarnie, miejsca schadzek, przejścia w murach¹, którymi nieraz biegaliśmy na posyłki pana Kitta, najczęściej do lub z kaplicy. Nie pamiętam, by ktokolwiek rzekł o nim złe słowo, choć z każdym do Raby powrotem zdawał się coraz bardziej być zamyślonym.

– W roku pięćdziesiątym szóstym, o ile się nie mylę, osadzono go w szpitalu dla obłąkanych – rzecz Maskelyne, a jego oczy polnego stworzonka rozbłyskują. – A uwolniono, jak słyszałem, trzy lata później, równie szalonego jak wtedy, gdy go zamykano².

– Dalibóg. – Dixon ponuro się uśmiecha. – Zamku Raby musiała być to sprawka.

– Cóż, z pewnością nie Pembroke – krzywi się Maskelyne. – W rzeczy samej, dopiero gdy biedny Smart Cambridge odstawił, mieszać poczęło mu się w głowie.

– Z dała od zdrowego sąsiedztwa? – poddaje Dixon grzecznie przez zaciśnięte zęby.

Powstaje zamieszanie, gdyż szynkarz, imć Blackner, oraz i wielu stałych gości, nacyleni, by przysłuchać się rozmowie, o swych środkach ciężkości zapomnieli i brodząc chwiejnie po kałużach piwa, co podłogę Księżycza pospolicie zdołają, z łoskotem się wśród mebli zwalili.

Mason, jakoby właśnie się zjawił, wreszcie głos zabiera.

– Pamiętajcie o samym Londynie, najznamienitszym wariacji promotorze. Od Greenwich po Grub Street, to miejsce nie dla każdego. Choć ciągnie nas do jego wspaniałości, owych stu wiosek rozrzuconych na północ i południe od estuarium wychodzącego w morze, a i wielkiego świata, co się dalej rozpościera, atoli, ileż to wielu kosztuje.

Maskelyne, słysząc w tym, wedle swej woli, przyganę, replikuje:

– Być może zbyt wiele tam przeklętych gotyckich wypocin i to one winę ponoszą za los pana Smarta. – Zdaje się, iż aluzję czyni do nadmienionych wcześniej upodobań Masona w rozrywce.

Gdy Mason obmyśla ripostę, Dixon mężnie się włącza:

– Wszak Grub Street dla każdego, panie. „Upiorny fircyk”? „Wampiry Covent Garden”? Hola, hola. Tuzin razy przedniejsze niżli każdy „Tom Jones”³.

Maskelyne słucha i uśmiecha się półgębkiem ostrożnie. Trzyma, iż to uśmiech, lecz zamysł ten jeno usta przejmują – oczy nie, gdzie indziej bowiem znalazły zatrudnienie. Zdaje się w tym człowiekiem od dawna strudżonym.

– Spodziewałem się, iż także są pana Masona gusta, lecz nie przypuszczałem, iż i waszności. Przednie to, jak mniemam, w pochmurne noce zajęcie, czytać tak sobie nawzajem?

Zjawia się imć Blackner.

– Zawsze z upodobaniem sięgałem po ową historię o Włochu bezgłowym, jak to się... aha, „Hrabia Senzacapo”, czytał któryś z waćpanów?

– Doskonały wybór – powiada Dixon, zda się, wesoło. – Ta historia z trzema hożymi wieśniaczkami...

– A jakie ilustracje! – chichoczą lubieżnie goście.

– Lecz wszak z pewnością – rzecz Maskelyne jęklawie – zbyt wiele ich krąży? Podsycając – głos znika – wszystkich tych w melancholii pławiących się ludzi. – Na in-

¹ Raby to zamek.

² Poetę Christophera Smarta (1722–1771) zamknięto w domu wariatów za ustawiczne modlenie się w miejscach publicznych.

³ Powieść Henry'ego Fieldinga z 1749 roku.

nych gości skazuje. – Osobliwie ta wyspa... mnóstwo ich tu. Pół roku tu jestem, a zbyt wiele próżniaczych minut do wypełnienia. Prędko się gromadzą, przelewają czarę, biorą we władanie najzdrowsze rozumy.

– Sir już tak działa – szynkarz żartuje i ku innym figlom odchodzi.

– A niech go... – Maskelyne twarz w dłoniach kryje.

– Coś się nowego szykuje. – Dixon miarkuje.

Mason podnosi wzrok.

– Do diaska, dzikusy wychynęły z kuchni... Maskelyne! Co to ma być, ludożerska ofiara?

– Nie – Maskelyne krzyczy. – Gorzej!

– Gorzej? – Dixon mamrocze, lecz do tego czasu wszyscy już widzą świeczki na wielkim, lukrowanym cieście, niesionym ku nim do wtóru śpiewnych powinszowań.

Imć Blackner wymachuje niewidzialną łyżką.

– Moja to robota, wielmożny panie, acz ten oto czeladnik mój lukrował.

– Wywiedzieli się – Maskelyne szepcze – ale jak? Czy przez sen gadam, gdy pod drzwiami nasłuchują? Po cóż miałbym o mych urodzinach przez sen wspominać? Tak czy siak, w zeszłym tygodniu były.

– Winszujemy, wiele uciechy – Mason i Dixon życzą.

– Z dwudziestą dziewiątą wiosną pada na człowieka cień kosi. Och, niegościnnie ostatni roku, roszczący sobie prawo do młodości! Jej marzenia, jakże teraz przygasła. Choć zwą cię złotymi, złotej epoki życia jesteś wszak pożegnaniem. Oto, wśród posępnych mgieł przyszłości majaczy grozę budząca trzydziestka, owa niewysłowiona przemiana! Młodość tak prędko odjęta, cnota tak snadnie ukrócona, w liczbie podzielnej... przenikalnej! Dla szczęściu innych! – Z każdą Maskelyne'a apostrofą wrzawa wesołości w izbie na sile przybiera, choć przez ciasta żucie tłumiona. Piwo w Księżycu, warzone na wodzie z głębi ładu, w dalsze jego ingrediencje nigdy nikt nie wnikał, leje się nieprzerwaną strugą dzięki Maskelyne'owi, co już na cały głos ryczy:

– Czwarta życia dekada! Twe bramy ledwie krótki rok przede mną – choć tu rok i stuleciem zdać się może – co kryjesz w zanadrzu dla postarzałego?

– Ślub! – woła jakiś żeglarz.

– Śmierć!

– Poranek! – Cyna dźwięczy w gorzkiej zabawie.

– Zważywszy waszą melancholię, wesoła z was kompania – woła Maskelyne, wnosząc kufel. – Kiedy w dalszą ruszacie drogę? Tęskno mi będzie za wami.

Mason i Dixon zerkają na siebie tymczasem w poruszeniu. Gdy Maskelyne w końcu wychodzi, Dixon prostuje się żywo.

– Zaraz, zaraz. Mam ostawić cię tu na najmniej trzy miesiące w towarzystwie tego jegomościa? Czy to nie...

– Dixonie. Sektor... nie... działa.

– Co?!

– Instrument Sissona... ktoś go spionował opacznie. Błąd w rachowaniu pozycji Syriusza, na który Maskelyne ma baczenie, tyczyłby się kilku sekund łuku jeno, lecz z ową usterką niepomiernie rośnie – dość, by zatraciły się w nim wyniki, do których Maskelyne dąży. Atoli siedzi on tu nadal z rozkazu Towarzystwa, a teraz, wraz z nim, najwyraźniej i my.

– Gadasz niczym człek trzeźwy, przyjacielu.

– Kto by się upić zdołał w tym miejscu strasznym?

– Jutro kogucie piwo! Jutro kogucie piwo! – wrzeszczy Malaj, wbiegając do izby.

W rękę dźwizy za łapy martwego po pojedynku koguta, co ostatnimi krwi kroplami posadzkę znaczy w alfabecie śmierci jedynie znanym.

– Znów zatem jak przy przeklętym Benkulen.

– I tyleż swobody, by oponować. Atoli znajdę może sposób, aby mu ów pion do porządku przyprowadzić.

– Czy przynajmniej zezwolisz mi rzucić okiem, przyjacielu? Nim wypłynę?

– Błagam, nawet nie napomykaj przy nim o instrumentów kwestii. Na sektor, z którym rad nierad, pracować winien, więcej się spuszcza niżli jeno pieniądze.

– Niemniej przyjazny byłby gest to z mej strony. Jestem tu wszak Johna Birda wysłannikiem, wiem z pewnością, jak z sektorem się obchodzić. Sztuczki znam z woskiem pszczelim i chuchem, o których mało kto choćby i słyszał.

Wraca Maskelyne, gmerając przy swym harcapię.

– Pomnij me słowa! – szepcze Mason z odrobiną paniki w głosie, gdy astronom swego miejsca szuka, siada i zerka na nich podejrzliwie.

Dixon, twarz wykrzywiając, co mówić ma, iż w słuszność swych czynów wierzy, powiada:

– Nie, zapytam go.

– Doskonale! Proszę cię bardzo – do dzieła. Wycofuję się w czas, między wami to sprawa.

Dixon brwi unosi, dając znać, iż do figla się sposobi.

– Ach, Masonie, wielka szkoda. Miałem ci się ja spytać imć Maskelyne’a, o co uprzejmie proszę, czy z własnej sakiewki za następny rzut trunków wyłożyć mi wolno? Rzecz jasna, pięknie ci za hojność dziękując, przyjacielu.

– Aa! – Mason raptownie głowę swą do stołu zbliża w podległym swej woli uderzeniu, a w tej samej chwili zjawia się imć Blackner z trzema dzisiejszego piwa koguciego dzbanami olbrzymich rozmiarów.

– Łyk czegoś mocniejszego dla waszmości, a jeśli pan Mason oprzeć się zdoła, trzeci dzban możecie wówczas, panowie, między sobą rozpić. Do usług.

Przepis na piwo kogucie imć Blacknera ceniony jest jak szlak indyjski długi i szeroki, a gdy owi Malajowie zatrzymują się w mieście ze swymi wędrownymi, koguciami walkami, a zatem gdy główna ingrediencja nagle w obfitości występuje, nastaje, rzecz mógłby kto, na piwo kogucie sezon. Blackner preferuje namaczać niezbędne fruktowe skrawki w maladze bądź górskim winie raczej niżli w kanaryjskim, a truchło wyciskać do sucha zmyślną kaczą prasą, co to ją był w karty od zbiegłego chińskiego szlachcica wygrał, a której moc zwiększyć można niesłychanie, zyskując humory, jakich przy innych przepisach niepodobna.

Maskelyne to na jednego, to na drugiego astronoma spogląda.

– Wybacz mi proszę me pytanie, wikarym jestem jeno, lecz czy brak wam, w pewnej mierze, pełnego do się zaufania?

– Przędź baczenia nieprzerwanego – mamrocze Mason, po jeden z dzbanów sięgając.

– Prośba zdała się to być z wszech miar przyjacielska – Maskelyne nie ustępuje.

– Czy często trafiają mu się wobec waćpana podobne wybuchy? Winieniem baczyć na me słowa?

– Próżne to starania. Cokolwiek wać powiesz, od „piękny dziś mamy poranek”, dzień cały czegoś się uczepi.

– Atoli jeśli wstrzymasz się z „porankiem” – Mason Maskelyne’owi radzi – reszta dnia, bez przemysłu, zejdzie gładko.

– Brak mi będzie dobrych rad waćpana, panie Dixonie.

Gdy dochodzą go wieści, iż winien wrócić wprost na Przylądek, Dixon, o dziwo, nie traci rezonu.

– Powiadają o astronomach francuskich, iż, czy to przez dumę, bez troskę czy jakowyś nam obcy francuski sentyment, nigdy swych instrumentów nie odwracają, a my tu tak. I tym właśnie, zda się, różnimy. Obracamy nasze sektory, mierzymy wszystko w obu kierunkach. Bierze się stąd i to, iż dwa zegary posiadając, poznać pragniemy wszystko, co w naszej mocy, o ich miarach osobnych, aby następnie, umiejscowienie ich na globie zamieniając, choćby i tysiącami lig rejsu, wyniki nowe odnotować. Oto brytyjska metoda – większego starania dołożyć, by pewnego dnia, gdy trzeba będzie, zyskać przewagę, podobnie właśnie nad Francuzami. Przemysłu niewiele, a nagroda sowita. Praktykiem nauki brytyjskiej się teraz czuję.

– Szepnę im z pewnością słówko w Londynie – powiada Maskelyne słodko.

Gdy Mason i Dixon zjawiają się na Świętej Helenie, obie drużyny wymieniają się zegarami – Dixon, ledwie na ląd zszedłszy, zabiera zegar Sheltona, obraca się na pięcie i pierwszym statkiem na Przylądek wraca, Mason zaś ustawia zegar Ellicotta w pokojach Maskelyne'a w James's Town. Przez krótką chwilę oba zegary na półce koło siebie stoją, a tuż za oknem nieprzerwanie biją fale oceanu. Jakby półki do ściany nie przymocować, mury te, a i ona z nimi, poddają się mierze morza, wahadłami przez oba zegary wyczuwalnej na sposób, którego ocenić w pełni nam niepodobna – wahadła są wszak, jak dobrze wiadomo, najwrażliwszymi u zegarów organami, co ponadto konwersacji służą i teraz owej parze na pogawędkę zezwalają, nim jednego ze skrzyni podróżnej wyjmą, a drugiego osobno przyśrubują, aby z Dixonem do Kapsztadu wypłynął. Oba chronometry weteranami są przejścia Wenus, oba także, godzina za mroczną godziną, służyły pracy astronomów, czy to przy pomiarach metodą równych wysokości, czy rachowaniem obrotów trabantów Jowisza, które, kręcąc się niczym niesforne kaczątko, co rusz za swą matczyną planetą znikają, by prędko na powrót się zjawić.

– Całą dobę na służbie będziesz, ot, do czego się to sprowadza – doradza zegar Ellicotta. – A do pospolitej wariacji nad miarą twego się posuwania, dochodzi...

– Jak tam jest, w Kapsztadzie? – drugi pragnie wiedzieć.

– Dalibóg, powietrze zawsze wilgotne – powiada zegar Ellicotta, którego wiedza o Przylądku jeno z deszczowej pory pochodzi, po czym przechodzi do wyliczania horologicznych przypadłości, jakie go właśnie trapią, od ociążałości w głównej sprężynie po porażenie bregueckie¹. Drugi współczująco swym ciężarkiem kiwa.

– Zatem, jak wnioskuje, wszystko tam do ochrony przed wodą niezdatne.

– A z każdym roz pogodzeniem przywarę tę pogłębiają.

– Niestety. A cóż jeszcze? Zegary niderlandzkie, jakież są one?

– Hm... rzecz jasna, duża w tym i twa rola. Niektórzy całkiem dobre utrzymują z nimi stosunki. Czyż Holendrzy nie mieszkają od pokoleń z zegarami niderlandzkimi pod jednym dachem, nawet śpiąc, znosić je muszą? W rzeczy samej, marazm Holendrów bardzo jest tu wskazany, gdyż ich czasomierze co kwadrans biją i to bez ostrzeżenia – coś na kształt BONGGbing. Zaprawdę powiadam, nie każdy znieść to umie.

Zegar Ellicotta ma na myśli brak mechanizmu *sonnerie*, co w brytyjskich zegarach daje się w ruchu posłyszeć na chwilę przed uderzeniem dzwonka przez młotek. Lecz w owych czasomierzach Przylądka, które, jak te u Vroomów czy Zeemannów, spod rąk niderlandzkich rzemieślników wyszły, to raczej krzywki na kółkach osob-

¹ Abraham Louis Breguet (1747–1823) – zegarmistrz szwajcarski.

nych, ze skazówką minutową zazębione, biciem kierują i stąd nigdy nic człeka nie uprzedzi.

– Hm – rzecze drugi. – A jak twoi brytyjscy astronomowie to przyjmowali?

– Mason, jako bardziej flegmatyczny z dwójki, dłużej trzymał język za zębami, choć z każdym niezapowiedzianym uderzeniem rosło z wolna jego rozdrażnienie, aż w końcu kropla czarę przepełni. Dixon zaś, pod którego będziesz pieczę, inaczej wołał swe zaskoczenie okazywać i za każdym razem... cóż... krzyczał. Wielce to drażniące. Brr! Aż mi się drążki trzęsły.

– Muszę mieć zatem nadzieję, iż moje nie wpadną przy owych krzykach w podobny rezonans, czyż nie?

– Ach, prędko się uspokaja i przyrzeka nigdy więcej nie dać się poddać równie niegrzecznemu furii atakowi. Atoli, jak amen w pacierzu, kwadrans później znów mu się to przytrafia. Nigdy, nawet ostatniego dnia na Przyładku, nie był w stanie spałmętać, iż zegar niderlandzki bić będzie. – Rozbawione, pobrzękują społem tremolo.

– Cóż za urocza pogawędka. Reasumując – słota, grubiaństwo miejscowych zegarów, astronom, w którego ręce całkowicie się oddaje, skłonność do wybuchów przejawia, coś pominąłem?

– Salwa na ciszę nocną, co to jej ani razu o czasie nie oddano, i która nieuprzedzonych snadnie o postradanie zmysłów przyprawić może.

– W takim razie, pozwól mi proszę podziękować za swój wkład w ocalenie moich. Na wszelki wypadek, albowiem kto wie, kiedy się znów spotkamy.

– Na przejście Wenus, jak mniemam.

– Za osiem lat! Miejmy nadzieję, iż przedzej.

– Czas pokaże...

– Czy cokolwiek chciałbyś wiedzieć o Świętej Helenie? Lub Maskelynie?

– Słyszę kroki.

– Zatem w dwu słowach. Maskelyne jest szalony, lecz nie aż tak, jak inni, wśród których winieneś osobliwie mieć baczenie na...

Za późno. Oto i Dixon wraz z cieślą okrętowym. Żaden z zegarów pożegnać drugiego nie ma kiedy, albowiem już Sheltona chwytają, do skrzyni pakują i znoszą na pokład wypucowanego, prężącego żagle Indiamana, co się na linach kotwicznych rwie na ocean, ku pasatom. To właśnie o oceanie tak naprawdę zegary rozmawiać pragnęły, lecz jakoś kwestii tej nie przyszło im poruszyć. Żaden z nich nie wie, czym ów jest dokładnie – jeno iż stworzenie to niezaprzeczalnie miarowe – choć większy dział życia w jego pobliżu spędziły, nieraz nie dalek będąc jak o klepkę beczki i deskę kadłuba. Miara fal oceanu wiernym była ich kompanem, lecz obu ocenić niepodobna, gdzie się nań znajdują. Kusi je, z czym walczyć potrafią, by bić z morzem unisono, nie zważając na swych wahadeł długość ani nawet na dnia porządek. Najbliżej im podjęcia tematu, gdy zegar Sheltona wyznaje:

– Po prawdzie, za statkami nie przepadam.

– Ha! Spróbuj raz być pod linią wody, gdy jeden z nich szturmują.

– Nie jestem pewien, czym dalszych opisów ciekaw.

– Dziękuję. Niewiele zawsze do opowiadania, przeto ubarwiać mą gawędę muszę. Rad jestem tego uniknąć.

Gdy w końcu Shelton z Dixonem na osobności ostaje, ów rzecze:

– Cóż, oto mam ci ja znów do Kapsztadu płynąć, a wszystko to, przyjacielu, dla ciebie. Zatem! Jesteś waść zegarem. Absorbujące zatrudnienie, nieprawdaż? – Czasomierz poradzić nic nie może na lekkie drżenie swego wahadła, co Dixon miarkuje. – Zapewne nagał ci ktoś o mnie, przyjacielu? Wszystkie wrażliwe mechanizmy od

mych krzyków dygoczą. Atoli potraktuj owe zdarzenia jako tonik, dzięki któremu nie poddasz się pogodzie, co kapryśna bywa, ani Holendrów porządkom.

– Bacz na kiłę – chwilę później radzi Masonowi, tuż przed wejściem na łódź.
– Mniemałeś, iż Kapsztad był wyzwaniem, lecz to miejsce... – kręci głową. – Niebezpiecznie tutaj. Rzec by można, jarmark dusz przeklętych.

Majaczą chmury, zbliżają oceaniczne deszcze.

– Zawsze to samo. A co z Maskelyne'em?

– Ach... on też winien mieć się na baczności.

– Niech go...

– Poprzysiągłem sobie nic już nigdy nie wypominać innym z mej profesji – rzecze Dixon z oczami świętoszkowato wzniesionymi ku niebu. – Nawet tym, dla których rektascensja jednego czy dwu świństek wymaga. Atoli ty znasz go lepiej ode mnie, przyjacielu.

– Zdajesz się insynuować, iż sam dla siebie mogę być zagrożeniem.

– Doprawdy? Nic takiego nie mówiłem – powiada, widząc, iż Mason poczyna kręcić powoli głową na boki ruchem posuwisto-zwrotnym. – Twe to były słowa.

– Pięknie dziękuję, Dixonie. Roztrząsanie zawsze pożytek przynosi. Dobrze. Pozdrow tam wszystkich, co i mię by jeszcze pozdrawiać chcieli.

– Ani się obrócisz, a będę z powrotem.

– Dbaj o siebie, Jeremiaszu. I o zegar.

– Do zobaczenia w Boże Narodzenie, Karolu.

13

Po mokrych skałach bacznie drogę powrotną wybierając ku stopniom do morza i z równą starannością wspinając się na nie, Mason dostrzega Maskelyne'a dopiero na nadbrzeżu, gdy niemal na niego wpada. Dziwaczne zdaje się to miejsce na astronomia spotkanie, jeśli nie jest tu z okazji wypłynięcia statku, a wszak z tym pływem jeno Dixon wyspę opuszcza. Atoli Mason wątpi, by ów pragnął być zauważony – obaczywszy Masona, oczy niedawnego solenizanta suną prędko dalej.

– Wczesna to moja przechadzka – Maskelyne wita. – I tak na nogach przez większość nocy, astronomiczne przekleństwo. Imć Dixon z zegarem bez przeszkód dotarli na pokład, jak wnoszę.

Mason kiwa głową, wpatrując się poza zatoczkę, w otwarte morze. Nie jego powinnością wiedzieć, skąd Maskelyne wraca i dokąd zmierza – i niech tak już, z pomocą Bożą, ostanie. Gwiazdy suną ku czerni stromych, poszarpanych wzgórz strzegących wrót doliny. Mgła wznosić się poczyna, dzień nabrzmiewający czując. Spośród pobielonych, kamiennych ścian domostw dochodzi wrzawa żywych szeptów.

– Czy zajrzemy może znów do Atlantyckiego Zamtuza, znajdziemy coś na śniadanie i weźmiemy się do roboty?

O tej porze w każdej szybie rozbłyskują latarnie.

– Kapsztad to to nie jest – Mason wzdycha.

Żeglarze się zataczają, dziewczki z szychty schodzą lub na nią idą, młodzi pisarze kompanijni zbyt są oszołomieni, by spać, handlarze rybami dźwigają pospołu olbrzymie tuńczyki niczym lektyki pasażerów, niewolnicy śpiewają w miejscowym dialekcie, wszędzie migoczą latarenki – ciszy nocnej nie ma. Angielska Kompania Wschodnioindyjska, jakże od swej holenderskiej siostry różna, przyznaje tu palmę

pierwszeństwa tabeli pływów, a z nią i Miesiącowi – to jemu de facto we władanie oddała pojawianie się i znikanie, nie tylko statków, ale i ludzi, ich życie i śmierć na tej przeklętej insule, z którą od tak dawna źle się obchodzono.

Przechodzą przez most i idą wzdłuż placu musztry, koło kompanijnej cytadeli, fale tłuką nieprzerwanie, aż przystają u wylotu głównej ulicy.

– Choć skromne w ziemskich rozmiarach – Maskelyne rzeczy, skazując na miasto – gdy przekroczyć jego progi, obnaża prawdziwe swe oblicze, labiryntem okazując się europejskim metropoliom równym... Zaułków, w które skręcić można, nieskończenie wiele. Niczym z rybami i bochnami chleba, tak to jest tu w James's Town. Filozofia nie zna odpowiedzi. – Zdaje się mówić trzeźwo i szczerze.

– Zatem – wypalił Mason, a przynajmniej później mniemał, iż był wypalił – jeśli ktoś pragnie zniknąć na chwilę, acz na wyspie ostać...

Jasne oczy poczynają mrugać, jakoby w jakowejś sekretnej mowie.

– Rzecz jasna, snadniej na wieki... Z racji morza, ma się rozumieć.

Mason nie jest pewien, iż wiedzieć pragnie, cóż się kryje za owymi słowami.

– Bez dwu zdań, lecz co, gdy, dajmy na to, na tydzień?

– Wówczas ważne, kto szuka.

– Dajmy na to, wielmożna pani K.W.I.

– Hm. Pierwsze dwa, trzy dni nie sprawiłyby kłopotu – zakładając, iż znalazły się doskonale i miasto, i Helenę – albowiem w pierw w pogoń wysłano by młodszych pisarzy i czeladników, zbyt niedawno przybyłych, by choćby cytadeli znać prawdziwe rozmiary, atoli gwałtownych, co zastraszyliby wszystkich i ostrzegliby, iż grozi wyspy całej przetrząśnięcie, a zatem całego tutejszego świata.

– Ehm... z pewnością roztrząsałeś już taki wypadków przebieg...

– Mniemałem, iż waszmość pytasz w swej sprawie. Mnie zniknąć nie trzeba. Ach, Boże, Towarzystwo Królewskie zupełnie zapomniało o starym, dobrym Wielce Poważnym Neville'u Maskelynie. Pędziłem próżniaczy żywot, ciągnąc z królewskiej kasy, wyczekując gwiazdy zenitu ruchu. Lecz teraz, w tej samej chwili, gdy wreszcie jest czym zająć ręce i głowę, niebiosy zsyłają mi...

– Tak? – dopytuje się Mason najlepszym tonem.

– ...doświadczonego astronoma, który wielce już się nauce przysłużył, aby wsparł mnie przy mych, o ileż prostszych i nędzniejszych, zadaniach.

– Pan Waddington, jak wnoszę, nie mógł... z jakowychś względów dostąpić owego zaszczytu.

Maskelyne ramionami ściska.

– Ledwie planeta oderwała się od zewnętrznego kraju tarczy Słońca, już spieszno mu było do domu.

Po prawdzie, Waddington trzy tygodnie po przejściu wyjechał.

– Nie mnie rachować paralaksy Syriusza ni pływy czy ruchy trabantów Jowisza – mamrotał, gdy się żegnali. – W umowie mej przejście Wenus jeno stoi i to obaczyłem. Jeśli życzysz sobie ode mnie dalszych obserwacji, nową umowę trzeba sporządzić.

– Gładkiego rejsu, Robercie – Maskelyne odparł na to spokojnie. – Księżycowych nocy i udanych rachowań lunarnych odległości przez cały czas podróży. – I obrócił się ku miastu z zamtuzem przy moście i górującym nad tym wszystkim ponurym zboczom stromych wrót doliny, by do swej pracy powrócić.

– Ta wyspa – wzdycha Maskelyne. – Cóż, nie każdemu w smak *bruchette* z albakory¹, czyż nie?

¹ Szaszłyk z tuńczyka żółtopłetwego.

Waddington wyraził swe niezadowolenie, gdy tylko z pokładu swego Indiamana ujrzeli Lota i Żonę Lota¹ i posępny fort kompanii w Sandy Bay. Podczas całego jego na Helenie angażu nie było dnia, by nie spotkało go nowe rozczarowanie. Za mało ulic, zbyt dużo spojrzeń, kawa, fałszowana ponoć przez późniejsze jawajskie domieszki, z pewnością z ładowni statków kompanii uszczknięte przez sprytnych ochmistrzów...

– Nie może być – rzecze Mason poruszony.

– Nie trap się waść, to jego fantazje jeno. Później, stawiając się przed Towarzystwem, wychwalał Świętą Helenę i jej gubernatora, nie szczędząc słów uznania, a przy tym, w drodze do domu, wyrachował odległości lunarne wyśmienicie. Kapitan zwolnił go z opłaty za przewóz, tak blisko trafili, choć pod koniec mgły weszły i nim ktokolwiek ład obaczył, szli prosto na Portland Bill². Słyszano też, iż Waddington wydał z siebie okrzyk nieklamanej radości, iż dożył chwili, w której znów Anglię widzi.

– Winieniem jego prejudykat uszanować, czyż nie? – Mason duma.

– Pragniesz rzec, iż i ty nie przyłożysz się do obliczeń pływów? Kilka kijów wektnąc w wodę, w czym kłopot?

– Miałem to na myśli, iż odległości lunarne zebrać muszę liczbą i przymiotami jego równym. Gdybym pomoc nie pragnął, odpłynąłbym wszak z Dixonem, byle dalej od tej... to jest...

– Zaręczam waszmości, nie ma takiego o Helenie niepochlebnego zdania, którego bym już z ust Waddingtona bądź własnych nie słyszał. Przez czas jakiś wierzyłem święcie, iż miejsce to rozumnym jest stworzeniem, ożywianym przez siły ciągnięte z głębi ziemi, stworzonym w sekrecie przez Kompanię – całkowicie w ich posiadaniu – iż nie ma tu ani jednego ruchu, myśli czy snu, co by nie miały Kompanii za swego autora. Ha, ha, ano tak. Przedstaw sobie me rojenia. Starałem się stąpać lekko, pragnąc, by owo Coś kroków mych nie czuło. Gdybym zbyt ciężko je stawiał, sam czułbym, jak się wzdryga. Zatem się starałem. I ty mógłbyś iść w me ślady. Wszyscy, nawet spora grupa tutejszych szaleńców, lekko stąpają. Cóż za władza podobne praktyki narzuca? Gubernator Hutchinson? Kompanijne oddziały? Poddaję, iż coś więcej niżli ta para – to poczucie, iż mieszkamy na uśpionym stworze, przy którego rozmiarach nawet wszom nie zdajemy się równi. Troszczymy się przez to nieprzerwanie o nasze jakże niepewne życie, a i wszelkie dobre maniere do trwania mu niezbędne. I stąd brak ciszy nocnej. By żyć, zawsze na nogach być winniśmy, a każda chwila na jawie w strachu nam mija, w każdej chwili niezmiennie upaść możemy i znaleźć się wśród plugastwa i rozpusty.

– A tak, skoroś już tę kwestię poruszył...

– Panie. Lekceważyć te sprawy można w Londynie, lecz tu jeno ku własnej zgubie. Nie poznałeś jeszcze waść plugastwa, a prawdę powiadam, plaga ta miasto to trawi.

Mason poci się obficie, myśląc: Dixon ostawił mię tu na osobności z groźnym wariatem. I dlaczegoż to naprawdę przyszło Waddingtonowi wypłynąć w podobnym pośpiechu? Ha? Czy był głupcem? Widać wszak jak na dłoni, iż jego wyjazd wszelkie nosił znamiona paniki! Rzecz to jasna, iż stale należy się tu mieć na baczności, aby nigdy Maskelyne'a nie drażnić. Ach, Boże...

Na dobry początek Mason stara się pohamować swe konwulsyjne ramion ruszanie.

– Ja... dopiero co przyjechałem.

¹ Dwie góry nad Sandy Bay (ang. zatoka piaszczysta) na Wyspie św. Heleny.

² Przylądek na wyspie Portland u wybrzeży hrabstwa Dorset.

– Co powiadasz? Ha? Iż winienem być z Waddingtonem wrócić? Jak? Czemuż to kapelusz swój ściskasz tak kurczowo? Obserwacje Syriusza należy przeprowadzać w tak dużych odstępach czasu, jak to tylko możliwe, czyż nie? A pomiędzy owe najmniej sześć miesięcy, które świat niechybnie ma za próżniackie, gdy gwiazda sunie wedle swej miary, z jednego kraju orbity na drugi, bazy odcinek z wolna coraz dłuższy, im dłuższy, tym lepsza... czy moja to wina? – Czy oczekuje odpowiedzi? Minęła płaską część miasta i poczynają się wspinać.

– Masz mię za niedbałego? – pyta Maskelyne roztrzęsiony, marszcząc czoło. – Rzec mi możesz bez ogródek, jaki się w twych oczach jawię. Sam jak palec, skąd mam cokolwiek wiedzieć, nawet i to, jak wyglądam? Nosilem perukę czas jakiś, lecz wszyscy zerkali na mię dziwnie. Na wyspie nie ma ci ani jednego lustra zdatnego ludziom, a nie liliputom. Podobne zbytki nie zasługują na zawinięcie do tego portu. Nikt tu nie wie, jaki innym się zdaje, prócz paru dziewczek koło mostu, co ponoć posiadają puzderka do rózu z maciupkami sztukami po wewnętrznej stronie wieczka, dzięki którym podziwiać mogą swe wdzięki, atoli jedno naraz. Wszystko zatem, co nie w ułamkach, jest niewidzialne. A jeśli i w mym uosobieniu zachodzi jakowaś podobna przemiana, jeśli zbaczam na złą drogę, skądże mam wiedzieć? Być może przysłało cię z nieznosnym wiatrem ku mej poprawie, byś był mi za moralnego nadzorcę. Jakże my wszyscy czekaliśmy na kogoś takiego, prawda?

Różnorako odpowiedzieć mogąc na owo pytanie, Mason wybiera ciszę, którą, jak ma nadzieję, kompan jego za nieuprzejmą nie weźmie, i wspinają się dalej.

Jako jedyny port Heleny osłonięty przed wiatrem, James's Town zna stan uśpienia jeno przelotnie. Żeglarze opowiadają o mieście przed i po zejściu na ląd, jakoby o miejscu, które się w opiumowym otumanieniu odwiedza. Gdy tylko drzwi lub okiennica się odemkną, uszu muzyka dochodzi. Z pochodni coraz wyżej wznoszą się wstęgi ognia. Zaułki skrywają grających w „grosz do dołka”. Ozdobne latarenki, ciut większe niżli kryjące się w nich płomyki, kołyszą się u nadgarstków młodych dam, co o tej porze znajdują zatrudnienie.

– Najświeższa to w mieście moda. – Maskelyne Masona zapewnia. – Te młódki ciągną tłumnie na Indiamany nie tylko po marynarzy, lecz i po sprawunki, podchwytyją jedną nowinkę za drugą, starej z równie lekkim sercem się pozbywając, co nową wybierają. Jak widać, z różnych krańców są świata – Afrykanki, Malajki, czasem trafi się irlandzka róża.

– Uuu, wielebny, kimże jest waćpana kuszący przyjaciel?

– Hola, hola, Bridget... Tak, miłego dnia życzę. – Maskelyne macha przyjaźnie. – Nie żeby brakowało tu zdrowych rozrywek, można śniadanie na trawie urządzić wy-soko w dolinie, zajrzeć do Sandy Bay, głowę musztrować, studiować wiry, chińskiego się uczyć. Pić.

Udaje właśnie, iż zatacza się ze zdziwienia przed wejściem w murze, bardziej ceglanym niżli wapiennym, nad którym szylid wisi, a na którym widnieje biały księżyc o obliczu upadłej białogłowy o wielu dodanych pieprzykach, by wiadomo było, w czym, przy bliższym poznaniu, biegła się okazać może.

– Dalibóg, zadziwiająca! Otóż i znowu Księżyc. Ochotę masz zajrzeć może?

W środku chór młodych, powabnych niewiast śpiewać poczyna:

*Witaj, piękny żeglarzu,
Zapomnij o swym harpunie.
Szczęście ci dopisało
I złądował na Lunie,*

*A my, lunarne panny,
Rade, iż spadłeś nam z nieba,
Gdyż sił resztkami gonimy –
Panów na Lunie nam trzeba.*

[refren]

*Ach, panowie na Lunie,
Cud to zesłany z nieba,
Czy północ to, czy południe
Panów na Lunie nam trzeba!*

Jak nic ulubiony to przybytek Maskelyne'a.

– To co zwykle, rycerzu? I madera dla przyjaciela? Pan Mas-son, doskonale. Imć Dixon odplłynął szczęśliwie, jak wnoszę?

– Witam, miło widzieć – rzecze Mason ze skrywaną niechęcią.

Szynkarz, imć Blackner, jest jednym z owych królów wśród plotkarzy, co, gdy mu tylko dać dość czasu, musi pojawić się na wysepce w każdym kierunku tysiącami bezludnych lig oceanu otoczonej, której mieszkańcy, w liczbie swej wioskowym równi, jeno o sobie samych rozprawiać mogą i na każdym gościu ucztują z ochoczością, co się jeno w paru rzekach Ameryki Południowej zdarza. Każdy tu wie w końcu to co i wszyscy, a owo dziwne, przenikające ich rozum tętnienie odczuwalne jest przez przybyszy silnie, nie wspominając, iż i z obawą.

Gdy tylko imć Blackner, dzięki owej cudownej, skupiającej wszelkie wieści soczewce, wywiedział się, jakie są Maskelyne'a z Clive'em i Kompanią koneksje, jął rozpowiadać to gościom, w tym i prostym żeglarzom, skazując astronoma kciukiem.

– Ten tam to szwagier Clive'a, Pana Indii. Tuż koło dzbana jałowcówki.

– Za długoś na wietrze znów siedział, panie B.

– Przysięgam, oto macie przed oczami szwagra słynnego nababa nababów, a posiada on i dwu braci, co także są indyjskiego Clive'a szwagrami. – Nieraz, w samej rzeczy, przyprowadza do Maskelyne'a nieufnego z kuflem w rękę. – Ej, Nevil, kto jest twym szwagrem? No, powiedz mu.

Maskelyne za każdym razem to sobie wyrzeka, lecz, zamieszaniu niechętny, pragnąc jeno, by chwila ta przeszła jak najprędzej, rzecze:

– Tak, to lord Clive.

– Clive... Pan Indii? – Przebiegły gość rad się upewnić.

– Sam ów bohater, panie, szczęście miał pojąć mą siostrę za żonę.

– A tak, tak – rzecze gospodarz nad wyraz zbyt gorliwie. – Rzecz jasna to panna Peggy.

Z tych miar pijący wlepiają w niego oczy, aż niemal słycać ich spojrzenia – takie tu, w Księżycu, panują teraz porządki. W zamian za ścierpienie poufałości żadnej sław gawiedzi pozwolono Maskelyne'owi rachunek swój tak rozdmuchać, iż legendą stał się nawet w tym porcie, gdzie trunki niepospolitym wszak leją się strumieniem, a którego splącenie starczyłoby i na drobną wojenkę. Kosztami obciążą się Towarzystwo Królewskie, rzecz jasna, a jeśli odmówi (przy jakiej kwocie, imć Blackner nie jest pewny – jak się okaże, na dzień ledwie pięć szylingów przypadło), to Clive'a, Pana Indii, którego bogactwo nie zna granic. Maskelyne może także czuć brzemień rodzinnej tradycji, albowiem brat jego Edmund, zwany Munem, lat temu dziesięć, jako młody kompanijny pisarz, w drodze do Karnataku także do Księżycy zawitał i miejsce to mu do gustu nie przypadło – co poddaje, iż

przybytek to w sam raz dla Nevila. Z jakich racji, nad tym Maskelyne nadal głowę swą łamie.

Później, wysoko w górnym obserwatorium na Alarum Ridge, Mason stara się spionowaniu przyjrzeć bez nadmiernego rwania oczu, Maskelyne bowiem bardziej jest teraz rozdrażniony, rzec by się chciało – wręcz rozżalony. W dniu przejścia Wenus Mason i Dixon zdołali spisać pory wszystkich czterech z tarczą solarną zbliżeń, gdy tu, na Świętej Helenie, tuż po pierwszym zjawiała się chmura idąca wprost na Słońce. W owej chwili musiał być Maskelyne porzucić wszelką nadzieję. Ostrzegano go wcześniej, by nie stawiał swego obserwatorium zbyt nisko, wiedział o kłopotach doktora Halleya z poranną mgłą, co nieraz wielki wawóz wypełniała. Słyszając o owych porażkach, Mason pojmuje, iż jego zadaniem będzie nigdy nie wydać się ukontentowanym przed Maskelyne'em, a także puszczać płazem to, iż ów sam sobie sztylet wbił, co nader często czynić będzie.

– Rzecz jasna, nie wszystkich na Przylądek posyłają. Ech, trafiło się waszej dwójce, perła prawdziwa, niech skonom, jeśli łże. – W takich chwilach głos strapionego Maskelyne'a bliższy gardłowemu sopranowi.

– Czasu nie było, byśmy inny port wybrać mogli.

Podczas swego pobytu na Helenie Mason tysiąc razy słowa te powtarza, zdaje się zatem, iż przeciętnie po dziesięć na dzień.

– Niechaj skonom, jeśliście nie błogosławieni, przebóg, błogosławieni. Wikarym jestem, w tych sprawach zaufać mi można. A co się reszty nas tyczy, ha, cóż z tego, iż starczy ledwie mgnienie oka, by zły los wstrzymał sromotnie wszelkie curricula. Ech, biedni my, głupcy. Oto i sarkam na to, czego zaprawdę za dużo było, co było zbyt prędkie – nie tylko pogodę, pojmujesz wszak przecie, iż gdyby nawet owego dnia ta była przednia, miałbym ci ja jeszcze i ów przekłety, wybacz, sektor. Regułę *falsum in unum*¹ wyznając, przy wadliwym spionowaniu jakże wierzyć mogę w cokolwiek, co przez niego obaczę? Osobliwie tu. Gdzie indziej może nie przejąłbym się tak bardzo, lecz tu czuje się niepokój niezdrowy, czyż nie? Czyż nie masz odczuć podobnych, Masonie? Czyż nie czujesz się, sam nie wiem, rozdrażniony?

– Rozdrażniony? Hm. Nie, Maskelynie. Po Przylądku znajduję Helenę miejscem wielce spokojnym, na sposób południowy – powietrze czyste, kawa, jakiej z inną równać nie sposób, z krzewu wprost do suszarni! Niebo niepospolicie do obserwacji zdadne, czegoż więcej życzyć sobie można?

– Czegóż więcej... – Wymierza sobie chyżo dwa policzki, jakoby chcąc gniew pohamować. – Zgadza się, zbytnio jestem wybredny, tak, a i tchórzliwy, bez wątpienia. W końcu cóż to być uwięzionym na szczycie kipiącego w swych trzewiach wulkanu, w którego historii zdarzył się i wybuch gwałtowny, prawda? Który, w rzeczy samej, w każdej chwili zbudzić się może, nie ostawiając, w razie podobnego, jakże ożywionego wydarzenia, żadnej drogi ucieczki prócz tysięcy lig oceanu, pustego, gdzie nie spojrzeć. Ach! Masonie, czy tego nie czujesz? To miejsce! Ta wielka ruina – nawiedzona... zatwardziałe widmo, zbrodnia zamierzchłych czasów – nikt się przekleństwu nie wymknie. To gazy, którymi oddychają, pokolenie po pokoleniu. A! To to! Tam! Spójrz! – woła, skazując poza krąg latarnianych świateł, z twarzą niepokojąco wykrzywioną.

Pierwszy raz podobną przemowę z ust Maskelyne'a słyszając, Mason wielce się zatrzywił. Podejrzewa już, iż rządzą tu prawa nie tak bardzo newtonowskie co na południu Anglii, a co do nazwiska ich autora, snadnie zbitym z pantałyku poczuć się

¹ *Falsum in unum, falsum in toto* – błąd w jednym, błędne wszystko.

można, jako iż diabelskie znaki tak są tu wszechprzytomne. Atoli po kilku podobnych wybuchach Mason nie czuje już tak gorącej działania potrzeby. Z tym większym zdumieniem i skurczem żołądka miarkuje, iż choć spokojny, spostrzega coś tam w górze, i to sporych rozmiarów, coś, czego winno tam nie być – nicości płachtę w miejscu, gdzie ledwie chwilę temu świecił zastęp gwiazd z nazwami stojącymi w encyklopedii.

– Hm, to obserwatorium, Maskelynie? Kompania dostarczyła ci coś, to jest... broń jakąś?

– Ha! Parę francuskich pistoletów, w których się krzemień zacina. Bierz, który chcesz – jedno i to samo. Przy Tym, co nadchodzi, strzał nie zda się na nic.

Gość, teraz coś więcej niżli cień, podpełził ku zenitowi, zaciemniając coraz większy szmat nieboskłonu, aż wreszcie przesunął się nad głowami ku linii horyzontu.

– Aura – mruczy Mason, niemal zawiedziony.

Deszcz poczyna wnet padać, parujący i gęsty, spieszy zatem, ciskając gromy, na zewnątrz, o dach przesuwany zadbać, a Maskelyne tymczasem skupia się na paleniu w wygodnym zacisku świeżo nabitej fajki. Mason raczej czuje, iż się poddaje, niż że jest rozżalonym, przedkładając znane sobie huczące żywioły nad zaduch przyprawiających o gęsią skórkę kazań Maskelyne'a o mrocznym stworze. Wkrótce woda tryska ciurkiem naraz ze wszystkich trzech rogów jego kapelusza, choćby obracał głową na wszelkie sposoby.

Później, obserwacji żadnych nie dokonawszy a snowi niechętni, drugą flaszkę górskiego wina otwierają. Wszystko może zaczekać, co za drzwiami owej lichej chaty. Szczyty ostre i strome niczym góry z piekła rodem. Inna planeta, choć jeszcze bezimienna – jak ich pod Księżycem solennie zapewniono. Trupą wędrowną jest tak naprawdę Helena, wszystko tu przedstawieniem – kolonią wieki temu przez swą rodzimą planetę zesłaną, która to niewidzialna przez lata niezmierzone przetrwa, nim się odsłoni i zyska miano. Do tego czasu wyspa za *aide-mémoire* służyć będzie, miniaturę domu. Wielu mieszkańców, przodków pierwszych kolonistów, nigdy rodzimej planety nie odwiedzi, choć niektórzy głoszą, iż byli na niej i wrócili, i to raz niejeden.

– Co, jeśli to prawda? – pyta Maskelyne. – Każdy lud ma historię swego stworzenia. Kto herezji ma dość w sercu, zatem nie ja z pewnością, mógłby wysunąć przypuszczenie, iż i ogród rajski z Księgi Rodzaju był taką pozaziemskiego ludu kolonią.

Maskelyne jest bez wątpienia jednym z tych, co skorzy byłiby wnieść się ponad Ziemię, co czyni z niego, w oczach Masona, chodzącą przestrożę. Już od lat, po kulminacjach północnych, sam na wznak się kładzie i wsłuchuje w niebo, które szepcze kusielsko: Zapomnij o chłopcach¹, o wiernopoddańczości wobec zmarłych, osobliwie wobec Rebeki, albowiem ona, oni, to jeno przeskadzajki, śmiertelne i cielesne, niestrudzenie starające się ściągnąć oddanego Urani² z powrotem na ziemię, trzymać z dala od jego królestwa czystej *mathesis*³, z dala od wszystkiego, co trwać będzie.

– Gdyż, jeśli każda gwiazda jest mało czym więcej jak tylko matematycznym punktem, rektascensją i deklinacją, na półkuli nieba usadowionym, tedy wszystkie gwiazdy społem wzięte, choć niezliczone, muszą, jak każdy inny zbiór punktów, przedstawiać sobą jedno olbrzymie równanie, dla rozumu Boga równie proste co, dajmy na to, równanie sfery – dla nas zaś nieczytelne, niepoliczalne. Zadanie to osobnością naznaczone i brakiem ukontentowania, nawet może do ziszczenia niemożliwe – lecz niektórzy z nas zawsze biedzić się nad nim będą, jak mniemam.

¹ Mason miał wówczas dwóch małych synków.

² Muza astronomii.

³ Nauka, zwłaszcza matematyki.

– Ci z nas, którzy czas na to mają – poddaje Mason.

Pewnego bezchmurnego popołudnia stoją perfumą gaju pomarańczowego otoczeni. Podobnie jak przybysze w innych stronach stoją może, w jakowąś potężną przepaść czy kataraktę oczy wlepiając – ci nosem świdrują raczej różnorodność woni, jakiej obaj nigdy przedtem nie zaznali. Szukali tego miejsca cały, długi, chylący się ku końcowi dzień. Ostatni to gaj pomarańczowy na wyspie, pamiątka upadłego raj. Zielone zbocza wzgórz upstrzone są cieniami obłoków, kryte czerwoną dachówką domostwa rozsiały się w dolinkach, pastwiska opadają z łagodnością owiec – wszystko to, a i wulkaniczna łąka, na której obaj stoją, otoczone piekielnymi zębiskami nadprzyrodzonych szczytów – zamarłych w pchnięciu, piętrowo szczybionych.

– Święty Brendan wypłynął w piątym stuleciu odkryć insułę, która, jak wierzył, była Rajem z Pisma Bożego. I znalazł ją. Jedni wyrokuje, iż była to Madera, Kolumbowi na Maderze powiedziano, iż dalej ją ku zachodowi widziano, zaś filozofowie naszych czasów trzymają, iż wyspa ta była jeno mirażem. I tak oto rządy rozumu odparły z ukontentowaniem stwierdzenie o bytności Raju.

– Atoli przypuścmy, iż dotarł do brzegów Heleny. Wszak wrócił, czyż nie? Zmarł w wielce podeszłym wieku, będąc biskupem klasztoru, jaki w Clonfert założył, tak daleko od Zachodniego Morza, jak to tylko było możliwe po tej stronie rzeki Shannon¹. Może tam właśnie był Raj. Bo jeśli tu, po cóż wyjechał?

– Zagadka! Przednia rzecz! Tego nam trzeba było! Nim odpowiedź się znajdzie, w Anglii być już z powrotem możemy, skończywszy tu swe interesa!

– Odpowiedzią jest wąż, rzecz jasna.

– Jaki wąż?

– Ten, który mieszka w wulkanie. Masonie, z pewnością nie jesteś ignorantem w tej kwestii?

– Wybacz mi, waszmość...

– Wąż, smok czy poczwara, jemu nic po tym, albowiem prócz swej nie zna innej mowy. Władzę na Helenie sprawuje – przekleństwem insuły z czasów pradawnych, a i jej sekretnym imieniem jest Nieposłuszeństwo. W bezrozumnej chciwości, w przeciągu kilku politowania godnych swą krótkością pokoleń, lud tutejszy spustoszył ogród, w którym niegdyś wszystko rosnać mogło. Wszędzie kupy plugastwa, choroby, szaleństwo. Pewnego dnia, nie w tak bardzo odległym czasie, ze zniszczeniem ostatniego liścia ostatniego krzewu, przy wtórze niesłabnącego wichru, co zabierze z sobą ostatnią grudkę ziemi z ostatniej jałowej łąki, gdy nic żywego prócz ludzi na wyspie się nie oстане, jakież będą ich ostatnie postęпки, jak, samym sobie się sprzeciwiając, odejdą w zapomnienie? Czy wymrą po prostu jeden za drugim, pełni podejrzeń, każdy osobno, podług panującej tu mody, aż po ostatniego mieszkańca? A może raczej skłonią się ku wzajemnemu mordowi, dla radości, jaką czerpać z tego zdołają?

– Jak prędko nastąpi to, o czym rozmawiamy?

– Módlmy się, aby nas już tu nie było. My na to, by być nieposłuszni, mamy własne sposoby – o ile się nie mylę – dewizą tu słowa Jakoba Bernouillego, *invito patre sidera verso* – wbrew życzeniom ojca mego gwiazdy studiuje.

Mason przystaje, by zerknąć na kompana i pokręcić głową, lecz nierozdrażniony.

– Cóż ty wiesz o ojca mego życzeniach? Czy to masz na myśli, iż skoro jest jeno młynarzem i piekarzem, rzecz to jasna, iż przeciw astronomii występuje z przekornego, upartego nieuctwa?

¹ W Irlandii.

– To jeno mam na myśli, iż w naszych czasach nierządka to dysputa – Maskelyne zapewnia. – Rozum i każda profesja z nim związana, oddanie się nauce, oto nadzieja młodych, muzyka nowa, której miary ich rodzinom uchwycić nie sposób, a czasem i jej nawet nie słuchają. Znam ja ci dobrze podobne zmagania, sam z Munem osobliwie prowadziłem dysputy, a i Peggy nie szczędziła mi docinek. Skłonili mię raz podstępem, bym jej wróżbę z gwiazd wyrachował, co w głównej mierze tyczyć miała podobieństwa jej rychłego zamążpójścia. Chwili ledwie trzeba mi było, bym szkic panieńskich snów godny stworzył, z Jowiszem śmiejącym się do Wenus w domu, co stała ma w pieczy, Marsem w *medium coeli*, Merkuriuszem bez przeszkód wprost suńącym, bez żadnego ciała na wygnaniu. Czy mi podziękowano? Jedna wróżba prosta i od tej pory byłem już jeno Nevilem-astrologiem.

– I tak mniej to dotkliwie niżli ślepek gwiazdowy.

– A co, jeśli naprawdę raz czy dwa powróżyłem, będąc w szkole westminsterskiej i rzecz jasna później, w Cambridge, gdy odkryłem, iż dają po sześć pensów za to... cóż. Wnoszę, iż całyś stracił dla mnie teraz szacunek.

Drugi już tydzień w górnym obserwatorium siedzą i wyznania skore są płynąć rwącą strugą, niczym owa „woda, co z serca ładu się zjawia”, jak stoi na tutejszych sędziwych mapach.

– Całe sześć pensów? Mnie nigdy nie trafiło się więcej niżli trzy i to z pełną gamą punktów arabskich dorzuconych dla zachęty.

– Ach, czyż i tego nie pamiętam, mój druhu od lunety. Taka nasza dola. Kepler rzekł, iż astrologia jest astronomii rozpustną siostrzyczką, co na miasto kupczyk własnym ciałem się wypuszcza, by astronomii cnotliwość ocalić. Wszytkim nam, z pewnością, nieco czasu na Covent Garden¹ zeszło. A co do starszej siostry, ileż to razy sama już tam nie zajrzała? Albowiem –

Choć instrument nasz z brązu, a nie z ciała,

[śpiewa Maskelyne zgrabnym tenorem]

Zawsze z kurwy coś profesja ta miała

(Czyż nie?).

Jednych wiozą ku z marmurów pałacom,

Innych w krzaki, gdzie sześć pensów zapłacą,

Lecz czy to ważne – powiedzą gwiazdy. –

Od wieków was uważamy

I wszystkie znamy ludzkich zatrudnień

Najprzeróżniejsze odmiany.

[Recytatyw]

Jedni jadą do wód, gdzie, jak pszczoły na miód, nawet kler, czując głód, ku nim spieszy. Znajdziesz też coś na ząb, gdzie kopiący rów głęb, skory sięgnąć jest w głęb swojej kiesy. Różne są instrumenta, tu teleskop, tam pięta, tu i tu za kunszt wzięta zapłata. Czy noc spędzasz z lunetą, czy z upadłą kobietą, nierozważną i grzeszną jest gra ta.

Gwiazd gros się chowa

I planet nieznanych,

¹ Wówczas miejsce o innej niż dziś reputacji.

*Chęć nam nie mi ja
I wciąż ich szukamy.
– Opatrzność – mówią.
– Bóg! – krzyczą inni.
Zwą cudakami
Bądź chwałą – Pilni!
Lecz czy to ważne – powiedzą gwiazdy
etc.*

– Wolną mamy chwilkę, nim Syriusz wzejdzie – rzecze Maskelyne, po piosence z wypiekami na twarzy. – Wyrachuję ja ci teraz wróżbę, a ty mi później, co ty na to?

– Co takiego? – Mason poczyną wycofywać się ku wyjściu z namiotu.

– Położenie gwiazd w chwili twych narodzin, Masonie. Czy ktoś ci to już kiedyś wyrysował?

– Cóż...

– Nie ma się czego wstydzić, mnie też nie. Większość astronomów rada może w niewiedzy ostać. Lecz, jako że z nas para szarlatanów wyrzuconych na brzeg owej insuły z innego świata rodem, a losem naszym jedna planeta włada, a prędzej bogini, na której każde winniśmy być skinienie, gdyż inaczej stracimy więcej niżli trzeba, czemuż by nie, prawda?

Mason mruga razy kilka oczami. Czy to ta wysokość? Ze szwagrem Clive'a, Pana Indii, lepiej się nie wadzić, jak mniema. Ha! A jeśli nie jest to szaleństwo? Nic gorszego nad gwałtowne szukanie na wygnaniu zażyłości. Przypuszczać można atoli, z większą surowością, iż to Bradleya Maskelyne pragnie zdobyć względy. Mason spotkał już na swej drodze wielu przygodnych gwiazd uważaczy, którzy wpadli na koncept podobny, by zbliżyć się do królewskiego astronoma, lecz w domu, w mieście, można było takiego odprawić grzecznie i zniknął w mgławicy głów ludzkoźnych. Tu, w namiocie, pośrodku oceanu, jakież miał wybór?

– W jaki dzień przypadły twe narodziny?

– Nie wiem. Ochrzczono mię pierwszego dnia maja i ten obchodzę.

– Przyszedłeś zatem na świat kilka tygodni wcześniej, może w Baranie, nawet w Rybach, mało podobne, iż już w Byku, atoli... – przygląda się bacznie Masonowi.

– Jeśli to ci pomoże, powiadają, iż przymioty, jakie przypisać można memu uosobieniu, w przeważającej mierze do Byka przynależą – zaciętość, flegma, niebaczenie na zaczepki, chyba że z wielkim mozołem. Jego namiętność tytanicznych rozmiarów, jego los – wiecznie być dżganym przez mężczyznę nędznej postury, w wyszywanych błyskotkami kubrakach.

– Pierwszy dzień maja zatem weźmy, dobrze?

I Maskelyne do rachunków zasiada. W świetle ślepej latarni oblicze jego lśni gładkością wosku. Nawet tu, w górze, łoskot fal dobiega ich uszu wśród przyprowadzających o zawrót głowy szczytów i wawozów. Szkicuje okrąg i poczyną go napełniać cyframi i znakami sekretnymi. W pewnej chwili, jakoby nieświadom, co czyni, sięga ku tyłowi głowy i harcap luzuje, włosy rozsypują się po policzkach, przysłaniając go samego i jego oczy roziskrzzone rachubami. Wkrótce bezsłownie spostrzeżeniami swymi się dzieli, a to chrząkając, a to pogwizdując, aż w Masonie poniekąd irytacja wzbiera, czuje się bowiem niczym model w pracowni, któremu artysta ciemno coś poddaje.

– Naści – w końcu Maskelyne powiada. – Zechciej jeno spojrzeć na owe wszystkie wenusjańskie aspekty... Ho, ho... Gdzie to tu było wywyższenie?

– Miałeś rację, rad byłbym nie wiedzieć. Daruj, iż kłopotać ci się pozwoliłem...
– Nasamprzód, czyż to nie dziwne, iż ty, urodzony we władaniu Wenus, i pan Dixon – Słońca, społem byliście niedawno świadkami tych dwu ciał niebieskich połączenia, a ponadto wydarzenie to miało miejsce w Bliźniętach znaku?

Ruszając ramionami, Mason rachuje.

– Jeden na dwunastu w znaku słonecznym się rodzi, dwu na dwunastu w wenu-szańskim. Podobieństwo pary, jak dwa do stu czterdziestu czterech – zbieg okoliczności zgrabny, acz nie oszałamiający.

– Lecz gdy stawkę dawano by taką, dajmy na to, przy gonicie?

Mija nieco czasu, nim Mason miarkuje, iż Maskelyne rozmiary własnej ciekawości oddać się stara. Jako duchowny nieraz się wśród mniejszych podobieństw rozglądał za dowodami na niedawne objawienie boże, a ku umocnieniu w wierze w epsilonicie się szkolił, jak każdy, kto wierny Newtonowi. Jeden do siedemdziesięciu dwu czy też, po przecinku, zero, jeden i cztery, to już liczby, przy których czuje się nieswojo. Cudem obwołać jeszcze ich nie sposób, w tym cały ambaras. A jeśli nie znak zesłany to z nieba i wprost Stwórcy nie widać w tym ręki, to czyją? Czyich to mocy pokaz?

Wiele trudu Masona kosztuje choć tę krztynę przypuszczeń wydrzeć z serca Maskelyne'a. Lecz, dalibóg, czymże jeszcze zająć się w tym nędznym miejscu można prócz palenia fajek i rozprawiania o Bogu, podobnie jak goście jakowegoś zgromadzenia o znajomym spółnym, co znikł im ostatnio z oczu.

– Jowisz w dniu twych narodzin stojący w Bliźniętach, tym samym znaku, w którym do owego przejścia doszło, co żeście w dwójkę tak przednio wynotowali, podług tradycji bogactwo niesie ze spółnego przemysłu. Atoli Merkuriusz z Wenus w Baranie – być może znaku twego urodzenia – faworyzują udzielność, przywództwo, a oboje szczęściem leżą stopni sześćdziesiąt od twego Miesiąca w Wodniku, co ludzki, rozumowi wierny i nauce skory się oddawać... choć, rzecz jasna, do Słońca w czworogranie... – niczym Cyganka na jarmarku Maskelyne w mistycznym uniesieniu mamrocze. – Lecz cóż, niestety, imć Dixona nigdzie, zda się, ni widu, ni słychu... nic nad Marsa w Pannie, który dwa i pół stopnia dalej dom byłby z Lwem dzielił, co poddaje, iż czynisz go nieufnym a wojowniczym sąsiadem. – Zza luźnych kosmyków wygląda jego lisia twarz o błyszczących oczach.

– Jego osoba dalece twą uwagę przykuwa?

Maskelyne gestem duchownego rozkłada ręce.

– Płytko ma ciekawość, waćpanie. Przygodnego uważacza przekleństwo. Atoli, gdy już kwestia poruszona... czy zdarzali się inni, którzy... których przywiązywał uwagę? Kim byli? I jakie mogły być ich oczekiwania?

– Cóż, z pewnością to nie wielce szanowna K.W.I., prawda? Wiedziałyś wówczas o tym, czyż nie?

– Nie więcej niżli ty sam. Raz po raz chodzą słuchy, iż twego pana Peacha obwołają naczelnikiem.

– A także powszechnie wiadomo – Mason obawia się później, iż taką dał replikę – iż twój lord Clive może wszystko mieć, czego tylko zapragnie. Co z tego wynika? Jeśli jestem coś winien Samowi Peachowi, niczym to przy układach godnych – milknie, by głos zniżyć – Clive'a... Pana In-dii. – Odkrył, iż gdy na ten sposób imię owo wypowiada, nie tylko bez dwu zdań Maskelyne'a drażni, lecz i siebie, o dziwo, bawi.

– Przednia zatem z nas para. To jest, tak mniemam – rzecz Maskelyne, w Masona się wpatrując. – Obaj poddanymi jesteśmy tej samej niewidzialnej potęgi, czyż nie? Cóż to takiego? Bogatsze niżli wiele królestw, lecz bez własnych granic. Coś, co

choć w żadną koalicję nie wchodziło, własnym sumptem wielką armię utrzymuje i flotę. Co zapłaciło za przesłą wojnę, a i na następną wyłoży, trud sobie jeno zadając, by klucz znaleźć do pewnej żelaznej szkatuły, atoli pozwalając brytyjskiej koronie, której przywilej swój wszak zawdzięcza, tonąc w falach oceanu barwionych inkaustem karmazynowym.

– Dalibóg! – woła Mason. – Następną zagadka! Wstrzymaj się, pozwól, iż zgadnę...

– A może, niczym nasz szynkarz, rozplywasz się na myśl o mej z lordem Clive'em zażyłości. Wybornie! Z niejasnych pobudek ani nie zachęcam do snucia podobnych rojeń, ani przeciw nim nie występuję, a i zaprawdę, Masonie, stosunki między nami nad wyraz są pospolite. W samej rzeczy, odkąd z Peggy wrócili, byłem ci ja jeno raz na Berkeley Square, a widziałem się z nimi nie więcej jak trzykrotnie – zawsze w towarzystwie, z pewnością nie na osobności. Z Clive'em nie grywam w wista ni nie nawiedzamy razem w przebraniu zdrażliwych Ranelagh Gardens¹. Nie przywiózł mi z Indii wysadzanego klejnotami teleskopu i nie jestem jego londyńskim łącznikiem w handlu opium. Rzadko także, jeśli w ogóle, gdy tylko brew lekko uniosę, już mnie obskakuje, błagając, bym przyjął od niego kilka wozów skarbami Orientu wypakowanych.

– Spodziewałbym się, iż kilku najmniej – na cóż się szwagrów posiada? Być może pragnie, by podarunki chybione nie były, a nie ma jeszcze pewności, co cię prawdziwie absorbuje.

– Nie jest gotów jeszcze użyć mej osoby, ot co. Pewnego dnia musi... Zapłacono za mnie... nic go to kosztować nie będzie.

Twarz Maskelyne'a, ze swą uśmiechu połówką, nieufnymi oczami i potrzebą współwiny, nie stałaby się tak ostrożną, gdyby nie wymierzył jej już ktoś kilku policzków. Jakiego by targu wcześniej nie dobił, teraz mu on nie w smak. Mason, co własnej umowy nie poznał jeszcze kondycji, może jeno żywić obawę.

– Oto i my – rzecze Maskelyne ponuro – Anglicy, w swych osądach nad wyraz trzeźwi, porywani, jeden za drugim, tu i tam, każdego dnia, niczym gromada obłąkanych Malajów czekających na zew amoku – żyjemy z losem pogodzeni, aż tu nagle, trach! Kolejny na ulicę wybiega, krisem wymachując – czy też raczej, Anglikiem będąc rzecz jasna, podobniejsze, iż nożykiem do masła czy czym tam. Żadne miejsce, żadne ogniwo Wielkiego Łańcucha Bytu nie jest bezpieczne, choćby się i wysoki urząd sprawowało, i z tych miar lękam się, druhu, o mą siostrę i o wielkiego żołnierza, co los z nią dzieli... – Zerka, po uszy w niepokoju zagrzebany, w który z każdą nocną wartą coraz głębiej się zapadał.

Masonowi orzec nie sposób, czy zamysł jakowyś za ową przemową nie stoi. Maskelyne, jak i Londyn cały wie o tym, iż Clive opium zażywa – jak ma mu Mason dać otuchy? Marny koniec spotkał już podobne przypadki, a Maskelyne zawsze był mu enigmą. Wiele czasu przed tym, jak się poznali, Mason czuł już, że się ów chyłkiem zbliża, jakoby za ligami dymów i mgieł brzegu Tamizy ukryty. W końcu – w pierw – ujrzał list przysłany gwoli przedstawienia, gdy go doktor Bradley nosił w tę i z powrotem po Sali Ośmiobocznej², mamroczać w rozdrażnieniu: – Piekieleń ciemno to napisane. Zdaje się, iż poucza mnie w kwestii odległości lunarnych, atoli, nie sposób pojąc do końca... Naści. Obacz, czy zamysł uchwycisz tej bazgraniny. – Wypuścił list z rąk, pozwalając, by opadł ku ziemi prędzej, niżli Mason dać nurka i pochwycić go zdołał, i znikł, ku astronomicznej kuchni się kierując.

¹ Ogrody w londyńskiej dzielnicy Chelsea, wówczas popularne wśród prostytutek i pojedynkujących się.

² Sala w obserwatorium w Greenwich.

Zrazu, a i po wtórnej lekturze, tyle co i Bradley wiedział. Jedną z powinności Masona jako asystenta było przeglądanie podobnej korespondencji. Od czasu edyktu z roku 1714, obiecującego do dwudziestu tysięcy funtów nagrody za niezawodny sposób ustalania prawdziwej długości jeograficznej na morzu, słano do obserwatorium pisma, sugestie, plany, kazania, szumne obwieszczenia i grube księgi, wszystkie długości tyżące i czekające na osąd Bradleya. Niektóre listy należały do lakonicznych, napomykały jeno o zadziwiającej prostocie czy genialnym wynalazku, nie dając przy tym ścisłego opisu, atoli większość była, jak się patrzy, filozoficznymi wyznaniem, co albo zdradzały autorów swych niezdrową naiwność, albo też wewnętrzne przekonanie, iż plan i tak nie zadziała. Wielu ludzi sposobność przynajmniej znalazło, by o sobie dać znać światu, co na nich nie zważał. Inni bardziej wierzyli w wartość swych konceptów, choć raczej sięgali po jarmarczne sztuczki niżli prawidła jeometrów. Czasem trafiał się człek obłąkany. Przychodziły traktaty o „parajeografii” zdobne w nieznane mapy świata na pospolitą naniesione. Spora gromada – jak starszy Caboto¹ na łożu śmierci – głosiła, iż sekrety długości Bóg im powierzył (lub, jak paru wolało, Ten, co stworzył Ziemię i w ruch ją puścił). Inni opowiadali, iż porwały ich stworzenia ni aniołami, ni demonami niebędące, które „wysłannikami wysokości” zwali – wyniesionym w przestworza ukazywały Ziemię widzianą z odległości do Słońca. Nawigator statku używał czegoś na kształt mikrometru, którego nitki do ziemskiej średnicy przystawały, a z podziałek odczytać się dało sekund łuku osiem i trzy czwarte – „nie w znanych nam liczbach, rzecz jasna, w pierw trza było je na nasze przerachować, a rad byłbym niezmiernie ściślej owe mozolne rachunki przedstawić, gdyby tylko z podobną prośbą się do mnie zwrócono. Natomiast, jako iż, by paralaksę słoneczną uzyskać, nie ma już potrzeby na przejście Wenus słać zamorskiej wyprawy, byłbym zobowiązany, gdybyście zawrócili swych ludzi, a i, dzięki swym wpływom, dali znać o sprawie astronomom cudzoziemskim, a także jezuitom etc.”. Oficer floty w spoczynku z Hampshire napisał, iż odkrył był Wielkie Prawo Asymetryczne, „niewidzialną włóknistość w konstytucji Stworzenia, podług którego mniejszym przemysłem jest drzeć, niżli ciąć w poprzek, mnożyć, niżli dzielić, pochodną niżli całą wyrachować oraz, a w tym zamysł listu mego cały, szerokość niżli długość jeograficzną wybadać. Dla szerokości winniśmy jeno znać południowe Słońca wyniesienie, atoli, z racji ambarasu z długości szukaniem, przedsięwzięcia sły na dno, floty w drobny mak rozbijano, a skarby niepojęte na dno niewzruszonego morza trafiały. Rachunek zaś prosty, choć przydługi. Wprawiałem się ja w jego prawidłach przy każdej pogodzie, od wichury po ciszę morską, na różnorakich tylnych pokładach. Rady szukałem w tabelach, co z obserwacji się wzięły znakomitego doktora Zanga, który w Tybecie natenczas był na wygnaniu, a i nadal przebywa, południk zaś zerowy nie przez Greenwich czy Paryż, lecz owo obserwatorium himalajskie przy tej rachubie kreślony. Nadto, miast na ruchach Księżyca bądź jowiszowych trabantów się opierać, tablete tu rachuby swe czerpią z pewnego powolnego niebieskiego ciała, bez wątpienia planety, acz przez nikogo więcej niewidziane, w pobliżu η Geminorum²”.

Bradley poprosił Masona, by mu ten przeczytał ów ustęp dwukrotnie.

– A tak, przypominam ci ja sobie ową gwiazdkę. Leży na ścieżce zodiaku, niczym kamyk czy ziemi grudka, tuż przed Kastora lewą stopą, który, by ją kopnąć, wieczność całą się może przymierza – (Jeśli się Bradley nie myli, a nie myli się nigdy.)

¹ Giovanni Caboto v. John Cabot – XV-wieczny podróżnik pracujący dla Anglików, wraz z synem Sebastianem zbadał wschodnie wybrzeże Kanady.

² Eta Geminorum, in. Propus, gwiazda w gwiazdozbiornie Bliźniąt.

– stąd Propus, choć Flamsteed, słownym igraszkom oddany, zwał ją Tropus, gdyż wyznaczała punkt zwrotny, jakim jest letnie przesilenie¹.

– Choć punkt ów – Mason bacznie spostrzega – jakoby nieco bardziej teraz na wschód leży.

– Cóż, wiesz zatem mniej więcej, Karolu, o czym mowa. Dalibóg, przypominam teraz sobie... właśnie na owym obszarze... tak... coś na kształt zamglenia, zielonkawobłękitnej barwy. Być może to odnotowałem. Przyjrzyj się, jeśliś skory, rzecz jasna w wolnym czasie. Bacz, by rozmówić się wcześniej ze swą damą – nie lubią, gdy się człek po nocy rozbija... włóczy... wierzą, w głębi duszy, iż mężczyźni to wilkołaki, czy spostrzegłeś? Mniejsza o to – nic nie mówiłem.

A nim echo słów jego przeszłych ucichło, weszła Susanna, z lekką mgiełką gołębich cieni pod oczami – jakoby los swój znała, pomyślał Mason, wnet zawstydzony tym, jak to zabrzmiało, bezsilny w obliczu rzeczy potężnej, okrutnej i niewypowiedzianej – marzenie astronoma, by mieć syna – i jej strach, iż ich następna próba przynieść jej zgon może... Tak, snuł podobnie podłe domysły, któż by tak nie czynił? Przedstawiał ją sobie także, jak to cały dzień boży próżnuje, cukry zajada, różnymi wyjściami wielbicieli wygania, a drugich wpuszcza, drzwi nie uchylając, na natrętne, małżeńskie błagania Bradleya odpowiada, ultimata stawia, a wreszcie spełniać mu nakazuje wymyślne swe kaprysy. Czekoladki. Karocę z szóstką koni, by do krawcowej zajechać. Sezon cały w Bath spędzony². Odesłanie rozkazem za morze wielbiciela, co począł wchodzić w drogę...

Nie wszystkie bestie patrzą wilkiem. Bez liku znajdziesz w mieście takich, co rzęsami trzepoczą – okrutne piękności niewinne grające owieczki. Taką drapieżną łanią była i Susanna, a jeśli Bradley wiedział o tym, to dawno był się już zgodził na podobną kondycję w pani swego serca służbie.

Z jakich miar brakło dalszego potomstwa po małej Bradleyównie, to sekret, którego nie dane było poznać Masonowi. Wrzał cały, niczym zwierzę głodny w porze posuchy, co snuje się, węsząc, każdą wonią ruszony, choćby ładu z nią dojść nie mógł – lub też zbyt mało zwierzęca, jak dla niego, zwierza, była. Susanna wróciła do Chalford. Czy była jeszcze potem z Bradleyem spała? Czy Bradley stało w jej nazwisku, a Mason w sercu? Czy śniła teraz o Masonie, jak on niegdyś o niej? Z czym ta figa? Trajektorie ich nigdy przeciąć się nawet nie miały, choć przystałby na to – jedną namiętą godzinę, jedną jedyną, a potem rozbrat na wieki – tak szalał za Susanną Peach.

*Miałem jeno lat szesnaście, kiedy za mąż szłaś,
Przed kościołem stałem i płakałem.
Choć cię porwał, co dzień przy nim widzę twoją twarz,
Gdyż twój mąż jest moim pryncypałem.*

*Raz ci uśmiech zdobi usta, raz na czole mars,
Rzadko kiedy choć spojrzysz w mą stronę.
Dumam często, chociaż z wierzchu wciąż zimnym jak Lars,
Czy marzenia tłumisz niespełnione.*

*Czy śniesz za dnia o mnie?
Czy otulasz, gdy śpię?*

¹ Propus – gr. cel, tropus – gr. zakręt.

² Bath było wówczas najmodniejszym uzdrowiskiem; towarzystwo zjeżdżało się tam niemal obowiązkowo wczesnym latem.

*Leżąc u jego boku,
Wiesz, iż miłuję cię?
„Miłość zdobędzie wszystko” –
Jak, gdy ślepa tak ona?
Masz Bradleya nazwisko,
A w sercu Masona...*

Gdy przychodzi na Masona pora, by urodzeniową wróżbę Maskelyne'owi sporządzić, wesół się robi, jak nie ma w zwyczaju, rachuje prędko, a ostatni aspekt ozdabia zawijasem.

– Oto i on. Spójrzmy zatem, co my tu mamy? Hm.

– Błagam, jeno lunarne aspekty – resztę zachowaj dla siebie.

– Phi, zabobon. Księżyc u ciebie stoi w Byku, przednią triadę z Marsem i Wenus tworząc. Wiele radości, bez wątplenia. Czworokątów żadnych... żadnych? A niech mnie. – Parsknięcie. – Pupilkciem jesteś Fortuny. Ponadto rzadka liczba triad i szóstek, w każdym połączeniu, co kolejnym zwiastunem jest pomyślności. Jowisz i Merkuriusz w znaku urodzenia, Merkuriusz na wygnaniu, lecz Merkuriusz na wygnaniu jest zawsze... Hola!

– Okrutna przywara! – Maskelyne woła. – Przemykam się bezimiennymi zaułkami na spotkania z mistrzami retoryki w gildii niezrzeszonymi, ze skóry wychodzą, by mię wyszkolić, lecz przekleństwo me nie znika – gdy wyrazić się pragnę, świat mię nie pojmuje! Listy ignorują, odsyłają monografie. Merkuriusz na wygnaniu! Choć chyży to filut drobnej postury, jest on przeciwwąga wszelkich mych astrologicznych błogosławieństw.

– Co proszę? Tak właściwie, to nie jestem pewien, czym...

– Ach! Teraz i ty, nawet ty, Masonie! Na cóż triady i szóstki, gdy nie dany mi dar człowieczej rozmowy? Leć, leć, podstępny komarze – wygrałeś!

Mason mniema, iż gdyby życzył tego sobie, mógłby swego pobytu na Helenie dotrzeć końca owym sposobem Maskelyne'owi dokuczając, kiedy tylko rad będzie. Wie także, jak prędko uszlaby z podobnej zabawy cała uciecha.

– Pospolicie tak bywa – mimo wszystko czuje, iż poddać pod rozwagę myśl tę musi – iż posłaniec, co nie ku nam zmierza, wraca właśnie, komu innemu depeszę dostarczywszy.

Maskelyne marszczy czoło i roztrząsac ów fakt poczyną. Następnego dnia, fajką zaciągnąwszy się chwilę w ciszy, powiada:

– Może to i tak. Wiele klaruje, prawda? Depesza, która nigdy nie trafiła w me ręce. Cóż winienem czynić? Zmarnować resztkę danego mi życia, starając się ustalić, co w niej stało?

– Wedle mego szkicu – radzi Mason – dowiesz się prędzej czy później. Wstrzymaj się od szarpaniny, pozwól życiu depeszę ową dostarczyć, gdy zapragnie, a będziesz miał jak u Pana Boga za piecem. Czy też, w tym przypadku, Pana Indii.

14

W górnym obserwatorium Mason дума często o Dixonie – czy szczęśliwie dobił do Przyładka, czym, jeśli w Kapsztadzie bawi, w owej chwili się zajmuje, pod uwagę wzięwszy porę dnia czy nocy, jak i pogodę, o której wszak tu nic nie wiadomo. Porzą-

dek dnia powszedniego wyznaczają nam odległe gwiazdy – pisze Dixonowi w liście, którego atoli nie posyła.

(– Chwileczkę – rzecze Pitt.

– Ów dokument widziałeś? – Pliniusz pyta.

– Zuchy! – woła stryj Ives i każdego pistolem nagradza. – Nie, nie, nie dziękujcie, kondycję jeno taką stawiam, aby nie poszły w błoto. Rozsądna lokata ładną sumkę przynieść może, gdy już zyskacie w adwokackiej profesji dość renomy, by od czasu do czasu przyszło wam szukać sędziego przyjaźni. Byłoby bez wątpienia lepiej, gdybyście kancelarię dzielili. W głowach ludziom mieszajcie.

– W rzeczy samej, zamysł mamy – Pitt powiada – by jeden z nas zbiegł i prowadził zgoła hulaszcze życie, drugi zaś pilnie do prawa się przykładał...

– ...dzięki czemu jeszcze trudniej będzie was odróżnić – kończy ciotka Renia.)

Mason wyrachować nieściśle umie, kiedy to Dixon w okular zerkać może, Jowiszowi z jego haremem trabantów się przyglądając, a kiedy przebywa w malajskiej dzielnicy, jakowymś własnym haremem zaprzątnięty. Przedstawia sobie kompana uczącego się warzyć *kari* z liśćmi pomarańczy, na nowo obmyślającego frykadele lub też jak to ów diabelski *ketjap* do wszystkiego dorzuca.

Wierząc, iż Przylądek ostawił za sobą pomyślnie i ani się obejrzał obaczyć, cóż za niewiasta z piekła rodem i w jakimż to obcisłym stroju mimo wszystko za nim podąża – choć żadna z nich niczyją nie jest Eurydyką, wie dobrze, któż to – lub któż to być mógłby, gdyby na tyle Orfeuszowi sam był podobny, by zagrać choć trzy nuty bez fałszu potrafić. Mason wciąż w głowę zachodzi, jakże Dixon mógł wołę w sobie wykrzesać, by zawrócić, a potem – zdaje się, iż niczym małż nieporuszony – znów owe go domostwa próg przekroczyć, na powrót do Jet, Greet, Els, Austry, Johanny, płci słońcu obcych, owczych woni, o żadnej porze nieustającego spieszenia ku i od kredensika z lekami, poszeptywań po kątach, intryg bez końca – wrócić tam, gdzie z dala od spojrzeń wije się wielka niewolnictwa poczwara, a żadnej godzinie na cyferblacie nie jest dane obyć się bez ech wzburzonych głosów wśród nieznających ozdób ścian. Dziewczęta, dobrawszy się do ojcowskich zapasów tabaki, kręcą się po pokojach, wpadając na siebie i na jawie rojąc.

Gdy Dixon na łąd schodzi, od pewnego czasu krążą po mieście plotki... towarzystwo wstrząśnięte udaje. Msze, dalekie męczarniom, jakich się Johanna spodziewała, w końcu życiem kipią – są i prychnięcia, i spojrzenia natarczywe, i wzroku unikanie, a wszystkim przy tym wiadomo, iż każdy drugiego zna sekrety. Vrou Vroom wnosi, iż nareszcie do przylądkowego grona ludzi dojrzałych jest przyjmowana, choć mimo całej tej bieganiny po schodach i wychylania się przez okna do niczego wszak, jak to się powiada, „nie doszło” i z tych miar niczym uzurpator się czuje, co także dreszczyku wstydu przydaje, gdy przed wiernymi przychodzi stanąć. Owo siostrzane widowisko powtarzane będzie w kościele każdej bezlitosnej niedzieli, póki uwagi parafianek nie przywiąże jakowaś nowa Batszeba¹.

Co się zaś tyczy Corneliusa, znaleźć to nie przychodzi mu tak łatwo. Nagle, gdzie się nie ruszy, Dixon napotyka pojędliwego Holendra przyczajonego u złego krańca strzelby na słońce, którą zawsze w Anglika mierzy, jakoby przyjął, iż ów zdatny mu Masona zastąpić. Gonią się ulicami w południowo-wschodnim wicherze, wicherze, co peruki kradnie, płomienie podsycza i sądy wypacza – Cornelius forkiet² właśnie w tumanach kurzu przystawia, trzymanym w zębach marynarskim lontem

¹ Żona Uriasza Chetyty, kochanka króla Dawida.

² Podpórka do muszkietu lub arkebuza.

wolno palnym odpalając strzał wielkiej mocy, z pełnej holenderskiej uncji, którego kula rykoszetem w dachówki trafia, posyłając na ulicę grad czerwonych łupek. Strzał o dobre dziesięć stóp chybiony, gdzie na wiatr bierze się poprawkę raczej z serca niżli nauki. Holender przystaje, by broń powtórnie załadować, tasiemka z harcaca mu zjeżdża, a w końcu z wiatrem ulatuje, a Dixon dalej susami sady, skory wierzyć, iż dość już Vroomowi zemsty na tyle, by nie chciał powtarzać mozolnej swej zabawy, dopóki huk potężny znów echem się od wzgórz nie odbija, gdy szerszeń mosiężny arbuza rozrywa na pobliskim straganie. Przekupnie schronienia szukają w popłochu, a Cornelius, niewzruszony i pewnikiem szalony, kolejną porcję śmiertelną niespiesznie szykuje, tym razem po sporą garść kul muszkietowych sięgając. Dixon ma dość. Na pięcie się obraca i poczyną pędzić ku napastnikowi. Czasu chyba stanie. Zbliżając się, obacza białko wkoło tęczówek Vrooma i choć za chwilę może to nie mieć znaczenia, wie, iż Holender nigdy jeszcze nie stał naprzeciw szarżującego zwierza – aż do teraz, jak się zdaje, gdyż stoi skamieniały, rożek na proch upuszczając, i woła:

– Nie! To ja tak winienem!

Dixon spokojnie strzelbę mu odbiera.

– Me życie, za tego osła Masona? Wybacz, ta poczta, nie dostawałem ostatnimi czasy „Kuriera”. Czyżby jakąś poprawkę w kodeksie honorowym dopisano, o której nikt mi nie powiedział?

– Tu nie o honor idzie, jeno krew!

– Cóż, gdybyś był Malajem, nie byłbym tak zdziwiony, lecz skoroś Holendrem, hm, podobny amok... nie z twych stron to maniery, prawda? A tak, grzecznie proszę. – Z wiatrem go prowadzi. – Podobnie, zaprawdę, nie widuje się aż tak wielu Malajów wystających na rogach w drewnianych butach, ha? Albo co palcami dziury w globach zatykają i takie tam, dalibóg, nie. A teraz, tu zaraz, za rogiem, dobra nasza... kapka *soupkie*¹ będzie chyba w sam raz...

– *Soupkie* – powtarza Vroom głosem kukły, kiwając głową.

– Tędy proszę, *mynheer*². Oto i on. Abdul, synu morskiej wielbłądzicy! Trzeba nam dzbana twej jałowcówki z sekretnego zapasu, z niepospolitymi ziołami. Czy przysły już indyjskie tanecznicze? Cóż, będziemy tam, w kącie.

– Lodu, lodu.

– Dobra myśl, Corneliusie. Mogę się tak do ciebie zwracać, czyż nie? Abdul, daj no tu lodu, a może i dwie fajki? – Zagania Holendra do wnętrza tawerny. – Oto moja przystań, Kraniec Świata.

Zaszywają się w ciemnym kącie i przez kilka następnych godzin w wonnych oparach, co dodają otuchy, gdy Dixon dać jej nie może, omawiają ściśle Vrooma domowe frasunki. Dixon liczbą ich jest zdumiony, choć po pewnym czasie z trudem przychodzi mu śledzić opowieści tej wątek. Nad buzującym ogniem udziec nieznanego Anglikom stwora z wolna się obraca, sosem podlewany. Filipińczyk wygrywa na gitarze beztroską wiązaną marynarskich melodii, po każdej z których woła z szerokim uśmiechem:

– Jeszczem nie skończył! Będzie więcej, si?

– Łojowe świece dopalają się i gasną, a nowe zapalane są powtórnie gdzieś na sali. Wiatr huczy w zaułkach, mozolnie acz wyraźnie ku morzu Górę Stołową pchając, zaś miasto, z tą samą miarą, odsuwając od brzegu, a z zapadnięciem zmroku, prosto

¹ Niderl. mały kieliszek, szklaneczka, sznaps.

² Niderlandzki odpowiednik niem. *Mein Herr* lub ang. *sir*.

z ramion wichury, z włosami i strojami w nieładzie, w fatalaszkach rodem z czasów surowszych praw obyczaj¹, ubiorach niewolnikom darowanych, które tamci szybko sfrymarczyli lub których nosić się wstydzili, w prążkowanych jedwabiach, łąbędziej skórce, wełnie czesankowej, koronkach brabanckich i kornetach ze strusimi piórami, wchodzi procesja cudacznie odzianych, młodych wiekiem osóbek, z których większość zdaje się znać Dixona, a każda zasiąść winna przy jednym z żeglarzy pełnych stołów, nalać sobie lub zapalić, a w końcu oddalić się ze swą nagrodą – kolejnym wilkiem morskim na smyczy. Grajek żarliwie zapewnienia o tęsknicy wybrzdękuje. Dym na sali, choć z grubsza tytoniowy, ma także opium, konopie i goździki w swym złożeniu, dlatego też każdy, kto próg przybytku przekroczy, w zamroczenie popada niechybnie, stojąc i wdychając jeno.

Dixon zszedł na ląd z zamiarem oczyszczenia nazwiska Masona z wszelkich podejrzeń przed Corneliusem, a może i miastem całym, lecz jakoś sposobnej ku temu pory jeszcze nie znalazł.

– Oto, co uczynimy – Vroom rzecze, poważny, choć ledwie na nogach stoi. – Pójdziemy do Kwater Niewolników, gdzie trzymają niewiasty wszelkich ras, upodobań i rozmiarów. Wpuszczą nas, bom z Kompanii, a ty, to jest Towarzystwo Królewskie na wszystko wyłoży.

– Rad jestem niezmiernie z owej, jak mniemam, dla Holendrów powrotu do zdrowia oznaki – replikuje Dixon, któremu obraz przed oczami jał się właśnie na drobne, barwne kołujące drobiny rozpadać. – Rzecz jasna, będę zachwycony.

W kompanijnym seraju unosi się woń palonego piżma i sandałowego drzewa. Przy wejściu nieco kłopotów, gdyż zapłaty niegdyś ostawić zapomniano... Barometru w hebanowej skrzyneczce na ścianie rozgryźć niepodobna, liternictwo zbyt zawiłe, cyfry, zda się, niearabskie. Ni słupka żywego srebra, ni ruchomej skazówki. Atoli adept odczyta ciśnienie, co niewidocznym ostaje, póki się go nie szuka... Instrument ów wisi nad aksamitnym *meridien* z Francji rodem, koło obrazu kolonialnego jeźdźca gdzieś w głębi hotentockiej ziemi, ze swą strzelbą o gładkiej lufie w poprzek siodła; góry, które go od domu dzielą, w szarościach całe, poza wierzchołkami, które musnął zachód słońca dziwną, błyszczącą, rozrzedzoną czerwienią. I jeszcze to. W cieniu. Nieomal zamalowane.

Po raz kolejny Dixon się dziwuje, gdyż sercu jego obce podejrzenia. Oto pierwszą osobą, która do sali wchodzi, jest Austra, w sukni z czarnego aksamitu i skórzanej obroży, prowadzona na smyczy przez drobną, malajską sylfidę o twarzy bez wyrazu. Rzecz jasna, po złośliwym uśmieszku Corneliusa wyrokując, iż ową scenę dla Anglika zgotowano. Niewieście dość czasu dają, by go poznała i pojęła, iż w sukurs jej nie przyjdzie, nim powędruje do dalszej izby, nie odwracając głowy, by znów poznać smak niewolnictwa w niewolnictwie... Gdy wychodzi, Dixon po raz pierwszy należycie się jej przygląda – choć kto nie uniknął, by mu za kołnierz nie nakapało z przepelnionej namiętnościami Masona czary, mimo iż rzadko miał ów okazję dręczyć swymi wynurzeniami kompana, który pospolicie na mieście bawił, zaspokajając swe bardziej ogólne potrzeby – głód czegokolwiek, a w dni, gdy mu szczęście sprzyjało, głód wszytkiego, co świat mógłby mu podarować z każdą chwilą. Gdyby nie oblegały Dixona diabliki niewybrednego apetytu, czy stanąłby u boku Masona w szranki o Austrii względy? Z tych miar stoi teraz i spogląda za nią, usta rozdziawiając.

– Nie pozwól nikomu rozpowiadać, iż zabawić się nie umiemy, gdy trzeba – rzecze Vroom, poklepując Anglika po ramieniu. – Otóż i nasza diwertimentów kraina.

¹ Dla białych obywateli, zwłaszcza dotyczących garderoby.

Zbyttnio tu jednak kościelnie, jak na Dixona gusta – wszyscy obrządku i porządku przestrzegają, izba w mroku tonie, jedyne światło, białe niczym puder peruczny, rzucane przez śnieżnobiałe świece, co płoną gładko, gdyż powietrze tu stoi. Z mis kadzidel stojących nieopodal z podobnym niewzruszeniem biały dym się unosi. Cornelius, nad wyraz już wesół, pokazuje mu sekretne pornoskopy ukryte w wymyślnych ornamentach pokoi, przy których mieszczanie spocząć mogą, pochrzając dobitnie, i podglądać siebie nawzajem, w słonich zapasach czy też ptasich igraszkach pogrążonych, z których jedne krótką chwilkę trwają, inne zaś ciągną się niczym kazanie, pożądających bez nadziei, mszczących się na, bądź uciekających od jakowejś białogłowy...

Opiumowe dziewczęta trzymane są w osobnym pokoju. Jako że w fajki się ową używkę pakuje, prędko w niej holenderscy panowie zasmakowali. Palona z tytuniem przydaje zawrotów głowy i oszołomienia, jakie cały wieczór raczenia się trunkami jeno przynosi, a zabierać w zamian obiecuje, jak się zdaje, mniej czasu i gotówki, co tutejszych obrotnych kupców w zachwyt wprowadza. Wszelako, nim się próżniactwu oddadzą, pora chucie nakarmić przychodzi, co przez Kościół nakreślone granice małżeństwa przekracza, a i rasy. Niewolnice sprowadza się tu z całej półkuli, by służyły za sennie, posłuszne cienie, piernaty z ciał nad holenderskie ciemniejszych, groźnie powabny magnes dla wszystkiego, czego tym białym braciom, komunii szukającym, zdusić w sobie nie sposób – gdy ich żony, jeśli ktoś je, co wątpliwe, choć jedną myśłą zaszczyca, wyobrażane są w domach, wzdychające nad Biblią lub robótką.

Na ciszę nocną strzelają o dziewiętej. Po prawdzie rozciąga się ją jeszcze o godzinę, lecz do dziesiątej marynarze, jakże weseli, młodzi i o pieniądze niedbający, znikają są winni. Gdy odchodzą, na pewien czas zapada cisza i zalegają cienie, których przedłużająca się poza pewien punkt na tarczy zegara przytomność niepokój u *filles* wzbudza, wiedzą bowiem, iż oto ich noc nastaje, wiedzą, kto ku nim zmierza i nieco z tego, co im uczyni. Wiele z tych, które odwiedziły pokoje innym zakazane, opowiada o drzwiach tam w ścianach, co do najmniej jeszcze jednej izby prowadzą i nie mogą być otwierane. Najgłębsze zakątki Kwater Niewolników są zatem, nawet dla zatrudnionych tam, białą na mapie plamą. Wszystko kryć się tam może. Niewykлучzone, iż nadal zdarzają się cuda – i te diabelskie, jak gdy nadmiar kaźni w rozkosz się zmienia, co dość w tej epoce pospolite – i te przeciwieństwem ich będące, gdy przeżyty rozkoszy prowadzi w końcu do męczarni nie mniej bolesnych z racji bycia metafizycznymi – cuda dobre. Nawet w miejscu tak jak Kapsztad pogodnym, gwarnym i karnym, z miar, które w konfuzję mieszkańców wpędzają (jedni winią wiatry południowo-wschodnie, pomni legendarnych teraz historii obłąkańczych przypadków w suchej porze, inni szepczą o magicznych praktykach tubylców lub Malajów), wariacja atakuje znieca, porywając do swego królestwa głosów i bólu nawet te głowy, w których jeszcze niedawno kwitł zdrowy rozsądek. Gdy są zbyt niebezpieczni, by zaznawać swobody, miejscy szaleńcy, za których Kompania odpowiada, osadzeni są w Kwaterach Niewolników, w pokojach o wyścielanych ścianach. Czasem, dla uciechy, prowadzą Herren jakowąś nadzwyczaj krnąbrną sługę do obłąkanego celi, wpychają za drzwi i na klucz je zamykają. Koło każdej z cel jest pokój obserwacji, skąd przez tafłę szkła dającą pozór wielkiego zwierciadła przypatrywać się mogą panowie tym *recontre*, co nierzadko zbyt oczy ranią, by być do tego zdadne. Różne są szaleńców przypadłości i kolor skóry, różnorakie choroby objawy, od łagodnych urojeń po żądzę mordu bezlitosną. Jedni płci niewieściej nienawidzą, inni pożądają, dla jeszcze innych nienawiść zaś i pożądliwość drobnymi są jeno postaciami większego uczucia, co targa nimi z mocą oceanu, w którego wir – jak te, co przeżyły, donoszą

– bez dwu zdań lepiej nie trafić. Gdyż i nie wszystkie przeżywają. Gdy Herren nie mogą ich szczątków wioskom zwrócić, rzucają je do morza, gdzie nie dostaną się szakalom.

Jak na razie chodzą jeno słuchy, iż jest tam i pokój dziewięć na siedem stóp i pięć cali szeroki¹, będący, z holenderską oszczędnością, czterokrotnie mniejszą repliką owej celi w forcie William w Kalkucie, w której stu czterdziestu sześciu Europejczyków zobowiązano do spędzenia nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego czerwca 1756 roku. Nerwom Kompanii owa Noc Czarnej Dziury nadal przeraźliwie bliska. Zerowy to punkt w historii, z którego gdyby patrzeć na mające nadejść cuda – Quebec, komętę doktora Halleya, bitwę w zatoce Quiberon, przejście Wenus także – umknęłyby, snom opiumowym w swej ulotności równe, a i mniej niżli one ważne... Czarna Dziura w menu erotycznych fantazji nikogo na tym krańcu świata nie dziwi – mieszkańcy, przyjezdni, nawet paru żeglarzy o większej wrażliwości wracają, gdy tylko podobna. W opaskach biodrowych barwy indygo, w turbanach, błyskając delikatnymi bułatami, pędzą nadobne nimfy Kwater Niewolników swych nagich „jeńców” i nakazują im ścisnąć się społem w celi, w coraz to większej gromadzie, z równie wieloma niewolnicami – w Europejczyków się wcielającymi – aż się ta napełni na nie, co, jak zrachowano, trzydziestu sześciu osób wymaga, by oddać w pełni gościom, prawdzie najbliżej, jak to w Kalkucie było.

„Jeśli ktoś sobie w męczarniach nie życzy wprost brać udziału” – Wielebny w swym dzienniku dopisuje – „może objąć je duchem lub cieleśnie przydać im rozkoszy. Rajfurzy zawyrokowali, iż równikowego skwaru, potu i ciał nieznanomych połączenie w wymuszonej bliskości uciechę sprawiać może, a zatem także i śmierci w podobnych okolicznościach pozorowanie, gdzie wszyscy społem w gnieździe zmię się wiją, co splecione jest z kończyn, otworów i członków, do ruchu niezdolni w niewoli ciał zniewolonych, zwilżonych lśniąca miksturą dzielonego potu, uryny i kału ogółu, wdychać jeno mogąc innych przeszłe oddechy, zbliżając się ku powolnemu, pojedynczemu, ciepłemu wybuchowi...”

(Jednak na głos owego ustępu, rzecz jasna, nie czyta – ominąwszy go, woli prędko pospieszyć do morału).

„Poza na owo wydarzenie responsem ogółu, oburzeniem i pobożnością, cóż jeszcze przetrwa, jakaż to niedotykalna resztką? Ludzi garstka rzeczy wciąż ludzi gromadom, jak spędzić mają całe swe cenne życie – wśród owych tysięcy, wszyscy prócz kilku zezwalają jej na to. Brytyjczycy w Indiach wspierają to, by rojące się tam ludy władać mogły rojeniem się podług swej woli, zgarniając przy tym dla siebie ich ziemie, spośród których wydzielają następnie regiony, gdzie ludziom roić się będzie wolno.

Atoli, posłysz Panie wołanie, gdy to Brytyjczykom z rąk hinduskich przyjdzie doświadczyć czegoś, co ledwie niewielką jest metaforą owego kontynentalnego uciepienia, tak jak to miało miejsce w C.D.K.

– Metafora! – krzyczysz. – Stu dwudziestu ludzi straciło wszak tam życie!

Odpowiem – Stu dwudziestu Brytyjczyków. A jak mniemasz, jakie żniwo co noc śmierci wśród Hindusów zbiera w samej jeno Kalkucie? Nie tylko owej nocy, lecz każdej, w zaułkach, do których mało kto ci choćby i drogę skaże, uliczka za żałosną uliczką, póki dym ze stosów pogrzebowych w niewidzialność wszystkiego nie rozniesie – atoli, niewidzialne, trwać będzie nadal. Rada wielce z podobnego porządku rzeczy Kompania, a i Rząd Jego Królewskiej Mości, podle udziału, jaki sobie wywalczył”.

¹ Nieco więcej niż sześć metrów kwadratowych.

Cornelius, nim w pokoju bestii znika, przystaje i Dixonowi radzi:

– Właściwe to afrykanerskim smakom, tobie może do gustu nie przypaść! – Zza drzwi wynurza się w bransolety zdobna, smukła, smagła ręka i wprawnym ruchem zdejmuje Vroomowi kapelusz. – Chodź, Simba.

Dixona myśl nachodzi, by przeszukać Kwatery, trafić na tunel do cytadeli tajemny i Austrę odszukać – choć co wówczas uczyni, nie jest takie pewne. Dociera nie dalej niż do niewielkiej izby, gdzie trunki podają, albowiem zatrzymawszy się, by skosztować tego, co w tych stronach zwą „piwem”, spotyka ni mniej, ni więcej jak oficjalistę Bonka, odzianego w szlafrok z czerwonego aksamitu ze złotymi wypustkami, co przyławkową maderą upoić się stara.

– Wróciłeś waść? Kiedy na ląd zszedłeś?

– Nic tam u was nie wiedziano?

– Skończyłem z tym. Teraz miejsce me na roli. Ostatnią noc bawię w Kapsztadzie, choć ostać mogłem i wieść tu żywot wolnego mieszczanina. Jutro ładuję familię na wóz ciągnięty przez woły i ruszam na północ, może za góry. Tam, gdzie sięgnąć nie zdoła Kompania, co pożąda pełnej władzy sprawowania nad każdą chwilą życia każdego tu człeka. Nie byłem w sile ci ja dłużej jej służyć. Góry wołały ku sobie, ziemię hotentockie za nimi się ciągnące... I w końcu, czy wiesz waćpan, ciekawa rzecz się stała. Im więcej Kompania sił wytyżała – a to w środku nocy przeszukując domy, a to majątki zagarniając – tym srożej czuli się gospodarze w głębi kraju zmuszeni, by na północ się przenieść, z dala od Cytadeli. Wołają ową wędrowną „trekiem”, a siebie „trekkerami”. Żądania, jakie mi w tej robocie stawiano – choćby ogrom nadzoru wymagany – przytłaczały, a z każdym tygodniem nadzorcy ogłaszali coraz to nowsze kwoty, których bez mocy nadprzyrodzonych sięgnąć było nie sposób. Na nic czasu. A tam, hen, zielenią się ligi pastwisk i gruntów ornych, buszmeni w większości potulni, jak mnie zapewniono, w bród zwierzyny, a najlepsze to, iż Kompania rozkazów już wydawać nie będzie.

– Śmiałe to plany. Życzę powodzenia.

– O nic się niemal nie lękam, jedna jeno sprawa... Czy nie masz waść nic przeciwko, to jest, czy nie staję ku czemuś na drodze?

– Zdaje się, iż to inni się bawią.

– Potrafię, pojmujesz waćpan, odpalić ze strzelby, gdy na dwóch nogach stoję, atoli strzelanie i ładowanie konno mię trapi. Nie wiem, jak się zabrać do tego, a powiadają, iż kto nie wie, lepiej niech się w dzicz nie zapuszcza. Cóż, skłaniałem się ku *oortmanowi*, lecz potem posłyszałem, iż zbyt jest ciężki i zbyt wiele prochu nosić doń trzeba, prędzej jakowegoś *Bobbejaanbouda* – przytyka się kolbę do ziemi i ładuje przez lułę z siodła, a gdy czasu braknie, wali się jeno w grunt kolbą, a proch z nadmiernej wielkości otworu zapałowego wyskakuje na panewkę – lecz później pomyślałem, hm, może i tak, *oortmana* sobie sprawić, a dziurę zwiększyć własnym sump-tem?

Dixon powraca do domu Vroomów o świcie, dźwigając niemalże Corneliusa, co równie, choć może niepodobnie, jest strudzony. Wszytscy są już na nogach. Córki krzątają się po pokojach, kątem oka na Dixona zerkając. Dixon zdaje teraz sobie sprawę nieco skonfundowany, co tak Masona w owych pannach zauroczyło. To, iż tak skore wypatrywać są cienia, światła unikać, wierzyć we wszystko, co każdą cząstkę tego wybrzeża nawiedza – zjawy wszędzie – niewolnicy, Hotentoci wyparci na wygnanie, zwierzęta dzikie bezlitośnie – zbiorowisko grzechu, którego ciężar, podobnie jak powietrza, dźwiga się z dnia na dzień, nań nie bacząc, póki na próżnię jakowąś się nie natrafi – przyjeżdżną osobę, Malaja oszalałego na oczach gawiedzi, godzinke

w Kwaterach Niewolników – a wówczas wszelkie owe przewinienia pomkną ku niej z burzliwością, którą wszyscy odczują i której dziwować się będą. Vroomówny i podobne im, z całego miasta dziewczęta córami są krańca świata, uśmiechniętymi częściej niżli powinny, świergoczącymi w potrzebie, pozór dające każdej chwilce długiego dnia, albowiem każda upadku zwiastunem być może. W snach powracają do kamiennego więzienia, do bram, których pieczęcie złamać śmierci się równa – czuć pomyje i mydło, cisza pewne korytarze zalega, w miłość tyrana ślepo się wierzy, na murach igra żółte światło watr niewidocznych, a skręciwszy za róg, niespodziewanie wpada się na zegar znany dobrze z domu, kwadrans bijący.

Dziewczęta dorastały posobnie w wierze, iż stojący zegar szafkowy Vroomów, rodzinna pamiątka z Niderlandów przywieziona, żywym jest stworzeniem, świadomym siebie i ich także, z cyferblatem skrytym w gablocie, sercem bijącym i posturą dostojnego posłańca. Stoi w trzewiach domu, w przejściu pomiędzy pokojami od frontu i od podwórza – dwa to światy – świadkiem będąc wszystkiego, co podsłuchać zdoła, posiadając ledwie jedną godzinną skazówkę i dwa dzwonki, duży i mały, którymi godzinny i kwadrans wybijają. Wołają go Boet – podle zwyczaju, imię to tu najstarszego brata.

Gdy Mason i Dixon z zegarem Ellicotta się zjawili, panny zawyrokowały, iż jest to Anglików towarzysz podróży. Później, gdy Dixon z innym zegarem powrócił, tym razem imię Sheltona roboty, nikt prócz Greet się nie poznał.

– Proszę mieć się na baczności – odciągnąwszy go na bok, szepcze. – Mniemają, iż z Karolem długością się zajmujecie. Po waszym wyjeździe wierzyć jęli, iż ów zegar Towarzystwa Królewskiego, co mieliście z sobą, taką miał właściwość, iż na morzu czas trzymał bez omyłki – sekret takowy brytyjskiej korony. Tu we wszystko wierzyć jesteśmy skorzy. Kompania Wschodnioindyjska podaruje niedługo cesarzowi Chin dwa wspaniałe czasomierze ze złota, wysadzone diamentami, z tycimi, nakręcanymi kukułeczkami i temu podobnymi cudami. Rozwagę byś wykazał zatem, nowy zegar chowając i mówiąc, iż wróciłeś... w innej sprawie.

– Przejście przeszło, moja panno, i jeno to mi ostało, bym bieg zegara obaczył, a... przebóg, Greet, w tym cały zamysł.

– Wszyscy wiedzą, iż tu z tobą jestem. – Łapie z obu boków swój staniczek i na dwoje rozdziera, obnażając młodą pierś, różową i bladą. – Czyżeś właśnie tego nie uczynił? Mam ratunku wołać? A może samowolne to szwów rozstąpienie, doprawdy, wielce w staniczkach pospolite?

– Tyś to uczyniła, moja panno.

– Słowom twym nie dadzą wiary.

– Może i tak rzekną, lecz cię wszak znają.

– Okrutny synu Albionu, trudną mą miłość czynisz do siebie. – Łączy kilka ukrytych haftek i staniczek na powrót jest cały. – Pan Mason nigdy nie ział takim chłodem.

– Mason uczuciowy z przyrodzenia. Choć, zgoła, jednego końca niewiasty od wtórego odróżnić mu niepodobna, ku niczemu innemu myśli jego nie biegną, gdy tylko czas na roztrząśnienia znajduje. Wydasz mię zatem Cytadeli Kompanii?

– Strzeż się.

Tymczasem w Cytadeli mają dylemat, albowiem dwuskazówkowe zegary przyjmują Holendrzy w dalekiej ojczyźnie pospołu z tutejszymi kolonistami z nigdy wcześniej nieznanym zapałem. Wkrótce, podczas przesłuchania, zapragnie ktoś odnotować ścisłą porę zadania każdego pytania czy ciosu, podobnym czasomierzem się posługując – nie, by ktoś kiedykolwiek zajrzał w owe rejestry, lecz może, by za-

straszyć nieszczęśnika najświeższą epoki inżynierską nowinką, a już z pewnością dlatego, iż sposobność w minutach mierzonej ścisłości poznania się pojawiła, a i na minut wpisanie miejsce w aktach stoi. Każdy nowy zegar w okolicy zdalny jest, by dostąpić zaszczytu.

Atoli doszło w końcu uszu kompanijnych oficjalistów, iż więź łączy Dixona z Christopherem Le Maire'em. Uznają, bez zbędnej fatygi, iż jezuita niechybnie pochodzi z holenderskiego Le Maire'ów rodu, którego sławetnym potomkiem jest Jacob, nawigator i badacz mórz południowych, oraz Isaac, Kompanii Wschodnioindyjskiej naczelnik i szalbierz, niesławą okryty, gdyż wprowadził na giełdę holenderską praktykę kupczenia udziałami, których się nie posiada. Sam ksiądz zaś naucza teraz we Flandrii, czyż nie? Z tych miar *dossier* Dixona żółtej jest barwy, co znaczy „Baczość – groźne koneksje podobne” i zezwała krążyć mu po Przylądku, jak to miał w zwyczaju. I tak pcha go wiatr sensorycznych rozkoszy, wierni hulają, niewolnicy knują oswobodzenie, a oficjaliści zbiegają z Cytadeli, w dzicz się udając.

15

Masona, przekonanego, iż posłany został na pielgrzymkę przez moce, których mu sięgnąć teraz nie sposób – do stacji drogi krzyżowej rad byłby ją przyrównywać – wiele dziwuje w Maskelyne'a obstawaniu przy przenosinach na kraj insuły przeciwległy, ze schronienia na wystawienie, z zacisza zatoki James's Town na pastwę bezlitosnego wichru, przed którym ich nieraz ostrzegano.

– Gór przyciąganie – Maskelyne biadoli, gdy wkoło niego tawerna w dormitorium się zmienia. – Podle słów Newtona szczyty te mogą posiadać dość masy, by odchylić linki naszych ciężarków pionu, a tym samym obserwacje zenitalne zniekształcić. Z tych miar powtórzyć je winniśmy po drugiej ich stronie, a z rachub naszych średnie wyprowadzić.

„Po drugiej stronie” – na dźwięk tych słów ciarki Masona przechodzą. Jeśli Przylądek Dobrej Nadziei za przypowieść miał służyć o niewolnictwie i wolnej woli, którą, jak sobie przedstawia, niemal pojął, choć nie do końca, to co o owych przenosinach rzec by można? Iż Maskelyne'em kieruje obsesja kwestią pionu, dopiero poniewczasie widoczne się staje. Zdarza się teraz, iż przez kilka dni posobnych, mało o czym prócz wadliwego zawieszenia instrumentu Sissona mówi: Powodzenie me w profesji, życie me całe – na owym przeklętym włosku wisi! – Poczyna mieć w zwyczaju do obcych podchodzić w Księżycu, a potem i innych tawernach, i zmuszać do wysłuchiwania nużących wyliczeń niedomagań ścisłych detali, jakie to wydał ku ich reperacji polecenia i jak, jeśli w ogóle, je wykonano. Brak żaru w tej opowieści czy jakiegokolwiek napięcia (prócz tego, z którym się wadliwie, jak wiadomo, u gwoźdza linka pionu pręży).

– Czy Waddingtonowi przypadło tamto miejsce do gustu? – Mason pyta.

– Odmawiał wizyty. Choćby i na dzień jeden zawitał do Sandy Bay¹ się wzbraniał. „Znam ja rachunek – bez końca powtarzał. – Widziałem, jak z nawietrznej do miasta wracali, widzę, co wiatr z nich robi, i nie pragnę ich losu podzielić” – tak to ujął.

– I dla mnie nie brzmi to kusząco. – Mason sobie pozwala. – Atoli błąd naprawić,

¹ Zatoka na przeciwległym krańcu Świętej Heleny niż Jamestown.

jeśli sposobność się nadarza... To jakoby instrumenta odwrócić, nieprawdaz? Trudno zaniedbać podobnej powinności.

– Ech, zaniedbanie. Ech, sumienie.

Fort Kompanii w Sandy Bay, między Devil's Garden a Gates of Chaos położony, ma we władaniu niegościnnie, świetliście turkusowe zakole wybrzeża, zuchwałością swą równe wymarzonemu wrogowi, jakiego Kompania spodziewa się spotkać pewnego dnia na swej drodze. Cichy to nawietrzny kompan wielkiego fortu James's Town, w którym roi się zawsze od straży i wojskowej muzyki, gdy ten tu zdaje się opuszczony – ni flagi, ni otworu w murze, jakoby kulił się przed wiatrem. Tutejsze porządki, choć wojskowymi zwane, biorą się z pozorowanych zatrudnień o chwiejnych podstawach, zabobonu, nienawiści śmiertelnej i miłostek przyrodzeniu obcych, a wszystko to w swej powadze stosowne niesłabnącej sile wichru, co pierwszym głosem owej planety, a nieznanym jeszcze modulacji, jeno jedno, czyste zawodzenie. Na ciszę nocną strzelają tu o zachodzie słońca, prosto w podmuchy, jakoby rzeź pragnąc odeprzeć. Lata temu powołali do życia żołnierze różnorakie samobójcze banki i szaleństwa pule, w których i ledwie sześć pensów ulokować można – większe sumy przeznaczone są na poboczne zakłady, a o wielkość udziałów wdów zawsze pospierać się można – i tak oto wiatr w gotówkę się tu zmienia, tak jak gdzie indziej nieraz w moc obrotową, co koło młyńskie ruszy. Bez wątpienia w przeciągu jednej nocy gromadzi się, obstawia i traci fortuny godne niejednego nababa. – Handel światowy przedstawiamy w miniaturze! – woła medyk fortowy, który starań dokłada, by nigdy nie wychynąć za daleko z najgłębszych pokoi, gdzie wiatr najmniej daje mu się we znaki, a i bacznie wicher w swych modlitwach wspomina, jakoby bóstwem był jakowymś sam w sobie, bez końca w potrzebie, zawsze łaknący...

Stanąwszy w końcu na skrajnym klifie, czując na sobie pełen pęd, co od wieków dmie z południowego wschodu, Mason, nie wiedząc, iż posłyszeć go niepodobna, powiada:

– Cóż, Waddingtonowi rację chyba przyznać trzeba.

Mimo przeszkód Maskelyne i tak myśl jego podchwytuje i później, pod dachem, w Sandy Bay, replikuje:

– Nie podle każdego smaku tu mieszkanie. Mawiają, iż kto się znieść to nauczy, przechodzi cudowną przemianę.

– A tak, ów chłop przeszłego wieczoru, co warcząc wkoło biegał i ugryzł żonę gospodarza – przednia zabawa, wielmożny panie. Tu może ledwie on szalony. W James's Town, gdzie trzeźwość przy handlu niezbędna, patrzą na takich równie niechętnie, co na ludzi stamtąd tu, od nawietrznej, albowiem człek na podobną pastwę żywołu wystawiony w czujnym obłąkaniu jedyną widzi dla siebie obronę. Dwa to osobne ludy, wiecznie wzajemnie nieufne, dziesięć mil je dzieli, a wiatr nigdy nie słabnie, jakoby gromadził na wyspie kolejną siłę, która przy obserwacjach korekcji się domaga. Może, gdy ją odkryją, niczym aberracja światła¹ zasłynie.

Twarz Maskelyne'a gorący rumieniec oblewa i astronom zdaje się porzucać owej kwestii roztrząsanie.

– Byłem dziś na klifach i napotkałem jednego z tutejszych kompanijnych żołnierzy. Z Niemiec pochodzi, Dieter mu na imię. Wyszło na to, iż w niezłe wpadł tarapaty. Zaciągnął się, nie wiedząc, iż są na świecie podobne miejsca.

– I pragnie się stąd wydostać – Mason poddaje.

¹ Odkryta przez Jamesa Bradleya w 1726 roku.

– Mniejsza o to, lecz dziwnie mię to poruszyło. Wyjaśnić nie umiem. Zdało się, iż zna mię. Lub też ja jego. Gdybyś był z nami...

– Może i ja wydawałbym się mu znajomy?

– Czyż jestem tak nieostrożny? Słyszałem już podobne twoim insynuacje, atoli nie żądał on pieniędzy. I cóż z tego, iż wie o mej i Clive’a koneksji?

– Ach, Boże drogi. Jak to się stało?

– Powiedziałem mu.

– O!

– Był na skraju rozpaczy, a i ledwie krok czy dwa od przepaści. „Nikt pomóc mi nie może – wołał. – Ni Fryderyk pruski, ni Jerzy angielski, ni sam wielki lord Clive” i tym podobne, a jedyną będąc zdolną posłyszeć jego słowa osobą, która rzecz mogła: „Cóż, jeśli o Clive’a chodzi, to właściwie...”. Cóż byś na mym miejscu uczynił?

– Gdybym był człkiem zdolnym wystawiać Clive’a usługi na użytek ogółu? Dałobóg, nie wiem. Ustalił wpierw, jaki udział wziąć, jak mniemam...

Niemiec stał był tam, w słońcu późnego popołudnia, oczy jego ogromne, wzrokiem magnetycznym astronoma przesywał, morze u ich stóp huczało, a wiatr rozsypywał krańce plastronów, chustki i wstążki harcaperskie, aż trzepotały niczym okrętowe chorągiewki.

– Mógłbyś... pomóc?

– Do tej pory mieszkałem w James’s Town. – Maskelyne starał się mówić spokojnie i z szacunkiem. – Po raz pierwszy więcej niżli dzień jeden tu spędzam, atoli, rzecz już mogę, iż wiatr ten mi na nerwy działa. Skorym mię czyni rzeczy sobie jakoweś przedstawiać, których nie ma. Czy i tobie się to trafia?

– Wiatr tą wyspą rządzi. – Dieter mu zdradził. – Cóż to za okrutna duma nakazuje fort tu trzymać. Któż by do najazdu wybrał to zdradliwe wybrzeże? Gdyby do brzegu od nawietrznej cali dobili, w dzień jeden musieliby zejść w głąb łądu – jeśli już w górach, zobligowani całą pokonać owego piekła szerokość, nim zeszliby na James’s Town... Czy Holendrzy rozumu nie mają? Tak łupów łąkną, nie znają życia? A Francuzi? Trzy ich okręty wojenne, ledwie rok przed przeszłym, przystały tam oto, próżnując po nawietrznej, w samym środku morskiego szlaku Kompanii, niczym wioskowi hultaje sposobności do bitki wypatrujący. Przechwycić zdołały i pogonić cztery z kompanijnych chińskich statków, które w końcu ku Ameryce Południowej pognały, schronienie w Zatoce Wszystkich Świętych¹ znajdując. Widzieliśmy to wszystko, przyglądaliśmy się każdej doby, dzień i noc. Żagle, znaki przez lunetę... zaklinaliśmy się, iż kształty jakoweś migają w mroku, skradają się ku brzegowi w potwornym świetle Księżycy... i kogóż waści gospodarze tam, w forcie James’s Town ujrzeć się spodziewają, jak się z ich wąwozu wynurza? Jakiegóż to ostatniego wroga, z którym zmierzyć się nie będzie podobna? Gdy pewnej nocy, z przyzwyczajenia, na wiatr na Alarum Ridge ktoś zerknie i ujrzy jeno czerń diabelską – wybici? Poszaleli i rozeszli się po prostu? Ile czasu minęło, a ile miastu pozostało?

– Kompania przybiecała wojaże, przygody, smagłe dzierlatki, a dnia pewnego *Nawabheit*... Życie usłane różami! Kto przekonać by się nie dał? Zaciągnąłem się zatem i anim mrugnął, jak wysłano mnie tu, na nawietrzną stronę Świętej Heleny – Boże, coś nas opuścił... Dusze nam tu chorują, wszystkiego pozbawionym. Jesteś waść szwagrem Clive’a, Pana Indii. Jedno twe słowo, a zwrócą mi swobodę.

– Cóż, jestem... nie mam w Kompanii aż tyle do powiedzenia... Clive wrócił niedawno do Anglii, gdy ja – wzdrygnął się – tkwię tutaj. Tak wnoszę.

¹ Nad którą leży brazylijski port Salvador.

- A tam Szudża-ud-Daula, wezyr Oudh¹. Z wojskiem. Bengal, wielmożny panie, to beczka prochu. Nie pora to dla twego szwagra w Anglii siedzieć, gdy może już za późno.

- Wrogów ma wśród swoich – Maskelyne mniemał. – W intrygach hinduskich jest zaprawiony, a na Leadenhall Street nie łatwiej niżli na Bagh Bazaar, Anglia mu przede polem bitewnym, na którym musi stawać do boju. Od wyboru Sądu Naczelników o duszę Kompanii spór toczy z imć Sullivanem. Nie jestem pewien, ile jeszcze przywilejów ma w rękę, nawet wagą twej prośbie podobnych.

- *Sobald das Geld in Kasten klingt* – wyrecytował Dieter, wzdychając – *Die Seele aus dem Fegefeuer springt*².

Później, z Masonem roztrząsając owo spotkanie, Maskelyne rzecze:

- Choćby nie było dla mnie z tego miejsca ucieczki, krępowała logika orbity, Keplera czy Newtona prawa, mógłbym choć jedną duszę ze szponów tego okropnego wicheru wykupić, a nikt nie będzie się pieniędzy z poboru domagał.

- Mówiłeś, iż o nic nie prosił.

- Nie on. Kompania. Jeśli tylko dostaną dwadzieścia funtów, które, by się zaciągnął, mu zapłacili, nieważne dla niej, kto go zastąpi.

Czy Maskelyne coś więcej pod słowem „wicher” skrywa? Czy ma może na myśli własne wobec Kompanii zobowiązania i podobieństwo znikome, iż ktoś kiedykolwiek go wykupi?

- Płynąć możemy z wiatrem – rzekł pewnego razu – równie chyżo, wszelkie jego odcienie poznając, lub stać w miejscu i poczuć na sobie w pełni prawdziwą jego moc i kierunek, gubiąc w owej prostocie wszelkie delikatniejsze ruchy.

Przypadek z niemieckim żołnierzem w życiu Maskelyne’a jawi się niczym sama Święta Helena, pozostałość widoczna i rozdarta po kolejach losu, co do kronik się nie dostały. Nic z tego, co Maskelyne powiada, nie klaruje do końca, czemu Dieter jego uczuciami tak zawładnął.

- Sam pieniądze wyłożysz? – Mason pomocnym być się jeno stara.

- Do Clive’a zwrócić się nie mogę, czyż nie? Nie z tym.

Masonowi wiatr niemal dość w głowie zamieszał, by spytał:

- Z czymże zatem do niego się zwrócisz?

Powstrzymuje się resztkami trzeźwości, albowiem dokąd zabrnęliby w tej rozmowie? Czegóżże pragniesz z tego, co świat dać może? Czy w Clive’a mocy życzeń tych spełnienie? Jak to się ma do tego, o co szwagrowi prosić wypada? Ież mu będziesz wówczas winien?

Nic z tego nigdy rzec nie będzie trzeba – choć żyjąc w wicherze, co nieść z sobą przemianę potrafi, nie posiada się poręki, iż kiedyś owe słowa nie padną. Atoli, jeśli tylko Mason głowy nie straci, język za zębami będzie trzymał, a sempiternę z dala od wiatru, któż to wie, może, dnia pewnego, gdy Helena będzie jeno wspomnieniem, na powrót w Anglii, wśród kolumnad, zwierciadeł, mundurów i sukni balowych, medali i orderów, naszyjników i brosz się mieniących – przy poklasku filozoficznej Europy – lord Clive podejździe dyskretnie, pękata kopertę dzierząc...

- Mój drogi szwagier chwalił waćpana w ciepłych słowach za to, iż mu w dużej mierze wróciłeś rozsądek, gdy przydługie na Świętej Helenie mieszkanie nieco mu z niego uszczknęło. Potworny to posterunek – jedna erupcja wulkanu dzielna, a byłoby po kłopotcie... Mniejsza o to. Rozsądek wróciłeś, a dodawać nie muszę, iż mej

¹ Obecnie część stanu indyjskiego Uttar Pradesh.

² Niem. „Gdy groz w skrzynce zabrzączy, dusza z czyścica uleci”, cytat z Dziewięćdziesięciu Pięciu Tez Marcina Lutera.

osobie, jak i, czego jestem pewien, lady Clive, zdrowie Nevila na sercu leży. Żałuję, iż lepiej nie umiem wyrazić... – Lecz, niestety, Panem Indii będąc, innego sposobu nie zna. Sztynny, kremowy przedmiot zbliża się do Masona dłoni... – Za uchwycenie od zguby nadziei brytyjskiej astronomii... – Tym samym, przy pierwszym z zewnątrz ręki tknięciu, tuż przed wejściem podarku w cień surduta kieszeni, ulatuje wszelkie poczucie chwały, jakie Mason mógłby czerpać z owej chwili, gdyż nawet własne rojenia zwracają się przeciw niemu, ukazując Maskelyne'a przez Clive'a namaszczenie niczym na jakowymś wybitnie gustu pozbawionym malowidle, co przeznaczono na ścianę obserwatorium w Greenwich.

– Jest w tym odrobinę przesady – Maskelyne przyzna. – W górze munduru Clive'a osobliwie i jednym czy dwu kapeluszach zgromadzonych dygnitarzy, lecz spójrz, jak mnie udekorował...

Mason powraca z owych wycieczek jak każdy, kto z nauką moralną jest w sporze, przygnębiony, świadomy, iż gdy mord niewygodnym, siebie jeno poświęcić pozostaje – choć przedstawić mu sobie nie sposób, by Maskelyne dość miał w sobie ognia na jakąkolwiek wielką czy choćby prędką ofiarę – powolne raczej opiekanie, lata trwające, czekałoby każdego, kto wszedłby mu w drogę. Szepcząc zawsze na wstępie „Romanse to jeno, rzecz jasna”, Mason radośnie w fantazjach się nurza, coraz to bardziej wyrafinowanych, a tyjących nieszczęść, co spotkać mogłyby Maskelyne'a, z których wiele wertykalnych jest w swym przyrodzeniu.

I to tu właśnie, po nawietrznej, gdzie żaden statek zawitać nie jest skory, poczyna go ona nachodzić. W pewnej chwili Mason miarkuje, iż głos jej słyszy, czysto i bez zawady... Dwa lata to już przeszło. Rebeka, która za życia milczeniem ściągająca na niego furiackie momenta, teraz, gdy winna spoczywać w całunie ciszy swego grobu, mówi, jakoby nareszcie mogąc, wszystko to, czego wyszeptać nawet nie było jej dane w Greenwich, gdzie nadto blisko niebios a i tak widoczne boże sztuczki zgrabne.

Mason czyni starania, by zbyć to żartem. Czyż w Wieku Rozumu żyć mu nie przyszło? W zimnym świetle tego przeżartego kupiectwem świata dać wiarę, iż nawiedza cię duch żony, to niczym poślizgnąć się, zachwiać w tłumie, by wpaść wprost w objęcia samej Malowanej Włoskiej Nierządniczy – powietrze wypełni się kadzidłem duszącym, a jaśniejące bóstwo straci blask na wieki. Lecz jeśli rozum niesie ze sobą wyczekiwane pozwolenie na to, by wierzyć moc dowodom ziemskich zmysłów, wówczas jakże by nie miał przyzwolić jej na jakoweś zmartwychwstanie? Jakże okrutnie odmówić by było!

Atoli najść go Rebeka wszędzie potrafi, a Mason pojmuje rychło, iż przychodzić ona musi. Jest w tym coś dość ważnego, by narażać go na przestrach tak srogi, iż mógłby jeszcze dalej go od świata odpędzić, niżli już zawędrował. Zjawia ścieżkę wybrać może i czekać przed oczami innych skryta, cień jeno. Teraz czas ma. Czyż takie żony zadośćuczynienie za wszystkie te chwile, kiedy to, gdy żyła jeszcze, dbać o nią omieszkiwał? Teraz wysłuchać jej winien, a nie uszczknąć ni słówka? Iż wizyty z zaświatów krótkie, to go nie pociesza.

Razu pewnego, na długo przed świtaniem, wezwany, Mason wygrzebuje się ze swej koi – Maskelyne po przeciwnej stronie ich schronienia pochrapuje w oparach winnych wyziewów, odziany w strój do obserwacji, ze skrawków na Helenie znalezionych zszyty, którego barwy miłosiernie mrok okrywa – w wiatr nurkuje i rusza w górę, po skałach, co siekają buty, przez grzbiet i w dół, ku płazowi zrujnowanego hebanowców lasu, gdzie wśród wstęg mgły i sędziwych, czarnych szczątków wyrębu trzęsącemu się w surducie z zimna Rebeka zachodzi drogę. Wkoło tyciej, bez zamyśłu stworzonej wysepki, ocean się z hukiem przewala.

– Nie mogę do tego dopuścić, by Maskelyne mię tu znalazł.

– Przedstawiałam sobie, iż tęskniłeś za mną – rzecze w odpowiedzi swym własnym, niezmiennym głosem. Chryste. Światło Księżyca obstaje przy tym, iż ona zaprawdę tu stoi. Jej oczy zaszyły bielą, a przy zewnętrznych koniuszkach przybrały ostrości, uszu niczym kot nadstawia. – Co knujesz, Charlie? Co to za miejsce?

Mówi jej. Po raz pierwszy od *Seahorse'a* lęk czuje.

– Odległość do jednej gwiazdy? Twój kompan sam tu miesiące długie bawił. Powinnościom sprostał. Czemuż ty tu tkwisz?

– Ziemia teraz niemal o orbity średnicę dalej od miejsca, w którym była, stąd i zadanie dwójki ludzi wymaga, a ja czynić muszę to, co inni rozkażą.

– Zaczekaj, aż tu trafisz, mój Smutasku.

– Masz na myśli... – Wyciąga ku niej dłoń i kolistym ruchem jej sylwetkę nakreśla, od głowy po stopy, niepewny, jak i czy o śmierci wszcząć rozmowę i o tym, iż się umarło.

Rebeka kiwa głową, uśmiech jej, jak dotąd, niestraszny.

Zwierzenie się Maskelyne'owi nie wchodzi w rachubę – Mason jest zdania, iż ów, wcześniej czy później, użyje tego komuś na szkodę. Lecz gdy w końcu Dixon na stopniach do morza w James's Town stanie, Mason pod ramię go weźmie i pędem poprowadzi do Upadłego Oficjera, tawerny, w której stale bywa, by jak najprędzej mu o sprawie powiedzieć.

– Przychodziła odtąd później... była przeszłej nocy. – Siedzą przy dwu kielichach wina przyławkowego z Constantii, atoli nie pijąc.

– Ach tak?

Uparty jest, krew mu twarz zalewa.

– Była tu, do kroćset... Czyż nie była to jej dusza? A jeśli nie, cóż zatem? Pamięć z podobną ścisłością wspomnień nie oddaje, mara senna w końcu się zdradzi. Jeśli aktor lub portret malowany oddawać mogą nieżyjącą osobę, czy inaczej ukazać jej się niepodobna? Nie, nic w tym z rozumu... Po prawdzie, czekałem zawsze na ponowne z nią spotkanie. – Kiwa głową, jakoby potwierdzić pragnął swe słowa.

Ciągnie dalej, choć nie na głos.

– Jest w mych myślach wsi połąć, zaludniona przyjemnymi kompanami, bogata w romantyczne zakątki, dolmeny i łuki zapadłe, cisy i cedry, zacienione strumienie, łąki dzikim kwieciami się mieniące – gromadzimy się tam i miło czas spędzamy... a za każdym razem zaskakuje mię widok Rebeki. Idzie zawsze gdzieś daleko, lecz, przebóg, to ona, i nadchodzi chwila, gdy poznajemy się oboje – dech mi zapiera w piersi, staje skamieniały...

– Och, lękam się, Dixonie.

Dixon, pełen baczenia, oddalony na tyle, ile może, rękę wyciąga i kładzie ją na Masona ramieniu.

Mason ni drgnie.

– Zatem – śmieje się w duchu z błżeństwa owej sceny. – Cóż winienem uczynić?

– Cóż, przyj naprzód – Dixon powiada.

– Snadnie dać taką radę, ileż to razy tak czyniłem...

– Jeszcze snadniej radę przyjąć, przyjacielu, gdyż nie masz wyboru.

– Wierzysz we własne słowa? Jakże się przeto u ciebie owo parcie sprawdza? Spodziewasz się, iż w wiecznej terażniejszości żyć będę niczym Hindus jakowys? Doskonale – oto i mój własny *guru*, zawsze przy mym boku z odpowiedzią roztropną. Powiedz mi zatem – co, jeśli z lekkim sercem odstąpić jej nie mogę? Jeśli nie ostawię jej tak prędko na pastwę żywiołów i zapomnienia? Co, jeśli spędzać pragnę, marno-

wać nawet czas swój cenny, starając się dawne krzywdy jej wynagrodzić? Jakoś? Czy mniemasz, iż ktokolwiek ot tak by odpuścił?

– Musisz odpuścić, przyjacielu – Dixon nie powie. Miast tego, przechylając swój kieliszek wina w Masona stronę niczym kankę piwa, uśmiecha się ciepło. – Zatem, przyjacielu, winienesz przełamać ciszę i opowiedzieć o niej cosik.

16

Oto co rzecze druhowi o swym pierwszym z Rebeką spotkaniu. Nie pojawił się jeszcze, ile trudu Mason zada sobie, opowieść tak snując, by żony nie zdradzić, Dixon wierzy w każde słowo...

Było to na dorocznym toczeniu serów przy kościele parafialnym w Randwick, kilka mil po przeciwnej stronie Stroud, a i w pierwszy dzień maja, rocznicę chrztu Masona – angielska wiosna w pełnym rozkwicie raz po raz zachwycała wśród owych zagajników, ruczajów i pól, wonnych i nagrzaných. Każda panna z sąsiedztwa pod kościołem zjawić się miała, choć Mason bardziej naukową znalazł sobie wymówkę, a mianowicie, obaczyć na własne oczy owo cudo, o którym puszczano słuchy, a Ośmiokrotnym Gloucesterem zwane – ser olbrzymich rozmiarów, największy ze znanych w okolicy, a może i królestwie.

Niektórzy trzymali, iż kolejny to wybryk bezrozumny – wikary bez krzty pomysłu, przed złym ołtarzem bijący pokłony, przekonał serowarów miejscowych, by wspólnym przemyśleniem dopięli swego. Kształty swe z miar pospolitego Gloucesterskiego Półtłustego czerpiący, nie tylko w grubości, lecz, w rzeczy samej, na wszystkie trzy strony ośmiokrotnie rozrośnięty, był ów ser snadziej Gloucesterem 512-krotnym, czy też quincenariduodecymalnym. Niedojrzały ważył niemal cztery tony, a nawet po skurczeniu całe dziesięć stóp sobie mierzył, gdy przyszło mu wynurzyć się z olbrzymiej szopy, jaką na przedmieściach miasta umyślnie na potrzeby tego niewidzianego w świecie wyczynu wzniesiono. Powoli zdatności do spożycia był dochodził, przez długie miesiące podsycając powszechne zaciekawienie. W ostatnich dniach paru, usiłując wziąć w karby swe zniecierpliwienie, tłum począł był się gromadzić u wyjścia szopy, jakoby to królowej zbliżało się rozwiązanie, a jako iż gawiedzi zebrania w tych stronach Anglii częstokroć cierpieniami gastro-duchowymi wśród sukienników owocowały, nieopodal stacjonował i niewielki oddział lekkiej jazdy. Gdy w końcu ser z pieczą przed oblicze zebranych wytoczono – jak wspominają ci, którzy tam byli – wszyscy, jak jeden mąż, usta rozdziawili i głosy na krótką chwilę przycichły, by powrócić falą.

– Cóż, wiedziałem, iż spory będzie, lecz to...

– Jakże zamierzają doturlać go pod górę do kościoła?

– Ciekawym, jak też smakuje?

Podług tradycji, sery, które miano pobłogosławić i jak co roku przetoczyć trzykrotnie wokół cmentarza, a potem stoczyć ze wzgórza, pospolitej wielkości Tłuste Gloucestersy dowożono na miejsce dość już sędziwymi taczkami, co, niechybnie, podobnemu Behemotowi na nic by się nie zdały. Ktoś wytropił w końcu olbrzymi wóz cotswoldzki, aż po kół obręcze i szprychy błękitem i ceglastą czerwienią malowany. Ser-cudo, sam jaskrawomarchewkowy, musiano wówczas sturlać z czegoś na kształt rampy na dno owego pojazdu, gdzie, niczym groźną bestię, solidnymi linami na sztorc go osadzono, a jako iż boki wozu nie z desek, lecz drabiniaste, w pełnej krasie podziwiać go z tłumem się dało.

Jazda do kościoła w Randwick widowiskiem była, co na długo się w człowieczą pamięć wraziło. Drogę obstawili ludzie wszystkich stanów, z całej okolicy. Wpierw, gdy ser kolebliwie ich oczom się ukazał, milczeli w lękliwym zapatrzeniu, lecz wnet, jakoby ukojeni błyszczącym, księżycowym obliczem, co się na nowo po każdym drogi zapadnięciu wynurzało, jęli do sera i jego świty nawoływać, a wołania te prędko w „hurra”, a nawet i „hosanna” przeszły. Pijący wylegli z szynków i gdy kondukt ich mijał, wychylali zdrowie majestatycznego jadła. – Kumotrzy, po trzykroć wiwat na cześć Ośmiokrotnego Olbrzyma! – Dziewczęta słały całusy. Od czasu do czasu, przy większych wybojach, miejscowi młodzieniaszkowie wskakiwali na wóz, pomóc w miejscu ładunek utrzymać, by pewnego dnia rzec móc później, iż wielkiemu serowi w podróży asystowali, owego sławetnego dnia pierwszego maja, śpiewając:

*Wiwat ser nasz nadzwyczajny,
Sława jego rośnie.
Gromko olbrzyma witajmy,
Potem jeszcze głośniej!*

*Dzwońcie dzwony,
Grzmijcie działa –
Serowemu cudu chwata!*

*Ciągnących i pchaczy mrowie,
Uczniaki i ich belfrowie,
Samotni i małżonkowie,
Każdy patrzacz, co się zowie,
Z kufli, kubków, flaszek... w rowie!
Wychylają dziś tve zdrowie,
Gloucesterze!*

Rzecz jasna, Mason przybył tam z nadzieją na ujrzenie Susanny Peach, choćby miało być to jeno z daleka, a panna w otoczeniu kuzynostwa i przyjaciółek. Pojawić się miała, jak zawsze, w jedwabiach. Ojciec jej, Samuel Peach, kupcem był jedwabnym o pewnej renomie i rosnącej w Kompanii Wschodnioindyjskiej pozycji. Mason snuł rojenia, jak to Hindusów w jaskrawych liberjach szeregi znoszą jej jedwabiu całe bele, końca nieznające, z najdalszych krańców Dalekiego Wschodu, aż dom jej w Minchinhampton zaścielają wkrótce lejące się barwnie jardy intrygująco marszczonych materii, a sto świec w zwierciadłach odbitych rzuca na nie tłuste, żółte światło słońca tropików. Dzikie kwiecie Indii, skromniejsze pąki z brytyjskich ogrodów, paski i tartany, obce barwy, o których nie śniło się newtonowskiej optyce, epickie w długościach legendy Orientu w damazkach oddane, wymagające godzin bacznego spoglądania przy zmieniającym się za oknem świetle, co odsłania coraz to nowsze i głębsze labirynty opowieści, aksamity, tak drapieżnie i doszczętnie wychwytyjące padające światła promienie, iż przybliżano się, by wynagrodzić sobie to, co odbijane nie było, aż czuło się jakoby wciągającym pośród owe nieziemskie kontury tafli niewidzialnej. Susanna umiała szantung i *pongé* odróżnić od jedwabiu tussowego, a nieraz bywała nad wyraz gwałtowna w swych upodobaniach.

– Czy życzyłybyś sobie jedwabiu się nauczyć, Karolu? Aleppo miast Indii mogłoby to nieść za sobą. Zawód by ci to sprawiło?

– Nie, mości panno.

Gościł był w jej domu, gdy jej tam nie było. Wszedł był do jej pokoju. Ukłękął był przy jej łóżku i twarz do jedwabnej kapy przycisnął, by, ile mógł, jej woni nabrać w płuca. W szwalni, z poziomu podłogi zerkając na jedwabie tak beztrosko rozrzucone, przedstawiał sobie płacheć ziemi, gdzie strome marszczki materii służyły za gór zbrocza i wąwozy, którymi biegly groźne skróty jedwabnego szlaku, a w nich, z cierpliwością gadzią, bandy mężów zbrojnych, odzianych w barwne stroje, wypatrywały, czekając. Czekając na to, by młodą jedwabną dziedziczkę porwać i zadać jej nieopisane cierpienia...

Owego majowego dnia bardziej był Mason ponury, niżli to miał w zwyczaju. Urodzinowym od Ojca podarkiem był dzień wolny od pracy w młynie. Dookoła wszyscy jego rówieśnicy smalili cholewki, panny ganiali i swawolili, gdy on włóczył się ślimaczko, czekając jeno na ów ser olbrzymi, co, w rzeczy samej, winien był zjawić się już jakiś czas temu. Susanna, będąc córką ważnej miejscowej figury, mogła cudowi w procesji towarzyszyć lub wcale nie opuszczać domu. Mason nie widział nikogo, kto nie znalazłby już dla siebie pary, i mniemał, iż dalsze snucie się wokół niewiele przyniesie mu pożytku... Koło kościoła schodzić począł w dół wzgórza, zamierzając u stóp jego wyjść na gościniec do Stroud, nie do końca świadom powolnego crescendo nawoływań zgromadzonej wyżej gawiedzi, fali dzieciarni zbiegającej po zboczach, ni pierwszych okrzyków przestrogi.

Jak się później dowiedział, by strzec zdrowia ogółu, wikary zawyrokował, iż nic od Tłustego Glouceстера większego stoczone być nie może – atoli, jakoby inwariantnością w dnia kątowym impecie powodowane, po jednej stronie wozu ośmiokrotnego giganta odłamało się hamujące okucie, przez co pojazd skręcił raptownie, ześlizgnął w dół pagórka, a wreszcie podskoczył gwałtownie na wyboju, ładunek swój w powietrze niczym katapultą wyrzucając, i runął na ziemię wśród skrzypień i dzwonięcia, z kołami nadal w ruchu. Ser tymczasem na sztorc wylądował, raz się odbił, oszalał marchewkowy na tle zielonego stoku, i począł sunąć przed siebie, pędu nabierając. Gdy olbrzyma obaczył, Masonowi, czym innym zaprząniętemu, przez myśl przeszło wpierv jeno co godne astronoma – hm, jeszcze nie pora, by Miesiąc wzeszedł, ni pełni nie ma, ni Księżyc tak jaskrawożółty i, dalibóg, pospolicie tak nie przybiera – wówczas, poniewczasie, zmiarkował dopiero, gdzie jest i co się wnet zdarzy.

– Ach! Boże, ratuj!

Twarc zakrył dłońmi i poddał się cylindrycznej rzezi, przerażony osobliwie, iż to jemu podobna tragedia przypadła w udziale. „Ofiara złośliwego sera”, pomyśleć zdołał, nim, pod postacią silnego pchnięcia, gwałtownego doczekał się ratunku, zaanonowanego zwawym szelestem tafty. I runął na twarz, nosem w trawę, z trawą w nosie, czując brzuchem, iż zabójczy ciężar toczy się dalej, nieniepokojoyony przez spłaszczonoego Masona, co przeznaczenie by jego odmienił.

Gdy wstał, powoli, trzymając się za głowę i trąbieniem posobnie nozdrza oczyszczając, po raz pierwszy doszedł jego uszu głos niewieści.

– Gdyby noc była, trzymałabym, iż waszmość pod gołym niebem gwiazdy oglądasz. – Wymowę miała podobną do Ojca jego, gdy dzień mu doskwierał, a przy tym „gwiazd oglądaniem” w tych stronach młodzieniaszkowie samogwałt zwali. Mógł rzec w owej chwili coś, czego żałowałyby na wieki, lecz poraziła go jej wierzchnia okrasa. Jeśli nie była jak Susanna klasyczną angielską różą, nie była też i szorstkim kwiatuszkiem wrzosowisk. Zmiarkował, iż kształtowi jej ust się przygląda, wargom z lekka rozwartym w zapytaniu, któremu krztynę jeno do uśmiechu brakowało, zapy-

taniu dozorczy, co już do furty podchodzi. Jakież to kryła za swymi plecami zaciemnione bramy? Jaką sekretną siedzibę?

– Zbyt usilnie dziś pragnę – przy sposobności oświadcza Mason Dixonowi – odmalować ową scenę na nowo tak, aby jej oblicze kryło w sobie jakimś sposobem zapowiedź jej losu, oczy czujne, wypatrujące drobnych niesprawiedliwości, przeciw którym wystąpić by mogła, albowiem znieść nie może myśli o tym, co jak wie, jest jej pisane – lecz Rebeka zawsze pozostała wobec śmiertelności niewinną... ach, czy serce to me podzieli? Owego majowego dnia nic prócz życia na swej ścieżce nie widziała.

(– W archiwach Gloucestershire nie ma po niej śladu – stryj Ives przerywa.

– Nic, zaprawdę? I czy nic się już nie znajdzie?

– Z całym szacunkiem wobec twej wiary w to, co jeszcze świata dziennego nie ujrzano, Masona ochrzczono w kościele w Sapperton, podobnie jak jego dzieci, atoli ślubu tam z Rebeką nie brali. Może zatem w innych stronach się także poznali, choć i w Greenwich?

– Chyba że duch każdy swego ma sobowtóra...

– Z których jeden się rusza, a drugi nieruchomy – Bliźnięta poddają).

Na wsi żoną pogodną i powabną, w mieście we władaniu dymu, sady i intrygi, zamysły jej niewypowiedziane... jej wyraźny jak na dłoni fantom nawiedza Masona, jakoby był Komisarzem Spraw Niedokończonych, a ucieleśnieniem jest Rebeki z czasów, gdy najbardziej była żywotną i kochaną. Czy to, niczym chleb i wino, ukłon ze strony Wszechmogącego, co oszczędza Masonowi widoku, którego znieść by mu było nie sposób? Cóż to by być mogło, zbyt dla oczu bezlitosnego? Wierzy czasem, iż widział już prawie czarne opary idące od brzegów zjawy, posłyszał, iż głos jej przybiera bestii podobne, coraz niższe tony... diabelskie poczwary, chyże i prawdziwe, kryją się tuż po drugiej stronie jej cienia... ich odór przy długim w chłodzie oczekiwaniu... W owych chwilach patrzy na nią, czując się przyjemnie bezbronnym. Zupełnie inną zajmuje ona teraz pozycję w stosunku do litości, do owej odmowy żyjących, by występować w imieniu śmierci lub jej co krok spotykanych wysłanników – płacy zbyt niskiej, by wyżywić się z niej było sposób, praw pisanych przez moźnych, piechoty, więzienia, ekonomów, oficjalistów królewskich, tysiący codziennych przymuszeń – jakoby chwila odejścia z tego świata posłużyła jej za soczewkę, w której promienie jej duszy refrakcję obyczajności przeszły.

Mason próbuje droczyć się z nią w przyziemnej rozpacz.

– Mierzenie kątów między jarzącymi się punkcikami, musi za tym kryć się coś więcej, Beko. Jakimi są naprawdę, je widzisz, musisz wszak widzieć.

– Och, Charlie. „Musisz”. – Śmiech nie pokonuje snadnie konsternacji śmierci, atoli Mason nie potrafi serca swego takim panczerem otoczyć, by nie posłyszec znanej z czasów minionych nuty – to pewne, to jego Rebeka droga. Jej głos rozczuła go niczym melodia w fis-mol, skłaniając do zębego przyrzeczenia. – Wierzyłeś, będąc chłopcem, iż gwiazdy to dusze, co odeszły.

– A ty, iż to statki na kotwie stojące. – Tak, niegdyś. A niebo przystanią dla podróżnych ze wszystkich krańców świata.

– Zwróć się ku ziemi – poucza go. – Należąc do niej, tak jak ja, wiem, iż żyje, i tu, na tym wulkanie pośrodku morza, blisko mocy w jej wnętrzu drzemiących, nawet ty, mój Smutasku, możesz poznać takie jej sekrety, o których ci się nie śniło.

– Zdradziłem cię – woła Mason. – Ach, winienem był...

– Świece palić? Odeszłam poza światło. Modlić się za mnie codziennie? Jestem poza czasem. Mój dobry, żywy Karolu... z krwi i kości dobrych... – Między nimi przyspie-

sza teraz coś na kształt wiatru i jej kształty zamazywać poczyna. Rebeka odsłania zęby, blednie, odwraca się, odpływa, znikając niczym mgła, nim dochodzi do środka poręby.

Rozogniony po obaczeniu jej ciała, które aż po dzień zmartwychwstania nie będzie mu dane, do pościeli powraca. W półmroku strój Maskelyne'a coraz wyraźniej majaczy. W Masonie wzbierają wielkie fale melancholii, bijące z odwrotną miarą niżli ich atlantyckie siostry, co huczą w pobliżu. Czy go uniosą, czy w nich zatonię, jest mu obojętnym. Leży tak, na powrót snu nie potrafiąc uchwycić. Po przeciwnej stronie namiotu Maskelyne śpi do południa.

- Witaj, Masonie. Czy to ty wchodziłeś o świtanu?

- Nie ja – bez uprzedniego zamysłu odpowiada.

- Hm. Może to Dieter, jak sądzisz?

- Dieter? Po cóż miałby być w namiocie?

- Ten wiatr.

- A niech... to jest, prawda, tak.

- To nie Dieter. A przynajmniej już nim nie jest.

Mason miarkuje, iż nigdy jeszcze twarzą w twarz z Niemcem nie stanął.

- Czy bliżej mu już z rąk Kompanii uwolnienia?

- To ktoś inny. Kłopot możesz mieć z rozróżnieniem. Proszę, wymaż Dietera z swej pamięci, a będę ci wielce zobowiązany.

Mason, co już wcześniej niewiele pojmował ze sprawy, nadal po wizycie Rebeki oszołomiony, wnet dochodzi do przekonania, iż i Dieter jest duchem. Na ileż rozropne byłoby podzielenie się z Maskelyne'em ową rewelacją?

- Mam nadzieję, iż dobrze się miewa – powiada, nie odstępując z miar, które dopiero po wypowiedzeniu tych słów widzi.

- Dobrze?! Cóż wygadujesz, Masonie? Nie czuć się tu dobrze, to być martwym.

Jakżeś sam uniknął podobnego losu, w rzeczy samej, zachodzę w głowę.

- A zatem ty pozostajesz. Czy miewasz się „dobrze”, Maskelynie?

- To Dieter w niebezpieczeństwie. Czy zdrowiu jego coś dolega, medykem nie będąc, rzecz nie mogę, atoli jako sługa Boży, widzę, iż dusza jego znieważana jest na sposób, jaki duszom ciężko znosić. Dlaczegożżeś raczej o niego nie zapytał? Jego los z mym jest powiązany.

Mason począł ostatnimi czasy słyszeć w wietrze pełnej długości orkiestralne wyścipy, których melodie wyraźnie z Anglii nie są rodem – wiedeńskie, węgierskie może, a nawet arabskie. Widzi, iż skupić się niepodobna. Wicher zda się dąć w poprzek światła, jakie Syriusz rzuca, szlaki jego fałszując, jakoby podle aberracyjnej Bradleya metafory, wiatr, jako jej nośnik, światła uczepiony, przebił jakowąś barierę i znalazł się w królestwie, którym światło, przedmiotem owej przenośni będące, włada. Równie to nadprzyrodzone jak, mówiąc językiem poezji, gość z królestwa śmierci, co w słonecznej zawiął kolonii życia...

- Trzymam, iż waszej dwójce nieco czasu społem na osobności się przyda – podaje Mason, resztkami trzeźwości kierowany. – A jeśli mam być szczery, nie posiadaję ja twej na wiatr odporności. Do szaleństwa mię doprowadza. – Przed dodaniem „I ty także” przestrzega go zmysł nieznan.

Bieży bez zwłoki ku kamienistej plaży i surduta miast miechów używając, poczyna rozpalać ognisko, co powiadomić ma jakowyś statek przybrzeżny, przepływający akurat może, iż jest w potrzebie, by się na zawietrzny brzeg przedostać. Przyjdzie mu za to zapłacić jak za zboże.

Maskelyne macha mu na pożegnanie z grani. Surdut ma na sobie kanarkowy i spodnie, w których go nigdy jeszcze Mason nie widział, bielą rażącą perukę i kape-

lusz, co niejasno na myśl przywodzi optyczną maszynę, do czego, rzecz nie sposób. Zdaje się, iż ku fortowi zmierza, może i do fortu. Może to właśnie miejsce Dieter najczęściej nawiedza. W zatokę wpływa arabski jednomasztowiec i zbliża się na tyle, by brodząc, dojść doń można było.

- Przedni rejs do Jamestown! Dwadzieścia talarów! Dogodna cena!
- Dziesięć! – Mason woła, pojęcia nie mając, czy stać go na to.
- To jeno do skały Friar's Valley.
- Break-neck – szepcze czyjś głos wyraźnie, choć nikogo tu nie ma.
- Do Break-neck! – krzyczy Mason.
- Nie mym życzeniem towarzyszkę twą złościć. Stoi.

17

Minąwszy Castle Rock i Needles, mogą już płynąć z wiatrem. Za Manatee Bay wielka grań przetacza się nad ich głowami, gdy mkną przed siebie – w końcu South-West Point opływają, Man and Horse zostaje w tyle, za burzę opadają linki i haczyki i oto już dzisiejszy posiłek telepie się po pokładzie. I wiatr zgubili. Owa nieobecność z pantałyku go zbija. Teraz bryza, pływy i wiry przepchną ich koło tego wybrzeża muszą. Załogę, która już od kilku dni w ciszy się pławi, bawi Masona skołowanie, a w obcej mowie docinki przydają mu jeno większych zawrotów głowy. Gdy wysadzają go u wrót Break-Neck Valley, dwie czy trzy mile od miasta, tym bardziej rad jest ich opuścić.

Czuje James's Town w wietrze, jego dym i odpadków stopy, nim je obaczyć może. Z czegoś, co wojażerską zadumą zwać by można, ocyka się nagle przed Muzeum Ucha Jenkinsa, poświęconym owemu organowi, którego w czas okazanie skłoniło Anglię do wypowiedzenia wojny Hiszpanii w roku 1739¹. Niedługo później Robert Jenkins na służbę do Kompanii Wschodnioindyjskiej przeszedł – co wielu *quid pro quo* obwołało – a w 1741, gubernatorem Świętej Heleny mianowany, przybył na wyspę ze swym wpływowym uchem, naówczas już w gablotce z kryształu i srebra, w atlantycznej solance zapeklowanym. James's Town knuło zakłęcie. Wreszcie imć Jenkins, w karty grając, kredyt swój rozdmuchał nawet podle gustów Kompanii nad miarę. Ostał mu się jeno jeden przedmiot cenny, który postawił w partii, co szeregami posobnych przebitok się okazała, i tak przeszedł ów skarb w ręce przedsiębiorcy z miasta Nicka Mournivala.

Mason jest rozczarowany, gdy w niskim murze odnajduje niewielki portyk i bramę, nie wyższą niżli na trzy stopy, z szyldem, który odczytać może jeno człek pochyłony – „Ucho IP. Rob^{ta} Jenkinsa, wewnątrz”. Rzecz jasna musi być tam jakoweś inne wejście, lecz Mason natrafić na nie nie może. Podskakuje nawet kilkakrotnie, by obaczyć, co za murem się kryje, a wygląda na to, iż ogród zachwaszczony. W końcu, rad nierad, klęka, i na łokciach się wspierając, owe drzwiczki z bliska bada – ustępują po lekkim pchnięciu, nic a nic nie skrzypiąc. Mason spoziera do środka. W skąpym świetle majaczy cosik na kształt w dół biegnącej rampy, której rozmiary jeno na pełzanie zezwalają.

¹ W roku 1738 kapitan Jenkins powiedział Izbie Gmin, że w 1731 Hiszpanie przeszukali jego statek i odcięli mu ucho; wojna, której prawdziwą przyczyną była walka o handel z amerykańskimi koloniami hiszpańskimi, trwała na morzu do 1748 roku.

Przybrawszy w Kapsztadzie nieco na wadze tu i tam, wątpi, by dalej w dół szło mu gładko – w rzeczy samej, za każdym razem, gdy choć na chwilę jeno, ni w przód, ni w tył precyzyjnie się nie może, ogarnia go panika. W końcu, dobrnąwszy do sortu przestronniejszego foyer, jak się zdaje, w wulkanicznej skale insuły wyrąbanego, płoszy go głos jakowyś, tuż obok się dobywający.

– Witaj, pielgrzymie, i przyjmij proszę podziękę za chęć odwiedzenia owej wielkiej, świeckiej relikwii. Przez twarz Heleny Trojańskiej tysiące okrętów wypłynęło w morze, a to jeno jedno ucho, atoli w swym czasie i ono posłało całą flotę na bóg wkoło globu. Pomyśl, iż jest to rzecz najbliższa twarzy Heleny, jaką jest ci dane zobaczyć – za pistola, to gratka.

– Nieco tam stromo, czyż nie? Gdzie, hm, tak w ogóle waść jesteś... echo tutejsze...

– Spójrz na wprost.

– Aaa!

– Ta-dam! Tak, oto ja, tu zawsze. Nick Mournival, niegdyś wielmożny pan, teraz twój sługa, waćpanie. Niegdyś naczelnik Kompanii, dziś... jak widać. Gdzie byśmy nie byli, fortuny koło nas wynosi, raz upadek zsyła, atoli nigdzie nie kręci się z równą gwałtownością co tu, na tym nieszczęśliwym wierzchołku górskim pośrodku morza.

– Jesteś wać przyjacielem Florindy. Spotkaliśmy się przed umocnieniami pewnego wieczoru. Miewa się dobrze, mam nadzieję?

– Wyleciała z gniazdka. Jakowyś nabab¹ drobny z matką swą wracający do domu. Żebyś widział, waszmość, jak szturm przeprowadziła. Mistrzowsko. Wiedziała, iż się przyglądam, i dała przedstawienie. Wyszkolona na scenie, jak się patrzy. Upokarzające to, rzecz jasna.

– Cóż – rzecze Mason rażno. – Gdzież jest zatem ucho? Zerknę jeno, jeśli można, i już mię nie ma.

– Och nie, na Boga, nie tak to się odbywa. Towarzyszyć winienem waszmości, by pokaz obsłużyć.

– Z przeproszeniem... pokaz?

Naiwny. Wpierw ścierpieć musi Zbrodnię Hiszpańską, Okazanie Ucha w Parlamencie, Wypowiedzenie Wojny – Mournival wygłasza przy tym wszystkie kwestie, przydając dźwięki kanonad, sztormów, ruchu ulicznego Whitehall², hiszpańskiego bełkotu i tym podobnych, a od czasu do czasu przygrywając na mandolinie melodie z „L'Orecchio Fatale”, czyli „Zgubnego ucha” imć Squivellego. Następnie czas przechodzi na rozprawę o kolczyku Jenkinsa.

– Ucha odebrać mu Hiszpan nie pragnął wcale, lecz tkwiący w nim rubin olbrzymich rozmiarów. Za srebrnego szylinga możesz waćpan nacieszyć oko widokiem owego niepospolitego klejnotu, szkarłatem podobnego otwartej ranie, wyrwanego z pępka hinduskiej taneczniczki z przednimi koneksjami przez pewnego mata z kabotażowca, co więcej rozumu mieć był winien – przechodzącego później z rąk do rąk plugawych, od Morza Północnego po najdalej Indii moczary, hołubionego wielce, choć śmiercią groziło jego posiadanie, ku coraz to nowej przygodzie prącego, niechlubnym okrucieństwom Bengалу i Karnatace za czasów Kompanii – aż zawiśł wreszcie, brzemienne w skutkach, u Ucha imć Jenkinsa, gdzie czekał, rozedrgany nieszczęściem, na hiszpańskie ostrze.

¹ Synonim osoby, która zbiła fortunę w Indiach.

² Teraz i wówczas ulica w Londynie, biegnąca w pobliżu siedziby brytyjskiego parlamentu i ministerstw.

Gdy tak kucają w ciasnocie i rosnącym smrodzie, jedyną rozrywką dla udręczonego przeciągającym się monologiem i wokalnymi sztuczkami Masona okazuje się, jak to określa imię Mournival, który coraz wyraźniej zdaje się być obłąkany, „chronoskop”, do którego zerknąć można za opłatą, a w którym, we wszystkich kolorach tęczy, na wieki wieków zaraz ma być przez niesławną *Guarda-Costa* przechwycony bryg *Rebecca*¹. Mason, do środka zezując, nie jest ot tak rozrzuwiony – miano statku dla niego depeszą zza mroczniejszego morza – jak i, w co wierzy, metafizyczna ucieczka *Seahorse'a* nieopodal Brestu, jakże do tej tu przedstawionej podobna – wydarzenie jeszcze nie „do pewności sprowadzone”, dzień spokojny, oceaniczny, wschód, światła przechwycenie, wiatr całą jego wyrażony, każdy z zagli niczym dech wstrzymany, olbrzymi... W taki właśnie porządek wstał owego ranka niczym dziecko... Indie, wyspy wszelakie, wszystko podobne, światło czyste, nieujarzmione... ostatni poranek jego nieśmiertelności.

– A wreszcie, pokłon dla zasług imię Jenkinsa w służbie K.W.I., w tym jego krótkie, acz nie niechlubne rządy na Helenie.

I Nick Mournival poczyną szylkretową kostką wygrywać takty „Rule Britannia”, a wśród migotania pojawia się portret Jenkinsa przyrodzonej wielkości, z brakującym uchem ze smakiem ukrytym pod kosmykami peruki sprzed lat dwudziestu, i odczytane zostaje dostojnie *curriculum vitae* bohatera.

Czas ten cały ucho spoczywa w swym słoju ze szwedzkiego szkła ołowiowego, jakoby, z miar wszystkim ciemnych, chroniono je przed apetytem czasu. Mason nagle miarkuje – ma nadzieję, iż to światło igra jeno – iż w jakiś sposób ucho jarzyć się zaczęło, a przez to, jak astronom uważa, rozbudziło się, spięcie mięśni zyskało, w rzeczy samej stwardniało i w swej solankowej kąpeli nadstawiło się. Słucha. Mason łapie się prędko za głowę, by panice nie ulec.

– Aha – imię Mournival opowieść swą przerywa. – Jesteś waść bystry. Niektórzy nigdy nie dają pozorów. Tak, rzecz jasna, Ucho się nam przysłuchuje, do czegoż innego wszak służy, a po prawdzie niewiele tu na dole ma do roboty... Może i wygląda na drobne i solanką nasiąknięte, lecz, jak Boga kocham, łączywe jest nad wyraz – zawsze mu mało człowieczej gadaniny. Chłonie wszystko, w każdej mowie – czasem siadać i czytać mu muszę Biblię, tablice lunarne, „Upiornego fircyka”, co tylko pod ręką... Głód Ucho dręczy ogromny, a nigdy niezaspokoiony.

– Ucho?

– Hm? A jak byś je wołał? Nosem?

– Jestem... nie było to mym zamysłem, by wyrazić się nieprzystojnie... – Mason rzuca oczami na boki w coraz srozszej rozpacz, wyjścia nie mogąc zobaczyć.

– Waszmość człek prawy, po prowadzeniu poznaję, bywałem swego czasu w londyńskich klubach. – Dźga Masona łokciem w podziemnej komitywie, co ów niczym napaść odbiera. – Co waść powiesz na to, by zbliżyć się nieco, może... coś Uchu od siebie szepnąć? – Na ile ciasnota pozwała, kluczem teraz wywija.

– Hm, cóż, może ja... czy mógłbyś, tak właściwie, z łaski swej, wskazać mi... które rędy do wyjścia droga?

Imię Mournival gablotkę właśnie otworzył i sięgnął w rozzarzoną solankę.

– Winienesz, waćpan, nie wychodzić, póki nie przemówisz do Ucha. Zawyrokuje lepiej, dokąd masz się udać. A kosztuje to ledwie jednego jeszcze talara...

– Co?!

– Dobrze radzę, mam prawo użyć siły, Kompania gwarant mi wydała.

¹ Statek Jenkinsa.

– Naści... weź, weź i dwa talary... czemuż by nie? Holenderska to jeno moneta, czyż nie, nie bardziej prawdziwa niżli sam Przyładek i ów sen potworny, który ich tam w swych kleszczach zamknął i puścić nie chce.

– Nie do mnie waść przemawiaj – imć Mournival ramionami rusza – lecz do Ucha. Właśnie w podobnych pogawędkach się lubuje. Ach, Uszko, uczta cię dziś czeka! – woła głośno, strasząc przy tym Masona, co odskakuje w popłochu, aż go w grzbiecie strzykać poczyna, czego rad byłby się pozbyć. – Śmiało, przybliź waść usta ku swej wygodzie.

– Waszmość nie jesteś zdrow całkiem – Mason dobitnie powiada.

– Jak i więcej ludzi od zawietrznej, niżlibyś podejrzewał... Zatem... o tak. Lepiej? Teraz szepnij do Ucha swe największe życzenie – dołącz do owych wszystkich ladacznic, marynarzy i pisarzy kompanijnych bez liku, co tu na dół zawędrowali i swe pragnienia wykrzyczeli w Wielkie Niezaspokojone. A zgodnie z mego radcy prawnego poradą, winienem także w tym miejscu przypomnieć, iż Ucho życzeń jeno słuca – lecz za ich spełnienie nie ręczy.

Mason ledwie zerknąć potrafi w zielonobłękitną łunę, co ucho otacza – tu, w ścisłości i mroku, nawet lekka poświata oszałamia... i dobrze, gdyż na wpół umarynowany organ wyraźnie na powierzchni swej kąpieli wypłynął i ku zbliżającym się wargom astronoma swą zimną małżowinę nadstawia. Przeżyłem królewskie dzieciątko, Mason sobie mówi, przetrzymam i to. Ucho, niczym mięczak jakowys, kokieteryjnie się pręży, drga, czeka.

Jego największe życzenie? By Rebeka żyła i aby... lecz nie zdradzi jej, nie dla tego. W przejmującą woń solanki i... to coś, szepcze przeto:

– Niech przeprawa pana Dixona, tu na powrót, przez morze, prędką i bezpieczną będzie. Przez wzgląd na jego osobę, rzecz jasna, lecz i po to, by mię przed wariacją uchronić.

Helena Trojańska, *mutatis mutandis*, może by i obdarzyła go pogardliwym uśmiezkiem, atoli gdyby nawet Ucho uśmiechać się umiało, Mason i tak by nie zmiarkował, nieprawdaż, tak będąc metafizyką owej chwili zaprzątniętym. Nie pojmował do tej pory w pełni znaczenia wyrażenia „słowa w próżnię padające”. Przedstawiał sobie, iż to żony o mężach lub belfrowie o uczniach swych podobnie gderają. Tu wszelako, owa próżnia pod postacią naprężonego ucha się kryje, w samej rzeczy przeciwieństwo to wyroczeni – nic nie odsłania, za to chłonie wszystko. Klęka się tu i błaga, i wypelza w upokorzeniu.

– Wyjście, którego szukasz, masz waść tuż przed sobą. – Gdy Mason w górę się wspina, z mandoliny dobywa się na pożegnanie wiązanka hinduskich melodii. W owej chwili wszystko, czego widzieć pragnie, to niebo nad Atlantykiem. – Z Bogiem – Nick Mournival woła. – Niech ci się lepiej wiedzie w życiu, do którego wracasz, niżli mi kiedykolwiek w tym, które porzuciłem.

Przecisnąwszy się koło ostatniej przeszkody, Mason na powietrze się wynurza, do owego opuszczonego ogrodu, co to już nań okiem rzucił. Mury wyższe są tu znacznie, niżli je z ulicy pamięta – której rejwachu każda cząstka uszu jego teraz dochodzi, z bliska i daleka, a wszystkie głośne jednako, z każdego miasta krańca, lecz niewidzialne... Miejsce to, zgoła na granicy dwóch światów będące, skłania go do wejścia na chwilę w głąb własnej duszy, nim powróci do portowego miasta, z którego tu przybył. Rzec by można, kaplica to nadbrzeżna marynarzy. Niczym pies sunąć poczyna, mury badając, po kamiennym okręgu. Pnącza soczyście zielone zdobne w szkarłatne dzwonka, czerwieńsze zaprawdę niżli dzień pospolicie pozwala... furty żadnej nie widać... Nagle deszcz, sól z lig próżnego oceanu...

- Byłem roztrzęsiony. Musiałem jakoś wyjście znaleźć. Chyba że prawdziwy Mason nadal tkwi w ogrodzie uwięziony, a ja jestem jego plenipotentem.

Wysłuchawszy owej opowieści w kilka dni po wyruszeniu w rejs do Anglii powrotny, Dixon w Masona się wpatruje.

- Cóż, zabrmi to dziwnie, lecz, o ile porachować mogę, w owej chwili właśnie, gdy do Ucha przemówiłeś, posłyszałem twe słowa, jakoby z głosowej tuby. Siedziałem w Krańcu Świata – z miar, których żadna filozofia nie ogarnie, wiatr za oknami zelżał na dość długo, bym je posłyszeć był w sile. Rzecz jasna nie poznałem, iż to ty, Masonie, tyle echa i tym podobnych głosów zmaćciło...

- Dixonie, jestem zdumiony... i powiadasz, me życzenie... Do kroćset! Niemal mię przekonałeś! Dlaczegoż nic nigdy nie umiesz puścić płazem? Ech, haczyk twój już niemal przeżykałem.

- W Durham mamy w zwyczaju każdą rybkę pospolitą wrzucać na powrót do wody.

- Tak, a co sobie ostawiacie, zapytuję?

- Wyglądamy raczej karpia lub troci, choć bez dwu zdań, odmienne są praktyki tam, gdzie ty łowisz, przyjacielu – bardziej drapieżnie, bez wątplenia – rzecz by możliwa, w desperacji... Zajeżdż raz do Wearside, a pokażemy ci, przyjacielu, jak czekać.

- Jestem Bykiem, mój drogi. Cześć ci ja umiem.

- Używasz czasem przyporu na swej lince?

- Ołowianego ciężarka w nurtach Frome? Cóż za nadzieja. Coś by go zjadło i to tak prędko, iż nic a nic byś nie poczuł. Nie lę, Dixonie. Ołów? Za frykas go mają.

- Sam tak wygaduję o miejscach, w których innych z wędką obaczyć bym nie pragnął.

- Przez wzgląd na zdrowie ogółu tego sobie życzę. Nie w owych ściekach sukienicznych przy mym domu, co niegdyś strumieniami się zwały. Dorastaliśmy, mniemając, iż łowić nam ryby wypada, lecz z pewnością nie kosztować niczego ze zdobyczy. Zbyt wiele wszyscy przestróg się nasłuchali.

- A jak wypadły połowy na Świętej Helenie?

- Nie ostawiłem Maskelyne'a w dobrym zdrowiu, rozum u niego szwankuje. Być może za długo tam bawi.

- Gdy za cel obserwacje średnicy orbity się obiera, jakiż wybór pozostaje? Lecz życie tak krótkie. – Świętobliwy wyraz, co się na twarzy Dixona zjawia, należy do osoby, która nigdy plotką swego honoru nie plami. – Czy imputujesz, iż zgoła coś innego za jego długim pobytem się kryje tam, gdzie niektórym i pięć minut nadto?

- Przebóg, Dixonie! – Dając Dixonowi dość czasu, by ruszył ramionami bez cienia skruchy. – Cóż to by być mogło?

- Pół roku? Starczy, by człek dotarł do nowej stacji życia. Przygoda, kto wie?

- Nie trzymasz chyba, iż to podobne, aby...

- Mój drogi Masonie, cóż ja rzec mogę? Tyś z nim od października siedział, przyjacielu. Czy się z czymś obnosił, zniknął tajemniczo, Syriusza zaniedbywał? Jakoweś nieznanne ci z imienia damy? A może jeno do tawern zaglądał, jako iż picie zdaje się tam niepospolitą zabierać ludziom życia ułamek?

- Począłem żywić przekonanie, iż Maskelyne z wyjazdem zwleka jedynie, albowiem Bradley odkrył aberrację i chwałę zyskał, znaleźć usiłując paralaksę londyńskiej gwiazdy zenitu. Czyż owo olśnienie pod Smokiem, Maskelyne rozumuje, nie mogłoby zostać tam, pod Psem Wielkim, powtórzonym?

- Trzyma, iż znajdzie coś jeszcze, jak ów aberrację?

- Ma się na baczości, nic więcej. Jeśli coś jest, wkrótce to pozna.

- Czy trafiłem? Nie znam go nawet.

- Ni ja. Jenó zgaduję. Założmy, iż tak się sprawy mają, ot, co mam na myśli. Ato-li on wszak nadal tam siedzi. Mógł wrócić z nami, prawda? Czy w samotności swej zdziwaczeniu zawarł z insułą ugodę, jakoby rozumnym stworzeniem była? Czy w jakowyś sposób na wieczność doń teraz przynależy? Most nierządnic jego pustynią - wstrzemięźliwość próbą?

- W owym miejscu próbą prędzej dogadzanie - Dixon mu przypomina.

Bardziej są skorzy Maskelyne'a omawiać perypetie niżli własne losy, przyszłość, która w Anglii ich czeka. Poprzez swą korespondencję Maskelyne o pewnej sposobności się wywiedział, choć bardzo jeszcze mało podobnej. Otóż, następstwem wyroku sądu lorda kanclerza¹ z przeszłego roku, w kwestii granic między amerykańskimi prowincjami Pensylwania i Maryland, obaj owych ziem właściciele zwrócili się do Astronoma Królewskiego o pomoc w ich wytyczeniu instrumentami z nowomodnych najprzedniejszymi, a zdatnymi do użytku, albowiem jedna z miedz podle piątego stopnia szerokości biegnie, sto lig przez dzicz, ze wschodu na zachód.

- Dlaczegoż by Maskelyne mówić nam miał o tym?

- Sam podjąć się tego nie pragnie, a rad byłby nas widzieć na dobre w obcej stronie, wówczas wreszcie z doktorem Bradleyem ostałby na osobności.

- I do Ameryki byś pojechał?

- Nie wiem, czy Bradley zechciałby poprzeć mię po raz wtóry. Z miar, które by nam do gustu przypadły - Mason powiada. - Maskelyne też nie będzie zbyt skory. Jakież z tego pożytek, skoro tablic lunarnych poprzeć nie może? Któż zatem? Wad-dinton? Ty sam? Jeśliś ciekaw po robocie na Przylądku, Dixonie, zda się, iż swoją własną umowę spiszesz.

- Tak dobra była?

- Tak. Mnie szczęście dopisało, sektor mię niemal wyręczył, lecz tyś sam się na medal spisał.

- Zatem skorzy będą posłać nas znów społem? Nieprawdaż? Nieźle, nie powiem - nas dwóch w Ameryce.

- Nie sądzę.

18

Powróciwszy ze zmysłami zmaconymi wojną, niewolnictwem, obserwacjami pomysłnymi, wiatrem Świętej Heleny i szacunkiem ze strony znajomków wcześniej im nieznanym, krążą Mason i Dixon po Londynie niczym wirujące baki, bez celu, we własnej kompanii pospolicie, raz za razem na siebie wpadając i wdzięcznie odskakując. Stołują się w Mitrze, choć to środek popołudnia, a ich posiłek zbieraniną jest z resztek po wcześniejszych. Stawiają się przed radą Towarzystwa Królewskiego, gdzie miarkują, iż o tym, co ich spotkało na Przylądku czy Helenie, nic złego rzec im nie sposób.

Dixon na północ się wkrótce udaje, myśli swe wszystkie ku Wesołemu Gwarkowi w Staindrop kierując, przybytkowi próżniaków wspominanemu z tym większą przesadą, im dalej mu do domu było. Mason mniej jest pewny, cóż czynić winien. Musi swych synków odwiedzić, tęsknicy za którymi zwalczyć nie może, lecz i lęka się owe-

¹ Obecnie wydział Najwyższego Trybunału Sprawiedliwości (lord chancellor to z grubsza brytyjski odpowiednik ministra sprawiedliwości).

go spotkania. W mieście składa wizyty obyczajem wymagane i jak to Bonk przewidział, wypytuje go niezobowiązująco agenci floty, Kompanii, Towarzystwa i z Parlamentu ciekawi, od ludzi króla po wigów Rockinghama¹, o warzyw zapasy, dróg szerokość, fortyfikacje nadbrzeżne, mieszkańców morale, niewolników nieukontentowanie i temu podobne. Wychodzi w kwaśną szarówkę późnego popołudnia, w ulice City, co na wieczór się szykują – nowej sposobności wyglądając, w wierze się pogrąża, tak jak niegdyś, w świeżej żałobie pogrążał się w grzechu.

Miasto całe od plotek o duchu z Cock Lane huczy, Mason idzie zatem obaczyć to, co na własne oczy może. Widma żadnego przy sławetnym domostwie Parsonsów nie spotyka, lecz zdumiony jest żyjącymi, którzy zjawiają się podczas jego wizyty.

– Pomyśleć tylko, kto tu bywa, gdy mię tu nie ma. – Nie do końca jest świadom, iż głośno rzecze te słowa. – Toż to pani Woffington tam dalej. A ów człowieczek przy jej boku? Garrick². W rzeczy samej.

Oszołomiony, na powrót się w Cock Lane wycofawszy, przyrzeka sobie, iż przy następnym z Rebeką spotkaniu poprosi, czy nie mogłaby zajrzeć tu i zerknąć w mury. Miną dni, nim pomni, iż w Londynie go nie nawiedzi – w Sapperton pragnie go widzieć – w domu.

Rebeka może się raduje, lecz siostry Masona nad wyraz są dlań surowe. Chłopcy grzecznie go przyjmują. Dwie okrętowe miniatutki im przywozi, kupione, gdy zreflektował się w ostatniej chwili, z łodzi, co pod statek podpłynęła w zatoce Santa Cruz. Nad strumień je zabierają, ostawiając panie przy dysputach nad postawą brata, i społem się nad takielunkiem głowią, przez rzemieślników teneryfskich wyrzeźbionym, podle tego, co z wizyt na statkach z całego świata spamiętali. William lat liczy sobie pięć, Doktor Isaac trzy.

– Są z bardzo daleka – stwierdza Willy, raczej do Doka niżli do owego nie w pełni rozpoznanego człeka, do którego zwracać się może jest nieroztropnie. – Nie z Anglii.

– Twój to statek? – Dok brata lęków nie dzieli i Masona pyta cieniuchnym głosem.

Mason przygląda się.

– Zda się, iż nasz niósł dział więcej i aż tylu żagli o kształtach dziwacznych nie było. I, rzecz jasna, jak widzicie, te tu są błękitne. Ścisłe to odcień morza – czyni statki niewidocznymi, gdy się zbliżają. Podpływają tedy prosto do Francuza i nim tamci pozór dadzą – *Touche!* – Udaje, iż z zamysłem łaskotek wyciąga ku nim ręce. Odskakuje, z jeszcze większą ciekawością mu się przy tym przyglądając. Dok bardziej jest do przyjemnego śmiechu skory niżli Willy, który wierzy, iż powinnością jego czujność jest za brata zachować. Ich stateczki płyną społem z łagodnym nurtem, to w słońcu, to w cieniu, zawsze dość blisko, by na pomoc im snadnie pospieszyć. Chłopcy zaganiają je, gdy trzeba, wierzbowymi witkami, nie bardziej ręki do owych morskich historii przykładając niżli bogowie do mitów przebiegu.

W pierwszych tygodniach lipca Bradley zaniemaga i coraz z nim gorzej. Trzynastego w Chalford umiera i przy Susannie składają go w Minchinhampton do grobu.

Mason jedzie tam, jak to już czynił niezliczoną liczbę razy, starając się wpróż myślać nie wybiegać. Próżne rozważania. Zbyt wiele spraw rozwiązania czeka, by jedna jeno wizyta wszystko wyjaśnić mogła. Sam z sobą to omawia.

¹ Politycy zgromadzeni wokół markiza Rockinghama, premiera Wielkiej Brytanii w latach 1765–1766 i w 1782 roku.

² Słynny aktor epoki i jego kochanka.

– I Bradley wiedział...

– Wszyscy wszystko wiedzieli. Poza mną. Iż tak nie było, mniemałem, przeto, rzecz jasna, największy podnosiłem raban. W bezsenne południa, przez astronomów hołubione, burze uczuć, jakie w owych podziwianych murach szalały, przenieść by były w sile południk zerowy o sekundy łuku w każdą stronę, a kto wie, może i w tę i na-
zad kilka razy nim obijały.

– Prędko żyć tam społem było niepodobna. Początek był to owej gry salonowej. Z Rebeką z obserwatorium na Feather Row się wynieśliśmy, o każdej porze to w górę, to w dół wzgórza później w znużeniu wędrując, a William wszędzie w czymś na kształt hamaczka podróżował – a potem, nim kto zmiarkował, już Susanna się obok wprowadziła, Bradley rozpoczął swe wizyty, w pierw skruszony, wnet żaloszny, wkrótce każdego wieczoru się zjawiał, począł mieć w zwyczaju i do nas zachodzić, napomykając to i owo, i oto już nasza czwórka a to w łodzi na rzece, a to w karty grająca w nocie pochmurne czy burzliwe, pikietą, papieżyca, słodki Rebeci głosik, dłonie Susanny nigdy przez słońce nietknięte, oczy rwące – później znów przenieśliśmy się na wzgórze, a Bradley, w jakowymś drobnym wybuchu, nasze dawne kwatery na Feather Row zajął... a nad tym wszystkim sfery bez ustanku się obracały.

Czy owe niekończące się, czterodrzwiowe farsy są jego przeznaczeniem? Nie zawsze kończą się szczęśliwie, jak na Przylądku, gdzie nikt krwi nie uronił.

Na miejscu jest młody Sam Peach, brat Susanny, a i panna Bradley siedemnastoletnia, co mimo braku snu i rumieńców wygląda kwitnąco, a choć Bradley z jej twarzy spoziera bardziej, niżli Mason przypuszczał, iż jest możliwe, do matki jest podobna, oka kształtem i linią nosa. Astronom oczekuje, iż nad sobą panowanie straci, lecz litościwie ogarnia go jakoweś odrętwienie nieznane. Z delikatnością, na jaką tylko ich stać, mówią mu, iż Bradley życzył sobie wokół jeno rodziny. Co dalej, będzie w gazetach stało. Tak nababowie Gloucestershire postępują z byłymi sługami.

Całą do Stroud powrotną drogę, przeszłe momenta czepiają się Masona niczym wielkie, lepkie pajęczyny. Niektórych z nas w każdym miejscu na Ziemi za banitów czy bydło w szkodzie mają. Wszędzie roi się od osób, co Masona przestrzegają, iż dalej iść nie może. Wojownikiem jest, co stracił właśnie swego pana.

Dzień w noc przechodził, słońca w niebo rozgwieżdżone, gdy Rebeka się z ich łoża wysuwała i dołączała do Masona na astronomicznej pryczy, a nad nimi majaczyło widmo Bradleya; samotny, skąpo oświetlony portret jego osoby, oglądając ich zmuszony, wieciec tam nierad, co nie głośniej niżli szeptem nawoływał: „Jam jest kwadrant na ścianie zawieszony, zawsze zaufania winienem być godny, w błąd niewprowadzany ni przez skwar, ni chłód, z którym same gwiazdy są skorelowane. Podle wymogów aberracji światła dość misternie jestem osadzony, lecz, by odczytać moc z jakąkolwiek przenikliwością wichry namiętności, zbytniom pospolity”. Do szaleństwa był w swej młodej żonie zakochany i gdzie tego kraj leżał, w żaden sposób oszacować nie potrafił.

Gdy dla Rebeci i małej Bradleyówny nastąpiła pora obopólnego zauróczenia, a rozmowy ich głęboko w noc sięgały, nieraz Mason, z obserwatorium wrociszwy, zastawał je obie wśród pościeli, a dla siebie miejsca żadnego, jeśli nie miałby którejs obudzić.

– Gdzie go poznałaś? Jak się stało, iż wyszłaś za niego? – pragnie wiedzieć dziewczyna.

– Lata panną na wydaniu bycia przemknęły – Rebeka opowiada – tak niespostrzeżenie, iż chwili nie znając, wyrzuciło mię na insulę straszliwą, gdzie żaden kwiat nie rośnie. Dni mijały jeden za drugim... Aż tu, mimo braku nadziei, żagiel na horyzoncie się bieli – jak daleko, rzec nie sposób – niepewna ratunku obietnica... sort Indiamana, jak się okazało.

- Z setką przystojnych marynarzy na pokładzie do wyboru? - chichocze Bradleyówna.

- Jednym jeno, niestety, impertynencka pannico... Podeszło do mnie razu pewnego dwu jegomości i rzekło: „Oto ten, którego musisz poślubić”. Położyli przede mną niewielki, tani szkic Karola w sepii już płowiejącej. Twarz przystojna i szlachetna, niczym u jakowegoś nababa ze snów - jako iż widzę w twych oczach pytanie, książniczko Sukie. Rzecz jasna, wiedziałam, iż u żywego człeka nie mogę oczekiwać podobnej urody, lecz liczyłam z ich strony choć na kapkę uczciwości - przeto gdy odkryłam tak ogromną różnicę, cóż, byłam zdumiona. W wyjaśnieniach bez końca powtarzali: „Toż portret to jeno przedstawienie”, aż straciłam rachubę, a po prawdzie przestałam pojmować i owego słowa znaczenie.

- Kim ci panowie byli? Czy u dziadka Peacha najęci?

- Zagadka, moja panno. Odziani byli strojnie, podle pomniejszych nababów mody, cali w jedwabiach tussowych, w kapeluszach wyplatanych. Peachów na wsi odwiedzając, sposobność miałaś widzieć im podobnych - atoli mogli być i rzeźmieszkami, gdyż nieco kłopotu sprawiała im angielska mowa, czego, językiem tym jak ja władając, ocenić nie sposób.

- Gdzie ślub wzięliście?

- W pobliżu doków wschodnioindyjskich, w Kaplicy Clive'a, jak ją naówczas wolano, nababa marzeniu, na podobieństwo wschodniej jaskini skarbów wzniesionej - ściany z kryształu, klęczniki ze złota, żyrandole z soczewek graniastych, co światło jednej świecy jaśniejszym od latarni morskiej czyniło, a miast szkła barwnego w każdym oknie drogocenne kamienie w sceny ze ślubu lorda Clive'a i panny Maskelyne ułożone - suknia jej cała z pereł, kurtka jego munduru z rubinów birmańskich, a oczy ich mozolnie ułożone z roziskrzonych drobin cyrkonów i szafirów.

- Mój Boże... a ich włosy?

- Bursztyn, w swych wielu odmianach. A zgromadzeni dygnitarze i ich damy, każdy w innym stroju, każdy zaś coraz srożej olśniewał. A duchowni przy ołtarzu, a Bombaju w tle widoki - ach! I tak, zdało się, bez końca. W uważaniu zagubić można się było. I może to przydarzyło mi się właśnie.

- Lub jemu.

- On się był wśród gwiazd zagubił. Lata całe nim mię spotkał.

- Wiem, jak Papa. Po prostu... odpływają, czyż nie?

Bradley był doniósł o kometach roku 1723 oraz 1737, lecz najwyraźniej nie o tej z 1744, co pewnego dnia miała zyskać miano najprzedniejszej w owym stuleciu. Miast niej owego roku zjawiła się w jego życiu z impetem Susanna Peach, jego przyszła żona. Czy naówczas dziewczynę z ową kometą powiązał? Lub trzynaste lat później, w kolejnym komety roku, gdy z jego życia znikła? Choć to Mason raczej był bardziej skory w pędzącym przez niebo wizerunku niewieściej głowy o włosach powiewających w niepojętym wietrze widzieć pośmiertne nawiedzenie... - Gorączkowe to, wielkich prędkości tyżące gwiazd uważanie, dalekie pospolitemu, cononemu po łuku drobieniu. To Mason, w swej tęsknicy zrozpaczony, napisałby, gdyby jeno dziennik prowadził:

„Przez teleskop długi na stóp siedem, przy tej dzielności, to twarz, a choć przesłonięta woalem, przysiąc mogę - jej to twarz będzie. Aż po oczu bolesność się wpatruję. Winieniem Bradleya o radę prosić, lecz, rzecz jasna, równie wielka jest potrzeba, bym tego nie czynił za nic”.

Wpierw Susanna, a za nią Rebeka. Niemal dwa lata zgony ich dzielące we władaniu zbliżającej się komety pozostawały doktora Halleya, co miesiąc po Rebeki

śmierci peryhelium sięgnęła – w blasku Słońca przygasła i za jego tarczą znikła, by znów się pojawić... Po czym Masona powinnością było, by o północy rozewrzeć dachu podwoje, ułożyć się lekko i jej szukać, odnaleźć, odnotować ściśle położenie, wymierzyć. Na wznak. A gdy już była tak blisko, iż nie pozostał cień zwątpienia, jakże walczył ze sobą, by jej nie wołać – oto jej twarz zbolęła z wysuniętym podbródkiem jaśniej i trzepoczą włosy, jakże jest samotna, o północy, bez schronienia, na widoku dla każdego, kto ma lunetę. Mason nie mógł zbytnio wprost zerkać, jakoby lękał się wejrzeć w oczy, które, jak wierzył, kryły się tam, zezował jeno, co rusz się rejteradą ratując, dość długo, by wziąć miarę ze zbielełej grzywy, palce przy mikrometrze zajęte, czasu nie staje, by się nad uczuciami rozwoździć, a i miejsce złe, z owym czymś wiszącym nad głową, nieproszonym rozpoznaniem.

Późno w nocy wśród gwiazd przesiadując, słuchając, jak u stóp wzgórze polują i mordują sowy, osuwał się w jakoweś baczne porażenie, ledwie krok i pół po tej snu stronie... W owym złowrogim czasie, czekając jej pewnego powrotu, zdało mu się pewnej nocy, iż czegoś granicę pokonał, jakoby przerwał coś na kształt błony, i pojął, iż myśliwi o obliczach śmierci, tam w dole, w swym zawroźdzeniu nie mają żadnego celu – to raczej ów dźwięk opętał ich sam w sobie, jakowaś moc niepodległa, co przez sowie gardła w ziemski eter się wdziera, a której zamysły, dalekie tutejszym gryzoniom, nikomu nie są wiadome.

Śmierć i namiętność obserwatorium wypełniały, co goście wyczuć umieli, choć rzadko określić trafnie.

- A niech mi! Wątpić począłem, czy kiedyś się wydostaniemy.
- W baśniach, którymi mię w dzieciństwie karmiono, w podobnych miejscach ludzi jedzą. Cóż się między ową parą rozgrywa?

Nieraz nakrył Mason starego astronoma na przyglądaniu się Susannie w cierpliwym skupieniu, które znał z pokoju z sektorem... jakoby czekał na nagły ruch na nieboskłonie namiętności, podobny owej zmianie gwałtownej w gwiazdy położeniu, która go do odkrycia aberracji światła doprowadziła – jakoby czekał na skok w sercu równy temu, co uczył wtedy, gdy noc za nocą ową drobną elipsę oglądał, miniaturę tego, jak i Ziemia po własnej orbicie wędruje, odgrywaną przez londyńską gwiazdę zenitu, Caput Draconis, Głowę Smoczą, jej paralaksy szukając, jak doktor Hooke to przed nim czynił. Gdy gwiazda ruszać się w niepojęty sposób zdała, trochę czasu mu to zabrało, nim zmiarkował i wyłuszczyć potrafił ową anomalię na uważanym przez się nieboskłonie.

– Mniemałem, iż moja to wina, iż w tytuniu i kawie rozpasanie zaufania niegodnym mię czyni. – W owym czasie obaczył też Wielki Paluch, co się z daleka przybliżał, przy Smoku przystanął i – jak na członek owych rozmiarów delikatnie – zmieszał wir wśród gwiazd tamtejszych.

Gdy Mason do niego dołączył, znany już był Bradley i poważany w całej Europie, a zbiór kompilował właśnie lunarnych, planetarnych i astralnych obserwacji – dla interesu w tym mających, bezcenny, atoli dla jurystów ich na tyle kosztowny, by na dysputę zasługiwać. Podług królowej Anny zalecenia, „goście” z Towarzystwa Królewskiego prawo posiadali co roku egzemplarz obserwacji wszelkich uzyskać. Teraz, jak Mason wykrzyczane w pokoju obok, podczas ostatniej swej wizyty u Peachów, słyszał, jako iż od śmierci królowej tyle już lat minęło i jej nakaz winien pójść w zapomnienie, a obserwacje Bradleya, własnością jego wszak będące, trafić do spadkobierców i cesjonariuszy.

Czy Susanna jeno za fortel służyła, by owe tomy dostały się jej rodzinie, w ręce złaźnionego Sama Peacha starszego? Czy ceną były, jaką zapłacić mu przyszło za na-

czelnika Kompanii Wschodnioindyjskiej stolec? Wydawszy na świat potomka, powinnoś swą spełniając, czy wolno już było posłannicze do Chalford wrócić, w rodzinne pielesze, podczas gdy w odległym Greenwich Bradley, rozkochany, majstrował przy soczewkach swych i śrubach mocujących?

Nawet koń Masona szyję wykręca i z wyrzutem na niego spogląda. Domysłów podobnych snuć nie przystoi. Któż nie był mężem pobłażliwym?

– Któż by być pragnął głupcem starym z młodą żonką? – Mason na głos duma. – Wielbił ją, bez dwu zdań. Panią była wszelkich jego posunięć. Jakże mi głos zabrać wolno?

Sam Peach opowiedzieć mógłby historie, które każdemu ojcu krew by w żyłach zmroziły. Jego sympatia, jak zawsze, po stronie Doktora stała, lecz kamień spadł z serca, gdy do ślubu doszło. Teraz rad byłby także z tomów obserwacji. Atoli to Mason, jako asystent Bradleya, wiele z nich przeprowadził. Czy będzie rościł pretensje? Peach trzyma, iż nie, gdyż po prawdzie podarkami one dla Bradleya były. Ofiarowywał je młodszy astronom za nic prócz „Dziękuję panu, dobra robota, Masonie”.

19

W karczmie „U króla Jerzego” na cóż natrafia, jak nie znów o Bradleyu zażarte dysputy.

– Nie dbam o to, iż Anglii przyniósł chlubę, nadal musi tu swe pinty opłacić.

– Mało to teraz podobne, nieprawdaż? Biedny stary osioł.

– Atoli nie zapominajmy, był wszak w zмовie z Macclesfieldem¹ i ową bandą, co bez ceregieli jedenaście dni skradła z kalendarza. Dobry Bóg poczeka, gdyż jest Stwórca ptakiem drapieżnym, co czeka i czaić się może lata całe... aż w końcu, gdy nikt się nie spodziewa, do ataku ruszy.

– Dziękujemy, pastarze. A zatem, kiedyż to mogę piwem kupczyć u wielebnego w kaplicy? Czy niedziela zdatna?

– Skończ waść, dobrze gada. Pole bitewne nam znane, położone w trzech wymiarach ziemi, w czasie ma też swe odzwierciedlenie. A jeśli papiści w czasie rachubie zyskają przewagę, mogą pokonać nas snadnie.

– Cóż, już to uczynili, w pięćdziesiątym drugim, gdy nam ów czas rzymskiej ladczyzny narzucono, a zagrabiono jedenaście dni naszego.

Mason udaje, iż klamrę u swych trzewików bada, starając się nie wdychać zbyt głęboko. Pośród wielu klasyków nierozumu, ten jedenastu dni tyżący dołączył do pocztu owych, od których nigdy uciec się nie zdoła. Niektórzy lat już dziesięć żywią urazę – choć nie bardzo to długo, gdy o przebaczenie chodzi. Teraz, gdy Bradley dokonał żywota, czy pomszczeni się w końcu czują? Słucha nużących wywodów, jak niegdyś owych Ojca swego, co śpi w tej chwili ledwie mil stąd parę i wkrótce zbudzić się winien...

– Cóż, u diabła, twój drogi przyjaciel Bradley knuje, on i jego mecenas? Jedenaście dni kradną? Czy to rzecz słychana? – Zda się, iż Ojciec jego naprawdę się dopytywał.

– Nie, Tatku. Parlamentu uchwałą dzień drugi września drugim dniem września

¹ George Parker, hrabia Macclesfield (1695–1764), astronom, ówczesny przewodniczący Towarzystwa Królewskiego.

pozostanie, lecz ten, co po nim nastąpi, czternastym września zwać będziemy, dalej zaś dni pójdą, jak i wcześniej, posobnie.

- Lecz... przecie trzeci dzień września będzie to naprawdę.

- Tak, trzeci podle dawnego kalendarza, lecz wszyscy nowy przyjmą.

- A cóż się wówczas z dniami pomiędzy dzieje? Macclesfield je zabiera i iż nigdy ich nie było, ogłasza? - rzekł Ojciec zagubiony i spojrział na niego zaczepnie. Spieszno było Masonowi ukoić tak wyraźną rodzicielską zgryzotę, lecz i uniknąć pragnął wybuchu, który podobna zaczepność nieraz już zwiastowała.

- Zwać dni możemy podle własnego uznania. Imiona im nadawać lub przypisywać liczby, byle tylko wszystkim wiadome było, jak je wołać winni.

- Tak, tak, Synu, atoli... co się z jedenastoma dniami stanie? I czy wiedzieć podobna? Powiadasz, iż znikną po prostu?

Ach, czy ustąpić nie może? Golenie obu świerzbić poczynają od dzielonych popołu wspomnień gwałtownych zderzeń kości i garbowanej skóry.

- Rozmarszcz twarz, Tatku, ma to i swe dobre strony. Migiem zładujemy czternastego, dni jedenaście zyskując, których nie dane było nam ni przeżyć, ni ścierpieć, ni się w ich ciągu postarzyć - dni jedenaście młodszy będziemy niżli przy starym kalendarzu.

- Czyżes rozum postradał? Czyż me następne urodziny o tyle prędzej nie przypadną? Jedenaście dni starsi, hebesie, starsi!

- Skąd - odparł Mason. - Wszak... czekaj no...

- Ludziska mnie pytają, co Macclesfield z owymi dniami, co sobie przywłaszcza, uczyni i czemu mu doktor Bradley dopomaga, a ja im powiadam, iż mój syn wiedzieć będzie. Miałem ci ja taką nadzieję.

- Myślę, myślę.

Bezsenne noce łamał sobie głowę, dumając, czy Ojciec jego przy wcześniejszych pytaniach o świecie, Masona trapiących, podobnie był się trudził. Sen cenny poświęcił, lecz ni ćwierć pensa zysku to nie przyniosło.

Imć Swivett, z twarzą ożywioną tak, iżby przeraziła każdego doktora, jeśliby tylko jakowyś w karczmie siedział, teraz ogłasza:

- Nie tylko znieważają porządek roku przez Boga nadany, lecz i czas katolicki nam narzucają! Francuski! Całe życie z Francją walczyliśmy, a i ojcowie nasi, Francja wrogiem nam na wieki - czemuż mamy się oddać w jej kalendarza władanie?

- Albowiem ich i nasi filozofowie - imć Hailstone wyłuszcza - w zмовie są z tymi z innych krajów Europy, a także z jezuitami, i posiadają społem maszyny, prozki, promienie, eliksiry i tym podobne, o przymiotach niepospolitych, niektóre tak odstrasające, iż ludzie króla broń opuścić muszą.

- Czas, widzicie - szynkarz powiada - pieniądzem jest nauki, czyż nie? Trzeba go filozofom, podobnie jak kupcom jednej monety.

- Co poddaje, iż też ciekawi wszelkich wydarzeń, jakie w różnych punktach globu o tej samej porze miejsce mają.

- Jak w Apokalipsie świętego Jana?

- Jak przejście Wenus, co, panie Masonie?

- Ach! - Mason wzdryga się zaskoczony. - Pięknie waćpanu dziękuję, tegom jeszcze nie słyshał.

- Panie Masonie - imć Swivett prosi - pracowałeś wać w Greenwich u boku doktora Bradleya. Czy Doktor nigdy kwestii tej nie poruszył? Czyż sam ciekaw nie byłeś?

Źle niechybnie w „Jerzym” dziś wieczór bawić - podobnie jak i przy wezglowiu Bradleya - przeto nadal czuje się Mason ogłuszony po tym, jak go odesłano i z jakim

chłodem niewypowiedzianym. Atoli wyprawa w żarliwego bezrozumu ostępy, do której imć Swivett namawia, sposobem dla astronoma być może na to, by od kwestii śmierci Bradleya na chwilę się oderwać, bez rozmyślania nad tym, co jeszcze między nimi sporne. Do oczu Masona iskierki się zakradają, złośliwe raczej niżli wesołe.

– Lata przed moim do Greenwich przybyciem, choć, rzecz jasna, to i owo się słyssało... – Sięga po fajkę, nalewa bordo do kubka i w fotel zapada wygodnie. – A tak, niesławny spiszek przeciw dniom jedenastu, co je ponoć sobie młodszy Macclesfield przywłaszczył, zatrzymanym nie w przestrzeni, lecz raczej w... czasie.

To właśnie w owym schizochronicznym¹ roku 1752 Macclesfield objął urząd przewodniczącego Towarzystwa Królewskiego, który sprawował przez kolejnych lat dwaście, aż do śmierci. Wśród ludzi aspirujących do wyższych stanów widziano w tym zaszczytce bezwstydną, politykierską nagrodę bandy Walpole'a za kradzież ich czasu i niezbity dowód jego winy.

– Ojcu ledwie cztery lata bycia hrabią Macclesfield starczyły, by nazwisko skalać – zalił się Bradleyowi, mniej więcej wówczas, kiedy to wiekopomną uchwałę w Parlamencie już omówiono i oddano pod rozagę stosownej rady. – Staczał się. Wpierw postawiono go w stan oskarżenia, potem w Tower osadzono, wreszcie zaś stał się dla wszystkich jakoby banitą. Teraz ludzie skorzy wierzyć, iż i ja złodziejem jestem². Ach, gdybym tylko mógł owe dni zwrócić i z tym skończyć! Bramy zamku Shirburn³ na oścież otworzyć, wystawić beczki piwa i wołowe półtusze, na blankach się pojawić z tajemnymi machinami, uroczyste cofnąć o godzin dwieście sześćdziesiąt cztery skazówki zamkowego zegara i ogłosić, wśród wiwatów zebranej gawiedzi, iż dniowi dawniej daną mu liczbę przywracam. Niestety, z tym wszystkim, któż wśród nich, na Boga, mógłby życzyć sobie jedenastu dni nowych? Na co im one? By bardziej podobnym było, iż znów im się coś straszego przytrafi, gdy całe ich życie pasmem nieznośnego nieszczęścia?

– Atoli śmiertelnikami jesteśmy – Bradley wyszeptał. – Czy naprawdę trzymasz, mój panie, iż jedenaście dni więcej funta kłaków warte?

Zaśmiał się bacznie. Oczy jego, z przyrodzenia wylupiaste, ostatnio okryły cieniem ciężkie powieki. Macclesfield zerknął na swego sługę – albowiem panem był mu w Towarzystwie, jak i poza nim – i znów głos zabrał.

– Rodzina moja z Leek w Staffordshire się wywodzi. Przez czas krótki, w letnie wieczory, Słońce za skrajem jednego zbocza wzgórza Cloud się kryje, z drugiej strony pojawia i ponownie zachodzi. Dorastałem, wiedząc, iż Słońce dwukrotnie zająć może – czymże dla mnie brak dni jedenastu?

Bradley w roztargnieniu zaśmiać się po owej zgrabnej dygresji zapomina.

– Cóż się stało, gdy odkryłeś, panie, iż reszta świata Słońce raz jeno zachodzące widzieć przywykła?

Macclesfield spojrział bez wyrazu, z twarzy wnet własnemu portretowi podobny – odpowiedź to była na zdania uchu niemiła, wyćwiczona wśród przedstawicieli stanu, do którego rad byłby wciąż dołączyć. Zdało się, iż Bradley nie rzekł był ani słowa.

Niżej tawerny rozbłyskały światłem, wiatr potrząsał nagich drzew szpalerami, światło dnia przeglądać się przestało, a tonąc poczęło w rzece. Szli przez Greenwich Park, nieopodal domu lorda Chesterfielda – jesień chyliła się już z wolna ku końcowi, a skąpiane w gasnącym świetle drzewa jawiły się niczym gaszcz skręconych cie-

¹ Gr. *skhizō* – rozłamywać, *khronos* – czas.

² Thomas Parker (1666–1732), hrabia Macclesfield, lord kanclerz, był oskarżony o korupcję i oszustwa finansowe.

³ Rodowa siedziba Macclesfieldów w Oxfordshire.

ni, naznaczone atramentowymi zawijasami. Wiał przejmujący wiatr. U stóp wzgórza światło o barwach zaczerpniętych z palety paleniska iskrzyło się w okiennych szybach, mniej lub bardziej optycznie prawdziwie. Z lasu dochodziło poszczekiwanie ogarów.

Bradley skończył owego roku lat pięćdziesiąt dziewięć. Macclesfield, cztery lata młodszy, po imieniu się doń zwracał. Starszy mężczyzna niedomagał stale, nie polował, konno nie jeździł, ryb nawet nie łowił, ożenił się pochopnie i wykupiony został wiele lat temu – aberracja, nutacja¹, spis gwiazd² i wszystko inne – choć sam przed sobą nie przyznawał się do tego...

– Wszyscy łąą, Jamesie, każdy do swego miejsca w łańcuchu przypisany... My, u władzy, musimy kłamać na potęgę, ci w dole łąać jeno odrobinę. Oto kolejne z naszej strony poświęcenie, bez słowa podzięki, aby nie trzeba wam było czynić sobie tak wielkich jak my wyrzutów. Te wyrzuty, rzecz by można, część to *noblesse oblige*... Czy to takie dziwne, iż syn człeka z palestry, co kupił, a potem pohańbił tytuł niegdyś szlachecki, wśród gwiazd szuka schronienia? Nie zdradzają one ni nie mówią nieprawdy – czysta to matematyka. Jeśli nie są trabantami czy planetami o danej średnicy, każda jeno punktem jest bez rozmiaru – prostą liczb parą, rektascensji i deklinacji... Liczbami, dla których odkrycia wy, ludzie nauki, w rzeczy samej, jesteście z królewskiej kiesy opłacani.

– Nie trap się, panie – odpowiedział Bradley, jakoby opłacano go ku patrona pocieszaniu. – Wśród braci astronomicznej wszyscy mile widziani.

– Czy poręczyc możesz, Jamesie, żeś mię właśnie nie obraził?

Bradley przedstawił sobie, iż ton wesoły podchwycił, lecz bez pewności, ile na ów liczyć można.

– Od godziny wysłuchuję mego pana, jak sam potwarze na się rzuca – czemuż rad miałbym być się włączyć, osobliwie, gdy mam go w tak wielkim poważaniu?

– Jako astronom jeno, rzecz jasna.

– Nie ułatwiasz mi waść.

Brnęli wśród opadłych liści dębowych, co u ziemi wirowały. W nozdrza dym ich z kominów uderzył. Przekłęta jesień, wróg starych kości.

– Oto – Mason swej skromnej widowni w „Jerzym” klaruje – czas, któremu odebrano swobodnego przepływu prawo. Groźna to rzecz, powiedzieć mogą niektórzy. Zda się, iż gdy owe dni zmrożone leżały, i śmiertelność nie mogła rościć swych pretensji. Mile całe wkoło Shirburn ludziska coś czające się czuli, zbyt straszne, by zamku służba zbliżyć się odważyła. Obcych Macclesfield nając musiał, z daleka, daleka, ze wschodu.

– Z Indii?

– Chin?

– Stepney?

Jego Lordowskiej Mości, Mason opowiada, trzeba było ludu, co całkowicie odmiennie się na czas zapatrywał – którego jak nas, wpływ czasu lękiem nie napawał przemożnym, lecz raczej był mu tak obojętny i niewidoczny, jak tylko to możliwe. Mowa ich nie więcej czasów gramatycznych posiadająca co deklinacji, gdyż lud ten na porządek wypadków nie baczył ni nie dbał o to, kto co w zdaniu czyni, czym i czyje to, a po prawdzie i nigdzie tam, gdzie Anglicy by wymagali, przyimków nie stawał.

¹ Oscylacja osi ziemskiej, także odkryta przez Bradleya.

² Katalog gwiazd Bradleya opublikowano po jego śmierci.

- Co się zaś rodzaju gramatycznego tyczy, cóż, dalibóg, z zupełnie innej to beczki, nieprawdaż, nie ma co tu... A zatem - z usług węgierskiego pośrednika skorzystawszy...

Kompania gromko oponuje.

- Co znowu? Rodzaje? No, dobra - mieli ci ich trzy - męski, żeński i płeć trzecią, o której to się nie mówi - zmarłych. Jakie zatem, może wiedzieć byście skorzy, panują stosunki między zmarłymi a mężczyznami, zmarłymi a niewiastami, zmarłymi a zmarłymi? Ha? Właśnie. Co z miłosnymi trójkątami? Czy w czworograny się machinalnie przeradzają? Gdy śmierć już nie prostym rozbratem ni granicą, ni sankcją, jaką była, jak winniśmy teraz „bycie wiernym” pojmować? - To ma na myśli (co Wielebny, który był tam jeno jako zjawą przyszłej opowieści niedoskonałej, zgadł byłby jak nic), iż wizyty Rebeki na Świętej Helenie, jeśli bardziej cielesnej natury, różniły się ogromnie od tego, co znał był wcześniej. Ona zaś przyjęła, iż jej powinności wobec zmarłych pojmował w pełni i iż tak jak ona tego sobie życzy, się zachowa. Z jakich miar atoli? Nie dane mu wszak było zyskać dostępu do żadnego z milionów ich tragedii. Niczym gwiazdy dlań byli - nie sposób mu było do ich zebrań dołączyć, mógł ich przeto jeno uważać przez Rebeke, instrument pośredniczy o wielu soczewkach.

- W każdym razie, dzięki hrabiego Paradicsoma staraniom, przybyła do Gloucestershire obcych gromada, wielkością regimentowi nieustępująca. Niech nas Bóg błogosławi. Nic podobnego w tych stronach od czasów druidów nie widziano. Pod bramami zamku przemaszerowali, na olbrzymich dzwonach z kryształu antymonu i trąbach z kości stworów wymarłych sporządzonych, co znaleźć można na nieprzebranych równinach, z których się ów lud wywodzi, wygrywając melodie, nie jak angielskie marsze wprost zmierzające, lecz meandrami nieprzewidywalnymi, bez wyraźnego początku czy końca.

- A ich mundury?

- Od stóp do głów w czymś na kształt krzepkiej zbroi, utkanej z niskich pustynnych krzewów swej ziemi.

- Ha, wojacy - powiadasz, oczy rwali?

- Po prawdzie - Mason rzecze - azjatyccy pigmeje to byli. Atoli, mimo ich postury, każdy tłum krwi żądny pomyślałby dwa razy, nimby im zasiedlić owe dni jedenaście broniał. Ich zadaniem czy też przywilejem, jeśli wolicie, było zatem w owych dniach się osiedlić, nie pozwalając jednak, by w nich czas upływał. Oczekiwano po pigmejach, iż postawią domy i gospodarstwa, wioski całe, młyny - iż w czasie założą kolonię.

- Powiedz nam, czy jeszcze tam mieszkają, a raczej „wtedy”? I czy jakiś z dni owych przeminął, mimo azjatyckich więźniów starania?

- Czasem relacja podróżnika się trafia... Jeograficznie, już się rozplenili wszędzie tam, gdzie nowy kalendarz przyjęto - niektórzy do Ameryki dotarli, inni do Indii - Indie bezładne! Na powrót w dzikich psów i węży władaniu... gdzie bryza znad Hugli¹ owiewa puste odzwia pewnej... Czarnej Dziury? Gdziekolwiek by byli, czas u nich o dni jedenaście wcześniejszy, co do tyknięcia. Toż to raj prawdziwy, kumotrowie, który jeno oni zasiedlają, oni i kolejne ich pokolenia. Oto ich saga długa - Wielkiej Brytanii przez pigmejów odkrycie. Jak tu trafili, rzec im nie sposób, i nie dbają o to. Śpią w naszych łóżkach, mieszkają w naszych pokojach, jedzą z naszych półmisków, cośmy je w spiżarkach ostawili, dopijają flaszki nasze, grają naszymi

¹ Odnoga Gangesu.

kartami i na naszych instrumentach, kucają w naszych wygódkach – co ciekawsi, niczym historycy z czasów, co nie nadeszły jeszcze, nieprzerwanie nas ścigają, snując o naszym życiu domysły, patrząc na znajduwane przedmioty – zagadkowym są dla nich narodem owi niestrudzeni „Brytyjczycy”, rój widm ogromny, co nie do końca się w przyszłości roztopił...

– I co jeszcze, i co jeszcze...

– A tak, przypomnijcie jeno sobie. – Twarz Masona szczerza nad wyraz się zdaje. – Gdzie żeście dni temu jedenaście byli. Czy ktoś z was nie widział jakowegoś z dalekich stron przybysza? Może mizernej postury? A nawet... o rysach orientalnych?

– Cóż... przebóg, gdy pomyślę – imć Hailstone sobie przypomina. – Na samym środku Parliament Street w Stroud to było. Cudaczny jegomość, niski, z głową gładko wygoloną, w szacie z czerwonego adamaszku ze złotymi ozdobami i kapeluszu, co w pewnych kręgach za modny byłby brany, coś na kształt skulonego obelisku – i niczym obelisk pokrytego tajemnymi figurami. Nie, rzecz jasna, żebym mu poświęcił tak wiele uwagi, atoli spora grupa obywateli, których ronda i kokardy same mówiły wiele, kręciła się wokół, usiłując inskrypcję na kapeluszu cudzoziemca odczytać... O dziwo, ignorował nas ów zupełnie. Przedstawcie sobie jeno. Galanci szturchali go laskami, irlandzcy służący, koboldom podobni, dogryzali, a miejscowe czcigodne matrony zbierały na odwagę, by go pod brodę ująć. Wszyscy zaś później wspominali przeźroczyść jego zadziwiająca, a niektórzy, iż brzegi sylwetki jego iskrzyć się tęczowo zdawały.

– I nic dziwnego, obaczyliście go bowiem w kolonii jego względnej próżni, on zaś, ze swej strony, miał was za psotne duchy, na które nie baczycь winien, lękając się, Bóg jeden wie jakiej, dla swego zdrowia zguby. Nawiedziliście siebie nawzajem.

– I tak oto, z ładunku dni jedenastkę ceną zgarnawszy, tych, co nie minęły jeszcze, dla swych panów, by podle swej woli je zużytkowali, a i spisek uknuwszy, by wydać ziemię naszą owym zamorskim pigmejom, stoi Bradley dziś wieczór przed obliczem Wszchemogącego, dusza jego w wielkim niebezpieczeństwie. Módłmy się. – I wielebny Cromorne przybiera pozę, którą w naszej profesji zwiemy ryglowaniem – głos w szept mu przechodzi, powieki trzepoczą nad oczami o podwyższonym albedo. – Wybaczcie, moi mili, mówię teraz do Boga, wróć, gdy tylko interesa skończymy.

Czy Mason wzburzy się i do bitki wyrwie? Czy wstanie i ogłosi: „Nic tu po boskich wyrokach. By urazę czuć równie głęboką po kalendarza reformie, co grzechu śmiertelnego będąc ofiarą, trzeba tak być ubogim na duchu, iż żadne znane bóstwo dosięgnąć nas nie może – choć, jak się zdaje, w Stroud granicach sporo się podobnych przypadków trafia”. Po czym opuści ich zadziwione szeregi i wyjdzie w objęcia nocy? Skąd. Miast tego każdemu kolejną pintę kupuje i rezolucję bierze, by jutro rodzinę swą odwiedzić. Choć posłańcami melancholii są, jak się patrzy, wcześniej czy później żałują, iż tak się stało, a żal właśnie do tych uczuć należy, na których braku popołite życie w „Jerzym” się opiera. Szynkarz uprzejmy jest tu i szczerzy, piwo temu z innych przybytków brytyjskich nie ustępuje, defenestracja sukienników z roku 1756 na wieki zapisała owo miejsce w legendzie, a nad podejrzanymi indywiduami prawi obywatele przeważają. Atoli tak Masonowi sadła za skórę zalały owe przeszłe, wieczorne godziny, iż doczekać się nie może ponownego z najbliższymi spotkania.

Chłopcy krążą wkoło, niepewni jego osoby, choć Dok wybiegł, jak za każdym razem, słysząc nadjeżdżającego konia, swym pędem własne stópki wyprzedzając, a gdy Masona obaczył, stanął jak wryty i spoglądając nań z przejęciem, zawołał:

- Hej, hej! Wszystko dobrze, tatku?

- Tak, tak. - Twarz mu się rozświetla. - Witaj, Doktorze Isaacu. Jak się inni miewają?

- Ee... wszyscy zdrowi. - Bez wahania rączkę mu w dłoń wsuwa i wchodzi do domu.

Dziś Mason jest cierpliwy, a poza tym dwójka malców miejsce dla siebie w jego zagubionym sercu już znalazła. Mieszkają z ciotką swą Hester, siostrą Masona, i mężem jej, Elroyem. Mason, zajęchawszy tu gotowy na znoszenie oskarżeń, braku szacunku i nędznej kawy, zastaje także Delicję Quall, córkę sukiennika, w barwnej sukni z niebielonego jedwabiu, przynajmniej o klasę zbyt krzykliwej jak na podobną w tych stronach wizytę. Nie mija dużo czasu, gdy już wiadomo, niestety, iż targa ową niewiastą niepohamowane pragnienie, by panną młodą ostać - dolegliwość to w kręgach medycznych nimfomanią zwana, w której radosnym szaleństwie niuanse znikają, a każdy człek stanu wolnego do żeniaczki zdatnym być się jawi.

- Jeszcześ waść dość młody - tyradę wszczynają. - Synom twym matki trzeba, a ja dzieci doglądam całe życie. Potrafię taką Sally Lunn upiec, iż sam jej aromat jak nic cali w pasie przydaje, nawet u takich chudzielców, jak ty, Karolu. Sława mych deserrów nawet do Painswick doszła. Wychowano mię w wierze anglikańskiej i powiadają, iż starczy dać mi jeno dość gorzałki, a niezmiernie wesołym jestem kompanem. Czegoś szukał ściśle w drugiej żonie?

- Miło cię znów widzieć, droga Elu. Cóż, iż jej szukam, do tej pory nie byłem świadomy. Atoli najwyraźniej tak się sprawy mają.

Gdyby dawał baczenie, posłyszalby w tej samej chwili od strony cmentarza przy kościele świętego Kenelma pewne podziemne wirowanie.

- Ach, dusza waszmości nieprzytomna, panie Masonie - uśmiecha się Ela, starań dokładając. - Czyż muszę waćpana pouczyć, iż dzieje się tak na tej planecie pospolicie, iż młody wdowiec żony nowej szukać poczyna, gdy tylko przyzwoitość na to pozwala? No, może nawet jeden dzień zwleka, jeśli nieśmiały.

- Tak też słyszałem i nadal wysłuchuję z ust jakże wielu ludzi, co życzą mi dobrze. Gdybym mógł złamać dane słowo...

- Komu dane? Towarzystwu Królewskiemu? Pokój pełen jegomości w perukach, co w świetle świec smędzą, tam byśże być wolał niżli w domu u kominka z drobiazgiem u stóp, u boku nowej żonki? A me marzenia? W ruinie! Jak waść mogłeś! - Chyba już się jej odwiedziało, gdyż odskakuje. - Cóż za robak plugawy z waćpana?

- Ach, rozchmurz się, dziewczyno - Mason błaga.

- Nie przesadzam w mym oburzeniu, Karolu.

- Daj całusa, skarbie.

- Paplający fircyk londyński - burczy Delicja i do wyjścia się zbiera. Wbiegają chłopcy. - Cioteczka Ela! Nie odchódź! - Przyciąga ich do siebie, zerkając na Masona nad ich łaszczącymi się główkami ze złośliwym uśmieszkiem, co mówi „Sam widzisz, Karolu!”. - To, iż zwlekałeś, w długą podróż morską się wybierając, może być ci wybaczone, jako panaceum na żalność nadmierną. Lecz teraz już wróciłeś, nieprawdaż?

- Nie do końca, gdyż coś się szykuje, przeto znów mogę wypłynąć i to niedługo.

– Co takiego! – Hester krzyczy. – Dokąd to znów? Czyż w Anglii nie ma roboty? Miałeś niegdyś stałą w Greenwich posadę, cóż się z nią stało, na Boga?

– Czasy się zmieniają, Hetty. Trafiła mi się ona za szajki Newcastle'a¹ panowania, którego właśnie kres dobiega. Inni wigowie urzędy teraz rozdają. – Bradleya nie ma, wszystko skończone. Lecz nie będzie się skarżył, nie przy chłopcach. Mało kto tu nawet nazwisko to rozpozna. – Płacą ponoć dobrze...

– Gdybym na twym miejscu była – Delicja Quall radzi – trzymałabym się długości kwestii, gdyż tam właśnie pieniędzmi śmierdzi.

– Wiesz waćpanna o tym sporo. Prawda, w najbliższym czasie w bród będzie przy almanachach zajęcia, lunariusze są bowiem teraz jedyną rozsądną na morzu metodą i o wiele tańszą od każdego zegara. Lecz wkrótce na każdym okręcie obaczyć będzie można lśniące oblicze bardziej krzepkiego potomka czasomierza imć Harrisona i epoka tablic lunarnych przeminie. Nadzieje my – wszyscy, co je rachowali – mieć najwyżej możemy, iż nagroda owa nam społem przypadnie, lecz, podobnie jak kołacz na zbyt wielu gości dzielony, nikogo ona wszak nie zadowoli. Dziś dobry zarobek za morzem, Elu, czeka. Do kies astronomskich po raz pierwszy prawdziwe pieniądze trafiają – za całe wyprawy Skarb miejscowy płaci. A jeszcze Bradley, aberrację odkrywając, liczyć musiał jeno na hojność tych spośród szlachty, co jego namiętność dla gwiazd dzielili. – By kondolencje złożyć, okazja się nadarza. I nic.

– Gdzie tym razem, Charlie? – pyta siostra jego, Anna, co, siedemnaście lat właśnie skończywszy, rada byłaby wybyć z domu, gdzie ją traktują niczym niewolnicę, która dzień czy noc harować może bez zapłaty.

– Jeno pogłoski, nic nieustalone...

– Tatku! – Doktor Isaac się domaga.

– Powiedz nam waść, prosimy – William głosił cieniuchnym dodaje.

Wpatrują się w niego okrągłymi oczętami.

Mason głowę schyla.

– Do Ameryki.

Raban się podnosi, gdyż każdy w jednej chwili od siebie pragnie rzeknąć słówko.

– Na miłość boską, Karolu – Hester nie dowierza. – Szczęście już raz miałeś żyw wrócić, teraz podobieństwo mniejsze. Pomyślałbyś o tej tu dwójce dla odmiany.

Chłopcy zaś pokrzykują, tupiąc:

– Węże! Niedźwiedzie! Indianie! – I tym podobne, a czajnik gwizdże wściekle na kuchni, przez wszystkich zapomniany.

Podczas gdy Hettie ciska pioruny, Elroy na bok Masona odciąga i fajkę nabitą tytunem wirgińskim mu podaje.

– Ta praca w Ameryce... Znów gwiazdy będziesz uważał?

– Chcą tam granic, na setki mil długich i tak prostych, jak to tylko możebne. By tak się stało, ktoś długość i szerokość po gwiazdach rachować musi.

– I jakiś czas cię nie będzie, jak wnoszę.

– Nie pragnęłem nigdy, by dla ciebie czy Hester ciężarem moi malcy byli. Widzę, iż biedna Annie dzień i noc się krząta. Chryste, tak wyrosli, nie znam ich wcale.

– A kiedy znów ich zobaczysz? Za parę lat znów? Karolu, są dla mnie niczym rodzeni, bowiem w tym domu wszyscy z tego samego garnka tę samą owsiankę dostają. Ty dłużej za morzem niżli tu bawisz, my zaś wziąć ich bylibyśmy radzi. Starczy tu podpis...

¹ Thomas Pelham, książę Newcastle, premier Wielkiej Brytanii w latach 1754–1756 i 1757–1762, brat Henry'ego Pelhama, premiera w latach 1743–1754.

- Boże broń! Nigdy!
- Tedy przyjdzie ci inną cenę zapłacić, czego uczynić możesz nie być skory. Mason wie z grubsza, o co chodzi, i czeka skamieniały.
- Gdy pełnoletność osiągną, obaj u Ojca twego w młynie ostaną czeladnikami podług pospolitej, siedmioletniej umowy. Do tego czasu będzie zwracał nam za ich utrzymanie, a zaprawdę, przyda nam się to wsparcie, Karolu.
- Czemuż to z jego ust tego nie słyszę?
- Jam jest w tej kwestii Ojca twego plenipotentem.
- Ty? Do palestry dołączyłeś?
- Nie, atoli każdemu od czasu do czasu przedstawicielstwa trzeba. Jeśli do Ameryki zawitasz, mniemam, iż wciąż wysłuchiwać¹ o tym będziesz.

Uroczy dylemat. Tymczasem dalsi i bliżsi krewniacy ze wszystkich stron nawiedzają go dzień cały, niczym Salomon nieomylni, celujący w niego palcami, wymachujący pięściami, potrząsający laskami, każdy miary wykładając, dla których ostać w Sapperton winien, jeden po drugim przypominając Masonowi, czemuż to dwa lata temu rad był to wszystko opuścić. Wówczas, rzecz jasna, był też w żałobie. Lecz sporo czasu już upłynęło i brak *force majeure*, dzięki której wówczas, oszołomieni, jak jeden mąż zgodę wyrazili – za tę samą przysługę jest teraz cena.

Chłopcy, na nogach od świtu, ledwie teraz powłócząc nogami, podchodzą, by na dobranoc go ucałować, jakoby nie wyjeżdżał nigdy i co wiecór tak czynili. Jak zawsze zadziwia go ich ciałek żywość, niemożność gestów i uczuć skrywania, czystość serc, co jeszcze nieprawości nie poznały – jeno ktoś twardszy od Masona mógłby w podobnej chwili ze łzami sentymentu nie walczyć. Krewni się przypatrują, różnorakie strojąc miny, uśmiechając się złośliwie lub udając, iż nic nie widzieli, wszyscy zaś wspominają, z jakim trudem, osobliwie przy Doktorze Isaacu, choćby dotknąć swych synów mu przychodzi.

- Lękam się wciąż, iż mię odtrąca. – W kuchni, siedząc przy kawie, swej młodszej siostrze się zwierza, gdy malcy już spać poszli. – Kto by się nie lękał? Willy mię nie pamięta, Dok zbyt mały... a co im Hester o Ojcu wygadawała?

- Iż wkrótce do domu wrócisz – Anna powiada. – Iż jesteś daleko z rozkazu Króla, lecz wkrótce znów będziesz przy nich.

- Mówiła tak, sfrymarczywszy ich u dziadka.

- Cóż nam innego pozostaje?

Musi z Ojcem się o tym rozmówić. Mam trzydzieści cztery lata, rzecze sobie, jadąc doń konno niczym za trumną w kondukcje. Skąd to drzenie? Cóżże zrobić mi w sile, bochenkiem czerstwym przyłożyć? A może Elroy zmyśla jeno, jakowąś większą knując intrygę, licząc na to, iż łgarstw jego sprawdzić nie sposób.

- Nie, nie. To nie tak. – Ojciec, iż sprawę wyłuszcza, udaje. – Rzekłem mu, iż skoro i tak po części na nich łożę, gdy ojciec ich na wyspach egzotycznych bawi, najmniej winienem dostać w zamian do ich usług prawo. Pójdą do mnie na służbę, gdy będą dość duzi. Młody Elroy na mych żartach poznać się nie umie.

- Zatem ty...

- Łożyłeś? Rzecz jasna, iż łożyłem. Kiedyż to tego nie robię? Nikt w rodzinie pieńędzy nie ma, co ode mnie nie pochodzą. To do mnie, prędzej czy później, każdy się zgłasza.

¹ Nawiązanie do hasła *No taxation without representation* popularnego w koloniach amerykańskich, gdzie musiano płacić koronie wysokie podatki, nie posiadając własnych przedstawicieli w brytyjskim parlamencie – kwestia ta w dużej mierze przyczyniła się do wszczęcia walki o niepodległość.

- To na myśli miałem, czy żartowałeś.

Uśmiech jego poddaje: „Wkrótce nie będzie mi dane już słyszeć ani jednego twojego słowa i wówczas rzec będę mógł, iż nareszcie z twych szponów się wyrwałem. Wśród was, lecz nie jednym z was”.

- Skądże się dowiedział o tym, iż mię do Ameryki posyłają?

- Przed piekarzem nic się nie ukryje.

- W Londynie jeszcze nie wiedzą.

- Wiedziałem, gdy doszło mych uszu, iż się twemu opiekunowi zmarło.

Wzajemnie się przekrzykują, jakoby ponad szumem Wiatru Czasu.

- Co ma jedno do drugiego, nie widzę.

- Wiem. Czy pomnisz, jak cię przed Samem Peachem ostrzegałem?

- Rzekłeś mi, iż nie jest mym przyjacielem.

- I czy się nim okazał, gdy zajechałeś tam z wizytą? Jakże cię ów przyjaciel potraktował?

Rzecz jasna, doszły Ojca słuchy, iż go oddalono. Z tych miar jeno na audiencję przystał.

- Napawasz się teraz? – pyta Mason cicho. – Przednio się napawać tym podobna. Cóż za triumf, nic dziwnego, żem tak skończył.

Starszy Mason uśmiecha się, ziejąc chłodem.

- Jesteś głupcem – woła. – Czy wyjedziesz, czy ostaniesz, w końcu obu dostanę. Prędzej czy później każdy z rodziny do mnie trafi. Czy do pracy się tu zabrać miałeś dziś zamiar?

Choć nie pierwszy raz tak Masona zwymyślano, stwierdza, iż czerstwym bochnem łupnia dostać serdeczniejsze by było.

Po prawdzie Karolowi seniorowi daleko do owego ogra czy trolla, którego w nim syn widzi – człkiem jest melancholijnym i uduchowionym. Wierzy, iż chleb żywym jest stworzeniem – iż drożdżowe żyjątko w jedno, wołą obdarzone, jednoczyć się potrafią, iż każdym bochenkiem taki porządek rządzi, a skórka, na ten przykład, za skórę czy pancerz służy – wewnątrz, drobne załamki złożoność olbrzymią sobą przedstawiają, ich blade płazy, na pozór gładkie, powiększone lupą okazują się składać z jeszcze drobniejszych banieczek, a i te z podobnych i tak bez końca, aż po granice niewidzialności. Bochenek, ów punkt zbieżności niezbędny na każdym brytyjskim stole, solidny i czterofuntowy, jest zatem w przeważającej mierze próżnią, jak i dusza.

- Poczekaj tylko, aż ciasto będziesz mieć w rękach, Karolku – powiadał, gdy jeszcze dane im było bez powściągliwości rozmawiać – i poczuj, jakie jest ciepłe, niczym człowiecze ciało, i jak ciepło oddaje. A gdy odłożysz bochenek w miejsce ciemne i ciche, urośnie.

- Czy jest żywy? – Młody Mason nie życzył był sobie zapytać.

- Tak. – Ciszka. – Masz ochotę spróbować nieco wyrabiania?

Znużony raczej niżli cierpliwy, spodziewał się, iż chłopiec odmówi. Lecz, jakoby wizją cielesności tak zauroczony, iż musiał dłonie nurzać w ciepłej masie, młody Mason przy ojcowskich piecach pracować począł. Poranne ciemności wypełniało dalekie kogucie wołanie, co echem o kamienne mury miasta się odbijało. Stajenni i dziewczki kuchenne na klepiskach się zwijali, konie poruszone, podróżni w objęciach Morfeusza, żony już nie – młody Mason trzymał, iż świt na ulicy widzi, lecz ten nie dotarł jeszcze całkiem do doliny. Ojciec krzątał się u jego boku w dwu latarni świetle, płynnym, przez lata mącznego pyłu zmiękczonego, co wżarł się w szybki. Raz po raz zerkał bacznie na syna, lecz i tak wiedział dobrze, iż grzdyl rad byłby być gdzie

indziej. W kolejnych miesiącach o powinnościach Karolkowi prawili, a ten spełniał posłusznie rozkazy, choć, co młynarz miarkował, do czegoś innego go ciągnęło, byle dalej od milczących bochenków i łoskotu żarnowych kamieni – do Londynu, do gwiazd, mórz, Indii.

– Zatem, Karolu, do dzieła – zwykła wołać jego matka, Anne Damsel, z jakowegoś miejsca niewidocznego.

– Do mnie mówisz? – Piekarz dalej wyrabiał, miary nie zmieniając. – Czy do naszego gwiazdowego ślepoka? – Wzgardą przesycał swe słowa.

Mason, z dłońmi w cieście, spoglądał na Ojca otwarcie. Ręce go bolały – blada, rojna masa żywo opór stawiała. Oto był głodnych wymysł, by zapchać gęby, gdy mięsa nie starczało, a i surogat Pańskiego ciała... Piekarska profesja lękiem młodzieńca napawała. Uczył się tyle, by wykonać mógł robotę, lecz gdy głębiej wglądać począł – owe wonie, ciasta tajemne nabrzmienie, drzwiczki pieca niczym te, co sakrament kryją, codzienny rytuał woni, fermentu, dramatu jakowegoś ukrytego jak na mszy – czy salwował się ucieczką ku porządkowi nieba, wierząc, iż bezpieczniejszy, nie tak życiem i śmiercią przesycony? Jeśli ciało Chrystusa w chleb się przemienić mogło, to co jeszcze? Czy nie wnikają w bochny duchy mniej mile widziane? Wczesnym, cichym rankiem, na osobności choćby i przez sekund kilka wśród białych, milczących szeregów, obezwładniała go upiorność chleba.

– Cóż ja zatem według ciebie porabiam, gdy w środku nocy w sklepienie się wpatruję?

– Stoi tam, jakoby wisząc, pod workiem mąki, a wisząc czeka, jakoby wierzył, iż Ojciec jego robotę przerwie i wda się w pogawędkę.

Piekarz brew unosi. Cokolwiek by to było, dojść w tym ładu mu nie sposób, ociąga się atoli, nie chcąc, by chłopak znów do szwargotania się zabrał. Czy to jego głowa? U Damselów, rzecz jasna, trafia się owa powolność w rozumowaniu w rodzinie – trafiała się od stuleci. Lecz jakże syn jego może nie pojmować należycie prawideł pracy? Czy nie wie nawet, iż czasem spać trzeba?

Po prawdzie, Mason cały czas drzemie, nieraz z surowym, wyrośniętym bochnem miast poduszki, z uchem żyjącą siecią komórek wypełnionym, co zdają się, tuż przed tym, jak się budzi – zaręcza, iż nie śnił – jakimś cudem, wprost w przewód jego słuchowy, mówić. Powiadają – Prześlij Ojcu od nas pozdrowienie.

– Co się nieraz mężczyznom przydarza – pragnie Ojciec rzec Karolowi – to to, iż dnia pewnego naraz pojmują, jak głęboko miłują swe dzieci, równie silnie jak i one swą miłość bezwarunkową dają, i pojmują też za tym idące kondycje straszne – i wnoszą, iż to nie do zniesienia i nie chcą nic z tego, ani odrobiny, i rejterują w strachu. Stąd te smutne sceny – osobliwie między ojcami i synami. Ojciec zbyt złęknioty, dziecko zbyt niewinne. Atoli, jeśli tylko przetrwa pierwszy bojaźni napływ, a Bóg daruje mu dość czasu na zadumę, znajdzie drogę... – Ma nadzieję, iż Karol zerknie nań i spyta: – Czy ty i ja dobrą drogą zmierzamy?

Wciąż się stara.

– Wszystko to jedno i to samo. Z pola do żaren, z żaren do pieca. Wszystko na chleb się składa. Krąg zatrudnień. Bez niego, czego wyrabiać i piec by nie było. – Macha ręką ku olbrzymim młyńskim kamieniom, co tłuką w milczeniu i majestacie. – Mielenie, wyrastanie, pieczenie, z każdą stacją coraz lżejsze, rośnie nie jeno w dzieży, lecz z samej ziemi, mielone na mąkę, niczym kamienie na pył, dalej wodę chłonące, powietrzem przez drożdże napełniane, w końcu w gorąc wstawiane, a wciąż przybiegające, widzisz, aż w ideał się zmieni. – Podnosi bochen i do twarzy przytula. Młody Mason mniema, iż zaraz się do jedzenia zabierze.

Miasteczka wokół Golden Valley¹ nie miały się wzajemnie w zbyt wielkim poważaniu – jakoby ligę tworzyły nie ku handlu wygodzie, jeno z miar zawistnych, jadowitych i mściwych. Żyjąc w Raju, rezolucję wzięli czyścić odgrywać, kędy napływające z nowych manufaktur fundusze zdały się nie utrzymać równowagi w złośliwości i ośmieszaniu, którą każdy trzymał, iż osiągnęli, lecz raczej wszystkim na powrót zachwiały. Kwestią pierwszej wagi było teraz ściśle wód rozłożenie – gdzie kanały poprowadzić, by koła w ruch wprawiały, a z nimi i warszaty²... było to tak, jakoby przed Sędzią Ostatecznym stanąć i odkryć, iż prawe i użyteczne życie, niewinność w zła czynieniu, czystość duszy, w o wiele mniejszym są poważaniu niżli to, czego On naprawdę od nas pragnie, czego nikt nie podejrzewał wcale, podobnie jak i tego, iż przyrodzeniem woda pędzona w dół wzniesienia, darmo przez to samo Bóstwo zesłanego, pęd swój rządowi tkackich warsztatów przekazać może, z których każdy, pod prostym nad wyraz kątem, tysiącami pasm przędzy obraca – ziemskim formom ledwie to podobne – oraz i tego, iż każda ze stacji owej przemiany w funtach, szylingach i pensach³ swój ekwiwalent znajdzie.

– Atoli, niektórzy ucieczką się salwować będą skorzy – do Gloucester, Londynu, Ameryki, wszędzie, byle z dala od tej kloaki wioskowych docinek. – Wreszcie i Karol potrzebę zgłosił, by swe przyszłe życie wieść poza granicami doliny. Rebeka wzrok w niego wbiła, enigmą mu będąc, Ewą w Raju lub Eurydyką w piekle – którą, dowiedzieć się miała poniewczasie... przez głowę historie starodawne mu przemykały. Jak mógł na to pozwolić, by swą historię mieć jej było dane? Jak mógł prostszej drogi nie wybrać i nie znaleźć dla niej jakiejś męskiej postaci, oszalałego z miłości poety, kuszonego niewiniątka? Czy winien był fajkę zapalić, wygodnie się usadowić, wziąć ją do ręki i na jednym posiedzeniu przeczytać od deski do deski? Czy tego pragnie płęć niewieścia? Kogóż mógł się poradzić?

Gdyby był do Ojca się udał, co już wówczas w zamętu nieznanających labiryntach głuchoty się chronił (choć całe życie na siebie krzyczeli), gdyby starszy z Karolów wreszcie nieco miłosierdzia okazał, kto wie, dokąd by zaszli. Miast tego, przyjmując, iż nie wolno mu kochać tego młodego człowieka tak, jak to niegdyś, w sekrecie, z bezrozumnym poddaństwem Karolka berbecia kochał, Ojciec wziąłby był syna pod ramię i wyprowadził z machin zgielku tam, gdzie krzyczeń mogli już wygodnie. Przy stawku byłiby stanęli, gdzie komarów brzęczą chmary i kaczkę chlupoczą... – Czy jej też piątej klepki nie staje? Żadna za ciebie nie wyjdzie, młody pacanie, chyba że defekt jakowyś straszny skrywa. Czego płęć niewieścia pragnie? Takiego, co na chleb z nawiązką zarobi, a nie jakiegoś gwiazdowego ślepoka, co dorosnąć odmawia.

– Jeśli owa w Greenwich posada...

– Sam Peach nie jest twym przyjacielem. Za każde staranie, które w twym imieniu czyni, będzie cena wyznaczona i może nie być ci w smak ją płacić, gdy godzina wybije.

Wszystko to, rzecz jasna, tryb przypuszczający – gdyby młody Mason był do Ojca się udał, podobnie może by się rozmowa była potoczyła.

¹ Dolina w Gloucestershire.

² Tak naprawdę tzw. ramę wodną wynaleziono dopiero w 1769 roku.

³ Do 1971 roku funt szterling równał się dwudziestu szylingom, a jeden szyling dwunastu pensom; ceny zapisywano trzema liczbami.

Znaleźli szczyt wzgórze zdatny i posilić się zasiedli. Mason, jak już była zmiarkowała, co rusz w dymami przesłoniętą dal spoglądał, poza obserwatorium i zakole rzeki, ku dokom wschodnioindyjskim.

– Czy marzą ci się dalekie Indie? – w końcu spytała. – Mnie tak. Pragnęłabym, aby dopłynąć tam było nam dane.

Właśnie zwierzyć miał się jej z tego, w rzeczy samej. Uradowała go okrutnie ta milcząca transgresja skutku i przyczyny. Na głos rzekł:

– Może się uda.

Twarz swą ku niemu zwróciła.

– Co porabiasz szóstego czerwca roku 1761?

Pełna niewinnego oczekiwania odparła:

– Och, będę musiała zerknąć do diariusza... Czy mię hen do Indii zapraszasz?

– Jeśli się nam poszczęści, to na Sumatrę.

– A jeśli nie?

– Nie wiem. Łąki Hounslow¹?

– Pytałam raczej, czy byś sam pojechał? Mię ostawił?

– Nie inaczej jak społem.

Przyglądała mu się bacznie. Coś innego miał na myśli, lecz co, tego rzec jej było nie sposób.

– Czy Indiamanem byśmy pożeglowali?

– Na drugi kraniec świata.

– Tak, i z powrotem. Jako nababowie?

– Niestety, moja Rebeko, nawet nie maleńcy. Choć, być może, odłożyć by nam się udało dość na tellurium obstalowanie, a zatrudnienie znaleźć, wystawiając je i w ruch wprawiając w salach otwartych dla ogółu wzdłuż dyliżansów szlaków.

– Nie miałbyś już tej posady? Asystenta astronomskiego, czy co to tam.

– Praca musi zostać wykonana – rzekł jej. – Tu, na ziemi, wciąż z Francją gonitwa trwa zażarta, a tam w górze, ponad czasem, wszystko w ruchu, a żaden wzór się już nigdy nie powtórzy... Ktoś w Greenwich musi każdej zdatnej nocy dach przed majestatem otworzyć i znów wrócić do bezlitosnego okularu, obserwacje notować. Jeśli nie ja, ktoś inny.

– Trudno mi uwierzyć, iż doktor Bradley nie przyjąłby cię z powrotem.

– Wiesz, jak się miewa i jak wiek jego bezlitosny. Gdy wrócimy, może nie być do kogo zwrócić się o wsparcie.

– W twych słowach, najdroższy, polityka pobrzmiwa. Mniemałam, iż ty i tobie podobni, gwiazdy uważając, wyżej myślą sięgacie.

– Ech! Niestety, nie do końca. I astronomii sięgają brudne Pelhamistów intrygi, jak każdej innej w tym królestwie profesji. Jesteśmy na łasce ich zonglerki urzędami, tak samo jak i byle dworski prostak.

– Cóż za zawód przykry. Nie było mi to wiadome.

Jemu także.

– Tak czy siak, pocałuj.

– Nigdy jeszcze nie całowała... dworskiego intryganta.

– Rozegraj partię z rozważą, a trafi ci się to, co specjałem z Newcastle wołamy.

– Hm... I malajskiego się nauczę, hinduskiego, chińskiego także. Będę niczym jedna z owych gadających papug. Och, Smutasku, już teraz trzymasz, iż papłę zbyt dużo, lecz na wschód podróżując, ni chwili spoczynku twe cierpliwe uszy nie będą

¹ Zielone tereny w zachodnim Londynie.

miały, a ty, nieszczęśniku, znosić to będziesz musiał, choć szczęście masz wszak, iż mym życzeniem lekcje gry na dudach nie były...

Jakoby owa gotyckość wieku średniego u Masona była jeno resztką, mętą i skwaśniałą, jakowejś jego wcześniejszej i nadziei pełniejszej persony, opowiada on Dixonowi, jak pewnego wieczoru, niedługo przed przesileniem, jeszcze gdy się o jej rękę starał, rezolucję wzięli na południe ruszyć, Stonehenge w świetle Miesiąca obaczyć. Ona wygodnie w damskim siodle, te ręce pełne wyrazu, wiatr ich owiewał, ciarki mu po plecach przechodziły i bolały palce. Wjechali na starożytny szlak walijski do pędzenia bydła, Calfway zwany, co z Bisley biegł do Chalford i dalej, drugim doliny krajem, ku równinie Salisbury – dzień, noc, u żywopłotów kochanie, sen, dzień kolejny – na miejsce zajechali na kilka godzin przed zachodem słońca w wilię przesilenia. W ekscytacji, przybliżyła się do jego boku.

– Charlie. Bardzo to stare, prawda? Cóż to takiego?

– Używali tego miejsca pradawni astronomowie.

– Zbyt jest mi znajome. Sensacji jakowejś doznaję... Znam ci ja to miejsce, a ono mię zna. Czy to podobne, iż to nasi przodkowie? Choćby i wieki temu, w twej lub mej rodzinie?

– Ach, młynarzami i piekarzami jesteście od stuleci. Atoli może ktoś u ciebie.

– Po prawdzie mieliśmy krewnych w tej okolicy.

– Zatem zawierz temu. Jeśli owa głazów masa twemu sercu bliska, musiało niegdyś tu wokół wrzeć od zatrudnienia, a i przez lat wiele jakowyś krewniacy twoi jak nic przy tym robili... lecz, dobry Boże, ależ to będą teraz mleć ozorami od Stroud po Bisley – „Panie, zlituj się nad jego duszą, ożenił się biedak z druidką!”

Chłód wnet zajął miejsce komitywy, gdy posłyszała owo słowo, które ostatnimi czasy tak często i w jej myślach – częściej niżli na ustach – bawiło i przez chwilę stała zmieszana. Pstryknął palcami.

– Ach, dobry Boże, wszak jesteś druidką, czyż nie? Niezręczne to nad wyraz z mej strony, lecz skąd wiedzieć miałem, twa druidyczność się raczej w oczy nie rzuca – nie to, żebym roztrząsał dogłębnie twą wiarę czy jakoweś... A zatem! Druidka! No, no – czy wciąż, hm, wkładacie ludzi w owe wiklinowe klatki, które podpalacie? Ha? A może i waszej wiary reformacja dotknęła? – Uśmiechał się przy tym przyjaźnie, jakoby czekając odpowiedzi.

O dziwo, na wybuch radosnego śmiechu sobie pozwoliwszy, dłoń w pięść zwinęła i z wiadomym zamysłem do ust jego przybliżyła powoli.

– A w Sapperton powiadać będą: „Panie, zlituj się nad jej duszą, za durnia się biedaczka wydała”.

A gdy po raz pierwszy do obserwatorium się wspięli, dzieliła go raz kolejny płazem dłoni po czubku peruki.

– Druidzi! Też coś! O druidów masz czelność mię wypytywać!

– Nie w smak ci, ha? – Stał z pudłami i torbami, od wspinaczki już obolały, atoli świadom, iż takie właśnie przedkładał nad inne nowej swej posady powitanie, bezradnie obarczony, pod serdecznym ostrzałem tej przystojnej panny, tej jedynej.

– Spójrz tylko na to. Dziwaczne, czyż nie? Czy do jednego z owych złowrogich zamczysk mię prowadzisz? Ach, znam ja je z lektury – rytuały tajemne, postacie w pelerynach, zakapturzone. Cieleśne rozpasanie? Tortury? Mnisi i zakonnice? Ach, Charlie, cóż za koncept.

– Hola, nigdy nie trzymałem... co proszę, o czymże czytałaś?

– A i noc się zbliża. – Wczesną sowę posłyszeli. – A cóż to w tamtej stronie?

– Studnia pradawna, cóż, wiekiem Stonehenge równa. Flamsteed jej do obserwacji za dnia używał. Pokażę ci jutro, jeśli będzie mi dane.

A jakież to spojrzenia będzie ona z Susanną wymieniać na obserwatorium po-dwórcu, przez wicher, co wszelkie słowa unosi? Od zerowego południka światowego kroków kilka, młoda pani u swych drzwi, niżej urodzona żona czarnoksięskiego cze-ladnika, z głową z grzeczności pochyloną, lecz ciekawością zdjęta, zerkając... Kiedy Rebeka podejrzewać pocznie, iż jest tu, by męża zapewnić dobre sprawowanie?

Wymarzyć dla niej pragnie zmartwychwstanie, nic gotyckiego ni biblijnego na-wet – raczej wyniesienie dla oka miłe. Pewnego rzeńskiego poranka, gdy święty Ke-nelm słońcem będzie zalany, zawirują wśród rozkołysanego dzikiego kwiecica motyle i wszystko w dół opadnie w upiornym tumanie, a ona wstanie z pielęgowanego przed stojącym nagrobkiem ziemi skrawka i ponad dolinę się wzniesie, w wiatr – kształt Sapperton w skończonej czystości u jej stóp zamajaczy, a za nią linia wzgórz chłodna, jakoby wryta, co winna była z dala ich od Oksfordu trzymać, i Bradleyów, i wszystkiego, co później nadeszło.

Często się Mason upomina, by Rebeki oblicza w malców bużkach w skupieniu nie szukać. Nie w smak im to i krzywią się. W dni planowanej u nich wizyty w lustro się wpatruje, w pamięci fizjonomię własną ściśle odnotowując, na tyle, by z chłopięcych odsiać moc swe rysy, a ostawić, jeśli sztuczka się powiedzie, jeno te zmarłej żony, twarz drogą i żywą – choć w połowie rozmytą, jak zgaduje. Atoli, gdy zbliża się pora spotkania, miarkuje, iż swego wyglądu nie pamięta. I tak oto nie ma ratunku, twa-rze ich jeno do nich należą – i chwilą władają.

– Czy będą tam dzicy? – William pyta. – Czy lękał się będziesz?

– Tak – i może.

– Czy będziesz miał strzelbę?

– Będę miał teleskop.

– Może mniemać będą, iż to strzelba.

– Jedziesz tam, dokąd Mama? – to Doktora Isaaca pytanie.

„Jeszcze nie teraz”, Mason niemal odpowie.

– Nie wiem. – Podnosi brzdąca, do góry nogami go obraca i za stopy trzyma. – Ha, i co teraz?

– Ja też! – Will woła.

Każdego jedną ręką.

– Najmniej tak silny będę być musiał w Ameryce.

Zawsze, gdy się żegnają, udaje, iż czeka ich jeszcze jedna najmniej wizyta. Na odjeżdżającego patrzą, w drzwiach niżli w jego ramionach mniejsi, a gdy droga skrę-ca, ręka w rękę zmykają.

Londyn jest odmieniony. Mason nie tak tu mile widziany, jak, co teraz miarkuje, tego zczył sobie. Gdzie spojrzy, kryją się obmierzłe pamiątki jego w mieście bytno-ści – stacja za stacją na drodze ku melancholii.

Mason rajfurzył dla Maskelyne'a, oto grzech jego, oto, o czym szeptać poczynają, jeszcze nim jego stopa, zwlekając, dywan foyer opuści – nie tylko na misterne uwie-dzenie sopranistki w środku przystał, lecz i komicznego basu przy drzwiach. Wie, jak się sprawy mają. Atoli jakże też wiedzieć może – czyż nie jest jeno wiejskim prostakiem? A oto przebiegły matematyk z Cambridge się zbliża. Poniewczasie pojął Ma-son jego gierki i nim się obejrzał, już go do Ameryki posyłają, gdzie nikomu na dro-dze stanąć nie może – uzurpator tymczasem w domu ostanie, by wszelkie możebne interesa dobić.

Tak czy siak, tak by brzmiała przypowieść o tym – a i kazań niechybnie się pojawi o sprawie co niemiara. Pielgrzym, jak długa i kręta nie byłaby przed nim droga, musi wciąż mieć przed oczami owo święte miejsce, do którego, wedle wiary swej przykazań, zmierza niczym żołnierz z amerykańskich ostepów. Choć dzicz ogarnąć się myślą nie daje i w forty uboga, on wciąż brzemień powinności czuje, którą honor nakazuje wypełniać. Masonowi, co nie wyrósł jeszcze do końca z nadziei w kwestii miejsc, których może już i nie ma, a i dość się nie broni przed byciem spychanym w czyjeś przyszłe zamysły, dane zatem jeno najdalsze rubieże, krąg wokół Miasta Ziemińskiego tworzące – w jego czasów sercu stojącej stolicy. Od jej splendorów odpędzony nie jest, lecz nikt go tu prosił nie będzie. Z tych miar każde jego z Maskelyne'em spotkanie ingrediencję publiczną temu przydaje, czego na osobności ścierpieć już niepodobna.

Pokuta – Mason wyrokuje. Spotykają się w Londynie latem roku 1763, w pokojach Muna Maskelyne'a koło New Bond Street. Mason na wieści o swym w Ameryce zatrudnieniu czeka, a Nevil Maskelyne lada dzień na Barbados ma wypłynąć, przeprowadzać z kłopotliwym czasomierzem imć Harrisona próby. Sławetny młody Lalande, co niedawno (w roku 1762) miejsce J.N. Delisle'a w katedrze astronomii College de France zajął, także w mieście bawi, by obaczyć nad owym chronometrem badania, a i ma w Mitrze wieczerać.

– Tyle lat, co ja, sobie teraz liczy – Maskelyne powiada. – W obserwatorium paryskim astronomicznym był adiunktem przed dwudziestą pierwszą wiosną życia. Ty, przeciwnie, lat miałeś – zda się, dwadzieścia osiem, czyż nie – gdy u Bradleya przyjąłeś posadę?

– A jeszcze, przy tym, sześć lat starszym jestem od niego – Mason burczy. – Daje mu to, ilu... trzynastu, czternastu lat przewagę? Zaprawdę, lepiej weźmy się do roboty. Patrz tylko, znów o Lalandzie nasza rozmowa.

– Jak na Francuza, aż tak trudny nie jest. W rzeczy samej, zda się, iż wciąż mię darzy, choć z jakich miar, przedstawić mi sobie nie sposób...

Mason replikę rzucić winien: Albowiem zbyt jest młody, by człowiecze osądzać serca. Lecz miast tego krzywi twarz w polubownym grymasie.

– Ha! Oto i on!

– Nevil – *Cher Maître!* – Rwą się sobie do policzków.

W Masonie wnet podejrzenie się budzi, iż Maskelyne najął jakowegoś aktora, do tego wędrownego komedianta bez fachowego obycia, by wcielił się w słynnego *philosophe* osobę.

– Doktor Bradley najjaśniejszą był gwiazdą naszej małej astronomicznej konstelacji. – Francuz, na pozór szczerzy, Masona wita. – Wielbiony był przez mego mentora Lemonniera.

Uszu ich dobiega brzdęk i okrzyk donośny. Jakowaś niewiasta piszczy strachem zdjeta, słyhać oddalające się kroki.

– A tak, poznasz Muna – jego brat rzecze szeptem duchownego.

Wchodzi właśnie z tupotem.

– Dopierom co z Bath zajechał, Nevilu, trzeba mi było przedniej drzemki dla oczu. Spotkałem tego tam Herschla w Ośmiobocznej Kaplicy¹, twój sort jegomości, jak wnoszę, też astrolog, a i organista przeklęcie porażająco utalentowany, bez dwu zdań. Du-du dum-du, dum-du dum-du dum-du – pojmujesz, czyż nie? Witaj, La-

¹ Kaplica ta znajduje się w Bath; Herschel, nie tylko astronom, ale i muzyk, pracował tam jako organista, będąc centralną postacią życia muzycznego tego elitarnego kurortu.

la, nadal w mieście bawisz? – A któż to? Wygląda na to, iż zapomniał, gdzie się misa z ponczem podziała. Żarty to, żarty, waćpanie. Zobaczmy, co Nevil dał waści do picia? Ach! – Udaje, iż od Masona kubka odskakuje zląkniony. – Chłopczyna chciał do brze, rzecz jasna, lecz pojęcia o gościnności nie ma. Chodź waść za mną.

– Ja pójdę – J.J. Lalande rzecze. – Na Drury Lane¹ się wybieram „Florizela i Perditę” obaczyć.

– I Florizela, i Perditę, he? – Mun głową kręci w podziwie. – A niech mię, wy Francuzi.

Nim się Mason obejrzeć zdoła, noc zapadła, a on sam po zaułkach City krąży wcześniej mu nieznanymi. Wachlarze fioletowych świateł, przez latarnie z matowego światła rzucane, objawiają milczące tłumy mężczyzn i kobiet dokądś śpieszących. Tupot zwawych kroków raz po raz dziwaczne krzyki przerywają. Gdy w strumień ciał wstępują, Mun zdaje się ścisnąć, co ich porywa, nieporuszony. Wkrótce znika i Mason sam musi odnaleźć powrotną drogę, choć jasne teraz nie jest, czy za sprawą niezbadanej jeszcze mocy, nie tyle przewieziony, ile przeniesiony już nie został na jakąś, gdzieś w Ameryce, przecnicę.

22

Ojciec Christopher Maire, o obliczu wcale nie bladym, czerni poza harcapiem w ubiorze skąpiący, ni żyłasty, ni krzepki nadprzyrodzenie, a w manierach przesadnej grzeczności czy przymilności wyzbyty, daleki jest temu, jak sobie każdy Anglik jezuitę przedstawia. Aliści przyzna, iż dawnymi czasy, podczas swych przygód w Italii z ojcem Boskowiczem, dalibóg, czas, co lepiej było duchowym zatrudnieniom poświęcić, przeznaczał na troskę o bardziej Loyoli godne prowadzenie i oblicze – i kłęska go spotkała. Nadal równie był jasnowłosy i wrzecionu podobny z postury, jak wówczas, gdy na ląd był zszedł włoski. Na panewce spaliły zamysły spędzenia z mowy północnego nalotu ni nie powiodła się próba w ową mroczną postać przemiany, co, jak się zdaje, lada chwila sztylet spod sutanny dobędzie – w *El Auténtico*.

Maire oczekuje Dixona u Emersona, w bawialni od frontu. Za oknami, od furmanek z i ku Hurworth ciągnących dochodzi stukot, skrzypnięcia i pogwizdywania. Dla tych, których szlak z Teeside przez pagórkowate wrzosowiska wiedzie, ostatnia to sposobność, by głos człowieczy posłyszeć przed długimi milami podróży i czekającymi ich u schyłku dnia wizytami, o których głośno się nie mówi, lecz wie dobrze, iż słabnące nad hałdami światło im sprzyja. A jeśli i temu księdzu choć kapka złowróźności się trafi, to niechybnie, podle owej północnej tradycji krwi i kości, ktoś na kształt Czarta Bezgłowego, co ponoć gościniec między Hurworth a Neasham nawiedza, a którego wszyscy byli sąsiedzi zgodnie powiadali, iż jegomościem zdał się być niegdyś jak dąb zdrowym.

Z talerzem w dłoni, na którym tuż koło wołowego ogona wiele posiłków temu po raz pierwszy podanego, spoczywają resztki solonego, lekko wędzonego śledzia i czegoś, co może dawniej *haggis* było. Emerson do pokoju wpada i żywotności nadprzyrodzenie pełnym głosem woła: – Spoczniście, proszę!

Jako czarnoksiężnika go sobie przedstawić większości kłopotu nie sprawia. Zaciekawienie poprzedzającymi dwunaste stulecie wiekami niczym miazmaty nad

¹ Na Drury Lane w Londynie mieści się założony w 1663 roku Theatre Royal.

Durham wisi, jakoby z pokładów węglowych się unosiło, wiekiem smoczym wizytom równe – łuską okryci goście do znajomego odoru siarki i spalenizny ciągnęli – do tego, w każdej karczmie duchy tu bawią, a po wrzosowiskach grasują ludożercy niepokonani. Zewsząd ściągają do Huworth ludziska w potrzebie, bowiem Emerson zawsze tam gotowy z gwiazd wróżbę wyrachować, eliksir uwarzyć czy skradzioną sakiewkę odnaleźć. Nie wszystkie jego popisy atoli tak życzliwe – raz, w złości, trzymał chłopaka sąsiadów dzień niemal cały na drzewie, tak iż ów ni drgnąć nie mógł, a co dopiero zejść na ziemię, tej samej metody przy tym używając, której doktor Mesmer później stał się propagatorem.

– Paryż wielce teraz w tym rozkochany – kuzyn DePugh dodaje, gdy Ojciec jego akurat na chwilę w innym pokoju przebywa. – W samej rzeczy i ja mesmeryzacji się poddałem.

– Doprawdy? – Ethelmer dogryza wśród pomruków niedowierzania ogółu. – Jak mniemam, z rąk samego Mesmera?

– Tak, a doktor M. był też tak miły, iż zechciał z paroma z nas wiedzą swą się podzielić.

– Wszystkim wszak wiadome, iż Mesmer sto ludwików sobie życzy – Renia woła. – Toż to funtów brytyjskich pięć i osiemdziesiąt! Skąd to twój biedny ojciec podobne sumy dostaje?

– Ach, jako że do nauki skorych było nas tak wielu, Franz nam cenę pewną wyznaczył, a co wieczór jednej pinty sobie odmawiając, przez szmat czasu nieco od wielkiego postu dłuższy, wkrótce w mych funduszach dziurę załatałem. Po prawdzie, nie pomnę, czym Tatkowi tę historię wspominał, i byłbym zobowiązany, droga cioteczko, hm, to jest...

– DePugh, zawsze się donosicielstwem brzydę.

– Dość biegly się stałem w hipnotycznym rzemiośle. Zaiste, deliberuję, czy w Ameryce nie otworzyć praktyki.

– Nowy Jork byłby w sam raz – radzi Tenia. – Wszystko tam mają. Lecz jeśli zysku czekasz, od tego miasta trzymaj się kuzynie z daleka.

– Teniu! – jej Ojciec, niby to urażony, woła. – Każdy, komu nie brak ochoty, może sił swych tu próbować. Jak to imć Tox w „Rzeczy o Pensylwanii” wyłożył, księga dwudziesta pierwsza lub dwudziesta druga:

*Człek młody, co polepszyć swój los zamierza,
Do najbliższego źródła złotych monet zmierza,
A niewiele z nich bogatszych jest w ów towar
Niżli Filadelfia, znad Schuylkill królowa!*

– Zachód ci ja prędzej na myśli miałem – DePugh powiada. – Niewiele lub wcale nie wziąć medycznego sprzętu, coby nie obciążać się nadmiernie w swym parciu, zioła niezbędne w tamtejszej dżicyz ponoc wszędzie znaleźć można, a moce metody już od dawną indiańskim znachorom znane. Człek obrotny sposobność zarobku znajdzie wśród białej, jak i czerwonoskórej klienteli.

– Bardziej podobne – jego stryj poddaje – iż będący już tam doktorowie z miasta cię wykurzą, jeśli pierwej nie zabiją, albowiem konkurentów sobie nie życzą.

– Wszak to Ameryka, stryju! Jej esencją w szranki stawanie!

– Nikt tu w szranki stawać nie pragnie – rzecze Ives LeSpark, powróciwszy, głową kręcąc z powagą. – Wszyscy jeno radzi cenę przez siebie daną utrzymać, bez przy-

danego przemysłu czy strapienia, które zawsze owe przeklęte, nowe interesa za sobą pociągają.

– Więcej pracy dla ciebie, stryjasku – Ethelmer mniema.

– Medykom jesteśmy podobni, nigdy nam nie zbywa zajęcia, jako iż leczymy moralności niedomagania – jurysta odpowiada. – A i równie nie jesteśmy skorzy ku cudzym cenom dążyć – stąd i gorliwość, z jaką monopolu bronimy.

– Próżniactwa to odmiana – Wielebny zauważa – co jeno brutalność na długo zachowuje, prędko zgłodzonego, jeśli się go pierwej nie porzuci.

– Dyrzymały – wiele głosów naraz się podnosi.

– Wygląda na to, iż broń mi potrzebna będzie – DePugh wyrokuje.

– Wiesz zatem, do którego stryja się zwrócić – cioteczka Renia przypomina.

– I już cięższy twój ładunek – dorzuca swe trzy grosze Tenia. – Winno się nie być zbyt obciążonym.

– Franz rzekł, iż wziąć nam jeno wejrzenie zdadne trzeba.

– Hm, rzućmy okiem.

– Miej się na baczności, kuzynko...

– To magnetyk – Ethelmer powiada.

Niemal całe Hurworth (Wielebny tymczasem ciągnie) trzyma, iż William Emerson magią się para. Pasterze o lotach donoszą, pospolicie o zmroku, procesjach po nieboskłonie ciągnących cieni, co jeno podopiecznymi Emersona być mogą, pod gołym niebem wiedzę zgłębiającymi, albowiem mistrz ich latać uczy. Gdy słońce ku zachodowi się chyli, każdą najdrobniejszą marszczkę aksamitu ziemi jako cień powiększając, śladów ruin rzymskich i im wcześniejszych z wysokości wypatrują. Posobnie, w gasnącym świetle, podrywają się do lotu owi pilni uczniowie, z czapkami mocno na głowy naciągniętymi, a w fałdach ich strojów igrają rdzawe promienie. Zbiwszy się w stadko nad wioską, nad wrzosowiskami ruszają, na południowy zachód spiesząc wzdłuż linii jeomantycznych, które im nauczyciel skazuje, ku stojącej w Bishop Auckland rezydencji palatyna, a tuż pod nimi, jak sierpem rzucił, migają posobnie przydrożne krzyże, iglice kaplic, święte źródła i głazy pradawne na sztorc osadzone – aż po rzekę, gdzie nad antycznym Vinovium¹ gromadka przystaje zmienić szyki. Emerson uczy ich ową linię czuć raczej, niżli wzrokiem śledzić, uczy pojąć ściśle sensację, jaka temu towarzyszy, gdy się zbyt z kursu ku jej bakburcie czy sterburcie zboczy. Moc jakowaś od niej na całej długości bije, wyczuwalna niczym dla igły magnetyzm Ziemi.

– To jest – Dixon lata później Masonowi wyzna, na pozór w każdym swym geście szczerzy – wiedziałem wówczas, iż owe szlaki czułem.

– A kościół w Bisley – Mason wspomina – i te wszystkie nieszczęścia, co bez końca na wioskę spadają – pomiary wadliwe, studnie kłętą obłożone, złośliwe figle, ceremonie przerwane, ciała podmienione... wieczne ogłupianie. Tyczące jego budowy legendy poddają, iż jeśli czort w niej palców nie maczał, to przynajmniej doglądał, pomóc gotowy. Na polu koło Chalford świątynia stanąć miała, lecz każdej nocy kamienie przenoszono, w prostej linii, w powietrzu, a nad wyraz chyżo, tam, gdzie teraz się znajduje. Można wziąć mapę i od kopca koło Great Badminton, co go Pieczarami Olbrzymia zwiemy, aż po długi kopiec koło Camp linię poprowadzić, a widać wówczas, iż Bisley ona przecina i mogła szlakiem być, wzdłuż którego kamienie przenoszono, bowiem kopce starożytne źródłem są tellurycznych mocy.

¹ Obecnie Binchester.

– Hm, cóż, nasze linie nigdy równie diabelskie nie były, a latanie nad nimi, w samej rzeczy, zupełnie przyjemne, o tak, zupełnie przyjemne, w samej rzeczy...

Nad Wearside, o zmierzchu, po odejściu światła słonecznego, co zbyt jaskrawe, by przy nim obaczyć wiele, a nim światło księżycowe się rozleje, odkrywające nowe widoki, w węglowym granacie bądź połykskliwej kości oddane – gdy, jak powiadają, zjawiają się w tych stronach także duchy – pod nimi, z wysokości do naukowych rozważań zdatnej, a przy tarczy rozżarzonej za horyzontem się kryjącej, wyłaniają się owe wczesnego średniowiecza mapy, rzymski palimpsest uparty, kontury samego Brigantum¹ dawne – coraz to wyraźniejsze na pastwisk i hałd płazie, w barwy wieczoru ubrane – w rozcieńczone czernie, zielen orzechową, arzikę, fernambuk, lak, sjenę przyrodzoną, brąz van Dyke’a i umbrę paloną. Tymczasem Emerson swemu stadku skazuje zarysy rzymskich łaźni, koszar i Mitrze świątyni poświęconych, krypt, w których sekrety nowicjuszom powierzano – niegdyś, dawno temu, w tajemnych trzewach Camp niewidocznych, dziś wydanych na pastwę ciekawości każdego.

– A nauka z tego taka oto płynie – „nie umierajcie” – Emerson rzecze.

– Rzymianie – ciągnie dalej na lekcji dnia następnego – zaabsorbowani byli sił podłe linii prostych kierowaniem, czy to w hydraulicce, wojsku czy w architekturze. Te jeomantyczne, im przynajmniej wiekiem równe, w pochodzeniu druidyczne może, choć iż mitraistyczne inni mawiają. Jakiemu kultowi zaszczyt nie przypadnie, proste, których moc pewną wielkość przekracza, mniejszym stają się pożytkiem czy nauką dla tych, co mieszkać wśród nich muszą, a są za to czytelne, gdyż nad wyraz foremne w rozłożeniu, dla bardziej odległych patrzaczy, jako że dają znać jasno o człowieczym tej planety zasiedleniu.

– Kto za mitraistycznym pochodzeniem, temu w sukurs fakt przychodzi, iż owego bóstwa wyznawcy podziemne świątynie przekładali, czy to w przyrodzeniu znalezione, czy też rąk przemysłu będące owocem. Tu, w Durham, wśród górników i plutonistów² wam podobnych, wiekiem młodych, trafiliby na miłe sercu siedlisko – w rzeczy samej, przypuśćmy, iż najwcześniejsze czarne złota pokłady przez mitraistycznych budowniczych odkryte zostały... obozem w Vinovii stanąwszy, zdatnej groty w czeluściach wyopatrując, szukając Ormuzda, Boga Światła, znaleźli raczej czerni zwartą, co światło kryje w sobie, nim jej się nie podpali... Ach, węgiel, materia to mistyczna. Wątpię, byście sami to zmiarkowali, zbytnio umorusaniem się nim zajęci, utyskujący, iż nad wyraz ciężki lub buszle liczący. Udawaliście, iż bryła, choć, po prawdzie, niczym ciepło czy światło, wciąż jest w ruchu. *E pur si muove*, jeśli wolicie.

Ruch pasją jest Emersona. Łowiąc ryby, po pas w Tees stoi, jej nurty kontemplując, wierząc, jak i Dixon pewnego dnia w moc Wear uwierzy, iż podagrę z jego nogi wyciągnie. Do głębszego roztrząsania cierpliwości mu braknie. W wirach jest rozmiłowany i jeśli czas ma, wpatrywać się w nie godzinami może – atoli gdy na papierze stoją, brzydzi się nimi i ich ku złemu celowi użyciu, a zatem nienawiścią darzy, dajmy na to, Eulera, i to najmniej tak głęboką, co wobec Newtona własne poważanie. Pierwsza książka, którą wydał, o pochodnych³ była. Wzrostem Dixonowi znacznie ustępuje. Obmyślił diagram żeglarski, na którym wiatry niczym siłę ciężenia się przedstawia, co nie pionowo, lecz równoległe do płazu globu działa – statek dla Emersona paradygmatem jest wszechświata. – Każda siła, co się tam udziela, swe odzwierciedlenie w szotach, sztagach, brasach, wantach i temu podobnych znajduje

¹ Obecnie Aldborough.

² Być może chodzi o zwolenników plutonizmu w geologii; plutoniści przeceniali wpływ magmy, neptuniści wody.

³ Ang. *fluxion*, nazwa ta kojarzy się z przepływem i fluktuacją.

– zbiór to prostych w przestrzeni, z których każda pod siebie danym kątem biegnie. Snadnie zmiarkować, czemu kapitanowie wariacji dostają – w owej rzeczywistości uproszczonej na bożą modłę wszechmocni...

Teleskop, pochodne, szalę częstokroć bezcelowego mnożenia, jaki za sobą logarytmów wynalezienie pociągnęło, wszystko to dla Emersona kroki posobne w podejściu do Boga niepodważalnym, jasność narastająca – ciężenie, bieg czasu, chyżość światła uchwycona zdają mu się bożymi przymiotami. Przyrównać to da się do zaznajamiania z jakimś potężnym członkiem arystokracji, nieobliczalnym, możebnie groźnym nawet. Co do Stwórcy władzy dzierżenia, Emerson nie wdaje się w spory, lecz wciąż go bulwersują w bacności przerwy, w zamyśle skazy, życia i siły trwonienie, o roztropności zapomnianie i zdrowego rozumu wyrokach – wpierv bulwersuje, potem oburza. Uczą nas – wierzymy – iż filozofów pcha ku studiom uwielbienie Stworzenia. Emersona napędza raczej gwałtowne rozżalenie.

Pod koniec nauki Dixon i jego towarzysze na pożegnalną pogawędkę z mentorem się zbierają.

– Twoja kolej, Jeremiaszu. Jakie twe przyszłe plany?

– Jeometria.

– Co, głupcze? Oślepnąć od wypatrywania? Przez błoto kłaść łańcuchy? Kolejne lamentacje przekłete do listy dodane – już cię widzę.

Dixon kręci głową i z szacunkiem się uśmiecha, atoli:

– Roboty teraz w Durham bez liku, panie, a popyt na ogradzania taki, iż niejednego prostego jeometrę już nababem ostawił. Starczy noc i z jednej pracy zapłata – albowiem rozważnie ulokowana...

– Nawet założywszy, iż wiesz, co „rozważnie” oznacza, nie jest owych skorych do wydawania fortuny na jeometrię tak wielu. Co się stanie, gdy wszystkich szlachciców obskoczysz?

– Robota jeno mnożyć się może, a to się grodzi, a to dzieli – dziś w Durham znajdzie coś dla siebie, jak nic, jeometrów setka.

Emerson długo się wpatruje, w co, nikt zmiarkować nie zdoła.

– Tobie i druhom twym ze szkolnej ławy – mruczy wreszcie – wszystkim wam znana ufnność, jaką astrologię darzę. Atoli, gdy na podobnie antyplutonową postawę natrafiam, wiara ma staję jak wryta, rozedrgana. Przypatrz się sobie – pod znakiem Lwa urodzony, przeznaczona mu zatem pogoda ducha, ambicja, władza w szerokim świecie – lecz cóż miast tego widzę? Oto człek osowiały i opieszały, bez krztyny żaru, w którym pasji tyle, co w szybu podporze, o marzeniach, co nie dalej sięgają, niżli by dla nadętych hodowców gorczyca z Tow Law położenie ozdobnych altanek ustalać! Którego jak na dłoni widocznym życia celem nic prócz pieniędzy gromadzenia, bez końca, a przy jak najmniejszym przemyśle. Powiedz mi, jakiz to znak urodziny, jeden jedyny, przyznać muszę, ci to poddaje?

– Byka – Dixon mamrocze, świadom, iż to w tego zwierza władaniu także Emerson na świat przyszedł, lecz nie pragnąc, by zdawał się swą wiedzą zbytnio ucieszony. – Nie myśl, iż i ja o tym nie pomyślałem, panie, lecz w księgach parafialnych szukałem i cóż, koniec lipca przy mnie stoi.

– Czy może coś w Ryb okolicy się u ciebie skrywa, o czym nie wiem? Gdyż znak ogradzania mamy... Lwi ogień we wnętrzu wciąż skrywany? Przebiegle? Tak, oto niechybnie odpowiedź.

– Czemuż zatem radzić, jak ty mi odkąd się znamy, iż ze znaczeniem ziemi me losy związane? Czemuż któremukolwiek z nas linie jeomantyczne skazywać i rzymskie drogi – prostymi niczym snop światła, jak je zwałęś.

- By odsiać tych, co spektakłem zbyt ukontentowani – Emerson powiada.
- Tych, którym dalszej odmówiłeś nauki, tyłu, iż dość, byśmy klubem się wołali – Dixon wylewa żale.
- Jeno latanie, Jeremiaszu, miałeś w głowie. A tu nieważne było latanie.
- Cóż zatem?
- Nie trap się. Mapy będziesz kreślił, dech w piersiach swą urodą zapierające, co poniekąd lotu sortem, a i ujmy nie przynosi.
- Nie tak to sobie przedstawiałem, lecz i tak dziękuję, rzecz mi chyba wolno, drogi Emersonie, skorośmy już sobie nie mistrzem i...
- Nie wolno. Nadal jestem ci panem. A idźże, psie łańcuchowy – czekają cię jakowegoś błazna nadobne rowy.

Nie tak wiele lat później, oto Dixon stoi w swego belfra bawialni, starając się nie zerkać na poczęstunek, którego nie tknąłby nawet, a miast tego przyglądając się milczącej między Emersonem a Maire'em wieści wymianie, dumając nad tym, który co drugiemu dłużny przy okazji narady tej zwołania, w której on sam zda je się być czymś pożądanym, a może i nagrodą.

- Do St. Omer jadę – ksiądz rzecze. – Bezlitosna tam dzieciarnia, której kompanii z własnej woli bym zaprawdę nie szukał.
- Czy to przez śluby posłuszeństwa? – Z wyraźną północną wymową dźwięki wydłuża, szyderczo niemal, jakoby wyśmiewał Maire'a daremne próby bycia jezuitą jak się patrzy. Maire wzdycha.

- Nigdyś wcześniej żadnego z nas nie spotkał na swej drodze?
- Gdzie twe maniery, Dixonie? „De Litteraria Expeditione et Tac Dalei” wszak studiowałeś. Okazuje trochę szacunku.

Dixon, który podle kwakerskiej mody kapelusz cały czas miał na głowie, ściąga go pospiesznie, a dość zgrabnie, mamrocząc:

- Panie, podziw, jakim twą linię poprzeczną darzę, równy jeno niektórym z uczuc mych wobec Newtona.

Blady uśmiech w zamian zyskuje.

- Przedstawić sobie umiem, jakeś ich o tym nauczał, Williamie – z Rzymu do Rimini marszruta, przez góry i równiny, konie w galopie, teleskopy – może też, znając cię, i kilku rozbójników. Jakże to mogło chłopcom do wyobraźni nie przemówić? Wnieniem sobie twe sztuczki notować.

- Próbowałem ci ją skreślić w siodle jedną, dwie linijki – Dixon powiada – i wyjść ze zdumienia nie mogę, słysząc, iż ojciec Boskowicz poemat o przygodach waszych spisał, relację z pierwszej ręki, gdy jechaliście jeszcze.

- W rzeczy samej, a manuskrypt równie schludny, co na dębowym biurku tworzone, w solidnym domu, z dala od morza. Wkrótce, jak mi mówiono, drukiem ma się ukazać w Londynie. Zsiadał też czasem z konia, bardziej przyziemnych doglądając zatrudnień, takich jak dwu stopni łuku południka po raz pierwszy w dziejach mierzenia, lecz... cóż, pozwól mi cofnąć się znad kraju grzechu otchłani i dodać jeno, iż *mio caro Ruggiero* chwałę i sławę dość, by cię to zadowoliło. Teraz, gdy w Londynie bawi, niech Bóg ma go w swej opiece.

Boskowicz dwa lata temu tu zawitał – w sekrecie, jak wielu przypuszczało – z zamysłem zapewnienia Brytyjczyków, iż Ragusa¹, port dla strategii ważny, nadal w trwającej wojnie z żadną ze stron nie zawrze przymierza. Tak się złożyło, iż to właśnie w tym dalmatyńskim mieście uczonego jezuita na świat przyszedł.

¹ Dawna nazwa Dubrownika.

– Cóż mu po Bogu – kpi Emerson – w Londynie, wśród nababów i filozofów? Poruszające dyplomatów mowy... kieliszek madery i fajeczka pod Gęsią i Rusztem, a karczma to znakomita... włączenie w poczet członków samego wielkiego Towarzystwa... Ach, wspaniała sprawa, o tak – atoli, cóż on tam teraz, Krzysiu, knuje?

Maire schyla głowę ulegle, jakoby na siłę z niego wyznanie wyciągano.

– Brat Ruggiero pragnie w Ameryce stopień wymierzyć.

– No, no, prosto z mostu.

– Długości czy szerokości? – Dixon pyta.

– Szerokości. Nie dalej w głąb lądu niżli konieczne.

Emerson parska.

– Nie z Rzymu do Rimini tym razem?

– Ułamek łuku już by go zadowolili.

– Odejdzie jak niepyszny. Jezuickiego filozofa król do brytyjskich kolonii nigdy nie wpuści. A jak by nie patrzeć, choćby i wasze pobudki jak iza przy tym czyste były, przebóg, jakie są pobudki wasze? Czemuż to Towarzystwo Jezusowe nagle, po trzy-nastu latach, na powrót stopnie mierzyć skore? Ciekaw jestem, jakże to wam więcej protestantów gnębić pomaga.

– Czyż nie wolno nam być choć krztynę tego ciekawym, jaki kształt ma i rozmiary planeta, na której żyjemy? – Maire bez mrugnienia odpowiada, niemal grzeczność swego gospodarza podważając.

– Cóż, każdy do tego ma prawo. Lecz czego wasz jeometra Boskowicz także pragnie, w rzeczy samej, na tyle otwarcie, by do czarnoziemem zatkanym uszu tutejszego filozofa to dotarło, to wielkiej liczby obserwatoriów jezuickich, jak się zdaje, tworzących jakoby siatkę na cały glob narzuconą. Mówiono mi, iż podobne te plany przygotowaniom, jakie przed przejściem Wenus poczyniono. A stąd rodzi się, rzecz jasna, pytanie – jak często podobnej siatki użyć będzie potrzeba? Wszelkie astronomiczne wydarzenia dość Ziemi bliskie, by ważne przy nich było, z jakiego punktu są uważane, bez wątpienia zbyt rzadko się trafiają, by równie kosztowny zamysł mógł się zwać rozsądnym. A z tych miar... – Niesławne „z tych miar” Emersona po temu służy, co Dixon w końcu zmiarkował, by uczniów zastraszyć i przekonać, iż jakowegoś logicznego ciągu niechybnie dostrzec nie zdołali. – ...rzec można, iż skrywana pobudka to ni mniej, ni więcej, tylko *Chin penetracja*. Reszta jeno mydlić ma oczy.

Maire, na twarzy cierpliwy, ramionami rusza.

– To wiek naszej banicji, Williamie. Nie ma dnia, by jezuitów z kolejnego królestwa Europy nie wydalono¹. Jeno Maria Teresa, niech ją Bóg błogosławi, występuje w naszej obronie. Może i prędeż z Zachodu wynieść się będziemy musieli, niżli w najgorszych snach każdy z nas to sobie przedstawia. Nawet ci, z którymi dzielimy swą wiarę, mają nas za obcych najemników. Stąd możebne miejsce schronienia rozważamy... – Dłonie na piersi krzyżuje. – Chiny?

Emerson w herbatę swą prycha.

– Ha! Co wam mniemać pozwala, iż Chińczycy bardziej was od Burbonów polubią?

– Jest to podobne. Nie są katolikami.

– A i trapić się byście wygnaniem czy wstrzymywaniem nie musieli, albowiem w Chinach raczej sobie przedkładają... – Tu Emerson dłonią się zamierza, jakoby głowę sobie toporem pragnął odrąbać. – Co nas, ludzi prostych, zachwytem jak i lękiem napawa – ciągnie – to to, iż jezuici, w swej dewocji nabożnie w niebiosa zapatrzeni,

¹ Przekłamanie historyczne, na razie usunięto ich tylko z Portugalii.

jakże ziemskim występkom się oddają. Wynalazki ich równie daleko w przyszłość cudośnie wychodzą, co w przeszłość litości nieznaną onych użycie. W oczach naszych zarówno są przybyszami ze stron dalekich, co dobro czynią, jak i sprzedajnymi zbrodniarzami, od których lepiej trzymać się z dala.

– Niech i tak będzie – ksiądz powiada – aliści, Jeremiaszu, masz wreszcie wybór, czy w domu pozostać wolisz, czy ruszać za kraju granice. Choć wiara wasza równości i pokoju naucza, żadnego jeszcze kwakra nie spotkałem, co do bitki nie byłby skory (patrzaj, Williamie, jak się rumieni), a jeśli w smak ci, chłopcze, walka i władza, u nas nigdy ci ich nie zbraknie. Wydzielają racje wina domowej roboty, lecz darmo, strój nie każdemu się podoba, lecz dam rwie oczy, a i przy wszystkich machinach nauczysz się posługi.

Za-
-tem
Przyjrzyj się
Jeszcze raz
Armii, co stworzyła księżę.
Dawno już
Wybrać nas
Winienś. Kurs na potęgę weeeż
I rusz w reeejs!
Wstań i otrzyj brodę,
Zmień swe życie młode.

Dla żołnierza Chrystusa
Przedni żołd przeznaczony,
Tu nikogo nie wzrusza
Dziatek brak oraz żony,
Heretyków bez liku,
Prawo mamy nosić broń –
Jeśli chcesz,
Pióro weź,
Podpis skreśl
Tu lub gdzieś,
Zostań bratem w T.J.¹
A ja skończę swą pieśń.

Atoli, niefortunny jest wers, który duchowny pod koniec przydaje – „Ciesz się celibatem – / T.J. zostań bratem”.

– Co? Bez chędożenia? – Gdy cichną ostatnie dzwonięcia jakowegoś akompaniamentu z innego świata rodem, Dixon nad miarę jest poruszony.

– Cóż, tak się składa, iż to nasze śluby czystości właśnie pozwalają nam wznieść się na podobne wyżyny.

– Tak się składa – Emerson mruczy – iż to one właśnie czynią was równie podłymi, bezlitosnymi i metodycznymi.

– Farmazoni! Lubisz splendory, wojaże, podniety? Sposobność mieć pragniesz wglądu w sprawę, co cię może od dawna frapują? To, iż się tobie przy przejściu We-

¹ Towarzystwo Jezusowe, oficjalna nazwa zakonu jezuitów.

nus powiodło, znakiem danym jest od Boga, świadectwem, iż popiera On nasze plany, z którymi teraz wiąże się owo granic w Ameryce wymierzanie. Stworzony jesteś do tej posady – jeometra praktykujący, w astronomii doświadczony. O poparciu Calverta¹ zapewnić cię mogę, a swym kwakerskim pochodzeniem zaskarbiasz sobie sympatię najmniej jednej z głównych społeczności Pensylwanii². Co więcej, ku pewnych monarchistów niezdrowej ucieście, rodzina twa z zamkiem Raby jest związana, a zatem i z melancholijną, choć inspirującą mrocznie historią Henry’ego Vane’a Młodszego.

– Co? W Ameryce jakobici³? Mniemałem, iż to już dawno zakończone – Dixon się dziwuje.

– Legenda wciąż żywa, a i moc jej rośnie. Między paciorkiem a kołysanką jakobickim berbeciom ją opowiadają, albowiem, podobnie jak siły niewidoczne, co zawsze będą ich mnożyć, jakobici przetrwają. Spór ów ni z Cromwellem, ni z restauracją⁴ się nie skończył, ni z Wilhelmem Orańskim, ni z hanowerczykami⁵. Angielska ziemia ostatnich zbrojnych potyczek była świadkiem, lecz pole bitewne w Ameryce teraz – kolejny użytek z tej przeklętej krainy – a i oręż nowy, w tym dla Awanturników Amerykańskich wymyślne stuarckie przywileje, po oceanie przyszości niczym miny płynające rozsiane, co swego celu przez lata nie napotkają, dłużej może niżli żywot trwa człowieczy, zaś szkód, które wyrządzą, zliczyć nie sposób.

– Młody Vane nigdy królobójcą nie był – Dixon się upiera.

– Głupcze – Emerson dogryza. – Zdradliwy był niczym żmija.

– Aliści wkoło Raby większość trzyma, iż to ojca jego nikkzemność w dążeniu do Strafforda zguby ten sam los na syna zesłała.

– Na litość boską, wszak to młodszy Vane wręczył zapiski Pymowi⁶ – Emerson gdera.

– Kopię kopii – Dixon rzecze – by dowodem być niezdatną. Czyż to grzeszek niewart uwagi, Maire, przyjacielu?

– Litości! – Emerson prerażenie udaje. – Teraz tydzień tu siedzieć będziemy.

Jezuita, który nigdy nie posiadał europejskiej sztuki ruszania ramionami tak, by mówiło to wiele, ręce rozkłada.

– Na ile syn dzielił ojca rozżalenie, gdy tytuł barona Raby na Strafforda przeszedł, tego nikt nie wie. Zda się, iż to zbyt mało dla jednego człeka, co dopiero dla dwóch, by mniemać, iż warto poświęcić drugiego życie. Młody Vane lat sobie liczył dwadzieścia siedem – tyle co ty, mniej więcej, Jeremiaszu. Czyż nie był świadom tego, jak snadnie przychodzi władającym losami świata do mordu się posuwać? Może wnosił, iż Pym i jego stronnicy przy dyspucie w czterech ścianach zapiskami się wspomagą.

– Do mordu? – rzecze Dixon oszołomiony.

– Sądowego, młokosie – Emerson rzuca mu ganiące spojrzenie. – Słowa nic ich

¹ Fredericka Calverta, lorda Baltimore, do którego należał stan Maryland, lub jego wuja Ceciliusa Calverta.

² W kolonii tej mieszkało wówczas wielu kwaków.

³ Zwolennicy angielskiego króla Jakuba II (zmuszonego do banicji w 1688 roku) lub idei powrotu na tron jednego z jego potomków.

⁴ Restauracja Stuartów – lata 1660–1688, kiedy to dynastia Stuartów wróciła na tron po wojnie domowej i okresie rządów lorda protektora Olivera Cromwella.

⁵ Królowie dynastii hanowerskiej (od Jerzego I do Wiktorii) rządili w latach 1714–1901.

⁶ Nawiązanie do słynnej intrygi, która doprowadziła do egzekucji wpływowego polityka, hrabiego Strafforda.

nie kosztują, kapkę więcej pisarze i naści! Kolejny wyrok śmierci lub dekret skazujący na wygnanie, oba równie w naszych czasach pospolite, co za pranie rachunek, gdyż życie człowiecze ma się za nic. Oto cały sekret globem władania.

- Podczas gdy w niebiosach – Maire mu przypomina – duszę za bezcenną się uznaje.

- A tak, chyba że u Indian paragwajskich, żydów hiszpańskich czy jansenistów¹. Dalibóg, rad byłbym siedzieć tu z wami i o religii gwarzyć, póki piekło nie zamarznie, osobliwie o newtonowskim podejściu do grawitacji i Ducha Świętego, atoli będziecie niestety musieli poczekać na tom mój tej kwestii poświęcony. Tymczasem, jako że piwa w domu nie uświadczysz...

- Jakoby kiedykolwiek tu było – jezuita mamrocze.

- ...a tak czy siak, prędko nuży mię podobnie przeciągane gderanie, lepiej będzie – Emerson poddaje – jeśli pod Pałkę i Grządziel się udamy, przybytku, do którego zaglądać mam w zwyczaju.

Lękał się Dixon tej chwili, bowiem kto w owym okrytym niesławą szynku pija, czyni tak w melancholii pogrążony zbyt głębokiej, by pojąć był ją w sile. Sam nie zdołał jeszcze obaczyć połączenia między swą osobą i swymi karczemnymi upodobaniami a temporalnymi mająkami sentymentu, innego niżli fatalizm pospolity, wobec wątpliwych leków na strapienie liczby jak największej.

Ojciec Maire swą pelerynę ściąga, odsłaniając tabaczkowej barwy surdut i spodnie nierwącego oczu mieszczanina. Z wewnętrznej kieszonki kosztowną peruczkę wyjmuje, otrzepuje w obłoczkach perfumowanej ołowiowej glejty i bez zbędnych zabiegów na swą ascetycznie strzyżoną głowę nakłada.

- Naści. Ambrozjusz jestem teraz, z bezbożnego Londynu imć Emersona dalekim kuzynem.

- „Bezbożny” brzmi w sam raz dla uszu bywalców Pałki – kiwa głową Emerson, gdy ruszają w drogę. – To papiści raczej nie są tam mile widziani.

23

Zaiste, jedno spojrzenie na ów przybytek starcza, by ojciec Maire począł myśleć, iż opuścić mu go trzeba. Jako członek Towarzystwa Jezusowego nieraz już bywał w karczmach, w których ledwie wysiedzieć się dało, i mniemał, iż najgorsze w Anglii odwiedził, aliści tej tu podłej nory z powodzeniem się wystrzeżał, choć rodem z Durham będąc, całe życie słuchał o niej opowieści.

- Na rany Chrystusa, toż to nasz stary szaleniec, co surdut na opak wkłada – na progu okrzyk ich wita – z dwoma kompanami, których przed słońca zachodem straci! Cóż, szynkarz uczciwy każdego znieść musi. Przedstawiam sobie, iż porter to będzie, czyż nie, ha, mam rację? Strzyga! Bękartie przeklęty, nawet nie myśl o tym, byś gryźć miał mych szanownych gości, albo znów dostaniesz flaszka jałowcówki, a tak! Hej tam, na buty miejcie baczenie, panowie, z przeszłej nocy ostała się nieprzyjemna kałuża, służba jeszcze się do niej nie wzięła...

- Piękny mamy dzionek, panie Brain.

- Do czasu. Lud Oafery tu już parę razy zaglądał i o ile pojąć zdołaliśmy jego słowa, szuka ciebie, Doktorze.

¹ Zwolennicy poglądów flamandzkiego teologa Corneliusa Jansena (1585–1638), wewnętrzna fronda Kościoła katolickiego.

– Pewnikiem trzeba mu nowego zakłącia – Emerson zgaduje. – Jeśli, rzecz jasna, ostatnie podziało...

– Williamie – „kuzyn” go strofuje.

– Pintę kupuje mi w zamian. W czym kłopot? Tu Hurworth, nie Londyn. Z gwiazd też wróżę.

– I mnie wróżył – szynkarz potwierdza. – Wszystko tam w gwiazdach stało, cała nieszczęsna historia, lecz czy pozór dałem? Skąd. Żalowałem mych sześciu pensów, głupiec z oczami w błocie.

Brwi ojca Maire’a podnoszą się na chwilę, gdy cenę słyszy.

– A bo co? – Emerson zaczepnie powiada. – Jenó Kościół katolicki dałby lepszą cenę.

– To miejsce w jeszcze większe przygnębienie wpędza niżli w mej pamięci – Dixon szepcze, nie życząc sobie, by ktokolwiek wciągnął go w tyczącą owej kwestii dysputę.

– O tak, to nie Wesoły Gwarek – Emerson prycha, wzmiankując przez Dixona przybytek przedkładany, co blisko gościńca na skraju wrzosowiska Cockfield stoi, gdzie górnicy i woźnice schronienia szukają, by o zmroku na osobności nie przyszło im siedzieć, a podróżni zatrzymać się na noc woła, niżli w złowrogie wrzosowisko wjeżdżać, choćby i dnia następnego dłuższa ich droga czekała.

– W Gwarku choć muzyka.

– Hola, hola, muzykę ci tu mamy. – Imć Brain zza kontuaru sfatygowaną lirę korbową wyciąga, podle dawnych stuleci mody, co to ją lata temu Cygan jakowyś miast zapłaty ostawił. – Naści. Muzyki pod dostatkiem, jeno poprosić trzeba. Wspaniale tak przedni instrument posiadać. Może kapkę Haendla? – I żywo korbą kręcić i palcówki wyczyniać poczyna, choć pojęcia nie ma, jak to cudo działa, wszystko to zaś w potwornej kakofonii. Psina, Strzygą zwana, przycupnięta do wtóru wyje. Emerson nadspodziewanie spokojnie ów recital znosi, w ścianę się wpatrując, jakoby nuty sobie przedstawiał na jakowejś pięciolinii, jeszcze nieobmyślonej, a na kolanie miarę wybija. Dixon, którego matka, Mary Hunter, miała w zwyczaju grywać dzieciom co dzień na szpinecie, mniej jest zachwycony.

– Nie znajdziesz drugiego takiego miejsca w Chinach, Jeremiaszu – Emerson woła.

– Mości Dixonie – jezuita powiada – teraz, przez sztuki *feng shui* kult zgubny, kraj ten koszmarnym jest snem jeometry. Przyzwoitego okręgu, co trzysta sześćdziesiąt stopni posiada, nigdzie znaleźć nie sposób. Miast tego, co haniebne i niepojęte, uparcie boskie zamysły czasu i przestrzeni odrzucając, stopni trzysta sześćdziesiąt pięć i ćwierć tam hołubią.

– Wszak to dni w roku liczba. Któryż z chodzących po ziemi jeometrów zaprzeczy? Każdy dzień jednym, idealnym stopniem podle chińskiej miary. Tyle że, rzecz jasna, z trzystu sześćdziesięcioma rachować snadniej. Bogu wszechmocnemu niechybnie kłopotu żadna z metod nie sprawia, na pamięć zna on, nieprawdaż, wszystkie logarytmiczne tablice. – Kilka przeszłych tygodni spędził Dixon, po polach i wrzosowiskach wędrując, w stolik mierniczy i pantometr zbrojny, nadal pomiary z uciechą zdejmując. – Trzysta sześćdziesiąt pięć i ćwiartka zda się podziałem, który i jezuitci przyjąć by mogli. A dodatkowych wyliczeń niewygoda? Cóż, może dla rozumu włosiennicą?

– Jezu Chryste. – Głos Emersona echem się w kuflu niesie.

– Poniekąd – Maire rzece. – W Wigan mieszka człek miły, co rad byłby podjąć się tej roboty.

- Wyśmienicie, prześlij mu, proszę, me ukłony. Większość jeometrów z Durham, jak mi mówiono, za nic się na szpiegów jezuckich nie nadaje.

- Jeremiaszu, skłoń do mnie ucha – jezuita powiada, na ramieniu Dixona dłoń kładąc, którą tamten przez chwilę ugryźć jest skory. – Żadnych depesz byśmy nie oczekiwali ni *espionage* czy też działań jakichkolwiek, albowiem z nami czy bez nas, linia będzie wytyczona. Pragniemy jeno być pewni, iż ktoś nam znany na miejscu jest, tam na granicy. Ot i wszystko.

- Uczyli księdza pacierza. Czy ważne, gdzie będę, jeśli wieści mam nie słać?

Maire znów potulnie głową kiwa.

- Jeśli, co mało podobne, życzyć sobie będziemy pomówić z tobą – cóż, chodzą słuchy, iż już w swym posiadaniu instrumenta mamy, co prędzej słowa nasze przesłać ci są w sile niżli każdy ze znanych statków rejsowych czy pospiesznych dylizansów.

- I... wymienilibyśmy się jeno jakowymś sekretnym słowem, pogwarzyli nieco o pogodzie, może kilka uwag uduchowionych dorzucili – żadnych rozkazów, których, jak wiedzieć winieneś, nigdy bym wszak nie wykonał.

- Przedstawię im twe słowa. Nie widać w tobie ochoty.

- Imć Emersona spytaj. Jam jeno wiejskim mierniczym, prostym Geordie, gdzie mi tam do zamorskich ekspedycji splendoru – w domu znajduję ukontentowanie. Haruję w błocie i zdarzy się czasem, iż wyrachuję linie, których łańcuchem¹ wymierzyć się nie da – tak to jeometry po wodzie chadzają. Mam nadzieję, iż wasz Lalande z Lancashire śmielszy się okaże.

Emerson głowę podnosi, końce kosmyków mokre ma od piwa, i na księdza łypie.

- Jeśli się nie mylę, postawiłem pewną sumkę na to, iż tak się stanie.

- Nie – Maire kręci głową, patrząc na Dixona. – Tego człeka nam właśnie trzeba, Williamie, palec to Boży, jeśli kiedyś jakowyś widziałem. Odstąpić jeszcze nie jestem gotowy.

- Hola, hola, czy koniem wam jestem w gonitwie biegnącym? Mój przyjaciel Emerson nie ryzykował zatem zbyt wiele, gdyż nie w smak mi jezuitom służyć, a i rad bym nie był, gdyby inni, iż służę, mniemali.

- Sam widzisz – rzecz Emerson wesoło. – To ten chłód, jeśli mię pytać. Tak, nic innego, ten brak litości.

- Litości? Co do litości... – Na obliczu jezuita, co dolewek sobie nie żałował, jawi się teraz ożywienie.

- Gmerasz w tej peruce, by przywiązać uwagę – Emerson mamrocze. – Opamiętaj się, proszę, kuzynie.

- Dziwujesz się, czemu tkwię we Flandrii z chłopców gromadą, z których każdy, dzień i noc niemal, z wyprężoną męskością chodzi? Dla niektórych raj to grzesznika, dla innych pokuta. I ja właśnie odpokutowuję, gdyż raz czy dwa, gdy trzeba było, nierozważnie ową litość przez chwilę okazałem, którą tak pod niebiosa wychwalasz. Cóż, pojąłem, nie nam zakładać, iż w ślady Chrystusa pójść winniśmy, albowiem jego miłosierdzie prawdziwe nie jest nam dane. Niczym psy, co najwyżej, skakać i skomleć wokół niego możemy.

- Cóż za ulga! – Dixon woła. – Ha! Miłosierdzie odrzucone? Gdzie zatem me pistolety...

- Prostsze wyjaśnienie raczej takie – Emerson wzdycha – iż żaden z was nigdy w życiu transcendencji nie zaznał ani nie rozpoznałby jej, choćby się podkradła i chapnęła delikwenta w siedzenie, a w długiej, żalostnej ciszy podejrzenie się rodzi,

¹ Łańcuch mierniczy, przyrząd i zarazem jednostka miary wynosząca ok. 20 metrów.

iż jezuici najnowszym są na to przykładem, iż pasja z chrześcijaństwa uszła, a to, co się ostało, to jeno płytkie, pospolite władzy i bezmyślnego posłuszeństwa pragnienie. A fe, kuzynie! A fe, mój panie!

Do izby właśnie imć Whike wchodzi, druh Luda Oafery'ego, a i translator, od czasu do czasu wołając:

– Ha! Czyżbym trafił na dysputę o – niechybnie słowo to posłyszałem – jezuitach? Znow ci sami? Owa sekretna zdradliwych żmij koteria, która wydać pragnie nasz kraj błogosławiony na pastwę interesów Rzymu i tego zamtuza, co za kościół mają – ci jezuici? Pomyślałby jeden z drugim, iż nie ma pod Palką i Grządzielą miejsca na podobnie głębokie rozmowy.

– Witaj, Whike, ponoć Lud mię szuka?

– Mateczka jego, właściwie. Lud musiał do Thornton-le-Beans wywędrować, lecz wróci. Kimże jest twój towarzysz, niezbyt wiarygodnie odziany? (– To peruka, wacpanie. Zabiegów przedniego perukarza na gwałt jej trzeba. –) A jużem sobie przedstawiał, iż o wam podobnych wszystko mi wiadome!

– Czyżbym zapomniał był dokonać prezentacji? Gdzie się me pańskie maniery podziały?

– Ciekaw jestem, jakiego pana.

– O tak wczesnej porze się tego nie spodziewałem – ściszonym głosem Dixon do Maire'a rzecze, a do Whike'a: – Jak myślisz, czy już się zabrać do świętowania, czy też zaczekać na Luda, twego przyjaciela? Mnie to bez różnicy.

– Czy kiedykolwiek uczeń wacpana był taki? Jeden z tych, co wzrostem górowali, a maluczkich tłukli? Smutne to wielce.

– Może kogoś to śmieszy, Whike – Emerson powiada.

– Jeremiaszu, jestem zdumiony. Czy w rzeczy samej usiłowałeś uderzyć tego oto młodziana, co z gruntu przyjemny jest w obyciu, choć może trochę próżnuje? A mniemałem, iż to londyńskie karczmy w klótnie obfite!

– Lata temu i raz jeden, z uczonych pobudek, cóż, poniekąd go... objąłem.

Whike odskakuje złękniiony.

– Czy wolno ci, nie pytałeś, czyż nie?

– Tyś mi zaś nigdy zapomnieć nie pozwolił. Pragnąłem podnieść go jeno i rzucić o tarczę do strzałek, co tam oto wisi, by zbadać, czy głowa jego, dość na oko spiczasta, wbije się w nią, a od lat mi to wypomina. Whike, czyśmy już pogodzeni? Przyznaję, zła to była sprawdzania ostrości czaszkowej metoda. Winienem był zdjąć tarczę ze ściany, do ciebie donieść i makówkę twą nią zdzielić, łajdaku.

– Wiedziałem, iż pewnego dnia poczuje skruchę – Whike się rozchmurza. – Z wielką radością przyjmuję przeprosiny.

– Przeprosiny! – Wszyscy zaklinali się później, iż twarz Dixona w mroku zapłonęła. – A niech cię, ty nędzny...

Za oknami światło znika i coś drzwi wypełnia.

– Grrrrrr! – Cień z siebie wydaje.

– „Hej tam, nawet palcem nie tknij mego druha” – Whike przekłada – albowiem to Lud, z Thornton-le-Beans wróciwszy, i Mateczka Oafery u jego boku.

W roku 1745 – zgadując, iż Młodszy Pretendent¹ przemieszczać się będzie, wszędzie używając owych sekretnych tuneli, papistom z dawnych stuleci znanych, co

¹ Karol Edward Stuart (1720–1788), wnuk króla Anglii Jakuba II, syn „starszego pretendenta” Jakuba III i Klementyny Sobieskiej, prawnuk Jana III Sobieskiego, przywódca powstania jakobitów w Szkocji w roku 1745.

z większości kościołów parafialnych do innych ważnych miejsc wiodły – całe owo cudne lato, jak Anglia długa i szeroka, żądne przygód młokosy dzień i noc się w tych wilgotnych korytarzach panoszyły. Dixon także wypatrywał księcia w tunelach z kompaniami, w tę i z powrotem od zamku Raby do kościoła w Staindrop wędrując. Tam właśnie, wśród szykownych licówek i woni podziemnych kurzeni, on i Lud Oafery się po raz pierwszy spotkali. Dixon pochodnię niósł – Lud nie.

– Po cóż się kłopotać? – Lud klarował. – Dość jest tobie podobnych, co swoje niosą. Pełz światła trzeba, by jeno przejść przez tunel, chyba że nieraz się przystaje, by kamieniarską robotę podziwiać. Co właśnie, jak widzę, czynisz. – Rzucił okiem. – Ta tu z czasów pochodzi, gdy Staindrop metropolią Stayndropshire, przez „y” pisanego było, zaprawdę, perłą Wearside co się zowie. Tu właśnie najprzedniejszych w Anglii talentów wiertniczych nagromadzenie – poza Izbą Lordów, rzecz jasna, co w brzuchach nam wiercą – a kędy bieć miałyby ów przekop pradawny, jeśli nie między zamkiem naszym a kościołem? Obie te strony pozwolić sobie na niego mogły snadnie, mniej znacznie, niżli wynosiły ich tygodniowe dochody, płacąc...

Lud głosił, iż w swych wędrówkach każdy tunel w hrabstwie Durham zwiedził, niektóre zaś, jak twierdził, ze sobą połączone, a zatem, gdy komuś trzeba było światła słonecznego unikać, bo groźne nieraz, podróżować mógł wciąż pod ziemią długie mile.

– Wrr GRR, wrr – lata później pod Pałką i Grządzielą Lud dodaje.

– Bardzo stare są te wykopy – Whike melduje – atoli nigdy pod ziemią nie błędzą, kierunki prawdziwe skazując, niczym włoski Kompas górniczy.

Znajomość tuneli rosła w cenę, gdy coraz więcej gruntów ogradzaniu się poddawało, wewnętrznym podziałom, i pospolicie miejsca brakowało. Tam w dole, gdzie miedze nie były znane, leżała jeszcze nieprzemierzona kraina, która przejść w ręce miała pionierów o silnej woli, co sztuki plutonowe posiadli – choć ekwipunek wyprawny pod ręką też zawsze niczym dar z nieba zesłany. Z tych miar pod parafii siedzibami, niczym od glist olbrzymich, od zbrojnych w kilofy, na przodki ruszających, się zaroilo, co ich tam prowadziły, dokąd prowadzić musiały – owe ogniem malowane, w ziemi ubite ściany, nic nie zdradzające z tego, co o szuflę może oddalone. Czasem, jak gadano, los się uśmiechnął do którego i na skarb natrafiał zakopany: „Hurra! Koniec dżdżowniczej roboty! Rzeknij sztygarowi, iż w Londynie w luksusach się pławię... aha, i masz tu szylinga za fatygę”. A niekiedy ponoć czort nasyłał swe sługi, by kopaczy zmyliły w potwornej zabawie i do cmentarza poprowadziły. Śmierć tam na nich w pełnej krasie szkaradnej czekała i starczyło lekko wetknąć łopatę, by na oczu wysokości czaszka z błota wyrzała wyszczerzona, zda się, iż poznając, a pochodnie gasły w jednej chwili, jakoby od jakowegoś z piekieł przedsonka podłego podmuchu.

– Nigdy tym w dole nie było wiadome, co w głębi chodnika ich czeka. Jeometrom, na górze siedzącym, ufać musieli. Czy pamiętasz, Jerku, gdy ci powiedziałem, iż społeczności są sumieniem, ty odrzekłeś żywo, iż zasilisz sam ich szeregi. I, niech mnie, tak też się stało! – Tak Whike powiada. Wesołość Luda, choćby półgłosem wyrażona, bardziej zastrasza, niżli do śmiechu zachęca.

– Doprawdy, czy to jego słowa? – Emerson, zdumiony, włącza się do rozmowy.

– Co do przecinka, wszystko dzięki Whike’owi. Lud, wróżyłeś naówczas, pełen powagi, iż rozejdą się nasze drogi – przeznaczenie swe na powierzchni ziemi znaleźć miałem, ty zaś po zupełnie innej stronie.

– Niżej nieco. – Lud głową kiwa.

– I jakże ci się tam w dole wiedzie?

– Roboty równie dużo, co u ciebie na górze – Mateczka Oafery odpowiada. – A ty, Jerku? Doszły nas słuchy, iż do Ameryki się wybierasz, prześwit im wymierzyć najmniej stuligowy...

– Coś na kształt bardzo długiej miedzy dzielącej włości, gdzie obie strony drzew wycięcia sobie życzą. Choć, dalibóg, nie nazwałbym tego prześwitem.

Lud jaśniej.

– Gdy jest się tam w dole, w wykopie, wśród egipskich ciemności – jak to Whike przekłada – czuje się zawsze, iż krok ledwie, zakręt jeno dzieli od Wielkiego Planu Stworzenia poznania. – Szeptają społem, co rusz na Maire’a zerkając, aż Whike wreszcie słowa kompana powtarza: – Jakie są kuzyna imć Emersona zapatrywania na świata konstytucję, Lud wiedzieć pragnie.

– Ziemia sferoidą, jak ostatnio słyszałem, waćpanie.

– Wrr wrr wrr, wrr wrr!

– „A ja powiadam, iż płaska” – jezuita bez trudu zgaduje. – Cóż, proszę bardzo, płaska podle życzenia, jak podplomyk płaska, ba, pizza nawet.

– Wybacz, panie – Whike rzecze przymilny przesadnie. – Cóż takiego? To obce słowo...

– To ja w pierś się biję. Pizza to smakołyk z ciasta, ryb i sera, osobliwie w okolicy Wezuwiusza pospolity. W zamyśleniu po słowo owo sięgnąłem niczym po lalkę dziecko przestraszone.

– Zatem z Italii jesteś wać rodem? – Mateczka się dopytuje.

– W młodości spędziłem tam miesiące parę, z dużym pożytkiem, miła pani.

– Pomni wać może, jak się ową pizzę przyrządza? Moim pociechom przykrzy się już kaszanka i kleik owsiany, co im co dzień podaję, zawsze przeto nowych wyglądam przepisów.

– Ależ proszę. Czy wyrośnięty bochen się tu znajduje?

Imć Braina małżonka pod kontuar sięga, brązowy bochen dobywa, co rośnie tam od rana i wręcza „kuzynowi Ambrożemu”, który na ladzie ciasto na płask rozgniatać poczyna. Lud, zauroczony, sam jest skory i kilkoma pacnięciami wnet placek zmienia w dysk bardzo cienki i nad wyraz foremnie okrągły.

– Wyśmienicie – Maire rzecze. – Cóż, wątpię, by ktokolwiek był w posiadaniu pomidora?

– Ha?

– Jednego razu na jarmarku w Darlington widziałem – imć Brain głową kiwa.

– Niedobrze, w takim razie – ów dawno już zjedzony.

– Ten, co go widziałem? Może nikt go jeść nie był skory?

Dixon, przetrząsnąwszy swe sakwy, flaszkę *ketjapu* wyciąga, którą to teraz wszędzie z sobą wozi.

– A to się nada?

– To była, mężu, drętwa.

– Ów stwór morski elektryzujący? Och... zatem ta przyrządzana przez niego potrawa nie jest elektryzująca?

– Atoli, winna być tu ryba taka, jaką neapolitańczycy kładą, *cicinielli*...

– Czy zdadne sardele? – Brainowa na beczułkę skazuje solonych sardeli u wybrzeży Devonu łowionych.

– Doskonale. A ser?

– Naści, tyle zostało ze stiltona¹, co go w południe z chlebem i pikłami podałam.

¹ Angielski gatunek sera z błękitnymi, pleśniowymi żyłami.

– Wielce obiecująco się prezentuje – Maire powiada, dłonie zacierając, by ukryć ich drżenie. – A zatem...

Nim bodajże pierwsza brytyjska pizza z pieca wychynąć gotowa, gościniec już opustoszał i noc na wrzosowisku zapadła, wiele kuflów wychylono, a Lud poczyną być podenerwowany. – Dobrze, iż choć niebo dziś zasnutę, ni ździebko światła miesięcznego nie wnika – matka jego do Emersona szepcze.

– Los nam sprzyja, zyskaliśmy może na czasie. – Zarówno nauczycielem, jak i racjonalistą będąc, rewerencją darzącym Bourqueleta i Nynaulda¹, Emerson trzyma, iż wiara w wilkołaki, od stuleci pospolita, jeśli nie wywodzi się, to choć jest wzmacniana przez matki złąknione przemianą, co w synach zachodzi, gdy w wiek męski wstępują. Pierwszy raz ją uważając, sam był poruszony. Włos sypie się wszędzie, głos gwałtownie, bywa, iż do warkotu, pogłębia – chłopcy, co dawniej spać chadzali z kurami, teraz w nocą harcujące zmieniają się stwory. Zdarzają się zniknięcia tajemnicze. Pies rodzinny wariacji dostaje. Pieczeń, tuż przed tym, nim się ją do pieca wsunie, uwagę jego przywiązywać poczyną. – Na miłość boską, Elzuniu, cożesz wygadujesz? Iż nasz Ludwiczek wilkołakiem? Weź się w garść, kobito!

– Cóż, w mej rodzinie to się nie trafia, czyż nie?

– Aha, pojmuje. Znów do nieszczęsnego stryja Lonsdale'a wracamy. Wszak, jak sobie przypominasz, wypuszczono go, prosząc o wybaczenie, a krew okazała się należeć do jakowegoś z drogi kurczaka...

– Aliści wikary poświadczył na rozprawie, iż przez pięć wstecz pokoleń...

– RRRR!

– Witaj, Lud, ledwie cię poznał...

– I wówczas rzekłam: „Trza nam iść do doktora Emersona – będzie wiedział, co czynić”.

– Lud powiada, iż rzecz nie jest w sile, czy wiedziałeś. I dodaje, by się nie trapić, albowiem go to bawi.

– Lud, żyjesz, czyż nie?

– Inaczej brzmiało to jego pytanie – Mateczka mniema. – Czy mogłabym dostać jeden z tych spiczastych ułamek?

– Skąd to ostre światło pada? – ktoś pyta.

– Chmury! – Mateczka Oafery obaczyć wybiega. – Dokąd wiatr je przegna? O, nie! Patrzcie jeno na to! – „To” Miesiącem jest w pełni, co właśnie na bezchmurnym, nocnym niebie wschodzi.

– Prędko, okiennice – woła Whike piskliwie, w tę i z powrotem biegając.

– Lud, patrz no, co tu mam dla cię... więcej pizzy.

– Próżne starania! – Gdyż Lud pełnię zoczył i już za nią po gościńcu bieży, a Whike mu po piętach depcze.

– Serce mi się kraje, gdy przemiana nadchodzi – lamentuje Mateczka. – Choć zerknąć mi coraz trudniej, lecz jako matka wszak muszę.

– Już się zmienia – woła Whike do w środku zebranych. – Pierwej zębiska, pysk i pazury... teraz sypią się włosy... dobra nasza. już na dwu nogach stoi... plastron wiążę... klamrę u pasa dopina... i oto on, panicz Lud.

Kuśtykając, wchodzi – gładko wygolony galant z Durham rodem, dość drobnej postury, w srebrnym brokacie – pętelki chińskie zaś wszędzie złote dla odmiany – a stroju dopełnia kapelusz dziwacznie przekrzywiony, którego papuzie pióro zielone sięga niżej, niżli ktokolwiek z zebranych widział, by pióro u kapelusza sięgało.

¹ Jean Nynauld, twórca znanego XVII-wiecznego traktatu o wilkołactwie.

– Mamo! – przeobrażony Ludwiczek dyszkantem woła. – Błagam, przyłóż się wreszcie do swej koafiury. Whike, ręce przy sobie. Emerson, miło widzieć waćpana. Proszę się obrócić, abyśmy podziwiać mogli guziki waszmości. A któż to? Jerek Dixon? Ha, wybierasz się za morze? Wiedziałem, iż się prędzej czy później doigrasz – cóż to było? Kolejny najazd na cudzą spizarkę, przedstawiam sobie, atoli lepsze to niżli szubienica – zgodzisz się ze mną, stary koniu?

– Dwie, może trzy noce na miesiąc – Mateczka biadoli. – Co prawda, nie gorsze to niżli biegunka. Na pamięć najnowszych teatralnych szlagierów się wyuczył, co jak dzień długi mi śpiewa. Konceptami, z których śmiać się nie umiem, sypie. Z cudzoziemskich słówek przepytuje. Atoli matką jestem jego – wszystko zniosę.

24

Rzeczą najstrożej metafizyczną, jaką Mason z opowieści Dixona spamięta, będą słowa „Życie me parze trzewików zawdzięczam”. Ojciec jego, George Dixon senior, zjechał raz na jazd kwartalny spóźniony. Noc była mokra, w łózkach wszyscy, stos butów do czyszczenia wystawiony, lecz spośród nich jeno zoczył te, co do Mary Hunter należały. Nie namyślając się, schylił się po nie i podniósł, udając, iż od ognia odstawia, aby przy żarze nie spękały. Czyjaż podobna para? Która na zjeździe nosić by je wybrała? Czy mniemanie ma o sobie nieco zbyt wysokie? Będzie musiał się dowiedzieć tego.

George sporo z pary trzewików odczytać umie. Jak to od dawien dawna chłopcy w hrabstwie Durham mają w zwyczaju, w wielkanocny poniedziałek z innymi z wrzosowiska wkoło Staindrop biega, napotkanym dzierlatkom buty w zabawie ściągając, które później za fanty się zwraca. Starsi chłopcy o całusa proszą, młodszym zaś starczą cukrzone drobiazgi, których dziewczęta nauczyły się mieć przy sobie owego dnia pełną torebkę.

Gdy nazajutrz rano schodzi na śniadanie – a przynajmniej później córka ich Elżbieta w to wierzy – czy ich wnet się spotykają. Bardziej atoli podobne, iż wstał przed świtem o właścicielkę bucików pucybuta wypytać – była nią Mary Hunter z Newcastle, jak się okazało. Krewny w końcu ich sobie prezentuje.

– Cosik o twych trzewikach, Mary.

– Trzewikach? – Prosto w oczy zerka.

George, co tyle czasu na gościńcu spędza, iż ostawił w stajniach wszelką tego potrzebę, by choć w rozmowie zsiadać z konia, galopuje śmiało.

– Przeszłej nocy waćpanny trzewiki od ognia odsunąć pozwoliłem sobie. Mam nadzieję, iż nie przyniosło im to szkody.

– Ich się waść spytać winieneś – odpowiada. W okamgnieniu młodzian na jedno kolano przykleka, a do twarzy oba bucki unosi. W górę na pannę zerkając, do jednego z trzewików się zwraca: – Cóż, jak się miewamy? Nie za mokro, nie za sucho?

– Nie narzekam, dziękuję – rzecze cienkim głosikiem, co dzieciarni okolicznej przywiązuje uwagę. – Chyba iż łyzy nudy zrosić mię mają lub uschnę ci ja z braku przechadzek.

– Ach, tak – głosem przyrodzonym – a twa siostra, co u niej?

– Phi! – Sam sobie przykrym tonem zagniewanej hetery odpowiada. – Od kiedy to rozmawiam z głupcami?

Kręci głową.

- Jakże to możebne, iż jesteście siostrami. Jedna tak słodką, gdy druga...
- Geordie, bacz na swe słowa! – ostrzega złośliwa.

Niepewnym krokiem kilkoro bębnow podchodzi, co obaczyć pragną, skąd dochodzą owe głosy. Dixonowi, może zbyt wiekiem młodemu, by zwęszyć nadciągające kłopoty, powstrzymać się od konwersowania ze sobą nie sposób. Pomocni krewni podszeptują, iż ryzykaniem jest szalonym, co hen na wrzosowisku węgla na ślepo szuka, inni zaś kręcą zgodnie głowami oszołomieni, choć nie bez pewnej wesołości dozy – i nim kto pozór daje, młoda para „prowadza się”, jak to w okolicach Staindrop wołają.

Łączy ich już to, iż z Durham kwakrowie w wąskim gronie współwyznawców szukają dla się żony. Matką Mary nie żyje od dawna, ojciec jeszcze dwukrotnie się ożenił, a osiem lat po śmierci jego, wdowa po nim, Elżbieta, wyszła za mąż powtórnie – za ojca George’a, Ralpa Dixona.

- Zatem... – George powiada, kapelusz zdejmując i mierzwiąc swą czuprynę – obojgu nam macochą była. Kimże z tych miar jesteście dla siebie – rodzeństwem przyrodnim ze spowinowacenia?

- Lecz nie tę historię sąsiedzi opowiadać skorzy. Trzymają, iż ledwie ojciec wyzioną ducha, mamusia za jego ojca się wydała...

- Twego dziadka poślubiła... z matki babką się dla ciebie stając?

- Wnoszę, iż nie za często w Weardale to się zdarza. Po prawdzie, babką przyszywaną.

- Co by bez niewiast z rodu Hunterów poczęli?

Próbuje związać na powrót swe włosy brązową wstążką z prążkowanej tkaniny – ona zaś siebie tym zadziwia, iż tak rwą jej oczy jego dłonie i cierpliwość, z jaką się zajmują podziwu godną pukli kaskadą. Gdy coraz mniej kosmyków jego oblicze przesłania, Mary pojmuje, iż George z zamysłem tak czyni, choć ryzykuje – podarkiem dla niej owa twarz bezbronna.

W dniu śmierci ojca Mary Hunter liczyła sobie lat niespełna osiemnaście, a opieka nad nią przypadła stryjowi Jeremiaszowi. On miał naówczas lat pięćdziesiąt cztery.

- Pomyśl, iż to malownicza niedola.

- Ach, stryjkę...

Czy w jego domu pozostała, póki za George’a dwanaście lat później nie wyszła? To właśnie na cześć stryja Jeremiasza musiała była nazwać swego drugiego syna. George senior, nie do końca imieniem tym ukontentowany – nazbyt biblijne – przy każdym niemowlectwa zakwileniu zwykł łapać się za głowę, choć nie w gniewie, i wołać: „Ot, skarga Jeremiasza!”. Berbec płaczem się zanosił niezmiennie, słysząc te słowa, matka jego gorzko się uśmiechała, zaś George junior, nauczysz się mowy, naśladowując w tym ojca, dokuczał nieraz bratu i rad był sztuczką się podzielić z siostrami. Kłopot w tym, iż małemu Jerkowi niemal wszystkie ich psikusy uciechę sprawiały. Darzył starsze rodzeństwo głębokim uczuciem, co zastrzeżeń czy zrażenia nie znało, choć z żywotnością gwałtowności bliską wciąż go starsze dzieci podnosiły i nim wywijają, bądź z rąk do rąk podawały tyłem do siebie zwrócone. Opowieści o duchach i stworach z wrzosowiska, wykluczanie z zabaw, sekrety, przewiska – wszystko to wielce radowało wolnego od myśli podejrzliwych Jerka-Berka, jak go w domu wołano.

Z czasem w matce Jeremiasza sąsiedzi widzieć poczęli najzmyślniejszą niewiaścę, jaka kiedykolwiek wyszła za Dixona. Jednakże, iż to George jest mądry, udawała.

– Pospolicie w mych myślach czyta – rzekła Elźbiecie. – Powiadam ci, im mąż, którego znajdziesz sobie, trudniejszy do omamienia, tym ty sama szczęśliwsza będziesz. Oszczędzi ci taki codziennego trudu przy próbach filowania – podaj mi to, proszę, skarbie – a te kilka razy, gdy ci się go wystrychnąć na dudka uda... cóż, jakże cudownie twa pewnoś siebie wzrośnie.

– Czy naprawdę wprowadziłaś go w pole?

– Raz czy dwa. Strzeż się mężczyzny, który podziwia twe buty. Miłować go możesz nad życie, aliści czując przy tym nieodpartą ochotę, by mu figle płatać, a figle, choć niewinne z przyrodzenia, do nieporozumień są sposobnością. Nie dla młodych to rozrywka – i z tych miar cię zachęcam, byś nieco chłopaka Rayltonów na razie zaniedbała, a do rachunków się przyłożyła. Pamiętaj, moje dziecię, ta, która księgi prowadzi, interesem włada.

– Lecz on taki...

– Wiem.

– Ach, nie wiesz.

– Znam cię. – Córkę po głowie głaszczcie. – Widzę to cielece spojrzenie.

Po śmierci ojca, mając dwadzieścia dwa lata, Jeremiasz wszedł w okres życia dość żaloszny, choć nigdy nie pił tyle, by mu to w pół mierzeniu zawadzało, potrzebę zatrudnienia bowiem równie dużą miał co napitku. Wciąż dość młody, by bez wielkiego trudu wstać rano po całonocnym w karczmie czuwaniu, wiódł był do tej pory wesoły jeometry żywot, od jednego wielkiego majątku do drugiego po całej północy kraju wędrując – trójnog na ramieniu opierał, a pantometr w torbę górniczą wrzucał, do tego ołówki i papier, pionu ciężarki, suche pończochy, mały pszeniczny bochenek, igły i trzpień w zapasie, a na koniec pastę polerską do kompasu. Na gruntach jeszcze nieogrodzonych czuł się wszelako nieswojo, co przy robocie pod gołym niebem dobrze nie wróżyło, a wrzosowisko wszak od czasu do czasu przejść był zobowiązany. Groźne i straszne było to miejsce, gdzie prócz zbójców kryły się zjawy, co kształty nie zawsze przybierały człowiecze, najgorsze z nich zaś niemal ludźmi były, lecz nie do końca... Teraz, gdy ojciec nie żył, pragnął jeno, późną porą szepcząc w deski podłogi znajome, albo na pustkowiu zabitym być i pożartym, albo też w jednego z owych stworów się zmienić, drapieżnego i na wieki pozbawionego schronienia – w każdym razie zaznać przemiany.

Wszystkich ludzi wokół zraził do siebie – pożyczek nie spłacał, obietnic nie strzymywał ni języka za zębami. Starsza jego siostra Hannah wyszła za człeka z Yorkshire ledwie w trzy miesiące po ojca zgonie i Dixon, na ślub zajechawszy, zrobił przedstawienie.

– Ja daję sobie z tym radę, Jeremiaszu, a i ty winienes. Za kogo się masz, by obzucac mię podobnymi wyzwiskami?

Zmieniał się w wiejskiego hultaja, wkrótce drogi powrotu być dla nań nie miało.

Elźbieta, do łez skora, na duchu złamana, po pociechę wnet do matki była się zwróciła i społem okryły się płaszczem cichej żałoby, nieprzystępnej, chłopców samych sobie ostawiając, by na swój sposób wrogu się nie poddali, co tak ich bezspornie był znieważył, a teraz za ich plecami gdzie się czał, nieraz sny ich własne odwiedzając... George, z większym zapałem niżli było trzeba, tym i owym się zajął – kopał łupek zielony z dajki pod wrzosowiskiem Cockfield, na wyrobisku koła zębate i tłoki pomp ulepszał, a łodygi szczwołu przycinał i dopasowywał tak, by gaz nimi na różne sposoby puszczać. Jeremiasz nad pola przedkładał cztery ściany, gdzie ćwiczył się w ku tarczy strzałkami rzucaniu lub nad stołem dzień cały schylał głowę,

własne pigmenty mieląc i mieszając. Cały blat był kleksami i proszków kupkami usiany – żółcią królewską, lakiem indyjskim, lazurem, aury pigmentem szkarłatnym, indygo, umbrą i grynszpanem. Ucierał, wymywał i oczyszczał, gumę rozrzedzał, papier pumeksował, a żeby wilgoć mu straszną nie była, kalafonię w niego wcierał. Przygotowania te niegdyś czynił w pośpiechu, w dużej mierze omijał nawet – teraz staranność ich dla niego konieczną, każdej ceny wartą była się stała. Dixon czuł, iż jego powinnością będzie, jeśli pewnego dnia na niego padnie, sprezentować widok świata z lotu ptaka, w szczegółach równy przyrodzeniu, świata, którego nie było nigdy, a który w ciszy był począł obmyślać. Cała w jego głowie zaklęta owa kraina, do której zbiec mógłby w razie potrzeby. Zmuszony, zaszyłby się w niej, lecz nie zgubił nigdy, albowiem mapę tę miałby w posiadaniu, a na niej wszystko jak na tacy w dole – morza piaszczyste, góry szklane, cudowne źródła i wulkany, miasta święte, miłowe otchłanie, bezkresne prerie i smoczą jamę... Każda igły inklinacja i dewiacja nową tam fantazję chłopięcą skazywała.

O zmierzchu, na powrót do aksamitnych przegródek w kasetkach z drzewa gruszy swe przybory kreślarskie odkładał i pod Tygrysa czy Szarego Charta zachodził, wypatrując tych, co ojca jego znali, uśmiechami i skinieniami głowy wspomnienia od nich wydobyć się starając. Mozolnie, gest za gestem, słowo za słowem, to właśnie wówczas wiele się nauczył z tego, jak przednim być piwnym kompanem, którego inni później w nim widzieli.

Przyjaciele ojca o pracy przy węglu mu opowiadali rzeczy, których nie wiedział był, bądź mniemał, iż nie słyszał nigdy – epopeje o tym, jak to oni wszyscy ze sobą – robotnicy nadbrzeżni, właściciele, wielcy kupcy i kapitanowie – nie do końca uczciwie poczynali. Nieraz ktoś właścicielem nie był danej krypty, lecz, iż nim jest, rozpowiadał... Zawsze coś się działo, bowiem, gdy w Tyneside roczne stosowano umowy i opłaty stałe, tu, nad Wear, wszystko uzgodnić należało.

Lata później, tuż przed wypłynięciem do Ameryki, Dixon w Wesołym Gwarku czasu spędza, ile może, atoli bardziej teraz podobne, iż to on w rolę gawędziarza się wcieli. Towarzyszy ojca odeszło już paru, lecz nadal są tacy, co mu rzekną: „George zaprawdę dumny byłby z ciebie”.

- Popłyniesz no może ze mną i Dodkiem mą krypą, jak ostatnim razem, co, Jerku?
- Z miłą chęcią, panie Snow, dziękuję.

I tak oto teraz, o świcie, ku portowi bieży, w dole rzeka coraz szerzej się z mroku wyłania wśród nawoływań z kryp i węglowych nadbrzeży... „Hej tam!”, „Patrzaj tu jeno!”. Jeden korowód barek do morza, drugi pod prąd sunie, belki pierwszych nadbrzeży na tle zorzy czernieją, na obu brzegach Wear węgiel w zsuwniach dudni, a na drewnianych szynach pełne wagony łomoczą. Farbiarska jutrzeńka, nie bardziej niżli piwo po dwa pensy czerwona, na wschód od Chester-le-Street po świecie się rozlewa, a rumieniec jej znaczą wysoko usypane obwałowania, piramidom w górowaniu swym podobne, tunele, mosty i wagoników tory na mile długie, pochylone, co z głębi ładu od czoł wyrobisk ku rynnom nad rzeką biegną...

Gdzieś Ameryka go wyczekuje. Na krypie *Mary i Meg*, co znów do Londynu zmierzła, na daszku nadbudówki siedząc, Dixon mgłę widzi, sunącą i bladą, co niczym wielki wąż drapieżny się zbliża. Gdy o załogach barek wśród oparów zagubionych w karczmach słyszał, drwił jeno, ani myśląc, iż sam w podobne tarapaty wpadnie, zamiarem jego bowiem było zawsze jak największy dział swego żywota na suchym łądzie spędzić. Lecz oto nadchodzi, coraz bliżej kłębi się cielsko wodnego stwora, aż młody Dodek pomagier krzyczy na trwogę, a imć Snow na czym świat stoi przeklinać poczyna. Brzeg niewyraźny już do połowy. W wilgotnym poranku dźwięk pławy dżwo-

nowej daleko, koło Shields, się rozlega, a gdzieś bliżej nieco słychać dzwonek wędrownego handlarza, co swój szlak, choć niewidzialny teraz, przemierza od barki do barki – metal monet metal jego towarów przyciąga. Wtem z mgły się wyłania w czółnach wiosłująca gromada dzikusów o obliczach diabelsko węglem malowanych, w których mowie dziwacznej, choć słowa jej nieznanne, jak nic pobrzmiwa gwara Durham. Któż to wyłożyć zdoła?

– To dzikie narzecze ciut jak z naszych stron w wymowie, czy nie?

– Pomalowali się...

– Tak, czarni niczym pył węglowy.

– Hej tam! Co to za miejsce? – imć Snow woła.

– Do Ameryki żeście dopłynęli, bęcwały!

– Dawajcie tu, poprowadzimy was do przystani!

– Ameryka? Ha?

– Te, niemoty! – Drapacz, groźny i szerniały, z mgły nadlatuje, Dodka nieomal muska i w nadbudówkę się wbija. – Atakuj! – Malec wrzask podnosi i niezdarnie na czterech po węglu umyka. I właśnie wtedy, niczym sfera spuszczone, odzywają się nagle gęstym chórem dzwony kościelne całej Ameryki, dziwnie w mgle wyraźne, a do tego tak cudzoziemsko nastrojone, iż grać mogą cokolwiek – arie operowe, jigi i gigi, hymny metodystów, włoskie serenady, pieśni marynarskie, brytyjskie ballady, a może i marsze amerykańskie.

– Słuchajcie no tam – imć Snow do mocy niewidzialnych woła. – Niczego obawiać się nie musicie z naszej strony, bośmy jeno prości, pokojowi ludzie, co się w tym niepospolitym mleku zagubili i radzi by byli pójść z wami, gdzie tylko każecie. – A pod nosem szepcze: – Węgla głodni. Niech nas znajdą. – Ostrożnie, pływy czując pod podszwami, krypę w głąb oparu kieruje. Tamci cicho siedzą i wszędzie kryć się mogą. Snow każdy plusk, każdą rzecz, co obok przepływa, omija szeroko. Wkrótce mgła rzędzie.

Zda się, iż u stóp dzwonnicy wielkiego miasta, u ujścia jakowejś rzeki podrygują na fali. Jakoby węglem czuć w powietrzu. Nad ich głowami szybuje nieporuszenie ptactwo wodne, znajome. – Czemuż trzymam, iż to, jak my, Geordie? – Snow się dziwuje. Ich twarze też im obce nie są. Lecz gdzie barek załogi zawsze równie ciche, co te tu? I czemuż oblicza pod tymi krótko strzyżonymi czuprykami tak niewzruszenie rozżalone? Zna tych ludzi Snow, a nawet Dodek mały. Po strajkach w '43 i '50 niektórzy z nich przed sądem stanęli i na galery ich skazano, choć mówiono później, iż ich do Ameryki zesłano. Cóż, skoro to Ameryka, oto i oni, u boku sławetnych bohaterów, w karczmach legendą owianych, co swe kufle, wielkie niczym balie, dźwigają – mistrzów w wyścigach barek znad Tyne brzegów węglowych, co nawet w Wearside są uwielbiani. – Dobby, czy to ty? Hej, hej! – Zda się, iż dla Dixona wszystkie te facjaty wirujące mu przed oczami, każdy kanka kupiona i zabrana, i głos nocny, melodyjnie uniesiony, w swoim czasie, prędzej czy później reprzyż wrócą w owej dnia ostatniego niewidzialności – a mgła, na chwilę, możebną taką Amerykę sprawiła, jakiej nie opisał jeszcze żaden wojażer, albowiem, choć bez liku druhów jego i najbliższych ostało, dotąd żaden nie wrócił.

A gdy w końcu widzi ów mały bryg węglowy – *Mary i Meg* – o żaglach nie pyłem węglowym umazanych, lecz czarnych z jedwabistym połyskiem, na moment w przerażeniu zamiera przez nieruchomość, z jaką barka na wodzie się trzyma, i gładkość jej żagli w świetle w Shields niespotykanym... Czy wcześniej krypa już była taka i jeno nie obaczył, myślami bez umiaru na wschód wybiegając? Czy też jest to jakoweś dobitne przesłanie, Ameryki tyżące, nie do niego adresowane, lecz innej osoby, której na drodze stanął?

Niebezpieczna to przeprawa – wzdłuż wybrzeża, na południe, do Tamizy, aż po Tower Bridge, zawsze pod wiatr, a często w sztormu szponach, wśród łań zdradliwych, po torach wodnych, co kształty swe wciąż zmieniają, niczym wijące się węże olbrzymie. Przy kanale królewskim *Mary i Meg* łapie nawietrzne pływy, ku Swin prze, mierz się wystrzega i sondy spuszcza. Wśród skał, płycizn i statków lawiruje zgrabnie, a tych ostatnich tu tysiące, każdy zaś w swoją stronę zmierza. Choć wygląd ma z piekła rodem, pragnie płynąć żwawo, skoro w sile, i wreszcie Dixona przywozi do Long Reach, za Gravesend, ku swemu miejscu cumowania się kierując podle kopuły św. Pawła, co z wolna od zachodu się wyłania.

Jutro Mason i Dixon podpisać mają swą umowę.

25

Panienska Tenia, skonfundowana, robótkę odkłada.

– Ależ wujaszku, wszak ta sprawa osiem lat dziesiątek w sądach zalegała, atoli gdy tylko Mason i Dixon między przejściami Venus bez zajęcia się znaleźli, wnet rezolucję wzięto, by pomiary w Ameryce przeprowadzić. Czyż twych podejrzeń to nie wzbudza?

– Mroczna dziewczyno, toż wszystko zagadkami być musi? Niebieskie zdarzenia osiem lat dzieliło – na nic tu człowiecze plany. Gdyby dłużej przyszło im było granicę znaczyć, zda się, iżby z jakowegoś w Ameryce punktu przejście wtóre byli uważali. Jak się zaś okazało, cztery z owych lat linii zajęło im kreślenie, a rok jeden zszedł w Delaware na stopnia jednego szerokości rachowaniu...

Ostatnie dni przed wyjazdem dżdżyste, wciąż deszczu nowe nadchodzą fale. Po półtorarocznej rozłące spisują w Londynie umowę z gruntów właścicielami, przez świtę referendarzy, prokurentów i osiłek otoczonymi. Już wycofują się chyłkiem artyści, ostatnie poprawki naniósłszy na szkicach, a Dixon, co sposobności tej czekał, do Masona podchodzi i kapelusz zdejmuje.

– Wiedz waść, iż z wielkim smutkiem nowinę o śmierci doktora Bradleya przyjąłem.

– Dziękuję ci za list, który napisałeś, Jeremiaszu.

Żadnego z nich to zamysł, lecz tak się staje, chyba jeno dla zwyczaju zachowania, iż przez wir mocnych trunków porwani, z którego Mason jałowcówkę mgliście pamięta i sceny jakoby z miedziorytu Hogartha¹ rodem, po dwóch tygodniach dopiero się ocknęli na mało obiecujących Falmouth ulicach. Miasto to chyzemu frachtowi oddane. Wieczna tu krzątana i o wielkie chodzi sumy; powozami z szóstką koni woźnice pędzą, tam i nazad posłańcy spieszą w galopie, migają najświeższych wieści pełne kurierskie torby. Opieszali goście ku brzegowi płyną od kolejnego statku, co o czasie w morze wyszedł, gdy już nowy do wyruszenia się sposobi.

Mason nos w swym kuflu piwa zanurza, cofa i na powrót przybliża.

– Ach, gdybym mógł był z Bradleyem pomówić. Czy pomnisz nasze wypłynięcie z Plymouth? Trud sobie wówczas zadał, by do nas zawitać – między kolejnymi bólu wizytami, gdyż choroba, która go do grobu wpędziła, jak powiadają, od nerkowych

¹ William Hogarth (1697–1764), malarz angielski, twórca satyrycznych miedziorytów ukazujących przywary społeczeństwa brytyjskiego, m.in. nadużywanie dżinu w „Gin Lane”.

kamieni. Na nadbrzeżu z dala od innych się trzymał, nawet od imć Bircha jowialnego, którego wszędzie pełno było... Mead z White'em na różnorakie liny i talie skazywali, jeden drugiemu terminologię poprawiając, zaś między mną a doktorem Bradleyem wywiązała się bez słów rozmowa.

Mason wyraźnie jest stroskany.

– Wnoszę, iż przeprosić mię przyjechał – rzecze. Tak jak inny, bez ogródek konceptu puentę, tak on rzuca swe pełne powagi wyznanie (albowiem, co sam często uważałem, bez względu na sentymenty, co na oblicze mu wylegały, imć Mason zwykł był wygłaszać nawet najdonioślejsze swe mowy miarą i tonem komediantowi z karczmy podobnym). – Wygórowane zasadziłem na tej misji nadzieje i na czystości owego wydarzenia. Patrz jeno, przed czym uciec zamierzałem. Rebeka, co kotwicą mię łączyła ze wszystkim, co o śmierci i narodzinach wiedziałem, na wieki stracona. Dryfowałem przez wody nieznanne, wśród Towarzystwa intryg i frakcji, ludów obcych i zamorskich kompanii. W trzech ciał niebieskich szeregu szukałem naiwnie chwili od plugastwa wybawionej, w jakim to nurzać mi się przyszło po kres mego żywota, lecz cóż... Nadzieje me, choć tak żalosne, przez *l'Granda* śmiercionośnego zostały mi odebrane. „Francja z naukami nie wojuje” – też mi coś. Tak oto brzmiało mosiężnego głosu przesłanie ni mniej, ni więcej: „Śmierć z handlem świata są zatrudnieniem i fakt ten nieprzyjemny poczuć musisz na własnej skórze, gdyż to, głupcze, za twą niepewną chwilę czystości zapłata”.

– Przekładałeś cały ów bełkot zabojadzki, przyjacielu? Piękna postawa, nie powiem, Masonie.

– Cóż, twą niesłabnącą pogodę ducha znając, pewien jestem, iż znajdziesz dla nas wyjścia drogę.

Z uśmiechem Dixon zaimek ów „nas” przyjmuje.

– Przedstawiam sobie – rzecze ostrożnie – iż na podobne chwile nie masz ceny.

– Ach! Miałem ci ja czasem taką i za pół korony – Mason mruczy. – Choć, z pewnością, twe własne doświadczenie...

– Otóż i Pod Robakiem. Może tu wstąpimy?

– Czemuż by nie? Wszystko jedno. Tam za morzem nikt nie wie nawet, co się kryje. Dzicy, dzicz. A my, miarkujesz, właśnie żeśmy umowę spisali, by na przestrzał przez te ostępy linię wymierzyć. Czy po oczach cię to, jako cokolwiek nieroztropne, nie bije?

– O Amerykanach nie wspominając...

– Cóż takiego? Ci przynajmniej wszyscy Brytyjczykami – nieprawdaż? Miejsce to ni mniej, ni więcej tylko Anglii skrawkiem, choć o trzy tysiące mil oddalonym. Czyż nie?

– Ha! Ha! Potrafisz, Masonie, swymi konceptami na duchu mię podnieść – nie trudź się, nic mi nie dolega.

– Zaraz, Dixonie! Powiadasz zatem, iż nie są Amerykanie Brytyjczykami? Gdzie to posłyszałeś?

– Nie bardziej niż ci z Kraju Przylądkowego Holendrami są, zda się. Chodzą słuchy, iż ludzie ci niewolników posiadają, podobnie jak nasi niedawni gospodarze... iż, tak jak tamci, zabijając mają w zwyczaju tych, co ziemie zdatne do zasiedlenia już zamieszkują...

– Następna kolonia niewolnicza... takoz i ja słyszałem. Jezu Chryste!

– Tak kwakrowie z Durham opowiadali, których krewni ślali listy zza morza. Lecz może kraj ten i przymioty posiada – pokarmy, białogłowy czy co tam, kto wie?

– Jak mniemam, ucieszy zapłata.

- Ze Staindrop będąc rodem – Dixon rzecze – nieczęsto z podobną swobodą to, co bezcenne, roztrząsam, aliści podróż nasza ostatnia wszystko po to jeno, by zdarzenie ujrzeć, co kilka godzin, a w miejscach niektórych i minut zajęło... A przedtem wojna, setki dusz za palisadę z bali, funtów tysiące za dzikusów paru skalpy... I tak przejście to handlowego sensu nie miało, za nic przecie...

- Sądzisz, iż nam zbyt wiele zapłacili? – Strach przed przyjaciela zapałem wnet się na obliczu Masona maluje.

- Czasem chyba myśl ta musiała przyjść im do głowy?

- A ściślej?

- Ech, nic to...

- Mówisz o listach pewnych, czyż się nie mylę?

- Tego to ja nie powiedziałem.

- O liście do Bradleya? To przezeń, trzymasz, po uszy w bigosie siedzimy? Mnie masz, iż kiedyśmy list ten podpisali, to jakoby wyrok banicji na siebie? Lecz wszak znów nas najęto.

- Niespodziewanie.

- Pewność mam, iż z win jesteśmy oczyszczeni. Strumień czasu zmył wszelkie podejrzenia, blask gwiazdny uleczył żale... Cóżemy takiego zresztą uczynili, z czego nas rozgrzeszać było trzeba? Wyjawiliśmy jeno naszą niezgodę na to, by dać się niczym owieczki zarznąć.

- Tak, a oni na to, iżemy tchórze i powinnością naszą przeć dalej.

- Nie inaczej.

- Na co myśmy się grzecznie skłonili, usłuchali i na tym samym okręcie wypłynęli, co przedtem niemal spod stóp nam kulami zmieciono. Powinność spełniona.

- Więcej jeszcze – nie tylko przekłete przejścia obserwacje, lecz i długości pomiar był im sprezentowany.

- Tę ich miejscową grawitację, niech ją diabli...

- Do kroćset, Dixonie, przednią wykonaliśmy robotę, z pewnością większej wagi niżli jeden list do Bradleya – Panie świeć nad jego duszą – atoli, z trudnością mówić mi przychodzi, nawet teraz z jaką trwogą i konsternacją to przyjąłem, iż się tak mną wysłużył...

- Rzec chciałeś „nami”...

- Może i tak – choć kogóż mocniej ubodła szorstkość jego odpowiedzi, gdy wiarę dałem, jakże bezrozumnie, iż coś więcej nas łączyło niżli ta niekończąca się, obmierza Towarzystwa intryga...

- Nikczemność ich rzecz to dla mnie nienowa – Dixon cicho rzecze. – A i podobieństwu takiemu czoło stawić musimy, iż już do końca życia, choćbyśmy niczym Aleksander walczyli, a Herakles harowali, w pamięci ostaniemy jeno jako ci astronomowie, co przed ogniem umknęli.

- A i uciekłbym, gdyby tylko dokąd było! – Mason krzyczy. – Śmiałe zaiste ostrze ironia ta posiada!

- Ha? Cóż... ja aż tak to się nie bałem... choć... czułem, przyznaję, jakoby...

- Hola, hola! Kto rzekł, żeś był złękniiony?

- Kto? Czyż ja...

- A ty się bałeś? Bo ja nie. Sądziłeś, iż zdjęty byłem strachem? A ja, iż to ty trząśles portkami...

- Cóż, pamiętam, iż jak każdy nie byłem skory, by pod wodnicą przepaść jako wejść, wybaczą, nędznej łajby...

- Paniką, zda się, byłeś zaślepiony – Mason powiada. – Dzięki Bogu, iż większy spokój zachowałem.

- Niżli co większy? Półtorej godziny wybuchów piekielnych i wrzasków konających? Cóż za kontemplacyjne masz usposobienie... Jeszcze z ciebie, przyjacielu, kwakra zrobimy.

- Nie zezwolą mi naówczas astronomią się parać – anglikanie jeno w tej profesji mile widziani. Nigdy już bym w stolicy gwiazdy nie namierzył, każdemu szynkarzowi w Greenwich podobiznę mą pokażą. Boże uchowaj!

- Nie mogę pojąć, z jakich miar znów nas najęli.

- Ja także. Atoli oni, iż nam to wiadome, trzymają. Pobudki ich własnym głębią najmniej równe w Londynie nam przypisują. Muszą, gdyż inaczej kręcą się bez celu. Człkiem być można ze wszech miar płytkim – weźmy na ten przykład ciebie, prostego syna wrzosowisk czy też, jeśli wolisz, nieokrzesanego Geordie...

- Cóż, zgoda, lecz nieobce mi komeraże. Starczy nie dalej jak do Bishop pojechać, a i w Staindrop knowań ci pod dostatkiem, choć przyznać muszę, iż londyńczycy w każdym rozmówcy słowie i twarzy drgnieniu wiecznie ukrytych treści się doszukują, których czasem goła nie ma wcale.

- Dopiero ostatnimi czasy odkryli metafory proste. Nim zmiarkujesz, już są obrażeni – albo o tobie opinie gotową mają, czy też obmawiają cię za plecami, a nigdyś do końca pewien, który gest czy słowo zawiniło.

- Tych, co czują podobnie, „prowincjuszami” zwa, jak wnoszę.

Mason głowę spuszcza.

- Aliści, mniemałem, iż przejąłem znad Tamizy sposób rozmowy, ową mowę filozofów, ich najnowsze mody – iż wieśniaka w zupełności stłumiłem w sobie.

- W Bishop porzekadło mamy: „Chłopak prowincję opuścić może”...

- ..., „lecz prowincja nigdy chłopaka”. Wiem, wiem.

- Nie, to nie to. ..., „lecz dziewczyna nigdy nie opuści miasta”, tak to idzie.

Mason wpatruje się w niego i głową kręci.

- Co proszę? Cóż to znaczy?

- Cosik o niewieścim usposobieniu?

- Nie wierzysz, iż nam w Towarzystwie Królewskim przebaczone?

- Czy kiedykolwiek przebaczą? Choć w końcu to oni na pochopnych i dziecinnych wyjdą, my zaś będziemy uważani za ludzi, co się wykazali klasą odwagi, teraz u nich przez świat niewidzianą.

- W końcu? Dobry Boże...

- Cóż, nam tego dożyć nie będzie dane.

- Zatem umrę tchórzem w księgach zapisanym. Wybornie. Zhańbiony na wieki, ja i moi synowie. Ach, dziękuję, Dixonie, cudownie, niezrównanie otuchy dodajesz.

- Albo też – Dixon artykułować wyraźnie się stara – jednym będziesz z dwu ludzi, którym honor bunt nakazał, mimo świadomości, iż owi szubrawcy na stolcach ich utemperują.

- Co to, to nie ja, jak rzekł Chauncey, gdy wysłannicy szeryfa weszli. Niczego podobnego sobie nie przedstawiałem. A ty? Iż porażka nam pisana? – Z wigorem głową kręci, jakoby miał coś na niej, czego pozbyć się pragnął. – Czemuż u licha ów list podpisałeś?

Dixon ramionami ściska.

- Prawdę mówił Emerson. To Towarzystwo twoje, źli to ludzie, sprzeciwić im się trzeba było. Jakoś.

- Łagodniej bym to ujął. Staraliśmy się poddać pod ich rozagę nowy cel naszej wyprawy, z listy wzięty wszystkim znanej, do którego na czas dobić było podobna.

- To, iż Skanderun waćpan skazałeś, wielce było nieszczęśliwe. – Maskelyne rad

był Masonowi oznajmić, wpiersw do wdania się w krytyczną dysputę o misji przyładkowej go skłoniwszy, na którą to, podług młodszego astronoma, każda błędna rezolucja Masona się składała.

– Jakże to? – Mason zaoponował. – Nie mój to koncept. Wszak Skanderun od zawsze na liście stało.

Szczwany lis, Maskelyne, szcur raczej. Oczy jego ustać w miejscu nie umiały. Wokół Masona krążył, nad miarę podekscytowany.

– Nie przypuszczam, iż pan Peach o Kompanii Lewantu z waćpanem rozprawiał... owym ruchliwym szlaku, którym przez Aleppo muśliny wożą i bombazynę ku morzu, do składów faktorii w Skanderun?

– Imć Peach z Aleppo handluje – by tego nie czynić, nie stać nikogo, kto w jedwabiu obeznany – odrzekł Mason. – Atoli, niestety, kwestii tych nie poruszaliśmy nigdy w rozmowie, Bóg wie czemu.

– Żydzi – Maskelyne ogłosił, wnet żałując.

– Ach tak. Pozwól, iż upewnię się, czy pojmuję. Mnie i Dixona Towarzystwo do Kapsztadu posłało, dług u Holendrów raczej niżli Żydów zaciągając, coby za sobą obserwację z Skanderunu pociągały.

– Wyłożył pospiesznie – Mason Dixonowi opowiada – iż propozycje handlowe przez Kompanię Wschodnioindyjską winny być składane, która najdalszy zachodni posterunek w Bagdadzie posiada. Stamtąd doliną Eufratu, o Mosul zahaczając, po Aleppo, najdalej na wschód wysuniętej faktorii Kompanii Tureckiej, depesze podle sposobności przesyłane – w felukach, pod skrzydłami gołębi cudownych, w pamięci posłańców wprawiającej w zdumienie – tam i nazad przetaczają się wieści bałwany, rzadko która z nich na papierze spisana. Tak to od dawna kompanie dwie zażyłość umacniają. Dla astronomów na Świętej Helenie czy nawet w Benkulen wszystko prosto urządzone, a dług wdzięczności widoczny jak na dłoni. Lecz gdy rośnie „zawiłość” przysługi, cóż, rośnie także płaca, zaś powinności Kompanii mniej jasne, osobliwie, iż turecki szlak do Indii klientelę traci na rzecz nieprzerwanych korowodów statków wkoło Przylądka przez K.W.I. posyłanych, a tymczasem o to boje trwały, kto ziemie te, przez kupców opuszczone, dostać ma we władanie – szarifowie, janczariowie, Turcy osmańscy...

– Czegóż to Żydzi by wymagali, a Holendrzy nie?

– Czy... czy nowa to zagadka?

– Nie pragnę, by się w tym więcej doszukiwano niżli ciekawości odrobiny – Dixon powiada – lecz z jakich miar każde miejsce obserwacji przez Towarzystwo Królewskie wysuwane poselstwem, faktorią czy innym posterunkiem być się okazuje jakowejś kompanii przywilejem królewskim utworzonej?

– Wybacz, lecz czy wolałbyś zatem, by cię w sercu dziczy ledwie zbadanego kontynentu porzucono? Bez granic bronionych – w rzeczy samej, bez szans na przetrwanie. W maliny w-puszcza-ni. Ja pięknie dziękuję. Chyba zgodzisz się ze mną, iż dla działań filozoficznych sprawnego przebiegu niezbędne jest nad otoczeniem najbliższym panowanie, które to kompanie przednie zapewniają, mniejsza o to, czy brzeg Lewantu czy Sumatry. Tak czy owak, zawsze dba się o granice wpływów kompanijnych.

– W każdym razie – Mason Dixonowi powiada – i Pensylwania, i Maryland ponieważ są kompaniami. Kompaniami z królewskiego nadania. Zda się, iż świat cały z coraz większą ochotą podobną formę przybiera.

– A ja miałem, iż to sferoida...

– Igraszki słowne ci w głowie. Baw się, baw, nie kłopotcz podobnymi kwestiami.

– Mason wzdyga się. – Aliści nigdy ci nie mówiłem, jak wielce cię podziwiałem, iż na Przylądek wróciłeś. Dla mnie podróż ta niemożliwa. Gdyby jakowaś nieczysta siła z tego czy innego świata rodem skazała mię na doświadczenia tego powtórzenie – a wiedząc, co wiem teraz...

– Rzecz jasna, tkwi w tym haczyk – Dixon rzecze, spokoj udając.

– Co u...

– Wiedząc, co wiesz teraz. Próżne nadzieje. Picie z Lete i wspomnień utrata w cenie się zawiera. Świat kolejny będziesz miał za na wskroś nowy, czyż nie? Wszak nigdy czegoś podobnego nie uważałeś! I stare błędy popełniać ruszysz śmiało. Chyba iż z sobą mementora weźmiesz, jak niektórzy by sumienie zwali. Coś co za pasek u buta zatkniesz, by cię w dzień chłodny pokrzepiało – a chłodno będzie. Dział twej duszy, co na wspomnieniach się nie opiera, co głębiej niżli one leży...

Mason przygląda mu się bacznie. Pewnikiem, gdy był w Durham, coś się stało. Poczyna przeto grać nadętego, licząc na to, iż Dixon przynętę połknie.

– W Kościele anglikańskim czegoś takiego nie mamy...

– Doprawdy? Gdybyście na mszach waszych tyle milczeli, co my na naszych spotkaniach¹, nawet dla ciebie jasne by to było.

– Powiadasz, iż zbyt dużo jak na twój gust gadamy? Nie dość Hindusom podobnej medytacji? I muzyka, jak wnoszę, niedobra. Cóż, racz wiedzieć, iż w mym kościele większość wiernych końca ciszy doczekać się nie może. Wszystkie strapienia nasze, pospolicie przez chroniący szmer odgłosów na dystans trzymane, wówczas pędem ku nam wracają – kobiety, praca, zdrowie, władze – wszystko prócz tego, o czym rozprawiasz teraz – czymkolwiek by to było.

– Masonie, czy pragniesz wdać się w religijną dysputę?

– Dobry Boże, Dixonie. Do czegoż zmierzamy?

¹ Kwakrzy nie odprawiają mszy, lecz spotykają się w celu kontemplacji.

Część druga

Ameryka

*Osiem już lat dziesiątek dysputa owa trwała,
 Lecz by uzgodnić kraj włości ilość czasu zbyt mała.
 Rodzili się i marli rodów obu dziedzice,
 Tocząc wciąż bez konkluzji spór o ziem swych granicę.
 Choć z przyrodzenia w tej kwestii mocniej stali Calverzy,
 Pennowie mieli u sądu bliskich sobie szalbierzy,
 Co z wielkim staraniem rozważą każdy sporny akt
 (w klubach stoją zakłady, iż wygra radziej kwakr).
 Cóż, dajmy sędziom sądzić, a palestrantom radować.
 Rychlej bądź później na mapach linia zjawi się nowa,
 Gdyż zda się, iż mi na ręce jakowy cactus wyrośnie
 Nim rodzaj ludzki okazję porzuci na większe włości.
 Z tych miar, razu jednego, w delawarski basen
 Wpłynęli rejssem z Plymouth imć Dixon oraz Mason,
 Których losem spółnym władały jeno gwiazdy,
 By mierniczymi bliznami oszpecić grunt tu każdy.
 Timothy Tox, „Linia”*

Od wybrzeża słyszą głosy sprzecających się mleczarek i rozedrganych dzwonek krowich dzwonięcie, kwilenie niemowląt, pokrzykiwania dzieciarni, młotki w gwoździe walące, żony mężów tłukące, pokrywadła na garnkach, studzienne kołowroty – strzał z zagajnika od drzewa do drzewa się odbija i po wodzie niesie... Zwierz na cypel wychodzi, staje i uważa ich zwięzonymi oczami, co lśnią krótką chwilę. Gdy mijają go, wzrokiem ich odprowadza. Ameryka.

O zachodzie słońca przylądki Delaware obaczają i nocą, tuż za przylądkiem Henlopen, na redzie Whorekill sztormują. Gwizd relingów uszu astronomów dobiega i dryfkotw zwierzęce piski, co jednemu ruje, a drugiemu rzeź na myśl przywodzą, atoli nie dzielą się owymi przemyśleniami. Gdzieś boja kanału żeglownego buczy, a jak noc długa meldunki o światłach na brzegu napływają... Marynarze po pokładach się kręcą, sen tracąc. Ze świtaniem pogoda klaruje się nie do poznania. Kucharz Konus kawę raz parzy, po czym przez jej własne ziarna jeszcze raz przelewa. Między mieliznami Hen-and-Chickens a Shears kapitan Falconer swój statek w porannej bryzie prowadzi na powrót do głównego kanału. Tam, na pokład wzięwszy pilota, co przystał na daną zapłatę, poczynają się wśród mierzei i płycizn zatoki Delaware przedzierać ku New Castle, gdzie zatoka, już w rzekę zwięzona, pod kątem

prostym na wschód skręca, a z nią i miasto całe, w oddali, po lewej burcie – cegły, biel i błękitu odcień zszarzały, obu astronomom nieznany. Mieszkańcy machają z pociechami, konie o bruk podkowami stukają, chorągiewek łańcuchy na tle nieba suną, takielunkowi podobne.

Drogie dziatki, w owym czasie była Filadelfia drugą po Londynie metropolią największą, w której rozbrzmiewała angielska mowa. Dzięki Dock Creek, statki w głębi miasta cumowały, zatem przez ostatnie rejsu minuty zdawało się, iż budowle podróżnych otulają z wolna – wiatr cichł, Filadelfia ręce wyciągała i brała gości w swe ceglane ramiona, oceaniczne ich Stopnie Swobody posobnie połykając – wprawdzie tyle ich mieli, ile kompas w naktuzie, później, gdy już wszystkie cumy z brzegiem spięły, gdy czujek się pozbyli, coraz mniej, aż wreszcie, w miejscu stając, ani jednego. Oto niebezpieczeństwa port jest macierzysty, gdzie żeglarze osiedlić się rozważają i rozsądek ich fatalnie zawodzi. Gdzie trafia się, iż marynarz, w zaułku zniknąwszy, tą samą osobą z niego nie powraca.

Środek jest listopada, choć od angielskiego lata późnego, zda się, iż różni się niewiele. Wieczór pochmurny i na deszcz się zbiera. Na uliczce w pobliżu ostrygi z wybrzeża Delaware na wozy przedawane zachwalają. Jeometry na instrumenta czekają na tylnym pokładzie – Mason w spodniach brązowych, pończochach szarych, tabaczkowym surducie z tombakowymi guzikami, Dixon zaś w surdut szkarłatny i spodnie odziany, w butach wysokich i kapeluszu podle żołnierskiej mody. Silniej niżli podczas całej przez morze przeprawy czują się teraz obaj ładunku opiekunami. Wokół nie morza wzburzone czy egzotyczne widoki, lecz atlantyckiego handlu przedmioty same, jako iż wszędzie dokerzy i marynarze się uwijają – kolebiąc suną w górę, jakoby bez pomocy, sieci beczek pełne, beczki te zaś napchane gwoździami i tonikami, węgorzami w galarecie i brytyjskimi herbatnikami, guzikami do kamizelek, wodą kolońską i złocistymi serami. Na nadbrzeżach niesłychana trwa krzątanina, furmanki woźniców mieszają się z par dostojsnych gigami, z Włoch rodem, a irlandzcy służący dźwigają na plecach najróżniejsze towary. Murzyni taczki pchają, psy biegają, knury ryją, a pod pieszych stopami walają się świadectwa światowej wymiany – resztki herbaciane, korzenne i kawowe, kałuże jałowcówki genewskiej i Królowej Węgier wody¹, pomarańcze i pompele, po upadku zgniecione, nasiona, co skiełkowały między brukowcami, a i pigułki na schorzenia wszelakie, bądź też balsamowe, rozrzucone i utarte tam, gdzie much gromady i wróble hycają...

Tragarze po trapach kufry znoszą lub baryłki turlają ku wozom, gdzie konie, tym ze wsi angielskiej całkiem podobne, ładunku i podróży czekają. Tymczasem ich pełnej krwi kuzyni zajeżdżają ze stukotem, ciągnąc w powozach szykowne młode damy, które krewnymi nie są nikogo na pokładzie, jak się zdaje, lecz odprawiają wzdłuż nadbrzeża defiladę, do każdej obaczonej osoby z szerokim uśmiechem kiwając. Otóż i filadelfijskie dziewczęta, które, jeśli o nierozważną flirtację idzie – co odkrywają astronomowie – swe siostry z kapsztadzkich stepów na głowę biją. Dixon, grając wiejskiego głupka, zęby szczerzy i kapeluszem wymachuje.

– Hej, Polly, czy to ty, skarbie?

*Filadelfijskie dziewczęta,
Filadelfijskie momenta,
Filadelfijski ton...*

¹ Produkowane do dziś perfumy na bazie rozmarynu.

Schodzący na brzeg wojażerowie uważani są przez portowych gości z miar różnorakich. Niektórzy naprawdę przybyli, by pasażerów powitać, inni wieści i fakty tu zbierają. Jeszcze inni, co braku baczości wypatrują, cały ranek niewinność w twarzy przed lusterkami ćwiczyli. Skore przywłaszczyci sobie to i owo indywidua kręcą się wśród skrzyń towarów drobnych, acz nęcących, jak to leki czy nieoszlifowane kamienie. Żeglarzy, którzy trzy tygodnie na morzu spędzili, przekupnie najróżniejszego sortu zagrzewają. Ci z nich, którzy wędrować wzdłuż straganów nie mają ochoty, niepomni nawoływań handlarzy mijają, do miasta pragnąc zdążyć, nim o zmierzchu w oknach pierwsze światła rozbłyśną.

– Mijajcie mię, chłopcy, mój skarb nie dla was. Do czegoż wam zaprawdę ów eliksir cudowny, przez całego świata kochanków najznamięnitszych wychwalany. Wy, tam, słyszeliście może o Don Juanie? Casanovie? A co z starym Q¹, Gwiazdą Piccadilly? Jak mniemacie, co podobnej zwawości mu przydaje?

– Mleczarka kieszonkowa, spojrzij jeno, chłopcze. Mleczarka kieszonkowa. – Dziwacznym, podróżnym kubkiem się okazuje, w prosty syfon zaopatrzonym, do noszenia przy sobie napitku dowolnego, który wyssać ze środka się daje. – Na wszelkie okoliczności, przy grze w karty, na ulicy, na statku pokładzie.

– Imię jej brzmi Graziana, panowie. Córą jest Neapolu. Dla tych z was, którzy w Neapolu bawili, he, he – dla tych, co nie, otóż i sposobność przednia! Może i po angielsku ni słowa nie powie, lecz coś przecie robić potrafi i właśnie to czyni! Uważajcie, jak się do tego zabiera, jak ugniata – jak w powietrze kręcące się wyrzuca, ze swego ludu godnym niewieścim zapałem, a *scamozza* wszak dopiero przed nami!

– Napis na wozie mówi wszystko, chłopcy. „Niebo albo płacz i zębów zgrzytanie”. Oto alternatywa. Bywaliście w świecie i wiecie, iż innej nie ma, cóż zatem teraz uczynić zamierzacie? Zająć do kolejnej tawerny lub, jak pies tresowany, pójść za błyśkiem taniej satyny? Zapędzić się o jedną kartę za daleko, by zyskać choć kilka drobnych monet? A później, z powrotem na statek krokiem chwiejnym i znów w morze, gdzie groźba pewna czeka. Jak, waszym zdaniem, Jezus się czuje, widząc, iż kolejną szansę odrzucacie? Ach, on patrzy. On wie.

Wszędzie w Filadelfii widać ślady niedawnej wizyty porywającego ewangelisty, wielbnego MacClenaghana, który ponoć Whitefielda pokroju jest osobą. Nadęci, anglikańscy mieszczenie, dla których Syn Boży dotąd pomniejszą był wśród świętych figurą, nagle, w perukach na bakier, hymny o odrodzeniu się w Chrystusie na mieście śpiewają. U wejść do tawern i karczm na grzeszników różnego pokroju i wszelkich przekonań polują prezbiterianie – wozami o płóciennych dachach na wieś ich wywożą, gdzie żarliwych kazań obstrzałowi poddani, porwani albo ucieczką się salwują, albo zasypiają, albo też nawracają niewątpliwie. Nawet kwakrzy wylegli na ulice i z zapałem niesłychanym o swój dział mieszkańców zabiegają, tak raptownie religijnie rozbudzonych.

– Nowa religia² w siódmej dekadzie więcej zwolenników zyskała niżli dwadzieścia lat wcześniej – Wielbny Cherrycoke klaruje. – Nam zaś coraz gorzej się wiodło, a od możebnego upadku ogromu coraz srożej w głowach kręciło. Zmierzaliśmy wprost ku jakowejś wielkiej synklinie, której głębokość potworna nikomu nie była znana.

– Nieznana jest teraz – Ethelmer rzecze, znowuż ponury. Jak to często bywa, Wie-

¹ William Douglas (1724–1810), książę Queensberry.

² Kościół metodystyczny.

lebny na Tenebrę zerka, by obaczyć, jak się odniesie do słów kuzyna, na uniwersytetach człeka uczonego. – Z całym poszanowaniem, czyż nie było warto, w imię nauki, na owych nawróconych mieć baczenie? Sprawdzić, co porabiali, jak długo pewność ich trwała, kto prawdę mówił, a z niej ile.

– Och, niechybnie szubrawcy się trafiali – Wielebny powiada – dla zysku kłamstw się dopuszczający, co Wszchemogącego by nie poznali, choćby ich po imieniu wołał. Dość jednakże ludzi głos Pański słyszało, by szarlatani snadnie byli demaskowani. I to właśnie nurtuje – powszechność owego doświadczenia.

– Winienesz był być w mieście, gdy Whitefield tu bawił. Cała Filadelfia psalmami rozbrzmiewała. Ludzie na drabinach u okien kościoła stali, od pochodni zaś niczym w południe jasno było. Niegdyś jeno pustelnicy na pustyni mogli krwawym potem za przywilej poznania Chrystusa płacić – dziś, pośrodku najprzedniejszych gruntów ornych Ziemi, w jednej chwili i darmo mieszczanom jest to dane. Dość serca otworzyć. Jakże możebne, iż świat po dniach podobnych nie został odmieniony? Toż to Duch Święty Amerykę podbijał. Jerzy III pretensje rościć może, lecz to Baranek rządził, a i nadal włada, nawet w deistów epoce.

– Dalibóg – DePugh rozważa. – Nic dziwnego, iż na rewolucję przyszła pora.

– Phi, też mi rewolucja – Eufrenia prycha.

– Reniu, na Boga! – jej siostra woła.

– Jak to? – Ethelmer oponuje. – Pani wybaczyć raczy. Skoroś zmian w uprawianej przez się muzyce świadoma, pomniżże te słowa: „Nigdy nie zmienia się styl w muzyce bez przewrotu w zasadniczych sprawach politycznych”. Tak w „Rzeczpospolitej” Platona stoi¹.

– Wnoszę, iż z dytyrambistami toczył on spory – Wielebny wtrąca zgrabnie – co form pieśni, jak mniemał, nie zmieniali, jeno łączyli i przeplatali lub zarzucali zupełnie, jak im szaleństwo dyktowało.

– Tego właśnie, Ethelmerze, z utęsknieniem nasłuchuję – przyznaje Eufrenia – w pieśniach i hymnach w Ameryce ostatnio pisanych, lecz na próżno wyglądam szaleństwa czy zachwytu. Nic nad baczone starych form przestrzeganie, z dawnych dni wciąż inspiracje. A dałeś pozór, jak wszystko teraz, nagle, ku B-dur zmierza? To dopiero kłopotów zapowiedź. Marsze i hymny triumfy sławiące, które się jeszcze nie ziściły. Już dziś można po Nowym Jorku wędrować, do grajków ulicznych melodii pogwizdując – różne utwory, lecz tonacja ta sama.

– Atoli... Jeśli mogę? – Młodzieniec za szpinetem się usadawia i kilka prędkich akordów durowych pasażem rzuca. – W C, jeśli wolicie. Oto coś, co śpiewam wesoło z moimi kompanami, gdy w wolnej chwili poza murami uczelni bawimy. „Do Anakreonta w niebie”² nosi miano. Słów oszczędzę, by uszu nie razić czasem jakowejś bardziej niewinnej wśród zgromadzonych osoby.

Tenebra wynalazła i do perfekcji opanowała nową metodę wywracania oczami tak, by nie dostrzegł grymasu nikt prócz jej ofiary, na której wrażenie ponoć kolosalne to wywiera. Trudno zmiarkować u Ethelmera zmieszanie, na chwilę jeno, gdzie środkowe C leży, zapomina, a i mruga nad miarę.

Pieśń, którą gra, zdałaby się wojskową, gdyby nie jej miara, menueta raczej, wszystkiego trzydzieści dwa takty, co końca dobiegając, stopy do przytupywania zmusiły, a szyje rozbijały.

¹ Ustęp III Księgi IV w tłumaczeniu Władysława Witwickiego.

² Niegdyś popularna piosenka biesiadna, obecnie melodia hymnu Stanów Zjednoczonych (słowa dopisano w 1814 roku).

– Oto, jak trzymam, Nowej Formy kwintesencja. Cztery zdania – „sandwicz”, mówiąc piśmiotliwie, taktami na trzy ósme smakowicie wypełniony, a owa fraza – grąją – wznosząca się niczym strzała, wznieca proste uczucia tym podobne, których doświadczamy w akcji...

– Kuzynie?

– ...akcie... akcie... jedzenia. Nic innego na myśli nie miałem. – Ręce z miną durnia rozkłada.

Tenia paluszkami mu grozi, choć jeno w zabawie, co Wielebnemu przychodzi dojrzyć snadnie.

– I na tym właśnie czas wam, młodzikom, mija tam za Delaware? – beszta go do broduśnie. – Biesiadnych piosenek anatomie roztrząsacie? Czyż nic świętego nie ma? Czy, gdy już wam i wyliczanek nie stanie, przierzucicie się na tych, co Ziemią władają, a może i Niebem?

– Tak czy siak, coś się w muzyce kroi – wtrąca ciotka Renia. – Dawniej większość utworów nowych suitami tanecznych melodii była albo też, na ranek niedzielny, hymnów podobnym szeregiem. Myśli przewodniej nie stało, to giga, to bourrée, to sarabanda, la la la, truchtem przez żywota komplikacje, a jakże wesoło, rzecz jasna. Aliści, od niedawna, podle mego gustu granie, Ethelmerze – plikiem nut wymachuje – zawsze początkiem podróży zaczęte, po którym serca burza przychodzi (taki zda się owych sandwicz obkład), no i wreszcie powrót do toniki, mej bezpiecznej przystani. Nawet pod koniec grać głośno nie trzeba. W rzeczy samej, Zachodnia Linia Masona i Dixona – oznajmia, obój swój ostrożnie o krzesło opierając – owe nowoczesne motywy wyprawy i powrotu w sobie zawiera. Takoz, z roku na rok, ritornele to nie jeno te same nuty bez końca, lecz inne za każdym razem, albowiem zegar nieubłagane godziny odmierzał, los raz błogosławieństwa, raz nieszczęścia zsyłał, życie, czyż rad czyś nie, przemijało...

– A ku zachodowi zmierzać – Wielebny, dopomóc pragnąc, dodaje – niczym Słońce, to żyć, dzieci chować i się zestarzeć, aż wreszcie umrzeć, nurtem dnia niesionym będąc. Natomiast ku wschodowi się zwrócenie to jakoby latom i wiekowi się opierać, pod wiatr przeć, wciąż szukać świtania, a nawet, rzecz można, śmierci się przeciwstawić.

– Dramatyzm pewny zawsze, gdy oboistka za instrument swój chwyta. Powieść muzyczna, której bohater, miast na gościńcu przeżywać coraz to nowe przygody, raczej katastrofy doświadcza i do punktu wyjścia wraca.

– Wszak nie ma jak w domu – Lomax LeSpark się śmieje.

– Cóż, niezbyt rewolucyjnie brzmi to dla mnie – stryj Ives powiada. – Prędzej niczym dobre kazanie, którego celem jest miejsce w szyku wieśniakom skazać.

– To dlatego, stryjaszku, iż nie słuchasz jak należy. To stare porządki wywrócone do góry nogami. – Ethelmer z werwą wystukuje fragment utworu o tym tytule, co z okazji poddania się Cornwallisa¹ grano. – To wielki krok w myśli człowieczej rozwoju.

– Oj, Boże, Boże, strzeż się zatem. – Wielebny wzdycha, jakoby od bólu żołądka, którym tłumaczył się będąc proszony o słów powtórzenie – a wdychać się tak uczył. Ethelmer groźnym mu się w pewien sposób zdaje, nie tylko przez wzgląd na Tenebrę, którą ostatnio coraz większą serdecznością darzy, z czego rodzą się

¹ Brytyjski generał Charles Cornwallis poddał się 19 X 1781 roku wojskom amerykańsko-francuskim pod Yorktown w Wirginii, co przesądziło o zwycięstwie Amerykanów w wojnie o niepodległość.

mniej lub bardziej szlachetne uczucia. Atoli, gdy pominąć to wszystko, pewna hedonizmu doza w chłopcu dostrzec się daje, nawet w powojennej Filadelfii widoczna Babilonie – deizmu o włos przekroczone granice, zamierzone Chrystusa się wyzreczenie...

– Powiada się, iż ballad śpiewacy z południa miasta – Ethelmer tymczasem zebrany wykląda – a osobliwie tenorzy, całe pokolenia, tworzą w sekretnej historii muzyki rozdział nowy. Jeśli modalna to nie będzie zmiana, której się Platon obawiał, to taka, której filozof nie przewidział.

– Nawet on sam. – Jego kuzyn DePugh jest poruszony.

– Właśnie – Ethelmer woła, ku trunkom począwszy się skradać, świadom, iż będzie zmuszon przejść obok Tenebry. – Otóż i rewolucyjnych czasów oznaki, uliczne pieśni w kościołach śpiewają, biesiadne stają się hymnami, tak jak się Platon tego obawiał. Znacie murzyńskie melodie, owe kwinty o pół tonu zmniejszone, wokalne *portamenti* – oto wasza rewolucja śpiewa. W Ameryce przeszła dekada to jeno różnorakie rzezie. Teraz początek przemiany świata przypada.

– No, nie wiem, kuzynie. Z muzyki nowej jeno czerpiesz większość swej wiary.

– Cóż lepsze? – młodzian pyta śmiało. – Czyż to nie samych machin miara, huk manufaktur, bałwany o brzeg bijące, werble nocne, ach, gdyby nazwać się to chciało...

– Muzyka grzywaczy! – DePugh woła.

– Perkusja – Tenia rzecze słodko.

– Za koncepta pięknie dziękuję, atoli zobaczycie. Niewiele czasu minie, a ty, DePugh, będziesz się z karaibskimi Murzynami w jakowymś zaułku targował o cenę przyzwoitej gitary, na której mógłbyś wygrywać ową muzykę, ty zaś, panienko, na własnym weselu do niej zatańczysz.

– To zatem winienes nosić na głowie – Tenia, całkiem w swym żywiole, poddaje – jeśli cygańskie ci się marzy zatrudnienie.

I zwój szkarłatnego muślinu z koszyka wyjęty w okamgnieniu Ethelmera czuprynę osłania.

– Raczej pirat niżli Cygan – kuzynka wyrokuje.

– Atoli równie, na swój sposób, romantyczny...

27

– „Demagoga”! – doktor Franklin¹ mamrocze. – Dziedzic kryptojezuickiego rodu, nasz Penn wspaniały, co zawarł z imć Allenem² szatańską umowę i bezwstydnie gmin prezbiteriański względami darzy, teraz czelność ma o „stłamszeniu tego demagoga” mówić! Demagoga, też mi coś, doprawdy... Milton trzymał, iż nieczyste to słowo, wszelako i patriotów dobrych najwyraźniej opisywać może.

– Chwała patriotom! – Kubek unosząc, Dixon popędliwy woła.

Doktor Franklin każdemu z nich z osobna się przygląda przez okularów swych soczewki przyciemnione, które sam zmajstrował, by go blask słońca nie raził. Stosownie do słów, jakie nos moduluje, szkła te to niżej, to wyżej się na nim opierają, co wrażenie sprawia, jakoby ich właściciel ze stron zaprawdę dalekich pochodził.

¹ Benjamin Franklin (1706–1790), amerykański mąż stanu, również wybitny uczyony i wynalazca, wydawca i drukarz.

² William Allen (1704–1780), ówczesny przewodniczący Sądu Najwyższego Pensylwanii.

Jeometry wpadli na osławionego filadelfijczyka na Locust Street, w czeluściach apteki, gdzie w nikłym świetle i wśród ostrych woni każdy z nich na inną potrzebę medykamentu szuka. Nalewkę Godfrey'a i Krople Batemana, Pastylki Niewieście i Leczniczą Tabakę, wszystko znaleźć tu można na półkach i w pakach. Wśród towaru targi pospiesznie są dobijane, a szeregi cyfr, liter i alchemicznych znaków szeptane na ucho – część pisma nie obaczy nigdy. Tymczasem ciepły wiew wieczorny, ledwie wyczuwalny, co jakoby się od jakiejś krainy dalekiej niesie, gdzie na polach schną zioła, skład apteczny cicho w posiadanie bierze, jego rozmiary, prawomocność i przeznaczenie niemożliwymi czyniąc do oszacowania.

Dixon właśnie do ekspedienta podchodzi, który go za jednego z tych przybyszów z Anglii bierze, co w chińskie specyfiki gorączkowo zaopatrzyć się pragną.

– Cokolwiek doskonale się nada, byle z opium było. Do tego spirytus, rzecz jasna, by trzymać rzecz w roztworze... hm... może jakowąś recepturę, co z Eliksiem Daffy'ego współgra ładnie, którego to zakupić zamierzamy... ile skrzynek to było, Masonie?

Mason zwraca ku niemu głowę zbyt dotkliwie świadomy, iż znakomity filozof amerykański ich uważa. Nadzieję miał choć szacunek okazać mu należyty, lecz prostacka poufałość Dixona ją odebrała – ot, kolejną stację drogi krzyżowej zdzierżyć musi.

– W twe ręce kwestię zapasów oddaje. W razie wątpliwości imć McCleana się poradź – powiada, wzdrygając się na myśl, jak słowa te przez uczonego są odbierane.

Dixon, nadal wesół, krąg chustką w powietrzu zakreśla beztrzesko.

– Sto skrzynek na czas równie długi starczyć, jak mi niemam, winno, co się zaś owego specyfiku z opiatów tyczy..

– Laudanum go zwiemy. Podle oryginalnej receptury słynnego doktora niemieckiego Paracelsusa¹ warzony.

– Sto skrzynek? – Mason krzyczy. – Czy rozum ci odjęło? To pobożna prowincja. Podobnego zakupu nie uznają.

– Różnorodnym schorzeniom zapobiega, a na zaparcia doskonałe, co, zważywszy na niepewne jądło..

– Plenipotenci waszych chlebobawców dobrze Elikzir Daffy'ego znają, jak i wszelkie jego użycia. – Doktor Franklin, przysłuchujący się do tej pory, czuje, iż wypada mu wtrącić dwa słowa. – A jako iż zza morza przywożony, tyle co i w Anglii kupcy liczą za niego. Atoli za część dziesiątą oburżającej tej sumy imć Mispick, nasz drogista, sporządzi dla was *salutis* pierwowzorowi bliźniaczy. Lub też swe preferencje mu zdradźcie, co do stosunku senesu do jalapy², który sort melasy was zadowala... tajniki daffiolatrii są mu znane, widział wszystko, nic go nie zdziwi ni urazi. – Po czym, uniósłszy palec skazujący, rzecze: – „Usłuchajcie mej rady, wszak kupcy to hieny – nigdy przeto nie płacicie detalicznej ceny”.

– Miły gest to, zaprawdę, ze strony waćpana. Pierwszeństwo nad mymi mają imć Masona wybory, zgoła bachiczne zdradzające upodobania, zatem, niestety, zadowolnić się muszę skromniejszymi wydatkami, z własnej chudej kiesy, by w filtra, z którego sam pożytek mieć mogę, się zaopatrzyć.

Doktor Franklin szklą unosi, jakoby Dixona obaczyć wyraźniej pragnął. Ku jego wargom, które, czoło marszcząc, zaciska, uśmiech sobie drogę utworować usiłuje, lecz bezskutecznie, gdyż jednym jest z tych ludzi, co wiedzą, która godzina, choć nikt nigdy nie widział, by na zegar spoglądali.

¹ Theoprastus Bombastus von Hohenheim (1493–1541), szwajcarski lekarz, filozof i przyrodnik.

² Rośliny o właściwościach przeczyszczających.

– Pójdźcie ze mną – na astronomów rażno kiwa. – Czyście kiedykolwiek w kafenhausie filadelfijskim byli? Zaradzić temu trzeba. Żaden przybysz przeoczyć wizyty nie może. Jedną czy dwie mam sprawy... Zróbcie mi ten honor, panowie, jedną filiżankę kawy wypijmy razem w Błękitnej Jamaice, zawsze tam chadzam.

– Dzięki kunsztowi znakomitej panny Davies – Mason wkrótce donosi – Londyn szklaną harmoniką waćpana jest urzeczony.

– Zrobiłem, co w mej mocy, by pannę Davis przekonać, iż zważywszy na instrumencie kruchość, każde silniejszego wibrato użycie okazać się może, jak najgrzeczniej rzecz ujmując, nierozważne. Atoli gra tak pięknie. Ma zabawka błaża szczęśliwie w ręce gromadki wirtuozów trafiła. Mój Boże. Jest i ów Mozart mały... a doszły mi też słuchy, iż Mesmer, ten młody doktor paryski, gra nań nad wyraz dobrze.

– Ów jegomość, co magnetyzmem się para? – Mason nie dowierza.

– Ten sam. Jak wnoszę, jakiś czas jest już T.K. znany.

– W Mitrze nazwisko jego niechybnie zaciętą dysputę wznieca.

– Franklin tam członkiem, ty zaś ledwie parę razy gościem byłeś¹ – Dixon pod nosem do siebie mruczy, a głośno rzecz, na równe nogi się zrywając: – Wybacz, przyjacielu, dokąd tu się człek za potrzebą udaje?

Doktor Franklin drzwi na podwórze mu skazuje, a gdy tamten za nimi znika, pochyna – jak się zdaje, pospiesznie – wypytywać Masona o młodego jeometry „koneksję z Calvertami”. Z pantaląku go zbija.

– O żadnych mi nie wiadomo. Przedstawiałem sobie, iż z racji kwakerskiego pochodzenia zdającym go w Pensylwanii znaleziono, lecz czemu w Maryland, zawsze pojąć mi było nie sposób.

– Calvertowie mieszkaniem w Anglii są ukontentowani, a jako że to katolicy, dzieci swe do szkół posyłają na kontynent, do St. Omer. Jeden z jezuitów tam uczących, niejaki Le Maire, z Durham jest rodem i dobrym znajomym Dixona nauczyciela, Williama Emersona...

– Zgoda, lecz o jezuitę mego druha spytać winienesz. Ja znam go jeno jako Boskovicza kompana – z dwu stopni szerokości we Włoszech rachowania.

– Taak. Z Rzymu do Rimini... – Franklin, za swymi storczykowymi szklami schowany, czeka, aż Mason sam podobieństwa zmiarkuje.

– Cóż się zatem święci? – Mason spoglądać w soczewki przyciemnione próbuje mniej zadziornie, niżli się teraz czuje.

– O to możesz kiedyś towarzysza swego zagadnąć i sam roztrząsnąć sprawę.

– Później zaś – Mason rzecz, nieco zaskoczony, gdyż Franklin zerka nagle ku niemu znad szkieł, kiwając zachęcająco głową – waszmości relację zdać winienem?

Doktor Franklin podciąga swe okulary.

– Nie, jeśliby to trapić miało waćpana. Atoli w niektórych strapieniach ulgę przynosi w czas Wszzechstronnego Balsamu Bena stosowanie.

– W niektórych. Na inne lekarstwa nie ma. Z jakich miar, doktorze, nakłaniasz mię, bym stanął przed tak, wybacz, obmierzłym wyborem?

– Ach, próba lojalności. Rzecz to podstawowa. – Franklin ramionami wrusza. – Błagam, nie wnoś, iżem obrażony – dorosły wszak jestem, poznałem ci ja dobrze odzrucenie. Dawno już, jak każdy człek rozsądny, z godnością się je przyjmować nauczyłem, a i bez rozżalenia, choć, by się w nim pograżyć, okazji pod dostatkiem miałem.

¹ W tawernie Mitra na Fleet Street w Londynie spotykali się członkowie Towarzystwa Królewskiego.

- Nie mogę go szpiegować dla ciebie, mości panie. Przykro mi, iż tu podobne poczęły panować zwyczaje, rzec by się chciało, włoskie w swej zawiałości. By w mej umowie stojące spełnić powinności, dość się natrudzę. A oto i imć Dixon.

- Czy znasz waść człeka o nazwisku Lewis? Powiada, iż zna ciebie, doktorze.

- Gdzieś go widział? - Franklin kosmyki włosów w długie loki po obu stronach głowy skręca.

- Tu, w zaułku. Próbował przedać mi zegarek. Zaklinał się, iż astrologowie maśońscy takich używają - ze znakami zodiaku i Miesiąca fazami.

- Chybaś nie...

- Nie starczyło. Lecz może któryś z was zechciałby mi służyć...

- Rad byłbym sam to cudo obaczyć. - Mason wstaje. - Pójdź, Dixonie, skażesz mi jegomościa tego.

- Ach, mniemam, iż już poszedł - Dixon rzecze, zawartości jakowejś fiołki do swej kawy wlewaniem pochłonięty.

Mason upierać się nie może, by nie wydało się jego pragnienie na osobności odbicia rozmowy, a że i jego ciśnie, ramionami wzrusza i wychodzi. Lewie znika, już Franklin za język ciągnie Dixona w sprawie koneksji nieprzytomnego ze Wschodnioindyjską Kompanią.

Dixon niewinnie spogląda.

- To ta angielska czy holenderska? Zawsze myślę...

Franklin na sfumiony wybuch śmiechu w końcu sobie pozwala.

- Przyjacielu Dixonie, lojalność to skarb niedoceniany, którego wartość poniewczasie dopiero się miarkuje.

- Widzisz, waść, wiele przeszliśmy razem.

- Ach tak. Cóż, nie sądzę, iż nazwisko Sama Peacha z Chalford obilo się waszmości o uszy?

- Czy to nie postać z „Opery żebraczej”? - Dixon z głupia frant pyta.

- Dobra nasza, ostawiam cię waść w spokoju, a oto i twój towarzysz wraca.

- Ów człek to chodzący skład z instrumentami - rzecze Mason. - Ucieszonych masz waść znajomków, doktorze. Peruka ciekawa. I do tego zagadkę mi powiedział. „Dlaczego król krótko widzącego kanoniera przypomina?”. Odrzekłem, iż jak nic sam odpowiedzi nie zna, lecz doktor Franklin z pewnością.

- Mości Masonie! Doprawdy. Skąd miałbym znać koncept takowy? I podobne indywiduum?

- Cóż, by waszmości wywiedzieć się pomógł może, na ile...

- ...i jak bezrozumnie...

- ...pieniężmi szastać jesteście skorzy! - Mason i Dixon kończą społem.

- Na flogiston i ogień elektryczny - znamienity filadelfijczyk woła - jeśli nie ataku ofiarą. Wiem, prostom z mostu spytał o to, co chciałem. Niezręcznie. Winienem był do Towarzystwa Królewskiego się zwrócić, jego członkiem przecie będąc. W samej rzeczy, w Londynie wśród nich bawiłem, gdyście na morzu z Francuzami walczyli i gdy wasz list doręczono... niezłe zamieszanie! Nieprzytomny byłem na spotkaniu, gdzie repliki treść zatwierdzano - ręce zatem umywam, pojmujecie - lecz na kolejnym się zjawiłem, by poznać owych ludzi od najgorszej strony. Z osobna - drogi Tom Birch, wyniosły Hadley, eponim kwadrantu, imć Short, doktor Morton - tęgie głowy, ożywcza z nimi rozmowa, lecz w kupie! Cóż za upór, Boże uchowaj! Wiadomym im było, iż Benkulen w rękach Francuzów i równie byliby radzi, gdyby tam *Seahorse* zatonała, co koło Brestu. Wszytci wiedzieli. Lecz nigdy nie pozwoliliby na to, by im parweniusz w kwestii strategii globalnej doradzał. Ach, ci Brytyjczycy - do ostatniej

krwi będą walczyć, a nie zmienią zdania – byle krew ta nie ich własną. Podobnie w Izbie Gmin, w Izbie Handlowej... Siedzę tam, dzień po dniu łagodnie pouczając, nauczyciel idiotów. Wcześniej czy później, bez obrazy, panowie, Amerykanie zmuszeni będą do walki stanąć z nimi. Hura, odsiecz nadchodzi! Jestem uratowany! – Tak oto z kurtuazją oznajmia nadejście dwu młodych niewiast o miłej aparycji, aliści z tak zamierzonym ekscentryzmem wystrojonych, iż nawet nieszkolone oko go widzi. Orzec nie sposób, lecz siedzieć mogły wśród onych, co powozem na nadbrzeże wcześniej owego dnia zajęchały.

– Tu się schował!

– Ach, doktorze! – trącają się łokciami i śmieją z różną perlistości miarą.

– Oto Molly i Dolly – Franklin prezentuje – co lekcje w elektrycznych sztukach pobierają. Od czasu do czasu mam przyjemność je egzaminować, o tak... Jeśli macie ochotę, panowie, koncert dziś wieczór daję na szklanym instrumencie Pod Kotwicą, na nadbrzeżu cieśli, niedaleko Kafenhauusa Londyńskiego. Ów przybytek to coś na kształt... no... jakiego to szukam słowa?

– Nory z zapasem jałowcówki?

– Opiumowej spelunki?

– Drogie panie!

– Doktorze!

Franklin perukę swą próbuje zachować na głowie, a tymczasem zewsząd go otaczają tafty świetliście karminowe i szmaragdowe z kraciastą lamówką, *imprimé* z motywem piesków salonowych, zbląkane treski, kornety i falbany, a wreszcie wstążki wesołymi napisami zdobione, co głoszą, dajmy na to: „Całusy kosztują”, „Nie guzdraj się, mój miły” czy wreszcie „Strzeż się żeglarzu”. Astronomowie miarkują, iż zdalna to pora, by się oddalić, a na ulicę się wymykając, pisk Molly słyszą:

– I przysięgała mi, iż na własne oczy widziała, jak w ciemnościach świeci!

Przystają za drzwiami, po głowach się drapiąc.

– Cóż, czyś go sobie nie przedstawiał jako człeka bardziej, czy ja wiem...

– Statecznego. I owszem. Wszak słynie jako mąż z wewnętrzną konstytucją czasu nad wyraz obeznany. Atoli tu zdało się, iż dziwnie brak mu...

– Jak powiadają optycy, skupienia?

Mason oczami wywraca.

– Winniśmy tedy zajrzeć Pod Kotwicę dziś wieczór, jak trzymasz?

– Czemuż by nie. Może i te dwie miłe elektryczki się tam zjawią? Przypadła mi do gustu owa Dolly, wie, jak się ubrać ze smakiem, czy pozór dałeś?

Przedstawiając sobie, iż Dixon nacisk na „dwie” położył, Mason rzuca ku niemu uśmiech wysiłony, co ma znaczyć: „Droga wolna, lecz się nie spodziewaj, iż znużony, zejdę z wyżyn mej melancholii po to jeno, by inni czas spędzać mogli, w swym szacunku, miło”. Po prawdzie, Dixon nie śmiałby prosić nigdy o tak wielkie poświęcenie. Gdy Pod Kotwicą owego wieczora się zjawiają, Mason widzi, iż to miejsce jego upodobaniom bliskie – ascetyczne i ponure, do najdrobniejszych przejawów zażyłości zniechęcające, choćby i chrząknięcia przyjaznego. Z drewnianych sprzętów drzazgi sterczą, deski ich ponarzynane, w zwietrzałym piwie chmiel wodą hojnie zastąpiono. Za szynkwasem miejsca zajmują i wnet się Franklin pojawia. Niczym noc błękitnymi swe storczykowe okulary był zastąpił. Zgromadzeni w karczmie, dotąd po sali rozproszeni niczym po każdym większym porcie człowieka zbieranina, wnet plecy prostują, ku sobie zwracają i z precyzją długo ćwiczonej klaki poczynają gwarzyć żywo o pannie Davies, Glucku i, co nieuniknione, Mesmerze.

Instrument już czeka. Półkuliste klosze jego kryształowe, z których każdy nastrojony jest na inną nutę skali, pieczołowicie przewieziono przez wzburzone morze ku poruszeniu ludzi u Lloyda, co się zamartwiali, gdyż niepewność wożom morskim daną potęgowała przyrodzona szkłu przywara. Teraz w przestronnym miejscu w rogu sali błyszczą wypolerowane pod jakowegoś szwedzkiego męża stanu portretem, który zbyt jest od dymu poczerniały, by pewność mieć, kogo przedstawia – Oxenstjernerę, Gyllenstjernerę, Gyllenborga¹, kto wie? – dysputy nieraz dość zażarte się stają, choć, rzecz jasna, po szwedzku prowadzone. Odkąd pierwsi Skandynawowie się tu osiedlili, wisi tak, coraz bardziej anonimowy, wpatrując się w salę, świadek nocnych dramatów przytomności zatracenia i pieniędzy w błoto wyrzucania, hazardu, krzyków i kłótni różnorakich, których niezliczone zna odmiany. Za nim pną się schody, po których w górę i w dół wciąż się mrowie głów snuje. Wielu przystaje, by zza balustrady z fałszywego mahoniu na doktora zerknąć, co przy swej szklanej harmonice siedzi, czy też na Molly i Dolly kibić lub za ich dekolty. Dziewczęta nie tylko się pojawiły, lecz jeszcze dwie panny o podobnych zapatrywaniach na modę z sobą przyprowadziły.

– Te dziurłatki – Mason mruczy. – Patrzaj, oczy we mnie wlepiają. Czuję, iż nad miarę podejrzliwy się staję.

– Bądź spokojny. To mnie wypatrują. – Dixon ręką macha.

– Jerku! Charlie! Tutaj! – Damy zdają się być zachwycone.

Franklin czeka na to, aż wszyscy się usadowią i C-dur poddaje. Gawiedź cichnie bez zwłoki, doktor zabiera się zatem do grania. Pedalem w ruch wprawia szereg półkul kryształowych, co, by ranty ich wciąż wilgotne były, nad korytkiem wody się obracają, po czym niczym organów klawiszy, owych szkieł wirujących posobnie dotyka, dziwnie chrapliwe, rozdzwonione dźwięki dobywając. Gdyby dzwony szeptać umiały, gdyby melodie umierały, a ich dusze wędrowały po ziemi... gdyby zjawy na widmowych zabawach tańcowały, takiej właśnie muzyki byłoby im trzeba – uczucia wstrzymane, zawsze na skraju wyzwolenia, w odłamkach, niczym szkło stłuczone.

Podczas jednej z przerw, kufel piwa dzierżąc, doktor do jeometrów się zbliża.

– Chodźcie, poznajcie z Wirginii człeka, Tallihoe ma na nazwisko.

Nowo poznany bardzo ich namawia, by pułkownika Waszyngtona odwiedzili, co w tej samej prowincji zamieszkuje.

– Przyda się waszmościom ta rozmowa. Zna te ziemie i mieszkańców ich, zapuszczał się w ostępy – mierniczym jest, jak i wy, panowie.

Dixon parsknięcie wstrzymuje, wie bowiem, jak drażni Masona jeometrą go nazywanie.

– Już w Kapsztadzie dość miałem, gdy nas obu astronomami wołali – żalił się nieraz. – Jakże tak można, wciąż jestem znieważany.

– Ponoć familia jego z doliny Wear się wywodzi. Zalecono mi, bym zajrzał do niego.

O świecie prowadzą ich na odległe dróg rozstaje na północ od miasta, gdzie z zimnej wilgoci dylizans cudacznej budowy gładko się wyłania.

– Pakujcie się, panowie. Pojazd ten do Mount Vernon waszmościów dowiezie, nim Febus głowę z poduszki podniesie.

– Czy bezpieczna to machina? – Mason pyta.

– W zupełności. To gościńce groźne! – Imć Tallihoe na pożegnanie obu im dłonie ściska.

¹ Nazwiska autentycznych polityków szwedzkich z XVII w., tudzież dosłownie „wola gwiazda”, „złota gwiazda”, „złoty zamek”.

- Nie jedziesz wać z nami? – Dixon miarkuje.
- Nie, nie. Boże broń, mnie widzieć on sobie nie życzy.

Noc całą¹ jadą i nie śpi żaden. Dyliżans ani razu się nie zatrzymuje. Posiłki, każdy w formie coraz to innego „sandwicza”, przez okienko są im podawane, a resztki, w tym i półmiski, przez okna wyrzucają, na pastwę wiatrów. Są i gazety, i książek półka, a pod siedzeniem powożącego beczułka filadelfijskiego portera; kurek, ku wygodzie pasażerów, wnętrza budy sięga. Gdy zaś opróżnić im trzeba pęcherze, zdane są glazurowane dzbany w chińskie sceny zdobne. Nim przychodzi wojażerom do głowy przez drzwi świat skraplać, sposobność marnują, bowiem podróż prędko mija. Otóż i woźnica woła:

- Panowie, Potomak tuż przed nami!

Przy rzece ich ostawia i szczyt wzgórza skazuje. Przenikliwy chłód ich uderza i woń zimy lotna. Mając w swym posiadaniu jeno to, czym pospiesznie kieszenie napęłnić zdołali, przec ku górze poczynają.

28

W swej dekadencji oddają się ci Wirgińscy miłości dworskiej wyrafinowanym praktykom, od średniowiecza niezmiennym, i to z zaślepieniem takim, iż iluzja ze światem materialnym im się myli, a szaleństwo pochłania. Tańczą wesoło podle kroków, co ich własni niewolnicy czarni nauczają, pretendując przy tym do miana szlachty, o której chyba jeno pogłoski słyszeli. Pojedynek jest im zaś rozrywką nad inne przedkładane i, zaprawdę, pary pistoletów nie posiadając, człkiem wyższego stanu zwać się w owych stronach nie sposób.

Wszystko to zda się z wieków minionych rodem każdemu, kto właścicieli niewolników w Afryce oglądał – oto panowie i poddani – gotyckie zatrudnienie – to, co w naszej zepsutej epoce z zamków i rycerzy się ostało, z których żadni już ni racji, ni możliwości bytu nie mają. Z podobnego nierozumu nic dobrego wyniknąć nie może, a jakaż z tego polityka się zrodzi, jeno Ten orzec jest w sile, co szaleństwo po świecie rozsiewa.

Wielebny Wicks Cherrycoke, „Dziennik duchowy”

Waszyngton okazuje się być wyższym od Dixona, mniej więcej o tyle, co Dixon nad Masonem górą.

- Dzięki temu rządkiem pod schodami stać możemy – wita ich. – Choć po co, pojęcia nie mam.

Mimo że w swych stronach, gdzie tęgich głów wszak mało, pułkownik za wzór trzeźwości nie jest brany, daleko mu także do niezaradnego błazna, za którego go w londyńskich gazetach mają, co to papie wciąż wesoło o tym, jak w powietrzu kule wroga świstały – atoli, jakże małoduszni być musimy, by na szotach ludzkości luzów bronić tyczkowatemu młokosowi, co dnia jednego przez okular mierniczego instrumentu na pion spozierał, a drugiego już na Francuza u lufy strzelby wylotu. Teraz, jako człek dojrzały, choć zda się czasem myślą wybiegać w odległe rejony, równie mało w tym zwidów co próżnego igrania i raczej bardziej rzeczową kwestię wybiera, która na sprawy codzienne pozwala mu zachować baczenie. Słyszcząc mowę Dixona,

¹ Błąd, żart lub paradoks ze strony autora (podróż rozpoczęli o świcie).

uśmiecha się, czego w towarzystwie czynić nie jest skory przez wzgląd na swych zębów zaniedbanie; uśmiech u pułkownika Waszyngtona, jak powiadają, przychylności jest oznaką.

– Moja rodzina, jak mniemam, z twych stron pochodzi, gdyż mam krewnych, co jednakowoż słowa wymawiają.

Dixon dłoń do ucha przystawia:

– Czyżbym słyszał słabnące echo górniczego zaśpiewu?

Pułkownik ramionami ścisną.

– Na północy, w Pensylwanii, mówią mi, iż jak Afrykańczyk gadam. Przedstawiają nas sobie tu niewolnikami otoczonych, ich mowę sobie nierozważnie przyswajających, a także, co za tym idzie, zwyczaję. Wchodźcie. Na ów dzban zważcie na stole, przedni poncz, podle przepisu mego człeka, Gerszona.

Na werandzie otoczonej białymi kolumnami, ze szklanicy w garści, rosły Wirgińczyk pragnie o gruntach rozprawiać.

– Zdarza się, iż byka trza brać za rogi, gdyż w czasach tak niepewnych drugi raz sposobność rzadko nadarzyć się może. Przykład dam. Jest ci za South Mountain kawał gruntu, który rad byłbym, abyście mijając obejrżeli – wnoszę, iż linia wasza w pobliżu przebiega. Na początku wojny go przyuważyłem i od tego czasu o nim pamiętam. Nie ma powodu, panowie, byście tu nieco grosza nie zarobili... Czyście rozważali, ile na prawo i lewo darmo będziecie swych usług rozdawać? Wszak Linia Zachodnia niezliczonym gruntom południowe czy północne granice wyznaczy. Nie przypuszczam, byście mieli przy sobie kopię owej podpisanej przez się umowy... Cóż, nic to. Atoli w głowę zachodzę, jakżeście, moi mili, spekulantów gruntami poruszyli. Nikt tu, jak dawniej, pasma Alleghenów za przeszkodę nie ma. Starczy na gościńcu zerknąć, nieraz strumień wozów nieprzerwany, nowi przybysze co dzień ze statków na ląd schodzą, na wschód od Susquehanny ni skrawek się wolny nie ostał. Francuzi wyszli z Ohio, lajdark Pontiac¹ pokonany, gotówka gotowa. W kafienhausach mapy kreślą i targów dobijają. Cóż nas trzyma?

– Generała Bouqueta proklamacja² – Mason poddaje. – Żadnego nowego osadnictwa na zachód od linii Alleghenów.

– Phi. Tytularni kolonii właściciele wcielić jej w życie nie zdołają.

– Skąd zatem – replikuje Mason – pogłoski, jakoby imć Cresap dwudziestoma tysiącami akrów próbował przekupić generała, aby ten granicy swej nie proklamował?

– Hm. Być może – Waszyngton się śmieje. – Nic nadto stary renegat nie śmiał obiecywać, Bouquet mógł zaś więcej żądać. Wszak bez jego zezwolenia ziemi się tam teraz nie dostanie, stąd linia ta w amerykańskiego nababa zmienić jest go w siłę. Cóż, nie służył ci on z miłości do podarków drobnych, jak te, co w jego nazwisku stoją. Raczej, jak i w Bengalu, zesłał nam Bóg miłosierny zbawcę, którego pewność siebie jego zachłanności równa. Interes to był i bez machlojek większych. Następnym krokiem do wojen z Indianami najemników sprowadzić – rad byłbym, gdyby na pruską modłę szkolonych, jako iż najlepsze brać nigdy nie szkodzi – choć starczy, by żołąd się spóźnił o dzień jeden, a już wielu z nich niczym kamień w wodę przypadnie. I przed bitwą, co szalę ma przeważać, trafić się tak może – co im tam, pójdą precz, czorty. A co, czyś przedstawiał sobie, iż Bouquet czy Pennowie Indian dobro na sercu mają?

– Czemuż by inaczej parcie na zachód wstrzymywać – Dixon pyta łągodnie – niżli z szacunku wobec człowieczeństwa tych, których domostwa najeżdżają?

¹ Wódz szczepu Ottawa.

² Ogłoszona w roku przybycia bohaterów do Ameryki, tj. 1763.

– Jest przyczyna silniejsza i mniej złożona. – Waszyngton marszczy czoło. – Pragnienie, by wrogom pomieszać szyki – owym prezbiterianom, co zachód zasiedlają, za nic proklamację mając. W tych Szkotach z Ulsteru¹ dość wobec Anglii nienawiści, by, skoro Francuzi odeszli, przeciw niej powstałi. Choć nie brak u nas głupców pełnych otuchy, trzymających, iż agresja dysydentów do przeszłości należy. Ulsterskich prezbiterian raz już wysiedlono. Wstyd przyznać, padłszy ofiarą polityki religijnej wymogów, jak bydlę byli przez morze przewiezieni. Później po raz wtóry ich wykurzono, niebotycznymi czynszami z Ulsteru ku Ameryce nieznanej. Czy mniemacie, iż dojdzie do trzeciego przymuszenia? Jakim kosztem, na Boga? Amerykanie będą walczyć z Indianami, gdy tylko najdzie ich ochota, a zatem, gdy tylko sposobność znajda – Brytyjczycy zaś jeno, gdzie im trzeba. My bowiem ni hamować się nie pozwolimy, ni nadmiernymi podatkami obciążać. Ława ministrów Grenville’a² na swą zgubę fakty te lekceważy.

– Pan Grenville, niestety, w tych kwestiach nie zasięga mej rady – Mason rzecze.

– Pisałem do niego – Dixon dodaje. – „Nałóż waćpan na Kompanię Wschodnioindyjską podatek”. Czy choć respons dostałem?

– Z reguły – pułkownik radzi – w każdej politycznej dyspacie głos tu zabierać swobodnie możecie. Lecz w religijnej, pod żadnym pozorem. Jeśliby ktoś się upierał, zwićcie się tedy deistami. Wielce się mieszkańcy ostępów ateistów wszelakich lękają, a Indian osobliwie – wziąć za nich snadnie i Anglików mogą, co w cudaczne instrumenta zbrojni, ziemię ich przemierzają. Gdy zaś już wieśniak ateistę zoczy, w pierwszym odruchu wnet doń strzela, nieraz z bliska, choć zdarzają się w hrabstwie Lancaster strzelby, co śmierć niosą i na milę; pospolicie na nic się przeto nie zda ucieczką salwowanie. Nadto nigdy nie wiadomo, co wśród drzew się kryje...

– Cóż to za woń niebiańska? – Dixon wtrąca, z Przylądka wiedząc dobrze, co to.

– Ach, świeże plony, jakżem niegościnnie. Skromna płacheć jeno na próbę obsadzona. Obrodzi, to następnym razem z dziesięć akrów się może zgotuje i przeda. Jeśli szczęście dopisze, wszystko, płci obu, z zyskiem marynarce i nowojorskim galantom upchniemy. W najgorszym razie, odpukać, zawsze te kilka szylingów z kanarowego siemienia. Lecz do rzeczy. Gerszon! Gerszon! Gdzie cię nosi, człeku!

Zjawia się sługa czarnoskóry o nieodgadnionym twarzy wyrazie.

– Słucham, jaśnie panie.

– Gerszon, zechciejże przynieść nam jakieś fajki i miseczkę konopi świeżo zwędzonych. A także kolejny galon twego wybornego ponczu. Świetnie. Zaprawdę, panowie, „ten ci jest Izraelita, w którym nie masz zdrady”³.

Mason, który fragment ze świętego Jana poznaje, wybuch śmiechu zdusza, lecz Dixon wilkiem spogląda.

– W zamku Raby – rzecze rozogniony – Darlington lubił ze swego rządcy, a mego stryjecznego dziada się naśmiewać, tego samego cytatu biblijnego używając. Atoli niechybnie jeno Stwórca wypowiedzieć te słowa umie, podejrzeń przy tym, co do czystości swych intencji, nie wzbudzając. Po hrabim Darlingtonie, jako zamku mieszkańcu, wesółych docinków nierozważnych spodziewać można się było, lecz w Ameryce je słyszeć, cóż, jest ci to dla mnie zagadka, nad której rozwiązaniem, przyznać muszę, łamię sobie głowę.

¹ Szkockimi protestantami zasiedlano w XVII w. północ Irlandii w ramach represjonowania irlandzkich katolików.

² George Grenville, premier Wielkiej Brytanii w latach 1763–1765.

³ Cytat z Ewangelii św. Jana 1,47 za Biblią Brzeską.

– Wybacz waść. – Pułkownik karze się, w ciemię kilkakrotnie uderzając, aż peruka jego na bakier zwisa. – Żałuję, iż podobne wspomnienia przywiodły me słowa. – Ściąga perukę zupełnie i głowę w pokłonie schyla, jednym okiem na Dixona łypiąc. – Obie te kondycje nic wspólnego, rzecz jasna, nie mają.

– Kwakrem jestem. – Dixon ramionami rusza. – Cóż uczynić winienem, wyzwać cię na pojedynek?

– Nie trap się waćpan owym do Izraelity przyrównaniem – rzecz Gerszon, z tacą wracając. – Takie to już są jego koncepta, cały czas nimi sypie.

– Obruszony się nie czujesz?

Sługa głowę przechyla tak, by zobaczyć mogli, iż na czubku peruki jarmułkę przyspiloną nosi.

– Jako że akurat jestem mojżeszowego wyznania, zda się, iżbym jeno cenny czas marnował.

– I jadło wyśmienite. – Waszyngton z uśmiechem dopowiada. – Powiedz mi, czy się ciut *kasza warniszkes*¹ nie uchowało?

– Wnoszę, mości pułkowniku, iż waść całą zjadłeś na śniadanie.

– Może byś nam zatem nową porcję uszykował, a i usmaż trochę podgardla wieprzowego, coby lepiej wchodziło.

– Już się robi, jaśnie panie. Migiem wuchta podgardli na stół wjedzie.

– Czekaj no – Mason oponuje. – Czyż Żydzi owej – na Dixona zerka – *ingredien-cji* za nieczystą nie mają, przez co w posiłkach skrupulatnie jej się wystrzegają?

– Błagam, czy mniemasz waść, iż zbyt małe wyrzuty sobie czynię? Lecz tak się składa, iż sekta, do której należę, nie dba zbyt wiele o kulinarne nakazy.

– Jakiegokolwiek zakazy. – Fajką głęboko się zaciągnawszy, pułkownik dodaje, a pod powałę kolejna wonna chmura się wznosi. – Aliści, jeśli Żyd smażyący wieprzowinę jest cudem, czymże Murzyn, co pokój rozbawi? Dalibóg, toż to Joe Miller² wskrzeszony. Od karczmy do karczmy na szlaku dylizansów podróżuje, a wszędzie go oklaskują – wzdłuż gościńców do Annapolis, George’s Town, Williamsburga. Jako uzdolniony komediant szeroko jest znany i coraz mu mniej czasu na powinności domowe staje, o dochodach, jakie owa profesja przynosi, nie wspominając. O zgrozo, powoli coraz bardziej moich są bliższe, jego nominalnego pana. – Dixonowi fajkę podaje.

– Radzi mi zarobek w Kompanię Bagna Zwątpienia³ włożyć – Gerszon się zwierza. – A jak się waszmościowie zapatrują na to?

Mason i Dixon zerkają po sobie. Dixon marszczy czoło.

– Czy nam nie mówiono... – Mason go szeptem ucisza, Waszyngton tymczasem stara się Gerszona na powrót do domu zagonić. Ten jednakże właśnie fajkę wziął od Dixona.

– Dziękuję. – Zaciąga się. Wkrótce: – Cóż! Jak się macie, panowie, czy czas mi-ja waszmościom miło? Zaprawdę, płaszcz masz waść na sobie jedyny w swoim rodzaju. Czerwień to bez wątpienia. A te srebrne guziki – błyszczą cudnie. Powiedz mi, waćpan, byle bez przekomarzania, miałżeż waść zamiar takowy, aby go w lasach obnosić?

– Dalibóg, dlaczegoż by nie?

¹ Tradycyjne danie żydowskie z kaszy, najczęściej z jajkiem, cebulą i rosółem.

² Aktor (1684–1738).

³ Dismal Swamp Land Company, w której Waszyngton miał udziały; bagna te to obecnie teren chroniony.

– W rzeczy samej, czerwień ostra bardzo jest *à la mode* w owych stronach i często widywana – gdy się z taniej gwintówki celuje. Przypadniesz pan do gustu wszelakim grupom ludności – Delawarom, Szawanesom, Senekom. Seneka zwłaszcza lubuje się w płaszczach czerwonych a zgrabnych. Zatem! – Fajkę Masonowi podaje. – Widzę, który z waszmościów lubi odziać się modnie. A gdy czerwonoskórzy strzelać doń będą, prezbiterianie za panem pójdą, miarkując, żeś czymś na posiłek: Toż to bizon, jak amen w pacierzu! – Cichaj, Patryczku, jawi mi się, że wiewiórka. – Dobra nasza! – ffsss – bum!

– Pokornie dziękuję – jęklawie Mason odpowie. – Miło z pana strony, żeś mi koncept śmierci mej w Ameryce przedłożył... nie ma jednak potrzeby dłużej tę kwestię rozważać. Tak, ślicznie dziękuję, a i kamień przy tym spadł z serca.

Gerszon rzecze do Dixona:

– Czy on zawsze taki, czy też czasem i w oburzenie wpada?

– Widzicie panowie, co ja tu znosić muszę – żali się Waszyngton. – Czuję, żeś już istny *meszugener*. Proszę, może nieco tytuniu dać raczej?

– Jureczku!

– Och, bez strachu, to małżonka. Pozwólcie mi tylko... ach, skarbie mój! Śliczna suknia, materiał wyborny. Pozwól, że ci przedstawię... – etc., etc.

Pani Waszyngton (– Ojej, mówcie mi Marto, chłopczy –) drobna to niewiasta, radosna raczej niżli szczęśliwa, co zdaje się krzątać wokół, nawet gdy w bezruchu stoi. Wnosi właśnie tacę wielgachną, na której piętrzą się stopy tartinek, florentynek, geniuszów piernikowych, racuszków, pączków nadziejących i innych wiktuałów, które jeometrom rozpoznać niepodobna.

– Doszła mię woń dymu, zgadłam przeto, iż zapewne to i owo podjedlibyście z drobnicy z ochotą – wita ich jejmość, sama niczym bułeczka rumiana. – Zatrudnienie to, jak zwykle, przypada w udziale niemożonemu strażnikowi domowego ogniska – żonie – jako iż w świecie, co zamieszkiwać musimy, żaden z waszmościów nie mógłby domem zawiadować więcej niżli minut dziesięć tak, by anarchia jakowa się nie załęgła.

– Miałem ci ja garnka na ogniu dopatrywać – wzdycha Waszyngton – lecz sprawy większej wagi głową mną zawładnęły, jedna z drugiej biorąc początek, aż odór mię do garnka przywołał, niemniej poniewczasie. Kolejna to na mym charakterze niezartarta skaza, z którą się i uporam może, atoli wybaczenia damy nigdy już nie zdobywając.

Małżonka kręci głową, a oczu do nieba nie wznosi, jeno znużeniem przepęlnia.

– Naści, Jureczku, ciasteczko.

Ten sięga po piernikowego ludka z melasą i badawczym wzrokiem jego tył omotuje, jakoby upewnić się pragnąc, iż żona ciastka nie przypaliła. Ma już ludkowi głowę odgryźć, gdy koncept nowy do własnej mu wpada.

– Złożyć się mogło, iż słyszeliście panowie o Kompanii Ohio – spółce, w której bracia moi, świętej pamięci, kilka drobnych udziałów mieli. Oto i byliśmy tam, tak głęboko w dzicz, jak nigdy jeszcze człowiek nie sięgnął, nieraz i drogi powrotnej dobrze nie znając, jakoby w... Marciu, bukieciku mój cnót wszelakich, jakże zwie się w tkactwie kawałek zawiły?

– Jak? – powtarza. – Zaprawdę, skądże mi wiedzieć? Czyż tkaczką jestem?

– ...jakoby w zawiłym kawałku tkanym – pułkownik ciągnąć usiłuje. – Wiem, co rzec chciałem! W chaosie. Chaos zupełny. Gdzie tylko płachta gruntu niezadrzewionego, targowiska z prawidłami niespisanymi się pojawiały, a władza porządkowała, linką i łątą mierniczą...

Mason i Dixon, przemysłem dzieląc się sprawiedliwie, to zawsze w zwyczaju mają, by przy dwóch rozmowach w tym samym czasie biegnących, każdy jedną się zajął, przy czym kto czym ustawienie osoby wnosi. Masonowi przypada zatem w udziale przed, jak mu się zdaje, oskarżeniami pani W. sensu swej profesji bronić, zaś gospodarz Dixona w sieć wspomnień o Kompanii Ohio łąpie.

– ...z fortami dwoma, w Wills i Redstone i łącznie pomiędzy... jak Kompania Indii Wschodnich swą flotę posiada, tak i my, czemuż by nie, mieliśmy armię własną. Hen w głuszy, my jeno cieszyliśmy się należąca stałością i dyscypliną, by kraj ów rozwinąć jak przystoi. Wierzaj mi, stara K.O. wciąż dycha – Pułkownik z zacięciem rzecz – choć kształt przybrała nowy.

– Brzmi to niczym żywot zjawy – Gerszon napomyka.

– Gdybyśmy tylko mogli byli słowa w statucie podług naszych zamierzeń ustawić, historia potoczyłaby się inaczej może. Lecz przyjaciół na dworze niewielu, a nieraz i ci nawet z oczu nam znikali.

– Klauzuli o Biskupie Durham wstawić nie zdołali¹ – Gerszon wtrąca.

– Zmiarkuj, czyż nie byłaby dla wszystkich innych jakoby pokrywadło na kotle? Dla Wirginii, Pennów, Calvertów? Ohio, z precedensu, niechybnie się to należy.

– Z całym szacunkiem, pułkowniku, te nadania – Gerszon rzecz – były niczym fantastyczne bajki, a i w królów, co je rozdawali, uwierzyć trudno. Czasy to były masek, legend o odległych krainach, któż brał je do serca? Klauzula z Biskupem Durham? Kłopot żaden. Co z kwaterek, pałac palatyna? Jest wasz. Wedle upodobania – belki cedrowe, cegła czy w kamieniu tradycyjnie, cokolwiek – wyśmienicie. Co proszę, waszmość życzy sobie tam i czego? Ach, haremu? Cóż, z pewnością... Ile dam by to było, proszę jaśnie pana? O tak, bez obaw, wyboru dokonać można. Lordzie Smedley, o listę dam z konterfektami prosimy!

– Każdy zapis w Ameryce podobny temu z Biskupem Durham – powiada Dixon – poddaje, iż jawi się brytyjskiej głowie podobieństwo między waszymi Indianami na zachód od pasma Alleghenów a ich Szkotami za Murem Hadriana. Wszak w połowie racja bytu biskupa palatyna to obrona króla przed wszelakimi kanibalami, co to północ kraju zasiedlają – których roku pańskiego czterdziestego piątego conocne kobzowanie² snadnie wszystkich posłyszeć je zdolnych przyprawić mogło o świecie o insomnię z przerażenia.

– W rzeczy samej, szanowny panie – Pułkownik wykrzykuje – opis to szczególnie obozowiska nad Monongahelą, gdzie całą noc śmierć się za rzeką w dolinach czaiła. Warta długa, w gąszcz się wsłuchiwanie, każdy listek najlichszy. Ciemności nieprzejednane. Gdy staniecie waszmościowie na granicy ziem zaludnionych i nieokiełzanych, tuż przed wejściem w puszcę głęboką, owo uczucie rozpoznacie...

– Atoli niczego więcej nie pragnęliśmy, jeno na noc obóz swój rozbić, w dziczy odległej drobną ostoję oświaty.

– Kłopot w tym, iż Francuzi także – Gerszon napomyka.

– Pięknie dziękuję, Gerszonie.

Mason tymczasem apologię astronomii snuje, a i swej pracy przy tym.

– Spór to wiekiem najmniej równy Platonowi. W rzeczy samej, niczym Glaukon w siódmej księdze „Rzeczpospolitej” się czuję, co w nerwach wyluszczał Sokratesowi wszelkie, na jakie wpaść mógł, praktyczne powody, dla których warto w szkołach astronomii nauczać.

¹ Chodzi o oparcie statusu prawnego kompanii na statusie palatynatu Durham, jak to miało miejsce w przypadku Maryland.

² Powstanie jakobickie z 1745 roku.

– Cóż, w takim razie Sokratesem zwać się winnam? Nie dziś, jak sądzę, nie dziś, niestety. Ni jejmość Sokratesową – niewiasta ta, choć niewątpliwie innymi przymiotami obdarzona, ponoć złośliwościami zbyt zajęta, by w kuchni dokładać starań i poddać na ten przykład pod waćpana rozwałkę ten wyśmienity placek z morelami.

Mason nie jest pewien, lecz wnosi, iż dama wybiegiem się właśnie posłużyła.

– Dziękuję, waćpani. Wszyscy astronomowie, jak miemam, są świadomi, iż ich pierwszą powinnością jest ogółowi służyć. Uch, mniam, to jeszcze malinową... o tak, dziękuję. Choć przygasła ostatnio Pelhamów gwiazda, poruszać się musimy utartymi szlakami, a każde ćwierć pensa przez nas wydawane skarb królewski skrupulatnie odnotowuje. Na naszym wzgórzu¹ zbyt jesteśmy widoczni, by oddawać się próżnym rozważaniom, ba, czemukolwiek prócz swej pracy detali, co teraz głównie problemu długości jeograficznej tyczy.

– Och, a cóż się z owymi przejściami Wenus stało?

– Tam jesteśmy jeno jakoby filozoficznymi fregatami, droga pani, każdy na swej misji z osobna się trudzi, zaś codzienna praca w obserwatoriach wre nadal, albowiem Greenwich czy Paryż ku perfekcji zmierzają w znajomości każdego na sklepieniu ru-
chu, tak by owej wiedzy marynarze życie swe powierzyć mogli.

– Cóż – Pułkownik rzecze wesoło – przy przejściach większa sława. Jak świat długi i szeroki, nawet w Massachusetts, uważacze rozstawieni. Z kasy każdego kraju strumień złota płynie, każdy astronom nagle robotę znajduje, a wszystko to, by paralaksy ziemskiej wartość prawdziwą wyrachować. Hm, tu w Wirginii większości z nas rzec nie sposób, czy to paralaksa czy inny parawan, nawet gdyby zaszła nam drogę i dygnęła ładnie.

– I tak, cóż to było za poruszenie! Czy pamiętasz, mężu, owe peruki, na przejście Wenus uszykowane, w których wiele kobiet po Broad Street paradowało? Supełek okrągły, ciemnej barwy, na tle wielkiej, na białą pudrowanej kuli?

– A owe cukra wenusjańskie? Ten sam koncept, na białym kole czarna porzeczką jedna...

– I marynarze, ze swą piosnką żalowaną.

Ostawiam piwo [pułkownik śpiewa]

I jako żywo

Spieszę, jak inni patrzacze,

Żegnaj, niebożę,

Wyruszam w morze,

Gdzie przejście Wenus obaczę.

– *Świeci nad nami* – teraz Marta przyjemnym, acz nerwowym sopranem.

Kochania pani,

Gdy zaś na Słońcu zagości

Uciecha będzie

Zoczyć ją w pędzie –

Ach, wiwat Przejście Miłości!

[Waszyngton doń na finał dołącza]

¹ Obserwatorium w Greenwich.

*Za szlaki znane,
Gdzie dmą pasaty,
Ukrop jak w piekle
Lub z lodu chaty.*

*Pożegnaj dziatki,
Spakuj manatki
I okaż zapał po temu.
Rzuć Molly adieu
Ona nie dla cię
Boś ty dla przejścia Wenus!*

Cztery ostatnie takty śpiewają zwróceniu ku sobie, z uczuciem w oczach, które nie tyle do słów piosenki się odnosi, ile temu służy, by miarę spólną trzymać i skończyć społem.

Teraz Gerszon żarty o królu opowiada.

– Właściwie to pan i niewolnik są ich bohaterami, lecz podle gustów tutejszych słuchaczy je zmieniono. Król do swego błazna rzecze: „Powiedz mi, byle szczerze, co cię pcha do tego, by głupca wciąż odstawiać?”. „Cóż, Jerzy – błazen odpowie. – To proste. I me, i twe pobudki te same – pragnienie”. „Co takiego? – Król się dziwuje. – Jakże to?”. „Albowiem ty rozumu pragniesz, a ja pieniędzy”.

Król z jednego z posłów żarty sobie stroi. „A niech mię – woła – jeśliś do wielkiej, kołtuniastej owcy niepodobny!”. Na to poseł: „Wiele już razy miałem zaszczyt reprezentować króla osobę”.

Król, wesół acz obłąkany, o pozwolenie biesiadników prosi, by na cześć diabła wzniesić toast. „Przebóg – błazen powiada – gdzie szlachcic zamieszkuje, dość już mu się czci oddaje... Aliści, odmówić mi nie sposób, gdy o Waszej Królewskiej Mości drogich przyjaciół idzie”.

Król zjechał karocą daleko w głąb kraju i w towarzystwie swego błazna do pałacu pieszo wrócić postanawia. Strudzeni, zapytawszy napotkanego chłopca, dowiadują się, iż jeszcze dziesięć mil marszu pozostało. „Może by posłać po karocę”, król rzecze. Na to błazen: „Spokojna głowa, Jerzy, damy radę. Toż to jeno pięć na łebka”.

Na koniec Gerszon odśpiewuje „Hawa Nagila”, pieśń żydowską wesołą, na dwu łyżkach z synkopami sobie przygrywając.

– To Céléron de Bienville wszczął dysputę – później Pułkownik wspomina – gdy w roku 1749 z Kanady na południe się wyprawił. Na brzeg jeziora Erie zawinął, skąd potokiem French dopłynął do Allegheny, gdzie, dla roszczeń francuskich potwierdzenia, ołowianą płytkę zakopał w królewską pieczęć zdobną. Potem *battoe* do Ohio i w dół jej biegu, za Alleghenę, Beaver, Fish, Muskingum, Kanahwah, Scioto, u ujścia każdego z rzek do Ohio owe znaki umieszczając.

– Ołowiane? – pyta Dixon, ciekawy.

– Memento – Mason domysły snuje – iż i kule można z niego zrobić. Kolejny wyraz francuskiej pogardy – nie tylko szastać nieszlachetnym metalem, lecz zakopać go w ciemnościach i brudzie, jakoby jeno tak dostrzec go Anglikom było podobna.

– Ach, raczej praktyczne względy nimi kierowały – Waszyngton się uśmiecha. – Ołów wszak od złota czy srebra tańszy, a przed powietrzem chroniony, całkiem trwały.

– Każdy metal w formie dysku czy tablicy – Dixon duma – do elektrycznych celów snadnie może być użyty.

– Pomów z doktorem Franklinem – Pułkownik radzi. – Ten wiedzieć będzie.
– Znów o elektryczności mowa. – Mason wzdycha i głową kręcąc, swego kompana skazuje. – Kwestia ta ze wszystkich najsrożej go porusza, choć, rzecz jasna, nie czyni mu to szkody. Nachodzi go to bez słowa ostrzeżenia i znów o swym ukochanym fluidzie prawi, a nic go nie powstrzyma. Nawet Franklin nie objaśnił przyczyny... najlepsi doktorzy z Towarzystwa skonsternowani. – Ramionami rusza. – Iż rozum odzyska dnia pewnego, nie tracimy nadziei.

– W dzieciństwie z drętwą elektryczną¹ przykra przygoda – zwierza się Dixon, głowę ku Masonowi zwracając – wrażliwością na wszelkie podobne wzmianki zaowocowała.

– Wstrząsające! – Gerszon rzecze, pani W. palcami po stołu blacie zgrabnie werbluje, a Pułkownik za głowę łapie, jakoby bólem zdjęty.

– Atoli nie dość był oszołomiony – Mason zebranych zapewnia – ni zbyt młody, by nie zmiarkować w owym zwierzu, którego pięć szóstych długości rażące płytki zajmują, pryncypium wszystkich machin elektrycznych działania. Jeśli się bowiem z ich mocy użytek mieć pragnie, o uwagi świata przywiązywaniu nie wspominając, należy płytek, posobnie, całe mrowie nasadzić. A tak, Dixonie, możesz głową kręcić. Kręć, kręć, niech się po niej nieco rozumowi rozejdzie. Gdyż na co jedna płytka zdać by się miała, złota czy ołowiana, w ziemi pogrzebana, pojąc mi nie sposób.

– Może sensoria nasze zbyt słabe – Dixon replikuje. – Podobnie, przed teleskopu wynalazkiem, sklepienie niebieskie zbyt dalekie im było. Czemuż by owe płytki spółem formować nie mogły czegoś na kształt ziemskiego lejdejskiego ogniwa? Nie po to, by ot, moc elektryczną przechowywać, jeno ładunki drobniejsze, snadnie w niewidzialne symbole składane, których odczytania tajniki z pewnością owi *philosophes* znają.

– Obawiam się, iż te francuskie płytki miały na celu jeno oznaczać wyzwanie, Anglików rozdrażnić – Waszyngton zapewnia. – Jeometrów to sposób na rękawicy rzucenie.

Niemniej... (Wielebny rozważa) cóż jeszcze za tym się kryje? Daleko na zachód wierzenia się uchowały, iż sam znak skreślony moce magiczne posiada. Na tym jednak magia wszelka się opiera, iż drobne zaklęcie góry przeniesić może. Podobnie w bajkach inskrypcje tajemne odczytane, skarby nieziemskie odsłaniają. I tak pieczęcie rzeczą stają się wielkiej wagi, a opisu ich ścisłość nieraz o życiu przesądza, gdyż jedna litera błędna śmierć nagłą zesłać może.

– Czy płytki takowe widziałeś?

– Wykopałem kilka. – Pułkownik znacząco do Dixona się uśmiecha, oczy szkarłatem ma naznaczone. Jego małżonka bezgłośnie ostrzec się ich stara, lecz Gerszon już mementa przynieść rusza, a na odchodnym woła kąśliwie:

– Już się robi, jasnie panie. Uff, zaprawdę, ciężą niczym ołów – ha, nie może być, wszak to ołów właśnie! Mało używane, drugi właściciel, nietknięta oryginalna ziemia... (Czy gospodarz wie, jak gości zabawiać?)

Co rwie wnet czy Dixona, to nie pieczęć królów francuskich, lecz na rewersie żłobienia.

– A niech mię, chińskie!

– Chińskie? To niesłychane. W Europie pismo ich z reguły znane jeno... jezuitom.

– Wybacz, mości Pułkowniku. – Dixon wnet okoniem staje. – Czy to waćpanowi przeszkadza?

¹ Łac. *Torpedo*, gatunek ryb z rzędu płaszczyk, dla autora węgorz elektryczny, oba gatunki nie występują w Europie Północnej.

– Różnie to bywa – Waszyngton powiada i na chwilę, która wszystkim ciąży, milknie. – Czy waść... dużo... podróżujesz?

– A owszem – Dixon owego hasła masonskiego się nauczył od członka filadelfijskiej loży – i na zachód zmierzam.

– Na zachód, powiadasz? No, no. Miłej podróży. Widzicie, sprawy tak się mają – od czasu do czasu jezuici z Quebecu suknie swe na spodnie zamieniają i granicę przekraczają w przebraniu, by tu, na południu, intrygować. Przeto człek nad wyraz na bacności mieć się musi, ot i wszystko. Loży swej relacje zdajemy, by ktoś tam doniesienia nasze w całość większą poskładał – może i z dnia na dzień owych posępnych intruzów ruchy przeszedli.

– Pełniąc urząd poczmistrza kolonii amerykańskich, doktor Franklin, gdy do Filadelfii wróca, dopowie – trzymam, iż to czas największą bolączką jest naszą, nic prócz niego. By komukolwiek przekazać nowinę, z pewnym opóźnieniem liczyć nam się trzeba – miesiący, śląc za morze, dni, jeśli łodem – a tymczasem z jezuickim telegrafem doświadczyć można cudu niezwłocznego obcowania. Sięga on daleko, a nie zawodzi nigdy, dzięki balonom olbrzymim w przestworza posyłanym, lustrom parabolicznymi (o dia- nie wspominając) boliczną perfekcją się szczytującym i wiązkom światła o gęstości niespotykanej. Tak oto wieści szyfrem tajemnym słane na biurka wysoko postawionych jegomościów trafiają, do których powinności codziennych należy pewnym być, iż wiedzą wszystko, co podle urzędu swego wiedzieć winni.

Jak po jezuickim wynalazku spodziewać się można, kluczowa tu dyscyplina, jak i czasu przestrzeganie. Powiadają, iż księża jeno rozkazy wydają, robotę znojną drużynom telegraficznym powierzając, do których zaś doborowi Chińczycy nawróceni idą, Loyoli metodami wyćwiczeni, by balony w czas wysyłać i snopem światła celować, a gdy ten już od zwierciadła odskoczy, wiązkę w miejscu utrzymać – gdyż, niczym ze spojrzeniem na balu niewieście rzuconym, chwilę trwa, nim druga strona pojmie zamiary. – Zawsze zatem bieżą oni trzy kroki przed nami i jak czas stracony nadrobić nikomu nie wiadomo. Gdyby choć było nam dane jedną nietkniętą maszynę w ręce dostać, rozłożywszy ją, jej sekrety byśmy poznali... Lecz nic to, dwakroć bardziej diabelską prędko by zmajstrowali, bowiem najtęższe głowy Ziemi teraz w wysiłkach połączone – te, które w pętach surowej dyscypliny Jezusowi cześć oddają, i te, które w próżnię uciec pragną, co Azji jest największą tajemnicą. Tworzą oni armię niewielką szatańskich inżynierów, którzy światem władać byliby w sile. Okazać się może, iż Mongołowie i Saraceni tak chrześcijaństwu zaprawdę nie zagrażali, jak owo Chińczyków i jezuitów przymierze. Módlmy się zatem, by ich coś więcej niż jeno spór o *feng shui* poróżniło.

29

Miasto zaczyna się w dniu, w którym jatki stawiają. Przed oczami mieszkańców, do okrucieństwa wsi już nienawykłych, ich mury kryją posokę, odchody, odór, krwi spuszczenie, ryki zwierząt tamują. Co zamożniejsi jak najdalej się od owych skupisk rzezi osiedlają. Wkrótce melancholicy z prowincji ciągną do miasta szarańczy chmarą, co Słońce przesłania. Sprawione mięso na targach się pojawia – na tle nieba wiszą sznury kiełbas niczym wersy w alfabecie nieznanym, co tajemne ślą kiszkowe przesłanie.

Na południe od jatek przy Second Street i Market Street, koło gmachu sądu, mieści się warsztat Braci Veery, trudniących się figur z wosku wytwarzaniem. Ma-

son, który nieustannie makabry wypatruje, musi, ma się rozumieć, złożyć im wizytę.

– Choćby i na popiół miała być spalona, w łachmany ubierać jej, nieprawdaż, nie przystoi – powiada Cosmo. – Widzisz waść, nasza klientela lubi czuć, iż nie byle co pali. Ach, buty z cholewami i halki to podstawa, pospolicie je przydajemy jak rok długi, atoli wyżej mierzyć się staramy.

– Oto, na ten przykład – brat jego Damian dodaje – model egzekucji publicznej przez ścięcie, czyli szatkówka, jak ją nazywamy. Rzecz jasna, najważniejszą jest tu szyja, gdyż jakże widownię można zawieść, co finałowej chwili dotrwała, czymś podniejszym niżli dające ukontentowanie, zgrabne „ciach”, gdy ostrze opada. A czy wosk czysty do owej roboty się nadaje? Cóż, zdatny jest może przy głowie, lecz czegoż się toporem nie przecina – toż to i pacierz, i gardło, i mięśnie szyi, gdzież by je do wosku przyrównywać? Z tych miar, znów mi stary fartuch wkładać przychodzi i hajda z uroczą wizytą do sąsiada, gdzie wśród odpowiedniej wielkości karków myszkują, by kości, łój i tym podobne znaleźć. Potem ten tu zuch do dzieła się bierze, całość woskiem pokrywa i głowę przydaje o sławnym, a lepiej niesławnym, obliczu. Niewiele tak jak nasz Cosmo w wosku robić potrafi, oj, niewiele. Podobieństwo uderzające, choć, dalibóg, podobnego uderzenia niewiele z nas doświadczyć życzyłoby sobie. Niewinnego ulu owoce, a pod spodem codziennego szlachtowania odpady – tak, zgodzę się, aliaż to potworny, może i nawet jakowaś nauka z tego płynie. Cóż, jak nic musiałbyś być waść omamiony, by za którymś z naszych galantów pchać się w ciemny zaułek.

Rzecz jasna, to właśnie Mason pospiesznie czyni, gdy tylko okazja się trafia. Z Dixonem od tawerny do tawerny wędrują, schadzki sekretnych towarzystw w tylnych pokojach każdej z nich odkrywając. W karty się tu na pieniądze grywa, maderę pije, szachruje i cholewki smali. Czasem do stołu ich zapraszają. Czasem przysiadają się nawet.

– Cóż to, nikt batogów nie wsypuje? Gdzież akolitki w łańcuchach, piersi nagie obnoszące? Żadnych rytualnych defloracji? Jeno przy kartach maderę popijacie?

Zgromadzeń niektórych członkowie, nazwisko Masona poznawszy, twierdzą, iż sami z tej czy innej loży są wolnomularzami.

– Każdy, kto nazwisko Mason nosi, z przyrodzenia do bractwa naszego należy, jako iż antenaci twoi, co pierwsi je przybrali, najpodobniej w epoce wielkich katedr kamieniarstwem¹ się parali. Ty się od nich wywodzisz, zaś od kompanów z ich cechu dzisiejsi wolnomularze. Jesteś waść, rzec by można, masonem *ex nomine*.

Chyba że jeno zawiła intryga to była, by za napitek swój nie płacić.

W jednym z owych przybytków, gdzieś między Hrabią Gloucester a Królową Indyjską, za salą na tyłach jeszcze jedna komora leżeć się okazuje, dla niepowołanych oczu spiżarka, co po prawdzie za arsenał tłuszczy służy, przy różnorakich zatrudnieniach przydatny. Pokój ten dla każdego innego wrażeń gotyckich amatora nie dość stary pewnie ni ponury, by warty zachodu się jawił, lecz Mason zawsze snadnie miejsce zdatne znaleźć umie, gdzie mógłby swą melancholię pielęgnować. Oto i wchodzi teraz bez świecy, zbłąkany, jeno światłu latarni, co za oknem niewielkim wisi, zawierzając. Odczekawszy, póki oczy mrok ogarną, w pierw dwie sylwetki widzi, potem trzy, w końcu całe multum postaci, co w komorze się na baczność cisną. Ni jedna skroń nie tętni, ni pierś żadna nie faluje. Astronom wnet ozwać się pragnie, nie zaczepnym, lecz błagalnym głosem. Z wolna, z każdej nowej twarzy obaczeniem,

¹ Ang. *stonemason* oznacza murarza-kamieniarza.

temu, czego się lęka, coraz mniej zaprzeczyć można – iż to jego wszystkich świdrują oczy, ku niemu nieznośne biegną spojrzenia, znaczenia których pojąć mu nie sposób. Czuje, choć wnikać w to nie pragnie, jakoby go tu znano, a i wyczekiwano zatem...

Mason jest pewien, iż najmniej jedną z tych postaci tydzień wcześniej na pierwszym spotkaniu chlebobawców swych z plenipotentami widział – choć z racji ceremonialności owego wydarzenia głowy zgromadzonych jednakie peruki zdobiły, stąd i twarze podobne. Atoli jeśli i on mię poznaje, astronom duma, dlaczegoż nie przemówi? W pamięci nazwiska jegomości szuka, a tymczasem w nikłym świetle rysy nieznanego ostrości nabierają, co już niedługo objawienie przyniesie.

Jak się później okaże, wszystkie ze skrytki figury podobiznami są plenipotentów, co za granicę odpowiadają, choć Mason, który, gdzie by w mieście nie był, wszędzie tamecznych twarzy niespokojnie wygląda, dopiero to sobie pierwszego dnia grudnia, na drugim z nimi spotkaniu, uświadomi. Ledwie na chwilę przed jeometrów przybyciem sprzęty w owalnym gabinecie pospiesznie ustawiono. Po jednej stronie długiego stołu nieskazitelny rząd czarnych krzeseł dla prokurentów stanął tak, by ku oknu twarzami byli zwrócen i kryjącemu się za nim jesiennemu ogrodowi, w którym białe statuy o płci niejasnej węzowe pozy przybierały. Za stołem, po drugiej ręce, dwa pospolite chippendale udawane z Second Street rodem, do siebie niepodobne, astronomom wyznaczono, a widok z nich żaden, jeno na dostojników zebranych.

Szczęściem dla Masona, wchodzą oni do sali nie szturmem, lecz osobno bądź parami, co czas mu po temu daje, by spokój odzyskał, czego bardzo mu trzeba. Lecz choć go za dnia i żywi witają, ich spojrzenia owym z woskowych twarzy jednakie. Jezusie najśodszy! Jakoby rozmyślnie noc przeszłą przywołać miały. Lecz skądże im to, skąd komukolwiek wiadome? Czy odkąd na ląd zszedł, był dozorowany? A figury w komorze nie figurami były, ale ludźmi nieruchomością grającymi... Lecz te twarze jednakie – na Boga! (W czymże im wówczas w mroku przeszkodził, o jakim nie wolno mu było wiedzieć spotkaniu? I z jakich miar nie pamiętał wyraźniej, co po wejściu do komory się z nim działo? Czyż rozum jego litościwy to przed nim ukrywał?).

...Korowód automatów uważając, do pytań zadawania nęcony, nigdy się jednakże Mason na takim pomyśleniu nie chwytą, iż z obu prowincji wszyscy oficjele, aliansem z panami tych ziem połączeni, w postaci kukieł chętnie rzecz jasna przez wszelkich dzierzawców są dręczeni. Dopiero Dixon astronomowi to powie, teraz zaś rzuca mu spojrzenia ciekawe i obrażone zarazem. Od dwu tygodni żaden nie spał dobrze. Domem trzęsą bez ustanku tłukące po bruku towary, o każdej porze beczki i sanie się przetaczają, młotkami i kielniami pnie się Filadelfia do góry, nawołują wędrowni przekupnie, pod oknami nie milkną podkowy, z jatek kwiki i ryki dobiegają. Marynarze, w liczbie jeszcze noc wcześniej niesłychanej, wyśpiewują i urządzają brewerie społem z mieszkańcami. Ci do całonocnej wrzawy miasta swego nawykli może, lecz astronomom, co ledwie od chwiejby mórz październikowych oderwani, zdaje się, iż w samym sercu piekła spocząć im przyszło.

– O niebo lepiej w Londynie było.

Mason pluskwy strąca i z boku na bok się przewraca, na każdym pięć minut leżąc – gęsią jest na ruszcie bezsenności. Wziąć się w karby nie umie i wciąż galop¹ natrętny nuci ze „Zbuntowanego tkacza”, którego tuż przed wyjazdem w Londynie widział miast Arne’a „Miłości w chatce”, co rozważniejszym by było. Woń koni, odchodów człowieczych i drzewnego dymu pospołu ze zgiełkiem ulicznym przez

¹ Taniec ten pojawił się w Niemczech ok. roku 1820.

okna się wlewa. Gdzieś niedaleko po nocy w kościele śpiewają z żarliwością w Sapperton, a nawet i Bisley nieznaną. Często budzi się astronom strachem zdjęty, z sercem rozkołatanym – coś huknęło właśnie zapewne, zatem na powtórzenie czeka. A gdy wreszcie spokój odzyskuje, nie wiadomo jak i kiedy, powraca i owo diabelskie *ram-tam-tam, ram-tam-tam, ram-tam-tam-tam ram-tam-tam*.

„Zbuntowany tkacz” opowiadał w lekkim tonie o ostatnich potyczkach między tkaczami a sukiennikami w Golden Valley, którą to historię ubarwiono muzyką, żonglerką i zwierzęcymi popisami.

– O dziwo – Mason zwierzył się Dixonowi – wszelkie ku temu powody mając, zbulwersowania nie czułem.

Fabula tyczyła syna tkacza, który córkę sukiennika kocha, a co za tym idzie i kwestii sprzecznej lojalności – nic bardziej łyzy wyciskającego niżli komiczne nieporozumienia z opery włoskiej znane. Masonowi przypadła nawet do gustu jedna czy dwie melodie, dla innych uszu zbyt poważne może. Co innego ów galop potworny!

Dixon, po swej stronie łóżka, tak różnorodnymi tonami chrapie, iż gdyby Mason na usnieńcu mniej się skupiał, ich notowaniem mógłby być zajęty. Niektóre z pasaży polifoniczne nad wyraz, wszystkie w niespiesznym, irytującym *andante* – spisać można by je było i „Transakcjom Filozoficznym” pod rozważę oddać. Obaj towarzysze leżą w odzieniu, które dzień cały na sobie mieli; Dixon strojowi geometry równie wierny, co Mason astronoma – w Greenwich także to samo na co dzień i przy obserwacjach nosił. Do snu jeno surdut zdejmowano, choć tu Dixon czynić tego nie radził. Ma rację, rzecz jasna – od pluskiew aż się roi, a tym amerykańskim tak bardzo nie w smak człowiecze zmiatanie, iż każdego, kto choć się zbliży, kasają.

Starczy tego dobrego. Sam niczym wielka pluskwa spod kapy cicho się wyczołguje, z pokoju wypełznawszy, w korytarzu i na schodach wierzchnie odzienie wkłada i ani się obejrzy, już w tawernie Pod Orchideą siedzi, co nad Dock Creek leży. Z kapeluszem u boku i harcapem w nieładzie, zbyt wiele kielichów opróżniając, jak każdy przyjezdny czerpie przyjemność z przysłuchiwania się cudzym jeszcze politycznym dysputom, a nim alkohol do głowy mu uderzy, stara się wśród zdań gniewnych, stronniczych i obraźliwych jedno czy dwa wychwycić, które do domu zawieźć warto.

– Politykierstwo pensylwańskie? Rządzi nim prostota. Frakcje religijne od politycznych nie do odróżnienia. Są tu kwakrzy, anglikanie, prezbiterianie, pietyści niemieccy. Każdy ruch w swym zakątku prowincji przeważa. Jakieś pięć lat temu jeszcze prezbiterianie tak zażarcie się nawzajem zwalczali, iż mimo przewagi liczebnej w polityce nic nie znaczyli. Atoli ostatnimi czasy, odkąd między odłamami do ugody doszło i inni targu z nimi dobijając pospieszycy, a osobliwie Pennowie, co, choć z kwakerskiego rodu, *in praxis* są anglikanami – pachołkami Rzymu nawet, jak niektórzy powiadają. Imć Shippen¹, któremu przed wydaniem każdego pensa nadskakiwać trzeba, to prezbiterianin, z tych miejskiego sortu, i jako członek rady gubernatora całkiem swobodny. Co się zaś anglikanów filadelfijskich tyczy, wizyty duchownych wędrownych pokroju wielebnego MacClenaghana na dwoje społeczność ową podzieliły – Pennów popleczników z przyrodzenia i tych na nowo urodzonych, co światło ujrzeli i z prezbiterianami bratać się nad wyraz skorzy a przeciw kwakrom – choć, jak na razie, w zgromadzeniu kwakrzy się społem trzymali i głos ich przeważał...

¹ Edward Shippen (1729–1806), prawnik, protonotariusz filadelfijski.

- Pewien nie jestem, czy wszystko pojąłem – Mason rzecze.
- Obyś waść nigdy pojąć tego nie miał potrzeby, niemniej czasem się przyda, by niczym porządków amerykańskich miniaturę tutejsze gierki uważać, podobnie jak szachy wojnę przedstawiają. Gubernator Penn pionem mógłby być króla...
- Ciekaw jestem, kim byliby wigowie Rockinghama?

Krótkie arpeggio na szpince rozmowy przerywa i głos jakowyś wśród oparów ogłasza:

- A teraz chwila, na którą wszyscy czekali... Salon tawerny Pod Orchideą ma zaszczyt zaprezentować słynny *danse macabre* z butelką lejdecką! W roli śmierci sam filadelfijski Euklides Elektryczności, Biedny Ryszard¹!

W świetle latarni zakapturzona postać się pojawia w szkieletowym przebraniu, z kosą w rękę, gorącymi brawami witana – choć, gdy tylko mówić poczyna, wiele ze złowrogiego uroku traci.

- Witam, witam! Doskonale... Widzę dziś wieczór na sali kwiat filadelfijskiej młodzieży. Czy pośród niej kilku ochotników by się nie znalazło? Ha, dziwów amatory, oto bateria ma nowa – dwadzieścia cztery cylindry trzeszczą już gotowe. – Doktor Franklin kaptur w tył odrzuca, szkła odsłaniając, dziś wieczór dziwnie niebieskawozielone, które zajrzeć mu w oczy zezwalają, choć kryjące się w nich posępne ukontentowanie do dłuższych spojrzeń zniechęca. – Zapraszam waćpanów, kto następny? Dobra nasza, w szeregu proszę i za rękę, w szeregu proszę, ilu ich tu mamy? Dalibóg, za mało. Zapraszam, jeszcze jeden, jeszcze dla jednego miejsce...

Tym sposobem tuzin mniej więcej śmiałych Amerykanów w szeregu uzbierawszy, w dłoń pierwszego z brzegu przewód miedziany z zaciskiem baterii połączony wkłada, a ostatniego sam za rękę chwyta i kosą do drugiego zacisku sięga – szynkarz tymczasem świece gasi tak, iż żywy obraz, jaki się oczom gawiedzi ukazuje, straszliwe, błękitne błyski rozświetlać poczynają, piorunujący fluid tryska, ochotnicy chichoczą, ba, krzyczą nawet, chmury tabaki się wznoszą, co jakiś czas zielonym płomieniem buchając, a wszystko to wśród kłębow piekielnego dymu.

Bateria moc traci, światło rozbłyska – towarzystwo na tyle do siebie dochodzi, by zmiarkować, iż burza się zerwała, okna grzechoczą i trzeszczą drzewa. Szynkarz krząta się, próbując zaciągnąć zasłony ku elektrofili oburzeniu, którzy swój fluid ubóstwiany w formie najczystszej zawsze uważać skorzy.

- Tyle, jeśli o Arlekina² chodzi – doktor Franklin woła. – Wyjdźmy w pryncypialnym dramacie wieczoru się pogrążyć! Dla wszystkich słotne odzienie się znajdzie, a kosa kształt ma zdalny, by piorun dla nas schwytać, a może na jednym nie poprzesta. Zaprawdę, niżli klucz na latawcu lepsza. Za wytrych śmierci ją miejcie. Chodźcie, chodźcie, w szeregu się ustawcie... Czy kogoś brakuje? – Kaptur na powrót naciąga. – Do przedsionka Stwórcy się włamiemy! Waść nie dołączysz do nas, Masonie?

Szkła opuszcza i nań zerka. Nim astronom, którego opuściła beztroska cała, odpowiedzieć zdoła, już się Amerykanin odwraca i ostatniego w szeregu dłoń ujmuje – drzwi się otwierają, wiatr z deszczem wpada, piorun strzela i wśród dziwaczych, stłumionych okrzyków rozbawienia poszukiwacze dreszczyku w burzę nura dają, z oczu mu znikając.

¹ W latach 1732–1757 Benjamin Franklin wydawał kalendarz roczny *Poor Richard's Almanack*, popularny nawet w Europie.

² Przypominający klauna bohater *commedia dell'arte*, ale wcześniej imię (Herlequin) legendarnego przywódcy nocnych jeźdźców-demonów.

Dnia umówionego, zgodnie z wyrokiem sądu lorda kanclerza, plenipotenci obu prowincji wódatrzy wraz z kancelistami i wysłannikami, odprowadzani przez orszak dzieciarni, marynarzy, Irlandczyków i innych mieszkańców, którymi zegar nie rządzi lub za nic go mają, na Cedar Street hurmem wędrują, gdzie dom ów stoi wyznaczony, którego północną ścianę teraz wszem i wobec jako najbardziej na południe wysunięty punkt Filadelfii ogłosić mają. Co do grubości włoska łonowego rudej barwy, piętnaście mil na południe stąd Linia Zachodnia przebiegać będzie.

Zbierają się także sąsiedzi i między sobą szepczą.

– Pomyślałby kto, iż troszkę odczekają.

– Osiem lat dziesiątek nie starczyło?

– Miasto rośnie tak prędko, iż tydzień nie minie, a ten ich punkt południowy już kwartał dalej będzie.

– A tak, nawet gdy tu gwarzymy, granica się przesuwa, a zatrzymać ją trudniej niżli wieprzka natłuszczonego.

Sektor zajęzda wozem wyściełanym niczym jakowaś mechaniczna odaliska. Szkraby, by do środka zajrzeć, podskakują, a rękoma przy tym trzepoczą, pamiętając bez świadomości, iż niegdyś skrzydła miały.

– Czemuż nie ściana południowa? – wielu malców wypytuje z zuchwałością, która ni do ich wzrostu, ni wieku nie przystoi.

– Ściana południowa do czyjegoś podwórka przynależy – pomocnik burmistrza odpowiada. – Zgodziły się zatem obie strony, iż ściana północna, co na ulicę wychodzi, najdalszym jest punktem należącym do ogółu.

Nieopodal, na wolnej parceli, wśród młotków uderzeń, z których każdy swą miarą bije, imć Benjamin Loxley obserwatorium stawia pospołu z robotnikami, co podśpiewują niestaranie.

– Powiedz, Ben, wieleś już takich zmajstrował?

– Pierwsze to, lecz nie mów nikomu. Prosta robota, belki i łąty pospolite, nic udziwnionego, jeno ten dach stożkowy. A przez wzgląd na wysokiego tak belki pierścienia kładę, aby w łeb się nie łupnął, wstając – choć większość czasu na siedząco lub na wznak im minie.

– Ha?

– Ach nie, Clovis, nikt nie tknie twej wybranki. Jeno tak wprost na gwiazdy patrzeć mogą, co wysoko nad ich głowami suną, a te, trzymają, do szerokości mierzenia najlepsze.

– Tak? A ta wielgaśna teleskopu rura czy co to tam, wciąż ku górze skierowana? He, he. Czemuż musi być tak duża?

– Nie przestawaj uderzać miarowo, Hobab, nawet mi się podobało. Panowie nadzwyczaj starannych pomiarów pragną – szerokość swej granicy co do ułamka sekundy wyrachować. Tuba promień łuku podziałowego stanowi, im dłuższa, tym i łuk większy, szersza podziałka, miejsca więcej na notowanie, snadniejsze odczyty, zgrabniejsze odczyty.

Imć Chew¹ zdaje się dłuższą szykować przemowę.

– Czy, póki nie skończy, mamy młotki odłożyć? – Hobab pyta.

– Rodzą się pytania nowe. – Imć Loxley duma w dal zapatrzony. – Przyszłości pojmowanie. Czy nadal umowy z tymi ludźmi zawierać nam będzie trzeba? Jak prędko

¹ Benjamin Chew (1722–1810), jeden z plenipotentów Pennów i Calvertów.

powrotu Zbawiciela spodziewać się można, który je wszystkie unieważni? I temu podobne.

– Powiadam, gdy się da, salwą na dwadzieścia jeden młotków ich witajmy – Clovis mruzczy.

– A ja trzymam, bierzcie ich pieniądze, ich samych kochać nie trzeba – Hobab rzecze.

– Ani żenić się z nimi – młody czeladnik Eliasz dodaje.

– Oto astronomowie – imć Loxley miarkuje. – Może swymi rozważaniami radzi bylibyście podzielić się z nimi. Niech Bóg czyste niebo waszmościom ześle – młotki przekrzykuje.

Dixon, kapelusz zdjawszy, drzwi wypróbawuje, do środka wchodzi i na świeżo zerżniętych deskach na wznak się kładzie. Zerkając ku górze, Clovisa obacza, co na rozchodzących się promieniście krokwiach niczym pająk siedzi i oczy w niego wlepia.

– Można z pytaniem? Czyście waszmościowie o tym myśleli, jak ową wielką rurę przez drzwi przeprowadzić?

– Och, imć Bird lata temu już to wyrachował, jeszcze w Anglii. Wszystko na papierze.

– Nim choćby łatę jedną wycięli?

– Ba, jedną dla instrumentu śrubę.

– Podumam nad tym. Pięknie dziękuję. – Kapelusza, którego nie posiada, uchyla i schodzi.

Mason do środka zagłąda.

– Czy się w drzwiach zmieści, Dixonie?

Dixon staje, na głowę bacząc.

– Ten sam wszak na Przylądku mieliśmy.

– Nie frasujcie się, panowie. Takie drzwi wytniemy, iż przejdzie – Hobab obiecuje wesoły.

– I wyjdzie! – Eliasz dodaje spod ładunku desek, co pójdą na ściany.

Dixon, człkiem igły będąc, najświeższych pomiarów magnetycznych ciekaw z krainy, którą przemierzyć ma wkrótce, w kafenhausie Fleur-de-lis¹ na Locust Street pewnego wieczoru się zjawia, gdyż doszły go słuchy, iż pasjonaci magnetyzmu się tu zbierają. Podczas jednej wizyty wśród klienteli natrafia na fanatyków niemieckich, żelaza poszukiwaczy, jeometrów, szarlatanów i złodziei czasomierzy, którzy wiedzą, jak je z kieszeni wyciągać z chyżością igły przez magnes łapanej. Obcy niczym starego druha Anglika witają, inni zaś, co jak nic go unikają, gapią się, gdy tylko im dym tytuniowy w paradę nie wchodzi. Z jakich miar to wszystko, Dixon pojęcia nie ma. Lawirując wśród tłumu, do szynkwasu dobija.

– Dobry wieczór, czym służyć waści można?

– Pół na pół z góry Kenia najprzedniejszej kawy z tą z pogórza jawańskiego prosię i może jeszcze kapkę gorącego mleka do tego?

– Jak nic będziesz waść dziś nad swymi rozmówcami górował – zamówienie Dixon biegle parząc, właściciel żartuje. W dziwacznym świetle, co się od lustra za nim odbija, peruka jego nimbem świeci.

– Dziwnym może zdać się me pytanie, lecz... czy byłem już tu niegdyś?

– Skądże znowu. Ileż to razy dziennie to słyszę. Goście różnoracy i różne ich oczekiwania. Zgaduję, iż waść angielskich tawern bywalcem, zatem mniej tu oziębłości

¹ Fr. kwiat lilii; symbolem lilijki oznaczano na mapach północ.

znajdziesz niżli ci to znane, choć kto do bitki skory, długo szukał nie będzie – jeśli taką masz predylekcję, sztylety i pistolety czekają. W każdym razie, rozgość się waść i wszelkiej pomyślności w Ameryce życzę.

Dixon, uśmiechnięty, twarz w stronę sali zwraca i wnet obacza Dolly, znajomą doktora Franklina, choć strój jej dziś oczu nie rwie, jak to miał w zwyczaju, zdaje się też, że żadnej z jej towarzyszek tu nie ma. Niewiasta z poważną miną sporą mapę studiuje, na mahoniowym biurku rozłożoną, w ręce srebrny cyrkiel mierniczy dzierżąc, co w świetle świecy z białego złota być się jawi. Od czasu do czasu instrument swój w górę i w dół pergaminu prowadzi, wciąż przy tym do książki pełnej liczbowych tablic zaglądnąca. Gdy w końcu głowę podnosi i oczy ich się spotykają, Dixon miarkuje, iż cały czas o jego bytności wiedziała.

– Toż to pan Dixon, miło widzieć waćpana. – Dłoń wyciąga, którą Anglik ujmuje, lecz nim całować się pochyli, ona niczym mężczyzna nią potrząsa. – Tabele dopiero co niemieckim statkiem pocztowym przywiezione, najnowsze deklinacji¹ rachuby. W Pensylwanii ruch na wschód, jak i w ostatnich latach, zwalnia – cztery stopnie, minut pięć teraz mamy. – Dixon zerka jej przez ramię, wsłuchany. – W roku 1760 cztery i sześć było. Zaś gdy na południe się jedzie, już w Baltimore trzy i dziewięć stoi.

– Gdyby tylko najwyższe to wartości były – jeometra pod nosem mruczy.

– Jak mniemasz waść, jakaż tego przyczyna?

– Coś pod ziemią na zachód sunie?

– Sza! – Okolicę wzrokiem omiata. – Nikt o tym tu głośno nie prawi. Jakiż z ciebie człek niebaczny?

– Nie bardziej niżli inni.

– Cóż. – Do wnęki go wciąga. – Brałam cię raczej za kogoś, kto Pod Narodami bywa.

– Zaszedłem tam raz.

Dziewczęta, które w kafenhausie Pod Narodami usługują, w wymyślne chodzą poprzebierane stroje ludowe, naśladowujące te z każdego kraju, co hoduje kawę – z Arabii, Meksyku, Jawy, a Dolly trzyma, iż z Sumatry nawet. Z owego pochodzenia kaw świata alegorycznie przedstawionych może i ktoś naukę czerpie, choć w większości tameczna klientela głośniejsza i mniej poważna, niżli się tego Dixon w Filadelfii spodziewał.

– Ho, ho! Z Sumatry, powiadasz?

– Zda się, iż waść mdleć gotów.

Dixon wielce jest uradowany.

– Nie wiem, ileż waćpani z mej historii jest znane. – Swe krzesło przysuwa. – A raczej mej i Masona, jak honor rzec nakazuje.

Dolly swe krzesło odsuwa.

– Waść z imć Masonem, jak wnoszę, w wielkiej jesteście komitywie.

– My? Cóż, żyjemy w zgodzie. Druga to nasza wyprawa. Sekret tkwi w tym, by w drogę sobie nie wchodzić.

– Często tak bywa – Dolly klaruje – co niewiastom niestety znane, iż, jak to mówimy, z jednym i drugiego dostajesz...

– Cóż za poddawanie! Przysięgam, iż jeno na chlebobdawcach to wymuszamy. Chyba że, rzecz jasna, Mason twą uwagę przywiązał.

– Lub w imieniu Molly się dopytuję. – Zasłoną rzes na chwilę oczy kryje. – Coraz bardziej to pogmatwane.

¹ Deklinacji magnetycznej, czyli kąta pomiędzy północą magnetyczną a północą geograficzną.

- Mason winien częściej w miasto wychodzić, bez wątpienia. Atoli o siebie się lękam. Byłaś kiedyś pani dni długie na melancholika skazana?

Dolly ramionami rusza.

- O tak, Molly w skwaszeniu się lubuje. Szczęście ma, iż mi obce podobne humory. Gdybyśmy obie takie były... Ciarki przebiegają.

- Trudno mi tak wesołym wciąż pozostawać, jak zda się, iż muszę - Dixon powiada.

- Doprawdy? Opowiedz. Jak cię twarz boleć poczyna.

- „Oto nasz wesolek”, wołają, palcami skazując. Imć Franklin tak ma bezustannie, czy dobrze zgaduję?

- Imć Franklin mi się nie zwierza, ni ja bym go po temu nie skłaniała. Zbyt jest uroczy, zbyt tajemniczy, w zupełności zły sort na wielkiego filozofa.

Dixon koniuszka swego nosa tyka.

- Ach! - Palcem żywo przesuwam. - Przydałoby się spiłować, proszę o wybaczenie.

- Ma historia jest prosta. W dziewiątej wiosnie życia, gdy dziewczęta w dziwacznych zatrudnieniach się rozmiłowują i z pasją im oddają, ja po raz pierwszy w swe ręce busolę dostałam. Wierzyłam, iż duch nią włada. Odtąd zabierałam ją wszędzie i pojęłam prędko, iż nie zawsze północny kierunek skazuje, stąd najbardziej inklinacje z dewiacjami mię ciekawiły.

- Z mego pantometru odczytywać się nauczyłem, jakie kształty są pod ziemią schowane, a wszystko to z igły tańcowania. Odkryłem na wrzosowisku, jakby nie dość już tam strasznych rzeczy było, iż instrument mój za jakowyś kryptoskop służy, moce ukryte zgłębiający, które igieł intruzów czekają, by, niczym czujki wystawione, przed gościem nieproszonym ostrzec. Coś, co w czeluściach ziemskich się czai. Żaden ze stworów wrzosowiska mi znanych zaprawdę nie cieszył się podobną ochroną - z osobna się włóczące i obszarpane, raczej z gwałtowności swych pragnień słynęły niżli z ich wytworności czy prawości jakiejś.

- W Maryland wywarła twa osoba na nich wielkie wrażenie - Dolly rzecze. - Cecilus Calvert, przez niektórych za swą wylewność nierozważną „Najgłupszym z Calvertów” zwany - choć ja trzymam, iż na cztery nogi kuty - wierzy, iż waść czarnoksiężnikiem jesteś, co żelazo w ziemi wyszukuje.

- A tu na instrumentu wahania baczenie, pomiarów wstecz bez liku, powtórzenia, rozgoryczenie - po cóż ich złudzeń pozbawiać? Jeśli sobie Tajemnych Mocy Geordiego życzą, naści, ile dusza zapagnie. Imć Calvert porto w srebrnym pucharze mi podsuwał, zdawał się wesół nad wyraz.

- Toż oni wszyscy cielęta. Przedstawiają sobie, iż z instrumentem swym nababami ich ostawisz na podobieństwo lorda Leptona, do którego niesławnej osady, gdy na zachód ruszysz, niczym igłę ciągnąć cię będzie. A wówczas, mistrzu busoli, wśród Wysp Żelaznych rzucony żeglarzu - strzeż się.

31

Pewnego poranka, koło Nowego Roku, budzą się, wodorosty i wodę słoną w nozdrzach czując. Wiatr chłodniejszy znacznie chmurki ciemne i szare pędzi. Światło słoneczne, gdy już się pojawia, zawsze skosem pada.

- Zaszła dziś w mieście jakowaś niepokojąca przemiana - Dixon miarkuje.

- A cóż to za ćwierkanie przekłęte?

- Zdaje się, iż „ptakami” owo zjawisko wołają.

- Czy podobna, żeśmy ich nigdy wcześniej nie słyszeli? Dixonie, na Boga! Wozy z mięsem! Piły! Młotki! Bezustanne nawoływanie! Cóż się stało?

- Cóż, były Święta, czyż nie?

- Jeden z nas – Mason oświadcza – buty i surdut włożyć winien i w dół ulicy ruszyć, wywiedzieć się, skąd się ta niepokojąca cisza wzięła.

- No ładnie, znów młodszy karku nadstawiać musi! – Dixon oponuje.

- Bądźże roztropany. Jeśli cię zabiją, a ja przy życiu останę, iż astronomia brytyjska stratę odniosła, mało kto zmiarkuje. Cóż to zresztą za strata?

- Gdy tak na to spojrzeć... Gdzie mój kapeluszek zatem? Nie, nie ten, pięknie dziękuję – dziś tego z rondem szerokim mi trzeba.

- Za kwakra będziesz robił?

- Ha! W kwestii stroju też mi radził będzie! On, co to zawsze swe pragnienie obnosi, by jak najmniej rwać oczy gawiedzi.

- Środek zaradczy to niedrogi – Mason się broni.

- Może to intuicja człeka na wrzosowisku chowanego – rzecze Dixon, w skroń się stukając, i klasyczny kapeluszek filadelfijskiego kwakra nakłada, od tysięcy innych w mieście jeno ciut rozmiarem odmienny. – Wierzaj mi. Prawda, w Londynie po butach ludzi odsiewają, lecz tu, nawet u płci niewieściej, podstawą osądu kapeluszek i peruka.

- Mą... perukę cały czas uważali? Mój kapeluszek? Czyż pewien, Dixonie?

- A tak, uważali, a obaczywszy, wyrokowali.

- Och. Oj. Co na ten przykład?

- Ech, próżne gadanie. Za późno, mniemanie wszytki o tobie już wyrobili.

- W takim razie zmienię odzienie.

- Wówczas na człowiecze języki się wydasz. „Oto i on, strzeżony, którego Pan Bóg strzeże. Czyżby dość śmiały, by po strój godny Adonisa sięgnąć? Skąd, widzieliśmy już to nieraz. Naszych sądów złękniony”.

- Co? Ma peruka nie dość... zawadiacka, powiadasz?

- Skłoń ucha do mnie. Czy Molly i Dolly pamiętasz? Z tego, com posłyszał, mało o czym poza twym strojem rozprawiły i tym, co zmienić w nim można by było, przez co nieraz na panewce spalił wieczór wesoły. Wybacz, lecz twa peruka osobliwie do mych najsroźszych porażek się przyczyniła.

- To fason Ramillies, sort pospolity, lata temu w Bermondsey od zbiegłego perukarza irlandzkiego kupiony. „Imć Maclachan, loczki ciacham” mawiał o sobie... Nic partykularnego. Powiadasz, spędzałeś wieczory z...

- Czas i grosz spędzałem, niewiele więcej, lecz inna to historia. A zatem, czas na zwiad, a niech mię, wychodź! – I wychodzi, Mason zaś tak blisko za nim bieży, iż niemal nos mu drzwiami przytrzasnął.

- Czekaj! Towarzyszyć ci chciałem! – Buty wkładając, w dół po schodach skacze i surdut dopina. – Jakże czas znajdujesz na to wśród obserwacji i wizyt składania?

- Czas na co? – Dixon w komicznym zagubieniu pyta, ku swemu członkowi męskiemu zerkając, co u jarmarcznych trefnisiów podpatrzył. Skrzypiącego śniegu dziś rano po kostki, a więcej będzie. Ulica przed oberżą wyludniona. – Kuriozalne w dzień targowy.

- Kolejny to kaznodzieja przeklęty – Mason zgaduje. – Całą ludność swym magnetyzmem do jakowegoś namiotu ściągnął. Znasz filadelfijczyków wyrafinowanie, na wszytko spieszyć tłumnie są skorzy.

Od najbliższego kafenhausu Pod Niestrudzoną Pszczołą jeno półtora kwartału ich dzieli. Tam, jak nigdzie indziej, najświeższe wieści poznać można. Po drodze mia-

sta odgłosy nareszcie uszu ich dobiegają. Dzwony okrętowe biją w dokach i bosmańskie dudy grają, psy szczekają, dzieciarnia na sankach swawoli. Woźnica, co wozem zawalonym w zaspę wjechał, lamentuje. Z wolna szum głosów człowieczych narasta. Przed Niestrudzoną Pszczołą krąg obywateli zacieklej bóje się przypatruje, a część nawet zakłady o nią czyni. Jeden z bijących się, na oko kwakier z miasta, kapelus ma strącony – drugi, jak nic z dalekiej prowincji prezbiterianin, od stóp do głów w skórki zwierzęce jest odziany. Każdy sporo już ciosów zebrał, lecz wojowniczość obu nie zelżała.

– Wybacz, waść – Mason zapytuje jegomościa w peruce pełnej, aksamitnych bryczesach i surducie, z plikiem akt pod pachą. – Cóż się tu dzieje?

Jurysta, zmierzwiwszy ich wzrokiem, jako imć Chantry się przedstawia.

– Z dalekich stron być musicie, skoro żeście nic nie słyszeli.

Dixon oczyma zenitu szuka i stęka.

– Przedwczoraj, w Lancaster, Indian, którzy się w tamecznym więzieniu schronili, co do jednego wybili miejscowi w oddział zebrani. Ta sama banda, co ledwie dwa tygodnie temu inną grupę Indian w Conestodze wyróżnęła.

– Skończyli, co zaczęli – rzemieślnik w fartuchu dodaje. – Całe plemię do piachu, w pień wycięte.

– Czy zabrakło żołnierzy, by im stanęli na drodze? – Dixon pyta.

– Pułkownik Robertson ze swym regimentem szkockich góralsi ingerencji odmówił. Przy ogniu popijali, gdy ci zbóje z Paxton rodem starców mordowali, dzieci drobne i bezbronnych opoi.

– Nie dość są mężczyznomi prawdziwymi, by z wojownikami się zmierzyć.

– Miarkuj swe słowa, przyjacielu, bo i twój kapelus w piachu wyląduje, z głowy nie spadłszy.

– Zdrowie Matta Smitha i wielębnego Stewarda¹!

– Niech te psy tchórzliwe szlag trafi! – Dalsze obelgi padają, potem w ruch pięści i śnieżki idą, a cegieł odłamki śmigają poczynają.

– Tędy, panowie.

Astronomom z pomocą imć Chantry przychodzi, w zaufek ich prowadząc, skąd tylnym wejściem do kafenhausu wchodzi. Wrzawa tu jak nic większa niżli ta z ulicy, a widok sali byłby arcyciekawy, gdyby co nieco obaczyć można było w dymie gęstym, co się z palenisk, piecyków i dziesiątek fajek unosi. A gdzie widoczność niska z dysputami niesłabnącymi idzie w parze, tam Spisek, brat-domator Rebelii, nie tylko miejsce dla siebie znajduje, lecz i plony zbiera. Wszak kilka cali ledwie od sąsiada siedząc, twarzy jego w kłębach rozpoznać niepodobna i *vice versa*, rady zatem padają pochopne i przepowiednie w osądach swych nadzwyczaj surowe. Po sali krąży opinii liczba niesłychana, zarówno głośno wypowiedzianych, jak i na palcerze stojących, tym zaś w powietrzu się wymachuje, dla słów swych poparcia palcem dźga miarowo bądź też niczym tarczę trzyma, która przed wyrazami niemiłymi chroni. To tu, to tam aureolę wokół lampy oko zmiarkuje, choć jak daleko do niej, orzec nie sposób. Koty niewidzialne bieżą w strumieniach ciepła ciał przed usługującymi w kafenhausie chłopaczkami, co tam i nazad spieszą, małymi miechami żywo drogę sobie w dymie torując, wykrzykując przy tym nazwiska prawdziwe i przybrane.

– Chłopcze, czy cię nie uczono, iż to nazwisko nigdy tu głośno nie może być wymawiane?

¹ Przywódca bandy z Paxton.

– Ha! – słyhać z gęstego mroku. – Zatem znów się wkradłeś tam, gdzie twarzy twej nikt nie obaczy!

– Mam waszmość prawo.

– Chłopcze, oczyść mi z dymu ścieżkę do owego głosu niesławnego, a zobaczymy...

– Panowie, panowie!

– Wkrótce znów wystrzały z pistoletów posłyszemy, jeśli wierzyć temu, co ostatni goniec donosi, który właśnie zza Susquehanny wrócił. Wątpliwości nie ma – banda z Paxton w kraj ruszyła.

– Hurra!

– Hańba!

– Ilu ich, Jefte?

– Micheaszu. Setka, a z każdą godziną rosną w siłę. Tak tu napisane stoi.

Pałacy zamierają. Dym rzednie, sylwetki człowiecze coraz wyraźniej majaczą, niektórzy na krzesłach, a nawet na stołach stoją, inni, skonsternowani, ucieczką pod sprżety się salwują.

– Zbóje gadają, iż tym razem krew Indian Morawskich spłynie.

– Indianie w Filadelfii? – Dixon się dziwuje.

Imć Chantry wyluszcza. Lata przed wojną ostatnią z Francuzami Bracia Morawscy ich nawrócili, lecz nikt im nie ufał, a w potrzasku między dwoma konfliktu stronami pragnęli jeno wieść życie dobrych chrześcijan godne. Wzdłuż Lehigh się osiedlili, a nie wadzili nikomu, atoli ledwie kilka tygodni przed mordem w Conestodze, oddział zbrojny ich wytropił, o konszachty z Pontiakiem podejrzewając, który siał natenczas wielkie spustoszenie. Część Indian zabito, lecz większość umknęła i w listopadzie w Filadelfii się zjawiła, choć ledwie przed tłuszcą w Germantown uszli.

– W samej rzeczy, mniej więcej wówczas, co wy, panowie. Teraz stu czterdziestu, z Wyalusing, Wecquetank, Nazareth, pod miastem, na Province Island siedzi, gdzie ich Morawianie i kwakrzy doglądają. Wojsko, w Lancaster na co je stać pokazawszy, straciło ludności zaufanie.

– Paxtonowie do nogi nas wybiją! – ktoś woła.

– A niech ich czort porwie, tu nikogo nie dostaną! Starczy tego dobrego.

– Trzeba nam się nie bliżej niżli nad Schuylkill zasadzić, a promy tameczne ściągnąć pierwiej na naszą stronę.

– Ile dział ci w mieście mamy?

Mason i Dixon zerkają na siebie ponuro.

– Cóż, gdybym wiedział, iż tak w Ameryce będzie...

Po prawdzie, gdy o zbrodni w Conestodze doszły ich słuchy, żaden powagi wydarzenia należycie nie zmiarkował. Obserwatorium na Cedar Street wreszcie stało – by czworograniaste człony do gięcia się skłonić i w kręgu zamocować, przednio się imć Loxley z robotnikami natrudził – zatem po dwu dniach deszczu ze śniegiem, pierwsze obserwacje astronomowie uczynili. Mason uznał jeno za znaczące osobliwie to, iż pierwsze bestialstwa przykłady, z którymi w Ameryce zetknąć im się przyszło, występkami są Białych przeciw Indianom. Dixon zaś zawyrokował:

– Toż to znów śpiewka ta sama, co u owych Holendrów przeklętych.

Dość się już na Przylądku Dobrej Nadziei napatrzyli na to, a nadal ni w ząb pobudek nie pojmują. Coś im umyka. Tu i tam Biali sobie poczynają niczym własnych najgorszych koszarów dzicy bohaterowie, a asumptu do zbrodni im nie trzeba. Ze wszystkimi, z którymi bezpiecznie chyba, Mason i Dixon o tym rozprawiali.

– Pomnijcie, iż dwie są elektryczności odmiany – doktor Franklin wyłożył – pozy-

tywna i negatywna. Aura przekleństwem jest Kapsztadu. W porze sztormów ładunek pozytywny wszędzie, w porze suchej zaś negatywny.

– Jesteś waść pewien – Dixon rzekł zaczepnie – iż nie na odwrót? Wszak przy słońcu...

– Dobrze, dobrze – Franklin uciął. – Jak by nie było, liczy się owa różnica wielka, co w polaryzacji powietrza, a może też eteru, zachodzi, tak wielka, iż kręci się w gło-wie. Kto wie, czy tamecznym mieszkańcom w głowach właśnie ona nie mąci.

– Cóż zatem Ameryki jest wymówką? – Dixon zapytał delikatnie niczym rumianek parzony.

– Niestety, moi młodzi przyjaciele – Wielebny wspomina. – Słowo „wolność”, jak-że dziś powszechnie uświęcone, w owych czasach najmroczniejsze z człowieczych swobód obejmowało – prawo do zadawania bólu podle własnego uznania, jeśli możebne i do wyplenienia wroga, do działań, którym ni król, ni granice z traktatów w paradę nie wchodzą. W rzeczy samej, niestety, jedna to z swobód, o którą w naszej ostatniej wojnie walczone.

Tenia, właśnie z pokoju wychodząca, w drzwiach się odwraca poruszona.

– Cóż za okropieństwa wuj wygaduje! – Znika, głębiej kwestii nie poruszając.

– Mniej więcej, gdy bitwa nad Bushy Run¹ trwała – Ives LeSpark się zwierza – a sam ów dokument widziałem, generałowie Bouquet i Gage obaj listę wydatków podpisali, na której stało, by koce szpitalne wymienić, co to były „do zarażania Indian ospą używane”, jak to może zbyt wprost ujęto. O ile mi wiadomo – Ives się zachwyca – przed nimi nie dopuścił się czegoś podobnego żaden nowożytny wojskowy.

– I co, Wicksie? – Wade LeSpark pogodnie w Wielebnego się wpatruje. – Czy dodać coś byś pragnął? Nie czuj się skrępowany. W tym domu kwestia Indian zabijania od dawna nie jest drażliwą.

– Skoro tak – Wielebny uśmiech wymusza. – Naprzód, wszyscy o zarażaniu Indian przez Brytyjczyków wiedzieli i nikt nie oponował. Banda z Paxton, te same nie-cne zamiary mając, jeno koce na strzelby zamieniła. Po wtóre, dziś wszyscy cnotliwi, lecz wówczas nikt od grzechu wolny nie był. Jak i handlarzom wyznań mniej pokojowo nastawionych, tak i kwakrom ładny grosz przyniosło broń z Indianami kupczenie, w tym podrabianymi muszkietami gwintowanymi, co swym nowym właścicielom równie często w twarz wybuchały, co białych osadników powalały na ziemię. Po trzecie...

– Ileż jeszcze? – szwagier go pyta. – Coś mi się zdaje, iż ofertę swą przemysłlec w-nieniem.

– Każdy rękę przyłożył – wuj Wicks oświadcza. – Nie można ruszać grzeszników szukać, nie w mieście okupowanym², gdyż każdy tu płamę na sumieniu posiada – młeczarka i krawcowa, kaznodzieja i pomocnik drukarza – nawet mała Peggy Shippen, niech ją Bóg błogosławi, już w wieku lat czterech czy pięciu kokietka straszliwa, kręcąca się wokół, kwiaty każdemu z nas wręczając, podczas gdy jej ojciec nad listami naszych wydatków się krzywił. „Praca Papy smuci go – tycia kusicielka klarowała. – Moje zatrudnienia nigdy mię nie smuca”. „Jakież to zatrudnienia, dziewczusko?” – wuj wasz niewinny spytał. „Starania, by za mąż pójść za generała i umrzeć bogatą” – odparła, burzę loków odgarniając. Podczas okupacji, w jeszcze

¹ Bitwa z Indianami, 5–6 VIII 1763.

² Filadelfia okupowana była przez wojska brytyjskie w latach 1777–1778, podczas wojny o niepodległość.

groźniejszym wieku będąc, na biednego młodego André parol zagięła. Gdy odjechał po swym balu przesławnym, choć towarzystwa niepozabawiona, rozżalenie pielęgnowała, póki Arnold się w mieście nie zjawił – ot, znad brzegów Schuylkill Kleopatra¹.

- Czy zgorzyć mi się wnet przyjdzie? – Tenebra na powrót w drzwiach staje.
- Miejmy nadzieję, iż nie – DePugh rzecze cicho.
- Cóż, DePugh.
- Wywarłaś wrażenie – Ethelmer mruczy.
- Z pewnością nienaumyślnie.

Tenebra ich dwu wzrokiem mierzy. Nie można wróżyć sobie zbyt wiele. Siada i nad wypełnianiem materii ściegiem w jodełkę się pochyla.

Tymczasem Mason i Dixon, kawowymi humorami podsyceni, głos zabrać niecierpliwi, z grzecznością, na jaką ich tylko stać, cudzych monologów wysłuchują, często nierozważnych.

- Prawdziwa wojna między miastem a wsią się tu toczy. Prawdziwe zgony – Irlandczyków, Szkotów, Indian, katolików – od Filadelfii z dala, jak i od uszu, co ostatnie słowa konających pojąć by mogły. Atoli miasto każdemu, kto na cenę przystanie, strzelby sprzedaje, w tym, co najsrożej oburzające, Indianom, którzy naszego upadku wyglądają.

- Skłócenie to zaś użyteczne dla Brytyjczyków, naszego wspólnego wroga, bowiem za wymówkę im służy, by po wieki wieków na naszej ziemi wojska trzymać.

- A ich diabelska linia proklamacyjna tym samym prowincjuszom wypraw brojni, co z przemysłem ogromnym Ohio z rąk Francuzów odbili. Przyjdzie za to zapłacić tym Brytyjczykom przeklętym. Lista ich przewinień z dnia na dzień rośnie.

- Ach, drzę na myśl, by Wielka Brytania kiedykolwiek liczyć się z nikczemnymi tchórzami miała, którzy Braddocka² na pewną śmierć ostawili – co na pięcie się odwrócić i umknąć, ledwie piórko zaszeleści, choćby i na padłym indorze. Nie obrażając przy tym szumowin irlandzkich ni jakobickich wyrzutków ze Szkocji rodem, ni wreszcie żadnego z tych wielorakich mieszkańców, co się w wsiowym błocie taplają, manierami, ba, człowieczeństwem swym dzikusom ustępującym, na których się wyprawiają.

- On to znowu? Błagam, niech go kto zgładzi.

- Pomyślunku nieco. Wszak Irlandczycy, waćpanie, od maleńkości z mozołem w powstaniach szkoleni, jak arsenał przejąć, jak konwój zaskoczyć. Choćbyś i Brytyjczyków kochał, ich to sprawka³.

I tak pora obiadu na dysputach mija. Wkrótce w pokojach popołudnie wyraźnie się czuje. Mapy zniesiono i rozłożono, a Belgowie tu zamieszkali, fach pocztowy znający, gołębie z depeszami spod szczytów dachów posłali, nawet tam hen, po hrabstwa Lancaster granice. Chłopcy dość duzi, by im strzelby powierzać, musztrę na podwó-

¹ Generał amerykański i bohater wojny o niepodległość Benedict Arnold ożenił się z Peggy Shippen (córka Edwarda) w Filadelfii w 1779 roku. Być może pod wpływem sympatii politycznych rodziny żony, a także zaciągniętych przez nią długów, zgodził się za ogromną sumę przekazać plany fortu, który mu podlegał, brytyjskiemu majorowi Johnowi André, znajomemu Peggy z okresu okupacji. André zatrzymano z planami i stracono jako szpiega, Arnold zbiegł na okręcie brytyjskim.

² Gen. Edward Braddock (1695–1755) zginął w czasie bitwy z Indianami i Francuzami, dowództwo przejął wówczas Waszyngton.

³ Podbój Irlandii przez Anglików rozpoczął się w XII w., część wyspy uzyskała niepodległość w 1921 roku.

rzu odstawiają, zaś młodszy braciśzkowie, niżej w hierarchii stojący, ćwiczą się z długimi kijami. Wokoło podwórza psy, jeszcze podlejszego stanu wojacy, w ekscytacji tam i nazad biegają, ruchy młodzieży pojąć usiłując. Na mieście, co tuż za rogiem się rozpościera, marynarze w swych mrocznych tawernach gderają, a pobożni kupcy chwili wyglądają, kiedy to znów godzinę spędzić będą mogli na codziennego pytania rozważaniu. Drży dziecina, gdy zjawy się za drzwiami przesuwać, a z dalekich kniei, ku Filadelfii Paxtonowie spieszą...

*Bieżą przed siebie śmiało
Bandy z Paxton członkowie
Na plecach strzelby im wiszą –
Strach czuje każdy człowiek.*

*Niczym drapieżcy patrzą
I praw pradawnych pewni,
Wkrótce z słynnym Franklinem
Twarzą w twarz stają gniewni.*

*Lecz wzrok jego schowany
Za różowymi szklami,
A gdy oczy ukryte
Buta ich nie omami.*

Timothy Tox, „Oblężenie Filadelfii, czyli Attyła naszych czasów”

Zbyt dziś do obserwacji pochmurno. Masona zwłoka trapi. Notują teraz, ile gwiazdy szerokości – Algol, Mirfak, Capella i inne – w zenicie stojąc, od Ziemi są oddalone. Gdy dość owych wartości zgromadzą, by średnich odległości być pewnym, zabrać się będą mogli do rachowania szerokości dla punktu Filadelfii najbardziej południowego, potem zaś czas nadejście bagaże zebrać i ku kolejnej stacji ruszyć – na zachód stąd, w szerokości tej samej.

– Byle prędej – Mason pod nosem mamrocze.

Z obserwatorium do swej kwatery właśnie wracają. Muzyka z austerii i stukot podków końskich wśród cegieł się niosą, nieraz nawet z sąsiedniego kwartału uszu dobiegając.

– Żywiłem nadzieję, iż jeszcze w mieście będziemy, gdy banda się zjawi. – Dixon wdycha głęboko.

– Czemuż to? Najgorsi to z możebnych zwyrodnialcy celtyccy. Antenaci ich mięso człowiecze jadal, a krewni niechybnie nadal spożywają. Krwi posmakowali, strzelać do wszystkiego będą, a osobliwie, cóż, do celów w barwach jaskrawych, co się nie dość w otoczenie wtapiają. Zaprawdę, najlepszą dla naszej pary radą jest nie zwlekać, lecz z dawną miarą spełniać swe powinności, a prościej, stąd umknąć i jeśli się da, pozbyć czerwonego surduta.

– Zmiarkuj, Masonie, droga nasza na zachód biegnie, kędy dopływy Brandywiny, a jako że barbarzyńcy owi na wschód zmierzają, niechybnie wcześniej niżli filadelfijczycy ich napotkamy.

Mason marszczy czoło.

– A dajmy na to, iż zawsze piętnaście mil na południe trzymać się będziemy... Wszystkie gościńce, które przecinać nam przyjdzie, z południa szły będą, a nie z północy, od promu. Wówczas większość watahy od północy nas minie.

- Chyba iż czujki rozsyłają, może nawet nas wyglądające – Dixon ze smutkiem rzecze.

- W końcu trafi ci się upragniona przygoda. Atoli po cóż by się fatygować mieli?

- Czy ja wiem? Może my sami intruzami jesteśmy, których im znieść niepodobna? Jak my się w ich oczach przedstawiamy? Oto pionierów uzbrojona gromada, co u Panów tych ziem służy. Tajemnicze maszyny z sobą wiozą, których tamci nigdy wcześniej nie widzieli. Nie wiedzieć czemu po nocy przesiadują, w sklepienie niebieskie wpatrzeni. Co byś mniemał, w ich skórze będąc?

- Może mógłby im ktoś wyłożyć...

- Wpierw dość blisko, by nas posłyszeli, podejść byśmy musieli, a jeśli prawdziwe są historie, które o ich strzelbach słyszałem... Cóż, wiedzą niemieccy rusznikarze, jak kulą z odległości mili w precel trafić, w którą dziurkę zapragniesz.

- Zdajesz się wesół, podobne widoki mając.

- Raczej jeno ciekawym tego, kto ową bandą dowodzi. Czy naprawdę na swe miasto matczyne ruszą? Czy takie mają być w Ameryce porządki? Jako kwakier nic prócz głębokiej odrazy czuć do nich mogę, atoli serce mi, dziecku roku czterdziestego piątego, krwawi, gdy ich przeszłe losy pomnę. Temu podobne myśli przychodzą mi do głowy.

Drzwi kafenhausu Pod Niestrudzoną Pszczółką właśnie mijają, jednego z tych, w których noc całą życie nie zamiera. Odgłosom rozmowy oprzeć się równie zdolni, co wobec woni Celebes nozdra zachować niewzruszone, w krąg dysputantów północnych wkraczają.

- Hm, wybaczysz mi, proszę, dygresję małą – Mason rzecze z oparami delfickimi zasnutym obliczem. – Rok czterdziesty piąty, powiadasz? Jakież możesz mieć o nim wspomnienia, ba, jaką wiedzę? Dzieckiem byłeś, hen, gdzieś na północy, w chatce przy wyrobisku siedziałeś, widok jeno na hałdy mając – wszystko cię ominęło, tak mi powiadałeś! Do stu diabłów! Do historii spółtworzenia młodzież zawsze pretensje rości – pięknie! – Kolejna filizanka wonna skądś się w jego dłoni zjawia, astronom łyk pociąga i śpiewać poczyna.

Gdy noc dniu była równa,

Dzień zaś równy był nocy,

Kto jakobitą zostać

Nie chciał z nas z całej mocy?

- Ha? Rzecz jasna o wiele byłeś za młody, by w pełni docenić owe wspaniałe dwa lata – rok czterdziesty szósty i czterdziesty piąty, oba namiętnościami przesycone.

- Ty, Masonie – jakobitą?

- Każdy młodzik siedemnastoletni, Dixonie, jakobitą był owego lata.

Dixon i owszem, zastęp jeźdźców w pelerynach pamięta, o obliczach przesłoniętych, co w środku nocy z hałasem do Raby zajechali.

- Z okienka spiżarki ich uważałem, na pęczin końskich będąc wysokości... Buty wysokie, rąbki płaszczy – z wełen krata szkocka po oczach biła, choć barw jej w owym świetle orzec było nie sposób¹. Nawet teraz wierzę, iż był On między nimi... Czuję... coś takiego... podniosła była to chwila. Na kolana porażony padłem, w ogień pójść za Nim gotowy. Raz jeden w życiu czyjeś mocy się poddałem, atoli ze smutkiem później pojąłem, iż to na takim afekcie władza wszelka się opiera. Nigdy więcej. Niewinność mą straciłem i dzięki Bogu.

¹ Każdy klan szkocki miał przypisany własny wzór i barwy kraty, tzw. tartan.

- Czy podobna? Wszak On i oddziały jego szły na zachód dalej, bliżej Irlandii, dla posiłków francuskich wygody.

- Może modlitwy nasze Go przyciągnęły...

- Modlitwy... Cóż, choć po własnych spodziewam się niewiele, nie dość jeszcze w melancholii pogrążony, by działanie cudzych wykpiwać.

- Miło z twej strony.

- Ja zaś, Dixonie, noce pamiętam słabo, owe lata to świt jeno nieskończony. Każdy ranek nowe wieści przynosił – wszędzie był On widywany. Wkoło domostw się snuliśmy z rosnącymi nieopodal sosnami, gdyż te znakiem tajemnym dla jakobickich zbiegów były, mówiącym, iż w środku schronienie i posiłek znajdują.

- W Durham, przy wietrze pomyślnym, z daleka dudy słysząc było. Podobna muzyka nie była nam znana. By się nią napawać, mile niektórzy chłopcy, a i dziewczęta nawet, wędrowali. Mnie do serca nie przypadła, ze smutkiem przyznaję – zbyt drażniąca, zbyt mało nad brzmieniem swym panująca – zbyt straszna, jako iż miech wciąż napełniony grającemu na dech nie zważać zezwalał. By tchu nabrać w piersi, nigdy nie przerywał grania. Czy przedstawić umiesz sobie słuchacza konsternację? Odgłos to dzikiem zwierzowi niepodobny, gdyż każda bestia nie jeno ryczeć, lecz i dychać musi, a to... przybierało na sile, niewidzialne, nieposkromione. Coś, co potrzebie oddychania się oparło.

- Pamiętam, jak ludzie Wolfe'a¹ do Stroud zawitali. Bez dud na przedzie, muzykę wszystkim innym Szkotom od roku 1745 wzbudzoną grali, w dwójnasób zatem przekleci. Śpiewali żałobnie, stratę swą i porażkę oplakując, nienawiścią wobec Anglików się obnosząc. Wieś za wsią strachem trzymali... Anglicy byłiby Indii nigdy nie złamali – to Szkocję rujnując, pojęli, jaką moc ów krzyk bez tchu posiada, pokłady zwierzęcej trwogi w człowieku budzący. Przydatnym go sobie uczyniwszy, krwią zbroczone przepaski biodrowe we wszystkich krainach tropiku za sobą ostawili. I oto tu, mej drogiej dolinie to samo owi przybysze czynili, co ci, przeciw którym się wyprawiali. Dzieci w mym wieku w czerwonoskórych sukienicy zmienili, z lasów, co swymi wołali, ich szpiegowaliśmy. Zwaliliśmy ich „Białymi”, a dom ich „Wielkim Domem”. Przednie igraszki chłopiące, rzec byś mógł, zmylony – bowiem to, co za raj w dzieciństwie miałem, jeno jaskrawą połacią arrasu się okazało, za którą różnoracy głupcy się wykrywawiali, a szczury prawdziwe rojiły, sposobności czekając, z zakręconymi ogonami². Władców odkryłem, którzy nie zamki, lecz pospolite domy zamieszkują, a nieraz nie sposób im się na tyle oddalić, by nie słyszeć już machin, z których swą władzę czerpią. Przedstaw sobie, iż późnym wiosennym wieczorem jedziesz z ukochaną, powietrze drży obietnicą, noc edenem cała...

- Czy o tym gwarzyć winniśmy?

- Tak, gdyż oto nagle twym oczom maślanym kolejny młyn diabelski się ukazuje, którego koło napędza ich maszyny, kolejny potok w młynówkę zmieniony, manufaktura w mroku rozświetlona, niczym zajazd przez chochliki podłe zajęty. Kilka godzin czułych w zarodku zduszone, jak zawsze w Gloucestershire, gdy się który wyłoni. Ty, prosty Geordie, z rubieży jesteś rodem, gdzie nadal po zmierzchu snuć się mogą pradawne stwory, zwierzęta latać, a zmarli co rusz na kawę zachodzić. W mych stronach, z owych hydraulicznych warsztatów tkackich³ nadejściem, ziemię, co po-

¹ James Wolfe (1727–1759), generał angielski, zginął podczas zdobywania Quebecu.

² Nawiązanie do sceny, w której Hamlet zabija Poloniusza ukrytego za arrasem, nazywając go „szczurem” i „głupcem” (3. scena IV aktu).

³ Tak naprawdę tzw. ramę wodną wynaleziono dopiero w 1769 roku.

dobne cuda rodziła, okrutnie zatruto. Nowy sort bogaczy się wówczas pojawił, moźnych, których za młodu w milczeniu szpiegowałem, uczucia barbarzyńskie w głębi serca skrywając. Wolfe z swym regimentem z raję mię wygnali. Raz wtargnęli i próżne każde późniejsze wycofanie. Mego domu, jaki był, nikt mi nie wróci.

Czy Dixon jakowyś zduszony zaśpiew nieszczery miarkuje? Coś do układanki nie pasuje.

- Jesteś zatem banitą, przyjacielu?
- Londyn ledwie pierwszą stacją mego wygnania. Potem Kapsztad. Potem Helena. Teraz te tu kolonie. Byłeś tam, jesteś przy mnie teraz. Musiałeś być obaczyć - krok naprzód, za każdym razem...
- Dalej od czego?
- Może nie dalej, może ku czemuś, Dixonie. Hm. Myśl to nowa. Optymizmu nieco? Przebóg, kwestię tę rozważając, wyćwicz swą kazuistykę ubogą! Ku czemu?
- Ubogą? Też coś. Czy mi czego zbywa? Wszak... - Lecz jak daleko zapędzić się może, nim go jedno z wszechmocnych skrzydeł Rebeki muśnie? Atoli ton galanta przybrawszy, co do obłąkanego się zwraca, chęć skrywając, rzecze: - Zabaw mię, waść, zatem. Ku czemu?

32

- I gradem ciosów się obsypali! - Pitt woła.
 - Hurra! - Plin się włącza. - Wkoło w uścisku tarzali, miażdżąc sprzęty! Masonowi śliwka wyszła na oku...
 - ...zaś Dixonowi krew się nosem rzuciła!
 - A inni pospieszyli ku nim, dzwoniąc sakiewkami. Ktoś zakłady począł pospiesznie na skrawkach spisywać...
 - Lomaxie! - Renia karci.
 - Chłopcy! - rodzice wołają. - Pora spać.
 - My? Spać? - Pitt się dopytuje.
 - Kto, jak nie bliźnięta, o tej parze słuchać winien? - Pliniusz rzecze.
 - Wszak jeometryz twoi bliźniętami byli?
 - Czyż nie, wujaszku?
 - Do czasu, me trzewiki rozbrykane. - Wielebny już nad tym deliberował. - Zda wało mi się, iż się byli upodobniali, we wszystkim prócz wierzchniej okrasę, aż coś... coś między nimi w roku sześćdziesiątym siódmym czy ósmym zaszło, co na dobre losy ich rozdzieliło...
 - Rozdzieliło? - Larum podnoszą Bliźnięta.
 - Może, by opowieść porzucić, zdatna to dla nas pora - Pitt rzecze.
 - Lepiej takimi ich pamiętać - Pliniusz się zgadza - nim choć cal owej linii wyznaczony.
 - Pora spać, kolczyki - ich siostra woła.
- Statek pocztowy *Gęsie Pierze* wszystkich dorosłych na brzeg gwizdem wzywa, z powrotem na sztormami zrujnowane nadbrzeże, z powrotem w ich portowego miasta szarość. Do późna w nocy siedzieć im tam przyjdzie, wygnańcom z krainy, do której ich dzieci zmierzają i którą przemierzają swobodnie.
- Co z Indianami? - Pitt pyta, framugę drzwi podpierając.
 - Wszak ich wspominałeś - zza braterskiego ramienia Pliniusz mamrocze.

– Czy Mason i Dixon w końcu z kimś się bili?
– Zginął kto?
– Bitwa na morzu wam nie starcza, psubraty? – Wielebny w konsternacji po głowie się drapie.
– Spisek Pontiaka? – z nadzieją Pitt szepcze.
– W upadłości niestety, gdy jeometry w Delaware bawili, niesławną Linie Styczną¹ wytyczając, niezliczonych przy tym pomocniczych odcinków rachowaniem zatrudnieni.

– Może Paxtonowie?
– Równie mało podobne. Gdy banda, piejąc i strzelając, na Filadelfię jechała, astronomowie spory kawał na południe od ich szlaku byli, nad dopływami Brandywiny, gdzie nowe obserwatorium postawiono, a gwiazdy wdzięcznie przez nici w okularze hasały, skądś z płazu Ziemi przez nich uważane, lepiej niżli myśli dwu jeometrów znane...

– Czy jutro, wujaszku, Indian mieć możemy?

– Picie, masz me słowo.

– Pliniuszu.

– Młodszy. – I już ich nie ma.

Tenebra, teraz z kompanii najmłodsza, świeże świece wnosi, imbryk napełnia i na palenisku stawia. DePugh i Ethelmer potajemnie zerkają, jak krząta się, z pozoru wrażenia nieświadoma, jaki na nich swym karczkiem wygiętym wywiera, dłońmi w ognia blasku czy uszkiem odsłoniętym, które treska potrząśnięta na powrót zakrywa.

Jeśli Masona opowieści zawiłe sposobem są dlań, by wiernym frasunkom własnej historii pozostać (Wielebny Cherrycoke wątek podejmuje), by chronić je i nigdy ich nie zdradzić, osobiwie zaś tych Rebeki tyjących – wówczas Dixona gawędy, owe *Emersoniana* czy Zamku Raby zjawy, jeno z prostej przyjacielskiej potrzeby rodzić się zdają. Komu, jeśli nie Masonowi, rozweselenia wciąż trzeba? Wesoły dowódca to wyprawa wesoła.

– Tuż przed tym, jak statek nasz z Falmouth wypłynął – pewnego wieczoru, gdy na gwiazdę czekają, zaczyna – William Emerson wręczył mi tajemniczy pakunek i rzekł...

– Nie będzie to łatwa wyprawa. Trafiają się dni takie, iż kompasy będą wirować jak szalone, wszystkie kierunki na róży wiatrów skazując i w głowie ci mieszając. Albo też gwiazdy na długie tygodnie znikną, tętno twe przy tym temp zmiennych suitą. Zaufania godny czasomierz się wówczas przyda. Ten tu, jak widzisz, zbyt jest sfatygowany, by jakikolwiek złodziej angielski czy francuski się połasił, aliści Amerykanie mniej wybredni, zatem nakazać ci jestem zobowiązany, byś czujnym był na granicy wariacji, jeśli wariacji do upilnowania będzie trzeba, albowiem w zegarku tym mechanizm się kryje nieznany, co fach zegarmistrzowski do góry nogami postawi.

– Ech! Rachuje, ile nadto podaje, coś w tym guście?

– To jest jego przymiotem – Emerson ciągnął cierpliwie – iż nie zatrzymuje się nigdy.

– Tak, tak, a co godzina „Yankee Doodle”² śpiewa...

– Zobaczysz. Wszystko dzięki złożeniu remontuaru³.

¹ Granica prowincji Delaware i Maryland.

² Wywodząca się z Holandii popularna piosenka ludowa, później nieformalny hymn Amerykanów podczas wojny o niepodległość.

³ Mechanizm wynaleziony przez Adriana Philippe'a w 1842 roku, pozwalający nakręcić zegar sprężynowy bez kluczyka, za pomocą tzw. główki.

– Wszak pierwszą rzeczą, którą uczniom swym wykładasz, Emersonie, jest to, iż *perpetuum mobile* nie ma – Dixon powiedział – czego, po prawdzie, żałuję do tej pory, może i nawet ciebie waszność obwiniając.

– Cóż począć? Takie prawidło przyrodzenia – *prandium gratis non est*¹. Atoli, jeśli twierdzenie przyjmujemy, iż „skazówka i kluczyk tak się do głównej sprężyny mają, jak do remontuaru zespół zębatek”, rozwiązanie jak zawsze w tym się kryje, by kwestię czasu odsunąć od sił składowania. Przy stałych sprężyn i impulsów magnetycznych właściwym zastosowaniu, energia w miarę potrzeb pożyczana być może, a pora zwrotu pożyczki w nieskończoność przesuwana.

– Dlaczegoż waść mi coś równie cennego powierzasz na podróż po tak dzikim kraju? Jeśli w niepowołane ręce się to cudo dostanie...

– Jeśli ktoś zegar rozłoży spróbuje w celu tajemnic jego poznania, gdy tylko, czego uniknąć nie sposób, pewną śrubkę odkręci nieco, wnet na miliony kawałeczków cacko całe się rozpadnie i sekret pozostanie dochowany.

– Lecz zegar...

– Ach, drugi snadnie złożyć można. Sztuczka to nadzwyczaj prosta, gdy już poznana.

– Z jakich miar zatem wszędzie ich nie ma? Skorośmy Wiek Newtona za sobą ostawili? *Perpetuum mobile* czymś pospolitym... Czemuż wciąż to w tajemnicy trzymać?

– Korzyści. – Emerson wybuch śmiechu zdusił. – Zaiste, cha, cha, korzyści wielorakie.

Co teraz dziwnym się Dixonowi wydaje, to iż lat temu dziesięć, w „Mechanice albo Ruchu Doktrynie”, Emerson jasno pesymizm swój wyraził w kwestii takiego czasomierza zbudowania, z włosa czy z wahadła pęd czerpiącego, co by czas wiernie na morzu skazywał, którego „ruchów dziesięć tysięcy miary pozbawionych” sumienność każdego zegara pokonać miało. Skąd zatem owa pożyczka podejrzana czasomierza jeszcze bardziej niestworzonego? Przez lata długie spólnie w Durham spędzone, wiele podobnych znaków Dixon odebrał, niekoniecznie jasnych czy słowami wyrażonych, z którymi do ładu dojść w sile nie jest. Wie za to dobrze, iż Emersonowi wierzyć nie można, gdy trzyma, iż zegarek ten jego robotą. Oznacza to, iż mistrz jako pośrednik działa. Czyż? Kto w świecie tak dalece kunsztem innych wyprzedza i swobodę w czerpaniu z jakowejś kasy posiada, niezbędnej, by podobny wynalazek wyszykować? Ha, któż to taki?

Na pokładzie statku, sam na sam z enigmą wreszcie, mimo długich oględzin, miejsca nakręcania znaleźć nie umie. Wszak gdzieś musi być schowane...

– A niech mię! – W wiatr znad Black Head mamrocze. – Znów spiskiem papieskim mi pachnie, niczym pieczarkami nad grobem wesołości.

Gdy jezuitów z coraz to nowych królestw wypędzają, gdzie czas znajdują, by podobnie kosztowne cacka tworzyć? Dixon prawidła Newtonowi wyznaje. Wszelkie pożyczki energii pragnie widzieć zwrócone, a równowagę w każdym równaniu. *Perpetuum mobile* to w twarz obelga rzucona. Jeśli coś mu zegar przekazać ma, niemiłe to słowa.

W końcu, z zaczerwienionymi oczyma, którymi równie niespokojnie dowodu wyglądał, co przeoczyć się go już starał, mechanizm kapitanowi Falconerowi odnosi, by go do końca rejsu w kasie pancерnej przechował. Odebrawszy go w Filadelfii, widzi, iż nadal bije żwawo, a remontuaru miarą aksakową jako żywo kroki tancerki hiszpańskiej naśladuje. Dixon ma nadzieję, iż czasomierz sekret swój tym zdradza, gdyż

¹ Łac. nie ma darmo posiłku; parafraza współczesnego powiedzenia angielskiego.

choć wiernym nad wyraz się zdaje, jeno ze staraniem mamy i zwodzi, na własne ryzyko, niewieście sprytniej podobny.

– Czy posłuchać zechcesz? – Dixon pewnego dnia prosi, gdy nad Linią Styczną z Masonem się trudzą.

– Wierzę ci, wierzę. – Mason grzeczne miny stroi.

– To prawda, Masonie! Nigdy go nakręcać nie musiałem! Czy kiedykolwiek wiedziałeś, bym to czynił?

Mason ramionami rusza.

– Gdy spałem, robić to mogłeś lub, co często się zdarza, gdy gęstwina drzew nas dzieli albo też jednego z tych prostaków odkomenderowałeś, by z dala ode mnie sumiennie go nakręcał. Czy dalsze mam wyliczać metody?

– Przyjacielu, czy w sprawie tak poważnej kpiłbym z ciebie? Gdy na nic wszystkie założenia nasze co do energii zachowywania, na nic principia¹? Gdy to, w co wierzymy, jako nowej ery ludzie, nagle wątpliwe się staje?

– Gdybym ci ja za każde *perpetuum mobile* Bradleyowi zgłoszone dwa pensy dostawał, przy tobie teraz by mię nie było. Wczasu bym, jak mniemam, na plaży piaszczystej zażywał jednej z wysp koronie brytyjskiej przyjaznych, na swym ukulele leniwie brzdąkając, przez miejscowe panny dogładany, którym bym może czasem nawet dla się brzdąkać pozwał.

– Ależ jesteś podejrzliwy. Posłuchajże przynajmniej.

Z zegarkiem przy uchu, a miną coraz bardziej figlarną, Mason po chwili śpiewać poczyna:

*Ach, seniorito,
Jesteś bandytą,
Gdyż skradłaś serce me.*

*Zdradź swe sekrety
Sprytniej kobiety
Nim sam domysłę się.*

*Cóż to za fiesta,
Nieznana sješta
Tobie, wcięż tańczyć chcesz.*

*Spójrz, miesiąc wschodzi,
Przestań mię zwodzić
Swym „no comprendo ingles”².*

– Zabawny ten twój mały metronom, choć nie dość głośny, rzecz jasna, by cały zespół wspomóc.

– Wybacz, przyjacielu. Znów mniemałem, iż myśli nasze w tym samym kierunku zdążają. Myliłem się srodze.

Mason w odpowiedzi głową kręcić poczyna, jakby na ulicy jakowys straszliwy dojrzał przypadek, czym Dixona do jeszcze większej furii doprowadza.

– Czy przedstawiasz sobie, iż żyć mi z tym łatwo? Z każdym dniem, w którym

¹ *Philosophiae naturalis principia mathematica* (1687), najważniejsze dzieło Newtona.

² Hiszp. nie rozumiem angielskiego.

owego przeklętego zegarka nie nakręcą, rośnie dowodów góra, lecz mimo to nie wierzę. Wiem dobrze, z czego radość starzec czerpie! Porwał mię wir zwątpienia.

Tymczasem, coraz srożej ciążąc Dixonowi, który przyrzekł z oczu go nie spuszczać, instrument nadal sumiennie godziny odmierza. W końcu, po kostki w obrzydliwym trzęsawisku, jakże w Delaware pospolitym, jeometra przyznać jest gotowy, iż klątwę nań po prostu rzucono. Wszak zwierzał mu się Emerson, w owym kunszcie wyszkolony, iż z wiekiem coraz częściej ze swego daru korzysta nie dla zemsty, obcesowej i zapalczywej, lecz raczej rozrywki wyrafinowanej, uciechę z cierpień tych, co go zranili, czerpiąc. Czy i Dixon dołączył do ich grona? Czy dnia pewnego jakowś granicę przekroczył, może podczas dawno zapomnianej rozmowy, nad której każdym słowem Emerson dotąd się rozwodzi? Ech! Tego właśnie dziś się każdy obawia – urazy zadawnionej mszczonej bez ostrzeżenia. – Cóż ja ci uczyniłem? – we śnie wreszcie pyta, twarzą w twarz z nauczycielem swym stając. – Jak sobie na tak surowe traktowanie zasłużyłem? Niechybnie pamiętałbym swe przewinienie?

– Kondycje umowy pogwałciłeś. – Emerson zwój akt wyciąga, gdzie każda stronica kunsztowną pieczęcią opatrzona. Jakie kary ściągnie nań ich niedokładne przeczytanie, Dixonowi wyrazić nie sposób, lecz lęk ogromny, co im towarzyszyć będzie, zna dobrze. – Od czego pragnąłbyś zacząć, plutońcyku?

Tu jeometra radę sobie przypomina, jaką *negrillo* Toko dał w Kapsztadzie Masonowi – by wrogowi, co w śnie się pojawia, zawsze dzielnie czoło stawiać. Wie, iż z Emersonem wdać się w dysputę równa się przegranej wobec mistrza przewagi. Jedynym wyjściem jest zniszczyć prędko dokument – spalić najlepiej – atoli najbliższe palenisko w ościennej sali, zbyt daleko, by papierzyska pochwycić i umknąć z nimi... Emerson w jego myślach czyta. – Patrzcie no, spod znaku ognia, a ognia skrzesać nie umie. – Jego wzgarda Dixona obezwładnia, poczucie porażki rośnie. Zda się, iż zegarek przemówić pragnie, lecz jeno zduszonym głosem śniącego koszmara próżne wysiłki czyni. Niemniej Dixona zbawieniem wszak pojęcie poruczenia. Budzi się zagniewany.

Choć instrumentu strzec jak oka w głowie przyrzekł, widzi wkrótce, iż jeno nad sposobami pozbycia się owego cuda nauki duma. Z każdym dniem niestrudzonego tykania, głos zegarka, w śnie tak zagadkowy i niewyraźny, coraz bardziej słyszalny się staje. Picie go nie odsyła. – Gdy przyjmiesz mię do swego życia... – szepcze, kształt przy tym niezaprzeczalnie jakowejś jarzyny z wolna przyjmując – w swej kasetce podróźnej z udawanego szagrynu leżąc, połyskując – o tak, złowroga to jarzyna, której Dixon nie zna miana, ni pewnie sam wielki Linneusz – jej skórka tymczasem miłe dla oka barwy posobnie przybiera i rozkaz swój bez końca szepcze złowroga – ...i do swego żołądka mię przyjmiesz.

– Boże... – Roztrzęsiony, z obliczem rumieńcowi dalekim, Dixon do namiotu profesora Voama bieży, naturalisty wyprawy, który rzecze: – Jako iż przeznaczeniem jarzyn jest być zjedzonym, a w ich królestwie powodzenie na liczbę sztuk zjedzonych się przekłada, każdej, jak to możebne, smakowitą jawić się wypada, nieprawdaż, inaczey śmierć na grzędę jej grozi, nie wspominając o wysłuchiowaniu obelg i skarg sąsiadów leżących dokoła. Atoli w wypadku owoców człowieczego rzemiosła – zegarków i tym podobnych – cóż...

– Zerknij waść na ów zegarek i powiedz uczciwie. Czyż nie zda je się postaci przybierać, nie tylko apetycznej, lecz także... Ech! Przez gardło mi to nie przechodzi...

– Jarzyny nie tykają – profesor delikatnie Dixonowi przypomina.

– Tak, lecz jeno te, co jedynie są jarzynami. Z czymś wyżej na Drabinie Jestestw stającym do czynienia tu mamy – jarzyną tętmem obdarzoną!

– Przerasta to me pojmowanie. Spróbuj waść z R.C, on w zagadkach rozmiłowany. I R.C. to przerasta, jeometrę miejscowego, co przy rozwikłaniu enigmy stycznej im pomaga, choć do zagubienia przyznać się nie jest skory. Gdy zegarek widzi, wnet go *mens rea*¹ dręczyć poczyna. Pożąda go, marzy o nim, a nigdy „zegarkiem” nie nazwie, lecz „chronometrem” jeno. W myślach łączy go ze znamienitym instrumentem Harrisona. Tak oto do Ameryki historia dociera o pojedynku między Maskelyne’em a Harrisonami o długości jeograficznej lepsze rachowanie – i od Rady Długości sumę niebagatelną.

– Czy zegar taki jak ten tu – R.C Dixona pyta – laurów najwyższych niewart byłby w oczach Rady?

– Jeśli Masonowi wierzyć, sakiewki ich mocno związane. Dostać się doń, niczym kasztel zdobyć grodzony.

– Pewnie z tych miar pieniądze te „nagrodą” zowią – R.C powiada. – Założyłbym się, iż waszmość pokusę czujesz. Mam rację?

– Nie jestem pewien, kto ów instrument posiada – Dixon odpowiada bacznie. – Przechowuję go jeno.

– Pojmuję, towar waćpanu darmo powierzono – R.C, by brzmieć jak najmniej złośliwie, starań dokłada. Przejścia weteranem będąc, Dixon jeometry żale rozpoznaje – wiele lat wśród wojowników niestrudzonych spędził, którym honor na stroniczość nie pozwalał, choćby Bóg wie jakie uczucia ich przepelniały. Prędzej czy później ze wszystkich stron atakowani, obojętność wobec roszczeń prawa wyrabiali w sobie – po prawdzie, niebezpiecznie do takiej granicy się zbliżali, za którą by ich za palestrantów brano. Ładne rzeczy!

– Mniam, mniam! Widzieliście, chłopaki? Schrupać by się dało. – Słyszac z zegarka kpiących drwali, R.C zbliża się, nachmurzony, nieraz ledwie na parę cali.

– Czemuż się znowu waść gapisz?

– Nie pragniesz chyba nieodpowiednie osoby znieważać – R.C radzi. Cóż znaczyć mają te słowa, nikt nie wie, lecz miano wariata zdobyć mu się udaje.

Pewnego razu, o północy, wrzawa w obozie się podnosi. Psy szczekają, drwale o ciszę proszą, astronomów w namiotach nie ma, gdyż gdzieś na szlaku obserwacje zenitu prowadzą. Przed wejściem do namiotu Dixona tłum się zbiera, a światło lojówki McCleana ukazuje, jak w ustach R.C kraj złotego łańcuszka znika, niczym chiński makaron wessany.

– Czy cię Bóg opuścił, człowieku?

– Zdawało mi się, iż kroki postyszałem.

– To my szliśmy. Schowków nie stało, żeś go waćpan połknąć musiał?

– Spieszno mi było.

– Teraz więcej skarbów niżli rozumu posiada – ku uciesze kompanów, Moses Barnes docina.

– Wiesz waść, co połknąłeś? – Arch McClean kręci głową zadziwiony. – Sześć dziesiątek lat ci to zeszło nad długością deliberowania, odkąd sir Cloudsley Shovell flotę i życie na okrutnych skałach wysp Scilly² stracił.

– Jakiż wybór miałem? – R.C tchu braknie. Przyrząd ten był zapewne w środku nocy, wśród ognia, krwi miesięcznej i zakłęcz przez niewiasty wyczarowany, albo też, jak każdy inny zegarek, za dnia w warsztatach przez mężczyzn złożony, śrubka po śrubce do obecnego stanu. Taki jest wybór, gdyż dwie magii odmiany. – Mniej czasu

¹ Łac. winny umysł; intencja przestępcza.

² W pobliżu najdalej na południowy zachód wysuniętego cypla Wielkiej Brytanii.

niżli jedno tyknięcie na rezolucję było, przeto schwyciłem go i chyżo do gardła we-
tknąłem. – Piąstkami różowymi zaczepnie wymachuje z miną nadąsaną. – A co, mo-
że który obiekcje zgłasza?

– A ja, gdyż mą powinnością ładu utrzymywanie – imć Barnes, drwali nadzorca,
powiada. – Jak i na pokładzie statku, tak na każdej wyprawie kradzież jak nic inne-
go niszczy morale. A z tym, podle prawa, do czynienia tu mamy.

– Atoli każdy ucho do brzucha przyłożyć mu może. Zegarek w środku tkwi, R.C nie
przeciży. Jako iż właścicielowi dostępu się broni, aktem sekwestracji zwijmy to raczej.

– Jednakże skoro osobisty użytek nie zachodzi...

– O, Filadelfio! – grzmi imć Barnes. – Czemuż to nawet tych prostych ludzi na pu-
styni żyjących palestra twa mowę splugawiła? Cóż pocniemy? – W ten oto sposób
zakamufLOWANY o ciszę prosi i wnet towarzystwo milknie. – Czy na to, gdzie się znaj-
dujemy, który zważył? – Wszytcy wiedzą, iż miejsce ma na myśli „tuż koło Punktu
Styku, gdzie po nocy światła nieziemskie świecą, postacie niezupełnie człowiecze
w mroku giną bądź się z niego wyłaniają, a za dnia zwierzęta gospodarskie zbłąka-
ne znikają na wieki – i czemu tu się dziwić, gdy tu właśnie mężczyzna zegarek dru-
giego połyka?”. Niektórzy skrawek ten Delawarskim Trójkątem wołają, lecz jeome-
trom jako Klin jest znany¹.

Urodzić się i dorastać w Klinie to zamieszkiwać grunta w wyłaniającej się moral-
nej jeometrii nadwyzczaj wyjątkowe. W rzeczy samej, cudaczność tutejszej demar-
kacji, owych inskrypcji na ciele ziemskim znaczonych, pierwiastkowych niczym te
na ciele człowieczym kolcem i sadzą przez Irokeza jakowegoś wykłuwane – owego
natręctwa, najprzedniejszymi instrumentami nauki swych czasów wspieranego
– dość spraw sądowych odnośnie do własności zapewniła, by do pracy najmniej szóst-
kę jurystów zaprząć, pokolenie za pokoleniem, aż po rok 1900, a i później także.

Już we wczesnej młodości stał się R.C zrzędu nieprzyjemnym i złośliwym, co pod-
le sąsiadów jego, raczej starszym wiekiem przystało. „Oto nasz R.C nadchodzi, czyż
nie ma dziś twarzy skwaszonej?”. To jego profesja się przyczyniła. Jako jeometra
młody, gwałtownością pierwszej swej dysputy granicznej wstrząśnięty, pojął, iż prak-
tykować mu przyjdzie pośród największych na ziemi piniaczy. Pensylwańczycy byli
to wyznań wszelakich, choć najpospoliej prezbiterianie, co się wiecznie jeno cią-
gali, za większe i mniejsze szkody dochodząc rekompensaty, a to po sądach kościel-
nych, a to przed szeryfa oblicze – szeryfa, sędziego pokoju, wioskowych plotkarzy –
byleby kto wysłuchał lub słuchacza udawał. Pragnąc dalej grunta mierzyć, R.C przy-
jąć musiał, iż owe zatargi wielograniaste, w całym kraju kipiące, szaleństwa są od-
mianą, z której atoli zyski czerpać może, jeśli na rolę prawego powiernika przysta-
nie – przy tym zaś zmysły zdrowe zachowa. Postawą tą jego bardziej uczeni koledzy
oburzeni byli, gdyż jak ognia papierkowej roboty unikał, ziemie jeno obchodził, bez
instrumentów zgadując. – Osiemdziesiąt osiem na trzydzieści, jak się zdaje. Chwi-
leczkę... – Z oczyma zamkniętymi i rękoma w bok, krąg obiema zataczał, póki się pal-
cami nie stykały. Zerknął. – Zgadza się.

– Jak to?

– Na oko – rzekł cierpko. – Większość tych tu, wkoło Klina, na oko mierzyć da się.

Gdy do Linii Stycznej się zabiera, ma ją za szaleństwo pospolite, co jeno nieco in-
ny kształt tym razem przybrało – ot, króla kaprys jeometryczny i tych, co być dopie-
ro będą królami.

¹ Chodzi o grunty o powierzchni 324 ha, na których zbiegają się granice obecnych stanów Mary-
land, Pensylwania i Delaware.

Od połknięcia zegarka miesiące mijają, potem lata – dni długie nieustannego tykania. R.C wie już, iż cząstka w jego wnętrzu skryta czasu mocy się nie ima i nie podda nigdy. Żona jeometry wpierv osobne łóżko wybiera, a wkrótce, na budowę małżonka namówiwszy, i pokój do domostwa doczepiony, osobny. – Chrapanie to jedno, coś się na to poradzi, lecz tykanie... – Sójkę w bok mu daje.

– Z początku także oka zmrużyć nie mogłem, lecz teraz, Felu, do snu mię kołysz.

– Miłego kołysania.

– Ach, jak wolisz. – Równie sentymentalny, co pierwszy lepszy świeżo upieczony małżonek, R.C być potrafi, atoli przy tych, co go najmują, powinnością jego przykrym i wyniosłym się jawić. Zresztą, odkąd zegarek połknął, żona przy nim wyraźnie do uciechy mniej skora, jakoby przyrzędu się obawiała.

– Czy trzymasz, iż obchodzi go, co na zewnątrz porabiamy? Proszę, Felu, bądź tak miła...

– Wszak, R.C, może on...

– Cóż takiego? Słucha? – Głos jego w wyższe tony powoli przechodzi.

– Jakimś sposobem... odnotowuje.

– Do kroćset! Jesteś dziewczyną, która poszła za mnie, czy nie?! – Wie, iż Felicja zawołania tego nigdy nie pojmuje, a i sam, niepewnym jego znaczenia będąc, nad nim nie deliberuje.

– To skarb narodowy – imć Shippen oświadcza – i ktokolwiek pierwszy go w swe ręce dostanie, prędko na scenie handlu światowego, rad nierad, rolę swą odegrać musiał będzie, życiem waszmości, rzecz jasna, wstęp swój opłaciwszy, z usług chirurga zapewne korzystając. Cóż, tak się targów dobija, jak w Filadelfii powiadają.

– Sam go spędzić umiem, czemuż by nie. – Palec do gardła wpycha.

– Och, czy uważać możemy? – dzieci pytają.

– Aaa! – Palec wyjmuje zakrwawiony. – Coś mię ukąsiło!

– Pewnikiem rewiru swego broni – najstarszy syn rannego zapewnia.

– Jakże ukąsić mię mógł? Toż to zegarek. W mym żołądku siedzi.

– Kształty swe zmienia? Kto wie, co się tam w trzewiach dzieje?

– Gdzie wszystko ciekłe i ohydne, miętko kęsami przezutymi wyścielone...

– ...a wszędzie kwasy, żółć i odór torsji się unosi.

– Bleeel!

– Jeśli tak rozrywki łakniecie, bawcie się przednio, miłe dziatki, nawet kosztem swego ojca steranego, nic to, naści, kpijcie do woli, póki podobna dolegliwość was trafi, każdego, takie życie.

– Pięknie dziękuję, zegarków łykać nie będziemy.

– Nie, jeśli pewnego dnia Indian tropić pragniesz.

– Takich zamysłów nie żywiłem, Tatku.

– Iż go Rada Długości ozłoci, roi mu się w głowie, a miast tego chronometr marzyciel z bożej łaski żada. Komu ja rękę oddałam?

Rzecz jasna, do Emersona Dixon depeszę słać winien. Po odjeździe pocztyliona tak strapiiony się snuje przez długie tygodnie, jakim nikt go nigdy nie widział.

– Miałem strzec go niczym oka w głowie...

– Wszak pragnąłeś wyzwolenia z danego słowa – Mason mu przypomina. – Zwiń R.C siłą wyższą.

Respons, jak się okazuje, przez jejmość Emerson jest pisany. „Depeszę waćpana przeczytawszy, Małżonek mój zmienił się nie do poznania i w wir wielkiej ekscytacji porwany, hołubce wycinać w swym warsztacie próbował. Nieopatrznie na

kólkami opatrzonego apparatus nastąpiwszy, teraz na łożu boleści leży, skąd, ledwie kilka cali od mego pióra, domaga się, bym przekazała co następuje – *Winszuję, głupcze. Poszło jak po maśle*. – Wierzę, iż w kolejnym liście słów owych wyjaśnienie dołączę”.

U dołu *post scriptum* widnieje, ręką Emersona z werwą skreślone, które pióro krusząca kropka kończy: „Czas to przestrzeń, której zoczyć niepodobna”.

(Tu Wielebny powstrzymać komentarza nie jest w sile: – To ma na myśli, iż z litości ślepi na czas jesteśmy, albowiem nad tym, co w jego sercu leży, nie znieśliśmy roztrząsania).

33

„Mam nadzieję przy Moście widzieć się z Waćpanami” ... – Benjamin Chew¹ do jeometrów pisze. Most to Most Christiany², a U Mary Janvier miejscem jest spotkania – miła to wymówka dla plenipotentów przy Linii zatrudnionych, by zebrać się wesołym gronie, nowinami wymienić, madersy skosztować, ronda nieprzyzwoite odśpiewać, do południa zlegnąć lub nie kłaść się wcale, aż o siódmej rano dyliżans pocztowy, co na północ spieszy, pod Królową Indyjską zajędzie i tłum pasażerów wypłuje na śniadanie. Kogo się napotka, nigdy nie wiadomo. Codziennie przez ową godziną przerwę w podróży ranne ptaszki na coraz to nowych wojażerach ćwiczyć się mogą. Umizgi? Karty? Pogwarki i kawa? Nadzieję ma się na chwile z pożytkiem, jeśli nie na uciechach, spędzone.

W tym przyjemnym przybrzeżnym zakątku mewy, niczym uwiązane, na słupkach przesiadują, zaś kaczki z dala od strzelców wczasu zażywają. Lekka mgiełka to rzednie, to gęstnieje, od czasu do czasu piwo i sandwicze się pojawiają, a wszelkie oficjalne zatrudnienia kończy się naprędce, by więcej czasu na trunki, fajki i wesołość ostało. Atoli, gdy z Maryland przybysze, do wolnych chwil nawykli, godzinom swobodnie mijając pozwalają, panowie z Filadelfii każdą na jawie spędzoną minutę pod kątem pożyteczności lustrują – a z równą bacnością, co poniektórzy swe sumienia – czasu handlowego miasta ostawić za sobą nie potrafiąc, co w aforyzmach ze swego almanachu doktor Franklin przednio opisuje. Zegarki ich z niepokojąco równą miarą co kwadrans społem biją, a gdy ciche, właściciele zerkają na nie bez ustanku i z kieszonki do kieszonki przekładają.

Latem, pod wieczór, od wschodnich zboczy Alleghenów grzmoty się przetaczają, tuż nad czubkami drzew sunąc drogę całą, wpierw nad Juniata, potem Susquehaną. Z każdej błyskawicy nadejściem po obu stronach las wilgotnymi falami rozbłyskuje. Deszcz na oknach promu HARRISA werble wybija, o łupkowe dachy Lancaster dzwoni, miasto moczy, a tu już zatoka Chesapeake z rzek tysiącem, z których każda mętными wirami wzbiera, i gospoda, gdzie panowie miło się bawią, zaś kaczki różnorakie, co przy tej pogodzie, niczym w słońcu, pod gołym niebem zalegają, z każdym gromem w popłochu wzlatują, by natychmiast o swym lęku zapomniawszy, wnet do błogiego powrócić pławienia.

¹ Ówczesny „minister sprawiedliwości” Pensylwanii, główny sekretarz pełnomocników Pennów i Calvertów (1722–1810).

² Christiana Bridge (obecnie Christiana), miejscowość w stanie Delaware, położona nad rzeką Christianą.

Choć wszyscy mile tu widziani, w Mary, jak i pewnych podobnych jej filadelfijskich przybytkach, adherenci brytyjskich panów tych ziem się gromadzą. Anglików i prezbiterian miastowych ciekawa to zaiste zbieranina, a czasem niemieckich czy kwakerskich apostatów trafi się też paru. W dzień i po dniu wyborów osobliwie, po zmroku, święto pełnej nadziei chciwości trwa w salach. Obcych podejrzliwym omiata się spojrzeniem, a nieraz na pohybel Franklinowi się pije. Krążą pogłoski, iż Brytyjczyków przeciwnicy jezuicki instrument posiadają, który widzieć i słyszeć przez mury pozwala.

Ciemnobrązowy szynkwias tak długim się zdaje, iż kraj jego niemal w oddali ginie. Z jakowegoś olbrzymich rozmiarów zamorskiego drzewa jest ci on wyciosany, dalej wygładzony i woskiem dla rąk wygody pokryty, a w dotyku miły niczym posłanie. Nikt jeszcze nie zliczył, ilu przy nim stanie, choć, iż ponad setka, niektórzy się zaklinają. Ściany wokół barwią kolonialne tapety, hojnie egzotycznymi kwiatami zdobione – cynobrowe płatki, giętkie pręciki i słupki indygo na tle szmaragdowym, o magencie wszędzie trafnej nie wspominając. To tu tętno prowincji bije, coś za coś, za trunkiem trunek, kolejna sposobność, by tłumoczek wygrać, który się w kartach przed chwilą straciło, a gdzieś, niechybnie, z zacięciem rosnącym, o polityce rozprawiają.

– Poza Londyn waść nie wyglądaj – „Zima ostra, marne plony i już król jest obalony”. Nie Boston, lecz Londyn właśnie. Wasze wspaniałe niemieckie¹ skarbu rozdysonowanie – do diaska – jeszcze mniej na tym brzegu znaczy! Do diabła bym je posłał, gdyby ten dość już majątku nie miał.

– Zdrada! Zdrada!

Dixon, kordialnie:

– Ależ waćpanie!

– Daj pokój, astrologu...

– Astronomie, jeśli łaska – Mason bez namysłu koryguje.

– Toż ja interesu doglądam w uczciwym świetle przez Boga dnia zesłanego. A co rzec o ludziach można, którzy pod gołym niebem noc za nocą spędzają?

Pobożny jegomość w gniew się wpędził straszliwy. Czy to niewinne ziarna palone opryskliwość taką zsyłają? Nikt na sali zresztą na to nie zważa, każdy swym własnym, równie porywającym dramatem zajęty. Dym z ich jasnych fajek niczym mgła pokojowa zalega, wśród której srebra i półmiski ciężkie dzwonią i pobłyskują. Służebni strugą nieprzerwaną nowe kawy wory na barach z piwnic wnoszą lub przy dzwigniach młynków olbrzymich posługują, zaś ożywczego napitku kolejnych filiżanek gawiedź zebrana głośno się domaga. Do nozdrzy i mózgów owych zwawych młodźników co dzień funty miałkiego proszku się dostają, stąd o zmiernych nad wyraz są rozgorączkowani, co gesty każdego i słowa zdradzają.

Rozmowę o polityce dość *stimilus* ten ożywia, a tu jeszcze swe trzy grosze trunki wtrącają, tytuń – z każdym oddechem bezwólnie kosztowany – i cukier, który we wszystkich dłoniach można znaleźć pod postacią gniazdek, bułeczek i kremów, lśniących różków brązowych, dużych lub małych, babeczek lukrowanych na paterach spletrzonych, placków podle tutejszej receptury szykowanych, a wreszcie ajerkoniaków czy ponczów wszelakich. Swym radującym podniebienie drobiazgiem każdy ze stołów zaś przypomina tym, którym to na sercu leży, o pętach, łańcuchach, trzciniach gęstwinach, Wysp Cukrowych okrutnym rajem².

¹ Najprawdopodobniej nawiązanie do korzeni panującej wówczas dynastii hanowerskiej.

² Nie produkowano jeszcze cukru z buraków.

– Słodczy to grzechu i zepsucia – oświadcza kwakier w Filadelfii zamieszkały – życiem afrykańskich niewolników okupiona, czarnych karków niezliczonych pod jarzmem panów Barbadosu złamanych.

– Nie życzymy nikomu nic złego, waćpanie. Prostymi jesteśmy ludźmi, jak każdy tyramy, czasem jeno lżej na duszy, gdy wypatrywać przyjdzie czekającej o zmroku kapki melasy.

– Jeśli na stemplowanym papierze pisania odmówić możemy, a napar pić znośny z kurzenia, co w New Jersey rośnie¹, miast Kompanii Wschodnioindyjskiej herbaty², czemuż to nasi uczeni owych kryształów nikczemnych patriotycznego surogatu nie odkryją, które się nam w dusze równie strasznie co w zęby wżerają?

Każdego dnia, po godzinach społem spędzonych, zebrani bunt niemal wzniecić są gotowi. Czy zwyczaj, co precedensu nie posiada, wszytkich nowych używek naraz niepohamowane kosztowanie, na tym odległym brzegu nowy sort Europejczyka stworzy? Kogoś, kto mniejszym szacunkiem darzy obyczaje do tej pory porządek powszechny trzymające? Kto, sprawy podle własnej woli poruszając, skory jest prawdziwe swe osądy odstąpić i jeśli zajdzie potrzeba, bronić ich zajadle? W rzeczy samej, dwaj galanci wielce są właśnie zatrudnieni, w kwestii faktycznej reprezentacji parlamentarnej wzajemnie się oświecając, na podłodze, pięścią i kopniakiem. Na stole jegomość w bogatym stroju, szlachcica udający, stoi, króla łącząc swobodnie na wymyślne sposoby, do czego go krąg robotników zachęca wesoły, z których niejeden i swoje koncepty ochoczo poddaje. Wreszcie z mroków pomywalni panny się wynurzą i do dysputantów dołączywszy, szkocką bądź irlandzką gwarą brytyjskie przywary deklamować poczynają.

By fortowi Pitt³ przyjść z pomocą, nadal się starań dokłada, a i masakr w Cone-stodze i Lancaster reperkusje nie słabną. Ziemie zachodnie gorączka ogarnęła. Dniem i nocą ciągną zsa Susquehanny wozy, na nich zaś garnki, kociołki, worki zboża, prosięta i niemowlęta podróżują. Widmo roku pięćdziesiątego piątego powraca i paniki, co po klęsce Braddocka się szerzyła. Znów staje się znajomym fetor chat palonych oraz i innych rzeczy, których się pospolicie nie pali – niewieścich ubiorów, sprzętów domowych. Czy się go czuje, czy nie, od nawietrznej zmierając, rzeczą teraz jest pierwszej wagi.

Astronomowie od przypadków daleko. Ósmego stycznia, trzydzieści mil mniej więcej na zachód od krańca Filadelfii najbardziej południowego, na gruntach niejakiego Johna Harlanda obserwatorium wznosić poczynają.

– Grządky mi zniszczycie! – biadoli Harlandowa.

– Sądów i ogrodów tknąć nam nie wolno podług kondycji wiążącej nas umowy. Bezpieczny płachec wybierzemy, a i zapłacimy, rzecz jasna, jak się należy.

– Witajcie, witajcie – imć Harland woła. – Grządky wam się podobają? A weźcie je sobie! Jarzyny nasze kupować możemy.

Żona w zabawie szpadlem go straszy, a jeometrów pyta:

– Czemuż tu, panowie?

– Albowiem gospodarstwo wasze dokładnie tyle na południe od bieguna leży, co Filadelfii najbardziej na południe punkt wysunięty – Mason wykłada.

– Ta sama szerokość, ot co waść masz na myśli. Po obu rękach zatem gospodarstw

¹ Napar z *Ceanothus Americanus*.

² Brytyjczycy wysoko opodatkowali w koloniach amerykańskich wiele produktów (opłata stemplowa).

³ Atakowanemu przez Indian pod wodzą Pontiaka.

zdatnych bez liku – z jakich miar pchać się tedy na moje? Dlaczegoż mego sąsiada Tumblinga nie przedkładacie, co więcej ma ziemi niżli konceptów na jej użycie?

– Piętnaście mil stąd na południe co do joty – Dixon łagodnie powiada – pragnęlibyśmy kolejną stację założyć, Linii Zachodniej znaczącą punkt zerowy, czyli jej początek dającą. Na waszym polu rachuby prowadzone, długość jej nam podadzą, jak i szerokość południowego Filadelfii kraju. Dwie sprawy przeto tu połączone.

– Nie o to pytałam.

– Imć Tumbling ze strzelby chciał nas trafić – Dixon wyznaje.

– A czemuż to mniemaliście, iż nie pójdę w jego ślady?

– Na los się zdaliśmy – Mason z Dixonem przypuszczają.

– Wnet ze strzelbą wróć – Harlandowa poddaje.

Harland marszczy czoło.

– Czekaj no. Dlaczegoż, panowie, wpierw na południe nie szliście z miasta, a na zachód potem?

– Nasamprzód na południe się kierując, rzekę Delaware przekroczyć trzeba by nam było, za którą już New Jersey leży – Mason klaruje. – Gdybyśmy zaś tam będąc, mil piętnaście dalej zawędrowali i na zachód się zwrócili, z powrotem przeprawiać by się nam przyszło, a Delaware w owym miejscu szeroka – strach o instrumenta, o ludziach nie wspominając. Kto suchego ładu się trzyma, temu to nie grozi, stąd i pierwej na zachód zmierzamy.

– A pod koniec ostatniego z waszych łańcuchów otóż i my – powiada Harlandowa. Odchodzi, rękoma wymachując. Małżonkowi się wkrótce dostanie.

Z dnia na dzień, na Johna Harlanda polu, sprawnie działająca kompania się pojawia, odprawiająca nieznane rytuały z machinami, które równie dobrze z innego świata zamieszkanego mogły być sprowadzone (– A tak – Dixon się zgadza. – Z planety Londyn. I... – głowę ku Masonowi chyli – ...Greenwich, jej pryncypialnego trabanta). I za dnia, i o północy, gdy szept się na milę niesie, gospodarz słyszy, jak niczym okrętów kapitanowie, przez tuby między sobą rozmawiają. Padają liczby, padają słowa, angielskie jak się zdaje, których znaczenia atoli dopatrzeć się nie sposób. Rzecz jasna Harland wymówek szukać poczyna, by zejść tam i robocie się przyrzec. Astronomów w świetle świec coś prędko piszących zastaje, przed namiotem u stóp falistego wzgórza postawionym, na którym pole z lasem graniczy. Od pewnego czasu instrumenta w płazie południka ustawiają.

– Z racji tego, jak Ziemia krąży – Mason rzecze – gwiazdy po łukach na nieboskłonie wędrują. Gdy każda do najwyższego punktu łuku dobija, wówczas, uważający ją, podług południka swego dokładnie na północ jest zwrócony.

– Zatem cały kłopot zgadnąć, kiedy gwiazda najwyżej stoi.

– I do tego służy równych wysokości metoda... Na Capellę właśnie spoglądamy. Czy zerknąć waść masz ochotę?

Harland do okularu się schyla.

– Mniemałem, iż to bliższymi je czyni.

– Miesiąc – Dixon powiada – planety, lecz nie gwiazdy.

– O gwieździe – Mason dodaje – wiedzieć jeno pragniemy, gdzie jest i o jakiej porze jakąś linię odniesienia mija.

– Nic więcej?

– Cóż, śrubami różnorakimi, rzecz jasna, bacznie kręcić trzeba, czy noniusz czytywać. Setki to detali, którymi jeno bym zanudził waćpana.

– Wszystko dość prostym mi się jawi. Tym się w dół i w górę rusza...

– Capellę do linii poziomej sprowadza – Dixon gospodarzowi poddaje.

– Hola, hola! – Mason głosem, co bardziej mógłby być wzburzony, woła. – Kto tu jest astronomem dyplomowanym?

– Berbeć dałby radę – imć Harland mruczy, sprzęgi i leniwiki z nabożeństwem przemieszczając, co uwadze Anglików nie umyka.

– Gdy linię przekracza, wschodząc, porę się notuje i ponownie, gdy zachodzi. Ów odcinek czasu na pół podzielony, porą jest dokładną południka przekraczania.

– Ta tu nie wschodzi, w rzeczy samej pod nią przeszła.

– To soczewka. Każdy obraz odwrócony widzimy.

– Do góry nogami niebieskie sklepienie? Wybornie! Wolno wam?

– Płacą nam za to.

– Sam król nam za to płaci.

– To niczym profesja, w której pracuje się, stojąc na głowie. – Harland się dziwuje. Cofa się i w niebo patrzy, to, co gołym okiem widzi, z tym, co przez okular, porównując. – Czuję się nieswojo.

– Porę kulminacji znając, a na powolność lub chyżość nadmierną zegara mając baczenie, kolejnej kulminacji porę wyrachować umiemy. Gdy następnej nocy nadchodzi, wnet instrument w dół ku linii widnokregu zwracamy i tak pomocnika w latarnię zbrojnego kierujemy, by jej płomień nic pionową w okularze przeciął. Tam też każemy mu pion spuścić i miejsce oznaczyć. Tam północ właśnie.

– I to żeście przez te swe rogi noc całą krzyczeli?

– Owszem, a cóż by innego?

– Czy w przyszłość zaglądacie?

– Czy to w to sąsiedzi twoi wierzą?

– Taką nadzieję mają.

– Szkoda, iż tak nie jest.

Atoli tu nieśmiałość narasta w nim taka, iż w twarz astronomom patrzeć już mu niepodobna – jakoby czymś groziło nad kątem oka zerkanie.

W lutym szerokość swą już na tyle poznali, by wiedzieć, iż sektor 356,8 jarda¹ na południe stoi od równoleżnika, który przez punkt przebiega Filadelfii najbardziej południowy. O mniej więcej dziesięć i pół sekundy łuku ich rachuby to zmienia.

– Obserwatorium przenosić będziecie, jak wnoszę? – imć Harland pyta.

– Nie ma takiej potrzeby. Jenó na ową różnicę w sekundach zważać poczniemy.

W marcu, dzięki Gwieździe Polarnej z południka nie zbaczając, odział drwali dukt w kierunku południowym wyrąbuje, na piętnaście mil długi, co gospodarstwo Johna Harlanda z polami Alexandra Bryanta łączy. Jakże Harland towarzyszyć by im nie miał? Atoli małżonka mniej jest zachwycona.

– John, rozum postradałeś? W Miesiąca oblicze takiś zapatrzony, a tu już przeszła pora siania! Za miedzą u Tumblinga wszystko obsadzone!

– Ty siej, Elu – Harland powiada – zaś resztę gruntuń daj w dzierzawę. Z nimi pięć szylingów dniówki dostanę, prawdziwych, brytyjskich, w srebrze bitych. Ty się tym zajmij, wiesz jak, widziałem, pójdzie ci jak z płatka – jeno tego przekłętogo kwiecica daj nie za wiele.

Gdy do domu wróci, odkryje, iż cały akr, jak się patrzy, słonecznikami obsadziła, co wkrótce całe zbocze wzgórze bezwstydnie pokryły żółcią niegodną, widoczną na mile. Z tyłu, w rogu pola, w ich odbitym blasku dziwnie świeci blok różowego kwarcu nowo postawiony. Kilka razy dziennie na różowe żyłkowanie słońce w tak party-

¹ Około 326 metrów.

kularny sposób pada, iż ach! Zda się patrzaczowi, iż w morskie głębiny został przeniesiony, pod dalekiej północy skorupę lodową... Otóż i Harland, pośród słoneczników, po raz pierwszy myśli romantyczne snuje, co miarkuje Ela. Zmienił się. Podróżował hen, znacząc granicę, gdy niegdyś Brandywina za cel wyprawy starczała. Teraz zachodu pragnie, stąd słowa „dom” znaczenie także na wieki dla nich obojga zmienione. Rzecz by można, iż w obliczu nowych sposobności ich własne pola przemieszczać się poczęły ze wspaniałą obojętnością gładką.

W kwietniu, przy użyciu poziomic i łańcuchów jodłowych, Mason i Dixon piętnaście mil na południe pieczołowicie wymierzają, na omyłkę, co sekund ponad dziesięć wynosi, u północnego krańca bacząc. W maju, stopień szerokości u Bryanta poznawszy, tę samą linię z powrotem ku północy wyznaczają.

– Przedstaw to sobie – Dixon poddaje – jako to, co jeometra, miast sektor obrócić, czyni. – Nim czerwiec mija, nareszcie linii wschód–zachód szerokość ustalwszy – $39^{\circ}43'17,4''$ – rozkaz dostają, by do Punktu Środkowego półwyspu się udać, w polowie drogi między oceanem a zatoką Chesapeake leżącego, gdzie do pracy nad Linią Styczną zabrac się mają. Przed końcem miesiąca na północ od owego punktu łańcuchami linię odmierzają aż po rzeki Nanticoke brzegi.

Jedna z przyczyn, dla których Masona i Dixona wybrano, by pomogli w granicznej dyspucie, była taka, iż nikt w Ameryce, jak się zdaje, przy Linii Stycznej mierzeniu szczęścia nie miał. Najlepszych jeometrów Kolonii kwestia ta diabelska siły witalne przez więcej lat pochłaniała, niżli niektórym z nich pożycz było dane – żywoty ich Wielkie Bagno Cyprysowe¹ zabrało. W roku 1750, 1760 i 1761 ruszały wyprawy, lecz poprzednie Punkt Styku na wschód lub zachód miały nawet o cztery dziesiąte mili² całe. Wielce to wszystkim irytowało. Starania ich przyrównać można było do próby muchy pod skrzydłem łaskotania przedmiotem niczym wędka giętkim i długim.

Środek półwyspu Delaware, precyzyjnie odmierzony – dość wcześnie w dziejach dysputy Punktem Środkowym nazwany – przyjmowano za początek każdej możebnej wyprawy. Stamtąd na północ linię ciągnięto, póki okręgu sięgała³, którego promień, na dwanaście mil długi, z iglicy gmachu sądu w New Castle wychodził. Okrąg ten u brzegów rzeki Delaware bieg zaczynał i w przeciwną stronę niżli skazówki zegara, ku swej stycznej na zachód zmierzał – w teorii jeno, albowiem stycznej tam wciąż nie było. Aporia wierutna. Z Punktu Środkowego poprzez moczary, wśród bagien mieszkańców, prostą poprowadzić pragnęli, co jakieś osiemdziesiąt mil na północ dalej ledwie by w jednym punkcie okrąg tknęła, a zatem pod kątem prostym do jego promienia, dwanaście mil od sądu wieży. Ktoś zapewne granicę tę sobie przedstawił jako jakowegoś południka wycinek, który, stycznią daną będąc, i Punkt Środkowy przecina. Atoli wówczas północy prawdziwej owej linii skazywać niepodobna – królewska jeometria to jeno była, jak zawsze z palca wyssana – gdyż każda prosta z Punktu Środkowego wychodząca, do owego okręgu dwunastomilowego styczna, jak nic trzy i pół stopnia na zachód by się kierowała. Łuk nie tylko zbyt daleko na zachód wybiegał, lecz też nie dość na północ, by stopnia sięgnąć czterdziestego, który włości lordów Baltimore północną stanowił granicę podle Karola II nadania, tym samym z Delaware pensylwańską eksklawę we wnętrzu prowincji Maryland czyniąc. Cóż, skąd miał król przewidzieć, iż młodszy William Penn swe ziemie połączyć zechce?

¹ Na granicy obecnych stanów Maryland i Delaware.

² Około 600 metrów.

³ Okrąg ten wyznacza granicę pomiędzy Delaware a Pensylwanią.

Tak też zatem granice wytyczono, teraz zaś astronomów londyńskich czekano, by owej nieskrupulatnej, kolonijnej roboty weryfikacji nareszcie dokonali.

Na każdego jeometrę, który – gdy chłody nadeszły, plony zebrano, liście opadły, a widoczność polepszyła – miejsce przy kominku porzucał, by w ostępy ruszyć i rozstawiwszy swe instrumenta tam, gdzie przypadkiem skraweczek suchego gruntu się trafił, próbować kąty zmieniać lub gwiazdy namierzać, przy okazji przez węża kąsanym będąc, przez ziąb przenikniętym, przez blocko wsysanym, przez mgły otoczonym, przez szeryfa odwiedzanym, a wreszcie przez chłopów przepędzonym... – otóż na każdego jeometrę tej oto miary tuziny amatorów gorliwych przypadały, wielu z nich duchownych, którzy z swych przytulnych plebanii plenipotentom Pennów i Calvertów rozwiązania swe stali wichru jesiennego strumieniem nieprzerwanym. W drzwiach furkotały, w kąty się osuwając, znakami wodnymi podle sortu papieru zdobione, różnorakich rozmiarów stronice – myślałby kto, iż o Wielkie Twierdzenie Fermata chodzi¹, nie o hrabstwa granicę, co kształtem zwieńczenie mebla z pracowni imć Chippendale'a przypomina.

– Cóż... tak, niechybnie, kwestia to smaku, lecz... patrz, jak się toto pochyła. Dość by wszystko wiadome było. Doprawdy, Cedryku, swą kolonialnością oczy razi. Rzecz by się chciało: „Ach, tam nawet północy wyznaczyć nie potrafią. Trzeba nam zatem posłać naszych astronomów królewskich, by poprawki nanieśli, czyż nie?” – i tym podobne, a tymczasem to Jakuba II wina, na prawo i lewo rozdającego ziemie, których granic wszak wytyczyć nie sposób – grunta równie nieprawdziwe w jeometrii świecie, co inne mrzonki, jakie całe jego nieszczęśliwe życie monarsze temu głowę zaprzętały.

Albo też – Dawno, dawno temu – jak to Wielebny Teni opowiada – była sobie magiczna kraina Pensylwanią zwana. William Penn miast spłaty długu dostał ci ją od Księcia Yorku, późniejszego Jakuba II, ten zaś wcześniej od swego brata Karola, który w owym czasie na tronie zasiadał. Atoli, by rozumowanie ich pojąć, do tego zakątka watykańskiej biblioteki winien człek dostęp posiadać, gdzie się dział herezji kryje, a w nim szeptem jeno, jeśli wcale, wspomniane zagadnienie *stupiditas regia*, królów głupoty. Królów, a i królowych, rzecz jasna, o księżniczkach, o, wzburzona Tenebro, nie zapominając – tak, nawet postaci, zdałoby się, idealnych głupota wszak nie omija.

– Jakże to? – Tenebra chłodnym tonem rzecze, akufloralnymi² medytacjami nieprzerwanie zatrudniona. – Jestem pewna, iż roztropne księżniczki historii są znane, w rzeczy samej, roztropanych księżniczek wiele. Tymczasem królowie i księżęta tak są bezrozumni, iż prowincję tworzą niepodobną do wytyczenia i mianują ją Pensylwanią. – Skazówkę podniósłszy, ku wiszącej na ścianie mapie się schyla, do której to, przy każdej dyspucie, ile razy o pomoc się uciekano, nikt zliczyć nie zdoła. – Król Karol na południku jakowymś zaczyna, gdzieś w sercu puszczy niezbadanej, pięć stopni na zachód od zatoki Delaware. Potem zaś ów jegomości niezbyt uciony punkt takowy odszukuje, w którym południk jego wyludniony czterdziesty stopień szerokości północnej przecina. Na mapie jest to, rzecz jasna, wielka biała plama, tu, gdzie dojechać najtrudniej, na południowo-zachodnich rubieżach nadania. Tam to właśnie, na owym samotnym rozstaju, cały koncept graniczny się opiera, a królewscy bracia przedstawiają sobie, iż dwanaście mil na zachód od New Castle punkt ten leży.

¹ Twierdzenie to, dotyczące równania $x^n + y^n = z^n$, sformułowane przez Pierre'a de Fermata (1601-1665), było wielką zagadką matematyki i w ogólnej postaci zostało udowodnione dopiero w 1994 roku.

² Łac. *acu* – z igłą, *flos, foris* – kwiat (Tenebra wyszywa).

- Dwanaście w sam raz będzie. Trzynastki unikamy, gdyż wszak wiadomo, iż pomysłność odbiera.

- Czternaście ujście rzeki Elk by dla cię gwarantowało – Karol miarkuje – lecz zbyttno na zachód wypchnie ową, tu, linię pionową...

- Styczną.

- Tak, tak, wiem.

- Karol z Jakubem i ich marzeń jeometryczny galimatias – Wielebny wzdycha. – Nadzieja, iż łuk, styczna, południk i Linia Zachodnia jakimś cudem wszystkie w jednym miejscu się zejdą. Ha, nadzieja matką głupich! Łuk czterdziestego stopnia nawet nie tyka. Styczna wycinkiem żadnego południka być nie może. Z kolei Linia Zachodnia, miast w Punkcie Styku, bieg swój pięć mil na północ zaczyna.

W rzeczy samej, w historię Delaware granic kapryśność wciąż się zdradziecko wkłada, jakoby prawa do powagi odmówić Ameryce chciano. Coraz to nowe żądania wymyślne prokurenci Calvertów wysuwają, czy to odwlec kamieni granicznych stawianie usiłując, czy też – co komuś nasunąć się musi – sposobnością pewną oszołomieni, która jawi im się ucieczką od Euklidesa w geometrię Nowego Świata, co na więcej zezwala. Podczas jednej z narad Marylandczycy dokładnego środka New Castle wyszukania metodę poddają poprzez zarysów miasta z mapy wycięcie, a skrawka owego na szpilce opieranie, póki tak się trafi, iż papier nie spadnie – środek ciężkości szukanym punktem będzie.

Atoli, jeśli brać ów łuk dwunastomilowy za jeometryczne ucieleśnienie księcia Yorku pragnienia, by swych rządów siedzibę strzec przed najazdem, tedy kapitolu wieża środkiem sfery władzy, sfera ta zaś łukiem z ziemią się styka, okrąg znaczący, który, choćby o kilka cali, by ze styczną możebną się spotkał, przesunąć niepodobna.

Z racji narad z prokurentami jedną czy dwie noce w New Castle spędzić będąc zobowiązani, astronomowie z pierwszej ręki wołę Jakuba II poznają. Niedaleko stąd na południe zatoka leży, hen tam wychodząca w otwarte morze. Wkrótce wszystko ucichnie, na godzinę bezruchu ledwie, który jeno szelest ze słonych bagien i żab kumkanie przerywa, lecz teraz, choć Miesiąc już wysoko, okrzyki żeglarzy wśród dźwięków królują, zza drzwi tawern dochodzące, na równi z muzyki pogłosem, co im ten czas wieczorny umila. Mieszkańcy, w półśnie leżąc, dumają, czy owi marynarze hałaśliwi, których statki wszak nieraz zbrojne w działa, miasto bronić by się stawili, gdyby okręt katolickiego kraju, a może i kilka, ku brzegowi by tej nocy pospieszył, w świetle pochodni tłusto kopających i nawoływań w mowie niezgłębionej...

- Hiszpańscy kaprzy, Francuzi także, nad wyraz śmiali, w górę rzeki zapuszczać się mieli w zwyczaju – radzi są zdradzić gościom gospodarze – by wioski mniejsze plądrować i osady. Jak wy w Filadelfii bezpiecznie, tu nigdy nie czuliśmy się w nocy, albowiem kto miasto napaść by pragnął, wpierw New Castle w perzynę obrócić by musiał, co kluczem jest do rzeki całej. Wspomnieć teraz trudno, lecz lat temu piętnaście, w czasach Don Vincente'a Lópeza panowania, każdy zachód słońca bojaźń w sercach budził, co do brzasku nie słabła. Za dnia *de facto* prowincji delawarskiej stolica ruchliwa, po zmroku w skuloną gromadkę światła się zmieniała, w drżące czekających nadchodzącej pory – świec, palenisk i latarni, z których każde na wilgotnym brzegu celem łatwym. Wielu z nas, za Nowego Jorku przykładem, na nocne bytowanie przystało, nie z niecnych pobudek, lecz raczej ze strachu przed spaniem, gdy Słońce straży nie trzymało.

Wielkie berło na szczycie gmachu sądu nadal w ciemności tajemniczą mocą promieniuje. Zwierzęta gospodarskie posnęły. Ryba i wino wyśmienite. Dym tytuńowy wypełnia pokoje, trapią bezsenność i bóle głowy. Ze schowków z drewna wi-

śni kart dobywają. Mieszkańcy domów nad rzeką na siennikach się wiercą, w razie alarmu do pobudki gotowi. Śnią o hiszpańskich gościach, co nieoczekiwanie grzeczni się okazują i uśmiechnięci – oczami wywracają, na gitarach namiętnie grają, a na żadnej z łodzi ani jednego nie znajdziesz, któremu by na myśl przyszło kogo zabić. Wszyscy się w końcu do zabawy przyłączają, do świtu trwającej i kuszącej smakołykami. Są tu góry nieznanych, śródziemnomorskich specjałów, a także „sandwicze” z bochnów całych, smażonymi kiełbasami nadziewane, paprykami zielonymi, bakłażanami, pomidorami, po których wszędzie ser stopiony ścieka, do tego świeże melony sekretem przez rejs przechowane, a wreszcie wino z potomków latorośli tych samych, co Bachusa przed wiekami poili. Oto sny z New Castle, których właściciele w poduszki własne, przemoczone, ślinią się, w obliczu floty łupieżczej bezbronnei.

*Jakże chyżo zbliża się papieska plaga –
Brzegu monarszego kolejna zniewaga,
Kolejny Don Vincente, amator łupów,
Kolejny senior; co ostawi stos trupów.
Timothy Tox, „Rzecz o Pensylwanii”*

W lipcu dalej prą na północ, wśród zmij, mokradeł, wilgotności diabelnej, groarów w środku nocy i puszczy tak gęstej, iż mimo pomocy trzydziestu drwali, każdy łańcuch przemysłem niewspółmiernym jest okupiony. Co rano w mgłach się budzą, pocie i ciszy, by kolejny dzień harować bez pewności, iż u trudów kresu Punkt Styku miną blisko, o przejściu przez niego samego nawet nie marząc.

Linii Stycznej nachylenie na papierze Dixonowi gościniec między Catterick a Binchester na myśl przywodzi – po prawdzie, aż po Lanchester, choć tego dopatrzeć się trzeba – dział Wielkiej Drogi Północnej, przez Rzymian ostawionej. Dla rozrywki, w chwilach mniej zatrudnionych, do ruin nad brzegiem Wear niegdyś jeździł i na środku szlaku stanąwszy, instrument swój na południe kierował, gdyż droga prosto biegła, jak sierpem rzucić. Atoli, w Delaware nic równie jasne czy łatwe. Dixon, powinności swe spełniając, co rusz do siebie mamrocze:

– Jeśli tam się rozstawimy, wówczas to drzewo przekłęte w paradę wchodzić nam będzie. Atoli jeśli cokolwiek niżli ręka własna dłuższego mierzyć pragniemy, a zatem za przeszkodę pnia nie mieć, w błocie niepewnej głębokości tkwić nam przyjdzie, tudzież z słońca w cień spojierać...

– Dalibóg, doceniam to – Mason rzecze – gdy się tak najgłębszymi deliberacjami ze mną dzielisz, jakobyś mi ufał niemal.

– Ufał? Ha, po miesiącach tyłu?

W sierpniu wreszcie kamień mijają, który milę osiemdziesiątą pierwszą skazuje, co, jak sobie przedstawiają, oznacza, iż Punkt Styku gdzieś nieco za sobą ostawili. Na ustaleniu gdzie jesień im schodzi, a kompensaty rachując i styczną wygładzając, wszelkich starań swemu kunsztowi danych dokładają. Zaraportować w końcu są w siłę, iż kąt prosty wymagany między Linią Styczną a promieniem dwunastomilowym, z gmachu sądu wychodzącym, celniej osiągnięty być nie może, niżli jak to uczynili, z kursu zboczeniem o mniej więcej dwie stopy i dwa cale¹.

W grudniu pomocników rozpuszczają, u Harlandów nad Brandywiną zimę spędzić zamierzając.

¹ Około 66 cm.

- Za rok dobrej roboty – Dixon powiada, świeżego cydru wznosząc kufel cynowy.
- O następny podobny się módlmy.

- Za repetycję i rutynę, stąd aż do końca – Mason odpowiada, swym kieliszkiem niechętnie machając, choć przyznać trzeba, iż od dawna w równie świątecznym nastroju nie był.

- Rutyna? Czy podobna? Nie na Linii Zachodniej! Kto wie, co się tam czai? Dnia kolejnego przewidzieć nie sposób – ech, czysta przygoda!

- Pięknie dziękuję, Dixonie, jak zawsze dodajesz otuchy. Ślepotą zupełną, z którą się w ową pustynię zapuszczamy, mej uwadze może by i umknęła, kilka pożałowania godnych sekund wytchnienia od myśli natrętnych zapewniając. Niestety, nie były mi one dane, a przynajmniej nigdzie tam, gdzie głos twój dociera.

- Oj, wybacz proszę, przyjacielu... Przedstawiałem sobie, iż ton jak najweselszy przybrałem, a tu cię ubodłem...

Następna to scysja w sprzeczek świątecznych korowodzie, które pierwiej sprawiały, iż domownicy, duzi i mali, przy ścianach się kulili bądź na stryszek zmykali. Teraz to jeno jeszcze jeden z odgłosów przyrodzenia nieujarzmionego, jak piorun czy zwierzęce nawoływania nocne zza rzeki, do których się z czasem przywyka. Za każdym razem jeometry za swe maniery przepraszają, lecz wnet znów uszu dochodzą ich wrzaski. Przeprosiny i wrzaski, wrzaski i przeprosiny – taka domu Harlandów codzienność burzliwa. Po bożonarodzeniowym zawieszeniu broni, całą resztę zimy przed sobą mając – zmiarkowawszy, jak się zdaje, iż czas to zbyt długi, by bez najmniej jednej awantury roztopów dotrzeć – do Lancaster wyjechać astronomowie rezolucję biorą, może w nadziei, iż demonom niezgody przeprawa przez Susquehannę się nie uda.

34

Lancaster mil trzydzieści pięć na zachód leży. „Co mię tu przywiodło – Mason w dzienniku polowym notuje¹ – to ciekawość owego miejsca ujrzenia, w którym straszliwej i niehumanitarnej rzezi mężczyzn, niewiast i dzieci przeszłej zimy dokonano. Dwudziestu sześciu Indian straciło życie, ni jeden świadek się nie uchował”.

- „Co mię tu przywiodło” – stryj Ives miarkuje. – Brzmi to tak, jakoby Mason sam pojechał.

Wielebny głową kiwa.

- Dixon mówił mi, iż Mason sam jechać zamierzał, lecz w ostatniej chwili, pomny niebezpieczeństw, jakie samotna wyprawa do miasta z przemocy słynącego pociąga, swych muskułów towarzystwo zaoferował, choć Mason pewien nie był, czy takowej kompanii pragnął.

Susquehannę promem Wrighta przekroczywszy² – założmy, iż spółem – dziesiątego stycznia roku 1765 do Lancaster przybywają. W karczmie Pod Dwoma Kluczami, gdzie się zatrzymali, tłoczno od jurystów, sędziów, oficjeli miejskich, kupców i manufaktur właścicieli – ludzi, jeśli nie zamożnych, to choć przyzwoitych. Przybysza z ostępów leśnych, co charka i mordu łaknie, w zasięgu wzroku nie ma tu żadnego,

¹ Fragment prawdziwego wpisu z 10 I 1765.

² Jadąc z gospodarstwa Harlandów do Lancaster, nie przekracza się Susquehanny, która płynie dalej na zachód.

chyba że przewodnika jeometrów wliczać, ledwie półtorej minuty po wjeździe do miasta wybranego, który raz czy dwa panowanie nad śliną traci. Jakie to dziwaczne, jakie amerykańskie, Mason wnet gderać poczyna, Dixon zaś podejrzewa raczej, iż przez Paxtonów człek to opłacany, by ową dwójkę, co na służbę u ich pana i wroga, imć Penna, przystała, uważać.

– Panowie na miejsce masakry okiem rzucić pragną? Rozpoznam zawsze. Jedni szkicownicy niosą, inni sztalugi, jeszcze inni na znaleźiska sakwy, lecz wszystkich ta sama kuriozalna aura przyciąga. Pojmują pobudki, choć nie każdy tak czyni – wypadłoby swego nosa pilnować – atoli w plecami zwróconych kamieniami celować nie przystoi... Przyjęło się, iż pierwszym przystankiem każdej wizyty Pod Strzelbą Holenderską, dokąd, konie u imć Slougha ostawiwszy, tuż przed zbrodni popełnieniem bandyci się udali. Tędy proszę.

Na widok szyldu wspomnianej gospody Mason i Dixon wymieniają spojrzenia. W broni czarnej barwy, na białym tle przedstawionej, rwie oczy baku policzkowego przybranie, gwiazda srebrna, pięcioramienna, tak odwrócona, by dwoje ramion ku górze, a jedno w dół było skierowane – znak pewny, iż zło zatrudnienie znalazło, powszechnie jako Rogi Diabła znany. Nikt by strzelby swej podobnie nie zdobił, kto świadomie na służbę do owego księcia nie przystał. Nie pierwszy raz jeometry to cudo widzą – w Kapsztadzie, choć już nie do góry nogami stojącą, sterloopem ją wołają i ponoć szczęście w ostępach tamecznych przynosi. Atoli, osobliwie przy wietrze zdradliwym lub w inni dzień piekielny, na niejednej strzelbie obaj gwiazdy tej podobne uważali, która w ten bezwietrzny poranek na tle nieba zwisa.

– Już ci ostatnim razem rzekłem, Jabez, iż ostatni raz był ostatnim razem! – głos ich z wysoka dobiega.

Mason i Dixon głowy zadzierają i szynkarza zagniewanego miarkują, co belki w powale czupryną szorować się zdaje.

– Zawsze do żartów skory – Jabez woła, za astronomami się kryjąc i zręcznie ich przed się wypychając.

Starannie zostają zlustrowani.

– Nie z jakowego pisma chyba?

– Uchowaj Boże – Anglicy zaprzeczają żywo.

– Na moje oko jakowis wojażerowie handlowi – wieśniak z fuzją u boku wtrąca.

– Dobrze zgaduję, panowie?

– Jaką dać odpowiedź? – Mason do Dixona w pośpiechu mamrocze.

– Pozwól – Dixon rzecze i do zgromadzonych się zwraca: – Cóż, sprawa niczym Miesiąc w pełni jasna. Przybyliśmy tu, z kimkolwiek interesa ubijać, komu gruntów mierzenie na modłę londyńską się przyda, staranne astronomicznie, co do minuty optycznie, zadziwiająco tanio. Ruchem ideałowi najbliższym gwiazd są poczynania, my zaś, jak je wszystkie odczytywać, wiemy, podobnie jak wy tarczę zegara czytacie. Soczewki posiadamy, co nie lżą nigdy, a mikrometry tak wyśmienite, iż grubość rzęsy Marsjanina wymierzają. Miasto widzimy tu gwarne, w handlu gruntami ruch spory – gdzie waćpanów zdaniem udać nam się warto? – W jego głosie przyjaznym Mason kwakerską nutkę podchwytuje – nam oni interesa z przyjaźnią łączą.

– Czemuż to zatem Jabeza o masakry pytacie? – Bezzębny dziadyga z pustym kulem ciekawy. Dixon prędko znak daje, by mu go napełniono.

– Święte słowa! Skąd niby wiedzieć mamy, czy kolejną fircyków filadelfijskich nie jesteście parą, co to się przez las na konikach wypuścili?

– To on nas zagadnął – Mason się broni.

– Ludźmi nauki jesteście – Dixon klaruje – a jako iż tu z neoklasyczną egzempli-

fikacją katastrofalnego apogeum polemiki interpopulacyjnej do czynienia mamy, rzecz jasna skorzy jesteście obaczyć, gdzie rzecz miejsce miała.

- Nie można się spodziewać, iż tutejsze porządki się pojmie – imć Slough zaznacza – ot tak, wprost z Londynu jak burza tu wpadając.

- O rodzinę się rozchodzi, jak amen w pacierzu to pewne. Wiecie, w każdym plemienu wszytcy z sobą spokrewnieni. Zabij jednego Delaware'a, cały ród się burzy. Tu, na rubieżach, jeśli krew ma przelana, nie ma siły – z mniejszą kompanią, lecz pomścić krewniaka ruszam.

- Każdemu towarzyszy brakuje, do gromadzenia się przeto uciekamy.

- A słyszałem, iż to ludzie bezbronni, nieszkodliwi – Dixon głośno duma, jakimś cudem nikogo do bójki wszczęcia czy obelg rzucania nie zachęcając.

Mason, który nieswojo się tu czuje i epitet jeden darowałby sobie może, na druha dziwnie, niemal z szacunkiem spogląda.

- Krewniakami tych byli – Jabez rzecze – co naszych krewnych na tamten świat posłali.

- Jeśli zatem osoby morderców były wam znane, dlaczegóż, na Boga, ich żeście nie tropili?

- Większe tym im zadaliśmy cierpienia. – Niejaki Tłusty Leon się uśmiecha, przy swym krzesiwie i skałce igrając.

- A tak, żyją sobie dalej, lecz bez drogiej babki – zgryzota wielka, niczym przy dziurze w kominie.

- Niechybnie wielką nienawiścią ich darzycie. – Mason filozoficzne zapędy udaje, gdy tymczasem jeno z opresji cało wyjść byłby skory.

- Nie – zdają się zadziwieni – już nie. Dług spleacony. Życ z nimi w pokoju rad będę.

- Czy teraz was dopaść nie poczują się zobowiązani? – Jerek Popędliwy bez pomysłunku pyta, kątem oka miarkując, iż Mason ku drzwiom się skrada.

- Nie po tej stronie rzeki, ni po tej stronie gościńca, co York z Baltimore łączy. Wszytko tu teraz nasze. Nas się tu słuchają.

- Skąd skargi? – Tłusty Leon żąda odpowiedzi. – Pikietę w okolicy dla Filadelfii pełnimy. Od Delaware po Susquehannę szmat ziemi żeśmy oczyścili, by sobie głupcy z miasta bezpiecznie do woli hasali.

- A tak, ci Pennowie nas i nasze dziatki niczym sprzęty z kąta w kąt przestawiają.

- Niczym niewolników, do diaska!

- Niech tylko z Anglii nosa wyściubią i tu zajadą, a surowiej niżli każdego króla ich powitamy.

- Oto zagadka – jeśli kotu na króla patrzeć wolno¹, czy Pensylwańczykowi wolno przez szczyrbinkę spojrzeć na królewskiego wasala?

- Co też wasan! – Pomruk niemal na równe połowy się dzieli – tych, co iż się zagalopował, trzymają i tych, którym wciąż mało.

- To ich miasta na szaleństwo im zezwalają – Niemiec cudacznie ubrany astronom powiada – których codzienność pogranicza nie wybaczy. Wzajemnymi pretensjami się karmią, w czasie pożyczonym za pożyczone kwoty żyją. Z ochotą życie swe jak i śmierć w ręce innych śmiertelników oddają, gdy po wsiach człek ma jeno jednego wiecznego Pana. To z tych miar prosto gadamy, zaś miastowi się w swej mowie wiją. Czas swój zaprawdę srożej cenimy.

- Cóż takiego? Czasu nie cenimy! – jakowys handlarz obwoźny woła. – Spróbuj

¹ Nawiązanie do angielskiego przysłowia „kot ma prawo patrzeć na króla”, co znaczy: ludzie są sobie równi.

waćpan dobę czasu filadelfijskiego przeżyć, a jeśli cię to nie zabije, to choć z majątków o nas wyleczy.

– Wybacz, waść – Dixon się wtrąca. – Korci mię zadać pytanie. Czymże jest ów rulon, którym waść pykasz, tłący się w ustach waćpana?

– Nie za wiele w waszych stronach tytuniu się trafia, co, chłopcy? Na południe od Chesapeake nie rośnie nic innego – akry niezmierzone, statki z Glasgow w zatokach się tłoczą... Do diaska, miast pieniędzy liści używają! Puścić z dymem tygodniowy zarobek można cały! Tytuń, jak tu zwinięty, zwie się cygarem. Sorty ich różnorakie, ten akurat z Conestogi – woźnice stogiem go wołają. Sekret w skręcie garści liści nadawanym, gdy się je w rulon zwiija – jakoby lufę gwintować, choć nie do końca. Zaprawdę, dym przednio skręca. Patrzejcie. – Wargi niczym do pospolitego, to jest toroidalnego kółka z dymu składa, lecz miast tego pierścień dobywa paskowi wstążki podobny, w okrąg z pojedynczym obrotem sklejony, a zatem posiadający jeno jeden bok i krawędź jedną¹.

(– Wuju?)

– Tak? Wiem, wiem, prawda, na własne oczy nie widziałem. Atoli takie za dawnych dni prawdziwego stoga przymioty były).

Choć niewiele więcej powiedziane zostało, jeometry ze zdumieniem odkrywają, iż na tym, by niewiele więcej powiedzieć, szereg godzin innym schodzi. Z jakich miar Jabez na przewodnika się do nich zgłosił, jeno teraz jaśniejsze. Wkrótce lampy zapalają, tłum na wieczerzę ściąga, a Mason i Dixon, obaczenia miejsca masakry nie bliżsi, ze zmaconymi dymem głowami na spoczynek się udają.

Czy Brytania śni, gdy śpi? Czy Ameryka jej marzeniem? W którym wszystko to, co metropolii na jawie nie uchodzi, ujście swe w niespokojnych fantasmagoriach znajduje o owych prowincjach atlantyckich, a i ziemiach na zachód leżących, jeszcze na mapach nieukazanych ni opisanych, ni widzianych przez większość ludzi – wysypisku jeszcze niestraconych nadziei na to, iż legendy prawdą się okażą – Raj na Ziemi, młodości źródło, Chrystusa królestwo, Jana Prezbitra włości² – zawsze bezpieczne hen za słońca zachodem, póki kolejne krainy zbadane nie zostaną, wymierzone i w sieć punktów znanych nieujęte, co się z wolna w kontynent triangulacją wżera, w rządóm służącą pewność podobieństwo przekształcając. Tak oto dawne świętości obszary posobnie podbijane szary świat śmiertelny powiększają, nasz dom, płaczu padół.

– Wszak sensorium winno być karmione... – Mason, bezsennością trapiiony, do siebie się zwraca z przemową gastryczną, którą na chwile tej podobne sklecił – ...jak ciało, marzeniami swymi, z których na pierwsze miejsce wieczna młodość się wysuwa. Aliści po jarmarkach fanatyków, co w Filadelfii sabbat znaczą, tej się po próżnicy szuka. Zmartwychwstanie najlepszą ofertą, o jakiej słyszałem, lecz, niestety, wpierv umrzeć trzeba...

Miarkuje, iż bliskość Rebeki sobie wmawia – jest gdzieś tam i słucha. Od pobytu na Świętej Helenie jej nie „gościł”, do wyspy przeto myślami powraca, pielgrzym wyobraźni ze szlakiem na mapie skreślonym, by nad przeszłymi rozmowami dumać – na wyrąbisku hebanowym, płachcie ziemi obmurowanym, o świecie na umocnieniach, skąd się Atlantyk po horyzont ścieli...

Rano wychodzi chyłkiem, nim się Dixon budzi, i sam na miejsce masakry bieży. Na metafizyczne zła pozostałości z reguły nie jest wrażliwy – jeno te najstraszliwsze, to jest gotyckie, uwagę jego przywiązać zdolne – atoli tu, gdzie do rzezi doszło, na

¹ Wstęgę tę matematyk August Möbius opisał po raz pierwszy w 1858 roku.

² Według legendy panował gdzieś w głębi Azji w XII w.

podwórcu zapuszczonym i zbrukany, co się dachem przed wzrokiem czy osądem Pańskim nie kryje, niczym „zakonnica przed świątynią” się czuje, jak później Dixonowi powiada. Drugi astronom, w rzeczy samej aż do popołudnia zalegał, a pluskiew hordy, tam i nazad wędrując, śmiertelną jego powłokę badały.

– Coś niemal w powietrzu. – Mason ciągnie zagadkowo. Oblicze jego Dixonowi nad wyraz blade się zdaje. – Nie ścieki czy nocy rezydentura... Wyjaśnić nie potrafię. Niemal na kolana padłem.

– Cóż, widzę, iż miejsce wizyty warte.

– Czyny następstwa rodzą, Dixonie, tak być musi. Ci nikczemnicy trzymają, iż wszystko skończone – iż wolno dalej im przez życie iść, życie niechybnie im drogie, ni raz długu zaciągniętego nie wspominając. Oto, co tam nosem poczułem – Lete wodę. Jedną z rzeczy, którą dziecię nowo narodzone zapomina, to okropność jej smaku, jej woni ohyda. Dać dość czasu, każdy przypadek wypchną z pamięci ci ludzie. Poczekać jeno nieco, znów można ich wystrychnąć na dudka, jakkolwiek bądź, nawet na ich zgubę. W Ameryce, czego się obawiam, to czas ową rzeką jest, co piekło okrąża.

– Niepodobna, by wszyscy byli tacy?

– Idź, sam obacz. I niech mię diabli, jeśli jeszcze kiedyś poważne kwestie przy tobie poruszę.

– Jak wolisz. W co się dziś odziać winienem, oto kwestia poważna! Strój kwakierski bitewne nieomal wywoła w nich poruszenie, zaś surdut czerwony w posępność wpedzi, pod ścianami przemykać się każe, a i zaufać mi mieszkańcom za nic nie pozwoli.

Mason przebaczyć nie jest skory.

– Za Puncta¹ przebrać się możesz – rzeczce – albo Arlekina.

Dixon wie dobrze, w jak małym ma Mason ten kontynent poważaniu, sam jednakże uprzedzeń wystrzegać się stara. Nie do końca jeszcze sumienie jego usnęło, które, całe życie kwakrem będąc, wcześniej rozbudził. Powinnością kierowany, teraz do więzienia jedzie, surdut i kapelusz wzięwszy od Masona. Poniekąd jako Mason się tam wybiera.

Gdzie strzelb kolby cel swój minęły i tynk odłupały, miarkuje. W kątach krew widzi nigdy niezmytą. Bogu dziękuje, iż dzieckiem już nie jest, inaczej kłąłby może czy szlochał, gniew bezmyślnie uwalniając. We własnego surowego stryja wcielić się musi i kuksańce sobie wydzielać, gdy się tylko skupiać przestaje. Na rany Chrystusa, cóż tych ludzi opętało? Nawet Holendrzy z Przylądka tak nie postępowali. Czy to coś w tej dziczy, coś pradawnego, co ich czekało, by dusze skazić, gdy przybyli?

Nic, co w swym sercu przywiózł dla porównania – życzliwość panów Raby, ich poddanych arkadyjskie strzechy – na okrucieństwa Kapsztadu go nie przygotowało: stracenia i chłosty na oczach gawiedzi, ciała rozdarte, krew brocząca, nalane oblicza Białych ukontentowane... Atoli jest Dixon pewien, a pewność ta lekkości równa, jaką teraz czuje, lekkości, co niemal uleceniem grozi, iż tu, wśród dziecięcego wycia i bluzgów posoki, owym nieszcześnikom coś znacznie gorszego się trafiło – iż nikt pod koniec nie pojmował, co konający wołali.

– Nie dość często się modłę – Dixon do siebie mruczy – a teraz na kolana nie padnę, gdyż zbyt wielu mię ludzi uważa. Niemniej, gdybym prosić o coś Boga był teraz w stanie, to, z szacunkiem, o czynu tego zadośćuczynienie, by morderców los należycie doświadczył, by wreszcie ochotę ich odszukania mi odebrano i tyłu życia pozbawienia, ile, nim inni dopadną, możebne. Lepiej niech ta rola komu zdatniejszemu przypadnie. – Wyznanie to ni krztyny otuchy mu nie daje.

¹ Garbaty bohater popularnych przedstawień kukielkowych.

Do kwatery wróciwszy, Masona pólężącego, z fajką, zawstydzonego nad podniszczonym egzemplarzem „Upiornego fircyka” zasta je.

- Kiedy to miejsce żałosne opuścić zamierzałeś?
- Sakwy mam już spakowane. Ciebie czekając, czas jeno zabijam, w tym zadowolenie znajdując, iż owa Protazja Wofte, małoletnia niesłuchanie, niecnym atakom chemicznym Fircyka B. jeszcze nie uległa.
- Ach, Masonie, komuż służymy?
- Mniemałem, iż to ty prędziesz mi to kiedyś wyłożysz.
- Sam sakw nie rozpakowuję nigdy. Czy uda nam się bez pośpiechu odjechać, pozorów przestrachu unikając?
- Głowę mam chłodną – Mason odpowie.

W jednej chwili obu nad Brandywinę spieszno. Placki fasolowe i tarty rabarbarowe jejmość Harlandowej tam czekają, pierzyny z puchu gęsiego, przyjazne mleczarki, do tego obserwacji miła rutyna. Cichaczem Lancaster opuszczają, a każdy kamień miłowy wyższym szczeblem drabiny im się jawi. Pomruk głosów niepokieszonych, iż uszli cało, za sobą, w dole, cichnący słyszą i gubią wreszcie.

35

Zdarzenia jeno jurystów zabawkami – bąki to i obręcze, co wiecznie wirują – atoli historykowi cieszyć oczu rotacją prózną nie jest dane. Historia chronologii się nie równa, gdyż tę palestrantom się ostawia – nie pamięci, albowiem pamięć do ludu należy. Ledwie jakie pretensje do prawdy tej pierwszej rościć może, a i władzy żadnej właściwie nad tą drugą nie ma. By przeżyć, ludzie historią się parający prędko kunszt mędrca karczemnego przyswoić muszą, a także pleciugi i szpiega talenta. Jako iż zawsze więcej niżli jedna nić życia w przeszłość wybiegać może, każdego dnia antenatów zgubienie na wieki nam grozi. Nie jest to łańcuch ogniw osobnych, gdyż jedno ogniwo pęknięte zgubą dla nas wszystkich by było – raczej wielka nici płatanina, słabych i mocnych, długich i krótkich, co jeno spólny kierunek dzieląc, w pamięci głębiach znikają.

Wielebny Wicks Cherrycoke, „Jezus a historia”

- Wszak – stryj Ives się upiera – dowody się posiada, świadectwa, zeznania. Prawdę całą.
- Wręcz przeciwnie! Prawdy szukanie może i powinnością historyka, atoli, by jej nie wydać, starania czynić on winien.
- A fe!
- Jakże tak?
- Takowej historii odmiany, jak tej przez Gibbona¹ spisanej, w każdym calu doskonałej, na myśli ci ja nie miałem. Jack Mandeville², kapitan John Smith³

¹ Edward Gibbon (1737–1794), autor „Zmierzchu i upadku Cesarstwa Rzymskiego” (1776–1788).

² John Mandeville, podróżnik angielski z XIV w., autor niezwykle popularnych, na wpół fikcyjnych wspomnień z podróży (1371).

³ John Smith (1580–1631), jeden z przywódców pierwszej kolonii w Wirginii, znany zwłaszcza z opisanie historii Pocahontas.

– to historycy moi. Nam współczesny baron Münchhausen¹ nawet. Herodot ojcem chrzestnym całej owej gromady, albowiem imię pewnego bóstwa egipskiego wyrzec odmówił...

– Nie wspominaj go czasem!

– Co? Prawdy szukać, a imienia nie wspominać? Wstyd.

– Nadzwyczajne! Rzeczy, o których mówić nie wolno? Czyż nie dość już nasz drogi Jerzy nam podsuwa?

– A tak. Kto prawdę głosi, prawdę porzuca. Ten jeno historię najmie bądźz przymusi, kto zapędy ordynarne niechybnie posiada. Historia zbyt jest niewinną, by na pastwę sprawujących władzę ją wydawać – starczy jedno ich tknięcie, by wnet nikt już jej zaufaniem nie darzył, jakoby nigdy się nim nie cieszyła. Dziedzinę tę winno się raczej otoczyć tkliwą i godną opieką, jak to bazarze, wierszokleci i wszelacy fałszerze czynią. Owi maskarady mistrzowie toaletę, koafiurę i posturę szykują dlań nowe, a także mowy na tyle zmyślnej uczą, by pożądlivości czy choćby zaciekawienia wśród władz nie budziła. Jak Ezop bajki swe pisać musiał, tak

Jakobici mówić muszą wierszykami,

Takoż księża parabolą – choć czasami.

Tox to rzecz jasna, „Rzecz o Pensylwanii”, księga dziesiąta.

– Baniałuki, młody człowieku – stryj Ives powiada, przez własnego syna już niemal w irytację wpędzony. – Fakty są faktami, a kto inaczej trzyma, ten nie tylko z przewrotnością się obnosi, lecz także sam o to prosi, młodzieńcze, by go w domu zamknięto.

– Wybacz, ojcze, bez urazy. To jeno skazywałem, iż jeden sposób wydarzeń odczytywania, z jednego źródła władzy pochodzący...

– Ethelmerze – Ives, brew unosząc, upomina. – Czas zbyt cennym na Ziemi. Na dwa sposoby prawdy ukazania nikt go nie ma.

– O dziejach naszych wystawiamy zatem jeno sztuki wesołe i basta. Z pewnością w szkole brzemienia mi to ujmie. – Tu twarz imć LeSparka groźnie nabrzmiewa.

– Albo też romanse czytamy – Eufrenia dodaje lekceważącym tonem, powinności gościa nad swe prawdziwe uczucia przekładając, gdyż po prawdzie, częściej po powieści sięga, niżli się sama do tego przyznaje.

Jakoby złąkniony, iż moralność zebranych na szwank się narażać poczyna, Ives oświadcza:

– Nie mogę, do kroćset, nie mogę, na Boga, przed czytaniem owych książek dość ostrzeżeń dawać, a osobliwie tych jako „romanse” znanych. Niech te, co słuchają, pomną me słowa! Przerażająca liczba osób wiekiem młodych, niewiast pospolicie, w Bedlam w Anglii, jak i francuskim Salpêtrièr² się znajduje, na stronę szaleństwa przez te opowieści nieodpowiedzialne przeciągniętych, które to prawdy od fałszu nie odróżniają. Jakże rozumy słabe osąd wydać mają? Każda „romansów” czytelniczka wiedzieć winna, iż niestety, dusza jej na pokuszenie jest wiedziona, albowiem sama z diabłem pakt zawarła, czas cenny trwoniąc, nic przy tym w zamian nie otrzymując nad rozrywkę z mentalnych najbardziej nędzną i plugawą. Dawniejsze formy, choć dość groźne w swym czasie, w porównaniu całkiem przyzwoitymi się zdają.

¹ Karl Münchhausen (1720–1797), słynący z łągarstw oficer, którego fantastyczne przygody spisał po angielsku jego przyjaciel Rudolf Raspe (1785), a przełożył na język niemiecki w zmienionej i rozszerzonej wersji Gottfried Bürger (1786).

² Dom wariatów i szpital dla ubogich.

– Doktor Johnson powiada, iż powieścią historia cała, jeśli społecznymi nieoparta dowodami – imć LeSpark wtrąca.

– A Walpole¹ na ten przykład, niemocą złożony, by mu historyczne dzieła czytano, odmawiał, za nieprawdę głoszące je mając – Lomax rzeczce, kieliszkiem brandy gestykulując.

– Jakoby u kresu żywota prawdy zapragnąwszy? – Renia oczami wywraca, gamę e-moll wygrywając.

– A co z Szekspirem? – Tenebra nadal nieszczeroci się uczy. – Wszystkie te „Henryki” i „Ryszardy”, czy to jeno teatralne śmiecie, historia udawana? – Zdaje się, iż wielką przyjemność znajduje, inne imiona męskie niżli Ethelmer wymawiając.

– Właśnie, co z „Hamletem”? – Wielebny poddaje, młodych z kolei bacznie uważając.

Oczy panny o rzęsę może nadto otwarte.

– Hamlet przecie nie był prawdziwy, czyż nie? – powiada, nie pragnąc, by myślano, iż na odpowiedź kuzyna czeka, atoli sposobność do pyszałkowatego monologu mu dając. Ethelmerowi tego było trzeba. Wszystko mu, rzecz jasna, wiadome.

– Cóż, postać ta swą głębię posiada. Szkoda aliści, iż twór Szekspira – żądzą mordu powstrzymaną wiecznie targany, wahaniem, domysłami – owego człeka zupełnie nam przesłonił, co bez cudzego pióra pomocy sprzeczności swego ziemskiego żywota pokonywał.

– W takim razie, czy naprawdę daleką kuzynkę o imieniu Ofelia posiadał – Tenebra zapytuje, głosem o włos zbyt delikatnym, by ktokolwiek prócz Ethelmera ją posłyszał – i czy prawdą jest historyczną, iż jej serce złamał?

– Bardziej podobne, iż to ona jemu je złamać zamierzała, choć bez powodzenia. Siostrą przyszywaną mu będąc, wrogom jego służyła. Drobną figurą, co może Szekspira była oczarowała, skoro więcej jej wersów poświęcił, niżli zasługiwała na to, atoli poszukiwacza obojętnego nie czaruje wcale.

– Czy kogoś miłował zatem? To jest, prócz siebie samego...

– Po prawdzie, córkę angielskiego króla pojął w końcu za żonę, a później się jeszcze z królową Szkocji ożenił, niewiastą dość onieśmielającą, Hermuthrudą zwaną.

– Co ze sceną, którą trupy zaścilały? – Stryj Lomax duma.

– Dwie żony!

– Barbarzyńscy piraci żon biorą wedle ochoty – Renia mruga.

– O Eufrenio, łgarstw ciotko. – Tenebra paluszkami grozi z surowością udawaną.

– Zlituj się, Teniu, sama niemal dołączyłam do ich grona. Gdyby nie mój Delusse² miły, „Aiszą” byście mię teraz wołali. Sztuczką z Niewidzialnym Wężem posłużyć się naówczas musiałam, choć na żadną, nawet gdy los przychylny, liczyć nie sposób.

Utwór gibki grać poczyna, egzotycznych krzyżyków i bemoli pełen. Towarzystwo sadowi się jeszcze wygodniej, zaś stryj Lomax, pragnieniem dręczony, ku gablocie w rowu znów kroki kieruje, z butelką brzaskwiniowej brandy wnet wracając.

Po pierwszym łyku Wielebny bliski jest omdlenia.

– A niech mię, toż to znad Octarary pochodzi!

– Cóż za znawstwo zadziwiające.

– Razu pewnego, przez śnieg uwięziony – Wielebny powiada – bite dwie niedziele przeżyłem, niewiele innych pokarmów spożywając. Było to w karczmie imć

¹ Horace Walpole (1717–1797), pisarz i polityk angielski, autor „Zamczyska w Otranto” (1764), jednej z pierwszych powieści gotyckich.

² Jej obój.

Knockwooda nad Octararą, owej zimy straszliwej z roku sześćdziesiątego czwartego na piątą, kiedy to, po latach czterech, znów na mej drodze jeometrów spotkałem...

Przed wojną czasy spokojniejsze były, a ludzie wolniej się ruszali – nawet tu, w Filadelfii, w co uwierzyć trudno, gdzie wszak rejwach od zamętu jeszcze odróżniano. Lektyk nie było. Wielu pieszo chadzało. Sam Święty Mikołaj, podarki rozwiózłszy, na szybką pintę w Królowej Indyjskiej czas mógł znaleźć.

Znów w Ameryce bawiłem, odkrywając, iż trzymać się z dala niepodobna od tej krainy, co nadzieje karmi, iż cuda są prawdziwe, a do spraw człowieczych Bóg powróci, nadzieje na wszystkich tych rojeń ziszczenie, co w dzieciństwie swym rodzaj nasz snuć musi, jakowyś Testament trzeci... Nad Susquehanną, wśród dzikszego sortu prezbiterian pomieszkiwałem, jakże od mezopotamskich mistyków Kutztown czy Bethlehem odmiennych. Powinności duchownego tam pełniłem. Znojne, kwaśne, pluskwami znaczone bytowanie. Ludzie to dobrzy, choć swarliwi i w whisky rozmiłowani, atoli nie byłem tam mile widziany. Psy przy mnie wyły, chleb nie wyrastał, mleko kwaśniało. Co więcej, niczym zorza polarna na niebie, tak ogniska buntu w owym czasie na wsi się tliły, buntu przeciw Brytyjczykom i wszystkiemu, co brytyjskie, a zatem nieuchronnie i przeciw waszemu słudze uniżonemu. W pełnym były rozkwicie niepokoje Aktem Stemplowym¹ wywołane. Każdej nocy niesłychane liczby jeźdźców wylegały. Zdawało się, iż prowincja na wojnę się szykuje. Marynarze, Paxtonowie, Czarni Chłopcy², Biali Chłopcy³ i kto tam jeszcze – groźba ze strony tłuszczu nieustająca.

Przez ową niespokojną okolicę pędzi dyliżans pełen wojażerów różnorakich, z których każdy we własnej sprawie do Filadelfii jedzie. Imć Edgewise, szuler umyślnie jowialny, w którego sakiewce więcej już mych banknotów spoczywa, niżli okazać jest skory, sumę ode mnie wygrał raczej jako kłopot przez nas postrzeganą, z jakim w bliżej nieokreślonym czasie zmierzyć się przyjdzie. Przegrywam po raz kolejny.

– Do stu diabłów, wypisz mi waść po prostu bilet nowy. Papieru barwa nieważna, kto tu gotówkę posiada?

Jak widać, interesa w tej prowincji, nawet zakłady, w przeważającej mierze na kredytach się opierały. Z monetami obcowanie tak się nie liczyło jak charakter, powinność, konstytucja długu złożona, w której przysługa, hańba czy wybaczenie bardziej podobnymi zdarzeniami były niżli spłata właściwa. Imć Edgewise z małżonką podróżuje. Ze spojrzeń tej damy, którymi męża, gdy trzeba, obdziela, wiele da się o ilości czasu wyczytać, jaki poświęca na różnorakich form głupców studiowanie. Idiota pospolity, co od rzeczy gada, znany każdemu, przeto nie zaprzęta jej głowy. Co innego dureń w gorącej wodzie kąpany, którego po groźnej otoczce bieli wokół tęczęwki się poznaje, albo też swiergocząca odmiana, co mowę swą przysłówkiem „okropnie” do przesyty okrasza. Jest i imć Edgewise wreszcie...

Bez słowa, z krainy przez góry zachodnie rządzonej do królestwa Chesapeake wjeżdżamy – jako iż poza abstrakcją Maryland racji bytu nie ma, z linii prostych jeno ramą będąc, co ową wielką zatokę odgradzają, której urodzajności czy kształtu przedstawić niepodobna, ni długości bezkresnego wybrzeża wymierzyć. W rzeczy samej i Pensylwanii jako takiej nie ma, jeno oszustw szeregu kronika na Indianach z tych ziem popełnianych, których byłoby więcej, gdyby nie podobnie szubrawcze zapędy północno-wschodnich kolonii tej sąsiadów.

¹ Uchwała parlamentu brytyjskiego z 1765 roku, wprowadzająca w koloniach amerykańskich opłaty skarbowe za wszelkie czynności prawne, reklamy prasowe itp.

² Indianie pod wodzą Pontiaka.

³ Bandy irlandzkich katolików.

Dylichans nasz najnowszy jezuickim wynalazkiem, to jest, w dwu słowach, pojazdem takim, co wewnątrz znacznie swe zewnętrzne pozory przewyższa, choć w środku nie będąc, docenić tych przymiotów nie sposób. Zważ, DePugh, iż matematyczne i filozoficzne pryncypia, na których się ów koncept zasadza, większości studentów nauk tych są znane. Z tych miar, waham się, czy obciążać zgromadzone tu głowy wiedzą, co gdzie indziej do zdobycia snadnie. Atoli, by autorytet mój narratorski podnieść, wspomnieć mogę bez szkody, iż o logarytmiczny systemat trzech wymiarów przestrzeni idzie, pod postacią zawilego zespolenia starannych krzywych analitycznych urzeczywistniony, z których jedno jeno zdobia, inne dźwigają, zaś jeszcze inne za krzywki służą, ruchy członów naprowadzające. (– Wierzymy ci, Wicksie, wierzymy. Opowiadajże dalej).

Wśród pól mrocznych pod nisko zwieszonym niebem mknęliśmy przez okolice uśpione. W ciągnących się bez końca partiach przegrywałem, a po ostatnim popasie dyspepsją byłem dręczony. Raz po raz wzrokiem ciemności przeczesywałem, jakiegokolwiek, choćby dalekiego światła wyglądając. Wtem gwałtowne dylichansu spowodowanie ze skwaśniałego zamyślenia mię wyrwało. Oto w środku nocy, a zbierało się właśnie na śnieżycę, pojazd nasz zniecka stanął. Na skraju drogi dwie niewiasty czekały, matka z córką, jak się później okazało. Suknie na nich tak zgrabnie leżały, jak to samodzielnemu nigdy w zwyczajnie nie mają, a twarze wojażerek nocnych sen mi odebrały i w latarenki mej świetle nikłym do rozpisywania się w dzienniku przymusiły. Jakże atoli o „światłości”, nim śnieg spadnie, mówić można, jakże rzec „bez skazy”, a osobliwie „nie z tego świata”, jeśli wiadomo, iż po tej Allegheńów stronie widziadła wciąż się trafiają. Kraj to jeszcze nie na tyle chrześcijański i bezpieczny, by podróżując o późnej porze, nawet w tej deizmem splamionej epoce, nie móc niezmiernie urody napotkać kobiety, co wszystko ci przyrzecze, lecz w końcu zgubę sprowadzi. W rzeczy samej, podczas naszej jazdy napotkaliśmy już jakoby podobnego uwiedzenia ofiarę, na gościńcu stratowanym bełkoczącą. Wsiadanie owych dam do powozu uważając, zadałem przeto w myślach Bogu pytanie – albowiem modlitwy me w owym czasie pytaniami być musiały: – Czy to dla mnie ta para, by za przewodniczki po rubieżach i ku wariacji mi służyć?

Aliści ku memu zdziwieniu, a może i rozczarowaniu, nowo przybyłe na nikogo nie zerkają. Gdy dylichans dawną prędkość dogania, jasne się staje, iż całą podróż spędzić zamierzają, w przyjaznej acz zupełnej ciszy siedząc. Latarenki podróżnych, jedna po drugiej, wewnątrz pojazdu rozświetlają, ja zaś, od dawna jeno wśród brudu i upadku na piękno trafiać nawykły, moralnego niezmiennika krasy i niewinności kobiecej zatem się spodziewając, coraz srożej jestem poruszony, z niezaprzeczalnym, obezwładniającym połączeniem owych przymiotów obcując. Każda z niewiast włosy swe pod prostym czepek z cienkiego płótna skrywa, pod brodą zawiązanym, tak iż z ciała jeno oblicze odsłania – twarz, co różu, pieprzyków czy pęsety nie widziała, niczym samej Ewy naga.

Imć Edgewise prezentacji dokonać się nachyla, ton oślizgły, który za serdeczny ma raczej, przybierając.

– A dokądże to waćpanie się w ten wieczór piękny wybierają?

Córka wnet się płoni, matka za to, spokojnie, acz bez uśmiechu spoglądając, rzecze:

– Do Filadelfii jedziemy, wielmożny panie.

– Wszak to Sodoma nad Schuylkill, miła pani! – Oczami wywracając wymownie, jegomość bez ogródek zdradza. – Jakaż to sprawa do równie bezbożnego miejsca niewiastę bogobojną sprowadzać może?

– Historię mają jeno juryście powierzę, którego nając jadę – kobieta odpowie, ci cho, choć z równym zacięciem.

Wszystcy w nią oczy wlepiają, na swój sposób każdy zdziwiony.

– Zamierza pani – tak się składa, iż pierwszy głos zabieram – sprawę swą zlecić, wybaczyć wam za słowa, kauzyperdzie filadelfijskiemu? Miła pani, niechybnie owej... ostateczności uniknąć można? Do rodziny się o pomoc zwrócić, kongregacji, duszpasterza?

Koloratkę mają wzrokiem omotuje. W kajdany zakutym zapewne jej się jawię, niczym człek przez Turków w jasyr wzięty.

– Jednym z nich waść jesteś? Anglikaninem, *nicht wahr*?

Jakże mam o „religii” mej prawdziwej prawić, o synkretyzmie glob opasującym, który wszystkich zjednoczy – deistów, orientalistów, kabalistów, ludy dzikie – owej nadziei rodzaju człowieczego, gwieździe zbawienia, co zawsze na boskim sklepieniu świeci, ku której wszelkie wierzenia, prawe czy złudne, zmierzać muszą. Za słuchaczki dwie młode pietystki mając, coś o przenosinach jeno wymamrotać jestem w siłę, a taki zamęt w mych myślach panuje, iż o nowej placówce zapominam, ba, o celu podróży swej nawet. Nadto znów po słowo „interbendarz” sięgam, choć wystrzegać się tego pewnemu bóstwu przyobiecałem. Młodej niewiasty niewinne pytanie martwej próżni na dzień mego serca niezmiennie się czającej sięgnęło – upokorzenie straszliwe.

Imć Edgewise, drobiazgowy inżynierski amator, najświeższych osobliwie, flaszkę kuriozalnego kształtu i stopu wyjmując, przez sławetnego jezuickiego kunsztmistrza w Italii obmyśloną, z której, ku towarzystwa zdziwieniu, w wojażerski kubek kawę parującą łać poczyna. Z rąk szulera naczynie otrzymawszy, pasażerka nowa, jako Frau Luiza Redzinger z Coniwingo się prezentuje. Wkrótce odświeżający napój coraz bardziej popijać skora, bez oporów swe losy opowiadać jest gotowa, zaś imć Edgewise zawsze dolewką rad służyć ze swej flaszki, co najwyraźniej dna nie ma.

– Filadelfia, panowie, niczym mię zaskoczyć nie może. Siostra ma *doch* w najbardziej rozpustnym Babilonie Ameryki zamieszkuje, choć Bethlehem go sami wołają. Tak się złożyło, iż Liesele poszła za Morawianina, teraz tamecznego piekarza. Na statku, co nas tu wszystkich przywiózł, się poznali. Pospolitość mym przeznaczeniem, gdy jej – uroda. Ja win dwu nie rozróżnię, podczas gdy ona, nim drugi list z męzowskiego domu do mnie wysłała, upaść zdążyła nisko, nową wiary chrześcijańskiej odmianę przyjmując krzykliwą, próżniactwem i beztroską naznaczoną, którą to z katolicyzmem niemal pomylić podobna. W samej rzeczy, własny karnawał posiadają, rozpustę i obżarstwo, przedstawcie to sobie – chór puzonów własny! Cud, iż swego pastora papieżem nie zwą!

Córce jej głośne „ach” się wyrywa, lecz Frau Redzinger ożywiona jest i zarumieniona, jakoby owa przemowa, do gromady obcych skierowana, najdłuższą była ze wszystkich, na jakie sobie przyzwoliła od dawien dawna, prócz w gronie niewieścim pogwarek.

– Drogie dziecko, o wiele roztropniej byłoby siostrze przebaczyć – Edgewise’a małżonka szepce, dłoń jej ujmując. – Stare żale za sobą ostawić.

Mąż jej pochyła się z sapnięciem, podobną grzeczność kolanu pasażerki okazać zamierzając, lecz go wzrok żony hamuje, na pozór rozbawiony, z którym atoli przekomarzać się nie sposób.

Frau Redzinger kubkiem, pustym na szczęście, żywo gestykułuje.

– O tak, złą jestem siostrą, chrześcijanką i żoną, to mi przebaczyć wypada, aliści kogóż tu prosić mogę? – Na każdego z zebranych zerka z brodą rozedrganą. – Liesele, rzecz jasna, nie znoszę. Zazdroszczę jej życia. Ma wszak męża u boku.

Takie wyznanie słysząc, córka wreszcie się burzy, lecz poniewczasie, gdyż matka jej dalej gna rozpędzona, podobnie jak i dylizans – Jehu, syn Nimszego¹, powozi nim nad nami z brawurą, na jaką za dnia nigdy by się nie zdobył.

– To nie to, co przez piorun być trafionym. Mamy ci nad Schuylkill pioruny, które w niczym słynnym miejskim piorunom doktora Franklina nie ustępują. Ludziska, co przez nasze trafieni byli, o „uwięzieniu w grzmiącej chwale” gadają... Lecz Peter jeno chmiel do chłodni znosił – pospolite to zatrudnienie – w pyle się poślizgnął, do środka wpadł, w susz chmielowy, z pieca gorący, na dwadzieścia stóp niemal głęboki, a szyski ścisnąć razem bez końca można prawie, utonąć łatwo. Przeszłego roku, na ten przykład, duchownemu z Kutztown się trafiło, pyłku woń sama nawet śmierć zsyła – żona owego człeka powiedziała, iż *w sen trujący woń ta go wpędziła* – lecz żadna z nas przy nim nie była, gdy to się stało. Nie miejsce to, gdzie niewiasty zaglądają. Na polu byłam, z innymi kobietami, przy resztkach plonów. Tak to jest, jeno żywe rośliny oporzędzamy, całe lato przeto pnączy doglądamy – gdy tylko szyski zebrane, martwe, mężczyźni się do nich zabierają, *nicht wahr?* Ach, zaprawdę, nie wiem, co bym uczyniła... Chmiel go podtrzymywał, lecz nie za dużo. Gdy pomoc nadeszła, jak mi mówiono, jeno dłoń jego nad szyszkami dostrzegli, co w szamotaninie je zgniatając, pył i opary potworne podnosiła. Gdy Jürgen opuścić był się w stanie, jeno palec mego męża ze światłem łączył, jego biedny palec, jeden jedyny. Ile trudu wyciągnięcie go kosztowało... Żaden medyk kształtu dawnego by mu nie przywrócił. Peter mawiał, iż to jego sakramentalny palec, zewnętrzna, cielesna oznaka Owej Rzeczy, co mu się przydarzyła, gdy tam w dole się dusił. Nie wstydił się go, raczej był nim... urzeczony.

– Pewne wyciągi ziołowe, w wielkiej masie – zapewnić niewiastę zobowiązany się czuję – od wieków znane i w dysputach wspominane, jako środek do objawień skłaniający.

Głową kiwa żywo i opowiada dalej.

Mijały tygodnie. Relacja Petera z prostej historii świadka w ciąg zachwytnych się przemieniła nad stworzeniami skądinąd pochodzącymi – „hen, hen od Pensylwanii”, jak to wyraził – a punktem kulminacyjnym opowieści niezmiennie jasność nieznośna, do której zbliżyć się nierozważnie.

Boża przytomność ostatnimi czasy zelzała, deistów się za to namnożyło, z owego rosnącego oddalenia użytek zrobić gotowych i coraz częściej do czynienia mamy z przeróżnymi w ludziach skrajnościami. Adam Weishaupt², hrabia Saint Germain³, Cagliostro⁴ – szarlatani, Münchhausena godnymi bajkami nas raczący, sztuczkami, których wymyślność nie zna granic. Zakon Cohenów⁵, masoni, iluminaci... Wielu z nich, czegom ciekaw okrutnie, do Pensylwanii zawitało. Ulicami wędrują, miejsca odludne nawiedzają – Niemcy to w dużej mierze. Biada człekowi ufnemu, co pod ich urokiem się znajdzie, albo też, jak w przypadku Petera Redzingera, w jednego z nich przemieni.

Kolejne to epifania amerykańska, następna podniosła chwila. Gdzie w Anglii równie spektakularne objawienia? Duchownego anglikańskiego uwagę na podobny

¹ Jehu, król Izraela, słynący z brawurowego powożenia rydwanem, według Biblii Tysiąclecia był wnukiem Nimszego, a synem Jozafata.

² Adam Weishaupt (1748–1811), w 1776 roku założył w Ameryce masońską lożę iluminatów.

³ Saint Germain (zm. 1784), alchemik, awanturnik i dyplomata.

⁴ Alessandro Cagliostro (1743–1795), fałszywy alchemik, cudotwórca, awanturnik i wizjoner; przewędrował całą Europę; oskarżony o herezję i czary, zmarł w więzieniu.

⁵ Elect Cohens, grupa okultystyczna.

przypadek skieruj – drobny żagielek na horyzoncie naszego wygnania – a nic prócz delikatnej reprimendy nie usłyszysz i rad wstrzemięźliwych, w których prędzej czy później słowo „doktor” padnie.

W nieprzychylnym innym świecie epoce żyć nam przyszło. Towarzystwa Królewskiego członkowie z encyklopedystami francuskimi wodze trzymają – przy każdej nadarzającej się okazji Ewangelię Rozumu głoszą, wszystko, co niegdyś magią było, potępiając. Z Kościoła katolickiego często przy tym szydzą – z nawiedzeń, rzeźb krwią broczących, cudów medykom nieznanym. Nie, nie, zbyt to obce przecie. Z rzadka na jakowegoś ducha z Cock Lane jest przyzwolenie, a jeśli kto w zjawach rozmiłowany, po rojenia gotyckie sięgnąć musi, między książki okładkami, jak należy, ujarzmione.

– Powiadają, iż Petera nad Susquehanną widują, *aus dem Kipp*¹, od chaty do chaty wędruje, wszędzie, gdzie więcej nad dwu Niemców się zbierze, o swym przypadku z chmielem opowiadając. Kaznodziejstwem zwie swe praktyki – jak i inni, co nikogo nie dziwi. Niektórzy nawet, redzingerzy, za nim podążają. Oświecenie przez uduszenie nieudane sednem ich wiary. Do chrztu, czy wspomnieć mi trzeba, nie starcza im zanurzenie... Peter już stworzeniem z lasu rodem, jak przedstawiam sobie. Być może me własne przeznaczenie z jego pomyliłam, a jego wyniesienie – wzdycha – uziemieniem mym się okazało.

Na myśli rodzinne ma gospodarstwo, na granicy z Maryland² sto akrów³ ziemi, a może i za nią – póki angielscy jeometry nie przejdą, tego nikt nie wie. Obu prowincji wódatze na spornej linii leżące grunta taniej sprzedają, czasem nawet z renty zwalniając. Peter Redzinger zawsze znał się na glebie, jeśli kto zapyta, spojrzysz jeno i powiedzieć umie, co się nie przyjmie, a co obrodzi. Na owych stu akrach, które w snach licznych od lat młodości odwiedzał, obrodzi wszystko, co się zapragnie. Gdy je przemierzał, odkrył, iż niczym różdżką stopami coś wyczuwa, nie jeno wodę. Buty musiał nosić, bowiem boso *die Kräfte* oprzeć się nie potrafił, mocom tajemnym. Szepały do niego, niemal słowa rozpoznawał.

Czasem próbował z Luizą kwestię tę poruszyć, lecz z takim trudem to przychodziło, iż zawsze w końcu nad swą siostrą w Bethlehem dumała i tym, iż jak by nie było, tańce ją omijają. „Niesie się toto z wiatrem, co wśród podszycia sunie... W wietrze się kryje, prawdziwe słowa, a jeśli się wsłuchać...”. Iż topiel chmielowa lub inny wyrok takowy im pisany, rychło wiedzieć była musiała. Tymczasem kukurydza, wiśnie, wilce i pomidory, każdy kwiat i jadalna roślina Linneuszowi znana, rosły na potęgę. Lata miały, Mitzi na świat przyszła, chłopcy po niej. Luiza i Peter piekarnię, wędzarnię, oborę, stajnię, kurnik, a wreszcie piec chmielowy z taką chłodnią dobudowali. Bracia jego nieopodal z rodzinami mieszkają. Pola ich wszystkich, jak w hrabstwie Lancaster wiele, chmielem właśnie i konopiami są obsiane. Pokój to czy wojna, takie potrzeby człowiecze, iż owe płody rolne coraz większym wzięciem się cieszą, ceny przy tym przednie osiągają.

Grodz, jeden z sąsiadów Redzingerów, od dawna na włości pary pożądanym okiem spogląda, a co więcej, iż oba gospodarstwa w Maryland leżą, mniema. Wie nadto, iż podle prowincji tej prawa na ponowne wymierzenie swych ziem pozwolenie zyskać może, przy okazji wszelkie grunta niezajęte, po sąsiedzku zaś leżące, zagarniając. Tak oto, jeno z racji ponownego wymierzenia, miedzę dalej pociągnąć

¹ Niem. podeksycytowany.

² Być może pomyłka; z wcześniejszych wypowiedzi Frau Redzinger wynika, że mieszka nieopodal Schuykill i Kutztown, czyli bardziej na północ.

³ 40,5 ha.

wolno mu będzie. (Dalibóg, nieprzebrane połacie jednym chapnięciem w owych czasach wiejskie myszki tam połykały). Do ziem za wakujące branych te także się zalicza, co niegdyś zasiedlane, za długi osobliwie na powrót w ręce pańskie trafiły. Skoro Luiza rentę Pensylwanii płaci, a nie Maryland, gdzie ponoć mieszka, jak Grodt trzyma, więcej Calvertom jest dłużna, niżli zapłacić w sile, i pola jej, w co sąsiad wierzy, podobnie przepadną.

- Nie jestem ci ja palestrantem – pocieszać ją próbuję – lecz roszczenia jego wątpliwymi się zdają.

- Jeśli nie spocznie – imć Edgewise ostrzega – pozwolenie zdobędzie, zastaw wpłaci, tytuł przepisze, wówczas jego to własność, jeśli nikt udowodnić nie zdoła, iż pola owe cedowalne nie są.

Wszyscy o prywacie gruntowej rozprawiać żywo poczynają. Dysputa to miejsca zażarta, historie nierzadko własne, słowa do serca brane. Nagle, bez wyjątku, pa-sażerowie w filadelfijskich kauzyperdów się przemieniają.

- Czemuż to – małżonka Edgewise'a wiedzieć pragnie – zjawisko te namiętności podobne wyzwała?

Handlarz Złudzeniami żonę spojrzeniem obdarza, a raczej pewnym grymasem, co jak przypuszczam, Pismu Świętemu wiekiem nie ustępuje, w jednym melancholijnym oczu przewrocie cały wachlarz uczuć ściskając. Ze skrytki sobie jeno znanej kolejną flaszkę dobywa, w której nie powszechne w tych stronach piwo świerkowe się kryje, lecz francuskie bordo, trunek przez napuszonych kupców przedkładany. Nikogo, żony nawet nie częstując, wino z butelki wychylać poczyną.

- Sędziwa to kwestia – pierwsze jego słowa brzmią może. – Wszak już dnia drugiego, gdy Bóg tworzył sklepienie, wody pod firmamentem leżące od tych nad nim oddzielił. Oto pierwsza w dziejach granica. Wszystko inne, w całym biegu historii, to jeno dalsze owej połaci dzielenie.

- Cóż to za pojazd – młody Cherrycoke przed ułożeniem się do snu duma – co tak bezlitośnie coraz dalej nas unosi? W turkocie dzień kolejny przemierzamy – rok kolejny – jakoby przez miasto bezimienne, o północy wyludnione... W pamięci jeno wspomnienia jakowychś popasów z lat młodości ostały – dziewoje, karty, wino – na dłużej pragnęliśmy zostać, lecz milczący pacholek w ciemnej liberii już znać daje, iż pora do dylizansu wrócić, wyruszyć w dalszą drogę. Co więcej, nim cel podróży osiągniemy, pojazd ten raptownie stanie... Strachem zdjęci, drzwiczki uchylimy, aby się z woźnicą rozmówić, i odkryjemy, iż woźnicy nie ma... ni koni... pojazd jeno, co wnet się w powietrzu rozplywa, a wokół preria po horyzont, straszliwa.

36

Woźnica, poprzez pędzące tumany okna świecami rozświetlone w oddali zmiarkowawszy, oznajmia nam, iż do gospody się zbliżamy. Damy wiercić się i przytupywać poczynają, ku sobie nachylają i nad czymś deliberują. Mężczyźni ponownie fajki zapalają, na zegarki zerkają, a dyskretniej – w pugilaresy. Szum pędu wiatru sunącego po zewnętrznej pojazdu skorupie, płazie równie sekretnie gładzonym, co najprzedniejsze skrzypce Cremony¹, słabnie delikatnie, cichnie, wreszcie ustępuje stajennych i posługaczy gromkim nawoływaniom. Pochodnicy w dwuszeregu czeka-

¹ Miasto we Włoszech słynące z wyrobu skrzypiec, m.in. stradivariusów.

ją, jakoby z racji jakowegoś niemieckich mistyków obrządku. Pochodnie ich u brzegów żółcią głęboką iskrzą, biel płatków opadających rozpalając.

W nikłym świetle olbrzymiej tej budowli z bali wyższe piętra w chmurach nurzać się zdają – atoli te teraz nisko – ciągnie się zaś ona wzdłuż podwórców i przejść coraz to nowych, aż i tych kres z oczu człek gubi. Nawet w zimowej szacie podobne labirynty suki i bazyry Ziemi Świętej na myśl przywodzą, tyle że w tej tu kwaterze nic nie jest stare, bale nadal czystymi żywicy kroplami zdobione, a ściany wewnętrzne owych kłód nie tykają – domostwo parę miesięcy ledwie stoi i osiąść należyście czasu nie miało. Sztuće ostre jeszcze, garnki w kuchni błyszczące, w komorze bielizna pościelowa złożona, w której nikt nie baraszkował ni nie spał nawet.

Gospoda ta nowa nocnym jest przystankiem dla wszystkich, których sprawy różne z domów wyгнаły. Blisko stąd do promu linowego nad Bloomery, jednej z tysiąca rzek do Chesapeake uchodzących. Na równi z towarzystwem dyliżansowym woźnice mile tu widziani i obie wojażerów odmiany na razie na to przystają. Od frontu weranda jest długa i wejścia dwa, do szynku i rodzinnego salonu. Przejście między nimi zawiłych poszukiwań wymaga, na drzwi i klatki schodowe po drodze nieraz natrafić trudno.

Tymczasem astronomowie, z Lancaster wracając, niebo chmurami zasnutę za dnia uważają równie skrupulatnie, co w nocy rozgwieżdżone.

– Rzec nie mogę, iż pogoda ta spokój na mą duszę zsyła – Mason powiada.
– Czy masz na myśli, przyjacielu, owe białe kształty, płatkom podobne, co z północnego wschodu wiatr znosi?
– Zaiste, będzie kwadrans, jak drzewa z oczu straciłem.
– Masz ci los, w kolejne wpędzasz nas tarapaty? Czy choć się gościńca trzymamy?
– Czekaj no, światelko to może?
– Nie próbuj się wykręcić.
– Czy to ja sprawiam, iż śnieży? Czy przy tym upierasz się teraz? Jakże, na Boga, byłbym w sile, Dixonie? Proszę, zechciej zważyć swe słowa.

– Do namiotów powrót gładki prorokowałeś, ba, na pistolu zakład stanął.
– Wspomniałbyś go, rzecz jasna?

Kłócąc się za jadłem, ku światłom zmierzają i wkrótce w progi owej karczmy wstępują, w której, z piwem i fajką, narrator wasz rozgościć się już zdołał. Na widok człeka od czasów kapsztadzkich niewidzianego, jeometrów para milknie porażona.

– Czy nigdy się go nie pozbędziemy? – Dixon woła.
– Majaki – Mason pociesza kompana – przez śnieg nasłane, niknące detale, potrzeba sensorium, by pustkę za wszelką cenę wypełnić..
– Cóż za miłe spotkanie – powiadam – a to jeszcze nie koniec.

Do kieszeni po pergamin sięgam i rozwijam rozkazy otrzymane, które, głowami się zderzywszy, pospiesznie czytają.

– Kapelan wyprawy?
– Prosił kto o kapelana?
– Ja nie.
– Insynuujesz, iż ja...
– W przypisie do ugody przez sąd zatwierdzonej – z pomocą przychodzę – wymóg ten stoi.
– Większość z ludzi naszych, Wielebny, to prezbiterianie. A jeśli nie, irlandzcy katolicy czy sektarianie niemieccy.
– Atoli Towarzystwo Królewskie na wskroś anglikańskie.

- To dopiero, kapelan – Mason powiada.

- Ech – Dixon wzdycha.

Gdy zorza zachodzącego słońca świecom i pochodniom ustępuje, ludzie do nadciągającego wieczora się sposobią, przy którymś z okien społem zasiadają. Co rusz kielichy czy kubki w górę wędrują. Czyż te twarze o życiu wiecznym nieprzekonane? Podróżni osobno i parami schodzą, woń tytoniu i kotletów się snuje, dym palarnię napełnia, skrzypkowie struny stroją, na podwórku konie wygłodzone u koryta jedzą, dziewczki, w zmordowaniu półżywe, frygają, a mali chłopcy na posyłki, własną warstwę głów tworzący, tam i nazad po słomie się ślizgają. Jakże tu kostucha zawitać może?

Imć Knockwood, zajazdu właściciel, stryjaska Tobiego¹ byłby wcieleniem, gdyby tylko inne żywioły go pociągały. Co dzień godziny całe na studiowaniu mu mijają, aliści nie robót fortecznych, lecz przez ziemie swe wody przepływu. By bieg jej zmienić, wymyślnie koncepta w życie wciela, gości nieumyślnie przy tym zabawiając.

- Owey złożoności nie pojmujecie – przekonuje. – Starczy, by bóbr jakowyś, co mił stąd wiele w górę rzeki siedzi, ledwie jeden kamyczek poruszył, a wszystko tu wnet odmienione! Rzeka, dalej o milę, przez stajnię popłynie! Akry lasu znikną, a ów bóbr występku swego świadom nawet nie będzie!

I stoi tak, wzrokiem gromiąc, jakoby to słuchacz cierpliwy nasłał to niecne stworzenie.

Śnieżycza na gwałtowności przybiera. Do zimy ostatniej stali szynku bywalcy auro teraz przyrównują, mrozy i powodzie przeszłe przywołując. Nowe beczułki brandy brzoskwiniowej co dzień są otwierane. Knockwoodowie głosy na się podnosić poczynają.

- Ta miała być na później.

- Na kiedy? Apokalipsę? Gotówką płacą.

Główna sala tutejsza Bath nie przypomina. Gromadzą się tu wszyscy prowincji działacze, pacholków werbownicy, gruntami handlarze szemrani, cygańscy murarze, ludzie narzędziami kupczący, a także ze wschodu bogacze ciekawi, w tym i dalekiego, hen za oceanem. Woźnice społem się trzymają, zakamarki przytulne wyszukując lub tworząc, zaś ludzie interesu o osobne pokoje zabiegają. Pozostali pospolicie swarliwi bywają.

- Gdzie tu oddychać można? – Galant z kontynentu się burzy, w żółty surdut odziany. – W Nowym Jorku tawerny sale posiadają, w których palenie surowo wzbronione.

- Atoli czego nam zaprawdę trzeba – imć Whitpot, obwoźny handlarz piecykami, odpowiada, fajkę swą z lubością cmokając – to obszar od głupców wolny, wydzielony.

Słyszac te słowa, młodzian ruch wykonuje, czym raczej rozdrażnienie własne zdradza, niżli kogo straszy, ku szpadzie, którą u boku nosić ma w zwyczaju, a na której to siedzi właśnie. – Tak? A waśc jesteś świnią. Kto zdanie świni do serca bierze?

- Imć Dimdown, jak zawsze krewki – jejmość Edgewise grucha, za ucho birbantą i pod peruczkę sięgając, skąd srebrnego pistola dobywa, którym popędliwca obdarować zamiaru nie ma. – Wsadźże waćpan broń swą na powrót do pochwy, o tak, grzeszny panicz.

W bawieniu widowni sztuczek magicznych paletą jest niezrównana. Po karty, kości, monety, zioła, w flaszkach napoje, chustki, broń, żuki i pluskwy mistrzyni sięga, a czasem wyżej, aż po gołębie czy wiewiórki, w Wielki Łańcuch Bytu wycieczki robi. Ku zabłoconym podwórcom karczm wzdłuż Susquehanny ludziska z całej okolicy

¹ Postać z powieści „Tristram Shandy” Laurence’a Sterne’a.

ściąga, by o zmierzchu w krąg szeptami falujący się zbili. Żaden baśniowy telegraf chyżością nie przewyższy tego, jak się wieść rozchodzi, iż w sąsiedztwie jakowś sztukmistrz bawi. Od jesieni swe talenta obwozi – chłody, słońca, wschód Plejad widoczny rzadko kiedy, lecz wciąż z radością prawa przyrodzenia w wątpliwość podaje, a zdrowemu rozsądkowi przeczy.

Pomimo małżonki kuglarskiej zręczności, imię Edgewise rzadko, jeśli wcale, na towarzyszenie mu w szulerskich wyprawach jej przyzwala, atoli obojętność tracić skłonna, raz po raz męża o przyczynę wypytuje, niestrawnością trapiiony szarmancko uśmiechu ekwiwalent jeno w zamian dostając.

– Moja droga, do podobnych spraw się zabierać, ba, uważać partie nawet, to, obawiam się, brzemień zbyt wielkie, serdeńko, by wrażliwość równie kruchą, co twoja, nim obciążać. Z tych miar, kwiatuśku, wizytę ci odradzam, choć żar mego sprzeciwu rozżaleniu równy.

– Znam ci ja ten „żar” i niskie mam o nim mniemanie.

– Wśród mych znajomków – imię Dimdown się wtrąca, rękojeść swej szpady międląc – żadna niewiasta w te słowa do męża by się ozwać nie śmiała, wiedząc, iż surową karę poniesie.

– Jako iż kara surowa przednim życia z mym mężem opisem, znajomym waćpana, tym razem przynajmniej, rozczarowanie niepisane.

W odległym kącie Luiza i Mitzi pogrążone są we włosów tyczącej dyspacie.

– Życzę sobie, by różne długości miały – panna obstaje. – Nie chcę ciasno przy głowie ich spinać. Nie chcę ich chować. Niech je ludzie widzą. Niech kawalerowie patrzą!

– Noc to zimowa, gdyż, patrz, sunie wokół – ziemianin Haligast z cienia oświadcza i na powrót milknie. Dalsze jego słowa posłyszeć pragnąc, wszyscy ucichli, bowiem ów szlachcic gnomowi podobny, gdy czasem co powie, to w takowym uniesieniu, iż niejeden z gości za prorocstwa cenne to bierze lub też szaleńca pocieszne przemowy.

Do tej to sali Mason i Dixon wchodzi. Sprzęty i ściany zbyt tu nowe, by już chmielem czy słodem przeszły, wonie raczej pojawiają się i ulatują niez mieszane – żywic, dymu fajkowego czy z paleniska, stajni na strojach osób zebranych. Zimowe światło wnika nieśmiało i wśród szklanic marszczoną płamą jaskrawą gubi.

– Astronomowie, nieprawdaż? – Imię Knockwood ich wita. – Wielebny o waćpanach opowiadał. – A gdy poczynają o dwu przejściach Wenus rozprawiać i amerykańskich zatrudnieniach, co lata pomiędzy wypełnią... – Toż to „sandwicz”! – imię Edgewise woła. – Strzeżcie go pilnie panowie, gdyż zjeść go kto może!

Przyjemność, jaką z niedawno ukutego słowa wypowiedzenia czerpie, wnet krewki *chef de cuisine*, Armand Allègre, ukróca, z kuchni w gniewie przybiegając.

– Sądlicz! Sądlicz! – rękoma wymachuje. – Straszliwa to dla sakramentu posiłku zniewaga!

Krzyk się podnosi.

– Przeciw Wielkiej Brytanii waść występujesz!

– Wstyd, monsieur!

Mitzi piąstki ściska i do ust unosi.

– Bez litości! Ach, jakież on nieprzejednany!

Młody Dimdown na tyle gniew w sobie rozniecić się stara, by swą szpadę wreszcie móc dobyć i nią nieco powywijsać.

– Tam, skąd pochodzę – powiada hardo – lord Sandwich za swą szlachetność wielce jest poważany, jak i za zmyślność podziwiany, dzięki której to właśnie ów sławet-

ny krok naprzód w człowieczej diecie uczynić było mu dane. I mniemam, rzecz jasna, nikogo z tu przytomnych urazić nie pragnąc, iż nie przystoi, by jakowys przeklęty, żaloszny, ropuchy pożerający cudzoziemiec imię jego bez należytego szacunku wypowiedział.

– Nim to śmieszne, liche żądętko z pochwy wychynie – Francuz, z większą galanterią niżli pomyślunkiem odpowie – przebóg, mej *batterie des couteaux*¹ poczujesz działanie. Niczym cielęcinę, filetem cię ostawię!

– Pohamujcie się – Wielebny strofuje. – Oboje. Nie wszytscy tu równie nieokrzesani. Co zaś się eponimu w sporze wspomnianego tyczy – galantowi klaruje – ostatnimi czasy jako Jemmy Twitcher² lepiej jest znany. Pijaczyna to z gębą niewyparzoną i szuler z bożej łaski, rozpusztnik-sodomita, co przyjaciela zdradził za, powiedzmy, pewną pieszczotę, wążką dłonią Jureczka zadaną, Jacka Bute’a³ politowania godnego sługi.

– Coś podobnego, Wilkesa adherent! – imć Edgewise woła. – Ot tak, wśród nas zasiada, przedstawcie to sobie, korona ma cierniowa!

– Lorda noc przy kartach długa skończy się rychło – Haligast oświadcza. – Ciało w swej podróży się zbliża! O tak, los ze ścieżki swej zbacza, duchowni grzeszą, te napisy na murach i słupach... I w tej właśnie w dziejach chrześcijaństwa chwili sandwicz się rodzi, a szlachcic upadły mu zwiastunem. Sandwicz, krążki świeckiego chleba, co prawdziwe ciało przesłaniając, zawierają je w sobie, ciało krwią nasiąknięte, które pod postacią wołowiny na ziemi się kryje. Wszytco tu – poza gatunkiem, rzecz jasna – jak w Trójcy, jednakie. O tak, sandwicz, naszych czasów eucharystia... – To rzekłszy, nos w zmiętych fałdach żabotu chowa i nic już nie dodaje.

– Święte słowa – imć Edgewise przyklaskuje, żonę z impetem w udo klepiąc. – Ach, wybacz, skarbie. Zdawało mi się, iż sobie razy dawałem. Tak, noc przy kartach długa wszytckich nas czeka, czyż nie? Nawet jeśli za dnia pospolicie się trafia, dzień po dniu, nieprawdaż, ma gołąbeczko wesoła?

Nazajutrz rano przy stole, miast kłębow tłustego dymu z kuchni ulatujących, których się spodziewała, Luiza Redzinger miło jest zaskoczona, znane jej z własnego warzenia strawy wonie czując, choć i odstępstw dziwnych parę – czosnku, co później zmiarkuje, stosowanie, czy też bezwstydnemu nadużywanie masła w miejsce smalcu.

– Czy za grzech tego nie macie, nawet w angielskim kościele? – Wielebnego Cherrycoke’a nagabuje. – W Bethlehem nawet przy Bożym Narodzeniu czegoś podobnego by się nie znalazło. – O *croissant* mowa.

– U Francuzów pospolitej to bułki odmiana, do każdej potrawy bowiem masła tam dodają – imć Edgewise, w świecie bywały, klaruje. Córka Luizy, mniej zgorzozna, pół tuzina już schrupała, atoli przyznać trzeba, iż nikt z gości palców zatłuszczenia nie uniknął, owych wybornych wypieków kosztując, których parujące patery, jedna z drugą, z jakowegoś odległego pieca są donoszone.

– Raczej dzieło szatana niżli Francuza – dewotka nadobna sarka, choć z końcem zdania, jak później podejrzewać będą, od nadziei, ton jej głosu łagodnieje.

¹ Fr. zbiór noży.

² Przewisko nadane przez prasę hrabiemu Sandwich, kiedy to w 1763 roku złożył zeznania pogrążające swojego dawnego przyjaciela Johna Wilkesa, niesłusznie oskarżonego o rozpowszechnianie pornografii, gdy skrytykował króla na łamach własnej gazety (Twitcher to kryminalista z „Opery żebraczej”, który postąpił podobnie).

³ John Stuart, hrabia Bute, premier Wielkiej Brytanii w latach 1762–1763, były gubernator i polepnik króla Jerzego III.

- Cóż, może zatem – gospodarz wtrąca – życzyłaby pani sobie owego twórcę poznać?

- Ach!

Za każdym razem później historię tę opowiadając, doda tu: „Serce we mnie zamarło na chwilę, gdyż sądziłam, iż na myśli ma szatana”. Lecz o nowo najętego kucharza mu chodzi, monsieur Armanda Allègre, człeka o wielkich mięśniach lecz drobnej posturze, którego czapkę białą, „długości ciała jego połowy” raz czy dwa w drzwiach kuchni błyskając dostrzegła, mimo półmroku zimowego i oparów fajkowych – zaiste, nadto jaskrawą, zważywszy na dane światło.

- Ej tam, Francuz! *Wyn jez i si!*¹ Jedna z dam twą robotę pochwalić pragnie! – Do posilających się przy stołach sąsiednich mruga. Zaprawdę, mistrz to jowialności.

- Miły panie. – Frau Redzinger spojrzeniem go obdarza, którego spokój chwiejny w najlepszym razie. – Posiłki szykować podle swej woli on może. Ja mu kazań prawić nie mam zamiaru.

- Ach, to dobry chłopak, nie trap się, pani. Taki francuski to on nie jest! Prosimy...

Przez wesołego Knockwooda zaprezentowany, kucharz czapkę jednym zgrabnym ruchem zdejmując, trio pobliskich świeczek na moment przygaszając, i stoi tak przed nią, wzrost swój prawdziwy obnosząc, ledwie powietrza w pierś nabierając. Ona tymczasem, co dla jednej czy dwu osób jasne, równie porażona siedzi z *croissant* w wyciągniętej dłoni, co płatkami niczym zwiędły kwiat sypie. Gwar w sali nie słabnie, zdawałoby się, iż chwila przeszła niczyjej uwagi nie przywiązała. Luiza zerka na rogala przez się trzymany, (jak się teraz okazuje) w połowie już zjedzony, jakoby świeżo obudzona, po czym, w nieskwapliwej pochwałce, przed nosem Armanda wypiekiem wymachuje.

- Jakżeś waść tego dokonał? – pyta.

- *Madame*, do nowej porcji takowego ciasta właśnie się zabieram. Gdybyś zechciała pani naszej skromnej kuchni zatrudnienia uważać, byłbym zaszczycony. – Wnet skądś prosty walec z drewna orzesznika wyciąga, gruby na dwa a długi na jakieś dwadzieścia cali². – Mój wałek – powiada i Luizę nakłania, by w wahające się dłonie przyrząd ujęła, wagę i gładkość jego oszacowała, raz czy dwa na próbę po stole przetoczyła.

Z czołem zmarszczonym, ciekawa, ustępuje.

- Zarobna to praca, *nicht wahr?* – niższym głosem rzecze.

Armand ramionami rusza, myśli jego daleko.

- Choćby tysiące dawali – wzdycha, jakoby sami w pokoju byli, policzki dłońmi ściskając – i tak twarzą w twarz z melancholią się staje. Próżne żale. Niegdyś we Francji sława kucharska na rękach noszona, dziś sam jak palec wśród wieśniaków cudzoziemskich i prostaków w skóry odzianych, możebności uciezki pozbawiony. Dokąd zresztą bym się udał, gdyby wyjazd był mi dany? Skoro stopa ma na ziemi oświeconej, to jest francuskiej, rzecz jasna, stanąć nie może? Nawet w Illinois, nawet w odległych górach Luizjany³ znajdzie mię To i przy mnie pozostanie, zbyt obcy mi pobudkami się kierując, by się w naszym pojmowaniu mieściły.

- To? Brzmi potwornie. Któż waćpana podobną nienawiścią darzy?

- „Kto”? Cóż, człowieczą pogoń zwiódłbym może, lecz niestety...

¹ *Venez ici*, fr. chodźcie tu.

² Wymiary przeciętnego wałka.

³ Wówczas teren o nieustalonych granicach, sięgający od Kanady po Zatokę Meksykańską, sprzedany Stanom Zjednoczonym przez Napoleona w 1803 roku.

Oczarowaną będąc, Luiza o swej córce zapomniała, na której Francuz także wielkie wrażenie zrobił, atoli Edgewise'a małżonka, odkąd dziewczęciem była, podobnych rumieńców i oszołomienia jak u Mitzi, nie uważała.

– Czyś mdleć, me dziecko, skora? – Ku stołowi sąsiadek się schyla.

Panna grzecznie oczy spuszcza, na tak długo przynajmniej, ile sił starcza, lecz już tęsknota powieki rwie do góry, by raz jeszcze na Armanda zerknąć mogła. Starsza niewiasta na powrót się prostuje i głową kręci z uśmiechem, w którym wesołość popolita, choć przytomna, ingrediencją nie jest jedyną. A tymczasem przed widownią, jak mu się zapewne zdaje, z barbarzyńców nieczułych złożoną, monsieur Allègre do dziejów swej kłątwy objaśnienia przystępuje.

37

– Najmłodszym byłem z czterech braci. Każdy z nas posobnie w dorosłość przednio był wyprawiany, póki moja kolej nie nadeszła. Losu przychylności Ojciec zmienacka utracił i jeno tyle majątku się ostało, by mię do Paryża na termin posłać do kucharza we Francji najprzodniejszego – a zatem i w świecie.

Rejwach się na te słowa podnosi.

– Doprawdy, monsieur!

– W świecie płażów chyba.

– Ej, Franca! Weź se zgrabną brytyjską kiełbasę w cieście na spróbunek!

– Olaboga – imć Knockwood szepcze, złowrogiego chrobotu krzesel na nowiu-sieńkich klepkach wyczekując.

Pod brzemieniem kubłów wody (Francuz ciągnie), naręcz drewnianych, worów mąki i masła osełek lata całe stękałem. Co *Maître* nie zadowalało, do jedzenia mi dawano – tak oto jadła przymioty i przywary na własnej skórze poznawałem. Po kolejnym roku ubijaczki tknąć mi pozwolono. Nikt uczyć mię czegokolwiek nie był skory, sam za swe nauki odpowiadałem. Rok za rokiem snu, a i często uśmiechu pozbawiony, tajniki *cuisine*¹ odkrywałem. Aż wreszcie, dnia pewnego, sam kucharza zyskałem miano. Wnet, koleją rzeczy, Paryż u mych stóp leżał.

Powiadam wam – biedny Paryż! O me *pâtés* szlacheckie domy w gwałtowne spory się wdawały, a sama królowa *blanquette de veau* komplementowała. Prędko w pychę zbyt obrosłem, by obaczyć, iż mistrzem im nie jestem, jeno zabawką nową. Nie-rozważnie moment pogodzenia się z prawdą odkładałem...

Pewnego dnia znany naówczas *déetective* złożył mi wizytę – Hervé du T. go wołajmy. Zastał mię przy sosu nad wyraz kunsztownego sporządzaniu, w chwili, w której wielkiego baczenia trzeba. Jegomość ów pojęcia nie miał, czym jego najście grozi. W kuchni jednym z najpożyteczniejszych talentów jest wyczucie, kiedy po *un accès de cuisinier*² sięgać. Zdarzało się w historii, iż stosowane nalezycie, oddziały zbrojne zatrzymało. Aliści pasja oczy mego gościa rozświetlająca wychodziła poza granice tego, co wcześniej hamować było mi dane. Boże, zlituj się nad mą duszą – wysłuchałem go zatem, zaintrygowany...

Tu wzrok Armanda na Masona i Dixona pada, którzy do cichego kąta jadalni ze śniadaniem swym dostać się próbują.

¹ Fr. kuchnia.

² Fr. dostęp do kucharza.

– Ha! Czyż to nie dziwne, właśnie w tej chwili wspomnieć ziomka waćpanów miałem, człowieka nauki także, znanego wam nawet może, nieśmiertelnego Jacques’a de Vaucansona¹.

Mason, spłoszony, uśmiecha się uprzejmie, a Dixon kapeluszu mnie przez chwilę, lecz twarz mu się prędko rozjaśnia.

– No tak, to wszak ów Francuz z mechaniczną kaczka.

– Niestety, w samej rzeczy, panowie. Inżynier to, który świat swym geniuszem oślepia i wzrusza, choć ledwie z racji kaczki do potomności przejdzie, parę bowiem tak nierozdzielnych tworzą, co... Mason i Dixon sami? Ha, ha. Człek przez Woltera Prometeuszem zwany, w pamięci pokoleń zapisze się jeno dzięki dobrego smaku granicy zmyślnemu przekroczeniu, gdyż automat swój w trawienie zaopatrzył, którego produkta wonne tym w przyrodzeniu znajdowanym jednakie.

– Paskudząca kaczka mechaniczna? A któż to doceni? – Imć Whitpot, perukę zdjąwszy, niczym ciasta kulę w irytacji ją ugniata. – Któż prócz wieśniaka kacze odchody rozpozna, choćby nie wiadomo jak akuratne były? Ba, kiedyż to jakowaś ze wsi się wywodząca osoba cudo to obaczy, skoro wszak jeno w *hôtels* paryskich na widok publiczny je wystawiano?

– Niektórzy – Francuz się jeży – kunszt wcześniej niespotykany raczej wskażą, który, by wszystko prawdziwym uczynić, przy automatu tworzeniu spożytkowano. Teżę takową wysunąć może by mogły bardziej uczone głowy, iż to właśnie ta finezja niepospolita, z jaką o detale zadbano, jakąwąś wartość krańcową przekraczając, przemianę, co w kaczce zaszła, możebną sprawiła – poza bramy krainy nieożywioności stworzenie owo posłała i odtąd po świecie nam danym ono podróżuje.

Wyjawić (Armand wątek podejmuje) to, czego się w czasie owej wizyty dowiedziałem, po dziś dzień zdradzie stanu równe, a wagą sprawę Żelaznej Maski² przewyższa. Królestwa, imperia nawet, chwiać się w swych podstawach w owej wiekopomnej chwili poczęły. Otóż jedna ze sług Vaucansona do *atelier* wszedłszy przypadkiem, kaczkę kilka stóp nad stołem krążącą i trzepoczącą skrzydłami zastała. Krzyżeć nie było potrzeby, lecz potrzebę znalazły obie. Sekret się wydał. W przeciągu godziny kaczka była daleko.

– Nie był to zatem twór monsieur Vaucansona?

– Ha, ha, cóż za uciészne stwierdzenie. Madame la marquise de Pompadour potwórzyć muszę, gdy następnym razem przy *déjeuner*³ się spotkamy – przednio się ubawi. Nie, nie, mój mądralo. Cóż się stało? Nikt, nawet sam inżynier wielki nie wie nic nadto, iż konstytucja automatu odmieniona nowym talentem fizjologicznym szczyć się miała.

Vaucanson, próżnością zaślepiony, rezolucję wziął płodzenie odtworzyć, tak jak to wcześniej z wydalaniem mu się powiodło.

– Któż to wie? Może to miłosnych narzędzi przydanie próg zawilości ptakowi pokonać pozwoliło, za którym eksplozja przemian go czekała, tudzież z sideł inercji się wyrwać ku mocy i samostanowieniu. Czyż nie jest to z bajki historia znana? Czy podobna, by, niczym śpiącą królową, mechaniczną kaczkę pocałunek *l’amour* do życia przywrócił?

– O la la – z kąta głos dochodzi.

¹ Jacques de Vaucanson (1709–1782), mechanik francuski, zbudował m.in. szereg automatów, w tym i ten wspomniany dalej w tekście.

² Tajemniczy francuski więzień stanu więziony w latach 1679–1702.

³ Fr. lunch.

- A niech mię – drugi dodaje – te żabojady, dzień czy noc, jedno w głowach mają.
- Dzikusy – galijska miniatura syczy.
- Błagam waćpana, proszę mówić dalej. – Frau Redzinger karcącym spojrzeniem sałę omiata.

- Dla pani, madame. – Czapką swą wywijając, grzecznie się skłania i do opowieści wraca...

Gość mój dość był już podeksycytowany.

- To jego *hubris* własna zawiniła. Kolejny to filozof szalony i stary, co nos swój w Boże wścibiał sprawy, aż wreszcie siły zawezwał, o jakich mu się nie śniło. Teraz kaczką zbiegiem, podle swej woli fruwa. W rzeczy samej, często w Akademii Nauk bawi, gdzie już wnioski wysunięto, iż im prędkość ptaka większa, tym go trudniej obaczyć, a gdy tysiąc *toises*¹ w minutę pokonuje, z oczu całkiem znika. Ledwie jeden to z talentów szeregu, jaki kaczką ostatnimi czasy posiadała i tym pilniejsze rychłe automatu odnalezienie, nim kuratelę nad nim doszczętnie utracimy. Stąd też prosba, której waść adresatem, o przysługi pewnej wyświadczenie.

- Lecz me przymioty... nie z tą dziedziną związane.

- Swą *canard*² *au pamplemousse flambé* wspomnij zatem, jak i ja nawet dziś przy zmysłach drżące czynię. Drugiej takiej w świecie oświeconym z świecą szukać. Lub *canard avec aubergines en casserole*... mmm... wyborna! Padam na kolana. A *fantaisie des canettes*, co się czasu nie ima... – I tak bez końca, w tym potrawy nadmienając, o których ja sam zapomniałem. Winienem był stać niewzruszony, lecz spiekłem raka. – Ach, owe kaczki stare... – wymamrotałem.

- Pojmujesz waść, gdy się w akta ministerialne zagląda, czy też, poniekąd, także innych *detectives* teki, pod nagłówkiem „kaczka” dwa nazwiska najczęściej stoją – Vaucansona i waćpana. Wciąż człek nań trafia. Przypadek? Ptaszysko, nie wiadomo jakim sposobem o owej powtarzalności się dowiedziawszy, najwyraźniej w przypadku nie wierzy. Odkąd osoba słynnego kucharza jest mu znana, we wszystkich kaczek imieniu – nie jeno tych, które sam waść sprawiłeś może – mścić się automat pragnie, zaś żądza zemsty nim targająca straszliwe osiągnęła rozmiary. Knuje coś stwór niechybnie, a cóż takiego, tego wiedzieć nie byłbyś raczej skory.

- Wszak brzmi to groźnie! Co, jeśli na głowę mu się rzuciło? Jeśli o zbrodnie mię obwinia, których dopuszczenia się świadom nie byłem?

- W samej rzeczy wytropić może waćpana, nieprawdaż? A swą monomanią opętany, baczność na tyle straci, by moi słudzy nareszcie pojmać go zdołali. Tak się mój koncept przedstawia, w każdym razie. Gdy umowa stanie, o należytą siebie obronę zadbać waść musisz. Przywdziej strój skórzany, jakiego nie przebiję, albo też, dla większego bezpieczeństwa, kolczugę. Dziób kaczki z najprzedniejszej szwedzkiej stali, czyż nie wspominałem? Tak, tak, gdy ptak w ludobójczym szale z olbrzymią chyżością leci, wszelkie fortyfikacje znane przebić jest w stanie. Mury lite parawanem papierowym dla tego Jagannath³... Serce strachem zdjęte być może, lecz przed *le Bec de la Mort*, Dziobem Śmierci, ucieczki nie ma.

- Czekaj, waść – wtrąciłem, urazić go nie pragnąc – niechaj powtórzę. Pragniesz się mną niczym jakowąś... przynętą posłużyć? Morderczego automatu odwet na mej osobie skupić? *Bon...* Za taką usługę na zapłatę drobną liczyć mogę od ręki?

¹ 1 toise równa się ok. dwóm metrom.

² Fr. kaczką.

³ Wcielenie Kriszny wg legendy przemienione przez Brahmę z wizerunku w żywego boga.

– Bez wątpienia. Naści, pistolet miarkujesz? Zapłata taka, iż nie palnę ci w głowę, waćpanie.

– Bez obrazy...

Przeraźliwy, głośny szum zza okna mię wyratował, jeśli rzecz tak przystoi. *Detective*, jęk wydawszy złękniony, szparko z kuchni wybiegł, w wielkiej bojaźni mię ostawiając. Równie nieskory podążyć za mym uzbrojonym kompanem byłem, co przybycia jeszcze groźniejszego gościa czekać. By się rozeznać, wyszedłem na taras. Hałas nad głową mi krążył, jakoby źródło jego – kaczką niechybnie – kolejny swój ruch rozważało.

Wtem ma przyszła Nemezis się ukazała! Ach! Uważałem, jak wprost ku mnie w dół sunąć poczyna – drapieźnik ptasi kuriozalnie powolny i mały. Dość miałem czasu, by ucieczką się salwować, lecz pospolitej ofierze niepodobny, nadal zapatrzonej na tarasie stałem, a tymczasem, prawidłom newtonowskim przecząc, cud metaliczny lot powoli zniżał, by wreszcie, nieopodał, bezdźwięcznie niemal na balustradzie złądować. Spojrzał na mnie z błyskiem w oku, dziób złowrogi rozchylił, zakwakał i przemówił. Wymowę miał dziwaczną, trącymi głoskami językowo-dziobowymi ciężko naznaczoną i ciecz jakowąś trawienną drobną mgiełką przy nich rozsiewał, którą to znościł mi z wiarą w jej nieszkodliwość przyszło.

– Kogóż tu mamy – rzekła kaczką, plwociną tryskając. – Kuchenny sinobrody, co po trupach mych krewniaków doszedł do sławy. Cóż to, czyżby śmiałość uleciała?

– Każdego dnia Francuzów tysiące kaczkę życia pozbawia, przyrządza i zjada. Czemuż akurat mię wybierać?

– Kogóż najślynniejsza kaczką Francji może mieć za wroga, jeśli nie najślynniejszego kucharza?

Czy monsieur du T. niemal tymi samymi słowami owych dwu *dossier* nie określił? Czy kaczką dostęp do nich uzyskała? Jak?

– Nie jestem ci wrogiem – zaoponowałem. – Mógłbym być nawet przyjacielem.

– Przynajmniej póki na półmisku mię sprezentować nie zapragniesz, ha? Dobrze radzę, mechanizmy rozległe posiadam. Piórko jedno tknąć starczy, a siły ciała niemiłe wyzwolą. Rad byłbyś podjąć próbę? Ha? Proszę, droga wolna, dość palcem musnąć.

– Bądź pewna, iż żadnemu z twych piór wspaniałych nic w mej przytomności nie grozi. – Zaskoczyła mię w mym głosie szarmancka nuta. – A dodać muszę, iż upierzeniem przewyższasz...

– *Attend, flatteur*¹. Jeden jest sposób, by się przed gniewem mym uchronić, a mianowicie drobną przysługę mi wyświadczając. Mam ci ja prośbę do Vaucansona, a czas płynie.

– Dlaczegoż sama nie złożysz mu wizyty?

– Czystych zamiarów wobec mię on nie ma – z jakich miar, rzecz nie umiem. Doszły mię słuchy, iż palestranta najął, a w mym mniemaniu pewna to nienawiści oznaka.

– Może zatem winnaś pójść w jego ślady.

– Przedstawiasz sobie – kaczką skrzydła rozłożyła, jakoby do oględzin zachęcając – iż wejść, bilet mój przedłożę i powiem: „Witam waćpana, otóż człek, który mię stworzył, nieco kłopotów mi przysparza”. Nie sądzę. I tak możebność wygranej niewielka. Niechybnie by mię jako jakowąś pokrakę sprezentował, dzięki owemu sławetnemu mechanizmowi wewnętrznemu na wieki wieków z ziemią połączoną, lecz z niczym co *l'amour* równie ulotnym... Trzymałby wszem i wobec, iż nieba mi przychyła, nie wzięwszy pod rozwagę, iż może za czymś nieposiadany nigdy tęsknić nie mogę.

¹ Fr. czekaj, pochlebco.

- (– Święte słowa! – Mason łyżeczką od powideł o swój kubek z kawą dzwoni. Dixon na kompana zerka. – Masonie, czyś już rozum postradał? Kucharz ku nim spogląda. – To właśnie rzekła, messieurs. Ciekawość wzięła wówczas u mnie nad zdrowym rozsądkiem górę...)
- Zatem – kaczkę spytałem – to dlatego fruwać i co tam jeszcze nagle jest ci dane?
 - Z pewnością takie mam odczucie. Atoli, co się owej „miłości” tyczy, nadal nie znam nawet jej oznak domniemanych.
 - Czy brak tedy innych... kaczek... podobnej... to jest...
 - W tym rzecz – odparła, w ekscytacji stroząc pióra. – Kurki z wież zegarowych Strasburga i Lyonu pomijając, ileż mi jeszcze mechanicznych ptaków pozostaje? Poza, *bien entendu*¹, Nieszczęsnym Bliźniakiem.
 - Pardon, kim?
 - Mym duplikatem. Drugą kaczką, przez Vaucansona na podorędziu zawsze trzymaną, gotową, by ku światłom rampy poczłapać i Kaczki Vaucansona objąć rolę, którą to świat miał poznać, gdyby nie powiódł się eksperyment na mnie przeprowadzony. Nasze ścieżki często się w *atelier* krzyżowały, a po prawdzie, w myślach filozoficznych nie dość głęboko byłyśmy pogrążone, by, cóż, kielkującemu oczarowaniu zaradzić. Tę oto właśnie sprawę w twe ręce powierzam. Idź do Vaucansona i uproś go w mym imieniu, by jeden wieczór z ową kaczką spędzić mi zezwolił. Mam ci ja bilety operowe, „Margeritha e Don Aldo” Galuppiego grają. Moglibyśmy też cosik w *L’Apeau*² przekąsić, stolik tam posiadam, o *insectes d’etang à l’etouffée*³ Jean-Luca niechybnie słyszałeś.
 - Czekaj no, ta kaczką druga... Kaczka to czy kaczor właściwie? A ty, jaką płęć ci przydano?
 - *Moi*? Tak się składa, iż do płci nadobnej należę, a duplikat mój do żadnej, mechanizmów pewnych pozbawiony – lub też, jeśli wolisz, do obu. Czy coś jeszcze cię gryzie?
 - Żałuję, lecz zatrudnienie, jakie wynalazłaś dla mnie, kręgów erotyki sięga, a z dziedziną tą, niestety, nie jestem obeznany...
 - Mile to widziana wśród Francuzów odmiana. Atoli, bezustannym przemianom ulegając, równie trudno mi pośląca co miłość znaleźć.
 - Czemuż twórca twój zgodę miałby wyrazić? Jeśli jest ci wrogiem, zapłaty zażądać może, na ten przykład, byś do *atelier* wróciła.
 - Twą powinnością z takimi błahostkami się zmierzyć. By czleka, co na straży czci sopranistki młodej stoi, w pole wywieść, w operze włoskiej zawsze się fortel trafi.
 - Skrzydłami kaczką zatrzepotała, w powietrze się uniosła i kilka taktów „*Cálmati, mio Don Aldo irascibile*”⁴ nucąc, prędkości nabrawszy, z oczu mi znikła.
 - Wszak to tragedia francuska! – zawołałem. Czy świata erotyki poznanie tak ptakiem wstrząsnęło, iż wariacji się od tego nabawił? Czy tak się rzeczy miały? *Merde!* Kucharzem byłem, nie mechanicznych kaczek swatem!
 - Niemniej pewne starania czynić począłem, ni co mię czeka, ni jak Vaucansona podejść nie wiedząc. Tak oto dołączyłem do mało znanego grona tych, co się automatofilami wołają. Jak się prędko okazało, kaczkę tajemnicza metamorfoza w rozmowach dworaków nad wyraz często była wspominana. Madame la marquise de Pom-

¹ Fr. oczywiście.

² Fr. wabik, wabiec, krykucha – terminy myśliwskie.

³ Fr. owady ze stawu na parze.

⁴ Wł. „Uspokój się, mój Don Aldo popędliwy”.

padour osobliwie, jak już Hervé du T. mi podszeptnął, kwestia ta żywo obchodziła. Roiło się od szpiegów. Część z nich owa groźna dama, uczonymi i janseistami otoczona, najęła, inni zaś tym służyli, których zamysły mniej lub bardziej z każdym automatem latającym byłyby powiązane – jezuitom, rzecz jasna, wojskowym pruskim, Brytyjczykom czy dynastiom burbońskiej i orleańskiej, do tego przygód szukający Korsykanie i francuscy iluminaci – *grand mélange* pobudek wszelakich... Jako iż nikt nie był tym, za kogo się podawał – lub też, w dużej mierze uroczo, tą, za którą się podawała – nikt prawdy nie mówił ani się nie spodziewał. Dnie równie niewiernością i obmową były naznaczone, co noce długie pijaństwem i dzikimi harcami. Powozy stangretów nie słuchały, kolczyki gubiono i znajdowano, na popasach nieprzewidywanych *chablis* z opiatami pijano, niewidzialnych śpiewaków ulicznych głosy echem się wśród ścian nosły, melancholia miasta o słońca zachodzie... Coraz głębiej, jakoby w sen niespokojny i lękiem przepelniony zapadając, aż znów w wieczorze człek się odnajdywał, jak i w wieczoru rojeniu pierwszym...

Próby dotarcia do Vaucansona bez reperkusji się nie obyły. Zaproszenia ślać mi przestano. By uniknąć ze mną spotkania, na drugą stronę ulicy przechodzone. W sąsiedztwie mego domu nieznanymi mężczyźni pod murami wystawali, jakoby czyichś rozkazów czekając. Sporo czasu w Soupçon de Trop spędzałem, *repaire* miejscowym dla wszelkiej rangi kuchennych posługaczy, w ich sile choć na chwilę bezpieczny, przynajmniej od wrogów człowieczych z dala. Niestety, wkrótce przez kaczkę wytropiony zostałem, a pojęła była w międzyczasie, iż w przód i w tył żywo się odchylając, równie niewidzialna co w locie stać się potrafi. Ptak nachodzić mię począł – mych kompanów pierwiej te wizyty bawiły, później rozsierdzały. Z kolejną porcją reprimend stwór się znikąd zjawiał, przez szum przykry zawsze anonowany.

Jeno ową nocną porą, gdy zamroczenie górę brało, by po ripostę sięgnąć, na odwagę się zbierałem.

– Z jakiej racji mię prześladujesz? Vaucansona leć szukać sama. Groźny jest, wiem, lecz, na Boga, obaczyć cię nie sposób, szybszaś od wszystkiego na ziemi i przenikasz mury. Równego sobie znajdziesz w nim przeciwnika.

Świadom byłem, jak beczelnie me namowy brzmiały, aliści tak nisko upadłem, każdego poranka smak wstydu na nowo poznając, iż tego, czy coś mej godności uwłacza, ostatnimi czasy często wcale nie roztrząsałem. Za każdym razem, gdym jej przeskody wymieniać począł – intrygi, ataki, matactwa, które powinności spełnienie opóźniały – plwociną w świetle świec tęczową tryskając, zbywała mię:

– Trudności? Nie grają roli. Życie zawsze trudnościami najeżone.

Co automatowi o życiu wiadome, spytałbym niegdyś – teraz jeno milczałem, nieświadomie przyjmując, jak się później dowiedziałem, hinduską *asana* – pozę – lotosem zwaną. Kiedyż to kaczka mię opuszczała, któż to prócz czasomierza wiedział? Atoli czas zyskał był właściwości nowe.

Z wizytami ptasimi inne się zbiegło zjawisko. W tajemniczy sposób ktoś opiekę nade mną roztoczył – strażnik był to potężny, choć niewidzialny. Łotrzyków, co na ulicy drogę mi zaszkli, wnet coś z taką mocą po żołądkach zdzieliło, iż kilka *toises* dalej na bruku wylądowali, kuląc się i słów pacierza w głowach szukając. Beczułka wina, co sama z siebie wprost na mą głowę z górnego okna wypadła, tor swego lotu znienacka zmieniła, po czym, krzywdy mi żadnej nie czyniąc, rozpękła się, trotuar wkoło szkarłatem znacząc. Gdy się na drodze powozu, którego konie poniosły, znalazłem, nad głowę i kapelusze prędko gromadzącej się gawiedzi bezzwłocznie mię za kołnierz chwyciono, by ku miejscu bezpiecznemu unieść. Jeno automatowi tak nadprzyrodzoną ochronę przypisywać mogłem, lecz dopiero poniewczasie czułą ingrediencję zmiarko-

wałem, jak się w niej kryła. Wkrótce kaczką sama serce przede mną otworzyła, wolną rękę mi dając, lecz, wstyd przyznać, rzecz nic wówczas nie byłam w stanie. Uciekłem w deliberacje szalone – jeśli aniołowie wyżej od człowieka stoją, może ptak ów takowej uległ przemianie, iż anioła stróża ekwiwalentem stał się kaczym i jako taki mię jeno chroni... Albo kaczątka weźmy – gdy matki nie staje, za kimkolwiek pójdą, kto się napatoczy. Podobnie automat, od niedawna swego losu świadom, do tego się człeka przywiązał, który jako pierwszy był skory, miast umknąć w popłochu, w miejscu pozostać i pogwarzyć, a uczucie to miłością obwołał. A może w operze włoskiej koncept to podpatrzony, gdzie posłaniec, na usługach sopranistki będący, nierządkiem w jej ramiona w finale trafia? Takie i inne rozważania ku groźnej ekscytacji mię pchały, lecz, by w „miłosnych przydawkach” Vaucansona przyczyny się dopatrywać, nigdy mi przez myśl nie przeszło. Moi druhowie wszystko rzecz jasną widzieli.

– Oj, Armandzie, Armandzie, swej sławie koniec położyłeś. Wrogów narobiłeś wśród możliwych u dworu...

– Nawet pomywaczem na najędźniejszym w Paryżu już być nie możesz.

– *Woiłà*, a on sobie siedzi, w świecie nadprzyrodzonym zagubiony. Miasto to już nie dla ciebie, przyjacielu, do Chin, do Pensylwanii wynieść się winieneś!

Wszystkim Chiny znane, lecz przedstawcie sobie – po raz pierwszy wówczas o Pensylwanii usłyszałem. Miejsce to w Ameryce, jak się okazało, gdzie wszelakie odmienne wyznania nie tylko szanowano, lecz z którymi się wręcz obnoszono – gdzie

*Metodyści kwaków nie przejmują trwogą,
Mijać unitarianie szwenckfeldian¹ mogą,*

i tak dalej, jak wielki Tox rzecze. Każdy miał dostęp do cudów zapewniony. Dni kolejnych parę miło spędziłem, opowieści o niewiastach dzikich wysłuchując, ziemiach żyznych, warzywach ogromnych, puszczy bezkresnej, stadach bizonów Paryżowi wielkością równych czy mokradłach, w których się od skorupiaków roi. Coraz częściej nad tym dumałem, czy gdzieś tam na rubieżach amerykańskich spokój ducha i schronienie bezpieczne odnaleźć byloby mi dane. Do grona mych licznych prześladowców, którym zejść z oczu byłem skory, także się nieszczęsna kaczką zaliczała. Strapienia dnia powszedniego uczucie jej potęgowały. W owym czasie, gdy wszak imać się każdej roboty musiałem, nawet tych kilku godzin poza domem spędzanych mi żalowała, jakie mi na jakowegoś parweniusza strawy warzeniu schodziły, gdzie byle błąd głową przyplącić mogłem. Zazdrość nią owładnęła. Podejrzewała, iż towarzysztwa innej kaczki szukam. Groziła:

– Niestety, mój biedny Armandzie, my, kaczki, wierność do grobowej deski przysięgamy.

– Sama nadmieniłaś, iż jeno jedna tobie podobna jeszcze po świecie chodzi.

– Tak, mój sobowtór dziewiczy – gdzieś na półce, w jednym z rozlicznych Vaucansona tajnych warsztatów... A przy okazji, czyś bliższy swej obietnicy spełnienia? Czekać no, niechaj zgadnę – kolejna na drodze kloda? Kolejny bilet przepadł? Czy też poważniejsza przyczyna, taka jak to, iż mój duplikat przywłaszczyć pragniesz? Ha? Patrzącie, to drżenie, te poty. Przyznaj się, zdrajco.

Nikogo już nie widywałem. W Soupçon pokazać się było nie sposób. Kaczką dzień i noc na krok mię nie odstępowała. Poczęła mię budzić, by jakąś dawną wadę

¹ Zwolennicy Schwenckfelda von Ossiga, teologa, który popadł w konflikt z Lutrem; wypędzeni z Europy w 1721 roku.

ubioru wypomnieć, dobór kompanów, a w końcu, czego znieść nie mogłem, me kucharskie talenta. O trzeciej nad ranem spieraliśmy się o *quiche* buraczany... Wierzyła, iż bycie niejadalną przewagą nade mną jej daje – ona nieśmiertelna, przez człowieka stworzona, ja ochłap z przyrodzenia zrodzony. Iż jej metamorfoza ku wyższym ją celom powiedzie i to wkrótce – taką jeno nadzieję miałem. Tymczasem życie w Paryżu pasmem udręki mi było. W sekrecie rezolucję powziąłem do Ameryki się udać.

Czując się niczym z bajki młodzian, co wszystkie prócz jednego życzenia zużył, ostatni list posłałem, wstrzymałem oddech i fortuna się do mnie uśmiechnęła. Dzięki musowi z mózdzku schłodzonego, którym to wynalazkiem pokój w Aix-la-Chapelle¹ uświetniłem, na Martynikę popłynąć mogłem, a stamtąd, niezliczone miesiące w podróży spędziwszy, ze wszystkiego, od pirogi po statek korsarski korzystając, wreszcie w New Castle delawarskim na suchym lądzie stanąłem. Noc była bezsiedziowa, a jak mi powiedziano, gdy kto tam po zmroku zawijał, mieszkańcy go nie witali, Francuzów i kaprów hiszpańskich się lękając...

– A masz tu, nędzny żabojadzie!

To imć Dimdown ze szpada w dłoni. Wśród kompanii jęk chóralny się rozlega. Francuz swego *hachoir*² dobywa i brew unosi.

38

Ustalone później zostanie, iż imć Dimdown – do tej pory nieobeznany z dłuższym uwięzieniem nad skrywanie się w ziemiance z tartoflami, póki szeryf nie odjechał – od trzech dni nieprzerwanie pił był wszelkie trunki, jakie mu w ręce wpadły, usiłując, jak klarował, „czas zmusić, by inaczej mijał, ot co”.

Imć Knockwood zsa szynkwasu wychodzi, a małżonka jego, w pęku kluczy gmerając, do szafy z porcelaną po fuzję się wybiera.

– A co więcęj – Dimdown w furii powiada – jak śmiesz do jakiegokolwiek Ameryki znajomości pretensje rościć, bajdurząca świnię, na brzeg nasz po kryjomu się dostawszy, na brzuchu czołgając! – etc.

– Starczy tego dobrego. Pokój, panowie – gospodarz jak najwolniej rzecze, wciąż na to baczenie mając, czy już się małżonka z lejkiem, rożkami prochowymi i kulą uporała. – Panie Dimdown, niech waść mego kucharza szanuje, na jego stratę mię nie stać. A ty, Francuzie...

– Parszywy psie, *dit adieu!*

Imć Dimdown morderczo się zamierza wprost w mistrza patelni serce bezbronne. Wnet, od celu ledwie parę cali będąc, szpada bez żadnej widocznej przyczyny dłoń swego właściciela opuszcza i przez pokój leniwie – rzec by można, bezczelnie – po łuku sunie, aż wreszcie w środek paleniska rozjarzonych polan, gdzie nikt jej tknąć nie może, pada.

– Magnetyzm to czy co – imć Dimdown się burzy. – Do tego potknąłem się... lub ktoś z zamysłem nogę mi podciął. Patrzącie jeno, jakże mam teraz broń swą wydobyć? Spiekota stał spaskudzi. A niech cię, monsieur.

– Oto – Francuz głos zabiera, czapkę swą żywo obracając – sławetnej kaczkę robotę. Samiście widzieli, na świadków was biorę. Odkąd z Paryża lat temu parę wyje-

¹ W 1748 roku pokój w Akwizgranie zakończył wojnę o sukcesję austriacką.

² Fr. tasak.

chałem, coraz to dłuższe odległości przemierzać się uczyła, aż razu jednego sam przestwór oceanu straszny jej nie był i *voilà!* Zbudziwszy się, w nogach mego łóżka ją ujrzałem, niczym mleczareczkę wesoło kwaczącą – tak, nawet do Nowego Świata za mną podążyła. Czy miłość nią kierowała, czy nienawiść, kto orzec zdoła – lecz pasja niechybnie. Znów jestem osaczony. Ona zaś, najmocniejszą w przyrodzeniu powoli się stając, wciąż po swej dziwnej orbicie ze znanego nam świata umyka.

Podobna przemowa Petera Redzingera Luizie już nieco przypomina, niemniej dłoń swą na ramieniu kucharza bez zastanowienia kładzie. Dłoń to od paryskiej rączki większa, spracowana, nagniotkami usiana, z igłą zwinna, opalona, co w tysiącu miejsc zacięła się niegdyś i zagoiła, a włosy upychać nawykła. Uważacz bliski, gdyby był taki, obaczyłby może, iż ów gest drobny Francuza do drżenia pobudził.

– Ach, monsieur. Anioł to, *nicht wahr?*

– Być może, madame, to jeno cena, jaką za opuszczenie Francji zapłacić mi przyszło. Atoli z kraju pochodząc, w którym każdej nocy ludzie mrą z głodu, jedno przyznać muszę. Jeśli kaczkki nieodgadnione zabiegi mam ścierpieć w zamian za urodzaj tutejszy, wówczas interes to przedni. W New Castle czy Filadelfii, w dni targowe, serce mi rośnie. Śnię na jawie... Czy kiedykolwiek pragnęłaś waćpani przyrządzić wszystko – pomidory, brzoskwinie, zółwie, karmazyny, kukurydzę, dziczyznę, kraby! Mięso bobrze! Niedźwiedzie! Bobra *bourguignon* stworzyć, kto wie, *soufflé* z bobra nawet, *non?* – Rękoma wymachuje, poruszony.

– Cóż, jak bobra przyrządzić, Indianom bez pochyby wiadome – Luiza powiada.

– Jakoweś gruczoły wyciąć należy i sporo tłuszczu odkroić, lecz ugotowany jak przystoi? Ach, smakiem niczemu z kuchni niemieckiej nie ustępuje, czy to pospolitej, czy świątecznej potrawie.

– A zatem – Armand się w nią wpatruje – to jest, kosztowałaś waćpani...

Gdy tak siedzieć będą dni długie, od świata zaspami odcięci, niewiasta w swej pobożności nieprzejednana, kucharz na wygnaniu i zakochana kaczka trójkąt miłosny utworzą. O dziwo, mimo posiadanych złowrogich mocy, ptak żadnej szkody Luizie nie czyni, a w rzeczy samej pieczę teraz i nad nią sprawuje – jakoby na własne oczy „miłości” obaczenia sposobność wężąc, gdy niewidzialną pozostaje. Czy ich uważa, Armand i Luiza nie wiedzą nigdy, co na drodze ku cielesnemu obcowaniu kolejną jest im przeszkodą.

– Dobrze to przyjęła, nieprawdaż?

– Czy ja wiem, Armandzie. Iż wszystko mi wyjawiałeś, jesteś pewny?

– Najdroższa! Jak możesz choćby...

– Zdaje się znać cię... tak dobrze.

Po prawdzie niewiele czasu było trzeba, by w kaczce jeszcze większe wątpliwości się zrodziły co do tego, czy zatrudnienia erotyczne podjąć sobie życzy. Tymczasem coraz mniej przewidzieć można, co towarzystwu w śnieżnej bieli uwięzionemu przyjdzie do głowy.

– A nade mną, wśród obłoków – imć Haligast relację zdaje – próżnia o kształcie elipsy w niebie się otworzyła, w niej zaś słowa się ukazały pierzaste – „precz z królem”...

– Za wzruszającą opowieść pięknie dziękujemy – nieodmiennie złośliwy imć Whitpot ucina.

Urok wyroczeni, jaki to wokół siebie sędziwy szlachcic roztacza, dla niego pierwszego moc swą z wolna traci. Za oknami wciąż śnieg jeno i chmury śniegowe, których ciemne błękity nadziei nie dają. Gdy tak dni jednakie mijają, każdy czuje, iż goto-

wość rozbuchanych namiętności wybuchu, choćby bez zaczepki, groźnie w nich wzbiera. Nawet młody Cherrycoke sam z sobą się zмага. Przy stole, miejscowych stolarzy holenderskich roboty, z twarzą zaróżowioną i pojaśniałą w kajecie pisze. Przed nim, za rombowymi szybkami, w mokrej ciszy śnieg pada, a spod jego pióra deliberacje coraz to krwawsze wychodzą, sakramentu eucharystii i praktyk ludożerczych tyżące. Zamierzał był atoli, z niewinnością uczoną, jeno przemyślenia swe wyłożyć co do wczesnego eseju Brooka Taylora¹ (szeregu i twierdzenia eponimu) „O krwi spożywania przystojności”.

Imć Knockwood, z górnego okna zmiarkowawszy, iż zaspasy niemal parapetów sięgają, dostępem powietrza do niższych pokoi strapiiony, czym prędzej astronomów znaleźć i zapytać bieży. A co ze światłem się stało? Czy kto o śniegowych zaćmieniach słyszał? W spizarce Armand z Luizą się ściskają, w zalotach swych młodzież filadelfijską w tyle ostawiając (aliści, możebne, iż to jeno człowiecze gadanie we dni, gdy z plotkami krucho, albowiem pospolicie bezsporną niewinność pary się szanuje), z kolei Mitzi, w brązowoszarym świetle dnia, na podwórzu, ze stajennymi i pomywaczami się wałęsa, włosami powiewając, oczyma błyskając, wdając się w rozmowy, które następnie przedłużyć się stara, co osiągnąć tym pragnie, zbyt dobrze nie wiedząc. Wśród lasów pełnych Indian morderczych wyrósłszy, skór nagich malowanych i ostrych noży, inaczej niebezpieczeństwo czuje niżli te pocziwe, estuaryjne dusze, rybami karmione, kotom domowym podobne. Może tak naprawdę życzy sobie jak najdłużej nie wiedzieć dokładnie, co jej ze strony owych młodych, angielskich rybaków grozi. Z początku każdy śniegu opad nowy dreszczem ją przejmował, kolejny dzień zwłoki oznaczając z adonisami miejscowymi spędzany, czy też gapowatymi nicponiami, jak ich Armand woła, coraz częściej głową rodziny się czując. Aliści ostatnio zima raczej nadzieje Mitzi dusi, niżli wznieca. Za jakowąś robotą domową rozglądać się dziewczyna poczyna i u Francuza w kuchni się stawia – nadal przy każdej z nim rozmowie raczki piekąc – ten zaś z radością odkrywa, iż Luiza przynajmniej rudymentów ją nauczyla. Wkrótce sałaty przyrządzać jej zezwala i w pomniejsze arkany francuskiej *haute cuisine* wtajemnicza. Z kunsztów trucicielskich się owa sztuka wywodzi, a kucharz w niesłabnącej pogardzie mieć winien każdego, kto żuje, łyka, strawić usiłuje i o repetę prosi. Co więcej, ze słynnego opisu pióra Le Gastreau, co w *Encyclopédie* stoi, pierwsze tysiąc ustawień pokrywek garnków Mitzi poznaje. Konik to Armanda, w rzeczy samej, gdyż właściwe pokrywadła ułożenie nieraz o powodzeniu całości przesądza. – Zdjęte, nałożone, w zupełności nałożone, lekko uchylone... Rogale rozmiarów różnorakich, a każdy do czego innego zdatny. Trzeba się nauczyć tak na garnek z góry spoglądać, jakoby Miesiącem był z jego fazami, atoli, co Wolter rzekł o gas- i astronomach, pamiętając.

Wielebny przygląda się zaciekawiony. Francuzem jest doprawdy oczarowany. O wieczery Pańskiej krytycznie się ostatnio rozpisując, więcej uwagi posiłkom i ich przyrządzaniu poświęca. „Mniemałem, iż za sobą ostawiłem – pisze – pytania tej kwestii tyżące, czy ciało i krew Chrystusa chlebowi i winu eucharystii jednakie lub czy jedno się w drugie przemienia. Za Haimo z Halberstadt² i innymi doktorami Kościoła raczej trzymałem, iż łaski pańskiej przejawem kształtów pożywienia wybranie, albowiem widok człowieczych szczątków wstrętem by nas napawał, nie wspominając o świadomości, iż spożyć je mamy. Z tych miar do bożych przymiotów

¹ Matematyk (1685–1731), esej z roku 1719.

² Biskup żyjący w IX w.

kulinaryny dołączyć musimy, jako iż tak zgrabnie ohydę zakamuflować potrafi. Pytanie, na które odpowiedzi znaleźć nie umiem, to czy krew i ciało prawdziwe same w sobie symbolem czegoś nie są – albo jakowegoś mistycznego ciała Chrystusowego, co wszystkich do komunii przystępujących, niechybnie mistycznie, jednoczy, albo, o zgrozo, wręcz przeciwnie... jakowejś cielesności krańcowej, jakiegoś sposobu na przynależenie w końcu do tego przeklętego świata, którego wyprzec się niepodobna. Podczas mych wojaży, co teraz przyznaję, wierzyłem, iż tego właśnie szukam dla siebie, w mrocznej niewinności niemal uduszony, której następne pokolenia w pełni już sobie nie przedstawią może.

Odkąd owe dni nadziei młodych, świtów złudnych, pewności niezwyklej przemięły, byłem ci ja w innych zakątkach Ziemskiego Miasta, gdzie na targach wioskowych, wśród much i brudu ulicznego, ze zwierzęcymi ochłapami społem powieszzone, widziałem i wahałem mięso człowiecze, kupca czekające... Wierzą w Ameryce niektórzy Indianie, iż pokonanych w bitwie spożywanie, ich krwi picie osobliwie, „cnoty”, jakby je może teolodzy zwali, z dawnego wroga na zwycięzcę przynosi. Tajemne to antagonistów zespolenie, którego nikt, do kogo się zwracałem, wyjaśnić mi nie zdołał. Rzecz by się dało, iż dzicy, co wrogami się jawią, po prawdzie nad wyraz są jakoś ze sobą złączeni, jakoby w przymierzu we krwi, a wojna im zatem za sakrament służy. Roztropnym przeto będzie ich ścieżki wojenne mieć za święte, a przekroczenie ich za występki, którego wagi nam, do sporów o ścieżki w Anglii nawykłych, przedstawić sobie nie sposób. Musimy swe zapatrywania na świętość zmienić lub z tymi ludami się pogodzić, a im prędzej, tym lepiej”.

Po napaści na Armanda czas jakiś imć Dimdown, pukanie do drzwi słysząc, otwiera i Mitzi Redzinger za nimi zastaje, która szpadę jego za temblak ostrożnie trzyma.

– Wyczyściłam, jak umiałam najlepiej – mamrocze dziewczyna, wzroku jego unikając. – Krztyna sadzy, nic gorszego. A i naostrzyłam ją dla waćpana.

– Naostrzyłaś?

– Armand mię nauczył.

Weszła do pokoju tymczasem i drzwi za sobą zamknęła, a teraz stoi, przyglądając mu się zdumiona, jak bardzo za dnia fanfaronada jego zszargana.

– Nikt jej prócz mnie nie ostrzy. Toż to prawdziwa stal damasceńska, na Boga. Dawaj no, obaczmy szkody. – Po błyszczącej na nowo klingi oględzinach, co stanowczo zbyt wiele czasu zabierają, misterne wypady i pchnięcia w powietrzu prezentować poczyną, a każdą nogę posobnie ku panie obraca do wglądu po parę razy, mankiety i plastron nieprzerwanie przy tym poprawiając. – Hm, najwyraźniej co nieco ci o ostrzach wiadome... – Na świecznik się zamierza. – Nieco wolniejszą się zdaje. Zwinniejsza była. Czy sprawy sądowe tu owocne? Tak, jeśli wiosna kiedyś nadejdzie, chyba Knockwooda pozwę... Przebóg, *Fräulein*, twój czepek... Cóż wyczyniasz najlepszego?

Gąska. Wstążki czepka rozwiązuje, zdejmuje go powoli i włosy rozpuszcza, główką potrząsając – wić się dla Dimdowna mają, a tak przy tym staje, by światło zimowe, co przez szyby się wlewa, pukle łąpały. Galant iskrzącymi falami tak jest zauroczony, iż w głębokiej zadumie gubić się zupełnie zdaje, niczym marzyciel w morze wpatrzony. Za oknami śnieg znów prószy, wkrótce noc zapadnie. Mitzi przypomina sobie ligi zasp od domu ją dzielące, ciemniejące w mroku, miasto, w które nie wierzy do końca, a które nań czeka, ojca wyjazd i zmartwychwstanie, matki widoczną przemianę, a w końcu i własną, niepojętą jeszcze, ni ogarnąć się dającą – piersi, biodra, rumieńce, z rzadka i omdlenia, coraz większe baczenie na młodzieńców występ-

ki i przywary. – Stwórca dba o nas – matka jej niegdyś rzekła – mądrość nam zsyła, nawet gdy się zdaje, iż mężczyznom jej brakuje. Aż do Filadelfii jechać nie będziesz musiała. Nie dalej niżli do miasta, w dzień targowy.

Za swą napaść na Francuza Dimdown przepraszać poczyna.

– Postąpiłem niegodnie. Wiem, iż jest waćpanny przyjacielem. Żałuję, iż sposobu nie ma, by...

– Powiedz mu waść po prostu. Czy tego zwyczaju nie znacie?

– Kuchni próg przekroczyć? Waćpanna jego armaturę widziała – te noże, te tasaki? Przebóg, *Fräulein*, matka ma głupców nie chowała.

– Ach, gdybyś znał Armanda – śmieje się wesoło.

– Dla jego narzędzi naostrzonych i spiczastych celem się stałem. Nic naszych stonków nie odmieni.

– Wszak nikt nigdy Armanda tnącego cokolwiek nie widział. Dlatego właśnie mię tego uczy – bym robiła to, czego sam znieść już nie potrafi. Może to matki mej sprawka, iż wszelkiego gwałtu w kuchni się wyrzekł – nie tylko wobec mię, lecz i jaryzyn także, albowiem z równym trudem posiekać mu cebulę teraz przychodzi, co rzepę pokroić czy nawet pieczarkę oskrobać.

– Chyba zdradzać mi tego nie powinnaś. Człowiek swej reputacji potrzebuje.

– Jako szermierz wytrawny z pewnością byś bezbronnego nie tknął, nieprawdaż?

Twarz mu puchnie i różowieje. Znane to dziewczynie oznaki – niejednen młodzian się z niej wyśmiewał. Za siebie sięga, kłamki macając, lecz drzwi, o dziwo, daleko – niemal na środku pokoju stoi.

– Czy nic waści nie dolega?

– Na imię mi Filip – Dimdown mamrocze, szpadę na powrót w pochwę wsuwając.

– Skoroś mi się waćpanna zwierzyła, to i ja przyznać mogę, iż nigdy, cóż, to jest, jeszcze nigdy... jeszcze nigdy zobowiązany nie był, by...

– Ach, wszak miarkuję, iż waść nigdy się nie pojedynkowałś. – Kilka kosmyków odgarnia, które iskierki w jej oczach przesłaniać by mogły, urok niweczając.

– Hańba! Gardzić mną musisz.

Mitzi ramionami wzrusza, jeno odrobinę, by jako przejaw życzliwości mógł to odczytać, jeśli pragnąłby tego.

– Dość nam było walki tam, gdzie mieszkamy. Nie jest to dla mnie jakoweś *novum*, które pannę z Filadelfii ekscytować może. – Pukle, co przed prawe ramię opadły, na kark powoli odpycha, od czasu do czasu główką potrząsając.

Dimdown na jej zabiegi nie zważa, roztrzęsiony.

– Czy jeno ty zmiarkować to umiesz, czy też wszystkim wiadome, iż nigdy twarzą w twarz z przeciwnikiem nie stanąłem? Czy na czole mam to wypisane?

– Opamiętajże się, Filipie. Nie pisnę słówka.

Gospodarz niepostrzeżenie wchodzi.

– Matka panienkę szuka. – Brwi na ich widok wznosi.

– To ci ambaras – kawaler szepcze.

– Imć Dimdown pragnie monsieur Allègre przeprosić – Mitzi pospiesznie wyjawia. – Czyż nie, waćpanie?

– Ehm, to jest...

– Doskonale, zajmę się tym – Knockwood powiada i znika.

– Swe życie w waćpanny ręce oddaję – Filip Dimdown rzece. – Nikt inny nie jest tym, kim się zdaje. Dłaczegóż ty sobą być byś miała?

Dopiero teraz Mitzi liczko płoni, albowiem komplement to jej pierwszy, a i hulajski. Kawaler wnet się jej znacznie mądrzejszym jawi, jeśli nie starszym.

I już cisza popołudniowa między posiłkami przerwana zostaje, a pokój zawarty. Dwaj mężczyźni w drzwiach kuchni dłonie sobie podają i niczym dwie kawki na dachu gawędzić poczynają. Luiza z tacą holenderskich całusków ich mija, do dowcipnych docinków skłaniając, z których większością godnie sobie radzi.

- Bodaj mię dunder świsnął, monsieur, za ten rozum kulawy. Jakże bym mógł największego kucharza kolonii szpadą potraktować.

- Lecz gdy waść klingą ruszasz, ile w tym gracji, *que professionnel*.

- Do znakomitego Figga¹ mi daleko, z żalem przyznaje. W rzeczy samej, nigdy bliższy pojedynkowi nie byłem, niżli lekcje w Nowym Jorku biorąc, w przybytku niejakiego profesora Tisonnier.

- Wszak znam go, we Francji go znałem! *Oui*, razu pewnego, mej wątroby wie-przowej duszonej z oberżynami skosztowawszy, rzekł, iż mię parady świętego Jerzego nauczy, jeśli mu tylko przepis zdradzę.

- Zgadza się, znany był z niego, jak i z wiszącej primy. Pokazałbym ci ją, lecz niespieszno mi ostrza zadrapać.

- Stał damasceńska, czyż nie? Arcyciekawe. Jakże to morowanie się uzyskuje?

- Ponoć pręty z dwu odmian stali splatając i społem w kuźni zgrzewając.

- Także w piekarnictwie uświęcona to tradycja metoda. Powiadają, iż płatnerze z wysp japońskich pył węglowy do stali na miecze przydawać potrafią, co niewiele się różni od tego, jak się masło do ciasto na *croissants* wciera. Nanieś, zawiń, ubij na płask, nanieś, zawiń i tak bez końca, pojmujesz, waść? Aż się setki niesłychanie cienkich warstewek stworzy.

- Jak by nie było, podobnie złota na listki wyklepywanie – imć Knockwood wtrąca. – Na płask się rozklepuje, nieprawdaż, po czym zawią i znów na płask, między grubymi skórąmi, aż wreszcie owe cieniutkie arkusze złota się otrzymane.

- Uwarstwienie – Mason powiada.

- Patrząc, uwarstwienie się szerzy – stary Haligast dodaje, na chwilę się pojawiając. – Mroczne jego pobudki, lecz czyż kiedykolwiek to naszym zamiarem było, by w nieskończoność owe arkusze powielać, tak blisko czystego płazu daną masę rozpościerać, jak to tylko możebne, po drodze różnorakie nowe formy odkrywając, butelkę lejdejską, talie kart, wynalazki, które, jak wielokrażek czy lewar, widzialne siły zwielokrotniają, często poza proporcje wykraczając...

- Książka drukowana – Wielebny poddaje. – Cienkie warstewki zawijasów inkastowych między równie cienkimi kartami ściśniętego papieru następujące. Nieraz w setki ich szeregi idą.

- Albo też sterta arkuszy nieoprawionych, jednostronnie drukowanych – imć Dimdown dodaje. – Posobnie przez prasę wypluwane stos powiększają.

Fircyk nie jest rzecz jasna tym, kim być się zdaje – jak każdy z nas chyba. Wiele tygodni później prawda na jaw wychodzi, gdy w piwnicy w Elkton przy sekretnej prasie drukarskiej przyłapany zostaje. Wzrok podnosi znad wonnych arkuszy, tak świeżych, iż mocz czeladnika wyczuć jeszcze w nich da się, którym to kostki tuszu zmiekczano, a z nim, dla wrażliwych *nasalia*, młodość i tęsknicę, acz nieświadomie. Wszędzie wokół Dimdowna oczy jedno rwie słowo, wielką czcionką powtarzane, a brzmi ono WOLNOŚĆ.

Jakowys cywil niewielki oddział żołnierzy za sobą wprowadza.

- Ostatni raz widzisz waść to słowo – powiada.

- O dobre imię swej żony bym się nie zakładał – kłótniwy birbant odrzekłby może, lecz Filip Dimdown, sobą na powrót będąc, milczy jeno.

¹ James Figg (1695–1734), słynny fechtmistrz angielski.

- Gdyby romans życie przypominać miało...
- Ach, musi – Tenebra prosi. – Niechybnie myślał wówczas o niej. Jakże się rozstali?
- Z godnością. Do końca grał swą rolę.
- Wujaszku, tak się nie godzi! Musiał zmiarkować jej pozwolić... jakoś... w ostatniej chwili, a potem szloch, pożegnania i cała reszta.
- Cała reszta? – Ives pyta zaniepokojony.
- Wszak pozna kogoś innego.
- Rany boskie! – Ethelmer jęczy.
- Płć niewieścia – kuzyn DePugh dodaje.

39

- Dobrze, jeśli naprawdę pragniesz wiedzieć, co sądzę, przyjacielu...
 - Bardzo.
- Trwa to już od południa. Stary Haligast na dzień jutrzejszy kres zamknięcia przepowiada. Wszyscy, których jeszcze szaleństwo nie porwało, by im w sukurs przyszło, modły zanoszą, albowiem nikt towarzystwa innych znieść już nie może.
- Zatem, bez urazy, cóż... to wbrew przyrodzeniu.
 - Co takiego? Wbrew przyrodzeniu po żonie żałoba?
 - Nowej nieszukanie.
- Przez chwilę Mason w golenie kompana się wpatruje, po czym wzrokiem ucieka, tego co widzi, nie miarkując.
- Gdybyśmy w Gloucester byli, rzecz jasna, podobne rady słyszeć bym się spodziewał. Nic w tym dziwnego by nie było, tak się na wsi czyni. Lecz niestety, zbyt długo widać w Londynie bawiłem, trujące jego opary wdychając, w źródle grzechu się nurzając. Wiem, iżem zepsuty, a może i męskość mi to odebrało.
 - Po prostu wychodzisz zbyt rzadko.
 - A gdzie niby mam się udać? – Na okno skazuje. – Białe, bezkresne pustkowia, mroźne i monotonne.
 - Za rzadko ze swej skorupy wychodzisz.
- Rad nierad, Mason nic prócz życzliwości wyczuć w tych słowach nie może.
- Mam jeno nadzieję, iż żadnej z tu przytomnych dla mnie nie wybrałeś. To znaczy, chybaś nie... Cóż ja wygaduję, niechybnie żeś... – Akurat na brzuch Dixona spogląda, który jakoś dziwnie większy i okrągłszy mu się zdaje (zaiste, kształt jego z dnia na dzień się zmienia i ze zgrozą uważamy, jak ze sferoidy w pionie stojącej przemienia się w taką, u której szerokość wysokość przewyższa). – Ach, to ktoś z kuchni. Czy się nie mylę?
 - Albo to, albo dzieckiem chodzę. – Za kałdun się chwyta i w dół na niego spoziera. – A jeśli tak, to chyba Maureen to sprawka, bowiem żadnej innej wierny nie byłem. Ona to właśnie, jeśli pamiętasz, piecze...
 - ...placki – Mason wesoło wylicza – tarty, pączki z konfiturami, ciasta owocowe w brandy skąpane, francuskich kremów i musów jadalospis długi, czy to dzień świąteczny, czy też nie...
 - Pohamuj się, przyjacielu! – Dixon woła. – Gdy cię słucham, głód mię nachodzi.
 - Ja ci dam głód! – Mason ostrzega.
 - Może byśmy tak do piekarni zaszli, zastaniemy ją może, jedną czy nawet dwie

babeczki lukrowane, a tak, ją lub Pegeen, jej przyjaciółkę, widziałeś ją kiedy, ruda z loczkami, zawsze w zielenie ubrana?

– Masz ci go. A niech cię! Aleś uparty. Gdy tylko przedstawiać sobie pocynam, iż to za nami... Jeden czy dwa złośliwe żarty, ujdzie, dobre mam serce, lecz, na Boga, dajże mi ty spokój, a nie Pegeen jakąś.

– Może jeno do jedzenia cię nakłonić się staram. Umartwianie swe granice posiada. Spójrz na się, skóra i kości! To dolegliwość sentymentalna, w której melancholia na wszelkie przyjemności apetyt ci odebrała.

– Hola, hola. Ty mi w sprawach jadła doradzasz? Spójrzże na siebie, Henryku VIII¹. Jakże pomiary mamy przeprowadzać, skoro, gdzie patrzeć, brzuch twój stoi? Horyzont przesłaniasz. Cóż to za sferoidę nosisz – kałdun Dixona poklepuje – czy radziej dźwigasz, posapując, niczym jakowyś Atlas, co glob do końca podnieść nieskory?

– Nadal jest wydłużona – Dixon powiada obruszony. – Czyż nie?

– Jam tu astronomem. Wierz mi, jak nic dalece spłaszczona. Za troskę o stan mego ducha pięknie dziękuję, aczkolwiek tak naprawdę jeno kompana szukasz, który by miał ci w bezecnych zatrudnieniach towarzyszyć.

Nim śnieżyce ustają, a zasy na tyle się zmniejszają, by do Harlandów powrót możebnym uczynić, jeometry rezolucję biorą, iż osobno później podróżować będą, tak by jeden południe, a drugi północ kraju zwiedził. Z tych miar, odświętną pierzynę swym gospodarzom zwróciwszy, o rzucenie monetą grzecznie Harlanda proszą. Wnet jeden z jego srebrnych szylingów nowych głową króla w dół pada, co oznacza, iż Masonowi północ, zaś Dixonowi południe pisane. Później kierunki te odwrócić sobie przyrzekają.

– Obym w jakoweś ciepłe rejony zawitał – Dixon nieco zbyt radośnie powiada.

– Nadzieję mam, iż za sobą właśnie w końcu ostawimy. Przebóg, tygodnie ostatnie... Wszyscy niczym marionetek zgraja, gdzie popadnie pałkami wywijających.

– Racja, we mnie także niewiele spokojności ostało. Z dala od siebie pobyc musimy, a jeśli coś nam o tym miejscu wiadome, to to, iż przestworu tu ci pod dostatkiem.

(– Dixon pierwszy w drogę wyruszył – Wielebny opowiada – a jako iż wzmianek o szlaku jego podróży w dzienniku polowym nie uświadczysz, załóżmy, iż pierwszej do Annapolis się udał.

– Cóż za „załóżmy”? – Ives oponuje. – Brak dokumentów. Może nigdzie nie wyjeżdżał, lecz domowników swymi pijanymi zalotami na południe wypędził, gdyż zdzierżyć już nie mogli tego, jak to się za każdą – powiadam, każdą – mleczarką w okolicy uganiał.

– Albo też trzymajmy, iż dwu Dixonów było. Jeden zatem w niesłabnym upojeniu wiosny dotrwał, drugi zaś, co sprawę uprości, promem Nelsona przez Susquehannę się przeprowadził. Mason w roku następnym w jego ślady poszedł, a następnie do Yorku zajechał, choć pewności nie ma, potem gościńcem baltimorskim na południe – miast, jak Mason, tym, co do Frederick prowadzi – a Baltimore minąwszy, ku Annapolis i Wirginii, która się dalej rozpościera. Atoli, skoro o koneksje z Calvertami wielu już go podejrzewało, by losu nie kusić, mógł od Maryland trzymać się z dala).

¹ Król ten sływał z tuszy.

Do Annapolis Dixon drogami jedzie, których się nie wybiera raczej, albowiem do toczenia bek tytoniu na targ z gospodarstw odległych służą, dzień i noc, a każda przez dwu czy trzech czelka pchana – niewolników afrykańskich, zesłańców irlandzkich, Niemców zaprzędanych, co dobrze pojmują, iż ktoś podobny sposób podróżywania przedkładać może. Na miejsce zajechawszy, jeometra bez celu krąży, to do tawerny woźniców, to do portowej spelunki zagląda. – Jen owej gry karcianej szukam – powiada zapytany, a jeśli wówczas „co za gry karcianej?” słyży, patrzy przepraszając i – zagubienie całkowite udając, choć wszak prosto do wyjścia zmierza – umyka, gdyż w każdej karczmie o burdę nietrudno.

Z pewnością nieraz śnił, iż mroczną powinność ma do spełnienia, której detali przywołać nigdy na jawie nie umie. W owych majakach czuje, iż moce, o których nikt mu nie powie, nim władają – iż niewidzialnym interesom służy. Raczej oburzony niżli zlékniony się budzi. Czyż nie robił jeno tego, co w umowie stało? Lecz jeśli tego właśnie od niego żądają, a zgrzeszył na samym początku, nie odmówiwszy?

Gdy się znów u Harlandów spotykają, Mason poczyna w końcu Dixona wypytywać, z jakich miar do Maryland się zapuszczał.

– Jako przynęta. Na pokaz się wystawiałem. Niczym przyjaciel Franklin w noc burzową.

– Pragnęś, by cię co trafiło? Zaczepki szukałeś?

– Zagadnięcia czekałem, lecz wracam nieukontentowany. Ni szpiegów francuskich, ni jezuitów w przebraniu... Żaden wolnomularz gestów tajemnych na mnie nie próbował. Mniemam atoli, iż ten, kto mię śledzi, wśród naszych najemników ukryty być może – kucharz to, drwal czy inny sługa, który na wszystko ma baczenie.

W Williamsburgu Dixon wreszcie czuje, iż do oka cyklonu dotarł. Dalej na południe prąc, nic nie zyska – to, co tu mu się przytrafi, za naukę starczyć musi.

Tytuniowe plantacje odłogiem leżą, dawno już w Glasgow tegoroczne plony, a nasiona na nowe rozsady jeszcze nie w ziemi. Gdy młodzi, których wszędzie pełno, balom się oddają, ślubom, zabawom nad rzeką i innym rautom wszelakim, pozostali, co dłużej w wędzarni, spieszo raczej zakamarki snu wreszcie badać, w oddanych – jakże inaczej? – czarnych niewolników otoczeniu, których wieniec każdego śniącego strzeże. Dixon do miasta wjeżdża, co błędnik przypomina. Płoty tu jak wkoło pastwisk, poszycie okrętowe w ilości, jaką się jeno w stoczni znajdzie, a każda ściana, od chlewika po pałace, wiązanie flamandzkie w cichym marnotrawstwie obnosi. Ostatnie, czarne, zwarte strąki z drzew katalpy zwisają. Absztyfikanci przy furtkach ogrodowych w kunszcie scysji się ćwiczą. Wiatr się czasem wieczorem taki zrywa, iż równie mu snadnie lży na obliczach gładkich zmrozić przychodzi, co opuszki palców z guzikami kamizelek scalać. Coś się w romansach młodych tego roku kryje, czego nikt, kto tego doznał, jeszcze nazwać nie umie.

Akt Stemplowy rolę w komedii inaczej rozdzielili i widownia wielce teraz rozszerzona. Nagle ojcowie pożądanych panien małej już nie stanowią zawady – niektórzy, w rzeczy samej, zjadłymi wrogami być się okazują, do wielkich podłości zdolnymi. Młodzieńcy, którzy się za dozgonnych konkurentów mieli, zbratani, po tej samej stronie barykady się odnajdują. Leniwe amatorów przyjemności coraz częściej nagle zszarganie honoru przerywa. Na gościńcach zimowo zakrzepłych wrze gwarem – kawalerów tuziny na koniach pożyczonych, gońcy w czystym pędzie zakochani, zawiedzeni zalotnicy z pistoletami za cholewy zatkniętymi i wozy opieczętowane, jakich nawet banda Czarnych Chłopców z zachodu zatrzymać by się nie ośmieliła. Majowe sesje Zgromadzenia, rezolucje wirgińskie, JW Patricka Henry’ego elokwencja zbun-

towana¹ – dział wodny, poza którym wszelkie czasu amerykańskiego strumienie na mapach białą plamą się jawią – wszystko to ledwie za tygodni parę. W Akademii odpowiednię mądrą Dixon usłyszeć może, w Kapitolu² przemowę żaru pełną, lecz nigdzie tak dobrze nie czuć, iż świadkiem się jest czegoś, co do historii przejdzie, jak w gospodzie Raleigha. Wirgińczycy starzy i młodzi za królewskie szaleństwo właśnie na stojąco piją. Gdy na Anglika kolej kufel podnieść przychodzi, uhonorować jest raczej skory coś, co zawsze ważne dlań było:

– Za poszukiwanie szczęścia!

– A niech mię, kapitalne! – wysoki, ryży młodzian woła, przy sąsiednim stole siedzący. – I jakże celne. Czy masz waść coś przeciw temu, bym zwrotu tego kiedyś użył³?

– Skąd.

– Czy ktoś ma ołówkę? – Młodzian skrawek papieru znajduje, a Dixon rysika ołownikowego mu użycza, którym w polu zwykł szkicować. – Jeometra? – pisząc, Wirgińczyk miarkuje. – Jesteś waść Masonem czy Dixonem?

– U Toma zainteresowanie Linią Zachodnią wrodzone – szynkarz zdradza. – Jego ojciec pomagał przy naszej południowej granicy wytyczaniu.

– Jeśli o zachodnią chodzi – Dixon zapewnia – każda rada więcej niżli mile widziana. Cokolwiek.

– Pułkownik Byrd zaczął, tatko z profesorem Fryem skończyli. Zgaduję, iż profesor większością matematyki się zajął – wiem, iż tatko zawsze zbyt był do tego niecierpliwym. Od jego gwałtownego użycia tabele się wycierały. Pułkownik Byrd fragment swój na wiele lat przed mym urodzeniem wymierzył. Każdy dzień w dzienniku polowym zapisywał, nie tylko mile czy pręty przebyte, lecz także, co bardziej użyteczne, wszelkie człowiecze sprawy – drobne niesnaski, jadło i napoje, choroby i medykamenty, obelgi rzucające i do serca brane, różnorakie damy, które od czasu do czasu oczy ich rwały...

– Czy drukują go i sprzedają?

– Jeszcze nie. Lecz gdy tak się stanie, żywię nadzieję, iż każdy jeometra, do fachu się przyuczając, książkę tę ku przestrodze przeczyta. Ojciec mój mawiał, iż mało która tyle o jego profesji uczy.

– A przed czym przestrzega?

– Przed spółkami. Osobliwie, gdy połowa zainteresowanych na północ od reszty mieszka. W opowieściach pułkownika Byrda członkowie wyprawy z Karoliny rodem jak jeden mąż zawistnymi, łakomymi, próżniaczymi degeneratami byli, a wszystko to przez ową w szerokości jeograficznej różnicę. Nie zdziwiłbym się, gdyby Pensylwanii mieszkańcy podobne mieli o swych południowych sąsiadach mniemanie, w tym i Wirgińczykach. To kraina sensualnych bestii.

Trzy młode damy zza futryny wyglądają – niczym ptactwo nadbrzeżne wzdłuż linii wody, to w kłębach dymu nurkują, to się z nich wynurzają. Mężczyźni już dawno temu pojęli, iż tytuń tak niewiasty odstrasza, jak gdyby palacze pluskwami byli. – Wchodzę – najśmielsza oświadcza, lecz już po kilku krokach jęk obrzydzenia z siebie dobywa i w dyrdy umyka. Druga próbuje, krztusi się, wraca i tak bez końca walczą dziewczęta, nieprzerwanie się naradzając. Z wieścią do dymu odrazą ochota na manewry miłosne wciąż przegrywa.

¹ Patrick Henry (1736–1799), późniejszy gubernator, w 1765 roku ogłosił przed Zgromadzeniem prowincji rezolucję sprzeciwiającą się Aktowi Stemplowemu.

² Williamsburg był stolicą Wirginii w latach 1699–1779.

³ Mówi Tomasz Jefferson (1743–1826), przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych; zwrot, który zapisuje, trafi do Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych.

Dixon zerka ku nim i ręką przyjaźnie macha.

– Czy wszystkie damy w Wirginii usposobione równie wesoło?

– Wszędzie, poza Norfolk, gdzie o namiętnościach o wiele częściej się rozmawia, niżli upust im daje. W rzeczy samej, jako „No-fuck” jest wśród marynarzy owo przekłete miejsce znane.

– Mniemam, iż potaćcować będą skore – młody Tom ocenia. – Już od jakiegoś czasu muzykę posłyszeć można.

– A jeśli pojedynek do ulubionych rozrywek waćpana nie należy, miej waść na swe maniery baczenie. Jeden krok w tańcu fałszywy – rzec by można, stopa za miedzą sąsiada – a las szabel wirgińskich wyrośnie, czci damy strzec radych. O świcie z sekundantem stawić się będziesz musiał.

Zaiste, nie więcej niżli dwadzieścia kroków w głąb sali, ledwie po ośmiu taktach skocznego jiga z pewną „Uranią”, Dixon na swym policzku perfumowane muśnięcie czuje, które rękawiczką Fabiana, narzeczonego panny, być się okazuje.

– Czy mówiono waszmości, iż kwakrem jestem i bić się nie będę¹?

– Owszem, waćpanie, przeto poddaję, by obręczami rzucając, rachunki wyrównać. Kołki o czterdzieści stóp oddalone.

– Umowa stoi – Dixon powiada miast tego, co, jak się zarzekać będzie, miał zamiar: „Jeśli tak, to się z waćpanem przekomarzali. Po prawdzie, zesłańcem jestem najgorszego pokroju, dla którego mord jeno *hors d'oeuvre* na uczcie grzechu”.

– Odkryliśmy, iż gra w obręcze² – Fabian klaruje – dość pistoletom podobna, by satysfakcję dawała. Skrawek ziemi potrzebny tak samo wąski i długi, *rencontre*, jeśli kto woli, o świcie, odległość od kołków do uzgodnienia, metal powietrze przecina, nawet, jeśli się wsłuchać, szum kulom właściwy...

– Do uzgodnienia? Trzydziestu stóp żądać mogłem? Ech, zbytnio się na tym sku-piałem, iż nikt ducha nie wyzionie.

O świcie cała grupa nad wodę maszeruje, gdzie się obręcze rzuca, a para do gry przystępuje, gdy tylko się na tyle rozwidnia, by kołki obaczyć. Po jednej partii wygrawszy i ustalwszy, iż trzeciej nie trzeba, każdy z graczy równie gorącego całusa od powabnej przyczyny dostaje, po czym wszyscy na śniadanie się udają, tytuniem i trunkami przesiąknięci.

Powrót na północ – błotniste drogi, czarne, mokre gałęzie nad głową, wśród śniegu gołej ziemi połacie. Kolejne kopyt stuknięcie, kolejna mila przebyta. Dixon w milczeniu jakowegoś objawienia czeka, by podróży swej cel poznać, co inaczej sensu nie miała. Gdzieś między Joppa a ujściem Elk, ni światelka wokół, ni iskierki w sobie, gwizdać, a w końcu podśpiewywać poczyna.

*Tchórz na salonach,
Ogar na drzewie,
Co myśli dama
Człek nigdy nie wie...*

W całej Wirginii, choć go niewolnicy mijali, nie dostrzegł ani jednego. Oto co się nie stało. Nie o Calvertów, jezuitów, Pennów czy Chińczyków, lecz coś innego tu chodzi.

¹ Kwakrzy są pacyfistami.

² Ang. *quoiting*.

Odnutowawszy szóstą rocznicę zejścia Rebeki, Mason znad Brandywiny dopły-
wów na północ rusza, do Nowego Jorku na promie z Staten Island dobijając. Na wid-
nokregu nic ciekawego się nie jawi nad wysoką wieżę, od portu daleko, która do ko-
ścioła Świętej Trójcy przy Wall Street należy, gdzie na msze niedzielne zachodził
będzie. Teraz jednakże wieczór jest poniedziałkowy.

– Bateria to miejsce, które obaczyć winienes – wszyscy, którzy miasto znają, mu radzą.

Świadectwem pożądania być się okazuje, albowiem, choć w noc chłodną wiatr
płomieniami pochodni szarpie i falochron bałwanami smaga, jeszcze długo po półno-
cy na brzegu tym zawietrzny korowody ludzi czegoś spragnionych suną. W śliskiej
wilgoci, mimo miłosnego zapału, ostrożnie kroki stawiać trzeba, a twarze kryć pochy-
leniem przed podmuchami wiatru, co się gładko niczym światło rozlewa, ku ścieżce
pustej, cieniowi nieprzystępnemu, aktom zawsze niesprecyzowanym. Mason nie wie
po co, lecz dołącza do nich. Bez słów prą naprzód niczym łyżwiarze. Z niejaką Ame-
lią znajomość nawiązuje, mleczarką z Brooklynu, która, nie wiedząc czemu, bez fun-
duszy żadnych w Nowym Jorku bawi.

– Wstąpmy tu zatem, głodnaś zapewne.

Ma rację. W tawernie przy Pearl Street, nim Mason kromkę chleba masłem po-
kryć zdoła, dzierlatka półmisek pieczonych tartofli ze stosem kotletów pochłania,
a zupy rybnej dwie miski, swą i jego. Zegar godzinę bije. – Boziu droga! – Wybiega-
ją, by ostatni prom złapać, co ją na Lond Island, gdzie jej gospodarstwo leży, prze-
wiezie. Słodko-gorzka to przeprawa. Zimny, chmurami pocięty Styks promami jest
usiany, dzwonki smutno w mroku podzwaniają, dziwaczne małe kabotażowce o ża-
glach gaflowych i lichtugi krążą wokół, wysoko nad pokład towarami wyładowane.
W tym piekle panuje dobrobyt.

Amy od stóp do głów w czerń różnoraką jest odziana, co Masonowi się zdaje
u mleczarek niespotykane, atoli radzono mu, aby wciąż był świadomy, iż wszak to No-
wy Jork, gdzie odmienne panują zwyczaje.

– A tak, no, w domu bez litości przytyki – dziewczyna powiada. – Ja na to, iż, no,
czerń lubię, aliści stryjasek, ten to takie, że „Bóg jeden wie, za kogo cię obcy bio-
rą”. Ha, Bóg wie, a ja nie. A ty, waćpanie?

– Skąd miałbym...

– Jesteś waść obcy chyba, co? Ha? Za kogo byś mię wziął zatem?

Jakiś czas później, nad Brandywinę przez oba Jersey¹ wracając, przypomnieć sobie
bez końca będzie usiłował, czy „za kogo byś mię wziął”, czy też „za kogo mię masz” po-
wiedziała, a także jak inaczej, celniej, odpowiedzieć mógłby był na owo pytanie.

– Cóż... – tak oto odpowiada. Amy zerka na niego z twarzy wyrazem, który często
na obliczach niewieścich oglądać było mu dane, choć, co do jego znaczenia, nigdy
pewności nie miał.

„Stryjaszek” młodszy jest, niżli się pospolicie stryjasek przedstawia, czupryna
jego jakowąś perfumowaną pomadą świeci, wąsiki w szpic ma wygolone, a dłońią
bezustannie sztylet maca, w rozmiarze przesadny, w przeznaczeniu zabawie daleki,
który w pochwie u pasa nosi. Wobec Masona życzliwy jest, acz na baczności, lecz
Amy, astronom czuje, wkrótce ukarze, gdyż wyrzuty jej czyni.

– Wszystkie swe fundusze? Nawet te grosiki, które mały Ezechiel dał jej, by mu
cukrów kupiła? Och, Amelio. Biedulka. Czy nieostrożna była? Czy na sukienkę wy-

¹ W latach 1676–1738 prowincja dzieliła się na Jersey Wschodnie i Zachodnie.

marzoną w oknie jakowegoś składu angielskiego się zapatrzyła? Czy jeden z tych podłych złodziejasków się napatoczył i tobołek jej uniósł, może jeno dla wprawy? Czy tak było, „Amelio”?

Tak strapiionym głosem imię to wymawia, iż Mason przed niewygodnym dylematem staje. Jak na człeka prawego przystało, damy bronić winien, atoli, jak się zdaje, ta imię przybrane podała. Po której stronie stanąć mu wypada? Wszak o czymś na kształt, hm, zażyłości mowy nie było, nieprawdaż? Szczęściem Amelia deliberacje jego przerywa i szepcze z uczuciem:

– Wiem, stryjasku. Niecnie postąpiłam. Lecz ów pan był tak miły...

Słyszając te słowa, młodzian dobronudownie na Masona spogląda. Czemu, astronom dopiero później pojmie, gdy mu to Dixon w obozowisku wyłoży, gestami gwałtownymi nieraz się wspomagając.

– Towarzystwo człeka dobrego serca wszytscy tu docenimy – „stryjaszek” rzecze, gdy tymczasem za jego plecami do pokoju zbieranina zbirów się wślizguje, cudaczniejszych niżli ci, których Mason widział kiedykolwiek czy to w Portsmouth, Kpszadzcie czy Lancaster nawet.

– Patrzącie, kogóż to nam Niunia sprowadziła. – Mieszaniec z warkoczykiem pa-trzy pożądlowie.

– Angol, jak się zdaje – piegowaty marynarz woła, który mizerność postury wo-jowniczością nadrabia. – Co staruszk, do domciu daleko?

– Kto ci, kolego, peruki szykuje?

– Starczy, moi mili. Pomyślcie, jaki osąd się w gościu naszym rodzi. Okazać winiśmy, iż tu, w Brooklynie, równie ciepli i przyjaźni być umiemy co tamci, w Nowym Jorku, za rzeką. Wszak nie jesteśmy wieśniakami, widzieliśmy wiele, każdy sort wo-jażera nam znajomy – święty i grzesznik, żółtodziób i wyga, tacy, co piskorze wić się uczyć by mogli, i ci, którzy powierzać swe skarby nad wyraz skorzy. I powiadam wam, ten tu... Sam nie wiem. Jak mniemasz, Patsy? Przejrzeć go niełatwo. Na promach po-łowałeś, wszytkich znasz kmiotków, co teraz powiesz?

Jegomość, który w innym stroju za pirata z zeszłego stulecia snadnie mógłby być brany, od stóp do głów Masona mierzy.

– *Novum* to dla mnie, kapitanie. Odmiennej wielkości gałki oczne poddają, iż ca-łe życie w jakoweś szparki się wpatruje. Atoli szeryfowi nie służy – brak mu, rzec by można, obojętności chłodnej.

– Amen – lubieżny mieszaniec woła.

– Czym się zatem zajmuje, jak sądzisz? – „Stryjaszek” pyta. Oczy wszytkich ku Amelii się zwracają.

– Co proszę? – W końcu ripostuje. – Ja niby mam wiedzieć? Pewna byłam, iż, no, „ahoj, żeglarzu” i takie tam dla mnie jeno.

– W jakież to szparki się wpatrywał? – zadziorny marynarz rechocze. Inni się do-łączają.

– Sklepienie niebieskie uważam – Mason powiada, zerkaniem ku górze swą oso-bę wywyższyc się starając. – Jeometrą jestem katastralnym, umową w Ameryce związany. – Tonem głosu do uciszonej rewerencji zachęca.

Na próżno. Amelia piszczy zatrwożona.

– Kat! Astralny? – Odskakuje, w objęciach „stryjaszka” swego się kryjąc, co nic przeciwko raczej nie ma.

Kilku psubratów raban podnosi, gdyż zawiedzeni są, jak się zdaje, zaś przysadzi-sty Irlandczyk przyjemnym głosem oświadcza: – Zabiję drania, jeśli wyście niesko-rzy. – I pistolet ładować poczyna.

– Pokój, pokój, Czarny Prochu, odłóż tę zabawkę. Chłopczyni w głowie się, waćpanie, miesza. Króla angielskiego i wszelkich jego poddanych nienawidzi. Żeś Francuzem, rzec mu będzie najlepiej, wymowę przeto zdatną przybierz, jeśli zdołasz. Nie, nie, Czarny, o zgładzeniu gościa nie ma mowy, albowiem, pojmujesz, to monsieur Maysong, astronom znamienity.

– Ni na przesześci tu nie zaszedł. W niczym imieniu. – Czarny w zastanowieniu oczy mruży. – Na litość boską, gdyby nie waści bratanica...

– Ha.

– Błagam, kapitanie. Trzydzieści siedem wiosen sobie liczę...

– Właśnie. Czym jest, miarkujesz. Rosy kroplą, w brzasku niewieściego przebudzenia drżącą, nietkniętą jeszcze przez dnia gwałtowność, którą oboje znamy – ni zbrukaną, wykorzystaną, odrzuconą.

– Doprawdy? Jawi mi się kobietką udziałną i zaradną.

– Upartą, powiedziałby inny. Wkrótce ktoś poprosić ją będzie musiał, by czerń nosić przestała, gdyż wszystkie te tkaniny z Anglii przyprawiają – lecz któż wśród nas skory? Za rzeką jej wrzaski posłyszają.

– Czerni odstawienie? Prośba to dziwna.

– Lecz sedna problemu tyka – burczy mieszaniec Drogo. – Brytki tego jeno pragną, byśmy ich towary kupowali. Jedyny z nas pożytek taki, jak ze stada krowiego. Im się co jakiś czas wymiona, nam sakiewki opróżnia. Cóż, jeśli choć trochę zatrzymać możemy, choćby marnych monet kilka, dobra nasza – a iż inni się do tej sumy dołożą, nadzieję mamy.

Hm... „dołożą do tej sumy”... Mason w kąt wolny zerka i deliberuje. Z jednej strony, rabusiów słyszał, co do podróżnych zatrzymanych jeszcze się mętniej zwracali – z drugiej, jeśli datkiem to wołają, może wielkość zapomogi omówić podobna...

– Tak się składa, iż waść osobą być możesz, której pomocy nam pilnie trzeba. Czy tajniki napraw teleskopowych waszmości są znane?

– Dość, bym szkody znacznej nie narobił.

Cisza zapada. Wszytcy prócz Masona spojrzenia wymieniają.

– Hm, nie jest groźny – „stryjaszek” wyrokuje. Niewielu z nich imion na chrzcie im danych używa. Jego zwą „kapitanem Wulkanem”. – Nasz gość wie, kim jesteśmy, jeśli gazety czytuje. Czy, gdy jasno dość będzie, zechcesz waść okiem rzucić?

Teleskop swe własne, przeszklone obserwatorium na pięterku zajmuje. Przed nim rzeka się rozpościera, za nim równina zielona, zagajnikami i gospodarstwami usiana. Wstążki dymu pną się ku górze, jakże nam w swych tęsknotach podobne. Instrument zdaje się ku stoczniom za rzeką skierowany – w rzeczy samej, wszystkie doki przy Water Street obaczyć przez niego można, a nieco mniej wyraźnie drogę wzdłuż brzegu po White Hall na południowym wyspy krańcu biegnącą, dalej Governor’s Island i Buttermilk Channel¹. Słowem, feldmarszałka marzenie.

– Cóż – Mason mamrocze. – Koncept był w budowie instrumentu taki, by w górę nim, nie w dół, celować. Z tych miar pokręta wszelkie tu przydane poza linią horyzontu nie działają. W dół przez ów instrument patrzenie, jak na kładce, ryzyko niesie. – W okular zerka. – Coś soczewki z osi zupełnie wytraciło. Konieczne ponowne justowanie.

– Ile czasu reperacja potrwa?

– Naprawę Francuza winniście wezwać do takiej roboty, to jest...

¹ Water Street i White Hall Street to ulice na Manhattanie od strony Brooklynu, a kanał Buttermilk oddziela od Brooklynu Wyspę Gubernatora.

– Hola, hola, iż sam Francuzem jesteś waść,trzymałeś.

– *Oui*. Takiego jak ja Francuza, to na myśli miałem. Jakież narzędzia tu mamy?

Narzędzi niewiele. Monsieur Maysong, zmysłny i delikatny, kowalskimi cęgami pierścienie mocujące odkręcać musi, uprzednio wyścieliwszy je kapelusza szczątkami, który z ogniem przeżył chyba jakąś przykrą przygodę. Owce i ptactwo domowe po *atelier* się pęta, a często Czarny Proch zagląda, za każdym razem inną bronią potrząsając.

– Czy napędziłem ci stracha, waćpanie? Wyśmienicie!

Nie do końca więziem się czując, Mason długie godziny się trzodzi. Zza rzeki uderzenia młotków dobiegają, szkutników okrzyki, pęków lin trzeszczenie, łomoty głuche. Daleko po wodzie niosą się wołania, psy handlarzy szczekają głodne dzień cały, dzwony okrętowe dzwonią, a z łódek towary zachwalają. Członkowie bandy po drabinie się na pięterko wdrapują, jak się zdaje, jeno życzliwie ciekawi. Wkrótce młodzież płci obojga pokój zapełnia, żywo dysputując. Ktoś „sandwicze”, inny flaszkę przynosi, noc nad Nowym Jorkiem czarnoziemem zapada, w którym tu i ówdzie światełka kielkują, w wodach rzeki nieraz się odbijając. Mason przy instrumencie gmera, a tymczasem kompanie coraz bardziej kwestia pochłania posłów w parlamencie brytyjskim posiadania.

– Podatków żadnych bez swych ludzi w Londynie...

– ...płacić nie będziemy, tak, tak, lecz Drogo, przyjacielu, czyż nie widzisz, nawet poprzez owe mgły republikańskie, które zawsze w tych okolicach wiszą, iż spierać się można o to, gdyż Ameryka od dawna i w pełni w Izbie Gmin reprezentowana dzięki pryncypium faktycznego przedstawicielstwa?

– Nie, znowu... – lamentują zebrani. – Dałbyś na wstrzymanie.

– Jeśli Ameryka Wielkiej Brytanii częścią, Bengal także! Wszak obie krainy Francuzom odebrane. Samą nocą Czarnej Dziury wielokroć Indie przepłaciliśmy, a Amerykę Północną okupiliśmy krwią własną.

– Czy choć wioskowi idioci jeszcze w te farmazony wierzą? – cherlawy McNoise, marynarz z bociańca, cedzi. – Nie bardziej faktyczne to przedstawicielstwo niżli prawe, a nie bardziej prawe niżli banda owych podłych, przepychających się łachudrów o obliczach nalanych, do których pijesz. Nikt już sobie trudu nie zadaje liczeniem, ile razy honor swój sfrymarczyli. Poddajesz waść, choćby dla żartu, iż ta chichocząca zgraja ospowatych imbecyli jest nam ucieleśnieniem? Nas ucieleśnia? Ameryka emanacją baśniową, ulotną, która jakimś cudem w nich formę znalazła? Do stu diabłów! Nie zgadzam się z waćpanem. Piekło lepszym przeznaczeniem by było.

– Przebóg – kapitan się wtrąca – doktryna transsubstancjacji zadziwiająco ów koncept przypomina, by posłowie, niczym eucharystyczny chleb i wino miast ducha Chrystusa, wolę narodu zawierają.

– Zatem ci, którzy w kongresach i parlamentach zasiadają, niżli duchy nie lepsi?

– Lub nie gorsi – Mason pohamować się nie może. – To jest, jeśli do konssubstancjacji przejdziemy – wierze, iż chleb i wino chlebem i winem pozostają, zaś przytomność duchowa paralelnie, rzecz by można, w nich się znajduje. Bliższe to parlamentom, jakie na Ziemi znamy, bowiem, czego by posłowie nie reprezentowali, nadal, ku powszechnej konsternacji, ludźmi pozostają.

Wszystcy jeść i pić przestają, by wzrok w astronomie utkwic.

– Parle wu? – Czarny pyta. – He?

– Z całym szacunkiem, waćpanie, nic równie wymyślnego nam się nie roi. W parlamencie ktoś podobny Franklinowi w Londynie¹ by nas zadowolił, ktoś po drugiej

¹ W latach 1757–1775 Benjamin Franklin przebywał przeważnie w Londynie, reprezentując kolonie amerykańskie przed angielskim rządem i parlamentem.

stronie oceanu, komu dobro prowincji drogie, kto do Izby Handlowej zajdzie – „Ha, witam, oto i ja we własnej osobie” – urok nieodparty roztaczając...

– O tak, wysłannik parlamentarny, co niczym kupiec interesu dogląda, naszego interesu, a nie jakowyś symbol ludu, którego ani trochę jego okręg nie obchodzi, ktoś kto raczej swych wyborców sfrymarczy za sposobność zdobycia pełzaniem choćby jeszcze krztyny przewagi w świecie światowego kumoterstwa i frantostwa, jaki ma za prawdziwy.

– Atoli poseł kimś więcej niżli jeno wysłannikiem handlowym być winien – Patsy oponuje. – Najmniej niczym imć Garrick, co rolę „reprezentując”, postacią się staje, jakoby duszę przeniósł.

– Życzycie sobie, by ktoś w Londynie Amerykanina grał, co stemplowanego papieru nienawidzi, coś w tym guście? Posłów-komediantów wysyłać pragniecie? Plenipotentów aktorzyńców? Odrażające.

– Nie tak bardzo. A i kaznodziei poddaj rozwadze. Imć Garrick ponoć Whitefieldowi zazdrości smykałki do łez pośród publiki wywoływania jednym jeno słowem – „Mezopotamia”.

– Gdybyśmy kogokolwiek tam byli mieli, kto wie, może tych żalonych opłat stemplowych teraz by nie było. Trzeba nam kogoś, kto kolejnemu prawu, temu podobnemu tamę położy. Wszak Akt Stemplowy to jak nic tyrania, a naszą powinnością tyranii opór stawiać.

Tu Mason poruszonych szeptów się spodziewa – na próżno, a brak poruszenia u innych w nim samym je budzi, co przez chwilę poczuć mu pozwala, jakże daleko to już zaszło, jakże prędko. Oto coś, co przybrało „Ameryki” miano, niemal na oczach uważającego powstaje, dojrzewa, niczym w lato urodzajne drzewo wiśniami obsypane. W Londynie, zda się, niewiele o tym wiadomo, także tym, co przywilejów mają bez liku, a wszelkie wieści najświeższe przechwytyją. Cóż się tu dzieje takiego?

– ...nawet gry karciane. Szylinga od talii żądają. Jeśli ten wasz parlament dalej tak postępował będzie, takie lato zgotujemy, jakiego świat nie widział.

– To nie mój parlament – Mason wtrąca czujnie.

– Czy dobrze zatem wnioskuje, iż tam, skąd wać pochodzisz, żadnej własności nie posiadasz¹?

– Jeśli w mym dorosłym życiu kwatery swej nie najmowałem – Mason przyznaje – to w umowie stała.

– Zatem jesteś wać niczym chłop pańszczyźniany. Rzec by można, tutejszym niewolnikom podobny.

– Umową jestem związany i...

– Ktoś waćpana posiada, za posiłki i kwaterę płaci, innym użycza – jak to w waszmości stronach wołają?

– Cóż, jeśli wolnyś od podobnych ustaleń – Mason ramionami rusza – po trzykroć hurra, a pewnego dnia innych nauczać będziesz może, jak tego dokonać.

– I tak się stanie. – Ton jego głosu między litością a wzdardą się waha.

Mason, w oczy rozmówcy spojrzeć nie będąc skory, wokół wkrętu dociskowego ostrożnie czernienie zdrapuje, a następnie tępym czubkiem starego noża myśliwskiego naraz ćwierć obrotu usuwa.

– Już to w Filadelfii słyszałem. Spiskowców z kafenhausów i tym podobnych obietnice.

¹ Ludzie pokroju Masona uzyskali prawo do głosowania dopiero w 1832 roku, głosować nie mogli także jeszcze katolicy (i oczywiście kobiety).

– Pisujemy do siebie – kapitan powiada. – Czynią tak ugrupowania wszelakie ze wszystkich prowincji. Ogłosić to w Londynie możesz. To, co się tu dzieje, cały kontynent obejmuje.

Amelia, rękawa swego „stryjka” uczepiona, z nowym zaintrygowaniem Masonowi się przypatruje.

– Nie wiedziałam, iżeś sławny – szepcze. – Kapitan powiada, iż ten tego, słyszysz u samego króla. No, no, zaprawdę, jestem, tego no, zdumiona.

– Już nie u króla, niestety. Teraz po lasach dla paru lordów linie wytyczam, co spory toczą...

– Próżne zatrudnienia! Niedługo zarosną twe przecinki i nikt na powrót linii tych nie wytyczy, albowiem w świecie, który za parę miesięcy nastanie, dla granic miejsca nie ma.

– Wierzysz, iż Jezus wkrótce powróci – Mason zapał miarkuje. – Bracie, niechybnie wspaniała to nowina! W mej wierze to samo trzymamy – choć bez „wkrótce” może.

– Czy wyłożyć mu to warto? – Drogo kapitana pyta.

– Gradację niewolnictwa. Z jakich stron waść w Anglii pochodzisz?

– Ze Stroud, niech Bóg ma mię w swej opiece. – Mason z westchnieniem maskę zrzuca.

– Zatem ci ono znane.

– Na Przylądku Dobrej Nadziei z niewolnictwem się zetknąłem, jak i w Ameryce. Toż to sofizmat płytki, by życie brytyjskiego tkacza niewolą nazywać.

– Czy dragonów w swej okolicy spotkać przyjemność miałeś? Uderzenie kolbą nad baty oni przedkładają. Ból odmienny, lecz jakaż inna w utrzymywaniu porządku różnica? Panowie za lepszych się mają niżli ci, co na ich rozkazy z prawdziwymi milami i mocami świata zmagać się muszą, jaka by ich płaca nie była. Gdy tkacze niesprawiedliwości zaradzić próbują, związki formując, wówczas piechotę się wprowadza, by do woli mordowała i kaleczyła, lub na zesłanie buńczucznych wysyłała. Zastąpić ich łatwo, a nawet taniej, innymi, co w milczeniu harować będą radzi.

– Aliści niewolnikom się nie płaci, a tkacze...

– Ze Stroud będąc rodem, chyba wiesz waść, jak się tkaczom płaci. Po ołów i stal Wolfe chętnie sięgał przy tym, aby między chwalebnyymi zwycięstwami nie wyjść z wprawy, podlec nikczemny. „Tchórzliwe psy, pogardy godne, we własne odchody trupem padają”, tak się wyraził chyba. A i Amerykanów nienawdził.

Astronom dobrze jesień roku 1756 pamięta, kiedy to przyszyły męczennik Quebecu uwielbiany z sześcioma kompaniami piechoty miasto nieszczęsne okupował, po tym, jako to płace o połowę obcięto, mistrzowie tkaccy przy łańcuchach majstrować poczęli, a dwa pensy za osiem godzin przy warsztacie szczęściem były. W owych tygodniach Mason do wyjazdu się gotował, by w Greenwich pod Bradleyem służyć, choć żołnierze ludzi katowali i owce zarzynali dla własnej uciechy, a święte źródła plugawili, zaś ojciec za tchórzostwo syna przeklinał, gdy tuziny bochenków zabierało, w zamian prychnięcie sierżanta jeno oferując. Sposobność mając, Bradleya wybrał i świat nauki, miast przy ojcu skazanego na porażkę raję bronić.

„Kimże są ci – w swym dzienniku Wielebny pyta – co młodych, okrutnych żołnierzy przeciwko własnemu ludowi wysyłają? Ich usta wciąż stęchłymi przemowami o wolności, tolerancji i całej reszcie zajęte, podczas gdy kraj ich niczym za Rzymian okupowany¹. Wojacy ci wierzchnią okrasą Anglikom jednacy, w Anglii urodzeni, mową tamecznego ludu biegle władają, węgorsze w galarecie wesoło jedzą, jak i placki

¹ Anglia była okupowana przez Rzymian w latach 43–407 n.e.

z melasą czy udźce baranie – wszelkie te ohydne, niezdrowe potrawy, dzięki którym człek do Ameryki zesłany nieraz los swój błogosławi – atoli, tyle w nich wzgardy, podejrzliwości czy chłodu, gdy z pospółstwem się stykają, co u każdego najeźdźcy obcego”.

– Kim są, wszyscy się dowiemy – kapitan Wulkan rzecze z pełną melancholii miłą. – I to wkrótce.

W środę rano Mason na pożegnanie macha na przystani, dokąd go wszyscy na prom odprowadzili, a Patsy wraz z nim na pokład się ładuje, by go w niewygodach Nowego Jorku wspomóc. Gdy w końcu do Jersey dobijają, po ramieniu opiekun go klepie.

– W przyszłym roku wojna wybuchnąć może. Cóż za myśl, hej?

– Nie jestem ci ja u nich stałym gościem na obiadach, lecz dość w tym towarzystwie bawiłem, by to ci zdradzić – do błędu się za nic nie przyznają. By z groźnych miejsc się wydostać, na szaleńcach strojnych i zbirach najętych polegają i brną dalej. Mieście się na baczności.

– Dziękuję za te słowa. By wiadomość tę zdobyć, najmniej parę lat trzymać waść inaczej musiałeś i doceniam to. Wszyscy doceniamy.

Przez oba Jersey wracając, Mason i jego koń nagle się rozdzielają. – „Na grupkę chłopców natrafiłem – w niedzielę, dwudziestego czwartego, w dzienniku polowym stoi¹ – co właśnie z kwakerskiego zboru wyszli. Jakoby szatan w nich wstąpił. Za nic konia do przejechania obok nich zmusić nie umiałem. Zdzieliłem go przeto lekko batem po głowie, a padł na ziemię, jakoby zastrzelony. Ja zaś nad łbem jego, kapeluszu, peruka tam, piękne dla chłopców widowisko”. W brudnopisie „dla diabła i chłopców” pisze, lecz w ostatecznej wersji, którą lordowie obaczą, już się słowo to nie pojawi. Cały poniedziałek w łóżku leży, biodro straszliwie dokucza, żadna poza ukojenia nie przynosi. Cóż się stało? Cóż to za stacja nieprzewidziana, jakież powinności zapomniane? Cóż takiego koń obaczył? Wszak wiadomo dobrze, iż końskie sensorium człowiecze przewyższa i zwier ten duchy widzieć może.

– Przypadek z koniem wielkie ma znaczenie – stryj Ives mniema. – Wybryki chłopców z ciszy spotkania uwolnionych spokojniejszym z przyrodzenia zawsze diabelskiego opętania oznaką się zdają, aliści było Masonowi wiadome, iż nie one zwierzę przerażyły. Czegóż wyczuć swymi marnymi zmysłami nie umiał, a co konia wstrzymało?

– Szatan, książę cie...

– Nie w mym domu, Ethelmerze – stryj Wade upomina.

– Wszak świnię wiatr węższą – cioteczka Eufrenia wtrąca, przy kurkach i zaworkach zaparzącza kawowego zatrudniona.

– Szaweł, który jest także Pawłem – Wielebny dodaje – w drodze do Damaszku, chwiałą i głosem zmartwychwstałego Jezusa porażony, wnet mu swe serce oddaje. Wielu z nas pragnie podobnej przemiany – i wielu jej doznaje.

W rzeczy samej, po upadku się kurując, Mason, gdy nie śpi, Pierwszy List do Koryntian czyta, a osobliwie Rozdział Piętnasty, w którym Paweł, wiarę w zmartwychwstanie głosząc, o ciałach ludzi i zwierząt prawi, dalej o ciałach niebieskich i ziemskich, o przymiotach im danych, aż po wiersz czterdziesty drugi – „takci i zmartwychwstanie”.

¹ Fragment prawdziwego wpisu z 24 II 1765 roku.

– Co proszę? – Mason głośno duma. – „Takci”? Związku nie miarkuję. Nigdy go nie widziałem.

– Nic dziwnego, mój Smutasku drogi. Zbyt dużo deliberujesz na to, a użyteczność częstych deliberacji swe granice posiada. – To nie Rebeka, nie do końca. Jedno z owych rojeń krótkich i jaskrawych być to mogło, co w kręte zaułki snu nas wprowadza, choć Mason, jak zawsze przy Dixonie upierać się będzie, iż podczas wizyty nie spał wcale.

Jeśli tych skromnych objawień jeszcze nie hołubi, to i nie odrzuca, jedno po drugim odkładając – mizerne, niegaszące pragnienia. O niektóre nie prosił wcale, innych wyglądał bądź zasłużył na nie. W szkatułce jego nadziei rósł będzie ich stosik mały, aż z sumą nieznaną się zrówna, która zbawienie mu kupi.

41

– Tak właściwie to na *ridotto* ich raz spotkałem – imć LeSpark przyznaje. – Pierwszy czy drugi rok ich pobytu być to musiał.

– John!

– Wieki całe, nim cię poznałem, skarbie.

– Lecz, mój niezrównany, wiesz przecie, jak wszelkich wspominek twego kawalerskiego żywota nie znoszę.

Tu Wielebny mruga, a nawet nieco się kuli, gdyż swą siostrę zna dobrze.

– Tym samym jeno mi ostawiając – LeSpark ciągnie niezrażony – ileż to zeszło? Dziesięć lat? Dwadzieścia?

– Piętnaście, mój kasztanku korpulentny. Jako iż przede mną życia nie miałeś, piętnaście wiosen naprawdę liczysz sobie, co cię do kwiatu młodości zalicza...

– Hm, Elu – Wielebny pohamować się nie może – swego męża do jakowegoś kielka przyrównujesz?

Niewiasta udaje, iż dłużej nad pytaniem duma.

– Elżuniu! – LeSpark urażonym głosem woła.

– Czy owo *ridotto* się przypadkiem na zamku Lepton nie odbywało?

– W tej właśnie oazie. Z Jego Lordowską Mością interesy w tamtych stronach robiłem, a bez zapowiedzi stawać u nich gością pozwolenie miałem.

– Iż w takie sfery się wżeniłam, dalibóg, nie wiedziałam – Elizabeth szczebiocze.

– Wprawdzie ominęła mię ta część wyprawy, lecz jeometry tygodniami zdarzenie to rozpamiętywali, zatem nieraz opowieściom się przysłuchiwałem o owym lep-tońskim *ridotto* niesławnym.

W owych czasach, tam, dokąd światło municypalnych latarni nie sięgało ni świeczek łożowych, ni kaganków na gwoździach w szopach powieszonych, ni najlichszych knotów z sitowia witych, daleko w puszczy, gdzie to, co nadprzyrodzone, ze sztuczka-mi salonowymi czy rozrywką niewiele spólnego miało, imć LeSpark, jak teraz opowiada, zwykł był klienteli wyszukiwać, a także objeżdżać tych, co towary jego szykowali – rusznikarzy, fryszerzy, giserników, kowali – rzemieślników różnorakich. Jakoby szybując, kraj przemierzał, bezpieczny w swej wierze, równie niepodważalnej, co u każdego dewoty, jakiego na owych rubieżach znaleźć można było, iż i jego, Johna

Wade'a LeSparka jakowaś nadrzędna moc chroni, choć nie Bóg, ale Interes raczej. Jakież zdarzenie w ziemskiej historii, choćby nie wiadomo jak występne, śmiałyby się Niewidzialnej Ręki działaniom przeciwstawić? Nawet dzicy jej służyli – kupca marzenie – a jeśliby o nich myśleć jako o kupujących grupie, cóż, podziwu godniejsza niżli u gospodyń holenderskich owa prostolinijna radość, jaką w przebieraniu znajdowali.

By mu do hut i kopalni Leptonów drogę skazali, dobrze strzeżonych, które niektórym niecnym miejscem wołali, przy pierwszych paru wyprawach przewodników miejscowych najmował, milczących i trzymających się cienia. Za każdym razem było to tak, jakoby, opuściwszy świat pełen udręki, wstępować w owe nieimające się czasu, encyklopedyczne światło, w którym czeladnicy klasztornej ciszy przestrzegali, w zupełności powinnościom swym oddani, ni drzemiąc w południe, ni z męskością wyprężoną snując się wkoło godzinami. Wszelkie szkodliwe dymy i opary ku jakowemuś miejscu niewidzialnemu precz ulatywały. Najedzone psy w zaułkach się kręciły. Podle planów żelazo stu kształtów nabierało. Kobiety, we własnym niewielkim warsztacie gwarząc, swoistego złożenia wsady stali w tygielkach odlewały. Słońce przez otwarte okna się wlewało, twarze hutników wciąż baczne, nieporuszone, wzrok jeno na robotcie skupiony. Zawsze pewien odcinek szlaku pokonawszy – gdy gałązki leszczyny się rozstępowały, szum rzeki słuch nagle zachwycał, psy do jeźdźców dołączały – LeSpark przypominać sobie musiał, iż cały świat zakątkowi temu mógłby być podobny. Świat z prostotą uważać, pełną piersią oddychać, ze składu o zmroku wychodzić z obliczem równie, a bez batów wolnym od cierpienia, jak to, które się o brzasku okazało – czuł, co z dala od hut rzadko go nachodziło, iż rzeczy w ich zupełności miarkuje, a z każdą wizytą nową do owego uczucia coraz srożej tęskno mu było.

Niewielu ludziom wyłożyć to potrafi. Wie, iż mało kto ów metal oddziela od kształtów, w jakich skończyć mu przyszło, użyć z jakich dobrze jest znany, występków przeciw ciałom żywym – cięcia, wnikania, skuwania... O tak, przeważający dział rynku żelaznego zbrodnie na ludziach i, rzecz jasna, zwierzętach wspiera. – Wszystko to prawda – LeSpark przemowę sobie przedstawia – lecz gdy się raz niewidzialne ujęcie magnetyzmu poczuje lub też aż po uniesienie w skały płonnej odsiewanie zapatrzy w świetle żyłkowanym, płynnym, skłębionym... Ach, ta czystość oślepiająca!

– Och, panie LeSpark – pospolicie się wówczas słyszy.

„Czego w jego opowieściach nie uświadczysz – Wielebny w dzienniku później notuje – to niewolników czarnoskórych, którzy podobnie, bez wątpienia wspaniałe chwile możebnymi czynią. Ni słowa o wyzysku nieludzkim, bólem nierozważnym szafowaniu, przymusie, który nie zna ceny, do osiągnięcia profitów rocznych niezbędnym, o jakich się nawet dumnemu szatanowi nie śniło. W cieniu, tam, dokąd żar kuźni łuną nie sięga, czy w udręce i słońcu Chesapeake trująco zamglonym, czy pochyleni pod codziennym brzemieniem opału z kurczącej się dąbrowy, czy też smrodliwe opary pieców fryszerskich wdychając, milcząc, jak niektórzy wierzyć mogą, ciepłiwie – są wszędzie, w równaniach włodarskiej szczęśliwości wiekowe elementy nieujawnione”.

Mason i Dixon, po zmroku zagubieni (jak później trzymać będą), na chatynkę natrafiają w resztkach światła dziennego, o dachu zapadniętym, zaprawdę od szopy różniącą się niewiele, ze starego drewna, wonnego i sfatygowanego, bez najlichszego płomyczka czy gospodarza, od lat opuszczoną – aliści jeometry, próg jej przekroczywszy, więcej w środku miejsca znajdują, niżli to ściany owej budowli obiecywały, którą za żalosną ruinę jeno mieli.

Ku ich przerażeniu światło ich zewsząd zalewa – z żyrandoli, kandelabrow srebrnych, świec olbrotowych pada – do oczu zmrużenia wnet irytująco zmuszając. Gdy wzrok z wolna odzyskują, miarkują zdumieni, iż sklepienie bogato zdobione tęczą barw się mieni, a plafon nieuskrzydłone byty niebiańskie przedstawia, lecz raczej piekła mieszkańców, igraszkami cielesnymi zatrudnionych...

– Tak, tak, zajmujące, atoli – Dixon pospiesznie rzecze – jeśli jeno nic przeciw temu nie masz, sądzę, iż, to i owo pojąwszy, w dalszą drogę gotów jestem ruszyć, ha, tak, właśnie... A ty, przyjacielu?

– Miesiąc za chmurami – Mason mu przypomina. – Wyjść stąd to jakoby na głęboką wodę się rzucić. Równie groźne. Tu nocować musimy, innego wyjścia nie ma. – Dopiero teraz muzykę słyszą, choć ją posłyszawszy, zda im się, iż od zawsze grała. W rzeczy samej, sprawę sobie zdają, iż tutejsza celebrecja trwa już czas jakiś. Gośćmi są tu z przypadku, nie dla nich to pomyślane. Widzi im się, iż dwudziestu czy trzydziestu muzyków przygrywa. Nowa to muzyki odmiana, co w przyszłość wybiega, równie fantazjom obojowym Besozzich daleka, co Quantza dostojnym melizmatom. Jej tonacje na myśl przywodzą krainy, co Anglii odległe, a rozdzwonienie, mimo swej grozy, jeometrów hipnotycznie omamia.

Wabieni, ostrożnie ku źródłu dźwięków suną, jak mogą najlepiej podle wzmagającej się wrzawy. Drzwi kolejne mijają, przedpokoje przechodzą drogimi materiałami i kunsztownymi cackami wypełnione, którym przyjrzeć się w pędzie nie sposób. Szmer głosów zebranych ich uszu dochodzi, raz po raz fałszującego falsetu wybuchy, a tu nagle łuk wielki, nad którym, w lśniącym różowością marmurze, nagie ciała mężczyzn, niewiast i zwierząt widnieją, w jednym, rozpustnym suple splątane. Dłużej niżli wypada owo widowisko uważają, gdy wtem głos niewidocznej osoby ich anonsuje.

– Panowie Mason i Dixon, astronomowie londyńscy.

– Winszuję – Mason prycha.

Dixon, iż za głosem się rozgląda, udaje.

– Boże drogi, jam jeno jeometra zaściankowy. On ci tu astronomem.

– Z tą wiejską mową przesadzasz – Mason pod nosem mruczy. – I głową tak nie wywijaj.

Tak oto niezgrabnie na bal wkraczają, jaki w Londynie zwą *hurricane* – gęsto tu od intryg, jak i masek, które się z piór i futer w okolicy zdobywanych wyrabia, wkoło rozmowy, a muzyka teraz bardziej do tańców zdatna. Ściana z olbrzymim zwierciadłem rokokowym nad towarzystwem góruje – chippendale to brytyjski dla oka niewprawionego i jak nic jedną setną akra zajmuje¹. Dixon ustać w miejscu się stara, nawet wówczas, gdy kompan jego szparko wycofywać się poczyna, po tym jak przez krótką chwilę na jego twarzy przerażenie gości od najgorszych przypadków na *Sea-horse* mu nieznane.

– Wyjaśnić nie mogę – powiada, gdy Dixon drogę mu zachodzi. – Coś na kształt moralnej paniki mną zawładnęło.

– Gdzie twa obyczajność? Wejść musimy, by gospodyni naszej nie obruszyć. Niechybnie jakowaś gospodyni się tu znajduje. – Do znanej sobie etykiety Dixon gwałtownie się ucieka. – Jeśli ją urazimy, w najlepszym razie małżonkowi sadła za skórę zaleje, w gorszym zaś wydalenie nas z prowincji mu doradzi. Pojmujesz? Szeryfowie rozkaz dostaną życia nam uprzykrzenia, dzieciarnia płatać nam będzie sztuczki plu-gawe, przewoźnicy dybać na nas będą, by w topiel wrzucić...

¹ 40,5 m².

– Ma peruka – Mason chwyta ją i gorączkowo obraca. – Nie dość... Symetrii jej zbywa. A surdut? O nie! Pamiętasz? Gdy koni dosiedliśmy, rzekłem: „Czyż nie winie-
nem raczej błękitny brokat nałożyć?”. Cóż, w takim razie spodnie zmienić muszę.

– Weź się waść w ryzy – u jego łokcia spokojny głos się ozywa – nim ktoś waćpa-
na w ryzy ująć będzie zmuszony.

– Co proszę? Kto taki? – Mason popędliwy, w całym Stroud z kopania w golenie
w chwilach wzburzenia znany, właśnie miejsca oparcia dla jednej nogi szukać poczy-
na, po błyszczącej posadzce sali szurając, gdy poniewczasie w przeciwniku kapitana
Daspa poznaje. Calvertów to zauszniak niesławny, od którego groza bije taka, iż człek
znacznie jeometrę w zidioceniu przewyższający w kilka złęknionych sekund ją miar-
kuje.

– Panowie – złowroga figura radzi – chcąc nie chcąc, na sort ludzi trafiliście, któ-
rzy nie tylko w ramach codziennej swej diety astronomów od niechcenia pożerają,
lecz także z nich wstrętne tartinki sporządzają, na jakowymś kredensie mahonio-
wym je kładą, którego ceny nigdy nie poznali, a następnie, by ów specjał skoszto-
wać, *zapominają*. Waszą jedyną nadzieją wcielenie się w tych, za których was mają,
a tak idealnie, by drapieżne odruchy nuda w nich przetypiła.

– Właśnie mu to rzec miałem. – Dixon głową kiwa.

Tymczasem lady Lepton się zjawia – owa gospodyni, co niechybnie się tu znajduje.

– Kapitanie, jak miło.

Spojrzenie jej, do snucia domysłów zachęcające, Dasp chłodno odbiera.

Mądre rady kapitańskie mimo uszu puszczając, Dixon od stóp do głów damę mierzy.

– Ach, miła pani, przyjemność już miałem. Lata temu na zamku Raby, gdzie z wi-
zytą bawiłaś. Dziećmi jeszcze byliśmy, sobie wiekiem równi, a jesień się ku końcowi
miała. Waćpani w amazonce, zdaje się brunszwickiego kroju, jasna czerwień z błęki-
tem i złotymi guzikami... – Tu mniej więcej kapitan ręce załamuje i głową kręcąc, od-
chodzi. – ...halka pod pełną spódnicą i z kurdybanu trzewiczki urocze, z francuskimi
obcasami. O tak, u kornetu zielone pióra papuzie, wszystko to na tle zimowego nieba,
a loki waćpani kaskadą niemal po siodło spadały...

Pospolicie spodziewać się można, iż opis takowy gospodyni przyjęcia skwituje
wesoło, „Ty zaś owym łapserdakiem umorusanym byłeś, z ręką na fujarce, co nad ro-
wem sterczał”, a wszyscy śmiechem by się zanieśli – rzecz jasna, prócz Dixona. Miast
tego lady Lepton prosto w oczy mu patrzy i szepcze powoli.

– Tak, to ty. Pierwej trzymałam, żeś jedną ze zjaw zamkowych, co mię śledzi, za-
wsze na granicy cienia. Nawet nie widząc cię, przytomność twą czułam. Powiedziano
mi, żeś dziki, ubogi, dysydent i banita, choćby zerknąć zachodu szkoda. Lecz skoro
cię po tylu latach pamiętam, widać sprzeciwić się radom musiałam.

Tu złota słodycz rozlewać się po jego ciele poczyną, od krocza począwszy, po ser-
ce samo, co ostatnio podróża jest nie byle jaką.

Najprzedniejsi muzycy kolonii brytyjskich i innych w orkiestrze niewolniczej
dziś wiecзор zasiadają – z Nowego Orleanu¹ klawesynu wirtuoz, wprost z puszczy
afrykańskiej grajkowie z piszczałkami, z Nowego Jorku mistrz wioli – albowiem na-
bab żelazny, pasją do muzyki opętany, wyszukał ich i wiążące ich umowy wykupił,
tak jak inni dzieła sztuki może. Instrumenta strunowe pochodzą z warsztatów Cre-
mony, dęte z Francji, a muzyka dla gości Leptonów na nich grana, choć ledwie suitą
jest z odgłosów dnia i ulicy wysnutą, niemniej nawet najsrożej bezrozumnym rozmo-
wom na sali potrafi jakoś przydać powagi (a i wzniosłości czasami), może w bez-

¹ Wówczas miasto należało do Hiszpanów, a do roku 1762 do Francuzów.

wstydnoci panowania brytyjskiej skali modalnej – to jest, frygijskiej podobnej, jeśli nie frygijskiej samej. Rozmowy te potocznie w pobliżu Jego Lordowskiej Mości się słyży, choć teraz nigdzie blisko Dixona, który, wielce zachwycony, wszystko tu groźnie pociągającym znajduje.

Gdy oboje jeszcze młodzi byli, mniemał, iż niczym chłopiec śmiała była i dumna przy tym, co zmiarkował z daleka, dumą kobietom właściwą. Z dala od innych, pod gołym niebem przesiadywał, wśród wież i bram się czając – i w cieniach jesieni, nawet rano barwami popołudnia znaczonej, z przyjemnością coraz większemu opętaniu się oddawał. Jego dziadek stryjeczny George, za czarownicę dziewczynę mający, pełne smutku i przygany spojrzenia mu rzucał. Tymczasem chłopiec na wrzosowisku ją uważał, gdzie tak chyżo konno jeździła, iż jej zachwycające włosy wstęgą za nią powiewały. Ten sam wiatr powieki jej zamykał, rzęsy w wachlarz rozkładał, a wargi do rozchylenia zmuszał... Konie, których jej hrabia użyczał, rozpoznawał i po nocy ich towarzystwa w stajniach szukał, głaskał je, karmił, łagodnie doń przemawiał. Pewnego dnia, gdy deszcz z wczesnym śniegiem padał, z korytarza wilgocią i gryzoniami przesiąkniętego, przez oczy malowanych Neville'ów i Vane'ów za pasterzy i pasterczki przebranych przed zamkiem słońcem popołudniowym upiękuszonym, którego nigdy wszak nie było, ujrzał Dixon, jak jego wybranka jedną z pokojówek całuje, jakoby od zaklęcia skamieniała, a lód wedrzeć się do środka komnaty pragnie, okna wysokie smagając. O zmierzchu słyżał ją w dalekich pokojach, coś po włosku śpiewała, „*bel-lezza, che chiama...*”¹, kamienne ściany słodkim tonem szczekliwie echo przydawały...

Nie wiedzieć czemu dziewczyna ta, udzielna i śmiała, ospowatego lorda Leptona później poślubiła, zaślinionego i szyderczo uśmiechniętego hultaja okrytego niesławą, karciarza nienasyconego, który długów swych nie spłacał, a paplał zawsze wesoło, nawet wtedy, gdy w jakąś ekscentryczniejszą fantasmagorię epoki zawierzywszy, wielkie udziały w niej wykupił i z wieloma innymi w ruinę popadł zupełną. Wnet wszędzie z klubów usuwać go poczęto, a przyjaciele pospołu z wrogami doradzali, by, jeśli resztki godności posiada, na tamten świat czym prędzej się przeniósł. Sądząc, iż o Amerykę im chodzi, nie tracąc rezonu, przywdział najmniej skłonne do wytarcia ubranie, fałszywe nazwisko przybrał i dorożką do portu zajechał, gdzie swe usługi i głowę mistrzowi hutniczemu sprzedał, człekowi z North Riding pochodzącemu. Wkrótce wypłynęli, a cała przeprawa wśród innych niewolników głęboko pod pokładem mu zeszła. Daleka zatoka Chesapeake chmurami gorączkowymi witała. W głąb ładu Leptona wywieziono. Tam, smrodu siarki ze skóry pozbyć się nie potrafiąc, w ziemi kopał i szyby wysadzał, opał znosił i do wiecznie płonących palenisk dokładał, a niewolników afrykańskich tak podle traktował, jak to się po osobie jego pokroju spodziewać można było. Pewnego dnia proch mu powierzono – stan jego duszy pod rozwałę biorąc, wielkim krokiem ku odkupieniu owo wydarzenie było. Po trzech posępnych latach dniówki dostawać począł, a po dwu kolejnych, będąc już swego losu panem, nową fortunę w mgnieniu oka zgromadził. Do Anglii raz jeden powrócił – nie do dworów, gdzie go odrzucono, lecz pod Durham ciemne niebo, do Ameryki uwieźć z sobą tę, która się na to tajemniczo zgodziła. Oto teraz pani na zamku Lepton przed Dixonem stoi, niemal taka, jaką ją na jednej ze zrujnowanych wież Raby pamiętał, choć już nie w mężów urojonych i konie z przeszłych wieków się w dole wpatruje, lecz terazniejsze misterne ułożenia z gaz kwiecistych, brokatów, brukselskich koronek, *mignonette*² i zmiętych satyn tęczowych, od których szmat własnego

¹ Wł.: piękność, która przyzywa.

² Rodzaj cienkich koronek klockowych.

parkietu ją oddziela. W melodiach żal tymczasem nieukojoyony pobrzmiwa za miłością, co katorgą jest w najgorszym razie, w najlepszym zaś i tak niespełniona.

– ...rzecz jasna szaleniec to straszliwy. – Jego Lordowska Mość z błyskiem w oku na astronomów zerka. – Czyż nie?

– Zaiste. – Dixon żarliwie głową kiwa, Masona kopnąc usiłując pod osłoną sukni gospodyni, której rąbek finezyjnie zdobiony bliżej jego osoby jakoś się znalazł, niżli na to znana mu etykieta zezwala.

– Imbecyl – Mason, jak mu się zdaje grzecznie, poddaje.

Lepton niczym dźgnięty się wzdryga.

– W samej rzeczy, tego użył słowa. A może „idiota”? Dasp, byłeś przy tym. Które to było?

– Cóż, jeśli mię pamięć nie myli, to Wasza Lordowska Mość oboma go określił wyrazami.

– Każde słowo z osobna wymawia, co słuchaczy jako niepodważalnie cudzoziemskie uderza, choć jakaż to za angielskim mowa się u niego kryje, tajemnicą pozostać musi. Jakoby wątpliwości pozostawić nie pragnął, iż ostatnia to z jego strony darmo przysługa, na Masona, a potem na Dixona znacząco zerka. Od tej chwili, jeśli na jego cenę nie przystaną, astronomowie na siebie jeno zdani.

– Choć, powiadam, zmiarkuj waść – lord Lepton dalej trajkocze – wszyscy wciąż o tym – Wielki Łańcuch Bytu to, Wielki Łańcuch Bytu tamto... Cóż, szczerze, dobra nasza zawołać jestem skory, lecz, wszak, gdy już ów długiasty, nieprawdaż, łańcuch mamy, do czegoż, do kroćset, takowy służy? Ha? Cóż taki robi? Czy coś, na ten przykład, takie cudo podtrzymuje? U dołu mu coś zwisa? A jeśli dłużej nie zdoła? Rzecz jasna spadnie, lecz dokąd i jak długo spadać będzie? Oto jest pytanie.

– Może – kapitan Dasp sykliwie odpowiada, pałeczkę podejmując – nie jest to linia wertykalna wcale. Może to spirala – lordowi gestami klaruje – wokół czegoś owinięta, coś przytrzymująca, coś, rzec by można... uwięzione? Coś, co do samego Łańcucha nie należy, lecz rozmiarem mu dorównuje. Coś, co na uwięzi trzymać trzeba i miejmy nadzieję, iż śpi jeno, gdy od czasu do czasu wzdłuż ogniw niezliczonych odczuwane jest jego... poruszenie.

– O tak! – Z dziwnym drzeniem w głosie lord woła. – Kręci się, wiję, a może i w głębi piersi, mniemać można, warczeć nieco poczyną...

– Cóż, dla mnie łańcuch to poziomy. – Dixon z szerokim uśmiechem szklanicę ponczu w stronę gospodarza wznosi, aż Mason zerka nań raptownie („Czemu do bredni tego głupca swe trzy grosze dokładasz?”) – taki jak przez jeometrów stosowany. Co przed nim położone, nad tym dumam, i co za nim, a jaki kierunek skazuje?

Gdyby ktoś w owej chwili do rozmowy dołączył, przedstawiać mógłby sobie, iż o Linii mowa i zachód odpowiedzią, atoli nabab czuje się urażony.

– Niczym jednego z tych tam lewellerów¹ się waćpana słucha – mamrocze.

Dixon ma już niemal odrzec, iż właściwie jest człowiekiem igły, gdy lady Lepton się wtrąca, wdychając:

– Pomnijcie aliści ów Łańcuch, co srożej niżli kapitana więzi, a od imci Dixona bardziej nieustępliwie niewzruszony.

Wzrok jej na każdego z nich posobnie pada, potem zaś dama znacząco na męża spogląda. Na próżno. Insynuacji nie miarkuje, paplaniną wciąż zatrudniony, a dziwacznie przy tym wobec Dixona uszczypliwy.

¹ Osoby postulujące m.in. wolność religijną i obalenie monarchii, pierwotnie radykalne stronnictwo angielskie działające w latach 1647–1649.

– Widzisz, waćpan, tam, dokąd zmierzacie, węgiel się kryje. Handel już kwitnie z Indianami, choć w dużych ilościach go znosić biedacy nie mogą. Czarny to dla nich jeno kamień magiczny wielkiej urody. Atoli nie wszystkie paleniska tu na węgiel drzewny mamy, są bowiem i koksowe, koks sami wypalamy, komory i reszta na mych włościach stoi...

Życie w tej leśnej głuszy radości lady Lepton nie dało i na jej twarzy, nadal bladocią równą Miesiącowi, co letnią porą nad nadbrzeżem węglowym wzeszedł, lata rozczarowania trwały ślad ostawiły. Z tych miar, choć, jak lord, ze wszystkiego śmiać się może, głos jej niski, a modulacja jego gorzko przemyślana, gdy u męża wysokie tony i beztraska królują. Ozywając się społem, kuriozalny duet tworzą.

Konceptami sypiące lwy salonowe wyrokowały, iż dlatego jego żoną została, gdyż do niesławnych mnichów z Medmenham¹ należał, co jej choć w alkwie różnorodność zapewniało. Aliści lord najwyraźniej ordynaryjne gusta posiada, albowiem człek, który na sukni drgania pozór daje, a i prawdziwe ruchy z nich niczym z nut czyta, pod materiałami drogimi i rozlicznymi halkami jakowąś miarę, tętno adamaszkowe wyczuć może, namiętności zdradzające z tych, co się już ludziom broni.

Dziś, gdy odzienie blisko ciała leży, trudno jest zaprawdę ów przestwór sobie przedstawić, który się niegdyś między spódnicy wierzchnim płatem a ciałem niewieściem głęboko schowanym rozpościerał.

– Dalibóg, wszystko upchnąć tam podobna – kapitan Dasp prawdziwie jest poruszony – herbatę z kontrabandy, bombę, kochanka przeciętnej postury, owoce szpiegostwa, losy narodów szyfrem pisane...

– Atoli staniczek – lady Lepton powiada – jeno błahe sekrety ukryć może, ot, jeden kluczyk czy bilecik miłosny króciutki. Zaiste, efemeryczna to powłoka, z owej pustki, co się pod stanem tajemniczo kłębi, strzelająca ku górze, gdzie w osłonięty *décolletage* przechodzi. Wrażenie to sprawia, czy się nie zgodzicie, jakoby kobieta, poczwarzką jeno będąc, swej dojrzałości przyrodzony kształt nagi przybrać się starała, odrzucić kokon z tego samego niewidzialnego jedwabiu utkany, co wszechobecna towarzyska pajęczyna, by swą prawdziwą postać uskrzydloną objawić – lecz ciężar sukni ją wstrzymuje. Inaczej może by i nawet uleciała.

– Też mi coś – małżonek jej prycha. – Tureckie gadanie. Staniczki do rozrywania służą i taki z nich pożytek.

Dziś wieczór służba we dworze to niewolnicy afrykańscy w perukach białych, ozdobach koronkowych i liberiach z niezgorszej satyny – czarnoskórzy majordomusi i subretki hebanowe. Jedna z nich właśnie ich z tacą trunków mija.

– Poncz podle receptury samego Jaśnie Pana – powabna poddanka doradza, od Dixona oczu nie odrywając. – Jak nic waćpanu w biały zadek dołoży.

– Cóż, wziąłbym był swój czarny, gdyby mię uprzedzono... – Zda się, iż zna go, a przez straszną chwilę i on, iż zna ją, mniema.

– Uroczą, czyż nie? Ostatnim razem w Quebecu bawiąc, kupiłem ją od Wdów Chrystusa. W pewnych kręgach zakon to dobrze znany, a światu ziemskiemu oddany nad wyraz. Cieleśnej śmiertelności wielorakie odmiany tamtejsze nowicjuszki zgłębiają, wycząc się na, hm, nie kurwy pospolite, choć jako kurwy uzdolnione być muszą, lecz raczej na praktyków grzechów wszelakich. Żądza jeno listę ich sakramentów otwiera. Mord i obzarstwo także na niej stoją. W rzeczy samej, na komunię świętą owego zakonu w wielce odrażający sposób ta dwójka się składa.

– Czy sposób, w jaki on rozmawia, cię zadowala, przyjacielu? – Dixon w ucho Masona głośnym szeptem rzecze, plując.

¹ Członków Hell Fire Club.

– Nieżytu usznego na dziś nie przewidywałem.
– Ach tak? Dobra nasza. Długi czas minie, nim ci znów me myśli powierzę.
– Ależ nie, mów, mów dalej. To jeno znów imbecylizm jego, co niczym gorączka malaryczna powraca, nieszkodliwe to doprawdy... A czy one – Mason czuje, iż zapytać musi: – czy one tyją?

– Czy tłuste się stają? Ha – kapitan Dasp zapewnia – raczej gwałtowne, zachłanne, niewierne. Iż niezliczeni mężczyźni się w nich zakochują, dodawać nie trzeba. Bez przerwy ogromne sumy im wypłacają, do ruiny się tym doprowadzając, zaś Las Viudas de Cristo¹ w skarby obrastają, a sława ich nie słabnie.

W tej właśnie chwili, jak później zarzekać się będzie, Mason pojmuje, iż Dasp to szpieg francuski. Traktat paryski² pewną ich liczbę rozproszoną tu ostawił, przejęcie Kanady przez Anglików wielu na południe i zachód wyгнаło, do Illinois i dalej. Pépé d'Escaubitte³ się widuje, Marthioly'ego Żelazną Maskę także, 2-A Lagoo i chłopców z Presque Isle⁴. Mało kto poza ryzykantami w Pensylwanii nadal bawi. Głupcy to, choćby nie wiadomo jak podziwu godni, a i tak zawsze południa się trzymają, by w razie potrzeby do Maryland zbiec galopem, gdzie siatka katolickich domów schronienia użyzyć gotowa – choć nikt też gościa nadto nie wyczekuje.

– Co takiego, znów ten żabojad przeklęty?
– Chauncey, nie przy dziecku!
– Och, mamusiu, czy ów jegomość z mową zabawną znów nam wizytę złoży?
– Tak, złoży, lecz piśnij choć słówko, a Bóg cię w miejscu porazi, może z buzią tak właśnie rozdziawioną.
– Buzia na kłódkę, przyrzekam! A czy pichcił dla nas będzie? – Takie to oczekiwania błahe, równie ulotne, co woń pieczeni, życie owym banitom ratują.

Gdzieś zza olbrzymiej klatki schodowej skrzytu gongów uderzenia się rozlegają, z których każdy w innym stroju dzwoni. – Nareszcie – niejeden gość mruczy i cała czereda zwawo ku innemu skrzydłu zamku spieszy, co u wejścia w salę kopułą krytą przechodzi. Półkulę tę, zdumiewającej wielkości, z jednego kawałka szkła odlano, w pierw jako bańkę, przez zmyślną pompę jezuicką do rozmiarów stodoły nadmuchaną, która po ostygnięciu na pół przepiłowana została. Siostrzana kopuła także w Ameryce się znajduje, choć gdzie dokładnie, tego gospodarze zdradzić nie są skory, a jako iż wszystkim teraz jeno gry i zakłady w głowie, prędko kwestia ta w zapomnienie idzie.

Oto raj trafu – koło ruletki wielkie niczym karuzela, piłeczki loteryjne bez końca w klatkach wirujące, bilard, bakarát, bezik i inne gry, w których damy i walety to osoby żyjące. Pod stopami dywany flamandzkie, na dywanach stoliki do gry przez ocean z warsztatu samego Chippendale'a sprowadzane, nad głowami żyrandole, by światło świec wzmacać, sekretnie i sprytnie fasetowane, zaś wśród przepychu goście, co dzieciom podobni, w ludzi handlu w miniaturze się bawiącym, których planszą lądów i morza, świat cały. Gdy się po grach ockną i sumy przepuszczone poznają, niejeden przebudzenie łzami gorzkimi przyplaci...

¹ Hiszp.: Wdowy Chrystusa.

² Z 1763 r., kończący wojnę siedmioletnią, prowadzoną również w koloniach.

³ Po angielsku brzmi to jak *disco beat*, rytmy disco.

⁴ Fort nad jeziorem Erie, obecnie miasto Erie w stanie Pensylwania.

– Wielu chrześcijan – Wielebny dopowiada – grywanie na pieniądze grzechem nazywa. Wśród uczonych padają poważne pytania predestynacji i woli bożej dotyczące. Stwórca każdy ułamek każdego żywota w czymś na kształt niebiańskiej księgi rachunkowej notuje, dobre i złe zdarzenia każdemu z osobna zsyłając, nawet wówczas, gdy sztorm na morzu wznieca, wiatry pomyślne pirackim galeasom zsyła, a Mohawków na faktorię napuszcza. Albowiem Panem jest niebezpieczeństw wszelakich. Atoli inni, w zaciszu domowym bezpieczni, o Jego wolę zakłady czynią, co się nie tylko w czynach człowieczych wyraża, lecz równie zgrabnie w kości upadku czy kart doborze.

– Czyżbyś nas, Wicksie, miał jeno za kartowników pospolitych? Szulerów, co na majątku ryzykantów żerują? Pominąwszy to, w czym domu zawsze mile widziany, proszę, wyznaj wszystko, otwórz swe serce przed nami.

– Co mię, Wade, największym lękiem napawa – Wielebny ciągnie – to możebność kolosalnych sum tak prędkiego zdobycia. Jeśli marynarz w sporze o sześć pensów zabić może, jakież, przy grze, w której o miliony funtów idzie, okropieństwa wybujałe, w tym wojna światowa, grożą?

– Nie do mnie to pytanie. Ja, gdyby szczęście dopisało, może tysiąc w tym roku zarobię.

– A jeśli wszystkim przyjdzie już wiarę w dobry los odstawić? Oszukują tedy.

– Zuchwalcy.

Już po balu. Pokoje im skazano i na spoczynek się społem udali. Zbyt późno, by gracz pochopny wyrzuty sobie czynił, lecz Mason rozsierdzenie pielęgnuje.

– Karty miał znaczone, kostkę z podstępnie lakowanego żelaza, blat magnetyczny nastrajany, a niech mię – dwadzieścia funtów nam winien¹ – więcej! Cóż począć mamy? Jeść jeno kurzonki? Toż to Towarzystwa Królewskiego fundusze, ba, króla samego! Prosto z G. Rexa² kiesy! Czy w prawdziwym Angliku krew nie wrze na myśl o tym!

Tej zniewagi Mason puścić płazem nie może. Ów dzikus utytułowany, któremu z nosa kapie, pieniądze na wydatki wyprawy przeznaczone beztrósco w prezencie niewolnikom rzucił, którzy noc całą węgli rozżarzonych doglądali i sprzed oczu grających dym miechami spędzali, by ci karty trzymane dostrzec byli w stanie.

Tak się nie godzi.

– Zabierzmy zatem coś, co dwadzieścia funtów warte. Niech nas łajdak ściga. – Dixon kapelusze poprawia. – Rozejrzyjmy się. Tu na ścianie, ten kwasoryt, cóż on przedstawia? Scena turecka chyba? Czekaj... Masonie – tu panny prują! Ha! A tu co mamy? Cóż... W Filadelfii to kupca nie znajdzie. A to? Urynał? Chyba nie. Może łożę?

– Równie dobrze tę wannę wziąć możemy, co tam w kącie stoi. – Mason na gigantach o łapach niedźwiedziach skazuje, z miejscowego żelaza u Leptonów odlanego.

– Wyśmienicie! Wannę bierzemy.

– Dixonie, z pół tony ona waży, jeśli szczęście mamy. Nie uniesiemy, a i dokąd unieść, nawet gdyby sił starczyło? A do celu dotarłszy...

Dixon do wanny podszedł tymczasem i mamrocząc, ją bada.

– Prawa dźwigni... William Emerson rzeczy nas uczył, które nikomu innemu w Anglii nie są znane. Kunsztu mechanicznego tajne metody, koło roku pańskiego

¹ Mason przegrał, ale uważa, że niesłusznie, więc to tamten jest mu winien.

² George Rex to król Jerzy, tudzież nawiązanie do słynnego dinozaura.

390 z biblioteki aleksandryjskiej uratowane, nim w proch wszystko obrócili rozszalali chrześcijanie, od owego czasu pilnie strzeżone, przez wieki z należytą powagą z mi- strza na ucznia cedowane.

Mason oczy mruży.

– Winienesz przeto „sekretu” mi nie zdradzić, nieprawdaż? Tak jak i z zegarkiem było.

– Ach, musiałbyś nieco złowrogą „przysięgę milczenia” złożyć, rzecz jasna, lecz na to później pora. Teraz patrz. – Zda się, iż ledwie tknął kolubryny, gdy nagle, jako- by lewitując, dęba ona staje, na wywiniętym ozdobniku jeno się opierając.

– Zdumiewające! – Mason woła.

– Proste prawidła równowagi, środki ciężkości prawdziwe i pozorne, momenta inercji...

– Wciąż mi się trafiają...

– Waga zakładana...

– W kupca kolonialnego się bawisz? – Choć nadal oczy mruży. – Cóż to? Czy sło- wo „magnetyzm” nie padnie? Z zamysłem je omijasz?

Dixon nie odpowiada, na delikatnym wklęsłość ogromną popychaniu żelastwa sku- piony. Przez komnatę i ku drzwiom wklęsłość ogromną prowadzi, choć czy w nich się ta zmieści, nie jest zrazu wiadome. Dotyk jego tak jest pewnym, iż deski nie skrzy- pią prawie.

– Doskonale. Teraz niechaj jeno wyjrzę na schody... I jeśli obiekcji nie wnosisz...

– Tak? – Mason ślinę łyka.

– To – na kształt nad nimi górujący skazując, powiada – należy pod takim kątem trzymać, pod jakim stoi. Nie tylko względem podłogi, miarkujesz, przyjacielu, lecz także pod kątem rotacji wokół dłuższej z osi. Staraj się je oba jako jeden pojmować. Wszystko jasne?

– Pra... Pragniesz, abym... A może... Dlaczegoż by jej po prostu nie oprzeć o tę tu ścianę?

– Ścianę? Ha, ha. Ścianę przebije. Ścianę! Nie, nie, proszę jeno, abys wannę pod- trzymał przez minutkę, gdy ja na zwiad pójdę.

– Minutkę. Przysięgasz?

– Dwie minutki. Nie więcej. Stać będzie ładnie. Dopóki nadto jej nie przechylicz. Zuch. Tu się wślizgnij, o tak, a tam przytknij dłoń. Mało kto tam co przytykał, przy- jacielu. Patrz no na naszą wannę, idealnie nieruchoma. U szczytu równowagi, w ci- szy mocy przybiera. Tak, z tego miejsca nas ku wolności poprowadzi. Pięknie. Teraz nie ruszaj się. Wróć niebawem.

Znika, pod wanną Masona ostawiając. Wkrótce starszy astronom woń tytuniu wy- czuwa – bez dwu zdań, sort to przez Dixona przedkładany. Gdzieś tam sobie z lubo- ścią z fajeczki pyka, gdy kompan jego nad utrzymaniem osi się trudzi i co rusz ku górze zezuje. Po chwili, jakoby do siebie, Mason szeptem woła:

– Dwie minuty i trzydzieści jeden sekund przeszedł.

Słowa głośnym echem się rozchodzą. Zda się, iż boleśnie w jedno ucho wnikają i przez głowę przemknąwszy, drugim ulatują. Masonowi jawi się, iż Dixona, a potem jeszcze kogoś w pogłosie słyszy – lady Lepton, o ile się nie myli, choć rozmowa ta wkrótce się kończy i jeno inne dźwięki ostają. Krzesło przewracane. Westchnienia. Materiał darty. Piśnięcie wesołe. Wtem w dwugłosie melodia pozytywkowa, jak nic „Czerwieńszy niżli wiśnia”, w kuriozalnie przyspieszającym *tempo* rozbrzmiewa. To niesławny staniczek muzyczny, przez londyńskiego rzemieślnika obmyślony, w któ- rym, przy haftek rozwieraniu, kolce wzdłuż nich wszyte zęby metalowego grzebienia

posobnie szarpia. Każdy z zębów inaczej jest strojony, a im mocniej kto ciągnie, tym tony głośniejsze.

– Rozrywka, co się zowie! – Mason woła.

Jak się od wanny przekłętej uwolnić, pojęcia nie ma, choć teraz raczej nie jest zdatna po temu pora, chyba że... Nasłuchuje. Zda się, iż już nie... hm, nie tyle odgłosów co uprzednio jego uszu dobiega.

Żaden, w rzeczy samej.

– A niech to, oszaleć można, każdy się zgodzi!

W złowrogiej ciszy, która z wolna wśród ech słabnących zapada, Mason miarkuje, iż w wierzch wanny, tuż nad jego głową, miarowo ktoś stuka. Dzwonienie to wkoło kolubryny się posuwa, aż w końcu oczom astronoma zarumienione oblicze się objawia w staromodnej peruce cudzoziemskiej roboty. Jegomość ów pysznym kompasem wymachuje, z mosiądzu i mahoniu sporządzonym, co w zwoje drutu miedzianego, tajemniczo splecione, tarcze i śruby mikrometryczne jest zaopatrzony.

– Me uszanowanie – Masona pozdrawia. – Czy to waćpan za tym zdumiewającym magneselem stoisz?

– Magnesem? Toż to wanna, panie. – Iż echo mocy głosu nada, nadzieję żywi.

– Trzeci biegun ziemski tu stoi, powiadam – rozczochrany filozof rzecze. – Uważaj, waść.

Komnatę przeszedłszy, gwóźdź wyjmuje i puszcza, ten zaś, jakoby przez coś prowadzony, w powietrzu po dziwnym łuku sunie i w wannę z głośnym brzdękaniem uderza, szpic o jedną ósmą cala skracając, lecz nie opada.

– Węgierski wampiryzm to poniekąd przypomina – nieznajomy powiada, gwóźdź odejmując i szereg innych jemu podobnych od metalu odrywać poczyna – tym, iż jedna masa żelaza drugiej zdolność swą przekazać może. Proszę mi wybaczyć. Profesor Voam. Nauki krzewieniem się trudnię, a obecnie przedstawicielom władzy królewskiej umykam, gdyż w Filadelfii galanta prądem poraziłem, co najprostszej przestrogi usłuchać nie potrafił. „Torpedy¹ nie tykać”, czy to korci kogo? Atoli tacy są w Ameryce ludzie młodzi – przeklęty fircyk samodzielnie sprawdzić musiał. I choć równie samodzielnie sobie biedy napytał, orzekła mieszkańców uzbrojona gromada, iż lepiej będzie, jeśli odjadę... Czy długo jeszcze będziesz waść pod wanną wystawał? Może by się gdzieś znalazło kawy?

– Jak tu mię ulokowano, pewności nie mam – Mason nieco smutno rzecze – a jeszcze mniejszą, czy metoda oswobodzenia mi znana. Tym bardziej wzmianka o kawie me przygnębienie pogłębia.

– Ktoś waść pod owo cudo żelazne wsadził?

– Kompan mój, imć Dixon.

– No tak! Dixon i Mason, astronomowie!

– Właściwie – Mason wtrąca – to jest...

– Mam nadzieję, żeście się chłopcy nie posprzecziali.

– Prynypia statyki właśnie mi wykladał, gdy cosik mu na zawadzie stanęło. Najwyraźniej wanna ta podle pewnej osi spoczywa, którą jeno Dixon zmiarkować jest w sile.

Profesor pobieżnie giganta bada, przyrządem swym tajemnicze acz miarowe łuki zataczając.

– Owa oś jest magnetyczną! Arcyciekawe. Dobrze, iż podpierać tego mechanicz-

¹ Autor używa nazwy *torpedo* (drętwa), ale chodzi mu o węgorza elektrycznego (rybę należącą skądinąd do rzędu strętowkształtnych, innego niż węgorz), co później tłumaczy.

nie nie próbował. Ho, ho! Jak naleśnik by waćpana spłaszczyło. – Ostrożnie chwyt przy krawędzi dobiera.

– Wybacz waszmość, lecz na co? By uważać, jak się taki smaży? Mówić, och, jakiś ty okrągły, a tve banieczki, takie urzekające...

– Dobrze, dobrze, jak... O, teraz utrzyma. Pomóż mi, waść, jeno opuścić – *Q.E.D.*¹ *et amen*. Piękna wanna, nie powiem. Zaiste, mógłbym w niej Felípe trzymać.

– To waćpana...?

– Torpeda. Temporalnie w sadzawce arabskich ogrodów pomieszkuje, lecz wkrótce czas nam w świat ruszyć i cóż poczniemy?

Mason wypręża się i szyją kręci.

– Jestem zobowiązany. Teraz może drogę ku wolności skazać waćpanu mogę. Wielu zbiegów już się przyłączyło do naszej wyprawy, wszystkim zaś prowincji włodarze na podróż gwarantują, a ich podwładni także. Są wśród nas krawcy, muzykanci, cukiernicy, wróżbici, chórzystki, szulerzy i obwoźnych panoram właściciele, niech nas Bóg błogosławi, lecz, z tego co mi wiadomo, nikt ryby elektrycznej nie posiada.

– Dobre masz waść serce. Aliści w Filadelfii na pokazach wielu obelg wysłuchałem. Pewności nie mam, czy na Zachodzie lepsze przyjęcie mię czeka.

– Niemniej założyć można, iż na zachód się posuwając, człek ku niewinności powraca, której granicą zwierząt niewinność, z jakimi tamtejsi mieszkańcy co dzień do czynienia mają. Cóż, możebne, iż torpeda waćpana bardziej im do gustu przypadnie, niżli waść wyrokujesz.

– Elektryfikacja wsi – profesor wzdycha. – Owoce jej niezbadane. Gdzie nasz wybór? Pójdź waść za mną, a Felípe poznasz.

Zaczekawszy na Dixona, co z zamaskowanego przejścia w boazerii się wynurzył, uśmiechnięty szeroko, kwaterę swą, wannę tocząc, opuszczają. Na korytarzu, który ku ogrodom arabskim odchodzi, Masonowi drogę niewolnica zachodzi, niedawna Dixona rozmówczyni, do stanięcia w miejscu go zmuszając, twarzą w twarz, w bliskości znacznej.

– Znów mię opuszczasz, Karolu?

– To nie ty.

– Malajczycy mię porwali. Miłości handlarze. Z packami na muchy po targu się przechadzali, chłopcom i dziewczętom się przyglądając, to tego, to tamtą smagali – prędzej czy później na każdego przyszła pora. Gdy plaśnięcie poczułam, wydanie mię w ręce jezuitów oznaczało, jako spłatę jakowegoś długu, którego nigdy mi nie wyjaśniono. Atoli, gdy tylko Quebec zdobyliśmy, pod pieczę Wdów Chrystusa mię powierzono. Tam też, po mym nowicjacie, do *rapprochement*² między mną a drogim kapitanem D. doszło.

– Twój francuski się poprawił – Mason szepcze. – Wiem, kim jesteś, i to dobrze przed północą następną. Aha, a jeśli o „drogiego” chodzi, ów człek najmniej biczownikiem, rozpustnico.

Uśmiecha się, nie tak bardzo tajemniczo, odwraca i odchodzi, swymi kulami kołysząc. Na nieszczęście dla was, okoliczni biczownicy, jeno na czas krótki ją Lepton użyczono, za dwie niedziele gdzie indziej kołysać nimi będzie, a zatrudnienie to w przepychu i wśród wielkich tego świata przebywać jej pozwala, najmniej na razie. I kto trzyma, iż tak straszna jest niewola?

¹ Łac.: *quod erat demonstrandum* – co było do udowodnienia (formułka kończąca dowód twierdzenia matematycznego).

² Fr. zbliżenie (np. w stosunkach państw).

– Żegnaj, Karolu.

Sylwetka jej się zaciera i za łagodnym zaokrągleniem muru znika. Mason, Dixon i profesor za każdy sekretny panel zagląдают, lecz nigdzie jej nie ma... Miast tego w pokoju mniej używanym trójka kompanów nad jakowymś drugorzędym kominem beztrzesko zawieszoną strzelbę niderlandzką dostrzega, z pięcioramienną gwiazdą odwróconą z srebra wypolerowanego na bace policzkowej. Świeci tak na malunku drewna kolbowej szyjki i policzka, co się kunsztownie za zamkiem wznosi. Zaiste, Gwiazda Polarna to diabelska...

– Tak się złożyło – imć LeSpark opowiada – iż właśnie w owym pokoju na kanapie spoczywałem, po bezlitosnych godzinach swawoli chwilę wytchnienia znalazłszy.

– Sam, rzecz jasna – jego żona wtrąca, a oczy groźnie ma roziskrzone.

– Jak każdej przygnębiającej nocy, ponurą próżnię przedmażeńską przemierzając, żonkilku mój zielony. Wszelkie uciechy wymogi kupiectwa udaremniały, w tym i towarzystwa płci pięknej zdobycie. – W tym oto godnym pożałowania stanie drzymał, nim go jeometry nie zbudzili, o pochodzenie strzelby zawzięcie się wyklócając. Mason upiera się, iż jest kapsztadzka – Dixon przy amerykańskiej obstaje.

– Toż to nie fuzja na słońce. Czy dość, żeśmy ich jej podobnych tu nie widzieli? Lufa wszak krótsza i drewno inne.

– Religia twa, rzecz jasna, ze znania się na broni słynie.

– Każdy chłop ma tu strzelbę u boku, narzędzie to pierwszej wagi, niczym pług i siekiera. Zmiarkować musiałeś.

– Dzień i noc zewsząd przez tłuszcze amerykańską otoczony, której każdy członek pukawkę dzierży – cóż, przyznaję, chyba nieco pozór dałem...

Wade LeSpark wolno się unosi, by ich przez oparcie kanapki obaczyć.

– Witam waćpanów. Leżę tu czas jakiś i też się przypatrywałem. Przednia sztuka, nieprawdaż? Pochodzenie pospolicie zgadnąć można po skrytce na przybitki na policzku kolby. – Po strzelbę sięga i kraniec właściwy ku latarni zwraca. – Okucia, jakoby sortem podpisu były, na danego rusznikarza bowiem skazują... Tu, oto znów i ona, wasza gwiazda odwrócona, jako kryptogram w dziurkowaniu oddana. Ten msiądz niepospolity – można by rzec, bladawy – mimo embargo brytyjskiego, cynku zawartość wysoka, a i w formie piaskowej odlewany, nie z arkusza cięty... A niech mię, znawca z tego Leptona.

Strzelbę odłożyć nie jest skory. Ośmiokątną lufę raczej w ogniu na błękit niżli kwasie na brąz barwiono. Zamek ostawiono błyszczącym, a choć długi, zgrabnie nad obrączką wokół spustu leżał. Wszytko węższe, skupione, skręt wewnętrzny gwintowania nieco gęściejszy niżli w czterdziestce ósemce, co ładunek mniejszy i krótszy zasięg poddaje... Leśna to broń, dobrana do jednej zwierzyny, cięższej niżli wiewiórka, lecz lżejszej niżli jeleni... W prostocie swego zamysłu, rzecz by można, amerykańska, tak jak imć Dixon domniema, aliści z warsztatu żadnego LeSparkowi znanego rusznikarza nie wyszła.

– Czy jest waćpanu znana – Mason pyta – inna taka gwiazda odwrócona, w Lancaster, na szyldzie ze strzelbą niderlandzką?

– Tak, tak. Jakowąś miejscową sztukę miał on niechybnie przedstawiać. Pamiętam, iż okucie tam kształt stokrotki przybiera, okoliczni rusznikarze je nad inne przedkładają... Aliści trwa wciąż spór co do tego, która strzelba za model służyła – to jest, jeśli jakakolwiek – zbyt często się tu na rubieżach granicy prawdy i wizerunku zaciera. Szyld gospody u nieznanego, wędrownego rzemieślnika zamówiono, który miasto, równie tajemniczo jak się w nim zjawił, w zawierusze roku pięćdzie-

siątego piątego opuścił. Czy zginął, czy na południe ruszył, tego nie wiadomo. Jedna z historii głosi, iż pędzła nie mając, poszedł w las i ogonem wiewiórki zastrzelonej strzelbę, którą się był posłużył, wymalował. Gwiazdę, ot dla kaprysu, później przydać mogli, a może między dwoma ramionami w górze czy w dole artysta różnicy nie widział.

– Lecz może te zdarzenia – Mason się burzy – z innymi w sposób niedostrzegalny są połączone? Czy odrzucić to tak snadnie waszmości przychodzi? Wszak to insygnia szatańskie – czy namacalne, czy namalowane, jeno diabła wysłannicy wśród nas obnosić je mogą.

– Wielu trzyma, iż każda broń palna szatańskim wyrobem, na żadne ozdóbki przy tym nie zważając – LeSpark na tyle godnie odpowiada, by słuchaczom poddać, iż fach ten jest mu dobrze znany. – Inni zaś te ślicznotki pensylwańskie niemal za dzieło Boże mają, a w osądach swych równie są żarliwi. Stąd pat, ha, i cóż z tego?

– Lecz owe drobiazgi – profesor Voam wtrąca – działaniem swe skromne rozmia-ry znacznie przewyższają. Jeśli pentagram ten, jeno na to bacząc, iż milczące rozpo-znanie wymusi, wyceniono, koszt swój już po wielekroć zwrócił.

– A wanny przyciężkawe – LeSpark replikuje – kosztów nie zwrócą, jakie na ich przenosiny poniesiono. Jak daleko tę tu, na ten przykład, wywieźć mieliście w za-miarze?

– Gdybyśmy wpieryw tę strzelbę ujrzeni – Dixon żałuje, szczerze, jak się zdaje – z nią byśmy miast kolubryny zbiegli. Rzecz jasna, jeśli nasz gospodarz, oszust je-den, przyjacielem bliskim waćpana nie jest.

Mason, oczy w przerażeniu wybałuszysz, rękaw kompana ciągnie, uciszyć się go starając.

– Czyż nie pojmujesz, iż klątwa nad nią wisi? Opamiętaj się, na Boga, Dixonie!

Atoli w spojrzeniach sobie nawzajem posyłanych, co imć LeSparkowi na lata się w pamięci wryją, każdy wkrótce zdradza, iż w głębi ducha ową strzelbę głęboko po-dziwia. Pomimo niepomyślności, jakie jedno jej tknięcie na człeka zesłać może, za jej brutalną wyniosłość, niemal klasyczną, ją podziwiają, a także za wierność sakra-mentalną, z jaką gracją zabójcy daną obnosi – jeno gdy przedmiot tuż pod swym ziemskim konturem śmierć kryje, równie gwałtowne i nagle pożądanie wzniecić po-trafi.

Imć LeSpark z wieloma się kwakrami targował – znana mu bezsłowna gwara, któ-rą Dixon przemawia. Sedno tkwi w tym, iż strzelby kradzież daleko bardziej niżli wanny niebezpieczna.

– A co się wanny tyczy – imć LeSpark uśmiecha się szeroko – o jakiej wannie mo-wa, mi nic nie wiadomo?

– Pójść na rękę nieznanomym, czy ryzyko to nieduże? – Dixon duma. – A nuż my banici na wszystko gotowi?

– Nie wulcie, z czym miewam tu do czynienia. Przekupstwa, podszywanie się, zie-mią spekulacje, skalpów kradzieże, diwertimenta żeńszeniowe. Z każdym dniem ko-lejny przypadek zniechęcenie zwiększa. Wasza trójka chłopaczkami jeno, którym figle w głowie.

– Za dobre serce pięknie dziękujemy. – Mason płaszczy się bez potrzeby.

– Atoli z drugiej strony – LeSpark figlarnie dopowiada – Lepton to klient waż-ny... Może w te pędy biec doń winienem, o przywłaszczeniu wanny powiadomić? Mo-że Daspa za wami pośle z jeźdźców gromadą? Może ta strzelba do jednego z nich na-leży?

– W takim razie lepiej będzie, jeśli się pospieszymy.

– Szerokiej drogi! – I imć LeSpark, jak później opowiadać będzie, na powrót na kanapce zlega, znów wytchnienia w samotnej drzemce szukając.

Ostatnie drzwi budynku minawszy, ku arabskim ogrodom spieszą – Dixon zręcznie wannę po kaflach przesuwają – hurysy uciszają, torpedę zabierają (o niecierpliwym wejrzeniu, jakoby ich przybycia czekała), z sadzawki zaczerpują nieco wody i ku rampie wygodnej spieszą. Tam wannę i rybę na wóz kryty pakują, w świeże konie zaprzęgnięty i niedawno rozładowany.

– Wiśta wio! – Profesor cugle chwyta i, do licha, ruszają!

Kapelusz przytrzymując i jak przy sztormie się na siedzeniu kolebiąc, Mason wiatr pędem wywołany przekrzykuje:

– Powiedz, Dixonie, czy zdawało ci się, iż Austrą to była?

– Jeśli tak, zmieniona...

– Porażająca kobieta. Chrapkę na mię miała, co zmiarkować musiałeś. Dawnej Austrze, co znieść mię nie mogła, niepodobna... Nie, to nie była ona, poznać jest się w sile, albowiem odraza u niewiasty nieodwracalną, najczystsze to jej uczucie.

Bez przeszkód do ściany lasu docierają, a wkrótce i na gościniec ku promowi biegnący, tętentu kopyt za sobą nasłuchując.

– Prędzej czy później – Mason biadoli.

– Czemuż by ścigać nas mieli? Dwadzieścia funtów dostali.

– Och, nie „nas”, Dixonie. Ciebie. Czyżbyś zapomniał? Ja pod wanną byłem.

– Piękne przedstawienie – profesor Voam się śmieje.

– Znosisz to gładko, profesorze?

– Zawsze tak kończę. – Od karczmy do karczmy ze swym olbrzymim okazem gumańskiej torpedy podróżuje, tajemnicze i nieraz życie odmieniające talenta elektrycznego stwora pokazując, a i wykłady o nich dając. – Zwę ją „torpedą”, choć nauka głosi, iż prawdziwa torpeda płaszczki jest odmianą. – Osobnicy w czapkach z martwych szopów występ jego przeczekują, zbiornik z torpedą uważając. – Jako węgorz elektryczny także jest znana, choć imć Linneusz orzekł, iż nie węgorz to, lecz *gymnotus*¹. Płaszczka, węgorz czy *gymnotus*, dla mnie zawsze „torpeda”. „Pamiętaj, by torpedę dziś nakarmić...”, „Ciekaw jestem, czy torpeda już naładowana?” – rzecz jasna, nigdy jeszcze nie jest – starczy, iż w oczy jej zerknę, a już wiem ile. *Sí, sí, carinio* – szepcze, do wielkiego zbiornika sięgając, i tuż nad cielskiem ryby, od głowy po ogon, dłoń delikatnie przesuwając poczynają. Zwierzę spokój zachowuje i pieszczotę bladym uśmiechem nagradza, który torpedy wielbiciele po dołęczkach w kącikach jej warg miarkują – jakoby w jej na wpół przytomnym żywocie ponurym chwila nadeszła wywczasu zażyć i nieelektrycznemu stworzeniu dla odmiany na dreszczy wywoływanie pozwolić.

Profesorowi jako El Peligroso, czyli Groźny przedany, Felípe, jak na surinamskiego węgorza, jest dość spory – pięć stóp sobie liczy i dwa cale², a to nie koniec. Gdy rośnie, wymiary jego narządów elektrycznych się zmieniają. Najsrożej te z płytek intrygują, które niemal wzdłuż całej cielska długości wyrastają, a społem takie mają działanie, iż głowę dodatnio, a ogon ujemnie ładują. Oba krańce zwierza tknąć starczy wówczas jeno, by obwód dopełnić i na ujście fluidu elektrycznego zezwolić, lecz jak, to już w nadzorczy rękach głównie leży, który patrzaczy różnorodnością sztuk pirotechnicznych raczy.

¹ Linneusz uznawał węgorza elektrycznego za gatunek z rodziny *Gymnotidae* w 1758 roku; w 1864 zaliczono ją do rodziny *Electrophoridae*, i tak jest opisywana w większości źródeł, choć amerykański ichtiolog M.M. Ellis zaproponował w 1913 roku powrót do starej systematyki.

² Ok. 157 cm.

– Ten tu *gymnotus* w pełni jest nasycony, ospały, w rzeczy samej jakoby przytomnością elektryki odurzony, każda jego cząstka nią nabrzmiała. Oto El Peligroso w całym majestacie. – Tu węgorz nową pozę przybiera, jakoby portreciście się prezentował. – Torpeda – ciągnie profesor – w postaci światu znanej, wędrowny aktor, który w swym widowisku co noc wniwecz obraca to, co za dnia zgubne uzbierał, zaś sekrety elektryki w nim przepływu nadal najtęższym głowom świata nauki się opierają, w tym i włoskich jezuitów gronu, studiom nad ową rybą jeno oddanym. Mniemać możemy, iż żywot to bezbarwny, rutyna niebywała, atoli porządku uwielbienie jest Felípe przyrodzone. *Sí* – do najwyraźniej uważającej torpedy się zwraca – *una criatura cíclicam, así eres*¹... Odjazdy i powroty w żywot jego wpisane. Gdyby musiał, jak my, porami dylizansów się trapić, spotkaniami opuszczonymi i szeryfem Thickleyem – wzmianka o miejscowym stróžu prawa radosną wrzawę wzbudza – wierzcie mi, markotną byłby torpedą. Skąd wiem? Liczyłem. Do szczęścia miary mu trzeba.

– A i nam także. Gdzie się me banjo podziało? Ach, tu ci ono. – I melodię dziwnie synkopowaną brzdękając, śpiewać poczyna.

*Wszem i wobec rozgłaszajcie –
Oto ryba w świecie znana,
Zachwyt w Londynie wzbudziła
I na dworze u sułtana,
Króle, szlachta i bogacze
Byli nią oczarowani,
Sztuczki za dwa pensy robi,
przyjdźcie i obaczcie sami!*

Wszycy galanci stąd po Filadelfię chyba tu dziś wieczór zjechali, w błyszczące, seledynowe kamizelki odziani, surduty z brokatu, co bezguściem niewiarygodnym oczy ranią, peruki z cudzoziemska kuriozalnie przybrane, trzewiki o obcasach niżli nóżki kielszków wyższych, pończochy o barwach nad wyraz niefortunnie dobranych, gdzie, dajmy na to, zieleń z purpurą się gryzie, i wreszcie szkła dziwnie nieprzeźroczyste, co nie tylko z owych dwu odcieni korzystają. Kawalerowie tabakierkami i piersiówkami wymachują, chichocząc przy tym bez opamiętania. Co się zaś kapełuszki tyczy – lepiej kwestii tej nie poruszać. Zda się, iż przez Schuylkill przeprawa jakowegoś Rubikonu mody jest przekroczeniem, iż krainę kwakerskiej prostoty człek za sobą ostawia, by poznać zagubienie świata po grzechu pierworodnym, które coraz to nową postać przybiera. Profesor woła:

– Widzę, iż sporo się natrudzić będę musiał, by taką publikę jak tu w zdumienie wprawić!

Wszystkich zebranych ta zgodność sądów raduje, głośno to zatem wyrażają. Tedy na znak przez swego pana dany, Felípe w zbiorniku staje i ukłony wkoło posyła. Tymczasem profesor cygaro antylskie dobywa, odgryzłszy koniuszek, dwa druty ukazuje i odrobiną żywicy się posługując, do cielska rybiego je mocuje. Węgorz przystaje na to, choć, jak każda bestia szkolona, nieraz bez przekonania w stronę ruchliwych dłoni się zamierzy, szczęki przy tym dość szeroko rozdziawiając, by szereg ostrych jak sztylety zębisk patrzącze ujrzeć mogli, co lęk z podziwem zmieszany na nich zsyła. Wolne końce drutów profesor z wolna społem przesuwa. Wtem iskra wielka między nimi przeskakuje, oślepiająco biała, a nieustraszony Voam cygaro w nią wtyka, dru-

¹ Hiszp.: stworzenie cykliczne, tym jesteś.

gi zaś czubek ssać gwałtownie poczyna, by w końcu nielecho rozjarzonym go zaprezentować.

Mason wzroku nie odrywa, wielce oszołomiony. Gdy go Dixon za ramię potrząsa, nie od razu odpowiada.

– Zły to zamysł wprost w iskrę się wpatrywać. Karolu?

– Dixonie – ozywa się szeptem poruszonym, ku czemuś tuż za swymi powiekami skierowanym. – Widziałem...

– Już dobrze, już dobrze.

– Widziałem...

– Iskra zbyt jasna była, Masonie. Wszyscy prócz ciebie oczy odwrócili.

W ukrytym dzienniku, do którego tak rzadko zagląda, iż „miesięcznika” raczej wienien nosić miano, Mason pisze: „W sercu ognia elektrycznego, poza barwą, poza kształtem nawet, szczelinę ku innej przestrzeni i czasu prowadzącą ujrzałem, niżli te, z którymi astronomowie i jeometry popolicie do czynienia mają. Do wejścia mię zachęcała, mię lub raczej ducha mego, atoli na zbliżenie się ciała śmiałości nie starczało – w rzeczy samej, odejścia rojenia sobie życzyło. Przez cały ten czas stwór w zbiorniku z rozpoznaniem w oczach mię uważał, niczym nieznajomy, co trzyma, iż na jakowymś odległym brzegu doszło do naszego spotkania, brzegu, do którego przybić już nie sposób. Delikatne i pełne nostalgii było to spojrzenie, dzicz i posokę kryjące, jak się obawiałem, a błyszcząca głębia owej wielkiej iskry wciąż mię przyzywała...”

Przypadku tego, jak i pozostałych, wyjaśnić mi nie sposób. Ni chwil tych nie wybieram, ni jak je wywołać nie wiem. Bez uprzedzenia mię nachodzą. Czy z Dixonem mam pomówić? Czy rojenia te melancholii są przejawem dalej posuniętej, niżlim tego świadom? Czy do Cherrycoke’a po radę się udać winienem, Boże uchwaj, owego cherubina natrętnego? Każde me słowo, które spamięta, odnotuje. (Czy się taka pewnikiem wiele stroniec zajmująca pisanina do jakowychś przyszłych kosztów rozliczeń przyda, udowadniając, iż duchowego doradcy szukał?).

Cóż się kryje za ciągłym torpedy oczarowaniem? Gdybym ja nią był, wiem, iż co wiecór sztuczki jednakie już by mi się sprzykrzyły, może nawet w irytację wpędzały, alieści węgorza oblicze dziwnie jest mądre i życzliwe. Gdy kawę piję, co rano chwilę społem spędzamy – *gymnotus* w milczeniu spoziera, spokojny, płetwami wodę marszczy, w swe go dnia elektrycznego cichych godzinach, jak długo mu to dane, rozkosz odnajdując...”.

– Albowiem ładunek narasta nieubłaganie – profesor codziennie po zmroku deklamuje – wnet go wzdłuż pacierza poczuje, a już wkrótce, z wielkiego cienia poza światem przez zmysły odbieranym jego drugie ja, El Peligroso, się wyłoni, którego zstąpienia pocziwy Felípe, którego tu widzicie, powstrzymać nie jest wszak w sile.

Posiłki jego, jak na razie, głównie z miejscowych ryb się składają, choć Felípe nie grymasi wcale i ostatnio, na ten przykład, w solonej wołowinie zasmakował.

– To powrót na półkulę rodzimą – profesor mamrocze – jadło różnorakie, zasolenia dziwne wahania, niemniej może magnetyczne ma to podłoże, albowiem, jak niedawno odkryto, igły odchyleniem, podobnie jak Felípe, przemiana dobową rządzi.

Atoli za uczonymi przemowami możebność niewypowiedziana się skrywa, iż węgorz, w coraz to nowych potrawach się lubujący, za jakiś czas, może lada dzień, człowicze mięso odkryje.

Wannę porzuciwszy, Voam większy zbiornik majstruje, okrągły i w kółka zaopatrzone. Teraz na samej Linii co dzień stawiać go można, a ryba w jego wnętrzu powoli się obraca, póki głową północy nie skaże. Wkrótce kompasem wyprawy się staje, równie często co zegar czy ciepłomierz używanym.

– Podłe tej tu torpedy, północ tam wypada.

- Lepiej jutro pozór dać i tak co dzień, a nuż drogi nasz Felípe wyrok odmieni i jakowąś wielką żyłę rudną triangulacją namierzyć zdołamy. Precz tedy tę harówkę rzuciwszy, prędzej niżli na wyrąbie fortunę zbijemy, ba, prędzej niżli na konopiach nawet.

- Święta prawda – stary Haligast, który do kompanii dołączył, powiada – albowiem, bez żelaza, armie to nic nad łuki dzierżących mężów szeregi w strojach jednaki, a floty jeno powalanej roślinności zgrabnymi pęczkami.

- Przebóg, wszelkie listy handlowe pisać waść nam możesz, gdy będziemy bogaci.

- W czymś na kształt budki waćpana wystawimy, od frontu kopalni, z szyldem ogromnym, na którym stać będzie ZAPYTANIA.

- Czy pistolet dostanę? – szlachcic szelmowsko pyta.

- Ha, jeśli sobie waść życzysz, to i działo. Zaraz ci jedno prosto z naszych kuźni przysłemy.

- Chłopy, chłopcy – Barnes, ich nadzorca, nadchodzi. – Dalibóg, chyba znów się z Haligastem nie przekomarzacie? Czyż, czym to grozi, aż za dobrze nie wiadome?

- Marzą jeno społem – stary szlachcic rzecze. – Nikt nikomu żadnej szkody nie czyni.

43

Gdy pod koniec lutego do Newark zajeżdżają, stos depesz ich oczekuje przez imć Chewa przekazanych, a w nich wieści radosne, jak i piorunujące. Może kolejne zatrudnienie w Ameryce się dla nich znajdzie, przy jednego stopnia szerokości wymierzaniu po łuku południka dla Towarzystwa Królewskiego, lecz John Bird w swym liście donosi, iż Astronomem JKM Maskelyne został mianowany.

- Spodziewałeś się, iż wrzasnę, czy się nie mylę?

- Skąd, Masonie, jesteś wszak człowiekiem dojrzałym.

- Poniekąd kamień spadł mi z serca, dręczyć się już nie muszę. Ech! Weselmy się, na Boga! Cóż za znak pomyślny na początek Linii wytyczania. – Mason szklanicę raportowym ruchem wznosi, co jeno w znanym sobie przybytku się zaleca. – W chwili, w której go na stolec wynoszono, ja na odludziach New Jersey na wznak leżałem, czując się tak, jakobym kark miał złamany.

- Klątwe na nas rzucono, świadom byłeś. – Dixon przysunąć się stara i słuchać bacznie. – I nikt przewidzieć nie był w stanie...

- Och, Maskelyne wiedział, iż Bradley był chory. – Mason, wesołym być się starając, mniej snadnym jest do zniesienia niżli w melancholii najczarniejszej. – Wszytkim było to wiadome, jak i to, iż Bliss jeno *in absentia* działa, gdyż sam, w wieku podeszłym, nieraz niedomaga, atoli czasu dość mu pozostało, by każdy chętny swe pretensje rozgłośić zdołał.

- Prawda, a tyś zawsze wiedział, iż Nevil pielęgnował...

- Pielęgnował? Ba! Pieścił, cukrzył i chuchał, szacunek w oczach starszego człowieka zaskarbić sobie próbując, na który zaiste niczym nie zasłużył. Ot, kolejny to młodzian, co z Cambridge wyszedł, smykałką rachunkową wprawdzie obdarzony, choć nic nad ów dyplom z wyróżnieniem przeklęty – człek, który, traf chciał, Clive'a, Pana Indii, do stu diabłów, za szwagra przeklętego posiada! Ach, Dixonie! Ten siódmy matematyk swego rocznika¹, ten drażliwy, wietrzny hipnotyk w typów czło-

¹ Siódmy w egzaminach końcowych z matematyki w Cambridge, jeden z tzw. *wranglerów*.

wiecznych zielniku, ten intrygant podły – jakże haniebnie z imię Harrisonem i jego chronometrem postępował. Jego własnym koncept mało który, lunariusze jeno wiarą całą, kierat nieprzerwany zamysłem jednym. Nigdy odkrycia aberracji czy nutacji wagą równego nie dokona. Nie jest godzien, łądak przeklęty!, Jamesa Bradleya miejsce zajmować. – Twarz jego bardziej śliną niżli łzami zroszona.

– Ech, Masonie. – Dixon pojął tymczasem, iż mimo wszystko w pewnym oddaleniu trzymać się winien, a i do pociechy dotykami niesienia zbyt często się nie uciekać. – Wierzyłeś zatem? Naprawdę wierzyłeś?

– „Naprawdę”, „naprawdę”. To jak z kobietą, nieprawdaz, ku sobie zerkacie, ty myślisz „skąd, nigdy”, ona „skąd, nigdy”, lecz podobieństwo, niczym zjawą, w powietrzu wisi.

– Ech, miejskie sprawy, cóż mi o nich wiadomo?

– Cztery lata tam siedziałem, dwie ukochane straciłem. Straciłem i Bradleya, także mi bliską osobę. Boże drogi, gdyby łyzy sześciopensówkami były, więcej bym był w owo nieszczęsne wzgórze wsadził, niżli Maskelyne pożyczyć byłby w sile, nawet samego Clive’a za gwaranta mając. Cóż, niech snu nie zazna nigdy. Niech w popołudnia leniwej ciszy jeden za drugim tamtejsze pokoje przemierza, póki głosów nie posłysz, co rzekną mu, iż być tam prawa nie ma, i iść precz mu nakazą. Niech w końcu w Sali Ośmiobocznej stanie i w środku lata dreszcze czuje. Niech się siedzieć po nocy lęka, gwiazd, co zbyt późno kulminują, czekając. Aa!

– Masonie, czyż Maskelyne i Morton obaj Cambridge nie kończyli? Czyż to nie Morton nazwisko Maskelyne’a podsunął? Kogoś spośród swoich bez pochyby wybrać pragnęli.

– Ostatni trzech Astronomowie Królewscy oksfordczykami byli.

– Czy to postać rzeczy zmienia?

Mason wpatruje się w niego, w końcu rzecz powoli.

– Tak, zmienia, Dixonie... A on sam do Cambridge jako *sizar*¹ trafił. Niech go szlag. Też tak mogłem. Trzymasz, iż jednym z „nich” nie byłem? Czymże zatem, jakowymś bękartem? Wiernym starym sługą, co gdzieś w kącie haruje? Czyż pozycji żadnej w astronomii nie zdobyłem? Czy o to w tym przeklętym wygnaniu amerykańskim chodzi? Tak Morton i jego hałastra z Towarzystwa uknuli? Pozbyć się mię pragnęli, bym w paradę Maskelyne’owi nie wchodził, gdy ten ku Greenwich ochoczo pobieży?

– A ja wszędzie z tobą, gdzie cię zły los spotyka. Ech, kolejny to już ambaras.

– Może cię to nauczy baczyć, z kim twe imię jest związane. Aaa! Upadek zupełny! – Kapelusze na oczy naciągnawszy, głową o stół walić poczyną.

– Stoi tu – Dixon, kojąco, niczym wachlarzem, stronicą do listu dołączoną wymachuje, która z grudniowego „Gentlemen’s Magazine”² jest wycinkiem – iż dziesięć o ową posadę się starało – Betts, Bevis, Short i tak dalej. Czy któreś z tych nazwisk światło nowe rzuca?

Choć do granic cierpliwości się zbliża, czy ciągnąć może? Tak, uczynić to winien. Albo Mason przyznać nie umie, iż problem tu w stanie urodzenia, albo też, nawet tak upokorzony, z jakichś miar nadal wierzy, iż w epoce, której wszak rozum patronuje, człek rozsądny dla tych, co niebiosom służą, gwałtownych wyniesień na Ziemi spodziewać się może. Dobra nasza.

– Masonie, pojmię, młynarza jesteś synem. Podobne pochodzenie nigdy ich nie zadowoli.

¹ Na uniwersytecie w Cambridge niegdyś osoba otrzymująca stypendium w zamian za pracę fizyczną (np. posługiwanie w jadalni).

² Jedno z najpopularniejszych czasopism angielskich w XVIII w.

– Cóż z tego – Mason ripostuje. – Flamsteeda ojciec słód wyrabiał, Halleya był mydlarzem. Na miłość boską, pochodzenia z nizin się po Astronomie Królewskim oczekuje. I przyjaciół w Kompanii posiadam.

Atoli założywszy, iż Dixonowi mniej więcej wiadome, gdzie Sam Peach w kompa-nijnej hierarchii, a gdzie Clive, Pan Indii, stoi, parska przy tym i głowę na bok prze-chyla.

– Czy którąś z tych kwestii w rozmowie z Maskelyne'em poruszałeś, gdyście spo-łem na Świętej Helenie siedzieli?

– Szalonyś?

– Ach, bywa. A ty, przyjacielu?

– Może nazwisko Bradleya padło.

– A Maskelyne, czy zgadywać mi wolno, rzekł: „Czy o swym następcy myślał on kiedy?”

– Zdumiewające. Jakobyś był wówczas z nami. Cóż to w was, ludzie, siedzi? Jako-wyś dar tajemny, przedstawiam sobie.

– I nie powiedział: „Masonie, choć, rzecz jasna, swym poparciem wielce byś mię ucieszył, z nim czy bez niego posadę w Greenwich zdobyć zamierzam”? Nic w tym guście?

– Dlaczegoż to pragniesz, bym na powrót owe przykre chwile przeżywał? Za pierwszym razem dość mi bólu zadały.

– By samemu podobnego losu uniknąć.

– Wyliżę się z tego, Dixonie.

– Na twym miejscu, przy każdej sposobności wyrzuty sumienia bym w nim wzbu-dzał. Może sam wątpi, czy na ów splendor zasłużył. Aliści swych sądów nie obnoś, godnym bądź cierpiętnikiem – a Bóg raczy wiedzieć, jakie z jego niepewnością igra-nie korzyści ci przyniesie.

– A niech mię, zaprawdę z ciebie jezuita. Diaboliczny Alfonso, usuń się waść z dro-gi. Nikczemny Giuseppe, sztylet do pochwy schowaj. Oto prawdziwy kunszt włoski.

– Ja? Skąd. Jam z północy chłopak prosty, w sztolni urodzony, z koszem na węgiel za kołyskę. Szychta nocna życia mię uczyła.

44

Cóż, wielu o filozoficznych zapatrywaniach – w tym i ja – trzyma, iż prze-stworza chyżo przemierzać podobna wzdłuż i nad pewnymi niewidocznymi li-niami, które krajobraz ziemski prosto przecinają, a osobliwie w Wielkiej Bry-tanii, gdzie jako linie jeomantyczne są znane. Niezliczeni zapaleńcy oddani, znachorzy, handlarze, szaleńcy czy ci, co rok w rok do Stonehenge i Avebury¹ pielgrzymują – każdy z nich o prawdziwych lotach wzdłuż linii opowiadać skory, przeto, jednego za drugim wysłuchując, w teorii, ni razu ziemi nie tknąw-szy, do najdalszych rubieży królestwa dotrzeć podobna. Coś tam jest, co na to pozwala. Co, tego nikt nie wie, acz zgadują tysiące.

I oto linię najbardziej kolosalną z dotychczas wytyczonych wymierzyć ru-szyliśmy – w Ameryce, gdzie możebne projekta tej miary – z precyzją astrono-miczną słupy oolitu ostrożnie ustawiając, a u wschodniego krańca blok kwar-

¹ Kompleks obiektów megalitycznych w angielskim hrabstwie Wiltshire.

cu różowy. Tu, w każdym Boskiego Stworzenia dowodzie, co z ładu przyrodzenia wynika, tęsknotę za lataniem wspomnieć trzeba, lataniem może wyżej i chyżej nawet, niżli to się pospolicie wzdłuż znanych linii czyni. Roztrząsań unikać się staram, lecz roztrząsać muszę. Na bagna, gąszcz i zmory jeometry nieodmien- nie trafiają, rozdzieliwszy się – społem jakoby w przestworzach mknęli, z gwiaz- dami połączeni, ową akuratnością człowiekowi obcą, i z tych miar kłody im się pod nogi rzuca, a także łąk i nienawiść wobec nich odczuwa.

Wicks Cherrycoke, „Dziennik duchowy”

W marcu mróz trzyma i śnieży, niebo nocą z rzadka przejrzyste, a jeometrom do azymutu obserwacji ładnej pogody na gwałt trzeba, by, kędy zachód leży, ustalwszy, z robotą ruszyć mogli. W kwietniu zaś, gdy niemal są gotowi, wszelkie na ziemi punk- ty listowie zmartwychwstałe przesłania.

– Więcej tam, hen, będzie zatrudnienia, niżli jeno w gwiazdy się wpatrywać – imć Harland powiada, za pięć szylingów dniówki jako tragarz instrumentów najęty. – Za Susquehaną, gdy gościniec z Yorku do Baltimore przetniecie. Obaczycie sami.

– Na zachód od owego gościńca dorastałam – Harlandowa dodaje – i powiadam wam, to nie jeno próżne gadanie. Nie każdy tam zdatny. Sama na wschód umknęłam, gdy dość duża byłam, by wiedzieć, któremu wujaszkwowi się pożalić. Tak też tego tu tropiciela poznałam, który nigdy za Elk nosa nie wyściubił. Tak, tak, może i nie dla ciebie ta wyprawa, Johnny.

– Choć troskę o męża pojmujemy – Mason rzecze – w sprawy rodzinne się wtrą- cać prawo nam broni.

– Ha, trudno, czyniłam starania, taki los, wszystko w rękach Pana – gospodyni mamrocze, pospiesznie do domu wracając.

– Zdziwiająco dobrze to przyjęła – Mason powiada.

– Nie wiadomo. – John Harland głową kręci, za żoną podążając. – Lepiej obaczę.

– Wszak, iż go u nas na służbie widzieć nie chce, nigdy nie mówiła – Dixon miarkuje.

– Lecz takie było jej zdanie. Pojąć to musisz, Dixonie, swą mowę bezsłowną po- siadają, którą jeno mężczyźni doświadczeni wprawnie władają.

– Czemuż zatem rachubę już straciłem, ileż to mych wieczorów, przyjacielu, zmarnowałeś, o ludożerstwie, samobójstwie bądź też sporach wigów rozprawiając? Wszytkim prócz tego, o czym one słuchać by rade były?

– Cios znienacka.

Robert Boggs nadbiega. Z każdego ramienia pół cetnara uprząży mu zwisa.

– Obcy jakowys przy głazie, dziwne rzeczy wyczynia – woła i już go nie ma. Po- biegł dalej.

Sprawdzić idą. Oto jest – w rogu pola Harlanda przed blokiem kwarcu różowego plackiem leży, tam gdzie się południowego krańca Filadelfii szerokość z długością zachodniego krańca Linii krzyżuje. Wszelkie na Linii Zachodniej pomiary (a i na jej przedłużeniu wschodnim, co ku brzegowi Delaware bieży) do owego jednego punk- tu w końcu się odniosą. Dwunasta wybiła i dookoła woźnice z tragarzami się krząta- ją, przenosiny na południe, na pole imć Bryanta, skąd na zachód ruszą, szykując. Nad głowami jerzyków krążą gromady, lecz błyszczącego głazu unikają, psy zaś, już nauczone, w bezpiecznej odeń odległości przesiadują.

– Silna bestia – nieznamy rzecz, gdy go już na światło dzienne wyciągnęli. – Gdzieście taką sztukę znaleźli? A niech mię!

Coś, co w jego fachu „fantoma” nosi miano, znaleźć próbował – kryształ w więk- szym zatopiony, mniej lub bardziej wyraźnie ukształtowany.

– Obrazy się w nim ukazują, atoli różne ich uchwycenia metody. Jednym idealnej, głębokiej próżni trzeba i w fantomach kwarcowych wróżyć im nie sposób. Innym jasność zbytnia wejrzenia w Tamten Świat broni. Mój własny kryształ... – Kieszenie przesuszawszy, bryłę z połyskiem fioletowym, nie większą od dłoni, dobywa. – Symetrie nie zawsze snadnie obaczyć można... Tu, te siedmiokąty bliźniacze, gdy się wzrok na ich spólnym boku skupi, wprost spojrz...

– Ach! – Mason wzdryga się i niemal kryształ odrzuca.

– Oczy ciemne, wielkie? – Wróźbita wiedzieć pragnie.

– Owszem. Któż to taki? – Mason, choć wie, pyta.

– Oblicze mi się ukazujące nieco bardziej jest życzliwe. Cóż, gdyby tak nie było, inaczej bym na chleb zarabiał.

Jonasz Everybeet, tak się nazywa, a w czasie, który w ich towarzystwie spędzi, na wyspy w polu magnetycznym Ziemi tu i ówdzie natrafi – anomalie, których położenie jeno ingerencją świadomą kogoś lub czegoś, co tu przed Indianami się znajdowało, uzasadnić można.

– Bóg raczy wiedzieć, do czego służą one. A taki rząd słupów oolitowych przez was wzniesiony, idealnie podle osi ziemskiego obrotu, cóż, na myśl cosik przywodzi.

– Cóż takiego?

– Pomyślcie o harmonice imć Franklina. Nie palec tam po nieruchomym brzegu szklanym wodzi, lecz brzeg pierścienia się obraca, palec zaś w miejscu spoczywa. Dźwięk się dobywa, jeśli jeno ruch między nimi zachodzi. Podobnie ów oolitów szereg na tej szerokości więcej niżli siedemset mil w godzinę pokonuje, w świetle słonecznym i tym, co je ku nam niesie, wirując. Cóż się z tego rodzi? Jakaż muzyka?

Każdy inne zapatrywania posiada, do których jeometrów przekonać usiłuje.

– Raz jest się tabliczką, raz kredą – Mason powiada.

– Ech! – Dixon marsem spogląda. – Otóż znów O’Rooty, ten werbownik natrętny.

– Łowca głów swe usługi im ofiarowuje, oświadcza, iż wynaleźć zdoła: – Każdego robotnika, dowolnie uzdolnionego, miejsce i termin dostawy nie gra roli. Dajmy na to, iż drwali szukacie. Ha, czyż się na swym fachu nie znam? Wpierw rezolucję wziąć należy, ile się wydać pragnie. *Per diem* trzy i sześć¹ chłopcy miejscowi biorą, atoli, co ledwie pens więcej wychodzi – tu dwa rożki prochowe podnosi i do skroni sobie przykładają – tak, tak, Skandynawowie! Przesławni szwedzcy rębacze! Każdy dziesięciu drwalom z tych kolonii rodem równy. Najprzedniejsze siekiery dołączę z dwustronnymi ostrzami, jak długo żyć będę, za żeleźce ręczę, w razie potrzeby w trzy doby wymiana pełna, a każdy drwal rękojeść podle kształtu dłoni dostanie, albowiem „Bjorn tak, Stig siak, Sven ciach, każdy po swojemu”, jakby to sławetny Timothy Tox ujął. Stał to szwedzka, receptury jej od lat strzeżone, za zdradę sekretu śmierć śmiałka czeka – oj, zgrabny wycinek lasu w takim czasie ochędożą, co jego wymierzenie łańcuchami zabrało. Jednej, wielkiej maszyny są ci trybikami. Jeno dodatkiem tu muskuły i zapał człowieczy do owego wyższego rzędu stali, której rdza ni tępotą się nie ima.

– Ach, dałby waść pokój! – jeometry społem prycają.

– Choć jednego weźcie zatem, Stiga weźcie, na próbę jeno. Tyle, na ile go wyceńcie, zapłaćcie, a jeśli się nie spodoba, odeślijcie.

Po O’Rootym handlarz gruntami się zjawia, czyli człek, co niebываłych zysków wizję snuje.

– Zabij go – Dixon radzi, nim kto słowo powie. Mason w bok zerknąć sobie po-

¹ Trzy szylingi i sześć pensów.

zwala, lecz objawów upojenia nie widzi ni nie czuje. – Byle szybko, gdyż zaprawdę trudniej z czasem.

Niemal odkąd się poznali, sztukę posiadli takowego między sobą mamrotania, by nikt poza fajek obrębem uchem słów ich nie zachwycił. Frant, by niechęć zmiarkować, zbytnio żwawy, to na jednej, to na drugiej nodze podrygując, się zbliża. – Czy ktoś ci to znany? – Mason pyta, jeszcze niewystraszony.

– Jeno ludzie jego pokroju. Czyż nie dość im służyłem? Nie szczycę się tym, pieniędzy potrzebowałem. – Odpowiedź tak skróconą słysząc, Mason mniema, iż rozliczne zgryzotą przepelnione wspomnienia za nią stoją, jeszcze z czasów wrzosowisk i zatok morskich. Dixon tymczasem nie odstępuje. – Czekam. Cóż wysuwasz, przyjacielu?

– Co proszę?

– Który z nas rozprawić się z nim winien.

– Rozprawić?

– Wiesz, co czynić należy. – Palcem ku gościowi skazuje, który, iż rozmowa o nim się toczy, nareszcie miarkuje.

– Hm, Dixonie, pójdź ze mną do namiotu proszę, na chwilę... O tak, grzeczny chłopak, jedno słówko jeno... Pan wybaczy, w kwestii pomiarów błahe pytanie, trywialne doprawdy. Tak, spokojnie... Idziemy, idziemy.

Mason, co nie tylko Tyburn, lecz i Bedlam odwiedził, bezbrzezną cierpliwość i opanowanie odgrywa, Dixon zaś z równym wigorem w swą rolę się wcielaając, z niezliczonych obłąkańców przykładu korzysta, którzy się w każdy dzień targowy po Bishop kręcili.

Pierwszy dzień na Linii Zachodniej, piąty kwietnia, na piątek przypada. Z dni tygodnia najmniej to pomyślny, by jakiegokolwiek podejmować wyzwanie – dajmy na to ze Spithead do Kapsztadu wypływać.

W Punkcie Początkowym stanąć i ku zachodowi się zwrócić, dla tych o miększych sercach ciężką próbą być może, jak i tych, którzy się jeno im przyglądają. Poczucie tu podobna, prosto z flanki, moc palby szeregu sekund, co nie minęły, łańcuchów niepołożonych, wydarzeń nieznanych, które doświadczyć pisane – strach niczym niezłagodzony, czy się szerokość utrzyma.

Aura kapryśna wyruszenie wstrzymywała – pierwaj śnieg, po dniach czterech i nie w zaspach wcale, na dwie stopy i dziewięć cali¹ głęboki – później chmury gęste, na dalsze dni obserwację zenitu udaremniające. Wreszcie w noc czwartkową przejaśnia się na tyle, by stopień szerokości należyście oszacować. Naza jutrz, widząc niebo niezmienione, astronomowie kuć żelazo póki gorące postanawiają, by każdą chwilę pogody wykorzystać, na pech przy tym bynajmniej nie bacząc.

Nasamprzód kilka spraw wyjaśnić trzeba. Kto przed kim łańcuch trzymać będzie, z tym Darby i Cope do ostatniej minuty zwlekali. Do zwrotów „ujdzie” i „mniej więcej” używania robotnicy od początku muszą być zniechęceni. Co więcej, porządek pantometru szczytywania jeometryzmy ustalić winni, a osobliwie to, iż w razie wątpliwości, sektorowi się rację przyznaje – magnetyzm bowiem astronomii ustępował będzie.

W końcu Cope ciężarek podciąga, a linkę pionu zwiija i chowa, tym samym swój kraniec łańcucha z Punktu Początkowego odrywając. Teraz, przez pole ośnieżone, ku punktowi, gdzie Darby stał, zmierza. Oto moment oderwania, a zachodu początek.

¹ Ponad 80 cm.

Ruszają. Łańcuch dzwoni, wozy skrzypią, gęsi chłopskie jazgoczą. Powoli wśród z rzadka rozsianych gospodarstw się ich orszak przetacza. Zwierzyna płowa z bydlęciem domowym pospołu ich uważają, a chłopci jak zawsze gorliwie upominają, by grządek nie trawili ni sadom nie szkodzili. Nic dziwniejszego nad instrumenta, co w: własnym namiocie siedzą, członkowie wyprawy do rzeki Little Christiana obaczyć się nie spodziewają – a i niewiele obaczyć można przez drzewa, do których rąbania jedenastu jeszcze na drugi tydzień najęto.

– Pomyślałby kto, iż to cuda żywe – Matthew Marine burczy. – Na puchowych piernatach wozami podróżują, a my tu za nimi pieszo ledwie dychamy.

– Może i żywe, Matty.

– A tak, Matty. I ze stron dalekich.

– Z tych miar z mosiądzu i szkła być się jawią.

– Takich rzeczy nie wygadujcie. Czy to rzecz słychana?

Poważni, kiwają głowami.

– Daleko stąd, Matt.

– W dziwnej, zamorskiej krainie.

– New Jersey?

– Dyc to prawda, delikatnego traktowania wymagają. – Młody Nathanael McClean kompanów pouczyć próbuje.

– Jak twa matka w alkwie – odpowiedź pada.

– Ma matka? – Młodzian riposty zdatnej szuka. – A ja, a ja...

*Twą matkę widziałem,
Szła strzelać wrony,
Ktoś jej zachlapał
Jej surdut czerwony.*

– Tak? Ha,

*Twą matkę widziałem
I będę szczery –
Z urynału piła
Najtańsze sherry.*

– Damy, błagam, na panów zważcie – nadzorca drwali, Moses Barnes, woła („Czy wszystkim tu Moses na imię?”), siedem i sześć na tydzień opłacany, który właśnie ciężko stąpając, nadchodzi, co nieraz sporo przed czasem go anonsuje. – Na Boga, czyżbym wieszczą posłyszał? Cedriku, gdzie me pióro ostawiłem?

Ci z zebranych, którym jego przyjaźń droga, przydługawym wybuchem wesołości te słowa witają. Barnes reguł przestrzeganie z oddaniem wymusza, a wzroku jego bystrego nic w pole nie wywiedzie, jeno od namiotu kuchennego oddalać się nie jest skory. Jako iż już dawno temu plenipotentów zastraszył, by mu olbrzymie porcje jadła zapewniali, wóz wojskowy jego wagi by się nie powstydził. Drwalom, którzy z nim obcuja, mówić nawet nie musi, iż jeśli nie dość pilnie zalecenia jego wykonają, spotkanie z owym ogromnym, acz ruchliwym ciężarem im grozi. Co im uczyni, o tym Barnes nie wspomina, lecz wniesć można, iż i tak opisać tego nie sposób.

Nim tydzień mija, Linia czyjś dom przecina. Jakieś półtorej mili na zachód od łu-ku dwunastomilowego, za Little Christiana dwadzieścia cztery łańcuchy, dnia dzie-

siątego kwietnia, w środę, dziennik polowy donosi: „Po trzech milach i czterdziestu dziewięciu łańcuchach dom niejakiego Price’a na drodze nam stanął”.

– Gdzie dom stawiać, ot tak się wybrało – jejmość Price bez cienia wrogości powiada. – Nie żeby mąż mój jeometrą był czy co. A przy okazji, z której strony Pensylwania wypadnie? – Błysk szelmowski ma w oku, który Farlow, Moses McClean i inni na długo zapamiętają. Inć Price w mieście bawi, współników do kupna gruntu szukając. – Czy zechcieliby panowie wstąpić w me skromne progi, by pokazać, kędy wasza granica przebiega?

Astronomowie nie odmawiają, już nieswojo się czując. Mason przy instrumentu okularze oko mruży, Dixon zaś pion długi z dachu spuszcza. Tymczasem ozory wołowe w cieście jejmość Price na stół wyklada, kwaśne wiśnie frytowane, cydru domowego dzbany i z mąki kukurydzianej leguminę olbrzymią. Następnie po świeżo zmiełdłone pasma konopne sięga i podle jeometrów skazań w linii prostej rozkłada, tu i ówdzie gwoździkami mocując – w izbie, na schodach, przez łózka środek... Gdy po niedługim czasie inć Rhys Price z miasta powraca, wesołych drwali na popasie pod swym sasafrasem zastaje. Wśród jego własnych, zwierzęta obce z jego odnogi piją, dom cały przez jeometrów jest opanowany, zaś żona, spiżarkę dla gości opróżniwszy, na powitanie kuflem wymachuje i woła:

– Mężu drogi, w której to prowincji ci ślubowałam? Ha! Nie pamiętasz. Znam ci to spojrzenie. W Pensylwanii, zółwiku, lecz w Maryland nigdy. Zatem od teraz, gdy po tej stronie domu przebywam, w Maryland jestem, panną podle prawa i twych rozkazów słuchać nie muszę, nieprawdaż, panowie?

– Wielebno się spytać należy – społem odpowiadają, obaczywszy może, iż inć Price strzelbę u boku posiada, prochu dwa rożki, a i kul zapas spory.

– Tak? – Wielebny, w co go kompani wikłają najwyraźniej nieświadomy, do oszłomionego na razie mieszkańca ostępów z promiennym uśmiechem się zwraca: – Je-no sakramentu udzielić umiem. Może jurysty tu potrzebna porada?

– Jedna rzecz sąsiadów rozdzielać – Rhys Price rzecze – lecz małżonków? Nic dziwnego, iż do was strzelają. Nic dziwnego, iż owe łańcuchy diabelskimi kiszkami zwane.

By gniewem wybuchnąć, wielce się chłop trudzi, albowiem nie dość zła i cierpienia doświadczywszy, młodzikiem w głębi duszy ostał, ufającym, iż nowo poznani równie dobrodusznymi jak on sam się okażą.

– W dodatku – Alex McClean powiada – podatki podwójne płacąc, w długi popaść snadnie możecie. Obu prowincji szeryfowie po swe czynsze zachodzić będą. Poborcy z Filadelfii i Annapolis się zjadą. Prędzej czy później rezolucję wziąć będziecie musieli, dom na jakowychś belkach postawić i w jedną lub drugą stronę przesunąć. Mniemam, iż miedz rozkład przesądzi o sprawie.

– Na północ pod górkę nielichą pchać by przyszło – Price duma. – Stąd do Pensylwanii przenosiny większym trudem okupione niżli do Maryland.

– Gdzie nic nas nie łączy – żona przypomina.

– A tak, dwa są powody – głową kiwa. – Cóż, chłopców zbierzmy i do roboty. Kurs na Maryland!

45

Mechaniczna kaczką francuska wszystkim wzdłuż Linii mieszkającym, czy to na zachodzie czy wschodzie, wkrótce do gustu przypada, albowiem tym jest właśnie, przez co nawiedzany być by pragnęli – czymś, co moce nadprzyrodzone posiada – niewi-

działność, krzepę niespożyta i chyżość niespotykaną, dzięki której o wiele większym przeciwnikom impetem dorównuje, a sprawiedliwość w walce Amerykanie sobie cenią. Niewiele czasu trzeba, by opowieści o jej czynach wszędzie, gdzie granicę już wytyczono, krążyć poczęły. To kaczką na zachód stąd górę z ziemią zrównała. To wielką armię Indian rozgromiła. To znów w jedno popołudnie wszystkie pola w hrabstwie zarała, ogonem je za sobą przy tym bronując. To ci kaczką! To ci ptak wspaniały!

Co się jej prawdziwych odwiedzin tyczy, różnych członków wyprawy relacje się rozchodzą. Drwale, którzy dla rozweselenia historyjkami wciąż się raczą o tragediach, głupocie i trafach szczęśliwych, pokrzykiwać do siebie teraz w zwyczaju mają „Oto i ona!” lub „Niemałżeś ją przywołała!”. Z kolei ci o skłonniejszych do rojeń usposobieniu trzymają, iż kaczkę, o zmierzchu osobliwie, zmiarkowali, gdy jeno na krótką chwilę migotliwie do świata widzialnego powracała.

– Mogłem być na muszkę ją wziąć, lecz, iż tam jestem, wiedziała. Podeszła ci do mnie i hardo prosto w oczy spojrzała. Pojmujecie, na wznak leżałem, przeto się dało. „Gdzież jestem?”, pyta. „Pensylwania to czy Maryland – powiadam – wybór do ciebie należy”. Wyras jej się w oczach malował taki... Rozdrażnioną być się zdawała, uspokoić ją próbowałem. Zabręczało, oparem migotliwym zaszło – znikła.

Zajść tych większość Mason i Dixon lekko ważyć usiłują, przyjmując, iż to jeno kolejny paroksyzm zbiorowej fiksacji, co się przy owej Linii wytyczaniu zadziwiająco często zdarza. Minie prędko, a sukcesję weźmie po nim odmiana nowa i tak bez końca, póki może coś prawdziwie groźnego się trafi.

– Wierzą, w co chcą – Mason utyskuje. – W epoce, w której się geniusz inżynierski na piedestale stawia, lecz prawideł mechaniki nie pojmą nigdy. Niech Bóg ma tę tłuszczę w swej opiece. Wszelkich eksponentów zaufaniem darzą, z których połowa popisać się czym nie ma, lecz którzy ową irracjonalną potrzebę znają, by w automaty wierzyć, w to, iż śpiewać one potrafią, tańczyć czy też w szachy grywać. Wierzą ludziska, nawet gdy pod koniec pokazu drzwiczki się uchyla, karła odsłaniając, a niewzyciężone dłonie na stół opadają. Nawet gdy monsieur Vaucanson ostatni płat jedwabiu odgarnia – dla nich to bez znaczenia. Potrzeba drwali, by w sztuczne życie wierzyć, silniejsza jest niżli wśród *haute monde*¹ paryskiego, a owa zabawka z Francji rodem, dogodnie niewidoczna, jak się zdaje...

– Masonie! – Dixon kompana ostrzega.

Kapelusz astronoma głowę jego opuszcza i ku czubkom drzew rwie wprost ku górze, gdzie przystaje, ostatnie promienie słońca łapiąc, co się właśnie za jutrzejszym wzgórzem skryło. Z wysokości słabe kwakanie dochodzi.

– Przyznaję – Mason woła – „zabawka” urazić mogła. Racz wybaczyć. Co na „cudo” powiesz?

Armand nadbiega.

– To nic poważnego, zaprawdę, igraszki ptasie jeno. Ach, *chérie* – ku niebu woła. – Kres to wybryków, ręczę za nich. Jeno, błagam, kapelusz zwróć panu. *Merci*.

Nakrycie głowy naszym liść opada, to w jedną, to w drugą stronę zbacząc, Mason tymczasem w dole krąży, pełen obawy.

– Ręczysz za nas? – Dixon pyta.

Armand klaruje:

– Choć nas wieloma przymiotami, jak lot czy niewidzialność przewyższa, w innych kwestiach prostym stworzeniem pozostaje, osobliwie w gotowości na powzięcie urazy. Pozór zapewne dałeś – wstydu nie ma, każda sposobność zdalna. Wraz z jej

¹ Fr.: elita.

nieziemskimi talentami pospolite rozżalenie rośnie, którego źródłem nieraz jeno rojenia. Przeznaczenie w przestworza ją wynosi, lecz i ku ziemi ciągnie. Już nie jej osoby, lecz kontynentu to tyczy, kto wie, planety nawet.

Szczyściem może, iż nikt z przytomnych sensu tych słów nie pojmuje.

– Winno było mię to zastanowić – Mason przyznaje – iż doktor Vaucanson do owego grona ludzi należał, którym kopię *mappemonde monsieur Delisle'a* posłano, punkty do obserwacji przejścia Wenus najdogodniejsze przedstawiającą. Emulacja między naszymi krajami do tego się przyczyniła, iż Boskowicz lata po jej skreśleniu takową Towarzystwu przekazał. Jako iż ruchowi planet niczym ruchowi zegara zawierzyć można, podobnie jak inni naówczas wnosilem, iż wielki *automateur*, wychwytem niebieskim zaintrygowany, wczesnie nadchodzącej koniunkcji obserwacji zamiar zgłosił lub też po prostu względami *Académie* się cieszy. Atoli przejście Wenus i kaczkę zmaistrowanie przepaść zarówno logiczna, jak i czasowa dzieli, trzydzieści lat szerokości sobie licząca, której dwu brzegów most sylogizmu nie spina. Na próżno rozum wzdłuż krawędzi wędruje i przejścia szuka – jak długo po tej stronie zwlekać mu przyjdzie, nie wiadomo...

– Po stronie kaczkę – Armand przypomina.

– Czy podobna, iż, odkąd lata temu kaczkę zaginęła, choć jej duplikat, światu znany, wciąż mu towarzyszy, monsieur Vaucanson, sklepienie studiując, nie tylko dziwów astronomicznych wypatrywać począł? Jak głęboka zaszła w jego dziele przemiana ni dokąd je zagnała, zgadnąć nie jest w sile, jak zatem losy kaczkę poznać nadzieję mieć może, jak nie czytając ze sfer nieba niezawisłych?

– Z przeproszeniem. – Dixon z przesadną łagodnością wtrąca. – Vaucanson wie, iż kaczkę w ciało niebieskie się zmieniła? To masz na myśli, Masonie?

– Czemuż wszytscy się ode mnie odsuwacie? – Głos Masona w poruszeniu na piskliwości zyskuje. – Na przestrzeni wieków, przez kilka chwil uważać nam dane, jak ze światłości w bryłę się przemienia... Nie wiem jak wy, lecz gdyby mnie kaczkę tak znikła, niechybnie na wszelkie metamorfozy raptowne miałbym baczenie, takie jak ta, którą przejście ostatnie zapewniało, byle dowód na bytność ptaka zyskać. – Nawet gdyby frasunek bolesny oblicza astronoma nie znaczył, Dixon pojąłby, iż oto kolejny, żalony przejaw żaloby.

– Zdaje się, iż ktoś kabaczkom szkodzi. – Armand do swego namiotu pospiesznie się wycofuje, po drodze na młodego Hickmana wpadając, co właśnie z kuchni się wynurza, by naręcze garnków i patelni do zmywalni zanieść. Na wszystkie strony toto strzela, nieraz głowy zebranych ledwie o włos mijając.

– My tak ot, nie że waść... – obaj chórem Masona zapewniają.

Kaczkę takie w sercach poruszenie wzbudza, iż do Wielebnych wielu drwali zagłada, by o aniołach w ogólności pomówić.

– Wiemy, na ten przykład – młody Nathe McClean rzecz, od niedawna mleczarczką z sąsiedztwa zauroczony – iż ową kaczkę miłość odmieniła, lecz co z aniołami? To jest, czy może... Czy mogą one...?

– A tak, mój chłopcze, piją też i palą, tańczą i w karty na pieniądze grają. Iż wszystkim to wiadome, mniemałem. Niektórzy anioła nawet opisywać mogą jako byt dość potężny, by mu namiętność nie szkodziła we wszystkich swych strasznych i prawdziwych odmianach. Ha, najtęższego wśród nas opoja kropla ichniego portera na tamten świat by posłała. Ziola palą, których woni powiew słaby duszności by u nas groźne wywołał. Anielskie sale balowe na mile się rozciągają, a sam Clive po prośbie by chodził, gdyby choć jedną anielską płatkę położyć mu przyszło. Kto wie, może z nieadekwatności naszej właśnie grzech człowieczy się bierze. Namiętność nami rządzi, lecz do niej nie dorastamy...

Dixon pyta:

– Nie dość grzeszne dla ciebie popolicie spotykane przewinienia?

– Czemuż to wielcy złodzieje z Whitehall honory zbierają za czyny, za które w Whitechapel¹ szubienica czeka? Z jakich miar jednych złodziei czci się, zaś gardzi drugimi? Wnoszę, iż to skala zbrodni za tym stoi. Gdy swym ogromem wszelką miarę przekracza, my, ludzie prości, uważać uwielbiamy owo widowisko najtęższych sił sprawczych – zemsty, chciwości oraz i chuci – poza ramy pospolitego świata wyniesione, bliższe, co wiemy od zawsze, prawdziwym namiętności rozmiarom. Niechaj Marek Antoniusz świat dla Kleopatry przegrywa, o tak, lecz nie Dick swą dniówkę w tawernie.

46

Gdy mogą, piją. Inni także. Ostatnimi czasy mniej po zmroku, bowiem coraz częściej na niebo nocne zdawać się muszą, a niemożliwym jest jego uważanie, choćby i skrawka wąskiego, gdy w oczach się dwoi, ni z mikrometrem pomiary, tychże szczytywanie, czasu notowanie i zatrudnień innych setki, z których większość nieubłaganie staranności wymaga. Wyjątkiem, rzecz jasna, noce pochmurne, przez wszystkich przeto mile widziane.

Dziesięć minut kątowych wielkiego koła przemierzywszy, co dwanaście mil mniej więcej postój zarządzać mają, sektor stawiać i swą szerokość ustaliwszy, wszelkie odchylenia co do Linii prawdziwej wyrachować, jakie się po drodze pojawić mogły – co do Linii, która jest ich towarzyszem niewidzialnym, kilka jardów na lewo, w zaroślach, poza światłem ognisk przebiegającym.

Dwanaście mil od Punktu Początkowego konwój gościniec przecina, co znad Otarary ku mostowi Christiany prowadzi. W pobliżu, po pensylwańskiej stronie dom samotny stoi. Obozem się tu rozkładają i szerokość liczyć poczynają. Drwale rozchodzą się, by posiłek znaleźć. W południe dym smakowity już się snuje, a tak cicho, iż szelest karciany ucho zachwyca. Jest sobota, owa cicha godzina, kiedy to wszelcy kupcy już się wcześniej do miasta wybrali, a rodziny okoliczne do domów jeszcze nie wracają. Przy karczmie, kilka łańcuchów stąd wzdłuż drogi, od czasu do czasu nowi jeźdźcy z koni zsiadają, inni zaś zataczając się, odjeżdżają, czasem z zamiarem, by koło jeometrów przenocować.

Już pół tuzina takowych do obozu zajechało i w popołudniową drzemkę zapadło.

– Czy ich czym zachęcamy? – Mason głośno siebie pyta, co do uszu Dixona dochodzi. – A jeśli choć jeden z nich szpiegiem jest francuskim, co jeno upojenie udaje, a może nawet na nasze życie czyha?

– Czyż mamy wybór jako chrześcijanie? Nie wolno nam odmawiać gościny – Dixon rzecze.

– Ech, cóż, skoro tak mówisz...

Członkowie wyprawy, trzydziestu już niemal ludzi, w ciągu pierwszych dziesięciu minut koła przez trzy potoki, jedną rzekę i jeden dom się przeprowadziwszy, pod koniec tygodnia wywczasu zażyć są gotowi, choć ranki, gdy z poprawkami przy Linii najsrożej trudzić się trzeba, do najspokojniejszych nie należą, gdyż gościniec zawadza. Klekocząc i skrzypiąc, przez zaprzęgi wołów ciągnięte, wozy towarów żelaznych suną

¹ Wówczas przedmieście Londynu na wschód od Tower.

nim powoli, sztab, prętów, gwoździ, siekier i noży pełne. To w jedną, to w drugą stronę, w poprzek prześwitu dzień cały, każdy krok ich dla mierzącego udręką. Gdy noc zapada, woźnice woły wyprzegają, ogniska rozpalają i siedzą, pijąc jeszcze długo po późnych gwiazdach kulminacjach, co Mason i Dixon słyszą. Zegara, pionu i niebios wiecznych astronomowie doglądają, tamci zaś zawzięte dysputy toczą, nieraz jako wejść kwestii religijnej tyczącej.

– Zadziwiający te ilości żelaza na drodze – Dixon miarkuje. – Mą igłę w wariację wpędzają.

– Prawda, jakoby pruska armia gdzieś tu stacjonowała. – Masonowi także to nie w smak.

W poniedziałek z samego rana wszyscy ciężkim krokiem od latryn i posłań się schodzą, by w nierównych szeregach odprawy wysłuchać. Gdy już nadzorca Barnes plan dnia odczyta, a Wielebny krótką modlitwę odmówi, na wszelkie wyjątkowe prośby pora nadchodzi. Kilka z nich na piśmie, lecz większość ustnych, na które bezwzględnie odpowiedzi się czeka. Bywa, iż do kłótni głośnych dochodzi i jeno dzwon na śniadanie wzywający przerwać jest je w stanie.

– Ten tu znów konceptami o papudze sypie.

– Kto taki?

– No, on. Wiecie.

– Ehud? Prawda to, co on gada?

– Panie Barnes, naczelniku, rzekłem jeno, iż marynarz do tawerny z papugą na ramieniu wchodzi, a panna za szynkiem powiada...

– Naści! Znów to samo!

– „Co podać?“, a papuga na to...

– Ehud, masz dwie godziny nadto. Tak, panie Spinney?

– Znów o owsiankę idzie. Już się zarzekałem, iż tak zmielonej nie znoszę, i pleni-potentom donosiłem, lecz każdego ranka z miski mnie uważa, tfu, kolejna obelga zamierzona. Wszyscy kucharze się podśmiewają... Leż tak jeszcze, nim zwracać musiał będę?

– Miel, wasan, własną, między kamieniami, niczym Indianie. W namiocie kuchennym wrzątek mają, poproś grzecznie, a nieco dostaniesz.

– Pięknie dziękuję, acz jeszcze kwestia soli pozostaje...

– Pomówię z nimi, Spinney. A co z nią nie tak? Za dużo, za mało?

– Właściwie nic to, naczelniku.

– Pewien jesteś, iż nic ci nie doskwiera? Wspaniale. Ha, a kogóż my tu mamy? Znów Sweet, co niczym przyływ wraca. Pozwól zgadnąć swe zapytanie.

– Mój druh niegdyś jurystą był filadelfijskim, lecz dla swobód lasu życie miejskie porzucił. Powiada on, iż wyprawa na łędzie niczym okręt na morzu, a przeto imć Mason tu poniekąd kapitanem i jako taki pewne przywileje posiada...

– Tak, tak – imć Barnes ręką macha – a panny piękniejszej nigdy po tej stronie ostatnio mijanej obory nie widziano, wierzę, lecz, chłopcze, jak długo tak przystoi? Gdybyś niewiastą był, rzekłbym tedy, iżeś ot, kapryśną, i tyle. Lecz u mężczyzny mię to niepokoi. A jeśli jedną weźmiesz w końcu za żonę, co będzie, gdy kolejna na twej drodze stanie?

– Hm, no, czekaj, waść, mego druha zapytam...

– Do jutra zatem. Narzeczonej ślę ukłony. I druhowi także. Doskonale. Następny? Imć McNutley. Już niemal rok mija, czy nic się nie szykuje? Wszelkiej pomyślności, spisałeś się, chłopie.

– Iż po zniwach najlepiej brać się do rzeczy, niektórzy powiadają, tedy przed ko-

lejnymi rodzą i na nogi stają, lecz ja trzymam, przed siewem zdalnie, to i przy nim pomogą, a na żniwa jeszcze dość czasu i też się przy robocie zakręca. Aliści, ma Gwen miesiąc czy dwa ma jeszcze – widzi mi się, iż wkrótce trza do domu.

– Cycki sobie wyhoduj – imć Barnes doradza – i naucz godzinę bez wytchnienia jodłować, a może, ciężą omamiona, za niewiastę cię weźmie, co jej nieco otuchy doda. Inaczej nic z tego, towarzystwa kobiet jej trzeba, a nie winowajcy, który po izbie się tłucze.

I już nowi się tłoczą, radę usłyszeć skorzy, nadal zbyt świeżo najęci, nadal zbyt nieobyci, by wiedzieć, na co liczyć można, a co na zawsze beznadziejnym pozostanie – choć niektórzy w niewygodach odrzucenia zasmakują. Oto już nie pierwsza skarga na jejmość Eggslap, która, co wielce irytujące, ma w zwyczaju, by wyższą zapłatę w trakcie usługi wymuszać. Tym razem Stig, drwal z Szwecji rodem, jest poszkodowany. Nie zna on angielskiego ni Barnes jego mowy, lecz historię tę przykrą wszytki już słyszeli. Najmniej raz w każdym zdaniu „jävla, djävla” Stig woła, co oznacza... coś dlań ważnego.

– Tam młody McClean stoi, z nim pomówić winienes. *Ja, ja, Stig, mit Mak Klin.*

Nathanael, z McCleanów najmłodszy, na co dzień do kolegium w Williamsburgu uczęszcza, a teraz ferie letnie z drwalami pracując, spędza. Z początku, co los nowicjusza nieodmiennie znaczy, ciągłych przytyków z ich strony jest ofiarą, atoli bez przesady, przez wzgląd na jego ojca i braci obecność. Od tartofli skrobania po instrumentów obracanie, ci nad wszelkimi zatrudnieniami na wyprawie pieczę mają. Wkrótce – z jakich miar, tego nie wiadomo – drwale młodzianowi przymioty przypisują Macheathowi¹ raczej bliższe niżli jego skromnej osobie. Jak rzeczy stoją, wyjaśnić próbował, lecz tamci oczekują, iż przekupstwem nie gardzi, na hazard oko przymyka, a miejscowych sędziów pokoju i szeryfów do siebie zjednuje. Przede wszystkim zaś za człeka go mają, który jejmość Eggslap i jej podobne chroni – czasem przyjaciółek nadobnych bywało dwa tuziny. Stąd też, Nathe’a widząc, imć Barnes z ulgą wzdycha.

– On jeno dzieckiem z wierzchniej okrasy się zdaje, lecz jest niebezpiecznym dla mnie nadto. – To Moses Barnes, sam powszechnie za nadto niebezpiecznego przez innych uznawany. – Witam, panie McClean. Skwar dziś znów, nieprawdaż? Mam nadzieję, iż nic nie trapi waćpana.

– Ach, cóż, chodźmy zatem – Nathe powiada. – I tak do Mo zajrzeć zamiar miałem.

Do jadalni się udają, gdzie Moses McClean za stołem rachunków siedzi, z miną marsową je uważając.

– Jako iż jeno na próbę jest najęty – Moses duma – rozchody jego osoby dotyczące uczciwie z ksiąg usunąć możemy. – Tym samym uciszyć Stiga są w stanie kwotą tak szparko wydaną, iż na jej marność nie baczy. Aliści dla Nathe’a sprawa nieskończona, gdyż w cieniu błotnistym za namiotem kuchennym jejmość Eggslap drogę mu zachodzi.

– Wciąż jeno „wymuszanie” i „wymuszanie”. Dałbyś pan pokój – prosi i kokietuje. Nathe pyta nierozważnie, czym zatem jest to dla niej. – Wiedziałam, iż na ugodzie między nami stanie – powiada kokota, dłoń jego ujmując i na swym biodrze opierając, jakoby tańcować zamiar mieli.

– Ten Stig – Nathaniel pospiesznie głos zabiera – wiesz wszak pani, iż nawet po angielsku nie mówi. Toż to cudzej ignorancji nadużywanie.

¹ Mistrz złodziei z „Opery żebraczej”.

– Nathanaelu, misiaczku popędliwy, on siekierę mi do łóżka przynosi. Gada co-sik do niej i ode mnie tego wymaga. „Och, hm, witam, witam”, powiadam ci do niej – sam byś nie zwlekał, gdyby machina do rąbania z członkiem nabrzmiałym ci nią przed nosem machała. A potem te „jävla, djävla” zawodzić poczyna. He? „Jävla, djävla”? Znam ci tę wymowę, w sąsiedztwie Bedlam się jej nasłuchiwałam. Hola, hola, Nathe, spiekleś raka, czy to słońce twą niewinną twarzyczkę krasi? Czyś o dodatkowej zapłacie za niebezpieczny obstalunek nigdy nie słyszał? Tę właśnie przydałam.

– Pospolitej stawki połowę? – By wypomnieć dość niebacznym.

– Dla ciebie, gołąbeczku, powiedzmy, góra połowy połowa, czyli ćwierć?

– To wciąż paska... to jest, paskudna cena.

– Hm. Z tego, rzecz jasna, piąta część dla ciebie.

– Piąta?!

– Dobrze, dwie piąte, umowa stoi. Nigdy słodkiej buzi odmówić nie byłam w si-le. – Cmoka go przelotnie, w dłoń banknot jakowyś wciska i znika, woń jaśminu roz-taczając.

Jakoby jeno czyhał na to, znikąd bukmacher Guy Spit się pojawia z kolejną ofer-tą, by McClean młody w zyskach jego udział posiadał. Piętnaście od sta teraz wysu-wa, z dwunastu zawyżone. Wierzy, iż Nathe tego targować się będzie, rękę po więcej wyciągając, gdy młodzian po prawdzie jeno kolejnej góry kłopotów uniknąć skory w tej krainie awanturycznej, w której dwoić się i troić mu przyszło. Taka postawa ra-chuby imć Spita rujnuje – w rzeczy samej jegomość trzyma, iż „całemu conceptowi to zagrozi”, jeśli chłopak na udział nie przystanie.

Choć Nathe’a wielokrotnie przed pokusami ostrzegano, z żadną był się nie ze-tknął, nim posady przy Linii nie otrzymał, dzięki faworom, jakie jego rodzina u Ma-sona i Dixona się cieszyła.

– Wyjdzie mu to na zdrowie – Archibald McClean astronomów zapewniał. – Na lekturze dość czasu młokos marnuje. W jakowymś świecie żyje, w którym mieszkać bylibyśmy radzi, lecz niestety nie jest nam to dane.

– A zatem i jemu nie wolno? – Dixon zdziwienie udaje. – Na Boga, wszak książki nie uczynią mu szkody. Skoro już je odkrył, i tak odwrotu nie ma. Tym czy innym spo-sobem, czego trzeba mu będzie, przeczyta.

Stary McClean, dotknięty, podbródek hardo wysuwa.

– Iluż synów waść posiadasz?

– Ha, przyjacielu. Jeno byłem jednym.

– Lecz mimo to, nieprawdaż? – McClean wzroku Dixona szuka, głowę przechyla-jąc. – Osobliwie, iż dodatkowa para rąk do pracy nie zawadzi?

I oto, już wkrótce, o czym ojciec Nathe’a nie wie, syn jego niespodziewanie w wir powszechnej pożądlivosti wpada, niczym młody pisarz w Bengalu sposobność na z bogacenie wietrzący. Z lekturą równać tego nie sposób, choć młodzian starania czy-ni, gdyż z wymiętoszonych, poplamionych książek z niecnymi rycinami najprzedniej-sze tytuły mu pożyczono. Z ułożeniem się do snu zwleka, by jeszcze jeden rozdział „Upiornego fircyka” przeczytać i ciekawość zaspokoić – wcześniej, nawet by na ilu-stracje zerknąć, czasu zbywa – lecz w sen zapada, ledwie się do portek ściągania za-biera. Ostatnimi czasy nad wyraz raptownie zasypia, nieraz nie tylko w miskę własnej zupy na twarz padając, lecz i w kotły wielkie, zupa, jak i owsianką wypełnione. Z drzew spada, z zydlu spada i w partyjek trakcie, karty innym wytrącając i monety rozrzucając, za co pospolicie kuksańców parę go czeka. W korowodzie zatrudnień nieprzerwanych dni długie nic nie je poza jakowąś skórka od chleba, która się napa-

toczyła, mętami z dna kufla i popiołem fajkowym okraszoną, by wtem, niczym powódź wiosenna, wszystko pochłaniać, co pod ręką czy dość blisko leży, umiaru nie znając. Imć Barnes głosi, iż Natha'e uspięnego przy jedzeniu zastał, lecz może jeno to żart kolejny, z których nadzorca słynie.

„Murrayu, druhu mój – Nathe do swego przyjaciela ze szkoły pisze, który z Tidewater w Wirginii pochodzi. – Czy kazanie o poźdliwości mieliśmy? Czy je przespałem? Nic mię zaprawdę nie przygotowało na jej moc niesłabnącą, jej urodzaj niepospolity, sposobność ku niej, co się pojawia z każdym długiem zaciągniętym, każdą flaszka zbląkaną, przysługą uczciwą, mleczareczką łagodną, fajką wypaloną, mone-tą wydaną – każdą liczbą, czy to na papierze stojącą, czy głosem ściszonem wypowiedzianą, co z kolejnym tchem w niepamięci zaginie...

Wciąż się w uprzejmościach nieproszonych wobec mnie prześcigają – to buszle czerwcowych czereśni drylowanych, to pstrągów pęk tęczowy czy co do kupna gruntu porada, dzięki której ponoć w posiadłości nad Rappahannock zładuję, z niewolników setkami i trosk wiecznym brakiem. Innymi słowy, niczym rajfur jestem wynagradzany, w każdej formie prócz gotowizny, co tu z rzadka widywana, a dalej na zachód do mitów amerykańskich jeno należy.

Murrayu, cóż się ze mną dzieje! Te ohydne targi pod gołym niebem, drwale ze znaczącymi uśmiechami mię mijają, dziewczęta z obawą zza węglów wyglądają bądź, by całusy zachęty mi posłać, z zarośli się wynurzają. Nawet imć Mason brwi pod kapelusz podnosi, a imć Dixon arie z «Opery żebraczej» pogwizduje. Żaden ze mnie stręczyciel złowrogi, za jakiego jestem brany. Och, ile bym dał za pokrewną duszę w tej puszczy bezkresnej! Gawędząc o tym wszystkim, gruszkami na wierzbie byśmy się zajadali.

«Słodka buzia»! Bez pochyby, otóż i przyczyna. Wysokimi, śpiewnymi głosami się do mnie zwracają. Albo młodszym niżli jestem im się zdaje, albo też za jakowegoś idiotę mnie mają. Czy to właśnie w książkach «czarowaniem» wołają? Pierwszy raz coś podobnego słyszałem – jakobym nową odkrył ptaka odmianę. Oto przekleństwo bycia młodzikiem wyrośniętym, człkiem, któremu od dawna trudy życia znane, choć oblicze jego od trzeciego roku życia niezmienione. Mężczyźni zjawiska tego zaufaniem nie darzą, a więcej niewiast nęcącym je znajdują, niżli to sobie kiedykolwiek przedstawiałem. Wobec jednej płci mężność nad miarę mam okazywać, wobec drugiej niewinność godną cherubina. Z jakich miar zatem każdego powabnego stworzenia požądam z tych, które co dzień los na mej drodze stawia? Drogą mą zaś Linia, co przed się bieży, dyliżans szlakiem namiętności mknący podle traktu, który sami nieprzerwanie wytyczamy, drwale niczym myszki skrzętni i oczu nierwący...”.

47

Tragarze poniedziałku czekają, by na pole imć Bryanta po sektor powrócić.

– Jak na razie nieźle, nieprawdaż? – Robert Farlow, pustym furgonem powożąc, siedzącego podle siebie Thomasa Hickmana pyta.

– Boć to pola, a na tych od zawsze tyramy.

Hickman, który w tym tygodniu szylinga więcej niżli Farlow dostaje, twarz ma strapioną. Jakiś czas temu Matt Marine, drugi za sześć szylingów robiący, na gościńcu mostowym znikł i odtąd go nie widziano. Teraz jeno on sam za to odpowiada, by

sektor do celu dotarł cało. Za nimi, w kurzu i drzewnym dymie, z każdą chwilą odgłosy siekier cichną, a John Harland, John Hannings i Kit Myers na poduszkach dla sektora przyszykowanych zlegli. Droga do New Castle, którą obrali, wzdłuż Linii biegnie, na południe odeń dwie czy trzy mile. Wiatr z pędu zrodzony miłe wonie wiosenne niesie, ptaki gałązki w sekretne miejsca znoszą, dzieciarnia ciekawska z czapkami na bakier za wozem goni, skopki swe i widły na bok odrzuciwszy. Chłopi z naprzeciwka jadący na powitanie machają lub, wiedząc, kto zacz, w milczeniu się gapią.

Po każdym postoju jeometry nieco bardziej na północ ruszają, podle azymutu, co dziesięć minut kolejnych wielkiego kręgu pokaże aż po kolejne z prawdziwą Linia Zachodnią przecięcie. Wiadomo, iż kąt, jaki obrać winni, od zachodu prawdziwego $0^{\circ}08'18''$ na północ wynosi. By to potwierdzić, czas jakiś gwiazdy uważają. Dixon w astronomicznych zatrudnieniach jakoby Masonowi podległy, aliści później, podle jeometrów zwyczaju, kąt wprost z tarczy instrumentu biorą, co może bardziej się Dixonowi uśmiecha. Bez słów ową rezolucję wzięli, albowiem każdy z nich prędzej czy później pojmować poczyna, iż sporów bezzasadnych się wystrzegając, minuty, ba, godziny całe zyskują. Żaden z nich jeszcze tego nie docenia.

Po przebyciu każdego z odcinków, mniej więcej dwunastomilowych, zatrzymują się i sektor stawiają, by wyrachować, ile stopni gwiazdy różnorakie w ich górowaniu od zenitu dzieli. Dla każdej z nich katalog Bradleya deklinację, czyli szerokość niebieską, podaje, zaś obie te wartości dodając, ziemską szerokość punktu obserwacji się uzyskuje.

Po nie do końca kulistej Ziemi łuk wytyczając, kierunek nieco mylnie się obra, przeto sektor nigdy na prawdziwej Linii nie stanie. Z tych miar co milę odchylenie jest rachowane – u wschodniego krańca, jak się okazało, bez potrzeby, a ile u zachodniego wyniesie, czas pokaże. Nadto różnice czysto geometryczne do owych odchyłeń winny być dodawane, a mianowicie pomiędzy dziesięcioma minutami wielkiego koła, jakim jest w przyrodzeniu, a samą Linia, czyli koła tego cięciwą. Za każdym razem różnica ta w połowie łuku od zera do dwudziestu jeden stóp urasta.

Pierwszy postój w pobliżu gościńca znad Octarary wypadł, a i przy kolejnym los wyprawie sprzyja – ledwie dwadzieścia sześć łańcuchów od wschodniego brzegu Susquehanny sektor postawić mogą, gdzie wzdłuż drogi, co ku przystani promowej wiesz, przez półtoje mili od karczm się roi. Tamże dziewięć dni na obserwacjach zenitalnych im schodzi, które w niedzielę, dwunastego maja, wznawiają. Przyjemne i żywe to dwa tygodnie nad rzeką szeroką, co się wkoło dwu na samej Linii siedzących wysepek wije. W dni pochmurne przez wodę granicę wytyczyć usiłują, przy okazji szerokość Susquehanny rachując. Robota ta w większej mierze na barki Dixona spada, bo wiew, jak Mason wszem i wobec głosi, dalibóg, bardziej dla jeometry jest zdatną.

Dixon i imć McClean, z Darbym i Copem pospołu, ciężkim krokiem rzekę obaczyć idą. Podle pospolitej metody linie wyjściową na przeciwnym brzegu wytyczyć się winno, krańce jej oznaczyć, z powrotem przepawić, a instrument podle rzeki ustawiwszy, kąty tak utworzonego trójgranu ustalić. Wówczas z tablic logarytmicznych pomocą, w których także funkcje trygonometryczne uwzględnione zostały, ledwie półtoje minuty dodawania i weryfikacji trzeba, by szerokość Susquehanny poznać.

– Takż nas w Durham uczono – Dixon powiada – w miejscach mierzyć, których zgłębiać nie byliśmy skorzy. Nie rzeki to były, rzecz jasna, lecz jakowyś okolicy krąg raptownie odmieniony, hałd szereg, co znienacka się wyłonił, czy zagańnik w środku odludnego wrzosowiska tkwiący. Z pewnością nigdzie, gdzie tyle tych drzew przeklętych rośło.

– Zaprawdę, nic przyjemnego – imć McClean przyznaje.

Darby i Cope ku sobie zerkają i głowami kiwają, bez potrzeby głosu nie zabierając, niczym dublerzy aktorscy w kuluarach cisi. Pocąc się i pod nosem do siebie mrużąc, wzdłuż brzegu ruszają, komarów chmary wzbijają, dzikie zioła pod stopami gniotą, byle prześwit znaleźć, co użyciu kąta prostego podoba. Na próżno, jak się okazuje. Wreszcie Dixon rzecze:

– Cóż, podle tych kątów, które nam dane, wymierzmy. Czy wszyscy przystają na to?

Dla robotników łańcuchowych zdanie to nawet nadto prędko pada, lecz McClean głową kręci.

– Me rachunki do prawdy nigdy nie przystają.

– Imć Masona zatem skłońmy, by rachuby nasze skorygował. Wszak kąty, jak mniemam, tu i na sklepieniu jednakie.

Nad kwadrantem Hadleya osiemnastocalowym pieczę imć McClean przejmuje, zaś Dixon swym pantometrem namiary powtarza. Szacują w końcu, trójgran niezgrabny wpierw uzyskawszy, iż Susquehanna jakieś siedem ósmych mili¹ wszecz mierzy.

Masonowi tymczasem w udziale przypada Linię przez rzekę przeprowadzić, a na przeciwległym brzegu znak ostawić, z którego to punktu ruszyć dalej na zachód będą mogli. W ostatnią sobotę postoją notuje²: „...pod zachód przez rzekę się przeprowaiałem, gdy jakieś półtora mili dalej kilka błyskawic równoległych (zdało się, iż na stopę szerokich) niebo na wskroś przecięło. Po raz pierwszy takowy piorun uważałem, którego snopy, bez przerwy najmniejszej, od chmury po horyzont wystrzeliły”.

Tyle karty dziennika. Mason z krzykiem do namiotu Dixona wpada, gdy kompan wieczorną fajkę zapala.

– Czy widziałeś?

– Owszem.

– Boże miłosierny, w jakież to ostępy szatańskie tym razem mię wygnałeś? Choć, rzecz jasna, w wyroków Twych słuszność nie wątpię.

Wiatr namiotami targać poczyna. Krople deszczu o napiętą bawełnicę bębnią. Płomienie świec rozedrgane polnym kwiatom podobne.

– Przedstawiam sobie, iż nic mi nie grozi – Dixon rzecze, kłęb dymu wypuszczając. – Kłopotom z piorunami w Ameryce już zaradzono. Twój znajomek doktor Franklin ściąga je, gdy ma wolę, niczym piwo z beczki, czy się nie myślę? Przednie to miejsce dla błyskawic, bez pochyby. Nie to co w Staindrop. Lud Oafery trzymał wprawdzie, iż koło Low Dinsdale raz go trafiło, lecz świadków nie stało.

– Dixonie, czy... czyśmy w niebezpieczeństwie?

– Zbyt go tu mało, by wieczór sobotni zupełnie przyjemny... – Tu grom olbrzymi go ucisza, co się tuż nad ich głowami przetacza, światłem diabelskim okolicę bieląc. – ...przerzywać, czyż nie, Masonie? – Dixon w końcu spod pledu się wynurza. – Maso- nie? Przyjacielu? Czy ci...

Mason głowę do namiotu wtyka, lecz nie wchodzi.

– Pod wozem schronienia szukać idę, tam, czy go miarkujesz? Miejsca ci pod dostatkiem, jeśli przyłączyć się pragniesz.

– Jak dla mnie ciut za dużo żelaza, niemniej pięknie dziękuję.

– Ciekawe. Hm, twoja wola.

¹ Ok. 1,4 km.

² Fragment prawdziwego wpisu z 19 V 1765 roku.

Znów wielki piorun uderza, oślepienie zsyłając. Gdy Dixon wzrok odzyskuje, Masona już nie ma. Insekt elektryczny na mile wysoki z każdą błyskawicą krok w przód nowy stawia. Chód to niemiarowy, przerywany, każde ziemi tknięcie hukiem naznaczone. Wreszcie stwór ku Filadelfii i morzu się przesuwa, bezlitosną przejrzystość niebu przywracając, w sam czas, by odległość zenitalną Capelli zgrabnie uchwycić.

W najświeższych rozkazach, gońcem posłanych, stoi, aby do Punktu Styku teraz powrócić i trzypółmilowy odcinek południka wytyczyć, pod nazwą Linii Północnej znany, dla granic Delaware ukończenia niezbędnym. Z Punktu Styku właśnie pociągnąć go trzeba na północ, gdzie Linie Zachodnią pod kątem prostym przecięwszy, północno-wschodni kraniec Maryland skąże. Obie strony sporu na projekt takowy przystały, jakoby u kresu grzesznego życia występków w końcu żałując.

Murrayu, druhu drogi,

Nie dbam o to, co mi się na tej wyprawie trafi, grunt, że niespotykana liczba mleczarek się tu kręci. Co dzień, z rana i z wieczora, wśród namiotów, wzdłuż płóciennych alejek w szeregu wystają, kankami i skopkami dzwonią i między sobą pozeptują. I śmieją się! Ach, ten śmiech o świecie! Niektóre z nich powabniejsze, niżli to pióro nędznego czeladnika opisać może. Inne – lecz nawet czeladnik porównań wystrzegać się musi. Z miłą chęcią uwagę jakiegokolwiek z nich bym przywiązał – ha, niestety, cóż począć – nie wiem.

Panny zaś, bezwstydnie nieraz, mleko swe wodą ze studni zaprawiają, ślimaki weń dla piany ciskają, a Bóg jeden wie, jakim sposobem grzeją. „Mleczareczki kokietne” żadnej z gier metropolii w wytworności nie ustępują i podobnie jak tańce, z radością i zapałem po obu stronach są praktykowane.

*Miłość śmietanowa o brzasku,
O zmierzchu miłość śmietanowa –
Człek się niczym pająk skrada, co
Serwatki rad zasmakować...*

Gdyż... to...

[Refren]

Mleko!

Ach, dajcie mi mleka!

Duszę bym oddał,

Twierdzą bym poddał,

By kropli doczekać.

– A teraz o tak, krok pojmujesz? I...

*Gdy widzę gdzie krowę,
Odbiera mi mowę –
Ślina nabiega do ust,
Gdy ser się przetoczy,
Osełkę zoczę
Lub twaróg wyjrzy spod chust.
W głowie się kręci,
Nabiał mię nęci,
Już Polly idzie z obory.*

*Mrozy czy żniwa,
Miłość ma żywa –
Mleko zawsze pić skory!*

Wtem, w środku wykładania ogonkowi nadobnych handlarek kroków tańca, który w Williamsburgu szturmem serca młodzieży zdobywa, młody Nathe staje porażony.

Cud! Po nocach żalonych w norach przydrożnych, które „zajzadami” zowią – po wieczorach samotnych, przez kolejny obrót planety przynoszonych – dniach córek, a nawet żon osadników uważania spojrzeniem, jak mniemałem, tęsknym (choć nim obdarowana nie zawsze od natrętnego łypania odróżnić je mogła) – znaleźć niespodziewanie, w pierwszej rosie świtania, gdy światło jakże szparko na mocy przybierało, w każdej chwili jakowąś skazę odsłonić zdolne, do tej pory litościwie przez mrok skrywaną (choć stojącej niewzruszenie jeno powabu przydawało) – Ją, której „Galaktyki” miano nadałem – albowiem jedną jest z mleczarek¹, co nam nabiął sprzedają.

„Też mi coś! – powiesz. – Kolejna miłostka śmietanowa. Tak, przyznaję, gdyż kto jej nie doświadczył w tym mleczarskim raj. Atoli, choć Galaktyka się z gro-na owych obłudnych niewiast wywodzi, przywar ich zaprawdę nie dzieli. Ja zaś rozterki marynarza poznaję, albowiem już wkrótce Linię tam pociągniemy, dokąd ona bezpiecznie zawędrować nie może, ni czasu jej na takową wyprawę nie staje, a powinności czekają. Dołączyć jej do naszej karawany przeto niepodobna, a gdyby tak się stało, chronić by mi jej przyszło przed niemal setki męczyzn umizgami, w tym ze strony nieprzejednanego Stiga. Ublagać ją zatem muszę, by zimy czekała, kiedy to nas zwolnią i na wschód wrócimy, a wszak na wiosnę znów na zachód ruszymy i tak bez końca. Chwile społem zbyt rzadkie, a, jak się obawiam, czekanie zbyt ciężkim dla pięknej Galaktyki brzemieniem, gdyż, choć o płci nadobnej wiem mało, wnoszę, iż wytrwałość do jej przymiotów nie należy. Pogłoski o niej wielce są przesadzone, a wierna narzeczona żeglarza z ballad i romansów znana, stworem równie co syrena mitycznym.

48

Dnia dwudziestego dziewiątego maja znów się ku wschodowi zwracają, odchylenia rachując i poprawki należyte w trakcie marszu nanosząc. O poranku w Słońce teraz celują, wieczorem zaś cienie własne uważają – jeometra, trójnóg i instrument jakoby ku przeszłości sięgali, ku czasom przeszłym, gdy młodszy nieco byli. Parcie na zachód, choćby i nie dalej niżli po Susquehannę, życie podle prostej dobowej miary, z Słońcem ciągle wędrowanie, jakże od wędrowania pod Słońce odmienne.

– Zaiste, zupełnie inaczej – Dixon przyznaje.

Mason zbudzić się próbuje. Najbliższa kawa w namiocie kuchennym.

– Postaraj się – szepcze – nie być tak straszliwie... Czy rzekłem „straszliwie”? Tak przekłęcie, szczebiotliwie radosnym. Proszę. Błagam.

Z namiotu się wywleka, włosy w coś na kształt harcapa mozolnie wiążąc. Kawę z pomocą termometru fahrenheitowskiego się parzy, bez podziałki prócz jednej

¹ Gr.: *gala, galaktos* – mleko.

w drewnie strzałki, co na rysę na tubie szklanej skazuje, przy stu dwudziestu dwu stopniach¹, dokładnie w drogi połowie między punktami wrzątku a mrożenia. Przy tej właśnie ciepłocie kawę mieloną się wrzuca, napar miesza jeden czy dwa razy, po czym kociołek z ognia zdejmuje, naciągania nie przerywając. Klarowanie może w Londynie się stosuje, lecz tu w głuszy luksus to zbyt wielki, a i skorupki jajeczne nie zawsze pod ręką. Dixon odkrył, iż kawie wcześniej próbowanej mialka zawiesina rustykalnej pikantności przydaje. Później ciecz paskudnie szerniała tym się bardziej uśmiecha, którzy ciało swe dreszczem przeszyć radzi – jak Dixon, co trucizny najpodlejsze na dnie kociołka zalegające spijać jest w stanie i mimo to uśmiech idioty godny obnosić.

– Mmm! Powiadam, na zachód od Alleghenów najprzedniejsza! – Imć Barnes słowa te często powtarza, choć żaden z jeometrów ich nie pojmuje, osobliwie, iż wciąż na wschód od gór bawią. Gdy w kociołku jeno resztki ostają, Mason herbatę przedkładać poczyna i by głową kręcić z niesmakiem, na Dixona kolej przychodzi.

– W głowę zachodzę, jakże przełknąć to kto może.

– Dlaczegoż to? – Mason wstrzymać się nie umie.

– Cóż, wszak to ohyda. Na wpol przegniłe liście, wrzątkiem zalane, wodą przecho-
dzą i pęczniają.

– Ohyda? To herbata, przyjacielu, *cz'a*² – to, co cały modny Londyn pija. Tamto – kociołek z kawą skazuje – to ci dopiero ohyda.

– *Au contraire* – Dixon replikuje. – Kawa jest sztuką, która precyzji wymaga. Wo-
dy ciepłota, drobinek wymiary, ile kawy na ile wody przypada... Tuzin innych zmieni-
nych rad byłbym przytoczyć, gdybym nie wiedział, iż rozum twój ich nie ogarnie.

– Z jakich miar – Mason życzliwą ciekawość udaje – z każdego zaparzenia jeno
pierwsza filiżanka do skosztowania zdalna i ktoś już mię ubiegł, gdy sięgnąć po nią
zamierzam?

Dixon ramionami rusza.

– Nad chyżością popracuj. A co się pierwszego zapytania tyczy, jeno pierwsza fili-
żanka zdalna, gdyż kawa sakramentem z przyrodzenia, sakramentem pokuty, przy-
jacielu. Na podobnej wzniosłości świata herbaty zbywa. Reszta kawowego naparu,
nieraz filiżanek tuziny, ceną są za rozkosz, jaką pierwszej przymioty dają.

– Szaleństwo – Mason prycha – Każda filiżanka herbaty doskonała.

– Tak? Do czego? Skór garbowania?

Do Punktu Styku na następne trzy tygodnie wracają, gdzie, koło owego tajemni-
czego Klina, wschodnie granice Maryland i Pensylwanii domknąć usiłują – plenipo-
tentom, jak się zdaje, wynik wielce na sercu leży.

– Wszytci oni po tej stronie od Susquehanny mieszkają – imć McClean przypusz-
cza. – Byście już ją przekroczyli, nie pragną. Za nią kraj nie tak oświecony, o wyba-
czenie waćpana proszę, nie tak anglikański ni tak kwakerski, bez urazy, waćpanie,
a raczej, rzec winieniem, przyjacielu. Prowincja to wielce tej odmienna, zaś za góra-
mi jeszcze inaczej sprawy się mają, i tak z każdą granicą przyrodzoną – Ohio, Mo-
nongahelą – choć w gospodach większość zakładów stoi, iż tak daleko nie zawędru-
jecie.

– Czyż dopiero naówczas nie zawrócimy – Mason pyta – gdy ziem tych właściciele
sobie tego zażyczą?

– Jeśli tych masz na myśli, co naprawdę nimi władają – John Harland powiada.

¹ Równych 50°C.

² W mandaryńskiej odmianie języka chińskiego.

- Indian – Dixon poddaje.
- Wojsko – Harland rzecze.
- Przedstawiałem sobie, iż to Pennowie. – Mason poważniejszym tonem wtrąca.
- Maryland włości Laurel Hill sięgają, dalej na zachód Linia jeno do Pennów należy, ziemie ich od Wirginii oddzielając, która kosztów żadnych przy tym nie ponosi.
- Od wybrzeża atlantyckiego pięć stopni – imć McClean mniema – fort Pitt obejmie i Ohio pierwszych mil parę, nim na południe koryto skręci... Żelaza pokłady, węgla także, czarnego złota gór pasma podziemne... Od stuleci tam płonie, Indianie go znają, może im go do tych tajemniczych kopalni trzeba, w których ołów w górach do-
bywają. Coś dla waćpana, mości Dixonie.

Jeometry miarkują wkrótce, iż po półtorej mili południk na północ z Punktu Styku wytyczony po raz wtóry łuk dwunastomilowy przetnie. Dwie granice zatem wymierzają, jedną „prostą”, drugą „zakrzywioną”, o tysięczną mili dłuższą (ta właśnie później oficjalną zostanie, tym samym tyci skrawek Maryland odkrawając). Trzy i pół mili, których do Linii Zachodniej brakuje, jako prawdziwego południka wycinek wytyczyć można – odtąd jako Linia Północna będą znane.

- Wiem jeno – Mason ramionami ściska – iż mam Aliot i Gwiazdę Polarną na jednej linii ustawić z płomieniem świecy, o milę stąd przez ciebie trzymanej, ty zaś w tym samym czasie linką swego pionu płomień ów przepoławiać będziesz.

- Jeśli, rzecz jasna, sznurka nie podpali.

I tak oto Dixon w mrok wyrusza, niczym Miesiąc zmienny, w którym od drapieźników zwierzęcych i człowieczych się roi, jak i Indian z misją przed białymi skrywaną posłanych. Wszyscy oni pod osłoną nocy snadnie się przemieszczają, jeno czasem jakowis idiota na drodze im staje. Nawet zwierzyna później do wodopoju schodzi, z tych miar na inne sztuki ze stada wpadając, których spóźnieni unikać byliby radzi i porządek stada znów się zmienia nieprzewidzianie. Wśród tej ciżby zaś pomocnik niepewny, a przeto bezbronny, latarnię przez się utrzymaną to w lewo, to w prawo przesuwa, podle tego, co mu głos odległy przez tubę czynić każe.

- Prawdę powiedziawszy – Mason śmiech tłumi, przedstawiając sobie, iż kompania zagrzewa – gdybym to ja z mroków okolicę uważał, do figury w kapeluszu dziwacznym podejść, co metalowym głosem krzyczy, nie byłbym skory. Dzicy równie srodze lękać się siebie mogą, co ludziska z hrabstwa Cecil przeszej zimy.

- To nie ja w strachu ich trzymałem. Za czeladnika jeno mię brali.

- Gadaj zdrów. Sam widziałem, jak z ową torpedą konwersujesz.

- Skądże znowu, kolejne to z twych rojeń, Masonie! Co godzinę cię naówczas, przyjacielu, nawiedzały. Tedy właśnie wszyscy bać się siebie poczęli. Starczało pogody podlej dni parę i dawaj... – Patrząc współczująco, ręce rozkłada.

W końcu, dnia szóstego czerwca, na łące do kapitana Johna Singletona należącej, niemal pięćdziesiąt łańcuchów na wschód od domu imć Rhysa Price'a, tam, gdzie południk równoleżnik przecina, jeometry kamień ociosany stawiają, literą W od zachodu, a N od północy znaczony, i już granica gotowa.

Tu, w najdalej na północny wschód wysuniętym punkcie Maryland, pielgrzym jeometryczny pragnąłby może w towarzystwie własnych myśli przystanąć, bowiem jak na razie, przecięcie to w Ameryce najzgrabniej wymierzone. Aliści strzeż się, marzy-
cielu. Jeśli wzrok twój krztynę na wschód zbłądzi, Klin niesławny zocysz, co z tego się zrodził, iż Punkt Styku u twych stóp znaleźć się nie zdołał i pięć mil na południe stąd leży, takż długi wycinek wytyczając, którego władca wciąż wątpliwym pozostaje. Żadna z prowincji praw do Klina usilnie nie rości, a wielu ową niejasność sobie chwali. Wszyscy ci tam się osiedlają, którzy mieszkać gdzie indziej nie pragną, a takich w wie-

ku płynnej tożsamości nie zbywa. Patrząc na owe sielankowe łąki, co się na południe rozciągają, niemal zmysłami ogarnąć można, jak to Linia i Łuk ku sobie bieżą –

*Po każdej ręce suną ku sobie one,
Brzęcząc niczym trzmielie w locie rozszerzone.*

jak to wielki Tox w „Rzeczy o Pensylwanii” ujął.

Atoli Klin także świat niewidzialny kryje poczynań nigdy nieodnotowywanych – nad brzegami potoków, w stodołach, pod żywopłotami, na stryszkach, w lodowniach i polach kukurydzy długich, gdzie się w kilka chwil po wejściu zagubić podobna w przepastnym gąszczu łądyg niewzruszonych – w rzeczy samej, choć na te ulotnych tygodni spokoju parę, nim jesienne zatrudnienia przywołają, czy to tratowaniem, czy rozgarnianiem, różnorakie sekretne ścieżyny, polanki i alkowy są wśród owych chaszcy tworzone niczym ruiny dachu pozbawione. Słońce praży, nęcą lasów cienie. Gleba, gdy tylko dość odsłonięta, kolejną piaszczystą areną się staje. Każdy się w tych ostępach czaić może – od kochanków, co miłość swą tają, po przemytników broni. Jedni kontrabandą handlują – sprzączkami, medalionami, herbatą, koronkami z Francji rodem – inni gruntów kawały wytyczają, do użycia w przyszłych malwersacjach zdadne. Szkodniki owa-dzie ze strachu niemal wynieść się muszą, lecz prędzej czy później wracają.

Nadto nieopodal Wzgórze Żelazne stoi, anomalia magnetyczna, na wpół magiczna i znana, o której wszelakim elfim spółnotom wiadomo. Ryzykanci, kapitałem cudzym rozporządzający, od wielu lat kopać w nim ochotę mają, lecz do wynagradzania oficjalistów kilku prowincji nieskorzy, wyjaśnienia statusu Klina czekają. Czy część to Pensylwanii? Maryland? Lub, co rzecz nowa, Delaware może? – co to na papierze do Pensylwanii należy, William Penn je bowiem od Księcia wziął w dzierżawę na lat dzie-sięć tysięcy, z których pięćdziesiąt własną legislaturą i egzekutywą się cieszy.

Na razie Klin ziemią niczyją, jeograficznym dziwem drobnym, gdzie się od ape-tytów wszelakich tudzież ofert ich i akceptów roi.

Linie Północną szparko ukończywszy, znów nad Susquehannę jeometry posłani zostają, by Linie Zachodnią „po kraj obszarów zamieszkałych”, jak w rozkazach stoi, pociągnąć. Prawo poddaje, iż na Linii Proklamacyjnej skończyć im przyjdzie, co grzbietowi Alleghenów jednaka. Jeszcze nim wyprawa do rzeki dochodzi – jakoby przeznaczaniu uciec nie mogli – Darby i Cope udawać poczynają, iż są Masonem i Dixonem, choć role te nie na stałe przydzielone. Pierwsza sposobność się nadarza, gdy patrząc, łańcuch zmiarkowawszy, wnioskuje: – Imć Mason! A to musi być imć Dixon!

– Nie do końca – Cope powiada.

– Ma on na myśli – Darby pospiesznie dodaje – iż on jest Masonem, a ja Dixonem, czyż nie tak, Masonie?

– Dixona bym wołał – Cope szepcze zagniewany.

– Następnym razem, umowa stoi? – Ogniwa łańcucha błotem zasuszonym uwala-
ne niemalże jęczą z boleścią.

– Miejcie się na baczności – w końcu szynkarz życzliwy im rzecze. – Kręci się po okolicy dwu takich, co za was się podają.

– Tureckie gadanie – Darby kwituje.

– Na co komu w nas się wcielać? – Cope duma.

Dziewczęta mniej lub bardziej z przyrodzenia ciekawe do obozu zachodzą, Maso-
na, Dixona bądź obu widzieć żądając, a stanąwszy w oczy z prawdziwymi jeometra-
mi, wołają:

- Wszak nim nie jesteś!
- Ni ty tamtym!
- Co do tego nie ma wątpliwości – brzmi odpowiedź pary. Gdy chwilę znajdują, by się rozmówić, Mason poddaje: – Jak nic ktoś to z wyprawy. Darby i Cope, jak mniemam.

- Co cię po temu skłania?
- Cóż, gdy kto poskarżyć się przychodzi, nigdy ich w pobliżu nie ma, czyż nie? A ich nazwiska, podobnie jak nasze, pospolicie razem są wypowiedane. Atoli tobie więcej o robotnikach łańcuchowych wiadomo. Co trzymasz?

- Ich smutki stąd się biorą – Dixonowi się zdaje – iż żadnego instrumentu nawet tknąć im nie wolno, chyba że przywódca wyprawy niechętnie na to przyzwoli, poza łańcuchami, rzecz jasna, tym zaś skojarzenia poetyckie, przez stulecia narosłe, ciężaru przydają. Nie tylko chłopci z Durham za diabelskie kieszki je mają... Dźwigają je tedy, nienawiścią darzą, dbają o nie – w sercach wieczny zamęt. Wciąż ku instrumentom pożądliwie zerkają, a choć upomnienia jeometrów pojmują, majstrować przy owych cudach muszą i będą. Niektórzy sztukę poznać lepiej szczerze pragną, inni jeno grzebią przy nich dla zabawy. Panowie Darby i Cope są akurat z wszelkimi instrumentami obeznani, a tu przyszło im przy łańcuchu harować, pod jeometrami brytyjskimi do tego. Zdarza się, pojmujesz, iż zawiść kiełkuje.

- Odejźmy zatem od tego, co obyczaj nakazuje. Zezwólmy im może naszych instrumentów używać. Twych raczej, gdyż sam żadnego nie posiadam.

- He? Co? Mój pantometr? Toż on mi za jeden ze zmysłów służy. Miałbym obcej osobie węch swój powierzać?

- Hm, zatem... ty i ten... instrument... jesteście... blisko związani? Czy imię mu nadałeś?

- Masonie, gdy przedstawię sobie, iż Darby czy Cope w jakowymś wysięku ocznym soczewki mego ślicznego panto skąpać by mogli...

- Ha! „Śliczny panto”! Jakże to urocze, jakże dziecinne przywiązanie.

- Może gdyby narzędzia w twym fachu używane do ciebie, przyjacielu, miast króla należały, doświadczyłbyś choć tego prostego, sentymentalnego przywiązania, co wśród ludzi, w rzeczy samej, dość pospolite, lecz rzadko, jak wnoszę, wśród owych wszystkich teleskopów się trafia, sektorów zenitalnych i tym podobnych, hen, na wyżynach, gdzie do Jego Wysokości niedaleko?

Mason spuszcza głowę z skrucą fałszywą.

- Kolejna ma przywara! Ileż jeszcze, nim liczyć już nie będzie warto? Dixonie, wiem, iżem twego szanownego instrumentu nosić nawet niegodzien. Z serca wam błogosławię, radujcie się sobą w pokoju.

- Dziękuję, Masonie, zaprawdę szczerze. A co do naszych łańcuchowych, obaj w soczewkach szkoleni, może by im przeto sektor czasem powierzyć? Do żadnego z nas ten nie należy.

- Zawadą nie stanę, jeno opiekunów jego powiadomić muszę. Przed twórcą sektora odpowiadać winieneś.

- John Bird tak samo by uczynił, bez pochyby.

- Przed znawcą typów człowieczych ustępuję. – Mason kpiarsko na modłę francuską kapeluszem kręci ukłony.

- A oto i oni! Cud! Podajże telegraf jezuicki, gdyż papieżowi donieść muszę. Panowie, coście najlepszego...

- Zbyttno zaczepnie – Mason mruczy. – Panie Cope, panie Darby, cóż za miłe spotkanie.

- „Darby i Cope”, za pozwoleniem – Darby powiada.
- On tu rządzi – Cope dodaje.
- Ze wschodu na zachód rzecz jasna jeno.
- Obaczysz się, komu drewniak stanie.

Podłego sortu stychomytią¹ klarować poczynają zwyczaj wymieniać się kołkami dziesięcioma, by rachuby łańcuchów nie tracić. Imć Darby gdzie bądź je przy sobie upycha – za paskiem, w kapeluszu czy cholewach – imć Cope zaś liczyć zapomina, tak się zatem drewniak zgubienia lękać poczęli, iż co jedenaście miast co dziesięć łańcuchów się nimi wymieniają, a imć Cope jeno dziewięć wówczas oddaje, jeden zatrzymując, atoli zdarza się, iż któryś o zmianie zapomina i do starej metody dziesięciu łańcuchów powraca...

Z każdym robotników zdaniem Dixon szerzej oczy otwiera.

- Mogliśmy już o całe mile zboczyć!
- Lecz zrządzeniem losu – Darby powiada – omyłki nasze wzajemnie się wyrównały.
- Inaczej miast Susquehanny byłby Potomak. Zadziwiłby się może wojażer lokosodromiczny.
- Miał złudnych zbyt dużo lub zbyt mało. Jakoby coś na kształt dziury w łańcu przestworze ziało.

Cisza. Żaden z łańcuchowych ani drgnie na twarzy.

- A poza tym czyście ukontentowani? – Mason pyta, łagodnie, jak sobie przedstawia.
- Wstrzymaj, Masonie. Gnębić ich nie trzeba.
- To on mię przymusił! – Cope krzyczy, jakoby jakąś torturą złamany.
- Szubrawcze! – Darby woła. – Sam żeś zaczął!
- Zawsze rządzisz, zawsze obronną ręką wyjść musisz, ha? Niech się nędzny Cope ile sił starczy wije.

- Do czego cię przymusił? – Dixon dopytuje.

- Ha, ha! Widzisz? – Mason woła. – Teraz nam wyśpiewają.

Po prawdzie, łańcuchowi na ich oczach okładać się wołą.

- Cóż – Mason zwierza się, usta przesłoniwszy – lepiej jeszcze im sektora nie powierzać, nie teraz...

Na dukcie, przy wyrąbisku, poruszenie powstaje. Świeżo najętych drwali gromada się zbliża.

- Oto i oni! – jeden z przybyłych woła.
- Hej tam, dzikusy, dość tego! Nie tak my, chrześcijanie, dysputy prowadzimy.
- Aliści, na oko biali...
- Zmyślne, dalibóg, szatańsko zmyślne przebranie, choć „Darby” i „Cope” nie brzmiały z angielska, czyż nie?
- Wszak w swej brytyjskości nikomu tu nie ustępują – Dixon oponuje.
- Nie podle waszej listy płac. Patrzaj, tu stoi „Darby i Cope, Chińczycy²”.
- Chyba „łańcuchowi”.
- Hej?
- To nie to samo.
- Ach.
- Czy imć Barnes na dudków nas wystrychnął?

¹ Dialog w dramacie greckim złożony z krótkich replik dwóch postaci.

² Ang.: *Chinamen* – Chińczycy, *chainmen* – robotnicy łańcuchowi.

– Jaka szkoda. Żaden z nas Chińczyka nie widział.
– Jeszcze trochę. – Stary Haligast prorokuje głosem tak pasją przepojonym, iż wnet wszyscy mu wierzą, prócz najbardziej zatwardziały drwali.

Dnia dwudziestego drugiego czerwca znów przy przystani promowej stają – znów wieczór to sobotni – pomiary podjąć gotowi. Nieopodal rzeka szumi. Obaj jeometry już pojęli, iż czymś więcej jest niżli jeno rzeką – innego kraju granicą. Nazajutrz, by stopień szerokości był należyty, jakieś czterdzieści pięć stóp¹ na południe się przesuwać, notując – „a kamień graniczny na wschodnim brzegu rzeki postawiwszy (...) na zachód z Linii wytyczaniem ruszyliśmy”².

Nim się przez Susquehannę przeprawiają, pakunek do nich dociera, przez młodzieńca na karym berberze doręczony. Śladu zmęczenia u pary posłańców się nie uświadczy. Ze strasliwym okrzykiem na ustach jeździec trykorn z głowy zrywa, zawraca i w zaroślach znika. „De Solis et Lunæ Defectibus” pakunek kryje, książkę ojca Boskowicza nareszcie wydaną, zza morza przez Maskelyne’a przysłaną, który obserwacje w dziele zawarte w dołączonym bilecie uwadze astronomów poleca. Przed mocą gór osobliwie ich ostrzega – „Ustalono w Italii, iż Apeniny Umbryjskie znacznym pionem na północ odchyłały, a tym bardziej, im bliżej do nich było”.

– Pierwej żyły rudne żelaza mej igle szkodziły – jęczy Dixon – teraz góry ciężarek pionu odchyłają!

– Zobowiązuje nas, tak jak to na Helenie z nim czyniłem, byśmy po obu stronach grzbietów symetrycznych odczytów dokonywali, w nadziei na odchylen obu zrównoważenie. Modlę się, by zachodnie stoki Alleghenów mniej zgryzot nam przysporzyły niżli owej insuły piekielnej nawietrzne brzegi.

49

Kraj na zachód od Susquehanny spokojnym być się zdaje – obejścia, budynek szkolny, droga do Yorku zmierza. Po raz trzeci dziesięć minut łuku przemierzywszy, możebną omyłkę w rachubach wyliczają i o włos łonowy rudej barwy na północ kierunek swój zmieniają. Kolejny przystanek znów w pomyślnym miejscu wypada – przy wielkim gościńcu, co York z Baltimore łączy, bardziej prawdziwym niżli jakakolwiek przecinająca go linia urojona. Gleba w tych okolicach czerwona niczym nowy mur ceglany cieniem zalany, gdyż sporo w niej żelaza i namagnesować ją też podobna, jeśli się jeno w dobrą stronę orze. Starczy tedy w czas zbiorów jakowąś kolubrynę wzdłuż grządek przetoczyć, by jarzyny, z ziemi wyskoczywszy, same się zelastwa czepiały.

Przed nimi dziesięć minut łuku następne tuzin strumieni przecina, do Gunpowder uchodzących, która z grubsza równoległe od przecinki, o jakąś milę stąd na południe płynie. Ostatni z owych potoków dość kolejnych dziesięciu minut bliski, przekraczając go przeto, muszą jeno, jak i wcześniej, odchylenie wyrachować i ciut na północ skrócić, by przy kolejnym postoju do szerokości należytej dobić. Tak oto, wśród pół latem malowanych, od Susquehanny po Allegheny wędrują, potraw niemieckich po drodze kosztując. Czasem, gdy budzą się z rana, wierzyć im łatwo, iż przez raj idą, o świcie piękny nieznośnie, co dzień po dniu wdzięki swe trwoni, owo-

¹ Ok. 15,5 m.

² Fragment prawdziwego wpisu z 22 VI 1765 roku.

ce im rodzi, zwierzyne wystawia, ulotną chwilę wytchnienia przynosi – oszołomieni, jakżeby nie mieli trzymać dni długie, iż na zawsze w sen błogi zapadli.

Jest środek lata. Mnogości słodkich woni pól, a później i lasów nikt już nie miarkuje. Pewnego wieczoru, w ciemnościach, jeometry w swym namiocie siedzą, robaczki świętojańskie uważając, których miliony dookoła się jarzą. Nad oświetleniem nimi obozu Dixon głośno duma, pomny tego, jak brat jego George wzdłuż murów sadu gaz węglowy trzciniowymi rurkami puszczał. Jeremiasz pragnie, by strumieniem wąskim nieprzerwanie po namiocie stworzenia te krążyły, a tu i ówdzie w szklanych kloszach zebrane, światło żółcią nowemu Miesiącowi równe rzucały.

– A gdy się tam przeniesiemy, gdzie owych tych latarników braknie?

– Z sobą je weźmiemy, nieprawdaż? Służba dożywotnia!

– Lecz jak długo żyją?

– Ech, ileż to w tobie zapału.

Im dłuższy dukt za nimi wycięty, tym więcej namiotów za obozem wyprawy co noc od strony Filadelfii staje. Życie tam kwitnie diwertimentom hołdujące (lub też, inni by rzekli, szatanowi) – karty, kości, burbon, niewiasty powabne, długie godziny pracy bez rekompensaty znieść zdolne, sceny co dzień po zmroku na powrót zbijane, które wśród pomruku jakoby wielkiego mrowiącego się tłumu światła latarni z mroku dobywa... Ze wschodem słońca sceny znów znikają, a ci, którym taniej za wyprawą podążać, niżli gdzie indziej zarobku szukać, po trudach minionej nocy jęczą i nadzieję mają, iż kolejny dzień z drwałami w drodze choć parę godzin snu im przyniesie. Jest tu mistrz gry w trzy kubki, wróźbita kryształowy i bracia Vásquez, co w kwartecie na marimbach grają, a jako że dla torpedy muzyka to wód ojczystych i lat młodości, nieraz jej akompaniują. Każdego wieczoru, tuż za obozem, drewniana, górująca nad namiotami budowla staje, a w niej marimby, społem rozedrgane, co rusz akordy i arpeggia modulując, zaś pałeczki z dłońmi zespolone z szeregu drewnienek nuty krzeszą, skoczne, przestrzegające, wspomnienia przyzywające tony... Hymnem ekspedycji podążającej w nieznanne „Pepinazos” się staje – maszerują i wozy toczą, lecz raczej tańczyć by woleli.

Pepinazos, nunca

Abrazos, Sí me

Quieras, Sí

De Veras

¡Oigamé! –

Déjaté,

¡Los Pe-pi-naa-zos!

Całe lato nad Liniją się trzdują, już Codorus i Conewago za nimi. Co jakiś czas sektor ustawiają, odchylenie rachują, przed gradem grubym na półtora cala się kryją, kierunek zmieniają i dalej – przez Piney Run, gościniec na Monocacy i potoki za nim. Tuż za Middle Creek, za sektor chwycić nieskorzy, stwierdzają, iż nadto z szerokości nie zboczyli i jeno pod takim kątem skręcają, by kolejne dziesięć minut zeszło, po South Mountain, wśród zjaw, od których i tu już gęsto.

– Głupcy z nas – Dixon pewnego wieczoru rzecze. O zmierzchu wiatr z południowego wschodu jął dąć, nawet pośledniejsze strapienia i niesnaski zaostrażając. – Nie powinniśmy tej Liniji wytyczać.

Mason w swój kubek bordo się wpatruje.

– Przyznasz, nieco poniewczasie powiedziane.

– Wiem i nie lękaj się, przyjacielu, dokończę dzieła. Lecz, wyczuwasz to niechybnie, coś niewidzialnego w powietrzu wisi...

Mason ramionami rusza.

– Politykierstwo amerykańskie.

– Właśnie. Znów jesteśmy wykorzystywani. Czyż to cię, przyjacielu, niepokojem nie napawa?

Przebłysk ginącego światła tęczą w oczach Masona błyska.

– Odstąpić? List wypomną. Natychmiast. Cóż zatem?

Dixon kiwa głową ponuro, a Mason mówi dalej, więcej niżli trzeba.

– Choć spólny los dzielimy, tobie lżej, bowiemś kwakrem i nikt się po tobie waleczności nie spodziewa. To ja dźwigam podwójne brzemie odwagi. Wybornie. Czy umyślnie nas tak dobrano? Czyś mą karą, co do pensa odliczoną, za to, iż dowództwo obrałem? Iż Maskelyne'a przy przejściu nie sekundowałem? Eyrem Cootem¹ zostałem mi przyszło?

– Przesadzasz trochę.

Mason swym harcapem się bawi, to przed lewe, to przed prawe ramię go wyciągając.

– A gdyby to wszystko prawdą było – każde podejrzenie niemiłe, każde wyjaśnienie urojone – czy wówczas, choć w pełni krzywd świadomi, głębiej byśmy brnęli? Rozkazów słuchali?

– Podpisaliśmy umowę.

– A jeśli o zgubę by nas przypawiła?

– Stara historia z *Seahorse'em* winna nam na zawsze odstąpienie wybić z głowy. Innej drogi nie staje. Jak długo to możebne, tą zmierzać musimy.

– Skoro wyboru nie mamy, otwarcie mówić mogę i mroczniejszymi z mych przemyśleń z tobą się podzielić. Założmy, iż Maskelyne to szpieg francuski. Założmy, iż wyciąg obserwacji z Greenwich jakowaś sekretna machina jezuicka co dzień dostaje i transkrybuje podle metody kabalistom drugiego stulecia pod nazwą gematrii znanej, dzięki której z pism religijnych czy świeckich posłania wszelakie odczytać można. Przez wieki strażnicy różnoracy kunsztowi temu w zapomnienie popaść nie dali, a od śmierci ostatniego z nich jezuici i wolnomularze sekret metody posiadają. Dysputa nad obserwacjami Bradleya czy, wcześniej, Flamsteeda byłaby zatem z ich strony zamysłem skrywanym, by liczby nocą zdobywane niczym litery posobnie na różne sposoby w wierszach stawiać, aż posłanie swe ujawnią.

– Jak dla mnie, koncept to nieco zbyt wyrafinowany. Choć w spisek uwierzyć mogę, źródeł jego w korzyściach handlowych raczej upatruję. Owa mistyczna odmiana, którą ty przedkładasz, poza mym pojmowaniem. Jam jeno wyrobiska dziecię proste.

– „Handlowych” powiadasz? Tu cię mam, bratku. Jezuitów wspominałem, zatem w domyślnikach zawołowanych o Kompanii Wschodnioindyjskiej napomykasz? Pojmuję, pojmuję... Rzecz jasna to bzdura.

– Nie łyj. Czy ucho twe nie zachwyca? Tam, tuż za rogiem, toż to tupot jej stóp i jej zręczne dlonie. Woń świeżej kolendry, wschodnie lampiony, szept sarongu...?

– Sari – Mason koryguje.

– Nie trzeba. To ja się myliłem².

¹ Wybitny wojskowy brytyjski (1726–1783); gdy, mimo wielu zasług, nie powierzono mu dowodzenia w trakcie oblężenia Pondicherry w Indiach w 1761 roku, lojalnie wspierał wybranego na dowódcę Monsona.

² Gra słów angielskich: sari podobne jest w wymowie do *sorry* – wybac, sarong do *so wrong* – tak bardzo w błędzie.

Odkąd przez Susquehanę się przeprawili, Armand w melancholii się pławi, albowiem Luiza odjechała.

Nawet Dixon pozór był dał zmianie.

– Żabojad i jejmość Redzinger coś rzadko społem ostatnimi czasy, czyś zmiarkował?

Im bliżej gruntów Redzingerów, tym silniej wszyscy przytomność Petera odczuwają. W rzeczy samej, ubiegłej zimy powrócił i z chłopcami grunta chędoży – las wyrąbują bezsenni, jedząc, gdy pamięć nakaże, gleby zdatnej wyglądając, niemal bez jednego słowa. Luizie mąż oczyszczonym się jawi, czasem przygnębionym nawet, atoli wolnym od podejrzeń wobec żony, gdyż małżeńskie sentymenta daleko za sobą ostawił. Do kolejnej ostrej zimy pensylwańskiej całym sobą należy – niebo ciężkie nisko zwisa, każdego dnia grozi, drogi po zapadnięciu zmroku gęstwiną się kończą.

– Jezus mię opuścił – pewnego ranka słowa zdatne w końcu znajduje. Z okapów woda się sączy, słońce zamglone to rozbłyska, to słabnie bez wyraźnej miary. – Pewnego dnia, bez znanej mi przyczyny, Jezus przyszedł do mnie i rzekł: „Peter, odchodź. Mniemałeś, iż wcześniej ciężko było? Teraz ponad siły będzie”. „Czy wrócić zamierzasz?”. Ledwo głos dobyć mogłem. „Na to nigdy nie trać nadziei. Błagam, widoku twej pochmurnej twarzy mim oczom oszczędź. Wiem, iż proszę o wiele”. Zdawał się wielce radosny. Czy tak ulga się objawiała, z jaką wyzwolenie witał? „Cóż mam czynić bez ciebie u boku?” – zapytałem. „Czegóż cię uczyłem?”. Mowę mi odjęło, Luizo. Pytania nie pojąłem. „By do ciebie się upodabniać?” – spróbowałem. Uczył mię? Cały ten czas? Próżne żale. „Niestety”. Pocięchą jeno, iż w Jego uśmiechu litości nie zmiarkowałem ni tyle rozczarowania, ile się ujrzeć lękałem. Obrócił się – po raz pierwszy tył Jego szat widzieć mi było dane. Na plecach motto po niemiecku widniało, najcieńszą ze złotych nici wyszyte. Odczytać go nie zdołałem. Postać Jezusa oddalała się, wreszcie znikła.

– Peter.

– Bez niego chłód mi doskwiera, bezradny się czuję. Och... Wierzyłem, iż zawsze będę mógł polegać na Nim, był przy mnie, prawdziwy, wtem odwrócił się i odszedł. Zawiodłem Go, lecz jak? Tak go miłowałem! – Głosem zdławionym dzień cały i pół nocy się zwierza otępiały, choć nie szlocha tyle, ile Luiza się spodziewała. Od czasu do czasu Armand do nich zagląda, uśmiecha się wyrozumiale i westchnąwszy ciężko, samych sobie ostawia. Luiza krańca cierpliwości czeka. Po raz pierwszy niczym niehamowana namiętność wobec Francuza w niej wzbiera, a wie już, iż danie jej ujścia może im niepisane – uświadamia sobie też, jak bardzo słuchanie Petera ją nuży. Aliści z niezbadanych ostępów zachodu jej duszy, niczym ludziska z głębi ładu z swymi towarami, posłańcy z najświeższymi wieściami zjeżdżają, te zaś głoszą, iż jej przeznaczeniem może, mimo wszystko, ów wrak męża szalony, przez Chrystusa opuszczony – bo cóż innego jej pozostało, nieraz później we łzach zapyta. „Cóż począć miałam? Co, na Boga? Ach, ten Francuz i kaczką jego. Próbowałam, naprawdę próbowałam o naszym trio Peterowi opowiedzieć. Na próżno, gdyż nie słyszał mię wcale, zbytnio w swych przeszłych przypadkach pogrążony, tym, jak to za Monongahelą z Jezusem, kaganek oświaty niosąc, wędrował. Chrystus w przebraniach różnorakich i on, jego towarzysz chmielowy. Oto Jezus i Peter Indian odwiedzają. Jezus swe lata młodzieńcze wspomina. Jezus golemu budować Petera uczy...

– Z przeproszeniem, Luizo. Twój mąż...

– ...golemy buduje. Och, nie te duże, Lotto, nie. Kuchennych rozmiarów. Niektóre z nich dość zmyślne, w czym to nie pomogą! Jeden jabłka obiera i gniazda nasienne usuwa, ja, nawet wiśnie dryluje!

– Luizo, na miłość boską!
Niewiasty psotnie się uśmiechają. Ha, Peter zgodzi się bez pochyby. Pewnego dnia Luiza Lotcie pokaże.

Pensylwania w cuda obfituje bardziej zadziwiająco niżli wszelkie przepaście czy wodospady. Wśród Niemców z Lancaster, na ten przykład, są tuziny, może setki, prawdziwie prawych ludzi z piekła zbiegłych, którego my w naszej codzienności układnej z trudem choć przedstawić sobie możemy – wioski tam do cna spalone, tortury od inkwizycyjnych gorsze, jelita wypruwają, krew puszczają... Świat to niewinności pozbawiony. Do Ameryki przed nim uciekli, niewinności odrodzonej – czegoś, co głębsze i bardziej zawile, co „nowym życiem w Chrystusie” wołają – tak to klarują. Ni jedna chwila ich świadomego życia nie mija bez jakowejś Bogu czci oddawania odmiany. Praca, którą każdy z nas przy tej czy innej okazji przeklinał lub rychłego jej końca czekał, dla nich rzeczą świętą – a cud to niejedyny...

Z podobną typów człowieczych różnorodnością nigdzie indziej wojażer do czynienia nie ma. Tuż koło najbardziej ostupiających konopnej wariacji przejawów, trzeźwość i cnotliwość niespotykana się trafia. Pewni mistycy niemieccy w drzewach żyją – nie wśród konarów, lecz w pni wewnątrz jaskinie wydrążonych. Z kolei w sercu mrocznej puszczy kuźnie rusznikarskie stoją, w kunsztach i konceptach niedościgłe, w których rzemieślnicy, skądinąd świętobliwi, co dzień nowe narzędzia mordy szykują...

Wicks Cherrycoke, „Dziennik duchowy”

DePugh na myśl kazanie przychodzi, które niegdyś w kościele słyszał mistykami niemieckimi wypełnionym.

– Mógł to być wykład matematyczny. Piekło pod naszymi stopami ograniczone – Niebo, nad naszymi głowami, nieograniczone. Piekło, jako sfera, zapada się, Niebo zaś rozszerza. Domknięcie kary, zwolnienie zbawienia. Grzech z przyrodzenia ku Piekłu i sprężeniu prowadzi, łaska zaś ku Niebu i rozrzedzeniu. Z tych miar...

– Z tych miar? – pomruk zebranych odpowiada.

– ...niechaj każdy punkt Nieba na każdy punkt Piekła odwzorowany, to jest rzucony, zostanie i *vice versa*. I cóż rzut ów w połowie drogi (logarytmicznie mierząc) przetnie? Cóż, naszą drogą Ziemię i nasze na niej żywoty. Zdaje nam się jeno, iż miasto nas otacza, z cegieł solidnych i belek drewnianych – po prawdzie, na karcie geograficznej mieszkamy. Może nawet osoby nasze jeno prawdziwszych par odwzorowaniem, podobnie jak Filadelfii przypisane przepastne miasto niebiańskie i Piekła tłoczny zakamarek, każdy szczegół w tamtych lustrzanie oddany.

– Trzymasz, iż Mason i Dixon w Piekło siedzą? – Ethelmer dopytuje. – Łuk bez skazy po znacznie mniejszym kole wytyczają, przez wieki od prób nie odstępując?

– Niepodobna – Wielebny zgaduje – gdyż Piekło, podle tego szkicu, punktem jest, co wymiarów nie posiada, nieprawdaż?

– W samej rzeczy. Atoli przypuśćmy, iż Piekło niemal jest punktem – mężny DePugh poddaje (jak nic wyróżnienie w matematyce w Cambridge go czeka) – wówczas linię nieskończoną kreślą po wewnętrznym płazie sferoidy z możebnych do przedstawienia najmniejsze.

– Więcej tych... – Ethelmer udaje, iż nad słowem się głowi, które by kompanii nie obruszyło – ...tworów zajmujących, nieskończenie małych, kuzynie, stoi. Belfrzy

z mego piekiełka w ohydztwach tych rozmiłowani. Osobliwie epsilonch. – W powietrzu rysuje. – Zaprawdę, żalosne to drobiny.

– Często je widuję – DePugh wzdycha. – W tym półroczu więcej niż kiedykolwiek.

– Jedno jeno w mej głowie rodzi się pytanie. Jeśli Piekło w rozmiarach nadzwyczaj jest małe, dusze potępione jeszcze mniejsze być muszą, a są tam ich już wszak miliony.

– Zakładamy bowiem, iż jedną z kondycji potępienia dość ciężaru i wielkości grzesznikowi ostawienie, by takowy ściskiem w Piekło mógł być dręczony – Czarna Dziura Kalkucka dobrym tu przykładem – epsilonem niższego rzędu przeto rozmiar duszy być musi, jakowymś, powiedziałbym, subepsilonem.

– „Epsilonika Potępienia”. – Wuj Wicks duma. – Brzmi dobrze. Będzie z tego me następne kazanie.

– Wnoszę – Tenebra powiada, przez blade światło świecy w szwaczkę z obrazu staro mistrza przemieniona – iż waszej dwójki Piekłem oczarowanie jeno waszej wzdargie wobec Nieba równać się może. Czemuż to jeometry tam w górze bawić nie mają... – Panna igłą wymachuje, za którą z giętkością ornamentu nic się snuje, w szarości swej niemal niewidoczna, powiewami z rozmów zrodzonych wznoszona, kroków, wachlarzy, przybliżeń, oddaleń i z wszystkiego innego, co się na życie salonowe składa – ...wśród obłoków się unosząc, nieskończone mile łańcuchami odmierzając, sami na jeometrii czystej skraju?

– Choć, dla symetrii – DePugh wtrąca – o niemal nieskończonych mówić winniśmy.

– Cóż – Tenia szepcze – a któż to rzekł, iż wszystko symetryczne być musi? Kawalerowie, zbici z tropu, po sobie jeno zerkają.

50

Nie wszystkie gościńce ku Filadelfii prowadzą. Dla mieszkańców rubieży Chesapeake równie ważna, jeśli nie bardziej, przeto Linia rzadko drogom kierunek skazuje – częściej na skos ją przecinają, od zatoki na północ i zachód bieżąc. Do traktów tych z kolei wiele pomniejszych dochodzi, gospodarstwa łączących z bliższymi targami, a co kilka rozstajów austeria stoi. Wie zatem każdy, choćby o Euklidesie nie słyssał, iż za każdym razem, gdy dukt drogę przecina, o kilka mil dalej na północ lub południe oaza jakowaś niechybnie się trafi.

– Oto jak postąpimy – Mason poddaje. – Kiedy gościniec przecinać będziemy, jeden z nas na północ, drugi na południe ruszy. Ten, który zajazdu w zdatnym czasie nie znajdzie, do Linii wróci, a kompana nie zastawszy może, za nim się uda, by go wracającego spotkać lub w szynku, gdzie tamten już tuzin pint obalił.

Na wschód od Susquehanny metodę tę stosują i często obaj jeometry na zajazdy trafiają, a każdy dni parę nieraz w swym siedzi, nie do końca przyjazdu drugiego wyglądając – przedstawiając sobie jeno może, jak to się ów wspaniale gdzie bawi, z przyjacielem miłych chwil nie dzieląc. Później, za rzeką, zdarza się niekiedy, iż lepiej karczmę ominąć, niżli wejść w jej progi, dalej na zachód tydzień czasem żadnej nie uświadczysz, a wreszcie smutny dzień nadchodzi – przed zmierzchem obóz rozkładają, wiedząc, iż przez szereg nocy niezliczony jeno tych gór zalesionych towarzystwo im pisane, tu, gdzie w głuszy zemsta pradawna drzemie, a bestia dzika za krę-

giem światła się czai. Słońce dziś wieczór niczym w niebieskiej pieczęci, na wszelkie granice nie bacząc, świat płaszczem blasku okrywa, drzewa wypełnia, boki zwierząt rozpala, świetlistą falą je obmywając. Twarzom człowieczym precyzji przydaje oczyszczeniu bliską, a każdą duszę ku chaosowi wieczności bez końca zagania. Drwale stają w słońcu skąpani, jak co dzień głodni, posiniaczeni, znużeni – mrużą oczy, głowy odwracają i na powrót jasność uważają, co znad skraju kształtów niepewnych bije. Twór to im pozornie znany, atoli na nowo stworzony.

Później nie wszyscy trzymać będą, iż to samo co inni widzieli.

Jak szlak posłańca umocnionymi stacjami znaczony, w których konia dla dalszej podróży wymieniać on musi, tak na Linie szereg karczm bądź ich braku się składa. Dnia pewnego, południk dość dokładnie wytyczywszy, jedną czy dwie godziny na stracenie mając, jeden z jeometrów na północ, drugi na południe rusza. Do Dixona los się uśmiecha i odkrywa U Rabina Praskiego, kabalistów siedzibę, którzy z paryskim Zakonem Cohenów korespondencję prowadzą. Właśnie ich pozdrowieniem astronoma witają, palce parami złożywszy z kciukiem z dala, co hebrajską literę *szin* ponoć przedstawi¹, a znaczy „żyj długo i szczęśliwie”. Trzymają, iż za najbliższym grzbietem górskim olbrzymi automat żydowski mieszka, golem najśędziwsze z drzew przewyższający, przez jakowyś lud indiański stworzony, lud ten zaś, w co wierzy wielu, jednym ze słynnych plemion Izraela zaginionych². Z jakichś miar golema w lesie porzucono, gdzie pojął, iż w ruchu niewidzialnym stać się może.

– A czy wy... kapelusze jakoweś nosicie... czy inne części ubioru jeno sobie przypisane? – Dixon wypytuje. Ma się na baczności, gdyż nadto mu ta historia kaczkę przypomina. – Większość z was, przyjaciele, co po mowie zgaduję, z Irlandii rodem, a kraj ten, zawsze mniemałem, bardziej ze skrzatów niżli olbrzymów słynie. Cud to przyrodzenia niebywały.

– Jeśli, powiadam, jeśli go waść obaczysz – szynkarz rzecze – tedy będziesz o cudach prawil.

– Tego tam golema to łapać trza, gdy kima – zapewnia ryżawy drwal, w skóry jelenie odziany, miernego wzrostu, co w jednej ręce kufel trzyma, w drugiej zaś strzelbę z hrabstwa Lancaster rodem.

– Rzec jasna – kowal rumiany dodaje, bok stołu swą osobą zajmujący – nim taki zlegnie, lata miną może. – Ze śmiechu się trzęsie, aż kufle na półkach dzwonią.

– Niektórzy z nas nigdy olbrzyma nie uważali, jeno gdy Księżycza nie stało, kroki jego słyszeli lub dochodzące z góry jedyne znane mu słowa, *eje aszer eje*.

– *Eje aszer eje* – pozostali złowrogim szeptem powtarzają.

– Co znaczy „jestem czymem jestem” – z pomocą jegomość o masywnych przedramionach przychodzi, który marynarzem być się zdaje, i zza kłębow dymu wciąż jednym okiem zezuje.

– Choć u Rasziego³ w nocy „będę czymem będę” stoi, jako iż wyraz niepewny.

– Czyż Bóg nie rzekł tego Mojżeszowi? – Dixon pyta.

– Księga Wjścia 4:14⁴. Takeż ci Indianie powiedzą, gdy się dość waść na zachód zapuścisz, boć to zaginione plemiona Izraela, a golem do nich należy.

– W swej Ewangelii Dzieciństwa Tomasz pisze, iż Jezus jako chłopczyk, rzec by można, golemy-zabawki z gliny wyrabiał – wróble latające, króliki, co hycały. Gole-

¹ Przypomina ona literę „w”.

² Na tym założeniu opiera się „Księga mormona”.

³ Rabi Szlomo Icchaki (1040-1105) – Żyd francuski, twórca słynnych komentarzy do Biblii i Talmudu (były one m.in. pierwszą drukowaną książką hebrajską).

⁴ Cytat z Księgi Wjścia 3,14 (błąd autora) za Biblią Brzeską.

mów lepienie nieodłączną część dziejów Chrystusa stanowi, a przeto i chrześcijaństwa.

- Ha! Tu, koło South Mountain, o większe cuda łatwo. Czasem wszystko to, co niewidzialne, naraz się objawia – czasem tego, co uważasz, nie ma wcale.

- Mówiono mi, iż pewnych gwiazd chińskiej astrologii w ruchu nigdy obaczyć nie można, jeno gdy przystaną. Czy może olbrzym wasz własność tę z nimi dzieli?

Zebrani pospiesznie Dixona oświecają.

- On i cały ten kontynent przeklęty! – rudzielec swarliwy woła, strzelbą wymachując, szereg kufli ze stołu niemal przy tym strącając.

- Kontynent, co, jakoby w odpowiedzi na Boże wycofanie, w niewidzialności się chronił, nam wzbroniony, aż wreszcie duszom naszym trzeba było, by się w ruchu wstrzymał i sam objawił, choć udawaliśmy, iż to my odkrywcami...

- W czasach Kolumba wszystkim było wiadome, iż Bóg oddalić się zamierza, za czym szła owa świadomość straszliwa – coraz częściej radzić sobie będziemy musieli sami.

- Przez wieki Ameryka przed nami ukryta była, podobnie jak pewne wiedzy działały. Jeno wybrańcy z rzadka Nowy Świat oglądali.

- I to nikt, komu wierzyć inni skorzy byli – ot, rybacy, co zbyt wiele nocy z dala od portu spędzili, ludożercy z duchami swych zmarłych obcujący, mnisi w łódeczkach pergaminowych z kart księgi Jonasza zszywanych czy zbiegli mordercy i korsarze – każdy banita na tyle szalony, by na zachód płynąć.

- Wszystko się na tym zasadza, co się staje widzialne i kiedy. Odkrycia to fakt, a z czasem wciąż ich przybywa. Skoro kontynenty nowe się pojawiają, dlaczegóż by nie planety, waćpanie? Waszmości więcej o tym wiadome.

- Spytajcie Masona, za godzinę się tu zjawić winien.

- Atoli sekret póty był bezpieczny, póki go nie ujawniono. Poznać go dogłębnie zrazu przybyszom nie było dane, co dla bogactw, przygody czy spokoju tu przybyli. Był ten Nowy Świat niczym tajemny dział wiedzy – studiów równie pilnych wymagał, co hebrajska kabała. Kształty przyrodzenia, ciągi wody, występowanie tego, co niegdyś cudami zwano, wszystko to księga zapisana – zdania czytać podobna, roztrząsać, spamiętywać, baczenie im dawać.

- Stąd, jak przedstawić waść sobie możesz, Linia waćpanów żywo nas ciekawi – tubalnym głosem kowal powiada – gdyż od wschodu na lewo czytywać ją idzie, w dużej mierze podobnie jak wiersz z karty Tory. Rzec by można, ziemia tu za pergamin.

- Kraniec jej gdzieś na zachód stąd przypadnie, gdzie, tego nikt, nawet wy dwaj nie wiecie. Wypowiedz to, niepewnej długości przesłanie, co w każdej chwili prze-rwane być może, przy każdym łańcuchu. Przypadków Wyższego Świata kopia mniejsza, pantografowa.

- Kolejny przykład na to, iż „jak w górze, tak i na dole”¹.

- Niestety, słowa te moc swą straciły. Wiek nasz świadkiem zepsucia i upadku magii pradawnej. Geszefciarze, maklerzy, wizjonerzy trefni, kupcyki ze światem całym handlujący, przedsiębiorcy i asekuranci – oto ostatni upadli i nieodpowiedzialni dziedzice tej wiedzy, którą jeno w służbie chciwości wykorzystać potrafią. Bunt nadchodzący do nich należy, Franklina i jemu podobnych. Niech nas Bóg ma w swej opiece, jeśli wezmą górę!

¹ Cytat z tekstu wrytego na „Tablicy Szmaragdowej” („Tabula Smaragdina”), autorstwa legendarnego alchemika Hermesa Trismegistosa (utożsamianego czasem z Hermesem), żyjącego ponoć kilka tysięcy lat temu.

– Aliści – dziwny mieszczanin, dotąd w milczeniu pijący, wtrąca – wszak to imć Franklin i jego ludzie Paxtończyków przed miastem wstrzymali, niczym papież Attyłę przed Rzymem –

*Niczym Leon Wielki nad Mincio brzegami,
Przed niezliczonymi barbarzyńców hordami...*

– o tak, a w obu przypadkach nasuwa się pytanie, do jakich to środków obrońcy się uciekli? Choć ledwie krok barbarzyńców naszych czasów od podboju dzielił, także w swe dzikie ostępy powrócili, sposobność kwakerskiego Rzymu splądrowania odrzucając.

- I z tamecznymi niewiastami zabawy – wielu napomyka.
- Strzeż się, wasan, część z nich to my.
- Właśnie. Cóż, dość przekonywające było, iż ich namówić zdołali? –

*Klucz z latawcem leci, siecze błyskawica,
Już sznurek konopny iskierkę przechwyca.*

– Nieprawdaz? Gdyż Franklina za czarnoksiężnika mają. Postać mocą obdarzoną. My, czym jest, wiemy, lecz dla gminu antenatem on cudu lub dziwów, które także im się przydarzają, bez których, w rzeczy samej, dociekliwość i buńczuczność by się w nich zaiste przebudziła. Albowiem jak długo wmawiać nam podobna, iż my, rubieży mieszkańcy, „ludźmi wolnymi” jesteśmy, tak długo metropolię żywić będziemy, walczyć w jej imieniu czy nowe drogi ku niej budować. Dziś prezbiterianami zwać się możemy, których serca jeno Bóg odmienić umie, lecz starczy kilka lat podobnie bezlitosnego omamiania, byśmy słabi i ulegli się stali nawet dla filadelfijskich ludzi interesu, co sami w nic nie wierzą, lecz raczej nadciągające szeregi falangi zwątpienia tworzą – ludzi, których los budzi pytanie – skoro biskupom swym już nie ufają, dokąd ten brak szacunku ich teraz nie zaprowadzi?

- Tak, tak. To Patrick Henry, waćpanie. Wszyscy teraz chętkę mają.
- Cóż, przemów z ust ludzi mego pokroju tym prezbiterianom nie trzeba – tym, co to co dzień się zmierzają z dzikusami na ich życie czyhającymi, a linię obrony z dala od Schuyllkill utrzymują – choćby deści, iluminaci i jeszcze dziwniejsi filozofowie na wierchach pomiędzy stróżowali, by uważać i, kto wie, może starcie poprowadzić –

*W nikłym świetle lampy Filadelfii gracje
O włosów trefieniu snują dywagacje,
Zaś w stromym cieniu jakowychś zachodnich Alp
Prezbiterianin z dzikim walczy o swój skalp.*

– Te strofy, które przytaczasz, przyjacielu? Wiem, iż poznać winieniem... Aleksander Pope¹ to może?

- Toż to Tox. – Rozdrażnienie na twarzy mu się maluje.
- Poeta, którego... To jest...
- W gwiazdozbiornie poezji, by pojęć użyć bardziej dla waćpana przystępnych, nawet Osie z Twickenham² beta się jeno należy³, gdyż to Timothy Tox lumenów najwięcej posiada. Rzecz jasna, z „Rzeczy o Pensylwanii” cytowałem.

¹Jeden z najwybitniejszych poetów angielskich swojej epoki (1688–1744).

²Przydomek Pope'a.

³Gwiazdy danej konstelacji oznacza się literami alfabetu greckiego, zaczynając od najjaśniejszej.

– Ma się rozumieć.
– Te, Tim, powiedz mu, no.
– Tyś przyjacielu...
– Nie tak głośno. To nie me strony. Lękam się, iż zbiegiem jestem, choć nikt nie przyzna tego. Podobnie jak imć Wilkes wolność swą na szwank naraziłem, drukując coś, co tego króla zagniewało. Nie tego króla, waść pojmujesz... – Niczym lekarz wzrok w Dixona wbija, jakowegoś odzewu czekając. – Afisz jeno, kopii nie więcej niżli kilkaset. Szło to tak, mniej więcej –

*Niegdyś legionieści Londinium ulice
Obchodzili strojni w krótkawe spódnice,
Teraz zaś regiment w kiltach¹, nieproszony,
Z gór Szkocji przybyły, gnębi nasze strony.
Cóż to za król, co przeciw poddanym staje?
Cóż za ministrowie? Cóż za obyczaje?
Eksperymentcie Święty²! Gdzie twe ideały?
Gdzie się twe nadzieje, twe lęki podziały?*

Wtem ich uszu łomot potężnego stąpania z zewnątrz dochodzi. Hałas się wzmagą, odepchnięte drzewa na ziemię padają, niedźwiedzie, wilki i rysie z drogi pierzchają owemu czemuś, co się szparko zbliża. Piwo drży w kufkach, cynowe naczynia po stołach tańczą. Miarkując, iż Tox ni drgnie, a oczy mu błyszczą, Dixon zadziwienie udaje.

– Czyś go swymi wersami, przyjacielu, przywołał?
– Poniekąd tak jak waść gwiazdę teleskopem przywołać może, zaprawdę nic nadto.
– Króla nie jest przyjacielem, jak wnoszę?
– To golem amerykański. Mniemali, iż Czarni Chłopczy groźni, z którymi o fort Loudon walczyli. Ha, przy nim to skrząty życzliwe. Tu, jak i w Pradze, golem krzywo na ucisk patrzy i w sukurs przyjąć ciemżonym zawsze skory.

Wielkie gliniane stopy, okapu sięgające, za oknem karczmy się przesuwają. Zebrani kufle w ich stronę wznoszą.

– Niezrównany straszak na wojskowe tartany. Imć Tox powiada:

*Jęk dud tutaj w lesie nienawiść wyzwala,
Mądrze czyni wojsko, trzymając się z dala.*

51

Na South Mountain kończy się zjaw kraina – duchów całkiem pospolitych, lecz i takich, co kształty różnorakie przybierają i dusze kradną. Dalej jeno puszcza, którą inna przytomność włada, nienazwana, w Łańcuchu Bytu duchy poprzedzająca...

Dixon czapkę z szopa nosić poczyna. Mason się niepokoi.

– Coś ci się z czupryną stało – głośno powiada, w głębi duszy trzymając, iż Dixon w wilkołaka się przemienił, czy co gorszego – jakoweś z Nowego Świata stworzenie

¹ 42. (szkocki) regiment wojska brytyjskiego stacjonował w Ameryce w latach 1756–1767.

² Świętym Eksperymentem nazywano pełną tolerancję religijną wprowadzoną w Pensylwanii przez jej właściciela, kwakra Williama Penna, 4 III 1681 r. (do lat 30. XX w. tego właśnie dnia nowi prezydenci USA obejmowali swój urząd).

bezimienne, które niezmierzone sposobności czynienia zła w tych lasach radują – jakoweś dziwo, co się w świetle dnia nie objawia...

Tymczasem Dixon, węsząc, iż jego kompan nieco puszczy się boi, dla rozrywki nieraz teraz u wejścia do namiotu staje z ogonem swej czapki przed nosem zwieszonym, wołając coś w gwarze północnej, którą jeno sam pojmuje. Aż nadto ukontentowania Mason swym przestrachem figlarzowi daje – pióro jego po karcie w popłochu ucieka, a astronom broni szukać się rzuca. Dixon ogon pospiesznie na tył głowy przesuwa.

– Siurpryza!

– Nieśmieszna.

– Mój *chapeau*¹ ci się nie podoba? Cóż, jeszcze głosu Puncta nie udawałem. – Mason patrzy tępo. – Czy wnosić mam, przyjacielu, iż nigdy tego ze swą peruką nie robiłeś? Dzieciarnia za tym przepada.

– Co ty powiesz? Najwyraźniej sposobność mię ominęła. Mój starszy syn, William, z mej głowy ją ściągać prędko się nauczył i w dziecięcych rozmiarów maczugę związać, by udawać – zaiste, uroczy malec – iż głowę swego braciszka roztrzaskuje, a choć zawsze przy tym od pudru kichał, żądza mordu go nie opuszczała.

Atoli słowo „zawsze” Masonowi się wymyka, co każdy koncept czy nawet lekkość tonu gasi. Może astronom tak o współczucie prosi – równie błagalna to metoda co ła samotna czy głosu drzenie. Potem zaś bez pomyślunku coś o kapeluszach rzuca, prosto i na bakier osadzonych.

– Cóż takiego? – Dixon się obrusza.

– Cóż, z pewnością kwaków urazić nie chciałem, do których grona...

– Toż to lekceważące metonimii użycie. Kwestię kapeluszy nad wyraz poważnie traktujemy, albowiem więcej nas kosztowały niżli od gradobicia polisa. Wszak pierwszym w historii naszego ruchu przypadkiem było to, iż kapelusz na głowie pozostał, a i litościwie głowa ta na ciele.

Później nieco Mason zemścić się pragnie. Dixon na szlak rojeń zawędrował i wprost ku zenitowi po nim zmierza, a gwiazdy niezliczone w pędzie go mijają.

– Co? Co? – Ze snu raptownie wyrwany do kompana krzyczy, który tuż przed jego nosem dzwoneczkiem dzwoni. – Indianie? Amerykanie? Gdzie ma strzelba?

– To Capella – starszy astronom prycha – o włos jeno od kulminacji stoi, a choć sam z miłą chęcią przy zegarze bym siedział, jako iż do twych powinności to należy, rad nierad ustąpić muszę, jak mniemam, i do dobrego, starego okularu powrócić.

– Chyba nie usnąłem?

– „Jam twój, śliczna Berciu”? O krztynę zmiłowania błagam.

– Kto tak rzekł? Ja nic takiego...

Wzrok Masona ni to litość, ni to irytację wyraża.

– Nie spałem. Pamiętam, jak Farlow z Boggsem przyszli na swą płacę się pożalić. Jak na majaka cosik zbytńio żywi.

– Gdzie tu Boggs i Farlow? Nic nie... hm. To jest...

– Ha! I kto tu drzemkę sobie uciał? A dziwowałem się, czemuż tak cicho gadają.

– Czuwałem, cały czas czuwałem. Nie było ich tu, przyśnić ci się musiało.

– Och, postronny świadek mniemałby, iż czuwałeś, lecz ja pamiętam, iż z otwartymi oczyma spać potrafiisz.

– Nic na to nie poradzę. Ojciec mój też ten dar posiadał, przez długie lata ciarki mi po krzyżu przechodziły, znieść tego obrazu nie mogłem. Skąd siły bierzesz? Czy cię nie odrzuca?

¹ Fr.: kapelusz.

– Mię? Skąd. Czemuż by miało? Zdaje się, iż uważa mię jakowąś osobą, gdy po prawdzie jej dusza Bóg wie gdzie bawi, gdyż sama przygody nie w pełni spamięta – czemuż miałyby mię to odrzucać czy strachem napawać, osobliwie zaś rodzące się pytanie, któż to tam mię podczas twej nieprzytomności uważa? Cóż to za cieć czy szwajcar jaki, świątyni twego bytu strażnik?

– Powiadasz. A to spojrzenie, które opisujesz... Czy me oczy, jakoby fikołka wywijają, tak że jeno ślepe białko ostaje? I czy owo złowrogie, niewidzące wejrzanie twych snów nie nawiedza, jakowegoś nieuchronnego przypadku zwiastowaniem zawsze przepełnione, któremu świadkować za nic ci nie wolno?

– Tak! Tak! – Dixon jak nie wrzaśnie. – Puste są niczym jaja gotowane gładkie, ba, gorzej – choć żrenic i tęczówek pozbawione, wciąż zezują ku mnie, jakoby...

– Jakoby, jakoby?

– Ech, nic. Nic.

– Nie, błagam, ciekaw jestem, wielcem ciekawy.

Wiatr płachty namiotu dociska, gdzieś deszczówka do kociołka ścieka, płomyki łożowych świeczek ledwo dychają. Od lasu odgłosy się niosą, odgłosy prawdziwe, przez żadnego z jeometrów nigdy wcześniej niesłyszane, o których obaj wspomnieć się wstydzą. Dixon, mniej na tajemnicze wtargnięcia odporny, pierwszy się łamie.

– Dość tego. Wiem, iż słyszysz, co i ja słyszę. Dźwięki wysokie i miarowe, czy się nie mylę? Trzymam, iż to bębny indiańskie, a o nas rozprawiają.

– A ja powiadam, iż to pies – Mason rzece ponuro. – Pies osobliwy o szczeku synkopowanym. O tak, znają go tu dobrze i lękają srodze, a przy tym...

– Czekaj, niech no mą flaszkę znajdę, skoro toast wznosić poczynasz. – Tymczasem coś na zewnątrz się skrada. – Stać! – Pistolet chwyciwszy, Dixon z namiotu w deszcz susa daje, a zwinny przy tym jak rzadko. Coś dzwoni, coś szura. – To młody McClean! – Dixon woła.

– Pięknie – Mason mamrocze. – Teraz co? Może go na jednego zaprosimy?

Dixon głowę wtyka, nieźle już przemoczony.

– Nathe twe zdanie podziela. Mniema, iż to pies. Ja nadal przy bębnie obstawiam, choć może niepospolitej budowy. A powiedz, ile napitku pod ręką stoi?

Inni członkowie ekspedycji teraz doń dołączają, których także zasłyszany hałas niepokoi. Jak do jego źródła daleko, ustalić niepodobna. Mason ospale w płaszcz skórzany się owija, czapkę z bobra naciąga i z namiotu wychodzi, by równie skołowany co inni, po obozie krążyć, z nadzieją, iż nikt się doń po radę nie zwróci, gdyż wszak przywódcą jest wyprawy. Wkrótce tylu ludzi się zbiera, iż rezolucję biorą w jadalni się schronić, gdzie już imć Barnes siedzi i ze swą drużyną dysputuje.

– Panowie – nadzorca ich wita – wszyscy zgodni jesteśmy, iż to – odkąd go znają, nie szeptał nigdy – Czarny Pies.

– Może ulżyć se pod jednym ze swych drzew skory, co to ich już nie staje, boć my je w dukcie zrąbali – Matt Marine dodaje. – Bestia się zeźli niechybnie, pojmujecie, do swych drzew jest przwiązany.

– Mścić się będzie? – Mason pyta. – Cóż przedsięwziąć winniśmy?

– Ej, Masonie...

– Czy poddać mogę, iż to jeno rojeń spólnych odmiana? – Wielebny głos zabiera.

– Wielce podobny przypadek, pomnicie może, nie tak dawno w „Transakcjach Filozoficznych” był opisany.

– Tak, tak – Dixon powiada, zaś Mason: – Nie przypominam sobie.

Obaj, poirytowani nieco, wzrokiem się mierzą.

- Ktoś do T.K. o tym Czarnym Psie napisał? – Mason jest zdumiony.
- Ostrożnie – Barnes ostrzega. – Jego imion się w rozmowie unika.
- Doprawdy? „Czarny Pies” nie wolno mi powiedzieć? Czarny...
- Cicho sza! To jedno ze Słów Nigdy Niewymawianych.
- O! – Dixon jest ciekaw. – A pozostałe?
- Sporo tego.
- I, rzecz jasna, wolałbyś nie wyliczać? Starczy już chyba tego – prezbiterianie wciąż napary ważą i z flaków ropuszych przyszłość odczytują, astrologowie ostatnimi czasy do roboty nieskorzy, kiedy Miesiąc w próżnego kursu fazie, katoliccy drwale swe siekiery co rano wodą święconą błogosławią, a teraz lista Słów Nigdy Niewymawianych?
- Ha – Mason oczy mruży – innym zabobony wypominamy? A wszak słyszałem, iż żaden Geordie nie zdobędzie się nigdy na to, by pewne zwierzę wspomnieć, a mianowicie...
- Milcz!
- ...jedno z tych na wsi pospolicie trzymany, ze skłonności do tarzania się i kwiku znane...
- Bądźże szlachetny, Masonie. Rację przyznaję.
- I obiecujesz nie wspominać imienia Czarnego... tfu, co to ja chciałem...
- Tutejsi powiadają – Dixon rzeczce – iż gdy wszystko inne zawiedzie, Świętą Tróję głośno zawezwać należy, krzyż w powietrzu przy tym kreśląc.
- Przy tym? Przy czym? Gardle rozszarpywanym?
- Ech, nie dla mnie dysputy z urojonymi psami. Psy mię ubóstwiają. Psiarzem jestem, Masonie.
- Doprawdy?
- Od urodzenia.
- Zatem... Gdybym patykiem cisnął i „aport” krzyknął, pobiegłbyś i... – Mason za brodę się łapie i głowę nachyla, dopowiedzenia czekając.
- Nie, skąd, nie takim psiarzem. Choć, przyznam, zdarzyło się na jarmarku w Darlington, iż coś podobnego uważałem...
- Słuchajcie ino! – Moses Barnes woła. – Czy to jeno wiatr się odmienił, czy to przekłete wycie się przybliżyło?
- Wszyscy głosów nocy przez płócienne ściany nasłuchują.
- Czy nie bardziej możebne, iż to pies żaden, jeno Indianie się podszywają? – Imć Farlow spokojnie pyta, panikę wśród towarzyszy siejąc. Ludziska swe futrzane czapy na obce głowy naciągają lub po cudze strzelby sięgają, co jeszcze w rękach właścicieli. Proch wokół siebie i przy ogniu ostawiają, a i naraz wszyscy krzyczą.
- Dowódtwo – Mason pod nosem mamrocze. Do Dixona się zwraca: – Jeden z nas...
- Ja. Znowu. – Kapelusz na oczy naciągnawszy, do wyjścia się szykuje.
- Pan Dixon rozejrzeć się wychodzi – Mason ogłasza, rozpromieniony. – Jeśli to Pies, będzie wiedział, co uczynić.
- A jeśli to Indianie?
- Pogryzę ich.
- Dixon płachtę unosi, oczy przeciera i znika. Na długo cisza zapada. Mason marzenia o Filadelfii snuje, w których, przez wzgląd na przypadki spod South Mountain, właśnie go na hycła wybrano, gdy Geordie wraca.
- Cóż, nie był to stwór przez was opisywany, lecz Żarzący Się Indianin.
- Co, Żarzący Się Indianin spod South Mountain? Od lat go nie widziano.

– Może cosik innego? – Dixon cynowy kubek burbona¹ przyjmuje. – Jak byście olbrzymiego rdzennego Ameryki mieszkańca nazwali, co niczym kuźnia świeci?

– Czy ja wiem... Żarzącym Się Indianinem?

– Właśnie. Toporek, lufa muszkietu, ostrza noży – wszystko rozjarzone, a para w górę biła, gdy w potok wstąpił.

Mason język w gębie stracił. Rzec usiłuje: „Dixonie, miarka się przebrała. Nigdy nie wiesz, gdzie leżą łatwowierności granice”. Rozczarowany jest, iż zjawiska nie obaczył, czymkolwiek by było, a wierzy, iż z jakowymś nawiedzeniem do czynienia mieli, którego wagi kompan z pewnością nie docenił. Dixon z kolei odkrył niedawno, iż im dalej na zachód wymierzają, tym większa w nim jakowychś nowych bodźców codziennych potrzeba, by z odrętwiającego zalewu amerykańskich *stimuli* się otrząsnąć, wielce jest przeto ze spotkania z Indianinem rad, choć i igraszkami z Psem Czarnym by nie wzgardził.

– Ku Antietam szedł potokiem, gdym go widział po raz ostatni. Na oko dość miły. Milczek. Zbyt wysoki, rzecz jasna...

Jest dzień dwudziesty pierwszy września. Za South Mountain, wśród strumieni, co do Antietam wpadają, po dziewięćdziesięciu sześciu milach i trzech łańcuchach koło domu Staphela Shockeya stają, który to zdradza, iż pewna jaskinia godna uwagi jakieś sześć mil na południe od Linii leży. Zimą msze anglikańskie się tam odbywają. Ach! Kapelusze Masona podrygiwać poczyna, jakoby od jakowegoś skrywanego poruszenia. Nazajutrz, w niedzielę, jeometry z wizytą do owego miejsca się wybierają. Imć Shockey z dziećmi im towarzyszy, podczas gdy małżonka jego w domu ostaje, tysiącami powinności uwiązana, od których nawet niedziela nie zwalnia.

„Wejście to łuk wysoki na stóp cztery, a na jakieś sześć jardów szeroki, co się wnet w salę wielką rozwiera czterdzieści pięć jardów długości liczącą, czterdzieści szerokości, siedem czy osiem do powały² (a ni jeden filar łuku przyrodzonego nie wspierał) (...). Na ścianach, łzami skał, pędzlem czasu malowane imitacje organów, filarów, kolumn, pomników świątyni. W bladym świetle roziskrzonym całość straszliwa i uroczysta się jawi, w gościu melancholijną refleksję z mocą budząc – iż taką właśnie jest zmarłych siedziba, twe, przybyszu, przeznaczenie nieuniknione, wkrótce bowiem ich szeregi zasilisz”.

– Takoz w dzienniku polowym stoi³.

– W czystopisie to umieścili? – Ethelmer jest zdumiony.

– Część to oficjalnych dokumentów wyprawy – stryj Ives brwi spuszcza.

– Aliści gdy Mason na posępności wnętrza się skupiał, Dixon na każdym płazie inskrypcje pradawne obaczył, runy nieczytelne – pismo ogamiczne⁴ może.

Imć Shockey niewiele ma do dodania.

– Indianie, zdaje się, miejsca tego unikali, złe duchy czy coś, przeto, jeśli to pismo, pewnikiem od nich starsze.

– Może walijscy Indianie to byli – jeden z jego synów poddaje. – Lata przed nami na zachód się wynieśli, ponoć za Illinois. Wkrótce kapitana Shelby'ego napotkacie, jemu więcej wiadome.

¹ Bohaterowie pijają w Ameryce głównie burbona, czyli whisky z kukurydzy.

² Wejście ok. 5,5 x 1,2 m, jaskinia ok. 41 x 36,5 x 6,5 m.

³ Fragment prawdziwego wpisu z 22 IX 1765 roku.

⁴ Alfabet używany na Wyspach Brytyjskich we wczesnym średniowieczu.

Mason rozgląda się co do joty niczym osoba, która nad umeblowaniem pokoju delibduje.

– Ni skwar lata – wyszeptał tej nocy, ognia zgasić niezdolny – ni mrozy zimy nie dadzą się we znaki nam, w ziemi zagrzebanym... ten strop! Wysoko jak sklepienie niebieskie!

Dixon owej euforii nie dzieli. Myśl o grocie go dręczy. Wzrokiem ją wymierzył, jak to jeometry w zwyczaju mają, i przedstawić sobie teraz usiłuje, cóż za stwór jamę równie przestronną zwać by mógł swym domem. I jakież to los tutejszych anglikanów by spotkał, gdyby niespodziewanie, pewnej niedzieli, mieszkańiec ów podczas mszy do domu by powrócił.

Całą drogę do duktu – Mason monologu nie przerywa.

– Księga, księga to – raz po raz woła – my jej czytelnikami, zaś kartami dni mijające. Jedna jeno na dzień do wglądu przypada, niczym na planie marszruty dawnego pielgrzyma. A oto i rozdział nazwany „Podziemna katedra, czyli lekcja pojęta”. Strzec mię musisz, bym wrócić nie próbował. Czyś nic nie poczuł? Ech wy, z waszym szóstym zmysłem i nadprzyrodzonymi mocami – „Dalibóg, przyjacielu, większe cuda na jarmarku w Painswick uważałem”.

– Phi, chłopak jedną czy dwie studnie skaże i już wyczaruj to, wyczaruj tamto.

– Jak sądzisz, mógłbyś mię dziś na trochę na osobności ostawić?

– Dziękuję, iż wspominasz o tym. Narzucać ci się chciałem.

Konie tak skierowują, by jak najdalej od siebie gościńcem jechać, i tak oto ze świata pod światem wracają ku Linii, co pod gwiazdami leży.

52

Przeprawa przez Conococheague, rzekę o historii posępnej, spokój w sercach członków wyprawy burzy. Dzięki opatrności boskiej nad tymi brzegami postój po kolejnych dziesięciu minutach nie wypada. Garstka chat spalonych, krwią splamionych, pielgrzymów nie nęci, a gdyby aż dwie niedziele spędzić mieli wśród duchów tutejszych i rozpaczy, z jaką te gości czekają, jak nic do mniej upiornej stacji by się przenieśli, choćby ich to dodatkowe łańcuchy i obliczenia kosztowało.

Miejsce zbrodni w Lancaster znieść było snadniej, gdyż wokół miasto stało, sprawami swymi zatrudnione, na każdym kroku uwagę przywiązujące – co tam źródłem godzinnych dreszczy było, tu, w sercu surowej pustyni, w upadek nieopanowany przerodzić się mogło ku temu, czemu przeczyć miało prześwitu wycinanie, a mianowicie poządliwości wszytkiego, co żyje... która z każdej strony napierała nieprzerwanie, pragnąc po prostu, gdzie podobna, w od dawna zrektyfikowaną nieobecność się włamać – by swą przytomność tym potwierdzić.

Pomiędzy drogami dwoma, co do promów różnych, przez Potomak przeprawiających, prowadzą, jeometry obliczeń dokonują, po czym kurs marszruty zmieniają. W końcu, po stu siedemnastu milach, tuzinie łańcuchów i dziewięćdziesięciu siedmiu ogniwach¹ na zachód od Punktu Początkowego, u stóp North Mountain wreszcie stają. Pieczę nad okolicą tą kapitan Even Shelby roztacza i jemu to właśnie instrumenta na zimę powierzają.

¹ Jedno ogniwo (ang. *link*) równa się około dwudziestu centymetrom.

Dopiero ku wschodowi się zwróciwszy, czas znajdują, by spamiętać cokolwiek. Parcie na zachód dążeniem ku przyszłości było. Teraz, naprzeciw słońcu wychodząc, przeszłością zająć się podobna.

Pewnego dnia, brnąc pod wiatr, co do zapomnienia o kapeluszu zmusza, z włosami w strumieniach, instrument mosiężny wraz z jego trójnogiem z trudem na ramieniu utrzymując, Dixon pojmuje wreszcie, czemuż Emerson surdut tyłem naprzód wkładał.

– Jakże można inaczej? – Emerson wzdychał. – Plutończycy, błagam, głową ruszcie. Czyż to nie brzuch właśnie u zwierząt wszelakich najpilniej strzeżony być musi, jako iż grzbiet mocniejszym jest i twardszym? Czyż połowa z mych wędrówek pod wiatr nie wypadnie? Wolę wówczas jak nic zmrożenia unikać, a kark mój niech się sam o siebie troszczy.

– Dlaczegoż zatem inni z przodu guziki mają?

Emerson zgromadzonych uczniów wzrokiem zmierzył, na pozór cierpliwym i łagodnym.

– Całe me nauczanie, lekcja za lekcją próżną, czas to zatem sromotnie zmarnowany, ot, starego głupca kaprys. Nie żebym kiedykolwiek belfrem był naprawdę. Człowiekiem nauki jestem, co akurat mecenasa nie ma, a nauczaniem się param, by me eksperymenta opłacić, choć jeźmość Emerson inne ma w tej kwestii zdanie. „Toż to filozofia z Grub Street rodem! – utyskuje. – Więzienie w Durham lepsze by było!”. Atoli pytanie, dzięki Bogu, małżeństwa mego nie tyczyło. Surdut nowożytny – klaruje – wszystkim nam znany, na stroju szlachty i innych kanalii się zasadza, których zawsze na ubierających ich służących stać będzie. Mniemano, iż w równie intymnej chwili rozważniej sługę mieć przed sobą niżli z tyłu. Na potrzeby dzisiejszej dysputy rozważcie przeto, proszę, co by się może ze stanami w Anglii stało, gdyby każda sztuka odzienia z tyłu zapinana była, zmuszając sługi – a włączmy tu Amerykę, Indie, niewolników czarnoskórych – by więcej czasu za swymi panami spędzali, a zatem niemal niewidzialni byli.

Na długo przed tym, nim żołnierzy obaczyć można było, ludzie na ich szlaku bębnymi słyszeli, werble podmuchami wiatru niesione, o zbocza starych kamieniołomów dudniące, gdzie rezydy żółcią i pomarańczą się jarzyły, tnące powietrze nad pochyltymi pastwiskami, pustymi już, gdyż jagnięta właśnie przedano, rodnym owcom przed zimą wczasu zażywać dano, siostry ich przebrane na jarmarki wywieziono, zaś barany niedługo wyruszyć miały, by wśród wzgórz przezimować. Wielkie stada szpaków, przed rabanem pierzchając, szparko po niebie śmigały niczym chmury burzowe, wichurą pędzone – wieczór w południe. W wioskach skromnych, ledwie rzędem chat gościniec opatulających, kobiety wśród powieszzonego świeżo prania stały, ku światłu spozierając, nad czasem schnięcia dumając, przemarszu porą, chmur prędkością i tym, jak bardzo pranie mokre będzie, gdy im je na powrót do środka zanieść przyjdzie. Wkrótce werble bezlitośnie miarowe dzień wypełniły, pospolite wiejskie odgłosy zastępując tętnem militarnej zegara, głoszącym, iż odtąd nic się bez zgody wojska nie wydarzy, a jeśli już to w wyznaczonej przez żołnierzy porze.

Potem się dudy ozwały. Raz po raz, do Stroud maszerując, dla większego wśród mieszkańców posłuchu, Wolf swym jeźdźcom nakazywał, by z koni zsiadłszy i pozycje jak przy potyczce zajmawszy, do woli do wszytkiego strzelali. Później, głęboko w ostępach Pensylwanii, wśród polan śmiercią naznaczonych, ową drogę przecinając, na której Braddock i jego oddziały jakże smutny koniec spotkał, Mason deliberował, czy to, jak ta tragedia niedawna morale żołnierzy odmieniła, w całej armii, a u Wol-

fe'a osobliwie, do owych wybryków strzelniczych się przyczyniła, po których niewinne ciała stworzeń dzikich i udomowionych drogę za wojskiem setką krwawych plam znaczyły – dragoni, rzecz jasna, ledwie swe brewerie wspomnieli, lecz nieraz tamecznych mieszkańców wielce trapiły – ptactwo po polach się rozbiegało, nikt nie spał, dalszych wypadków z lękiem wyczekując...

– Widzi się, iż Wolfe jednako brytyjskimi tkaczami gardził, co Braddock Indianami amerykańskimi. Miał ich za tubylców zdradzieckich, szacunku niegodnych, buntowników za każdym kamiennym murem czatujących.

– Brytyjczycy do Brytyjczyków strzelający... – Dixon w zamyśleniu fajkę ładuje. – Mniemałem, iż to dawne dzieje. Czy twoi tkacze zatem jakobitami?

– Ludźmi jeno, Dixonie, których dzień w dzień widywałem. To harowali, to się po szychcie posilali, bochen jeden okrągły czy z formy zjeść *per diem* gotowi. Albo wielgachną bułę Masona – mego Ojca wynalazek, na dnie pieca pieczony. Ach, te mąki kłęby białe... W całości lub na skibki je przedawał. Niektórzy tytuł mistrza tkackiego zdobyć zamierzali, większość na zarobek najniższy z gwarantowanych by przystała, atoli ukrócono haniebnie te skromne marzenia, gdy w roku pięćdziesiątym szóstym sędziowie pokoju, w łatwych do przejrzania konszachtach z sukiennikami, prawem stanowione płace o połowę uszczuplili. Tedy właśnie śród ludu zawrzało. – Milknie, jakoby rezolucję brał drobną. – Rebeka z tkackiej rodziny pochodziła.

Dixon fajkę zapala.

– Nie wiedziałem.

– Wełna po stronie ojca, jedwab po matczynej. Lubiła mawiać, iż to z tych miar była, jaka była.

Geordie, głową powoli, miarowo kiwając, dym wypuszcza i w główkę fajki zezuje, jakoby z jej żaru wróżył.

– A owej czarownej nocy na High Street wszytscy tam byli – bracia, wujowie, kuzynowie... – Mason niby dla zaczerpnięcia powietrza przerywa, lecz kompan już się w niego z niemym pytaniem wpatruje – ...cóż, i ja sam tam byłem.

Dixon głową kiwa.

– Sam tak stałem. Żeglarze z barek na Tyne, w roku pięćdziesiątym. Interesu w tym żadnego nie miałem, pojmujesz. Aliści...

Mason po swą fajkę sięga.

– Tak, tak.

– Nie jeden raz może?

– Światy odległe uważałem, ich piękno jakże bezlitosne.

– Atoli owej nocy...

– Te ulice, Jeremiaszu! Na ulice, które pospolicie nie więcej niżli tuzin przechodniów na dzień goszczą, tysiące ludzi rozszierzonych wyległo! Aż po potok się cizba kłębiła, obie odnogi High Street mrowiem głów zalane. – Mason ze skrywaną wesołością dym wypuszcza, którą Dixon rozpoznaje. – Od Lower Street w dole aż po kraj Parliament Street, całe zбочce wzgórze. Wszędzie pochodnie, krosna żalobnie przybrane, pieśń z roku czterdziestego piątego rozbrzmiewały (wśród surowych, kamiennych korytarzy jakże ich dudnienie dzikie), kukły znieprawdzonych mistrzów tkackich sromotnie na ich własnych łańcuchach powieszzone i ten pomruk niesłabnący, niemilknący – ryk tęgi, acz spokojny, parcia pełen – pomruk tłuszczu na jednym celu skupionej.

– Tak, tak. Rzecz jasna, w Newcastle mury raczej ceglane – dźwięk inny, nieco jak w Filadelfii.

– Co w Durham złapanym robili?

– Ludziom z barek? Na zsyłkę szli. Przyznają, szubienice w Painswick więcej roz-

rywki dają, atoli, jako żeśmy w Durham nie tak bardzo pętli oddani, całkiem sporo marynarzy z Tyneside do Ameryki trafiło – po prawdzie, w te właśnie okolice. Gdybyśmy dłużej w Filadelfii bawili, pewnikiem byśmy paru napotkali.

– A czy by mi się to uśmiechało?

– Może byś się, przyjacielu, nie pojawił wcale, zdecydowawszy w ostatniej chwili, iż nie dla ciebie kompani tacy, piwo pijący i węglem umazani – nie to, co tkacze twój, gdzieś nad strumieniem szemrzącym, czyści, schludni i co tam jeszcze...

– Czekaj. Powiadasz, iż *ceteris paribus*¹ towarzystwo załogantów barkowych nad tkaczy lepsze? Wszak to niemożliwe, gdyż powszechnie wiadomo, iż tkacze nad wyraz do figli i zabawy skorzy.

– Nic w Gloucester, ba w królestwie całym, równać się z owym wieczorem nie może, kiedy to Billy Snowball trzymał, iż makówka starego Clasherera kuflem piwa była! Boki zrywać!

Mason czeka, aż śmiech ustanie.

– Cóż, najwyraźniej dla ciebie źródłem są wspomnień wesołych...

– Za nos go wciąż łapał – „A cóż to tu mamy?” Ha, ha, ha...

– ...aliści w Stroud tak się nie godzi, nawet w sali U króla Jerzego, miejscu nad wyraz tolerancyjnym i światowym.

– Gdzie, przypomnijmy, przyjacielu, w pięćdziesiątym szóstym świadkowałeś, jak to sukiennicy przez okna na piętrze wyskakiwali...

– Pięknie dziękuję. Niektórzy w rzeczy samej nadal palce w uszkach filizanek do ponczu trzymali, a fajki w zębach zapalone. Karty wokoło fruwały...

W domu Ojca zastał zaniepokojonego.

– Tkacze się buntują, wojsko idzie.

– Winieniem nie wyjeżdżać zatem.

– I co uczynisz? Teleskop swój na nich skierujesz? Gorsze to niżli bezużytecznym bycie. Zastrzelą cię, gdy tylko twarz twą bezmyślną obaczą.

– Może w Greenwich poprosić mogę o...

– Nie kłopotz się. Z matką sobie poradzimy. Pomiedzy łupieską tłuszcza a wojskiem grabieżczym jeszcze się parę kryjówek na bochny znajdzie, lecz ty... Lepiej do Greenwich jedź, do Kentu, młody panie. Siedź se na czubku wzgórza, od tego miejsca pobitego z dala.

Oczu Matki szukał, lecz jeno niczym miotłą go musnęła, z twarzy roztrzęsiona, jakoby szepcząc: „Widzisz, do jakiego stanu Ojca doprowadzasz?”.

Zdawałoby się, iż grunta wiejskie jeno po temu służą, by z nich węgiel dobywać, owiec kilka wypasać i kryć wszelkie strachy chłopcu znane.

– Śród domostw jedynie bezpiecznie się czułem – Dixon pewnego dnia przyzna – lub w Raby, przez zamek chroniony. Temu, co pomiędzy leżało, myśli nigdy nie poświęcałem.

Mason uważa go nieco zaskoczony.

– Dziwaczne to u jeometry zapatrywania, nieprawdaż?

– Rzec by można, iż zachętą to dla mnie było, by ogrodzić to, co dawniej kształtu nie miało, z tych miar przez wszelkiego pokroju byty nawiedzane – jeśli wiesz, co mam na myśli – wszelkiego pokroju.

¹ Łac.: w tych samych warunkach.

– Podobne lęki dobrze były mi znane, gdy jeszcze pełzałem jeno, gaworząc. Mimo podróży znoonej i dróg stromych, jak większość dzieci w tej części parafii Bisley urodzonych, na chrzest do kościoła w Sapperton mię powieziono – prawdziwa zabawa w konika, nie na kolanie – zaś Bisley za bezdrzewną równiną leży, z naszego krańca Oakridge Common, z drugiego Bisley Common zwanej. Od awanturników i zbirów się tam roi, a wiatr nigdy nie ustaje – strach nieopisany miejsce to budzi.

– Wypisz wymaluj Cockfield Fell – Dixon powiada. – Przejazdu tamtędy każdy usilnie uniknąć się starał.

– Gdy dorosłem i gwiazdy uważać począłem, rzecz jasna zmieniłem zdanie. Nagle sklepienie w pełnym majestacie się tam objawiło. Nocy doczekać nie mogłem, by się pod nim znaleźć.

– Ech, przestań. Ciarki mię przechodzą.

– Całe mile bezludne, a ja bezbronny pod owym przestworem niezmiernym, skąd w każdej chwili...

– Aa! – Dixon, najwyraźniej w panice nieudawanej, po namiocie się miota, schronienia szukając i nic zdatniejszego nad wór nie znalazłszy, wcisnąć swą osobę weń usiłuje.

Emerson od razu to zmiarkował.

– Jeśli jeno o pustkowie między osadami idzie – Dixonowi radził – nie trap się dłużej. Oto, co zrobić możesz – wznies się nad nie.

Z taką emfazą słowa te wypowiedział, iż Jeremiasz opisać ich mocy nie jest w stanie. Na coś się szykowało – zaś on i inni uczniowie wkrótce do lotu się szykowali, lecz nim sztukę latania poznali, map odczytywania nauczyć się musieli, bowiem to *aides-mémoires* lotnicze. I tak Dixon wielką niezmienniczość odkrył, podle której w górze dokładność w pojmovaniu długości i szerokości się zdobywa, choć poczucie wysokości czy rzeźby okolic traci – z kolei z powrotem na ziemi, kraj przemierzając, z prawdziwą ich oceną odzyskaną, ledwie się owe pierwsze dwa wymiary miarkuje, które teraz człeka zewsząd otaczają.

– U ziemi płązu – Emerson ciągnął – gdzie horyzont nas ogranicza, który czasem jeno w calach rachować jest nam dane, zdać się musimy na to, ile czasu dana podróż zabierze. Aliści w górze, nad przestworem mapy, to skąd i dokąd idziemy, wagę swą traci. Naraz zbiór wszelkich możebnych szlaków ogarnąć możemy, wytyczanych, gdy ni czas, ni odległość się nas nie ima.

– Wysokość! – kilku bacznych młodzików zawołało, jak ich do tego na lekcjach u Emersona zachęcano.

– Wysokość, będąc ceną, jaką za ową swobodę płacimy, jako wydatek wewnętrzny jest traktowana, w składniku ujęty wyrażenia przydługawego, co położenie, kurs i prędkość opisuje. Jeśli to was ciekawi, moi mili, wywód ścisły w mej książce o nawigacji znajdziecie, która właśnie korektę szpaltową przechodzi.

Niektórych mniej naukowe nurtują pytania.

– Gdzie w tym powietrznym ujęciu Czart Bezgłowy? – Nie tylko Dixon wiedzieć pragnie. – A Demon z Shotton? A Piekielna Kocica z Raby z czarną karetą w cug poszóstny zaprzęzoną? Ona także wznies się w powietrze umie. Jakże z nimi kartograf niewinny sobie radzi?

– Grzeczność dobrego rzemieślnika godna obowiązuje – Emerson odrzekł. – Jej zdolność lotu się podziwiał i sunie dalej, szparko, jeśli podobna.

– I, hm, *vice versa* także, czyś jest waść pewien?

– Ech, ręce opadają. O, skargo Jeremiasza! Czy swój sceptycyzm cenny w Raby marnowałeś na owe gotyckie farmazony?

Cóż, tak właśnie było, a nawet gorzej, gdyż zauroczony był Piekiełną Kocicą – Elizabeth, lady Barnard, jeszcze w czterdziestym drugim zmarłą, która życie spędziła, waśnie z rodziną tocząc o to, kto zamek odziedziczy, ten, po którego blankach nadal się przechadzała, przyjazdu karety swej po zmroku czekając z parą mosiężnych drutów do robótek w dłoni. Druty te z tego słynęły, iż żar od nich bił w nocy, bowiem okrutnie rozgrzane były, bardziej niżli ogień węglowy, niczym piekielny raczej, co się trudniejszymi do nazwania pokarmami żywi. Kolejną z zagadek przez Emersona podsuwanych było to, nad czym sam głośno dumał – jakiej to przedy dama używa, iż się ta w podobnym ukropie nie pali? Welny z owcy piekielnej? Ci z uczniów, którzy przedstawić to sobie próbowali, nagradzani byli, choć w jaki sposób, tego opisanie z trudem im przychodziło.

Nieraz nocą Elizabeth młody Dixon uważa. Dwie kreski jaskrawe jeno przy sobie migają, gdy zwawym krokiem krenelaż w tę i z powrotem przemierza. Wreszcie pewnej nocy, może (pamięć go ponoć zawodzi) młodzieńczym uczuciem rozczarowany, czyli innymi słowy zdruzgotany, nic do stracenia nie mając, rezolucję bierze wspiąć się na blanki i damę z bliska obaczyć. Zamek zna już jak kieszeń własną – żadna belka zbyt groźna, żadna dachówka zbyt śliska, by się niczym kot przemykać po nich nie mógł, w rysach maszkaronów oparcia szukając, siłą rzeczy z detalami znanych, dalej po kontrskarpie i przez machikułów otwory, srebrnym światłem Miesiąca zalanych... Czy trudno będzie zjawę śledzić, jeśli bez swej karety dość powolnie się rusza?

Właśnie, jeśli. Przybliżywszy się nieco, Dixon mamrotanie widma miarkuje.

– Nigdy w czas, zawsze spóźniony, zawsze wymówka gładka gotowa. Ha! Świętej pamięci lady Barnard jestem, o której nawet woźnica nie pamięta. Ech, po cóż mi głupca przeklinać, skoro i tak przeklęty na wieki?

Gdy mówi, ucho zachwycać poczynają z odmetów nocy dźwięki kuriozalne, co tak się do tętentu kopyt końskich mają, jak do werbli odgłos strun szarpanych. Hałas narasta z każdą chwilą...

Dixon okrzyk zdusić w piersi musi. Oto pojazd niespotykanej urody z mroku nad nimi się wyłania, w swych krągłościach do powabnej niewiasty podobny, z politurą niczym oko lubieżnika lśniąca. Kare araby, niemal bezgłośnie, jednym suwem ku Elizabeth karocę opuściwszy, wysoko nad tonącą w ciemności murawą stają, nadal w powietrzu kopytami młócąc. Woźnica, równie bładny, co jego liberia czarna, na blankę zeskakuje, by drzwi otworzyć.

– Znowuś spóźniony, Trent.

– Wybacz pani, ruch duży.

– Ruch! – Druty nad głowę wznosi, każdy w pięści drżącej, jakoby dzielić go nimi chciała. – Słyszałam, iż pierwszy koń zaprzęgu oszalał, słyszałam, iż żona w tym tygodniu niedomaga, słyszałam, iż zęby ci przewiało, zegar się zepsuł, a pies z batem czmychnął, lecz to, Trent, to doprawdy w wariację wpędzić może. Czy podobna, by nad Cockfield Fell ruch był duży? W palatynacie jedyna to kareta z cugiem poszóstnym!

– Od... od Hurworth nadlatują, pani. Całe roje.

– Och, to Emerson i jego trzódka. Dzieciarnia obdarta. Też mi roje! Równie dobrze stado kaczek wstrzymać by cię mogło. Doprawdy, Trent, twe wymówki coraz lichsze i *pari passu*¹, coraz bardziej nużące... Cóż knujesz, gdy ci ten pojazd cudowny powierzam? No, Trent? Wykrztuś to z siebie, przy swej pani możesz być szczer.

Z gibkością, co młodego podglądacza zaskakuje, do pikowanego czarnym aksamitem wnętrza wsiada, Trent zaś drzwi zamyka i na kozioł wraca, uśmiechając się przy

¹ Łac.: w tym samym tempie.

tym złośliwie. Gdy ruszają, dama w tył przez okno wygląda, jak nic wprost na Dixona wzrok kierując.

– Może innym razem, Jeremiaszu! – woła.

Odlecieli – konie, połysk idealny, krągłości – chłód niezemski za sobą ostawiając, co kark i ramiona chłopca opatula.

Takoz, jak pamięta, po raz pierwszy o Emersonie usłyszał, choć postać ta już w Durham niemal legendarną była. Dixon podejrzewa także, co teraz śmiechem zbywa, iż uczonego po to jeno szukał, by do owej dzieciarni obdarłej dołączywszy, pewnego wieczoru do „innego razu” doprowadzić, na lady Barnard w powietrzu natrafiając. Na ziemi zawsze byłaby górą – może wysokość szanse jego by zwiększała. Czy uwieść ją, czy pokonać zamierza, nie wiedział, a inne przyjemności wyrostkowi obce były. Nigdy mu do głowy nie przyszło, iż o coś zupełnie innego chodziło, nim w sercu amerykańskiej dziczy do zamku Lepton nie zawitał. Tamże, w długi karciane, intrygi romansowe oraz i machlojki polityczne uwikłany, epizodem wåtrobowym przerwane, którym, gdyby nie picie, zamartwiałby się srodze, zawołał:

– Ach, Masonie! – Temu nie lepiej się wiodło i gdzieś w kącie pochrapywał. – Da-libóg, niczego jej nie brakuje – majątek, uroda, co tam jeszcze...

Nadal w górach stromych bawiąc, w saneczkowaniu się rozmiłowują, po śniegu wczesnym, na płótna namiotowego płachtach złożonych. Pewnego dnia, gdy ruszają w dół stoku z dawniejszych eskapad nieznanego, nawałnica jesienna z przeciwnej strony nadchodzi i po zboczach szparko się wspina, podmuchami rażąc niczym pled w chmurze chłodu zawzięcie trzepany. Śnieg zniecka zacinać poczyna. Obaj jeometry czują dobrze, iż ich sanki złowrogiej prędkości nabierają.

– Hop, hop, Dixonie! Jesteś tam jeszcze? Dojrzeć umiesz może, dokąd zmierzamy?

– Śnieg zbyt gęsto pada! – Dixon skądś woła. Aura akustykę zmieniła i skąd, tego orzec nie sposób.

Obaj głosy mają w strachu piskliwe. Osłepieni, społem, acz osobno, po pochyłości marnie spamiętanej pędzą. Pierwej wóz kwatermistrzowski mijają, jeden, potem dwa wozy z zapasami, każdy, by się w dół po śniegu nie stoczyć, z drzewem powalonym pod kołami. Woźnice w panice się rozglądają, konie coraz srożej zaniepokojone, lecz Mason i Dixon już znikają w kurtynie śniegowymi kryształkami kłującej. Pędzą dalej. Wtem głosy przed sobą słyszą, zadyмка słabnie i oto z bieli wśród gromady drwali się wyłaniają, którzy wnet między drzewa czmychają, mniemając, iż to bestie oszalałe, a litości nieznające, o jakie łatwo w miejscu bardziej odludnym niżli gdziekolwiek w Ulsterze czy Nadrenii. Dzień jest dość pochmurny, śnieg prosto pada, nie kłębi się, wszystko w nim wyolbrzymione – końskie łajno, instrumenta mosiężne pod płótnem skryte, żarzenie fajki glinianej, tytoniu pełnej... Obu jeometrom dobrze wiadome, iż każde drzewo niepowalone, nawet pień dość wysoki, by spod śniegu wstawać, co zbyt prędko dla manewru się wyłoni, koniec ich jazdy znaczyć może.

– Czy słyszysz mię, Dixonie?

– Jestem tuż obok, nie musisz krzyczeć, przyjacielu!

– Słuchaj no, zbyt szybko jadę, a jako że nic o tym nie świadczy, by pierwsza pochodna zmaleć tu miała, pomyślałem, iż sobie za hamulec posłużę, to jest, odchyłać się będę, o tak, póki nie odpaaaaadnę!

Głos Masona słabnie w oddali, Dixona na pastwę losu ostawiając, by z tym, co za najbliższym płatkiem śniegu na jego drodze stanie, sam się zmierzyl.

– Toś mię w tarapaty wpędził, przyjacielu.

Wtem widok cudowny i nieoczekiwany przemyslenia te gorzkie przerywa. Oto sterta poduszek na szlaku zjazdu leży, które zwykle pod dachem wozu się znajdują, gdzie jeometrów instrumenta przed wybojami gościńca chronią. Pomyślałby kto, iż na śniegu są wietrzone, gdyby nie dymu tytoniowego wiele mówiące kłęby, dowód na próżniacze i niedopuszczalne praktyki, którym się tragarze przy instrumentach oddają.

– Niech się dzieje wola nieba – szepcze Dixon, ręce rozkładając, by ów nie do końca od niewygód wolnych wyrobów tapicerskich stos ogarnąć.

– Stogi palicie, jeśli mię nos nie myli? – pyta, gdy już wszystko w miejscu staje.

– Mym skromnym zdaniem, waćpanie – woźnica Frederick Schess powiada – ty-tuń...

– Och, Freddie. Zmiarkuj jeno, jak się ścieżki człowiecze przecinają. Życie mi to najpodobniej uratowało. Cud, jak Boga Kocham. Jakże mógłbym cię wydać, przyjacielu? Ba, jakże mógłbym ci to wynagrodzić?

– Grosz gotowy zdalny – Tom Hickman woła.

– A i dzbanem burbona od czasu do czasu nie wzgardzimy – Matty Marine dodaje.

Na zimę robotników do domów odesławszy, sami na wschód wracają. W Boże Narodzenie swe podwoje gospoda nieopodal Harlandów otwiera i wkrótce wszyscy się doń schodzą. Wszędzie świece płoną. Jeometry, wiedząc, iż za niedługo, jak przed rokiem, każdy z nich w przeciwnym kierunku Amerykę zwiedzać pojedzie, nad misą z ponczem stanąwszy, ku sobie spoglądają. Misa ta niczym wanna szeroka, zaś na poncz, podle szynkarza tajnej receptury, nie tylko brandy brzoskwińowa się składa, lecz i mleko, tudzież whisky miejscowa. Po bladej cieczy w wielkiej, rustykalnej wazie mnóstwo z okapu odłamanych, długich sopli pływa. Wszyscy podarkami się wymieniają. Gdzieś pośród ogólnego rozgardiaszu jedno z dzieci na metalowym gwizdku grać się uczy. Najprzedniejsze suknie po deskach ścian szeleszczą. Dorośli niemowlęta w górę podnoszą, „ach, mój serdelku” gromko wołając i udając, iż je schrupać pragną. Na stołach ciasteczka bakaliowe z zielonymi pomidorami, kukurydza prażona, ostrygi piklowane, gulasz z nerek i zupa z kasztanów. Kapelusz z metalicznie błękitnym piórem, który Mason Dixonowi daje, ów wnet zakłada, zaś dla kompana dzban ma srebrny do bordo, w Filadelfii odlewany. Są cygara z Conestogi dla Harlanda i sztuka sukna osnabryckiego z kontrabandy dla jego żony. Cukra ze składu angielskiego w Filadelfii dostawszy, dzieciarnia rodziców w pertraktację wciąga, tego tycczące, co komu skapnąć winno. Jejmość Harland do jeometrów podchodzi, obu naraz objąć ciepło gotowa.

– Okrutniem wdzięczna, iż się w tym roku wstrzymujecie. Wiem, panowie, iż to niełatwe zadanie.

– Ach, co to był za rok, dobra kobieto.

– Phi. Bułka z masłem – Mason prycha.

53

Zbliżenie do Chrystusa to ciągła walka z nowymi herezjami. Im bardziej w głąb kraju, im źródeł rzek bliżej, tym sekt więcej i sekt z sekt się wywodzących, aż po deizm, niewierzących w maskach świętobliwych i gorsze brewerie

– od morza coraz dalej, od zatoki, od wszystkiego, co pewność i pokój daje, w ostępy niezbadane brniemy, królestwo zwątpienia. Te noce. Te bestie i burze. Bystrza i wodospady... Ameryka duszy.

Zwątpienie nieodzowną jest częścią Chrystusa. Z dwunastu apostołów Tomasz był mu najwierniejszy – w rzeczy samej, „Acta Thomæ” podają, iż ponoć bliźniętami byli. Jezus w ostatecznej, czystej formie niczym niezmaconej niepewności jest równy. Wiara w niego sedno naszej religii stanowi, lecz wszak jeno na zmartwychwstaniu się opiera, co wielce jest ryzykowne. Czy żaden mniej wątpliwy przypadek zdatnym się nie okazał? Jakowys sen proroczy, widma zmarłego słowa? Strzępków dowodów parę, by nimi nasze biedne dusze chronić przed chłodem świata, w którym śmierć i jej posłańcy siłą się dostaną, dokądkolwiek trafić pragną...

Wielebny Wicks Cherrycoke, „Kazania niewyłoszone”

W swej kuchni, kuchennym ogrodzie, przy studni i ulach życie odnalazła była pełne i prawdziwe, właśnie takie, być może, jakie Bóg dla niej przeznaczył, życie, co niczym romans z dniem było, przy całej jego wesołości pozbawionej powadze. Owego spokojnego popołudnia jesiennego wszyscy, Seth i chłopcy także, w mieście na aukcji bawili. W swym oknie siedziała, gdy po nią przyszli – tylko po nią, jak się zdało. Mężowie smagli, jakich przedstawić sobie nie sposób. Nagość mężów smagłych i dzikich.

Gdzieś tam woda w kociołku pierwszym werblem się ozwała. Na ich twarze zerknąć się odważyła. Jedynym innym miejscem, ku któremu wzrok zwrócić mogła, były ciała – tajemnicze, lśniące, pod wymiętymi, cuchnącymi przepaskami ze skóry jeleńniej częściowo skryte. Aż tu po nią przyszli, tak daleko na wschód od Susquehanny, tak daleko się na ziemi bezpieczne zapuścili, gdzie ludzie życie spokojne wiodą. Czuła się tak, jakoby w przeszłość się zapadła, w mroczniejsze, dawno minione czasy. Jakoby przeżyć na powrót była zmuszona coś, co jak mniemała, za sobą ostawili, ona i wspólnota jej cała. Na tym jej błąd polegał, iż zbywała to, jak kruche podwaliny pospolitego życia były. Jako chrześcijańskie je sobie przedstawiając, nieśmiertelność swej duszy mu przypisywała, swej duszy w Chrystusie, niepomna, podle własnej woli, iż kolejami losu w świecie nam danym wydarzenia rządzą, nad którymi władzy się nie ma. Jakaż to gałązka spadła, jakaż zdobycz umknęła, jakież słowa nieumyślnie zraniły, lawinę przypadków zapoczątkowując, co do tego właśnie doprowadziła, iż nigdzie indziej zejść nie mogli i po nikogo innego, choć przecie cicho i skromnie żyła, nim się skutki owych przyczyn nieznanych w jej życie tak gwałtownie wdarły.

Im dalej ją w las wciągali, coraz dalej od domu i imienia, tym bardziej bezpieczna się czuła. Wszak od razu, na miejscu by ją niechybnie zabili, gdyby to jeno za cel obrali? Sunęli zwartą gromadą, choć wolniej, niżli byliby może w stanie, gdyby im nie towarzyszyła, ni okrutni przy tym, ni rozsierdzeni. Niczym we śnie tuż przed porą, gdy się zwierzęta budzą, niemieckie farmy i osady migają, Equinox, New Cana, Burger's Forge, aż wreszcie, pewnego ranka, nad Susquehanną stanęli, głośną niczym morze, niczym cydr od deszczy spienioną. Jakim sposobem oczu człowieczych unikali, mieszczan i chłopów wszelakich po drodze mijanych, szlachty na przejażdżkach, służby na polach? Jakże jej towarzysze cień bezpieczny znaleźli wśród owych skupisk białej ludności, wiecznie czymś zatrudnionej? A skoro już do rzeki dotarli, czym się teraz przez nią przeprawić zamierzali?

Czekały łodzie. Ich pochodzenie jej wówczas nie zdziwiło, choć nie canoe indiańskie, lecz francuskie *bateaux* to były, z drzewa, które, jak się później dowiedziała, je-

no w dalekim Illinois rośło. I przeprawili się, równie łatwo, co myśl o dziecku czy mężu odległym zenit długiego dnia przeciąć mogła. Wiedziała, kiedy dokładny środek rzeki minęli. Gdy zeszała na brzeg zachodni, poczuła, iż nagą się dla nich w końcu była stała, a w sekrecie i dla siebie samej.

Przez Blue Mountain, przez Juniata¹, w głąb krainy Sześciu Plemion¹, w odmęty fal smaragdowych na północ prących nieprzerwanie, w leśnych kłębowisk miarowe bałwany, co grzbiety górskie znaczyły – niezliczone klony, robinie, ambrowce, kasztany, platany, brzozy – żywioł zielony. Piosnki ptasie żywot ich opiewały, jelenie od strzał bezgłośnych padały, dźwięk hymnów niedzielnych z polany odległej dochodził, potem cichł, dni szeregi jednakie jej jedyną powinnością iść, dokąd kazano. Nie pętała jej ni szkody nie czynili, a i bez potrzeby nie zagadywali. Depeszą im była, oni jej posłańcem.

Na północ, drzewa niemal na jej oczach jedno po drugim w ogniu stają, nieraz w powolnym suwie długie zbcza całe. Zachód słońca, co barwami się mieni paleniska, którego nie zobaczy już może, zbyt często bezbronną ją zastaje. Wczesny śnieg sypie. Ogromne stada czarek, gęsi i gołębi niebo czernią. Łopot skrzydeł straszliwie po wielekroć powtórzony niczym jakowaś machina nad głowami huczy. To rok śnieżnej sowy – jako że lemingi na północy dni sobie ukróciły, ptaki te, w poszukiwaniu pożywienia, głębiej na południe udać się są zmuszone. Nagle wszędzie białych gości zatrząsienie, co nieufnie znużeni długie wojaże kończą, a których ciągle zasępienie od pogodniejszych sokołów białozorów ich odróżnia. Na dachach stodoł siedzą i czubkach drzew szarych, nad opustoszałymi polami ci zbieracze nornic szybują, nawet złowieszczo nie pohukując, jeno w niskich tonach gorzko kracząc sylabami, co często mowie człowieczej podobne.

Wichry tymczasem coraz chłodniejsze, liście kurczyć się, ciemnieć, spadać poczynają. Pewnego dnia, do brzegu wielkiej wody dotarłszy, której kraj hen za widnokrzem ginie, mówią jej, iż do canoe z kory wejść musi. Po raz pierwszy lęk przy nich czuje, przedstawia sobie bowiem, jak w ów żółty przestwór wpływają, pod niebem indygo i różem malowanym, ku jakowejś cudownej krainie, co na przeciwległym brzegu tej potęgi leży, która, ledwie odrobinę się burząc, kruchą ich łupinę snadnie roznieść by mogła. Miast tego, blisko ładu się trzymając, na północ wciąż zmiierzają, aż po rzekę potężną, od canoe, *bateaux* i barek rojną. Po każdej ręce osady się wznoszą, wszędzie dymu pasma w niebo biją, na brzegu białe twarze migają, a oto i miasteczko, a za nim kolejne... Już wiele tygodni temu modlić się zaprzestała. Zwierzęta jada niegdyś jej nieznanne, drobne biedactwa nadto ufne, by sidae uniknąć na nie zastawianych. Porę i miejsce każdego jej zatrudnienia, po najbardziej błahe, porywacze jej skazują. Iż szkołą ją w ten sposób, później dopiero odkryje.

Zima już na dobre się rozgościła, gdy wreszcie do Quebecu docierają. Tutejsze kolegium jezuickie swemu rzymskiemu odpowiednikowi przepychem ustępuje, Niemniej pałacem znać jej podobna. Opowiadali wojażerowie, iż na dwa piętra się wznosi, szeroki podwórzec skrzydłami otaczając, dach ma zaś wieżyczką zwieńczony – choć gdyby o słów tych potwierdzenie ją proszono, przysiąc by na nic nie mogła. (Może więcej kondygnacji staje. Może podwórzec w podwórku lub pod nim się kryje. Może przejście sekretne, jedno lub wiele, do innych budynków w odległych czę-

¹ Zawiązana w XVI wieku konfederacja plemion Seneka, Kajuga, Onandaga, Mohawk, Oneida i Tuskarora, tworzących tzw. Ligę Irokezów, wspierała stronę angielską w walkach z Francuzami, za co w roku 1763 przydzielono jej tereny na zachód od Linii Proklamacyjnej (Indianie musieli się tam przenieść np. z Wirginii, a biali i tak osiedlali, łamiąc prawo).

ściach miasta prowadzi). Zbyt szybko mijają te pierwsze chwile, by dość spamiętała – noc taka głęboka, zasy tak głębokie, jej kadzidłem pierwszym odór pochodni czarny, cienie przez ich światło rzucane w węglach igrają, ościeżach okiennych i szczelinach wszelakich, odległe chóralne pienia niczym krzyki strojone, mężczyźni ślą w jej kierunku spojrzenia śmiałe...

O świcie, samą, do refektarza ją prowadzą, gdzie przy każdym z setki miejsc, na stołach niczym nienakrytych, taka sama miseczka z glazurowanej gliny stoi, malin pełna idealnie dojrzałych, choć za oknami zima surowa, zaś dzban świeżo przyniesionej z komory śmietany na każdy z owych stołów przypada. Indiański posługacz sędziwy, co się porusza tak, jakoby przed laty w nogę był raniony, bez śladu ciekawości na twarzy kociołek owsianki wnosi – nie dla niej maliny, za co Bogu dziękuje, gdyż kto wie, jakie diabelskie moce za ich urodzajem zimowym się kryją i czerwienią nadprzyrodzoną.

Z podwórca echo szepczące wciąż się niesie, które ucho w całym gmachu zachwyca. Zda się, iż z każdym mieszkańcem ramię w ramię się stoi. Z rana, kałamarze, pióra i ostrzałki co rusz skrybowie z celi do celi przenoszą, te zaś, rozmiarów różnorakich, surowością wystroju rokoko ustępują. Z wiadrami podpałki i wody chłopcy w spiczastych kapturach w milczeniu po schodach w górę i dół suną. Kucharze o posiłek południowy już spierać się poczęli. Astronom nocne rachuby w pracowni na poddaszu kończy, ostatnich wpisów dokonuje i za matą rozgląda. Tymczasem ci z zakonników, co noc na czuwaniu spędzali, powstają i ku zmyślnej kolegalnej kawiarce kuśtykają, której palarka wiele godzin wcześniej sama się podpala dzięki sprytnemu mechanizmowi francuskiemu, co, gdy się już ziarna dość długo prażą, przenosiny ich do młynka nadzoruje, gdzie proszek niezbyt miałki z nich powstaje, do komory zaparzania następnie przesypany i tamże z wodą o zdatnej ciepłocie łączony – *ecce coffea!*

Prowadzą ją, bosą, wciąż w sukni indiańskiej, do gabinetu książkami wypełnionego. Père de la Tube, jezuita w sutannie fioletowej, z silnym francuskim akcentem doń przemawia, w twarz jej nie patrząc. Nieopodal, w ciszy gładko utrzymywanej, jego kolega po fachu siedzi, którego uśmiech niestrudzony i oczu jasność jeno szaleńcom jest znana.

– Nasz Gość z Hiszpanii – Francuz rzecze – znanym jest w świecie filozofem, którego zawsze heretyczki ciekawiły, na łono Kościoła wracające. Obserwacje, jakie twój przypadek uważając poczynił, bardzo cenne dla nas będą, rzecz jasna.

Kolejny mężczyzna, drobniejszy i młodszy, w czarnych jedwabnych spodniach i zakiecie, tak niepostrzeżenie do pokoju wchodzi, iż jego przytomność miarkując, niewiasta się wzdryga, gdy zaś oblicze jego z mroku się wyłania, oczu odeń oderwać nie może. Dwaj jezuita z szacunkiem ku sobie zerkają i Hiszpan depeszę od posłańca odbiera, arkusz papieru ciasno złożony, woskiem opieczętowany i stemplem orientalnym w dwu odcieniach barw krwi danej. Posłaniec odchodzi. Jak długo może być, kobieta postać jego uważa.

– Nigdyś jeszcze, moje dziecko, Chińczyka nie widziała?

Niejednemu porodowi świadkowała, męskiego picia i sporów cierpiała długie godziny – za kogo się ma ów człek w sukni, jej nieznanym, iż ją dzieckiem woła?

– Nie, panie – cicho odpowiada.

– „Ojcem” mię musisz nazywać. Chińczyków sporo tu bywa. Winnaś się nauczyć oczy mieć spuszczone.

Kolegium quebeckie kwaterą jest główną, co wszelkie działania na kontynencie nadzoruje. Druty latawców i liny balonów, chmur sięgające, w przestworzach giną,

by gdzieś, w miejscu niewidocznym, telegraf jezuicki służyć mógł nieprzerwanie. Tam i nazad przez *portes-cochères*¹ wozy opieczętowane się przetaczają. O każdej porze jeźdźcy zajeżdżają i wyjeżdżają. Zawsze gdy *aurora borealis* się ukazuje, wnet szczyty dachów postacią w czerni zapełniają – jedne niczym jerzyki ślizgać się jawią, inne niczym rzeźby nieruchome. Światło niebiańskie jaskrawe pasma rzuca na ich twarze wilgotne i blade. Chodzą słuchy, iż księża z zorzy korzystają, by depesze śłać do stacji odbiorczych z drugiej półkuli, nad biegunem.

– Dwadzieścia sześć liter, cyfr dziewięć, przerwa dla zero – głos sierżanta pluton nowicjuszy instruuje. – Czy coś wam to, łby kapuściane, poddaje?

– Macierz siedem na pięć z... z...

– Ruszcie głową, durnie.

– Ze światła!

– Patrzcie, zakute pały.

Lewar przesuwa. Wysoko, na tle szarej płachty chmur śnieżnych, gigantyczna sieć jaskrawożółtych świateł się pojawia, pięć kolumn i siedem szeregów licząca. Żwawo mniejszymi dźwigniami hebanowymi się posługując, belfer słowo „idioci” na niebie kreśli nad szeregiem ust rozdziawionych.

– Na setki mil widoczne. Każdy w dole, kto czytać umie, wie wszystko, co o was wiedzieć podobna. Lecz to nie spektakl jeno czy jakowyś romans elektryczny. Nie, znoju po szaleństwo nużącego tu bez liku, *mes enfants*, bowiem żeglarzami na suchym lądzie być wam pisane.

Jako że aury przewidzieć się nie da, a machina pod żadnym pozorem ruszyć się nie może, misternego takielunku wymaga, złożonością swą tajemniczą żaglowe przewyższającego. Liny nieprzerwanie przemieszczać należy, napięcie kontraszotów, sztagów i baksztagów kołowrotami wciąż z osobna poprawiać, gdy zmieniające się warunki w przestworzach telegrafem elektrycznym tym w dole są opisywane. *Coördinateur* w *soutane* jednorzędowej z brugijskiego, czarnego aksamitu, futrem rosomaka podbitej, na podeście niewielkim stoi przed skaźników mosiężnych paletą i dźwigni hebanowych. Wokół Chińczycy przy linach się krzątają, zaś przechrzty indiańskie, odpowiednio szkolone, torfu płonącego doglądają, by ogrzać należycie wielki, zielony słupek turmalinu brazylijskiego, warkoczami przewodów miedzianych niczym Meduza opleciony, co na wszystkie strony od niego odchodzą, fluid piroelektryczny niosąc, który całość w ruch wprawia. Dym torfowy wszędołyjskiej woni ozonu ustępuje, piżma jakowejś bestii nieznannej, nawet dla tych niepokojącej, co na dzień ją wdychają.

Owego lodowatego poranka, wśród tych ostrych, erotycznych oparów, koło elektrycznych posłańców ją prowadzą. Jej suknię jelenią północne wiatry nadymają. Korci ją, by choć raz oczy podnieść i obaczyć, kto ją właśnie uważa. (– Czy mniemasz, iż pojmuje? – Gość z Hiszpanii kaskadą słów francuskich pyta. Kompan jego ramionami rusza. – To pojmie, co musi. A jeśli węszyć pocznie... – Spojrzenia wymieniają, których wagę litości pozbawioną niewiasta miarkuje i więcej jej nie trzeba). Przy przewodach łatwo ko niebu się pnących gromada mężczyzny haruje. Jakoby przed jakąwąś wizytacją niewidoczną na dachach przepastnych poruszenie nie słabnie. Wszędzie Chińczycy uwiąć się zdają. Głos z rzadka się tu jeno podnosi. Jeden z księży pod ramię ją ujął, drugi krok w krok za nimi spieszy. Uwolnić się nie sposób, a może? Ręce wyciągając, na skraj dachu pobiec i w powietrze! Z duchów przyjaznych i przymiotów woli pomocą nad dachówkami i umocnieniami poszybować, poza wszel-

¹ Fr.: brama woźniców.

kiej broni zasięgiem, poza wszelką posłuszeństwa potrzebą, na południowy zachód, wśród promieni słonecznych, wzdłuż rzeki wielkich wojów srebrzącej się w dole. Nikt z na ziemi ostawionych już by jej nie zobaczył, czyż nie, jak się nad ich głowami unosi. Rękawy jej stroju niczym skrzydła skrzą w słońcu, myśli nie więcej niżli latawiec ma w głowie, wiatr do głębi przenika...

– Bacz na jej głowę.

Leży na wznak. Mży. Obok Chińczyk przykucnął. To on – ten sam, którego w gabinecie spotkała. Za przedramię ją trzyma i z rodakiem konwersuje, co w kajejniku zmyślnie wodoodpornym zapiski czyni.

Mężczyzna uśmiecha się lub też niewiasta jeno coś w jego obliczu miarkuje, co za uśmiech bierze.

– A niech to, następna zemdłała! – P. de la Tube wdycha. – Niech nas Bóg przed tymi przekłętymi nowicjuszkami strzeże. Dzień w dzień padają jak muchy.

Zdaje się, iż Gość uszami strzyże.

– Aliści jak wielu z nas, na osobniejsze misje zesłanych, przypadek takowy by zastrygował, a stację waszą rajem by obwołali w uroczu katalepsje obfitującym, tudzież w głowę zachodzili – tu ton nieomal oschły przybiera – na cóż się tu skarżyć wam podobna.

– Ach, wszak to nie misje, gdzie, czyż nie, Ojczy, sposobność do grzechu rzadko się nadarza. Nie, wręcz przeciwnie, tu okazji bez liku, a z żadnej, rzecz jasna, skorzystać nie można.

– Czyż o tym – Hiszpan zęby w uśmiechu obnaża – to nie zadecyduje, czy oblu-bienicą chrystusową się ona stanie, czy też do innego zgromadzenia trafi?

– Do... – Zakonnik milknie, jakoby pozwolenia czekając.

– Las Viudas de Cristo. U wdów na nowicjuskę. – Tu Gość krucyfiks u swego różańca całuje i udaje, iż za pomyślność siostrzyczek modli się przez chwilę. – Czy wasi Indianie dość wam tych białych różyczek zwieźli, byście jedną odstąpić mogli? Rzecz jasna, jeśli wobec tej właśnie masz pewne plany...

– Nie. Kto? Ja? Skąd. W rzeczy samej... – Po guzikach swego stroju palcami prze-biera, jakoby koralikami różańca były.

– Inną się zadowolę...

– Ależ mowy nie ma. Las Viudas dostać ją muszą, bez wątpienia. By rozpatrzenie tego wniosku na górze przyspieszyć, wszystko, co w mej mocy, uczynię.

– Jakże wspaniałością z twojej strony. W następnej mej nocy o tobie wspomnę.

Francuz czoło chyli. Niewiasta pojmuje, iż o nią targi prowadzą. Cały ten czas u ich stóp klęczy, w górę niepokornie spoglądając, który pierwej bunt zmiarkuje, obaczyć skora.

Siostra Blondelle jest Cyganką, dzieckiem Słońca, którą panowie wciąż z owym typem myślą nierządnic angielskiej, hożej i pyskatej, która czy to w książce, czy na scenie nas zachwyca. W rzeczy samej, czas jakiś w Covent Garden się kręciła, wszelakim odmianom mężczyzn towarzysząc, od portkami trzęsących neofitów po zepsu-tych do szpiku kości starych lubieżników. Prędko też wielkiej nieufności wobec płci brzydkiej nabrała.

*Żołnierze jak dęby, żeglarze na schwał,
Złodzieje, hrabiowie, ach, zwał ich, jak chciał,
Wszelakie odmiany ich dobrze ci znam,
Czy kulis z Szanghaju, czy londyński cham.*

A to...

[refren]

Chłop kiesę trzyma i monetę da.

Pokręcisz się przy nim, masz obiad raz-dwa.

Jak długo podobna pielęgnuj swój sprzęt

I cenę zawyżaj, gdy prosi cię męt.

Od czasów Adama historia bez zmian.

Mężczyźni nieszczerzy są wobec swych dam.

Wymyka się taki, gdy wróci już świt.

Beztroscy to łotrzy, lecz lepsi niż nikt.

Czystą, lecz jak na owe czasy śmiałą akordyką siostr parę do niej dołącza. Pod melodią, co karczemnym jigiem być się zdaje, ta sama kadencja się kryje co w jednym hymnie protestanckim, w pospolitym użyciu będącym. (Choć przytomny tam w zwyczajowym tego słowa znaczeniu nie byłem, atoli duchownym jestem. Wierście mi, był to w zupełności oryginalny *moment musical*, jak to we Francji powiadają).

– Tedy to – Blondelle opowiada – gdy już o mężczyznach zapomnieć miałam, jezuیتów odkryłam.

Czuła się tak, jakoby wreszcie Jezusa odnalazła – war pożądania po zmiarkowaniu, iż w końcu jest się poza pożądaniem.

– Aliści, nic z wyrzekania, nie, ulice kochałam i kochać będę zawsze – pośpiech, poruszenie, co chwilę historia nowa, nawet rajfurów, nawet mimo kiły – jeden wieczór starczy, precz idzie uroda... Życie to gra niebezpieczna, bez pochyby, niczym gotowizny na jedną noc lokowanie, nieprawdaż? Lecz tak to widzę, skoro kości wciąż w ruchu, czemuż najprzedniejszych nie obnosić powabów? – Włosy nowo przybyłe uważa. – Cóż. Lustro ci przynieść może?

– Och... – Po raz pierwszy, odkąd ją porwano, głos jej się załamuje. Uśmiechnąć się stara, lecz tchu złapać nie może. – Cóż sobą przedstawiać muszę... – szepcze.

– Niezapełnień na *ridotto* gotowa – siostra Grincheuse z powagą rzecze.

– To od cierni? – Siostra Crosier¹, cicha i niewinna, zadrapania na jej ciele z bli-ska bada.

Tamta głową kiwa.

– Nie Indian to sprawka, jeśli o to pytasz... Nadzwyczaj delikatnie się ze mną obchodzili. Choć...

Jaspisowe iskierki w oczach Grincheuse błyskają.

– Czy zgadywać musimy?

– Nieraz owym różnorakim ornamentom się przyglądałam, którymi swą skórę zdobią. Niektóre z obrazków pięknem zachwycaly, inne lek dziwny we mnie wzbudaly, przemieszany z... wstyd przyznać... ach!

– Mów dalej.

– ...z pożądaniem. – Brodę hardo wysuwa i zerka na nie.

– Mój Boże, od kilku tatuaży? No, no, dziewczęta, cóż czynić mamy?

– Obawiam się, moja droga, iż włosienica cię czeka. Oto pierwsza twa lekcja – pożądania nie wspominaj. Pomnij me słowa, a migiem dobrą katoliczką останiesz.

– Lecz prosiłyście...

– Cicho sza. A oto i ona. Oto, co nieposłuszne nowicjuski nosić muszą.

¹ Siostry nazywają się z francuska „zręda” i „pastorał”.

Włosiennicę wdów jezuiti obmyślili, a po zamocowaniu uwolnić się od niej nie sposób. Noszona w sekrecie, jak niektórzy to wołają, uwiera – dość, by myśli daleko od Boga nie zbłądziły.

– Gdyby Stwórca był młodszy, postawniejszy – Crosier mruczy – bezustannie byśmy o nim myślały i tej tu by nam nie było trzeba.

Wzrok ku szklarniowej róży kieruje, soczyście szkarłatnej, czarnej niemal, z której lodygi giętkiej i długiej opaskę biodrową kunsztownie spleciono, talię, jak i krok opasująca, a której pęk, najlepiej tuż na granicy rozchylenia, z tyłu spoczywa, w owym uroczym zakątku, parnym i wilgotnym, gdzie wonie kwiatu i ciała z kilkoma kroplami krwi mieszać się mogą, przez drobne kolce zielone puszczanej, i z dreszczami bólu, którego prawdziwą bolesność pokutnica sama ocenić winna... Rzecz jasna, wszystko to temu służy, by ku Jezusowi jeno jej myśli uciekały.

– Jeśli wziąć pod rozwagę, co Chrystus ścierpieć musiał – jezuita przypominać są radzi – zaprawdę, utyskiwać nie ma na co.

Siostra Grincheuse stoi za nią, ręce jej przytrzymując.

– Mogło być gorzej – mała Crosier szepcze. – Nie wszyscy Indianie tacy szlachetni.

U stóp porwanej klęczcy, opaskę dzierżąc, palce już ma pokłute i zaczerwienione, a wstrzymać się nie może, by w górę nie zerkać.

– Dobrze, moja droga. – Blondelle głową kiwa. – Wsadź teraz stopy do środka, a miejże na te nogi długie baczenie.

Winna oponować, głośno, jeśli trzeba, lecz czy kiedykolwiek się czemu sprzeciwiła? Nawet gdy, jak się jej teraz zdaje, rzeczy o wiele gorsze niżli ta ją spotykały. Preto nie krzyczy, lecz stopy jej bose niczym ptaki potulne ku wnykom włosiennicy drepczą, a potem, szamocząc się posobnie, w sidła cierniste wpadają.

Później kojącej żywicy dostaje, a gdy ją w ranki wciera, woń kościelna się wokół rozchodzi, jakoby kadzidła aromat, Niebu przeznaczony, w transmutacji zrodzony...

Od stóp do głów włosów ją pozbawiają. – Pierwej – nowicjusze klarują – w zupełności naga być musisz. Jeśli będziesz posłuszna, do serca weźmiesz nauki, może pewnego dnia na peruczkę ci zezwolą, dziecięcą peruczkę, rzecz jasna, chłopięcą może, młokosowi teraz dość podobną.

– Praca na roli, madame. Aa!

– Nie bądź zuchwała.

Inne siostry już w perukach wystawnych widziała, podle najświeższej paryskiej mody, jak sobie przedstawia i wkrótce sama dumać poczyna, czy i jej w takowym pudrowanym przybraniu do twarzy by było. Pewnej nocy do pokoju się zakrada, w którym półka za półką wszystkie peruki się przechowuje, każdą na własnym eleganckim stojaku z kości słoniowej o odcieniu dziwnym. Jedną godzinę, potem drugą spędza, niecznie się krzątając i myszkując, z trudem dość śmiałości znajdując, by tknąć owe cuda białe lokowane, z których każde bardziej niżli poprzednie czaruje. Gdy w końcu po jedną z peruk sięga, do piersi chwilę tuli i na ogoloną głowę wciąga, miarkując wreszcie, iż lustro i nieco światła znaleźć winna, w mgnieniu oka dwie postacie drogę jej zachodzą. Oblicza Blondelle i Crosier z ciemności się wynurzają.

– Przyznać muszę, trochę jej to czasu zabrało.

– Prędzej czy później każda tu zachodzi. Nasza panna cnotka równie próżna, co pierwsza lepsza kurwa z Portsmouth rodem.

– Aliści urodą większość przewyższa – Crosier szepcze.

Niewiasta pąsowieje, gdy w półmroku zeń perukę zdejmują, której, jak mniema rozżalona, już nigdy nie obaczy. Wzrokiem ku stojakowi ją odprowadza, ten zaś, tu ciarki ją przebiegają, pustym odpowiada spojrzeniem, albowiem, co porwana ponie-

wczacie miarkuje, ni mniej, ni więcej tylko czaszką jest człowieczą. Ta, która poprzysięgła sobie, iż nigdy mdleć już nie będzie, po pokoju się teraz rozgląda. Tak. Każde cacko pudrowane na oczodołami łypiącej czaszce spoczywa. Nowicjuszka wzdycha głośno i chęć do mdlenia odpędza.

– Za wzór – Wilk Jezusowy sali studentów wykląda – więzienie wzięto. Mury sprzęty zastąpić mają. Ściany podle linii prostych, nie jak u tych antychrystów chińskich. Na świecie niepokój wzrasta. Władzy czy świeckiej, czy kościelnej wiary już się z chęcią nie powierza. Jaka szkoda. Jeśli miłość nam nie dana, przyzwolenie przyjmujemy. Jeśli przyzwolenia nie uzyskamy, tedy mury wzniesiemy, a jako że mur na płazie ziemi wytyczony linią prostą się staje, okaże się, iż takowych linii rozmieszczeniem, czy to w metropolii, czy w skromnej chacie, wszystko to, czym władac pragniemy, kształtować nam podobna – pierwszeństwa zasady, szlaki dojazdowe, spojrzeń kierunek, władzy przepływy...

– Wstrzymaj, ojczel! – słuchacz oponuje. – Czyż to nie ortolatrii imperium rzymskiego przyjmowanie? Owego linii prostych kultu plugawego, co to się pod równie prostymi kątami przecinają, a których krzyża kalwaryjskiego bezduszną prostotą jest ukoronowaniem?

– Ojczel, ojczel! Któremu to Rzymowi jezuita wierność przysięgali?

Uśmiech srogi.

– Wielka szkoda, iż w Hiszpanii nie jesteśmy.

Bezbożność czy brak szacunku już go nie dziwią, odkąd odkrył, iż po tej stronie oceanu powszechne to postawy. Wyboru nie ma – mało który kraj w Europie teraz dla zakonu bezpieczny. Tymczasem Ameryka w zakłopotanie wprawia. Choć bezdomnych i banitów z całego świata przygarnie, żaden prawdziwy żołnierz Chrystusa łatwo nie nawyknie do miejsca herezją niczym ciało krwią przesiąkniętego, herezją, co niczym krew ludzi przy życiu trzyma. Atoli w tych prowincjach na dalekim zachodzie, gdzie sekt niemal tyle, co osadników, słowo „herezja” moc swą także traci. Gdyby każdym przejawem bezbożności przyszło mu się tu zająć, więcej by zyskał przeciwników, niżli zliczyć by zdołał, a i czasu na *la obra*¹ by nie stało.

– Być może dysjunkcji w tym nie ma – mimo to ciągnie – a ludzie Rzymu pragną, pożądamy, zarówno jako imperium, jak i Kościoła stolicę? Może za przeszłością im tęskno, za jednym królestwem, jak przed protestantami, odstępem protestanckim i bezmyślnym sekt rozmnożeniu? Wyraz to nostalgii duszy za jednością niepodzielną, sprzed światła i mroku, nieba i ziemi, mężczyzny i niewiasty, powrót do owej ciszy świętej, którą słowo niegdyś przerwało, a którą przed wszystkimi z wyjątkiem garstki niestrudzonych badaczy wielorakość materii od owego czasu skrywa.

– Hola, hola! Czyżbyśmy chiński wątek posłyszeli? – Sala zdaje się być wypełniona zakamami wprost z Akademii Piekielnej rodem. – Skoro *Feng Shui* zgłębiać nam się wzbrania, jakże, karków nie nadstawiając, podobną metafizykę studiować możemy?

– Nie kark, lecz dusze nadstawiacie. Powiedzcie, z jakich miar ich czary ohydne zwalczać musimy?

Podśmiechiwania.

– *Pues entonces?*... Sam niegdyś studentem byłem. Pamiętam, iż te same wymięte karteluski, setki razy składane i rozkładane, które w tajemnicy czytujecie, i wśród nas przed laty krążyły. „Sekrety czarnoksiężników chińskich”? He? Nawet tytuł się zgadza. Niektórzy z was się uczą, jak znaki kreślić, być może nawet z łączeniem ich

¹ Hiszp.: dzieło.

² Hiszp.: cóż.

na sposób określony pierwsze eksperymentu robią. Wiem o tym, moi mili. Wiem o wszystkim, co tu zachodzi. Sakrament pokuty tysiąc ma przymiotów, a jednym z nich w obcowaniu z grupą użyteczność. Ktoś zawsze się przyzna. Jak w Hiszpanii mawiamy, *siempre alguien derrama las Judías*¹.

– Co on wygaduje?
– Coś o Żydówek rozprasaniu.
– Ha! Kabalistyka! Za chwilę w starożytnej hebrajszczyźnie paplać pocnie. Może zmówić się winniśmy...
– Masz na myśli to, jak by go tu poskromić?
– Jak by tu się z tej sali wymknąć raczej.
– Czemuż Chińczykom stosowania *Feng Shui* bronić? Albowiem to działa – Wilk Jezusowy klaruje.

– Jakże tak? Skoro działa, naukę tę zgłębiać winniśmy.
– Piętnem wroga jest naznaczona. Zbyt łatwa. Potem nieokupiona. Zbyt mało w rękach praktyka, zbyt wiele na łasce jakowejś niewidzialnej siły, która ceny nieznaną zażądać może. Jak trzymacie, do czegoż owo coś zmierza, co do Chrystusa się nie odnosi ni odnieść nigdy się nie może? A żołnierzami Jezusa będąc, jak na to zezwolić nam podobna?

Świat był wówczas prostszy, moje dziatki, i wiele osób olbrzymią wagę do kwestii doktrynalnych przykładowało. Ściskająca gardło nienawiść, na ten przykład, z głosu Wilka bije, gdy ten studentów poucza: – Ludzie, którym Chrystus obcy, pojąć muszą, iż życie im na służbie minie – jeśli nie u nas, to u chrześcijan jeszcze mniej pobożnych – królów, ludzi interesu, kompanii pirackich.

– A co z tymi, których nawrócić mamy?
Książd lekceważąc ręką macha, kłykcie jego dłoni w światło świec bieleją.
– Nawrócenie żadnym życia cnotliwego gwarantem. Żydzi są „nawróceni”. Dzicy, kumoszki angielskie, Chińczycy, gdzie różnica leży? Nawróceni, znów się odwracają. Każde z nich pod koniec dnia spotkać można, częstokroć pod gołym niebem, wśród obelisków pradawnych, gdzie bez prawdziwej wiary te same rytuały ohydne powtarzają. A gdzież On, gdzież Jego cuda, gdzież Jego przebaczenie?

Na kolana pada – najwyraźniej zasięga porady. Po chwili zacy szeptać poczynają i wkrótce gwarniej niżli w kafenhausie jest na sali. Gość z Hiszpanii, nie bacząc na to, nie przerywa.

54

Przez pewien czas w trakcie mego nowicjatu jadła mi skąpiono, aż pewnego wieczoru do jakowejś komnaty mię zabrano i w sznurówkę kosztowną, czarną jak smoła, odziano, ponoć z warsztatu samego *corsetier* królowej francuskiej sprowadzoną, po czym zwierciadło mi podsunęto, twarz mą na modłę sióstr upadłych uprzednio umalowawszy. Na widok owej nigdy wcześniej niewidzianej kobiety fala grzesznego pożądania mię załała, a gdy bieliznę na ten wieczór dla mnie przeznaczoną wniesiono, na cichy okrzyk zaskoczenia w przytomności *maquilleuses*² sobie pozwoliłam. Jak

¹ Dosł.: ktoś zawsze rozrzuci fasolę/rozproszy Żydówki, dosłowne tłumaczenie idiomu angielskiego, który znaczy: ktoś zawsze puści farbę.

² Fr.: makijażystki.

mię Blondelle zapewniła, kurwa francuska podobnych fatalaszków włożenie dwukrotnie by rozważyła, strój ten bowiem najwstydliwszym cielesnym zamysłem schlebiał, wszelkie intymne otwory, miał kryć, uwypuklając.

Gdy już wszystkie haftki na mnie spięto, a wstażki ciasno zasupłano, siostry rzekły:

– Tak, tak. W sam raz dla Chińczyka.

Drobnymi, onieśmielonymi kroczkami, koronkami szeleszcząc, na piętach się właśnie po pokoju przechadzałam.

– Chińczyka? Cóż za Chińczyka?

– Jedną z głównych powinności Wdów Chrystusa jest Chińczyków czarowanie. Wkrótce ich mowę zgłębiać poczniesz, a w końcu rok lub dwa tam zabawisz.

– W Chinach?

– Nie lękaj się. *Oui*, każda z nas przy tamtejszej misji służyła.

– Będziesz wniebowzięta – Blondelle zawołała. – Jadło na ich stołach wyborne nie do opisania. Te plastry kurczaka czosnkowane w sosie z czarnej fasoli! Krewetki z orzeszkami ziemnymi i ostrymi papryczkami! Kluski sezamowe na zimno! Ciasteczka z bilecikami w ich słodkim wnętrzu zwiniętymi, na papierze jadalnym spisywane! Ach! Na samą myśl kiszki marsza grają.

To słysząc, nieczne francuskie zakonnice społem figurę taneczną odstawiły, odwróciły się i palcami mi pogroziły.

– Najniższa to, Blondelle, pożądlivości odmiana.

– Nawet samo jej wspomnianie poddaje, iż nie dość się w ryzach trzymasz, o czym donieść przełożonym muszę.

– Ach, dałybyście pokój. Czyż nigdy serca wam się nie rwały ku czemuś, co smak jakowyś posiada, czemuś w miejsce tego kleiku, którym bezustannie jesteśmy karmione?

– Niemniej, siostro.

Chwilę zabrało mi mych członków przybranych badanie. Tam, gdzie wzrok nie sięgał, opuszki palców posyłałam, by mi za lustreczko służyły, za co mię policzkiem i długim klęczeniem ukarano. Czarowanie Chińczyków z wielką powagą tu traktowano.

– Czas teraz nadszedł, moje dziecko, by ci stopy skrępować.

Zaprawdę, długo to trwało. Nie było mi to wcześniej wiadome, iż me stopy tyle osobnych części posiadają, z których każda na swój sposób wrażenia odbiera... Im dłużej je krępowano, tym Chińczycy bardziej fascynującymi ludźmi mi się zdawali. Skoro to właśnie im się podobało...

Na ów tom haniebny Tenia w sypialni Ethelmera natrafiła, na miedziorycie z dwoma nadobnymi zakonnicami otwarty, których figle rwą dziewczęce oczy w sposób niepojęty...

– Witaj, Teniu... Ach. Hm. Cóż to za lektura? No, no – zerka je j przez ramię. – Coś ze zbiorów kuzyna DePugh, jak mniemam?

Przez długi czas, jak mu się zdaje, wzrokiem go mierzy. Wreszcie szepcze:

– By ktoś się na to napatoczył, to tu ostawiłeś.

– Może raczej przedstawiałem sobie, iż ma sypialnia najściem nie jest zagrożona, nawet ze strony tak miłych gości, co kuzyneczki wścibskie.

– Zaskakujesz mię, Ethelmerze. Choć nadal nie pojmuję, coż w zażyłości między niewiastami dobrze wychowanego żaka pociągać może.

– Tak, przyjemniejsze dla oka sztychy z pewnością się trafiają, dajmy na to, zachodnie rubieże w promieniach chylącego się słońca skąpane, sceny religijne, psy myśliwskie, na stole wiktuały... Atoli jeśli jedna z was w alkowie oglądana, uroki nie-

znośne roztaczać może, przedstaw sobie, jaki zachwyty rozkoszny widok dwójki niewiast w męzczyźnie budzi.

– Ponad dwakroć silniejszy niżli jednej, jak wnoszę, czyż nie?

– Och, coś wykładniczego, bez wątpienia – kuzyn odpowiada. – Poza tym kolejny to tom „Upiornego fircyka”, a wszak czytać je po kolei jestem zobowiązany.

– Winienesz mi zatem fabułę poprzednich nakreślić.

Ethelmer streszczeniem służy.

– Upiorny fircyk. Na balach i zabawach się go widuje, w pobliżu dam urodziwych, jak i stolików karcianych, aliści nikt się doń nie zbliża, nikt nie zagaduje. Piękności szepczą: „Zbytnio upiorny. Nie, dziękuję”. Powiadają, iż jest pewnego młodzieńca duchem, co po przybyciu z prowincji do Londynu fortunę stracił i nim tu, wśród żywych, swych okazałych długów nie spłaci, ni do domu, ni do świata umarłych udać się nie może. Nadto ponoć w Hampstead mieszka.

Zgodnie z legendą tym się zajmuje, iż wszystkich, którym jest coś winien, odnaleźć się stara. Przygnębiające to zatrudnienie, co czas zabiera, a trud poniesiony nieraz owoców nie wydaje. Niektórzy trzymają, iż kawaler to najzupełniej żywy, inni, iż jest zjawą, przysięgają. To, iż nikt pewności nie ma, oroku mu przydaje, choć admirałtorzy wzdychać jeno mogą, gdyż uwagę fircyka jedna tylko rzecz przykuwa, jedna tylko rzecz wierność jego zapewnia, a mianowicie księga rachunkowa. Część z tych, którzy w niej stoją, jest dlań wierzycielami, od innych zaś pieniądze swe odebrać musi, albowiem niegdyś go oszukali, i tak dalej. Bez ustanku od jednego do drugiego wędruje, owymi zawirowaniami płatniczymi się wymawiając, by w cudze finanse nos wściubić, nawet gdy kto uprzednio z nim do czynienia nie miał. Kiedyś kosa na kamień trafi. Najmniej tuzin tomów o nim już się drukiem ukazał – ile dokładnie, tego nikt nie wie, albowiem fałszywe wersje także na rynek trafiają. Iż upiornego fircyka gdzie widziano, coraz częściej doniesienia napływają, nie tylko z Ranelagh czy Covent Garden, lecz całej Wielkiej Brytanii. Thornton-le-Beans, Slad¹, nazwę rzućcie – albo zawitał tam niedawno, albo też lada dzień go czekają. W swej mściwej misji, papierowej głównie, zarówno królestwo, jak i świat handlu przemierza – to na Grub Street o sprawiedliwość walczy, to machlojki ujawnia, to giełdę nawiedza, to do płatki stos gwinei dorzuca, które widmowymi być się okazują, wszystek przegrywa, perukę poprawia i na oczach zebranych znika, którym, co prawda, spać od dawna nie było dane.

Gdzieś w tej sieci bogactwem usianej – powiedziałby kto, co nieuniknione – nie zgubna ku Towarzystwu Jezusowemu prowadzi. Rzecz jasna, jak każda instytucja zakon ten z obrotem udziałami się boryka, gruntów dzierżawą czy oficielami, których łapówki nie dość długo zadowalają. Innymi słowy, jak i nami samymi, jezuitami wymogi czasu władają, choć ich telegraf prześwietny nad resztą świata chrześcijańskiego zaprawdę wielką przewagę im daje, inni bowiem, jeśli o porozumiewanie idzie, nadal na gołębie pocztowe się zdają lub jastrzębie niewielkie, co cudzych posłańców ujmują i na ręce swych właścicieli składają, nim się im wreszcie na ucztę zezwoli.

– Jak daleko doczytałaś?

– Do chwili, gdy Chińczyka spotyka i społem ucieczkę planują.

– Dziwny moment wybrałaś na przerwanie lektury.

– Kroki twe na korytarzu posłyszałam.

Pokoik to na poddaszu, w rozmiarach skromny, przeto dość blisko siebie stoją. Wszędzie wokół, za tynkiem, łątą, listwą, tapetą, krewniacy się kryją niewidzialni,

¹ Pierwsza miejscowość leży w rodzinnych stronach Dixona, druga Masona.

choć nieraz innymi zmysłami wyczuwani. Oboje młodzi sprawę sobie zdają, iż wzroku rozbawionego od siebie oderwać im nie sposób.

– Następnym rozdział to dopiero przedni – Ethelmer szepcze. – Czy przeczytać ci mogę? Głosu nie podniosę, obiecuję.

– Jak zawsze rozważny. – Tenia za jakowymś siedziskiem się rozgląda, lecz nic zdatnego prócz łóżka nie znajduje.

– Na „czarodziejskim dywanie” usiąść możemy, jak za dawnych lat, tam w rogu – kuzyn poddaje.

– Możemy – dziewczyna odpowiada, aliści ku łóżku się zwrócić bardziej skora. Pewnymi gestami gospodyni tak poduszki i podglówki ustawia, by wał w poprzek utworzyły, co raczej symbol niżli zawadę stanowi, po czym po jednej jego stronie się sadowi. – Pierwej jeszcze jedną świecę zapalmy – rzecze – by wzroku w podobnym świetle nie zrujnować.

– Ni żadnego z detali nie przeoczyć, które inaczej jeno przedstawić sobie trzeba by było.

– Nad własną imaginacją biadaj, kuzynie, mej widać nie doceniasz.

– Cóż, i mej, Teniu, na niczym nie zbywa.

– Sza. Czytaj, a jeśli usnę, proszę, nie czyń nic zdroźnego.

– Nie obawiaj się. Wszystko będzie w jak najlepszym guście.

– Kuzynie!

I tak oto się przekomarzają, z szlaku, jaki opowieść Wielebnego znaczy, na miłą ścieżkę wzajemnego zauroczenia zbaczając, gdzie historia porwanej jeno przystankiem w podróży.

Śnię pewnej nocy, iż do mostu dotarłam, co brzegi jakowejś rzeki szerokiej spina. Z obu jego stron skupisko domostw stoi, a w najwyższym punkcie jego łuku mytników posterunek, kuriozalna struktura, czasem po zmroku w mgłach rzecznych niewidoczna, której latarnie do późna płoną. Nie każdy z podróżnych jest przez most przepuszczany, ni myta uregulowanie przepuszczeniu się nie równa. Mytnicy, co do sekty pewnej należą, trzymają, iż właściwie mieszkańców obu brzegów dobierając, pomyślność krajowi zapewniają. Oddaleni często do jednej z gospód wracają, których u każdego krańca mostu sporo, i przenocowawszy, rankiem próbę ponawiają. Niektórzy na dłużej niżli jedną noc ostają, a gdy dług u karczmarza doskwierać poczyna, ci z pielgrzymów, którym przeprawa bardzo na sercu leży, na miejscu zatrudnienie znaleźć mogą – w szynku, w pralni, w łóżkach cudzych¹ – i czekać, zapominając nierzadko, z jakich miar dostać się na drugi brzeg pragnęli. W niepamięć idą także inne fakty żywotne, takie jak twarze i imiona im przypisane. Ich właściciele w pokoju mym mię teraz nachodzą i o powinnościach różnorodnych prawią, jakie w jakowymś miejscu spełniać winnam, z którego to ponoć pochodzę. Powiadają, iż od urodzenia jestem im znana i do „domu” zabrać usiłują, gdzie przynajmniej rodzina opieką mię otoczy. Może zjawi się i człek młody, co kunszta domorostego aktora obnosząc, za mego męża podawał się będzie. – Elizo! Czy mię nie poznajesz? Nasze małżeństwa... – i tak dalej. Nie do zniesienia. Uparcie przyczyn szukam owego ukazu, bym na tym właśnie brzegu się zatrzymała, który rada byłabym z dała ominąć.

– Przyznać muszę, iżeś śmiała.

– To nie miejsce dla mnie.

¹ Najprawdopodobniej nieprzetłumaczalna gra słów autora – to samo słowo angielskie przywozdi na myśl duchowieństwo i prostytutkę.

- Skąd wiesz? Idź, mąż czeka.
- To nie mój mąż.
- Gdybyś na drugi brzeg się przepравиła, do końca swych dni radości byś nie za-
znała. Wracaj i pożyj dość długo, by pojąć, jakiż to dar na twe ręce składamy.

Pewnej nocy Wilk Jezusowy uświadamia sobie – jedna to z owych chwil fatalnego olśnienia – iż Zhang cały ten czas biegle hiszpańskim władał. Chińczyk uważa księdza, jak ten w pamięci szuka wszystkich wypowiedzi swobodnych, na jakie sobie w jego przytomności niegdyś pozwolił. Zwyczaj nakazuje, by teraz sługę z dachu zrzucić, gdy nocą przy linach się ich musztruje – do podobnych tragedii często dochodzi – atoli jezuita po temu sposobność miarkuje, by pewne wspomnienia Zhanga innymi zastąpić, tym samym własnoręcznie historię kształtując.

Uśmiech losu to zaprawdę dla każdego, kto choć trochę na modłę inkwizytorską świat postrzega, lecz wkrótce Hiszpana gorzki zawód spotyka, gdyż Chińczyk wszystko to, co kiedykolwiek mógł usłyszeć, z radością i zapałem z pamięci usuwa i tę wersję przeszłości przedkłada, jaką ksiądz usłyszeć by pragnął. Wilk Jezusowy, nie wiedząc może, iż kiedyś gdzieś prawda i fałsz jednym się staną, o zatajanie czegoś z upodobaniem Zhanga oskarża – podle prawideł matematyki rozgrywki tej przegrać mu nie sposób.

- Jeszcze jedno takowe stwierdzenie padło. Tak, tak, pamiętasz je doskonale. Niech mię drzwi ścisną, jeśli pałą z ciebie tego nie wyciągnę, a i krwi przy tym popuszczę nieco.

Z dnia na dzień coraz częściej groźby tortur padają, jakoby jezuita innego wybo-
ru już nie miał. Wówczas to właśnie z zamiarem wyjazdu Chińczyk nosić się poczyną.

Ucząc się przez obserwację na pamięć, gdzie o jakiej porze się znajduje, niewiasta miarkuje, kiedy ów odejść zamierza, i by mu towarzyszyć, z miejsca rezolucję bierze. Swą posyłkę i habit porzuciwszy, w konfesjonale nieużywanym nakłada z kwater indiańskich wykradzione nogawice, kapotę ze skór i przepaskę chłopięcą, za chłopca uchodząc pragnąc, zaś na stopy już niespętane mokasynty naciąga. Tak odziana do Zhanga dołącza, który udając, iż jej kończyny odsłonięte i zgrabne, a w bezustannym ruchu będące, ni trochę go nie obchodzą, rad nierad przyjąć ją musi. Społem ostrożnie miasto opuszczają, rwąc ku polom otwartym, podobnie jak wcześniej w majakach ku niebu rwała.

Jezuici dzieje pierwszych przybyszy z Europy nowicjuszkom wdów wykładali – kto w Ameryce osiedlić się pragnął, ten zim tutejszych doświadczyć musiał, długich, obfitujących w śmiertelne ofiary, a wkrótce i gości spod lodu ciągnących. Zbyt okrutną ta północna pustynia była, by w rozproszeniu mroźne miesiące nań spędzać, przeto, by się kto do wiosny uchował, jak najwięcej ludzi zgromadzić należało w jakowymś pomieszczeniu wielkim.

- Tym się niedoskonałość tej metody objawiała – P. de la Tube powiadał – iż jeden Szwed szalony wśród ciżby starcał, by warunki mieszkalne tak pogorszyć, iż ledwie garstka roztopów doczekawała, a nieraz i nikt przy życiu nie ostał.

Jakież to z zimy amerykańskiej moralne nauki czerpią, na zbroczu nagięgo wzgórza się kryjąc, z rzeką w dole niczym niebo odległą? Jezuici w czerni konno ulice patrolują. Owoc jakowejś tragedii w przestworzach, pióra czarne i długie, wiatrem gnane, posobnie ku miejscu opadają, gdzie niegdyś, by owo miasto zając, łodzie do brzegu rzeki dobiły. Wciąż od północy bezlitośnie wieje i niewiasta, jak może, kapotą się otula. Zdaje sobie sprawę w pewnej chwili, iż się jeszcze nie modliła, lecz teraz modlić się nie wypada. Tamto już do przeszłości należy. Prą naprzód, w kraj sobie nieznanym – akt Ziemi, równie nieodwracalny, co ucieczka sama.

Południowego brzegu się trzymając, wzdłuż rzeki ku ziemiom Sześciu Plemion wędrują – uciekinierów jezuiti gonią, ci zaś z własną namiętnością się ścigają. Pewnego dnia, już nad Mohawk, kra wśród huku pęka, a lód w wymyślnych stosach się spiętrza – pierwsze to w przyrodzeniu wiosny oznaki.

Podle skazówek cudownego *luo-pan*¹ kapitana Zhanga w głąb łądu zmierzają, na południe, po fort Stanwix i dalej, do zamku Johnsona, co nad rzeką Mohawk stoi, dokąd to resztką sił docierają i teraz, niczym we śnie powoli, aleją topoli lombardzkich ciągną, Indian wzdłuż drogi zgromadzonych uważając. Mężczyźni popołudnie spędzają, pałac bądź pestkami brzoskwiniowymi w kości grając, dzieciarnia z patykami i piłkami wkoło biega, a kobiety przy swych zatrudnieniach się krzątają. Wreszcie oto i sam baronet irlandzki², w skórach i czapce z szopa wśród swych poddanych się kręci, od jednej gromadki do drugiej swobodnie przechodząc, to po angielsku, to, wedle potrzeby, w Mohawk, Seneka czy Onandoga zagadując.

Dziwaczną, metaliczną płytkę przez Chińczyka okazaną starannie zbadawszy, sir William z mniejszą podejrzliwością się uśmiecha i panowie misterny uścisk dłoni wymieniają, który trwa równie długo, jak jej się zdaje, co między dwoma niewiastami plotek wymiana.

– A jak się tam stary pirat ostatnimi czasy miewa?

– Prosił, bym przypomniał waćpanu...

– ...o tym, czego, baczny człkiem będąc, wspomnieć tak od razu nie możesz. Dobrze. Kimże jest ów młokos, co ci towarzyszy? Przyznasz waść, iż nieco cherlawy. Daj mu no kilka pint piwa, niedźwiedziny parę połci, odsmaż nieco tartofli tłuczonych, a wnet krzepy nabierze. – Bliżej doń podchodzi. – Po angielsku choć trochę gadasz, chłopcze?

– Odrobinę – szepcze.

Coś ją zdradza. Sir William palcem skazującym delikatnie brodę jej podnosi i oczy zmrúżywszy, powiada:

– Na ścieżkę wojownika ot tak się nie wchodzi, to nie suknia, którą lekko się wybiera.

– Wiedziała o tym – Chińczyk rzecze – to jest, wiedział. Wiedział o tym.

– Nie ma potrzeby, kapitanie. – Jest zdumiona, gdy głos swój własny z dawnych dni słyszy. – Nazywam się Eliza Fields, panie. Znad Conestogi pochodzę. Dzięki dobroci serca mego towarzysza z rąk Francuzów się wymknęłam.

– A niech mi! – Sir William Johnson woła. – Lecz i on Indianinem nie jest! Cóż, z bystrości jestem w okolicy znany, lecz oto niczym kmiot stoję. Cóż, nawet tłuka nauczyć można. Zdradźcie mi, proszę, swą historię.

Opowiadają.

– Zatem, jak amen w pacierzu, wkrótce pościg jezuitki się tu zjawi. Nie oczekujcie po Hiszpanie, iż lata czekać będzie. Krew tak gorąca wiosnę dość rozgrzeje.

– Znam go – Zhang rzecze. – Bardzo jest cierpliwy.

– Niemniej kilku Mohawków sprowadzić nie zawadzi. A wy tu się na zawsze nie zatrzymacie, nieprawdaż?

– A waść ukłony ode mnie swej loży przekażesz. – Kapitan Zhang rozżalone spojrzenie mu rzuca.

Z pomocą sir Williama podróż bezpieczną planują aż po kraj Delaware, jeśli będzie trzeba. Po drodze Chińczyk cieleśnie nigdy jej się nie narzuca. Niewiasta uciecz-

¹ Kompas chiński, tradycyjne narzędzie feng shui.

² William Johnson (1717–1774), odegrał ważną rolę w wojnach z Indianami ze względu na znajomość ich języków i obyczajów.

ką cieszyć się nie może, z lękiem wyczekując, kiedy i jak dojdzie... – to jest, kiedy stanie... – to jest, pewnej nocy w New Jersey, gdy w opuszczonej zagrodzie leżą, dla ciepła w ramionach się trzymając, w przyпіływie śmiałości Eliza w dół sięga, tak jak jej tego w zakonie nauczono, i członek męski w gotowości nabrzmiały odkrywa.

– Może lepiej będzie, jeśli część tę ominiemy – Ethelmer, obyczajności pomny, poddaje.

– Jestem już przy krańcu następnej stronicy – Tenia chłodno rzece – zatem nic nam nie pozostaje, jak czytać dalej.

Dość blisko leży, by mimo mroku uśmiech jego zmiarkowała. Zhanga uśmiech.

– Wnioskuje, iż był tu każdej nocy – Eliza szepcze – czy się nie mylę?

– Aliści. – Chińczyk brodą w dół skazuje. Jakoby na rozkaz, członek wędnie, co równie silnym jest dla niej zaskoczeniem, co uprzednie erekcji odkrycie.

– Cóż uczyniłam takiego? – pyta.

– Pani – powiada – to co w chińskiej mowie *jin-jang* wołamy, nam wzbronione. Nie po to na świat przyszliśmy, by w role się wcielić, jakie nam inni, dla swej rozrywki, skazali.

– Jakie role? Pierwszy raz w życiu mężczyzną kuszę, a on odmawia! Ech!

– Słuchaj bacznie. Czasem lubieżne myśli mię nachodzą, zawsze zaś Chińczykiem jestem. To ze mnie lubieżnego Chińczyka nie czyni. Ni z ciebie *mutatis mutandis*¹, heretyczki zdeprawowanej.

– A jeśli właśnie jesteśmy nimi? Winniśmy być.

– Jak sobie życzysz, pani. Tymczasem albo przed zabójcami umykamy, albo nie. Czy wrócić pragniesz?

Przez chwilę jest oszołomiona. Oczy spuszcza.

– Jakże gardzić mną musisz...

– Wręcz przeciwnie – szepcze. – Ubóstwiam cię. Osobliwie w tym słodkim stroju ze skór jelenich.

– A zatem?

– To sprawa między Chińczykami a jezuitami. Nic, o czym wiedzieć byś chciała.

Cóż, dlaczegóż Blondelle o czymś takim nie wspominała? Z licznych cech męskich przez mentorkę starannie wyliczonych jeno garstkę, jeśli jakieś w ogóle, w Zhangu odnaleźć podobna. Och, Blondelle, z którą już nigdy pod pierzynę nie wpełźnie, gdy burza okrutna okna deszczem będzie smagać... Nigdy, jeśli jej nie złapią i nie odstawią. Gdzieś w labiryntach kolegium ponoć cela się znajduje, bez okien, w zupełności czarnym aksamitem wyłożona, w których lśnią różnorakie okucia metalowe – tajemnicza komnata, do której to wstąpić chciała, czymś więcej niżli ciekawością kierowana. Tam właśnie uciekinierki osadzają, które wróciły. Te, które wrócić pragnęły... Z mętlikiem w głowie, w objęciach Zhanga zasypia i dopiero raniem pochmurnym się budzi, by zmiarkować, iż znów pałka twarda o nią napiera. Eliza nadzieje snuć poczyna, iż niedługo na ludzi natrafia.

Woń dymu drzewnego coraz częściej im towarzyszy, a wśród drzew na nowo pozielieniałych chaty i zabudowania się wyłaniają. Byki im drogę zachodzą i psy gospodarskie gonią, których morderczych zamiarów fakt ten nie osłabia, iż ofiary wybrane z trudem do jadalnych się zaliczają.

– Tego tam, Burek, „Chińczykiem” wołają.

– Nie jestem pewien, czy mi w smak taka potrawa.

– Nie jestem pewien, czy ich złapiesz w ogóle.

¹ Łac.: dokonawszy niezbędnych zmian.

Inne psy krążą wkoło, wilki udając, i uśmiechają się krzywo.

– Cóż, są szybcy, atoli...

– ...nie aż tak.

Uciekinierzy kije przy sobie nosić się uczą. Parę pielgrzymów w tym przypominają, a wkrótce jak para pielgrzymów się czują. Cały ten czas *luo-pan* jest rozedrgane i coraz gorętsze w dotyku się staje.

W końcu dukt, który dotąd jeno na zboczach w zieleni przebłyskiwał, przecinają i na Linii Zachodniej stają. Rezolucję biorą na wschód nim podążać i rychło członków wyprawy spotykają. Większość z nich ich wita, z Mo McCleanem na czele, a bardziej gośćmi podnieceni, niżby wypadało. Kwatery zbiegom przydzielone ponad półtora łańcucha spojrzeń, zerknięć i łypnień dzieli.

– Czy widywać cię więcej będę? – raczej duma, niżli prosi.

– Czy wciąż swój wybór będziesz kwestionować?

– Tak. Miło widzieć, iż się uśmiechasz dla odmiany. Nas wszystkich wielce zabawnymi znajdować musisz.

– W rzeczy samej, śmieszą mię od czasu do czasu sprawy, do których nie-Chińczycy wagę przywiązują... Czy wrócisz do Kanady?

– Nie było tam najgorzej.

– Łatwo ci mówić, *viudita*.

– Tak?

– Ja odmienne doświadczenia miałem.

– Och, nie było ci źle, z tego, co mi wiadome. Żadnegoś posiłku nie opuszczał chyba, po prawdzie dość pulchny byłeś, a i zawsze w przednim humorze, czego teraz powiedzieć się nie da. Z jakich miar wyjechać pragnąłeś, nie pojmuję.

– Uciec z niewoli, by w innym miejscu jarzmo przyjąć, w Chinach za niemądre jest uznawane. Do mych grzechów głupotę przydać muszę.

– Wszak wolnyś jak ptak. Cóż to za niewola. – Lecz on wzrokiem ją przeszywa. Eliza udaje, iż w tych tajemniczych skośnych oczach czytać nie potrafi. Głowę odwraca, potem z ukosa patrzy. – A czy Hiszpan za nami podąży?

– Albowiem wierzy, iż ciebie wykradłem.

– Kolejny powód zatem, bym w dalszą drogę ruszała. Westchnęłabym niegdyś. Proszę, pewnego dnia, przedstaw sobie, iż westchnęłam.

– Czy do męża wrócisz?

– Albo do jezuitów, albo do niego? Czy jeno tak postąpić mogę? A niech cię Zhang, ciebie i twe *jin-jang* – prycha. Z brodą wysoko podniesioną na pięcie odwraca się i odchodzi.

Kwaterę z Zsuzszą Szabó¹ dzieli, młodą kobietą o przyjemnym obliczu, która model bitwy pod Lutynią² obwozi. Pewnego dnia, w mundurze husarii Nádasdy'ego³, okrakiem na wspaniałym arabie siedząc, karawanę wyprawy wyprzedziła. – Witajcie, chłopcy. Jestem Zsuzsa – z uroczu cudzoziemską wymową woła. Drwale tak raptownie rąbać przestają, iż siekiery w powietrzu zamierają, a co poniektórych siła odzutu w piruety dzikie wtrąca. Indianie z zarośli spoglądają, malunkami na jej twarzy się zachwycając. Mleczarki między sobą szeptaają.

¹ Węg.: Susan Tailor (Zuzanna Krawiec).

² Bitwa wojny 7-letniej (Lutynia to miejscowość pod Wrocławiem).

³ Generał austriacki dowodzący lewym skrzydłem podczas tej bitwy.

Od bitwy pod Lutynią w roku 1757 Zsuzsa w nieustannej jest podróży. W przebraniu młodzieńca w bitwie udział owej biorąc, do detaszowanego oddziału lekkiej kawalerii dołączywszy, nie tyle nagle pojęła, co pozór na krótko dała czemuś, co już od dawna było. Czuła później, iż jest jej powinnością wszem i wobec rozgłosić, co w najbliższej przyszłości z pruskich równin się zrodzi. Wpierw po jarmarkach, gestami się podpierając, przebieg bitwy opowiadała, lecz z czasem w przedstawienie uliczne się to przekształciło z tańcami cygańskimi, akordeonem i sztuczkami psimi, a co najważniejsze, mechaniczną bitwy miniaturą, która to tyle razy ruchy wojsk prezentowała, ile tylko obejrzeć pragnął kto ciekawy.

Każdy z jeometrów później Elizie krótką wizytę składa. Dixon na równi z Chińczykiem strojem ze skór jest zauroczony, co, wiedząc już, jakich oznak wyglądać, Eliza miarkuje. Gdy Geordie tyłem z namiotu wychodzi, wesoło pogwizdując, niemal na Masona wpada.

– Można się było spodziewać – starszy z Anglików mamrocze, wzrokiem go odprawia i dopiero na niewiastę spogląda. Tu paroksyzm gwałtowny go dopada – fale spiekoty, dreszcze tęgie – który później Dixonowi jako „gorączkę duszy” opisze. Przez chwilę Eliza mniema, iż to znów jej ubranie, póki na twarz jego bladą i posmutniałą nie zerka.

– Pani wybacz. – Astronom na ziemi bezładnie siada, kapelusz zdejmując i jako wachlarza go używa. – Zbyt wiernie kogoś waćpani przypominasz, kogo w cielesnej postaci od siedmiu lat nie uważałem. Więcej to niżli podobieństwo powierzchowne – co do joty jesteś pani jej odwzorowaniem.

Eliza palcami po swej krótkiej czuprynce przeciąga.

– Wątpię, iżby jej włosy były takie same. – Jedna to ze sztuczek nowicjuszeki przez Wdowy uczonych. – Lub... – Milknie, zmiarkowawszy, iż mało którą kwestię bezpiecznie przy nim poruszyć można.

– To, rzecz jasna, pominąwszy. – Mason oczyma kręgi zatacza, niczym owad, co wkoło świecy kołuje.

– Waćpanie... Znad Conestogi pochodzę. Starszą córką Josepha Fieldsa jestem. Zeszłej zimy gromada Szewaneczów mię porwała.

– Nie trap się, drogie dziecko. Iż tamtą jesteś, nie będę wszak w wariacji obstawał. Czuję się jeno jakoby torpedą rażony. Nie tylko członki z osobna, lecz i ich obnoszenie... twe gesty, głos twój... Skłoń ku mnie ucha. Czy wierzysz, waćpani, iż zmarli wracają?

– Waść jesteś poruszony, może nawet do czynów nierozważnych skory. Zmarli? Nie sądzę, panie Masonie. Czy kapelana przypadkiem wyprawa posiada?

– Niestety tak. Starania czynię, by jego rady nigdy nie zasięgać.

– To ja do niego udać się zamierzam chyba.

– Ach tak. Nasz wielebny Cherrycoke. Znakomity, znakomity.

(– Tym razem haftujesz – stryj Lomax palcem grozi, a w końcu w nos się nim trąca.

– Czy naprawdę poradzić się przyszła? – Ives pyta.

– Och, zajęłem się sprawą, po pewnym czasie – Wielebny wspomina. – Choć to Masonowi raczej duchowego wsparcia trzeba było).

– Czy to wędrowka dusz? – Ton proszący przybiera, a chodzi za mną wszędzie, nawet do latryny. – Jakiego tego podobieństwo? Błagam, wprost mi zaserwuj.

Wielebny wstrzymać się nie może, by na dukt nie zerknąć i z intonacją szynkową nie rzucić:

– Tu właśnie? Jakżeby inaczej?

Mason, przechadzając się nerwowo, odpowiedzi czeka, zaś Cherrycoke rozważania snuje, nad rowem cuchnącym kucając. Owo podobieństwo, co Masona tak oszałamia, wskrzeszeniem ciała niżli duszy raczej, w dość wielu szczegółach, by go przekonać, iż ze zmarłą żoną ma do czynienia. W każdym przypadku dusza, która w ich gościa wstąpiła, o swym poprzednim życiu jako Rebeka zapomnieć musiała.

– Tabliczka ta do czysta wymyta. Kim była przedtem, ustalić nie sposób. Jak towarzysz Er u Platona¹, wód Lete skosztowała i na nowo się narodziła.

– A jeśli przyszła bądź została przysłana jako wysłannik cielesny, by w imieniu duszy mej żony jakąś sprawę dokończyć, którą jeno ciało zająć się potrafi? – Głos nad miarę podnosi, piskliwie odmieniony, na skraju załamania.

Wielebny nad powodami możebnymi duma, co jakiś czas, jak się obawia, chrząkając.

– Cóż, mam nadzieję, iż nie, to jest, tyś tu dowódcą tytularnym i robić możesz, co ci się żywnie podoba, atoli...

– Imputujesz, iż chuć się we mnie gotuje, gdy tymczasem lękam się, iż słabnie. Nawet to, czemu się teraz swobodnie oddajesz, dłużej niżli sięgnąć pamięcią mogę, nie jest mi dane.

– Czy Elik sir Daffy’ego zażyłeś?

– Musiałbym w pierw Dixona poprosić, gdyż to on klucz do apteczki trzyma. Nad to pewności nie mam, czy jego szydarczy uśmiezek zniosę.

– *Habitué* jest tego przybytku, jak wnoszę. – Wielebny garścią koniczyny tyłek podciera i portki naciąga.

– Właśnie. Czulem się zobowiązany medykamentu tego unikać, choć on się w nim lubuje – dla równowagi w obozie zachowania.

– Podziwu to godne, rzecz jasna, jak każde wyrzeczenie. Zazwyczaj. Czy w pełni przede mną serce otworzyłeś?

– Skoro innym potrzebom upustu nie daję – Mason rzecze – możebne, iż i tu coś skrywam w sobie.

Tej nocy, a może następnej, astronom ze snu się budzi, który już go niegdyś nawiedził. Do młyna w Wherr² dostać się w nim usiłując, coraz dalej od celu przez podwożących jest wysadzany. Wtem wraz z Rebeką pieszo podróżują. Jakowysz nieznanomy powóz zatrzymuje i do obcego domu ich wiezie, którego mieszkańcy żonie Masona są znani, po czym owa banda cudzoziemców złowrogich, obojga płci, niejasno z polityką związanych, nie do końca wbrew jej woli Rebekę uwodzi – ta bez ruchu leży, na wszystko im spokojnie przyzwalając. Mason ową długą ceremonię w rozpaczy uważa, a zawadą rozpustnikom nie staje, bowiem, co zabolało, wprost mu powiedziała, iż wtrącać się nie ma prawa. Raz jeden zerka ku niemu, jakoby upewnić się pragnąc, czy patrzy – jeno przelotnie, ten raz jeden. Kim są ci ludzie? Jak się zwą? Z jaką to misją przybyli?

Przedsmak czyścica, służebność uporządkowana, więzienie, które działa dzięki łąpówkom, groźbom i przysługom, zasady w nim panujące znacząco niebezpiecznie może, ona zaś, dobrowolnie chyba, w to wciągnięta, pod to – Mason ogarnąć nie może. Brak mu przymiotów zdalnych, by w ich łaski się wkupić. Jeno zwolenników Pelhama układy, przejrzyste i plugawe, są mu znane. Tu, w świetle, co jak się wciąż zdaje, lada chwila zgaśnie, wszystko nieczytelne.

¹ Opowieść z X księgi „Państwa”; Er to imię żołnierza, który, powróciwszy ze świata umarłych, potrafił go opisać, ponieważ nie pił wody z rzeki zapomnienia.

² Gospodarstwo we wsi Oakridge Lynch, miejsce urodzenia Masona.

Co gorsza, do tego samego miejsca w snach wrócić będzie musiał nieraz – rozkład pokoiw niezmienny, te same drzwi dopiero co zamknięte, mieszkańcy niewidzialni dopiero co wyjechali... Niemal słyszy szept zza ściany... Budzi się z pięściami zacisniętymi, wyschnięte ły chłodne ścieżki na skroniach mu znaczą. A ona tam, gdzie Francuzi uperfumowani, w perukach wymyślnych, w swych *chateaux* urojonych, cały dzień na toalecie spędzają, z dala od konsensusu chłodnego, co snu szacunki zbywa.

Francja, wysłannicy śmierci francuscy – w trakcie owej bitwy morskiej pomiędzy *Seahorse'em* a *l'Grandem*, gdy bój był najbardziej zajadły, człowieczeństwo w szlachu utonęło, a jelita Masona swój ładunek zaraz wypuścić miały, pewność poczuł, iż cokolwiek po niego teraz przyszło, także wówczas po nią się zgłosiło – nie niczym kormnik czy zabójca, którym nazwisko ofiary znane, lecz raczej bagier czy włóczęga, na ślepo w stercie gmerający. Mason czuł, iż rychło go owo coś pochwyli, równie be-myślnie, co jakowegoś żeglarza na pokładzie, którego to nazwiska nie pozna nawet nigdy.

Na bardziej intymne sposoby brali ją w posiadanie, niżli mu kiedykolwiek było dane, w bliskości swej dla oka człowieczego nieraz niezauważalne, penetrujące bez potrzeby światła czy mapy ową materią, co w duszy naszym krew płynie, zawiadując, aż po najdalsze jej krańce. Rebeka i jej zaborcy bezustannie między sobą szeptali w mowie dla Masona obcej, lecz im znanej. Cóż to za mowa była? Jeśli francuska, podobnej odmiany nie słyszał nigdy – równie chyżej, gardłowej, lekkości pozbawionej. Wszyscy oni niesamowicie prędko mówili, dla tchu nie przystając. Skoro dech ustał, na cóż przestanki krótkie śmiertelnej mowy, którym pozoru nie dajemy wcale?

Jego Ojciec się pojawił. – Patrz no na swą prządkę, jakże w swej rozwiązości wesoła. Zaprawdę, synu, mistrzem jesteś w ich dobieraniu. Ledwie na światło dzienne wyszło, iż zabawką była przez jakowegoś nababa z Leadenhall Street odrzuconą, który to twych drogich przyjaciół Peachów czasem odwiedza dla wiejskich rozrywek czy w interesach kompanijnych, a już uwagi ci świadczyć nie są skorzy, jeśli jej za żonę nie pojmiesz.

W jednym pokoju byli, ona wyjść już miała.

– Twą cierpliwość podziwiam. Prawdziwie chrześcijańska.

– Masz na myśli, biorąc pod uwagę wszystko to, co twój ojciec o mnie mówił. Cóż, wrażliwość – nic już to dla mnie nie znaczy. Nie trap się.

Czuł, iż ciągnąć dalej musi. – Nigdy o ciebie, najdroższa, nie chodziło. To mię jeno zranić pragnął.

– Właściwie – Rebeka w drzwiach się obraca – swym antagonizmem się rozkożujecie. Dusze swe zmrozić mu pozwólcie. Nie dbam o to, co postanowisz.

Jej żywe wcielenie, blade i zamysłone, w kucki przy kociołku z kawą siedzi, w drwach porannego ogniska gmerając. Z każdym dniem odrobinę mniej życzliwa, z myślą o wyjeździe powoli się oswaja. Zmęczonym wzrokiem na Masona spogląda, który po spirali ku ognisku zmierza.

– Znow waść o niej śniłeś.

– Nie ma o czym mówić. Włosy waćpani odrastają i już nie jesteś tak podobna.

– Nigdy nie byłam. Zszusa pragnie, abyśmy odjechały i żywot awanturnic godny wiodły.

– Dla Seta, jak wnoszę, miejsca w tych projektach nie ma?

– Jeśli waść kiedyś nad Conestogę zajedziesz, nadstaw ucha, dźwięki zabawy zachwyć, a gdzie najgłośniej będzie, tam Seta znajdziesz i jak żałobę po mnie nosi, obaczysz.

– Rzecz jasna, nigdy go nie spotkałem...

– Witaj, *kicsi káposzta*¹. – Zsuzsa nadchodzi i swą przyszlą towarzyszkę podróży od tyłu obejmuje. Uśmiechają się i prostują, niczym liche żelazne kozy promieniejąc, co w ciemności twarżiel drzewną palą – właśnie tyle od braku wewnętrznego światła je dzieli.

Nie mrugając, bowiem tam, gdzie wszystko prochem, prochu już nie ma, Rebeka w miejscach mu się objawia nie tyle „dowolnych”, ile poza prawem będących – którymi żaden widoczny cel czy przyczyna nie włada – w półcieniu Bożej uwagi, jeśli nic przeciwko temu nie macie, by myśl Jego do zaćmienia słonecznego przyrównać. W płazie falującej wody – Mason, gdy tylko może, na ryby chadza, bowiem odgadnąć nie umie, co kolejna marszczka ukaże – czeluście skaliste i górskie zbocza, liście na wietrze burzę zwiastujące, cienie koronek kutego żelaza na ścianie, bochenki świeże, skórka w pary połączone... Na indiańskich ścieżkach wojennych ku i od zwycięstw wiodących, śmierci oraz i niewoli, o zmierzchu, w zarośniętych alejach wiosek opuszczonych, gdy po słońcu jeno rdzawa smuga na niebie ostaje, w sercu wichru, oto stoi przemówić doń gotowa. Cóż jeszcze rzec pragnie? Od dawna odpowiedzi mu nie staje. – Zatem nią nie jestem, jeno jej przedstawieniem. Ta Rzecz... – „śmiercią” jej nie nazwie. – W tej rzeczy jam tu uwięziona... do której to me ciało cały ten czas zdolne było, do której to cały ten czas mię wiodło, do której z taką pewnością przystąpiło, jak przy tym, co nasze ciała społem czynić umiały... – „Miłością” rzeczy tej nie nazwie. Czyżby słów tam zapomniała, tam, gdzie usta milkną, a obu owych Rzeczy już nie staje?

55

– Straszliwe tu *Feng Shui*. Gorszego nie widziałem. Poszaleliście obaj?

– Złe z powodu tego tam? – Dixon za siebie skazuje, gdzie w gęstniejącym mroku przecinka bieży.

– Za przewód służy czemuś, co my *sza* zwiemy, a co w hiszpańskiej Kalifornii² „złą energią” wołają. Przedstawcie sobie wiatr, wiatr prawdziwie nieprzychylny, zgubę, ubóstwo, hańbę i zdradę niosący, każdą możebną nieszczęścia odmianę, jak dniem i nocą dmie bezustannie, najkropniejsze z znanych wam nawałnic mocą swą przewyższając.

– Nikt na samym dukcie osiedlać się nie zamierza – Mason niczym do dziecka mówi. – Idzie wszak o to, by ludzie swe domy po jednej bądź drugiej stronie prześwi-tu stawiali. Ma to być granica, nic więcej.

– Granica! – Chińczyk za głowę się łapie i stopą w brokat obutą tupie. – Wszędzie gdzie indziej na Ziemi granice za przyrodzeniem podążają – linią wybrzeża, łańcuchem górskim, brzegiem rzeki – tym samym Smokowi, czyli *Szan* rewerencję okazując, co w ziemi się kryje i od którego kształt ona bierze. Prostą linię na obliczu Ziemi wytyczyć, to jak Smoka cięciem miecza zranić. Blizna idealna i długa ostanie, przez okolicznych mieszkańców postrzegana jako napaść nienawistna jeno. Jakże coś podobnego puścić można płazem?

To trzeci kontynent, na którym badaniem *Feng Shui* się ima i mniemał, iż w Europie z wariatami miał do czynienia, lecz ci tu sobie równych w szaleństwie nie ma-

¹ Węg.: mała kapusto.

² Kalifornia została oficjalnie wcielona do USA w 1850 roku.

ją. Dworki wigów, wille adriatyckie, *chateaux* złowrogie, węgierskie cieplice czy duńskie haremy na modłę turecką budowane – ni jeden z budowli tych właścicieli z szacunku wobec Smoka Chińczyka nie najał, ni z racji tego, co Zhang zdziałać by umiał, wykryć, czy choćby im powiedzieć. Swej niewinnej fascynacji egzotyką pofolgować pragnęli lub nadzieję mieli jeszcze w coś uwierzyć, choć raz jeszcze błogi szelest posłyszeć ostatnich rąbków szat wiatrem nabrzmiątych, za bóstwem furkoczących, które się wiecznie oddała. Ludzie bez wiary – cóż, pojąć był to w stanie, czasem szanować mógł ich nawet – lecz tu, w Ameryce, mało co prócz wiary – nad dachami każdego miasta dzwonnice kościelne górują, ku białym namiotom wędrownych kaznodziei, przez pastwiska podtopione, pod niebem deszczem czesany, setki i tysiące wiernych ściągają, z głębi puszczy śpiew chóralny dochodzi, co na sile z każdym krokiem wojażera przybiera, śpiew gorączki pełen...

Mystyk chiński, w tarczę *luo-pan* wpatrzony, czoło marszczy, głową kręci i mamrocze:

– Nawet prądy ziemskie z nimi trzymają.

– „Z nimi”?

– Mam, jak sądzę, wroga w tych stronach – pewnego jezuitę, który źle mi życzy.

– Francuza? – Mason dopytuje.

– Z tego, co wiem, Hiszpana. Ojca Zarpazo¹, Wilkiem Jezusowym w swej ojczyźnie zwanego, którego ja, niestety, w swej poznałem. Z rąk ludzi, co Molinosa² i jego zwolenników prześladowali, nauki swe on w młodości pobierał. Z tych miar zniszczyć poprzysiął wszystkich tych, którzy Stwórcy poszukują, myta Jezusowi nie płacąc. Moliniści, jak i część buddystów z mego kraju, wierzą, iż cicha kontemplacja najlepszą tu metodą. Droga do Boga przez Chrystusa prowadzić może, lecz ominąć go bez żalu podobna. Buddyści powiadają nawet, iż jeśli Budda komu na drodze staje, tedy zabić go należy. Nie w smak to, rzecz jasna, jezuitom. Zbyt wiele pytań taka postawa rodzi. Jeśli poznanie Jezusa nie jest konieczne, by Boga poznać, cóż się z jezuitami stanie? A i sama ilość ciszy wymagana – sądzicie, iż znieść by to potrafili? Zarpazo – w swej nienawiści wobec tych, na których poluje, równie jest nieprzejednany, co tamci w swym umiłowaniu Boga obojętni na namiętności, które nim kierują. Neokwietyści, konwulsjoniści jansenistyczni, kryptoiluminaci w jednakowym stopniu gniew jego pielęgnowany odczuli, czy to przed świtem przez mężczyzn w czerni uprowadzani, czy to śmiało na stopniach katedr zaskakiwani – pewni, iż pomyłka zaszła, bez protestu prowadzić się pozwalali, oszołomieni, żelazem i skórą skrępowani. Europejska potulność – każdy, kto dzierżył władzę, zawsze należyście jej uroki doceniał. Przedstawić sobie zatem jesteście w sile utratę morale u tych, co, jak Padre Zarpazo, do Chin zajechawszy, zmiarkowali, iż potulność daleko za sobą ostawili i co innego ich teraz otacza. Chińczycy Dzicy! Jakże kiedykolwiek mniemać mogli, żeśmy na przyjęcie ich Jezusa gotowi? Nie wiedzieć czemu, za swego głównego wroga jezuiti *Feng Shui* uznali. W świecie tej nauki pozbawionym łatwiej byłoby Chrystusowi – czy tak trzymali? – w Chinach nowych wiernych znaleźć. Dlatego też jej unicestwienie świętą powinnością.

To rzekłszy, ku swemu *luo-pan* się zwraca i w przód, i w tył pewnymi ruchami palców pierścienie jego przesuwają. Dixona, stojącego akurat nieopodal, instrument przyciąga.

– Kolejny człowiek igły – dwóch nas zatem. Mam nadzieję, iż Mason cię w tej kwestii nie dręczy. Metodom niebieskim nad wyraz jest oddany.

¹ Hiszp.: cios zadany łapą z pazurami.

² Miguel Molinos (1628–1696), teolog hiszpański oskarżony o herezję, twórca kwietyzmu.

– Uczeń szkoły *Fuh-kien* jeszcze bardziej by ci do gustu przypadł, bowiem ci całkowiec igły zawierają, gdy ja tymczasem prawidła szkoły *Kan-cheu* wyznają, która Smoka w ziemi nad wszystko przedkłada. Zbliź się i rzuć okiem. Te tu widzisz? Stacje Księżyca, gwiazdy ruchome i stałe, znaki zodiaku – wszystko to nam służy, atoli Smoka na pierwszym miejscu stawiamy, a to, co igła wyczuwa, to nic innego jak Smoka owego życie.

– Mason ścierpieć nie może, iż igła nigdy nie skazuje tego, co północą prawdziwą woła. A czy ta na kompasie urojona?

– Zarpazo podobnie postępuje. Zero stopni, zero minut, zero sekund, czyli północ idealna – tej też wierność ślubował, panem jest zera. Nieczystość ziemi w świętobliwy gniew go wpędza. Z tych miar właśnie waszego duktu pragnie.

– „Pragnie”?

– Podobnie jak spojrzenie zalotnika wabi, wieść o prześwicie z pewnością go sprowadzi. Pasją jego jest azymut czysty. W Peru był z *La Condamine*¹ i w Laponii z *Bouguerem*², we Włoszech, gdy twój *Le Maire* linię z Rzymu do Rimini wytyczał – tellurycznych ran zadawanie jego przeznaczeniem, mym zaś opór im stawianie.

– Nie wiedziałem. Przybyłeś zatem, przyjacielu, misji naszej być zawadą? Zgubę nam gotować? Czemuż to? Jakimż to mocom złym służymy, ów skromny wycinek równoleżnika wymierzając?

– *Monsieur Allègre* niegdyś bez trudu tuszki rozcinał i tak odsłonięte desenie podziwiał, z kości, tłuszczy i mięsa złożone. Dni te do przeszłości należą! Odmienność ostrza i ciała niebios zmiarkować mu pozwoliły – tu zbrodnicza precyzja, tam nieokreśloność bezbronna. W tej różnicy potęga grzechu się kryje.

– Hm, wszak to jezuickie gadanie, kapitanie. Ścięte drzewa na stracenie przy dukcie nie leżą. Wielu Amerykanów w okolicy zamieszkuje, co drewno na opał, płoty czy belki zabiera. Skąd tak źle o Linii mniemanie? Sam jeometrą jesteś. Pojąć nie mogę.

– Nie oburzaj się. Nie z wami, lecz z jezuitami mam porachunki. To my, nie wasza dwójka, główne role odgrywamy. Granica wasza też tu prymu nie dzierży – dekoracją teatralną jest raczej, niczym blanki *Elsynoru* mroczną i straszną, na scenie, na której się z Zarpazo zmierzmy z owego potężnego potoku *sza* zabójczą falą, co w każdej chwili jednego z nas porwać i na zachód unieść może.

– A Mason i ja...

– Tło. Patrząc. Robotnicy za kulisami nurtu złowrogiego. Niewiele więcej.

– Hm. – *Dixon* sprawę rozważa. – Cóż, nie gorsze to niżli u *Kopernika*, czyż nie? Główna rola komu innemu przypada. Lepiej *Masonowi* o tym nie wspominać.

Jako iż *Padre Zarpazo* mistrzem jest maskarady, kapitan *Zhang*, co i tak już niemal rozum postradał, pewność zyskuje, iż ksiądz już w obozie bawi i jeno pory zdanej czeka, by *Chińczyka* sztyletem zatrutym ugodzić, jak to jezuici w zwyczaju mają, błąd popełniwszy.

– Jak nic jeden to z drwali – kapitan decyduje. – Ci swobodnie się przemieszczają, a każdy strzelbę i wybór ostrzy posiada. Mógłby to być *imc Barnes*. Mógłby to być *Stig* nawet. Tak! To jest to. To *Stig*!

– *Zhang*, przyjacielu. – *Dixon* uspokaja. – *Stig* w wiele kłopotliwych historii jest uwikłany, aliści żadna z nich ciebie nie tyczy. By ci krzywdę uczynić na sposób choć trochę w oczach jezuitów użyteczny, ni dość czasu, ni spokoju ducha nie posiada. Podobnie rzecz się ma z innymi robotnikami. Wszyscy zbyt są zatrudnieni.

¹ Charles de la Condamine (1701–1774), astronom i matematyk francuski.

² Pierre Bouguer (1698–1758), francuski matematyk, hydrograf i astronom.

– Gdzieś się tu czai. – Chińczyk się upiera. Oczy mu niezdrowo świecą. – Jeśli nie w przebraniu drwala, to wśród markietanów, co za wyprawą tłumnie podążają. Za Guya Spita czy jednego z braci Vásquez się podaje, nawet dziewczęta jejmość Egg-slap podejrzane. Zmyślność Hiszpana nie zna granic!

– Gdyby w jedną z dam się wcielił, Stig już by to zmiarkował, bez pochyby.

– Stig może jest z nim w zмовie!

– Pohamuj się, kapitanie.

Przybysz ze wschodu z wolna się uspokaja – plecy prostuje, dech wycisza, oczy spuszcza i skruszony się kłania.

– Masz rację. W Armanda idę ślady. Któż z nas niewidzialnego prześladowcy nie miał? Mój przypadek zapewne niżli twój nie gorszy.

– Mój? Skąd. – Dixon znów jest rozdrażniony. – Ostatnimi czasy jak ptaszek jestem wesoły. Żadna troska snu mi z powiek nie spędza. Któż by miał mię ściągać? – Pape, atoli oczu Zhanga unika.

– Wielu trzyma, iż w imieniu Le Maire’a tu działasz, tego jezuitę, co w spółce z Boskowiczem piętnaście lat temu kolejną prostą w Europie wytyczył – dwa stopnie szerokości, co Italię przecinają. Od tamtej pory *sza* ciurkiem płynie w poprzek owego półwyspu zapapieżonego, rozksiążonego, rozdartego – Toskania i Mediolan przez Austrię przywłaszczone, Modena i Genua francuskie, wszędzie despotyzm się szerzy...

– Hola, hola. Inaczej słyshałem. Nawet małe dziecko wie tam, skąd pochodzę, iż od ostatniego traktatu Włochy rozkwit przeżywają. Gdzie tu despotyzm?

– Jedź do Włoch i sam obacz – kapitan fuka.

– Cóż... A co z Marią Teresą?

– Jezuitów orędowniczka. Uroczy wyjątek wśród rządów brutalności nieposkromionej, które w innych krajach chrześcijańskich uważać można. Zaś twoi jezuitci nadal próbują *Feng Shui* z człowieczej świadomości wyplenić i owych prostych niemiłosiernie długich na obliczu ziemi kreślenie propagować – jak w Laponii i w Peru, gdzie *encyclopedistes* w wojażerskich strojach perfumami się skraplali i z najwyższą precyzją pomiarów dokonywali, zmianę pozycji swych instrumentów zaniedbując... W prawdziwym świecie to, co stopniami długości i szerokości jest zwane, to kanały, którymi jakowaś moc niewidoczna mackami swej władzy w głąb ładu się wkrada, od jednego kopca kamieni, słupka granicznego czy płytki ołowianej do drugiego, a gdy te się podle równoleżnika układa, co wprost ku Ohio prowadzi, siłą rzeczy rodzi się pytanie, jakież inne naukowe zatrudnienia z tamtymi stronami są związane. Komu zysk największy przypada? Nikomu, jak się zdaje, prócz tych, co, zarówno jawnie, jak i na osobności prawo ochoczo łamią i wiedzą, jak strumień *sza* potężny do własnych niecnych celów użyć. Niczym korowód dusz potępionych, na bezustanne wędrówki wzdłuż owych prostych skazanych, dniem i nocą prąd energii dudni nieprzerwanie.

– Co więcej – imć Everybeet, wróżbita kwarcowy, przerywa – na zachód stąd, we wzgórzach koło Cheat i Monongaheli, tajemne kopalnie ołowiu leżą, przez Indian tamtejszych zazdrośnie strzeżone.

W Durham złoża kształt pokładów przybierają, w Derbyshire żył, tu zaś w skale płońskiej kuliste pieczary się trafiają, cudownie foremne, galeną¹ wypełnione niespotykanej czystości, niemal domieszek pozbawionej.

– Innymi słowy, góry okoliczne idealnymi kulami rudy ołowiu są naszpikowane,

¹ Błyszcz ołowiu, siarczek ołowiu z domieszkami.

co w średnicy nieraz parę tuzinów jardów sobie liczą, pocisków o mocy nieodgadnionej. – Imć Everybeet pod lupą z za pazuchy wyciągniętą kilka próbek skały drobno dzielonej kładzie. – Okazuje się, iż wapienna skała macierzysta, co ową rudę grafitową otacza, do specyficznej odmiany należy, która to dobrze jest wam znana.

– To oolit? – Mason i Dixon poddają.

– Dokądkolwiek by się tu udać, pospolity. Z pewnością z Anglii sprowadzać go nie musiano¹. – Jeometry skałę przez szkło uważają. Delikatna jej konstytucja ikrze jest podobna, bowiem w każdej krągłej komórce druga się kryje. – Linia wazsa, z miar mi nieznanymi, tak właśnie zbudowanych kamieni granicznych wymaga – w nikłym stopniu acz użytecznie magnetycznych, gdyż miast wapnia czasem żelazo stoi. Z kolei w słynnych piramidach egipskich, co może dla innych celów niżli pochówkowe wzniesiono, o czym się nadal dysputuje wiele, jeszcze innej odmiany wapienia było trzeba, nad wyraz w muszle pradawne bogatej z setek przegródek czterograniastych w nieskazitelne spirale skręconych.

Niegdyś, nocą, przez błędnik kotlin i grani, do kopalni sekretnych się wyprawił, na każdym skręcie szlaku przez wartowników strzeżonych. Zwały wapienia w świetle gwiazd błyszcząły, bielsze niżby wypadało. Czerwonoskórzy go otoczyli drutem handlujący, półcalowymi kulami, foliami, sztabami ołowiu i miniaturami niepochlebny, na których króla i imć Franklina między innymi uwieczniono. Wszędzie odór siarki zalegał. Doliny liczne ogniska rozjaśniały, w których z rudy łupę metalu wytapiano. Obfitość pyłów i oparów żniwo wśród wytapiaczy indiańskich zbierała, to melancholią przewlekłą, to bólażkami bezlitosnymi, to wreszcie zgonem przedwczesnym. Stroskanym, otępiałym wzrokiem wróżbitę uważali, niektórzy słowa przy tym wykrzykując, których przełożyć nikt się nie kwapił.

– Łez padół – imć Everybeet rozpamiętuje. – Nic z raj, jakiego oczekiwać nas uczono. Ołów wielce potrzebnym tu metalem – kto nim rządzi, amunicji dostawami władza, dla obu stron każdego sporu, o segmencie rynku energii tellurycznej nie wspominając. Zaiste, ołowiane płytki Célérona mogłyby być ni mniej, ni więcej tylko przyrządami kalibrującymi, jedynymi widocznymi częściami jakowejś znacznie wymyślniejszej maszyny – może takowych maszyn podziemnych szeregu, przez wielkie miasto otoczonych... Bez naszej wiedzy, jeno z rzadka dając znać o sobie wulkanu wybuchem czy ziemi trzęsieniem, w czeluściach globu wre zapewne życie plutoniczne. Świat ten, pełny, w dużej mierze niewyczuwany, niczym dziecię w łonie w naszym się zawierający, przywołania ku światłu czeka...

„Mniemałem, iż mania obcą mi nie jest – Wielebny notuje – lecz nim, a ze mną wszyscy inni w obozie, wybryków kapitana Zhanga nie doświadczyłem, wnoszę, iż jeno z paroma objawami ledwie do czynienia uprzednio miałem. «Będę nosił czarne szaty – oświadcza. – Jeśli *El Lobo de Jesús* wolno, to i mnie» – powiada. I tak też czyni. Nadto, do mowy Chińczyka coraz więcej zwrotów hiszpańskich się wkrada, a pewnego dnia bródkę kozią nieszczęśnik zapuszczać poczyna”.

– Starczy dość czasu w tych górach posiedzieć, a rychłej czy później wszystko się obaczy – kapitan Shelby zapewnia. – Już podobnie bywało, choć raczej w prawdziwe wilki się zmieniali.

– Cóż, ja tego nie pojmuję – Mason rzecz zaszępił. – Wszak lud jego ze swej rozwagi i uczoności szeroko jest znany i zdałoby się, z tych racji podobnych przypadłości unika.

¹ Towarzystwo Królewskie przysłało ekspedycji z Anglii słupek graniczne.

– Tyle że – Dixon skazuje – nasz Chińczyk jest rzecz jasna szalony. Mason ręce rozkłada.
– Który z nas to orzec potrafi?
– Kilka ogniw mu w łańcuchu brakuje bez pochyby.
– Atoli... Co, jeśli prawdę mówi i Hiszpan groźny do nas spieszy? Jak nic kłopotów wyprawie przysporzy. Tak czy siak, o opuszczenie obozu kapitana poprosić możemy.

– Ha! Gdy sztyletami dookoła smyrgają, na powrót „my” słyszę, przyjacielu?
– Pojmij, Dixonie. Ty jeden przekonać go zdołasz. Wszak sądzi, żeś konfidentem jezuickim – doradzić mu jeno musisz, by nas się trzymał, a na opak wnet postąpi.
– Jeśli wierzy, iż wróg jego lada chwila się tu zjawi, czekać woli, nieprawdaż? Każdy na jego miejscu czułyby się różnie wśród uzbrojonych protestantów gromady.
– ¡Ándale, mis Hijos!¹

O wilku udawanym mowa. Taką mają nadzieję. Mimo to drwale się rozprasają, kawę roniąc, resztki wieczornego posiłku porwawszy. Kapitan Shelby szkła filadelfijskie z przezroczystego kryształu górskiego wkłada, by potwierdzić, czy dobrze miarkuje. Mason, gestykulując żywo, Dixona popędza. – No, dalej, dalej – głośno szepcze, za wozem kucharskim pospiesznie znikając. Dixon Zhanga wzrokiem mierzy. Niepokojąca zaszła w Chińczyku przemiana. Fiolet lamówki na tle głębokiej czerni *soutane* jaskrawo się odcina, zaś z tyłu szaty olbrzymi smok chiński widnieje, heliotrop i błękit pruski wśród swych wielu barw obnoszący.

– Gdy ksiądz wreszcie w obozie zawita – kapitan Zhang ogłasza – który z nas prawdziwym Zarpazo, nikt zgadnąć nie będzie w stanie. Do pojedynku na śmierć i życie później staniemy, któremu wy wszyscy świadkować będziecie. Drwale zakłady postawią, piwo i precle podadzą, kawa strumieniami się poleje, a jeśli więcej czasu zejdzie, i obiad darmo dojdzie.

– A jeśli jeno jeden z was się pojawi?
– Jak pewnoś zyskasz który? A za tak zuchwałe pytanie, daruj, „prawdziwy” Zarpazo na najbliższej polanie na stosie by cię spalił, nim występek swój byś zmiarkował. Jeno parę minut dłużej jego chiński naśladowca by czekał.

– Wielce srogie to słowa – Shelby powiada. – Wiesz waść, iż także kapitanem jestem i tak sobie myślę, coby z waćpanem rozmowę sobie uciąć, jak kapitan z kapitanem, rzecz by można.

– Będę zaszczycony.
– Co nas u twego hiszpańskiego przyjaciela niepokoi, to to, iż wszystkich, z którymi się nie zgadza, zabija. Pojmujesz waść, w tych okolicach tak się raczej nie da. Możebnie, iż rychło żywa dusza by się nie ostała. A jeśli jednemu z nas szczęście sprzyjać będzie i ocaleje, trupa jezuita będzie miał na głowie, co tysiące mil od domu wywędrował, w głąb ziem, gdzie go winno nie być wcale. Inni wypytywać się będą, w końcu ktoś władzom doniesie – tak czy inaczej, nogi za pas wziąć będziesz musiał.

– Nic wam nie grozi, póki w mym posiadaniu... – Kciuk i palec skazujący społem trzymając, nadgarstkiem kręci i wtem kulka szkarłatna wielkości wiśni w jego dłoni się pojawia. Zhang rękę unosi wysoko. – ...to. Oto perła, lecz nie z głębin morskich. Niegdyś cystą była, w mózgu kobry rosnącą. Nikt prócz starych zbieraczy nie wie, w których węzłach się kryje, a które zabicia niewarte. Perły te na północ, w Himalaje wywożą, gdzie w medycynie tybetańskiej są używane. Nadejścia Wilka nie lękajcie się zatem, bowiem oto dusza kobry – wciąż potężna, wciąż żywa.

¹ Hiszp.: chodźcie, moi synowie.

– Kupuję! – Dixon woła. Mason oczy ku niebu wznosi.

Tego wieczoru, w świetle pochodni, przed oczami drwali z miłości usychających, Zsuzsa swą opowieść o bitwie snuje.

– Niedościęły Fryderyk¹ oblicze wojny odmienił, nową potęgę na kontynencie stworzył... Oto kolumny pruskie. Odstępy równe trzymają, każdy dokładnie na swym miejscu, ciągnąc i tocząc. Krój kapeluszy i peruk żołnierzy tak dobrany, by, pole widzenia poszerzając, celność strzału zwiększał.

Potem pora nadeszła na pytania patrzaczy.

– Po prawdzie początki Ramillies² sięgają – profesor Voam wszystkim w pobliżu siedzącym wyklada. – Już na długo przed pierwszym Karolem³ ludzie zazdrość czuli i naśladować się starali, nie, przebić swą fryzurą owe loki rozpuszczone, które druga połowa człowieczego rodu obnosiła⁴. Od czasów owej dynastii zhańbionej⁵ cała historia Anglii na włosach się zasadza – i niczym innym. Peruki z harcapem, pod Ramillies przez strzelców Marlborougha noszone, tak idealnie hanowerskie⁶ były, tak zgodnie rozpuszczenie Stuartów ze skromnością republikanów łączyły, iż dziś przed ramiona włosów spuszczenie to czysty jakobityzm koafiurą wyrażony, milczące do buntu podżeganie, co nasz z trudem wygrany pokój pod znakiem zapytania stawia.

– Czy trzymasz – Zsuzsa woła – iż w żołnierzu brytyjskim pierwiastki męski i żeński równowagę znajdują? W żołnierzu brytyjskim? To ci dopiero... Przemysleć to muszę.

– Cóż, moja dobra kobieto – kapitan Shelby rzecze. – Gdyście równie schłodzone potyczki w Europie podziwiali, tu równoległe wojny się toczyły, w których, pośrodku puszczy niezmierzonej, każdy z nas na osobności w wielkim strachu cierpiał. U mego boku jedyny przykład precyzji niemieckiej tu znany. – Ośmiokątną lufę swej strzelby z Lancaster klepie, jakoby bokiem wiernej psiny była.

– Rzeź i geometria – stary Haligast wykrzykuje. – Przyszłość sztuki wojennej, choć równie sędziwa, co falangi Aleksandra precyzja bezmyślna.

– Być może – Wielebny poddaje – armiom z epok minionych wiarę przypisujemy od dawna naszym własnym sceptycznym duszom nie daną. Tym bardziej przykład pruski tajemniczy – w co lub kogo wojsko nowożytnie na tyle wierzy, by rozkazów słuchać, jeśli nie w Boga czy króla?

– Potrzebom manewru się poddają – Zsuzsa powiada. – Wiara żołnierza na nieczystości jego pragnień się w końcu opiera. Czegóż to Hansel może życzyć sobie, o czym Heinz przed nim, Dieter za nim i dwu Fritzów po bokach jeszcze nie marzyło? Panna jasnowłosa z tej samej ulicy, kufel piwa, worek złota za nic, przez jakowegoś gnoma podrzucony – podobnie w innych skrzydłach i szeregach, co równinę całą pokrywają. Któż się wyróżnia? Któż pod czyjąś władzą nie jest? Jakież znaczenie owe pragnienia mają, jeśli do użycia w manewrze niezdatne, kiedy to wszyscy jedno tętno przyjmują, a każdy nie więcej niżli musi pojmuje?

¹ Fryderyk II Hohenzollern (1712–1786), zw. Wielkim, król pruski.

² Bitwa z wojny o sukcesję hiszpańską z 1706 roku, w której Anglicy zwyciężyli Francuzów pod dowództwem księcia Marlborough.

³ Karol I Stuart (1625–1649), król angielski.

⁴ W czasie angielskiej wojny domowej (1642–1649) zwolennicy króla nosili loki, a purytańscy republikanie golili głowy.

⁵ Chodzi o dynastię Stuartów: Karola I ścięli republikanie, a Jakuba II zdetronizowała szlachta na rzecz Wilhelma Orańskiego.

⁶ Wkrótce po bitwie (1714) na tronie angielskim zasiadła dynastia hanowerska.

– To on! – kapitan Zhang wrzeszczy, na podwyższenie wskakując i pozę, jakoby konno jechał, przybierając, ręce przed siebie wyciągnąwszy.

Zsusza, z szeroko rozwartymi oczyma, żywo kilka guzików swej tuniki rozpina, by po pistolet sięgnąć w Anglii robiony i prochowniczkę niewieścią o korku ze szkła we-neckiego w błękitne paski, a mruczy przy tym:

– Kapitanie, kapitanie. Nie tutaj. Już cię nie ma. Precz, cały las masz do zabawy.

– Ukaż się nam, Wilku Jezusowy. Zhang głupców nie zabija ni z honorem zgładzić cię nie może, póki się w owym wzgardy godnym przebraniu ukrywasz.

– Co, ta stara *rongy*¹? Czy ktoś mi to wyjaśnić może? Don Trep de Pacan, zdaje się, coś nadto podekscytowany.

– Może gdyby mademoiselle, pokojowe zamiary okazując, ten tu, no, odłożyła? – imć Barnes namawia.

– Podobnie jak mężczyźni, pistoletem to wołamy – Zsusza rzeczy i za obrączkę wokół spustu bronią kręci. – Teraz zaś, skoro już się z damą w spodniach rozmówiłeś, może winienes słowo z mężczyzną w sukni zamienić.

– Nie jest prawdziwym jezuitą – Mason ją zapewnia.

– Lub też zbytnio jest prawdziwy! – Chińczyk ze złowrogim błyskiem w oku wo-ła. – Założmy bowiem, iż nigdy Zhangiem nie byłem, lecz Zarpazo raczej, czas ten cały! Ha, ha, ha! – Śmiech ten, choć demonicznością swą odrzuca, wyćwiczonym być się zdaje.

– Albo też żadnym z nich nigdy nie byłeś, jeno kolejnym konfabulatorem przeklętym, jednym z tych, co zawsze obozy nachodzą, białych czy indiańskie – każdego wieczora gdzieś na tym kontynencie nowy się objawia.

– Zbyt wiele moźebnych historii. By prawdy dowieść, czasu może nie stanie.

– Najlepiej – Guy Spit poddaje – rejestr zakładów założyć, gdyż tych, bez pochy-
by, będzie o wynik co niemiara.

Ethelmer przy szpincie samotnie na parterze domu siedzi i włosy rozpuściwszy, do ciepłomierza się zwraca. Podczas tej apostrofy słuchacz przedstawić sobie może szereg obrazów w treści idiotycznych – w pierw termometr jakowąś niską temperaturę skazujący, następnie Ethelmera, jak doń śpiewa, na powrót termometr i tak da-
lej.

*Drogi panie Fahrenheicie,
Ona nie dba o mnie wcale –
Podgrzałbyś tę damę nieco
I ukoił moje żale.*

*Spójrz na siebie, na swej ścianie
Wisisz, troski ci nieznanne,
A tymczasem miłość ma
Twojej rurki sięga dna.*

*Wraz z Celsjuszem wszak bez liku
Macie stopni ze swych skali,
Użycie ich nam choć raz
Nim mróz serce zetnie w głąz.*

¹ Węg.: szmata.

*Do kroćset,
Drogi panie Fahrenheitcie,
Idzie noc dreszczem targana –
Lód i grad bez twojej pomocy,
Przyjdzie zmienić się w bałwana.*

– Gdzie jest Tenia, Ethelmerze? – DePugh, niczym Mesmera ofiara, drogę do spiżarki zgubił.

– Śni. O czym, nie wiem, lecz z pewnością nie o mnie.

– Cóż, Romeo. Zrobiłeś, co mogłeś.

– Lecz nie to, czego zrobić nie mogłem.

56

– A oto coś intrygującego. – Swe faksymile czystopisu dziennika polowego Maso-
na i Dixona Wielebny wyjmuje i do wglądu towarzystwu oddaje. – Na zmyślnej jezui-
ckiej machinie bez ingerencji rąk człowieczych skopiowane, wydrukowane zaś
przez imć Whimbrela, w Filadelfii, koło „Dziewicy seneckiej”, roku pańskiego 1776.

– Cykle wciąż się tu pojawiają – ciągnie – czy, jeśli wolicie, segmenty po jedena-
ście dni sobie liczące. Tu, na ten przykład, w roku 1766, jedenaście dni po wyrusze-
niu znad Brandywiny, Mason do Williamsburga dociera, najdalej na południe wysu-
niętego punktu swej podróży. Nazajutrz do Annapolis się kieruje, a po dniach
jedenastu miasto to opuszcza, by do swych powinności przy Linii powrócić. Zaiste,
miara wahadła godna. Z kolei tuż po przekroczeniu North Mountain, przez śniegi
i ulewy wstrzymywani, od szóstego do szesnastego kwietnia marsz wstrzymać są
zmuszeni. Najważniejsza przerwa w pracach miała rzecz jasna miejsce przy krańcu
Linii, mianowicie dnia dziewiątego października roku 1767 wódz towarzyszących im
Indian oświadczył, iż dalej, niżli ścieżka wojenna bieży, na zachód nie pójdzie, zaś
dwudziestego października członkowie wyprawy po raz ostatni tyłem do zachodu się
zwrócili i duktem ku wschodowi podążać poczęli. I jeszcze – Wicks karty pospiesz-
nie odwraca – ostatnie dni pobytu astronomów w Ameryce. Od dwudziestego siód-
mego sierpnia roku '68, kiedy to rozliczenia zakończono, po noc z siódmego na ósme-
go września, gdy ostatni raz w Filadelfii spali przed wypłynięciem do Anglii z portu
nowojorskiego. Niezliczone postoje dni tyle samo trwały, co poddaje, iż spólna przy-
czyna się za nimi kryła. Trzymam, moi drodzy, iż to ni mniej, ni więcej tylko owe je-
denaście dni zaginionych z reformy kalendarzowej roku '52.

– Też coś!

– Kuzynie, błagamy!

– Ci z tu zebranych przed owym brzemieniem w skutki wrześniem narodzeni
– Wielebny rzecze – do pokolenia należą, jak żadne inne w historii brytyjskiej zniewa-
żonego. Żywot każdego z nas blizna chronologiczna szpeci jednym parlamentarnym
cięciem zadana. Być może zmuszeni jesteśmy, nawet nieświadomie, owe jedenasto-
dniowe urywki wyszukiwać, by, schroniwszy się w ich obrębie, móc udawać przez
chwilę, iż życie nietknięte nam zwrócono. Przedstawiamy sobie, iż czas „nasz” w ja-
kowymś miejscu, jeśli o miejscu mówić tu można, przetrzymywany, niczym Eurydy-
ka wykupienia czeka. Nasi bracia indiańscy przypadki z zamierzchłych czasów od-
grywiają, ni jednego szczegółu przy tym nie zmieniając. Może podobnie Brytyjczycy

w pewnym wieku owym dniom jedenastu, w ciągłości swej próżnej nieskalanym, niezbywalnie własnym, zadośćuczynić pragną... Nie strój min, Ethelmerze. Jeśli szponom losu dość długo wymykać ci się uda, nadejdzie dzień, kiedy i ty jakowś niesprawiedliwość wspomniesz, której wraz z innymi ze swego pokolenia doświadczyłeś, krzywdę nienaprawialną, a jeszcze niepomszczoną.

Mason mniemał czas pewien, iż jeno daty z dniami myli, a zatem nazwę z rzeczą prawdziwą, owym mianem określaną. Atoli gdy tylko z kimś rozmawiał przed rokiem 1752 urodzonym, kwestia jedenastu dni zaginionych była poruszana, a prędzej czy później o „braku okrutnym” albo też „skazie w zwierciadle życia” wspomniano. Im więcej rozmyślał o tym, tym głębsze jego przekonanie się stawało, iż, z czego później Dixonowi się zwierzy:

– Okrąg to z wolna się obracający czy wir, jeśli wolisz, co jedenaście dni sobie liczy, do owej prostej styczni, za jaką czas mamy, lecz wszak poza nią, a toczący się bezustannie.

– Hm. Wciąż tych samych dni niepełny tuzin się powtarza, tak właśnie trzymasz?

– Wykazujesz, jeśli wtrącić mogę, pojętność zaiste niesłychaną.

– Cóż, skoro z obrotem okresowym do czynienia mamy, jakowaś *vis centrifuga*¹ towarzyszyć mu winna, która przy koncepcie trafnym wykryta być może, nieprawdaż? Może przez odkrycie, gdzie na osi czasu okrąg ten obwód swój zmniejszyć bądź zwiększyć próbuje, a przy tym, rzecz jasna, dni swych pozorną długość? Lub też nie obracać się wcale, długości dnia tedy nie zmieniając...

– Dixonie, wszystko się kręci.

– Wyznawcą wirów jesteś? Boże, zmiłuj się nad nami, co jakże rzadko czynisz!

– Emerson, w wortycystach² sprawców wszelkiego zła widząc, każdemu młodzikowi, który mu na drodze stanął, owo zakłęcie wpoił, by dusze bezbronne chronić.

– Ach, skoro musisz wiedzieć, nachyl ucha i słuchaj bacznie – byłem tam.

– „Tam”?

Mason kciukiem za siebie gwałtownie skazuje, w oko niemal dżgając się przy tym, znacznie szerzej teraz otwarte niżli u jego kompana, a to samo, którego przy obserwacjach używa.

– Choć nigdy nie starałem się wspomnieć więcej, niżli musiałem – przynajmniej dopóki fanatycznie wścibski jeometra mię nie przymusił – wiem na pewno, iż z wybiciem północy drugiego września haniebnego roku 1752, nieprzygotowany i oszołomiony, w środek owego wiru czasowego wdepnąłem, by po chwili w dniu trzecim września się znaleźć, dniu innym ludziom w Anglii niedanym – zaiste, *tempus incognitus*.

– He?

– Nic nie mów – sam nie wierzyłem. To jest, nim doszło do tego. Krzywda mi się żadna nie stała, byłem jeno zamroczony nieco. Z wybiciem owej godziny, gdy płynnie do trzeciego września przeszedłem, miało miejsce raptowne dusz porwanie, wielką człowieczą próżnię za sobą ostawiając, jako że inni ludzie do czternastego się przeleni.

– Pewności nie mam, czy wszystko pojąłem...

– Być może jako temporalną utratę świadomości to odczułeś. Odkryłem wkrótce, jak daleko granice osobności wybiegają, w ciszy od wiatru nie głośniejszej, co nad wsiami i dolinami zaległa, gdzie miast mieszkańców jeno nieme ślady ich niedawne-

¹ Łac.: siła odśrodkowa.

² Łac.: *vortex* – wir.

go bytowania domostwa wypełniały – żar popiołem bielony, jeszcze ciepło dający, resztki ostatniego posiłku z dnia ubiegłego, zegary na dobre z wybiciem dwunastej w biegu wstrzymane – choć przecie gdzie indziej, w świecie, co do czternastego przeskoczył, nadal tykały, nakręcane były, to spieszyły się, to spóźniały, swój żywot zegarowy nieprzerwanie pędząc, zawsze w strapienia obfitujący... Rzeknij, cóż byś uczynił, Dixonie, gdybyś sam jeden w świecie materialnym ostał?

– Może do Wesołego Gwarka zajrzał?

Mason zerka nań wyrozumiale.

– Nie przeczę, i ja wpierw o Królu Jerzym w Stroud pomyślałem, aliści brak towarzystwa spokoju mi nie dawał, zatem wyruszyłem przed świtem, by je znaleźć. Rozumowałem, iż skoro mię wir wessał, to może i innych... – Tu milknie nagle, jedno czy dwa słowa wstrzymując (Dixon jest już przekonany) jakowegoś wyznania, w którym główną rolę Rebeka by odegrała.

Młody Charles do wniosku w końcu dojdzie, iż jeno on z ich dwojga rozłąkę cierpiał, albowiem ona czternastego września z taką samą miną go przywita, co drugiego, gdy się z nim wieczorem żegnała, znać po sobie nie dając, iż wie o dniach jednemu, co mu bez niej zeszyły. Nic także z tego, co w owym czasie przeżył, piętnem widocznym nie naznaczyło oblicza młodzieńca, którego „już nazajutrz” na High Street w Stroud bezwstydnie ucałowała.

Tymczasem stał oto samotnie, świadom, iż dopiero niemal za dwa tygodnie z narzeczoną się spotka, jakoby nie wyjeżdżał nigdy, a wyjechać wielce był skory.

– Czy koni stało? – Dixon wiedzieć pragnie.

– Zwierzęta przez swych właścicieli znane z nimi do czternastego się przeniósł – większość psów, na ten przykład, kotów mniej, lecz i tak sporo. Te, które trzeciego września się ostały, dzikie były bądź się do doliny przybłąkały – być może takie wyjaśnienie, iż ni człowiek, ni kalendarz władzy nad nimi nie miał. Znalazłem tedy dwie wałęsające się krowy niewydojone, a i takiego konia, do którego nikt by praw sobie nie rościł. Jadąc na nim, ucichłe warsztaty tkackie mijałem, długie mile pól niedogłądanych, koła młyńskie na próżno wodę młójące, rezedy wciąż w pąkach, jabłka prawie dojrzałe, warsztaty farbiarskie tchu nietrujące tudzież wozy jeno w połowie załadowane, aż z ostatniego ciągu wzgórz Oksford obaczyłem. W powietrzu krystalicznym najdrobniejsze szczegóły me oczy, lepsze niż teraz, miarkowały, a ni jedno pasmo dymu panoramy nie znaczyło.

– Do Oksfordu zmierzałeś?

– A tak. Wariacko trzymałem, iż Bradleya tam zastanę. Jak wszyscy astronomowie w owym czasie, osobiście w Gloucestershire, wyznawcą jego byłem... Choć później, w melancholii pogrążony, wyraźniej miarkowałem, iż go na wskroś przyziemne koneksje z Macclesfieldem i Chesterfieldem¹ łączyły, a gdy głębiej sięgnąć w smród zjadliwy, z Newcastle'em i imć Pelhamem. Atoli dnia trzeciego września wierzyłem niewinnie, iż Bradley, Newton naszej epoki, ciekawy nienasycenie, w ów wir się z rozmysłem dostał. Po co, tym nieznośnym pytaniem głowy sobie nie zaprzątałem.

– Czy go odnalazłeś?

– Coś odnalazłem... Co, tego pewien nie jestem. Co mię zaskoczyło, to osad grzechu wyczuwalny, jaki w miejscu tym zalegał. A przy tym powagi, z którą się nie zmierzono, której nie odpokutowano, głębiej zalegającej niżli prosta, jakobicka wytrwałość... Rzecz jasna wcześniej mgliście zdawałem sobie sprawę, iż Bradley w kwestii ustalania podle nowego kalendarza świąt ruchomych i tym podobnych Macclesfield-

¹ Philip Dormer Stanhope, hrabia Chesterfield (1694–1773), polityk angielski.

dowi doradzał – wszak ten dobroczyńcą był mu wielkim, może nawet część zysków z lokaty kapitału hrabiego czerpał. Wiedziałem też, iż to Macclesfield laury zebrał za owej reformy naukowe opracowanie, podobnie jak Chesterfield za swe serce i dowcip, których w końcu trzeba było, by ustawę kalendarzową uchwalić. Atoli, choć Bradley rzadko poklasku szukał, poważanie zasługami zdobyć wołąc, przed należnym sobie uznaniem by się nie wzbraniał, chyba że powody do milczenia by były – takie jak nieoczekiwanie silne zaangażowanie w przedsięwzięcie przez większość ludzi w kraju z nienawiścią i lękiem przyjmowane.

Obaj jednocześnie po kawę sięgają, a przez wzgląd na nadrzędną potrzebę kompana, by jak najszybciej otepienie odpędzić, Dixon Masonowi pierwszeństwa ustępuje.

– Nie sędzę, bym przez owe dni jedenaście choć na chwilę oko zmrużył. Śpiąc, czas bym jeno marnował, gdyż przecie dostęp wówczas miałem do dzieł wszelakich świata nowożytnego i antycznego, chrześcijańskiego i pogańskiego, w których na dowolne swe pytania odpowiedzi szukać mogłem.

– Hm, wnoszę, iż historia ta mi znana. Jak u tego Niemca, Fausta, czy się nie mylę?

– Aliści on przynajmniej wśród ludzi przebywał. Ja, niestety, sam byłem jak palec.

– Tak?

– Cóż... Nie do końca, jak się okazało...

– Wiedziałem! Jakowaś mleczareczka, co na schadzkę wyszła, dobrze zgaduję? Na skraj wiru zbłądziła, hę? I siup! Skopek w bok, nogi w górze, spódnice w nieładzie! No i jak ci poszło, przyjacielu?

– Daruj sobie. Towarzystwa mego nigdy nie widziałem – choć z pewnością imć Wild, bibliotekarz Bodleya¹, to nie był. Wiem, iż niejeden ktoś wokół krążył. Po zapadnięciu zmroku, gdy bezmyślnie jedną świecę za drugą wypalałem, ledwie trochę otaczającą mię posępnosć odganiając, słyszałem, jak szeleścili, zawsze poza kręgiem światła, jakoby podobnie jak ja owe sędziwe stronicie pochłaniali.

– Może myszy lub szczury?

– Zbytńio to było rozmyślne. Zdawało się, iż przekazać mi coś pragną.

– I było to wśród owych półek sekretnych, gdzie jeno wybrańcy szperać mogą?

– Słyszałeś o nich?

– Owszem. Pozycje tego księgozbioru Emerson nam pokrótce wyliczył. Arystoteles o komedii – na to zawsze chrapkę miałem – owe wszystkie smakowite kawałki, które Tomasz z Ewangelii Dzieciństwa usunął, szekspirowska „Tragedia Hypatii”²...

– Co mię uratowało – Mason ciągnie niewzruszenie – to głód. Krótki ustęp nieczytelną łaciną spisany mą uwagę od karty oświetlonej ku brzuchowi próżnemu zwrócił. Przypomniałem sobie, iż spizarki i piwniczki z winem w całym mieście stoją przede mną otworem. Pefen obawy, z lekka oszołomiony, zbyt roztrzęsiony, by płomień świecy utrzymać, bibliotekę zatem pospiesznie opuściłem, to po drabinach skrzypiących w egipskich ciemnościach się wspinając, to wzdłuż wysoko tomami zastawionych korytarzy pędząc. Wszędzie w mroku przytomność się wyczuwało. Na to, co złowrogie, skrzydlate, u sufitu przyczajone czekało, zerknąć nawet nie śmiałem... Wtem! Nagły furkot ku mej twarzy zmierza – nietoperz bez pochyby, z naukowego punktu widzenia, choć w owej chwili stwór raczej, którego imię nie tak chętnie się

¹ Główna biblioteka oksfordzka (Bodleian Library) została ufundowana przez dyplomatę i uczonego sir Thomasa Bodleya w 1602 roku.

² Uczona aleksandryjska Hypatia została rozszarpana przez fanatycznych chrześcijan w V w. n.e.

wymawia – strachem zdjęty, krzyknąłem, lecz oto na otwarte powietrze już wbiegałem, na dziedziniec, żółty w świetle Księżycy...

– Zaraz, właśnie, co z nim?

– Jedno to z pierwszych pytań, zaiste, jakie się każdemu astronomowi do ust cisną. Jakże się Miesiąc zachowywać będzie, z wnętrza takowego wiru uważany?

– Jak? Jak?

– Wciąż w pełni, nad południkiem wstrzymany. – Mason chichot wydaje nieszczerzy. – Tak, jedenaście dni bezlitosnej jasności, z którą zmierzyć się samemu trzeba było w mieście budowli gotyckich pełnym, chyba nie do końca wyludnionym, gdy tymczasem zewsząd stada stworzeń nadlatywały czarnych, co, nadzieję miałem, jeno gackami były...

– Nie trzymasz przecie, iż...

– ...zaś nieustające wycie, człowieczemu podobne, jak sobie wmawiałem, z gardeł psich się dobywało.

– A nie...

– Ach, to jeszcze nie koniec. Stało się tak, jakoby stolicą myśli brytyjskiej to za władnęło, czemu rozum prawa bytu odmawia. Niezyczliwe kształty ulice zalewające. Latarnie gasnące bez przyczyny. Ludzie ryczący, jakoby w ciemnościach w bestie dzikie przemienieni. Karnawał strachu. Czy prawdę mam wyznać? Ekscytacja we mnie wzbierała. Czułem, iż jeśli dość szparko pobiegnę, nad ziemię się wzniosę i uleczę, jednym z nich się stanę, jak one pod okapem skryję, w mroku skradać będę i do Władcy Ciemności należeć – w sercu owego wiru wszystko możebne było. W nawach kościołów mógłbym popiskiwać, każdą szybę okienną rozbić, zbiory Boddleian w druidzkie ognisko przemienić. Aliści chwila w końcu nadchodzi, gdy bez człowieczej zdobyczy diabelski apetyt słabnie i na łono pospolitej melancholii powróciłem.

– Zgłębianie pradawnych tajemnic porzuciłeś? Dla czegoś tak marnego, jak potrzebom ciała schlebianie, które jakże szybko odpędzić można? Ach, Masonie, drogi mój Masonie...

– W samej rzeczy – astronom ze smutkiem rzecze – do biblioteki powrócić nie było mi dane. Od krynicy wiedzy mię odegnano. Przed gmachem Księcia Humfreya na dziedziniec skręciwszy, zawadę niewidoczną na swej drodze napotkałem, którą, jak pojąłem, przekroczyć mogłem, jeśli tego chciałem, atoli kosztem tak wielkiego duchowego niepokoju, iż jeden krok ledwie nadto groźnym się zdawał. Cóż to za siła była, nie jest mi wiadome. Może samego wiru artefakt? Może pewnych bytów niewidzialnych najazd? Głosu żadnego nie słysząc, przesłanie odebrałem wyraźne, iż klucze i pieczęcie gnozy wewnątrz się kryjące zbyt niebezpieczeństwo dla mej osoby stanowią. Iż obietnic Pisma Bożego domagać się winienem, a księgi, jakie ponoć widziałem, z pamięci wyrzucić.

– Zgaduję, przyjacielu, iż słyszeć o tym nie chciałeś.

Mason, brzuszysko swe objawsz, w dłoniach je waży.

– Dumając o zmartwychwstaniu cielesnym, na koncept wpadłem tego tu z martwych przywołania, bez zwłoki zatem na interludium się udałem bachiczne, którego opis cię nie zaciekawi, gdyż rzecz to przydługawa i zbyt osobiste zwierzenia.

– A później?

– Przepadła sposobność swego życia odmienienia. W oku owego wiru toto leżało. By okalający strumień czasu przekroczyć, kurs na środek podle promienia zachowując, nieco ku przeszłości, pod prąd, celować musiałem.

– A gdy się z danym Bykom uporem przedzierałeś?

- Cóż, dziwny to przypadek, lecz gdy tylko zawadę przeniknąłem, pojąłem, iż kres mej samotności nadszedł. Wyrwać się w tył próbowałem – poniewczasie. Z wierzem zmierzyć się mi przyszło. Z ulgą zmiarkowałem, iż część ze zjaw mrocznych, które takim lękiem były mię napawały, tych, co wprost do czternastego przeszli, były widmami, nie z przeszłości, lecz z przyszłości rodem, ta zaś przybliżała się, przybliżała, aż... Pierwej odgłosy miasta posłyszałem, potem na skrajach wzroku mego zasięgu majaki się pojawiły i poruszenia, które z nagła spiralnie przyspieszyły, by mię w studni wirów zamknąć, a wśród twarzy pędem rozmytych jeno jej oblicze niewzruszone stało. Gdy dołączyłem do niej, nim język w gębie znalazłem, ucałowała mię i oświadczyła: „Ktoś tu wczoraj do domu późno wrócił”. Jedynym dowodem na to, iż o Oksfordzie nie śniłem, była rana po ugryzieniu, z nocnych przechadzek souvenir... Me życie – brzmi morał, który przed Dixonem wysnuć teraz jest w stanie – owe dni jedenaście przypomina. Okres to skończony, u którego kraju, rozstawszy się na czas jakiś, znowuż się spotkamy, ona i ja, a tymczasem po świecie równie nierealnym, co owe próżne dni wrześniowe, osobno podróżować muszę.

- „Rana po ugryzieniu”, Masonie?
- Nic takiego. Pies najpodobniej.
- Jak bardzo podobnie?
- A cóż by innego? Jeśli mieszkańcy Stroud jedenaście dni przede mną, pospolitym zatrudnieniom się oddając, w tak złowieszcze widma zmienić się mogli, czemuż nie i ich psy wraz z nimi?
- Pokaż bliźnę.
- Dziwna rzecz, już dziesięć minut później...
- Tak, tak. Żeby guzik miał piórka, to byłaby przepiórka.

57

Z początkiem roku 1766 – podle zreformowanego kalendarza – kierunki z roku ubiegłego obróciwszy, astronomowie w świat wyruszają. Mason na południe, „rozejrzeć się po kraju”, zaś Dixon ku Nowego Jorku ulicom rozświetlonym, choć wzmianki o tym w dzienniku polowym nie ma – dopiero po powrocie kompana stoi, iż osiemnastego marca Filadelfię opuścił, by na spotkanie z plenipotentami do Chester Town się udać.

Do miasta zajechawszy, za namową towarzysza promowej przeprawy Dixon teatr bezimienny odwiedza, stałego adresu pozbawiony – tego wieczoru akurat na Broad Way¹ grają – teatr, co afiszy nie drukuje, o którym jeno z ust do ust wieści krążą, by przedstawienie muzyczne obaczyć pod tytułem „Czarna Dziura Kalkucka, czyli wizer tetryczny”. Na tle prospektu z fortem William (na którym szczegóły z taką pieczą oddano, iż gdy się komu przykrzy, poboczne sceny dramatu nań odmalowane z pomocą lornionu uważać podobna – dowództwa narady, ręce na cudzych gardłach, pistolety wycelowane, pożegnania na przystani, błądą, parującą Hugli na wieki nieosiągalną i statki wypłynięcia czekające, by za sobą niewypowiedziane ostawić) jakieś dwa tuziny dam się pojawia – w quasi-hinduskich odzieniach paradują, do skocznego akompaniamentu skromnej orkiestry, dla niektórych niesmacznego, śpiewając:

¹ Stara pisownia słynnej nazwy, ang. szeroka droga.

*W Czarnej Dziurze Kalkuckiej
Jęki, szepty wśród tłoku,
Słów zmiarkować nie sposób,
Humor lepszy w rynsztoku.*

*Ciemno, straszna duchota,
Cukru w kawie jak z łaski,
Straże wielce drażliwe
I nie za miękkie jaśki.*

*Spytaj, co słyszeć w Dziurze,
Rozmówca sptonie jak rak.
Wieści pomysłnych nie czekaj,
Coś jest tam bowiem nie tak.*

*Lampy już dogasają,
Belkę w drzwiach wnet przewleką,
Znać nie będzie różowo
W małym lochu nad rzeką.
La-la, la-la, la-la.*

Fabuła, jak Dixon pojmuje, brytyjskiego oficera tyczy, który o uczucie córki nababa z Francuzem komicznie złowrogim w szranki staje, co u źródeł wojny bengalskiej leży. Melodii w ucho wpadających trafia się parę, a obietnica, iż słoń się zjawi, w pierwszym akcie sztuki dana, nieoczekiwanie, pod sam koniec przedstawienia spełniona zostaje. Patrzacze bez ruchu siedzą, jakoby gromem uczciwości rażeni. Słoń, kunsztownym rzędem czerwonym, błękitnym i złotym przyozdobiony, bacznie wszystko uważa – z nim to numer, lecz nie z nim te numery. Z budki na grzbiecie zwierza niemożliwe mrowie dziewcząt się wysypuje, których stroje bogactwem odcieni tęczy nie ustępują, a i przezroczystością także. Panny te paluszkami w pończoszki pewne punkty na ciele słońca uciskają od dawna chińskim uzdrowicielom znane, a podle meridianów wzdłuż uszu stwora rozmieszczone i kolos rozanielony oczyma z lubością wywraca. Ową część przedstawienia i dla nich najprzyjemniejszą, z czego później Dixonowi się zwierniają, gdy ten, ciekaw, czy nic się nie kroi, bez żadnych niecnych zamiarów po woni niewieściego potu do garderoby dam trafia.

- Oto i on!
- Dość długo zwlekał, jak na chłopca, co tak prędko gotowy.
- Och, zdręczysz go, Fiono! Podejdz bliżej, kochanieńki, spać później możesz.
- Uch! Krowa!
- Ktoś ma na ucztę zółwiową ochotę? Mój kawaler, cielę, z karocą czeka.

Fala polonezek, saków i halek Dixona ku pojazdowi porywa i wśród pokrzykiwań wesołych z turkotem ruszają na Greenwich Road, do oberży Brannana, gdzie dwa dni długie hulają. Co jakiś czas ktoś z towarzystwa zrywa się i woła: – Podobnej ekscytacji nie czułem... – Tu do pozostałych się zwraca, a ci chórem odpowiadają: – ...odkąd Eyre Coote bitwę pod Wandiasz wygrał! – sztuki to bowiem fragment słynny. Do miasta powróciwszy, na Broad Way, nieopodal Murray Street, w tawernie Montagne'a się zegnają, co kwaterą główną Synów Wolności być się okazuje, o każdej porze dnia i nocy intrygami wrzącą.

Jeometra wkrótce kapitana Wulkana miarkuje, który od ubiegłorocznego z Masonem spotkania w samym sercu był wydarzeń burzliwych, jakie Akt Stemplowy wywołał. Niektórzy członkowie jego bandy zbiegli, pozostali zaś rezolucję wzięli, iż wszystko na jedną kartę stawiają, nawet głowy swe, byle Anglików wyplenić – choć jakim sposobem, co do tego zgody nie ma.

– Nawet jeśli od owego aktu odstąpią lub w praktyce nigdy przestrzegany nie będzie, każda koalicja rządów za tego króla, nawet taka, której imć Pitt dowodzi, z pewnością jakowymś podatkiem nas obłoży. Powinnością naszą opór stawiać, choćby to nam dni całe, a i noce zabierało. Nasza sieć pocztowa sprawnie działa, mimo iż Brytyjczycy część depesz przechwytyją. Przednio sobie radzimy. Coraz większa rzesza ludzi przekonania nabiera, coraz więcej szeregi nasze zasila. W październiku przeszłego roku po raz pierwszy kongres prowincji obradował. Aliści, z tego co widzę, cieplejszych uczuć utratą zdobycze te przyplaciliśmy. Bezдушna z nas teraz gromada. Kompanowi swemu przekaz, iż los się do niego uśmiechnął, żeśmy go ostatniej, a nie tej zimy pojмали – teraz nikt by Czarnemu na drodze nie stanął.

– Z bezpiecznej, jak ma nadzieję, odległości, imć Mason ukłony waści bratanicy przesyła.

– Z włoskim kowalem uciekła – kapitan głową kręci. – W Massapequa na Long Island mieszkają, a matka jego gotować ją uczy.

– Mason byłby zdumiony.

– A jak mniemasz, co my czujemy? Jakowymś kołem, na którego zebraniach męża znaleźć można – oto czym dlań byliśmy. Polityka? Phi. Może nigdy o nią nie dbała. Cóż, droga ta nie dla każdego.

– Witaj, kapitanie. Ten tu się chyba nada, co nie? – Figura zwalista i rozczochrana po prawicy Dixona staje, światło przesłaniając.

– Nie, Czarny, to kolejny astronom. Pamiętasz tego zeszłej zimy? Społem obserwacji dokonują.

– *Mais oui, mais oui.* – Dixon kapelusze ściąga i, jak sobie przedstawia, dworsko się kłania. – Bastardów *anglais* nienawidzisz? Mordować ich pragniesz? Ho, ho! Ja także!

– Raczej ciebie bym zgładził – Czarny wzdycha. – Lecz skoro mi nie wolno, pintę mi musisz postawić.

– Uczciwa wymiana. – Choć na zewnątrz słońce już wysoko, tu północ zaległa na wieki – okiennice przymknięte, lamp niewiele. Wkoło umowy do pory stosowne się zawiera, a słowa dotrzymuje. Dixon duma: „Dobrze, iżem z przyrodzenia prostoduszny i wesoły, inaczej różne rzeczy do głowy przyjść by mi mogły...”.

– Za rok sześćdziesiąty szósty! – Cyna dzwoni, piwo się leje, w dużej mierze na biesiadników odzienie.

– Cóż sądzisz zatem? – Bez ceremonii Czarny Dixona pyta.

– Hm, to nie Filadelfia, czy się nie mylę?

– Ni Boston! – Czarny zapewnia, po ramieniu go klepiąc. – Choć to bez znaczenia.

– No tak, każda prowincja zgodę wyraziła. Wszystkie jednym głosem mówią.

– Cóż to za straszna rzecz, iż rząd brytyjski tak opacznie nasze zamiary pojmuje. Choć uwierzyć w ich mądrość jesteśmy skorzy, w lepsze w historii rozeznanie, jak i mechanizmach gminem rządzących, wciąż sposoby na to znajdują, by zwątpienie nasze karmić.

– Czyż nawet imć Franklin, Prometeusz naszych czasów, ich głupocie zaradzić nie umie?

– A po cóż ich edukować? Im głupszy, tym lepiej.

– Atoli nadto zgłupieć im pozwólcie, a jeno do wyboru wojna wam ostanie.
– W to mi graj! – Czarny woła.
– Gdy najtęższe rozruchy trwały, Czarny z tysiąc marynarzy miał pod sobą – kapitan Wulkan wtrąca.

– A ci – Czarny głową żywo kiwa – dzięki kapitanowi Kennedy’emu nadal w mieście bawią. – Ów wojskowy, okrętu *Coventry* dowódca, ruchem w porcie nowojorskim włada, na wejście do niego statkom zezwalając, lecz z tych, które bez pieczęci na dowodzie odprawy wypłynąć usiłują, ile zdoła, zatrzymując. – Właśnie jeden z mych druhów nadchodzi.

Jest to nie kto inny, jeno Bodine, żeglarz z marsu, co niegdyś na *Seahorse* pływał, lecz nim ku zajętej przez Anglików Manili statek ten pospieszył, w Madrasie go opuścił i u Chińczyków się najął. Tych łajbę z kolei, opowiada, pośrodku oceanu piraci napadli i do Ameryki Południowej go wywieźli. Uciekwszy na północ, wśród tajfunów, huraganów, dżungli, moczarów, boa, aligatorów, Indian i Hiszpanów się przeźdierał, aż wreszcie w Perth Amboy¹ się znalazł w towarzystwie niejakiej Niesamowitej Dot, ślicznotki miejscowej.

– Kobiety mych marzeń. – „Brzuch Obijacz” wstrętnie chichocze.

– Jeno stryczek, co rozpryż² czeka – dama jego serca zaprzecza. – Akurat na tego trafiło.

– W listopadzie pod fortem George przed kulą z muszkietu tyłek mu ocaliła.

– A tak! – Czarny promienieje. – Cóż to za noc była! Nas tysiące, znad zatoki w plecy dął wiatr porywisty, powietrze iskrami z pochodni usiane...

– Czarnemu wciąż się roiło, iż kapelusze jego od ognia się zajął – kapitan wspomina. – Wszyscy okrzyki „Wolności!” wznosili, o strzał żołnierzy zuchwale wzywając. Łajdaki. Choć major James pierwszą salwą tysiąc dusz do Nieba posłałby snadnie, ogień wstrzymywał i do wybuchu wojny z Wielką Brytanią nie doszło. Lecz jeśli kto zeźlić był ich w stanie na tyle, by do działania fort pobudzić, to jeno nasz „Obijacz” drogi. – Gdy marynarz tylną część swego ciała żołnierzom prezentował, roztropna Dot, miarkując, iż piekło się zaraz rozpęta, pałkę z pończochy dobywszy, taką pamiątką zucha obdarzyła, iż wilk morski dopiero nazajutrz się przebudził, na jej barękę w Amboy dawno odwieziony.

– Przyjacielu, cóż za miłe spotkanie – cichy głos u łokcia Dixona rzecze. – Pary z ust nie puszczę, jeśli i ty mię nie zdradzisz.

Oczy mrużąc, jeometra wśród dymu Philipa Dimdowna rozpoznaje, co fircyka za nic już nie przypomina i młodzieńcem jest na wskroś poważnym, sprawie oddanym, której końca nikt przewidzieć nie umie. Do kąta ze szpinetem pospiesznie przechodzą, a Dixon, by się o instrument oprzeć, butelkę madery usunąć musi, tudzież dwa kotlety zapomniane i perukę z białych loków, okrutnie znoszoną. – Zatem żaden z ciebie galant? Bez obrazy drwić z takowych mogę?

– By im oczy mydlić, najprzedniejsza była to metoda. – Dimdown swym kuflem przyjaźnie gestykułuje. – Paplanina Brytyjczykom w głowie maści. Niektórzy z nich tygodnie całe spędzić potrafią, bez potrzeby głosu nie zabierając. Aliści, jako iż prawdziwy galant, towarzystwa innych galantów pozbawiony z fircykowatością nie przesadza, ma gra, której świadkiem byłeś, nie do końca prawdziwa była. Winienem był pohamować się nieco.

– Mnie oszukałeś z kretesem.

¹ Miasto portowe nieopodal Nowego Jorku.

² Rozprza żagla to rodzaj drzewca, a stryczek to mocujący ją pierścień.

– Być może mym fircykowanym zapędem dogadzałem, od dawna, nawet przed sobą samym, skrywanym. Atoli i Synowi Wolności odrobiny rozrywki trzeba, biorąc pod rozwagę, iż nie ma dnia, by człek szparkim krokiem chodzić nie musiał, jeśli swój tyłek na miejscu uchować pragnie. Stąd, powiedzmy, galanta udawanie wielce mi się uśmiecha. Ostatnio pasjami w perukach przebieram. Widzi mi się, iż by nie być rozpoznanym, najmniej raz na tydzień zmieniać je muszę. Jak ci się ta podoba? Dopiero com ją porwał i narzucił – w mieście jeno tej nocy bawię, a do wczoraj na keczu francuskim, w wojnie minionej wziętym, pływałem. *La Fouguese* się zowie, dwa ma moździerz w kokpicie, a przy niepogodzie trym nieco kłopotu sprawia, cóż, w czterdziestym drugim łajba to budowana, lecz niesie nas, dokąd chcemy, po wszystkich naszych szlakach.

Miał tu, zdaje się, na myśli ogół dróg, którymi w owych czasach Amerykanie de pesze ślać mogli, którymi byty w zupełności słowne w świat posyłano, tu i ówdzie, niczym hinduizmu Nad-dusza, w plazmę przechodzące, tam i nazad po drożynach się przelewające, od zbroczy górskich po klif urwisty. Różne były metody – latarni błyski, kopyt stukot nocny, ptaki pocztowe, w lokach peruk galanckich kryptogramów rolki, dzwony kościelne, piosnki, kazania, listy w gazetach drukowane, afisze na rogach, ronda kapeluszy, wreszcie heroldów nawoływania, co na rogatkach wystawali, ku nieznanemu się zwracając, w środku nocy, w środku zimy, bez pewności, czy aby kto słuca, gdzieś tam, i dalej podaje – to na łądzie, zaś na wodzie *La Fouguese* przy promów wsparciu, dzień i noc wzdłuż wybrzeży Connecticut kursujących, Nowego Jorku, obu Jersey, w dół i w górę Chesapeake, owego rozgałęzionego olbrzyma – z chyżością myśli wśród zatoczek wieści się niosły – aż po Wirginię, Karoliny, w głąb rejonów górzystych i za nie, gdzie potężna Ohio prerię przecina, a stamtąd...

– Rzecz to ogromna – Czarny Dixona zapewnia. – Zaprawdę nigdy czegoś podobnego nie było. Od urodzenia w Brooklynie mieszkam i różne „gówna” widziałem, których by panowie angielscy, choćby w nie wdepnęli, nie zmiarkowali... a wówczas to późno by już było. Lecz co się z owymi jurystami dzieje – na kapitana skazuje – ha, wiedzieć byście nie chcieli. Rzecz to ogromna, jasne? Wiem, co mówię. Ogromna!

Dixon ramionami rusza i głową kręci, by pokazać, iż pojęcia nie ma o sprawie.

– Jezusa powtórne przyjsście? – zgaduje nieśmiało.

– To po nas.

– A wy grunt gotujecie?

– Dobrze powiedziane! – jakowys jegomość, duchowny jak się zdaje, woła. – Do-dałbym, iż słowa waćpana myśli zapładniają, gdyby nie deistów na sali przewaga, którzy imię Chrystusa słysząc, niezręcznie się czują. Dzień ich triumfu nadejdzie, a wiele lat później, gdy ich dzieci lub wnuki dość już złudzeń będą pozbawione, zdana nadejdzie pora, by Syn Boży w sercach swego ludu na powrót zawitał.

– A niech cię diabli, Ezawie, i twe „ich” z tobą! Cóż to za nabożna gadanina? Sam jesteś Woltera czytelnikiem zawziętym.

– Czarny, Czarny, ostudź swe zapaly. Żadnego króla w zbytnim poważaniu imć Dixon mieć nie może, wszak jest kwakrem – choć może czym innym Jezusa umiłowanie, a o tym była mowa, to jest, jeśli obiekcji nie robisz.

– Skąd – Czarny odpowiada z ukontentowaniem człeka, który wierzy, iż w czyjes łaski się wkraść o ułamek.

– Choć wśród kwaków się chowałem – Dixon czuje, iż wyjaśnienie jest winny – w młodym wieku sporo z deizmem do czynienia miałem, zaiste, z nad wyraz deistycznych rozważań natłokiem, ba, lawiną, a to dzięki imć Emersonowi z Hurworth, stąd teraz z oboma poglądami silnie jestem związany.

– Jako kwakier, z pewnością rad byłbyś Amerykę niepodległą uważać? – Dim-down pyta.

– Kwakrom – Dixon raka spieka – nie o to chodzi, jak Brytyjczycy Amerykanów ciepięzą, lecz jak obie owego sporu strony niewolników afrykańskich pospołu z Indianami traktują. Stara to historia, melancholii pełna. Ponad wszystkimi plemionami, kwakrem będąc, Jezusa stawiam, choć jako Geordie, z miar bezspornie plemiennych, żadnego z królów brytyjskich szacunkiem darzyć nie mogę – nawet tego, co mi za robotę płaci, niech go Bóg błogosławi. Wołajcie, iżem drań niewdzięczny, no dalej, gorsze wyzwiska słyszałem. Hej, patrzaj, twój kufel już pusty, przyjacielu. Dopuścić do tego nie mogę, pozwólcie proszę, wszyscy, którzy dno miarkują, kłopot żaden. Imć McClean każdy trunek do swej księgi wpisze i w swoim czasie wydatki będą nam zwrócone. A oto już nadchodzą! Cóż to za dziwo, co się z wierzchu płynu grubo pieni? Jak to wołacie?

– To „czuprynka” – Czarny z kpiącym uśmiechem odpowiada. – W twych stronach, gdziekolwiek by były, takowych nie dają? Cóż za piwosz zatem z waćpana?

– Czy mimo wszystko spierać się mamy?

– Naiwne pytanie. – Czarny wsparcia wzrokiem szuka.

– Cóż, skoro pytasz, przyjacielu, piwoszem jestem oddanym i tradycjom wiernym, co tę tu bladą, rozwodnioną, chmielem przesyconą podróbkę¹ choćby łykając, grzeczność ci robi.

– Znacznie milej jest widziana – Czarny ripostuje – choćby i podłą, obelżywą imitacją była, niżli ów ulepek czarny, gardła niedrapiący, a zarazem, daruj, okrętowej smoły namiastka, którą to się w Anglii ludziska raczą. – Spojrzeniem Dixona przy tym obrzuca, co znaczącym być by może mogło, lecz poza pospolite patrzenie wilkiem nie wychodzi.

Astronom wzdycha. Lojalność wobec piwa ma dlań swą wagę, częścią paktu z młodością zawartego będąc, o której zapomnieć sobie nie życzy. Cichy niczym trusia kufel unosi i miejscowego portera pintę jednym ciągiem wypija, a gdy wreszcie tchu zaczerpnąć może, powiada: – Na Boga! Jakże się myliłem!

Czarnemu, jak wszystkim tu, czasu nie staje. Owa rzecz, kształtów właśnie nabierająca, takową inercję posiada, iż wszystko z sobą uniesie... Irlandczyk nie może już pozwolić sobie na to, co w pojedynkę zażarty nie tak dawno by przeszło. Ostatnimi czasy, wszelkie siły, uwagę wszelką przyszłość sobie uzurpuje niezbadana, do której drzwi prowadzące otworem stoją.

Z tych miar:

– Poniekąd angielskie pinty niegdyś ze smakiem wychylałem – wspomina – i wierzę, iż do owego zwyczaju pewnego dnia powrócę. Tymczasem, jak z herbatą, i piwo własne warzymy.

– Sądzę, przyjacielu, iż jeszcze jednego skosztuję – Dixon rzecze. – Czy przyłączy się do mnie tedy?

58

Na gościńcach, którymi Mason na południe spieszy, najeść się strachu zaprawdę nietrudno. W Maryland, we wrześniu, dom niejakiego Zachariasza Hooda tłuszcza zburzyła, który to, zrzeknięcia się urzędu naczelnego stemplownika prowincji odma-

¹ Ciemne piwo angielskie (ale) nie ma piany i ma niższą zawartość chmielu.

wiając, zbiegł do Nowego Jorku, gdzie w forcie George się schronił, w samą porę, by *bilunaria* Bodine'a obaczyć. Choć można było teraz, stempli brakiem się wymawiając, bez cła spłacenia dowodu statki z portów Chesapeake wyprawiać, Maryland, nie wiedzieć czemu, był jedną z ostatnich prowincji, które tak właśnie uczyniły – jakoby tłuszcza krok następny długo rozważała, swą niedawną śmiałością zdumiona. Gdy jesień rdzą w zimę przechodziła, po głównych traktach młodzi mężczyźni ganiać poczęli, do wszelkich celów z siodła strzelając, co papier stempłowany na myśl przywodziły. Tchu i dymu obłoczki przy tym drogę zdobyły, a dziewczęta chłopskie, na rozstajach przyczajone, „Nas, Amerykanów” im śpiewały. Ojcowie ich, nie zawsze coś lepszego do roboty mając, dzbany i fajki jeźdźcom ofiarowywali, matki zaś herbatę podawały. Synowie Wolności w podróży będący nigdy ni ćwierć pensa za trunki płacić nie musieli, a chodziły słuchy, iż nawet najgorliwsi więcej czasu na popasach przepędzali, niżby im na służba pozwalała. Po raz pierwszy wysoko w allegheńskich kotlinach jankeską wymowę znad zatoki Massachusetts słyszano, usta przybyszów przy samogłoskach mniej spięte. Na koniach może lepiej się prezentujących niżli do dalekich jazd zdatnych, Nowojorczycy w Georgii, Pensylwańczycy w Karolinach, Wirgińczycy gdzie bądź – goście ci czasu potrzebowali, by melodyjność owych głosów docenić, z daleka, lecz już bezspornie amerykańskich.

*Czyś w polu przy wołach,
Czyś w porcie marynarz,
Kimkolwiek byś nie był,
Wybiła godzina.*

*Córy Erynu,
Szkocji synowie,
Do dzieła, śmiało,
Niech świat się dowie.*

*Amerykanie!
Kto broń chwycić zdola!
Nie czas się uchylać,
Gdy ojczyzna woła.*

*By plewy precz odsiać,
Stańmy na wezwanie,
Tyranię obalmy,
My, Amerykanie.*

*Anglicy tchórzliwi,
Będziem walczyć z niemi,
Aż ostatni pierzchnie
Z naszej świętej ziemi.*

*Na mur ruszmy hurmem,
Walczmy ramię w ramię,
Już na zawsze wolni,
My, Amerykanie.*

W Williamsburgu, by uczone aparaty obaczył, do Kolegium Wilhelma i Marii Masona zapraszają, zaś w Kapitolu grupę wodzów ludu Tuskarora mu przedstawiają, których celem jest resztkę swych ziomeków z Karolin wyprowadzić i oddziałami Seneków się wspierając, z plemieniem bezpiecznie połączyć, co do owych Sześciu Plemion sławetnych należy.

Indianie, o paxtońskich masakrach posłyszawszy, w eskorcie ledwie stu czy dwustu wojowników liczącej Pensylwanię przemierzać się obawiają, lecz po drodze obstawa sojuszników do nich dołączy, z Mohawków osobliwie złożona. Choć ziemie ich setki mil na północ leżą, od wysłanników Plemion w lasach Pensylwanii się roi, ci zaś wszelkie grupy wojażerów bacznie uważają, na rozmiary ich przy tym nie zważając.

– Członkowie band Paxtonom w zapatrywaniach podobnym – Mason wodzów pocieszyć się stara – częstokroć wzrokiem sokolim obdarzeni, wiedzą dobrze, kto i dlaczego w puszczy przebywa, atoli z każdej sposobności do zaczepki nie korzystają.

Astronom, co u imię Wetherburnera się zatrzymał, pewnego ranka bilet do siebie znajduje za tasienki tablicy na depesze zatknięty. To pułkownik Waszyngton, do miasta się wybrawszy, na cichą partyjkę bilardu go zaprasza. Do Raleigha idą, gdzie w sali bilardowej sławetny stół olbrzymi stoi, aliści niedługo spokojem się cieszyć jest im dane, albowiem coraz więcej osób do sali zachodzi.

– W tej samej chwili, gdy tu w dymie przejaśnienia uważać możemy, i w kwestiach kolonialnych wyjaśnia się nieco, a nawet na wylot przejrzyć nam podobna pobudki, co królikiem Jerzykiem i tą głupców groźną bandą kierują. Zda się bowiem, iż Irlandczycy pospołu ze Szkotami ulsterskimi tak samo traktowani być mają co Hindusi, Afrykanie czy inne ludy ciemnoskóre, przez Anglików zniewolone – z nimi zaś wszyscy Amerykanie, łatwiej nas wówczas wystrzelać bowiem będzie. Atoli nie po bat i muszkiet sięgnąć zamierzają, lecz na sposób bardziej wyrafinowany po teodolity i księgi rachunkowe. Zapewni im to niekończące się zapasy chłopów na roli, tanich drwali, kilku rzemieślników grubiańskich i towarów brytyjskich kupców popularnych.

– Nie tylko, o zgrozo, zakładają, żeśmy ich poddanymi, lecz, co gorsza, za kolejny sort czarnuchów nas mają? Cóż, tego wybaczyć nie mogę. Czyś źródła swych doniesień pewien?

– Nieco grzeczności, waćpanie! Słowo, którego waść użyłeś, tu, w naszej zatoczce rozsądku, niczym rekin wygłodniały spokój burzy.

– Z przeproszeniem, czy znowuż to słowo słyszę? W takim dymie wszyscy się tak zwać możemy.

– Hej! – Waszyngton Masona za rękaw łapie.

– Pułkowniku – astronom się wyrwa – znacznie lepiej by było...

– Ten głos, Masonie! To mój sługa, Gerszon!

– A ponadto, oto najświeższe wieści z dworu. – Wielu zebranych gwiżdże i pohukuje. – Król zachodzi do karczmy. Szynkarz pyta: „Co podać, Jerzy?”. Król powiada: „Jestem tu w przebraniu. Jak mię poznałeś?”. Szynkarz na to: „Koronę masz waść na głowie”. Król rzecze: „Jeno szaleniec w koronie by chodził”. Szynkarz woła: „Wasza Wysokość” – i na kolana pada.

Połowa kompanii mniema chyba, iż jakowys biały Murzyna udaje – inni, co występę Gerszona słyszeli, z miejsca go rozpoznają.

– Ej, Gersz, zrób tego tam krokodyla, co gadać potrafi.

– Królika na Księżycu!

¹ Mit murzyński opisany w powieści „Tęcza grawitacji” tego samego autora.

– Czekaćcie! Czy dobrze słyszę? Murzyn tu gdzieś prawdziwy?

– Do diaska, może nawet więcej niż jeden.

Przez resztę wieczoru każdy drugiego o bycie Gerszonem podejrzewa, a od czasu do czasu ktoś – kto, nie wiadomo, gdyż miechy nie dość szybko dym rozpędzają – kolejny żart o królu opowiada.

– Nadworny alchemik królowi eliksir prezentuje, który w dowolne miejsce go przenieść jest w sile...

Tym razem Mason Waszyngtona ciągnie.

– Toż to słodki Nathe McClean, dają głowę.

– Król na Słońce się wyprawić postanawia – niewidoczny młodzian ciągnie. – Alchemik biadoli: „Wasza Wysokość, na Słońce? Wszak tysiącem stopni Fahrenheita płonie! Ukrop zbytnio wielki, by przy życiu ostać!”. A król na to: „W czym kłopot? Nocą pojadę”.

Młody Nathe, co na powrót do Wilhelma i Marii uczęszcza, z każdym dniem coraz bardziej sprawami prowincji pochłonięty, tu, przez kurtynę dymu widziany, którą jego druhowie ze szkoły „pierzynką tytuniową” wołają, bardziej cherlawy i rozleniwiony się zdaje niżli przeszłego lata, kiedy to, jako posługacz obozowy cnotliwy, nieprzerwanie się uwiijał.

– W samą porę wyprawę opuściłem – teraz się zwierza. – Jeszcze tydzień, a kapitan Zhanga obłędem bym przypominał.

– Obłędu w nim starczy – Murray, przyjaciel jego, wtrąca.

– Aż tak źle było? – Mason nie do końca wierzy.

– Z całym szacunkiem, *sza* nas straszac, Zhang dubów smalonych nie prawil. Wszytscyśmy ją czuli, a zdawało się, iż was dwu także. Miedzę wytyczać jedno, lecz prostą na setki mil długą, przez ziemie cudze, drzewa obalając – chluby nie przysparza.

– Winniśmy byli zatem od projektu odstąpić? – Głos Masona coraz bardziej nosowy się staje. – To nie myśmy równoleżniki wymyślili. Do Hipparcha i poprzednika jego, Eratostenesa pretensje miejcie. Obaj, jak wnoszę, już nie żyją?

– Być może szkody żadnej Linia nie przyniesie. Módlmy się o to. Ukłony dla panna Dixona. Sługa uniżony. – Nathe w mgłę nikotynowej się rozplywa, jak przyszłość nieprzeniknionej, Masona z poczuciem winy i głupoty bezbrzeżnej ostawiając. Astronom czuje, iż tak jak niegdyś polegać już nie może na wspomnieniach pogodnego chłopca, co niczym czółenko śmigał, jakoby dzień za dniem coraz głębiej w zachód wyprawę wplatając.

59

Pod koniec marca jeometry pod North Mountain wracają, by odkryć, iż kapitan Shelby biedy się nabawił. By go z urzędu sędziego pokoju wraz z Josephem Warfordem usunąć, sześciu sąsiadów petycją do gubernatora Sharpe'a dopiero co posłało, tym samym morze nieszczęść na Shelby'ego zsyłając, a wszystko to z racji zimowej awantury, w której główne role odegrali Tom Hynes, Catherine Wheat i dziecię tej pary.

– Pamiętacie, iż we wrześniu, nieco przed waszym przyjazdem, córka jednego z gorzelników okolicznych, Conrada Wheata, przed oblicze kapitana Price'a się stawiła, swe nowo narodzone maleństwo w ramionach trzymając, i na wszystkie świętości przysięgła, iż Hynesa to sprawka? W listopadzie na sąd w Frederick's Town się nie stawiła, sprawę zatem na marzec przełożono.

Tom w głowę zachodzi, co dziewczyna knuje. Czyżby ktoś jeszcze ją za wędzarnią odwiedzał? Co czynić, pojęcia nie ma. Z radą ojciec przychodzi.

– Mój to wnuk. Wieszli, co to znaczy?

– Nie za bardzo.

– Oznacza to, iż człek dręczyć się już nie musi. Wnuk, syn, cud ojcostwa. Nazwisko dalej przechodzi. Rzecz jasna, jeśli ów drań tatulek jakowymś wzgardy godnym głupcem nie jest, co czmychnąć niechybnie byłby skory, gdyby mu ojciec tak skóry nie wygarbował, iż bieganie mu na czas długi niepisane.

– Co? – Tom głębo rozdziawia. – Mam się z suką ożenić?

– Wśród ludzi wierzących mieszkamy – starszy Hynes powiada. – Pomniesz makatkę, przez twą drogą matkę wyszytą, co nad paleniskiem wisi?

– SPODZIEWAJ SIĘ INDIAN. – Tom głową kiwa.

– Podobnie rozumując, kto tu mieszka, pozwów spodziewać się musi, z każdej strony, z każdej miary, a i bez przyczyny. Wśród prezbiterian żyjąc, zatargów trza unikać. Powiadam ci, żeń się.

– Ona... chyba... za nic mię nie zechce.

– Ma rozum dziewucha, żeń się tym bardziej. Tak, a teraz w tej tu szopie cię zamknę...

– Tatku!

– Dziś wieczór, Tom, trzeźwy być winienes i ze swą duszą na osobności, a nie po austeriach się rozbijać. Zważ, iżem jeszcze po pałkę nie sięgnął. Przemyśl wszystko sobie. To ważka sprawa.

Młodzian ojca słucha, choć myśli jego dalekie uduchowania, na jakie stary miał nadzieję. Miast tego w ciemnicy intrygę pomału knuje, co, o dziwo, do rana pozorów zmyślności nie traci.

– Nic nam po suce – oznajmia. – Samo dziecko weźmiemy.

I umyka, nim William choć słowo powie. Do kapitana Shelby'ego się udaje, by ten, sędzią pokoju będąc, nakaz wydania dziecka dlań sporządził. Historią młodzieńca kapitan przednie jest ubawiony, a na myśl o kolejnym procesie serce żywiej mu bije. Z piór palety pomocą, arkusza w dobrym gatunku i inkaustów barwnych dokument majstruje, pieczęci parę nadto przydawszy, a Tom, który czytać nie umie, wnosi, iż sprawa już przesądzona.

Owego poniedziałkowego wieczoru, o dziewiątej czy dziesiątej, pod domem Wheata się stawiają, by prawo w życie wcielić – Tom z ceklarzem, Moran, Dawson, Nathan Lynn i John Gerloh na dokładkę. Pierwej udają, iż jeno kwartę whisky chcą nabyć. Kwartę na sześciu? Gorzelnik podejrzeń jest pełen, gdy wśród towarzystwa Hynesa miarkuje.

– Pintę jeno przynieść mogę.

– Wyjdź no, Konradzie, cosik ci pokazać pragniemy.

Konrad położenie swe rozważa. W domu niewiasty są i dzieci, najbliższy pistolet za daleko. Ramionami ściska i w noc wychodzi, drzwi lekko uchylone ostawiając. Jeno światło świec przez ową szparę się lejące cokolwiek na zewnątrz obaczyć pozwala.

– Po dziecko przyszliśmy, Konradzie – ceklarz Barney Johnson powiada. – Wydasz nam je?

– Z jakiej racji?

– Nakaz sądowy.

– Niechaj rzucę okiem.

– Za ciemno.

– To sam przeczytaj.

Barney wzdycha.

– Daj no latarnię, Moran.

Dokument przez Shelby'ego spisany, jak się okazuje, to nakaz rewizji w przypadku, gdy skradziono towary – przykład na kuriozalne poczucie humoru Walińczyka kolejny. Catherine zza drzwi głowę wystawia, by ceklarzowi przypomnieć, iż jej synek towarem nie jest, kradzionym ni żadnym innym. Tom, z konia zeskoczywszy, ku niej podbiega, lecz dziewczyna przed nosem drzwi mu zatrząskuje. W zebranych rozdrażnienie wzbiera.

– Kto nakaz podpisał? – Konrad krzyczy.

– Nic mu nie mów! – Tom ostrzega, ześlony.

– Tom – ceklarz powiada – toć to wszystko podle prawa. Konradzie, cóż, nakaz Shelby wystawił, atoli...

– Shelby! Cóż to za nakaz sądowy, Barnett? Zaprawdę, wstydziłbyś się go przynosić. Kapitan Shelby żąda, czy też wymusza raczej? Nic to. W ręce sędziego Price'a córa sprawę już oddała i jej małemu nic tu nie grozi.

– Uznano, iż miesiąc temu na rozprawie u sędziego Price'a się nie stawisz – Johnson cichym głosem pospiesznie oznajmia – Catherine Wheat prawa pogwałcenia się dopuściła. Dla dobra dziecka zarządzić jestem zmuszony, by wysłannicy moi bezzwłocznie je przejęli do czasu zapadnięcia postanowienia.

– Naści! – Jedna z młodych mieszkanek domu woła, wiadrem pomyj z sieni śmigając, przed których tłustawą kaskadą nie wszystkim przybyszom skryć się jest dane, inna zaś dziewczka psami z tylnego podwórca ich szczuje. Mury domostwa więcej osób kryć się nagle zdają, niżli którykolwiek z jeźdźców sobie przedstawiał.

– Zawiedzionym, Konradzie, iż podobne przyjęcie nam zgotowałeś...

Ceklarz myśli dokończyć nie może, bowiem, by z konia nie spaść, wysilić się musi. Przez drzwi, a do tego jedno czy dwa okna może, Barkley, Steed i bracia Rushowie wyskakują – Brooks z Flintem w środku ostają, by dam doglądać – i hurmą na ludzi ceklarza ruszają, ci zaś z pałkami w gotowości atakują, pokrzykując dziko, jak na mieszkańców ostępów przystało. Tom wrzeszczy bez pohamowania:

– Jest mój, suko! Żywego czy umarłego go dostanę!

Jeden z chłopców Wheatów, pchnięty gwałtownie, pada i guza sobie nabija, atoli wkrótce kompres arnikowy dostaje i pewne jest, iż się wszystko do wesela zagoi. Któraś z siostr po dziecko się wymyka i w powijaki owinięte do kuchni przynosi, nadziewanemu liściu kapusty podobne, gdy tymczasem inni domownicy drzwi umacniają. Prózne to wysiłki – agresorzy napierają i już po chwili leżą wyłamane. Konrad, co drzwiom tym sporo czasu poświęcił, własnymi rękami je rzeźbiąc i wstawiając, patrzy teraz i uwierzyć nie jest w siłę, iż ludzie znani mu dobrze, jak mniemał, w bandę najeźdźców przemienić się mogli, którzy na życie jego dybią, a i wnuka małego, jak się zdaje, gdyż, w panującym rozgardiaszu, malec, niczym piłka pod powałę podrzucany, z izby do izby, z rąk do rąk przechodzi, a shelbiści każdego, kto się nawinie, grzmocą, tak przy tym części szkodząc, iż się na sądy nie wyliżą. Po prawdzie, i na weselach w tych stronach groźniej bywa. Młody Tom matkę swego dziecka obją, głosem cokolwiek wzburzonym oznajmiając, iż życie jej rychło odebrać zamierza – jak nic namiętny chłopak, choć nie z tych namiętnych, do których to się kobiety, nieprawdaż, garną. Nathan Lynn malca chwyta i ku drzwiom bieży, lecz jedna z niewiast, za nim ruszywszy, chłopca przechwytuje, przeto John Gerloh z Barneyem po polu ją teraz gonią, łapią prędko i tłuką, póki dziecka nie daje. Jak mocno walić, w mroku nie wiadomo, bowiem odległości szacowanie z trudem tu przychodzi. Wszyst-

cy troje dla siebie jeno widmami. Kobieta na bruzdę zmarzniętą pada, łkając i wzrok oprawców na siebie ściągnąć próbując. Gerloh zerknąć nań nieskory, Barney zaś berbeciem zajęty, co, ceklarza obaczywszy, płakać począł.

Cóż, „płacz” tu może określeniem nietrafnym. Całą drogę do obejścia Ralpa Matsona krzyk diabła nieprzerwany na mile się niesie, wśród wzgórz okolicznych echem odbijając. Irlandczycy znak krzyża czynią, dziewiarki oczka opuszczają, o kawalerach swych nie wspomniawszy. (– Każdego dnia wówczas poruszenia czekano – kapitan Shelby na boku dopowiada. – Wkrótce wszak ruszyliśmy zwartym oddziałem z Frederick Town do Annapolis, dwóch czy trzech w szeregu, niesmacznie do Paxtonów przyrównywani, choć to spór stemplowy nami powodował, pospołu z kwestią, czy zgromadzenie protokołów posiedzenia uchwali. Rzec by można, iż przed koniecznymi rozgrywkami na arenie publicznej dramat rodzinny Toma wprawką był dla nas).

W końcu na stronę pensylwańską „towar” pomyślnie dowieżą. Kapitan Shelby z Willem Hynesem już u Matsona czekają, dziecko zaś tak wyje, iż sam Pontiak by się przeraził.

– Nie tak, nie tak – kapitan powiada. – Dawaj go tu, Barney. – W objęciach sędziego chłopiec wnet się ucisza i brwi kapitańskie bacznie uważa. – Ha, tak się nam podoba, zgadłem? Cóż, nie powiem, byś się w Hynesów wrodził. Dobre i to. – To rzekłszy, każdego z krwawiących, potarganych jeźdźców obchodzi. – Czy dobrze wnioskuje, iż matka malca oddać nie była skora?

– Tak sukę obilem, iż krew tryskała – młody Tom Hynes zebrany donosi.

– Powtórz to szparko trzy razy, a ci uwierzmy.

– Tak się składa – stryj Ives zapewnia – iż akta słowo w słowo cytujesz. Wszystko w „Protokołach Rady Prowincji Maryland” za rok 1765 stoi. Z przypadków przez waszego wuja opowiadanych znacznie później pod przysięgą relację złożyli ludzie, co to z urzędu sędziego pokoju kapitana Shelby’ego odwołać pragnęli – może, by rachunki jakoweś wyrównać z czasów zamieszek Aktowi Stemplowemu towarzyszących, czy jeszcze starsze – tego nie wiadomo. Podle ich słów Linie przekroczył – Pensylwańczycy na gospodarstwo w Maryland najechali. O więcej tu idzie niżli to jeno, gdzie nakaz jego moc prawną posiadał. Shelby świadomie moc Linii zlekceważył i z tych miar sprawa do Annapolis zawędrowała.

– Wszystko się w tym zawiera – Wielebny przyznaje. – Cała ta awantura ohydna, pospolite właśnie sąsiedzkie na głowę bijąca, z owym dziwnym, kraj ogarniającym poruszeniem jest powiązana, o objawach różnorodnych – od pewnego kapelusza przechylenia po odmowę posłuszeństwa granicom czy rządowi – odejście to od historii samowolne.

Co Shelby’ego najsrożej złości, to brak szacunku dla podpisu jego, gdy ten pod nakazami czy zarządzeniami widnieje. Po obu stronach Linii co chwila go to spotyka. Prawo w swym majestacie zadba o siebie – to swej osoby lekceważenia znieść kapitan nie może.

– Przeklęty Niemiec! Jeśli mu życie miłe, niech lepiej w Maryland siedzi. Mego nakazu nie posłuchać! Dzięki Bogu, iż mię z wami nie było, dom bym inaczej szubrawcy podpalił. – Iż dokument dla żartu napisał, tego nikt mu nie wypomina. Sam ponadto pismo zbywa, jakie mu Flint i Brooks w imieniu dziewczyny przesłali. – Jeśli mój nakaz tam nic nie znaczy, czemuż miałbym bardziej ich pismo respektować? – Miał tego banknot stufuntowy z rąk Hynesa przyjmuje jako rękojmię, by dziecko z dala od parafii trzymać.

Na tym nie kończą się kapitana kłopoty, bowiem Konrad Wheat w sprawie najazdu pozew wnosi, co obie strony sporu zobowiązuje do stawienia się u sędziego War-

forda, by przed właściwym procesem zeznania złożyć. Tom Hynes, choć nadal kogut z niego krewki, wyrzuty sumienia czuć poczyna, przeto mniej się swymi krwawymi wyczynami chwali, a i tak słuchać go nikt nie jest skory. Gdy pora na wizytę u sędziego nadchodzi, jeno o tym marzy, by się z Kasią zobaczyć.

Shelby głośno się domaga, by Catherine Wheat grzywną ukarano.

– Ma małżonka temu przeciwna – Joseph Warford odpowiada – a z celności swych rad szeroko jest znana. Ty zaś, Ewanie, nadto nie wyciskaj ze sprawy, gdyż mało co z niej wycisnąć podobna.

– A niech mię! Józek! Kolego po fachu! Ileż to wieczerzy twej żony roboty jadłem! A teraz – zdradzony! Któż by się tego spodziewał po was, prawda, Will, Tom? Tom? Tom! – Lecz tego, zdaje się, diabli wzięli.

Jejmość Warford z pomocą świeczki łożowej ujawnia, co zebranych niepomrotnie zdumiewa, iż Casanova spod North Mountain w mrocznym kącie siedzi na fotelu, Catherine Wheat na kolanach trzymając i głaszcząc czule.

– Ran mi zadałeś – dziewczyna się żali. – Krew ciurkiem ciekła. Nadal mam ślady. Tu, widziszli na plecach?

– Witka to była wierzbowa, a tyś się tak wyprężyła... Nigdy bym cię nie skrzywdził, Kasieńko.

– Ha, kłamliwy gadzie. Skrzywdziłbyś i skrzywdziłeś.

– Jakże czuć się miałem? Wszytcy się gapili... A ty w dyrdy do kapitana Price'a bez pytania... Trzymałem, iż to dziecko to nasz sekret mały, sekret naszego kochania, nikt wiedzieć nie musiał...

– Na łeb ci padło? Ukryć dzieciaka! Chyba wiesz, jakie są szkraby, *nicht wahr*? Czyżes z naszym choć minutę w izbie usiedział? Cóż to za sekret?

– No... Może teraz na oczy przejrzałem... Może za młody byłem wówczas, a nawet za głupi.

– Wówczas ledwie trzy miesiące temu było. Wówczas ożenić się po prostu ze mną mogłeś. Całego tego rabanu nam oszczędzić. – Dziewczyna nie dba o to, co kto teraz mniema, nawet Tom, któremu prosto w oczy spojiera.

Warford, przez małżonkę z impetem wypchnięty – innym damom kuksaniec znaczący starcza – tonem wzburzonym *tête-à-tête* przerywa.

– Hynes, skoro dziewczkę zepsułeś i hańbą okryłeś, poślubić ci ją teraz wypada.

Młodzi, dziwnie niewzruszeni, dobroduszne oblicze sędziego uważają, jak i krąg patrzaczy zza niego zerkających. Catherine głowę na ramieniu Toma oparłszy, wzdycha cicho i nadal w zebranych się wpatruje, a z jej twarzy znać, iż jeśli w ukontentowaniu się nie pławi, to najmniej niewinnie wczasu po przejściach zażywa.

– Co ty na to, mój tartofelku pieczony? – powiada z pewnością w głosie, której nie słyszał nigdy, a której, będąc bystrzejszym, by się obawiał.

– Hm – mamroce z lekka oszołomiony. – Czepiać czego się nie ma. Pomyśli się, bez pochyby.

Conrad Wheat dwadzieścia pięć funtów rzec zamierzał, lecz nastrojem chwili tak jest poruszony, iż oświadcza:

– Trzydzieści funtów, dzieci, ode mnie macie. I jeszcze pięćofuntowe wesele, a co mi tam.

– Wiwat! – jejmość Warford woła. – Jaką datę, młody człowieku, pod rozwagę brałeś?

– Datę? – Tom Hynes, dzisiejszej niepewny, z niepokojem miarkuje, iż wszystkie te podjazdy, procesy i porwania na Gody przypadły. Czyżby pośród rozgardiaszu święta Bożego Narodzenia przegapił? – Przed końcem roku, miłościwa pani.

- Jedną chwileczkę – kapitan Shelby woła, w międzyczasie bazgraniną zatrudniony. Wesołość wnet gaśnie. – Jeszcze sprawa grzywny dziewczynskiej ostała. Jeśli, Józek, należytego nakazu nie wydasz, może choć uprzejmie mój własny podpisiesz?

Imć Warford ku żonie wpierw zerka, która po raz drugi dziś palcem grozi, słowami kapitana złośliwie rozbawiona.

- Przykro mi – sędzia kapitanowi odpowiada.

- Nie wiem doprawdy, ile jeszcze, jako mężczyzna, znieść z tego mogę – Walijczyk mruczy. – Przekłęci gorzelnicy ze swymi pięćofuntowymi balami i trucizną kukurydzianą. Tak, tak, za wysokie progi, by się z mym uczciwym nakazem liczono. Co rusz mi dziś wieczór, stary druhu, odmawiasz. Raz, dwa, trzy razy znieważony! Niech cię diabli zatem, sam podpiszę. O, naści, gotowe! Niech ktoś teraz młodą damę ujmie!

- Z miłą chęcią! – Tom Hynes, słowa jego opacznie pojmując, woła i wśród piśków niewieścich ukochaną łapie.

Will Hynes krzywym okiem na Shelby'ego patrzy:

- Cóż to za złodziejstwo nowe?

- Rad będę własnoręcznie akt dla was wystawić – kapitan pospiesznie dopowiada.

- Tatku?

- Wnoszę, iż pragnie, byś się tu na ślub stawił.

- Przed końcem roku – jejmość Warford przypomina.

I tak dnia trzydziestego pierwszego grudnia, wieczorem, wszyscy w domu imć Warforda się zbierają, w schludnych strojach, ufnie w przyszłość patrząc. W rogach szyb okiennych, od ognia odległych, śnieg zalega. Jejmość Warford wielki keks przygotowała, alkoholem ociekający, a na dokładkę białą oblubienicy godną grubo lukrowany. Konrad Wheat wóz przywiózł siwuchy świeżo upędzonej, którą spożywając, mieć się na baczności należy, by kolejnym prostym sposobem na usnięcie się nie okazała. Od jednej gromadki kawalerów do drugiej, po domu i wkoło obejścia, pogłoski o Akcie Stemplowym się szerzą. Różnoracy muzykanci zachodzą – jeden zbiór ma dzwonek krowich, podle skali pentatonicznej przystrojonych, inni bębny skórą oposa obciągnięte, są też gongi, piszczałki i sygnałówka wojskowa, po kłęsce Braddocka w lesie znaleziona.

- Myślę sobie, mróz się tak w znaki nie daje jak przeszłej zimy.

- Mi starczy.

- Obyśmy już nigdy takiego nie doświadczyli.

- Dziś rano psy z szopy ni nosa wystawić nie chciały.

- Te twoje kundle, Gus, o ścianę się oprzeć muszą, żeby szczekać.

Kapitan Shelby niczym poezję uroczyście deklamuje:

- Czy ty, Thomasie Hynesie, bierzesz sobie Catherine Wheat za prawnie poślubioną małżonkę?

- Tak, waćpanie, biorę.

- Czy ty, Catherine Wheat, bierzesz sobie Thomasa Hynesa za prawnie poślubionego małżonka?

- Tak.

- Zatem, o ile żadnych obiekcji nowych przeciw kolejnemu z mych podpisów nie czynicie, jako osoba po temu uprawniona z lubością w końcu wszem i wobec ogłaszam... Skacz, psie! Huzia, suko! I niech mię diabli, jeśli was kto teraz odżenić może!

- Dogadaj im, kapitanie!

- Ach, Tom! Serce miś złamał!

- I wielu innym!

Grajek smyczek unosi i „Czarny żart” różnąc poczyna, stopy zaś kroki odkrywają własne, a nie potrzebami dnia dyktowane.

Gdy Tom budzi się nazajutrz, jeno z wolna łóżko rozpoznając, za które jejmość Warford pięć szylingów sobie życzy, pierwszej tapetę miarkuje w jednakie kwiatuśki błękitne na tle jaskrawocynobrowym. W narastającym świetle leży tak czas długi, niczym prócz kwiatnych powtórzeń uważania niezatrudniony. Odkrywa, iż gdy się dość do ściany przybliży, a spojrzeniu swemu nieco ostrości odbierze, każdy z punkcików modrych na dwoje się rozczepia, aż sąsiedzi oddalającą się od siebie parę pochłaniają – z kolei owe nowo powstałe twory głębię pozorną zyskują i szeregiem w rozdrzganym powietrzu zawieszonym być się zdają.

Noc to była chyba ciężka – jedno jeno czy dwa wspomnienia na myśl Tomowi przychodzą. To pamięta z pewnością, iż Shelby ceremonię prowadził. Głowę skręca – zgadza się, oto Kasia drzemie, ku jej ramieniu plama słońca owalna sunie. Zatem wszystko to miejsce miało... Pamięta także, iż gdy w środku nocy wstał za potrzebą, drogę mu jakowaś figura zagroziła, którą przez wzgląd na trzymane widły za diabła wziął pierwszej, lecz w której rychło kapitana zmiarkował.

– Czekałem, panie Hynes, czekałem. Trzymałem już, iż nigdy się nie pojawisz. Patrzą tylko na nich, śpią wszyscy. – W każdym ciemnym kącie, na i pod sprzętami, na schodach i pod nimi balownicy zlegli. – Wszyscy prócz mnie, jeno ja na nogachostałem, wiedząc, iż wymknąć się spróbujesz. No już, zmykaj mi do komory, a jeśli czelność miał będziesz małżonkę opuścić, dziś czy kiedykolwiek, to tu – widłami potrząsa – w twe bebechy trafi, czy się jasno wyrażam?

– Kapitanie, za potrzebą jeno wstałem. Z domu sędziego wyjść przy tym, myślę, by wypadało.

– Czemuś od razu nie mówił? Chodźmy zatem. Na śniegu sobie społem ulżemy.

Przecisnąwszy się wśród biesiadników chrapiących, starając się na niczyją twarz oślinioną czy spódnicę podkasaną nie nastąpić, na zewnątrz wychodzą i puch biały zraszają. Jakoby u spodu jakowegoś niezapisanego, wszechmocnego zimy nakazu, Shelby swe nazwisko na śniegu kreśli, Tom tymczasem proste serce rysuje, strzałą czy inicjałem niezdobione, którego to kontur wypełnia starannie, a jeszcze mu kapka moczu ostaje. Kapitan dzieło uważa.

– Trza ci było bez pochyby. Alleluja. Teraz słuchaj bacznie. Miasta przyjemności porzuć – nie dla ciebie te wąwozy ceglane. Zachód raczej twym przeznaczeniem. Gdy jeometry na wiosnę wrócą, robotników najemnych będą szukali. Ludziom Shelby'ego mógłbyś dowodzić, poniekąd wyprawie w wyprawie. Co ty na to?

– Przysługę mi wyświadczył – Tom Hynes powie zapytany. – Na wieki jestem kapitanem dłużnikiem. Catherine Wheat najlepszą rzeczą, jaka mię spotkała. Bez niej byłbym człkiem straconym. Którą drogą mam podążać, z pewnością mu wiadome.

Mroźną noc porzucić nie są skorzy. Tom pyta cicho:

– Czy żona towarzyszyć mi może?

– Wszak znowuż będzie przy nadziei.

– A tak, o tym zapomniałem.

Shelby w ciszy wzrokiem chłopaka mierzy.

– Ha, mniemałem, iż buntownik z ciebie będzie, a ty się, bracie, na nowego dziadka Cresapa¹ szykujesz.

¹ Thomas Cresap (1694–1790), przedsiębiorca, głowa rodu, jeden z założycieli Ohio Company.

W zmierzchu, co nad górami szparko gęstniejąc, mila za milą ciemno zalesionym wierzchołkom światło odbiera, z rzadka chatę czy obejście oko zaznajomione wychwytuje, wśród wszędobylskiej zieleni szarą plamę drzew zaobrączkowanych lub dym z jakowegoś komina bijący – wiatr w mroku mocy nabiera za dnia nieposiadanej, zaś barwy co rusz o jeden odcień ciemniejszą... Pies za wiewiórką goni, młot werble na kowadle wybija, żywe drewno impet siekiery tłumi. Noc nad tym przestworem wisząca, jakże ogromna, każdą duszę niczym usta ciepłe, dychające i wilgotne, co to je wonią życia i śmierci słysząc, zakrywa, a wszelkie czyny za dnia popełnione pochłania nieodwołalnie, w cieniu je roztopiając.

Na czym zasiedlanie owych rubieży zachodnich się zasadza, to już jeometrycy pojęli. Kapitan Shelby, choć nie ze wszech miar szalony, w kwestii waśni gruntowych objawy manii zdradza, na długo przed zorzą bowiem nieraz poczyna, aż po wieczór późny spraw sądowych doglądać, tudzież papiery ich tyczące sporządzać czy czytać, osobiwą namiętność dla miedz spornych żywiąc. Drzewo powalone, kura zbłąkana, meandry strumienia, niedogodność najdrobniejsza – zaiste każdy pretekst się nada. Shelby Linię Zachodnią za jej rozmiary podziwia, choć nadziwić czelczyzna się nie może, czemu, na ten przykład, by przyjacielowi się przysłużyć, tu czy tam przy prostej załamka nie wykrojono.

– Królowie! – Mason wzdycha, wzrokiem przy tym dopowiadając: „cóż my, owieczki biedne, poradzić na to możemy”, lecz Shelby równie zbolałej miny przybrać nie jest skory. – Oto jak rozumują, jednym gestem sto mil kreśląc. „Rozkazuję, by tak to podzielono!”. Drobiazgi jeometryczne głowy im nie zaprzatają.

– Jedną czy dwie mapy skreśliwszy, znam ci ja ową niecierpliwłość, aliści na tym ma wyrozumiałość się kończy. W tych stronach król na niewielu liczyć może, a żołnierze jego zaprawdę głupcami, jeśli za Cumberland¹ nadto nos wysuną. Z pewnością słowa te im powtórzycie.

– Komu?

– Komukolwiek, kto zapyta.

– Za szpiegów nas bierzesz, kapitanie? – Dixon, jakoby do bitki skory, bliżej podchodzi, a w głosie jego ton zaczepny z szynku rodem pobrzmiwa.

– Panowie, byłem tu już, gdy ostatnia wojna wybuchła, i niejednemu szpiegowi każdego pokroju gościńcem ofiarowywałem, albowiem, skoro podróżować muszą, tedy część wojażerów tymże fachem się para – mimo to wstępu w me progi nie bronię nikomu. Zresztą rusznikarz czy poborca grzeszy jednako, choć, przyznać muszę, iż grę w otwarte karty wolę. Bardziej to mężczyzny godne, czy mi racji nie przyznacie?

Dixon, uśmiechając się szeroko, jeszcze bliżej się przysuwa.

– Lecz jeśli się kto czai, gdzie sekretów do wykradzenia już nie staje, dalibóg, piątej klepki mu brakuje.

– Jakże to?

– Jakiegoż tu zakątką, świadomie czy nie, setki razy nie odwiedziono? Bardziej chyba popłatne żeń-szenia zbieranie.

Shelby też jest jeometram rzecz jasna, co po górach okolicznych z zapałem wędruje, instrumenta swe niczym oręż dzierżąc.

– Ach, z miejsca pojąłem, jak to było – do Dixona tajemniczym tonem się zwraca. – Pojąłem, jak magowie pradawni czynami swymi rozkoszować się musieli. Przez

¹ Fort.

tubę mosięzną, przez szkło matematycznie ukształtowane, podle własnego uznania zerkamy, z każdym instrumentu obrotem wycinek wybrany się przesuwają – i oto kąć zapisać możemy! Mój Boże – cóż za moc, cóż za władza!

Shelby trzyma, iż w Ameryce w złożoności się lubują. Przewrót nieskalany geometry czeka – żadna miedza stara, płot czy ulica poligonii, choćby nie wiadomo jak wymyślnej, nie hamuje, a osobliwie w Maryland, gdzie włościom nadawanym sto boków posiadać podobna, do czego prawo powtórnego dzielenia gruntów zagrzewa. Kąty takich granic na zewnątrz prą i do środka, krawędzie po skosach biegną niezliczonych, proste to przed siebie suną, to podwójnie nakładają, w pętlach nowe pętle tworzą – w Nowym Świecie czworograny pogardą się darzyć.

– Może i tak. – Dixon głową niepewnie kiwa. Nigdy wcześniej o swym fachu w ten sposób nie myślał. Lata, które na podróżach z przyrządami spędził, na apogeum szaleństwa ogradzania w Durham przypadły. I on do tego, niestety, rękę przyłożył – z gruntów gminnych swych przodków wielokąty wykrawał, linie inkaustem kreślił w płoty kamienne zmieniane, stada owiec z wrzosowisk rozkazami rozdzielał – pędzono je później w deszczu, mokre i skołtunionie, ku furtom, precz, na wygnanie. Kąty mierzył podobną co u Walijszczyka chciwością kierowany, choć być może nie tak często, gdyż Shelby, jak się zdaje, goniolatrii, czyli wiary w kąty, wyznawcą jest gorliwym i z pomocą jak największej ich liczby poalacie dziewicze znaczy, z każdym instrumentem obrotem w humorze coraz wymienitszym.

– Najważniejszą rzeczą swe włości wymierzyć. Nawet gdy się ich właścicielem nie jest. Tu, w samym sercu Alleghenów, stanąć na dukcie przez się wyrąbanym moście, spojrzeć, jak przez mile długie w obie strony cudo owo bieży i ogromem swego wyczynu upojeni, udawać począć, iż to wy dukt posiadacie. Każdy handlarz tonikami, dziewczka, szuler czy grajek z banjo, który podle Linii podróżować będzie, myto komuś mógłby zapłacić. Nie za duże – niżli renta nie większe – błahostkę nie myto doprawdy, gdyż czymże piosnka jedna, sztuczka karciana czy dziesięć minut na stryszku z sianem?

Shelby w podróży za North Mountain im towarzyszy, gdzie śnieg z deszczem na zmianę padać poczyna i przez dni dziesięć nie ustaje. Mężczyźni karty, kości, książeczki za centa, piersiówki i flaszki dobywają. Mason w sen zapada, poprosiwszy uprzednio, by go jeno w razie wiosny nadejścia budzono. Dixon nieco o *luo-pan* od kapitana Zhanga się uczy, w zamian budowę sektora Chińczykowi objaśniając.

– Uwaga, jaką na gwiazdach zenitu skupiamy – poddaje – skłoniła mię, bym sobie przedstawił astrologię *odwrotną* lub też *antyniebieską*, gdzie gwiazdy, rzecz można... do środka się rzutuje. Z mapy nieba na płaz globu przenosi. Dajmy na to, jako iż nad Greenwich Gamma Draconis góruje, Smok znakiem jest ziemskim Anglii przypisanym.

– W samej rzeczy – kapitan przytakuje.

– Aliści monstra, które w Durham „smokami” nazywamy, do chińskiej odmiany niepodobne wcale. Taki na przykład Wąż¹ Lambtoński, co skrzydeł nie ma ni ogniem nie ziaje – całkiem inny gatunek to chyba.

– Czy sam stwora takiego widziałeś?

– Dzieckiem będąc, opowieści słyszałem. Zamek Lambton niemal nad Morzem Północnym leży, przeto historia z doliny Wear to dla nas w Cockfield była, która, niczym łosoś sędziwy, lata całe w górę rzeki ku nam płynęła... Na rynku w Bishop, jak

¹ W oryginale *worm*, czyli zwierzę pełzające (w tym wąż) w języku staroangielskim, a we współczesnej angielszczyźnie robak, glista.

i na jarmarku w Darlington nieraz trupy wędrowne ją wystawiały, z czego sześciu aktorów do roli węża było trzeba. Prospekt tak malowano, by marszczki morza, wzdłuż murów szepczącego, na myśl przywodził, zaś w parku za nimi kształty tajemnicze z romansu rodem. Dziś wkoło Lambton od kopalni się roi, a sporą część gruntów zsunnie zajęły, nadbrzeża węglowe i wagoników tory, lecz wówczas rzeka dziksza i czystsza była, nie do końca do służby Bogu chrześcijańskiemu zaprzęgnięta, choć, tak się składa, iż ryb poławianie w niedzielę w owych stronach dawno temu zakazem objęto.

Fajki wyciągają, które Zhang suszem nabija „chińskim tytuniem” zdawkowo przez siebie zwanym i z kurtuazją węglnikami z ogniska zapala.

– Trzpiotowaty John Lambton, Jego Lordowskiej Mości dziedzic, młodzian równie w kompanii zuchwały, co w strumieniu zwinny – na swym własnym odcinku Wear osobliwie – od dawna na zasadę ową nie zważał. Pewnej niedzieli, miast spodziewanej troci coś na kształt niewielkiego węża na brzeg wyciąga, z rzędem ohydnych otworków skrzelowych, co po obu bokach od głowy miarowo się rozdziawiają. Z początku szlachcic za minoga zdobycz bierze, lecz ten wszak siedem par jeno, nie dziewięć, posiada. To coś innego. Chłód dziwny młodemu rybakowi skronie zalewa – drganie przytomne na żyłce czuje. Roi mu się niemal, iż stwór wzrokiem go świdruje, spojrzeniem złowrogim i świadomym...

W tej samej chwili nadjeżdża galopem druh Johna, Reginald, z parą juczych koni.

– Dobra nasza, John, rusz się. Maurów zabraknie, gdy w końcu do Jerozolimy dołączymy.

– Co takiego?

– Kruczata! Kruczata? Nie patrz tak na mnie, nie, proszę, mówiłeś, że jedziesz. A niech mnie, co tam masz u wędki? Fuj, paskuda. Wrzucaj ślicznotkę z powrotem, kolego, Abdul na guza nie będzie czekał. Tempo, tempo¹.

– Tak, już, Reggie, tyle że rzeka... Pewności nie mam, czy to miejsce zdadne, dobro ryb i takie tam wzięwszy pod rozwagę. Może patrz, ta dziura z kamieniami wkoło. Tu stwora wrzucę i po krzyku.

– Mówisz? Czy to nie studnia czyjaś?

– Dzierżawcy jakowegoś czy co tam, kogo to obchodzi? – To rzekłszy, jednym z owych gestów rycerskich, młody bęcwał, z miejsca przeklęty, węża wrzuca.

– Pysznie! – ubawiony Reggie woła i obaj wesoło na wschód ruszają, gdzie przypadków rozpaczliwych wiele ich czeka.

Wąż tymczasem, próżnowaniu daleki, niemal bezzwłocznie rosnąć poczyną. Miejscowi słyszą, jak o ściany swego kamiennego łona się obijają, a co śmielsi, w mrok zagłądając od ech gęsty, kształty stwora prawie że miarkują. Wkrótce woda w studni przykrego smaku nabiera, kwasem, metalem, piżmem gadzim nasyczonego. Wiadra w głąb spuszczone nie wracają, w nocy zaś skrzywienie z wnętrza dochodzi, gdy jakoś moc ogromna cembrowinę rozpiera, aż pewnego ranka, o świtaniu, para ślepi wielkich i błyszczących znad krawędzi łypie – baczne są to drapieżnika oczy. W oparach woni trującej i straszliwej bez wysiłku wyraźnego gad ze studni się wyłania i powoli ponad murkiem przelewa – zaiste, za długo nieco trwa owo przelewanie. Wszytko, co wkoło żyje, w tym rośliny, zatrudnienia swe porzuca i zamiera. Wąż dość jest wygłodzony, jak się zdaje.

Bez pośpiechu ku jednej z wysp na rzece zmierza, którą to za swą siedzibę obra. Proste ma potrzeby – jadło, napitek oraz przyjemność z mordy czerpaną. Owca-

¹ Fragment napisany jest w oryginale slangiem bogatej młodzieży z lat 20. XX w.

mi i świniami bestia się żywi, mleko z dziewiątki krów naraz wysysa – cyfra ta przez opowieść się przewija, choć ciemne są tego przyczyny – zaś psy beztroskie, koty i ludzie za lekką przekąską jeno mu służą. Wkoło leżą maskary krąg spustoszeń wciąż rośnie, w który się nikt nie zapuszcza, a przed którym świat umyka, krok po kroku w strachu się wycofując. Gadzia wędrówka każdego dnia dłuższa, aż w końcu podgrodzi Lepton trwoga sięga, owego azylu ostatecznego, w którego murów opór skuteczny powszechnie się wierzy. Aliści mieszkańcy zamku śmiałości nie mają, by do schronienia się w ich gronie zachęcać, bowiem wąż w potrzebie konia w galopie dogania. Wiele już takich śmiertelnych pogoni z góry uważali, gdy bestia bez trudu ofiary osaczała, te zaś pośrodku łęgów umknąć dokąd nie miały.

Odtąd wszystkie myśli ku gadowi wybiegają. Zarządca zapasy spisywać poczyna, racji wydzielanie poważnie się rozważa, kaplica nie pustoszeje nigdy. Czasy beztroski przeminęły, dni zatrudnienia obronne wypełniają. Inżynierowie katapultę na dachu do porządku doprowadzić usiłują, hak procę zwalniający ulepszając. Wąż tymczasem tak na długości przybrał, iż wkoło murów się owinąć snadnie jest w sile. Dnia pewnego znak jakowys – Miesiąca kształt zdadni, kruka wrzask czy cień chmury pędzącej po niebie – podle gadziej logiki ludziom nieznaną, chęć nieposkromioną w stworze obudzi, by mury te roznieść i bez litości przetrząsnąć. Nagle na tle nieba łeb zamajaczy i godzina uczyt dzikiej wybije. Potwór zamek w kocioł wziął dosłownie, a z kotła niedługo pożywiać się pocznie. Kiedy, tego orzec niepodobna. Miejscowi warty nocne pełnią, w zarośla na stokach wzgórz się wtapiając, rachując, jak prędko rwać będą musieli, jeśli się bestii w oczy rzucą. Mijają dni, dni w tygodnie przechodzą. Wąż obszar zniszczenia powiększa nieprzerwanie, jeno środek jego przeniósł i co dzień z polowania wróciwszy, wokół zamku się teraz owija, gdzie ofiary wypadu hałaśliwie trawi. I właśnie wówczas, gdy owo oblężenie coraz bardziej we znaki się na zamku daje, John Lambton młody z krucjaty powraca.

Z pozorów nabijanie niewiernych na pale wyszło mu na zdrowie – mocny jest i ogorzały, swobody większej w siodle nabrał – lecz w głębi duszy strach przed tym skrywa, co też w domu rodzinnym zastać może. Do swej siedziby rodowej się zbliżając, na długo przed wężą obaczeniem, nosem go czuje. Smok bardziej by mu się uśmiechał. Zdarzało się, iż te w hrabstwie Durham grunty pustoszyły czy też przy drogach się zasadzały – tedy jednej z rodzin ze szlachtowania smoków znanych, Latimerom, Wyvilom czy Mowbrayom, pozbycie się gada w udziale przypadało. Atoli owe stwory, w starciu szlachetne, ogniem zionące, w skrzydła i pazury zbrojne, cechami gadzimi nie szkodziły nikomu – niemalże za dodatek zbędny brać te można było. Nic z tych rzeczy bestii nie tyczy, którą Lambton, zakręt ostatni przed domem pokonawszy, miarkuje i jako dzieło własne rozpoznaje, coś, z czym dla odkupienia win zmierzyć się musi.

Czas z wężem nie obszedł się w studni łaskawie. Ohydą raził, jeszcze marnych rozmiarów będąc, teraz zaś John, choć niejedno na wschodzie widział, walczyć z sobą musi, by oczu nie odwrócić. Otworów osiemnaście wielkością nową zadziwia, a każdy kruczoczarnym pierścieniem otoczony z materii jakowejś, liszajem błyszczącej. Złośliwość młodzieńcza, przez Lambtona spamiętana, z pyska znikła w odosobnieniu cembrowanym i ten za oręż teraz jeno służy, co żądzy krwi upust daje, a spojrzenie przezeń rzucane, gdy przez ofiarę jest przechwycone, z miejsca ruszyć jej nie pozwala ni wzroku zakłętego odwrócić. Nawet Lambton, choć w odległości bezpiecznej stoi, dziwnie jest nim zaintrygowany.

Po prawdzie młodzian w Ziemi Świętej nie bawił – najdalej do Transylwanii dotarł, gdyż jedna z ostatnich krucjat to była, przez niejakiego kardynała Cæsarinięgo prowadzona, o pobudkach bardziej łupieżczych. Owa żądna przygód gromada, pokój

segedyński wpierv zerwawszy, w bitwie pod Warną¹ klęskę poniosła, tym samym do tego się przyczyniając, iż Turcy na zachód ruszyć mogli i w parę lat później Konstantynopol zdobyli. Podczas długich tygodni wojaczki starć, choć rozstrzygnięć pozbawionych, było wiele – to w wąwozach majestatem porażających, to znowuż w zamkach nawiedzonych czy pośród tajemniczych stad nietoperzy, co zawsze czaić się w pobliżu zdawały. Pewnego wieczoru Lambton, rozrywki głodny, do obozu cygańskiego zaszedł, w którym to i wróżbitka mieszkała, powszechnie w okolicy szanowana, albowiem, odkąd pamięcią sięgnąć, każdy tu ślub, poród, zdradę, przyływ czy odpływ majątku przewidziała. Także z tego, co się na zamku dzieje, z powagą w głosie lordowi relację zdała.

– Trzeba mi zatem do domu pospieszyć, by monstrum, o którym mówisz, zgładzić. Czy zwycięstwo mi pisane?

– *Bocsánat*², zgonami się zajmuję. Zbyt niom wesoła z przyrodzenia po temu. Po takie wyroki do Rumuna się udaj.

– Nieco to jeno groźniejsze niżli w fechtunku wprawka będzie, czyż nie? – Młody Lambton pospiesznie z siebie wyrzucił. – Równie gwałtowne, co pojedynek na kopie może?

– Milordzie, błagam. Mój czas, jak i twój cenny. Jedno, co zrobić mogę, to księdza tu wezwać i zarobek swój na dwoje podzielić. Przysięgę dla waćpana zmajsrujemy.

– Cokolwiek, byle prędko – rzekł, na koncept przystając.

Przysięga prosta była. Kilka razy ją przeczytawszy, kruczka żadnego znaleźć nie był w stanie, przeto z chęcią przy swym mieczu ukląkł i przysiągł, iż jeśli Bóg zwyciężyć mu pozwoli, tę rzecz mu poświęci, jaką pierwszą po walce obaczy. – Są i klauzule karne. – Na długim zwoju pergaminu, który właśnie podpisał, ksiądz pomocny je skazuje.

– Jeśli wygram, tak przesiąknięty krwią będę, iż jatka mniej na mym sumieniu zaciąży, mniej nawet niżli tu, w Transylwanii. – Młody dziedzic przyznał szczerze, acz ponuro. – Z tych miar przysięgi dotrzymam i na pojedynku się stawię.

Aliści, do Durham powróciwszy – Boga raczej za Fortunę niżli byt kościelny mając – młodzian za powinność swą uznaje także to, by z całą mocą szanse swe zwiększyć, do wszelkich możebnych środków się uciekając.

Z pomocą jednego z chłoptasiów, którzy, gdy węża w pobliżu nie ma, przy drogach do zamku biegnących wystają, na gońców przygodnie się nając skorzy, Lambton ojca swego powiadamia, by dźwięk rogu myśliwskiego usłyszawszy, co zwycięstwo nad gadem oznajmi, jednego z zamkowych ogarów mu przysłał. W umowie tej obaj szlachcice nic złego nie widzą – wszak Bóg swą ofiarę otrzyma, a każda z owych psin niczym krewny bliska.

Następnie młody Lambton do Washington jedzie – to stąd właśnie przodkowie pułkownika się wywodzą – by tam z płatnerzem się rozmówić, tym samym, co go na krucjatę szykował. Łuna owej kuźni, na wiele mil widoczna, tu i ówdzie w nurcie Wear się odbija. Ku przybytkowi rozjarzonemu galopując, problem rudymmentarny swej taktyki rozważa, a mianowicie, iż pospolitemu mieczem na osobne kawały będąc pociętym, wąż ponoć zrosnąć się potrafi, po czym do boju bez szwanku wrócić.

– Sam nad trudnością tą wiele dumałem – płatnerz go wita. – Miło widzieć waćpana. Proszę do środka, dzieło me obaczyć.

¹ Oba wydarzenia z roku 1444.

² Węg.: proszę wybaczyć.

W warsztacie, gdzie czeladnik spocony nieodgadzionym wzrokiem ich mierzy, w upiornym świetle przez węgle dawany, zbroja lśni, na miarę Lambtona robiona, z setką ostrzy na sztorc przytwierdzonych, których głównie krwawe blaski rzucają.

– Wybornie. Skrętem cielska dusić nie będzie w sile. Oko w oko stanąć mu ze mną przyjdzie, a jeśli piką szczęśliwie trafię...

Strategię do późna w nocy omawiają, po czym John ze zbroją w siano owiniętą powraca. Po raz pierwszy pojmuje, iż wszędzie dokoła dusze śpią w ciałach prawdziwych, jak i na Węgrzech, śmiertelnych, których lekceważyć mu dłużej niepodobna, i że o świcie, w snach powiadomieni, wszyscy zbudzą się, wiedząc, co się dziś wydarzy.

Młodzian na wyspie gadziej czekać postanawia. Z obu jej stron rzeka bystro płynie, ptaki zaś, złęknione, z drzew się nie ruszają. Przez wzgląd na mrowie patrzaczy, co na brzegu się czają, rycerz kłęczy przez chwilę, jakoby przysięgę odnawiał, a wstawszy, kawałek za kawałkiem tnącym, zbroję swą brzytewną wdziwać poczytna. Wreszcie wszystko na walkę gotowe. Wtem ucho Lambtona szelest węża zachwyca – niewyobrazalna masa mokrego cielska, wiedząc dobrze dokąd, wśród szuwarów sunie, coraz bliżej, aż w końcu pysk rozwścieczony i trupi, nad trzciniami górując, z mgieł rzecznych się wyłania. Wąż olbrzymi w długim wydechu syczy. Szlachcic jeno uśmiecha się krzywo, gdy odórów z jego nozdrzy dobiega. – Po walce aż nadto będzie czasu jadło zwracać, atoli na razie pięknie dziękuję.

Potyczka to krwawa i niespieszna, ruchy w dużej mierze jednakie – sen gorączką trawiony, a końca daleki. Większa część dnia na boju schodzi. Brzdące na tyle podchodzą, na ile im śmiałości staje. Niedorostki o broni rozprawiają, zbroi i siekania technice. Mieszkańcy okoliczni z wzniesień uważają morze krwi bryzgającej, co rzekę przepelnia, i rycerza postać, drobną, roziskrzoną. Zda się, iż upór Lambtona nie ma granic. Ci, którzy z dawnych czasów go pamiętają, jako chłopię próżne i trzpiotowate, przemianie nadziwić się nie mogą. – Nim do Jerozolimy wyruszył, jak nic byłby czmychnął, filut jeden. Tymczasem młodzian w walce nie ustaje. Wreszcie, zbyt wiele ran coraz głębszych odniósłszy, wąż zabliznić wszystkich już nie potrafi. Szereg wrzasków nienawistnych tedy wydaje, co aż po Chester-Le-Street dolina echem niesie, po czym w odmętach rzeki przepada. Krew jego już w połowie drogi do Dogger Bank¹, teraz on sam w osobnych połaciach za nią podąża, ku morzu, gdzie nawet ryby najsrożej żarłoczne mięso gadzie jeno podgryzać będą.

Ku zamkowi ocalonemu Lambton ostatkiem sił się wspina, olifant dobywa i dmie tak jak ustalone. Psy w środku, dźwięk ten słysząc, szczeleć poczynają, a takie przy tym są podekscytowane, iż żaden ze sług zbliżyć się doń nie śmie. W tym czasie, o warunkach przysięgi zapomniawszy, stary dziedzic, burzą uczuć oszołomiony, syna jeno obaczyć pragnie. Starszym jest człowiekiem, lecz przez most zwodzony co sił w nogach bieży, ramiona rozwierając. – John! Och, mój chłopcze! – woła wzruszony. Rzecz jasna pierwszym jest stworzeniem, które młody Lambton po zwycięstwie widzi.

– Ach! – Rycerz nad fosą czeka, niemal zbyt znużony, by zmiarkować, co się właśnie stało. Zgodnie z kondycjami zawartej umowy, ojca swego zabić teraz winien. Nietrudne to zadanie – tamten tak jest poruszony, iż do piersi go przycisnąć mocno by starczyło, by ostrza posoką skalanej zbroi reszty same dokonały. Rzekłby innym, iż zapomniał się strudzony. Nadto, na dalekich Węgrzech śluby składał... Wszak z wielu mniej przyjemnych powinności Europy wobec historii Bóg Anglię zwalnia, przeto przysięgi w odległych krajach złożone, w towarzystwie księży i Cyganów zamorskich, moc swą z pewnością także tu tracą, nieprawdaż? Na sofizmat takowy so-

¹ Rozległa ławica w środkowej części Morza Północnego.

bie pozwala – opóźnia to zmierzenie się z tym, co już mu wiadome – iż ojca zabić nie jest w sile, iż przysięgę daną złamać musi, podobnie jak niegdyś świadomie pokój szwedzki zerwał... Owym czynem już jest zhańbiony, cóż mu zatem zawadą stoi? Miecz, poniekąd krzyża wizerunek, na który to wówczas przysięgał, upuściwszy, odwraca się i odchodzi, by takiego pomocnika znaleźć, co go ze zbroi ostrej, zatrutej teraz może, wydobyć gładko umiał będzie. Po prawdzie, przy okazji porachunków wewnętrznych¹ nieraz jeszcze ów pancernik włoży.

– Klątwa w umowie określona na tym się zasadzała, iż przez dziewięć pokoleń – tyle, ile par otworów potwór sobie liczył – żaden z lordów Lambton w łóżku miał nie skonać. I tak oto, posobnie, to tonęli, to w bitwach padali – pod Wakefield, na Marston Moor² – ni jeden w domu, bez pochyby. O ostatnim, dziewiątym lordzie, Henrym Lambtonie, w Kapsztadzie bawiąc, w liście z Durham wieści otrzymałem, iż trzy tygodnie po przejściu Wenus zginął, powozem przez nowy most lambtoński przejeżdżając.

– Jakże szybko jego przejście w zaświaty nastąpiło – Mason szepcze. – W połowie był drogi między dwoma brzegami, nigdy do Lambton, swego ziemi skrawka, dotrzeć nie mając...

– Tak właściwie, w przeciwnym kierunku zmierzał – Dixon wtrąca. – Przez Wear ku szerokiemu światu, po przygodę nową.

– Okrutnie odstużone – Wielebny mniema. – Dziewięć niewinnych pokoleń. Czekolwiek by młody Lambton przeciw poczwarze użył, źródło owej pomocy ofiary krwawej się domagało. Rycerz własnemu ojcu życie darował i z tej miary miałyby on i potomkowie jego przez stulecia pod klątwą cierpieć jakże dotkliwie? Cóż za siła nieczysta równie bezlitosną być mogła? Czy podobna, iż w pojedynku nad rzeką niewłaściwe moce zwyciężyły?

– Chrystus owego dnia triumfował – Dixon rzecze, którego poglądy na wiarę dla wszystkich zagadkę stanowią, a teraz najwyraźniej wielce jest zdumiony, iż inne zdanie w tej kwestii mieć można.

– Cóż, z pewnością chrześcijanie – Shelby trzyma.

– Aliści – Wielebny Cherrycoke poddaje – możebne, iż wąż był uosobieniem, hm, starszego porządku rzeczy. Podobnie jak przypowieści alchemików z czasów zamierzchłych, przypadek ten jakoweś nauki tajemne poprzez symbole miał krzewić.

– To ów gad w studni znakiem pradawnym. – Na tle zorzy wieczornej u wejścia do namiotu stojąc, gdzie wiatr od gór ciągnący go owiewa, nagle Evan Shelby jakoby wyższy jest, przebieglejszy, a i okrutny bardziej, niżli się przy pierwszym spotkaniu zdawało, a oczyma wywracając, szaleństwo celtyckie zdradza. – Wąż przez pierścień przechodzący, kopulacja uświęcona. Znacznie starsza to magii odmiana i z pewnością coś, co Kościół rad byłby wytępić.

– Przemyslenia takowe zbyt często w mym fachu, jako „stukeleyowskie”³ się potępią, a przynajmniej „stonehengeiańskie” – Wielebny Cherrycoke dodaje.

– O „masońskich” nie wspominając. – Dixon na kompana skazuje, lecz Mason na setki łańcuchów w zasępieniu się pogrążył i niemal bezwiednie dzban burbona glazurowany z rąk kapitana Shelby’ego przyjmuje, ten zaś wywód swój ciągnie dalej.

¹ Chodzi o wojnę Dwóch Róż (1455–1485), krwawy konflikt o tron angielski pomiędzy dwoma liniami rodu Plantagenetów, w której zginęła spora część szlachty, co przyczyniło się do ważnych przemian społecznych.

² Pierwsza bitwa z okresu wojny Dwóch Róż, z roku 1460; druga z okresu wojny domowej, z roku 1644; obie stoczono na północy Anglii, czyli w pobliżu zamku Lambton.

³ William Stukeley (1687–1765), wyznawca kabały i druidyzmu.

– Niemniej, kopiec w kształcie węża, co na zachód stąd za Ohio widziałem, wielce ten z angielskiego Avebury przypomina. Ludy z sobą powiązane wznieść je oba mogły.

– Czerwonoskórzy w Wielkiej Brytanii? – rzecze duchowny nieco zadziwiony.

– Waćpanie – Shelby przy swoim ob staje – jeśli między Indian pójdziesz i węża wspomnisz, rzekną, iż ów kopiec, jak i inne budowle ziemne, które się w tym kraju pospolicie spotyka, stały już od dawna, gdy ich przodkowie tu przybyli. Powiadają, iż rasa olbrzymów je wznosiła... Raz wśród splotów jednego z węży noc całą kryć się mi przyszło. Dziksza zwierzynę sobie upodobały... Szewanezi trzymali się z dala, a ja nawet usnąć zdołałem – na krótko, lecz spokojny nad zwyczaj, pewny, nie wiedzieć czemu, iż podejść się nie odważą na tyle blisko, by mię tam odnaleźć. Przebudziłem się dziwnie pokrzepiony, wróg znikł, niemalże świtało.

Z oddali okrzyk niewieści ich dochodzi:

– A niech cię, Tom! Znowuś mi staniczek rozdarł!

Kapitan Shelby, troską ojcowską kierowany, głowę z namiotu wystawia i w tę stronę spogląda. Zaiste, nic się tu przed nim nie ukryje.

Jeometry, którzy w czasie wcześniejszych wędrówek wielu mu podobnych włodarzy ostępów poznali, nad konstytucją jego już dysputowali.

– Brwi spore skłonność do dziwactwa zadziornego zdradzają – Mason wyrokował.

– Jest ci w Pliniuszu ustęp zdalny. A jeśli nie, być tam winien.

– Równie daleko stąd do Filadelfii, co z Durham do Londynu – Dixon dumal – a jeśli się na puszcze, szczyty i wąwozy poprawkę weźmie, o wiele więcej i ponieważ jak w domu się czuje. Zachód tym jest dla Amerykanów, czym północ dla Georgie – to podobieństwo większe, iż władza miejscowa w rękach ekscentryków leży, udzielność większa – rzec by można, *scotismus*¹ tu się czuje.

– A każdemu tu „...w obliczu głębokie bruzdy wyrył piorun i osiadły troski na licu bladym, choć pod czołem nieustraszoną, męźnym, pełnym pychy, knującym zemstę, tkwi okrutne oko”². – To Wielebny opis szatana z Milтона wtrącił.

– A najdziwniejsze to w tym wszystkim – kapitan na powrót wzrok ku nim zwraca, z Dixona teraz zadrwić skory – iż dla stojącego na ziemi wąż taki jeno wałem piachu wysokim, a kształt jego właściwie ocenić jeno z wysokości setek stóp podobna.

Dixon raka piecze, wierząc, bez przyczyny, iż o jego lotach nad wrzosowiskami skądś Shelby’emu wiadomo.

– Pagórek być blisko musi jakowyś czy drzewo wysokie.

– Niestety, nie dość blisko, by z niego wał uważać, waćpanie.

Jeśli kto był kiedy ciekaw, jak też chochliki w latach posunięte się prezentują, ten więcej niżli bardzo byłby może ukontentowany, minę Shelby’ego teraz widząc. Złośliwość nieposkromiona z oczu mu wyziera, której jeno z racji mnogości zatrudnień w pełni nie wyraża.

– A zatem... – Masonowi ciśnie się na usta pytanie, skąd kapitanowi kształt wału jest znany, jeśli sam w przestworza nigdy się nie wznosił, lecz po brwi krzaczastych ułożeniu miarkuje, iż Walińczyk tylko tego czeka.

– Uświadomić sobie winniście, iż to nie harówka próżna, nie dzikusów banda błoto uklepująca, lecz zawiąs pewną ręką artysty skreślony, falistość podle linii

¹ Wpływ poglądów filozofa szkockiego Johanna Duns Scotusa (ok. 1266–1308), który w stosunkach społecznych przedkładał antyfeudalny indywidualizm.

² Wersy 701. –705. Pierwszej Księgi „Raju utraconego” w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego.

rzeki prowadzona – jeśli nadto w zachwyt popadnę, błagam, poszczujcie mię psami. Na własne oczy jeden z owych tworów obaczyć wam trzeba, wówczas pojmiecie me peany.

61

Tak oto z rana, jeszcze w ciemnościach, jeden z kopców miejscowych odwiedzić ruszają. Shelby, co w każdej chwili chyba w amok wpaść może, za przewodnika jeometrom posłuży. W blasku Księżyca, co niedługo zniknie, szron się na linkach namiotów bieli, zaś dech ich dłużej oparem się unosi, niżli możebnym by się wydawało. Niczym Rzymianie pod opieką druida, obietnicą poznania sekretów zwabieni, Mason i Dixon obóz opuszczają, w zupełności na łasce kapitana, czy też tego raczej, co za łaskę uważa.

– W drogę! – Celt woła wesoło. – Do celu dotrzeć o świcie musimy.

– Szaleństwo – Mason pod nosem mamrocze.

– Wiem, wiem – Dixon rzecze – światło pełni byś wolał, a do tego, jak trzymam, jedną czy dwie sowy.

Blżej potoku na ścieżkę schodzą, którą to Shelby podążyć zamierza. North Mountain granie, nad ich głowami górujące, lada chwila pierwsze promienie słońca zachwyć, szwadrony chmur po niebie gonia, drzewa świergotem się wypełniają, w wietrze mroźna nutka pobrzmiwa, wszędzie mrowie opadłych liści leży. Wkrótce w miejsce woni dymu drzewnego ta dojrzałości przeminionej się pojawia, silna, wszędobylska – i czegoś jeszcze.

– Czujecie? Gisernię nową w okolicy mamy.

Nieopodal brzegu potoku idą. Shelby, brwi zmarszczywszy, patrontasz dobywa i lekko go podrzucać poczyna. Skory się przy tym zdaje do wszytkiego strzelać, co się tylko pod rękę nawinie.

– Młynarze – powiada – odkrywają, iż więcej pieniędzy śrut niżli śruta przynosi. Tanie strzelby dla Indian, a pieniądze filadelfijskie. Tędy idziemy.

Mgła zalega w kotlinach, gęsta i spójna, co oślepia, a ku każdemu oddechy i mamrotania innych niesie. Wszędzie wśród owych obłoków białych czystość świtu powoli, przesywając się objawia.

– Ten grzbiet jeszcze, następna dolina i koniec – kapitan wędrowców zagrzewa.

Grań przeciąwszy, w dół do brodu zmierzają, a potem, potoku się trzymając, przez przesmyk między wzgórzami ku roztoce nowej, gdzie czubkiem swym pierwsze promienie słońca właśnie łapiąc, u zbiegu strumieni kopiec Shelby¹go stoi.

– Do kroćset! – Dixon woła. – Toż to stożek wielki!

– Silbury Hill¹ w foremności nie ustępuje. – Kapitan głowę przechyla, z podziwem cud uważając.

Mason, euforii daleki, nosem wietrzy.

– Oparów sfermentowanej kukurydzy nie czuję, lecz jednak jeszcze wcześniej, czas tu nie pędzi.

– Jaka szkoda. – Walińczyk wzdycha, oczy ku niebu wznosząc, w czym raczej szalonym niżli spragnionym się jawi. – Chodźcie, chłopcy. – Zatem są chłopcami.

Olbrzym ziemny samotnie na swym cyplu stoi, przez poranek chłodnym, czystym różem malowany. Podchodzą bliżej. Pierwsze pytanie, jakie się Masonowi nasuwa,

¹ Kopiec neolityczny w angielskim Avebury, największy w Europie (40 m).

brzmi, czy kopiec strażą niewidzialną obsadzony, a ta w swej robocie bardzo zapamiętała, aliści astronom w gardle je zdusza. Shelby, co z wyrazu jego twarzy czyta, wielce tym stanem ducha jest uradowany.

– A jak się tutejsi Indianie – Dixon pyta – na gości takich jak my zapatrują?

– Śmieją się. Jenó z pozoru lud to posępny – śmiechowi, jako sile przyrodzenia poważnej, świętej nawet, cześć oddają i nie szastają nim bez potrzeby. Ideę budowy kopców pojmują doskonale i to, iż biali z tym kłopoty mają i mieć będą, niezmiernie ich bawi.

– Czy wejść do środka podobna?

– Tak, choć nie powinno. – Walińczyk czoło chmurzy. – Wiele lat temu ktoś się doń włamał, może jakowyś złodziej durny, co kopiec z piramidą pomylił. Szczęściem, zawiódł się ów srodze, nic we wnętrzu nie znalazłszy – żadnego ciała sprzed wieków czy bransolet miedzianych, nawet fajki jednej, gdyż nie Indianie to stawiali.

– Ho, ho! – woła Dixon, w wyłom zerkaając. – Widzicie, jak te pasma usypano? Masonie! Ten przyrząd przez Franklina wystawiany – butelka lejdejska! Pamiętaszże jej warstwy wymyślne, przyjacielu?

– Tak – rzecze astronom zniecierpliwiony – lecz do tamtych folii srebrnej użyto, szkła i listków złota, materii naukowych – ku Shelby’emu zerka – zaś te tu... – wzrokiem je mierzy – ...to jakoweś odpady... ziemia... popiół... muszle skruszone... Mało podobne, by starożytna butelka lejdejska to była, Dixonie, jeśli to właśnie poddajesz.

– Dziw bierze, iż nikt ci tego nie wyłożył, przyjacielu, albowiem wiedza o owych sprawach jest szeroka. Otóż warstwy w swej konstytucji odmienne zawsze mocy gromadzenia są znakiem – niekoniecznie elektrycznej. Być może materie, którymi imć Mason tak gardzi, do mocy bardziej tellurycznych są dobrane, kapitanie, a zatem do śmierci i powolniejszych zjawisk.

Mason głową kręci, pojęcia nie mając, jak taką paplaninę pohamować, choćby nieszkodliwa była. Iż przywódca z niego marny, od dawna mu wiadome. Niepokojem raczej niżli ciekawością kierowany, kapitan Shelby obu się przypatruje, gdyż niejednego przybysza znad czy z za morza widział, którego puszcza i jej sekrety w wariację wpędził. Aliści rezolucję wzięwszy, by rozsądkowi zawierzyć, rzecze:

– Zważcie na to, jak promienie słońca w dół stożka pełzną. Z wolna cała hałda się nagrzewa. Wartością kluczową tu wielkość średnicy każdego z nieskończone cienkich pierścieni. Czy któryś z was kompas może przyniósł?

– Tak, chwileczkę. Hola, hola!

Dixon igłę uważa, czując, iż dokąś odpywać poczyna, w bok od krzywej swego żywota cyklicznej... Mason przez ramię mu zagląda i prosto do ucha chrząka.

– Aa! – Jeometra odskakuje złękniomy. – Nigdy tak nie rób już, Masonie.

Z trudem myśli zbiera, ledwie wie, gdzie się znajduje. Igła tymczasem drga dzioko i bez ustanku, niczym kurek na dachu w czasie burzy. Dixon patrzy nań mądrze, iż nie jest zaskoczony, udając. Mason prycha.

– Cóż, dziękujemy, iż przypadek twój uważać mogliśmy. Zaiste, wielce to pomocne doświadczenie.

Shelby pogawędkę niespieszną by wołał trzech mężczyzn, co o tak wczesnej porze jeno dzień nadchodzący do omówienia mają.

– Linia wasza jak nic chyba kopiec przetnie – jeometrom uświadamia – a dukt, który wkrótce tędy pójdzie, w scenę go przemieni wydarzeń nieodgadzionych. – Zaśmiać się ponuro próbuje, lecz efekta tego zbyt głośne, jako iż głosem sprawnie nie włada. – Jak to w „Rzeczy o Pensylwanii” imć Tox ujął:

*Mocy wzmacniacz z głuszy, jak lud prosty trzyma,
Podle ciągów Ziemi stworzona machina,
Która, co nadejdzie, po wielokroć wzмага
I dalej przesyła z siłą godną maga.*

Bez dwu zdań, walijska to robota.

– Czy podobna? Walijscy Indianie?

– Och, bez pochyby. Na zachód stąd czy południe ledwie dni parę... Kilka lat temu w „Szpiegu tureckim”¹ czytałem. – Walijscy, jak kapitan klaruje, do Wielkiej Brytanii ze wschodu przybyli – jedni o Niniwie mówią, inni o Babilonie – zaś parcie na zachód ich przeznaczeniem. Ameryka jeno jednym z miejsc, gdzie się osiedlili, przestwór oceanu niemal tu znaczenia nie miał. – Hugh Crawford mniema, iż to Tuskarorów plemię. Chodźcie za mną, obaczycie sami.

Ponownie w górę po zboczu ich prowadzi, ku, jak się zdaje, resztkę muru, co niegdys dział wierchołka okalał, nad którą to schyla się i brud ściera. W kamieniu z grubsza wygładzonym szereg kreseczek jeometry miarkują. Jedne ku górze, inne ku dołowi, jeszcze inne obie strony skazują.

– Od tych tu na Wyspach Brytyjskich się roi. Jest to ci pismo, ogamicznym zwane, Hu Gadarna, czyli Mocnego wynalazek. On to właśnie pierwszymi Walijszymi dowodził, co w Wielkiej Brytanii się osiedlili. Jak widzicie, wielce jest użyteczne dla tych, którzy szparco się przemieszczają, atoli, by przytomność swą upamiętnić, to i owo zapisać pragną.

– I co tu stoi napisane?

– Cóż. Z tego, com odczytać w stanie – „Strzeżcie się, astronomowie. A i jeometry także. Tak, tak, was na myśli mamy”. Rzecz jasna, od wieków znaków takich nie czytałem... aliści starowalijska to mowa, bez wątpienia.

– Linie wytyczacie, kamienie graniczne w równych odstępach w ziemi mocując – profesor stwierdza, gdy do obozu powracają. – Poniekąd to kaskadowe jednostek złożenie, z których każda moc wytworzyć jest zdolna. Podejrzewam, iż konstytucja ta baterii lejdejskiej podobna, a także, czy dodać muszę, torpedzie.

– O łbie w poblize New Castle wymierzonym?

– Lub w przeciwnym kierunku, z odwracalną kaskadą – rażenie równie snadnie na zachód, co wschód posyłane. W każdym przypadku broń by to była do użycia gotowa, choćby wasze kamienie ledwo Sideling Hill sięgnęły.

– Po cóż w Sideling Hill celować? – Dixon pyta niewinnie.

– Nie w nie – Shelby się śmieje – lecz w to, co zza niego wychynie.

– Francuzów? Pontiaka?

– Na nich już nie pora. Pewnego dnia jeden z was, na odwagę się zebrawszy, zza grani głowę wystawi i sam obaczy.

– Gór jeszcze więcej? – Mason powątpiewa.

– W samej rzeczy. Góry tym tu podobne, w których cały rok mieszkać idzie. To w ich kotlinach zawsze kolebka buntu skrzypi. Rychlej czy później, coś na tyle tu zgłodnieje, na tyle nadzieję straci, by na równiny wylec zapragnąć, niczym jastrzęb na majątne Chesapeake opaść, a tak na metropolię samą... Jeśli pod Shippensburgiem Czarni Chłopcy bez trudu regularne oddziały brytyjskie rozgromili, kto wie, jakie jeszcze dziwy w ostępach koło North Mountain podobne...

¹ Zapewne chodzi o jedną z licznych kontynuacji fikcyjnej korespondencji autorstwa J.P. Marana z 1684 roku.

Aliści, drzewa obalając, by parę prostych krańców równoległych utworzyć, *sza się* z lasu wywołuje, co Zhang z miłą chęcią by jeometrom wypomniał, zawsze kwestię Linii poruszyć skory, jak i jej widocznego na płazie ziemi wyrazu, którym to ruchy gwiazd władają, prawdziwym kształtom wewnętrznym, czyli Smokowi, obojętne.

– Ci, co sieci prostych na kontynenty nanieśli, z nieba przybyli i tamże powrócili, słowa wyjaśnienia nie ostawiwszy. Teraz pracę ich jezuici ciągną, owi południków kreślarze, czy świadomie dzieło podejmując, czy też zamierzczłym rozkazom ślepo posłuszni, które dawno już sens zatraciły, ha, któż to orzec zdoła?

Rzecz jasna, Zhang jest w sile przypisać zakonowi winy wszelakie, w tym spiszek z bytami niebiańskimi, by planetę oznaczyć z pobudek sobie tylko znanych, o których jezuici nie dysputują wcale, a osobliwie ze swymi najemnikami.

– Miejcie się na baczności, panowie – ktoś na wasz dukt czyha. Nie na Linie czy granicę, jaką ta wytycza. Te jeno pretekstem, by przecinkę stworzyć. Pomnijcie, i las żywołem falującym, jak powietrze czy woda – żywe drzewa osobliwie mocą tchną, która temu czemuś, co tam i nazad Linią ma być przesyłane, zbytnią zawadą stanąć by mogła. Ziemia zatem ciałem jest takim jak nasze, z punktów mrowiem podle meridianów naniesionym. To medycy chińscy owe linie niewidzialne, na ciele człowieczym kreślone, odkryli, na nich zaś, niczym paciorki punkty nanizane, w których to, za pomocą nakłuc igitel złotych, przepływ *czy* dobroczynnie wzmocnić podobna. Z tych miar ten słupków oolitowych szpaler, w grunt częściowo wkopanych, do myślenia daje.

– Czyśmy wysłuchiwać tego skorzy? – Shelby pyta zrzędliwie.

– Wstrzymaj się. Niech to na jego szaleństwo dowód prawny będzie, niechaj gada. Cóż nie powiesz, kapitanie. Fascynujące. Trzymasz zatem, iż Ziemia żywym jest stworzeniem?

– Podobnie jak żyjątko, co na twojej skórze żyją, iześ sam planetą jest, trzymają. Kto wie, może o to, czyś formą życia, właśnie w tej chwili się sprzecają? Za każdym razem, gdy się w wannie zanurzasz, klęska potopu powszechnego nowa ich dotyka, na powrót potomkowie maluczkiego Noego świat zasiedlają, pokoleń szereg nowy – nim na kolejną kąpiel przyjdzie pora, dlań szmat czasu minie nieogarniony.

– Czy jest jakiś powód, dla którego flaszka szybciej nie krąży? – Dixon się dopytuje. – Dziękuję. Masonie, bez obrazy, przyjacielu, lecz kapitan mądrze prawi.

– Mądrze?

– Sam pomyśl. Zewnętrzny i wewnętrzny płaz posiadamy, czyż nie, które matematycznie, to łatwe, pochodnymi się posługując, poprzez ciągle zmiany wypaczać i wygładzać można, aż jakowyś toroid powstanie, z każdej strony z otworami, co prowadzi...

– Hola, hola – Mason woła. – Płaz wewnętrzny? Czy, traf chciał, między ciałem a planetą Ziemią paralelę właśnie przeprowadzasz? Ziemia płazu wewnętrznego nie posiada, Dixonie.

– Czy aby to poświadczyć, u jej kraju byłeś?

– Choć zaprawdę z dalekiej północy pochodzę – Stig wtrąca – znacznie dalej się ta ciągnie. Czasem z niej żagiel na horyzont wypłynie i dzień cały po śniegu sunie, by wreszcie o zmierzchu do naszej wioski zawitać. Wszyscy wówczas w gospodzie się zbierają przy świecach z łoju niedźwiedziego, by grzańca z moroszką popijając, opowieści z ostępów północnych wysłuchać o jamie mrocznej, co się w przestworzach niczym w zwierciadle odbija i lejem olbrzymim w głąb Ziemi, do innego świata prowadzi...

– Panie, ześlij mi cierpliwość! – Mason z miną zbolałą za głowę się łapie. – Jak

nie duch z Cock Lane czy dni jedenaście, których w nowym kalendarzu brakuje, dla wszystkich, którzy wierzą szastać skorzy, znajdzie się i Ziemia Wydrążona!

– Cóż – rzecze Dixon nieco urażony. – Połowa filozofów w Durham w wydrążenie wierzy.

– Połowa, czyli Emerson innymi słowy – Mason prycha. – Jak się ten drugi nazywał?

– Lud Oafery – Dixon gniewnie łypie – druh przedni, a i zawsze cię chwalił.

– Dixonie, błagam. Kwestię rozważ. Jeśli wartość przez Newtona dana trafną, jeśli średnia gęstość podłoża pięć do sześcioraz gęstość wody przewyższa, tedy skorupa twojej Ziemi Wydrążonej, by w rachubach próżnię środka wynagrodzić, gęstość niesłychanie wysoką posiadać by musiała – najmniej, dajmy na to, wody dwunastokrotność, może więcej. Gdzież na to dowody? Skała lita jeno dwa i pół razy gęściej.

– To właśnie Towarzystwo Królewskie wiedzieć by pragnęło.

– Chybaś nie... hm, to jest, wspomniałeś im o...? – Mason miota się, by kompana nie urazić.

– Jedni uwierzyli, inni nie. Niektórzy za wysłannika jezuickiego mię brali, co pod jakąś wyprawę północną grunt urabia. Imć Birch, niech go Bóg błogosławi, nęt zwolenników nam szukać się udał. Inni mniej lub bardziej grubiańskie pytania stawiali, na ten przykład o me górnicze korzenie. Starczy, iż raz Geordie pod ziemię zejdzie, a już wszyscy sobie coś do głowy wbijają.

Po rozgorączkowaniu Dixonu Mason miarkuje, iż entuzjazm kompana zbyt jest wybujały, by go gasić próbować bez czasu zapasów i cierpliwości, jakich astronom nie posiada. Z tych miar melancholii się poddać zbyt jest skłonny wraz z jej pociechy nieniosącymi zmorami, by nawet coś równie niedorzecznego kwestionować – na razie starczy wątpliwości. Im jest starszy, tym mniej pożytku przynoszą.

– Podobna, iż Chiny inną planetą były – kapitan Zhang przypuszczenia snuje – co w jakowejś kolizji nad wyraz powolnej w globie ziemskim się zatopiła, przed wiekami, z ludnością swą, językiem osobnym, a także własnym obyczajem. Ze wschodu północnego wschodu nadleciała, w Pacyfik celując – z kursu zesła nieco, w Azję zaryła, bez szwanku, Himalaje wypychając, i tam też ją pierwsi wojażerowie chrześcijańscy zastali.

Dixon ozywa się grzecznie, a może i z powagą:

– Aliści, to pod rozważę wzięwszy, co nam od Newtona wiadome, jakże owo spotkanie czym innym być mogło niżli katastrofą raptowną i gwałtowną?

– Cóż, nie jeśli na kilka mil przed stykiem pomiędzy zmiierzającymi ku sobie ciałami siła repulsyjna zadziałała, pędowi przeciwna, a zatem go hamująca. Zgodnie, rzecz jasna, z Teorią Repulsji, przez ojca Boskowicza głoszoną, która to atomów elementarnych tyczy, bardzo blisko siebie w przyrodzeniu położonych.

Dixon głową żwawo kręci, jakby jakowyś kanał wewnętrzny udrożnić pragnąc.

– Toż to jezuicka fizyka. Po cóż nam to opowiadasz? Czemuż zawsze „delikatny” być musisz? Czyż jezuci w taki rodowód Chin wierzą?

– Zarpazo wierzy. – Chińczyk, szeroko uśmiechnięty, głową kiwa, jakoby Dixon dopiero co żart pojął.

W przeddzień ruszenia w dalszą drogę na zachód, pod wieczór, zza kanki własnego piwa w pobliskiej szopie warzonego, kapitan Shelby, z twarzy spokojny, o trzeciego geometrę ich pyta.

Mason, podejrzeń pełen, rozgląda się dokoła, jakoby ów jegomość mu nieznanym zbliżał się do nich. Dixon, pojmując, iż Walińczyk zagadkę zadał, nie wie, czy wobec Masona być lojalnym, czy nad jego tępotą rozpaczac.

– Przebóg, kapitanie – czuje, iż zagrać musi – o jakimż to trzecim mowa? Wszak dwóch nas jeno.

– Cóż – Shelby się śmieje – mędrkami ze wschodu jesteście, a wszystkim wiadome, iż ci trójkami chadzają!

– Ha, ha! Przednie, nie powiem, nie powiem!

Mason mniej jest ubawiony. Słowa kapitana na bezbożność zakrawają. Nadto, zły to omen chyba.

– Hm. Niczym Gość Trzynasty, nieprawdaż?

Atoli od owego dnia wieści dochodzić poczynają, iż tu i ówdzie ową postać supernumeryczną się widuje. Ponoć często w towarzystwie zwierzęcia chadza, które większość patrzyaczy jako psa opisuje, choć pewni nie są, albowiem oczy stwora tak się jarzą, jakoby piekło w miniaturze go wypełniało. Tuż przed zmierzchem, gdy drwale, wycinkę opuściwszy, do namiotu jadalnego się udają, a wiatr, jak to w Pensylwanii, na wieczór odmienia, rzec by się chciało, granicę światów znacząc, najzdadniejsza pora, by gościa dostrzec, przypada. Przyłapać go podobna, jak ledwo widzialny, w kapeluszu czarnym, białej peruce, czarnych bryczesach i takimż surducie białym plastronem przystrojonym, trójnog dźwigając w jakowys przyrząd zbrojny, za obozem po dukcie się przemyka. Chodzą słuchy, iż to jeometrów nadzorca, osobno przez plenipotentów najęty, by na Anglików dwójkę mieć baczenie. Lecz gdzież się jego robotnicy podziewają? Inne wyjaśnienia mniej są przyziemne. Figura, której pojawienia się jednym słowem nikt by w Filadelfii nie zaszczylił może, w tych stronach cudem jest obwołana – co osobliwe, dowodów nie staje na to, iż drogę z miasta pokonała – a przynajmniej nie przez las, nie po ziemi.

Wkrótce w obozie słowa ciche „starszego pana przypomina” nieraz padają, do Trzeciego Jeometry się odnoszące, gdyż, jak kapitan Shelby klaruje, od dawna to na rubieżach wiadome, iż jeśli w zamian za sumę z góry płaconą pewną własność duchową wymienić się pragnie, cóż, umowę taką spisać podobna.

– Starszy pan zawsze do kupna skory.

Choć już tak długo handlem tym się para, Walińczyk trzyma, iż swym wygnaniem z królestwa nieskończoności nadal jest rozżalony. Zstał tu, gdzie na przepływ czasu jest narażony okrutny, gdzie surowe miary przestworem rządzą, gdzie wglądu w przyszłość i przeszłość mu się broni, a zatem i wszechwiedzę odbiera. Co się zaś owych umów tyczy, nieco gorzej na nich wychodzi niżli pospolity kauzyperda filadelfijski.

– Przeto gdy brat Pritchard, co tuż za tym pasmem mieszka, rezolucję bierze, by bez wiedzy starszego pana klauzulę z „siłę wyższą” przemycić, w której, jak się okazuje, zwrot „akt woli boskiej” stoi, cóż, toż to impas prawny. Starszy pan umowę nieważnik pragnie, a pieniądze swe odzyskać, Pritchard, ze swej strony, nie tylko kwotę zatrzymać, lecz i duszą także. Obaj okrutnie, okrutnie kosztownych jurystów filadelfijskich wynajmują. Do gazety i na afisze piszący, na trop historii tej wpadłszy, przebieg jej opiewają w pismach, karykaturach i wierszach niezliczonych. Starszy pan, który sam poniekąd pogoń za sensacją wynalazł – po prawdzie, w jego ojczyźnie skwarnej za rozrywkę takową mają – szlachetnością czyichkolwiek pobudek się nie łudzi ni podobieństwem, iż czynny cudze sprawie zaszkodzą srodze, aliści naiwnie – nieszczerze, powiedzą niektórzy – w „sprawiedliwość” uparcie wiarę pokłada.

– Nie wiem, co waść o tutejszym pojmowaniu sprawiedliwości słyszałeś – jurysta przez niego najęty mu doradza – lecz nadzieje swe waćpan poskromić winienes. Miast tego pobyt w mieście nacieszyć się zalecam, do magazynów zajść, do teatru zajrzeć...

Starszy pan rad jest w Filadelfii bawić, tak jest piekło ostatnimi czasy zatłoczone – nawet w najgorszym harmidrze o poranku miasto prerią odludną mu się zdaje – a kto wie, ile proces lat potrwa? Jemu, niczym bóstwu, w mgnieniu oka zleć.

– Dusze potępione, ha, mniemacie, iż dusze potępione sympatią darzę? Zjawiam się ci ja na tym pogromie, „obróbka” zwanym, patrzę, jak się tłoczą, z każdym dniem więcej, porządek robię, lecz czy mię to bawi? Kogóż by to bawić mogło?

– Po namyśle stwierdzam, iż lepiej by było, gdybyś waść do żadnego z naszych sądów pozwu nie wnosił. Podobna, iżby waćpana żywcem tam zjedli, a i jurystę najętego na dodatek. Czy w kosmosie, czy skąd tam waść pochodzisz, by spór rozstrzygnąć, jakowaś metoda się znajdzie?

– Sądownictwo? Kodeks prawny? Ha, ha, dobre sobie. Na cóż nam to? Wysypiskiem odpadów jesteśmy! Wszystkie najgorsze przypadki wasze do nas trafiają! Cóż, grymasić nam niepodobna, choć, rzecz jasna, radzić sobie z nimi po wieczność musimy... Ach, nic to, znowuż biadolę. A przy okazji – kosmos mym rewirem daleki. Ziemi-skim jestem diabłem, chłopakiem miejscowym. Tak się składa, iż Wszechmogącemu teraz służę. Tak, tak, niegdyś adwersarz szanowany, rangą równy, teraz jednym z najmitów wielu. Ech, pieski żywot – już nigdy przy obiedzie interesów omawiać nie będziemy. Czy choć pisze kiedy? Raz na sto lat może! Gdyby któraś z tych dusz potępionych nędzę mego położenia poznała, może nie psioczyłyby tyle.

– Niemniej, dobrze radzę. Odstąp waść od sprawy.

– A gdybyśmy jeno o pieniądze wystąpili? Niechaj swą duszę chłop zatrzyma, lecz podobnego debetu zaksięgowanie mych plenipotentów nie ubawi.

– Nazwij to „kapitału lokowaniem”. Rzeknij, iż suma ta okazała zepsucie Pritcharda zapewnić miała. Wszak duszę potępioną kształtowałeś.

– Zbyt często po ten wykręt sięgałem. Podobnym praktykom już parę obrad temu się sprzeciwili. Cóż począć. Atoli jawisz mi się waść śmiertelnikiem zmyślnym. Może od czasu do czasu pogawędkę sobie utniemy?

– Za opłatą od godziny, rzecz jasna.

62

W Conolways całą noc raz śnieży i rankiem, dwudziestego drugiego kwietnia – pierwszy dzień w znaku Barana¹ – czterocalowa pierzyna grunt pokrywa. Drwale, wstawszy, igrać wesoło poczynają, to za paski kamratom garście puchu wciskając, to kule lepiąc. Wiosna idzie. Masona, co głowę z namiotu wychylił, lawina zmiata, którą to na namiocie wywołał. Dixon, gdy mu śnieżka kapeluszu strąca, za Tomem Hyne-sem wkoło wozu kuchennego w pogoń się rzuca.

– Śniłem o mieście na zachód stąd. – Dixon w pamięci gmera, w kubku kawy jakowejś skazówki szukając, a wiatr w oczy dymem go gryzie. – U zbiegu dwu rzek ogromnych się wznosiło albo też nad zatoką morza śródziemnego. Wielkie miasto, głośne, święte, kwitnące.

¹ To pierwszy dzień w znaku Byka – błąd (?) autora.

- Leśna Filadelfia.
- Cóż, tak, tak, dobrze powiedziane.
- Przyznać jesteś gotowy, mam nadzieję, Dixonie, iż Filadelfia do życia się bu-
dząca, świątobliwością wszystko, na co tu natrafić można, przewyższa. Czyżeś nie
zmiarkował, iż im dalej na zachód, tym coraz więcej sił się kłębi, które miasta przy-
brzeżne odpychać się nauczyły i mieszkańcom ostępów ostawiać? Gromy, zima, nie-
czułość na ból, o pożarach, krwi i tym podobnych nie wspominając, a wszystko to na
skalę w Filadelfii niespotykaną? Siły, przy których my i nasz ukaz królewski pchła-
mi jeno z cyrku pchlego jesteśmy. Z każdym dniem coraz głębiej brniemy w krainę
niczym nieskrępowaną, gdzie prawa nie staje, a jak życie wieść prawe, pojęcia nie
mają, w rubieże coraz bardziej zalesione, dzikie i straszne, aż być może równie dale-
ko na zachód, co twe miasto wyśnione, w końcu do jakowegoś antymiasta dojść nam
będzie dane – skupiska losu, ostatecznej stacji odrzucenia – gdzie nikt z samotności
wykupić się nie może, wszystkim tyle grozi, ile ich dusza znieść umie, a tak nisko się
upada, iż sam Seneka zdawałby się przy nas chrześcijaninem miłościwym.
- Ach, widzę, iż dziś od rana humor ci dopisuje. Atoli życzę, byś radość z snów
swych czerpał, Masonie. Wiem, iż te tuż przed przebudzeniem najwięcej ci uciechy
sprawiają, albowiem uważam cię, sam wówczas nie śpiąc od dawna, do mych koszma-
rów powrócić nieskory.
- Jakże to? Czyżbym przez sen mówił? Czy to poddajesz?
- A owszem, lecz nie trap się, przyjacielu, twych przemów nikt w ząb nie pojmuje.
Cudzoziemska to mowa.
- W obcym języku przez sen mamroczę?! Dixonie!
- Doprawdy, skąd ta nerwowość?
- Czyż to nie opętanie? Obca dusza w ciało me wnika, gdy śpię, ot co!
- No cóż, trzymają niektórzy, iż gdy śniesz, w twym ciele cię nie ma, a inni doda-
liby: „I cóż z tego?”. Nie rób min, Wielebnygo spytaj. Gdyś w objęcia Morfeusza
przeniesiony, na cóż ci twe ziemskie ciało? A tu jakaś dusza się pałęta, która od
wieków może oka nie zmrużyła, która zaiste, czym sen jest, zapomnieć mogła, która,
gdyby latające prześcieradła kieszenie posiadały, za kwadrans choćby drzemki chęt-
nie by cię ozłociła... A oto i twe ciało, niczym gospoda w głuszy – nagrzone, osuszo-
ne, w zapasy dostatnie – i puste, pominawszy serce bijące i mózg uśpiony. Z pewno-
ścią niedogodność to błaaha...
- Powiedz mi zatem, wesołku, gdzie się ów duch obcy podziewa, gdym przebudzo-
ny? I w jakim jest humorze?
- Przedstawiam sobie, iż pełen obaw, nowego dachu nad głową szuka.
- Na nic się tu twe domysły zdadzą.
- Nie, jeśli ciebie to nie zadowala. Może by tak kapitana Zhanga poprosić, by raz
pod namiotem się przyczaił i posłuchał? Może mowę rozpozna?
- Chyba się wstydzę.
- Nie ma czego, pół obozu to słyszy. Niektórzy mniemają, iż to Indianie. Drwa-
le powiadają, że jeśli to prawda, z plemieniem takowym jeszcze do czynienia nie
mieli.

Później tego samego dnia, gdy z lasu wychodzą, Mason ręką na wschód skazuje,
gdzie obóz się wyłania i niczym żaglowiec płótnem łopocze.

- Coś na szlaku naszej paraleli czeka, zbyt pewne siebie, by wyjść nam naprze-
ciw. Cóż się wówczas z tą cygańską wioską ruchomą stanie, którą tu za sobą przy-
wiedliśmy? – Słońce już się z wolna chyli, w linkach namiotów wczesne cienie,
garnki strzelają, wiatr dym kuchenny przegania. – Podobna, iż nic z tego ciebie czy

mnie nie tyczy. Historia nasza jeno przy przejściu Wenus, w przeszłości i przyszłości zalega, nigdy tu, teraz, przy Linii, gdzie scena wydarzeń do innych należy – Darby’go, Cope’a, imć Barnesa, Toma Hynesa, jakowychś nowo najętych, których nie widzujemy nawet – a gdy wyprawa końca dobiegnie, ni trochę mądrzejszy do Sapperton powrócę, zbudzę się kiedy i wiedział nie będę, czy to wszystko „się stało”, czy też jeno śniłem – nawet o tej chwili, Dixonie, co, wszak świadom jestem, prawdziwa...

– Ojej...

Tymczasem, w każdym razie, scena do Stiga należy, drwała wesołego, przed którym inni pierzchają, peruki i surduty cudze pospiesznie nakładając. Bez potrzeby nikt w proscenium się nie pojawi.

– A kogóż to Stig potrzebuje? – Jejmość Eggslap nieraz wzdycha, nawet gdy ten słowa jej słyszy. Lecz Szwed, siekierą swą sumiennie machając, jak najdoskonalszej klarowności myśli od siebie wymaga. Najwyraźniej owo skupienie ogromne uwagę imć McFee „Lepkie Palce” przywiązało, gdyż w skrzyni Stiga ów jegomość myszkuje, gdy z siekierą w ręku jej właściciel wchodzi.

– Cóż to ma znaczyć? – drwał pyta.

– Ha! A co my tu mamy? – Szperacz zwojem pergaminu wymachuje, piśmem wyblakłym w obcej mowie, szwedzkiej chyba, i pieczęciami wymyślnymi pokrytym.

Stig rękę wyciąga.

– Dawaj, pókim dobry.

McFee na ostrze błyszczące zerka, myśli chwilę i wtem woła:

– Indianie!

– Gdzie Indianie? – Stig pyta zdumiony, w próżnię namiotu, jak się okazuje, bo-wiem złodziej ulotnić się już zdążył. Szwed, ryk wydawszy, w pogoń się rzuca. Kotły z praniem w biegu przewracają i o gaje potykają, co niejednen namiot do upadku zmusza, a przy wozie z zapasami bitą minutę spędzają, tartoflami i cebulami z furią się obrzucając. Wreszcie imć Joseph Warford („Józek Odrocznik”), druh Shelby’ego po fachu, wkracza i obu zatrzymuje, a gdy do namiotu kuchennego przechodzą, ów zwój tajemniczy bada.

– Hm, po szwedzku to, Stig, spisane?

– Po łacinie – drwał odpowiada.

– Dobra nasza, Stig – Shelby grozi. – Kawa na ławę albo inaczej pogadamy.

– Proszę bardzo. W imieniu pewnych mocodawców szwedzkich tu przebywam, co trzymają, iż Pennowie, Rzymu poplecznikami w sekrecie będąc, ziemie niegdyś do Svånssenów należące, na których teraz Filadelfia stoi, bezprawnie sobie przywłaszczyli, a zatem iż metropolia ta cała nigdy szwedzką własnością być nie przestała.

– Do kroćset, szwedzcy jakobici! – Dixon cmoka. – No, prawie. Lecz, Stig, czemu?

– Wśród błyskotek waszego wielkiego świata płomień w naszych sercach snadnie mógł być przeoczony, aliści ukrop od niego taki bije, iż pewne ręce długie, do złodziejstwa nawykłe, nadto zbliżyć się doń by nie śmiały. Szwedzi od samego początku tu byli, w pokoju pośród Indian mieszkali, bez potrzeby, by ziemie swe fałszem zdobywać. W rzeczy samej jednym z plemion Pennowi się zdawali, włości mu nadane zajmującym, których pierwszeństwa prawo na równi z indiańskim go irytowało – z tych miar od zawsze spór o granice się tu w gruncie rzeczy toczył i tych dwu astronomów w końcu sprowadzono.

– Stig! – jejmość Eggslap woła. – Pojęcia nie miałam! Ty mówić umiesz! Łaskawy panie, z chęcią rękojmię za niego wplączę.

– Lecz przecie – imć Barnes, jurysta obozowy, oponuje – owe szwedzkie roszcze-

nia ponieważświe czynione. Osiem dziesiątek lat przeszło, król na tronie nowy. Jakże tu jakiegokolwiek nadzieje żywić?

– Wysłannikiem jeno jestem. Aby szerszy mieć pogląd na korzyści i pobudki, poza proste pragnienie sprawiedliwości wykraczające, wśród znajomków jezuickich języka zasięgnąć można.

– Jeśli do mnie pijesz... – Dixon się zacietrzewia.

– Panie! Panowie! – sędzia pokoju woła. – Czy Akt o Buncie odczytać winienem? Ponoć z wielkim uczuciem to czynię, w samej rzeczy, do imię Whitefielda mię przyrównywano. Choć, rzecz jasna, mniej w składkach dobrowolnych biorę. – (Wielu zdaje się, iż bez ogródek o łapówkę prosi, choć inni, iż to jeno żart niewinny, trzymają.) – Stig, opowiedz wszystko, prosimy.

– Czy komuś z was wiadome – Szwed do zebranych się zwraca – skąd, by tu przyjechać, się wyrwałem? Czy komuś z was wiadome, co to zmarzlina wieczna i biel wszechobecna pod słońcem całonocnym? W Bibliotece Królewskiej w Kopenhadze sędziwy manuskrypt welinowy spoczywa, Fryderykowi Trzeciemu¹ przez biskupa Brynjolfa darowany, historie o Skandynawach zawierający, co pierwsi do brzegów Ameryki dotarli. Historie o owych zimach długich i cudach strasznych, które przed wiosną nadejść musiały, od krwi, jasnowidztwie, przepowiedniach, duchach i widmach osób żyjących... Podania te gorzkim tonem poddawały, iż kontynent przez Europejczyków „nowo odkryty”, od dawien dawna, od swych dziejów zarania, mordom i niewolnictwu dobrze był znany wraz z magii marnymi kawałkami, których na powrót skleić nie sposób. Gdy między przylądki Delaware zawitałem, czułem się przeto, jakobym Słupy Heraklesa minął, aliści nie w morze otwarte wychodząc ku jego tajemnicom prostym, lecz coraz bardziej w głąb lądu wpływając. Odnogi mnożyły się i zwęzły, wokół enigmy zacieśniały równie groźnej i nieprzeniknionej co inne, jakie na swej drodze spotkałem. Dzień cały w górę rzeki sunąc, do *Philadelphia Irredempta*² wreszcie o zmierzchu dotarliśmy, gdzie tumult i krzątania mimo późnej pory nie słabły, jakoby miasto to bez ustanku z przyszłości przybywało. Svånsenów idylla mezopotamska³ niczym Eden na zawsze przepadła. Gdy tak stałem pośród rozgardiaszu nadbrzeża, kroku swego kolejnego niepewny, cudza dłoń po plecach mię poklepała, a głos czyjś powitał, mego imienia używając. Zadrzałem, choć rzadko drzeć mi się zdarza, głosu tego bowiem nie rozpoznałem, atoli, co przerażało, dobrze był mi znany. Na jakiegokolwiek przyjęcie nie liczyłem, niemniej w niezbędne rytuały się wdałem, wymianę kontrapieczności i hasel, których spisać nie wolno, i tym podobne. Za to, iż mi wyszedł naprzeciw, coś na kształt podziękowania wymamrotałem. Oblicze jego już się w mej pamięci zatarło. Później powóz zadaszony nadjechał...

– Wstrzymaj się – Shelby wtrąca. – Cóż to za obyczaje? Zakon to Cohenów czy może Różokrzyżowcy Bawarscy? Dalej, Stig, przyznaj, Szwed z ciebie żaden – czyż nie?

– Sam waść ocenić musisz. Powiedzmy, iż lud mój z północy pochodzi, a karnację tak jasną posiada, iż was, Brytyjczyków, za ciemnych mamy, podobnie jak wy Afryki mieszkańców. – Milknie, niczym ktoś, kto żart opowiedziawszy, wybuchu wesołości teraz czeka, lecz pozostali jeno nad tym dumają, jak biała jest owa biel niespotykana. Stig wątek podejmuje: – Tak, tak, a pierwszą rzeczą, której się uczymy, nawet przed ryb poławianiem, jest Szwedów udawanie, albowiem naród mój rozgłosu ni go-

¹ Król duński (1609–1670); manuskrypt zawierał sagi islandzkie.

² Łac.: której nie można uratować; której grzechów nie można odpuścić.

³ Filadelfia leży nad dwoma rzekami.

ści nie pragnie, a w zamian za pragnień swych uszanowanie, niczym młódź w ofierze wrogowi złożoną, od czasu do czasu emisariuszy paru na południe posyła, w świat daleki, grzechem przepełniony, gdzie za Szwedów czy Finów się podają, a z rzadka i Węgień się trafi. Do tej właśnie drużyny pośredników najemnych mam zaszczyt należeć.

– Wysłannikiem nieznanym z nazwiska jakobitów szwedzkich będąc. – Imć Warford wszystko żwawo zapisuje.

– Umowa ma za rok wygaśnie, a wówczas Szwecja, którą w mej ojczyźnie „Śniadym Olafem” wołać lubimy, roszczenia swe porzucić może i nowych panów szukać będzie mi trzeba. – Jego rzęsy drganiom światła podobne, brwi blade i ledwie widoczne niczym brzeg arktyczny. – U jednej z prowincji amerykańskich bez wątpienia zatrudnienie znajdę. Po triumfach londyńskich imć Franklina spory popyt na posłów kolonialnych będzie, jako iż mało kto w przymiotach mu dorówna.

– Czego do końca nie pojmuję – imć Warford przyznaje – to tego, jak dzień długi drzew obalanie do odzyskania przez Szwedów Filadelfii się przyczyni.

– Zdrowe to zajęcia – Stig klaruje. – W kunsztach pionierskich człek się wprawia, a w duktów tworzeniu osobliwie. *Ja, ja*, dukty ważną rolę odegrać mogą. Tak jak kształt kopii rycerskiej kształt placu do pojedynków w sobie zawiera, tak owe strzelby z hrabstwa Lancaster rodem własne dukty z mknącego ołowiu tworzą z wiernością zdumiewającą, na milę lub więcej długie i niczym promień świetlny proste. Straszna to rzecz dla nieszczęsnej wiewiórki, co na sąsiednim zboczku siedząc, mniema, iż przystań bezpieczną znalazła.

– Zbrojnego ataku na Filadelfię czekasz?

– Czy to takie dziwne? W ubiegłym roku Paxtonom niemal się udało, nieprawdaż? A Irlandczycy to byli, Walijszczy, Szkoci – ludy południa. Przedstaw sobie gromadę równie wojowniczą, lecz ze Szwedów jak dąb zdrowych złożoną.

– Czyżbyś ich zamiary popierał?

Stig ramionami rusza.

– Nic nie jest pewne. Gdy pora zdatna nadejdzie, kontynent się dowie.

– Tak, tak, jak Braddock skończycie – imć Boggs wyrokuje. – Nie masz ci tu w puszczy miejsca na wasze błazeństwa europejskie.

– Dukt Braddocka nie dość był szeroki – Stig powiada. – Przy przygotowaniu należytem i prawidłowym zastosowaniu, metody z równin pruskich równych sobie nie mają – rzezi z nauką połączenie jakże owocne...

– Święte słowa, żołnierzu! – Zsusza Szabó wtrąca. – Gdzie jazdy się nie pośle, tam wojny lepiej nie toczyć. Przyszłość poza zachodem leży, nie tu, gdzie po lasach skradać się trzeba.

– Robactwo we włosy wpada – Eliza głową kiwa.

– Za dnia nadto zielono, zieleń tu tłuszczu w świetle świecy – Pacjencja Eggsłap z westchnieniem dodaje. – Aliści gdyby nie te drzewa, pewnikiem Stiga bym nie znalazła.

– Czy mię kto zgubił? Kiedy? – drwal pyta zdumiony.

Okolice teraz „krańcowa”, jak ją Dixon woła. Coraz mniej osad, gruntów ornych, kuźni czy tartaków. Ostatnie gościńce już za nimi, zbyt prędko – w pierw trzy między Antietam a Conococheaguą, potem droga do fortu Bedford wiodąca, w końcu szlak Braddocka. Na dłużej niżli było trzeba przy każdym stanęli, to na północy, to na południu podróżnych wypatrując. To na tych terenach wojnę ostatnią toczono, nadal biali tu do Indian strzelają, ci zaś z ofiar skalpy zdejmują, po swych ścieżkach wędrują zakazanych, a przybyszów niewidzialni z gąszczu śledzą. Mason i Dixon zwró-

cić się do kogo nie mają z pytaniem, czy ustaleniom traktatu paryskiego ziemie te bardziej podlegają niżli Pontiak ze swymi wojskami owego lata, nim się jeometry w Ameryce zjawili.

Hickman, Gibson i Killogh, co klęskę Braddocka przeżyli, pogodę ducha w członkach wyprawy zabijają opowieściami o tym, jak to niedźwiedzie z lasu wyszły, by na trupach żołnierzy angielskich ucztować.

– Horda duchów z każdym rokiem coraz okrutniej zdesperowana i dzika, wobec Indian i osadników jednako. Nie sądzę, byście zbyt blisko owego miejsca Linie tę poprowadzić pragnęli.

– Nic dobrego z tego by nie wynikło – Alex McClean potakuje.

Kraj ostatniego odcinka łuku dziesięciominutowego jakieś dwie mile przed wierzchołkiem Savage Mountain wypada, za którą to wszystkie strumienie już na zachód spływają, co podle prawa koniec ich kompetencji wyznacza. Sto sześćdziesiąt pięć mil, pięćdziesiąt cztery łańcuchy i osiemdziesiąt osiem ogniów od Punktu Początkowego słup stawiają i ku wschodowi się zwróciwszy, wycinę poszerzać poczynają. Odgłosy siekier do zmięzchu nie milkną. Ze wznesień dukt teraz uważa podobna, co puszczy odmetry zielone przedziela, ziemię otulające – żółć pni wnętrza szlak wśród drzew się wijący znaczy, wysoko po niebie obłoki żeglują. „Tego dnia ze szczytu Sidelong Hill widziałem, iż Linia nadal wycinek okręgu stanowi zgrabny i z prawami sferą rządzącymi zgodny”¹ – Mason w dzienniku połowym odnotowuje.

– Aliści – kapitanowi Zhangowi się zwierza – ten las niezmierny niepokój zsyła. Drzew tu, jak na mój gust, o wiele, o wiele za dużo.

– Zważ – mistrz *Feng Shui* przypomina – Adam z Ewą owoc z drzewa zerwany spożyli i oświecenia doznali. Budda, pod drzewem siedząc, doznał oświecenia. Newtona pod drzewem właśnie jabłko uderzyło i także oświecenia doznał. Pobieźne przyjrzenie się faktom poddaje, iż drzewa oświecenie zsyłają. Nie w nich tkwi problem. Las mocom ciemnym nie służy. Lecz wasz dukt, kto wie?

– Czy coś nam w tej chwili grozi? – Zdawać by się mogło, iż Mason żartuje, gdyby nie ton jego głosu z lekka wystraszony.

– Czasu trzeba, by *sza* się nagromadziła i prędkości nabrała. Teraz jeno wrażliwością niepospolitą obdarzeni, jak ja, zmiarkować ową siłę są w stanie. Cóż, czy nieco z Linii zejść możemy? Czuje się nieswojo.

– By ster władzy utrzymać – Chińczyk później ciągnie – wśród ludu, którym się rządzić pragnie, stworzyć jeno należy coś, co Złą Historią zwiemy, a nic szybciej i brutalniej tego nie uczyni niżli linii, osobliwie prostej, wytyczenie – kształt to wzgardy między ludzi puszczoney. Tym samym się ich dzieli – pierwsze to pchnięcie – dalej wszystko, jakoby przeznaczeniem kierowane, ku wojnie i zniszczeniu samo pobieży.

– Hola, hola – Dixon oponuje. – Wszak gołym okiem widać, iż Pensylwania i Maryland tak różne, iż twego podziału fatalnego dokonano na długo przed tym, jak myśmy się tu zjawili.

– Skądże znowu – Mason druhowi zaprzecza – obie prowincje niczym Tracy i Stacy jednakie.

– Z tym że jeno z jednej strony niewolników czarnych mają – Dixon niezbyt łagodnym tonem zaznacza.

– Jeśli trzymasz, iż w Pensylwanii niewolników nie staje, spojrzysz po raz wtóry – kapitan Zhang powiada, z twarzą niczym łój gładką. – Nie wszyscy z Afryki się wy-

¹ Fragment prawdziwego wpisu z 5 VII 1766 roku.

wodzą, nie wszyscy o swym stanie wiedzą – możebne, iż nigdy nie będzie im to dane. Od dawien dawna niewolnictwo w tych stronach kwitnie, a każdy naród praktyką tą skalany – i Indianie, i Hiszpanie, i chrześcijan reszta.

Na granicy działu wodnego Alleghenów dnia czternastego czerwca stają. Od tego miejsca wszelcy osadnicy napotkani Penna i Bouqueta edykty gwałcą. Dalej nie tylko Ohio, lecz bezprawie się rozciąga. Woda bieżąca dominującą jednostką miary w końcu się stała – planety ze szlaków swych nie zbaczają, gwiazdozbiory dalej dostojnie suną, kości Napiera¹ w namiotach jeometrów stukają, a wszystko do wody cicho i powoli powraca – jakże ta lądy zasiedla, jakże ze smokiem podziemnym sobie radzi... Nareszcie na kartę jeograficzną naniesione, „Maryland” jako prosty zbiór granic się objawia, z których zachodnia wzdłuż Potomaku ciągnie, zaś wschodnia podle Chesapeake wybrzeża – ląd suchy doń się zalicza, lecz karta na wodzie zaszadza. „Za górą działu (Savage Mountain), wody wszelakie na zachód spływają – Mason w dzienniku polowym pisze². – Pierwszym z odnotowania wartych strumieni (który Linii naszej przedłużenie przecina) jest Little Yochio Geni, co do Monaungaheli wpływa, ta z kolei do Ohio czy Allegany koło Pitsbourga³ (będzie stąd osiemdziesiąt mil na zachód i trzydzieści czy czterdzieści na północ) (...). Z relacji wielu ludzi, którzy w dół Ohio płynęli, wiem, iż dla mniejszych jednostek jest spławna. Rzeka ta do Missisipi wpada (na mniej więcej 36,5 stopnia szerokości północnej i 92 stopniu długości od Londynu licząc), która to do Zatoki Florydzkiej⁴ uchodzi”. Oto jak jeden dzień na Savage Mountain spędzony rozmach pióra czy pragnień Masona zwiększa.

– Kto was tak daleko posłał, chłopcy?

Sześciu ich chyba. Niektórzy trzymać będą, iż siedmiu. Z futra szopa, oposa, bobra i łasicy czapki uszyte na głowach mają, w dłoniach strzelby długie z ośmiobocznymi lufami, a do tego każdy pistolet lub dwa posiada. Nawet ich konie, choć nie mięsożerne, wilkiem na członków wyprawy patrzają.

Przebóg, wybór trudny. Nazwisko jednego z włodarzy dwu prowincji wspomnieć można, lecz a nuż wroga to wysłannicy. „Towarzystwo Królewskie” o królu przypomina, ten zaś tu jeszcze mniej niżli Pennowie mile widziany.

– Linię ze wschodu na zachód wytuczamy – Dixon po chwili namysłu odpowiada – dla pewnego możnego, który płacić jest skory za coś, co na karcie się gładko prezentuje.

– Kupa chłopca jak na miedzę prostą, co nie?

– A i więcej by się przydało. – Tom Hynes poddaje, mniej chyba świadom niżli ci drwale, co się za drzewami skryli, jak łatwo podobnych gości rozgorączkować. – Drzew co niemiara trza powalić. Nadzorcy naszego, imć McCleana, się spytajcie. Trzy i sześć stawka na dzień wynosi, a i karmić was dobrze będą.

– Na jak długo?

– Tak daleko na zachód, ile nam pozwolą. Kto wie, może i na stałe.

– Nie ma co, brzmi przednio.

¹ Chodzi o kościane pałeczki, przodków tablic logarytmicznych, wynalezione przez matematyka szkockiego Johna Napiera (1550–1617).

² Fragment prawdziwego wpisu z czerwca 1766 roku.

³ Obecnie aglomeracja Pittsburgh w stanie Pensylwania u zbiegu rzek Allegheny i Monongahela tworzących rzekę Ohio, wcześniej w tekście wspomniane jako fort Pitt (wokół którego powstało osiedle); w cytowanym fragmencie autentycznego dziennika autor zachowuje pisownię Masona.

⁴ Obecnie Zatoka Meksykańska.

– Twa żonka, Lloyd, może przednia. Tu o ową przeklętą Linie Proklamacyjną chodzi, ot co.

– Skąd, tamta inaczej biegnie, podle Alleghenów. Widzi mi się, to coś nowego. Na co wam tyle drzew ścinać?

– Naści. Zabrać możesz, ile ci trzeba.

– A co na to pułkownik Bouquet?

Tu, na rubieżach, słynny wojskowy kolejnym jeno awanturnikiem, przeciw któremu wystąpić można. Bohater spod Bushy Run wobec Ameryki własne plany posiada, jak i wielu przyjaciół pośród wigów wysoko postawionych – cóż, czy w dzisiejszych czasach inaczej podobna? Projekt jego zakłada, iż zachodnie równiny sieć czworokątów pokryje, na kształt krzyża greckiego łączonych, z których nad czterema pozostałymi środkowy władzę dźwżyć będzie. Jeno rozmiar owych figur nieznan – jedni powiadają, iż bok milę liczył będzie, inni, iż dziesięć lub sto mil nawet. Ohio i prerie, które ciągną się dalej, tak są tajemnicze, iż miarę obrać trudno.

– Więzienie – kapitan Zhang poddaje. – Kto się na zachodzie osiedli, wnet swobodę utraci.

– Tuzin podobnych konceptów rok w rok płożony – Shelby ramionami ściska – i wszystkie upadają.

– A z każdym ów dzień bliższy – Chińczyk odpowiada, jakoby skądś skazówki czerpał – kiedy to jeden z nich w życie wcielią.

63

Czwartego sierpnia Mason donosi o „potężnej burzy z piorunami. Od chmury po ziemię nas otaczające błyskawice nieprzerwanie niebem spływały. Jakies pięć minut przed tym, jak huraganowy wiatr się zerwał i deszcz biczami zacinać począł, od zachodnich zboczy góry obłok ciemny nadciągnął – nigdy nie uważałem nic przerażającego okrutniej. Zdawało się, iż na wszystko pod sobą lada chwila zgubę raptowną jak nic ześle”¹.

– Aura w sam raz dla ciebie – Dixon powiada, cygaro z Conestogi żując raczej, niżli pałac.

– Patrz na tę chmurę. Zaprawdę paskudna. Czyż się nie modlisz w takich chwilach?

– Owszem, modłę, lecz nie sądziłem, iż i deisci podobnie i równie często czynią.

– Nie twój to wpływ, jeno chwili waga. Jedno uderzenie piorunu by starczyło, by...

Huk apokaliptyczny w pobliżu się rozlega, gromowi zaś ilość światła towarzyszy, jakiej w samo południe nie usłyszysz.

Znów wyprawa na wschód zmierza, z powrotem ku konfabulacjom i wspomnieniom. Świat prawdziwy, od zaćmień po podmuchy, o swej przytomności nieco bardziej przypominać musi, tak w swej podróży kontrastolarnej są jeometry pochłonięci licznymi „a gdyby” i „czy podobna”, o „a cóż to było” wielu nie wspominając.

Nazajutrz, jeszcze przed Gunpowder, przez Biter-Bit się przepawiwszy, dom mijają, w którym się szykuje comiesięczne, iście lunarne wydarzenie, do tej pory przez wyprawę z powodzeniem unikane. Jak się zdaje, za każdym razem, gdy Księżyc

¹ Fragment prawdziwego wpisu z 4 VIII 1766.

w pełni zakamarki okoliczne i zbocza złotą poświatą zalewa, Zepho Beck z łózka się gramoli, żonę swą Rhodie przy tym budząc, ta zaś, ile uderzeń serca zdoła, czeka, nim za mężem chyłkiem podąży. Zepho, nad brzeg zszedłszy, młodą brzoźkę wybiera, niezbyt grubą, koło drzewka kłęka, zęby obnaża, palcami zmoczonymi włosy odgarnia, twarz do kory na tyle przybliża, by soki żywotne, w wnętrzu krążące, poczuć, a wreszcie, w paroksyzmie siekania ohydny do pnia brzozowego się przypina, by z oczu oszalałych iskry żółte sypiąc, owo drzewo nadbrzeżne na ziemię powalić. Żona, dość poruszona, z ukrycia się przygląda, jak mężczyzna następnie odzienie zrzuca, futro gęste, ciało swe pokrywające, odsłaniając, po czym do wody wchodzi i w górę rzeki odpływa, brzoźkę ściętą za sobą holując. Stopami, teraz w błony zbrojnymi, pływak pluszcze, co nie tylko pędu mu przydaje, lecz i zakręty liczne zgrabnie pokonać pozwala. W końcu do tamy dociera olbrzymiej, przez pełnoprawne bobry zbudowanej, które, rzecz jasna, czym prędzej czmychają, jest im on bowiem dobrze znany, jako iż zawsze przy pełni tu bywa. Zepho, być może ostracyzmu nie miarkując, drzewo swe na pale, kije i witki siekać poczyna i tam na tamie czy żeremiu umieszczać, gdzie, jak sobie przedstawia, znaleźć się winny. Nazajutrz poniżej domu go znajdują, nad stawem, wśród resztek krzewów pogryzionych i niedojedzonych strzępków lilii wodnych, które nieszczęślikowi z ust sterczą.

– Kastorantropia¹ – profesor Voam wzdycha. – Czyż jej następstw przykrych nie uważałem. Tragedia.

– Tak, a Indian napotkanych się spytajcie, jak to się innym bobrom podoba – Rhodie rzecze.

– „Innym”, dobra kobieto?

– Cóż, starczy okiem rzucić, gdy jest... na to, jaki jest – zęby, owłosienie, ogon... Ogon, na Boga! Mniemam, iż za kolejne stworzenie rzeczne go mają, z jego pomocy przy tamie rade, choć, nim go znowuż najdzie, tygodni cztery szkody przez niego wywołane naprawiać muszą, czas swój marnując. Kocham go, nie przeczę, lecz stolarz to marny. Rozejrzyjcie się tylko. Boże, zlituj się nad nami. A jest coraz gorzej. Zepho wierzy, iż Indianie pułapki nań zastawiają, by go schwytać i futro jego na broń wymienić. Czasem „skalp” powiada, lecz „futro” częściej.

– Ciężki przypadek – profesor głową kiwa.

Są w stodole, dokąd mężczyznę przyniesiono. Fakt, iż osoba, która je karmi, w stworzenie dzikie się przemieniła, w łbach zwierzętom gospodarskim maści.

– Indianom, których się wypytywałem, wszelkie pogłoski znane. Pociecha to niewielka, lecz wiadomo przynajmniej, iż w swej przypadłości Zepho nie jest odosobniony. W górnym biegu Juniaty Szkot ponoć mieszkał z Ulsteru, w klonach bagiennych rozmiłowany – szukając ich, lato całe po moczarach brodził. W dole Cheat Dublińczyk pewien był widywany... Zaiste, odkąd się tu osiedlać poczęto, dość kastromorfizmu wśród białych się trafia, by jezioro spore dziwadłami zapełnić.

Indianom tym koncept Wielkiego Bobra nieobcy. W mitach o stworzeniu świata i ich samych ważną rolę ów zwierz odgrywa, zaś ćwierć Delawarów totem bobrowy jednocy. Bóbr obrońcą, cudotwórcą i żywicielem bywa. Aliści wizerunku, jaki Indianie w sercu noszą, Zepho, gdy pełnia przypada, raczej nie przypomina, złowrogim czy potężnym nad miarę nie będąc, ni, mówiąc bez ogródek, dość bobrowym, jako iż jedno noc i dzień jeden trwa jego przemiana, a kiedy indziej w człowieczą postać się przyobleka.

– Jakże nadal mię za męża pragnąć możesz? – biadoli.

¹ *Castor* – łac.: bóbr; *anthropos* – gr.: człowiek.

– Jeden dzień z bobrem, Zepho, to drobnostka. W co ja się przemienić potrafię, widziałeś.

– Tyle serca masz dla mnie, Rhodie. Po prawdzie, zbyt wiele. Co dobrego teraz wymyśliłaś?

– Nic takiego, Zepho. Ot, o tym i owym na jawie marzyłam, jak to kobieta, i ni stąd, ni zowąd koncept pojedynku przyszedł mi do głowy.

– Rhodie?

– Zbiłbyś fortunę! Dajmy na to, gdybyś z tym szwedzkim drwalem w szranki stanął...

– Wstrzymaj się, wstrzymaj. Nic z tego, miła. Tuzin detali zdalnych być musi – wiek drzewa i smak kory, soków żywotnych złożenie...

– Nadto – profesor Voam dodaje – nie byłby to pojedynek sprawiedliwy, bowiem Stig na to, co rąbie, nie zważa, wiedząc, iż jego rękojeści na miarę i ostrzu ze szwedzkiej stali wszystko ulegnie. Orzesznik czy olcha, dąb czy brzoskwinia – dla Stiga bez różnicy, wydajność jednaka, w równaniu jeno współczynnik drzewny się zmieni. Tu szczegóły dla bobra jakże ważne, tam jeden bezlitosny cios siekiery – i basta.

– Powiadasz, iż się z nim równać nie mogę? Też mi coś! Niech tylko Szwed drzewo jakie zetnie, a wnet drugie, jeśli nie więcej, powalę!

– Oto człowiek, którego poślubiłam!

A zatem przy pełni, dnia piątego sierpnia, do spotkania dwu drwali na przecince dochodzi. Mason i Dixon zegar Towarzystwa Królewskiego przez siebie przyniesiony starannie nastawiają, a obciążnik podciągnąwszy, wahadło mechanizmu w ruch puścić są gotowi. Konkurenci ramię w ramię walczyć mają, gdyż każdemu połowę szerokości duktu przydzielono. Pod koniec dwu godzin idealnie odmierzonych, uważa-cze drzewa obalone podliczą. Jeśli liczba ich równa będzie, Zepho i Stig jeszcze po jednym zetną, a szybszy zwycięży.

– Gotowi? – imć Barnes woła. – Panowie, trza nieco drew narąbać!

Gromadka podopiecznych jejmość Eggslap się zjawiła, by Stiga zagrzewać.

– Ostrzem bij! Siekaj drwa! Naprzód, Stig! *Victoria!* – spółem wołają.

Drwal pozę antycznego atlety przybiera, potem drugą, wszak czasu ma w bród, by do roboty się zabrać, a te dzierlatki takie...

– Stig!

Cóż to? Szwed rozgląda się, oczy mrużąc. Po Zepho ni śladu, w rzeczy samej już za wzniesieniem sąsiednim się trudzi, pięć schludnych jardów za sobą ostawiwszy drzew na pnie, konary i gałązki podzielonych. Stig za siekiere chwyta i z taką furią swą połowę duktatu atakuje, iż pierwsze drzewo prędzej pada, niżli się tego po prawdzie spodziewał. Przez jedną z gałęzi tego po zadku dzielony, na płask pada i czas jakiś nie wstaje, a gdy się w końcu podnosi, utyka. Szczęściem, zwichnięcie to jeno, z którym przez dwie godziny dzielnie sobie radzi, aliści nie na tyle sprawnie, by dość blisko się do przeciwnika zbliżyć.

– Trzymałem, iż na niczym mi nie zbywa – później swą klęskę wspominać będzie. – Cóż się stało?

– „Czasem – jejmość Eggslap nuci – trudno być kobietą...”¹

Zmrok zapadł już dawno i Księżyc wzeszedł krągły. Mniemając, iż jego promienie krzepę Zepho zwiększą, bukmacher Guy Spit pomagierów rozsyła, by także liczba drzew powalonych pod zakład poszła. Jakaż jest jego konsternacja, gdy faworyt, tarczę jasną miarkując, krzyczy i w cieniu najbliższym się kryje.

– Nie może być – profesor Voam pod nosem mruczy – chyba że...

¹ „Sometimes it's hard to be a woman” – początek standardu country śpiewanego przez Tammy Wynette.

– Światło! – Zepho woła. – Miesiąc, Rhodie, nieomal... Aa!

Mason i Dixon ku sobie spoglądają. – Zaćmienie! – Dopiero teraz przypomnieli sobie o zaćmieniu Księżyca na dziś wieczór przewidzianym¹. Stig żąda, by pojedynek unieważniono, Zepho na powrót kształty człowiecze przybiera, co wielkiej mu uciechy z pewnością nie sprawia, zaś Guy Spit w spazmy wpada, jedno jeno słowo pośród szlochu słyszalne, mianowicie – „Ruina!”.

– Dobra nasza – Rhodie mamrocze i nie zważać się na to stara, iż cały jej fartuch w garściach futra przez męża gubionego. – Jest ci nadzieja na wygranie sprawy, jeśli udowodnić nam się uda, iż ci astronomowie o wszystkim wcześniej wiedzieli.

– Sądziliśmy – Mason oponuje – iż jedno drugiemu nie przeszkodzi i z pewnością wiedzy swej po temu nie użyliśmy, by się na zakładach wzbogacić, czyż nie, Dixonie?

Jeometra oczy pobożnie ku niebu wznosi.

– Jakże przeszkodzić to nie mogło? Zepho, najdroższy, powiedzże co!

– Nawet jurysta filadelfijski z podobnym argumentem by nie wygrał.

– Przed wiekami – Zhang wtrąca – głów by ich pozbawiono! W rzeczy samej, dwu legendarnych w Chinach astronomów o włos losu takowego uniknęło.

Następnego dnia pod wieczór, gdy Zepho po przemianie przedwczesnej jeszcze do sił dochodzi, a kwestię niedopatrzania Masona i Dixona znowuż się porusza, kapitan dzieje Hsi i Ho opowiada.

64

Pewnego razu, tak dawno temu, iż nikt dat pewien już nie jest – choć powiadają niektórzy, iż jeden z władców dynastii Hia wówczas rządził – pierwszego dnia jesieni, gdy Księżyc w Fang, jednej z stacji *hsiu*², stał, do zaćmienia Słońca doszło, którego Hsi i Ho, astronomowie nadworni, nie przewidzieli – nie tyle dokładnie, ile wcale. Miast pilnie nieboskłon uważać i rachuby czynić, większość swego czasu na mieście spędzali, hulając bez opamiętania, wina nadużywając czy pod dobrą datą kurtyzany niesławne ścigając, z których nie wszystkie do płci nadobnej należały. Nie raz w latrynie się skąpali lub na rzecz wszelakiej maści złodziei, szulerów czy też awanturników sporą część swych apanaży stracili. Aż pewnego dnia, w południe światłem dziwnym zalane, przyćmionym i drażniącym, gdy krokiem nieporadnym do swych kwater w pałacu wracają, kształt cieni przez drzewa rzucające ich niepokoi. Promienie słońca, co przez liście się przedarły, miast plamy okrągłe wśród cienia na drogę rzucać, beładne grona półksiężyców jednakich malują, z których każdy, na oczach astronomów porażonych, niepostrzeżenie zaostrza się i zwęza. Z wolna pojmują, iż oto Miesiąc uważają, tarczę słoneczną niespiesznie przesłaniający, a jej wyćminek jeszcze widoczny dziesiątkami tysięcy swych wizerunków rozedrganych i mglistych ziemię po widnokrąg zaściela.

– Chyba napytaliśmy sobie biedy – Ho powiada.

– Dziękuję, żeś mię w główkowaniu wyręczył.

Ruszają prędko w poszarzałej poświacie, po białych, migotliwych koronkach kroczą, na zjawisko w górze zerkać nieskorzy. W całym mieście psy wyją, kury, zatrud-

¹ Tak naprawdę tego dnia obserwowali częściowe zaćmienie Słońca.

² W astronomii chińskiej każdy fragment miesięcznej wędrówki Księżyca po niebie (*hsiu*) ma przypisaną sobie nazwę.

nienia swe porzuciwszy, w sen raptowny zapadają, berbecie płaczą, a świnie, na chwilę darem mowy obdarzone, szepczą: Cicho już, cicho. Światło nadal odpływa, aż wreszcie wszystkie cienie osobne w jeden mrok się zlewają, złowrogi i przyczajony.

W potężnej wieży z marmuru rajputańskiego, siedzibą astronomów będącej, ku tarasom obserwacyjnym schody pną się spiralą. Hsi i Ho wspinają się, sprzecząc.

– Redukcje poprawnie przeprowadziliśmy, nieprawdaż? Wszak me rachuby po mnie sprawdzałeś?

– Cóż, nie przy każdej cyfrze się zatrzymałem. Mniemałem, iż skoro się przyłożyłeś, potrzeby po temu nie ma.

Czarnych promieni zaćmienia wzrokiem unikać usiłując, dwaj nicponie, drobne figurki w długie szaty odziane, na najwyższym z tarasów stają, a tymczasem daleko w dole głos gromki, przez czynele i piszczałki zaanonsowany, ogłasza, iż Hsi i Ho na wieki władcy wrogami, po czym obu na śmierć skazuje.

– Za co? – Ho głosem od lęku ciekim do kompana woła. – Za jakież przewinie-
nia?

– Cesarzowi zaszkodził. Wszak, Dziecięciem Niebios będąc, o nadchodzących zjawiskach niebieskich wiedzieć winien.

– Toż to jeno zaćmienie, cienie same. Jaką krzywdę królestwu wyrządzić by mogło? Hsi śmieje się gorzko.

– Jak w górze, tak i na dole. Zaćmienie znakiem jest dla wszystkich widocznym, iż źle się w sercu państwa sprawy mają. Choć, znając cesarza, przyznać muszę, iż jeśli cokolwiek po jego myśli nie poszło, buty uwierać poczęły czy głowa rozboleła, zaćmienie winą obarczył, a z nim i nas.

Ho jęk wydaje.

– Nasze głowy za ból cudzej?

– Głowy państwa, pomnij.

– Hsi! Jesteśmy zgubieni? Co zrobić?

– Uciec – Hsi mniema.

Ku ziemi spojrzawszy, tłum mężów w zbrojach ciemnych i błyszczących miarkują, co w nikłym świetle w kolumny się ustawia.

– Jak? – Ho głosem jeszcze bardziej piskliwym pyta. – Na skrzydłach?

– Myśl przednia. – To powiedziawszy, Hsi olbrzymi, lazuruowy latawiec wyciąga w stery zbrojny, z mocnej acz lekkiej jedwabnej tkaniny, kuriozalnym ozebrowaniem bambusowym wzmocniony. – Prędko!

Słyszą tupot stóp żołnierzy, co się w klatce schodowej echem niesie.

– Lecz czy to nas obu utrzyma? – Ho woła, gdy kompan jego, skrzydła sobie przyprawiwszy, w objęcia go chwytą.

– Jeśliś na śniadanie nadto się nie napchał.

Spółem z podniebnego tarasu krok w próżnię dać gotowi.

– Cóż, resztki kaczki jadłem i chyba z sześć pierożków sosem wieprzowym podla-
nych, a do tego... Aaaaa! – Wysokość gwałtownie tracą, w strachu kurczowo do siebie się tuląc, nad nimi zaś, na szczycie wieży, gdzie jeszcze niedawno stali, pierwsi z przesładowców się ukazują, w świetle skażonym pary wypatrując. Twarze żołnierzy zbyt dalekie, by ich wyraz ocenić. Astronomowie straż czekają. Na niebie tarcza czarna wisi...

Jako iż ledwo co widać, obaj lotnicy poczucie prędkości swego spadku zatracili – w rzeczy samej pojęcia nie mają, jak bardzo od pałacu i pościgu się oddalili. Doprawdy, wiele minut minąć musi, upadkiem straszliwym nieprzerwanym, nim by-
strzejszy z dwójki Hsi miarkuje, iż naprawdę cały ten czas szybowali. Gość lunarny

tymczasem Słońce odsłaniać poczyna i na powrót kształty okoliczne odczytywać podobna.

- Patrz! - Hsi za Ho palcem skazuje. - Wojsko jakoweś tam sunie! Cóż za kurzu tuman!

- Gdzie? - Ho głowę wykręca. - A tak, i w naszą stronę zmierza! Jak mniemasz, cóż to takiego?

- Czekaj. - Hsi w głowie koncept świta. - Ho, to my. Optyka rudymენტarna! Jeśli my ich widzimy...

- To co? To co? - Ho odpowiedzi czeka. Hsi odpowiedzi od Ho czeka. W końcu: - Ach, rzecz jasna to masz na myśli, iż wówczas oni także nas widzą?

- Czy dla czegoś takiego życie własne ryzykujesz? Czemuż cię po prostu tu nie zrzuć? O ileż łatwiej zbiec by mi było.

- Jak wolisz.

- A i w rękach z wolna siły tracę...

- Cóż, moje także. Uścisk to nad uściskami!

- Dobra nasza, już cię nie ma.

Znienacka ramiona rozkłada. Ho czepiać się rozpaczliwie pragnie, lecz nie ma już czego, prócz wiatru, co jego upadkowi towarzyszy.

Aliści z takim przejęciem się astronomowie sprzeczali, iż, jak nisko już opadli, Ho nie zmiarkował. Po prawdzie nie więcej niżli dziesięć stóp¹ spada i to do jeziora, wierzbami okolonego, co na gruntach lorda Huanga leży, kupca wielce zamożnego, który siedem córek na wydaniu posiada. Gdy Ho w wodzie kończynami trzepocze, kompan jego na głowie mu ląduje, a skrzydeł para obu zakrywa...

Z wzajemną pomocą do brzegu dobrnąwszy, wychodzą nieporadnie, do suchej nitki przemoczeni i gdy tylko radość z ocalenia w nich słabnie, na powrót wadzić się poczynają.

- Ot, tak mię puściłeś? - Ho wypomina. - Wyżej nieco, a na śmierć byś mię wydał! Jakie to dziwne, nie tylko do zabójcy się teraz zwracam, lecz do własnego zabójcy!

- Wiedziałem - Hsi powiada - iż już do ziemi niedaleko. Czy naprawdę sądzisz, iż bym cię z wysoka zrzucił?

- Hm, czy ja wiem. A ze stóp dwudziestu czy spaść byś mi pozwolił? Przy dwudziestu jak nic życie stracić można.

- Nie do wody wpadając.

- Och! A gdyby było to jeno lustro wody ozdobne, na kilka cali ledwie głębokie?

- Po wody odcieniu, iż jest głębsze, poznałem, o marszczkach na tafli nie wspominając.

- Czemu zatem, osąd tak staranny wydawszy, lądowiska tego za zdatne i dla siebie nie uznałeś?

- Zdawało mi się, iżes w krzyku tak zapamiętały - przerywać ci nie byłem skory.

- Przez ciebie uwierzyłem, iż zaraz ducha wyzionę. Gdy w tafłę jeziora uderzyłem, przez głowę mi przemknęło, zatem tak to jest w zaświatach, no, no, mokro, nie powiem, i chłodno, tchu wziąć nie pozwalają - takie tam - aż w końcu pojąłem, iż pod wodą przebywam.

- Dziękuję, Ho. Lecz co do wsparcia, jakiego ci trzeba... w kolegium twym listę odpowiednią zapewne ci skazą, a jak już wiele razy wspominałem, wstydić się czego doprawdy nie ma i kuracji przednich bez liku dla przypadków takich, jak... Cóż najlepszego wyprawiasz?

¹ Ok. trzech metrów.

– Pęcherz już mi dokuczał. – Gdzieś nieopodal, w bładozielonym błędniku wierzbowym, gromadka dziewcząt niewidocznych w śmiech uderza. To córki Huanga, które nigdy się nie rozstają. Ho w gąszcz wchodzi, z oczu Hsi ginąc, i nawołuje: – Hop, hop! Tu jestem, panny miłe!

Mniej więcej w tym samym czasie z oddziałem zbrojnych ojców owych pańien się pojawia, odpowiedzi na pytanie żądając, jak też Hsi w sercu jego włości się znalazł. Uczony, wykrętu naprędce zmyślić niezdolny, prawdę mówi. Huang historię tę między bajki rad byłby wsadzić, gdyby w zaćmieniu interesu nie wietrzył.

– Astronom, powiadasz? Czy przewidzieć potrafisz, kiedy następne zaćmienie przypadnie?

– Owszem. Zaćmienia Księżyca także umiem.

– Jedną umową dziś więcej juanów zarobiłem, niżlibyś całe życie cesarzowi służąc obaczył, a wszystko to dzięki waszemu zaćmieniu cudownemu. Skład jedwabiu pełen półdarmo dostałem, gdyż jego właściciel sądził, iż koniec świata bliski. Gdyby wcześniej było mi to wiadome, o więcej umów podobnych bym się postarał. Nie dziwota, iż cesarz wyrok na was wydał.

O wyroku słysząc, Hsi za głowę się chwyta, jakoby upewnić się pragnął, iż ją jeszcze posiada.

– Uch...

– Dodawać nie muszę, iż nagrodzę was sownie, siebie i twego towarzysza. Gdzież on się właściwie podziewa?

Miast odpowiedzi, w otaczającym ich lesie brzozowym wielkiej urody, ciche tony rozmowy uchem zachwyca, które z wolna na sile przybierają. – Miecze w pogotowiu trzymajcie, chłopcy! – woła, pewne objawy zdenerwowania zdradzając.

Spośród drzew Ho wyskakuje, rozchełstany i rozchichotany, najstarszą z córek ramieniem obejmując, ta zaś z pasją go obcałowuje, a jej siostry, podochocone, zaróżowione, z sukniami w plamach, radośnie wokół oblubieńców hasają.

– Papo, to jest Ho. Bezzwłocznie się pobrać pragniemy.

– O tak, papo, prosimy! – siostry jej chórem wtórują.

Li w kierunku swego ojca Ho popycha. Astronom szaty ma w strzępach, a tam, gdzie się skóra wyłania, zadrapania liczne widać, paznokciami niewieściami zadane. Zielona rzęsa z jeziorka w jego włosach się mieni. Patrzy na lorda Huanga przyjaźnie, lecz, co rzec winien, pewien nie jest.

– Czy umowa stoi? – lord Hsi pyta. Ten ramionami rusza. – Zatem ustalone. Witaj w rodzinie Huangów, chłopcze! Ho cię wołają, czy się nie myłę? Wraz ze swym kompanem odtąd nowemu panu służycie. Cesarz wasz niebiosa miał nad sobą – my się rynku słuchamy, dzień za dniem, co końca nie zna, albowiem handel właśnie ową potęgą tajemniczą, której służymy, bogiem niewidzialnym i bezlitosnym.

W ciągu następnych tygodni i lat Hsi i Ho, zawsze o krok przed cesarskimi siepaczami, wiele podróżują, fortunę zbijają i zdobywają poważanie ogólne, o dokonaniach erotycznych nie wspominając, w różnych odmianach, niektórych dość ciekawych, z wszystkimi siedmioma córkami. Często Hsi za Ho i na odwrót biorą, co z początku problemów im przysparza, lecz w późniejszych latach zawsze wielce bawi. Od czasu do czasu jeden czy drugi, za swe grzechy żałując, pokutę odprawia, trunków, obżarstwa lub madżonga się wyrzekając – jako iż rzadko, jeśli kiedykolwiek, obaj naraz o uciechach zapominają, zawsze najmniej jeden ostaje, by powinności należycie spełniać. Z tych miar przeoczenie zaćmienia czy słonecznego, czy lunarne już im nie grozi. Lord Huang coraz większym zaufaniem ich darzy i wciąż skuteczność swej metody sprawdzać musi, coraz wyższe sumy ryzykuje, na astrono-

miczną niewiedzę innych licząc, już nie tylko kupców bławatnych, lecz bankierów, lordów i ich generałów, aż po dzień straszny, kiedy to Hsi, Ho lub obaj, datę najbliższego zaćmienia Słońca rachując, z dłońmi od tłuszczy *dim-sum*¹ śliskimi, jako iż te z ogromnego półmiska palcami w zamyśleniu podbierają, pałeczki swe złote artystce operowej, niejakiej pannie Chen, podarowawszy, by ją o swej namiętności zapewnić, dość gałek o wielkim znaczeniu na abakusie pomijają, by o kilka godzin prognozę przesunąć. I oto lord Huang, w żółciach, czerwieniach i błękitach, klejnotami o wielu odcieniach przetykanych, za pośredniejsze bóstwo chińskie przebrany, Słońcu czernią zejść nakazuje. Na próżno. Czeka chwilę. Z dala jest od domu, nad rzeką zgubną, na czele armii humoru wyzbytej stoi. Coraz większa wzdarga wobec wodza w przednich szeregach wzbiera i z wolna w oczach całego wojska wiarygodność traci. Niebo nadal równie próżne, co astronom najęty, niczym astronom oczami, Słońce niezrażone świeci. Dwa zakończenia owego podania są znane. Podle pierwszego, do zaćmienia przed buntem armii dochodzi i Huang w gniewie Hsi i Ho na banicję skazuje. Resztę życia na pustyni zachodniej, jako pustelnicy świętobliwi spędzają, o tych paru kroplach wody i ziarnkach ryżu, co im dzień litościwy przynieść może. Podle drugiego, własne wojsko rozdrażnione lorda Huanga zabija, lecz w tej samej chwili światła ubywać poczyna, żołnierzy przeto strach i skrucha ogarnia. Astronomowie, którzy całe życie podobnej okazji czekali, z łatwością włości Huanga, wojsko, fortunę oraz harem córek siedmiu przejmują, te zaś, nie starzejąc się nigdy, niczym Plejady (w Chinach „siedmioma siostrami pilności” zwane) Hsi i Ho wiernie do śmierci doglądają.

65

Przez cały listopad Mason i Dixon Linie Wschodnią wytyczają, co mil jedenaście, dwadzieścia łańcuchów i osiemdziesiąt osiem ogniów sobie liczy i Punkt Początkowy na polu imć Bryanta z zachodnim brzegiem rzeki Delaware łączy, od którego to owe pięć stopni długości w pierwotnym nadaniu liczone być miały. Po prawdzie, każdego z tuzinów jeometrów miejscowych do jej wymierzenia nająć by mogli.

– Robotna z was para – Zhang powiada – chyba że, zazdrością kierowani, całą linię sobie przypisywać chcieliście.

– Kto by nie chciał? – Dixon rzecze. – Pięć stopni. Dwadzieścia minut z dziennego obrotu. Dość czasu, by najróżniejsze rzeczy uczynić – uczuciem zapałać, zlej ryby skosztować, ukaz podpisać, co bieg historii zmięni, zdrzemnąć się... Glob przez mrowie ludzi zasiedlony, a każdemu z nich wartość dwudziestu minut znana – sznur to pereł, co z naszyjnika życia w odměty niepamięci posobnie się ześlizgują.

– Lub też minut dwadzieścia jeden, jeśli ćwierć stopnia przydasz. – W oczach Chińczyka szelmowska iskierka się pojawia. – Rzec by można, krok za Ohio wody. To właśnie pięć stopni i ćwiartkę jezucici z koła chińskiego usunęli, trzysta sześćdziesiąt ostawiając. Nieco to te dni jedenaście przypomina, z waszego kalendarza zabrane, nieprawdaż? Te same rodzą się pytania. – Gdzie się ów wycinek azymutu podział? Jakże go okupić? Być może miejscem jego wiecznego spoczynku dukt jest wasz pięciostopniowy?

Jeometry po sobie patrzą skrzywieni. Cóż znowu? Czy Zhang jeno żartuje? Czy rychło na powrót w Hiszpana się wcieli?

¹ Chińskie pierożki na parze.

– Może po prostu, by stracie zadośćuczynić, każdy ze stopni o włos powiększono?
– Dixon rzeczę łagodnie, tonem Masonowi znanym, jaki do tych z koni juczych przemawiając przybiera, które bracia Killogh, ich opiekunowie, za „zbzikowane bestie” mają. – Twe brakujące stopnie tak rozdzielono, iż rozróżnić ich już niepodobna, lecz w dalekowschodnią wizję koła, jak sobie przedstawiam, to nie godzi.

– A cóż ów wycinek płazu planety przez zakon zabrany pomieścić w sobie jest w sile? – Zhang ciągnie obłąkańczo, na Dixona nie zważając. – Dwadzieścia to jeden minut czasu zegarowego i jedenaście milionów mil czworokątowych... Doprawdy, wszystko kryć się tam może, więcej niżli waszemu Herodotowi się śniło wraz z Münchhausenem nieśmiertelnym. Młodości źródło, siedem grodów złotych¹, drugi eden, wąwozy z obsydianu czarnego, ośmiu nieśmiertelnych², zwycięstwo nad śmiercią, a może i bóstw gniewnych pokonanie? Historie przez wieki tajemnicą owiane. Krainy, których karta jeograficzna nigdy do żadnej z tu kreślonych przystawać nie będzie, gdyż tu trzysta sześćdziesiątka przez księży skalana rządzi. Głębie oceaniczne, morza błękitne, przez czystą *mathesis* do życia powołane, bez wybrzeży, z aurą jeno własną, co wiatrem znad powszechnie uznanego globu nie wieje... A i o nieboskłonnie pamiętać winniśmy. Jak w górze, tak i na dole! Gwiazdy niezliczone, planety nieoczekiwane, planety życiu schronienia udzielające! Życiu moralnie rozzumnemu! Znak zodiaku nowy, choć, rzecz jasna, węższy nieco, lecz może z północy na południe się rozciągający – może na całą półkola szerokość? Smok? Strzelba pensylwańska? Jeometrów linia?

– Czy mię to zadowala? Czy to twoje było pytanie? Dixonie?

– Wszak nic nie mówiłem...

– A owszem, mamrotanie słyszałem.

– Być może na głos nad tym dumałem, czemu ktoś, kto tyle poświęcił kwestii dni jedenastu, urażony się czuje, gdy histerezę w stopniach się wyraża.

– A we właściwej skali rzecz pojmując – Zhang oświadcza – cóż tu wybierać? I tu, i tam z niemożnością powrotu do czynienia mamy, owym doświadczeniem przykrym wszystkim tym znanym, którym czas umyka. Czyśmy sami czy wśród ludzi, to, co nie powraca, zawsze źródłem przynębenia.

– Kwestia ta wśród metafizyków nadto ożywione dysputy wznieca, w to nie wątpię – Mason uśmiechnąć się próbuje – lecz bardziej niecierpiące teraz zwłoki pytanie brzmi, czy wkrótce może nadzwyczaj gwałtownym stać się zamierzasz?

– Zawstydić mię nie jesteś w stanie. Wyzbyłem się wstydu, tak jak się nudziarza z narady pozbyć można, podkradłszy się od tyłu, do ucha mu szepcząc: „W Quebecu winienes ją był ostawić. Twym przeznaczeniem nie było nigdy aż tak długo w tym szaleństwie kontynentalnym się pławić – szaleństwie, w którym teraz toniesz”.

– Połowa drwali tak gada – Mason powiada.

– Ta połowa, która głowy dla Zsuzsy nie straciła – Dixon dodaje.

– Prostackiej paplaniny tych dzikusów do mych słów przyrównać niepodobna. Ech, winienem był ją w Quebecu ostawić. Podopieczną zniewoloną mego największego wroga była. Gdy tylko ją zobczę, choćby z oddali, słodycz niewysłowiona me serce przepelnia, lecz za niedługo jego cechy diabelskie się ukażą i te umiłowane zastąpią. A mimo to pożądam... Nie jego, nie. Nigdy nie jego. Atoli, gdy tak się sprawy mają, by jej pożądać, wstyd wszelaki pokonać muszę, inaczej szczenę pod jego nawałem.

– I świetnie ci idzie! – Mason woła. – Czyż nie, chłopcy? – Do innych się zwraca.

¹ Legenda meksykańska.

² Legenda buddyjska.

Z początkiem grudnia do Harlandów wracają i do pracy nad stopnia szerokości rachowaniem dla Towarzystwa Królewskiego się zabierają. Orzec nie sposób, czy Linię kiedy za Allegheny pociągną. Wszystko w rękach sir Williama Johnsona.

– Miły jegomość – kapitan Zhang wspomina – choć, co w odległych zakątkach za wariację mają, tego wędrowiec zdradzić nie może, a nawet nie wie.

Podobnie jak inni członkowie wyprawy, Chińczyk bez zapowiedzi do Harlandów zaglądać lubi, ci zaś gości zawsze z otwartymi ramionami witają. W czasie adwentu coś na kształt klubu się tworzy, by nad narodzeniem Pańskim snuć rozważania, po obiedzie do stajni się udawszy. Do grona bywalców owego klubu kapitan Zhang i Wielebny Cherrycoke należą – astronomowie nie są tak wytrwali, choć sądy swoje wygłaszać skorzy w kwestiach chronologii czy astronomii tyczących, lub obu. Na ten przykład, o owej gwiazdzie, która trzech królów sprowadziła.

– Albo koniunkcja planet to była, albo kometa – Dixon wyrokuje.

– W siódmym roku przed Chrystusem, podle Keplera, Jowisz i Saturn trzykrotnie się do siebie zbliżyły, a w roku następnym Mars doń dołączył – Mason rzecze. – Nikt, kto w nocy pod gołym niebem przebywał, podobnego zjawiska przeoczyć nie mógł. Nic innego się równie tego nie wyróżniało.

– Z kolei – kapitan Zhang podkreśla – w roku dwunastym przed Chrystusem, jak się zdaje, sławetna kometa roku pięćdziesiątego dziewiątego świeciła, co to jej powrót nowożytny doktor Halley przewidział. Ogon jej, zawsze ku Słońcu zwrócony, co dzień z zapadnięciem zmroku zachód skazywał, a zatem waszym – czy może mym – mędrcom za drogowskaz takowy mógł służyć.

– Panowie – Wielebny, tak grzecznie, jak umie, przerywa. – Wszak z pewnością Jezus się przed Chrystusem nie narodził.

– Jeśli – mistrz *Feng Shui* powiada – jak wszystkie chrześcijańskie narody, rachuby Dionizjusza *Exiguusa* przyjmujesz, wówczas Herod w czwartym roku przed Chrystusem umarł, a mimo to w ewangeliach występuje. Spis ludności, który Marię i Józefa do Betlejem przywiódł, mógł mieć miejsce nawet osiem lat przed nowej ery początkiem. Takich nieścisłości kuriozalnych wiele tam się trafia...

– Chyba że rok śmierci Heroda niepoprawnie wyliczono – albowiem nasz Dionizjusz Mały¹, jak go wołamy, Boga był wysłannikiem.

– Bóg winien był innego wysłannika znaleźć – podobnym tonem Dixon dodaje.

– Masonie! – Wielebny się odwraca, by palcem mu pogrozić.

– To nie ja! – Mason przeczy. – Nic nie mówiłem.

66

– No, Stig, opowiadaj.

Za płótnem namiotu wiatr wiosenny zawodzi. Jejmość Eggsłap sak ma na sobie szmaragdowy, z fałdami od karku schodzącymi, jak to Watteau malował, suknię, podobnie jak włosy, w wielkim teraz nieładzie. Grubaśna świeca z wosku szwedzkiego w skromnym lichtarzu płonie.

– Pewnego dnia, w osadzie Thorfinna Karlsefni² – Stig, stogiego wypaliwszy, opowieść snuć poczyna, tylko sobie wiadomych skaz na ostrzu swej siekiery wypatrując

¹ Łac. *exiguus*: znikomy, skąpy, skromny.

² Przywódca islandzki, który dopłynął do wybrzeży Ameryki Północnej w XI w., bohater sagi.

– u ujścia jednej z rzek Winlandii¹ położonej, Skrællingowie² się zjawiają, skóry na mleko sfrymarczyć pragnąc. Tak naprawdę broń nabyć byliby skorzy, lecz tej Karlsefni przedawać im zakazał. W trakcie drugiej wizyty, gdy żona Thorfinna, Gudrid, małego Snorri dołąda, pomimo straży i palisady nowej dziwna niewiasta miernego wzrostu do ich chaty wchodzi, przez cień swój jeno zaanonsowana, blada, jasnowłosa, z największymi oczyma, jakie Gudrid kiedykolwiek uważała.

– Jak ci na imię? – nieznajoma pyta.

– Na imię mi Gudrid. A tobie?

– Na imię mi Gudrid – obca szepcze wpatrzone, huk się rozlega i niewiasta znika. W tej samej chwili na zewnątrz jeden z Islandczyków z jednym z Skrællingów się mocując, co broń jego porwać próbował, wroga zabija. Pozostali Skrællingowie wśród dzikich wrzasków czym prędzej czmychają. Wikingowie rezolucję biorą powrotu gości nie czekać, lecz za nimi na Przylądek podążyć. Bałwany o brzeg biją, bryza krzyki rannych zagłusza, krew się leje, wojownicy padają, większość po stronie Skrællingów – ciała, w chłodzie parujące, niczym lalki szmaciane leżą. Nikt prócz Gudrid owej obcej niewiasty nie widział, zwiastuna pierwszej zbrodni na amerykańskiej ziemi i upadku dobrej Winlandii. W przeciągu roku znikła Karlsefni osada, jakoby to, co pod sztandarami obłoków porwanych wówczas na cyplu uczynili, zbyt straszne było. Kwestia tego, kto zwyciężył, z biegiem czasu wagę swą traciła, zaś zdaniem bogów i herosów hańby zmyć z siebie wikingowie już nigdy nie mogli. Wielu z niedobitków zrozpaczonych, co do ojczyzny powrócić usiłowali, drogę zmyliwszy, do Irlandii trafiło, gdzie resztę życia w niewoli strawili.

– Och, Stig.

– Jedna to z opowieści o wożaczach na zachód. Thorstein Śniady, Biarni Heriulfson, Helgi i Finnbogi, wszyscy oni swych sił próbowali. Łotry, oszuści, uciekinierzy, bez krztyny poczucia misji wypłynęli, nie by krzyżem nawracać czy Graala szukać, jeno by z dnia na dzień przeżyć, a tam duchy ich czekały, bardziej cielesne i mniej litościwe niżli te, które w domu ostały. Podobnie jak na Islandii i Grenlandii, na fiordy i odnogi morskie tu trafili. Wszystkie te wybrzeża jakaś moc olbrzymia w pierw broną, a później potopem potraktowała.

– Zatem dlatego Szwedzi między przylądki Delaware wpłynęli – iż to fiord kolejny zapewne mniemali! Widzi mi się, nie ma dla was jak fiord zgrabny. Lecz miast takowego, Pensylwanię odkryli.

– Niespodzianka?

– Niespodzianka. Stig..

– Tak, Pacjencjo?

– Czy ta siekiera naprawdę leżeć tu tak musi?

Tej wiosny, tuż nad horyzontem wisząc, ciemny płaszcz i blade palce na niebie rozczapierając, wielki duch puszczy do ucha im szepcze – choć rozum wiatr jeno słyszeć nakazuje: Nie, dosyć tego, ani kroku dalej... – Takie oto słowa na brzeg jawy przez rzekę szeptu potężnego geometry przewieźć są w stanie.

– Jedną dzierlatkę z Escombe³ mi to przypomina... – Dixon powiada.

¹ Vinland – nazwa nadana Ameryce przez wikingów; autor nazywa ją „Vineland”, być może nawiązując do swojej powieści pod tym samym tytułem (w której była to miejscowość w Kalifornii).

² Nazwa nadana Indianom przez wikingów.

³ Obecnie przedmieścia Durbanu (RPA).

Nieraz podczas Linii wytyczania obaj strachu panicznego doświadczali. Dixon w owej grocie olbrzymiej, której posepnością tak się jego kompan zachwycał, gdzie podenerwowany nieco nad tym dumał, co mieszkać w niej może i jakich jest rozmiarów, skoro równie przestronnego lokum potrzebuje. Mason z kolei poci się porażony, przed śmiertelnym cieniem lasu stanąwszy, co między Savage Mountain a Little Youghiogheny leży. – „...dzikie pustkowie – w dzienniku napisze – laurowymi moczarami usiane. Zdaje się, iż dna tutejszych, mrocznych dolin sosnowych promienie słoneczne nigdy nie muskały”¹. – Dixon w tym samym miejscu co najwyżej rzuci: A niech mię, drzew tu zaiste co niemiara. Kolejny gość niemile widziany ich teraz nawiedza. Który łańcuch akurat geometryzacji kłaść będą, orzec niepodobna ni żadna pora od wizyt takowych wolna, choć pospolicie z zapadnięciem nocy się trafiają. Gość ów do pomniejszych wysłanników nie należy, to nie białe damy czy pies czarny, lecz Przytomność bezgraniczna we własnej osobie, której, gdy wyprawa po raz ostatni na zachód się posuwa, coraz częściej doświadczyć można.

Pewnego dnia, nie zasnąwszy i co się im często zdarzało, nie wytrwawszy we śnie po Słońca odrodzenie, krążąc miast tego wśród brzęku naczyń i harmidru wieczere poprowadzających z twarzami szkarłatnymi, Mason i Dixon głos słyszą, co, czubki drzew rozedrgawszy, miękko się po zboczu górskim w cień ześlizguje, prośbę bardziej niżli rozkaz niosący: Zbyt daleko w tyle Punkt Początkowy ostawiliście!

Jeszcze drga powietrze. Żaden z geometrów podejrzywaniem siebie i kompana o omamy pocieszyć się nie może.

- Pięknie dziękujemy – Mason odburkuje. – Myślałby kto, iż nie wiemy tego.
- Jeśli o mnie chodzi – Dixon dodaje – z chęcią bym ów drogi słupek obaczył.

Wiedzą teraz, gdzie są, nie tylko w milach, łańcuchach i stopach, lecz także na Smoka Podziemnego baczenie mając, podle którego każde miejsce za Alleghenami, tam, gdzie wody ku niezbadanemu sercu kontynentu spływają, zbyt daleko od wsi zaludnionej leży, owych okolic bezpiecznych i cichych, kędy, wśród szarych pni drzew obrączkowanych, pod dachami dla ochrony przed słońcem smołowanymi, żony ciasto na chleb wyrabiają, bochenek zaś rosnący miniaturę stanowi wielkiego tchu dnia zaczerpniętego... Gdzie głosy przez wiatr niesione ze śpiewem wiernych się łączą, wozy turkoczą po gościńcach z ubitej ziemi, psy szczekają, krowy ryczą, a tuż przed wieczere strzał osobny z sąsiedniej doliny dochodzi. Kto w ostępy okoliczne się zapuszcza, poza zasięgiem jest kuli najdalej posłanej z ostatniej strzelby filadelfijskiej przyjaznej – rzec by można, jakoby skazówki zegara cofnąwszy. Mason i Dixon wiedzą dobrze, co głos widmowy przekazać im pragnie. Wkrótce na ziemi wejdą, jeśli już tego nie uczynili, gdzie pod opiekę praw czy moralności uciekać się nie można – jakoby to Coś, co lata temu życie na morzu im darowało, teraz zapłatę należną odebrać się zjawiło. Tu nakaz zawrócenia kolejny wraz z natarczwym odorem bitwy morskiej nie nadejdzie, cichszy będzie od wiatru, ostateczny niczym gład.

Jeometrom dusza w pięty idzie, serce obu jak młotem wali. Zaszli tak daleko, aliści kształt, jaki ostrzeżenie przybrało, pod rozważę biorąc, komu śmiałości stanie, by je płazem puścić?

Czego nie postanowią, rok 1767 ostatnim będzie na Linii spędzonym. Co do warunków do tej pory niejasnych, nareszcie pewność zyskują. Czekać musieli tego, aż z posłami Sześciu Plemion, co się w German Flat² nad rzeką Mohawk zebrali, sir Wil-

¹ Fragment prawdziwego wpisu.

² Żywny obszar zamieszkały niegdyś głównie przez Niemców.

liam Johnson rokowania skończy o granicy za pasmo Alleghenów pociągnięcie. Długie tygodnie w Filadelfii próżnowali, koło plaż piaszczystych piękności miejscowe na balach nadbrzeżnych obtańcowując, w klubach pijąc lub na dwie ręce w wista grając, w osadach swych czy ryb, czy kompanów od fajki tyjących coraz groźniej nierozważni, jak powietrze miastowe coraz to dokuczliwiej wilgotne. Z tych miar późno w tym roku wyruszają, u stóp gór dopiero w lipcu stając, równe dwanaście miesięcy odkąd parcie na zachód zarzucili. Sir William Johnson pięćset funtów za fatygę otrzymał¹.

Ostatnia to dla dwójki Anglików wiosna w tych stronach. Koło Octarary Redzingerów napotyka ją, wspólnie z sąsiadami stodołę stawiających². Młotki w gąszczu belek stukają, czarnymi kapelusząmi mężczyzn usianym. Luiza do Petera macha, co okrakiem na niższym gurcie siedząc, z konceptu jednego z chłopców Yoderów się śmieje. Jeometry tu i tam dla porządku pion przykładają, zaś kapitan Zhang, przy *luo-pan* pogmerawszy, oświadcza, iż miejsce na budowlę zdadne. Chińczyk całą zimę nie wiadomo gdzie bawił, lecz znaną im perłą z kobry się posługując, wołą swego przeciwnika pokierować zdołał. Otóż Padre Zarpazo ni stąd, ni zowąd okazja nad wyraz kusząca się trafiła, by na Florydzie z paroma innymi braćmi coś na kształt jezuickiego parku diwertimentów stworzyć, o rozmiarach żadną sąsiadującą parcelą nieograniczonych. Kwestię aligatorów jak na razie zgrabnie omijano...

Pasternak w panierce podają, kiełbaski we fryturze, *schitz un knepp*³ z szynką, pierożki z rabarbarem, peklowaną wieprzowinę z chrzanem, ciasto z orzeszkami hikory i placki syropem karmelowym nadziewane. Nawet Armand się zjawia, mężnie wystrojony, choć w sercu jego smutek zaległ, z czego zwierzać się skory. *Pudding* własnoręcznie ubity przynosi, kuriozalnie odświętny, porzeczek i fiołków cukrzonych pełen, tudzież suszonych brzoskwiń, wiśni i moreli, brandy malinową nasączoonych i z migdałami drobno posiekanymi. Wnet drobiazg dziecięcy kucharza otacza.

Luiza męża swego przyprowadza, za dłoń ze świętym palcem go prowadząc, i mężczyźni w końcu oficjalnie się poznają. Armand głowę zadziera, by potężnemu Niemcowi w oczy spojrzeć, co równie potężny młotek wciąż w rękę ściska, którym to dzień cały w belki i krokwie walił. Tamten, niczym chłopiec żuczka, go uważa. A może...

– Jak się kaczką miewa? – Peter pyta. – Opowiadała mi o niej, znaczy, Luiza.

Armand niemal rzuca „ma się doskonale”, atoli wnioskując, iż pytanie to wiarytczy, odpowiada:

– Rzadko ostatnimi czasy ptaka widuję. Być może nad tyloma duszami opiekę już roztoczył, mojej w udręczeniu dorównującym, iż czasu dla mej osoby mu nie staje? Kto wie, może w dalszą drogę ruszyła i do grona podopiecznych jej już nie należy?

– Lecz wszak na czas z pewnością już nie zważa? – Peter jest ciekaw. – To mam na myśli, iż inaczej jej niżli nam on upływa.

Francuz ramionami ściska.

– Cóż z tego, gdy my, grupka wybrańców przez nią nawiedzanych, wciąż w ciasnych objęciach czasu tkwimy. – Wzdycha, jakoby za kaczką jeno...

– Zatem ptak ten, podle swego uznania, to w strumieniu czasu nurkuje, to go opuszcza?

¹ Bardzo dużo – dla porównania, Masona i Dixona skusiła do pracy w Ameryce suma sześciuset funtów.

² Do dziś tradycję tę kultywują amisze (zwykle bez użycia gwoździ), sekta z Pensylwanii o szwajcarskich korzeniach, dla której czas zatrzymał się w XVIII w. (patrz film „Świadek” z Harrisonem Fordem).

³ Dość: jabłka (suszone) i kluski; tradycyjna potrawa holenderska.

Luiza przez chwilę na niebo zerka, lecz już jej oczy w bok celują, ku piecom bochnów pełnym, których doglądać musi. Tymczasem mężczyźni, mimo wysiłków nadmiaru śliny dolną wargą wstrzymać nie potrafiąc, ku stołu na kozłach opartemu ruszają, by potraw z całej jego długości skosztować – szynki i ptactwa, tart i kremów, oposów *à la mode* i klusek smażonych – cały ten czas w nadzwyczaj poważnej rozmowie pograżeni.

Siódmego lipca do Cumberland instrumenty dojeżdżają. Tłok tu nieopisany, ludziska w płótnach i skórach, Hiszpanie i Francuzi, biali i Indianie. Panie pistolety i sztylety obnoszą, bardziej świętobliwe siostry nieokrzeseane, niżliby się zdawało. Pionierzy, trunkami mocnymi struci, niczym ser czy kręgle się przetaczają od jednego do drugiego przechodnia, z czapkami z szopa na bakier, na spotkanie z podkowami i obręczami kół się narażając lub gniew niecierpliwych ludzi interesu, którym, jak dzień długi, czas nieraz co do minuty drogi. Mężczyźni w strzelby zbrojni na gankach gospód siedzą i przetyczkami dzwonią w takt melodii przez niewolników afrykańskich na banjo i bębnach do późna w nocy tu wygrywanych. W powietrzu czuć twardej, dym i zwierzęta. Wozy wielkie, conestogami zwane, o dachach białych i wydętych, u zachodniego krańca osady się zbierają. Wśród niepospolitego poruszenia, krzyków gwałtownych, stad, co drogę gęsto wypełniają, konie do pojazdów posobnie wyprowadzanych zaprząwszy, wozy na koniec kolejki się kieruje, gdzie stoją cierpliwie, skwar to czy słońce, krowom w porze dojeźnia w tym podobne.

Jeometry z kompanią Thomasa Cresapa odwiedzają.

– Jedno wam powiem – po udzie się klepie – te tu ziemie to miejsce idealne. Utopia, jak Boga kocham, a nikt praw do niej nie rości, ni król, ni gubernator żaden, jeden szeryf może, lecz ten z rozkoszą samemu sobie cię ostawi, byleby jego osoby nie nagabywać, co „zadzieraniem z nim” nazywa. Dopóki się z nim nie „zadrze” zatem, dopóty on z tobą „zadzierać” nie będzie. Nie ma co, święte słowa! Oto jak daleko władza sięgać winna – mym skromnym zdaniem, rzecz jasna. Lecz i wśród szeryfów czarna owca, ten z Lancaster, z przeproszeniem, przez Boga przeklęty. Starego Smitha znacie? Na muszkiety walczyłem z nim i jego armią plugawą, w Pennów zapatrzoną. Choć pewnikiem tam na wschodzie jeno ich wersję słyszeliście.

– Imć Sam Smith dwa lub trzy lata temu opowieścią o tych wydarzeniach nas nad Pechway zabawiał.

– Bez pochyby my zabawiliśmy go owej nocy¹.

– Mówił, iż pięćdziesięciu pięciu chłopca na czternastu przypadało...

– Nieomal.

– Waćpana Bestią z Baltimore obwołał.

– Owszem, a także Marylandzką Marą. Dziś bardziej jestem groźny niżli przed laty, bowiem mało czego lękam się na świecie, a niczego takiego nie ma, czego się nie podejmę, przynajmniej póki mię te kolana przeklęte nie zawiodą. Spytajcie, kogo chcecie, jak sobie z pistoletem radzę. He, he... – Pukawkę bandyty z gościńca godną dobywa, o krótkiej kolbie zaokrąglonej i ośmiokątnej lufie dwunastocalowej. – Powiadacie, iż to zabawka jeno, na pokaz, by innym stracha napędzić?

– Ja nic nie mówiłem – Mason oponuje.

– Ni ja – Dixon dodaje.

¹ Opisowana potyczka miała miejsce w 1736 roku.

– Hej, ty tam, od Michała¹, wyjdźże no gdzieś do pierwszego płota i rzuć to... ten tu dzban, wysoko w górę dla starego patriarchy biblijnego. Dobry chłopak.

– Toż to on pełen...

– Słuchaj, jak ci tam, wszak detalami różnic praw podatkowych obu prowincji gości zużyć nie będziemy, czyż nie? Zabieraj zatem swój tyłek ze złej strony rzeki rodem pod płot... – Chłopiec rwie co sił, już w połowie jest drogi. Cresap za nim spogląda. – Pyskacz mały. Skąd to mu się bierze? Równie dobrze z szeryfem mógłbym się zadawać. Mniemałem, iż mnie za młodu poskromić było nie sposób, lecz ten mały Zack...

– Dziadku, gotowe!

Przybitka, kula, tłuszcz, stempel, proch miałki, proch gruby – gesty tak szparkie, iż niemal rozmazane. Nikt z przytomnych, w tym Wielebny, który ładowań uważał wiele, równie chyżego sobie nie przypomina.

– Głowy do góry! – Cresap woła.

Dzban, młynki kręcąc, po łuku w górę szybuje. Starzec rękę prostuje, cel namierza, chwilę śledzi, wreszcie strzał oddaje, dzban w kuli ognia wybucha i fala gorąca zdziwione twarze patrzaczy owiewa.

– Czy o tym Samuel Smith wam wspomniał? Z początku osiemdziesięciu pięciu ludzi armia jego liczyła, lecz po paru pierwszych takich dzbanach trzydziestu nogi za pas wzięło, zatem walka była bardziej wyrównana. Kilka cennych oddechów zmarnowałem, by przekląć się za to, iż tak blisko kraju Maryland się osiedliłem – wierzyłem naiwnie, iżem na południe od czterdziestego stopnia² – i Susquehannę za prawdziwą granicę miałem niżli jakąkolwiek linię niewidzialną przez astronomów czy jeometrów wytyczoną – no tak, wyście też nimi, wybaczcie, proszę. Kto by przypuszczał, iż szeryf Lancaster podobną wyprawę rzeczną zgotuje? Na Boga! Były tam łodzie pod żaglem i tratwy, *batteaux* były, w których po dwudziestu sześciu Murzynów wiosłowało, ba, nawet żaglowce owej nocy bezksiężycowej szeroką Susquehanną popłynęły! Trzydzieści lat minęło, lecz wspomnienie nie mniej żywe. Tam skąd większość osadników w tych stronach pochodziła, oddział konny nocną porą do rzadkości nie należał – aliści cała brygada niewielka, co rzeką się w ciemnościach podkrada? Zdradzony, rzec by można, przez własną granicę, na atak zupełnie nieprzygotowany – cóż, wnoszę, iż raz w życiu tak trzeba. Na ziemię me wtargnęli z całą bezlitosnością armii, która w pełnym słońcu nadchodzi, po czym obóz stawiać jęli i okopywać się, by nas gnębić. To mój mały Daniel bitwy był bohaterem.

Młody Cresap, teraz człek czterdziestoletni, który cały ten czas w milczeniu łapczywie obiad pochłaniał, żuć na chwilę przestaje i ramionami rusza.

– Żywe srebro – jego ojciec rzecze. – Wszędzie go było pełno, a jeden błąd za drugim popełniał. Złapali go i przegonili, to gdy nikt nie patrzył, proch ich znalazł i ile mógł, w chusteczkę zawinawszy, w ognisko cisnął.

Daniel usta wykrzywia i głową kręci, stare dzieje wspominając.

– Nura dałem, by skryć się. Nieco odczekałem. Cisza. Chusteczka się ciut osmałiła. Wówczas dopiero wielce się rozgniewali. Cóż to był za widok, gdy proch z ogniska starali się wydobyć. Wszytcy jakowegoś huku wielkiego czekali. Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy o ocalenie modlić. Jak zawsze, sami się prosili.

– Dom nam spalili, jednego z naszych, gdy się poddawał, zabili – ojciec i syn

¹ Michael Cresap, syn Thomasa.

² Tak też mogło być w istocie; granica miała bieć wzdłuż czterdziestego równoleżnika, ale wtedy Filadelfia leżałaby w Maryland; linia Masona i Dixona leży mniej więcej na 39°43'N.

spojrzenia wymieniają – reszta po lesie się rozproszyła. Przez Susquehannę mię powieźli, bym procesu czekał w tej nędznej... Tak to ujmę – jeśli Ameryka osobą by była i usiadła, to miasto Lancaster w mroku dusznym by się pogrążyło. Ha. Gdy mię przez rzekę wieźli, jednego z mych strażników śmiałych w wodzie skąpać mi się udało. Wszyscy, sądząc, iż to ja tonę, z wiosłami i kolbami się nań rzucili, a niektórzy w zapamiętaniu sami powpadali. Pęt z siebie ściągnąć nie byłem w sile i z dala od rzeki trzymać się pragnąłem, gdy bydłeta w panikę wpadły, z wody zrodzonej. Szczerze powiedziawszy, temu łotrowi Smithowi życie zawdzięczam, bowiem reszta chętnie by mię za burtę wyrzuciła. Dopiero gdy przez rzekę się przeprawiwszy, w Columbii stanęliśmy, w łańcuchy mię zakuli, choć przyznać muszę, kowalowi z czoła dałem, aż się osunął. Wstyd, bratem mi był w Nowym Świecie, co jak nikt inny wiedzieć był winien, iż się bliźniego tak nie traktuje na rozkaz jakowychś trepów zacierzewionych, którzy Pennom służą. Ot, i ma historia, panowie. Jak się też ma do relacji przez Smitha zdanej? Wiedział wszak, iż prędzej czy później się spotkamy.

– Zdawał się nie tak krzepki – Dixon rzecze.

– Czy żywot jego przebaczyć mu mogę? Jęczenie o tym już zarzuciłem. Cóż, w końcu mię wypuszczono – nie tyle sprawiedliwość wygrała, ile niesprawiedliwość, wcześniej się wyczerpawszy, ustąpiła. Wkrótce po tym, wierząc, iż Opatrzność nie pozwoli, by Smith poza granicami hrabstwa Lancaster krzywdę nam mógł wyrządzić, na zachód się z rodziną przenieśliśmy, do Antietam, wówczas jeszcze na pograniczu, gdzie dość uczciwie skórą i futrami handlując, wkrótce niemalże fortunę zbiliśmy. Niestety, ładunek skór, na który zapożyczaliśmy się okrutnie, nieopodal Kanału¹ jeden z kaprów żabojadzkich przejął – ot tak, z zaskoczenia. Wierzyście, wszyscy o twarzach surowych, prędko się tłumnie stawili, a tyłu ich było, iż niektórzy w ścisku w odchody zwierzęce wdeptywać musieli. Tym oto pistoletem rozbójnickim wymachiwałem, do ich poczucia wstydu przemawiając, lecz zbyt długo z płatnościami zalegaliśmy – siedziba nasza nad Potomakiem, w której dopiero co jak w domu czuć się począłem, w obce ręce przeszła równie bezlitośnie, co bogactwo nasze na morzu dalekim. Znów trzeba nam było szczęścia dalej na zachód szukać i w końcu tu się osiedliliśmy, gdzie gościńce schodzą, Potomak rozwidła, a fort mniej niżli dzień drogi leży. Może niepisane mi wielkim folwarkiem zarządzać jak Shelby, ów szelma skalpy kradnący. Może do życia wioskowego dojrzałem. Do trzech razy sztuka czy coś w tym guście.

– I już nigdy przenosić się nie będziemy musieli. – To Megan, kolejna Michała latości, rudowłosa, fertyczna, szacunku wyzbyta wobec rzeczy i osób powszechnie szanowanych. Czytać umie i Cresapowi „Rzecz o Pensylwanii” czyta.

– Po klęsce Braddocka ciężkie czasy dla nas nastały. A to ja z Nema-colinem² drogę tę wytyczałem. Niemal każde przeklęte drzewo ścięliśmy sami. My tu lata temu pierwszym Masonem i Dixonem. Zbyt wąski się nasz dukt dla biednego Braddocka okazał, lecz kto się na nim armii spodziewał? Podle kompasu szliśmy i, przebóg, czułem, iż od igły chłód magiczny bije, siła jakowaś potężna spoza puszczy rodem, „której drzew siekiera nigdy nie drasnęła”, jak to Tox ujął zgrabnie. Co się zaś Nema-colina tyczy, trzymam, iż żył ten w świecie magią przesyconym, gdzie kompas magnetyczny to małe piwo.

¹ La Manche.

² Wódz plemienia Delaware (Lenape).

– Cóż sobie Mohawkowie, co dołączyć do nas mają, o naszych instrumentach pomyśla? – Dixon duma.

– Będą ciekawi. Radzę, by na wszelkie pytania im odpowiadać. Zakładając, iż to najgorsze nie padnie: „Po cóż to wszystko czynicie?”. Jeśli padnie, jedynym ratunkiem jest milczenie. Inaczej pierwszy krok ku bagnu uczynicie, a jeśli los się do was uśmiechnie i z takowego cali wyjdziecie, to z dawną pogodą ducha okrojoną.

– Po cóż ja to wszystko czynię? – Mason pyta głośno, niczyjej odpowiedzi nie czekając. – Zaiste, intrygujące pytanie. To jest, sądzę, iż jako główną pobudkę pieniądze mógłbym skazywać lub też chęć wiedzy człowieczej poszerzenia, co do...

– Ej, opamiętaj się, przyjacielu. Gadasz jak najęty – Dixon wtrąca. – Wszak imć Cresap rzekł wyraźnie, by milczenie zachować. A ty na opak.

– Nie jęcz, jak stoicy powiadają? Sam słowa te z korzyścią za swe motto obrać mógłbyś.

– Jakież to teraz na mnie winy z wygody zrzucasz?

– Czekaj no. Trzymasz, iż gdy trzeba, winy na siebie ja nie biorę? Iż zawsze na ciebie może ją spycham?

– Ja tego nie powiedziałem. – Dixon brwi wysoko podnosi, choć resztką dobrotliwego uśmiechu po twarzy mu błądzi.

– Gdy wina po mej stronie, do błędu się przyznaję – Mason woła – lecz wina nigdy nie po mej stronie! I to także nie ma wina! A zatem, innymi słowy...

– Tak, tak. Jeszcze się może matuli poza!

– Dzieci, dzieci! – patriarcha strofuje. – Więcej grzeczności, więcej opanowania. Wszak przed sędzią pokoju stoicie. Powiedzcie teraz, który mężem?

Pytanie to u kompanii rubaszny wybuch śmiechu wywołuje, w tym i Dixona, choć Mason ni drgnie, co najwyżej ponuro spode łba łypać przestaje. Wszyscy z wielką wesołością to przyjmują, a gdy dzban burbona krążący w jego ręce się dostaje, łyk wychylić Mason jest zobowiązany. Brzeg naczynia nieglazurowany otrzeć do sucha nie sposób z wilgotnych objęć warg niezliczonych, które jeszcze nie tak dawno Bóg wie czego tykały – może i żywych członków królestwa zwierząt przedstawicieli, czego, po obliczach zebranych wnioskując, wykluczyć się nie da.

Dixon, człowiekiem ziarna będąc, weselszy raczej niżli Mason żywot trunkowy wie dzie, bowiem im dalej na zachód się posuwają, tym więcej się pędzi, a mniej tłoczy, aż wreszcie na rubieżach kto wino głośno wspomni, ten za francuskiego szpiega jest brany. W Cumberland astronom pytać się jeszcze nie ośmielił, choć, jeśli gdziekolwiek się tu znajdzie, to na targu każdego dnia, nawet w niedzielę – aż po szare kamienie fortu handel sięga, gdzie ponad cieniem bastionów działa czernieją, a czujki na murach wypatrują ciekawie. Indianie, co z głębi kraju zjeżdżają, nie tylko futrami kupczą, lecz leczniczymi ziołami i drobiazgami ze złota – amuletami, kubkami, bransoletami z bajecznych krain południa i zachodu. Przybysze z wirgińskich rubieży z wozami butów zjechali, krawcowe filadelfijskie suknie ogoniaste prezentują, co do szwu mody Londynu i Paryża powielające, księgarze, którzy ceglane wąwozy Frederick opuścili, najnowszymi wyznaniami bywalców Covent Garden kuszą, kramarze przekąski ciepłe zachwalają, mleczarki się kręcą i ladacznice, historie życia na kocach rozłożone, w rowie fortecznym w „grosz do dołka” grają. Zewsząd dźwięk metalu dochodzi – w dzwonach kościelnych dzwoni, w kuźniach szczeka, w błocie ulicznym skrzypi miarowo, gwoździe żelazne na stos sypane brzęczą, monety właścicieli zmieniają. Żółcią ostrą, purpurą i zszarzałym błękitem malowane niebo majestatem swym poraża. Wozy z amunicją, przez konie ciągnione, które w życiu minionym handlarzami ziemią były, pełne lub puste, to w jedną, to w drugą stronę suną, boki ich

przez snopy jaskrawego światła długimi liźnięciami ciemnego lśnienia znaczone. Psy, biegające swobodnie, często w watahy się zbierają i polują, nieraz głodne są, a stąd niecierpliwe.

- Czy nikt w tej okolicy o Czarnym Psie nie słyszał? – Dixon się dziwuje.
- Spod South Mountain? Niech no się przy mym Snake'u ma na baczości.
- Pół korony, iż twój Snake minuty z mym Ralfem nie zdzierzy.
- Stoi, hultaju.

Nikt rzecz jasna o zdanie psów nie pyta, co spać by wołały lub do syta się najęść. Lecz sfory tutejsze rządzą się innymi prawami. Życie tu nie rozpieszcza ni nie tak bezpieczne jak tam, na wschodzie, w miastach ceglanych, gdzie jeno padłego jądła się szuka. Tu do wyznawania przykazań Wolfa zagrzewają, a w tych stoi – zabijaj to, co jesz, jedz to, co zabijasz. Zdusić się w sobie winno ciągoty wewnętrzznego szakala, który wciąż wyciem ścierwa się domaga. Nie każdy to potrafi. Zawsze nieco resztek w składach fortu się znajdzie, oficerowie kąsek w zamian za przysługę podrzuca – kto to widział tak biedne psiska kusić? Nie ma takiego w tej placówce, co podszeptem zdradzieckim kiedyś nie uległ, choć poniekąd sforę to scalić pomaga, albowiem wszyscy jeden grzech dzielą.

Snake, który jako szczerołap się wślawił, bardziej do mordu niżli schrupania ofiary skory. Przednią rozrywką jest szczurów ściganie, łączy w sobie sztukę bycia o krok przed przeciwnikiem z chyżością, a przy okazji kunszt pojedynku się szlifuje, gdyż nie zawsze na przytomność sfory liczyć można. Snake wnosi, iż skoro szczura złapać umie, to i wiewiórka kłopotu mu nie przysporzy. Czy drzewo, czy dziura, jedna jest metoda – na drodze stanąć, nim się pędrak gdzie zaszyje.

Gdy Mason do niego podchodzi, zaufać mu postanawia, miast po próznicy kły obnażać. Wkoło ludzi i ich młodych krząta się chmara, jedzą w biegu, flirtują, o pieniądze kłóć. Powietrze woń jądła, palenisk i psów innych przepełnia.

- Witaj, Snake. – Mężczyzna kuca nieopodal, narzucać się nie pragnąc. Pies w niemym pytaniu łeb podnosi. – Mniemam, iż teriery norfolkskie, jak i inne rasy, siecią posłańców wśród swych przedstawicieli nowiny rozsyłają, a ciekawi mię, gdzie też ostatnimi czasy Uczony Pies Angielski bawi, Kiel, jak go, o ile się nie mylę, wołają.

Snake się zamyśla. Zasadę wyznaje, by przy obcych – zaiste, wszystkie te lata nawet przy swym panu – z darem mowy pochopnie się nie zdradzać, albowiem o innych mu wiadomo, w tym i Kle łatwowiernym, co ludziom sekret ów powierzyli, by jeszcze tego samego wieczoru w sali karczemnej się znaleźć, głośnej i nieznośnie zadymionej, bez obietnicy obiadu, nim się występ nie skończy. Nie dla Snake'a takie laury, za brawa pięknie dziękuje. Aliści pewnikiem coś w jego brwiach zadrżało, gdyż mężczyzna uśmiecha się nieporadnie, by okazać, iż zmiany jest świadom.

- Ponoć do szczurów przejawiasz upodobanie. Może do mówienia to cię zachęci, iż monsieur Allègre, kuchmistrz naszej wyprawy, w tej chwili *queues du rat aux haricots*¹ sporządza, danie swe szeroko w wielkim świecie znane.

Chyba jako środek wymiotny, Snake myśli, lecz nadal milczy. Też mi coś, „do szczurów upodobanie”. Kimże jest w ogóle ten idiota?

- O nic więcej nad skinienie nie proszę po tym, jak zgadnę poprawnie. Czy na północ się udał? Na południe? Nie. Na wschód? Skoro jeno zachód ostał, niech stoi, iż przy nim skinąłeś, zgoda?

- Masonie – Dixon się pojawia, piwnym oparem tchnący. Przedpiersie fortu za nim jaśnieje. – Czy nic w takowej logice cię nie razi?

¹ Fr.: ogony szczurze w fasoli.

Astronom prostuje się niezadarnie.

– Snake, Snake, Snake, na miłość boską. Choćby stąd do Monongaheli choć jedna świeczka jeszcze płonęła, bądź pewien, nasz gaduła znajdzie ją i jak inne zgasi. Tak, Dixonie, znów mię przed bandą mych nadziei nędznych obroniłeś, co wracają niezrażone. Cóż, dziękuję.

– Co, jeśli twa nachalność nie świeczką, przyjacielu, lecz raczej ogniskiem w danym miejscu niewskazanym?

Dzięki wielu zimom na uważaniu ludzi spędzonym, Snake miarkuje, iż zjadliwość znaczna między tymi dwoma w powietrzu wisi. Odchodzą teraz, gestykulując i głośno się spierając, zaś Snake z powrotem łeb na łapach składa i przez nos wzdycha. Stary Kieł... Któż w końcu trzymać miał prawo, iż prawdziwa jego historia mu znana? Niektórzy powiadali, iż sam sobie zawinił, inni ludzi oskarżali, zyski z jego daru czerpiących. Nie w Snake'a zwyczaju leży na inne psy donosić, a poza tym kto wie, jakie ów człek miał zamiary, po tak długim czasie spotkać Kła pragnąc.

Jeometry tymczasem twarzą w twarz stają, za tło mając przestwór mglisty, alpejski, o horyzoncie błękitnym – owe cisze błękitne, które ich czekają.

– Wiem, iż coś tam się czai, co, póki się nie pojawimy, nie nastanie... Z północnej Anglii pochodząc, w połowie Szkotem jestem, gnomów druhem – w tych sprawach nie mylimy się nigdy.

– Znowuż za daleko się zapędziliśmy. Kiedy lekcję pojmiemy? Nigdy.

– Wiem, co tam znaleźć pragniesz, przyjacielu. Jedyna to rzecz, która do Ameryki przywieźć cię mogła.

– I mniemasz, iż wyczuć potrafisz?

– Czym to jest, nie wiem. Stadem bizonów, może światłem z innego świata? W każdym razie czymś o podobnej mocy.

– Przyrzeknij, iż nie starasz się mię pocieszyć jeno na ten swój sposób wesoły, po który jak po ciastko sięgasz?

– Jakże mógłbym żartować o tym? Nie przy tobie. Z młodym Hickmanem to co innego, z Tomem Hynesem...

– Którzy ile lat mają? Dwanaście? Dziesięć? Sądzą, iż zawsze już żyć będą. Zaiste, z nimi żartować możesz.

W cieniu na beczukę piwa trafiają. Chłopaczek z Wirginii, siedmio- czy ośmioletni, podbiega do nich, by zagadkę zadać.

– Coś, czego nikt nie widział jeszcze i już nigdy nie zobaczy, zaraz waćpanom pokazać mogę.

Mason czoło marszczy.

– Nie ma czegoś takiego.

– Ta-tam! – Szkrab orzeszek ziemny astronomom prezentuje, po czym otwiera, dwa czerwone fistaszki ukazując. – Coś, czego nikt nie widział jeszcze – parkę zjada – i już nigdy więcej nie zobaczy!

Przez chwilę obaj mężczyźni, zadziwieni, sami parę fistaszków przypominają.

W przeciągu dwu tygodni delegacja Indian doń dołącza, przez sir Williama Johnsona wysłana. Większość z nich to wojownicy z plemienia Mohawków, którzy aż do

końca października wyprawie towarzyszyć będą, kiedy to astronomów powiadomią¹, gdy pewna ścieżka wojenna ich drogę przetnie, iż przyrzeczenie Sześciu Plemionom dane ni kroku dalej uczynić im nie pozwala, z czego wywnioskować można, iż i jeometry pójść w ich ślady są zobowiązani, a ścieżka owa kres Linii Zachodniej, duktu i przedsięwzięcia całego stanowi.

Oświadczeniem tym nie do końca są zaskoczeni, gdyż Hugh Crawfford, co z Indianami przybył, jeszcze pierwszego dnia Anglików uświadamia:

– Śmierci to podobne. Wiesz, iż ci pisana, lecz kiedy wypadnie, tego nie wiadomo, przeto ma się nadzieję zawsze choć dzień następny przeżyć. W dość równych odstępach szlaki indiańskie przecinać będziemy – to Mohawkom snu z oczu nie spędzi. Aliści przed nami, poprzecznie do przecinki, szlak pewien z południa na północ biegnie, Wielką Ścieżką Wojowników zwany. To nie jeno droga dla tej tu drużyny ważna, lecz jeden z serca kontynentu gościńców głównych. Z tych miar granicę stanowić musi, albowiem gdy do niego dotrzemy, dalej posuwać się nam nie zezwolą.

– Przecięcie go kwadrans nam jeno zabierze, a każdy ślad przejścia usuniemy. W czymże kłopot? Czy podłoże tak zniszczymy, iż buty na nim zedrą? Na nowo trakt ubijemy, ba, kupony na mokasyny damy...

– Mości Masonie, dla nich gościniec ten niczym rzeka. Po obu jego stronach się osiedlają, przeto, aby taki stan rzeczy zachować, prądu owej rzeki nic tamować nie może. Ścieżkę duktem przeciąć, to jak tamę zbudować.

– A ile mil owo miejsce od Ohio dzieli? – Słowo „Ohio” Mason nieznacznie podkreśla.

– Będzie trzydzieści, czterdzieści mil – Crawfford powiada, a najgrzeczniej jak potrafi, gdyż i jego w tych stronach niejedno rozczarowanie w przeszłości spotkało – aliści już za Monongahelą. – W skrytości ducha zaś dodaje, „sokos tumbre”, co u Hiszpanów z zachodu podchwycił. Przywyknie się². W twarzy jego, niestety, z trudem Masonowi przychodzi, a może i innym, śladów jakichkolwiek uczuć się dopatrzeć, tak jest przez długie lata twardych poranków poradlona, a żywioły podle swej woli nań szaleją. – Przednia to droga. Czasem używać jej musiałem. Jeśli wiatr i Miesiąc zdatne, rwać nią gładko podobna. Raz to oni mię gonili, raz ja ich ścigałem – góry te przekłete jak zły szeląg poznaliśmy, skórę ratowaliśmy, tymi rzeczками podły mi spływając. Zbijaliśmy pokaźne fortuny, później tracone szybciej, niżli echo wystrzału ginie, a tylu z nas przez te lata ujęto bądź zniszczono, co cało wyjść z opresji pozwolono. Tak, szczyty i otchłanie poznałem niżli w Alleghenach ogromniejsze. Zarówno jeńcem, jak i zbiegiem bywałem. I przyjaźń, i nienawiść nas łączyła. Lata życia mi winni, ciało tu i ówdzie dokuczają – com ja im ponoć winien, ich się spytajcie. Jedno wiem, znam ich. Nie na wskroś wprawdzie, czy na jakowyś sposób nadprzyrodzony, lecz raczej jak znać może człek tego, z kim się chrzest ognia niegdyś przeszło, a później nieraz o śmierć otarło – i choć na papierze od owej ścieżki do Ohio dwa kroki, obu was zaklinam – odległość tu, wraz z czasem, innymi prawami się rządzą, jak nigdy wcześniej na bacności się miejcie.

– Dobrze, żeśmy choć uprzedzeni – Dixon mniema.

Indianin, co do lasu się wślizguje, rybie do wody wrzuconej podobny – każdy szparko w zieloność nurka daje, przed której ścianą Masonowi ołów nogi zalewa. Gdy po raz pierwszy ów skok w żywioł obaczył, w głowie mu się groźnie zakręciło. Punkt, w którym Miedzianoskóry w gąszczu zniknął, drgał niczym wir barwy pozba-

¹ Co miało miejsce 9 X 1767, o czym autor wspomina zresztą w rozdziale 56.

² Hiszp.: *se acostumbre* – przywyknie się.

wiony. Gdy się z kolei czyjeś wynurzenie uważa, mrok bezładny wirować poczyna, z wolna w twarz się przemieniając, twarz w dodatku Masonowi znaną.

Niepokój w nim wzbiera, a z nim rozdrażnienie.

– Szanuję ich i ich losy nieszczęśliwe, atoli w takową trwożę mię wpędzają – żale swe Wielebnemu wylewa – co granic nie zna. Już omamy widzę.

– A mianowicie?

– Rzeczy, których tak naprawdę być nie może. Lecz wszak są, nawet tykać mi ich podobna.

– Na ten przykład...

– Z tym kłopot, milczeć w tej kwestii poprzysiągłem.

– Co rzecz jasna rady udzielenie utrudnia.

– Wiem. A niektórzy to towarzysze nad wyraz doborowi. Wstyd przyznać.

– Ty mi się tu zwierzasz – Wielebny rzecze – a imć Dixon z ich kompanii całkiem kontent być się zdaje.

– Kto, nasz wesolek młody? Z księżmi pije, z pigmejami hula – czego to nie widziałem. Cóż go trapi, jeśli tytuniu i trunków staje? A od pierwszego łyku po dno flaszki próżnej ni razu strach mu w oczy nie spojrz, ni myśl grzeszna nie zasmuci – zbyt niewinny jest, by kwestie grzechu czy lęku rozważać. To me serce drży przed tych gości dziwnych przybyciem, którzy jedno z owym krajem tajemniczym i groźnym tworzą. Mijają nas, lecz nigdy blisko, cieniom podobni, spokojni, niczym lasu czy rzeki bóstwa... A zatem – ku przybyzszom ruchem gwałtownym się zwraca – jesteście Indianami!

– Masonie, to chyba niedobry...

Gdy Hugh Crawfford przekłada – nadzieję żywią, iż to właśnie czyni – wodzowie Mohawków, Hendricks, Daniel i Peter, wodzowie Onandogów, Tanadoras, Saczehandiks i Tondeghe, wojownicy Nicholas, Thomas, Abraham, Hanenherejołag, John, Sałatis, Jemmy i John Sturgeon, niewiasty Sossina i Hanna, wszyscy oni Masona i Dixona, a następnie ich instrumenta, wzrokiem mierzą. Wcześniej uważali, jak sektor nadjechał w swym wozie poduszkami wyściełanym, jak go z troską tragarze przenesili, jakie wrażenie robi w całości złożony. Dowiedziawszy się, kiedy jest używany, niektórzy z Indian co noc przychodzą, by patrzeć na astronomów pod machiną leżących, na mosiądz w niebo wycelowany, sierp skali wielki i zakrzywiony, gwiazd połączyć, co u oka się zbiega, które nawet w zabawie jakże snadnie uszkodzić podobna, a tu niczym zakładnik tkwi pod kolubryną zwalistą.

Sektor podle południka ustawiany po raz pierwszy uważając, Indianie wyznają, iż jak pamięcią sięgnąć, plemiona irokeskie południki traktowały jako granice plemiona oddzielające.

– Nie rzeki, nie pasma górskie? – Zhang jest zadziwiony. – Co na to jezuici?

– To od nich dowiedzieliśmy się tego.

– Tak jedno podanie głosi – Hendricks dodaje. – Inni wierzą, iż nie jezuici to byli, lecz jakowis przybysze, mocą wielką obdarzeni, znacznie wcześniej.

– Któż taki?

– Ci sami, na których interesów dowody wciąż natrafiamy – Zhang rzecze – a którzy, pod swą nieobecność, przez innych są reprezentowani – jezuitów, encyklopedystów, Towarzystwo Królewskie, grupy, co owych szlaków *sza* doglądają, podle siatki geograficznej na płazie Ziemi wytyczanych.

– Czy pracę naszą porzucić winniśmy? Czy do tego pijesz?

– Nie wy, to ktoś inny dzieła dokona.

– A wówczas ty już się nimi zajmiesz, bowiem powstrzymać ich twym zadaniem,

czyż nie, przyjacielu? Zarpazo oczy nam jeno mydliłeś. Wszak to po psie tego, kto ma zawisnąć, wpierw widać, iż ów szalony¹.

– Z przeproszeniem – Mason wtrąca – trzymam, iż to idzie: „Po tym, kto ma swego psa powiesić, wpierw widać, iż ów szalony”.

– Czemuż miałby kto psa swego wieszać? Nie, nie, mój panie. Ten, kto zawisnąć pragnie, wpierw swemu psu pozwala, czy to z jakowymiś wisiorami przy obroży, czy to przystrojonemu dziwacznie biegać, aby, gdy w końcu zawisnie, inni rzec mogli: „Obłąd go porwał, jak nic zwariował. Po jego psie widać było, iż ów szalony”.

– Cóż, no tak, jeśli tak to wyłożyć, bez wątpienia tok rozumowania się zgadza, lecz za grosz prawdy w twej opowieści nie ma. Wszak wpierw...

I tak dalej (Wielebny powiada). Jeszcze na długo po wybiciu północy owa zaprawdę fascynująca dysputa trwała. Jeśli od czasu do czasu głowę bez czucia zwieszalem, to nie dlatego, iż się bezmyślnie sprzeczali, lecz trudami dnia minionego stery. Sen częścią daniny, jaką mu płacimy jeno za to, iż nam się przeżyć pozwala.

Śniłem owej nocy – taką mam nadzieję – iż pięćdziesiąt czy sto stóp² nad ziemią leciałem, wprost na zachód, wzdłuż wycinki. Nigdy wcześniej dar węchu we śnie nie był mi dany – woń drzew świętych, żywicy i ognisk czułem, aromaty kuchenne, konie i inne zwierzęta. W dole węgiel się jarzył z wychodni wycięty, taką czernią błyszczących, iż murami piekła być musiały, pismu na płazie ziemi podobnych. Zapas ten w kuźni woźnicom się przydawał, nowinką był w piecu imć McCleana, a Dixonowi, ze skałą tą obeznanemu, dzień za dniem uciechę sprawiał. Brat jeometry George lata temu był się nauczył opar z węgla dobywać, co błękitnym płomieniem płonie, a rurki z trzciny z kotłami zmyślnie łącząc i w dziczy doświadczenie to powtórzyć podobna, co Dixon wkrótce nam zademonstrował. Stąd właśnie, po owym błękitnym świetle niezemskim w nocy pustynnej, innych światel pozbawionej, wnoszę, iż to nie sen był, lecz sposób podróżowania. Indianie popatrzyć przychodzą, lecz nigdy uwag nie czynią. Widzieli to już i nigdy tego nie widzieli.

Linia odczuć się daje – krawędź ta, jakże bliska, jakże prosta, dzięki jakiejś mocy nieznaney wciąż myśli nasze nawiedza. Pewności mieć w mroku nie sposób. Ścieżki Wojowników wypatruję rzecz jasna, za zwiadowcę męznego się mając. Wszytscy, nawet na jawie, czujemy, iż ta z każdym dniem się zbliża, podobnie jak człęk z czasem rzekę wyczuwa, nim cokolwiek ją zdradzi – niebo, odgłosy, roślinność. Czy podobna, iż jakowymś organem *sensorium* nieodkrytym gwar z owej ścieżki zachwyca my, szum pod słyszalności progiem? Czy za najbliższym wzniesieniem bieży, czy może za następnym się kryje? Ile mil nas jeszcze dzieli, posłańcy i wędrowcy szacują, lecz póki odległości jej od Punktu Początkowego nie wymierzą i nie spiszą, póty na ostatnich kartach księgi swej legendy zalegać jest jej dane.

Gdyby dukt dalej miał biec na zachód, ścieżkę wojowników przeciąwszy, wówczas ów krzyż na łonie puszczy wyryty nie tylko miejsce spotkania metafizycznego by znaczył między nauką nowożytną a dzikością pradawną, lecz także załazek osady by stworzył, granice czterech parceli wytyczając, z których każda innym celom by posłużyła. Jak amen w pacierzu, pierwsza by karczma stanęła, kolejnym budynkiem byłby zaś zajazd. Wkrótce na kilka mil wokół, wzdłuż każdego z ramion krzyża, od przybytków wszelakich by się zaroilo, albowiem zjechaliby tam kowale, handlarze

¹ Dosłowne tłumaczenie przysłowia francuskiego, w języku angielskim możliwa zmiana znaczenia po przestawieniu przecinka.

² 15–30 metrów.

paszą i nasionami, niewiasty w strojach niepospolitych płaszące, licytatorzy i rusznikarze. Latarnie noc całą by płonęły, trotuar wąski szutrem chrzęścił dziwnym, z daleka sprowadzanym wraz z innymi towarami, co w obie strony szparko flotą wózów płyną, bez końca, niczym stada bizonów legendarne dalej na zachód – to w bieli dachów wydętych słońce się odbija, to koła niezmordowane w zmroku turkoczą, wśród cieni miękkich i rozmytych, niczym miejskie sadze czarnych.

Wesołe światełka w szybkach migoczą pojazdów szybszych, co dniem i nocą sznurkiem ponad polami suną, a choć w przestworzach, swe koła ledwie porysowane dźwigają, by je w razie potrzeby zamocować. Śpiew i wesołe okrzyki pasażerów podniebnych odmęty powietrzne przecinają. Nowicjuszom jeomantycznym zerkanie w górę się odradza, by zawrotami głowy zdjęci, w niebo nie wpadli – przypadki takowe są znane, a przynajmniej oficerowie wraz z poganiaczami bydlą tak trzymają – jakoby wzdłuż duktu siła ciążenia mniej ważna niżli zachwyt się stała.

Pewnej nocy, jeszcze na wschód od Laurel Hill, Mason pyta:

– Gdzie wasza święta kraina leży? – Indianie jak jeden mąż zachód skazują.
– Tam, za widnokregiem? Tam Bóg mieszka? – Głowami kiwają.

– A gdzie wasza? – Hendricks wiedzieć pragnie.

Mason, raczej niepewnie, palec ku górze podnosi.

Dixon rozbawione spojrzenie mu rzuca.

– Co to ma być? Zenit jeno? Nic nieco bardziej... obszernego? – Ręki machnięciem koncept ów ilustruje.

Jeometry od paru godzin z Indianami gwiazdy uważają, nad podobieństwem życia w innych światach dysputy wiodąc, tudzież nad tym, czy bycie owego życia świadomym i w jakim stopniu w byciu świadomym Boga się zawiera, Boga przy tym z Bogami zrównując, a jako iż podobne kwestie mej profesji tyczą, słuchać czuję się zobowiązany.

– Co w uważaniu gwiazd nas dziwuje, to to, iż to wy zawsze ich doglądacie, lecz one was nigdy – Daniel powiada.

– Was doglądały? – Mason wierzyć nie jest gotów.

– Wielokrotnie. Wprawdzie nigdy wszystkie naraz, pospolicie pojedynczo, aliści przychodziły.

– Brzmi to niczym wyznania wędkarza – Dixon rzecze, czym Miedzianoskóрым do gustu trafia. – Niebiańskie połowy – Hanenherejołag rzuca.

– Czy ktoś tajników przynęty wyłożyć nie winien? – Młody Jemmy na tyle głośno szepcze, iż każdy z kompanów na chłopca zerka, jeden ze złością w oczach, inny z rozbawieniem.

– Śmiało – Dixon rozmówcę zagrzewa. – Wyjaw mi ów sekret, a ja ci za to zdradzę, jak mój zadziwiający wabik chlebowy działa, z talentów swych nad Wear i nie tylko słynny.

– Tyś się pierwszy ozwał – Hendricks chłopcu przypomina.

– To bezpieczeństwo twojej duszy przynętą – Jemmy powiada. Dla inicjacji niedawno do lasu samotnie się udał i podczas tej próby swego Stróża odnalazł – niedźwiedzicę, co wyprostowana ku niemu kroczyła, łapę w irokeskim geście pokoju wyciągnąwszy. Przywołana, w mgnieniu oka się teraz stawi, choćby nie wiadomo jak groźne szlaki by się stały. – Aliści, by ją po raz pierwszy sprowadzić, na linie zwiesić się musiałem, zbyt grubej, by ją samemu zerwać, i czekać, bez snu, nie tylko ciałem głodem morząc, lecz i...

(– Tu żeś chyba coś od siebie, księżulku, dodał – stryj Lomax woła.

– „...mą duszę”. Co słyszę? Duszy potrzebującej młodemu Mohawkowi bronisz? Tak czy inaczej, Dixon Jemmy’emu dziękuje. „Cóż, wabik chlebowy zdrowie mniej nadweręża, a oto metoda moja...”. Tu, niestety, nadto się oddalił i sekretu jeometry nie poznałem.

– Sekretu, kuzynie?

– Sam byłem, pani, działania wabika świadkiem. Ryby w okolicy nigdy wcześniej niewidziane, o danym potoku nie wspominając, Dixon nań łowił odmiany obce tam z przyrodzenia. Trocie w stawach wiejskich, w których, myślałby kto, zgoła jedna żaba się nie uchowa. Daleko za linią Alleghenów karmazyny chesapeakekie. Tuńczyki słodkowodne, jakże rzadko spotykane. Wszystko ze swej cudownej mikstury pomocą. Własnoręcznie takiego okonia morskiego złapałem, iż we dwóch do namiotu kuchennego go nieśliśmy – nie wiem, ile ważył – nadto pstrągi niezliczone, gdzie inni jeno kije moczyli, nadzieje co najwyżej na płotkę niebaczną mając. Uwierzcie, gdybym ów sekret posiadał, ludzi bym najał, galonami kupczył i wkrótce w gotowiźnie się tarzał).

– Czy ową grupę gwiazd miarkujesz? – Daniel ku Wielkiemu Wozowi rękę wyciąga.

– Wielką Niedźwiedzicą go zwiemy – Mason poucza.

– My także. – Głos jego zaskoczenia nie zdradza. – A ów szereg gwiazd tuż obok, wygięty?

– To jej ogon.

Wśród Indian na chwilę wesołość zapanowuje.

– Długie ogony mają niedźwiedzie w twym kraju.

– Niedźwiedź to nadzwyczaj dłuogoogoniasty.

– Czyś pewien, iż to nic innego?

– Owe gwiazdy, które „ogonem” wołacie, to myśliwi, co za zwierzem podążają.

Gdzie są wasi?

Mason na Wolarza i Psy Gończe skazuje. Pamięta z lat młodości wieczór po jarmarku, całą rodziną późno do domu ze Stroud wracali. Furmanka toczyła się leniwie, słońce zaszło, gwiazdy się ukazały i Charlie jał o sklepieniu niebieskim prawić.

– Ten gwiazdobiór pan nauczyciel Ursa Major¹ nazywa, większy to z misiów, a tam mniejszego widać.

– Mój staruszek trzymał, iż to łopata piekarska – ojciec powiedział.

– Mój zawsze „wóz Karola” mawiał – matka wspomnienia przywoływała. – Tak brzmiało imię wielkiego króla francuskiego.

– Hura! – krzyknęła Hester. – Oto wozem Karola jedziemy!

Mason sądzi, iż jedna z nielicznych okazji to była, gdy śmiech swego ojca słyszeć było mu dane.

Tymczasem na wozie chłopiec zerknął w górę ku twarzom rodziców odwróconym, na tle nakrapianego, bezksiężycowego nieba, owych samotności mil nieogarnionych. Zapamięta ich tak społem, jakoby u stóp jakowejś wielkiej, podświetlonej budowli niebieskiej mieszkali, o niezliczonych latarniach rozpalonych i cieniach każdy kąć zaścielających. Gdyby choć raz na niebiańskie ścieżki się zapuścił, być może zdałby później sobie sprawę, iż coś jestestwa jego najgłębsze zakamarki przeniknęło, a duszą zawładnęło na wieki.

Mason mniemał, iż do chwili obecnej każdy krok jego był mu znany, aliści, choć życia swego przypadki jak na dłoni widzi, jak się tu, gdzie jest, znalazł, pojąć nie jest w stanie – sam pośród dzicy, wśród ludzi, co mu może źle życzą, od najbliższych oceanem oddzielony, jedynego sojusznika pewnego w Dixonie mając.

¹ Łac.: Wielka Niedźwiedzica.

– Czy coś nam grozi? – Nie wie, po co miałby pytanie to wstrzymać.
– Tak, tak – Daniel woła. – Mohawka się spytaj. Temu o niebezpieczeństwie wszystko wiadome. O przemoc, tyranii, broni – czy coś opuściłem?

– Wybacz. Wybaczcie – Mason mamrocze.

Daniel prychnął i głową kręci.

– Jednego białego oskalpuj, wnet do głowy sobie co wbijają. Tak, jesteś w niebezpieczeństwie, bez pochyby. Czyż twoje serce nie bije? Czyż w puszczy nie siedzisz? – Ręką krąg zatacza. – Na każdym kroku śmierć czyha.

– Czy mogę choć o jarzyny zapytać? Okazy o rozmiarach niespotykanych? Tym chyba nikogo nie obrażę?

– Ja się jednym z twych mędrców warzywnych nie piszę. Z Nicholasem raczej pomówić winieneś. – Całą drogę do namiotów Mason spojrzenia Daniela łapie, już nie ciekawe, lecz do człowieka należące, co osąd swój jakowyś niedawno odmienił.

W obozie Nicholasa przy dyskusji zastają, która właśnie kwestii wielkich jarzyn tyczy. Indianin na pytania astronoma grzecznie odpowiada, nawet gdy niepokojem są podszyte.

– Daleko stąd – Hugh Crawford przekłada – na północnym zachodzie dolina leży, niezbyt duża, niezbyt też mała, miejsce magią przesiąknięte. Drży ziemia, dym z gór bije, strumienie ognia dookoła sphywają...

– Żywotność to wulkaniczna – Mason pomocnie wtrąca.

– W owej dolinie rośliny – warzywa – wielkie, bardzo wielkie osiągają rozmiary. Dajmy na to, kukurydza. Jednego ziarnka człek nie uniesie. Rzepa wielka, sześciu jedną wyciąga. Są także tam wielkie dynie. Starczy taka, by wiele rodzin wyżywić, a po wydrążeniu za schronienie zimowe im służy. Zaprawdę, bardzo, bardzo wielka. Konopie... – Mohawk na równe nogi się zrywa, udając, iż wielce zadziwiony coś strzeżlistego nad wyraz uważa.

Dixon, jakoby ze snu wyrwany, pyta:

– No, jak duże te konopie, powiedz?

– Pod koniec lata wspinaczka na żeńską roślinę parę ładnych dni zajmuje, żołnierzyku¹.

Wpatrują się sobie w oczy, szelmowsko uśmiechnięci, czego Mason w ekscytacji nie miarkując, woła:

– To rzecz jasna dzięki glebie wulkanicznej. Cud! Crawford, a o marchew go spytaj.

– Wielka – Indianin po angielsku rzecz, z uśmiechem na twarzy głową kiwając. Mason widzi, iż wszyscy głowami kiwają.

– Konopie – Dixon Nicholasowi przypomina.

Wielu, by wspiąć się, z dalekich stron przybywa, Indianin swą opowieść ciągnie. Wczesnym latem wędrowcy mają w zwyczaju na jednym z szerszych konarów nocować, lecz o tej porze roku wzrasta zapotrzebowanie – wkrótce na większych gałęziach miejsca braknie. Niektórzy ognisk nie strzegą jak należy i choć pożary prędko są gaszone, każdy mnóstwo dymu zdradza, dym wielki, przy wiatrach niepomysłnych opóźnienie kilkudniowe.

Na tęszych konarach pierwsze długie domy² stawiać poczęto, gdzie w porze zbiorów pielgrzymi nocują. Część nazajutrz dalej się wspina, część ostaje, by czekać, żywicę popalając z jakowegoś pobliskiego pąka dobytą, na kształt cygara ogromnego

¹ Dixon ma na sobie czerwony surdut podobny do dobrze znanych Mohawkom mundurów angielskich żołnierzy.

² Charakterystyczne dla Irokezów.

skrawkiem liścia konopnego owiniętą. Wkrótce do zajazdów komórki przydano, gdzie zapasy swe handlarze przechowują, towar prosto z pąka skupujący¹. Jako że bandy rabusiów kupców łupią, ci społem pod eskortą zbrojną podróżować muszą. Atoli ludzie zarobku są żądni i owe karawany pionowe napadają. Tak, tak, sporo się wówczas na łądogach dzieje.

– Ta dolina, jak daleko stąd leży? – Dixon napręży się cały i oddech wstrzymuje, jakoby odpowiedź upragnioną usłyszawszy, w mrok bez zwłoki ruszyć był gotowy.

Nicholas delikatne światło Aliot² skazuje.

– Za daleko dla ciebie, żołnierzyku.

– Może mi się uda.

Indianin się śmieje.

– „Może” nie ma potrzeby. – Historię wielkiej konopi cierpliwie powtarza, słowa takie jak „handlarz” czy „żywica” podkreślając.

Masonowi w głowie świta.

– On coś przedać nam pragnie.

Mohawk tymczasem gestykułuje dziko, udaje, iż pali i dymem im w oczy dmucha.

– Dym? – Dixon zgaduje. – Dym masz na myśli, przyjacielu? Na Boga! O, surogacie prześwietny!

– Zdaje mu się – Mason oczy ku niebu wznosi – iż do Kapsztadu powrócił, gdzie tak rozkojarzony bywał, iż o dacie przejścia przypominać mu musiałem, nawet jeszcze owego dnia sławetnego. Jakże mu się z podobną starannością doglądać udało zegara i teleskopu, nadal zagadką nierozwiązaną.

– *Dagga* zieleń jest wielce zagadkowym – Dixon poważnym tonem odpowiada.

Jedną z jej tajemnic to, iż mówienie o czymś może nie do końca rzeczy te wywołuje, lecz coś na pewno, a to prawie to samo. Chyba że tartofla palić podobna. To jest, pierwsze z wielkich warzyw wcale nie tak duże – na jakowymś jarmarku wiejskim poruszenie może wzbudzi, lecz z trudem do owych okazów przynależy, co się na zachód stąd za górami kryją, olbrzymów, co z prawideł przyrodzenia szydzą, wiarę podkopują, kwestionują samo Stworzenie...

– Czy ja wiem – Dixon wtrąca grzecznie, nikogo urazić nie pragnąc. – W każdym gatunku sztuk kilka nad miarę zawsze wyrasta.

– Wszak tam akra za akrem się ciągnie. To nie dzieło Pana.

Po przeprawie przez Cheat na kukurydzę natrafiają, co wyżej niżli kurek na dachu stodoły sięga. Wzniesienie, które wpierv za jedno ze wzgórz biorą, kopcem ziemnym być się okazuje, z którego płózca łądoga dyni wychodzi, najśędziwsze pnie grubością przewyższająca – w kwiatach owej bani pławić się z rana można, dna czasem nigdy przy tym nie tykając. Pomidory pojedyncze, kościołom równe, tak są lśniące, iż swe odbicie obaczyć podobna, barwy krwi, kuliście przeobrażone, z rzeką wygiętą w tle, duktem zakrzywionym i niezmierną lasu połacją. W powietrzu wonie natrętne, oszalałmiające, pizmowe – w pęczersz świeżego powietrza zaopatrzyć się trzeba i tchu zeń raz po raz zaczerpywać, by z miejsca w ogrodzie tytanów bez czucia nie paść.

– Czy ja pogwizdywania nie słyszę? – Mason czoło marszczy.

– Cóż, tak sobie właśnie myślałem, a może to owoce sztuku człowieczego?

– Bzdura. Żaden uczony, choćby nie wiem jak zmyślny, sam doktor Franklin nawet... Spójrz jeno, na miłość boską! Wierzchołka się nie obaczy! Cóż to za przekłeta oaza palmowa?!

¹ Haszysz to oczyszczona żywica otrzymywana z kwiatów konopi.

² Jedna z gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy.

– Wnoszę, iż to czubek marchwi – Dixon poddaje – choć, rzecz jasna, rozmiarów niebываłych. Lecz skoro z grządką warzywną do czynienia mamy, ktoś... coś zapewne ją uprawia. Radzę, byśmy...

– Poniewczasie.

– Witajcie, panowie, choć być waś tu nie powinno. – To gromadka wieśniaków, którzy, pomimo bycia w średnim wieku, a i wzrostu średniego, pod każdym z warzywnych olbrzymów przez siebie doglądanych chochlikami o obliczach poważnych by się zdają. – Nie ma czym zabić waćpanów, strzelba w stodole. Aliści para Brytków z was na oko, przeto i ufać wam nie możemy.

– Po cóż w tajemnicy cud ten utrzymywać? Czemuż raczej „Gazety Pensylwańskiej” nie powiadomić?

– My tu jeno pieczę nad grządkami roztaczamy pod nieobecność prawowitych właścicieli, a do ich powrotu pozwolenie mamy z tego, co ziemia urodzi, korzystać. – Po czym astronomów po swych włościach oprowadzają.

W szopach po temu stawianych nasiona zimą trzymają, a każda jedno, góra dwa, przechowa. Sadzenie na wiosnę naraz wielu ludzi zatrudnia, co do wznoszenia stodoły snadnie przyrównać idzie. W ziemiance gigantycznej, pod bliższym pastwiskiem wygrzebanej, tartofel zeszlroczy samotnie spoczywa, którego kawały toporami odrąbywane taczkami są do kuchni zwożone, gdzie się je następnie piecze, gotuje i smaży na tyle sposobów, ile niewiast staje we własne kolekcje receptur zbrojnych.

– Błahostka – naczelný ogrodnik rzecze – czekajcie, aż buraka zoczyście.

Burak ów tak jest przysadzisty, iż więcej niżli jednego wejścia wymaga, zaś wszyscy ci, którzy często w nim bywają, czy to jako mieszkańcy, ciekawscy czy smakosze, w końcu głęboko fioletowej barwy nabierają, której zmyć niepodobna.

– Niczym górniczy w mych stronach, choć w weselszym odcieniu. – Dixonowi skarżenie się nasuwa. – Cóż, co mniej rozważne, życie wielgachnemu warzywu poświęcić, co nad ziemię wyrasta i granice posiada, czy też pokładowi węgla podobnych rozmiarów, co to w czeluściach ziemskich się kryje? Buraka przynajmniej obaczyć w całości można.

– Atoli żyje – przewodnik ich oświadcza.

– Chyba nie trzymasz waś... – Mason buraka zwiedzić wyraźnie już nieskory.

– Znosić nas musi, boć my dlań jeno szkodnikami, które na pełnię jego uwagi nie zasługują.

– Czy nasze słowa pojmuje? – To jednym, to drugim okiem astronom na nos swój spogląda, przy czym cykl prawe-lewe-prawe sekundę zabiera.

– Na tę kwestię różne szkoły odmiennie się zapatrują. Kolejne ważne pytanie brzmi, czy pamięcią sięga czasów, kiedy to myśmy od buraków więksi byli – tak, tak – przy terazniejszych proporcjach mniej więcej odwróconych, czyż nie? Czy jakoweś urazy z owych dni zamierzchłych żywią? Czy pojęcie zemsty warzywom tym znane, krzywd pomszczenia, jakie może wyrządziliśmy nieświadomie?

68

Ostatnimi czasy jedną lub dwie mile dziennie pokonują. Po 189 milach i 69 łańcuchach, siódmego sierpnia trakt Braddocka przecinają. Trzydzieści dwa łańcuchy dalej trakt znów na ich drodze staje, zaś nazajutrz po raz trzeci nań natrafiają, milę i 35 łańcuchów przebywszy.

– Ni trochę mi się to nie uśmiecha, Dixonie.

Ponoć trzech malwersantów z Filadelfii – Harris, Wallace i Friggs – lato w tych stronach spędza, gruntów zdatnych szukając. Trójka intrygantów nadzieje żywi, iż od Indian znowuż co się kupi, tym razem największe z możebnych ziem połacie za Alleghenami. Jako iż kapitan Mackay z czterdziestym drugim regimentem osadnikom tutejszym nakaz przesiedlenia w zeszłym roku wręczył, a miernictwo, co za tym idzie, przestępstwem się tu stało, grzywną pięćdziesięciofuntową karane, jak i więzieniem trzymiesięcznym, przypuszczają owi trzej panowie, iż niemal darmo prawa do ziem tych przejmą.

– Trzy miesiące za granic wytyczanie? – Mason się dziwuje. – A co, jeśli ktoś życie całe się tym para? A ta kwota! Za jedno wzięcie miary funtów pięćdziesiąt, czy też stawka to *per diem* może?

Przed przeprawą przez Big Yochio Geni, wieczorem po mszy, jeometry markietanów wszystkich zwołują, do tej pory wiernie wyprawie towarzyszących.

– Teraz, niczym Prospero¹, czarem was odpędzić muszę, albowiem stąd do owej ścieżki wojennej nie czas na diwertimenta będzie, lecz wartę ciągłą, tak daleko na zachód jak to możebne.

– Co takiego? Muzykantów żadnych? Indianie melodie nasze ubóstwiają.

– Teraz uszu im do innych zatrudnień trzeba.

– Do fortu zatem wrócić się musimy.

– W Cumberland czekać ich będziemy.

– Daleka to droga, siostrzyczko. Do tej pory wojownicy Mohawków nas strzegli, najprzedniejsi w kraju. Bez nich, któż nas w marszu powrotnym obroni?

– Może szczęście nam dopisze i ze zwolnionymi drwalami się zrównamy?

– Dawno już po nich śladu nie ma. Niczym kulki gradowe w ziemię wsiąkli.

– Cóż, ja nad Potomakiem gnąć nie będę. Tam zierzam, gdzie ulice oświetlone, sakiewki pełne, a gotowizna właściciela nowego szuka. Ktoś jeszcze do Williamsburga?

W domu imć Spearsa, tam, gdzie trakt Braddocka brzeg Yochio spotyka, sektor ostawić im się udaje. Teraz właściciela promu szukać ruszają.

– Myślą ludzie, iż przewoźnik cicho siedzi – odnaleziony imć Ice powiada, a oczy mu błyszczą. Surdut zdejmuje i wokół głowy owija, by twarz swą niczym kapturem przesłonić. – Dobra. Witajcie na pokładzie. Palenie u mnie dozwolone.

Na przystani szwagier jego linę z wolna popuszcza, pozwalając, by ich prąd rzeczny porwał, zaś na drugim brzegu siostrzeniec Ice'a czeka, prom ku sobie pociągnąć w każdej chwili gotowy. W połowie drogi, gdy ni ojca, ni syna obaczyć przez chwilę nie sposób, zdaje się, iż pośrodku bezkresnego oceanu pasażerowie na jakowejś trawie utknęli.

– Opowiem wam, jaki los nam zgotowano, mnie i mym najbliższym – ostatni z Ice'ów rzecze, po czym straszliwe czasy klęski Braddocka, kiedy to w masakrze rodzinę stracił, szczegółów nie szczędząc, wojażerom przybliży. Gdy mówi, czas raczej bytu traci. Mgła rzeczna nagle wznosić się przestaje, żaby rechotać, patrząc oczami wodźcą, czarne kamienie przydenne cichną i zamierają. Opowieść Ice'a zmarłych przyzywa. Jakoby w zamian za poświęcenie ziemskiej swobody na rzecz innego strumienia, jego żałości czas się nie ima.

– Mniemacie, iż to dla mnie coś na kształt pokuty? Nie tędy droga. Opowiadać lubię. Ach, te miny, gdy pasażerowie słyszą, jak ciała mych najbliższych zbezczes-

¹ Czarodziej z „Burzy” Szekspira.

czono! Przywykli do historii o automatach Fryderyka, których szeregi na olbrzymich, niemieckich równinach idealnie manewry wykonują. Tu, w sercu amerykańskiej puszczy wojna ta sama w ciszy się toczyła i cieniu niesłabnącym, zaś jej ofiary śmiercią zwierzęcą pospiesznie ginęły. Takiej jak ta żaden traktat zakończyć nie może, a gdy już wszyscy ducha wyzioną, owe duchy nadal bić się będą. Inne wojny równać się jej nie mogły – czysta radość mordy, bez litości, bez pohamowania. Ciężko podobne zatracenie porzucić.

Youghiogheny, o brzegach w zatoczkach, wierzbach i platanach, z tego, co Mason się dowiedział, ryb w sobie nie kryje.

– Takie chodzą słuchy, zgadza się – Ice powiada – atoli każdemu, kto nad nią osiedlony, wiadome, iż wielka ławica ryb widmowych jej wody zamieszkuje, rzadko widywanych, bladezielonych, z ogonem smoczym i podwójnym szeregiem płetw u każdego boku. Podle swej woli się przemieszczają nienapastowane, spokojne, bowiem przeświadczono, iż żaden rybak przy zdrowych zmysłach zasadać się na nie śmiałości by nie miał. I tu dla waćpana sposobność się otwiera...

Dixon usiłuje Masona sójką w bok ostrzec, lecz przez ciemności nie zawsze trafia. Starszy astronom, uśmiechnięty głupawo, już niczym mleczareczka duka:

– Kto, ja? Cóż ze mnie za rybak? Płoc czy kleń mnie zadowolili, co to ich jeszcze młyny życia nie pozbawiły czy nie przepędziły, a te rybska waszmości, jak mi Bóg miły, zważywszy na to, co z wędką lekką zdziałać mogę, cóż, zdaje się, rzec by można, cosik duże...

– Masonie! – Dixon szepcze, co wszak rzadko czyni.

– Do pięciu stóp dorastają, sześciu niektóre – Ice przyznaje. – Niewieście czy mężczyźnie rozmiarami podobne, blade niczym trup prądem niesiony, a mimo to żywe... Niewielu się odważyło, lecz paru widmowca na wędkę złowiło – niejedną sztukę wypchaną mógłbym wam pokazać – o mięsa skosztowaniu, rzecz jasna, mowy nie ma, w rzeczy samej nawet nad kominkiem powiesić takiej niepodobna, gdyż żony niezbyt skore dłużej je uważać – to jest, jeśli wcale. Yochio z gór Wirginii po strumieniu spływa tak groźna i wartka, iż brodzić w niej byście nie chcieli – może nawet sił by wam po temu nie starczyło. Niektórzy trzymają, iż to sam spadek, sam nurt rzeczny widmowce rodzi. Bóg jeden wie. Tak czy owak, całe ich życie ciągłej zmianie podporządkowane. Obce im wczasu zażywanie, chwili spokoju nie zaznają. Ciekawe, jak też się na śmierć zapatrują... – Sztuczny uśmiech przewoźnika z trudem zdzierżyć przychodzi. – Jakże sobie z wiecznym odpoczywaniem poradzić zamierzają? Chyba że świat ten czyścem już dla nich i do ryb żyjących zaliczać ich nie wypada.

– A co z tymi, którzy się nań zasadzają?

– Widmowce podobnym szacunkiem co zmarłych się darzy – imć Ice powiada. – Jeśli dziś wieczór nad brzeg rzeki zajdziemy, może natrafimy na parę, zaraz po deszczu to ich ulubiona pora. W świetle słonecznym od czarnych skał dna się odcinają, zaś po zmroku żarzą nieco – nie dla nas, o nie – jeno gdy jeden drugiego zmiarkuje. Nas ni jedną myślą nie zaszczyca. Cóż, poniekąd z takowego stanu rzeczy rybak dość śmiały korzyść czerpać umie.

– Ja nie ze śmiałych – Mason dłonie na brzuchu składa.

Słyszac to, Ice wnet ku Dixonowi się zwraca.

– Wybacz, waćpan, jeśli się nadto wpatruję. Od czasów wielkiej klęski Braddocka pierwszy to w tych stronach surdut czerwony. Jedynymi, którzy podobne nosić sposobność tu mają, są Indianie, co z ciał poległych Anglików je zdarli, aliści dla

tych dzikusów, choćby nawet pijani byli, nawet przymierzenie takiego hańbą jest zbyt wielką.

– Dla mnie to sposób, by w leśnej głuszy za jakowegoś łosia mię nie wzięto.

– Ni mnie – Immanuel Ice oświadcza – nikt za głupca płacznego nie weźmie, je-
no uważając, jak to dzień po dniu z markotnością walczyć muszę. Najbliżsi moi za
naszą chatą są pochowani, na skraju łąki, który rząd cedrów znaczy. Nie ma dnia,
bym ich grobów nie odwiedził, lecz żaloba w zbyt nim odosobnieniu do szaleństwa
prowadzi. Atoli podróżnych przewożąc, ludzi wielu napotykam, którzy czasem, jak
i waszmościowie, ucho żalom biedaka nadstawia. Wariację to odgania. Co, żołnierzy-
ku? Mniemasz, iż tu już po wszystkim? Mylisz się srodze. Ni upadek Quebecu pokoju
trwałego nie przyniósł, ni zwycięstwo Bouqueta nad Bushy Run, ni odsiecz dla fortu
Pitt, bowiem zawsze jedna kropla w kubku ostanie, jedna kula w strzelbie, jedno ży-
cie niewinne, które odebrać można okrutnie, z nienawiścią niespotykaną – każdego
dnia, gdzieś tu, w leśnych ostępach. Ostatnie ofiary tej wojny jeszcze na świat nie
przyszły... A teraz nasz mały Horst przejdzie się wśród waćpanów z czapką z szopa,
opłata sześć pensów wynosi. Dzięki tak wdzięcznym słuchaczom jak wy, panowie,
miejsce to kopalnią skarbów być się okazuje.

– Ależ... to potworne – Mason oponuje. – Jakże możesz waść dla garści sześćcio-
pensówek na tragedii własnego życia żerować?

– Czy grzech to duży? – Imć Ice wiedzieć pragnie. – Czy któryś z waćpanów
w tych stronach wówczas bawił? Od Westfalii¹ podobnych okropności nie doświad-
czono. Na cóż by mi to było bez rekompensaty? Oto sposobność, bym owe przeżycia
sobie wynagrodził, by każdą wrogą kulę na złoto przetopić. Jakże człek rozważny
obiekcje tu czynić może? Naści, nadal po karczmach obcym się narzucajcie, by dar-
mo serca przed nimi otwierać. Nadejdzie dzień, gdy Stwórca, jeśli taka jego wola, za
ramiona was schwyci i niczym córką upadłą potrząśnie – od tej pory nic darmo
nikomu nie dacie.

Podle ksiąg rachunkowych, między Laurel Hill a Cheat najmniej stu jedenastu
robotnikom się płaci, nie wliczając w to jeometrów, McCleanów różnorodnych i tych,
których zawsze w księgach pomijano. Za Laurel Hill w krainę fortec pradawnych
wkraczają – ruiny te, wzgórze okoliczne znaczące, Indianie miejscowi już tu zastali.
Murów resztki, co niemal swój zarys jeno kreślą, za organki służą, w których wiatr
jękliwe wyjścia szuka, gwizdem cienkim kończąc, jakoby pytanie stawiał. Nad Red-
stone treść jednego z nich widać. Koryto u stóp twierdzy skały zaścielają linijkami
pisma obrazkowego pokryte. Choć odczytać go nikt nie umie, wierzą wszyscy, iż z ka-
mieniami nagrobnymi do czynienia mają.

– Legendy głoszą, iż rasa olbrzymów fortece te wzniosła, a później porzuciła. Gi-
ganci ci nawet Anglików i Francuzów mocą magiczną znacznie przewyższali.

– Fortece? – Dixon pyta. – Przed kim się tu bronić?

Indianie się śmieją.

– Przed sobą nawzajem może.

– Od czasu do czasu – Hugh Crawfford przyznaje – na kości olbrzymie się w oko-
licy trafia.

– Człowiecze?

– Tak się zdaje. Długie wieki w ziemi leżały.

Każdy, kto z tych stron pochodzi, o owych twierdzach słyszał. Czasem, gdy niebo
za dnia czernią zachodzi, a chmury burzowe, piorunami ciskając, zza gór ciągną, co

¹ Być może chodzi o rzeź anabaptystów w westfalskim Münster w 1535 roku.

zmyślniejsi wujkowie dzieciarni wmawiają, iż to plemię olbrzymów, głośne jak zawsze, po latach powraca, by się o swe ziemie upomnieć. Jeden malec haczyk połyka, inny nie dowierza. Monolity, niegdyś nad otoczeniem górujące, dziś w obrębie okręgów zatartych leżą i jak głoszą Indianie – ...śpią bądź są martwe. Stojąc, żyją. Ni Boga, ni ludzi wizerunków nie obnoszą, lecz Strażników...

- Strażników? Czego?
- Opiekunów. Są żywe. Moc posiadają.
- A w Anglii – Mason potrzebę czuje, by Indian uświadomić – roczną wędrówkę Słońca i Księżyca odwzorowują, może i planet, jak niektórzy trzymają... Wzrostem człowiekowi dorównują z tych samych przyczyn, dla których nasz sektor podobnych jest rozmiarów – by owe ruchy na sklepieniu niebieskim dokładniej rachować.
- Wielką wagę do różnic drobnych przywiązujesz. Czyż moc w tym nie tkwi?
- Im większa precyzja, na jaką skala nam zezwala, tym większą mocą rozporządzamy. Strzelba z hrabstwa Lancaster celnie daleko niesie dzięki niewidocznej finezji wykończenia, gwintowaniu, łatwości, z jaką mierzyć z niej można. Kto drobiazgiem mikroskopowym włada, całym światem rządzi.
- Skłoń ucha, Defekujący z Gołębiami. Na długo przed tym, jak się tu pojawiliście, z marzeń sennych byliście nam znani. Wszystkie ludy, nawet te z krańców zachodu czy południa, śniły o was, nim was obaczyły. Wierzyliśmy, iż z niebios bądź innego świata przybywacie. Szacunkiem darzyliśmy moce przez was ujarzmione. Aliści w waszych snach nie gościliśmy nigdy, a gdyście w końcu nas ujrzeni, zguba nasza waszym jedynym pragnieniem była. Nastął czas mordu – i wasi, i nasi padali, lecz aż tylu nikt z nas się nie spodziewał. Gdybyście owymi pradawnymi olbrzymami byli, zmiotlibyście nas po prostu bez podobnego zachodu. Miast tego swych mocy nam użyczyliście, swej broni, jakoby do strzelania do was nas zagrzewając – i tak też uczyniliśmy, choć waszych szeregów nie przerzedzając tak, jak się tego spodziewaliście. Teraz wy z kolei głosić poczynacie, iż z dalekich krain przybyliśmy, mocami obdarzeni, zaś niektórzy z nas, ci drogę znający, w snach waszych schronienie nareszcie znaleźli. Choć życie nasze prawdziwe waszemu jednakie, sny wasze także zamieszkujemy.

Tu, na dalekim zachodzie, gdzie dukt wyraźnie jest szerszy, robotnicy coraz mniej czasu na nim spędzać się starają, zarówno za dnia z siekierą, jak i nocą z siennikiem, układania się na samej Linii unikając.

Drwale poczynają znikać bez zapowiedzi – dezertować, jak by w wojsku powiedziano. Monongahela dlań Styksem, Cheat Rubikonem. W końcu Indianie ostają, piętnastka nowo najęta i Tom Hynes („Ktoś gotować musi...”). Dla Masona i Dixona policzek to straszliwy. Dumając nad tym, czy rwać sobie z głów włosy, czy też po ziemi w bezsilności tarzać, jeometry miarkują, iż towarzyszący im Indianie cały ten czas ich uważają, grzecznie co prawda, acz bez pochyby – wyniku owych rozważań ciekawi.

Przez Hendricksa fascynacja nieklamana przemawia.

- Cóż takiego, według nich, po drugiej stronie rzeki czyha, iż tak tłumnie i pospiesznie się wycofują?

- Ponoć Szewanezi, Delawarowie, Mingowie. Ktoś wspomniał plemię, którego nazwy nie słyszeli.

Dla swych towarzyszy wypowiedź przekłada prędko, jakoby przed wybuchem wojskością zdążyć pragnął.

- Bezimienne plemię? I my lud ten znamy. I w nas plemię bezimienne lęk budzi.

Indianie zaśmiewają się, siedząc i paląc, dłużej weseli, jak się Europejczykom zdaje, niżby tego dany żart wymagał. Dzień ma się ku końcowi, już noc zapada, brak

drwali w uszach i na łokciach się czuje, jak i w bezsenności warcie ciąglej towarzyszącej, zaś, czego nawet najbardziej tępy z członków wyprawy świadom, liczba dni jej danej ku zeru spada raptownie, bezustannie ostatniego, fatalnego trafienia podwójnego czekając¹ niczym w grze w rzutki.

69

Pewnego dnia, jeszcze na wschód od Cheat, gdy śnieg suchy popaduje, wielu członków wyprawy dziewczę uważa, kurę swą w poprzek wycinki goniące. Wtem dziwna rzecz ma miejsce. Na środku duktu, tam właśnie, gdzie granica bieży, kura, stanąwszy, ciało swe skręca tak, iż głowa jej zachód, a ogon wschód skazuje, po czym zamiera jakoby zaczarowana. Dziewczyna, przez obu jeometrów zapewniona, iż jej ptakowi nic nie grozi, ku innym zatrudnieniom się oddała. Tymczasem dzień przemija i mrok nastaje. Każdy już kurze nieruchomej nieco się przypatrywał, tak długo, na ile powinności pozwoliły.

– Powszechnie wiadomo, iż kura na prostej postawiona prędzej uśnie niżli z łebkiem pod skrzydłem – starcy różnoracy z obu prowincji Anglików zapewnniają.

Dziewczyna, po ptaka powróciwszy, przytakuje.

– Kura na prostej? Każde dziecko o tym słyszało.

Dixon o przyszłość wyprawy się lęka.

– Do kroćset, cóż to za ambaras pyszny. Nic teraz na przeszkodzie nie stoi, by wszystkie naraz tu się zeszyły, a ni dnia, ni godziny nie znamy. Od Ohio po Chesapeake każda kura na Linii w marazm popaść może – raz-dwa i dukt cały drób zapełni! Ptasia czarna dziura kalkucka by to być mogła, tyle że w Ameryce inne obyczaje – trzeba by było kury delikatnie usuwać, jedną po drugiej, dni niezliczone marnując, by jakowyś właściciel, którego sztuce ledwie jedno piórko nieopatrznie zgnieciono, jak to ci w jurystach rozkochani ludzie w zwyczaju mają, do sądu nas nie pozwał, tak zawrotnej sumy mściwie żądając, iż jak nic z torbami by misję naszą puściła.

Mason wzdycha:

– Czy za lat parę ludzie mądrzy pożytki z Linii płynące spiszą *vis-à-vis* listy szkód, jakie wyrządziła? Która kolumna dłuższa będzie, w głowę zachodzę.

– Hola, hola! W głowę zachodzisz? Ciekawość, nic więcej? – Jedną stanowi z zagadek świata niewidzialnego to, jak głos miejscu nieprzypisany niczym ksiądz z ambony gromy ciskać może. Kaczka to przemówiła rzecz jasna, a raczej sztuczna. – A co z troską? Czy działanie Linii snu wam z oczu nie spędza?

– Dukt ten rezultatem jest tego, iż rezolucję wzięliśmy życie nasze pewnemu zatrudnieniu poświęcić – sam fakt poruszenia tej kwestii Dixona oszałamia – gdyż, do mechanicznego ptractwa wodnego nie należąc, „pracować”, jak to się na planecie naszej określa, musimy.

– Powinnością jeometry prostych wytyczanie – Mason dopowiada.

– Dziękuję, Masonie. Widzisz, kaczko, ustalanie trafne, gdzie się kto na plaży Ziemi znajduje, jednym z nielicznych jest pożytków, jakie astronomia niesie, stąd, gdy się nas dwóch z drużyną drwali zestawi, coś na kształt maszyny duktovej po-

¹ W grze w rzutki z każdym celnym strzałem punkty się odejmuje, a nie dodaje; aby zakończyć grę, należy trafić w tzw. sektor podwójny.

wstaje. Włodarzy para jedną ze swych granic wycinką znaczyć pragnęła i *voilà!* Cóż innego społem trzymać by nas mogło?

– Dziękuję, Dixonie – Mason rzecze.

Później owej nocy, tam, gdzie, jak mniema, kaczką ich nie słyszy, Mason szepcze:

– O owej kurze sporo dziś rozmyślałem.

– A tak, wiem, jak samotność tu doskwiera, choć czy ponoć humorzaste nie są?

– Błagam, jeno chwilkę, druhu miły... Założmy, iż u każdej drobiu odmiany linie proste narkolepsję wywołują, w tym i u...

– ...kaczek! – Dixon woła. – Święte słowa! Zła energia dniem i nocą tam dmie, czyż tak Chińczyk nie powtarzał? Jak by nie było, dla nas szkodliwa. Lecz czy dla kaczkii? Bóg wiedzieć raczy. Może ta raczej krzepę z niej czerpie? Moce swe zwiększa niepospolicie?

– Właśnie. Stąd jej tu przytomność ciągła. Hm... Cała sztuka na tym się zasadza – to jest, jeśli spłatać ją zamierzamy – by ptaka podle równoleżnika usadzić tak, by na dwie równe połówki osią był przecięty.

– Z dziobem ku zachodowi?

– Czy kierunek ważny? Na swą prędkość nie bacząc, w miejscu zawrócić potrafi.

– Larwy – Armand poddaje, zdrającą się czując. – Nadal za larwami stawnymi przepada...

– Wabik. Wiernej kopii kaczkii w drewnie nam trzeba.

– Tom Hynes jak nic się nada. Dać mu kłodę sosnową, a ptaszysko wyrzeźbi prawdziwemu tak podobne, iż prędzej człek żywą spłoszy, niżli na sztucznej się pozna.

– Ta winna w automat wdać się, a nie w żywą.

Tom samego siebie swym kunsztem zadziwia. Wkrótce w pobliżu figury niewzruszonej kaczką Vaucansona nieruchomo długie godziny spędza, lecz w końcu, gdy w ataku pasji się rzuca, by ptaka obcego w szyję ukąsić, prawda, rzecz jasna, na jaw wychodzi.

– Drewno. – Zdaje się przez chwilę, iż kaczką westchnie zaraz i odleci, w pędzie i melancholii na powrót się zatracając. Miast tego powiada:

– Cóż, na początek starczy. Na wodzie się unosi. Inne kaczkii zwodzi, a wszak te swe wymagania mają. Fundamenta zdadne, a z czasem i osobowość bogata się rozwinię. – Towarzysz to przystojny, cichy, zawsze na miejscu, przeto po długim locie odwiedzić go podobna, a gdzie jedna, tam i więcej się może trafi... Z posuchy na ucztę! Na co komu rozmowy błyskotliwe?

– ...i z tych miar, wśród wzgórz okolicznych, gdy nocą czasem wiatr na wspanie, a Miesiąc na chwilę za chmurami chowa, szum ptaka uszu człowieczych dochodzi, to na wschód, to na zachód zmierzającego, i ów krzyk żalony, którym swój powrót oznajmia, a ludziska po domach wówczas gadają: Tak, tak, to kaczką francuska podle Linii znów sunie.

– Czemuż nikt jej nie uwolni? – dzieciarnia się dopytuje, od Cheat aż po Susquehanny brzegi. – Idźcie na dukt, pochwyćcie ją i swobodę zwróćcie.

– To nie takie proste. Znika, gdy się zacząć. Niczym duch jest, dom nawiedzający, co odejść nie w sile.

– Ducha sprawa jakowaś nieskończona pospolicie więzi. Cóż, w waszej opinii, kaczkę ową trzyma?

– Prosta, nieokiełznana namiętność – profesor Voam wyrokuje – jaką wszelką ortogonalność¹ darzy, przez którą nawet na myśl jej nie przyjdzie, by z dala od podob-

¹ Gr. *orthos* – prosty, *gynos* – kątowy.

nego ogromu „prostoty” przebywać, mił „prostoty” nieskazitelnej, zgodnie z Ziemi obrotem kreślonej. To na wschód, to na zachód zatem fruwa, tam i nazad, bez ustanku, przez wieki – ach, ta drżączka magnetycznych strumieni, pływy narodów na lądów płazie, tętno i dech globu masywnego, tańce z Księżycem, cała ta potęga, co wokoło Słońca krąży, krąży...

Czas pewien, w więźnia duktu się przemieniwszy, kaczką, Armanda uparcie szukając, w różnych punktach Linii podróży drogę zachodzi. By sposobność zemsty zyskać, w widzialność zwolnić warto, poza tym pogawędzić przy okazji można.

– Naści – z jakowejś skrytki cielesnej plik karteluszek drukowanych dobywa, z gazet i afiszy różnorakich wyciętych. – Na prawo flecista, na lewo grajek z tamburynem¹, a pośrodku... *Voilà! Moi! We własnej osobie. A posłuchajcie, co Wolter o mnie hrabiostwu d'Argental pisał: ...sans la voix de la Le More et le Canard de Vaucanson, vous n'auriez rien que fit ressouvenir de la gloire de la France*², nieprawdaz. Le More, co to za jedna? Sopran jakiś. Cóż, *fille*³ ze mnie wielkoduszna. Chluba Francji wie z pewnością, jak scenę dzielić. Sądzicie, iż łatwo mi to przychodziło, co wieczór, z owymi dwoma muzykami? Dzień po dniu tego ohydztwa słuchać? Myślałby kto, nieco Besozziego, najmniej od czasu do czasu, ba, jakikolwiek Besozzi by dopomógł. Przerwy? Nic z tego, nie tam, gdzie występować nam było dane. Całej mej dyscypliny scenicznej trzeba było, bym przy owych C wysokich do wtóru kwakać nie poczęła. Cóż, jako geniusza inżynierii się mego twórcę podziwia, lecz jego wyczucie muzyczne wielce jest wątpliwe. Najsroźszych upokorzeń pod koniec przedstawień doświadczałam, gdy Vaucanson, przed oczami gawiedzi trzewia me obnażywszy, wszystkim chętnym, każdemu *bas-mondain*⁴ demonstrował kunsztowną sieć dźwigni, drutu i zębatek, aż po łącze najmarniejsze, nie, aż po ów ciężarek, co mi życie dawał, który, odmieniony, w wahnięciach swych nigdy już nie ustanie. Tamci chichotali, palcami skazywali, w powietrzu szkice wymyślne mych wnętrzości kreślili – upadek zupełny. Vaucanson bowiem nigdy by sobie na to nie pozwolił, by choć jeden spektator wyszedł do końca nieprzekonany, iż dziełem jego rąk własnych, a nie kaczką jestem. W mym wnętrzu prawda mechaniczna spoczywała – na zewnątrz jeno coś zmyślnie paplało. Do tego stopnia był mi Stwórcą, iż prawo miał duszy posiadania mi bronić... To próba mej konstytucji odmienienia go zgnubiła – rzec by można, *venus ex machina* nadzieje żywił stworzyć. Nie dość uległa mu jeszcze widać byłam. Nim kolejna wojna wybuchła, gusta publiki się odmieniły i popisy me coraz mniej osób uważać pragnęło, a jako że rzadko kiedy kto do nas zachodził, siebie wzajemnie za całe towarzystwo częstokroć mieć nam przyszło. Tymczasem żądania imć Vaucansona coraz bardziej od tych człowieka nauki odbiegały. Życzył sobie, na ten przykład, bym w jego przytomności afekt i ukontentowanie głośno okazywała. Czasem go zatem skrzydłem musnęłam pieśzczotliwie, może dziobem ukąsiłam lekko... Nic więcej nie wskórał. Repertuar skromny, cóż, poniekąd... z kompromisu zrodzony. Zawładnąć mną pragnął, atoli nie jak automatem – jak stworzeniem do miłowania zdolnym, miłowania nie tylko kaczora czy kaczątek, lecz także jego własnej osoby. Wiek średni stał już u niego za progiem, wichry dęły, jakoby z północy niezbadanej...

To właśnie wtedy, gdy po raz ostatni wyprawa z rubieży zachodnich powraca, kaczką, na wysokości dowolnej, bez ruchu w powietrzu wisieć się uczy, a tak długo,

¹ Dwa inne automaty Vaucansona.

² Fr.: prócz głosu Le More i kaczkę Vaucansona nie ma nic, co pozwala spamiętać chwałę Francji.

³ Fr.: dziewczyna.

⁴ Fr.: marny bywalec salonów.

iz u jej stóp Ziemia się obraca. Ptak pojmuje, iż na północ i południe, ku dowolnej szerokości geograficznej przemieszczać się teraz może, więźniem Linii i duktu dłużej nie będąc¹, ciekaw jest niemniej tego, dokąd ów równoleżnik prowadzi. Pewnego razu, zaraz po wieczery, w podróż wyrusza. Członkowie wyprawy, z namiotami w cieniu znikając, nad ostatnim łukiem rozświetlonym kaczkę uważają, jak to w horyzont z wolna bez śladu się wtapia. Nazajutrz, mknąc z prędkością ponad siedmiuset mil na godzinę, na niebie się pojawia i lot zgrabnie obniżywszy, na czubku namiotu kuchennego ląduje, bez jednego piórka zmierzwionego.

– Fascynująca planeta – takie wrażenia przywozi. – Nad podeszwą włoskiego buta frunęłam, a dalej nieopodal Buchary i Samarkandy. Równika przemierzenia nie mogę się doczekać. Ledwieście pięć z trzystu sześćdziesięciu stopni zajęli, dwadzieścia minut z pełnej doby, a gdybyście tylko wiedzieli, do czego się przyczyniacie, zardziwilibyście się i zatroskali srodze.

– Spisek światowy! Trafnie wnioskowałem! – Dixon okrzyki wznosić poczyna. – Przyznaj, czyż ci nie mówiłem, przyjacielu?

– Ochłodnij – Mason rzuca. – Gdzież się twa dewiza „jesteśmy ludźmi nauki” podziała?

– Lecz ludzie nauki – Dixon głosu nie ścisza – jeno narzędziami w rękach innych być mogą, intrygi tyle, ile młotek domu, świadomi.

(– Ach, święte słowa – Eufrenia wzdycha. – Jak by nie patrzeć, żywot automatu nikogo nie kusi.

– Z przeproszeniem, cioteczko – DePugh wtrąca śmiało – lecz jeno upewnić się pragnę. Powiadasz, iż...

– Nie zachęcaj jej – Tenia syczy.

– Ciotuniu – Ethelmer zaciekawienie złośliwie udaje – czyżby kiedykolwiek bliższe ci było życie...

– Bliższe? Dobre sobie! W latach młodości, w Paryżu nauki pobierając, by widmo głodu precz odpędzić, w oboistkę mechaniczną się wcielałam. Mój opiekun, signore Drivelli² – w rzeczy samej, podle prawa obojga Sycylii³ mężem i żoną byliśmy – nie tylko opłatę za wstęp pobierał, lecz także na boku zakłady notował o to, jak długo bez tchu grać będę.

– Elzuniu, bądźże tak dobra, porusz kiedy z nią tę kwestię, w końcu to twa rodzina – imć LeSpark żonę błaga.

– Jakież był twój wynik najlepszy? – Ethelmer pyta.

– Nigdy dwudziestu minut nie przekroczyłam, mniej więcej, lecz wieczór cały snadnie przygrywać byłam w sile. Cały sekret w tym, by tchu przez nos nabierać, po kryjomu, policzków następnie jako składu używając, tak jak się to w dudach czyni. Znany to utworów na obój feler, iż chwil na zaczerpnięcie powietrza nie staje. Tłoczą się nuty bez końca – przytupnąć starczy, a już szesnaście lub dwakroć tyle prze-myka, o ozdobnikach nie wspominając, których, bez zmian w zapłacie rzecz jasna, się od gracza wymaga. Głównym powodem tego, iż tak wielu oboistów szaleństwu się poddaje, nie jest wcale w ustnik rozmiarów niewielkich znacznej ilości gazu wmu-szanie, lecz owe gierki i podchody, temu służące, by uwagę odwrócić i dąć bez ustan-

¹ Trudno powiedzieć, dlaczego jest to możliwe, skoro Ziemia obraca się z zachodu na wschód, a więc unosząc się w powietrzu, kaczką wisiaby cały czas nad Linia.

² Ang.: *drivel* – paplanina, bzdury.

³ Królestwo Obojga Sycylii (nazywane tak oficjalnie od 1815 roku), utworzone po zjednoczeniu księstw na Sycylii i w pd. Włoszech w 1130; w połowie XVIII w. należało do bocznej linii Burbonów hiszpańskich; w 1861 weszło w skład Zjednoczonego Królestwa Włoch.

ku. W takich Indiach należytą wagę oddechowi się przypisuje – wszak to dusza w nieco innej postaci – wiedzą tam także, czym grozi człowiekowi wbrew przyrodzeniu miary tchu zmienianie).

Miarkując, iż linia horyzontu Dixona opętała, Hugh Crawfford tam i nazad krążyć poczyna, głową kręcąc i mamrocząc z cicha. Mason za wozem drogę mu zachodzi.

– Wykrztuś to waś z siebie. Zbyt wiele niebezpieczeństw wokoło czyha, byś swe opinie przede mną ukrywał.

– Nie skrywam, wstrzymuję jeno może. – Astronom, pohamowanie utraciwszy, do gardła przewodnikowi skacze, udusić go pragnąc. Wśród świeżo spadłych liści na ziemię padają, siłując się. – Dobrze, już dobrze! Dość! Wygrałeś. Teraz posłuchaj. Oto dulcymer własnoręcznie przeze mnie wykonany, gdy nic lepszego do roboty nie miałem. – To rzekłszy, w tonacji dzikiej, niemalże molowej, niemalże celtyckiej, do grania się zabiera, zaś gdy Mason dość udobruchanym być się zdaje, powiada: – Nie ma co, przypadłość imć Dixona jest mi znana, o tak, czyś handlarz, czy traper,

*Czy łuk masz, czy rapier,
Co France wołają
Extase L'Est
Twą duszą zawładnie
I ruszysz bezradnie,
Prędzej czy później, cóż,
Tak to już jest.
Bywajcie, step czeka
I droga daleka,
Przez góry, ku morzu,
Nie dla mnie pług.
Choćbym wrócił w te strony,
Jam jutrzenką znużony,
Jeno łuna zachodu
Ciągnie jak cug.*

Cheat i grzbiet Chestnut już za nimi, wkrótce przeprawa przez Monongahelę ich czeka, za którą nęci szmat łąk niezmiernych. Niziny te snem człeka urzeczonego się jawią – och, jakże się to światło odbija, jakże się cienie tam wstrzymują... W podobną noc księżycową kto w Zachód Wieczny nie uwierzy? W ów pęd wszystko porywający?

Mężczyzn porywa, jak i niewiasty, jakoby prądowi Rzeki Zachodu się poddali. O miastach ze złota chodzą słuchy i stworach fantastycznych, w Europie nieznanych, kobietach-wojownikach, mężczyznach skrzydlatych, grodach jakowychś marmurowych – powód kuszący dla każdego się znajdzie, by ku ginącemu słońcu bez zwłoki ruszyć. – Imć Crawfford podczas swej przemowy sędziwą fajkę indiańską pali o główce w kształcie głowy kobiecej klasycznej urody, której loki bujne przez lata od dymu i tłuszczy czerniały. Główka ta, w kamieniu miękkim kunsztownie wyrzeźbiona przez Francuza z Quebecu, z którym interesa go łączyły, z tyśiącem cybuchów do czynienia już miała, od trzciny pyłem wodnym znad Niagary rozedrganych po tatarak znad ujścia wielkiej Missisipi. – Mnie samego mi wy dwaj przypominacie, gdy pierwsze dni w tych ostępach spędzałem, noc całą na nogach, zachód po gwiazdach miarkując. Powiada się, iż jeno niektórzy smykałkę po temu mają – ci, przy największej nawet niepogodzie, kurs bez końca trzymać po-

trafią. Wielu kompanów pułkownika Byrda, którzy między Wirginią a Karoliną wraz z nim granicę wytyczali, Bóg podobną sposobnością obdarzył, i gdy pewnego razu wyprawa ta się rozdzieliła – część Bagno Zwątpienia obeszła, inni w sam jego środek trafili, przez długie tygodnie z owego czyścica cyprysowego wyjścia znaleźć nie mogąc – to właśnie owa pewność, gdzie zachód leży, powrócić im cało i zdrowo pozwoliła. I mnie przez parę sekund szerokość trzymać się udało, przeto, choćem nieuczony, pozór tym sprawom daję i szacuję, iż jak na razie, ledwie może cybucha grubość omyłka wasza wynosi. A co do siły, która imć Dixona przyciąga, słodkimi słówkami nikomu oczu mydlić nie będę. Jak to się w tych stronach mówi, parcie na zachód go „wzięło”. Powiem więcej. Jeśli znieacka wstrzymać się nam będzie trzeba – to słysząc, Mason ciche „och” wydaje – imć Dixon, cóż, zawrócić może nie być skory.

– Nie ryzykowałby chyba w swym...

Astronom głos zabiera, lecz przewodnik dłoń mu na ramieniu kładzie, głową zbliżającego się Dixona skazując. Geordie od pewnego czasu po obozie się snuje z miną markotną, w niepewnym popołudniowym świetle dziwnie wysoki. Gdy na tyle się oddala, iż podsłuchać ich nie może, Mason myślą do rad Crawfforda powraca.

– Co rzekłeś? Wstrzymać się znieacka?

– Konieczność taka pojawić się może.

– Czy o czymś jeszcze wiedzieć winienem?

Owszem i rzecz ta wkrótce znać o sobie daje. Cień śmierci w końcu na Linię pada. W czwartek, dnia siedemnastego września, William Baker i John Carpenter giną, jednym padającym drzewem przygnieci. Podobna, iż społem się najęli i ramię w ramię pracowali, bowiem jeden pod drugim w rejestrze McCleana stoją. Carpentera przez omyłkę na przyszły tydzień wpisano – od nazwiska kreska ku rządowi zer prowadzi, dni w tygodniu pośmiertnym przepracowanych. Widać zdarzenie przykre na chwilę z głowy Mo uleciało. Odtąd karta ta w księdze nawiedzana przez wpis widmowy, duszę drwala zwlekającą, choć druga w zaświaty odeszła.

– To katastrofa. – Mason, niczym schnący liść skulony, rad byłby wszystkie swe zatrudnienia porzucić. – Nie wątpię, iż rację mi przyznasz, Jeremiaszu. Wiesz dobrze, iż coś podobnego nigdy się nie zdarza. Kto słyszał, by dwóch jedno drzewo zabiło?

– Są ze swymi bliskimi. Nic im nie grozi. – Dixon, siebie samego pocieszając, zbytnio jest strapiony, by słowom kompana dać pozór.

– Tyś znaku wypatrywał, nieprawdaż? Otóż i on, czemu przesłania nie miarkujesz?

– Kasztanowiec był to stary i wysoki, kliny swe drwale wadliwie rozmieścili i tam padł, gdzie się tego nie spodziewali. Cóż więcej, na Boga?

– A tak, do Boga zwróć się – Mason ripostuje. – Dobrze by było. Jeno modlić się teraz możemy.

Siedzą w namiocie, kawa stygnie, Mason duma, kiedy sektor nadjedzie, Dixon, kiedy Mason wybuchnie i „na cóż to wszystko, do diaska” zawoła. Z odpowiedzią wówczas pospieszyć jest gotowy, a następnie radę swą czym prędzej w życie wcielić.

Od tego, co się w pniu drzewa złowieszczonego kryło

Ku Linii nieskalanej zło chyżo pospieszyło.

Tam, gdzie śmierć wyścig wygrała, płoną teraz znicze –

Odnalazła bliźniaczość bezcielesne oblicze.

Timothy Tox, „Linia”

Na zachód od Cheat czas i otoczenie bez wątpienia skłonności przejawiają po temu, by co rusz to kurczyć się, to rozszerzać – tak jak długość łańcucha może na litościwej karcie oczu nie rwać, zaś w zasadzce wszystkim być – lub niczym.

Gdy sektor nadjeżdża, na skarpie go umieściwszy, z której widok na Monongahelę się rozciąga, kulminację gwiazd Lutni i Łabędzia uważają, przy wartościach aberracji, precesji, dewiacji i refrakcji po kilka sekund dla korekty ujmując bądź przydając. Tymczasem do chat w pobliżu stojących, gdzie żony najętych niedawno drwali się zbierają, ci z męzów, którzy mogą, zaglądaają, by burbona z blaszanki kosztować.

Zaraz za Monongahelą Indianie z plemion nieirokeskich do obozu zachodzić poczynają, by przybyszy z bliska ocenić. W pierwszych dniach października Catfish, wódz Delawarów, w towarzystwie bratanka i damy swego serca się pojawia, cała trójka jak najbardziej po europejsku odziana, po czym na osobności z Mohawkami konferuje, sznurami *wampom*¹ się wymieniając. Obcy w tych stronach, jak i tubylcy przyznają, iż nic im o jego misji nie wiadomo – czemu tak daleko od swej wioski bawi, w dodatku jakoby dla zmylenia przebrany w surdut, kamizelkę, trykorn i spodnie.

– Sposobności ubicia interesu szukam. – Oto jak Hugh Crawfford pobudki jego przekłada, dodając: – Wierzcie mi, w tych sprawach najrozważniej w szczególności nie wnikać.

Kilka mil dalej na zachód ośmiu Seneków, na południe z Czerokezami bić się zmierzających, czas pewien z członkami wyprawy spędza, a przy okazji od Mo McCleana proch i farbkę kupuje.

– Wojenne produkta – Mason go ostrzega. – Pewności nie mam, czy w koszty włączyć to przystoi.

Buchalter spode łba na astronoma zerka, jakoby zaczepkę obraźliwą mu w twarz rzucono.

– Tamci z południa – miast do przemocy się uciec, klaruje. – Żmije nie ludzie, gady trujące bez krztyny uczucia. Ci zaś, cóż, nasi to Indianie, w tych samych, z tych samych lasów żyjemy. Jeśli im dopomóc nieco możemy, życzliwość paru opłaca się skarbić sobie.

Wreszcie, gdy nad Dunkard na popas ostatni stają – co Mason w swych „Memorandach” z roku 1767 opisuje – czcigodny Prisqueetom, książe Delawarów, a zarazem brat ich króla wizytę im składa i opowieści o łąkach snuje, co się na zachodzie po horyzont rozciągają. Gdy gawędę ciągnie, inni goście po obozie się kręcą, to ciekawi, to zdziwieni, czasem podchmieleni nawet, na dnia porę nie zważając – od przeprawy przez Monongahelę bowiem nad dziennymi racjami trunków pertraktować można.

– Toż to sobotni wieczór w Covent Garden przypomina! Oto czym teraz jesteśmy – Mason biadoli. – Widowiskiem, które wszyscy zobaczyć winni, gdyż tak w gronie ichnich galantów wypada. Chyba po prostu staruchowi wyłożę...

– On ma osiemdziesiąt sześć lat², Masonie. A czemuż to ruch nie miałby być spory? Ludy te podle sieci ścieżek swobodnie podróżują, która od morza do morza kontynent pokrywa i nic się z nią na północy Anglii mierzyć nie może. Niewiele się w ich oczach różni od trup wędrownych, co w krajach bardziej oświeconych od karczmy do karczmy się przemieszczają. Nie wiem jak ty, lecz ja, przyjacielu, z chęcią całą tę czeredę podejmuję. Nieco... inne to w formie spotkania niżli te, których dalej spodziewać się można. – Tu skinieniem głowy zachód skazuje. – Niech nas Bóg ma w swej

¹ Paciorki lub muszelki używane przez Indian jako pieniądze.

² Chodzi o Prisqueetoma.

opiece, jeśli whisky zabraknie. Jak na razie gorzelnicy McCleana dzień i noc się za Monongahelą uwijają, a wozom nie zawsze dojechać się udaje, wszystko po to, by gości naszych należycie zabawić.

– Pokój, zabawa, tak, tak. Raduj się rozrywką prostacką, ni jedną myślą nie wybiegnij poza chwili swej widnokrąg marny. *Fatum in denario vertit*¹, lecz niech cię to nie powstrzymuje, ba, niech raczej trosk twych brzemień przejmę całe, do poświęceń skłonnyim będąc na sposób wielce kuriozalny...

– Hola, Masonie, peruki swej pilnuj, bowiem ludzie to o sercach dobrych, piją z umiarem i pewien jestem, nie więcej niżli w Wapping rozrabiają.

– Ach, ech... w pełni już ochłonąłem.

– Rzecz jasna, najbezpieczniej wariata odstawić – imć Crawfford zyczliwie doradza.

– Jakże to?

– Sposób ten metodą „na Chapmana” wołamy. – Handlarz o tym nazwisku, nieopodal fortu Detroit pojmany, kiedy powstanie Pontiaka trwało, tym się wstawił, iż śmierci tak uniknął. – Szaleństwo za „stan święty” mają, wielce jest zatem u nich poważane.

– Mówił ci, Masonie. Nie masz się czego obawiać.

– Widziałem, iż w pobliżu twej osoby z rewerencją stąpają.

Dotychczas tak się rzeczy miały – jakoby podle świadomej umowy – iż gdyby jeden z jeometrów w szaleństwo się wycofał, drugi jak nic na łono trzeźwości by powrócił. Z tych miar Linie aż do tej pory zarówno przed porywem gwałtownym, jak i niechęcią przemyślaną ustrzeżono, co bez przeszkód na zachód bieżyć jej pozwoliło. Teraz, skoro dni wyprawy policzone, sposobność się nadarza, by obaj panowie na chwilę od rozsądku odpoczęli. Aliści...

– Zatrudnień tyle – Mason się upiera.

– Zbyt niom na to wesoły – Dixon trzyma.

– Tak jak gwiazdy mówią wam, kędy ścieżkę wycinać, tak kędy nasze szlaki bieć winny, ziemia i jej rzeki nam nakazują.

– Niemniej gwiazdy przy swej mocy – Mason powiada. W melancholii swej tak zatracony ledwie miarkuje, iż kocem owinięty siedzi, kwestie wiary z Mohawkim rozważając, z którym wszak zażyłość go żadna nie łączy. – Gwiazdy, którymi jeno Wszchemogący włada, na ową drobną oznakę grzeczności zasługują, jaką jest na to zezwolenie, by Linia, szkód żadnych nie czyniąc, Wielką Ścieżkę waszego narodu przecięła.

– Pójdź – Daniel rzecze.

– Hę? – Dixon znad fajki zerka.

– Dokąd? – Mason zapytuje.

– Na Ścieżkę. W kierunku Wirginii się przejedziemy i z powrotem.

– Czy na siłach jestem? – Mason Bóg wie kogo pyta. – A co z tymi wszystkimi Kattawbami, o których to wciąż wieści nadchodzą?

– Czy palić nam będzie wolno? – Dixon jest ciekaw.

Na obliczu Indianina wątpliwość się maluje.

– Obaczycie winniście to, co, jak trzymacie, przeciąć bez kłopotu wam przyjdzie. Chodźcie za mną, choć bycie tyłem do was zwróconym nie uśmiecha mi się wcale.

¹ Łac.: nieszczęście skierowuje się ku pieniądзом/zmienia się w pieniądze.

Wzdłuż brzegu Dunkard zatem ruszają, losy swe najbliższe w ręce Indianina oddając, który być może na ich życie dybie. Puszcza wciąż dla nich tajemnicą niezgłębioną – zbyt wiele się tam bez ustanku dzieje, za pnem każdym, pod każdym krzakiem – ilu Pontiaków nowych choćby teraz wojska skrzykuje, wypadu planuje, może na dwóch jeometrów ma chrapkę, by torturom publicznym ich przed śmiercią poddać, *casus belli* ogłosiwszy? Precz, maro! Czyż sir William Johnson za tego człeka nie ręczy? A raczej ponoć ręczy. Hm. Może egzekucja Johnsona pierwszym celem neopontiackiej rewolty by była? Tak są astronomowie swymi lękami przejęci, iż z trudem do przytomności wracają, gdy przewodnik dłonią znać daje, by zwolnili i na baczności się mieli, nim to, co przed nimi leży, poznają.

Miesiąc nie wzeszedł jeszcze. Indianin ze Ścieżki schodzi, gestem skazując, by poszli w jego ślady.

- To mię niepokoi. Już tak daleko zaszli. Spójrzcie, na co niemal nastąpiliście.
- Przy trakcie kucnąwszy, jednym zgrabnym ruchem jakowąś drzazgę podnosi.
- Trzcina z moczarów. Nie rośnie w tych stronach. Zbierają ją i rozszczepiają, łapią i zabijają żmije, a końce w jadzcie umoczone na Ścieżce osadzają, ku nam skierowane. - Wszystkie drzazgi, jakie znaleźć może, wybierawszy, nad plackiem ziemi stopami niewzruszonej się pochyła. - Wybacz mi, proszę, co z rąk mych znieść teraz musisz. - Ostrza ostrożnie w głąb wpycha, aż jeno ich końce tępe nieco wystają.
- Ci Katakowie - Mason szalancję w wymowie gwałtownie traci - jak daleko od nas, jestem ciekawy?
- Nie więcej niżli dwu pułapki te zastawiało, a i chyżo się widać przemieszczali. Główny oddział gdzieś stąd na południe stoi.
- Ile ich mil od nas dzieli, wiedzieć by się przydało - Dixon poddaje.
- Co znaczy, przyjmy dalej, ile mil od zasadzki i śmierci pewnej - Mason wtrąca pospiesznie. - Ten tu nieco, jak wy to tam wołacie? - W czoło się puka i palcem przy skroni kręci. - Nie wnoś czasem, iż każdy Anglik równie beztroski.
- Nim wieść tę komuś przekazać zdążymy, gdzie indziej już będą. Wracajmy lepiej. Teraz milczcie i ruszać bezszelestnie się starajcie.
- Imć Barnesa ogrom ciszy, jaka zapanowała, niepokoi.
- Sójka temperamentna - mamrocze - już nie wyrzeka, zatem i czyżyk nie świergoli.
- Panie starszy, co się, u licha, święci?

U obu krańców Ścieżki Wojowników żar, podniecenie, napięcie wzbiera. Nigdy za ludzkiej pamięci, jak Mohawkowie się zarzekają, Irokezi i Katakowie zniszczyć się wzajemnie z podobną mocą nie pragnęli. Każdy dzień atak nieunikniony przynieść może. Wkoło Indianie. Ścieżka wojenna, od nadziei zbrodniczych rozedrgana, pustką swą z godziny na godzinę coraz bardziej trapi, gdy dzień ma się ku końcowi, zaś ostrza wojowników ukryte coraz bardziej na ową membranę napierają, co ich świat na wpół baśniowy od naszej teraźniejszości oddziela. Trwoga rośnie, co poniektórzy drwale ucieczką się salwują, zmory roku pięćdziesiątego piątego w serca, wkradają, z każdym uderzeniem zegara coraz silniej odczuwalne. Ognie niepomszczone zmierzch kalają, krzyki śmiertelne, na które nikt nie odpowiada, wiatr po lesie roznosi. Jezu Chryste - ku czemu, prócz zachodnich rubieży, zmierzają ci nieliczni, którym jeszcze jasność myślenia dana?

Obaj o tym śnią, iż dalszego marszu nikt im nie zakłóca, niczym chromy o biegu, a płaz o lataniu. Promienie słoneczne przez obłoki się przeciskają, oblicza bizonów

z bliska człowieczym bardziej podobne, nieznośnie, jakoby stwory przemówić zaraz miały, nurt rzek żywszy, wody ich szerzej rozlane, aż wreszcie na brzegu takowej stają, jakiej się nawet najsolidniejszą z łódek przebyć nie da – mile długie głębszej niżli wóz zadaszony. Wtem Indianin milczący się pojawia i koło zalesionego zakola członków wyprawy prowadzi do mostu żelaznego, co kunsztem wykonania angielskie czy francuskie osiągnięcia przewyższa – najwyższy punkt łuku olbrzyma zawsze w chmurach deszczowych ginie. Wzniósł go przed wiekami jakowyś lud oświecony, co przeciwległy brzeg owej rzeki zasiedlał.

– Czy przejść możemy? – Dixon pyta.

– Czy nie przechodzić możemy? – Mason dodaje.

– Niestety – syn puszczy odpowie – jeszcze wam to nie dane, albowiem by na przejście zasłużyć, więcej dokonać wpierw musicie.

– Po cóż nas zatem tu sprowadzać? – Dixon się dziwuje.

– Inaczej wasza wielka droga wśród drzew by go ominęła. Kornikom jesteście podobni, co belkę w domostwie ogromnym drążą, w ciemności uczując i odchody wydając, w głąb drzewa, z dala od brudów swych się posuwając, nieświadomi, co poza waszym szlakiem się znajduje.

– W lesie – imć Crawford dopowiada – każdy w końcu do punktu wyjścia trafia. Pewnego dnia w gównu własne się wdeptuje. Pierwszy to krok na drodze ku mądrości, jak powiadają Indianie.

I tu się budzą.

70

Gdy słowa sprzeciwu padają, zerkają po sobie, lecz to, co niegdyś na pokładzie *Sea-horse'a* ich połączyło, tym razem się nie pojawia, nie dlatego, iż jeden z nich się waha, mylnie coś odebrał lub też ze ścieżki moralności zбочzył – w tym jeno kłopot, iż zdanie odmienne mają. Mason uparcie marszu wstrzymaniu się sprzeciwia, wierząc, iż z Hugh Crawforda pomocą kolejne dziesięć minut łuku w pertraktacjach zyska.

– Masonie, czy oni twe minuty pojmują?

– Nauczmy ich. Niech w okular instrumentów zajrzą, albo uważać nas piszących mogą.

– Nie tego sobie życzą. Pragną się jeno dowiedzieć, jak ową rzecz niewidzialną i ogromną powstrzymać, co ziemie ich prosto jak sierpem rzucić przecina, wszystko na swej drodze przy tym pochłaniając.

– Cóż, stwórz to żywy bez wątpienia. Wszak to my sami, temporalnie zjednoczeni przy zadaniu, którego nikt sam by nie dokonał.

– Drzewa powalająca bestia, bez żadnego celu prócz idealnie prostego korytarza wycinania. Kły jej ze stali, szczękami drwale, pieniądza wymiana krwią, co życie daje. Jakież ma zamiary, jeśli nie zgładzenie wszystkiego, co na zachód od niej czeka? Czy wiesz? Ja także głowę sobie łamię.

– A zatem, by wnioski twe społem zebrać – powiadasz, iż Linia wolą jest obdarzona, by dalej na zachód podążać?

– W cóż innego tutejsi mieszkańcy wierzyć mają? Czyż każdego dnia, od świtu do nocy, setką żeleźcy tego nie głosimy? Oto jak głęboko w ziemie wasze wdrzeć się możemy, oto jak daleko na zachód prawa sobie rościmy. Uważając, co drzewom czynimy i jak nas to obchodzi niewiele, przedstawcie sobie, ile w nas wobec Indian

współczucia i co wam uczynić jesteśmy gotowi. Owa moc, którą czujecie, jak podle naszej Linii płynie, niczym nurt rwącej rzeki silna – to my właśnie nią władamy... Aleję ruin wytyczyć tu możemy, równie straszną, co trąby powietrznej ścieżka.

– Wszak gróźb podobnych nie rzucamy.

– Jeszcze nie, mniemają. Skoro takie ich życzenie, wstrzymać się winniśmy.

– Nie. Trzeba nam iść dalej.

Dni jedenaście nad Dunkard obozem stoją, od dziewiątego do dwiętnastego października. Indianie w pewnym oddaleniu, na broń swoją, jak i drogi ucieczki baczenie mając – biali w dyspacie pogrążeni. Niektórzy z drwali na wschód powrócili, by dukt do rozmiarów należytych poszerzać. Ostatnie to dni jesieni, wszyscy członkowie wyprawy opuścić okolicę byliby radzi, bowiem każdego inne powinności czekają, w tym i jeometrów. Ci w międzyczasie skrajnie odmienne przyjęli postawy – Dixon teraz za parciem naprzód, najmniej po brzegi Ohio, unikami wśród Indian drogę sobie torując.

– Kluczem wesołość. Racje trunków zwiększmy. Glinie podobni w naszych rękach będą.

– Czekaj no. Trzymasz, iż urokiem ich zawojujesz? Każdy Indianin od ziem Sześciu Plemion po Czerokozów o tym surducie słyszał, a niejeden chciwym okiem nań patrzy, ty zaś jeno niedogodnością drobną, która na drodze do jego przywłaszczenia stoi.

Indianie coraz bardziej są groźni i powściągliwi. Kobiety otwarcie się gapią, bezustannie rozbawione. Astronomom ścieżkę wojenną przekroczyć się pozwala, by, trzy zakręty Dunkard pokonawszy, na górze o wysokości zdatnej sektor ustawić mogli. Dwieście trzydzieści trzy mile, trzynaście łańcuchów i sześćdziesiąt osiem ogniw od Punktu Początkowego nareszcie do krańca zachodniego dotarli.

– A niech mię, jeno parę mil nam brakuje.

– Czterdzieści! Też mi parę!

– To łatwa okolica. Pasma ostatnie za nami. W krainie Ohio już jesteście.

Mason ze szczytu Laurel Hill niedawno ją podziwiał – „...najbardziej to urokliwy widok równin zachodnich, jaki oku uważać jest dane”¹. Oto raj niegdyś mu przez młyny odebrany, a teraz, jak sądzi, przez pokrętne rozgrywki miejscowe. Rezolucję biorą, by szparko podróżować, sektor i inne przyrządy ostawiwszy.

– Nie musimy jeszcze do rzeki dobić, prawda?

– Tak, swobody trochę ludziom jeszcze dajmy.

Smutek Masona zachodniej manii Dixona dorównuje. Geordie głowę niczym igłę wyprężoną trzyma, a choćby i kolebała się czasem, zachód prawdziwy wciąż skazuje. Mason tymczasem równie dobrze tyłem mógłby jechać, tak często za siebie spogląda, przekonany, iż los Braddocka i im w udziale wkrótce przypadnie. Nadto, kaprysem boskim widać kierowany, tego samego obłąkanego konia dosiadł, Człapiącego Nicka, co go w Jersey na lód zrzucił. Ruszają z zapadnięciem nocy, podle Gwiazdy Polarnej, jak potrafią najlepiej szerokości strzegąc. Z każdą milą przebytą lęk w ich sercach rośnie. Mrok, Ameryka po obu stronach ścieżki miga, mułem ją słysząc i kwieciami dzikim, nos niebaczny w pułapkę woni wiciokrzewu snadnie wpada, w kącikach oczu sowy pasmami czerni śmigają, Miesiąc świeci. Nad rzekę przepastną o świcie zajeżdżają, wody jej grzmią niczym morskie fale. Piękniem oczarowani o czasie zapominają, dłużej zwlekają, niżli rozsądek każe. W końcu grupa kunsztownie malowanych Indian ich zaskakuje.

¹ Fragment prawdziwego wpisu z 8 IX 1767.

– Dalekoś, żołnierzyku, od swego namiotu. – To Catfish z bratankiem i kompaniami, którzy niechętnie strzelby opuszczają.

– Rzekę uważamy, waćpanie – Dixon powiada.

– Wkoło od Katawbów się roi, Mingów, Seneków. Dobrze, iż to na nas wpiers się napatoczyliście. Jakżeście się Hendricksowi wymknęli? Nie śpi on nigdy.

Mason pierwszy ową rzecz miarkuje i milknie zmrożony, czym wzrok Dixona na nią naprowadza. W świetle Miesiąca o pomyłce mowy być nie może. Catfish strzelbę z Lancaster właśnie ładuje, w olstrze u siodła swego zatkniętą, na której bace gwiazda widnieje odwrócona, pięcioramienna. Mason ku druhowi zerka w nadziei, iż ten wyjście z opresji znalazł, lecz jeno wzrok jego bezradny napotyka.

– Poniekąd – Dixon głos zabiera – dopiero co się tu zjawiliśmy, zatem rzec nie można, iżmy rzekę „widzieli”, jeśli to problem jakowyś stanowi.

– Co więcej, osiedlić się tu z pewnością zamiaru nie mamy.

Catfish, jednym ruchem po strzelbę sięgnawszy, do oczu swych ją przybliży i *ster-loop* ogląda, jakoby po raz pierwszy zniamię zmiarkował, po czym do jeometrów uśmiecha się ponuro.

– Sądzić, iż do mnie należy? Nie! To strzelba zdobyczna! Białego, którego spotkać od dawna pragnąłem. Zły był to człowiek bardzo, nawet przez białych znieawidzony. Piękna sztuka, czy mi racji nie przyznacie?

– Ów znak na niej – Mason ostrzega – moc diabelską posiada. Nożem wydfubać go winieneś czy co.

– A cóż się z jej właścicielem stało? – Dixon nieumiejętnie niewinnego udaje.

Na to pytanie Delawarczyk z wielką chęcią odpowiada, z torby przytroczonej długi pukiel dobywając włosów jasnych, europejskich, tak niedawno wycięty, iż jeszcze krwią ciemno u krańca jest skroplony. – Dziś z samego rana, mości panowie. Mogliście byli mieć przyjemność, gdybyście się byli pospieszyli.

Obaj jeometry odrzec by mogli: „mieliśmy już”, lecz żaden tego nie czyni.

– Czegoś tam mi brakowało – Mason później przyzna. – Spodziewałem się, iż dycha jeszcze, wyrzekając po lesie biega, każdą cenę za zemstę zapłacić w szale gotowy – monomaniak z dziurą w czubku głowy...

Dixon kończy: – ...strzelbę odzyskać usiłujący.

Wracają zatem, po raz ostatni szlak za sobą znacząc, przez Jennings Run, Savage Mountain, potok Willsa i Willsa potoku górę, gościniec do Bedford, potok Evittsa, Evittsa górę, na każdym z najwyższych punktów wycinki kopce usypując, tak jak jeomanci celtyccy na wieki przed nimi, a później Rzymianie, dla wojska niżli handlu bardziej. Drwale wciąż bez jednego słowa odchodzą. Astronomowie po każdej mili przebytej abstrakcje niebieskie porzucają na rzecz harówki na własnej skórze potem odczuwanej, by wraz z tymi, co ostali, słupy graniczne wznosić. Pnie to spore, z grubsza w czworogran ociosane, dwanaście na dwanaście cali liczące, na pięć, czasem sześć lub siedem stóp długie¹. Dół głęboki wykopawszy, słup się weń osadza, potem dziurę wypełnia, metodą naukową, łopata za łopata, ziemię uklepując, w końcu z ziemi i kamieni stożek usypuje, tak iż z pnia jeno jakieś sześć cali widać. Na tyle jeometry długowieczność znaku szacują – choć, rzecz jasna, nachylenia różne – przy tym obaj bezustannie i o wszystko się sprzecząją.

Piątego listopada dwie rzeczy miejsce mają – Indian odejście i duktu poszerzenia ukończenie – jakoby tak długo ostać mogli, co drzewo ostatnie zbędne. Naresz-

¹ Ok. 30 x 30 x 150 – 210 cm.

cie do owego miejsca dochodzą, gdzie przeszłego roku na wschód zawrócili. Aż po Delaware szerokość już jednaka. „Dukt ciągnie się równoleżnikiem nieprzerwanie – Mason w dzienniku polowym notuje – od punktu przecięcia z Linią Północną po grzbiet górski, który dziewiątego października kraj zachodni granicy naszej wyznaczył. JM Hugh Crawford wraz z Indianami i robotnikami (prócz trzynastu, co słupy stawiać etc. mają) opuścili nas, by do domów się udać”¹.

Przed odejściem drwale w towarach przebijają, których Mo McClean pozbyć się pragnie, by przed podróżą przez góry wozy odciążać – koce kupić można, kociołki, mleczne krowy, kamienie szlifierskie, a żadnej ceny Mo nie wyśmieje. Aukcja ta w festiwal pożegnań smutnych się przeradza, dłużnicy rachunki wyrównują bądź chyłkiem się wymykają, każdy na palcu najdłuższym kubkiem od whisky kręci, a stuffata z wiewiórek, na koszt plenipotentów przyrządzona, równej sobie po tej stronie Alleghenów nie ma. Wreszcie, wśród klekotu rondli nowo zakupionych, ostatni z kupców w zmrok odjeżdża czarnoszary, w kopersztychu oddany, o kreskowaniu zbyt gęstym, by na zawrócenie i powrót pozwolić. Przy wozach imć Barnes wraz z Copenem ostaje, John i Ezekiel Killogh, Tom Hynes, McCleanowie, Rob Farlow, Boggs Junior i inni z wiernej drużyny, co, Monongahelę przekroczywszy, aż po Ścieżkę wyrwali, grzbiet najdalej na zachód wysunięty widzieli i z jeometrami wrócili, teraz zaś fajki palą, oblicza ich trudem minionym szarzałe.

Zaden z członków wyprawy nie za dobrze się czuje. Starczy jeno, by kto na swój nos skazał, a już Dixon opiatami doprawiany napitek podaje – cóż to szkodzi, skoro do filadelfijskich skarbonek Mo McClean noty w tak obłąkańczym tempie wypisuje, jakoby w mieście noga jego postać już nie miała? Nagle na tydzień więcej niżli sto funtów wypada, potem dwieście – szaleństwo fiskalne do namiotu buchaltera zawitało. Interes węższąc, chłopci okoliczni z towarami zjeżdżają, tętnią drogi jeszcze przed godziną próżne.

Śnieży bez ustanku. Od dziewiątego listopada do dwiętnastego – jedenastka nowa – dziennik pustkami świeci, co podróż poddaje tak uciążliwą, iż czasu na wpisy conocne nie stało, albo też jakoweś wydarzenia karygodne, których to opis pominąć postanowiono.

Po prawdzie na wybryki nikt ochoty nie ma, z żywiołami się wciąż zmagając bądź kopce usypując. Dzień za dniem znojnym na pochyłości mija, bowiem przez zimę wczesną na zachód od gór zaskoczeni, ile sił w nogach na grzbiet Alleghenów się wspinają. Owo wyjście czy raczej wschód z Ohio i ziem zachodnich najtrudniejsze to mile w całej podróży długiej. Jeometry, nagłym odejściem Mohawków poruszeni, przy których to niemal bezpiecznie się już czuli, co na tym kontynencie jakże rzadko się zdarza, nadto, jako iż noc w noc zachmurzenie tęgie na obserwacje nieba nie pozwala, opanowanie z wolna tracąc, w wir się rzucają picia i wista, z kwot obstawianiem, jakich żaden naraz nigdy nie obaczy. Nie ma dnia, by ktoś najęty nie czmychnął, zaś nowo przybyli sum wygórowanych żądają, niemniej, w owej krainie chciwców bawiąc, póki grzbietu Savage Mountain nie przekroczą, jeszcze się w obu tli iskierka nadziei, wbrew rozsądkowi, wbrew dniu powszedniemu, iż, jeno uporem kierowani, zawrócić mogą i w jakiś sposób wszystko naprawić... Byłe do Savage Mountain, gdyż za ową górą do wschodu znowu należeć będą, do Chesapeake, do ziem tych włodarzy, dla których sprawy bardziej przyziemne zawsze pierwszeństwo mają.

Choć wyścig z pierwszym śniegiem z kretesem przegrali, modlą się, by nim grunt na kamień zmarznie, słup graniczny ostatni wkopać zdążyli. Śniegu pierzyna już na

¹ Fragment prawdziwego wpisu z 5 XI 1767.

stopę głęboka. Pewnego razu postronki w uprzęży się przerywają, wóz na boku po zboczu ześlizguje, płótno wzdyma, zwierzęta złęknione wyrwać usiłują, kijki namiotów z łopatami do wtóru grzechoczą, a latarnia, w szarzyźnie dnia jaskrawa, o lód rozbija, co wnet płomyków języki rozlane gasi. Oto niedobitki drużyny na dukcie ciągłym – z pewnej wysokości dziwnie robactwu podobni, co wstęgę bladą kala – na pastwie stuligowego *sza* strumienia – gdzie każdy krok przyplacony ignorancją większą wobec mocy dzieła, które właśnie ukończyli, wobec tego, co za sobą zostawili niedokończone, wobec tego, do czego niedługo znów rękę przyłożą, na wiosnę stopień jeden po łuku południka rachując. Aliści, jeśli im więcej czasu na przeprawie przez góry zejdzie, a nie zamarzną, okaże się może, iż wiedzę telluryczną zdobyli, która im pozwoli nie sprzedawać się tanio w zamian jeno za powrót podobny po kolejnej wyprawie, w cyklu do jakowejś maszyny należącej, której budowy ściślejszej, a nawet celu działania, prócz rzadkich olśnienia przeblysków, nie pojmą nigdy.

Na wschód nieprzerwanie zacierają, z ukrycia wciąż uważani. Z każdym wznieśieniem niepokój, miast zelżeć, wzrasta. Ścieżka Wojowników, choć dawno za widnokretem znikła, coraz więcej miejsca w ich sercach zajmuje. Odkąd Baker i Carpenter życie stracili, drzew ścinanie w przypadki niefortunne obfituje, parę niemal śmiertelnych, każdy z drugim powiązany... Pary drwalskie nigdy bliższe sobie nie były, nieraz dwaj drwale więcej godzin dziennie na rozmowie spędzają niżli przez czas cały, odkąd w parę się dobrali. Cenne minuty na ochronne rytuały tracąc, u rogatka świtu myto wszyscy płacą, jeno przez jeden dzień zdatne, jaki przeżyć trzeba.

Jeometry do Rabina Praskiego znów zaglądnęli, osobliwie, by z Timothyem Toxem się spotkać.

– Wariacji dostał – wkrótce im miejscowi klarują. – Między bajki włożył to, co teraz „*swym* golemem” woła.

Imć Tox z uśmiechem łagodnym zarzutów wysłuchuje.

– Z ust owego stwora te same słowa słyszał, co niegdyś z krzaka gorejącego pa-dły, zatem, iż Mojżeszem nowym, ostatnimi czasy trzyma, któremu naród kolejny Bóg z niewoli wyprowadzić nakazał.

– Z metropolii – Tox powiada – gdzie niedola króluje, golem mój przez Schuyllkill przeprowadzić ich musi, byle dalej od tego Egiptu amerykańskiego.

– Wierzaj mi – jeden z pijących ostrzega – nie chcesz do Filadelfii wrócić, by lud wyprowadzać, czy też inne brewerie wyczyniać. I lepiej tam zbyt wiele o golemie nie wspominać, gdyż wiedzę pradawną za sztuczki diabelskie mają, za które z chęcią na szafot cie powiodą, jeśli pierwej w celi wyściełanej nie zamkną.

– Złudzeń Filadelfijczyków tyjących – poeta ripostuje – jurystów osobliwie, dawno się wyzbyłem. Czyż żaden z was wersów tych nie pamięta...

*Jeno dzięki łasce, co szczęściem zwie paru,
Błoto obejść można gnębiące nasz naród –
Zawsze, gdzie wosk, peruki i drukarski tusz,
Smród kłamstw i bezprawia dybie na rząd dusz.*

– Znów zaczyna!

– Wezwiesz go zatem, czy do tego już doszło?

– Chronić mię będzie, jak i tych, których uwolni.

– Nigdy panem tego stwora nie byłeś.

– Właśnie. To on mym strażnikiem.

Jeometry, z których każdy z innych pobudek tu przybył, dyspucie bacznie się przysłuchują. Dixon już bardowi leśnemu proponował, iż z asysty wyprawy aż do Newark korzystać może, koło Punktu Styku.

– Byleby golema nie wziął ze sobą – Mason warunek stawia. – Jeśli go przyprowadzi... Hm... Dajmy na to, czym się żywią takowe olbrzymy? Jakie są w kwestii higieny ich wymagania? Gdzie Mo McClean, który już codziennie łepetynę własną swą księgą obija, dodatkowe fundusze wynajdzie?

– Może by tak do pracy użytecznej stwora zagonić? Przy wycinie – niech drzewa z korzeniami wyrывa, wszystkie te pniaki paskudne usunie?

– Drwale za nic zgody nie wyrażą. Gdy tylko dom piętrowy na naszej drodze stanie, wnet aktu defenestracji na nas dokonają. O nie. Już ja wiem, co ci po głowie chodzi. Te tłumy porażone. Cała okolica od cudu wrząca. Wstęp do karczm, gdzie wcześniej nie byłeś mile widziany. – Mason z golemem, rzecz jasna, inne wiąże plany. Oto stworzenie z wody i ziemi złożone, a dokładniej z wody, minerałów i gliny – jakoby kopiec indiański z zachodnich rubieży ocknął się i powstał, gromem rażony, a *vis fulgoris*¹ w starannie dobranych laminach krążąca członki jego do chołu przymusiła. Dziwo to amerykańskie, którego własny świadek może nawet na powrót być przewieziony przez morze zimne do prawdziwego świata śmiertelnego. Mason nie wie, jak nasuwające się pytanie zadać, co mu się wszak z Psem Uczonym udało, choć przy kaczcze francuskiej też był powściągliwy. A czas goni – zza okien, z lasu, niczym werble wyraźny odgłos stąpania miarowy uszu dochodzi – kolos kabalistyczny się zbliża, przez Toxa wezwany. Jeometry z powagą ku sobie zerkają, obaj świadomi, ile wysiłku włożyć będzie trzeba, tym razem, by świadectwom poety zawierzyć, co do tego, co zaraz ma się pojawić.

Jak się okaże, im do miasta bliżej, tym mniej dowodów na bytność golema, aż w końcu astronomom nic innego nie ostaje, jak sądzić, iż wierszokleta, niczym młodzi Indianie, pod opiekę ducha niewidzialnego przeszedł, ducha potężnego – lub rozum stracił. Na gościńcu się rozstają, co do New Castle prowadzi – koło rowu, wśród późnej krwawnicy stoi, co rusz w górę patrzy i ręką macha, po czym nieruchomieje, zdaje się, wsłuchany. Tuż przed tym, jak im z oczu za zakrętem znika, Mason i Dixon „conestogę” spostrzegają, co się koło Toxa właśnie zatrzymuje, o dachu i koniach bielą oczy rażących. Poeta bez zwłoki do tyłu wozu podszedłszy, za płachtą świetlistego płótna znika, jakoby pewien, iż kolos jego, który chyżością zaprzęgowi dorównuje, towarzyszyć mu wiernie zdoła, dokądkolwiek by go powieszono i cokolwiek by mu w udziale przypadło.

71

Tawerny wzdłuż nadbrzeży Delaware posobnie odwiedzając, piwem zamroczeni, do Pod Palcem Zagiętym zachodzą.

– Obaj wiemy dobrze, co się święci, Dixonie. – Mason kompana swego poucza. – Twa godzina wybiła, twa runda nadeszła, czas na gallinifikację odwetową. W koń-

¹ Łac.: moc pioruna.

cu, czyż gotować się nie musisz na to, iż jezuici twą osobą się zajmą, co jakże długo odwlekali, bowiem następne zlecenie nasze wszak ich knowań właśnie jest wynikiem, o tak, stopień po łuku południka kolejny do zbioru innych, wcześniej przywłaszczonych, do tego się to wszystko, prawda, sprowadza. Cudownie! Czemuś tu jest, dowiesz się nareszcie, może z pomocą telegrafu jezuickiego, a błogosławieństwo to zaprawdę niewielu dane. Cóż, jeśli ci się do czego przysłużyć mogę, rzecz jasna...

– Ech, lecz na cóż to wszystko, na co, u licha? – Dixon czołem o stół z hukiem wali. – Wszystko skończone, jeno robota papierkowa ostała. – Już nie po samej Linii podróżują, lecz w Filadelfii przebywając, po wizerunku jej w karcie zakłętym – to w stonowanym świetle dziennym, co się przez szyby dwunastocalowe wlewa, to w blasku świec, co cienie znękane na ściany ich kwatery rzuca – Dixona przy kreślarskim stole, Masona zaś, jak z dziennika czyta, asystując, podobnie jak niegdyś Dixon, kiedy dlań zegara pilnował. W końcu razu pewnego Dixon rzecze:

– Cóż, może choć okiem rzucisz?

Mason, rzuciwszy się ochoczo, by mapę granic obaczyć, niemal natychmiast staje porażony, gdyż na papierze gwiazda widnieje, ósmioramienna, lilią zwieńczona, niczym flaga piracka czy rwąca.

– Cóż to ma być? Północ skazuje? Czy *l'Grand* podobnego bandery nie obnosił? Czyż do Francji nie należy, odwiecznego Anglii wroga¹?

– Z całym szacunkiem, Masonie, wśród igły wyznawców znak ten, jak świat szeroki, pod nazwą „fiore-della-luce” jest znany. Termin to magnetyczny.

– „Kwiat światła”², powiadasz? Światła? Hm, „Encyklopedią” mi tu pachnie, może nawet masonami.

Obyczaj stary, Dixon wyjaśnia, północ jeometrze skazywać nakazuje godłem dowolnie zdobionym, samodzielnie wybranym. Znak ten, z dobrym imieniem rzemieślnika utożsamiany, tym samym, czym stempel probierczy dla złotnika. Co więcej, jak to z emblematami często bywa, ważne jest, by wiarę w niego pokładać, bowiem nieraz wiara z wolą połączona, a silna nad wyraz, mocą znak obdarza użyteczną w tym świecie, który przez pośłańców rozumu odrzucany.

– To kształt pradawny – Dixon ciągnie – co się ponoć z najwcześniejszych włoskich róż wiatrów wywodzi. Wpierw od strony północnej literę „T” stawiano, od *tramontane*, wiatru od Alp dmącego, atoli, co się nieodmiennie tak kruchym drobiazgom przydarza, przez lata w coś na kształt grotu je ściśnięto, w którym ci o czulszych sercach lilii się dopatrzyli. Niech cię diabli, jeśli zaprzeczyć im możesz.

– Niemniej – Mason udaje, iż przypomina – na karcie nowej znak ten widząc, mniemać podobna, iż roszczenia francuskie wobec Ohio się popiera.

– Ach, mój sekret wywęszyłeś, pasuje. Innych spiskowców powiadomić potajemnie chciałem. He? Nie pleć głupstw, dziób zamknij.

Niezwłocznie Armand poruszony wbiega.

– Czy to kaczka coś niecnego wyczynia?

O czyj dziób idzie, zmiarkowawszy, kucharz niepokieszony na pięcie się odwraca. Odkąd tu przyjechali, codziennie się zмага, by do tempa miasta na powrót przywyknąć. Tęskno mu za Linią, jak się zdaje, i ptakiem, którego więząc, mu odebrała.

– Być może – Mason na myśl wpada – wschód i zachód jeno w tym przypadku żywotne, a gdzie północ leży, ledwie zaznaczyć trzeba? Lub coś mniej drażliwego naskikuj, dobrze ci radzę.

¹ W herbie wszystkich królów francuskich z dynastii Kapetyngów widnieją trzy lilie.

² Wł.: kwiat światła, od fr. *fleur-de-lis* – kwiat lilii.

– Moje to godło – Dixon się upiera – odkąd swą pierwszą mapę skreśliłem. Dla jakowejś namiastki chwilowej wyrzec się go tak łatwo nie mogę. Kto wagę swej róży wiatrów deprecjonuje, pożytkom politykierskim jej użyczając, temu to raczej na dobre nie wychodzi. Zdradziłbym tym samym przymierze z magnetyzmem zawarte, z Ziemią samą, jeśli wolisz, której mój *fleur-de-lis* emblematem wiernym.

Sens owej przemowy nie w pełni pojmując, Mason jeno ramionami rusza.

– Nie me własne obiekcje, lecz plenipotentów możebne zgłaszam.

– Ach, ci do żartowania z królów równie skorzy, co z byle łapserdaka, jeśli się tylko sposobność po temu trafi.

– Ha! O to idzie!

– Ty królów wielbisz bezkrytycznie, jam w nienawiści zapamiętały, społem poddanemu nowożytnemu się równamy.

– Prędzaj bliźniętom, co wciąż kłóć się zajadle – jak to nam Indianie raz początek świata objaśnili.

– My, przyjacielu? Ja, by sprzeczać się tak długo, zbytniom wesoły.

– Wiesz raczej, iż golenie twe na tym ucierpią. – Mason nareszcie karcie przyrzec się może, wonnej, kartuszami sztykownie zdobionej, które to Indianie i instrumenta przedstawiają. Oto wszystkie miejsca po drodze mijane, każdy dom, gościniec, grzbiet i rzeka, każdy las i polana, woda wszędzie, a smok niemal widoczny. – Hm. Taaak. Zatem, w miedzioryt przemienioną, taką ją wszyscy obaczą, taka do historii przejdzie? Spodziewasz się, iż i ja taką się zadowolę?

– Z kart mych nie najgorsza. A gdyby barw zażądali! Ech, ledwie byś mógł Linie poznać.

– Dzieło to nadzwyczajnej urody. Emerson prawdę mówił – Jeremiaszu, cały ten czas w przestworzach się unosiłeś.

Dixon, oblicze mając ogorzałe, raka spiec w sekrecie snadnie może.

– Niemniej, gdybym choć lazurytu ździebko przydał. Aurypigmentu nieco... – tęsknie wdycha.

– Podobna – Wielebny Cherrycoke wtrąca – iż choćby wielce bliskie sobie były, parom niektórym miłość niepisana. Innym zatrudnieniom przeto oddawać się muszą, czasem społem, a czasem z osobna. Sądzę teraz, iż nakazu odwrotu po raz trzeci doświadczyli pod koniec tułaczki swej ośmioletniej, gdy granic groźnych w swych sercach przekroczyć nie mogli.

Bez względu na to, do czego na Ścieżce Wojowników doszło, obaj astronomowie przyjaźnie się do siebie odnoszą przez niemal cały rok kolejny, wśród delawarskich bagien ponurych, gdzie południk, jak niegdyś Linie Styku, wytyczają i stopień jeden po jego łuku dla Towarzystwa Królewskiego rachują, dzień za dniem w porannej wilgoci dygocząc. Obaj dreszcze odpędzają proszkiem cudownym, z kory wierzbowej przez Edmunda Stone'a pozyskanym, duchownego, co z Chipping Norton pochodzi¹. Znów widnokrąg gąszcz zielony przesłania, sumak cierpienia skórze zsyła, wodne węże jadowite w kupie leżą splecione niczym jednego wielkiego mózgu *rugæ*². Z nieba szałość, a czasem światłość spływa.

Kto wie, może rezolucję, by przestać być parą, zaiste nie ubiegłej jesieni wzięli, gdy dni ciężkie koło Ścieżki dla wyprawy nastały, lecz tu właśnie, gdzieś na półwy-

¹ Ten duchowny z Oxfordshire zauważył działanie naparu z wierzby w roku 1763, szukając substytutu chininy.

² Łac.: fałdy, zmarszczki.

spie podmokłym, wiatrem łagodnym dnia zapomnianego owiani, dnia, który od tych, co nadejdą i minęły, ledwie rząd liczb spisanych odróżnia – mile, łańcuchy i ogniwa przebyte. Czemu nie tu właśnie, osobliwie, iż jeometrom w końcu czasu staje, by drugie przejście Wenus omówić, a i powrót do Ameryki możebny.

Potomkowie Dixona trzymać będą, iż Jeremiasz osiedlić się tam pragnął, zaś druh jego inne miał plany. Tymczasem jeszcze dziewiątego czerwca¹ Mason z zachwytem w dzienniku się rozwódzi nad posiadłością imć Twiforda, która nad brzegiem Nanticoke leży. W rzek opisy, domostw i mieścin nadrzecznych cała ta księga zresztą obfituje. Dixon widoki zbywa.

– Owszem, dla zmysłów wszelakich miłe, lecz się na dłużej gdzie zatrzymaj, a urok pryśnie niczym sen o świecie.

– Z Szekspira to?

– Nie, transcendencjo – jeno z Masona.

Dixon rzekę uważa, wierzy i sosny, przylądki i zatoczki zamglone. Na nieskończoność kształtów patrzy pożądliwie, upokorzony niemożnością jakichkolwiek ziem poządania, aż po kamyczek ostatni, zbrocze czy wgłębienie. Masonowi rok w Delaware snem się jawi. W ów stopień, który mierzą, wierzyć może jeno tak, jak w duchy wierzy – liczbę, choć bezcielesna, wyraźniej czuje niżli ów kontynent, co wędrówkę jego nawiedza.

– Osiedlić się tu? Bój się Boga, Dixonie. Odyseja to była, teraz wrócić muszę. Przeznaczenie me wiernie przy krośnie czeka. Miejsce jej zajmę, by do końca mych dni harować, podczas gdy ona, z zalotników gromadą, bez wątpienia bawić się przednio będzie.

(– Wypisz wymaluj jak Pope i Lady Montagu, nieprawdaż? – Stryj Lomax retorycznie jeno pyta. – Drażliwi ci Brytyjczycy niewyobrażalnie. Wszystkim obruszyć się skorzy, dysputy lata trwają².

– Aliści – Wielebny Cherrycoke oświadcza – takiego chłodu między tą parą nie było).

Obaj kontenci być się zdają, iż powrót do Anglii się opóźnia, a co za tym idzie i do zmierzenia się z cudzymi oczekiwaniami. Wierzą może, iż stopień ów wymierzając, w steku zatrudnień zatracić się zdołają, z całych sił pragnieniu poddani, by wznieść się ponad życie swe żalodne, dzięki czemuś, co pod koniec dnia jeno kolumnami liczb będzie, na wieki w ciemności kart nieodwróconych, gdzie inkaust już blednie, czcionką nałożony, którą od owego czasu wielokrotnie już przetopiono – zapomnienie to nieomal pełne. Delaware ich przystanią – wzniesień tu nie ma, „osiemdziesiąt dwie mile – do Londynu napiszą – tak płaskie, jakoby kunsztem stworzone” (po zwrot ten Maskelyne w przedmowie swej sięgnie, gdy obserwacje pary drukiem się ukaza w roku 1769), same obserwacje proste i niezbyt liczne, brak Indian wrogich, jadło świeże, do miast niedaleko – w oczach świata oto dwaj mężowie uczeni, w bojach naukowych zahartowani, co z pożytkiem czas między dwoma przejściami spędzają, a wkrótce, w kolejnej misji oszalałającej, znów za morze wyruszą, gdzie niebo zawsze bezchmurne, potrawy wyśmienite, zaś za każdym zakretem przygody nieprzewidziane – Boskowicz i Maire się kłaniają – zajęcie szlachetne, a i popłatne, choćby jeno przyszłe misje pod rozwagę biorąc.

Aliści przyjemnostek tych cichym towarzyszem staranie, by samych siebie przekonać, iż czymkolwiek było to, co na szczycie ostatniego grzbietu ostawili, tuż nad

¹ 1768 roku.

² Poeta Alexander Pope i jego koleżanka po fachu lady Mary Wortley Montagu (1689–1762) z nieznanym powodów przez wiele lat zwalczały się wzajemnie piórem.

kopcem ostatnim, jakoby w ogniu, jakoby w łańcuchach na wzgardę każdego przechodnia wystawione, cierpieniom swym w końcu kres położy i z biegiem lat, kawałek po kawałku, na powrót do owych opowieści trafi, jakie człowiecza pamięć przechowuje wśród wiatru podmuchów, pożogi podziemnej, nad-stworów leśnych, mrozów i powodzi, aż pewnego dnia zniknie, wchłonięte, a ciszę, co nastanie, coś innego, coś młodszego zagłuszy, bez wspomnień czy szacunku dla tego, co niegdyś za trzecim zakrętem Dunkard wstrzymano...

Lecz owo coś nie ginie. Po zmroku się zjawia, jednym tylko, pracą nieukończoną opętane. Nowo przybyli w cieniu innych wzniesień się osiedlają. Miejsce to kapłani indiańscy zakazanym ogłaszają, aż po kopalnie miedzi w głębi ziemi leżące. Przemysłownicy tytoniu, farbek i narzędzi ostrzonych w środku nocy składy swe opuszczają, a tym, którzy z dóbr porzuconych korzystają, ducha tu się unoszącego także z trudem zdzierzyć przychodzi, jakoby bez ustanku w tym jednym punkcie wszystkie człowiecze uczynki opaczne się zbiegały – odjazdy przedwczesne, przyjazdy nieudane, namiętności ukrócone, intencje źle odczytane. Nawet Stig gruboskórny siłę tę odczuwał i w konfuzji, by otuchy sobie dodać, coraz częściej po siekierę sięgał. Zhang, co noc w swym namiocie dreszczami targany, wciąż układem *sza* w okolicy się trapił.

– Droga powrotna nie lepsza będzie. Góry czy dołu strumienia *sza* nie rozróżnia, prąd wszędzie podobnie wyczuwalny, czy na wschodzie, czy zachodzie, szkodliwy jednak. Troski nasze gnębić nas będą, póki z tej Linii przeklętej nie zejdziemy.

Teraz, w Delaware, zbyt często tak wypada, iż przez mokradła mierzyć muszą, gdzie woda na półtorej lub dwie stopy głęboka. Słońce gdzieś w górze, obojętne, półmrok, co nad bagnami zalega, do bliższych celów obierania zmusza, a zatem i ustawięń częstszych. Gdy tak w błocie Bagna Cyprysowego stoją, czarnym, skorupą cieką pokrytym, którą krok każdy dość rozłupuje, by woń pokoleń śmierci uwolnić, a coś w nim, prawidło mechaniki jakoweś, nieuczzone, natrętne i bezgłośnie, za łydki jeometrów ciągnie, moment nadchodzi, w którym jeden z pary, nie po to, by komara ubić, nagle się za głowę łapie.

– Wszędzie, dokąd nas posłano – w Kapsztadzie, w Ameryce, na Helenie – jakiz szczegól wszystkie wyprawy łączy?

– Długa podróż morska – Mason rzecze, chronicznie już ze zmęczenia mrugając. – Czym coś pominął?

– Niewolników. Każdego dnia w Kapsztadzie oko w oko z niewolnictwem stawaliśmy, podobnie na Helenie, a tu kolonia nowa i to samo – tym razem granicę im wytyczyliśmy, która właścicieli od chlebobawców oddziela, jakoby przeznaczeniem naszym było po całym świecie owego sekretu publicznego, owego sedna wstydliwego doświadczać. Wciąż się udaje, iż innych jeno to tyczy – Turków, Rosjan czy kompanii – gdzieś tam, w krajach dalekich, gdzie powietrze, zda się, solanką ciepłą i prochem słycać, tam to tysiące niezliczone życia i własności się pozbawia, tam co dzień w ręce katów i handlarzy ludzi niewinnych się oddaje, lecz, ach, wszak nigdy w Holandii czy Anglii, tym głupców ogrodzie... Jezu Chryste, Masonie.

– Co, na Boga? Czym zawiniłem?

– My sami... Czyż pieniędzy od króla nie przyjęliśmy? Czyż teraz znów z jego kieszki nie czerpiemy? A gdy niewolnicy nam usługiwali, czy któryś z nas choć raz zaprotestował, tam czy w jednym z domostw marylandzkich? Gdzie kres tego leży? Czy świat cały na niewolników i tyranów ludzi dzieli? Wszak Ameryka, jak żaden kraj inny, wolna od plagi tej być winna.

- My niemniej jeno najęci, a nie w niewoli.
- Nie ufam temu królowi, Masonie. I mniemam, iż nikt inny nie ufa. Sam lorda Ferrersa śmierć widziałeś. *Swych pobratymców w Tyburn wieszają.* Co zatem nam uczynić skorzy?

72

Pierwej południk oznaczyć muszą, potem wycinkę poprowadzić, wreszcie przez sam środek dukt wymierzyć, wielkich „liniałów” używając, desek na stóp dwadzieścia długich, wysokich zaś na stopy cztery, na cał grubych, głównie sosnowych, żelazem i mosiądзем wzmocnianych. Deski te, co za kładki czy tratwy na bagnach miejscowych przednio posłużyć by mogły, miast tego, z ostrożnością daleko idącą, na sztorc nieustannie niesione być winny. Nadto co dzień do dwu liniałów wzorzec mosiężny ośmiokrotnie się przykłada, pięć stóp rzecz jasna sobie liczący, po czym w poprawkach różnice uwzględnia, a i ciepotę, zbadawszy, notuje. By liniał wypoziomować, póty się takowy przechyla, póki pion punktu nie przetnie u dołu skreślonego, przy czym każda linka pionu w tubie się kryje, co przed wiatrem chroni. Dwa liniały zestawione z południkiem zrównać nie sztuka, ku duktu najdalszemu punktowi czterdzieści stóp drewna kierując, założywszy, iż wycinkę podle azymutu prowadzono.

- W Durham taką jak tu „pańską linią” zwiemy. Pan, który cię najął, instrumentów użyzca, okolica łatwa, robota staranna, bez końca się lunetę skręca, fantazji nieco w szkice kunsztowne na stoliku mierniczym wkłada, wszystko bacznie, ślimaczo.

- Jąk nic, powoli. - Wszelkie pozory cierpliwości Mason dawno już porzucił. Są dni, gdy rutyna w furję go wpędza. - Jak Lady Montague o Bath powiedziała, jedyną rzeczą, jaką tu robić podobna, której się wczoraj już nie robiło...

- Nie mów, toż to pecha przynosi! - Choć blisko są siebie, Dixon przez tubę krzyczy, aż Mason się wzdryga.

- Mniejsza o to, kiedy, lecz czy to się skończy? Postaw znak z przodu, postaw znak z tyłu, instrument obróć, powtórz w drugą stronę... Mam tego po dziurki w nosie, Dixonie, zaprawdę z siebie wychodzę.

Dixon, na kilka kroków podszedłszy, w punkt na prawo od kompana się wpatruje.

- Hm, zaiste, tu cię mamy. Ciekawym, jak się waćpan miewa? - To na Masona, to w pustkę zerka. - Cóż, niech jeden z was może przodem pójdzie, drugi zaś za mną się trzyma, a znaki po prostej łatwiej będzie stawiać.

- A kysz! Niczym oko olbrzymie wciąż się gapi!

Astronom cel do miar ma na myśli, czworogran o boku stopie równym i kręgach z obu stron koncentrycznie malowanych. Tarczę tę w rowkach ramy się przesuwa, póki z główną nicią pajęczą się nie zrówna, którą jeometra przy lunecie odległej uprzednio podle południka skierował. Wówczas, na znak przez jeometrę dany, kompan przy tarczy stojący słupek wbija, po czym wzdłuż osi środkowej czworogranu pion spuszcza i punkt na słupku znaczy przez ciężarek pionu tknięty. Następnie z instrumentem tarczę się mija i z tej samej odległości, lecz z drugiej strony całą tę procedurę powtarza.

- Niewiele w tym poważnej astronomii dopatrzeć się mogą - Mason kwęka.

Kto wie, może bezbarwna miarowość tego zatrudnienia do tego się przyczyniła, iż z końcem czerwca, pomiary zakończywszy, nareszcie społem na południe zmierzają przez Linie Zachodnią, ku niebezpieczeństwom jakże odmiennym i owej chwili,

w której Dixon ześlony poganiaczowi niewolników drogę zastąpi, legendzie rodzinnej podwaliny kładąc. Dowodem na prawdziwość opowieści będzie, przez lata w Hull¹ przechowywany, bicz łotra, przez Jeremiasza mu odebrany.

– Nic pewnego – Ives oświadcza. – Brak w dzienniku wpisów przez dni parę. Dówd dopuścić można, aliści słaby.

– Niestety – Wielebny z uśmiechem rzeczce – wiarę niezłomną w narzędziu pokładać musimy, jak i w historii, co przytomności jego potwierdza. Podania te rodzinne pokolenia całe² w piekielnym palenisku domowej rewizji wypalano aż po prawdę czystą, po bezlitosność zahartowaną, prawdę o każdym szczególe, choćby nie wiem jak przeinaczonym, choćby nie wiem jak przez lata uczuciem skalanym, czy miłości bezkrytycznej, czy niechęci zatwardziałej.

– O ubarwieniach niepoprawnych nie zapominaj.

– Toż to chyba do powinności spamiętywania należy. Uczucia nasze – to, jak innych przedstawialiśmy sobie i jak żeśmy się w rojeniach mylili – ważniejsze jest może nawet od naszych biednych chronologii chłodnych.

Bicz poganiacza, to narzędzie szatana, najgorsze z uczuć tych wyraża, co między jeńcem się rodzą a panem – wzgardę przez handlarza żywioną wobec towaru, którym kupczy. Sploty wytarte aż po rzemieni końce pociemniały od krwi i potu z karków tysięcy popędzanych. Drut metalowy w bicze wżarty przeznaczenie ma jedno – nieważność wyrazić i hardość, jej następnik, bowiem gdyby dnia pewnego role się odwróciły, o podobną odmowę łaski by się błagało. Ryzykuje ten, kto obstawia, iż tak się nie stanie, lecz i ten, kto trzyma, iż do zmiany dojdzie.

Dixon z poganiaczem już poprzedniego wieczora w sali swej gospody słów zamienia parę. Handlarz o aukcji w dokach powiadamia – dwudziestu Afrykańczyków pięci obojga się stawi, każde solą ziemi, z której ich zabrano – atoli określenia, jakich wobec nich używa, zdaniejsze dla jakowychś zwierząt zniełubionych. Przy każdej obeldze jeometra czuje potrzebę, niczym głód silną, by zerwać się, podejść i owego łajdaka na ziemię powalić.

– Nadzieję mam zatem, iż każdy do portu zajdzie i okiem rzuci. Ciemne dzieci puszczą na różnorakie sposoby wykorzystać podobna – jak się w fachu tym mówi, gotujcie ich i jedzcie, zepsujcie jedną z drugą czy psom rzućcie. Przedstawcie sobie jedno, mości panowie – własny czarnuch, co każdego rozkazu posłucha. Waćpan, co w ciekawym kapeluszu siedzisz... – Tu na Dixona ręką kiwa. Ten brwi przyjaźnie wznosi, choć pewnością jest zmrożony, iż znów twarz znajomą za chwilę zmiarkuje, kogoś poznanego niedawno, kogo imienia nie pomni. – Gotów bym się założyć, iż nadobna Mulatka młoda jak nic waćpanu by się uśmiechała. Cóż, niech mię diabli, jeśli szczęścia wasz dziś nie masz.

– Nie wchodzę w to. – Jeometra mniema, iż grzecznie odpowiada.

– Ho, ho! – Handlarz, zdziwienie udając, do tyłu się odchyła. – Cóż słyszę? „Nie wchodzę”? Hm. Jakże zatem w tej kwestii mógłbym pouczyć waćpana czy, rzecz wieniem raczej, przyjaciela? Otóż, przyjacielu, żałować można, lecz każdy w to wchodzi. Nie ma takiego, kto niewolnika, najmniej jednego, na własność nie chciałby posiadać.

– Prędzej czy później – Dixon rzeczce buńczucznie – niewolnik pana swego zabić musi. Tak jedno z praw dynamiki głosi. – Poganiacz, który do tej pory wzrok w jeome-

¹ Miasto w północnej Anglii.

² Choć historia z biczem miała miejsce zaledwie osiemnaście lat wcześniej.

trę wbią, drogę ucieczki planując, na boki zerka. – Machiny mi dajcie, gdyż te na niesprawiedliwość nieczułe. Czasem to, czego mi trzeba, wynaleźć dopiero muszę.

Handlarz, kroki drobiaz, już do drzwi się wycofał.

– Pamiętajcie, jutro na nadbrzeżu, w południe! – Już go nie ma.

Uwaga zebranych ku Dixonowi się zwraca, z którego po wyjściu rozmówcy para uszła.

– Wybierasz się waść? – pijący obok pyta, zagadnąć pragnąc raczej, niżli dopiec komu. – Jedna to z głównych atrakcji tutejszych. Każdemu, kto w mieście bawi, polecamy. Może i waćpanu do gustu przypadnie, choć, rzecz jasna, to nie to, co aukcja koni.

Dixon oczy wytrzeszcza przez chwilę.

– Tak się tu sprawy mają? Niewolnicy i konie?

– I tytuń, a jakże! Nigdy waść aukcji tytoniu nie świadkowałeś? Kto był, ten inaczej tenorów włoskich słucha.

W roku 1755, na wieść o losie wojsk Braddocka, mieszkańcy Pensylwanii, przed Indianami uciekając, na wschód, za Susquehanę, w panice pospieszyli. Inaczej tu, gdzie nad Chesapeake niewolników się posiada. Tu noce niepokoju pełne w nieskończoność się ciągnąć poczęły – noce liczeniem noży wypełnione, trwogą ukrytą, trwogą ujawnioną, trwogą zdradzoną nieумыślnie, przed jądłem zatrutym, duszeniem o północy, gwałtem na kobietach, koni utratą, dachu nad głową, gotowizny, domu – łupieżców kontynent pochłonałby bezkresny – a nad tą wodą usianą krainą ciężar tchu zmierzchu zalegał miękki.

W głębi serca Mason przywykł z czasem do faktu, iż to, co go z Dixonem łączy, nigdy w oddanie żarliwie się nie przerodzi. Jakowaś bariera przez te wszystkie lata zbliżyć się do siebie im nie pozwala, choć wiedzą, jak to jest w puszczy przebywać, z dala od miejskiego nadzoru, poza pierwszymi górskimi pasmami. Dopiero teraz, poniewczasie, w starszym z astronomów przywiązanie wzbiera, z którym się jeno równać może więź pomiędzy tymi uczniami, co przez rodziców do szkół posłani, lata w jednej bursie spędzili.

(– Ach, dałbyś spokój, Wicksie, kawałków rzewnych nam oszczędź – chór głosów naraz się rozlega).

Innymi słowy, za męstwo wreszcie Dixona cenić począł – innego rodzaju niżli odwaga przez obu na *Seahorse* okazana, gdzie wszak alternatywy nie stało. Męstwo nie do końca także jednakie temu, które w sobie na Ścieżce wykrzesali. Tu, w Maryland, gdzie wybór mieli, Dixon głos zabrał, a Mason spasował, wyższej konieczności czekając, jak każdy z nas, co śmiałość obudzić w sobie pragnął, lecz oczekiwania swej przyzwoitości zawiódł. W imieniu tych z nas by wystąpił, co podobnie zawiedli. W imieniu owieczek. Aliści miast tego kompanowi swój podziw ofiarował, jakże dłu bezrozumnie wstrzymywany, czym wszakże jeno Dixona do kpin zachęcił.

– Wszystkie? Na Boga, przyjacielu, czyż strój jakowys szczególnie mam z tej okazji przywdziać? Coś z pelerynką by się przydało, hm, długość do kostek zdatniejsza, nieprawdaż, niżli do samej ziemi, bowiem po pistolet sięgnąć moc muszę...

Ulicą przed karczmą poganiacz właśnie bieży, połowę mniej więcej swego stadka pędząc, na którą kupiec się nie znalazł, gdyż postawą swą każdego odstraszyli. Handlarz wrzeszczy, w gniewie zatracony, na prawo i lewo biczem sieka, najczęściej powietrze jeno przecinając, gdyż niewolnikom, mimo kajdan, razów rzemiennych uniknąć się udaje.

– Sprzedaż zepsuta, dzień zepsuty, interes zepsuty, o psu braty! Teraz pieniądzem dłużny, a tu noc kolejna w gospodzie i za strawę codzienną kolejna kwota...

– Wsparcia poszukam, dobrze? – Mason jakoby zbiec pragnął.
– Przyjacielu, ty jeden wiesz w okolicy, jak tyły me ochraniać. Czyżbyś miał coś przeciw? Okrutnie?

I nim Mason choć drgnie, po stopniach na ulicę zbiega.

– Dość tego. – Między łotrem a grupką pędzonych staje, z kapeluszem za plecami schowanym i dłonią wyciągniętą. Jak doszło do tego, później pamiętał nie będzie.

– Bicz proszę.

– Nie bicz, lecz biczem przez łeb chyba, przyjacielu, jeśli drogi nie ustąpisz. Ci tu do mnie należą. Własnością swą sam rządę.

Przechodnie przystają, krzykiem zwabieni.

Dixon prosto ku poganiaczowi podchodzi, bicz odbiera – właściciel broń swą odzyskać się rzuca – Dixon pięść w kierunku zbliżającej się twarzy posyła – handlarz z bólu krzyczy i cofa się, zataczając. Dixon nie odpuszcza, jeno bicz unosi.

– Odwróć się. Wnoszę, iż uczucie ci to nieznane.

– Ząb mi złamałeś!

– Za chwilę mieć to nie będzie większego znaczenia, gdyż na dokładkę życia cię pozbawię. Bądź mężczyzną, odwróć się i ułatw mi zadanie, albo potraktować cię po grzbiecie będę musiał, niczym bydło, co więcej czasu zabierze i z pewnością więcej bólu ci przyniesie.

– Nie! Błagam! Och, me dzieci kochane! Tiffany! Jason!

– Ktoś jeszcze?

– Soames!

Po pęk kluczy u pasa handlarza wiszący Dixon sięga.

– Kto wie, który do czego służy?

– Wszyscy na pamięć je znamy, waćpanie – niewiasta wysoka w chustce w jaskrawe pasy powiada.

Wśród okrzyków handlarza, co trzyma, iż życie jego co warte, Afrykańczycy z kajdan się uwalniają.

– Gotowe! – Dixon wesoło woła.

Liczni spektatorzy nie do końca sympatią go darzą.

– Jako iż środek to miasta – Murzyni doradzają – ludzie szeryfa lada chwila się zjawia. O nas się nie martw, część się wymknie, część ostanie, lecz ty zmykaj lepiej bez zwałki.

Mimo tej skazówki nader rozważnej Dixon nadal z całego serca poganiacza zabić pragnie. Ten wśród kolein teraz się kuli. Wybór trudny. Cóż czynić sumienie podpowiada? Głos mu się łamie.

– Jeśli cię choć raz jeszcze zobaczę, trupem jesteś! – Biczem potrząsa. – A i prędzej ducha wyzioniesz, niżli owo narzędzie diabelskie ponownie w swe ręce dostaniesz. W domu kwakerskim będzie bowiem spoczywało, nigdy już więcej nieużywane.

Handlarz prycha, nogi za pas biorąc.

– O zbór swój bym się nie zakładał.

– Do Filadelfii wracaj – do Dixona ktoś z tłumu woła.

Mason donosi:

– Nadal jedną czy dwie drogi odwrotu mamy.

Bicz za pazuchę wetknąwszy, Dixon się wycofuje. Mason za nim. Gdy tylko mur domu przed oczami gawiedzi ich skrywa, bieć poczynają i drogą okrężną, nie do końca rozmyślną, do stajni, gdzie konie ich stoją, powracają.

– Ach, Buntowniczo droga, miło twój pysk widzieć. – Dixon jabłuszko jej ze straganu przyniósł, lecz klacz i tak nosem kieszenie surduta bada, pod klapkami nurku-

jąc – a nuż co tam przeoczył. Gdy koń ciekawość zaspokaja, a Mason siodłaniem jest zatrudniony, Dixon pojmuje, co przed laty Christopher Maire na myśli mieć musiał, „palcem Bożym” go nazywając – i czemu przyrzec miał nie wspominać o tym.

Świadomi są wielce, iż Miasto opuszczają – jeśli szczęście dopisze, po raz ostatni – wszystko uważając jakoby przez szkła cudowne, co każdy szczegół przybliżą i wyostrzą. Na skraju drogi, przed drzwiami tawern, w których upojenie znaleźli, marynarze siedzą, z wesołością dziwną bryzgami rygowin jeometrów racząc. Z każdym przejeżdżającym pojazdem światło pojawia się i znika, na zakrzywionej siatce jeograficznej murów ceglanych latarnie wozów cieniem drżącym malują każde drzewo bezlistne czy psa nieufnego, przechodnia każdego, którym pożądanie włada... W salach o stropach niskich woźnice rzędami stoją, piją przygaszeni, jakoby powinność spełniali, przed śniegiem, na który się zbiera, może tu chronieni, lecz przed niczym innym, a już na pewno nie drogą i jej przypadkami. Kobiety za szalami przed nocą się kryją. Młodzi, osobno lub w parach ku schadzkom wieczornym zmierzając, w górę i w dół schodków kamieniczek suną i wzdłuż krawężników, ku którym owe stopnie prowadzą, sylwetki ich w obietnicy latarni pierwszych skąpane. Teraz, gdy wracać im trzeba, jeometry po temu nieskorzy. Myślą diabelską zdjęty Mason przedstawia sobie, iż ulice okoliczne, niczym ryby i bochny rozmnożone, na podobieństwo szprych koła olbrzymiego wirują, którego piasty, poza jakąś jasności przygrywką wątpliwą, obaczyć nie jest w sile.

Wkrótce gościńcem do Nowego Jorku prowadzącym jadąc, daleko w tyle Filadelfię ostawiają. Po obu stronach drogi pola, magnetyzmem tęgie, wędzidła szarpia, sprzączki, kompasów igły, stalówki i batów woźniców włókna stalowe. Obaj jeometry sensacji doznają, jakoby ich insekty oblażyły i skubały, ni mile, ni chochliczo złośliwie.

– Czy czujesz? – Mason w ciemności woła. – Tyś mistrzem igły, cóż to takiego?

– Magnetyzmu tajemnice.

Po chwili:

– Powiadasz? Na ten przykład...

– Nie wiem, Masonie, stąd „tajemnice”.

Przed nimi światła latarni. Wkrótce ucho zachwyca śpiew kongregacji, co się zebrała. Do kaplicy drewnianej barwy Księżyca doszedłszy, jakoby umówieni, społem przystają.

*Boże, wyroki twe są niezbadane,
Opoką wciąż jesteś dla licznych swych trzód.
Dotrwać do świtu daj, łaskawy Panie,
Swym dzieciom bezbronnym, co chcą, byś je wiódł.*

*Gdyż noc grozą tchnie,
Most do świtu zaś kruchy.
Gdy czas przyjdzie, kto
Doda nam tu otuchy,
Kto szlak zdatny skaże
Ku światłu przez mrok?*

*Jako te owce, co pasie się wiosną,
Prowadź, pasterzu, i strzeż nas od zła.*

*Jako tę dziatwę bez trosk i radosną,
Dożyć nam pozwól jutrzejszego dnia,*

Gdyż noc grozą tchnie...

Sprawiedliwość pragnień indiańskich na Ścieżce poznawszy, po przypadku podwójnie śmiertelnym jeometryzja pojmują to, co cały ten czas Zhang z innymi głosili – iż Linia za przewód Złego służy. Z tych miar rok w Delaware spędzony pokutę stanowi, immersją jest w nauce „prawdziwej”, chrztem w wodach bagiennych, a nawet odrodzeniem – nie jakowymś pomiarem sługusów najętych, z przyrodzenia plugawym, użytecznym jeno dla tych, co zyski czerpać będą z ziem sprzedaży, podziału i odsprzedawania.

– Gwinee, Masonie, pistole, hiszpańskie dolary, hojną ręką przez samego Plutona rzucane! Kiesza bezdenna! Wszystko z jednej Linii! Lecz czyśmy choć palce w tej strudze maczali? Na jednej rzeczy się znamy, duktów wytyczaniu. Niech dzięki nam cel podróży zyskają, z innych prowincji, łądem i rzekami, niechaj strumieniem coraz szerszym przybywają...

Wkrótce wzdłuż przecinki karczmy by wyrosły, składy, stajnie, strzelnice, stragani i sceny – odpust, nie, promenada, na osiem dziesiątek mil długa. O zmierzchu na wieżyczkę wdrapać można by się było i lamp sznur zapalany z góry uważać, sam dukt, jak się w nieskończoność zwięża, gdyż dwa jego skraje nie zetkną się nigdy. Długość i szerokość w najczystszej postaci.

Jeden z drwali, rozmowę ich podsłuchawszy, wtrąca:

– Może waćpana nowina ta ucieszy, iż niegdyś uczniem Ślepego Jacka Metcalfa¹ byłem.

– Z West Riding rodem? Jeometra niewidomy? Tak, nawet gdy chłopcem byłem, w Staindrop powszechnie był on znany.

– Metody stosując, których w jego drużynie się nauczyłem, gościniec jak się patrzy moglibyśmy tu zbudować. Osiemdziesiąt mil całe przednio osuszonych, sportystych, na wszelkie kaprysy aury odpornych, których koła ni wąskie, ni szerokie nie naruszą przy pełnym załadunku. Owszem, dziś przy Punkcie Środkowym życia niewiele, lecz z połączeniem tak ulepszonym z sercem Chesapeake, New Castle, Filadelfią, cóż, podobna, iż wśród Nanticoke mokradeł jakowaś metropolia wyrośnie, każda z północnych na głowę bijąca².

– Sza! – Chińczyk ostrzeża. – Jeno pomysły!

– Zgoda, aliści proste, odległość zmniejszając, spora grupa ludzi wielce sobie ceni – kupcy czy gońcy, oficerowie. Czy wszyscy oni sza są sługami?

– Bez dwu zdań. Dowódcy mordów zbiorowych dokonują, kupcy kosztem rzeszy innych się wzbogacają, gońcy zaś czasu materię naruszają.

– Czemu zatem – Dixon jest ciekaw – za równie szkodliwe światła nie uznacie? Czyż podłe prostej zawsze nie bieży?

– Ha! – W oczach Zhanga błysk nagły się pojawia, wesołości czy szaleństwa, orzec nie sposób. – A jeśli inaczej sprawy się z nim mają?

– Wszystkie pomiary powtórzyć trzeba będzie! – Dixon biadoli. – Pięknie, po dzień sądny haruj.

¹ 1717–1810.

² Do dziś nie ma w tym rejonie miasta o populacji większej niż 20 tys. mieszkańców.

– Koncept twój własny odrzucić mógłbym bez szkody – Mason do kapitana Zhanga się zwraca – powiedz zatem, czy cały twój naród opinie te dzieli? Wówczas ignorancji swej zaradzić muszę. Nic też dziwnego, iż jezuici krzywym okiem na was spoglądają.

- Cóż tam wypisujesz? Wiersz to, jak się zdaje?
- Me epitafium. Czyś wysłuchać skory?

*Nic prócz życia przeciętnego nie pragnął,
Ni bali, ni powinności zbyt wiele,
Jeno ów środek złoty osiągnąć,
Jak sen ulotny – takie miał cele.
Niestety, przyszło za życie zapłacić,
Dzień każdy marzeniami okupić,
Aż w końcu jedno skromne ostało
Na wieki skryte w sercu już trupim.*

Owa druga droga, przez granicę wiodąca – może niemal wszystko, może niemal nic – nie jest mu dana.

– Czyż z tych pobudek insygniów śmierci szukałem, formułek jej i gestów, jej plotek codziennych? Te dni niezliczone w Tyburn spędzane... Godziny długie, gdy niemal nieruchomo, ozdób nagrobnych powstawanie uważałem, odłamek za odłamkiem kamiennym... Czy wszystko to po to, bym godny się okazał? By mi na spotkanie z nią zezwolono? Bym ową granicę ponurą mógł przekroczyć, która esencję podziału stanowi? Ona pragnie jeno, bym do smrodu młynów wrócił, tłuszczu owczego, piekielnego stukotu, tam, gdzie światła latarni na noc nie gasną, a ludzie innym ludziom poddani, do splugawionych studni Painswick, Bisley, Stroud – tego, co zwie „domem”... Och, czy wybawienia nie ma?

Pewnej nocy na dukcie drogę mu zachodzi.

– Smutno tu, nieprawdaż? – śmieje się cicho. – Wierz mi, Smutasku, są smutku regiony, w których nie bawiłeś. Mimo wszystko do naszej doliny wrócić winieneś, do swych korzeni, z dala od marynarzy, od morza, od sieci linii wymagowanych. Dixon jego losowi ostawić musisz i dla odmiany swym własnym się zając.

– Nic cię on nie obchodzi.

– Jeślimy trójgranem, czy rolę mą być bokiem nieznanym? Śmiesz mię rachować? Swój kurs w dzicz zliczać, która teraz mym domem, jak i miejscem wygnania? Poza pryzmatem nędznym mego grobu kształty rzutowaniem umieszczać? Czy o uczuciach swej żony masz choć pojęcie blade? Nie sądzę. Chłopcem będąc radosnym, zawsze do zabaw skorym, imć Dixon rad byłby wielce, gdybyś mię z pamięci wymazał. Za towarzysza zabaw mu właśnie służyłeś, teraz zabawa skończona, do Domu swych Powinności wrócić musisz. Gdy mury jego opuścisz, Dixon już będzie daleko, a wkoło mrok będzie padał.

Podczas ostatniej wizyty w Nowym Jorku, okrętu, co ich do Anglii powiezie, czekając, po całym mieście społeczeństwem wędrują, choć jednej twarzy z lat ubiegłych wypatrząc. Na rogach za opieszałość swą są łajani. Wozy przez kałuże stawom równe przemykają, obu błotem straszliwym okrutnie spryskując. Wkrótce żołnierzom z oddziałów nieregularnych są podobni, co z kampanii w jakowymś wilgotnym kraju wrócili. Synowie Wolności gościnność zatracili, po Dimdownie, Czarnym czy Wulkanie nie ma zresztą śladu. „Wyjechali” – jeśli coś w ogóle, to to słyszą.

- Nie ma co tu przesiadywać. Pinty dopijmy i w drogę.
- Znajdziemy ich. Czyż to nie fach nasz? Wciąż rzeczy namierzamy.
- Ameryka cumy puszcza, jedną po drugiej, na których nas do tej pory trzymała.

I oto siedzą wreszcie wśród swego bagażu, tam, gdzie – czy na północ, czy południe spojrzeć – nadbrzeże niezmierzone w lesie masztów ginie, gąszczu kratownic drewnianych, któremu za tło służą dym miejski i konopny wraz z niebem nowojorskim – ludzi dwu, pływu zdatnego czekających w podróży gromadzie ponuro odzianych. Siedząc tak, znowuż są świadomi, iż w sercach ich lęk wzbiera, w głowie coś kołacze, ciało drzeniem przechodzi. Sensacja im to znana z karczm przy mostach i przystani promowych, miejsc, co zjawy niczym soczewka światło skupiają, gdzie zawsze nawiedzali ich ci, z którymi pili, których kątem oka w pokojach widzieli, do których to, na dukcie stojąc, wołali. I tu oblicze każde do tych należeć się zdaje. Mason obraca się, oczy w strachu wytrzeszczając.

- Czy to punkt portu dobry?
- Właśnie pytać miałem.
- Poniekąd znaków żadnych nie widziałem. A ty?

Jegoomość jakowyś, nieznajomy raczej, do pary się zbliża. Kapeluszek miękki twarzy jego wiekszość przesłania.

- Witam – rzecze, rozmowy dalszej nie nawiązując.
- Czy waść do Falmouth się wybierasz? – Mason zapytuje.
- Ku Przylądkowi Pendennis i redzie Carrick? – Czy kpi, czy się droczy, z tonu wysnuć nie sposób, a tożsamość jego nadal astronomom nieznana. – Do tego Falmouth?
- Czyżbyś o drugim słyszał, waćpanie? – Dixon, rewelacji głodny, uszu nadstawia, gdy tymczasem Mason drogi ucieczki wypatruje.

- Jest i Falmouth niewidoczne, tak jak środek koła, co z kompasem i liniałem wszak wytyczyć podobna. – Tu hałas straszliwy przemowę przerywa. Wśród dźwięku dzwonów i krzyków tragarzy statek, lin ruchem rozedrgany, do wyjścia z portu się szykuje. Jeny dwie minuty może im dane, by na pokład żaglowca się dostać. – Skończyć rozmowę w czasie rejsu musimy – nieznajomy powiada i w ciżbie znika. Dzień w dzień podczas drogi powrotnej szukać go będą, przy posiłku, przy kartach, na każdym pokładzie – na próżno.

W ostatnim wpisie, z dnia jedenastego września roku 1768, Mason pisze – „O 11h 30m am. na pokład statku do Falmouth wszedłem. Tak oto mój pobyt niespokojny w Ameryce końca dobiegł¹”. Za zdaniem kropkę stawia i myślnik długi, co na chińską modłę grubieje i chudnie.

- Dixon przez ramię kompanowi czyta.
- Jaki mój był zatem? Może spokojny?

73

Jako iż każda historia w operę włoską w końcu zmienić się musi, ich także, choć nieco pomyślniej odegrana by być mogła. Przedstawmy sobie, iż mimo wszystko Ohio przekraczają, by z przystankami co minut dziesięć dalej na zachód się posuwać. Z każdym odcinkiem postacie nowe na ich drodze stają, kolejny kłopot, by przeć

¹ Fragment prawdziwego wpisu.

przed siebie, rozwiązać wpierv trzeba. Tymczasem, z dumą zranioną przez obietnicę złamaną, sir William Johnson astronomów wytrwale ściga. Szlachcic, któremu drużyna Indian zaprzyjaźnionych towarzyszy, jako Irlandczyk szalony jest ukazany. Zdaje się nadto, iż jakowyś szkic odrzucony paradoksu Zenona w życie wciela, gdyż, nie wiedzieć czemu, nawet tych, co za wyprawą się wloką, dogonić i napaść nie jest w stanie. Na razie jeometry zawsze o krok go wyprzedzają, aliści w przeświadczeniu nas się utrzymuje, iż w każdej chwili pościg wyprawę dogonić może i by za Ścieżkę Wojowników wróciła, zmusić.

Celować dalej podobna, mniejsze nachylenia, przestworza nocne szeroko się rozciągają, a krajobraz wokół diametralnie zmienia – zagajniki na prerii równie są rzadkie, co jeszcze nie tak dawno w głębi puszczy polany. Z tych miar zatrudnień coraz mniej dla drwali i wkrótce jeno Stig sam ostaje, by proszony, tężyzną mógł się wykazywać. Ze źródła niewiadomego muzyka dobiega, nadzwyczaj wesoła, bez względu na to, czemu za akompaniament służy.

Późną jesienią astronomowie rezolucję biorą, by miast na wybrzeże wracać, na miejscu zimować, tak daleko w głąb prerii, jak im wypadnie. Odkąd świadomie za swój cel marsz na zachód przyjmują, więzi z Filadelfią i Chesapeake ich łączące słabną, sami zaś nareszcie swobodę zyskują. Tak jak dla innych ambicją adres stały utrzymać, tak siłą napędową ich życia szerokości trzymanie, nie miejsce dla nich ważne, lecz raczej ruch stały, bez końca ku Słońcu ginącemu skierowany. Niczym w astrologii chińskiej pewne gwiazdy, z każdym przystankiem wnet niewidzialność swą tracą, w zamian możebność upokarzającą zyskując, iż nie tylko widzieć teraz ich podobna, lecz do celów ziemskich znowuż wykorzystać.

Gdyby Amerykę jako Słońce sobie przedstawić, a ich parę jako jednej planety dwie strony, ciemną i jasną, wówczas, z wysoka uważani, tarczę na pozór spokojną i zycziwą by przecinali, po prawdzie, zimą czy latem, z bliska nieraz surową i wrogą.

W Illinois na renegatów francuskich natrafiają, z rozmachem burbońskiego dworu żyjących. Wszelkich sposobów na zmysłów zaspokajanie Indian się tam uczy, które temu szaleństwu przetrwać pomogą – jak kapelusze przyozdabiać, winorośl hodować, suknie niewieście kroić, peruki przybierać, gotować po mistrzowsku czy w orkiestrze przygrywać. Astronomów za szpiegów wywrotowych mają.

Po klifach urwistych zszedłszy, Missisipi przekraczają. W miejsce to kopce starożytne ich przywiodły mocą, której jasno określić im nie sposób, lecz której akuratność przez gwiazdy jest potwierdzona tak precyzyjnie, jak na to noniusz i mikrometr pozwalają. Pewnego razu w wiosce wigwamów przystają, gdzie Mason, jak to ma w zwyczaju, tak wszystkich obraża, iż jedynym ratunkiem wyjazd jest bezzwłoczny, ku rozżaleniu Dixona i przyjaciółki jego nowej, paru chwil osobności z utęsknieniem czekających. Resztę dnia przed Indian wrogim tłumem umykają i jeno cudem z życiem uchodzą. Odtąd grzybami i korzonkami żywić się są zmuszeni. Dni długie popisy błyskawic uważają, raz za razem przestwór prerii rażących, i pożogi fale, gwałtownością mackom stwora podobne, co w oddali ryczy, głośny i rozwścieczony. Kiedy indziej noc całą społem się kulą, stada bizonów grzmotem niesłabnącym złęknieni, pył zwierzęcy w powietrzu unoszący się czując, ku wzgórzom w desperacji się rzucić gotowi. Kompana o imieniu Vongolli¹ zyskują, Metysa, w którego żyłach krew francuska z szewaneską płynie, a wierność jeno jeometrom poprzysiągł, choć niczym kwakier z anegdoty, czy ufać mu można, nie do końca wiedzą. Gdy z ust wędrowca o mieście pradawnym słyszą, co ów w Meksyku pod ziemią odkrył, gdzie na ulicach

¹ Wł.: *vongola* – małż; w „Tęczy grawitacji” występuje postać o nazwisku Van Göll.

mumii tysiące w pozach dnia codziennego zastygło, a złoto tak cienką warstwą je pokrywa, iż niczym guma płynna się leje, to właśnie Vongolli swym kunsztem zielarskim obu Anglikom chyżość przydaje, z której pomocą katastrofy unikają.

Już daleko w tyle osadnicy ostatni, co znad Atlantyku tu przywędrowali, niczym rozgałęzione strumieni strużki w głąb ładu szlakami się wdzierając. Za osiedlami tu-tejszymi odmienna historia stoi – są katedry, na ulicach hiszpańska muzyka, mistycy rosyjscy i chińscy akrobaci. Co więcej, *vis inertiae* Linii się zwiększyła i odkrywają wkrótce, iż to ona teraz ich niesie. Pewnego razu w porze wieczery światła przed sobą miarkują wioski, której ulica główna Linii wycinkiem będzie. Gdy droga ta przedłużeniem granicy się stanie, podobna, iż prawa po jednej stronie obowiązujące – zapatrywanie na tytuń, niewolnictwo czy podatki – po drugiej znaczenia będą pozbawione, co bandy i szeryfów do rozważań zmusi nad tym, czy przejść przez ulicę na pewno są skorzy. – Dziękujemy waćpanom! Wczoraj w kajdanach, dziś kobiety i mężczyźni wolni! Swymi łańcuchami cudze zrzuciliście!

Poznają także pewną sektę plemienną, czemuś na firmamencie cześć oddającą, co jeno kongregacji owej jest znane. Obaj więcej o owym bóstwie wiedzieć pragnąc, na to, co ich w razie niepowodzenia czeka, nie bacząc, wyznawców nieroztropnie po temu nakłaniają, by im na badania naukowe zezwolili, takie jak, jeśli ruch zachodzi, toru wyliczenie, gdy już ciała położenie ustalą. O planetę nową, jak się okazuje, chodzi, którą niespełna piętnaście lat później georgiańską obwołają, później Herschlem, po oficjalnym odkryciu, a w końcu, już na dobre, Uranem¹. Mason i Dixon, oszołomieni, w ekscytacji sobie uświadamiają, iż pierwszą planetę od stuleci odkryli, które ich od astronomii zaczątków dzielą. Nieraz i z różną mocą w sposobność podobną wierzyli. Oto, co sławę im zapewni i fortunę.

– Starczy się obrócić – Mason woła – by drogą tą samą na wschód powróciwszy, po nagrodę się zgłosić. O powinnościach naszych wobec nieba po raz pierwszy w tych stronach zapomnieć dziś możemy, gdyż dzięki Stwórcy (niezbadane jego wyroki) do końca swych dni palcem już nie kiwniemy. Kres nadszedł harówki sensu pozbawionej! Na bal życia głównym wejściem wchodzimy! Medal Copleya² już w rękach mamy!

– Ha, ha! – Dixon kapeluszem wymachuje. – Awers czy rewers ci się widzi?

– Co? – Mason w zamyśleniu czoło marszczy. – Hm. Cóż, przedstawiałem sobie, iż każdą ze stron się podzielimy... Każdy połówkę zgrabną dostanie...

Aliści obaj Górom Zachodnim teraz pozór dają, co nad widnokręgiem niczym Miesiąc się wznoszą, bardzo bliski, a zatem nieoczekiwany. Co dzień pantometr wzrost kąta mierzy pomiędzy prerii płazem a owymi szczytami, co cudem z innego świata się jawią. Coraz częściej mężczyzn w skórach spotykają i Indian, których mowy z wyprawy nikt nie pojmuje. Długie sznury koni jucznych towary kuśnierskie wiozą, boki zwierząt wilgotne, a spoza kłapek oczy końskie pytająco zerkają... Tak tu powietrze czyste niesłychanie, iż cel pomiarów o setki mil odległy obrać można. Chińczycy, łańcuchy kładąc, w jego stronę zmierzają, a bywa też, iż przypadają bez wieści. Na ślad ich w przyszłych aktach się natrafi, jeśli tylko będą te kiedy odegrane – jeśli jeometry na wschód nie powrócą, gdzie majątek i rozgłos światowy ich czeka, lecz rezolucję wezmą za Słońcem podążać, coraz dalej od prawa, w dzicz pustą, nieskończoną...

– Medal Copleya! – Dixon wizją się rozkoszuje.

¹ Uran został odkryty przez Williama Herschla w 1781 roku.

² Najwyższe odznaczenie nadawane przez Towarzystwo Królewskie.

– Skłoń ucha. Świat u naszych stóp by leżał! Jako króla astronomowie osobiści, w pałacu byśmy zamieszkali, gdzie wszelkie kaprysy nasze służba by spełniała. Stroje do obserwacji mielibyśmy ze złotej lamy. Te apanaże sowite, te pożyczki bez granic! Dzierlatki! Aktorki! O każdej porze zachciankę mógłbyś zgłosić nową. Co się tam u was jada? Haggis¹, dajmy na to. Jeśli haggis o północy nagle zapragniesz, sznur od dzwonka jeno pociągnąć starczy.

– Bez dwu zdań, kupiłeś mię, przyjacielu. – Dixon głową kiwa, zachód Słońca skazując, który wyjątkowym tchnie dziś majestatem. – Lecz wszak wszyscy ci...

Mason mu przerywa.

– Radzić sobie będą bez Linii musieli, bez podziałów, dzień za dniem współdziałając, czy to w sprawach serca, czy w interesach światowych, od tyranii przynależności uwolnieni. Nie ma nic gorszego, czy mi racji nie przyznasz?

– Czy nigdy już zatem na zachód nie wrócimy?

– Czy nam kiedykolwiek ktoś na to zezwoli? Czy się król zgodzi lub Amerykanie? Nie sądzę. Jeśli teraz zawrócimy, będzie to oznaczać z kontynentem pożegnanie. Na zawsze.

– Jakże Emerson gardzić mną będzie...

– Skoro już od Towarzystwa pieniądze przyjąłeś, czy nie trzyma, iześ skalany na wieki?

– Pięknie dziękuję, niemal zapomniałem.

– Lete nikogo nie omija, lecz stopień naszej grzeszności codziennej cały czas na uwadze mieć musimy.

– Ciekaw jestem, cóż grzesznicy czuli, nim inni się zjawili, by ich w tej kwestii oświecić.

– Choć przewinień nieświadomi byli, niemniej cierpieli.

– Gadanie. Przednio się bawili – Dixon rzecze. – Byłem tam. Kolejny człek z raję wygnany, kolejny chłop na Drodze Północnej, dzień po dniu jeno strawy szukający...

Ludzie wzdłuż Linii mieszkający powrotem jeometrów są zaskoczeni, czasem przerażeni nawet, jakoby zmartwychwstali. Matki swe pociechy niczym gąsiątka zaganiają, by je przed gośćmi z zachodu ochronić. Bywalcy szynków wizytę im wypoминаją.

– Mieliście już nigdy nie zawitać w te strony.

– Ponoć do roku sześćdziesiątego ósmego z tymi „tam i nazad” na dobre skończywszy, po drugiej stronie Ohio marsz na zachód wszczęliście, a żaden z was o odrocie słyszeć nie chciał.

– Przyjęliśmy was, rozdzielić pozwoliliśmy i przynależność nową sobie nadać, lecz pod warunkiem, iż ścieżki nasze jeno ten raz jeden się przetną.

– Trzymaliśmy, żeście tą właśnie przybyszów odmianą, nie tą drugą – tych dosyć tu mamy – białych, czarnych, czerwonoskórych – dobrze przed zmierzchem tłum już się kłębi. Nie, nie, nowych nam tu nie trzeba.

– Jak śmiecie wracać po tym, coście nam ześłali! – I tak bez końca. Berbeciom w becikach jedno zerknięcie jeno starczy, by w płacz straszliwy uderzyły. Chłopcy od niedawna dopiero z bronią obeznani dla zabawy ze strzelb w astronomów celują. Para małżonków świeżo poślubionych, krzycząc zawzięcie, drogę im zachodzi. – Tak, tak, piękne z was były dwa amorki, nie ma co, namieszali i nogi za pas wzięli, nam na głowie jego matkę ostawiając, poborowego, szeryfa i tę dziewczuchę drugą...

¹ Tradycyjna potrawa szkocka z podrobów i owsa we flaku.

– ...zaś każdy łajdak, co tu za wami przybywszy, na stałe w mieście się osiedlił, tę tu królowę Sabę wzrokiem pożerał, a i ta oczu na wodzy utrzymać nie umiała i, mówcie, co chcecie, lecz matka ma droga zawsze gustem i obyciem miana damy godna.

– Słyszysz, co mój syn gada, żałosna krowo? Już nieraz wszystkim wam, wycieruchom, mówiłam i powiem raz jeszcze – jak mi Bóg miły, żadna z was mego Adolfa niegodna, a już na pewno nie ty, grubaśnico! Piętnaście kamieni¹, bój się Boga, spójrz no na siebie, a każdy na amen występkiem splugawiony...

– Suka! – Młoda żona na teściową się zamierza, patelnię wielką oburącz ująwszy, do której przechwycenia żaden z przytomnych się nie pali. Starsza niewiasta w czas unik robi i z zanadrza niespodziewanie kozik dobywa. Lada chwila po pistolet ktoś sięgnąć będzie musiał. Całe to zamieszanie początki swe wywodzi z odcinka „Kochanie granice ma za nic”, nagrodami obsypanego, który za pierwszym razem komedią lekką być się zdawał.

W następnej wiosce na wschodnim szlaku stwór grasuje, którego niegdyś, jak mniemali, rozumem i najnowszymi metodami się posługując, niczym innym nad fenomen przyrodzenia obwołali. Teraz po jednej stronie Linii ludność w szachu trzyma, aliści, nie wiedzieć czemu, dukt przeciąć nie jest skory, by i w drugiej prowincji majątek cudzy grabić. Sądzi się, iż granica barierem dlań stanowi, niewidzialną, lecz dość potężną, by stwora zatrzymać, a ludziom zza niej losu ich sąsiadów byłych oszczędzić. Dzielni mieszkańcy nieraz po zmroku się wymykają, by kamienie graniczne w tę czy inną stronę przesuwac, tak daleko, jak im na to śmiałość pozwoli. Linia w tych stronach pretensje do bycia prostą zatem traci, w zamian świadectwem strachu kamiennym się stając – kto się bał i jak bardzo, wyczytać podobna – a także podziału okrutnego, jaki wiosce w udziale przypadł.

W niektórych osiedlach Mason i Dixon zawrócić zmuszeni, często po nocy chyłkiem na wschód się przemykają, gdyż miejscowi przyjąć do wiadomości nie chcą, iż inny kierunek niżli zachodni przyjęli. Gdy sposobność się trafia, by ktoś ich zwierzeń wysłuchał, jeometry swe odkrycie wyłożyć usiłują, lecz mało kto nowiną się ekscytuje. Z wolna obaj sprawę sobie zdają, iż czasu na wpatrywanie się w cokolwiek nie mając, ludzie ci noc i gwiazdy z obojętnością traktują, a na dokładkę dniowi i Ziemi nad wyraz są oddani, bowiem coś nierozzerwalnie z nimi związanego – piec, dziecko, szkodnik w kurniku, jeleń od nawietrznej, cena zboża, but rzucony czy przymrozek wczesny – wiecznie ich uwagę pełną przykuwa.

Wreszcie zza horyzontu Punkt Początkowy się wyłania. Towarzystwa oba, Królewskie i Amerykańskie, telegrafem jezuickim uprzedzone, spólną delegację powitalną na miejsce posyłają. W pobliżu muzykanci z krzywułami melodie marszowe wygrywają, zaś nowe pokolenie piękności filadelfijskich, chichoczące i rozświergolone, po obu stronach duktowi stoi, sukniami szeleszcząc i okrzyki wnosząc. Oto nadszedł moment konwergencji nieuniknionej. Czy ktoś żałować będzie, nim w końcu się zjawia?

Przed Punktem, jeden nieco na południe, drugi na północ odbija, a dalej podług Linii Wschodniej spótem ku Delaware zmierzają, by jeszcze tego samego dnia, przez rzekę² się przeprawiwszy, McCleanom w Swedesboro³ wizytę krótką złożyć.

– Pogłoski pewne słyszeliśmy, cóż teraz zamierzacie, panowie?

– Sposób obmyślić na to – Dixon powiada – by Linię na Atlantyku moc wytyczyć. Mason plik papierów dobywa i przerzuca.

¹ Ponad 95 kg.

² Rzekę Delaware, oddzielającą Delaware i Pensylwanię od New Jersey.

³ Miejsowość w New Jersey leżąca na przedłużeniu Linii Zachodniej.

– Patrz tylko, Archie, złożenie przemyślane kotwic, latarni, soczewek i boi, podle prostej idealnej przez ocean biegnące, co zatokę Delaware z hiszpańską Estremadurą połączy.

Nadto, jakoby dla okraszenia dorzucone, kwestii długości jeograficznej rozwiązanie, albowiem, jak na nawigatorskiej karcie, każdy pełen stopień oznaczony na Linii będzie, czy to pławą większą, czy barwą lampki inną. Z czasem większość statków kurs obierać będzie taki, by owych znaków świetlnych nigdy z oczu nie tracić, co wzdłuż Linii szlak morski szeroki utworzy, tysiące lig długości sobie liczący, przy nim zaś nadbrzeża, sklepiki, gospody, trafiki, drukarnie, stragany z jarzynami, jaskinie hazardu i uciech wszelakich, kramy ze słodyczami i souvenirami, wreszcie kaplice dla grzeszników skruszonych – wszystko, czego marynarz życzyć mógłby sobie. W rzeczy samej, wielu na stałe osiedlić się tu zapragnie – „przy Bojach” mieszkając, choć się człek z fachem pożegna, nadal na pełnym morzu przebywać podobna. Dobra to starość, solą do czysta przeżarta. Zbyt prędko do bonzów, co ziemią spekulują, dojdą słuchy i wysłannicy ich, niczym wodorosty straszliwe, krążyć wokół poczną, nabytków szukając. Jednych prawnymi środkami się wstrzymuje, innych daleko w morze odpiera, atoli czas po swej stronie mając, nie ustępują i dnia pewnego, w złowrogim acz przyjemnym kubicznym wykwiecie koralowym Wyspa św. Brendana światu się objawia, dom starców i parku diwertimentów hybryda, gdzie każdy sędziwy wilk morski wszelkie zachcianki swe spełni. Są tu tawerny, szulernie oraz i wodewile, a także załoga, której skład wciąż się zmienia, co ciałom i duszom mieszkańców wygodę zapewnia. Owa młodź bezkrytyczna z krain dalekich pochodzi, gdzie śmierć zagościć by mogła na stałe, tak pospolicie jest tam przytomna, tak lekko ją tu zatem traktują.

Tu właśnie Mason i Dixon na starość się osiedlą. Jak by nie było, oni to tu pierwsze kroki stawiali, a później przezornie pewne punkty do umowy włączyli, jaką spisali, z przyszłym zarządcą Linii „Kompanią Atlantycką”, co z dnia na dzień przywilej zdobyła. Ni Brytyjczykiem, ni Amerykaninem żaden z jeometrów się w pełni nie czuje, kontenci są zatem pośrodku oceanu rezydować, pływów wszędobylstwem zawsze otoczeni, przemiany spektaklem nieustającym, niczym mytnicy z mostu czy przewoźnicy promowi.

Część trzecia

Przejście ostatnie

Być może nic więcej się za tym nie kryło – Dixon zostać pragnął, Mason nie – nie mógł – zatem i Dixon z kompanem powrócił. I oto, jeśli protokołowi wierzyć, dnia piętnastego grudnia roku pańskiego 1768 na posiedzenie rady Towarzystwa trafiają, obaj w czerń i szarość odziani. „JW Masona i Dixona, przytomnych w trakcie propozycji wysuwania, co do wyżej wymienionych obserwacji planowanych, o ustosunkowanie się następnie poproszono. JW Dixon oświadczył Radzie, iż na Przylądek Północny czy Wyspę Niedźwiedzią¹ udać się jest gotowy. JW Mason udziału w wyprawie raczej odmówił, aliści dodał, iż jeśli kandydatura jego padnie, do zaleceń Rady się zastosuje”.

Czy jeometrów jeno *pro forma* zaproszono? Czy Dixon znał treść oświadczenia Masona, czy wcześniej zapatrywania swe omówili, czy też słowa te zaskoczeniem zupełnym dlań były, a zatem wybaczyć je trudniej mu przyszło niżli wybryki kompana pospolite? Co złośliwsi widzieli w tym przesłanie jasne: „Pojadę, rzecz jasna, byleby bez Dixona”.

– Toż to obelga – niejeden się obruszał. – Czy waść rękawicy rzuconej nie podniesiesz?

– Tak do podobnych kwestii przywykłem – Dixon pocieszycieli zapewniał – iż często do serca je brać zapominam.

W głębi ducha więcej nadziei żywi. Choć dążenie Masona do szlachetności kształty różnorakie przybiera, zna go już Dixon na tyle dobrze, by większość z nich bez trudu rozpoznać. Świadom jest także, jak daleko w tyle Mason owego uczonego ostawił, głupawego i niezdarne, w którego ciele w wędrowkę wyruszał. Innymi słowy, bardzo podobne, iż Dixon, w ocenie swego kompana, godny jest tego i na to gotowy, by sam o sobie na wyprawie stanowiąc, zatem miano niewdzięcznika astronom zyskać woli, jeśli to tylko druha dowódcą uczyni. Postawa, jaką wobec Towarzystwa przyjął, niczym jest innym jak grzecznością nieudaną.

Ze spotkania z Radą spółem w adwent kolejny wychodzą, z pobudek odmiennych najjaśniejszych światła szukając. Jakowś Boswell² okropny ulicą ich goni, odpowiada na kilka swych pytań się domagając.

– Znani jesteście, rzecz jasna, jako ci, co w sześćdziesiątym pierwszym w Kapsztadzie pierwsze przejście Wenus uważali, lecz pomimo doskonałych obserwacji dokonania, żadnego z waćpanów w poczet członków Towarzystwa nie przyjęto. Imć Mason, powiadają, wielce nad tym faktem boleje, zaś imć Dixon z większym stocyzmem do sprawy podchodzi.

¹ Wyspa na Morzu Barentsa, między Płw. Skandynawskim a Spitsbergenem.

² James Boswell (1740–1795) był biografem Samuela Johnsona, jego nazwisko stało się synonimem osoby dociekiwej, choć weszło w użycie dopiero po roku 1791.

– Jeno bardziej myślą w przyszłość wybiegam – Dixon koryguje.

Jakże mógł ojciec Masonowi wybaczyć to, iż dzieci pod opieką siostry ostawił, porzucił właściwie, i z innym mężczyzną, drugim amatorem gwiazd, w tropiki wyruszył, a ledwie co powróciwszy, do Ameryki się udał, na domiar złego z towarzyszem tym samym? Dixon wzór miarkuje, pojmuje oczekiwania, zbliżające się przejście Wenus widzi. Mason także.

– Gdybyśmy po raz trzeci wyjechali... Dość tęgą nienawiścią mię już darzy. Wbrew jego życzeniom gwiazdy badam, lecz czy moi dwaj synowie mali ceną być mają za wśród gwiazd przebywanie? Oto z czym zmierzyć się muszę, wybór przedni!

Z tych miar Przyładek Północny odrzuca, kolejną placówkę, którą z Dixonem by dzielił, a która, w stosunku do pierwszej ich misji, na przeciwległym krańcu świata leży. Pod nosem mamrocze:

– Czas tę przeklętą symetrię przełamać.

O Przyładku Północnym, którego zobaczyć nie miało być mu dane, śnił był przez lata, coraz głębiej w obwarowane miasto melancholii się zapuszczając – choć pewien już nie jest, czy we śnie był w owych chwilach pogrążony. Okolica to ludna była nieoczekiwanie, tubylcy śniadzi bez wyjątku u Europejczyków w niewoli, ci zaś, choć nieliczni, rządzili nimi sprawnie, a w większości rzadko się od swych statków oddalali – po prawdzie, wielu z nich na pokładzie spać wołało. Guana ptaków morskich wydobywanie jedynym zatrudnieniem masowym tu było. Materię tę następnie na południe wywożono, by saletrę, a z saletry proch otrzymywać, na który popyt był teraz okrutny, jako że ponoć wojna wybuchła nowa. Mason wraz z Dixonem, który też we śnie występował, sprawę sobie zdali, iż konfliktu przyczyny – dynastyczne, etniczne tudzież religijne – nie są im znane, albowiem obaj niemal przez dekadę nowin dopływu byli pozbawieni. Odkryli, przyjechawszy, iż w kopalniach tutejszych dniem i nocą praca nie ustaje, nastroje zaś coraz bardziej ponure, gdyż rosna nadzorców białych wymagania wobec górników, którzy nie dość harują, by losy wojny znacząco odmienić.

Złoża guano, a zatem i wykopy, na skałach przybrzeżnych się znajdowały, nieraz od ładu kawałek spory, gdzie światło czyste było i przygaszone. Odchody na statki galarami przewożono o deskach czarnych, nasączonych, skruszałych. Ładunku wprost ze skał przenoszenie nadzwyczaj groźnym zajęciem było. Nieraz w paradę pogoda wchodziła, łodzie i ciała precz unosząc. Tubylcy, inną mową prócz swej niewładający, gdy tylko mogli, ucieczką się salwowali, a niejedni dni sobie ukrócił, gdy w innej postaci śmierć w czas nie nadeszła...

Mason, przez Maskelyne'a poproszony, przejście z południa Ulsteru uważa, gdzie pierwsze tknięcie tarczy Słońca miarkuje, lecz czas oderwania poznać nie jest mu pisane. „Mgły nad trzęsawiskiem wstają. Oto ona, pełna, kulista... po raz ostatni ją cielesną obaczę... przed kolejnym spotkaniem, na powrót w boginię się przeobrazi”. W publikacji Maskelyne ustęp ten pominie, dlatego właśnie Mason w dzienniku go zatrzyma.

Czy Irlandia ostatnią ma być jego podróżą? Ostatnią próbą Sapperton odrzuca – a co za tym idzie i Rebeki? W Londynie miejsca dla niego nie ma. Miasto to nigdy mu do serca nie przypadło, a to właśnie w sercu Mason niechęć kryje wobec stolicy, jakże pilnie strzeżonej. Co więcej, z Dixonem rozstać się musi już niedługo... Przyszłość swą jako pokutowanie wieczne widzi i wyrzeczeń ciąg, co się niczym owce wyrrywają, by w stadzie zbitym schronienia szukać. Rezyduje teraz samotnie w pokojach nowiusieńkich, wonią tynku, farb i kleju otoczony – gościem jest tu pierwszym,

jak się zdaje. Tapety feerią barw oczy rażą – indygo, karminem, pomarańczem hiszpańskim, zielenią i magentą często spotykaną. Za oknami dzień z żaloby otrząsnąć się nie potrafi... Rebeka nie nadchodzi, choć jej wizyty się spodziewał. Czeka dalej, posunięcia swe planując, jakoby nagle lat szesnaście miał jeno. Duma nad tym, jak na swe życie się nie targając, spotkać ją jeszcze kiedykolwiek może. Przeszkody chwilowe, choćby i błahe, krzykiem traktuje i byle drobiazg go drażni.

– Brak snu. Za rodziną tęskni – służba głowami kiwa.

Dom jest duży, skromny, choć palladiański, łóżka w każdym pomieszczeniu stoją, nie tylko w bawialni i salonie, lecz także w pokoju muzycznym i kuchni. Cienie wszędzie nieprzewidywalne. Każdej nocy Mason nowy pokój wypróbować. Inni goście, podobną pielgrzymkę odbywając, uprzejmości zdawkowe w korytarzach wymieniają. Pewnego razu, w pokoju muzycznym się zbudziwszy, astronom szpinet za trumnę bierze, w której śpi ktoś, lecz czy snem wiecznym, nie wiadomo. Daleko na moczarach światelka się pojawiają. Z instrumentu ton się dobywa, jeden, potem drugi. O wiele bardziej kuchnia Masonowi odpowiada lub obserwatorium, co na tyłach leży. Tam, jak noc długa, między snem a jawą w arkana cichego gotowania jest wprowadzany – „sandwich” osobliwie sympatię tu sobie zaskarbił, jako iż w niemal zupełnej ciszy się go składa.

W liście datowanym na dziewiąty listopada, mniej więcej wówczas, gdy Mason z Donegal¹ miał wyjechać, Maskelyne, jako Astronom Królewski, tym się upaja, iż nareszcie instrumenta niezawodne posiada. Linka pionu wadliwa wspomnieniem jeno wstydliwym, które przy goleniu porannym przywołane chrząkaniem zbywa, wroku swego w lustrze przy tym unikając. Sektor „uroczym” obwołuje. „Nadto, teleskopu dziesięciostopowego, w mikrometr zbrojnego, używałem. Z twymi refleksjami moralnymi na ten temat zgadzam się całkowicie. Astronom owe wnioski wniosło spożytkować winien”.

– O jakież to znowu refleksje chodzi?

– Maskelyne wspomina, iż na list Masona odpowiada, na dzień piętnasty października datowany, lecz dokumentu tego znaleźć niepodobna, wiem dobrzę, gdyż sam bezskutecznie próbowałem. W rzeczy samej, żadnego z listów Masona nie zdobyłem, choć ponoć rozsianych po świecie jest wiele.

– Pójdź w ślady Münchhausena, zmyśl coś zatem.

– Nie, nie. Skoro gdzieś plik listów leży, co naprawdę spod pióra Masona wyszły, honor im oddać muszę, czyż mi racji nie przyznasz?

Ives prycha jeno i milczeniem słowa te zbywa.

Ethelmer pyta:

– Czemuż nie założyć, iż na wieki przypadły?

– To, iż ja znaleźć ich w sile nie jestem, nie znaczy, iż nikomu innemu się nie uda. Pytanie brzmi raczej, czy odnalezienia ich czekać winniśmy, by domysły snuć, jakież to „refleksje moralne” dziesięciostopowy teleskop, w mikrometr zbrojny, poddaje.

Dodatek ów, a także długość lunety znaczna, być może dwukrotnie większe przybliżenie zapewniają niżli instrument do tej pory w Greenwich używany. „Wnioski wniosło?” Wzniosłość i akuratność? Czy przez Maskelyne’a ironia przemawia? Czegokolwiek Mason w liście swym nie zawarł, niemal z całą pewnością Boga wspomniał. Czyżby zatem znowu pochopnie działał? „Wnioski spożytkować”... Zwrot ten poddaje, iż astronom jakowąś koncepcję wysunął. Dajmy na to, iż do Maskelyne’a w te słowa napisał:

¹ Czyżby błąd autora? Mason nie przebywał w tej części Irlandii.

„(...) Oto zasady „jak w górze, tak i na dole” odwrotność (...). Jeno najdrobniejsze ze skal stosując, prawdę o przestworze niebieskim odkryć podobna (...). Wartość paralaksy solarnej dokładnie wyliczona na odcinku od choćby i dziesięciu sekund mniejszym, wielkość układu słonecznego objawić nam jest w stanie. Paralaksa Syriusza z kolei, mniej niż dwie sekundy może, rozmiar całego Stworzenia przyniesie. Czy coś zawadą stoi, abyśmy odcinkiem od sekundy łuku krótszym się posługując, sposób odkryli na to, by Owo Coś zmierzyć, czego zoczyć nie możemy, czy też czego obaczyć nam nie wolno?”.

– Wielu z nas – Wicks przyznaje – stanu duchownego przedstawicieli, w matematyki uprawianiu przyjemność odnajduje, osobliwie zaś w nauki o pochodnych zgłębianiu. Iż szereg nieskończony nazwisko ich nosić będzie, jak to w przypadku wielbego Taylora miejsce miało, niewielu, zaprawdę, nadzieje żywić może, aliści starania wszelakie, dzięki którym o zagadnieniu tym użytecznym coraz więcej wiemy, narzędziami do analizy zaowocowały, o jakich parę lat temu jeszcze nikomu się nie śniło, choć z tych, niektóre na nieskończenie małych się zasadzają i innych zera wadliwego odmianach. Czy to nieskończoność, czy szatan nas kusi? Czy też jeno zjawisko to jak kabała stare, iż słudzy boży Stwórcy szukają w liniijkach czarnych, wśród owych łańcuchów rozdzwiczanych...

– Przebóg, Amerykę mi przypomina. Rzecz dziwna, czasem budzę się rano i mniemam, iżem za ocean przeniesiony. – Pół okolicy to bagno, pół okolicy góry, co drugi O'Reilly się tu nazywa, wkoło od buntowników się roi, którym po głowach psikusy nocne chodzą – oto na powrót pogranicze, lecz to Ulster i ziemie Dublina rozdziela, do żadnej ze stron aliści nie należąc. Pospółstwo miejscowe na pastwie magnatów, takich jak Lord Pennycomequick¹, nabab połączeń ogólnoswiatowych, co właśnie trawnikiem do Masona się zbliża, w kieszeniach surduta, wielkością jukom podobnych, cztery butelki taniego bordo taszcząc, które w tych stronach nad wyraz pospolite dzięki Irlandczykom obrotnym, co w Bordeaux zamieszkali².

– W mej familii od czasów drugiego Karola! – Szlachcic miast słów powitania woła.

– Czyż wina stuletniego za stare się nie uważa? – Mason drażliwy dziś jest od rana.

– Ach, wszak swój surdut na myśli miałem. – Pennycomequick, jak i rzesze przed nim niezmierzone, wnosi, iż zwawą miarę głosu posiadając, co wujaszкови figlarne mu najmniej przystaje, Mason żartownisiem jest pierwszej wody. – Surdut takowy porannym zowią, żółć jego Słońca symbolem, jak mniemam. Co się zaś tych wstawek lazurowych tyczy – uważa je, tak jak inni kamizelki badają, sprawdzić pragnąc, czy je przy stole zachlapali – to rzecz jasna nasz szmaragd słynny, historycznie niewskazyany³ – mym skromnym zdaniem, od czasów Robin Hooda wieszać za to winni – atoli, miarkujesz waść, przemysłnie zamaskowany błękitu przydaniem, może kapką barwy izabelowej. Ha! No, no, nie trap się, waćpan. My tu wszyscy wigowie szczerzy i zagorzali. Proszę za mną, wszak jeszcze waść świątyni dumania nie widziałeś.

Gdy zza tyłu ligustrowego słońca się wynurzają, pierwej oczy Masona obeliski rwą niezliczone, rzędem podwójnym aleję znacząc, która to do świątyni dumania prowadzi. Słupy te w świetle dnia ostrym w niewinność kamienia się wycofały i jeno powagę miejsca podkreślają, aliści bez trudu przedstawić sobie przychodzi, iż o zmierzchu, gdy pora do zadumy skłania, bardziej człowiecze kształty przybierają

¹ Dosł.: grosiku przyjdź szybko, Peny-com-cuic to także stara nazwa wspomnianego już portu angielskiego Falmouth.

² Francja wspierała Irlandię w dążeniach niepodległościowych.

³ Irlandię, wówczas pod jarzmem brytyjskim, nazywa się Szmaragdową Wyspą.

– od człowieka większe, lecz tak, niemal człowiecze, nieomal mową zdające się być obdarzone...

– Oto i ona. Jak się waści widzi? – Lord zatrzymał się przed chwilą, by Masonowi w podziwianiu budowli dopomóc, co jednej osobie czynić gorąco się odradza.

– Obojętnym ostać nie sposób – astronom powiada.

– Czytałeś, waćpan, nie wątpię, dzieło imć Halfpenny’ego „Architektura wiejska w chińskim guście”¹, zatem ozdoby naroży dachu winny być dla waćpana znajome... Nasz Wielki Budda, niestety mniejszy o połowę, a tu z kolei basen kuracyjny mamy – borowiny – witaj, Rufusie, szanowna małżonka już wydobrzała, mam nadzieję? Wybornie! (W jej pieczy kąpiele były, odkąd zaniemogła – chaos). Ach! Machiny elektryczne, całkiem ich sporo, aż do końca, o tam, dojrzysz waść, się ciągną. Po zabiegu zdarza się z rzadka, iż głód człeka zmorzy – wówczas, *voilà*, oto kuchnia letnia stoi, a w niej mistrz patelni gestykulujący. Tak, tak, Armand, *soup du jour* prosimy! Bystry jegomość, w rzeczy samej trzyma, iż twym znajomym.

– Monsieur Messon! Monsieur Messon! – Francuz to we własnej osobie. Czyż nie? Lecz czemu postać jego jakoby cieniem przyćmiona? Czemuż sunie tak gładko, niczym łądz po tafli spokojnej? Gdy twarz jego rośnie – jak się okazuje, w policzek Masona ustami celując – skóra na niej coraz bardziej zieloną się jawi... Wreszcie kucharz struchlałego Anglika wargami muska i w chłodnym powiewie z dziwnym echem mija, co jak odór przykry jego kroki znaczy. Mason odwraca się – ni żywego ducha. Nie wie też, kiedy go szlachcic opuścił. Stoi tak przy piecu o kamieniach mchem obrębionych, do którego za żadne skarby by nie zajrzał.

Słota w bezsenność niespokojną ludzi wpędziła, w rozmowach kwestii możebnego pęknięcia torfowiska unikają – aliści wiadomo, iż potop czarny ich nie ominie². Im dłużej pada, tym więcej w powietrzu waporów nerwowych. Jeśli się co wydarzy, nikogo budzić nie będzie trzeba. Cała okolica czuwa. Aż wreszcie, o północy...

– Pękło! Na poletku McEntaggarta! Kląnam się, waćpanu. Z przykrością zawiadamiam, iż jesteś waść pod wrażeniem dziś w nocy.

– Ach, niewątpliwie – Mason przyznaje. – Sprawność, z jaką wszystkich tych wałkoni do roboty zaganiacie, zaiste wielkie wrażenie wywiera.

– Wybacz, waść – angielszczyzna ma to bez pochyby – to mam na myśli, iż waćpan też w szeregi nasze wrażony i w kompanii owych „wałkoni” znaleźć się musi.

– No tak, człowiek nauki, chętnie radą służyć. Jeśli się nie mylę, ławę ziemną odbudowywać będziemy?

– Pewnego dnia spokojniejszego z prawdziwą rozkoszą wszelkie aspekty traktowania torfowisk wytłuszczę waćpanu, aliści teraz buty wysokie i rękawice poddaję, byle szparko, jeśli waść obiekcji nie wysuwasz.

Przy drzwiach mały McTiernan szpadle do cięcia torfu wydaje, przez Irlandczyków slanesami zwane.

– Pewności nie mam, czy wiem, jak go kroić – Mason duka.

– Im prędzej, tym lepiej. Nim po broń sięgnie.

– Daj pokój, Dermie. Toż to jego wina, iż Anglik?

– Bagna! – Gdy ruszają, świeczki w wydrążonych rzepach niosąc, Mason pod nosem mamrocze, tego, czy ktoś słyszy, niepewny. – Moczary! Oto me przeznaczenie.

¹ Książka architekta Williama Halfpenny’ego z 1752 roku.

² Zjawisko to polega na osunięciu się górnej warstwy torfowiska; sunący torf przypomina z wyglądu ławę i potrafi wyrządzić podobne szkody.

Wierzyłem, iż Delaware kres upokorzeń znaczy, iż w końcu na czystszej okolicy zaśluzylem, gdzie *mathesis* króluje i poza kleksem rzadkim, nic udręki amerykańskiej na myśl nie przywiedzie. Ech! Gwiazdy z błotem zawsze idą w parze, dalibóg, paradoks to rozważenia wart... być może przez Astronoma Królewskiego?

Od pewnego czasu Mason ma w zwyczaju w perfidny sposób zdrowie psychiczne Maskelyne'a na próbę wystawiać, takie zagadnienia mu listownie podsuwając, jakie analiz głębszych zaprawdę nie zniosą. Ostatnio, dzięki „Über Bernouillis Brachistochronosprobleme”¹ z roku 1702, autorstwa barona von Boppdörfera, bliski był zwycięstwa jak nigdy dotąd. W liście dopisał „Umysł niczym szpada. Przeczytaj, a wiarę w swe zdolności na szwank wystawisz”.

W glebie grząskiej brodząc, w wełny miejscowe odziany, Mason owcę mokrą i zadziorną przypomina. Deszcz powraca. Za rzeką, koło Keadew i Kinnypottle, więcej czuwających, człapiąc, do drużyny dołącza. Anglikowi zdaje się, iż zjaw gromadzie towarzyszy, co, wyczuwalne acz niewidzialne, w nieznanie go unoszą. Cóż, niebo dziś wieczór nic mu nie objawi. Parę razy, alści znacznie bliżej płazu ziemi, światełka ruchliwe, rozedrgane, przez chwilę miarkuje.

– Cóż to za jedni? – kompanów swych niewidocznych pyta.

– Ćśś! – pół tuzina głosów odpowiada. – Oni swą drogą, my swoją idziemy – ktoś nad prawym uchem Masona szepcze. – Nieczęsto się ich przy słońcu widuje ni przy osuwisku wielce pomocni.

Wkrótce nad brzegiem jamy torfowej stają, co jakowymś mirażem czarniejsza od nocy się zdaje.

– McEntaggart rok na tę kępę się zasadzał, a teraz darmo mu się dostanie.

– Sam ni kroku nie zrobił, a pokład się przesunął!

– Uwaga, chłopcy, nowa porcja idzie!

– Mniam, mniam, repeta mile widziana!

Przekomarzając się, jak to Irlandczycy w zwyczaju mają, brył torfu szukają nie- zbyt namokłych, a zatem do wycięcia zdalnych. Inni, z dżdżystego mroku się wyłoniwszy, kamienie przyniesione mozolnie w stos usypują, co wyłom w torfowisku ujarzmić winien. Ze wzgórze ludzie zamroczeni nieporadnie schodzą. O świcie mgła znad bagien wzniesienia przesłania, każdy na grzęzawisku jeno widziałem bladym.

– Wielmożny panie Masonie!

– Sługa uniżony.

– O studnię świętego Brendana się rozchodzi...

– Mniemałem, iż mnich ów z Galway rodem.

O nie, przez Cavan raz przejechał, w drodze nad morze, załogi szukając, a z miejsca, w którym spał, woda trysnęła, ta sama, którą w Raju pili, w smaku wyborna. Niestety, znikła ostatnio w ogólnym zamieszaniu.

– Choć różdżkarzy tu pod dostatkiem, wszyscy z pokorą w Londynie szkolonej osobie pierwszeństwo dają, prosząc o odszukanie źródła i jego przywrócenie.

– Mam ci ja coś, co jak nic się przyszyda – Mason powiada. Wśród instrumentów w posiadłości Pennycomequicka złożonych kris leży, w śnie kapsztadzkiem odebrany, z którym od lat się nie rozstaje. – Czy ową wodę w posiadaniu macie? – Nóż nią naciera i do wyłomu wróciwszy, wnet tarcie, ciepło jakoweś czuje i dźwięk wysoki, dziwaczny, podle ostrza słyszy, choć po prawdzie żadna to z tych rzeczy. – To tu, jak wnoszę.

¹ Brachistochrona to rodzaj krzywej; zajmował się nią m.in. Jakob Bernoulli (1654–1705), wybitny matematyk i fizyk szwajcarski.

Kopać im pomaga. Na źródło niezbyt głęboko trafiają i brzegi jego prędko przed osunięciem chronią, po czym każdy z zebranych wody kosztuje. Jedni trzymają, iż to ów zdrój święty, inni nie – zaiste, zdania tak są podzielone, iż wkrótce pierwszy z wielu ciosów pada.

Później we śnie Rebeka Masona nawiedza.

– Zaprawdę, nie ma czym się chlubić. Nie studnię świętą znalazłeś, lecz jeno jej odbicie.

Budzi się o północy w smutku pogrążony. Chciałby rzec: „Wszak próbowałem!” – lecz nie uczynił tego. Bać się będzie zawsze, że a nuż jest skalane, tak jak rodzinnego Gloucestershire krynice święte, a z nim i kris, a z nim marzenia.

Modli się, by w komecie nowej twarz żony móc obaczyć – tym razem każdej nocy drży, iż tak się nie stanie. Siłą oblicze jej przywołać usiłuje i zadziwiony jest, gdy przez minut parę rysów drogich nie pomni. Aliści w końcu noc bezchmurna nadchodzi, tak przejrzysta w rzeczy samej, iż czas jakiś po północy Mason, na wznak w świetle gwiazdnym leżąc, kuriozalnego zjawiska optycznego doświadcza. Gwiazdy, niegdyś jakoby na spód kopuły naniesione, teraz aż w trzech wymiarach uważa. Oko własną oś z stworzyło, wzdłuż której mkną przestwory nakrapiane, część się przybliża, część niknie w toni, wkrótce wbrew woli spektatora się kłębią. Mason pojmuje, iż sklepienie niebieskie jako zabezpieczenie jest pomyślane – astronomowie rezolucję wzięli, by jeno z tego relacje zdawać, co bezpieczne. Piętnaście lat do ich grona należy i oto chwila inicjacji nadeszła.

Teraz wszystko na niebie zupełnie odmienione.

– Co zaś komety tyczy, skąd, rzec mi nie sposób, lecz miejsce to bagniste i wyziwem trute wyjątkowa przejrzystość powietrza owej nocy nawiedziła, coś na kształt optycznego niebieskiego naprężenia, przez które jakoby lada chwila gwiazdy przebić się miały... Wpierw w Lwie złotogrzywym Io się wyłoniła, aliści jeno preludium dla Palca Korsyki¹ będąc, który wnet także się ukazał, z nieba w punkt pewien na Ziemi celując. Wiedziałem, iż udać się tam muszę, Palcem, jak niegdyś królowie gwiazdą kierowani, albowiem w owym miejscu niemowlę na świat przyszło, które ponownie losy świata odmieni, a tym razem drogę by skazywał nie tylko znak z niebios, lecz i z ziemi².

– Racja – Maskelyne przyznaje – niemniej pewności dostatecznej nie mam, czy opis ten do twej relacji trafić winien. Odzew księży przedstawić sobie snadnie podobna, a protesty na bok odsunęłyby kwestię... kwestię... Właściwie, cóż się za tym kryje?

– Pojęcia nie mam, pod urokiem byłem. Czyś nigdy nie wpadł w ów półsen kometowy, co na człowieka ciało niebieskie zsyła, z nocy na noc coraz jaskrawiej świecąc? Owe widziadła na sklepieniu, które to zawsze w ruchu uważamy – sekund parę mija i już ich nie ma, a jeśli wracają, to dla nas niewidoczne. Gdy już częścią nieba nocnego się staną, do woli wiszeniem napawać się mogą, a widać przy czymś cały czas majstrują, tak jak na statku sztaksle i kliwry się przestawia, gdyż położenia swego nie zmieniają, pod jakowąś gwiazdkę bezimienną się podszywając. Czy nas uważają? Czy gośćmi są z przeszłości, z czasów wiary prawdziwej, gdy cuda się zdarzały? Czy wysłannikami są Stróża nieprzytomnego, gestami jego ostatnimi nad czubkami

¹ Obserwowana przez Masona kometa Halleya wskazywała na Korsykę, co później łączono z narodzinami Napoleona (rok 1769).

² Prawdopodobnie chodzi o to, że półwysep w północnej części Korsyki też jest nazywany „palcem Korsyki”.

drzew nocnych? Astronom, którego tyle pytań dręczy, nieomal wszystko napisać jest skłonny. A jak ty postępujesz?

– Cóż, rzecz jasna, bywają takie ustępy, które zachować się pragnie, nieraz bardzo, niemniej z drugiej strony są owe ustępy, które się w końcu zachowuje...

– Dobra nasza, niemowlę wykreślamy. Co powiesz z kolei na ten fragment z lipca, w którym do galarety krwistej zorzę polarną przyrównuję?

– Właśnie do tego przejść teraz miałem. Ostatnimi czasy słowo to wielce ich drażni, Bóg raczy wiedzieć, czemu tak się dzieje.

– Co takiego? „Krew”? Co ty nie powiesz? Ech, bodaj ich zła krew zalała! – Okrzyk nieumiejętnie udawanego oburzenia po Sali Ośmiobocznej echem się niesie. – Psiakrew!

Maskelyne rozgląda się nerwowo.

– Błagam, Masonie, jeszcze kto podsłucha.

– I cóż z tego? Kto tu Astronomem Królewskim? A pošlij ich do stu diabłów.

Tamten spojrzeniem go obdarza wcześniej mu nieznanym.

– To nie ten sam urząd, co za czasów Bradleya... za twych własnych. Już nigdy więcej dysput takich nie będzie jak ta, co się teraz nad dorobkiem jego toczy. Powiadają, iż lata długie miną, nim ładu dojdą.

Dorobek Bradleya... Wielu z tych obserwacji Mason dokonał, lecz choć stroną jest w sporze, nie ripostuje, prychna jeno.

– Miał dawnych ustaleń coś na kształt, hm, umowy nas łączy, a i dość obszernej. W zamian za to tu – Maskelyne dłonią krąg zatacza, aliści łokieć cały czas przy ciele trzymając, jakoby ręki wyciągnąć swobodnie nie był w stanie – własnością ich praca moja, rozumu mego owoce, być może nawet myśli me głośno niewypowiedziane. Kukułką mechaniczną dlań jestem, w owej klatce przestronnej na kijku siedzę, by im o pierwszym dniu wiosny przypomnieć, gdyż kohorta ta na zmianę pór roku czułość zatraciła. Oto cały pożytek, jaki przynosić mi zezwalają, reszta jeno znojną niewolą nieznośną.

– Hm. Ciężkie życie. Za przeproszeniem, cóż to w miejscu leżanki astronomicznej teraz stoi?

– Model ten wtajemniczeni *péché mortel*¹ wołają. Z Chippendale’a warsztatu. Prawda, iż zgrabna? Clive mi ją sprawił – wyzywająco dodaje. Wargi mu nie drżą, lecz oczy się zwięziły, jakoby ataku czekał.

– Któż taki? Pan Indii? – To wszystko, co Mason rzecze.

– To jest, rzecz jasna, obserwatorium ją ufundował.

– Powiedz, jak byś z grzechem śmiertelnym postąpił? Gdybyś go nie poznał, choćby ci pintę kupił?

– Po prawdzie naśladować się takowy nauczyłem poprzez niepospolitą liczbę lekkich popełnianie.

Mason, oczu nadto nie wybałuszać próbując, dopiero co zmiarkował, w co jego rozmówca jest odziany. Maskelyne, niedawno spod lunety wstawszy, ulubiony swój strój do obserwacji ma na sobie, przez szwagra sławetnego z Bengaluru przysłany, gdzie go podle instrukcji samego astronoma, które to trzydzieści dwie karty listu zajęły, starannie, z mozołem skrojono i uszyto. Ubiór to trzyczęściowy, sztuka każda watomowana, surdut długi, kamizelka, spodnie z miejscem na stopy, wszystko zaś z jedwabiu prążkowanego. Na kamizelce i spodniach pas różu ostrego podwójny na sedledynie stoi, z kolei na surducie, którego rąbek u siedzącego posadzki tyka, turkusa

¹ Fr.: grzech śmiertelny.

pojedynczy, choć na tle jednakim, które także na wyłogach podziwiać podobna. Kwestii strojów lepiej nie poruszać, gdy się kto tak ubiera – rządy lub religia bezpieczniejsze będą. Owo cudo, co Masonowi wiadome, jeno jednym z wielu w szafie królewskiego sługi. Imć Deep, mistrz igły subkontynentalny, podle coraz wymyślniejszych planów je szyje z pomocą drużyny swej utalentowanej, po czym najbliższym Indiamanem posyła, po świetle i dźwięku, jak Mun mawiać lubił, trzecią z najchyźszych rzeczy na Ziemi.

Nevilowi życie przez palce przecieka. Za dnia jeno śpi bądź pije, ze zmierzchem dopiero ożywia się nieco, przed zmianą nocną na dziarskości przybierając. Teraz wraz z Masonem po gabinecie krąży, popołudniowe słońce, co przez okien soczewki wpada, fałdki pod brodami obu wyostrza, a puder peruczny w promieniach jego jaskrawych kłębami wkoło się unosi. Twarz Maskelyne’a udrękę zdradza, a co jej przyczyną, astronom nie kryje. Oto raz jeszcze czasomierz Harrisona, niczym jakowaś strzyga węgierska, mimo Lunarian starań usilnych, by go Rada Długości kołkiem poczęstowała, na skrzydłach mosiężnych wzbil się w przestworza z tykaniem cichym i miarowym, by każdy dzień z kurczącego się grona zatruć, dorobek zakwestionować, a życia całego cel ośmieszyć.

– Najcięższy był dla mnie rok sześćdziesiąty siódmy. Członkowie Rady, w swej mądrości głębokiej, raz za razem przy nowych próbach się upierali, a w końcu na mą własną szyję przyrząd trafili! Cóż czynić miałem, świeżo mianowany, odmówić? A wszystko po to, bym badania nadzorował, w Greenwich, na miłość boską, cały rok przekłęty. – Widywano Maskelyne’a, jak, w kasetkę wpatrzony, do której kluczyk miał w swym posiadaniu, do nieszczęsnego chronometru przemawia. Czy lata w służbie tablic lunarnych strawione na marne poszły? Czy się okaże, iż więcej zdrowia i czasu stracił, niżli rozsądek by nakazywał, błędnym założeniom wierność przysięgłszy? Trzymali niektórzy, iż szeptął przy tym: „Gdyby honor był jeno honorem honoru niesplamionym, grzechy wszystkie łyż by zmyły niewypłakane”.

– Własnym oczom nie wierzyłem – pokojowy opowiadał. – Jakoby Hamleta czy coś w tym guście uważać. Długie tygodnie przedstawienie to trwało. To chciał otwierać, to ochotę tracił, godziny wśród skrawków papieru spędzał, takowe metody finezyjne obmyślając, które by zegar bez śladu uszkodziły. Wszystkim wiadome było, w jakim napięciu żyje, wyboru pomiędzy sumieniem a karierą dokonując.

(– Starczyłoby go pewnie do Greenwich z Londynu przywieźć na furmance nędznej, resorów pozbawionej – Mason, delikatnością nie grzesząc, zwierzchnikowi podaje.)

Raz nawigatorzy w stanie spoczynku i cieśle okrętowi, by ciekawość zaspokoić, na wzgórze się wspięli, czując się niczym galanci stołeczni, co za wstęp do Bedlam tryz pensy dali.

– Wczoraj, jak mój druh się zarzeka, nasz Nevil niemal godzinę w amoku się rzucał.

– Byle tylko sił mu dziś stało na podobne harce.

– Ja tam się minutką londyńską zadowolę.

– Z mej strony na to spójrzcie. – Maskelyne do gości się zwrócił (ze zbytnią pasją w głosie, co wnet zmiarkował) i włosy rozpuściwszy, po głowie drapać się gwałtownie począł. – Wszak w wysoce niezręcznym położeniu mię postavili, czyż nie? Sekret to żaden, iż z lunariuszami jestem związany i jeno ów chronometr Harrisona piekielny między sługą waszym a ową nagrodą stoi, na którą zasłużył sobie uczciwie, sen, wzrok i życie towarzyskie poświęcając. Czyż nie jestem ostatnią osobą na Ziemi, której zegar ten choć na chwilę powierzyć wypada, o kluczu do kasetki nawet nie wspominając? Atoli, jeśli ich spytać, odpowiedź padnie: „Tym sposobem co do uczci-

wości jego pewność mamy. Teraz majstrować przy nim się nie ośmieli”. Dodają też: „Jeśli czasomierz, pod opieką Maskelyne’a będąc, szwanku nie odniesie, tedy próbę ogniową pomyślnie przejdzie”. Jakże się mam czuć tak traktowany? Brzemienia podobnego nikt dźwigać nie winien.

- To jak tym być, co pulę w zakładach trzyma.
- Prawda. Ochmistrem, gdy wachty przydziela.
- Przyznasz, Boats, nieco tajemniczym się jawi?
- Toż to jak spaniela na straży nagradzanego koguta postawić.

- Panowie! - Trzymają niektórzy, iż Maskelyne krzyknął. - Czym ta przytomność nieprzyjazna jest powodowana? Czy o dniówki tu jeno chodzi? Życzycie sobie, ile, sześć pensów więcej? Szylinga?

Ośmieszeni, osobą astronoma zawiedzeni, weterani Kartageny i Minorki¹ wycyfrować się poczęli, wdychając i pod nosem złorzecząc.

- Matematycznie jestem uzdolniony, zatem popołudnie starczy. Rozrywka to raczej niżli zatrudnienie poważne. Raz-dwa sposób pewny na chronometru zniszczenie wynajdę. Wprawdzie dochodzenia spodziewać się można, świadectw mych poczynań niechybnie zażądają z każdej minuty, odkąd zegarem mię obarczono, aliści zbyt wiele już czasu na osobności przebywałem, bez świadków takich jak wy, goście mili, a próżnia ta fikcję przyciąga i jej znajomków ordynarnych - oszczerstwo, potwarz, pomówienie.

- Śliska sprawa.

- Czemuż zatem - Maskelyne ciągnie - za owcę nie być powieszonym, skoro już za jagnię stryckiem karzą? Często pytam się, choć nie Boga, jeno czegośkolwiek, co odpowiedzi udzielić mi może - jeśli świat już mię bezpodstawnie do szwindli skłonny obwołał, z jakich miar po młotek miałbym nie sięgnąć, by, rzec by można, powinność swą wypełnić?

- Typowe - Eufrenia z przekazem powiada.

- Nietrudno wielebnego doktora Maskelyne’a znieubić - brat rację jej przyznaje - choć zgodnie z naszym jedenastym przykazaniem, o innych duchownych źle mi mówić nie wolno. Dla Masona był zawsze i bratem, i rywalem, co to o miłość ojcowską usilnie zabiega i o to, by po „ojcu” Bradleyu schedę przejąć. Czy kod jakowyś stosował, kompana swego wciąż za granice Anglii posyłając? Do Cavan, by znów wśród Ulsterczyków się znalazł, jak to już na pograniczu amerykańskim miejsce miało. Na Schiehallion², by przypomnieć mu złośliwie o błędzie przez Allegheny wywołanym, który Cavendish³ w rachubach odkrył - czy też, jako iż lord Cavendish bardziej wrogiem był mu niżli przyjacielem, może staremu druhowi i adherentowi przysłużyć się tymi misjami pragnął? Listy obszernie do Masona na obczyznę posyłane, choć z pewnością autorytetu umacnianie na celu miały, nic prócz pragnienia nie ujawniają, by sobie adresata podporządkować, wszystko to zaś chyba z racji żali utajonych, bowiem w Cambridge sam czasem nagan wysłuchiwał i może, pod znakiem Wagi będąc urodzonym, w ten sposób równowagę chciał w swym życiu odzyskać, do tej pory cierpliwości nadmiarem zachwianą. Zdaje się także, iż robił, co w jego mocy leżało, by Mason nagrodę Rady Długości zdobył za lunariuszy

¹ Miejsca morskich działań wojennych w czasie wojny o ucho Jenkinsa i wojny siedmioletniej.

² Góra w Szkocji wybrana przez Masona według wskazówek Maskelyne’a w 1773 roku.

³ Henry Cavendish (1731-1810), wybitny chemik i fizyk angielski, odkrył m.in., że woda składa się z wodoru i tlenu.

Mayera¹ ulepszenie, o zaszczyt ten dla siebie nie zabiegając. Ponadto młodego Harrisona poparł w staraniach o członkostwa Towarzystwa uzyskanie, choć obiekcje z jego strony każdy pojąłby i wybaczył. Wreszcie, na długość jeograficzną dość niefortunnie się zapatrywał – metoda lunarna powszechnym poważaniem się nie cieszyła, w rzeczy samej mordęgę zbytnią często jej wypominano i to nie tylko wśród podchorążych marynarki, co jej tajniki opanować próbowali.

Maskelyne bawił się myślą, iż z urzędu objęciem, do inwestytury dojdzie czy rytuału wtajemniczenia, okazji, by w strój stosowny się przyodziać. Począł zatem, rzecz jasna z powściągliwością i smakiem, szaty swe uroczyście rozrysowywać, na ubiorach doktorów z Cambridge się wzorując – róż na karminie, aksamitny biret czarny, wstążki, kołnierz z futra, rękawy do ziemi, całość symbolami zodiaku obszyta, złotą nicią przyblakłą haftowanymi. Aliści komu ów koncept przedstawić? Podobna, iż Towarzystwo nieprzychylnie się odniesie, a król obrazi. I kiedy takie szaty wkładać? Być może święto nowe stworzyć się uda? Dzień Gwiazd, noc raczej – nikt się spać nie kładzie, jakiegokolwiek źródła światła sztuczne wzbronione, potrawy w półmroku mylone, kochankowie potrącani i cudo jakoweś, Plejady, dajmy na to, wschodzi.

A król wręcza mu z pompą przyrząd od czasów astrologów przechowywany – przyrząd, astrolabium, coś, co mocą obdarza – Maskelyne przysięgnie sekretu nie zdradzić i rzecz jasna z rozumą daru używać będzie...

Mason niemal za dwu starych wiarusów ma ich parę – dwa przejścia Wenus spodem przeżyli, historię z chronometrem Harrisona, bitwy pieniężne i słowne, jedne wygrane, inne przegrane – weteranami są znużonymi kampanii, w których także udział brała owa przyjacielska tyka fasoli, imć Dixon, co bał się w głębi ducha tego, czym zajmować im się wszystkim przyszło, jakoby z rozkazu gwiazd, które za byty myślące brał z wolna (– Znam to – Maskelyne skwitował. – Urok bez wątpienia. Nie wiedzieć czemu, dysydenci osobliwie nań czuli), Dixon, który na zawroty głowy cierpiał, gdy zbyt długo w okular się wpatrywał, którego trzeci wymiar lękiem napawał tak wielkim, iż ucieczką się salwował, ku Ziemi raczej niżli ogniu, za nic przyznać nie chcąc, iż mu co dolega, z obliczem niczym strumień w sierpniu przejrzystym, bez śladu jakiegokolwiek skazy – lecz kto mu tam w duszy czytać umiał? Cóż się u brzegów owego potoku czaić mogło, o grzbiecie mułem niespiesznie obmywanym, nieruchome i nakrapiane?

Jeśli o Maskelyne'a chodzi, Mason wie jeno, jak Astronomowi Królewskiemu dokuczyć.

– Maskelynie, tym razem wyjechać nie mogę. – Atoli, jakoby pewności nie mając, na ile poważne są Nevila zamiary, by ton błagalny na nim wymusić, wstrzymać się od dodania nie może: – Jeśli waść, rzecz jasna, obiekcji nie czynisz.

Sługa nadworny jest zaskoczony.

– Znowuż się mię wyrzekasz. – Nie tak to ująć pragnął. Z wolna, niczym przy rumieńcu, czoło jego chmurą zachodzi. – Krew mię czasem zalewa, Masonie.

– Wiem, wiem. A może tak *café au lait* nową? Naści, buteczkę lukrowaną, pychota.

– Cóż, a gdybyś do Szkocji jeno na rekonesans pojechał? Sposobności wybadał, zdał nam relację.

– „Nam”?

– Na miłość boską, Dixona byś po drodze odwiedził.

¹ Johann Tobias Mayer (1723–1762), astronom szwajcarski; Mason ulepszał jego tablice od 1756 roku; ostatnia ulepszona wersja jego autorstwa ukazała się w roku 1774.

- Przyzwolenie tve zatem na to otrzymam?
- Masonie...
- Pół gwinei *per diem*.
- *Per diem*? Wszak ludziom twego stanu jedno honorarium się wypłaca.
- I wydatki codzienne.
- Pomyśl, znów wśród gór wysokich pobędziesz.
- Błagam, o górach nie wspominaj, Maskelynie. Ehm... To jest...
- „Mask” zatem, mów mi „Mask” – rzeczce Nevil filuternym tonem.

75

„Na prośbę Maskelyne’a na północ się udaję, górę o ciężkości zdatnej wyszukać, której wpływ na tyle wyraźnie pion odchyli, by bez kłopotu błąd mógł być zmierzony – choć, doświadczenia A.K. z pionami pod rozwagę biorąc, o pomyślność owego zamierzenia się łąkam.

Z ustaleniami atlasu imć Diceya¹ starannie się zapoznawszy, zmiarkowałem, iż niemożnością jest do Szkocji podróżowanie tak, by stron waćpana twych rodzinnych nie przecinać. Z tych miar, wielce byłbym zobowiązany, gdybyś mi na nocleg jeden jako wyś zajazd polecił, a co za tym idzie, zgodę wyraził na złożenie ci wizyty krótkiej.

Nadzieję żywię, iż podagra cię srożej nie dręczy. Ja miewam się dobrze – cieleśnie przynajmniej. Dolegliwości me liczne wywodzą się z krainy mrocznej i odległej, którą z większą czcią zwykliśmy nazywać.

Cztery lata minęły, kompanie od lunety. Oby zbyt długą przerwa ta się nie okazała – ni zbyt krótką”.

Na co respons przyszedł: „W okolicy Głowa Królowej w Bishop najlepsza, aliści, jako iż dom mój stamtąd o rzut kamieniem, nalegałbym, byś pustce jednego z mych pokoi zaradził. Poza tym, mimo iż w zajeździe karmią nadzwyczaj wybornie, wymaga się tam, by do stołu na czas zasiadać, co dla ciebie nakazem mogłoby być uciążliwym.

Obaczysz nad rzeką, iż karp ludzi unika, jelec zaś tłusty jest i powolny, lecz obie te ryby na głowę bije.

Jeremiasz, sługa twój uniżony”.

Mason Dixona przygnębionym zastaje, od śmierci matki w styczniu w smutku jest pogrążony. Choć czasu stało wreszcie towarzystwem jej się nacieszyć, nieraz obojgu bliskość ta się przykrzyła i kłótnie wszczynali.

- Pójść był winieneś, gdy się sposobność nadarzyła. Jerku, tyś nigdy nie był do kopalni stworzony ni ona dla ciebie, i to ci powiem, Ojciec oczekiwań złudnych wobec ciebie nie miał.

- Do zwierzeń podobnych zaprawdę przednia pora.

- Dziekiem byleś. Nie wieszli, iż w dziecka niewinność się wierzy?

- Zatem Tatko – drażył Dixon – ładu doszedł. Z imć Byrdem.

- Bóg raczy wiedzieć, Jerku.

- Jakże mógł się Byrdowi odplacić, tego nie pojmuję.

Dixon przy Masonie zadumany siedzi. Odpowiedź na to pytanie i Mason znać byłby skory, wszak własną tajemnicę życie jego skrywa. Czym młynarz z Wherr miałby się za względy odwdzięczyć przyszłemu naczelnikowi kompanijnemu? Chlebem?

¹ Cluer Dicey, kartograf osiemnastowieczny.

- Może węglem? – kompanowi poddaje.
- Pens od tuzina buszli? W końcu by się zebrało. Lecz ta ilość ogromna...
- Szkło wytapiał? Żelazo? Widać ciepłotę wysoką utrzymywać wciąż musiał.

Mason ukontentowanie chwilowe znajduje, w Wesołym Gwarku siedząc, wśród Geordie hulających. Choć milczy, przyjemnie zadomowiony się tu czuje, a w miękkiej szarości otaczającego go dymu co jakiś czas przebłyski wspomnień dnia minionego się pojawiają – zastoje przejrzyste, piasek na dnie, pokrzywy i wierzbówka, odbłask Słońca nagły, gdy karp największy, jakiego na oczy widział, ledwie parę cali od jego stóp brzuchem łysnął – a przynajmniej tak legenda głosić będzie. Rybę tę, Zmyslnym Bobem zwaną, z długowieczności znaną, ponoć jeszcze Rzymianie złowić próbowali, gdy niegdyś obozem pod Binchester stali.

- Gdyś zamarł, jakoby cię torpeda ugodziła – Dixon po karpia ucieczce rzecze – porażenia się lękając, z podejściem zwlekałem, aliści karpiowi wreszcie do woli przypatrzeć się mogłem i wrażenie odniosłem, iż nie wiedzieć czemu, do gustu mu przypadłeś, przyjacielu. Do mnie los nie uśmiechnął się tak nigdy, nie znam też nikogo, kto bliżej był od ciebie. „Carpe carpum” Rzymianie okoliczni niegdyś mawiali – „Chwytaj karpia”.

- Przyznaję, zbytnio zwlekałem. Lecz sam pomyśl, gdyby to obcy Boba złowił, jaka by sromota twych ziomeków spotkała. A i pierwsza ma zdobycz z tej rzeki by to była. Wierz mi, przyjacielu, dobrze się stało. – Mason w Dixonie jakowąś kruchość odkrywa, światło delikatniej się na jego skórze załamuje, z łagodnością większą się zatem z nim obchodzi. Żadnego dziecka jeszcze podobną troską nie otoczył.

- Jelcom tutejszym przyglądaj się też bacznie, od kleni bowiem nie do odróżnienia, a dzień i noc mocować się w sile.

- Z przeproszeniem, na płetwy zerknąć starczy.

- Obawiam się, iż nie w tej rzece. Nadto zapewneś w Gloucester przynęty chlebowe stosował, lecz klenie z Wear na podobne przysmaki niełase.

- Cóż zatem? Jakowyś żuk rzadki, jak mniemam?

- Wołowina niedosmażona raczej skutkuje. Dzikie to rybska, krwi łaknące.

Choć obaj w wysiłkach nie ustają, rozmowa wciąż na przejścia osobne schodzi.

- Maskelyne mię tam trzymał – Mason powiada. – Dzień za dniem, nic prócz niepogody. Dość obserwacji dłań dokonać nie byłem w stanie. Po dzień sądu siedzieć bym chyba musiał. Do Anglii na statku mięsny mię sprowadził...

W ładowni setki tusz jagnięcych leżały. Niegdyś jak nic na dłużej w przygnębienie wpadłby, teraz niewygodę z pokorą przyjął, jako przejaw losu kolejny coraz bardziej gorzkiego. Co mu zesłał, przetrwać musiał – choć może już nie „po prostu” – a jakimi sposobami, tego nikt nie wie. Grudzień się zbliżał, morze burzyło, tusze o grodzie z hukiem obijające spać Masonowi nie pozwalały i irytacja w nim wzbierała. W końcu, w środku nocy, gdy gazy gniewu czop mentalny w jego głowie wybiły, z krzykiem ku drzwiom ładowni pognał, by luk otwarłszy, do środka się wedrzeć. Wnet się pod ostrzał jagnięcy dostał, na balu umarłych ofiara niebaczna, gdzie truchła blade tańczą, jeno nieco od niej większe, a zimne, jak zimne jest morze, leżące, co wielce pomocnie przypominał właśnie sobie, tuż za owymi wręgami, które w mroku giną. Łup! Jedna z tusz, gdy statkiem rzuciło, ku bakburcie ruszywszy, tłuszczem owczym zionąc, nieomal Masona w zadek trafiła, do piruetu na jednej nodze go zmuszając, podczas gdy sztorm na zewnątrz nie słabnął. Ubaw po pachy. A zamierzał przecie, jak na flegmatyka prawdziwego przystało, ów taran natrętny jeno w czeluści odnaleźć – większej ich liczby przed-

stawić sobie nie mógł – i unieruchomić, wierząc widocznie, iż wybór lin i haków w ładowni go czeka.

Głupiec. Oto wśród wysłanników się znalazł wszystkich tych owiec, o których źle się był wyrażał, na łaskę ich i niełaskę zdany. – Wszak martwe są – uspokoić się starał. Zgoda, lecz nie tylko martwe. Czymś więcej niżli jeno trupami były w swym upokorzeniu bezcelowym, w swej porażce zbytcej – ze skóry obdarte, o pyskach okaleczonych obijaniem się miarowym o inne sztuki ostatniego ze stad, do jakich przynależć im przyszło, w ślizgu swym rozpędzone, Masonowi zagrażały. W pewnej chwili przysiąc mógłby, iż z własnej woli się poruszały, a nie kolebaniem statku powodowane – z figurami wymyślnymi, tancerzom podobne.

– Mam nadzieję, iż zabawy wam nie przerywam! – wrzasnął, zgniecenia, niczym ziarnko w młynie, czekając. Marny był jego widok. Gdziekolwiek by stopę postawił, ślizgał się, gdyż tony tłuszczu niezliczone każdy skrawek pokładu dawno tarcia pozabawiły. Zjawisko to wnet Masonowi na myśl przywiodło ruchów płynność, którą w próżni u ciał niebieskich był uważał, jeno owej ciszy cudownej brakło...

– I jakżeś się wy dostał, przyjacielu? – Dixon pyta.

– Ach, sama woń owcza życia pozabawić by mię snadnie mogła. Na jej skrzydłach w mgnienu oka do Kapsztadu powróciłem. Złość się we mnie ozwała, iż ze wszystkich miejsc na Ziemi to miasto przekłete tuż przed śmiercią wspominać ma być mi dane. Czyściec byłby niebo lepszy, stwierdziłem, a może i Piekło nawet. Szczęściem, grupa marynarzy, co nie wiedzieć czemu, ni w kojach nie leżeli, ni warty nie pełnili – w rzeczy samej miny mieli nad wyraz tajemnicze – z opresji owczej mię wyratowała. Co dziwne, na twarzach ich uśmieški gościły, po części mą osobą wywołane. – I jak tam jest w środku? – jeden z wybawców spytał, z tikiem w oku, który na lądzie za mrugnięcie kpiarskie wziąłbym. Nie „jak było”, co także kuriozalnie by brzmiało, o nie, tych właśnie słów użył...

– Cóż, Masonie, doprawdy, chyba pojmujesz? Wszak to marynarze byli, nieprawdaż? Może to na statkach mięsnych dość pospolite? Coś, czego z wybicciem północy żeglarz z fokmasztu wyglądać może, coś, co posepność bezlitosną jego dnia ubarwi...

– Co? Chyba nie... Ach, Dixonie.

Geordie ramionami ściska.

– Jeśli trzeźwy był i czujny, czy mu tam jakie niebezpieczeństwo groziło? Nie wiem – ten pęd, masa, tarcia ni trochę. Nadto kompanów towarzystwo. Sama radość.

– A potem w porcie – Mason ciągnie szorstkim tonem – w Preston, bowiem kapitan oświadczył, iż do Liverpoolu zawinąć się „nie ośmieli”, tłumy ogromne na nadbrzeżu czekały – poniekąd niektórzy z tych ludzi całkiem modnie odziani, w perukach wymyślnych *et cetera*, kręcili się, krzyczeli, ogień pod składy podkładali, a od czasu do czasu i pod siebie samych. Zamieszki to były z cenami żywności związane, które, jak mniemałem, apogeum osiągnęły już, gdy rok wcześniej do Irlandii wypływał, lecz jak się okazało, nie zelały wcale i do dumnego Preston dotarły. Co z resztą Anglii? Co się z Ojcem dzieje? Czy młyna aby mu nie spalili? Nikt się nie zjawił, by mię powitać. Słońce smugami się po pokładzie ścieliło, cienie głębsze niżli w południe malując. Tłuszcz, mimo iż wielu w tłumie głód skurczył i osłabił, na statek się wdarła, siły z rozżalenia straszliwego czerpiąc, i tusze jagnięce w wodę ciskać poczęła (upokorzeń ich kres nie nadszedł widać jeszcze) – pożywienia się pozbywając, które do domu zabrać by mogli. Szaleństwo hałaśliwe, łomot krwiożerczy. Nikt z nas na zewnątrz wyjść nie był skory. Póki niebezpieczeństwo nie minęło, kapitan w swej kajucie schronienia mi udzielił, w międzyczasie rozmową mię zabawiając, przy czym nadzwyczaj często baraninę

wspominał, o której wiele miał do powiedzenia, a którą... dziwnie ciepłym uczuciem darzył.

– Nic dziwnego, skoro pieczę nad ładownią roztaczał...

– Hm, nigdy mi to do głowy nie przyszło. Za późno już, by jakiegokolwiek kroki poczynić.

– Szkoda, przynajmniej byś się zabawił nieco.

– Ha! Z czego wniosek płynie, iż wszystko, co do rozrywek zaliczam, nieuchronnie ku smutnemu końcowi zmierza.

– Nie tylko dla ciebie – Dixon wtrąca, udając, iż w ogień bacznie się wpatruje – lecz i wszystkich nieszczęśników, co się w twym otoczeniu znajdują.

– Dałem ci do wiwatu – Mason powiada i przez krótką chwilę dłoń na ramieniu kompana trzyma.

– Och – Dixon głową kiwa, wzroku druha unikając. – Cóż, raz na wozie, raz pod wozem... Francuzi bardziej mi za skórę zaleźli. Potem pięć lat komarów rzecz jasna...

Jakiś czas astronomowie w milczeniu siedzą i gdyby nie wstyd, serdecznie by się uściskali.

– Cóż, na monotonię skarżyć się nie mogłeś. Ja z Przylądka Północnego skonfundowany wracałem, życząc sobie jeno, by mil coraz więcej plecy me od Hammerfest¹ dzieliło. Aż do Londynu panika mię nie opuściła. Nadzieję jeno miałem, iż głowa mi szwankuje, gdyż z belkami powały zbyt często się spotykała w tej szopie dla karłów, którą Marynarka szumnie obserwatorium astronomicznym zowie. Miło by mi było widzieć się z tobą po powrocie, wrażeniami z podróży podzielić, lecz Maskelyne jak zwykle w paradę wchodził, ty zaś jeszcze w Ulsterze bawiłeś. Bayley² sam na Przylądek popłynął, ja w Hammerfest na wyspie ostałem, jakieś siedemdziesiąt mil w dół wybrzeża. Ziemia tam tak zamarznięta była, iż tydzień kopanie dołka zajęło, by słup wbić i zegar nań umieścić. Potem przez tydzień śnieżyło nieprzerwanie, a nieraz grad i nawałnice się zdarzały. Tuż przed przejściem mgła dni parę wisiała, czasem doprawdy tęga nad wyraz. Gdy po raz pierwszy rankiem planetę ujrzałem, w połowie już się ukazała. Dziesięć minut później przez chwilkę się zdawało, iż za obłoczkiem lekkim na tarczy Słońca widnieje, aliści ni promyczka nie uświadczyłem. Sześć godzin minęło i znowuż to samo. Gdy Wenus zmiarkowałem, już z tarczy schodziła, wewnętrzną krawędź minąwszy dawno, a ledwie okiem rzuciłem, chmury ją przesłoniły. Później zaćmienie uważałem, a nazajutrz inklinację magnetyczną wymierzyłem. Oto kraj świata wtóry podziwiać mi przyszło – pode mną klif monumentalny i stromy, przede mną przestwór Oceanu Arktycznego, widnokrąg dziwnie bliższy, niżliby wypadało. To właśnie wśród tej geometrii krańcowej wizytę mi złożył – Mason, jak się zdaje, aluzji Dixona nie odczytuje – a następnie dalej na północ zabrano.

– Ach. – Czy Dixon błyskowi w jego oczach dał pozór? – To jest, jak daleko?

– Godzin parę, dni parę... Znienacka przede mną się pojawił. Bardzo duże oczy, zaiste, duże. Pojęcia nie miałem kto, a z nich, ilu, w tym miejscu nieprzyjaznym mieszkać by mogło. „Chodź ze mną” – powiedział.

– „Dobry człowieku, za kilka godzin mój statek odpływa” – odparłem, do roboty papierkowej wracając. „Emerald kapitana Douglasa. Wiatr się nie zerwie, póki nie

¹ Port norweski na wyspie Kvåløya, najbardziej wysunięte na północ miasto w Europie.

² William Bayly v. Bayley (1737–1810), astronom angielski.

wrócimy”. Wzrok podniosłem. Stał tam, stał naprawdę. Nie dość długo jeszcze na wyspie przebywałem, by omamom północnym się poddać. Przez chwilę mniemałem, iż to Stig, cień Stiga – pomnisz naszego drwala tajemniczego, co tak okrutnie za północą tęsknił. Atoli oczy te zbyt dziwne były nawet jak na Szweda. Ni twarzy tej, ni głosu nie rozpoznawałem. W dół zszedłszy, na krę przybrzeżną weszliśmy, a z niej na dalsze, aż w ciągłą równinę lodową przeszły. Po ruchach nieznanego wnosząc, i on był tam gościem. Z tobołu swego sprytnie pomyślane, składane sanki wyjął, ze skóry karibu na ramę z kości wielorybich naciągniętej, zaś z dziwacznej szkatułki czarnej instrument z drutów dobył, skręconych misternie, zawieszeniem kardanowym mocowany. Przyrząd ten z przodu pojazdu umieścił i do wsiadania mię ponaglił. Ledwie to uczynił, gdy sanki zawirowały – pojąłem, człowiekiem igły wszak będąc, iż teraz północny biegun magnetyczny skazują – i rwać po lodzie poczęły, coraz chyżej, z gwizdem narastającym. „Mości panie – zawołałbym, gdybym tchu mógł nabrać – nie tak daleko”, choć naprawdę „nie tak szybko” krzyknąć chciałem. Mknęliśmy tak na północ przy świetle dziennym ciąglým. W owych szerokościach od połowy maja aż po koniec lipca Słońce nie zachodzi. Zjawy, widma czy koszmary tameczne z ciemności nocy nie są zrodzone. Biegun, jak się okazało, celem naszym nie był, wisił jeno przed nami w przestworze pustym, albowiem, co wkrótce uważać mogłem, na czubku świata, gdzieś za stopniem osiemdziesiątym, płaz Ziemi zwiąc się raptownie poczyna, próżnię ogromną wkoło bieguna ostawiając. – Mason rozgląda się tymczasem w krępacji, czegoś do palenia bądź zjedzenia szukając. – Podle owej struminy właśnie droga nasza wiodła, z początku delikatnie, potem coraz gwałtowniej, w dół i w dół, aż w końcu, krągłość skraju pokonawszy, a zatem przez wielki portal północny, do wnętrza planety naszej wjechaliśmy. – Uśmiecha się wyzywająco, acz czekając cierpliwie.

Mason nie przerywa w swe usta wciskać tart, herbatników i babeczek różnorażkowych, przez Meg Bland¹ mu podsuwanych, udając, iż z grzeczności milczy, by z pełną buzią głosu nie zabierać.

Dixon ciągnie opowieść wesoło.

– Parliśmy naprzód, wciąż w dół, w półmroku, równina biała w tundrę przeszła, ciśnienie wokół z wolna rosło. Wkrótce dźwięk każdy podźwięk zyskał, jakoby echem złożonym wzbudzony. Biegun był już daleko w tyle, my zaś mil setki pod płazem Ziemi, strony jej wewnętrznej zgrabnie się trzymając, choć niczym gacki w dzwonnicy wisieliśmy.

Interior tej krainy mało kto badał. Ci, co rezolucję wzięli, by go przemierzyć, raczej na zdzierzeniu podróży się skupiali, a drogi ucieczki wcześniej tu powstały. Bóg tego ludu, podobnie jak irokeski, za horyzontem ichnim mieszka, północnym lub też południowym, z których każdy elipsą przyćmioną, niczym okienko na stryszku krągłe. Oświetlenie krągłości skraju od położenia Słońca zależy, relief z łańcuchów górskich i wież pociągnięć krótkich to głębiej traci, to znowuż zyskuje. Tysiące mieszkańców pierścienia bez końca się przezeń przelewa, miasta długie pasmami domów krzywiznę otulają, woda wodospadami niepospolicie wysokimi długie godziny bez przeszkód spływa, by w końcu do przepastnego jeziora trafić, które, choć do góry nogami leży, do dna swego dzięki sile ciężenia i sile odśrodkowej ściśle przylega. Z czeluści tysiące mil sobie liczącej, co pod głowami ich się rozwiera, pływacy nic nie robią sobie. Gdziekolwiek się stoi, gdy wzrok unieść, ziemia i woda pną się ku górze, coraz wyżej, wyżej, aż w chmurach giną. W szerszym znaczeniu zatem podróż jaka-

¹ Blżej nieokreślona kobieta, której Dixon zapisał w testamencie swój majątek.

kolwiek przez tę *Terra Concava*¹ wspinaczką jest ciągłą, a co za tym idzie, tu, po stronie wypukłej, gdziekolwiek by się ruszyć, po zboczu się schodzi.

Na miejscu, szacunek i życzliwość Anglikowi okazując, do miejscowej Akademii Umiejętności go poprowadzono, by członków tego zaszczytnego towarzystwa poznać.

– Nie wasze oblicza tego powodem – rzekł Dixon – lecz wszyscy coś znajomego w sobie macie. Tam na górze wiele opowieści się słyszy o gnomach czy elfach, ludziach niewielkich, pod ziemią żyjących i mocami obdarzonych, które nam nadprzyrodzone się jawią. Naród ten do granic naszego świata ścieżki przekopał, podle strumieni do osad człowieczych dotarł i nieraz na wrzosowiskach nas szpieguje, gdy światło gorsze na omamy zezwala. Czy to stąd właśnie ludek ten przybył?

– My nim jesteśmy – jeden z uczonych powiada, kapeluszem w ukłonie posadzkę zamiatając. Pozostali w eszelonie w jego ślady idą, aż z rond ich nakryć głowy szereg schludny powstaje, w którym kapelusz każdy nieco na drugi nachodzi.

– Do usług, mości panie.

– Depesze przez nas słane kompasami odbieracie. Tak zwana zmiana długookresowa deklinacji magnetycznej to nic innego, jak echa stłumione naszych zatrudnień codziennych, a życie tu tak od namiętności kipi, iż w oczach waszych toczymy je raczej, niżli więdziemy. Pojęliśmy, jak moce telluryczne sobie podporządkować, z których wam, nie wiedzieć czemu, jeno magnetyzm jest znany.

– Są i inne? – Mason się ożywia.

– Tak twierdził, a wszystkie nadzwyczaj wydajne, „cudowne”, jak byśmy tam w dole powiedzieli, choć tu u nas może nie tak bardzo. Twoja wyprawa do Szkocji bacznie będzie uważana, Masonie, tyle że od spodu. „Gdy tylko paralaksę słoneczną się pozna – rzekli – wszelkie stopnie nieodzowne odnotuje, a rozmiary, ciężar i kształt Ziemi na dobre ustali, nasza kraina zniknie, nowej szukać nam przyjdzie” – aliści nikt słów tych znaczenia wyjaśnić się nie kwapił. „Może niektórzy z nas po waszej stronie żyć spróbują. Pewności nie mam, czy każdemu do zmiany przywyknąć się uda. Tu zewsząd nas Ziemia chroni i o miejsce trudno, skąd skrawek nieba uważać podobna. W głowę zachodzę, ilu z nas zniesie żywot tak odsłonięty, ów mrok zewnętrzny zdzierzy niezmierny? Te światełka straszliwe, duże i małe? Na dodatek, gdziekolwiek by tam stanąć, dzięki wypukłości każdy odrobinę od drugiego jest odchylony i całym sobą w próżnię bezkresną celuje, czemu większość z was rzadko choć myśl jedną poświęca. Tu, we wklęsłości, osie nasze się przeplatają, zmuszeni jesteśmy zatem najmniej przytomność innych uznać, co manierami od waszych odmiennymi owocuje”. Spoglądaliśmy też przez teleskop kuriozalnej budowy, setkami jardów zwierciadeł srebrnych zewsząd otoczony, do perfekcji ubitych i wypolerowanych, których wykonanie, jak mię zapewniono, niejednego rzemieślnika w obłęd wpędziło. Zwierciadła te niczym zagle były rozpostarte, by najmniejszy promyk słońca wychwycić, a obrazy tą metodą zebrane ku głównemu zestawieniu soczewek przekazać. Przyrzędem tym każdy punkt na wklęsłości uważać się dało, nawet miejsca o tysiące mil oddalone, na przeciwnym jej skraju leżące. Choć światło, co przez oba otwory polarne wpada, natężenie swe z wędrowską orbitalną Ziemi zmieniało, zawsze marne było, a i rozproszone, stąd oczy wielkie mieszkańców podziemi i ich skóra biała, zaś jadłem pospolitym grzyby z korzonkami, prócz tej zieleniny, co na ziemiach bardziej płodnych wyhodować umieli, tuż za granicami swego świata. Niestety, podróż powrotna do wnętrza z plonami zebranymi, z racji watah uzbrojonych piratów jarzynowych, w różnorakie niebezpieczeństwa obfitowała. Owoce tam rzad-

¹ Łac.: ziemia wydrążona.

kie, liście niemal czarne. Winorośle, ech – Dixon głową kręci – tak skromne, jak to tylko przedstawić sobie podobna.

– Chybaś się Człkiem Grona nie stał, Dixonie?

– Ta podagra przekłeta. Już wino lepsze.

Mason wzdycha ponuro.

– Zatem piekła nie ma?

– W każdym razie nie we wnętrzu Ziemi.

– Ni żadnego... Złem Głównodowodzącemu?

– Jakiemuś oficjelowi mię przedstawiono – komu, rzecz mi nie sposób. Gawędziliśmy, inni nadeszli. Poprosili, bym na tyle się obnażył, na ile mi to ujmy nie przynieś – buty zdjąłem jeno, w kapeluszu ostając. Chodzili później wkoło, czasem palcem mię dźgając. Nic nadto natarczywego.

– Nic – Mason wtrącić musi – czegoś z pamięci swej nie wymazał.

– W oczy i uszy zaglądali, do ust także. Zważyli. Naradzali się chwilę. „Czyś pewien jest waćpan – dygnitarz spytał – iż wszystko na to tu ciało postawić pragniesz? Tudzież na płonach codziennych sensorium swego polegać bezradnie? Zważywszy, iż oba z czasem osłabną, jedno zdrowie, drugie różnorodność utraci i coraz mniejszym zaufaniem darzyć je będzie można, aż na koniec bez pochyby w proch się rozpadną?”. Hm. I cóż byś im odrzekł, przyjacielu?

– A zatem, czyś...

– Kwestii tej już nie poruszono. Tym razem w kilka minut ledwie, jak się zdało, do obserwatorium powróciłem i natychmiast po Biblię sięgnąłem. Otworzyłem ją na ślepo – na Księgę Hioba padło, rozdział dwudziesty szósty, wiersz piąty po siódmy. „Rzeczy martwe spod wód powstają i z mieszkańców tamtejszych. / Piekło przed nim nagie, a zniszczenie osłony nie ma. / Nad miejscem próżnym na północ się rozciąga i na pustce zwiesza Ziemię¹”.

Na progu, gdy konie już go czekają, Mason dłoń przyjaciela chwytą.

– Czy powtórzymy rychło spotkanie, jeśli nie zglądzą mię tam i nie zjedzą?

– Miejmy nadzieję, iż się społem zestarzejemy. – Dixon poddaje i w oczy sobie patrzą, po raz pierwszy odkąd się poznali chyba.

– W przyszłe lato... Musisz się w Sapperton zatrzymać.

– Dalekie podróże mi wzbронione – Dixon powiada, aliści wnet dłoń na ramieniu kompana opiera, by ten, jak to ma w zwyczaju, do serca nic sobie nie wziął. – Żałuję, iż tak się teraz sprawy mają.

Mason nie wzdryga się, czego się dla Dixona był nauczył.

– Ha, może i strata niewielka. Dzięki tym sukiennikom przebrzydłym, nikt gwarantować dziś nie może, co, jeśli coś w ogóle, korytem Frome spływa. – O niemocy ni słowem nie wspomina, miarkując, iż ta więcej Jeremiasza kosztuje, niżli pogody ducha mu staje. – Młyny, niech je piekło pochłonie... Kiedykolwiek zapragniesz, spotkać się będę skory. – Ku paskom instrumenta mocującym się zwraca, na oczu i nosa sygnały nie bacząc. – Proszę, dbaj o siebie, przyjacielu.

¹ Przekład tłumacza; cytaty z biblii polskich nie oddają sensu tekstu angielskiego (Biblia Wujka: „Oto olbrzymi wzdychają nad wodami / I ci, którzy mieszkają z nimi. / Naga jest otchłań przed nim / I nie masz zasłony dla zatracenia”).

– W sierpniu roku 1773 także doktor Johnson z Boswellem, który mu za giermka służył, podobnie jak Mason Szkocję przemierzali, na swą słynną wyprawę na Hebrydy się udając¹.

– Wiem, do czego zmierzasz – Ives prycha. – Bardziej podobne, iż się o setki mil minęli.

A może (Wielebny domysły snuje) na granicy, w jakowejś karczmie ordynarnej, cała trójka się nieco zawahała przed uczynieniem pierwszego kroku w nieznaną dziczy celtycką? Przy stole siedzieli, piwo popijając, w mgłę za szybami okien wpatrzeni – czterdzieści pięć lat Mason sobie liczył, Johnson dziewiętnaście lat był starszy.

– Jawisz mi się, waść, człkiem poważnym i młodym, z melodią w mowie znad Tamizy, jeśli się nie mylę.

– Raz w Mitrze obaczyć waćpana przyjemność już miałem.

– Towarzystwo Królewskie?

– Wahanie w głosie waćpana poddaje, iż trafnie waść wnosisz – mało to podobne, choć nieraz z jego członkami spotykać się musiałem.

– Waść jesteś ten astronom, jak to mu było...

– Mason – Boswell podrzuca.

– W rzeczy samej. Za pamięć dziękuję, choć tym razem nie gwiazdy, lecz kwestie grawitacji mię tu przywiodły. – Wykłada im, jak to góry w Szkocji szukać będzie, która większość założeń Maskelyne'a zadowolić winna.

– No, no – oblicze Boswella się rozchmurza. – Wszak Astronom Królewski to Clive'a szwagier. Czyżby Pan Indii górę kupić zamierzał?

– Dobry Boże! Maskelyne, co potajemnie gruntami kupczy? Koncept takowy nigdy mi do głowy nie przyszedł.

– Zatem nie jesteś waść tak zepsuty, jak to waćpan trzymasz, najmniej, jeśli marszczkom na czole waćpana wierzyć – doktor Johnson oświadcza nieco obcesowo. – Taka niewinność względna przed Bogiem aktywem, lecz w życiu świeckim do pasywów należy. Obyś waść zawsze te dwie odmiany rozróżniał. Ach, i coś jeszcze...

– Słucham.

– Strzeż się waść.

– Czego?

– Uwagi, jaką na swej osobie skupisz, jeśli o koligacjach twego pryncypała zbyt wielu ludzi w Szkocji się dowie – Boswell, sam z Szkocji rodem, dopowiada.

– Na mapie, którą posiadam – Johnson dodaje – prócz wzniesień zaprawdę trudno cokolwiek zmiarkować. Zbadanie ich wszystkich zatrudnieniem bez końca, a każdy Szkot, co na twej drodze stanie, najmniej jedną z gór sobie znanych wcisnąć ci spróbuje. Ludzie to krzepcy, przebiegły, zahartowani. Niech cię egzotyka w żadnej formie nie zwiedzie – kilty, dudy i tym podobne. Haggis. Powiadam ci, czuwaj bezustannie.

Imć Boswell wyrafinowany ukłon składa, ze wzrokiem cały ten czas w jeden punkt wbitym.

Za oknami, we mgle, co się przez grzbiety górskie przelewa, tamtejsze doliny wąskie sobą wypełniając, gdzieś tam za kolejną linią kraj nowy czeka, w mroku, w odosobnieniu, surowy i jałowy, a w nim naród, który za życia Masona po koronę sięgnął, lecz go kulami zniewolono, za morze wywieziono tłumnie.

¹ Relacja Boswella z tej wyprawy ukazała się drukiem w 1785 roku.

– Przedstawiam sobie, iż niektórzy tam nadal odrobinę... rozżaleni?

Doktor parska.

– Wściekli, oto jakiego słowa waść szukasz. W nienawiści nieubłaganej gwałtownie zapamiętali. Duch roku czterdziestego piątego wciąż te strony nawiedza, wszechobecny jest, okaleczony okropnie, galony pewnej cieczy szkarłatnej obnosi. Czy nie pojmujesz? Dla tego ludu wielce to typowe.

– Mnie ma na myśli – imć Boswell wdycha. Kość z talerza podnosi i machać nią poczyną. – Niedługo anegdotami o kanibalach sypnie. Nie przegap, waść, bardziej zabawne, niżli się zdaje. Wrogość od urodzenia żywiona wreszcie zeń wychodzi. Na najdalszą wyspę Hebrydów udać się zamierza, by wieki ciemne w pełnej krasie obaczyć.

– Ludzie prości, narzędziami pierwiastkowymi się posługujący, w wierze swej szczerzy – Mason się ożywia. – Ach, oto czas odrodzony.

– Fascynująca owa ludzi nauki wiara, iż strumień czasu tym łatwiej transcendować podobna, im mil więcej od Londynu nas dzieli.

– Wszak towarzysz nasz – Boswell woła – tego właśnie dokonał. W Ameryce. Sam się go spytaj, Samuelu.

Mason zerka z wyrzutem i głową kręci.

– Przekraczałem ci ja progi, rzeki czy granice, lecz czasu, z przeproszeniem, nigdy.

– Dzicy amerykańscy – doktor watek zmienia – jakimż to mocami są obdarzeni i jak z nich korzystają?

Mniema chyba, iż tu, na kraju świata, zwierzyć się sobie mogą z rzeczy, o których słowem w Londynie by nie wspomnieli, Boswell tymczasem każdą wypowiedź jego zapisuje.

Pytanie tak nagłe Masonowi na myśl przywodzi siebie samego, gdy przed lat tużin do Uczzonego Psa Angielskiego się zwracał. Kąciki ust astronoma ku górze się zakrzywiają, nieomal coś na kształt linii poziomej tworząc.

– Żałuję – powiada, tęsknotę rosnącą czując – iż mego druha Dixona tu dziś z nami nie ma, magia bowiem namiętnością jego była, we wszystkich swych przejawach, dla nas niewidocznych. Elikiry, uroki na odległość, deszczu wywoływanie – jak nic ów Mandeville Mohawków by waćpanów oświecił. Ja sam niewiele ponad to poświadczyć mogę, iż dzicy ci kopców olbrzymich strzegą, przez jakowąś rasę inną ponoć wzniesionych. Nic w nich prócz rozmiarów zachwycających dostrzec nie umiałem, choć Dixon zarzekał się, iż inskrypcje tajemne miarkuje, warstwowość celową i wysłanników działanie, których po dziś dzień potęga nieznaną nasyła. Nadzieję żywiłem wówczas ostatni kopiec oglądać, lecz otom znowuż na pastwę żywiołów wystawiony, by kolejny okaz przeklęty odnaleźć. Bieda, chyba takie emploi teraz moje, wybrańcy na stolcach tam jeno mię posyłają, gdzie na wielką skalę geometrię uprawiać mogę. Góra, której szukać poczną, niczym pryzmat foremna być musi, jakoby moce pradawne, nasze przewyższające, z zamysłem ją niegdyś stworzyły. Przewyższające na tyle, by przypuszczać było podobna, iż mimo wszystko, Bóg (czymkolwiek by był) epoki naszej rozpaczliwej jeszcze nie opuścił.

– Częstość jego objawień ci nie w smak? – Johnson czoło marszczy. – Strzeż się waść swej kapryśności, gdyż ani się obejrzysz, a jako wszechobecny pył magiczny przedstawiać Go będziesz sobie, zaś pogląd swój deizmem może obwołasz.

– Mniemasz, waść, iż w Ameryce harując, się nie rozglądałem? Kopce, jaskinie, znaki na nieboskłonie... Jedno by starczyło, byś w zadumę popadł. Nawet, w ostateczności, warzywa gigantyczne. Zbawienia w przerośnięciu szukanie, jakże żałosne, lecz

cóż z tego, na nadmiar dumy nie narzekam. Dynia wielgachna przy drodze? Naści, wszystko przyjmę.

– Ja bym się duchem z Cock Lane zadowolili – Johnson rzecze.

– Zadowolili? – Mason powtarza, a oczy mu zbyt błyszczą. – Los w tej kwestii nie był dla waćpana łaskawy.

– Daj pozór, Boswellu, ile tu, mimo szaleństwa, grzeczności. Dziękuję waćpanu. A może Jego Świątobliwości?

– O mnie mowa? – Gada, jakoby za wariata brany być pragnął, by do owego grona elitarnego dołączyć, równie elitarnego, co Towarzystwo Królewskie, w którym go także na członka nie chciano.

– Miałem niegdyś swego Boswella – Mason Boswellowi powiada. – Ja i Dixon wspólnego Boswella mieliśmy. Był to niejaki Cherrycoke, kaznodzieja. Tak jak ty, waćpanie, zapisywał wszystko. Czyś sam – dłonią elipsy kreśli – kiedykolwiek... Czyś miał kiedy waść własnego? Jeśli spytać mogę.

– Własnego kogo?

– Hm... Boswella, waćpanie, zupełnie własnego. Cóż, wołać go tak, samemu Boswellem będąc, trudno by było, lecz pojmujesz waść, kogoś na kształt cienia, co zawsze ci towarzyszy i każdą uwagę, co z ust twych pada, skrzętnie notuje. Inaczej, słowa te na wieki by przepadły, przez wiatr zapomnienia czym prędzej porwane. Pomyśl waść – zamasztyłem ruchem południe skazuje. – Gdy cała Anglia oświecona o tej porze się zbiera – luby szynkarki, fircyk obrażony, moczymorda ukontentowany, szlachcic, co przy stoliku zielonym życie trawi – ileż wyrażen zgrabnych, powstawszy, w powietrzu się rozplywa, przez szparę drzwiach w ciszę letniego wieczoru ulatuje? Wszystkie te głosy... Czemuż by tak nie wyłapać kilku czasem z miriad ku próżni niepamięci pędzących?

3

Schiehallion, góra, którą dla Maskelyne'a znajdzie, foremnością swą dzieła przyrodzenia przewyższać będzie, a zatem na myśl Silbury Hill przywodzić i inne ziemne budowle starożytne. Lecz gdy Mason ponownej podróży odmówi, to Maskelyne badania tam przeprowadzi, to on laury wszelakie zań zbierze i serca Szkotów przy okazji podbije, zaś czyni jego, w balladzie opisane, wkrótce do legendy przejdą wraz z szatą czarnoksiężnika godną, którą to ponoć, w Perthshire bawiąc, wkładał. Strój jest to po prawdzie do pracy wkładany, o kracie przez samego uczonego obmyślanej.

– Od podstaw – Nevil klaruje – by żadnego z klanów nie obrazić¹.

– Lub wszystkie – Mun prędko dopowiada.

Mason do monotonii Sapperton powróci, z redukcji dla almanachu Maskelyne'a rachowanych i prac przypadkowych dla Towarzystwa dochód łątać – dziatwy co nie-miara, za domem obserwatorium schludne, w całej Golden Valley czarodzieja reno-ma, ucznia czarodzieja, co niegdyś wspiął się wysoko, aż na owo wzniesienie w Green-wich tajemnicze, gdzie z potęgą prawdziwą ma się do czynienia – człeka, który świat wzdłuż i szerzej opłynął, lecz w końcu z Parnasu do pospólstwa powrócił. Krępacji wreszcie wyzbyci, Charliem wołać go będą. Oto kolejny dziwak małomiasteczkowy, na powrót w tkaninę miejscową wpleciony, co na tyłach jednego z długich, cots-woldzkich² domów pracownię swą zapewne był urządził, za pokoi szeregim, z dala od drogi, bliżej pół falistych pochyłości górującej.

¹ Patrz przypis w rozdziale 31.

² Cotswolds – pasmo malowniczych wzgórz otaczających Golden Valley.

Zatem, gdy znów się spotykają, to w Bishop, a uważacz postronny deteriorację przykrą by wnet zmiarkował, jaka od roku ubiegłego w obu zaszła. Chód u Dixona coraz bardziej kaleki i gałki oczne żółcią nabiegły, Mason zaś z wolna w smutku się zanurza, w melancholii pomału wycofuje i na to jeno uporę mu staje, by ku światłu poranka co rano się zwracać.

Niechęć wobec zmian w astronomie rośnie, czy to w ciele własnym, czy w Ameryce odległej, co niczym pustynia nomadzie, za dom przez kilka lat mu służyła, a teraz w zawierusze jest pogrążona. O mieście nocnym śnić począł ostatnio, gdzie wśród pomników kamiennych wędrując, od gwałtowności bezlitosnej stosunków człowieczych wythnienia szuka.

O Stonehenge śni, bez Rebeki i Księżyca. Sensu w monolitach doszukać się nie może – rzeźbami nie są ni inskrypcji nie mają. Budowniczo wie nieznani nie dbali o to wcale, co się z owymi biedakami stanie, którzy wśród głazów schronienia szukać będą, z ich nieprzystępności bezdusznej korzystając. Skądkolwiek by się twórcy kręgu wywodzili, teraz są niewidzialni, a wraz z nimi kroniki ich i zamierzenia wszelakie, jakiegokolwiek by one były. Odeszli, bez potrzeby świadków żyjących ostawienia.

Jeden sen z pamięci by może wymazał, harmidrem dnia kolejnego wspomagany, lecz ten powraca, a raczej Mason do niego – miasto wciąż to samo, anarchia mroczna jednak – za każdym razem w środek wydarzeń nowych wpada, gdyż podczas nieprzytomności jego czas tu dalej płynie. Pierwej raz na dwa tygodnie sen ten go natchodzi, lecz po roku nocy nie ma, by wizyty tu nie składał. Co gorsza, nie zawsze w Morfeusza objęciach... Pod gołym niebem wbrew swej woli, w mieście w chaosie pogrążonym, gdzie światła skąpe, przyjaciela nie zawsze od wroga odróżnić podobna, a *faux pas* po pensie od buszła rozdadają. W miejscu, w którym w każdej chwili, pogwizdując wesoło, z ciemności okolicznych Śmierć wyłonić się może, refleksje jakiegokolwiek grzechem niewybaczalnym.

– Ach witaj, Śmierci, cóż tam wygwizdujesz?

– To? Z Dittersa von Dittersdorf fragmencik. Nic, co byś poznał. Jeszcze nie powstało. Pewności nawet nie mam, czy prawykonania dożyjesz. Dać znać może, gdy sprawdzę, co w mym diariuszu stoi?

– Nie kłopotz się, doprawdy, pośpiechu nie ma.

– Łajdaku słodki. – Śmierć dłoń wyciąga, by w policzek go szczypnąć...

Czasem Mason przed następnym epizodem oczy otwiera, innym razem, czy budzi się, czy sen śni nowy, palce kościste, asymptocie podobne, nadal się zbliżają.

„Nad rzeką milczą – Wielebny zapisał, na źródło nieznane się powołując – lecz gdy ryb nie łowią, rozmowy wartkie do późnych godzin nocnych się przeciągają. Po prawdzie, nawet w wodzie konwersują zawsze. Dla historii ich cisza miarą jest zdatną”.

Pewnego dnia Mason Dixona zastaje nad stosami wiśni i węgla drzewnego.

– Naści – tamten do skosztowania zachęca.

– Z przeproszeniem, czyżby te wiktuały, w których „w” pierwsze stoi, chorym na podagrę ulgę przynosiły?

– O tak. W Gloucestershire o tym nie słyszano?

– Wołowina?

– W wywarze osobliwie.

– Wątróbka? Wieprzowina? Winogrona?
– Przebóg, za rozrywek pełną słabość mą mają ci, którzy nigdy nań nie cierpieli.
– Ach, Dixonie. Urazić nie chciałem... – Na każdym kroku sposobność się teraz czai, by któryś z dwójki dotknięty się poczuł. – O, poduszka twa, proszę. Czy pomóc mogę?

– *Primo!* Stopy... nie tykaj... pod żadnym pozorem. Dziękuję. Bezceremonialnie nieco, wybaczyć, przyjacielu, lecz czy niczym karty nie znam jej teraz? Gdzie doliny bólu najmniejszego leżą, a gdzie szczyty jego, co omijają trzeba. Ruch każdy jakby wyprawę przekłętą planować muszę. Meg Bland, nie obraż się, osobą jest jedyną, której zbyt blisko swej stopy choćby dychać pozwolę.

– W czepku urodzona – wspomniana wtrąca.

W drzwiach stoi – piękność smukła, wysoka, rudowłosa, jedna z tych, której ni chwila przez palce nie przecieka. Iż o ślubie zapomnieć musi, dawno pojęła, w rzeczy samej kwestii tej poruszać już nieskora. Mawiał: „Tuż przed wyjazdem do Ameryki się pobierzemy”, a także: „Żoną mą będziesz, na pokład statku wchodząc”. Marzył, iż wiele osiągnie w krainie tej baśniowej. Czas pewien potakiwała, pozwoliwszy sobie przygód i bogactwa przyszłego wizjami się cieszyć, lecz wkrótce, co wcześniej u swej matki uważała, pewnoś śmierci nadejścia złudzeń ją pozbawiła, owa myśl przez mężczyzn jak najdłużej od siebie odsuwana. Zmiarkowała, iż Dixon tak właśnie postępuje, mapami się otaczając, dbając o nie przygarbiony, z czułością, podobnie jak ona o niego dbała. Małżeństwo, nie małżeństwo, gdzie różnica leży?

– Kocham ją – Dixon druhowi się zwierza. – Głośno to powtarzam... Aliści, w głębi ducha, myślę, oto ma ostatnia, ma... Jak to ująć...

– Dobre ma serce – Mason rzece – to widzieć musisz.

– Co dzień wiśnie mi znosi. Na to. – Paluch skazuje. Głową kręci, w zakłopotaniu się śmieje, na kompana zerka i spojrzenie jego chwyta. – Te dziewczynki to moje.

Mason uśmiecha się, co rzadko teraz czyni.

– Cóż. No, no. Zaiste.

Przez chwilę jeno w milczeniu głowami kiwają.

– Jak nic w ich twarzach już prawdy się dopatrzyłeś. U Mary... U Elizabeth także.

– Ach, teraz pojmuję. Lecz, przynasz, mimo to piękne to młode damy.

– Chłopcy twoi, toż to już niemal ludzie dorośli!

– Owszem. A i ożeniłem się powtórnie. Na śmierć wspomnieć zapomniałem. Tak. Potem Charles Junior na świat przyszedł, a w dwa tygodnie później mój Ojciec się ożenił. Obaj za żony Marie pojęliśmy. Do gustu by ci przypadły, osobliwie moja.

– Młoda wiekiem?

– Zadziwiająca. Jak wy to, ludzie...

– Geordie talenta tajemne posiadają. Wiem też, iż ci wielkiej liczby dzieci potrzeba, co most nad otchłanią stworzą, byś w niebo nie wpadł.

– Rzecz dziwna, mały Charlie to ojciec mój wykapywał. Chłopcy w Rebece się wdali, lecz ten berbec... Ciarki mię przechodzą, gdy podobieństwo miarkują. Zdaje mi się, iż lada chwila krzyczeń na mnie pocznie – po prawdzie tak też czasem czyni. Rzecz jasna sens tych wrzasków do mnie nie dociera, lecz i mego ojca nie zawsze pojmuję.

– Cóż, wszystko raczej po staremu zatem...

– Co rano w młynie się stawiam i jeden bochen mi daje. „Chleba naszego powszedniego daję wam dzisiaj” – za każdym razem. Wielce to go bawi. Ile nienawiści wzbudzić mogę w sobie wobec kogoś, kto synka mego przypomina?

- Czyżby rozczarowanie przez ciebie, przyjacielu, przemawiało?
- Po miłości nieodwzajemnionej druga rzecz najgorsza – nienawiść, której w pełni rozwinąć nie sposób.
- Aliści, czyż błogosławieństwem to nie jest? Te miesiące, lata nieraz zniecka darowane...
- Ach, lata z metryki mi odjęło. A tuż po żniwach nowego się spodziewamy. Lecz skąd pewność brać? Może dzieci ścierpieć nie mogę.
- Me życzenie wielu radości puść tedy mimo uszu. Czy nie winienes w Sapperton być, przy swej Mary?
- Matka nad nią czuwa. Obie kontente, iżem daleko.

Obaj przy palenisku u Dixona drzemią. Fajki, w ustach wiszące, wygasły dawno. W miejscach opuszczonych troska wezbrała, wylała się z nich i pod miasteczko podszła. Bóg wiedzieć raczy, co się po drugiej stronie kryje, co zerka. W Głowie Królowej w najlepsze dokazują, lecz tu na Bondgate na razie cegły ciche.

Przyjaciele o sobie śnią nawzajem. Mason w Londynie obu ich widzi, na jakowymś zgromadzeniu ogromnym, ponoć, choć nie do końca, Towarzystwa Królewskiego. Od wielu dni już na scenie nagrody uroczyście wręczają, zaś poniżej morze głów nieprzerwanie faluje. Jest tu Bradley, żyw i zdrów, którego Mason odnaleźć pragnie, by go towarzyszowi swemu nareszcie przedstawić, lecz każdy człek napotkany dystrakcją jest nową i w końcu nawet Dixona z oczu gubi...

W śnie Dixona także scena się pojawia, lecz to on z Masonem nań występują. Kto ich uważa, zmiarkować niepodobna, gdyż spektatorzy w światłach rampy giną. Obaj jeometry mają na sobie stroje niedrogie acz z tkaniny mocnej, a w tle orkiestra kameralna im przygrywa. Do kilku przytupów prostych śpiewają.

*Uciechy było co niemiara,
Tak im minęło wiele lat.
[Dixon] Jeden z węglowych szybów rodem,
[Mason] Drugi z stolicą za pan brat.
[Społem] W głuszy nieboskłon uważali,
Nieraz w zdziwienie któryś wpadł,
Lecz obaj rzec nie byli w stanie,
Kto fałsz, kto kłamstwo w uszy im kładł.
[M] A niech mię, czy to... [D] Skąd, Masonie.
[M] Wybacz. Co teraz śpiewać mam?
[Społem] Szybki jak nóż w portowym mroku,
Taki jest żywot dany nam.*

*[M] Wpierz do Kapsztadu los nas zagnał,
[D] Potem nad Schuylkill obcy brzeg,
[Społem] A choć Ohio nie przeszliśmy,
Cuda znaczyły czasu bieg –
Grotty tajemne! Katarakty!
Jarzyny wielkie niczym gmach!
Drzewa strzeliste! Góry dzikie!
Spektra na niebie, że aż strach! –
[M] A niech mię, czy to... [D] Nie, nie sądzę.
[M] Kto rzekł tę bzdurę? [D] To nie ja!*

*Miejsce to cudne, przestwór wkoło,
Kto może w mrok przed siebie gna.*

Dixon na moment oczy otwiera.

– Psiamać, oby tylko zmartwychwstanie cielesne. Nic dodać, nic ująć.

Ostatnia wyprawa, jak Dixon trzyma. Nieco więcej złota do sakiewki się dorzuci i Ameryka otworem wreszcie przed nim stanie. Z Waszyngtonem się spotka, Shelby, Franklinem i resztą kamratów, a na zachodzie siedzibę swą wymarzoną odnajdzie.

Wie, gdzie węgla szukać, ołowiu, żelaza, a jeśli ziemia złoto kryje, i tę tajemnicę snadnie jej wydrze. Nie w tym sekret, iż różdżkę się uprzednio wydrąży, a w środku drobiny tego kruszcu umieszcza, który znaleźć się nie pragnie, lecz przede wszystkim w tym, iż w rękach ją dzierżąc, na wagę tak przydaną ma się baczenie. Niechaj George całe Cockfield sobie przywłaszczy – w Ameryce złoża obfite, życia nie starczy, by je opróżnić, a zatem, z punktu widzenia śmiertelnika, złoża owe zaiste są niewyczerpane.

Gdy w końcu na stałe wyjechać może, Mary Hunter Dixon zaniemaga i w styczniu roku 1773 na łono Abrahama się przenosi. Ameryka, gdzie rebelia wrze coraz silniej, na koniec listy zamierzeń powraca. W Anglii popyt na węgiel wzrasta nieprzerwanie, a jako iż nic na zmiany w tym względzie nie skazuje, Dixon powodów nie ma, by pewny zarobek porzucać dla niepewności dziczy za oceanem czekającej.

Wieści doń docierają, iż Shelby na kresach walczy, zaś McCleanowie wszyscy w milicji wirgińskiej służą. Tymczasem Dixon park i włości zamku biskupiego w Bishop Auckland wymierza, a rok później w Lanchester wygon cały – dość, jak na jego gust, dziki, choć wrzosowisko niegrodzone paniki niezgrabnej przy alidadzie już w nim nie budzi. Zdaje się, iż bestie tamtejsze, co go za młodu gnębiły, opieką go otoczyły lub najmniej tolerują. Kulki chlebowe, którymi błędy w szkicu poprawia, w kieszeni chowa, by ptakom ołów szkody nie przyniósł. Od czasu do czasu, nie do końca w żartach, linał dobywszy, odległość mierzy między czubkiem swego nosa a papieru płazem, co to maleje bezustannie, ta bowiem, jak jeometryzy zwykli mawiać, o tym świadczy, jak kto długo fachem tym się para – gdy nos karty tknie wreszcie, pora najwyższa wnuki bawić.

Nadal wyjazd do Ameryki przekłada, majakiem żyjąc, który zbratać z Masonem mu się nie pozwala. Dni mijają, lecz wciąż myśl tę od siebie odpędza, iż oto życie własne go dogoniło, a i śmierć być może za rogiem się czai. Ameryka nigdy kształtów realniejszych nie przybierze niżli ta w garstce wspomnień zaklęta, które przyjąć musi, choć marne, by na zawsze jej nie stracić...

– Pewność miałem, iż to tam mi żyć pisane. Zdziwiłbym się, wiedząc, iż się w domatora przemienię, iż do tego, od czego w końcu nie uciekłem wcale, wrócę. Po prawdzie, nie Meg czy dziewczynkę to zasługa, z nas dwu tyś jeno powinnością kierowany. Łajdak był ze mnie na wdzięki niewieście łasy. A mimo to ostawić ich znów nie umiałem. I tyle.

– Dom opuścić, z wodami oceanów się zmierzyć, z ludźmi nauki pierwszej wody przestawać, by pod koniec do punktu wyjścia powrócić, złamanym, zużyтым...

– Marzenie niczyje.

– Żołnierzem być zawsze ci się uśmiechało, Dixonie, lecz czy nie miarkujesz, wszystkie wyprawy nasze, na zachód i z powrotem, czy przejścia oba ni mniej, ni więcej jak kampaniami były, równie jeometrycznymi, co natarcie kawalerii pruskiej,

choć sztandaru, pod którym służyliśmy, nie poznaliśmy nigdy. Co zaś się twej postawy za liniami wroga tyczy...

- Tak?

- ...nazwisko twe jak nic w pochwałach rozkazu dziennego mogło być wspomniane.

- W to mi graj!

- Cała nadzieja nasza w tym, jak mniemam, iż tak naprawdę do domu nie wróciliśmy wcale. Miejsce to nie tym jest, czym się zdaje. Tak, w tym nadzieja, jeśli jeno liczyć można na ową powrotu zupełnego niemożebność, którą i w reszcie Stworzenia zmiarkować podobna...

- Hm, ja zaś nadzieję żywię, iż to nie jedyna nasza nadzieja.

Przy świetle miesięcznym w wodach Wear na poczwaraki łowili, na trocie licząc, lecz bez powodzenia. Teraz, na brzegu siadłszy, fajki popalają, długie, z morskiej pianki, o cybuchach wygiętych niczym wędki, a kłóć się przy tym zajadle o owe ryby, które mimo zabiegów im się wymknęły. Dixon, w oczach Masona do pouczeń zbyt nio skory, założył chyba, iż Charles nigdy troci nie widział, gdy przecie, choć nieco wydumane to może, raz czy dwa czuł je przynętę skubiące.

- Wprawdzie karpion w przebiegłości ustępują – Dixon rzecze – lecz pomnij, dumy ryb tych granic nie zna i są rzeczy, których trochę po prostu nie czyni. Dajmy na to, czasu swego tracić nie będzie na owada, co zbyt żwawo nurt rzeczny przemierza, gdyby bowiem, zamierzwszy się, pochwyć go nie zdołała, tedy sromotę straszliwą na siebie by ściągnęła.

- Którą kto uświadczy? Żaby? Perkozy? Czyżbyś kwestię tę na osobności z trociami poruszał, nie raz, nie dwa?

- Znam je. W myślach im czytam. Stąd wiem właśnie, iż własną dumę na bok odstawić należy i przynętą słabość miarkować, konfuzję, utrudzenie.

Wtem uszu ich odgłos kroków żwawych dochodzi i po chwili terier norfolksi o obliczu pamiętnym, w wężeniu zapamiętały, oczom ich się ukazuje.

- Rany boskie! Toż to ten! – Mason szepcze.

- Nie może być. Ile to lat? Piętnaście? Szesnaście? A ten tu ledwie ze szczeniaka wyrósł.

- Lecz zważ, jak łebek przechyla... Kieł co do sekundy łuku. Podejdz no, mały, lękać się nie ma czego.

Pies, jakoby narzucać się nie chciał, czeka, ogonem merdając.

- Jak Boga kocham, kropka w kropkę... Hm. Może on od tych wagabundów, co ostatnio w Królowej stali i chyłkiem się po nocy wynieśli? Może ci go ostawili?

Mason woła:

- Nikt cię przymuszać do mówienia za wieczerzę nie będzie!

- Zgadza się. Pójdź z nami, a i miska strawy się znajdzie.

Czworonóg do domu Dixona im towarzyszy, gdzie udowadnia, iż ni wybredny, ni łapczywy nie jest, a z miejscowymi psami się zaznajomiwszy, nocować po posiłku reżolucję bierze.

- Zadomowiony się zdaje – Mason nazajutrz powiada.

- Skąd. Na miłą widać, iż o ciebie mu idzie.

- To pies miejski. Z tobą zamieszkać woli, niżli do dalekiego Sapperton się telepać.

- Głupstwa gadasz. Wszak zwierz rwie się do drogi, rad od karczmy do karczmy znowuż podróżować.

- Skromny zakład, nic więcej.

- A jeszcześmy się z tej wielkiej gonitwy nie rozliczyli między Selimem a Yori-
ckiem, w Chester Town, lat temu dziesięć.

- Doprawdy? Który wygrał? Na którego stawiałem?

Pies, jak długo sił mu staje, rozmowy tej słucha, podnosi się, przeciąga i truchci-
kiem wychodzi, by wszelakie zakamarki Bishop poznać. Dopiero w porze wieczery
powraca.

- Kogóż tu mamy? - Meg ku przybyszowi się schyla. - Tych twoich, Jerku, sma-
żenin amerykańskich z mąki kukurydzianej mu narobiłam, do ryby. Jak mu na imię
damy?

- Kiel - Mason rzuca.

- Uczony - Dixon poddaje.

Aliści czworonóg koncepty te płazem puszcza, jakoby imię jego prawdziwe zgad-
nąć winni. Każdego dnia, przy pogodzie zdatnej, nad rzeką bawi i jeometrów obu
z wędkami uważa. Głosu nie zabiera, ba, raz jeden jeno warczy - gdy Lud Oafery, my-
ślałby kto, niepozorny jegomość w średnim wieku, spośród wierzb się wynurzywszy,
w nurty Wear susa daje niczym zszupak, co w ławicę jelców jak strzała się wdziera,
ryby wszystkie do ucieczki w panice zmusić usiłując.

- W mych stronach świętokradztwo - Mason pod nosem mamrocze.

- Ach, niewinna rozrywka, gdy się wreszcie z podziemi wynurzy. Do skoku zawsze
gotów, starczy klenia rzucić.

Im mniej dni do wyjazdu, tym, co Dixon miarkuje, Mason psim milczeniem coraz
srożej zaniepokojony.

- Cóż czynić? Przymusić? Zawstydzić?

- Nie sądzę.

Pies, jak to ma w zwyczaju, wesół rozmowie się przysłuchuje.

- Atoli spodziewać można by się było, iż jak na fachmana przystało, choć...

- Dałbyś pokój, Masonie.

- Dobrze, już dobrze... Wybacz, przyjacielu.

Tuż przed świtem, w śnie o Ameryce pogrążony, której kart nie uswiadczysz i in-
ne nosi miano, Mason nos chłodny u swego ucha czuje.

- Gdy się ockniesz - szept młody słyszy, o wymowie południowej - od dawna już
gościńcem darlingtonskim spieszył będę. Psem Brytyjskim jestem, co ni do was, ni
do nikogo nie należy. Spotkajcie się znowuż, a i ja przybędę.

Wstają wczesnie. Pies znikł. I Dixona nos odwiedził.

- Czyśmy obaj o tej samej wizycie śnili?

- Ja nie spałem.

- Ni ja.

- Zatem w przyszłym roku spotkać się musimy, a i jego zarazem.

78

Późno już bardzo, w porządku wydarzeń świt następny stoi, świecom aż po lichta-
rze wypalić się pozwolono, nikt flaszki nowej od dłuższego czasu nie otworzył. Tene-
bra pod sofy chińskiej baldachimem zległa, zaś kuzyni jej, na krzesłach w pozach
niedbałych, sen odpędzają i słuchają nieprzerwanie. Spokój ten zagadka pewna na-
gle burzy, jakoby przez podmuch wichru gwałtownego przywiana, co sam okna rap-
townie otwiera.

– Czego do pełni pojąć nie mogę – Eufrenia się zwierza – to tego, iż Mason za ocean powrócił. Niespodziewanie. Jakoby tym razem rodziny porzucić nie mogąc, zaiste innego wyboru nie miał, jak wszystkich ni stąd, ni zowąd do Filadelfii powieźć. Cóż go tu tym razem sprowadziło?

– Lub też co z Gloucestershire go wyгнаło?

– Zaraza? Zawsze się jakaś trafiła. Duch Rebeki na sercu ciążyący? Wszak w Sapperton go widzieć chciała. Chyba że...

– W końcu, by wyjechał, życzyć sobie poczęła? Mimo świadomości, iż wówczas pochowani spolem nie będą... I jemu było to bez wątpienia wiadome. Atoli wciele-
nia jego nowego zdzierżyć nie potrafiąc, straszną się stała, od czego zawsze jeno cień ją dzielił. Lęk – postanowienie? O, nieszczęsny. Zebrał ich wszystkich całą swej wiary mocą...

– Wiary? Też mi coś. Szaleństwo to było.

– Szaleństwo, jak wnoszę, Ethelmerze, dobrze jest ci znane?

– Każdego sobotniego wieczoru wejść do szpitala można. Starczy dolara hiszpańskiego stróżowi wetknąć, a więcej rozrywki zapewni, niżli żebra zniosą. Głową ręcę.

– Co? Bedlam w Ameryce! Mieć się na bacności, młodzieńcze.

Gdy noc niepodzielnie za oknami króluje, a dziatwa z krainy rojeń powróćć już snadnie nie może, z wolna biedota indiańska pokój wypełniać poczyna, Irlandczycy zbiegli, służba czarnoskóra, marynarze chińscy i ci obłąkańcy, dla których miejsca w szpitalu nie stało – galeria filadelfijczyków niechcianych – jakoby coś na zewnątrz poza wiatrem lutym do szukania schronienia za wszelką cenę ich przymusiło. Blizny swe z sobą przynoszą, policzki ospowate, straty i brzemia, oczy gorączką trawione, dumę z przynależności stanu, co dopiero powstanie, którego kształtu znać nikomu z domowników nie jest dane. Lomax budzi się w potach z majaka zatrutego. Eufrenia w objęcia Morfeusza schodami tylnymi się wspięła, podobnie jak niegdysiejsza Ela Cherycoke frontowymi. Ethelmer i DePugh, Tenia i Bliźnięta, wszyscy oni w niewinności snu na powrót się zanurzili. Ives na północne zebranie swej koterii się udał, aliści imć LeSpark z Wielebnym siedzą twardo. Przybysze nowi dochodzą, świt się opóźnia.

*Niezbadane doprawdy Niebios wyroki –
Ból smutku prawdziwy był wszak i głęboki,
Mijały bez litości lata życia szybko,
A jeśli snem szaleńca jeno to wszystko?*

– Ki diabeł? – Lomax LeSpark, by lękać się srodze, zbytnio jest otumaniony.
– Znam ci ja ów głos...

– Jest w tym domu! – Brat jego, Wade, dziwuje się, w świetle ogarków niczym nie-
toperz ślepy. – A niech mię, jakżeż tego dokonał? W kajdanach ponoć gnije lub po
gościńcach włóczy.

– Napijże się, Tim – Wielebny powiada, najprzedniejszej szwagra madery mu po-
dając. – Sam zawsze początek Księgi Pierwszej lubiłem.

– Sługa uniżony. – Poeta w podziękowaniu głowę schyla. –

*Gdy Penn włości zyskał na delawarskiej niwie,
Patrzyli z ukrycia dzicy podejrzliwie,
Lecz tam, gdzie wcześniej jeno chaos królował,
Ład zaprowadziła jego mądra głowa.*

Po pokoju krążąc wśród obcych niezliczonych, *sotto voce* „Rzecz o Pensylwanii” recytuje.

- Wicksie, czy przed Bożym Narodzeniem wyjechać masz zamiar?
- Cóż rzec mogę? Jeśli taka gospodarza wola...
- To na myśli miałem, iż rad byłbym wielce, gdybyś mi za towarzysza i pośrednika służył, kiedy żonę Masona i dzieci jego odwiedzę, jeśli tylko nadal w Filadelfii bawią. Nie wiem jeno, jak czas po temu przed świętami znaleźć – ostatnio nawet przy urnyale budzik stawiać muszę.
- Rodzina jest tu nadal dzięki Towarzystwu Amerykańskiemu, które opieką ją otoczyło. Jak słyszałem, wdowa z drobiazgiem do Anglii wraca, zaś William i Doktor Isaac osiedlić się tu pragną.
- Tym bardziej poznać ich życzę sobie. Pomocą może służyć mógłbym.
- Bracie, wielkoduszność twa czasem mię zadziwia.
- Cóż, jakie miasto, taka dusza.

Do pokoi Masona w tawernie U Króla Jerzego wszedłszy, Franklin woń znajomą chwyta, której zastać by tu nie pragnął. Powstrzymuje się, by na zegarek nie zerknąć, wyrocznie swą i pocieszyciela zarazem. Z kąta niewidocznego głosy dzieciarni dochodzą. Mary przy oknie stoi ze wzrokiem w zaulek wbitym.

- Jakże rozpaczy pełna noc minioną była. Czy naprawdę waćpana widzieć pragnie, czy chorobą jeno kierowany, nie wiem. Śpi teraz, lecz śni i majaczy, spodziewam się zatem, iż wkrótce do nas wróci.

- List jego otrzymałem, lecz tyle trosk rok ten przyniósł. Wciąż tu na jednomyślności władzy zbywa. Dopiero teraz... Ech, biadolę, proszę pozorów nie dawać.

Małżonka Masona na kanapkę się osuwa, po to raczej stworzoną, by iluzję młodości karmić, niżli przy braku złudzeń pociechę dojrzałym przynosić. Zgiełk uliczny Second Street przez okna się wlewa.

- Pani wybaczy, iż z siadaniem zwlekam. Gdy lat się ma osiemdziesiąt, przygotowań to wymaga, a zatem me uczucia ciepłe przodem puścić muszę.

Mary na uśmiech się zdobywa z takim trudem, iż Franklin na własnej twarzy wysiłek ów czuje. Pochyliła się ku niewieście, na swej lasce wspierając.

- Spotkania nasze dawne na równie mroczne czasy przypadły. Pewnymi koncepcjami naukowymi grzeczniemy się wówczas wymienili. To ja wniosek wysunąłem, by go do Towarzystwa Amerykańskiego przyjęto, choć przecie jeno o Królewskim marzył. Tak bardzo pragnął, by go przyjęć do swego grona zechcieli. Nas miał za dziwaków zamorskich, pociesznych na swój sposób – rzecz jasna członkostwa nadaniem był wzruszony, lecz cóż, Filadelfia to nie Londyn.

- Na nagrobku Rebeki, za swym nazwiskiem, inicjały C.T.A. wyryć polecił, spore znaczenie zatem do tytułu tego przywiązywał¹. Spodziewam się, iż jesteś waść tym wszystkim zaskoczony. – Ręką krąg zatacza, niczym pani domu, ni to do rozgoszczenia się zachęcająca, ni to o wybaczenie prosząca. – Decyzję o wyjeździe z dnia na dzień podjęto.

Jednego dnia w domu przy stole siedzieli, za oknem owczarnie, swojskie drogi błotniste, murki kamienne, bochen stygł, półmiski nad blatem krążyły... A nazajutrz w jakowymś wozie przepastnym całą rodziną z łoskotem do Southampton jechali. Pieniądze, tyle długich lat oszczędzane...

¹ Na grobie Rebeki w Sapperton za nazwiskiem Masona widnieją wyłącznie inicjały A.R.S., czyli Associate of the Royal Society (współpracownik Towarzystwa Królewskiego).

– Lecz czemu?

– O to każdego dnia pytałam, póki świadomość nie przyszła, iż jeno gorzej się wówczas czuje. „Trzeba nam do Ameryki” – prócz tego mało co mawiał. Głosem swego ojca „Ameryka” powiedzieć potrafi. Brr. „Jeśli za morze, to tylko społem”. Czy z tych to miar, iż niegdyś Williama i Doka porzucił? Z miłą chęcią w Anglii bym z dziećmi ostała, lecz pojmujesz waść, w mym wieku wybór to okrutny. Z jednej strony, w każdym zakątku Sapperton czy Stroud – i Bisley, o tak, Bisley! – litości ochłapów wyszukiwanie. Z drugiej on sam, w szaleństwie coraz głębiej pogrążony, u jego boku na łasce Rady Długości życia. Miły Boże, cóż za alternatywa...

– Wszak Towarzystwo Królewskie, bez pochyby...

– Niestety. Co prawda, przyjaciół w nim posiada – wielebny Maskelyne zawsze serce mu okazywał i wspiera wiernie – aliści Charles jest przeświadczony, iż listy, które lata temu z Plymouth wysłał, na amen członków Towarzystwa doń zraziły. Zbyt wielu krytykę za złe mu miało, to, iż tak nisko w hierarchii będąc, plan nowy pod wagę poddać się ośmielił.

Domysły snuć jeno można, co się przez owych siedem lat działo, które to zgon Dixon od śmierci Masona dzieła. Nekrologi wspominają, iż astronom gasł długo, „przez wiele lat paroksyzmami melancholii dręczony”. Choroby jego nigdy bliżej nie określono. Zaiste, i na naszym świecie umrzeć ze smutku podobna.

Do swego ziemskiego ojca powrócił, aliści nigdy się nie pogodzili. W testamencie Charles zapisał jeno, iż synowi cały dług umarza, jaki ten każdego dnia zwiększał, bochen kolejny na swój stół zabierając. Mason ponownie się ożenił, synów pięciu i córkę spłodził, lecz pierwszej swej towarzyszkę na dobre nie pogrzebał, choć ona sama, zdałoby się, z ulgą wreszcie odetchnąć by mogła, a troski na bok odsunawszy, w dalszą ruszyć drogę, gdyż Smutasek jej do punktu wyjścia cało i zdrowy był dotarł. Wszak tak wędrowcy mistrzami się stają, a zmyślni mądrość głęboką zyskują – tak utwór muzyczny do swej tonacji pierwiastkowej powraca. Niczego nad kodę cichą nikt by od niego już nie wymagał.

Starania, by tablice odległości lunarnych Mayera do perfekcji doprowadzić, skutecznie od zerkania w niebo go odciągały – jakoby poniewczasie ojcu zadośćuczynić pragnął za to, iż wbrew jego woli w młodości ku gwiazdom się zwrócił. Nadal czasem sklepienie uważał, z dziećmi pospolicie, dla których uciechy okulary i pokręta nastawiał, lecz sam się z rzadka przymierzał, niepewnie, nieśmiało.

Gdy Rebeka w końcu w ciszę bez odwrotu odeszła, melancholia jego wyraźnie się pogłębiła. Jeśli w Sapperton odnaleźć ukochanej nie mógł, jeśli w milczeniu jej nie ukontentowanie, ale odrzucenie widział, może to go do powrotu do Ameryki skłoniło? Tak czy owak, w rozpacz popadł o sile Mary nieznaną, której powodów doszukać się nie była w stanie.

– Mnie miałam, iż choć trochę wiem, co gra mu w duszy. Dzieciarni wszędzie pełno, Charlie przygarbiony, całą noc nad swymi logarytmami ślęczący, z każdą pocztą atak żołądkowy nowy...

Dziesięć lat Doktor Isaac ojca miał był na co dzień, niemniej wciąż jeno na starszym bracie polegał, przyjąwszy, iż taki rzeczy jest porządek.

– Nigdy jej nie wspomina – Willy raz powiedział. – Ciotka Hester także po temu nieskora.

– To niesprawiedliwe. Winni są nam to. Myślałby kto, iż się jej wstydzą, czy co podobnego. Dziadek, gdy go zeżłoszczę, rzuca nieraz, iżem...

– Słyszałem. Grzeszy, oskarżenia ciskając.

– Rzekł mi, iż imię lekarza noszę, który jej życia nie uratował. Iż ojciec w ten sposób ukarać mię pragnął, taką nienawiścią do mnie zapalał. Niczym świnia na uchu, znak hańby nosić miałem.

– Dziadek głupcem jest marnym, goryczą przeżartym. Ojciec Newtona wielbi, to jego imię nosisz.

Jak to w zwyczaju mają, żaden wzroku brata nie unika. Dok, stanowczo, acz z drżeniem w głosie, nie ustępuje.

– Któż ci powiedział, iż to na cześć Newtona?

– Cioteczka Hettie.

– Przysięgnij, Will.

– Sam jej spytaj.

– Już pytałem. Jak zawsze pełna troski, odrzekła: „Może mi i ojciec co klarował, Bóg jeden wiedzieć raczy. Ten to coś zawsze mamrocze, kto by to wszystko spamiętać zdołał?”. A zatem, Willy, na twym słowie polegać muszę. I nadzieję mieć, iż z powagi swej przysięgi sprawę sobie zdajesz.

– Jakże, jakże mógłbym cię okłamać? To ja! Hej, hej! Pamiętasz? Z dwójki wyższy?

Niewiele myśląc, Dok ręce ku dłoni niewidzialnej wyciąga, miast niej na ramię brata natrafiając, którym zadowolić się musi.

Gdy wieści Masona dochodzą, iż Dixon nie żyje, przez resztę dnia się snuje, jakoby porażony.

– Wszak tego lata odwiedzić go miałem – bez końca powtarza. W końcu, by do Bishop się udać, rezolucję bierze.

– A ja z tobą – Doktor Isaac się oferuje.

– Chłopak na swój chleb pracuje – starszy Mason fuka. – To nie człek nauki. Zostawże go w pokoju.

– Tkacza na tydzień najmij, kręci się ich od groma. Każdą kwotę ci zwrócę, jaką na tym stracisz.

– Chyba w pyle gwiezdnym?

Przekleństwa za nimi ciska, gdy koni dosiadają. Wkrótce Mason z synem na Drogę Północną wyjeżdża, obaj opatuleni, by przed ziąbem się ustrzec, a przy każdej karczmie na popas przystają. Nie wiedzieć czemu, astronomowi oczu od Doka odebrać niepodobna. Przypomina sobie, iż młokos nigdy z dolin nosa nie wychynał, nawet w Oksfordzie jeszcze w życiu nie bawił¹. Tu, na gościńcu, już mu się dzieckiem nie jawi. Pierwej w Birmingham, potem w Yorku nocują, stołując się wśród woźniców, banitów i handlarzy.

Wieczorami, z synem w jednym łóżku leżąc, Mason odkrywa, iż wstrzymać się nie może, by przed snem o Dixonie opowieści nie snuć.

– Wciąż nowych przeżyć szukał, odczuć nowych. W Filadelfii butelką lejdejską Franklina był oczarowany, a także porażeniami jego niezliczonymi, do których to doktor przyznawał się wesoło.

...są tam kule szklane, izolatory porcelanowe, ognisko kowalskie w miniaturze, stacja magnetyzująca, szeregi zębatek z *lignum vitae*² tudzież machina o korbie pojętej, blaty ław zaś lampy i soczewki zaścieniają, alembiki, retorty, cewki i skraplacze. W kącie ciemnym wśród tej zbieraniny ich prowadzi, gdzie pojemnik stoi przysadzi-

¹ Oksford to pierwsze większe miasto na wschód od wzgórz Cotswolds.

² Twarde, gęste, oleiste drewno tropikalnego drzewa z gatunku *Guaiacum*.

sty, niegustownie rozdziawiony. – Oto laboratorium mego duma. Trzycalowe iskry popolicie daje. A gdy ich parę kaskadowo złączyć? Ho, ho. Nieraz na bruku się ocykałem koło otworu w murze wybitego, ciała mego kształtu i rozmiaru. Naści, starczy tę tu elektrodę jeno schwyćć...

Mason, rzecz jasna przerażony, chwytając niczego zamiaru nie mając, rejteruje, wymówkę w osobie Ingvarra znalazłszy, asystenta Franklina, gnomowi podobnego, aliści człeka tego uśmiech niepokojący i milczenie uporczywe tym owocują, iż Charles monolog jeno rozpaczliwy ciągnie. Dixon tymczasem ze skóry wychodzi, by wszystkie możebne aparaty pomacać, przez które fluid elektryczny przebiega.

– Aj, aj! Ha! Dalibóg, doskonały! O, a ten tam, z trzema sprężynami wielgachnymi?

– Ach, dwie końcówki do uszu się wkłada, o tak, a trzecią, rozdwojoną, do nozdrzy. Czekaj no... Już gotowe. Do dzieła!

– Mości panie! Mości panie! – Ingvarr ku nim dwom drepce.

– Nie teraz, nie teraz, Ingvarze. Chyba że z pomocą nam przyjść pragniesz... Co powiesz na małą iskier długości kalibrację?

– Nie! Błagam, mości panie!

– Siadaj. Toż to kilka palców u stóp jeno. Ech, jak widzę, nagniotkami te aż nadto pokryte, by napięciu elektrycznemu dać radę. Postaraj się min nie stroić, z łaski swojej.

– Łaskocze!

– Niech łaskocze, byleś nie wierzgał. Jeszcze dźwignię kopniesz, obwód zamkniesz i imć Dixon... Oj, Ingvarze! Dopiero co mówiłem!

Z trzaskiem wstążka harcapu jeometry pęka, z taką mocą włosy jego dęba stają, z których każdy linią prostą od głowy odchodzi. Coś na kształt uśmiechu wykrzywionego na twarzy się maluje, a z kącika ust strużka śliny ścieka. Gałki oczne w przeciwnych kierunkach wirują, na domiar złego i z chyżością różną. Ingvarra uwolniwszy, co czym prędzej czmycha, Franklin nareszcie obwód przerywa. Dixon z trudem do szeszlonga dociera.

– Waćpanie – w głosie doktora nuta niepokoju pobrzmiwa. – Ufam, iżem nadmiernego uszczerbku waści nie przyniosł.

– A gdybym tak miał srebra cynfolii użyć? – Dixon na wznak na kanapce leży.

– Ilu z tych butelek byłoby mi trzeba, by, hm, efekt podobny powtórzyć?

Nazajutrz przy śniadaniu Dok wiedzieć pragnie.

– Czy kiedykolwiek horoskop mu stawiałeś?

– Dość wcześnie, choć nie przyznałem się nigdy. Miesiąc w dniu narodzin jego w Wodniku bawił, Lew zaś, znak mu przez zodiak przypisany, Merkuriusza i Wenus wraz z Marssem w *stellium* gościł, co doprawdy błogosławieństwem, gdyż rzadko się zdarza. Mars z Słońcem w koniunkcji na dokładkę, choć oboje, niestety, do Saturna i Jowisza w czworograniu, co o tym świadczyło, iż głową zawsze na chleb zarabiać Dixon będzie. Cóż, tak też się stało... Aliści *vis martis*¹ dosyć, do wojaży osobliwie. Kto wie, może i w me gwiazdy potajemnie zaglądał? Dziwna rzecz, nieprawdaż, pewności nie posiadać? Wiedział wszak, jak mapy nieba sporządzać, efemerydy na dany rok w pamięci miał zapisane... Do kroćset, znał się na astronomii chłopak, choć czasem droczyłem się z nim o to. Ech... Zawieźć cię kiedy do niego sobie umyślałem.

– Rozmawialiście o mnie?

– O tobie, Williem, malcach. O pociechach naszych. Sam dwie miał dziewczynki, a raczej damy młode.

¹ Łac.: siła Marsa, siła walki.

– Ach. I nadzieję żywiłeś...
– Kto? Jakie? Gdzie? Z ciotką Hettie mię pomyliłeś czy inną wścibską intrygantką wiejską.
– Dwu synów – Dok klaruje – córek parka i ojciec, co, jak to ojcowie, dziadkiem ostać by pragnął.
– Pewien jesteś?
– W genealogii linia Masona i Dixona...
W przypląwie śmiałości spojrzenie zaczepne ojcu posyła, na które ów, o dziwo, bez grymasu odpowiada. Odtąd żaden więcej niżli musi nie powie – cisza po raz pierwszy w znaki im się nie daje. Tego właśnie Dixon mu zawsze życzył – by w milczeniu parł naprzód.

– Sądziłem – na gościńcu później Dok ojcu się zwierza – iż jeśli już w drogę ruszę, to sam i w inną stronę. Do Londynu.
– Tak, sam taki byłem. W twym wieku też do świata się rwałem.
– Dlaczegoż wróciłeś?
– Ciebie ostawiłem, Willa... i matkę waszą.
Dok spojrzenie mu rzuca pełne powagi.
– Ni słowem jej nie wspominasz. – Jenó stukot kopyt ciszę przerywa.
– Dwadzieścia lat minęło. Może już nie muszę.
– Lecz...

Mason udęczenie chłopca miarkuje, który czy zamilknąć, czy za wygraną nie dać, nie wie.

– Bez dwu zdań, mówić o niej winniśmy. Na wszelkie twe pytania odpowiedzieć spróbuję.

– Nie musisz od razu, czas mię nie goni.

Noc wkrótce zapadnie i na śnieżycę się zbiera. Austerii jak na razie ni widu, ni słyhu. W końcu, z dnia promieniami ostatnimi, na skrajcu Yorku opatrność dach nad głową im zsyła. Woń dymu drzewnego w nozdrza zachwyciwszy, z tłuszczu kuchennego nutą wyczuwalną, po tropie do karczmy docierają, której szyld Wesołe Duchy głosi. Jabłonie, zbyt blisko ścian posadzone, o tym świadczą, iż miejsce to nawiedzane, gdyż pniami od budynku uciekać się zdają, ile tylko korzenie przechyły zniosą.

– Czarno to widzę – Mason wzdycha.

– Cóż począć, na wyborze zbywa.

Gdy społem próg izby przekraczają, głosy milkną – nikt choćby ust otrzeć nie śmie. Jegomościę wokół stołu kies zebrani wzrok mniej lub bardziej nienawistny nań przenoszą. Z mroku szynkarz olbrzymi się wyłania, mizantropijnie usposobiony.

– Sala na dziś najęta, panowie.

Mason o zajazd najbliższy spytać pragnie, lecz Dok słowotokiem swym go uprzedza.

– Hejta, kumotrzy, Mason z Masonem się kłaniają. Konno gościńce robimy, a z Greenwich żeśmy rodem. Majka Fajka i Niedźwiedziownik wędrowny gadają, iż zorza czy do łoża, zimnica tu nie chwyca, jeśli się gawron jaki guzdrze nieco. Ach i pinty dla wszystkich, jeśli nam wolno.

– Nam? – Mason zdumiony pyta.

Szynkarz się wycofuje, piwo strugą leje, zebrani do spraw przerwanych wracają. Przybysze kąć cichy znajdują, gdzie zbirów dwu udawać im podobna, co spiski na tyle złowrogie knują, by każdy łukiem szerokim ich obchodził.

- To szajka - Dok wyjaśnia. - Łup dzisiejszy dzielą. Posiedzimy trochę, to i od-
dział nocny przyjdzie.

- Skąd ta wiedza rozległa?

- „Upiornego fircyka” czytuję. Co tydzień się teraz kajet ukazuje.

- Nie wiedziałem.

- Dylizans do Stroud je przywozi.

Przy stole opryszków konfuzja się rodzi.

- Co on gada? - gołowąs z Birmingham się dopytuje. - Czy to jakowaś stołeczna
gwara?

- Stul mor dę - z francuska mu radzą. - Na to, chłopie, jeszcześ za młody.

- Lecz co to znaczy? - młokos ciśnie.

- Mały, droga wolna. Kto pyta, nie błądzi.

Sztuka mięsa przy wieczerzy wyborną być się okazuje, zaś pokój przydzielony
najprzedniejszym w gospodzie.

- Gardła nam w łózkach poderzną - Mason poddaje.

- Oka nie zmrużymy.

Dok się nie myli. Rwetes na podwórku i od frontu nie ustaje. Aż do białej zorzy
krzykacze liczni uwagi poufne beztrudno wymieniają, poznanie których w najlep-
szym razie kalectwem grozi.

- Mniemałem - Mason się burzy - iż miejsce to nawiedzone, lecz jak się w tym
*tohuwabohu*¹ rozeznąć?

- Chyba że... - Dok przez okno wygląda.

Ryki słyhać, turkot, pogwizdywanie i przyspiewki prostackie, lecz żywej duszy
się nie uświadczy. Śnieg padać począł. Mason przy parapecie siada, by widm wyga-
danych ślady na puchu zmiarkować. Jakiś czas potem Dok cicho spyta, w krańcu
przeciwnym pokoju niewidoczny: - Jakżeście się poznali? Ile lat miałeś?

W Bishop mówią im, gdzie Dixona pochowano - w Staindrop, na tyłach zboru
kwakierskiego. Dok wiernie ojcu towarzyszy. Nad grobem, nieoznaczonym podle
kwakierskiego obyczaju, Mason do Boga z prośbą się zwraca, owego jakże mało zna-
nego mu Boga, by przyjacielowi w wędrówce dopomógł. Z trawy długiej, deszczem
niedawnym zroszonej, kot się niespodziewanie wyłania i długo obu przybyszy uwa-
ża, zaznajomionym z nimi się zdając.

- Tato? - Dok przysuwa się blisko i dłoń mu na ramieniu kładzie.

Przez chwilę, nieoczekiwanie, Mason owego chłopaczka widzi, co mu naprzeciw
zawsze wybiegał, by pewność zyskać, iż bestie z puszczy i sztormy, których był się
lękał, ojcu w powrocie nie przeszkodziły - owego malca, co całym sobą niósł pocie-
chę, lecz daru tego rodzic jego dostrzec nie umiał, a co dopiero się z nim pogodzić.
Żałością wówczas był zaślepiony, zgon, co po cudzie narodzin nastąpił, zamęt w je-
go sercu wywołał i dziecka choćby tknąć odmówił, mimo że w niczym nie zawini-
ło... Oto chłopiec, przed którym na kraj świata umknął, teraz oczy troski pełne weń
wbija.

- Ach, synu mój. - Mason milknie, głową kręcąc.

- To on - Doktor Isaac ojca zapewnia. - Tak się właśnie dzieje, gdy przyjaciel od-
chodzi.

¹ Hebr. dosł. bezkształtny i próżny; synonim chaosu; cytat z Księgi Rodzaju 1:2 (w Biblii Tysiąc-
lecia „bezład i pustkowienie”).

Choć z pozoru wśród ludzi na powrót się obraca, samotność coraz bardziej mu dośkwiera. Sąsiedzi bliżsi i dalsi, w tym tkalni właściciele, na których niegdyś nie spluwałyby nawet, narzędzia przeróżne do naprawy mu znoszą, wierząc, iż we wszystkich sztukach jest szkolony. Pracownia z wolna w skład się przeobraża wrzecion, cewiarek, miarek kotłowych, tłoków, czujników wątkowych i motowideł jedwabnych. Dym kuchenny przez izbę przepływa, woń lawendy i dzikiej róży, od pszczoł i os w powietrzu się roi, mury tu bowiem w prześwity bogate, przez które ogród słoneczny się wkrada. Mason przy stole sosnowym przesiaduje, nad lustrem dziwnym pochylony¹. Byty, co wizyty mu składają, imiona posiadają, tytuły, wyróżnienia. Nieraz swe przyjsie na liczbach opierają, liczb i liter łączeniach czy logarytmach, jakoby spośród znaków się wyłaniały...

Dochody swe w przeważającej mierze z pracy pióra czerpie, nad wyraz mozolnej, machinie liczącej w staraniach podobny. Prócz tablic logarytmów niczego nie używa. Tak oto rachuby Mayera wygładza, Księżyca tudzież Słońca tyczące. Gdy Maskelyne korektę tę w „Almanachu Morskim”² wyda, we wstępie pochwałami jej autora obypie. Atoli Mason liczył na to, iż znojem aż nadto staranne wartości uzyska, by owe pięć tysięcy mu przypadło nagrody przez Radę Długości dawanej. Niestety, „wrogowie” jego zadziałali i jeno kwotę siedmiuset pięćdziesięciu funtów mu zaoferowano. Odmówił honorowo ku zmieszaniu żony.

Czy odtąd do wrogów swych Maskelyne’a włączył?

Gdy planety nowej odkrycie ogłoszono, Astronom Królewski z Masonem radością swą się dzielił, zaś imć Herschlowi wszelkiej pomyślności życzył, wagę dokonania jego uznając. Sam mniemał był, iż kometę widzi. Rodzina planet członka nowego zyskała, choć wcześniej przez Bradleya był on uważany, Halleya, Flamsteeda, Le Monniera, a także uczonych chińskich i arabskich – wszyscy, jak się zdaje, ciało to zmiarkowali, aliści proveniencji jego nikt nie dochodził. W owym czasie w królestwie astronoma nie stało, który by się z uśmiechem głupawym nie ważył, nad dziedzinę swę nagłym powiększeniem dumając. Prócz Masona. Piekielne ów znosił katusze. Odkrycie dlań ciosem dotkliwym było, a jeszcze nawet nie przedostatnim. Cóż za antycypacje mrocznych mocy przewrotu, myśli jego dręczących, wizyty mu składały? Z peryferii zmysłów, gradem dzirytów, jakoweś *animalcula* bodzące mknęły, by szeptać, kąsać, jad iniekcjować... By się załęgnąć. Z nowej planety. Coś więcej niżli odbicie proste w zwierciadle swym widział, zaskoczony – procesję majaków świetlistych poza światem, misy, kości, kadzidło niosących, w takt werbli – pobudki ich nieznanne, uwaga na czymś nieodgadnionym skupiona. Chmurą łąwicy podobną bez końca spływały. Na jak długo przed jego ujęciem do szturmu uderzyły, tego dowiedzieć się nie było mu dane, ni tego, kiedy od szturmu odstąpią. W cuchnącej grocie jaźni znaleźć podobna wszelkich prawideł rozumu zaprzeczenie świadome. Coś, co prawdę zna, prawdę równie niepodważalną, jak to, iż prędzej czy później ciało w mięso się zmienia. Coś co wie, iż pewne byty świat nasz zamieszkują, mądrością czy głębią duchową niegrzeszące, w samej rzeczy do miłosierdzia niezdolne i zawsze okrutne nieprzejednanie. Czują, dybią, czyhają, czekają. Pustkowiom nocy jeno są znane, gdzie odór krwisty w powietrzu wisi, a każdy, kto je bez maski obaczy, wnet celem pogoni zacieklej się stanie. Nikt się nie wymknie, choćby lata minęły, a czas ten w błogosławieństwa obrodził – w końcu i tak cień pod próg podpełźnie, w pielesze

¹ Chodzi o wynalazek Johanna Mayera.

² Rocznik z pozycjami ciał niebieskich na następne dwanaście miesięcy, wydawany z inicjatywy Maskelyne’a od 1766 roku; najnowsze wyniki badań astronomicznych miały wielkie znaczenie dla żeglugi.

się wkradnie niedostrzeżony. Sfery ciemności, ciemności nieczystej – grzechu, hono-ru zawiłości, których zmiarkować wyraźnie nie sposób, gdy milkną, gdy się kto zbliży do nich. O tak, zbrodniom cisza służy, trunkiem i czarem mordować się winno, zza widnokregu duchów wzywaniem, tuż nad granicą pomieszkujących, co między dniem a zgubą jego, karty rysunkiem a plamą białą, opoką a upadkiem samotnym...

Nieco wcześniej Towarzystwo Królewskie na dwie frakcje się rozpadło – „Ludzi nauki” takich jak Hutton¹ czy Maskelyne oraz „Galantów”, do których należeli Joseph Banks² z Henrym Cavendishem. Nie tylko Mason wrogów posiadał. Dzień sądny dla Maskelyne’a nadszedł, gdy w poczet członków Rady go nie zaliczono na rok 1783–1784. Noc nieszczęsnemu głowę objęła. Tak oto sporu padł ofiarą. Zaś z chwili słabości Mason skorzystał, by cios z gracją pikadora zadać.

W Mitrze – piękne miejsce sobie znalazł – gdzie mosiądz o dąb matowo dzwonił, a dym fajkowy w kłębach unosił, pod koniec dysputy, miast palców srogich, kośćmi z resztkami mięsiwa machali. Niewinna rozmowa o meteorze, w lato minione uważanym, w złośliwą wymianę zdań się przerodziła.

– Jeśli to dusze ku Ziemi pędzące, gdzie inkarnacja rychła je czeka, wówczas, zgodzisz się, kwestią żywotną, w jakim punkcie zodiaku lot swój poczynają.

– Większość z nich owej nocy, w tym i ten największy, radiant w Perseuszu miała, jeśli ci to w czym pomoże.

Mason ton kaznodziejski przybrał.

– Perseusz, złowrogiego Algola siedlisko, gwiazdy-demonu, co na swym południku tuż nad Nowym Jorkiem jaśnieje, ową Sodomą amerykańską. Gwiazdy przez niektórych Lilith zwanej, Głową Szatana, Głową Meduzy... Czy podobna, iż z miejsca tak zhańbionego dusza, której szukam, się wyłoni? Nigdy. Dobrze ci to wiadome. Żmijo mizerna, kogoś kiedy stracił?

Mun, co w pojedynkach słownych się lubował niczym pierwszy lepszy pijaczyna zadziorny, tym razem brata czym prędzej odciągnął – pierwej przy stole innym posadził, w końcu do innej tawerny wyciągnął. Nim wyszli, Mason w amoku krzyczał:

– Pomiatać sobą już nie pozwolę! Mniemałem, iżes durniem nużącym, co podarunkami swego stolca szacunek mój zaskarbić sobie pragnie. Myliłem się, czysta nienawiść to była.

– Może twe rozeznanie cenilem – Maskelyne odrzekł głosem słodkim, który, co Mason wiedział z doświadczenia, szarży zmienacka był zapowiedzią.

Miast czekać, sam do ataku ruszył.

– A czemuż to miałbyś dbać o nie? Z pewnością lepszego od siebie estymą nie darzyłeś?

– Rekompensata to była, nic więcej. Schiehallion, którą odrzuciłeś... Rady Długości zlecenia liczne, bez których rodzina twa z głodu by pomarła... Wszytko to mej wdzięczności wyrazem za to, iż do Bradleya zbliżyć mogłem.

– Lepiej by było, gdybyśmy szczęśli wszytcy. Ty zaś bliżej podszedłeś, niżli należało. I dobrze na tym Bradley nie wyszedł..

– Trzymasz, iżem uzurpatorem? Za karę życia pozbawić pragniesz? Czas, by stare dzieje w niepamięć puścić.

– Nie ma potrzeby zgłądać człowieka, którego to tam już nie ma.

¹ James Hutton (1726–1797), jeden z ojców współczesnej geologii.

² Joseph Banks (1743–1820), wybitny botanik, przewodniczył Towarzystwu Królewskiemu przez czterdzieści lat.

Do czego pił Mason, Maskelyne pojął. „Tam” Radę Towarzystwa oznaczało. By gorzką pigułkę gładko przełknąć, wszystko w swej twarzy w supeł ścisnął. Czy łyż mu wówczas w oczach stanęły, na to dowód żaden się nie zachował. Pewne jest to, iż na pięcie się odwrócił i po raz pierwszy, a i ostatni, na powrót ku Masonowi nie spojrział, bielą peruki jeno w drzwiach mignął. Rok później, po potyczkach wielu i głosowaniach dramatyizmu pełnych, tudzież paru ranach laskami zadanych, wszyscy w Towarzystwie ładu doszli. Maskelyne znowuż w Radzie zasiadł i aż do śmierci jej członkiem ostał.

Mason z snu wyrywać się usiłuje. Wstaje, do drzwi podpływa i na zewnątrz wychodzi. Dom za nim nowy jest i pospolity, miasto urodą się nie wyróżnia. Na wprost astronoma petroglif widnieje – wzgórze to zbocze, co wśród dachów wyrasta, na nim zaś szczątki niemal nietknięte, późnorzymskie czy wczesnowłoskie – świątynie i gmachy w sepiach i brązach na tle zieleni lombardzkich topoli... Kilka budowli inskrypcje zdobią, lecz Mason odczytać ich nie potrafi. Iż pismem są, nie wie jeszcze. Być może, gdy w mroku świat się pogrąży, na nieboskłonie odpowiedź znajdzie.

– Myślę, że się budzi – Mary powiada.

Wstała już i po pokoju się krząta. Działwa płochliwa po kątach się kryje, starsze dzieci młodsze wyprowadzają. Niewiasta gestem Franklina zaprasza.

Mason osiwił od ostatniego spotkania i twarz jego srebrne wąsiki znaczą. Nawet rzęsy mu pojaśniały. Franklin ze zdumieniem miarkuje, iż w oczach chorego zezą nie widzi, iż lata z dala od lunet spędzone, bez obserwacji dziennych czy nocnych obliczu Charlesa symetrii przydały, jakiej zapewne od zawsze pożądał.

– Nadzieję żywię, iż waść wkrótce łóżko opuścisz.

– Jak długo – Mason rzecze – pożytek jest ze mnie, tak długo nikt mi śmierci życzyć nie będzie. Nie teraz, gdy dysputa wrze o Bradleya tablice, których wiele ja sam wszak wyliczyłem. Nikomu nie w smak scysji uważać, tym między Newtonem a Flamsteedem podobnych, prócz, mniemam, kilku Kabały adeptów, wierzących, iż liczba rzędy zakłęcia równe, co nieśmiertelność przynieść im może. Tudzież prócz tych, co podejrzewają, iż Bradley, odkrywszy coś, przed światem to ukrył – rzecz równie ważną co aberracja, lecz złowrobną dalece bardziej... Rzecz Francji nieznaną, przynajmniej na razie, sekret, którego jezuitom przynigdy wyjawić nie wolno... Rzecz tak pożyteczną i niszczyielską, iż Bradley domysłów swych głosić nie śmiał nawet ni rachub wszelkich dalej prowadzić, jeno dane suche zagadką ostawił każdemu, kto ją rozwikłać skłonny będzie. Cóż się w liczbach kryje? Jakiż kształt widmowy?

– Ech, żarty się waćpana trzymają. – Franklin usta w uśmiech wykrzywić się stara.

Mason wzroku z gościa swego nie spuszcza, lecz w spojrzeniu tym błaganie się nie maluje – zdaje się, iż opinia starca nie obchodzi go zbyt wiele.

– Złożenie to wielkie – głosem gasnącym dodaje. – Machina rozmiarem kontywentowi równa. Snadnie to waszmości udowodnić mogę. Nie wszystkie jej części jeszcze z sobą złączone, z tych miar całości ujrzeć nie sposób. Pionierzy i jeometry prą bezustannie, co dzień punkta kolejne jednym się stają i rychło się machina naszym oczom ukaże, jak gwiazdy nowe, których w almanachach przybywa...

– Ha, odkryłeś ją zatem? – Franklin pyta. – Cóż, z pewnością nic to spólnego nie ma z owym conceptem ciekawym i niedrogim, któregoś opis do listu dołączył.

– Z deistami miałeś już waćpan styczność i wiesz, iż przyrodzenie biblią naszą, a niebo tejsze pięcioksięgiem. Znalazłem na nim, każdej nocy kreślone, przesłania pilne niesłychanie dla epoki naszej i kontynentu waćpana.

- Odtąd i waszmości, jak ufam szczerze.

Mary doń zagląda.

- Cóż, moja miła - Mason szepcze, lecz w inną stronę, nieobecny, spogląda. - Cała rzecz prostą się okazała, nieprawdaż?

- Bezpieczny jesteś, Charlie. Bezpieczny. - Niewiasta modlić się poczyna.

Mary z młodszymi dziećmi do Anglii powróci - William i Doktor Isaac, Rebeki synowie, ostaną. Ostaną, by w Amerykanów się przemienić. Ostaną, by ojca swego do śmierci wdrożyć. Imć Shippen, imć Ewing, wielebny Peters, wszyscy plenipotenci sprzed lat dwudziestu dla braci zbawieniem się okażą, każdy na swój sposób ich wspomże.

- Odkąd szkrabem dziesięcioletnim byłem - Dok rzecz - tego właśnie pragnąłem - byś mię i Willa do Ameryki wywiózł. Wierzyłem, każde urodziny obchodząc, iż rok kolejny wyjazd przyniesie.

- Praca się znajdzie - William powiada. - Wkrótce jak nic dość odłożymy, by tam, gdzie ty bawiłeś, pojechać.

- By ożenić się i na zachód ruszyć.

- Gwiazdy tam tak blisko, iż lunety nie trzeba.

- Ryby do rąk skaczą. Indianie magią się parają.

- Zobaczysz, pojedziemy. Domy postawimy.

- Na ryby będziemy chodzić. A ty z nami.

Spis treści

Część pierwsza. Linie i wojaże	7
Część druga. Ameryka	177
Część trzecia. Przejście ostatnie	471